ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)

DWIE DIANY

TYTUŁ ORYGINAŁU: LES DEUX DIANE
PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO: MARIA ZIĘBINA

Том I

I. SYN HRABIEGO I CÓRKA KRÓLA

Działo się to piątego maja 1551 roku. Osiemnastoletni młodzieniec i niewiasta może czterdziestoletnia wyszli z niewielkiego, niczym nie wyróżniającego się domu. Szli obok siebie przez wieś Montgomery w regionie Auge.

Po młodym mężczyźnie znać było normandzkie pochodzenie. Świadczyły o tym kasztanowe włosy, niebieskie oczy, białe zęby i bladoróżowe usta. Miał świeżą, aksamitną cerę ludzi Północy, co niekiedy umniejsza nieco ich męską urodę, czyniąc podobną, do niewieściej. Poza tym wspaniale zbudowany, o silnej i gibkiej postaci, łączył w sobie coś z dębu i trzciny. Był skromnie, lecz gustownie odziany w sajan i krótkie bufiaste spodnie z ciemnofioletowego sukna, zdobne misternymi jedwabnymi haftami tej samej barwy. Wysokie buty z czarnej skóry, w jakiej chodzili paziowie i giermkowie, sięgały ponad kolana. Aksamitny beret lekko opadający na bok, z białym piórem, częściowo przykrywał czoło, na którym rysowało się opanowanie i siła charakteru.

W ręce trzymał lejce wierzchowca, który szedł za nim stępa, od czasu do czasu unosząc głowę, wdychając powietrze i rżąc, gdy wiatr przynosił miłe wonie.

Białogłowa zdawała się należeć jeśli nie do niższej klasy społeczeństwa, to co najmniej do pośredniej między nią a mieszczańską. Jej ubiór był prosty, ale tak schludny, że ta nadzwyczajna czystość przydawała mu elegancji. Kilkakrotnie młodzian podsuwał ramię, by się na nim wsparła, ale odmawiała, jakby taki honor był ponad jej stan.

Kiedy tak szli przez wieś i zbliżali się do końca ulicy prowadzącej do zamku, którego masywne wieże górowały nad skromną osadą, dało się zauważyć, że nie tylko młodzież i mężczyźni, ale także i starcy kłaniali się nisko przechodzącemu młodzieniaszkowi, a on odpowiadał im przyjacielskim skinieniem głowy. Każdy zdawał się uznawać za pana i władcę owego młodzika, który, jak przekonamy się niebawem, sam nie wiedział, kim jest.

Na skraju wioski oboje skierowali się pod górę wąską drogą, a raczej ścieżką, która wijąc się po zboczu z trudem mieściła dwie Obok siebie kroczące osoby. Toteż wobec niewygody wynikłej z konieczności trzymania konia za uzdę i tym samym niebezpieczeństwa dla niewiasty, gdyby szła z tyłu, młodzian skłonił ją, by szła pierwsza.

Sam posuwał się za nią bez słowa. Widać było, że jego myślące czoło ugina się pod ciężarem wielkiej troski.

Zamek, ku któremu wędrowało w taki sposób dwoje ludzi różnych wiekiem i stanem, był piękną, ogromną budowlą. Trzeba było czterech wiekowi dziesięciu pokoleń, by taka masa kamieni wzniosła się od fundamentów po zębate zwieńczenia murów i baszt, i sama niby góra dominowała nad wyniosłością, na której ją zbudowano.

Jak wszystkie budowle w owych czasach, zamek hrabiów De Montgomery nie odznaczał się regularnością. Ojcowie przekazywali go synom i każdy tymczasowy właściciel wedle swego kaprysu lub potrzeby coś dodawał do kamiennego olbrzyma. Czworokątna baszta, główna forteca, została zbudowana za czasów diuków normandzkich. Później do surowego zamczyska dodano wytworne zębate wieżyczki z ozdobnymi oknami, w miarę upływu czasu wzrastała liczba cyzelowań w kamieniu, tak jakby czas zapładniał wegetację granitu. Wreszcie przy końcu panowania Ludwika II i na początku rządów Franciszka I długa galeria łukowatych okien uzupełniła wielowiekowe dzieło.

Z owej galerii, a jeszcze szerzej ze szczytu baszty rozciągał się widok w zasięgu kilkunastu mil na żyzne zielone równiny Normandii. Jak już rzekliśmy, hrabstwo Montgomery leżało w

krainie Auge. Jego osiem czy dziesięć baronii, jak również sto pięćdziesiąt lenn pozostawało w rękach dzierżawców z Argentan, Caen i Alençon.

W końcu doszli do wielkiej bramy zamku.

Dziwna rzecz! Od przeszło piętnastu lat wspaniałe, potężne zamczysko nie miało pana. Stary zarządca pobierał czynsze z dzierżaw. Służba, która zestarzała się w owym pustkowiu, utrzymywała zamek w porządku. Otwierano go rano, jakby każdego dnia miał powrócić jego pan, i zamykano co wieczór, jakby pana oczekiwano dopiero nazajutrz.

Zarządca przyjął gości z taką życzliwością, jaką wszyscy okazywali niewieście, i z takim szacunkiem, jakim wszyscy otaczali młodziana.

— Imć Eliocie — rzekła niewiasta, która, jak już powiedzieliśmy, szła pierwsza — czy pozwolisz nam wejść do zamku? Muszę coś oznajmić panu Gabrielowi — wskazała młodzieńca — a mogę to uczynić jedynie w sali rycerskiej.

— Wejdź, pani Alojzo — odpowiedział Eliot — i rzeknij tam gdzie chcesz to, co masz do oznajmienia młodemu panu. Wiesz, że nikt wam nie przeszkodzi.

Przeszli przez salę straży. Niegdyś dwunastu wojów z hrabstwa czuwało nieustannie w owej sali. Przez piętnaście lat siedmiu z nich zmarło i nikt ich nie zastąpił. Pięciu pozostało i żyli tu w oczekiwaniu śmierci, wypełniając takie same usługi jak za czasów hrabiego.

Minęli galerię i weszli do sali rycerskiej.

Była tak umeblowana jak w owym dniu, kiedy hrabia ją opuścił. Jednak do tego salonu, w którym gromadziła się dawniej jako w sali recepcyjnej cała szlachta Normandii, od piętnastu lat nikt nie wchodził poza służbą utrzymującą porządek i poza psem, ulubieńcem ostatniego hrabiego, który za każdym razem żałosnym skowyczeniem przywoływał swego pana. Pewnego dnia nie zechciał już wyjść. Położył się na stopniach pod baldachimem i tam znaleziono go martwego nazajutrz.

Nie bez wzruszenia Gabriel — pamiętamy, że takie imię nosił młodzieniec — wszedł do sali o wiekowych tradycjach. Stare, ciemne ściany, majestatyczny baldachim nad karłem, okna tak głęboko werżnięte w mury, że chociaż była dziesiąta rano, dzień zdawał się zatrzymywać na zewnątrz, wywarły na nim wrażenie, jednak nie tak silne, by oderwać go choć na chwilę od myśli o przyczynie, która go tutaj przywiodła. Skoro tylko zamknęły się za nim drzwi, rzekł:

— Droga Alojzo, zacna moja mamko, jakkolwiek wydajesz się bardziej wzruszona ode mnie, doprawdy nie masz już żadnego pretekstu, by zwlekać z wyznaniem, które mi przyobiecałaś. Teraz powinnaś przemówić do mnie bez obawy i bez zwłoki, Alojzo. Czyż nie wahałaś się dostatecznie długo, zacna karmicielko, a ja, niczym syn posłuszny, czyż nie czekałem dość długo? Kiedy pytałem cię, jakie nazwisko mam prawo nosić, do jakiego należę rodu i kto ze szlachetnie urodzonych jest moim ojcem, odpowiedziałaś: „Powiem ci to, Gabrielu, w dniu, kiedy ukończysz osiemnaście lat, osiągniesz wiek dojrzały i prawo noszenia szpady”. Otóż dzisiaj, dnia piątego maja 1551 roku, ukończyłem osiemnaście lat. Przyszedłem zatem wezwać cię, dobra Alojzo, do spełnienia obietnicy, ale odpowiedziałaś tak uroczyście, że przejęło to mnie lękiem: „Muszę ujawnić ci, kim jesteś, nie w tym skromnym domostwie wdowy po ubogim giermku. Muszę to uczynić w zamku hrabiów de Montgomery, w sali rycerskiej owego zamku”. Wspięliśmy się na górę, zacna Alojzo, przekroczyliśmy próg zamku szlachetnych hrabiów. Jesteśmy w sali rycerskiej, mów przeto.

— Usiądź, Gabrielu. Pozwalasz mi raz jeszcze nazwać cię po imieniu?

Młodzieniec ujął jej obie ręce ruchem świadczącym o głębokim przywiązaniu.

— Usiądź — powtórzyła. — Nie na tym krześle, nie na tym fotelu…

— Gdzież więc mam usiąść, zacna mamko? — przerwał jej młody. — Pod baldachimem — uroczyście nakazała Alojza.

Młodzian spełnił jej życzenie. Alojza skinęła głową.

— A teraz słuchaj.

— Ależ ty także usiądź! — rzekł Gabriel.

— Pozwalasz mi?

— Czy kpisz ze mnie, mamko? Kobiecina usiadła na stopniach podwyższenia, u stóp młodzieńca, który czekał z utkwionym w niej wzrokiem, pełnym życzliwości i zainteresowania.

Mamka wreszcie zdecydowała się przemówić:

— Miałeś zaledwie sześć lat, Gabrielu, kiedy utraciłeś ojca, a ja męża. Karmiłam cię swoją piersią, gdyż matka twoja zmarła wydając cię na świat. Ja, mleczna siostra twojej matki, pokochałam cię od owego dnia jak własne dziecko. Wdowa poświęciła swe życie sierocie. Wraz z mlekiem ofiarowała ci serce. Musisz mi oddać sprawiedliwość, że nie przestałam nigdy troszczyć się o ciebie.

— Droga Alojzo, niejedna rodzona matka mniej uczyniłaby dla mnie niż ty. Przysięgam, że ani jedna zaprawdę nie uczyniłaby tego lepiej od ciebie.

— Wszyscy zresztą okazywali ci podobne staranie jak ja. Wielebny Jamet de Croisic, czcigodny kapelan zamku, którego Pan powołał do siebie przed trzema miesiącami, pieczołowicie uczył cię literatury i nauk ścisłych. Mawiał, że nikt nie zdoła górować nad tobą umiejętnościami. Przeczytałeś, co należało, umiesz gładko pisać i znasz historię minionych wieków, szczególnie dzieje wielkich rodów Francji. Enguerrand Lorien, bliski przyjaciel mojego nieboszczyka męża, Perrota Travigny'ego i dawny masztalerz hrabiów de Vimoutiers, naszych sąsiadów, nauczyli cię władać bronią, posługiwać się kopią i szpadą, jeździć konno. Nauczyli cię wszystkiego, co przystoi stanowi rycerskiemu. Już dwa lata temu, podczas festynów i turniejów, które odbywały się w Alençon z okazji ślubu i koronacji naszego pana Henryka II, wykazałeś, jakie odniosłeś korzyści z lekcji Enguerranda. Ja, biedna nieuczona mogłam cię tylko kochać i uczyć służby Bogu co stale usiłowałam czynić. Najświętsza Panienka mi w tym dopomogła i dzisiaj, po dziesięciu latach, jesteś pobożnym chrześcijaninem, uczonym wielkim panem i rycerzem wyćwiczonym we władaniu bronią. Mam nadzieję, że z bożą pomocą staniesz się godny swoich przodków, GABRIELU, PANIE NA LORGE, HRABIO DE MONTGOMERY!

Gabriel zerwał się z okrzykiem:

— Ja hrabią de Montgomery? — A potem dodał z dumnym uśmiechem: — Otóż tak! Spodziewałem się tego, domyślałem. Czy wiesz, Alojzo, że w swoich dziecinnych marzeniach rzekłem to kiedyś małej Dianie? Ale co czynisz u moich stóp, zacna Alojzo? Wstań i chodź w moje objęcia, świątobliwa niewiasto! Czy nie chcesz już mnie uznawać za swoje dziecko, ponieważ jestem spadkobiercą Montgomerych? — Powtarzał drżącym z dumy głosem: — Spadkobierca Montgomerych! Ależ to znaczy, że noszę jedno z najstarszych i najsławniejszych nazwisk we Francji! Tak, wielebny Jamet nauczył mnie historii moich szlachetnych przodków za każdego króla, pokolenie po pokoleniu… Moi antenaci! Uściśnij mnie jeszcze raz, Alojzo! Co powie Diana na to wszystko? Święty Godegrand, biskup w Suezie, i święta Fortunata jego siostra, żyjący za Karola Wielkiego, pochodzili z naszego rodu. Roger de Montgomery dowodził jedną z armii Wilhelma Zdobywcy, a Wilhelm de Montgomery zorganizował wyprawę krzyżową na koszt własny. Niejednokrotnie byliśmy skoligaceni z królewskimi rodami Szwecji i Francji. Najznakomitsi lordowie w Londynie, najsławniejsi rycerze w Paryżu nazwą mnie swoim kuzynem, wreszcie mój ojciec…

Młodzieniec umilkł przygnębiony. Po chwili mówił dalej:

— Niestety, Alojzo. Mimo wszystko jestem sam na świecie. Wielmoża jest biednym sierotą, potomek tylu królewskich przodków nie ma ojca! Biedny mój ojciec! Widzisz, teraz płaczę, Alojzo. O, moja matko! Zmarli oboje. Mów mi o nich, niech dowiem się teraz, jacy byli, gdy

wiem już, że jestem ich synem. Zacznijmy od ojca. W jaki sposób umarł? Opowiedz mi.

Alojza milczała. Gabriel patrzył na nią ze zdziwieniem.

— Pytam cię, mamko, jak zmarł mój ojciec.

— Bóg jeden może to wiedzieć, dostojny panie. Pewnego dnia hrabia Jakub de Montgomery opuścił pałac, w którym mieszkał przy ulicy Jardins–Saint–Paul w Paryżu. Już nie powrócił. Jego przyjaciele i kuzyni szukali go odtąd na próżno. Zaginął bez wieści, dostojny panie. Król Franciszek I nakazał poszukiwania, które nie odniosły skutku. Jeśli ojciec twój padł ofiarą czyjejś zdrady, to jego wrogowie byli bardzo sprytni i możni. Nie masz już ojca, dostojny panie, i brak grobowca Jakuba de Montgomery w kaplicy zamkowej, bo nie odnaleziono go ani żywego, ani umarłego.

— Dlatego, że nie syn go szukał! — porywczo zawołał Gabriel. — Ach, mamko, dlaczego tak długo milczałaś? Ukrywałaś przede mną moje pochodzenie, chociaż mam obowiązek wybawić ojca z opresji albo pomścić.

— Jedynie dlatego, że musiałam was chronić, dostojny panie. Posłuchajcie. Czy wiecie, jakie były ostatnie słowa mojego małżonką, zacnego Perrota Travigny'ego, który otaczał czcią wasz ród, dostojny panie? Na kilka minut wcześniej, zanim wyzionął ducha, rzekł do mnie: „Nie będziesz czekała na mój pochówek. Skoro tylko zamkniesz mi oczy, natychmiast opuścisz Paryż razem z dzieckiem. Pojedziesz do Montgomery, lecz nie do zamku, powrócisz do domu, który posiadamy dzięki dobroci naszego jaśnie pana. Tam będziesz wychowywała spadkobiercę naszych państwa bez ukrywania go, ale i bez rozgłosu. Nasi zacni ziomkowie będą go szanowali i nie zdradzą. Musisz zataić zwłaszcza przed nim samym jego pochodzenie, żeby się nim nie chełpił i nie zginął. Niech wie, że jest szlachetnie urodzony, wystarczy tyle dla zachowania jego godności i dla twojego sumienia. Później, kiedy z wiekiem stanie się, rozsądny i poważny, a krew uczyni go dzielnym i prawym, na przykład, gdy będzie miał osiemnaście lat, wyjaw mu, Alojzo, jego nazwisko i pochodzenie. Wtedy sam osądzi, co powinien i co może uczynić. Do tego czasu miej się na baczności. Straszliwa wrogość, nieprzejednana nienawiść będą go ścigały, jeśli go odnajdą. Ci, którzy dosięgli orła nie oszczędzą jego pisklęcia". Po tych słowach zmarł, dostojny panie, a ja, posłuszna jego rozkazom wzięłam sześcioletniego sierotę, który jeszcze rzadko widywał swego ojca, i przywiozłam, tutaj. Już rozeszła się wieść o zaginięciu hrabiego i podejrzewano, że straszni, bezlitośni wrogowie zagrażają każdemu, kto nosi jego nazwisko. Widywano ciebie, niewątpliwie rozpoznano cię we wsi, lecz za cichą jednomyślnością nikt mnie o nic nie pytał i nikt nie dziwił się mojemu milczeniu. W krótki czas potem gorączka zabrała mojego jedynego syna, a twego brata mlecznego. Widocznie Bóg chciał, żebym całkowicie tobie jednemu; się poświęciła, dostojny panie. Niech będzie błogosławiona wola boża! Wszyscy we wsi udawali, że wierzą, jakoby mój syn żył, do ciebie jednak, dostojny panie, odnosili się z wielkim respektem i wzruszającym oddaniem. Pewnie dlatego, że stałeś się już podobny do ojca i z twarzy, i z serca. Instynkt lwa objawiał się w tobie. Znać było, że jesteś władcą i panem. Miejscowe dzieci przyzwyczaiły się organizować w grupy pod twoim dowództwem. We wszystkich zabawach zawsze wiodłeś prym i żadne z dzieci nie ośmieliło się nigdy Odmówić ci posłuszeństwa. Ta oto okolica wychowała nasze książątko i podziwiała, że rośniesz dumny i urodziwy. Przynoszono do domu daninę z najpiękniejszych owoców, dziesięcinę z plonów, choć niczego nie żądałam. Przeznaczono dla ciebie najlepszego konia z pastwiska. Wielebny Jamet, Enguerrand, wszyscy lokaje i służba cała z zamku byli na twoje usługi, jakby spłacając dług naturalny, a ty przyjmowałeś to jak rzecz sobie należną. Okazywałeś waleczne, harde i wielkoduszne usposobienie. Po drobnostkach znać było, z jakiego rodu pochodzisz. Jeszcze teraz opowiadają na wieczornicach, jak pewnego dnia wymieniłeś z jakimś paziem moje dwie krowy na sokoła. Takie impulsy i porywy zdradzały cię jena wobec wiernych sąsiadów, a dla

nieżyczliwych pozostawałeś nieznany w ukryciu.

Do osłaniania ciebie, Bogu dzięki, nieźle się przyczyniała wielka wrzawa spowodowana wojnami w Italii, Hiszpanii i Flandrii przeciw Karolowi V. Wreszcie zdrów i cały doszedłeś do wieku, w jakim Perrot pozwolił mi zaufać twojemu rozsądkowi i mądrości. Zazwyczaj jesteś taki poważny i roztropny. A dzisiaj pierwsze twoje słowa wykazują nierozwagę, wybuchowość i chęć szukania zemsty.

— Tak, zemsta! Jednak nie porywczość. Czy sądzisz, Alojzo, że wrogowie mego ojca jeszcze żyją?

— Nie wiem, dostojny panie. Ostrożniej byłoby tak mniemać. Przypuśćmy, że przybędziesz na nie znany sobie dwór. Twoje błyskotliwe nazwisko ściągnie uwagę. Jesteś odważny, ale niedoświadczony, wyposażony w dobre chęci i przekonanie o słuszności sprawy, ale bez przyjaciół, bez sprzymierzeńców i bez wyrobionej reputacji. Co wtedy się zdarzy? Ci, którzy cię nienawidzą, uderzą, a ty ich nie znasz, nie będziesz wiedział, skąd może paść cios. Nie pomścisz ojca i sam zginiesz.

— Dlatego właśnie żałuję, że nie miałem czasu na pozyskanie przyjaciół i zdobycie sławy. Och, Alojzo, gdyby mnie uprzedzono ze dwa lata wcześniej! Trudno! To tylko zwłoka, nadrobię stracone dni. Istnieją inne przyczyny, dla których jestem zadowolony, że przebywałem przez dwa ostatnie lata w Montgomery. Teraz muszę zdwoić wysiłki. Pojadę do Paryża, Alojzo. Nie ukrywając, że jestem jednym z Montgomerych, mogę nie mówić, że jestem synem hrabiego Jakuba. Nie brak lenn i tytułów w naszym rodzie, podobnie jak w dynastii królewskiej. Dość mamy krewnych w Anglii i we Francji, by ktoś nie zainteresowany na tym się poznał. Mogę przybrać tytuł wicehrabiego d'Exmès, Alojzo, w taki sposób ani się nie ukryję, ani nie wystąpię jawnie. Pojadę poszukać… Kogo pojadę poszukać na królewskim dworze? Dzięki Enguerrandowi mam rozeznanie w sprawach i ludziach. Czy zwrócę się do konetabla de Montmorency, okrutnika, który ma stale pater noster na ustach? Nie, podzielam twoje zdanie, widzę, jak się krzywisz, Alojzo. Czy do marszałka de Saint–André? Nie jest ani dostatecznie młody, ani przedsiębiorczy. Może raczej do Franciszka de Guise? Tak, właśnie. Montmèdy, Saint–Dizier i Bologne wykazały, do czego jest zdolny; Udam się do niego, pod jego komendą zdobędę ostrogi. W cieniu jego imienia wsławię swoje.

— Niech Wasza Dostojność pozwoli mi zwrócić uwagę, że uczciwy i prawy Elyot miał czas na odłożenie sporej sumy dla dziedzica swoich panów. Będziesz mógł sporządzić sobie królewski ekwipunek, a twoi młodzi dzierżawcy, których wyćwiczyłeś bawiąc się w wojsko, będą mieli obowiązek i przyjemność towarzyszyć ci w wyprawach wojennych. Masz prawo przyzwać ich do siebie, dostojny panie.

— Skorzystam z tego prawa, skorzystam, Alojzo.

— Czy życzysz sobie przyjąć teraz wszystkich swoich domowników, służbę, czeladź i ludzi z lenn i baronii, którzy pałają chęcią powitania ciebie, dostojny panie?

— Jeszcze nie teraz, proszę cię, dobra Alojzo. Powiedz jednak, by imć Marcin Guerre osiodłał konia i towarzyszył mi. Przede wszystkim muszę odbyć małą przejażdżkę w pobliskie okolice.

— Czy w stronę Vimoutiers? — spytała Alojza uśmiechając się domyślnie.

— Tak, być może. Czyż nie powinienem złożyć wizyty i podziękować staremu Enguerrandowi?

— A przy okazji Wasza Wielmożność z przyjemnością odbierze gratulacje od nadobnej dzieweczki zwanej Dianą, nieprawdaż?

— Ależ ta nadobna dzieweczka jest moją małą żoną, a ja jej małżonkiem od trzech lat, to znaczy od chwili, kiedy ukończyłem piętnaście lat, a ona dziewięć — ze śmiechem odpowiedział Gabriel.

Alojza zamyśliła się, a potem rzekła:

— Gdybym nie znała twojej solidności i szczerości, dostojny panie, gdybym nie wiedziała, że każde twoje uczucie jest poważne i głębokie, strzegłabym się słów, które ośmielam się wyjawić. To, co nieraz jest jeno igraszką dla innych, dla ciebie bywa często sprawą wielkiej wagi. Pomyśl, dostojny panie, że nie wiadomo, czyją córką jest Diana. Pewnego dnia żona Enguerranda, który w owym czasie towarzyszył swemu panu, hrabiemu de Vimoutiers do Fontainebleau, znalazła po powrocie do domu w kołysce dzieciątko, a na stole ciężką sakiewkę wypełnioną złotem. W sakiewce była znaczna suma, pół grawerowanej obrączki i kawałek papieru z jednym słowem: DIANA. Berta, żona Enguerranda była bezdzietna i z radością przyjęła zaofiarowane macierzyństwo. Lecz po powrocie do Vimoutiers zmarła podobnie jak mój mąż, któremu pan cię powierzył. Tak się złożyło, że niewiasta wychowała chłopca sierotę, a mężczyzna dzieweczkę sierotę. Enguerrand i ja, oboje obarczeni podobną troską, wymienialiśmy usługi. Ja starałam się uczynić Dianę dobrą i pobożną, tak jak Enguerrand uczynił ciebie rycerskim i uczonymi Poznałeś Dianę i rzecz naturalna, że przywiązałeś się do niej. Jesteś wszakże hrabią de Montgomery, uznanym na podstawie wiarogodnych dokumentów w oficjalnym notariacie, a nikt jeszcze nie zgłosił się po odbiór Diany z drugą połową obrączki. Bądź ostrożny. Wiem, że Diana jest zaledwie dwunastoletnim dzieckiem, ale dorośnie, będzie urzekająco piękna, a mężczyzna z twoim charakterem wszystko traktuje poważnie. Uważaj, może się zdarzyć, że pozostanie tym, czym jest znajdą. Ty jesteś zbyt wielkim panem, by ją poślubić i zbyt dobrze urodzonym, żebyś miał ją uwieść.

— Ale przecież mam wkrótce; wyjechać, opuścić ciebie i Dianę — rzekł zamyślony Gabriel.

— Słusznie. Przebacz swojej starej Alojzie ów nadmierny niepokój wynikły z przewidywania przyszłości i jedź odwiedzić to miłe i grzeczne dziecko, które zwiesz swoją żoneczką. Ale pomnij, że tutaj oczekują cię z niecierpliwością. Do widzenia, Wasza Wielmożność.

— Do niedługiego zobaczenia. Uściśnij mnie jeszcze, Alojzo, i zawsze nazywaj swoim dzieckiem. Dziękuję ci stokrotnie, zacna opiekunko.

— Bądź stokroć błogosławiony, mój chłopcze i panie.

Imć Marcin Guerre czekał na Gabriela przy bramie. Obaj wsiedli na koń.

II. OBLUBIENICA BAWI SIĘ LALKĄ

Gabriel wyruszył znanymi sobie ścieżkami, aby skrócić drogę.

A jednak od czasu do czasu nakazywał wierzchowcowi zwolnić kroku, a nawet można rzec, że puszczał luzem piękne zwierzę, by szło wedle własnych upodobań. W sercu młodzieńca drgały sprzeczne uczucia, raz namiętne, raz smętne, to pełne dumy, to znów przygnębienia. Kiedy rozmyślał nad tym, że jest hrabią de Montgomery, oczy jego błyszczały i bódł konia ostrogą, upajając się pędem powietrza gwiżdżącego wokół skroni. Po chwili mówił sobie: Zamordowano mego ojca, a ja go dotąd nie pomściłem. Wtedy lejce wiotczały mu w rękach. Ale gdy zaraz potem pomyślał, że będzie walczył, że wyrobi sobie imię budzące postrach i spłaci wszelkie zobowiązania krwi i honoru, znowu ruszał galopem, jakby pędził ku sławie. Po refleksji, że musi opuścić taką ładną i wesołą Dianę, popadał na nowo w melancholię. Jechał zatem stępa, jakby chciał odwlec okrutną chwilę rozstania. Ale powróci, odnajdzie wrogów swego ojca i rodziców Diany. Gabriel bódł konia ostrogami i gonił tak szybko jak nadzieja. Dojechał do celu i wtedy radość wygnała smutek z młodej duszy rwącej się do szczęścia.

W posiadłości starego Enguerranda poprzez ogrodzenie sadu Gabriel dostrzegł białą suknię Diany. Uwiązał konia u pnia wierzby, i jednym skokiem przesadził płot. Rozpromieniony padł z triumfem do stóp dziewczyny.

Diana płakała.

— Co ci jest, droga żoneczko, skąd takie gorzkie zmartwienie? Czy Enguerrand cię złajał, bo podarłaś sukienkę? A może niedbale odmawiałaś modlitwę? Może nasz gil odleciał? Mów Diano, moje kochanie. Czeka tu wierny twój rycerz, by cię pocieszyć.

— Niestety, Gabrielu, nie możesz już być moim rycerzem, dlatego właśnie jestem smutna i płaczę — rzekła Diana.

Gabriel przypuszczał, że Diana dowiedziała się od Enguerranda, jakie nosi nazwisko jej towarzysz zabaw i że chce go może wystawić na próbę. Zapytał tedy:

— Jakież nieszczęście lub szczęście mogłoby mnie zmusić do wyrzeczenia się miłego tytułu, który pozwoliłaś mi przybrać? Przecież jestem dumny i szczęśliwy, że go noszę. Patrz, jestem u twych kolan.

Diana zdawała się nie rozumieć i płacząc głośniej niż kiedykolwiek ukryła czoło na piersi Gabriela i ze szlochaniem zawołała:

— Gabrielu, Gabrielu! Nie należy się już więcej widywać.

— A kto nam zabroni? — zapytał żywo.

Uniosła śliczną blond głowę i niebieskie oczy zalane łzami. Potem odpowiedziała z minką bardzo uroczystą i poważną, z głębokim westchnieniem:

— Obowiązek.

Jej urocza twarzyczka miała wyraz tak zrozpaczony i komiczny zarazem, że zachwycony Gabriel nie zdołał powstrzymać się od śmiechu. Ujął w dłonie czoło dziewczynki i ucałował je kilkakrotnie. Ona wyrwała się gwałtownie.

— Nie, mój przyjacielu, koniec z takimi pieszczotami. Mój Boże, mój Boże, są już dla nas zakazane.

Jakich bredni naopowiadał jej Enguerrand? — pomyślał Gabriel trwając w pomyłce i rzekł głośno:

— Czy już mnie nie miłujesz, Diano ukochana?

— Ja miałabym ciebie nie kochać? — oburzyła się Diana. — Jak możesz coś podobnego

przypuszczać, Gabrielu! Czyż nie jesteś przyjacielem moich lat dziecinnych i bratem na całe życie? Czy nie traktowałeś mnie zawsze z rodzicielską czułością i dobrocią? Kiedy śmiałam się albo płakałam, kogo znajdowałam nieustannie przy sobie, kto dzielił moje radości i smutki? Kto mi pomagał uczyć się lekcji? Kto brał na siebie moje winy i dzielił ze mną kary, kiedy nie mógł ich wyłącznie sobie przypisać? Znowu ty! Kto wymyślał dla mnie tysiące zabaw? Kto układał dla mnie piękne bukiety z kwiatów na łące? Kto dla mnie wybierał szczygły z gniazd w lesie? Ciągle ty! Spotykałam cię na każdym miejscu i o każdej porze dobrego, miłego i oddanego. Gabrielu, Gabrielu, nigdy ci tego nie zapomnę i dopóki serce moje bije, będziesz w nim żył. Chciałabym ci ofiarować życie i duszę. Marząc o szczęściu marzyłam tylko o tobie. Niestety, mimo wszystko musimy się rozstać i chyba już nigdy się nie ujrzymy.

— Ależ dlaczego? Może to kara za to, że psotnie wprowadziłaś psa Filaksa między drób? — spytał Gabriel.

— Ach gdzież tam, z innej przyczyny.

— Dlaczego, powiedz wreszcie!

Wstała, opuściła ręce po obu bokach sukienki, zwiesiła głowę na piersi i rzekła:

— Ponieważ jestem małżonką innego.

Gabriel przestał się śmiać i dziwny niepokój ściskał mu serce. Zapytał ze wzruszeniem w głosie:

— Co to ma znaczyć, Diano?

— Już nie jestem Dianą, nazywam się pani diuszesa de Castro, gdyż mój małżonek zwie się Horacy Farnèse, diuk de Castro — odpowiedziała.

Dwunastoletnia dziewczynka nie mogła powstrzymać się od uśmiechu mówiąc przez łzy: mój małżonek. Istotnie, to było zaszczytne: pani diuszesa. Lecz znów zdjął ją smutek, gdy ujrzała cierpienie Gabriela. Młodzieniec stał przed nią blady, z przerażeniem w oczach.

— Czy to jakaś zabawa? Czy sen? — zapytał.

— Nie, mój jedyny przyjacielu, to smutna rzeczywistość — odrzekła Diana. — Czy nie spotkałeś Enguefranda, który przed pół godziną pojechał do Montgomery?

— Jechałem bocznymi drogami. Dokończ.

— Dlaczego nie byłeś u nas przez cztery dni, Gabrielu? Może nie zdarzyłoby się to, co nam przyniosło nieszczęście. Przedwczoraj wieczorem nie mogłam usnąć. Nie widziałam cię od dwóch dni. Byłam niespokojna i wymogłam obietnicę od Enguerranda, że jeśli nie zjawisz się następnego dnia, to pojedziemy do Montgomery. Potem, jakby kierowało nami przeczucie, Enguerrand i ja rozmawialiśmy o przyszłości; o tym, co było, o moich rodzicach, którzy chyba o mnie zapomnieli. To, co powiem, jest złe, ale byłabym najszczęśliwsza, gdyby naprawdę o mnie zapomnieli. Cała ta poważna rozmowa zasmuciła mnie oczywiście i trochę zmęczyła. Jak ci już rzekłam, długo nie mogłam zasnąć, przez co wczoraj rano obudziłam się później niż zwykle. Ubrałam się w pośpiechu, zmówiłam pacierz i miałam zejść na dół, kiedy usłyszałam wielki harmider pod moim oknem, przed drzwiami domu. Byli tam wspaniali rycerze na koniach, za nimi giermkowie, paziowie i lokaje, za tą kawalkadą złocona karoca, bardzo błyszcząca. Gdy ciekawie przyglądałam się orszakowi dziwiąc się, że przystanął przed naszym skromnym domostwem, Antoni zapukał do drzwi i poprosił, bym na życzenie Enguerranda natychmiast zeszła na dół. Nie wiem czemu, zlękłam się, lecz należało być posłuszną. Weszłam do dużej sali, była ona pełna owych wspaniałych wielkich panów, których ujrzałam przez okno. Zaczęłam się rumienić i drżeć, bardziej niż kiedykolwiek wystraszona, czy pojmujesz, Gabrielu?

— Tak — odpowiedział Gabriel ze smutkiem. — Opowiadaj dalej, sprawa zaiste staje się interesująca.

— Gdy weszłam, jeden z panów w najbogatszych haftach zbliżył się do mnie i podając rękę w

rękawiczce poprowadził przed innego rycerza, nie mniej bogato przystrojonego. Schylając się w ukłonie wyrzekł takie oto słowa:

— Dostojny panie diuku de Castro, mam zaszczyt ci przedstawić twoją małżonkę. Pani — dodał zwracając się do mnie — Oto pan Horacy Farnèse, diuk de Castro, twój małżonek.

Diuk z uśmiechem złożył mi ukłon. Ja natomiast, zmieszana i cała we łzach, rzuciłam się w ramiona Enguerranda, który stał w rogu. — Enguerrandzie! Enguerrandzie! Ów książę nie jest moim małżonkiem. Mam już Gabriela za małżonka. Enguerrandzie, proszę cię, rzeknij to owym panom.

Wielmoża, który mnie przedstawił diukowi, zmarszczył czoło i zapytał Enguefranda surowym tonem:

— Co to za dziecinada?

— Nic, Wasza Dostojność, zaiste dziecinada — odpowiedział pobladły Enguerrand i zwrócił się po cichu do mnie:

— Gzy postradałaś zmysły, Diano? Co znaczy ten bunt? Jak możesz odmawiać posłuszeństwa rodzicom, którzy cię odszukali i wzywają!

— Gdzie są moi rodzice? — rzekłam głośno. — Chcę z nimi mówić.

— Przybywamy w ich imieniu, mademoiselle — odpowiedział surowym tonem dostojnik. — Reprezentuję ich. Jeśli nie wierzysz moim słowom, to patrz, oto rozkaz podpisany przez miłościwego pana, króla Henryka II. Czytaj!

Podał mi pergamin z czerwoną pieczęcią. Przeczytałam u góry strony: My, Henryk, z bożej łaski…, a u dołu królewski podpis: HENRYK.

Czułam się jak oślepła, ogłuszona, unicestwiona. Kręciło mi się w głowie, byłam jak oszalała. Wszyscy na mnie patrzyli! Nawet Enguerrand mnie opuścił. Myśl o rodzicach! Imię króla! Tego za wiele na moją biedną głowę. I nie było ciebie, Gabrielu!

— Wydaje mi się, że moja obecność na nic by się nie zdała — powiedział Gabriel.

— Ależ tak, Gabrielu. Gdybyś był przy mnie, opierałabym się jeszcze. Ciebie nie było, a wielmoża, który zdawał się wszystkim przewodzić, rzekł: „Dość już tej zwłoki. Pani de Leviston, powierzam twoim staraniom panią de Castro. Czekamy na was, by udać się do kaplicy”. Słowa jego były zwięzłe i rozkazujące, nie zezwalały na opór, dałam się uprowadzić. Wybacz mi, Gabrielu, byłam załamana, oszołomiona i niezdolna do zebrania myśli…

— Jak to! Przecież łatwo to pojąć — odrzekł Gabriel z sarkastycznym uśmiechem.

— Zaprowadzono mnie do mojego pokoju — opowiadała dalej Diana. — Owa pani de Leviston z pomocą dwóch lub trzech niewiast wyjęła z wielkiego kufra białą jedwabną suknię. Następnie rozebrały mnie, choć się wstydziłam, i ubrały. Ledwie śmiałam się poruszać. W takich pięknych strojach. Następnie założyły mi kolce z perłami i naszyjnik z pereł wokół szyi. Łzy kapały na perły, Ale owe damy śmiały się z mojego zakłopotania, a może i z mojego smutku. Po upływie pół godziny byłam gotowa. Na próżno mi prawiły, że tak przybrana wyglądam uroczo. Sądzą, że była to prawda, jednak płakałam. W końcu wmówiłam sobie, że to tylko sen straszny i olśniewający zarazem. Poruszałam się mimo woli, machinalnie chodziłam tam i ź powrotem. Tymczasem konie biły kopytami przed bramą, giermkowie, paziowie i lokaje czekali stojąc. Zeszłyśmy na dół. Natarczywe spojrzenia wszystkich zgromadzonych znowu zaczęły mnie przeszywać. Pan o szorstkim głosie podał mi rękę i poprowadził do kolebki całej w złocie i atłasach. Musiałam usiąść na poduszkach, prawie równie pięknych jak moja suknia. Diuk de Castro jechał na koniu obok drzwiczek i w taki sposób orszak posuwał się powoli pod górę do kaplicy zamku Vimoutiers. Ksiądz czekał już przy ołtarzu. Nie wiem, jakie słowa wymawiano obok mnie, jakie słowa kazano mi powtarzać. Nagle poczułam jak w dziwnym śnie, że diuk wsuwa mi obrączkę na palec. Później, po dwudziestu minutach lub po dwudziestu latach, nie

zdawałam sobie z tego sprawy, prąd świeżego powietrza uderzył mi w twarz. Wyszliśmy z kaplicy. Nazywano mnie panią diuszesą. Byłam poślubiona. Czy słyszysz, Gabrielu? Byłam już zamężna.

Gabriel w odpowiedzi wybuchnął dzikim śmiechem.

— Czekaj, Gabrielu — mówiła Diana. — Byłam tak wielce nieprzytomna, że dopiero w powrotnej drodze do domu po raz pierwszy pomyślałam, żeby spojrzeć na małżonka, którego owi przybysze mi narzucili. Dopiero wtedy, gdy poczułam się lepiej, do tej pory nie przyjrzałam mu się. O, mój drogi Gabrielu! Nie jest tak urodziwy jak ty. Miernego wzrostu, w swych pięknych szatach jest mniej wytworny niż ty w zwykłym brązowym kaftanie. A poza tym ma jasnoblond włosy i długą brodę, wyniosłą, impertynencką minę, a ty odznaczasz się miłym wyglądem i większym polotem. Jestem skazana, Gabrielu. Diuk rozmawiał przez jakiś czas z owym panem, który się podawał za reprezentanta króla, a potem zbliżył się do mnie, ujął za rękę i odezwał się z przebiegłym uśmieszkiem: — Wybacz mi, pani diuszeso, ale twarda konieczność każe mi szybko cię opuścić. Wiesz może albo i nie wiesz, że wojna przeciwko Hiszpanii jest w, pełnym tok i moi rycerze żądają, abym natychmiast powrócił. Mam nadzieję, że za czas jakiś będę miał przyjemność ujrzeć cię na dworze, pojedziesz tam jeszcze w tym tygodniu, żeby zamieszkać przy jego królewskiej mości. Proszę cię, zechciej przyjąć kilka podarunków, jakie pozwoliłem sobie tutaj pozostawić. Do zobaczenia, panu. Bądź wesoła i miła, jak to właściwe w twoim wieku, i baw się z całej duszy, podczas gdy ja będę walczył. Mówiąc to poufale pocałował mnie w czoło, jego długa broda mnie ukłuła, nie taka jak twoja, Gabrielu. Następnie całe towarzystwo, wszyscy ci panowie i damy pokłonili mi się i jedni po drugich odjechali, pozostawiając mnie samą z ojczulkiem Enguerrandem; On pojmował nie więcej ode mnie z tej całej przygody. Dano mu do przeczytania pismo króla nakazujące mi poślubić diuka de Castro. Wielmoża, który działał w imieniu króla, zwie się hrabia de Humieres. Enguerrand go rozpoznał, bo widywał go dawniej z panem de Vimputiersem. Enguerrand wie tylko tyle więcej ode mnie, i znowu była to smutna nowina, że pani de Leviston, która mnie ubierała, mieszka w Caen i przybędzie po mnie w najbliższych dniach, by zabrać na dwór królewski, i że powinnam być gotowa w każdej chwili do odjazdu. Taka to dziwna i żałosna historia, Gabrielu. Ach, zapomniałam. Po wejściu do pokoju znalazłam wielkie pudło, a w nim, nie zgadłbyś nigdy, wspaniałą lalkę i kompletną dla niej wyprawę: bieliznę i trzy sukienki — z białego jedwabiu, z czerwonego adamaszku i z zielonego brokatu, wszystko dla owej lalki. Jestem oburzona, Gabrielu, takie prezenty od małżonka! Traktował mnie jak małą dziewczynkę! Zresztą lalce najładniej w czerwonym, gdyż ma cerę naturalnej barwy. Małe trzewiczki także są zachwycające, ale postępowanie jest niegodne, przecież nie jestem już dzieckiem.

— Ależ tak! Jesteś dzieckiem, Diano — odrzekł Gabriel, którego gniew pomału przemienił się w smutek. — Jesteś naprawdę dzieckiem. Nie mam ci za złe, że masz dwanaście lat, byłoby to niesprawiedliwe i absurdalne. Widzę jednak, że popełniłem omyłkę, wiążąc gorące i głębokie uczucie z tak młodą, lekkomyślną duszą. Czuję z bólem, jak silnie cię pokochałem, Diano. Powtarzam ci jednak, że nie mam ci niczego za złe. Gdybyś jednak była nieco silniejsza, gdybyś znalazła w sobie energię do przeciwstawienia się niesprawiedliwemu rozkazowi, gdybyś chciała jedynie trochę zyskać na czasie, bylibyśmy może szczęśliwi, Diano, skoro odnalazłaś rodziców, i to ze znakomitego rodu. Ja także przyjechałem wyznać ci wielki sekret ujawniony właśnie dzisiaj. Ale po co to teraz? Już za późno. Twoja słabość zerwała nić mego przeznaczenia, którą wreszcie udało mi się pochwycić. Czy zdołam ją na zawsze utrzymać? Przewiduję, że przez całe życie będę o tobie pamiętał, Diano, i że miłość z młodych lat zawsze będzie zajmowała wiele miejsca w moim sercu. Natomiast ty, Diano, wśród przepychu dworu, w wirze zabaw szybko zapomnisz tego, kto cię tak uwielbiał w czasach, gdy żyłaś w cieniu.

— Nigdy! — zawołała Diana. — Słuchaj, Gabrielu. Teraz, kiedy jesteś przy mnie i możesz mi dodać otuchy i wspomagać, czy życzysz sobie, żebym nie zgodziła się na odjazd, kiedy po mnie przybędą, żebym oparła się prośbom, naleganiom, rozkazom i pozostała z tobą na zawsze? — Dziękuję, droga Diano, ale wszak przed Bogiem i ludźmi należysz do innego. Każde z nas musi wypełniać swoje obowiązki, pogodzić się z losem. Trzeba, jak ci rzekł diuk de Castro, aby każde poszło w swoją stronę: ty do uciech na dworze, a ja na pole bitwy. Oby Bóg mi pozwolił ujrzeć cię jeszcze!

— Tak, Gabrielu, ujrzę cię i zawsze będę miłowała. — Biedna Diana rzuciła się z płaczem w ramiona przyjaciela.

W tejże chwili w sąsiedniej alei pojawił się Enguerrand, a przed nim kroczyła pani de Leviston.

— Jest tutaj, pani — rzekł wskazując Dianę. — Ach, to ty, Gabrielu — dodał dostrzegając młodego hrabiego. — Jechałem do Montgomery do ciebie, kiedy spotkałem karocę pani de Leviston i musiałem zawrócić z drogi.

— Tak, pani — rzekła do Diany pani de Leviston. — Król przekazał mojemu małżonkowi, że rychło życzy sobie cię widzieć, przyśpieszyłam przeto odjazd. Wyruszymy w podróż za godzinę, jeśli pozwolisz. Przygotowania nie zajmą wiele czasu, mam nadzieję?

Diana spojrzała na Gabriela.

— Odwagi! — rzekł z powagą.

— Z radością mogę ci oznajmić, pani — mówiła dama — że twój zacny przybrany ojciec może i chce nam towarzyszyć do Paryża. Może jutro przyłączyć się do nas, jeśli ci to odpowiada.

— Jeśli mi odpowiada? — wykrzyknęła Diana. — Nie znam jeszcze nazwiska swoich rodziców, ale jego zawsze będę nazywała swoim ojcem.

Podała rękę Enguerrandowi, a on obsypał ją pocałunkami. Miała prawo jeszcze popatrzeć trochę przez zasłonę łez na Gabriela. Był zamyślony i smutny, zrezygnowany, ale stanowczy.

— Chodźmy, pani — rzekła pani de Leviston, którą niecierpliwiły te pożegnania i zwłoka. — Pomyśl, że przed nocą powinnyśmy być już w Caen.

Wtedy Diana szlochając oddaliła się szybko, by wejść na piętro do swego pokoju, nie omieszkała jednak dać znaku Gabrielowi, by pozostał. Enguerrand i pani de Leviston poszli za nią, a Gabriel czekał.

Przez całą godzinę ładowano do karocy rzeczy, które młoda dama chciała zabrać ze sobą. Wreszcie ukazała się Diana odpowiednio ubrana, gotowa do podróży. Poprosiła panią de Leviston, która kroczyła za nią jak cień, o pozwolenie obejścia jeszcze raz dokoła całego ogrodu. W nim bawiła się beztrosko przez dwanaście szczęśliwych lat. Gabriel i Enguerrand szli za nią. Diana zatrzymała się przed krzewem białej róży. Rok temu zasadziła go wspólnie z Gabrielem. Zerwała dwa kwiaty, jeden przypięła sobie do sukni, przyłożyła wargi do drugiej róży i podała Gabrielowi. Młodzieniec poczuł jednocześnie, że wsuwa mu w dłoń jakiś papier. Szybko ukrył go w kieszeni.

Skoro Diana pożegnała wszystkie aleje, zarośla i kwiaty, musiała wreszcie zdecydować się na odjazd. Stojąc przed karocą, która miała unieść ją daleko, podała rękę domownikom i służącym. Także zacni ludzie że wsi żegnali ją wszyscy, bo ją kochali. Biedne dziecko! Nie miała siły przemówić, każdemu przyjaźnie skinęła głową. Następnie uściskała Enguerranda, później Gabriela, bez najmniejszego zakłopotania obecnością pani de Leviston. W ramionach przyjaciela odzyskała głos. Gdy jej mówił: Żegnaj! odpowiedziała:

— Nie, do zobaczenia!

Wsiadła do karocy i nie tracąc nic ze swojego dziecinnego sposobu bycia zapytała panią Leviston z uroczą minką:

— Czy nie zapomniano zabrać z piętra mojej dużej lalki?

Karoca ruszyła galopem.

Gabriel rozchylił papier podany przez Dianę. Znalazł w nim pukiel pięknych popielatoblond włosów. Jak bardzo lubił je całować!

W miesiąc później Gabriel przybył do Paryża i kazał zaanonsować się w pałacu de Guise diukowi Franciszkowi de Guise jako wicehrabia d'Exmès.

III. W OBOZIE WOJSKOWYM

Diuk de Guise wszedł do namiotu i rzekł do otaczających go rycerzy.

— Panowie, piętnastego kwietnia wkroczyliśmy na terytorium Neapolu, w ciągu czterech dni zdobyliśmy Kampalę. Dzisiaj, dwudziestego czwartego kwietnia 1557 roku, wieczorem rozpoczynamy oblężenie Civitelli. Pierwszego maja jako władcy Civitelli rozłożymy się obozem pod Akwileją. Dziesiątego maja będziemy w Arpino, a dwudziestego w Kapui, gdzie nie uśniemy, jak to się przydarzyło Hannibalowi. Pierwszego czerwca pokażę wam Neapol, jeśli Bóg pozwoli.

— I papież, drogi bracie — przerwał mu diuk d'Aumale — jego świątobliwość chociaż obiecywał nas wesprzeć swymi pontyfikalnymi żołnierzami, pozostawia nas tutaj zdanych na własne siły. Nasza armia nie jest na tyle silna, żeby zapuszczać się w kraj nieprzyjacielski.

— Pawłowi IV zbyt zależy na powodzeniu naszych wojsk, by miał nas pozostawić bez pomocy — odpowiedział Franciszek. — Noc jest piękna i jasna, panowie. Co ci wiadomo, Bironie? Czy partyzanci, którzy wzniecili powstanie w Abruzzach? jak nam donieśli Carafowie, zaczynają wszczynać wrzawę?

— Nie ruszają się, Wasza Wysokość. Mam wieści całkiem świeże i pewne.

— Nasz ogień z muszkietów obudzi ich — rzekł diuk Franciszek de Guise. — Panie markizie d'Elboeuf, czy nie doszły cię słuchy o konwojach żywności i amunicji, które mieliśmy otrzymać w Ascoli? Może wreszcie tutaj do nas się dołączą?

— Tak, słyszałem, że je obiecywano, ale w Rzymie, Wasza Wysokość, a od tego czasu nic, niestety!…

— Zwyczajna zwłoka — przerwał mu diuk de Guise. — Z całą pewnością jedynie zwłoka, przecież nie jesteśmy jeszcze całkiem ogołoceni ze wszystkiego. Zdobycie Kampali nieco nas zaopatrzyło w żywność. Ręczę, że gdybym wszedł za godzinę do namiotu któregokolwiek z was, panowie, podano by mi dobrą kolację, a przy stole znalazłaby się jakaś biedna wdowa lub urodziwa sierotka z Kampali, które pocieszacie. Nic w tym złego, panowie. Takie są prawa zwycięzcy, one przyczyniają słodyczy Wiktorii. Idźcie więc dogadzać swoim gustom, nie zatrzymuję dłużej. Jutro rano o świcie zwołam was na naradę, jakich szukać sposobów, by skosztować słodkiego chleba w Civitelli. A teraz rozejdźcie się, panowie. Życzę dobrego apetytu i dobrej nocy.

Śmiejąc się diuk odprowadził wodzów armii do wyjścia z namiotu. Kiedy jednak kobierzec zasłaniający otwór opadł za ostatnim z rycerzy, kiedy diuk znalazł się sam, jego mężna twarz przybrała wyraz zatroskania. Usiadł przy stole, ujął głowę w dłonie i wyszeptał z niepokojem:

— Może uczyniłbym lepiej wyrzekając się wszelkiej osobistej ambicji? Gdybym tak pozostał li tylko generałem Henryka II i ograniczył się do odzyskania Mediolanu i oswobodzenia Sieny? Znajduję się oto na ziemi Neapolu, przywiodły mnie marzenia, że będę królem. Jestem tu jednak bez sprzymierzeńców, wkrótce będę bez żywności, a wszyscy wodzowie, z bratem moim na czele, to umysły bez energii i polotu. Widzę, że już teraz popadają w zniechęcenie.

Nagle diuk de Guise usłyszał kroki za sobą. Odwrócił się żywo, rozgniewany na zuchwałego intruza. Ale kiedy go ujrzał, zamiast udzielić reprymendy, wyciągnął doń rękę.

— Ty, wicehrabio d'Exmès, nie wahałbyś się posuwać naprzód dlatego jeno, że za mało chleba, a za wiele wrogów. Ty, który ostatni opuściłeś Metz i wszedłeś pierwszy do Walencji i Kampali. Czy przychodzisz oznajmić mi coś nowego, przyjacielu?

— Tak, Wasza Wysokość, przybył kurier z Francji — odpowiedział Gabriel. — Sądzę, że

przywiózł listy od twego znakomitego brata, jego ekscelencji kardynała Lotaryngii. Czy mam go wprowadzić?

— Nie, wicehrabio. Niech ci wręczy pisma, które mu powierzono. Przynieś mi je sam, proszę.

Gabriel pochylił się w ukłonie, wyszedł i niebawem powrócił przynosząc list zapieczętowany herbem rodu lotaryńskiego.

Nasz dawny przyjaciel Gabriel prawie się nie zmienił w ciągu sześciu minionych lat. Jedynie rysy jego twarzy nabrały cech bardziej męskich i stanowczych. Można było domyślać się w nim mężczyzny, który dzięki nabranemu doświadczeniu upewnił się co do swej wartości. Pozostało to samo jasne i poważne czoło, to samo prawe i szczere spojrzenie i, powiedzmy od razu, to samo serce pełne młodzieńczych złudzeń. Przecież miał zaledwie dwadzieścia cztery lata.

Diuk de Guise liczył ich trzydzieści siedem. Chociaż była to wspaniałomyślna, szlachetna natura, dusza jego dawno już powróciła z miejsc, do których duch Gabriela jeszcze nie dotarł. Niejedna zawiedziona ambicja, niejedno wygasłe uczucie, niejedna zbędna potyczka sprawiły, że oczy jego zapadły w głąb i przerzedziły się włosy na skroniach. Miał zrozumienie dla rycerskiego, zdolnego do poświęceń charakteru Gabriela. Lubił go. Nie ukrywana sympatia pociągała doświadczonego mężczyznę ku ufnemu młodzieńcowi.

Wziął z jego ręki list brata i zanim złamał pieczęć rzekł:

— Słuchaj, wicehrabio, mój sekretarz, znałeś go, Herve de Thelon zginął pod murami Walencji. Mój brat d'Aumale jest walecznym, ale nieudolnym żołnierzem. Trzeba mi prawej ręki, powiernika i druha. Odkąd przybyłeś do mojego pałacu w Paryżu, chyba przed pięcioma lub sześcioma laty, miałem sposobność upewnić się, że odznaczasz się wybitnym umysłem i wiernym sercem. Znałem cię jedynie z nazwiska a wiadomo, że każdy Montgomery jest odważny. Chociaż nikt mi ciebie nie polecił, spodobałeś mi się od pierwszego spojrzenia. Zabrałem cię ze sobą, by bronić Metzu. Owa obrona jest jedną z pięknych kart mojego życia. Jeśli po sześćdziesięciu pięciu dniach szturmu udało się odeprzeć spod murów Metzu armię liczącą sto tysięcy żołnierzy i jej generała imieniem Karol V, to bezustanna twoja nieustraszoność i żywa inteligencja stale w pogotowiu niemało przyczyniły się do osiągnięcia chlubnych Wyników. Rok później znów byłeś ze mną podczas zwycięstwa pod Renty. Gdyby nie ów osioł Montmorency, słusznie tak przezywany… Ale nie chodzi o znieważanie mego wroga, chodzi o pochwałę przyjaciela i wiernego towarzysza broni, Gabriela, wicehrabiego d'Exmès, godnego krewnego zasłużonych Montgomerych. Muszę ci rzec, Gabrielu, że przy każdej sposobności, a zwłaszcza odkąd wkroczyliśmy do Italii, znajdowałem u ciebie dobrą pomoc, radę i przyjaźń. Mogę ci zarzucić jeno, że zachowujesz się ze zbyt wielką rezerwą, zbyt wielką skrytością wobec swego generała. Tak, to pewne, Gabrielu, że ukrywasz przede mną jakieś uczucie lub ideę drążącą do głębi twoje życie. No cóż! Nadejdzie chwila, kiedy mi je z zaufaniem powierzysz. Wiem to najważniejsze, że masz coś — zdziałać. Ja także, na Boga, muszę coś uczynić, Gabrielu. Jeśli zechcesz, połączymy nasze losy, ty pomożesz mnie, a ja tobie. Gdy będę miał zlecić drugiemu sobie jakieś ważne i trudne przedsięwzięcie, przywołani ciebie. Kiedy do wykonania twoich planów będzie potrzebny potężny protektor, ja się zjawię. Zgoda?

— Tak, Wasza Wysokość, jestem ci oddany ciałem i duszą. Najpierw chciałbym nabrać wiary w samego siebie i takąż wiarę wzbudzić w innych. Otóż zdobyłem już trochę pewności siebie i ty, panie, raczysz obdarzać mnie pewnym szacunkiem, zatem osiągnąłem swój cel tymczasowy. Jeśli w przyszłości w moim postępowaniu zarysuje się inne dążenie, czemu nie przeczę, odwołam się do twojej pomocy, skoro chcesz mi ją zaofiarować tak piękną umową. Od tej chwili ty także możesz liczyć na mnie na śmierć i życie, Wasza Wysokość.

— Niech tak będzie, per Bacco! — jak mówią ci poganie, pijusy kardynałowie. Bądź spokojny, Gabrielu, Franciszek Lotaryński, diuk de Guise będzie ci służył żarliwie zarówno w

sprawach miłości, jak i nienawiści, gdyż tkwi w nas skrycie jedno z tych uczuć, nieprawdaż, panie?

— Może jedno i drugie, Wasza Wysokość.

— Ach tak? Jeśli ma się duszę tak wypełnioną, czyż nie lepiej otworzyć ją przed przyjacielem?

— Niestety, Wasza Wysokość. Wiem zaledwie, kogo miłuję, a nie wiem wcale, kogo nienawidzę.

— Doprawdy? Rzeknij, Gabrielu, a gdyby tak twoi wrogowie byli równocześnie moimi? Gdyby stary rozpustnik de Montmorency nim był?

— Może i tak będzie, Wasza Wysokość, jeśli moje wątpliwości znajdą potwierdzenie. W obecnej chwili nie o mnie chodzi, lecz o ciebie i twe wielkie plany. Na co mogę ci się przydać, Wasza Wysokość?

— Przede wszystkim przeczytaj mi list od brata, kardynała Lotaryńskiego.

Gabriel skruszył pieczęć i rozłożył pismo. Rzucił nań okiem i zwrócił diukowi:

— Wybacz, Wasza Wysokość, list jest napisany niezwykłymi literami, nie umiem go przeczytać.

— Ach, czy przywiózł go kurier Jana Panquet? Widzę, że to list poufny, szyfrowany. Czekaj, Gabrielu.

Otworzył cyzelowaną żelazną szkatułkę, wyjął z niej arkusz powycinany ażurowo w regularny wzór, położył na liście kardynała i podał Gabrielowi:

— Czytaj teraz.

Gabriel wahał się. Franciszek ujął jego dłoń, uścisnął i obdarzył spojrzeniem nacechowanym zaufaniem i serdecznością.

— Czytaj, przyjacielu.

Wicehrabia d'Exmès czytał:

„Mój wielce szanowny i znakomity Panie Bracie (kiedy wreszcie będę mógł napisać Wasza Królewska Mość)".

Gabriel przerwał czytanie. Diuk uśmiechnął się:

— Dziwisz się, Gabrielu. Mam nadzieję, że nie żywisz złych podejrzeń. Diuk de Guise nie jest konetablem Burbonów, mój przyjacielu. Niech Bóg raczy zachować jego królewskiej mości Henrykowi II koronę i życie! Niejeden tron francuski jest na świecie. Skoro przypadek wiedzie mnie na tory całkowitej z tobą konfidencji, nie chcę nic ukrywać, pragnę cię wprowadzić we wszystkie swoje plany i marzenia. Nie są one przeciętne.

Diuk wstał i przechadzał się długimi krokami po namiocie.

— Nasz ród ma parantele z tyloma królestwami, że może aspirować do najwyższych godności. Aspirować to za mało, chcę, żeby je otrzymał. Nasza siostra jest królową Szkocji. Nasza siostrzenica, Maria Stuart, narzeczoną delfina Franciszka. Nasz mały bratanek, diuk Lotaryński, jest wyznaczony na zięcia króla. To nie wszystko. Poczuwamy się jeszcze do reprezentowania drugiego rodu, Anjou, od którego pochodzimy po kądzieli. Mamy zatem pretensje czy prawa, co znaczy to samo, do Prowansji i Neapolu. Na razie zadowolimy się samym Neapolem. Czy ta korona nie przystoi bardziej Francuzowi niż Hiszpanowi? Po co przybyłem do Italii? Żeby ją zdobyć. Jesteśmy skoligaceni z diukiem Ferrary i z Carafami, bratankami papieża. Paweł IV jest stary, jego następcą będzie mój brat, kardynał de Lorraine. Chwieje się tron Neapolu, więc na nim zasiądę. Dlatego właśnie, mój Boże, ominąłem Sienę i Mediolan, skoczyłem wprost w Abruzzy. Marzenie senne było wspaniałe, lecz obawiam się, żeby nie pozostało nadal snem. Pomyśl, Gabrielu, nie miałem ani dwunastu tysięcy żołnierzy, kiedy przekroczyłem Alpy. Ale diuk Ferrary obiecał mi przecież siedem tysięcy ludzi, choć dotąd

trzyma ich w swoich granicach. Paweł IV i Carafowie chwalili się, że utworzyli w Neapolu potężne stronnictwo, i zobowiązali się dostarczyć wojska, pieniędzy i żywności. A tymczasem nie przysłali ani jednego zbrojnego, ani jednego furgonu, ani jednego talara. Moi oficerowie wahają się, wojska szemrzą, mniejsza o to! Pójdę do celu, li tylko w ostateczności opuszczę ziemię obiecaną, po której depczę. A jeśli ją opuszczę, to na nią powrócę, powrócę!

Diuk tupał nogą w ziemię, jakby brał ją w posiadanie, wzrok jego błyszczał, był wysoki i urodziwy.

— Wielce jestem dumny, Wasza Wysokość, że dzięki tobie mogę choć w małej cząstce brać udział w tak chlubnych ambicjach.

— A teraz, kiedy już dwakroć dałem ci klucz do listu mego brata, możesz go przeczytać i zrozumieć. Dokończ przeto, słucham rzekł diuk z uśmiechem.

— ”Wasza Królewska Mość — w tym miejscu urwałem — wyjaśnił Gabriel. — Mam ci oznajmić dwie złe nowiny i jedną dobrą. Dobra wieść: zaślubiny naszej siostrzenicy Marii Stuart są już definitywnie ustalone na dwudziestego przyszłego miesiąca, odbędą się one w Paryżu. Jedna ze złych nowin nadeszła z Anglii. Wylądował tam Filip II hiszpański i usilnie namawia do wojny z Francją swoją małżonkę, królową Marię Tudor, która mu ulega z najgorętszą namiętnością. Nikt nie wątpi, że mu się powiedzie wbrew interesom i woli narodu angielskiego. Już krążą wieści o armii, która ma się zgromadzić na pograniczu Niderlandów, a dowództwo ma objąć diuk Filibert Emanuel de Savoie. A zatem, drogi mój bracie, wobec braku żołnierza, jaki odczuwamy, król Henryk II z konieczności odwoła cię z Italii. Wtedy nasze tamtejsze plany muszą ulec odroczeniu. Zastanów się, Franciszku, lepiej odwlec je, niż narazić się na kompromitację. Bez nierozwagi, bez szaleństw! Nasza siostra, królowa regentka Szkocji, na próżno groziłaby zerwaniem z Anglią. Wierz mi, że Maria angielska, rozkochana w swoim młodym małżonku, nie będzie tego brała w rachubę, zatem postępuj odpowiednio”.

— Rany boskie! — przerwał diuk de Guise waląc ze wściekłością pięścią w stół. — Niestety, brat mój ma zupełną rację. To szczwany lis, który umie wszystko wywęszyć. Tak, skromnisia Maria pozwoli uwodzić się legalnemu małżonkowi. Oczywiście, że nie będę jawnie okazywał nieposłuszeństwa królowi, który w tak poważnej sytuacji zażąda ode mnie zbrojnych, raczej opuszczę wszystkie na świecie królestwa! No tak, jeszcze jedna przeszkoda podczas tej przeklętej wyprawy. Pytam cię, Gabrielu, czyż nie jest ona przeklęta mimo błogosławieństwa Ojca świętego? Rzeknij szczerze, Gabrielu, czy nie uważasz jej za beznadziejną?

— Nie chciałbym stanąć w jednym rzędzie z rycerzami, którzy się zniechęcili, jeśli jednak odwołujesz się do mej szczerości, Wasza Wysokość…

— Rozumiem cię, Gabrielu, i podzielam twoje zdanie. Przewiduję, że nie tym razem dokonamy wspólnie tutaj wielkiego dzieła” jakie projektowaliśmy przed chwilą. Przysięgam, że to tylko zwłoka. Uderzyć Filipa II gdziekolwiek, — to znaczy zawsze uderzyć go w Neapolu. Czytaj, przyjacielu. Jeśli dobrze pamiętam, mamy się zapoznać z jeszcze jedną złą nowiną.

Gabriel znowu zabrał się do czytania:

„Inna przykra sprawa, którą mam ci oznajmić jako dotyczącą szczególnie naszej rodziny, jest nie mniej poważna, ale bez wątpienia czas jeszcze złemu zapobiec, dlatego właśnie śpieszę cię zawiadomić. Powinieneś wiedzieć, że od dnia twego wyjazdu pan konetabl de Montmorency jest oczywiście jak zazwyczaj na nas zły i zawzięty, nie przestaję nam zazdrościć i złorzeczyć z powodu, łaskawości króla dla, naszego rodu. — Zbliżająca się uroczystość zaślubin naszej drogiej siostrzenicy Marii z następcą tronu nie przyprawia go o dobry humor. Chociaż król dyplomatycznie stara się utrzymać równowagę między rodami de Guise, i de Montmorency, szala przechyla się w szczególny sposób, na naszą korzyść i stary konetabl czyni wiele wrzawy żądaniem przeciwwagi. Znalazł ją, drogi bracie, będzie nią małżeństwo jego syna Franciszka

z…”

Młody hrabia nie dokończył. Głos uwiązł mu w gardle i bladość wystąpiła na czoło.

— Co ci jest, Gabrielu? — spytał diuk. — Taki jesteś blady. Taki nieswój! Czy chwyciła cię nagle jakaś choroba?

— Nic mi nie jest, Wasza Wysokość, nic absolutnie, może to zmęczenie, lekki zawrót głowy. Już mi lepiej i będę czytał dalej, jeśli sobie życzysz. Na czym skończyłem? Kardynał napisał, że jest środek zaradczy. Nie, jeszcze dalej. Już mam.

„Będzie to małżeństwo jego syna Franciszka z panią Dianą de Castro, prawnie uznaną córką króla i pani Diany de Poitiers. Przypominasz sobie, bracie, że pani de Castro, która owdowiała w wieku trzynastu lat, gdy diuk Horacy Farnèse poległ w pół roku po ślubie podczas oblężenia Hesdin, przebywała przez pięć lat w klasztorze Filles–Dieu w Paryżu. Na życzenie konetabla król ją właśnie teraz sprowadził na dwór. To rzadka piękność, bracie, wiesz, że znam się na tym. Jej wdzięk od początku podbił wszystkie serca, a przede wszystkim serce ojca. Król dał jej w posagu księstwo Chatellerault, gdy wychodziła za mąż, a teraz wyposażył jeszcze w księstwo Angoulême. Jest tu zaledwie od dwóch tygodni, a już zaznaczył się jej wpływ na króla. Niewątpliwie jej wdzięk i łagodność obudziły tak żywe przywiązanie. Wreszcie sprawa tak stoi, że pani de Valentinois, która nie wiem czemu, uznała za stosowne oficjalnie podstawić jej inną matkę, w chwili obecnej wydaje mi się zazdrosna o nowe wpływy. Sprawa potoczyłaby się całkiem pomyślnie dla konetabla, gdyby wprowadził do swego rodu tak możną sojuszniczkę. Mówiąc między nami wiesz dobrze, że Diana de Poitiers nie bardzo zdoła odmówić czegokolwiek owemu staremu lubieżnikowi. Chociaż nasz brat d’Aumale jest jej zięciem, Annasz de Montmorency jest jej jeszcze bliższy. Z drugiej strony król jest skłonny zrównoważyć zbyt wielkie znaczenie, jakie zdobywamy w jego Radzie i wojsku. Ten przeklęty związek małżeński ma przeto wiele szans na realizację…”

— Znowu głos ci się łamie, Gabrielu — zauważył diuk. — Odpocznij, przyjacielu, i pozwól mi dokończyć samemu czytanie listu. Interesuje mnie on w najwyższym stopniu, gdyż istotnie konetabl uzyskałby nad nami niebezpieczną przewagę. Zdaje mi się jednak, że jego syn, wielki głuptak Franciszek, jest już ożeniony z kimś z rodu de Fiennes. Podaj mi list, Gabrielu.

— Ależ naprawdę czuję się bardzo dobrze, Wasza Wysokość — rzekł Gabriel czytając po cichu dalszy ciąg. — Wyśmienicie mogę dokończyć te kilka linijek. „To przeklęte małżeństwo ma przeto wiele szans na realizację. Jedno nam sprzyja: Franciszek de Montmorency zawarł potajemnie związek małżeński z panną de Fiennes, konieczny jest rozwód. Na to potrzeba zgody papieża. Franciszek udał się właśnie w podróż do Rzymu, aby otrzymać unieważnienie małżeństwa. Twoim zadaniem będzie, drogi bracie, wyprzedzić go u jego świątobliwości i dzięki naszym przyjaciołom Carafom, a także przez własny wpływ spowodować odrzucenie prośby Franciszka. Uprzedzam cię, że będzie on miał poparcie w liście od króla. Atakowana pozycja jest na tyle kapitalnej wagi, żebyś dołożył wszelkich starań do jej obrony, podobnie jak to już uczyniłeś w Saint–Dizier i w Metzu. Ja ze swej strony będę działał równocześnie z całą energią, bo to konieczne. Kończąc proszę Boga, by cię obdarzył dobrym i długim życiem, umiłowany bracie”.

— Jeszcze nic straconego — rzekł diuk de Guise, kiedy Gabriel skończył czytać list od kardynała. — Papież, który odmawia mi żołnierzy, będzie mógł przynajmniej uczynić podarek z bulli.

— Masz zatem nadzieję, że jego świątobliwość nie udzieli zgody na unieważnienie małżeństwa z Joanną de Fiennes i sprzeciwi się nowemu związkowi Franciszka de Montmorency? — z drżeniem spytał Gabriel.

— Tak, mam nadzieję. Ależ jesteś przejęty, przyjacielu. Drogi Gabrielu, wnikasz w nasze

sprawy z taką pasją! Ja także jestem ci oddany, Gabrielu, bądź tego pewny. A teraz porozmawiajmy trochę o tobie. Gdybym tak zaczął spłacać swój dług wobec ciebie już teraz, bo przecież czuję się dłużnikiem, a w wyprawie italskiej, która się kończy, nie zdołasz dodać nowych wyczynów do wybitnych swoich zasług. Nie chciałbym pozostawać w tyle za tobą, przyjacielu. Czy nie mógłbym ci się czymś przysłużyć lub umilić ci życie? Mów otwarcie.

— Wasza Wysokość zbyt łaskaw. Nie widzę…

— Od pięciu lat, odkąd walczysz mężnie wśród moich ludzi, nigdy nie przyjąłeś ode mnie ani denara. Z pewnością trzeba ci pieniędzy, do kaduka! Wszyscy potrzebują pieniędzy! Nie ofiarowuję ci daru ani pożyczki, to zwrot należności. A więc bez zbędnych skrupułów i chociaż, jak wiesz, trochę nam kuso…

— Tak, wiem, Wasza Wysokość, że nieraz brak skromnych środków do zrealizowania wielkich twoich idei. Potrzeba mi tak niewiele, że chciałbym zaproponować kilka tysięcy talarów, które mocno się, przydadzą wojsku, a mnie naprawdę nie są one potrzebne.

— Przyjmuję je zatem i przyznaję, że przychodzą w porę, A więc nic nie mogę uczynić dla ciebie, młodzieńcze bez żadnych pragnień! Ach, czekaj! Chwat de Thibault, mój oficer przyboczny, przedwczoraj podczas plądrowania Kampali odsunął dla mnie na bok młodą małżonkę zarządcy miasta tamtejszą piękność. Mimo wszystko to małżonka przedstawiciela władzy, nikt jej nie tknął. Dalibóg, mam inne troski na głowie i włosy już zaczynają mi siwieć. Bez ceregieli, Gabrielu, czy chcesz mieć ową moją brankę? Przebóg, jesteś tak zbudowany, że możesz uszczknąć co nieco z własności zarządcy miasta. Co ty na to?

— Wasza Wysokość, małżonkę zarządcy, o której mówisz i której nikt nie tknął, spotkałem w tumulcie i wyprowadziłem nie po to, by nadużyć swych praw. Wprost przeciwnie, zamierzałem uchronić ją przed gwałtem żołdactwa. To szlachetnie urodzona i urocza dama. Ale później zauważyłem, że ślicznotka nie czuje wstrętu do zwycięzców, chociaż jak żołnierz galijski krzyczałaby pewnie *Vae victis*. Skoro jednak nie jestem skłonny jej wtórować, mogę przyprowadzić do tego, kto godniej niż ja oceni jej wdzięki i pozycję, Wasza Wysokość.

— No, no, Gabrielu — śmiał się diuk. — Taka surowość obyczajów pachnie prawie hugenotem. Czy skłaniasz się ku tej religii? Wystrzegaj się jej, przyjacielu. I z przekonania, i ze względów politycznym jestem żarliwym katolikiem. Każę cię spalić bez miłosierdzia! Żarty na bok, po kaduka nie jesteś libertynem?

— Może jestem zakochany — odpowiedział Gabriel.

— Ach tak, przypominani sobie: nienawiść i miłość. Czy mógłbym ci się przydać w tej materii, by cię przybliżyć do wrogów lub do ukochanej? Na przykład może ci brak tytułów?

— Dziękuję, Wasza Wysokość, nie zbywa mi na tytułach. Rzekłem ci już wprzódy, że mam ambicję zdobywać nie jakieś nieokreślone honory, ale sławę osobistą. Skoro więc uważasz, że nie mogę tu być na nic więcej przydatny, sprawiłbyś mi wielką radość, gdybyś mi poruczył z okazji zaślubin twojej królewskiej siostrzenicy zawiezienie do króla, do Paryża, sztandarów zdobytych w Lombardii i w Abruzzach. Byłbym u szczytu szczęścia, gdyby twój list do króla i dworu zaświadczył, że niektóre z owych sztandarów ja zdobyłem w okolicznościach nie pozbawionych niebezpieczeństwa.

— Dobrze, to łatwe i co więcej: słuszne — rzekł diuk de Guise. — Będzie mi przykro z tobą się rozstać, liczę jednak, że nie na długo wedle wszelkiego prawdopodobieństwa. Jeśli wybuchnie wojna od strony Flandrii, na co wszystka wskazuje, tam się zobaczymy, nieprawdaż, Gabrielu? Twoje miejsce tam, gdzie wre walka, dlatego chcesz oddalić się stąd, gdzie sama nuda, na rany Chrystusa! Inaczej zabawimy się w Niderlandach. Chciałbym, żebyśmy tam razem pohulali.

— Z największą radością pójdę tam za tobą, panie.

— Kiedy chcesz wyruszyć z prezentami ślubnymi do króla, jeśli ci taka myśl wpadła do

głowy?

— Mniemam, że czym wcześniej, tym lepiej, Wasza Wysokość. Zaślubiny mają się odbyć dwudziestego maja, jak donosi jego eminencja kardynał de Lorraine.

— Słusznie. A zatem ruszaj jutro, Gabrielu, nie będzie ci zbywało na czasie. Idź odpocząć, przyjacielu, a ja tymczasem napiszę dla ciebie list polecający do króla i także odpowiedź do mego pana brata, zechciej się podjąć jego doręczenia. Powiedz mu osobiście, że spodziewam się doprowadzić do pomyślnego końca sprawę, którą mam załatwić u papieża.

— Wasza Wysokość, może moja obecność w Paryżu przyczyni się do takiego rozwiązania sprawy, jakiego sobie życzysz. W taki oto sposób moja nieobecność tutaj odda ci przysługę.

— Zawsze jesteś tajemniczy, wicehrabio. Już przywykłem do tego. Żegnaj, dobrej nocy, bo to ostatnia, jaką spędzasz przy mnie.

— Jutro rano przyjdę po listy i błogosławieństwo na drogę, Wasza Wysokość. Pozostawię tu swoich ludzi, którzy mi towarzyszyli we wszystkich wyprawach. Proszę o pozwolenie na zabranie ze sobą dwóch zbrojnych oraz giermka Marcina, tyle mi starczy. Jest mi oddany, to dzielny wojak, lęka się jeno dwóch rzeczy na świecie: swojej żony i własnego cienia.

— Co powiadasz? — śmiał się diuk.

— Marcin Guerre uciekł ze swojej ziemi w Artigues, w pobliżu Rieux. Umknął przed żoną Bertrandą, którą uwielbia, ale ona go bije. Jeszcze przed walką w Metz poszedł do mnie na służbę. Szatan albo żona zjawia się przed nim w postaci jego sobowtóra. Nagle dostrzega obok siebie drugiego Marcina, identyczny swój wizerunek, podobny jak odbicie w lustrze. Oczywiste, że go to przeraża. Ale poza tym drwi sobie z kul i sam potrafiłby zdobyć redutę. Dwakroć ocalił mi życie, pod Renty i pod Walencją.

— Zabierz przeto, Gabrielu, owego bohaterskiego, tchórza, uściśnij dłoń przyjaciela i jutro o świcie bądź gotów. Listy będą na ciebie czekały.

W samej rzeczy Gabriel był gotów nazajutrz wcześnie rano. Noc spędził bezsennie na marzeniach. Zgłosił się po ostatnie instrukcje i pożegnał z diukiem de Guise. Dwudziestego szóstego kwietnia o szóstej rano odjechał do Rzymu, a stamtąd do Paryża. Towarzyszył mu Marcin Guerre i dwaj żołnierze.

IV. KRÓLEWSKA FAWORYTA

Dwudziestego maja znajdujemy się w Paryżu, w Luwrze, w komnacie wdowy po wielkim marszałku de Brézè, diuszesy de Valentinois, zwanej popularnie Dianą de Poitiers. Na wieżowym zegarze wybiła dziewiąta rano. Pani Diana w bieli, w zalotnym negliżu spoczywa półleżąc na łożu okrytym czarnym aksamitem. Król Henryk II już ubrany we wspaniały strój siedzi obok niej na karle.

Przypatrzmy się bliżej wnętrzu i osobom. Komnata Diany de Poitiers olśniewa przepychem tej miary, że jak piękne wschodzące słońce sztuki zwanej Renesansem godzien rozjaśniać komnatę króla. Malowidła podpisane przez le Primatice przedstawiają rozmaite sceny z polowania, których główną bohaterką jest oczywiście bogini lasów i gajów, łowczyni Diana. Złocone barwne panneaux i medaliony prezentują wszędzie splecione ze sobą inicjały Franciszka I i Henryka II. Podobnie w sercu pięknej Diany mieszały się wspomnienia ojca i syna, Emblematy są nie mniej wymowne i wierne historii. Co najmniej w dwudziestu miejscach sierp księżyca Diany Febe można dostrzec między Salamandrą zwycięzcy spod Marignan a Bellorofontem uśmiercającym Chimerę, bo symbol ów przyjął Henryk II od czasu odebrania Anglikom Boulogne. Ów podlegający zmianom sierp występuje zresztą w różnych wariantach, w tysiącach form i odmiennych kombinacji, co przynosi zaszczyt wyobraźni dekoratorów owej epoki. Tu góruje nad nim królewska korona, tam cztery H, cztery kwiaty lilii i cztery korony zaszczytnie go otaczają. Gdzie indziej jest on potrójny, a jeszcze dalej usiany gwiazdami. Dewizy nie mniej urozmaicone i przeważnie wyrażone w języku łacińskim: *Diana regum venatrix*. Czy to impertynencja, czy pochlebstwo? *Donec totum impleat orbem*, co daje się tłumaczyć dwojako, dotyczy księżyca lub sławy króla. *Cum plena est, lit aemula solis*. A jakież budzące zachwyt arabeski oplatają emblematy i dewizy, jakież wykwintne są meble, na których także owe symbole odtworzone! Gdybyśmy wszystko chcieli opisać, upokorzylibyśmy współczesne nam wybitne persony, A poza tym detale wnętrza wiele straciłyby na opisie.

Rzućmy teraz okiem na króla.

Historia nas poucza, że był on wysoki, szczupły i silny. Regularną dietą i codzienną gimnastyką musiał zwalczać pewną skłonność do tycia. A jednak wyprzedzał w gonitwach najzwinniejszych i odnosił zwycięstwa w najcięższych igrzyskach i turniejach. Miał czarne włosy i brodę, smagłą cerę. Jak świadczą zapiski i wspomnienia, łatwo się podniecał. Owego dnia podobnie jak co dzień nosił barwy diuszesy de Valentinois. Strój z zielonego atłasu miał rozcięcia podbite białym, ozdobiony był lamą i złotymi haftami. Toczek z białym piórem lśnił od pereł i diamentów. Na złotym podwójnym łańcuchu wisiał medalion orderu świętego Michała. U boku szpada, cyzelowana przez Benvenuto, biała kryza z haftem weneckim okalała twarz, aksamitny płaszcz usiany złotymi liliami spływał z wdziękiem z jego ramion. Strój był wyszukanie bogaty, a kawaler niesłychanie wytworny.

W paru słowach rzekliśmy, że Diana była ubrana w zwykły biały peniuar, lecz był on wyjątkowo cienki i przejrzysty. Niełatwo odmalować jej boską urodę, nie wiedziałbym, o czym wcześniej mówić, o poduszce z czarnego aksamitu, na której opierała głowę, czy o szacie olśniewającej bielą, która ją spowijała i podkreślała jeszcze wydatniej śnieg i lilie jej cery. Doskonałość jej delikatnych kształtów mogłaby doprowadzić do zawrotu głowy samego Jana Goujona. Nie istnieje na świecie starożytny posąg bardziej nieskazitelny, a ponadto posąg ów żył i był wielce żywotny, jak powiadają. Jeśli chodzi o wdzięki jej uroczych kończyn, nie ma po co o tym mówić. Nie da się ich odtworzyć, podobnie jak promienia słońca. Nie miała wieku. Pod tym

względem, jak i pod wielu innymi równa była nieśmiertelnym. Świeższe i młodsze zdawały się przy niej stare i pomarszczone. Protestanci wspominali o eliksirach i napojach, dzięki którym utrzymywała się stale w wieku szesnastolatki. Katolicy prawili jedynie, że kąpała się codziennie i myła twarz lodowatą wodą nawet w zimie. Zachowały się do dzisiaj recepty Diany. Jeśli jest prawdą, że *Diana z jeleniem* Jana Goujona została wyrzeźbiona wedle owego królewskiego modelu, to nie odnajdziemy w posągu jej prawdziwej urody.

Była zaiste godna miłości obu królów, olśniła jednego po drugim. Bo chociaż historia o łaskach pana Saint–Vallier uzyskanych dzięki pięknym piwnym oczom zdaje się apokryfem, jest prawie pewne, że Diana de Poitiers była metresą Franciszka I, zanim stała się faworytą Henryka. Le Laboureur tak relacjonuje sprawę:

„Mówią, że król Franciszek, który pierwszy miłował Dianę, pewnego dnia okazał jej trochę niechęci, było to świeżo po śmierci jego syna delfina Franciszka. Zarzucił, że książę Henryk nie odznacza się dostateczną bystrością. Tedy Diana rzekła mu, że trzeba go rozkochać, że chce uczynić z niego swego galanta".

Wola niewiasty jest święta. Diana przez dwadzieścia lat była jedyną umiłowaną, jedyną nałożnicą Henryka.

Po przyjrzeniu się królowi i faworycie czy nie czas ich posłuchać?

Henryk trzymał pergamin i czytał głośno następujące wiersze, przerywając lekturę komentarzami i gestami, czego nie możemy tutaj opisać, gdyż nadaje się jedynie do odegrania na scenie:

Nadobna moja dzieweczka
Ma słodsze, milsze usteczka
Niż pączek różany
Co rano.
Słodsza i śliczniej kwitnąca
Niż konwalija pachnąca,
Stokroć milejsza kochanka
Niż ożywcza w maju rosa,
Którą darzą nas niebiosa,
Kiedy przyjdzie czas poranka
Całuj mnie, najsłodsze życie,
Całuj mocno, całuj skrycie,
Ściskaj mnie milutko,
Ciaśniutko,
Aż do utraty tchu,
Aż westchnę:
Dość już, miła,
Opuściła mnie siła,
Bóg świadkiem mi tu.
Tedy buziaczka odsuniesz,
Żem ledwie żyw, zrozumiesz,
A potem złożysz mi w darze
I inne wdzięki w nadmiarze.
Wszystko moje, serce tkliwe,
Duszo, słońce wiecznie żywe!
Żyjmy więc razem, żyjmy,

Biegnijmy
Za słodkim głosem młodości
Do portu naszej miłości.
Bo starość smutna nas czeka
Zgarbiona, drżąca i chwiejna,
A słabość beznadziejna
I śmierć gubi człowieka.

— Jak się zwie ów zgrabny poeta, który tak składnie wyraża, co czynimy? — spytał Henryk, kiedy skończył czytać.

— Zwie się Remy Belleau, Najjaśniejszy Panie, zapowiada się jako rywal Ronsarda. Jak sądzisz, czy uważasz podobnie jak ja, że taki wiersz miłosny wart pięćset talarów?

— Otrzyma je twój protegowany, moja piękna Diano.

— Z tego powodu nie należy jednak zapominać o dawnych, Sire. Czy podpisałeś obiecane przeze mnie pismo na stałą pensję dla Ronsarda, księcia poetów? Prawda, że tak? Pozostaje mi jeszcze prosić o wakujące opactwo Recouls dla twego bibliotekarza Mellina de Saint–Calais, naszego francuskiego Owidiusza.

— Owidiusz zostanie opatem, słyszysz, mój miły Mecenasie? — rzekł król.

— Jakże jesteś szczęśliwy, Sire, że możesz do woli dysponować tyloma beneficjami i stanowiskami. Gdybym bodaj przez godzinę miała twoje możliwości.

— Czyż nie masz ich zawsze, niewdzięczna?

— To prawda, mój królu. Ale co najmniej od dwóch minut mnie nie pocałowałeś. A to dopiero! Rzekłeś, że twoje możliwości są moimi? Nie wódź mnie na pokuszenie, Sire. Uprzedzam, że użyłabym ich do spłacenia sporego długu, czego domaga się ode mnie Filibert Delorme pod pretekstem, że mój zamek Anet jest już ukończony. To na cześć twojego panowania, Najjaśniejszy Panie. Pocałunek jest drogi, Henryku!

— Za pocałunek weź, Diano, dla swego Filiberta Delorme kwoty, jakie przyniesie sprzedanie godności zarządcy Pikardii.

— Czyż ja handluję pocałunkami, Najjaśniejszy Panie? Ofiarowuję ci je, Henryku. Sądzę, że zarządzanie Pik warte jest dwieście tysięcy liwrów. Świetnie, będę mogła wziąć naszyjnik z pereł, który mi zaofiarowano. Mam ochotę przystroić się weń dzisiaj na zaślubiny twego ukochanego syna Franciszka. Sto tysięcy dla Filiberta i sto tysięcy za naszyjnik. Zarządzanie Pikardią na to pójdzie.

— Tym bardziej że oceniasz go dwa razy drożej, niż wart, Diano.

— Co? Nie jest wart sto tysięcy liwrów? A więc dobrze, po prostu wyrzeknę się naszyjnika.

— Ba! — odpowiedział król z uśmiechem. — Mamy trzy lub cztery wakujące kompanie, będą mogły opłacić naszyjnik.

— O Sire, jesteś najbardziej szczodrym spośród królów, jesteś najgoręcej miłowany ze wszystkich kochanków.

— Kochasz mnie naprawdę równie mocno jak ja ciebie, Diano?

— Jeszcze pyta!

— Miłuję cię coraz więcej, bp jesteś z każdym dniem piękniejsza. Jaki masz słodki uśmiech, najmilsza pieszczotko! Ty mój miły lisku! Pozostaw mnie, pozostaw u swych stóp! Połóż białe rączki na moich ramionach. Jakaś ty piękna, Diano! Jakże cię miłuję, Diano! Mógłbym cię podziwiać całymi godzinami, latami. Najchętniej zapomniałbym o Francji, o całym świecie.

— Nawet o uroczystych zaślubinach jego wysokości delfina — roześmiała się Diana — a przecież dzisiaj za dwie godziny odbędzie się uroczystość. Jesteś już gotów, wspaniale

przystrojony, a ja jeszcze nie. Tak, królu, już czas, żebym przywołała swoje niewiasty, za chwilę wybije dziesiąta.

— Dziesiąta? — zdziwił się Henryk. — Mam umówione spotkanie na tę godzinę.

— Spotkanie, Sire? Może z niewiastą?

— Tak, z niewiastą.

— Pewnie jest ona ładna?

— Tak, Diano, bardzo ładna.

— A więc nie z królową?

— Złośliwa jesteś. Katarzyna de Medici ma urodę wprawdzie surową i zimną, lecz ją ma. Jednak nie czekam na królową. Nie domyślasz się na kogo?

— Doprawdy nie, Najjaśniejszy Panie.

— Chodzi o drugą Dianę, żywe wspomnienie naszej młodzieńczej miłości, o naszą córkę, o naszą najmilszą córkę!

— Zbyt głośno i często to powtarzasz, Sire — z zakłopotaniem odpowiedziała Diana marszcząc czoło. — Ustaliliśmy przecież, że pani de Castro nie będzie uchodziła za moją córkę. Jestem godna mieć z tobą ślubne dzieci. Byłam twoją kochanką, bo cię miłowałam, lecz nie zniosę, byś mnie oficjalnie traktował jako konkubinę.

— Stanie się tak, jak duma ci nakazuje, Diano — odpowiedział król. — Jednak kochasz nasze dziecko, prawda?

— Kocham ją, bo ty ją kochasz.

— Tak, bardzo kocham… Jest urocza! A jaka dowcipna i dobra. A poza tym przypomina moje młode lata, czasy, gdy cię kochałem. Nie bardziej głęboko niż dzisiaj, lecz wtedy kochałem cię aż… z gotowością do zbrodni.

Król pogrążył się w poważnej zadumie, a potem podniósł głowę:

— Ów Montgomery! Nie kochałaś go, Diano, nie kochałaś?

— Co za pytanie! — z pogardliwym uśmiechem odrzekła faworyta. — Po dwudziestu latach jeszcze taka zazdrość!

— Tak, byłem zazdrosny i jestem nadal, będę zawsze o ciebie zazdrosny, Diano. Ale przecież go nie kochałaś. On ciebie miłował, nędznik ośmielił się ciebie miłować!

— Mój Boże, Sire! Zbyt wiele dawałeś wiary potwarzom, którymi prześladowali mnie protestanci. Nie godzi się tak czynić katolickiemu królowi. W każdym razie choćby mnie nawet miłował ów mężczyzna, to nic nie znaczy, jeśli moje serce ani na chwilę nie przestało należeć do ciebie, a hrabia de Montgomery od dawna nie żyje.

— Tak, nie żyje — głucho rzekł król.

— Nie smućmy się zatem takimi wspomnieniami w dniu, który ma być radosnym świętem — poradziła Diana. — Czy widziałeś się już z Franciszkiem i Marią? Czy te dzieci nadal są tak bardzo w sobie zakochane? Wielka ich niecierpliwość wkrótce znajdzie zaspokojenie. Za dwie godziny będą należeli do siebie radośni i szczęśliwi, lecz nie tak wielce radośni jak ród de Guise, bo związek ów czyni zadość ich życzeniom.

— Tak, ale kto się wścieka? Mój stary Montmorency. Konetabl tym bardziej ma podstawy, by się wściekać, bo obawiam się, że nasza Diana nie będzie należała do jego syna.

— Ależ Najjaśniejszy Panie! Czyż nie obiecałeś mu tego małżeństwa jako odszkodowanie?

— Oczywiście, lecz wydaje mi się, że pani de Castro odczuwa niechęć.

— Osiemnastoletnia dziewczyna, która dopiero co opuściła klasztor? Skąd ta niechęć?

— Czeka na mnie, by mi się z tego zwierzyć.

— Idź do niej, Sire, a ja muszę uczynić się piękną, by ci się spodobać.

— A po ceremonii ujrzę cię na igrzyskach rycerskich. Jeszcze dzisiaj będę kruszył kopie na

twą cześć i chcę cię obwołać królową turnieju.

— Królową? A owa druga?

— Jest tylko jedna, Diano, i wiesz o tym dobrze. Do widzenia!

— Do widzenia, Najjaśniejszy Panie. Proszę cię, bez nierozsądnej brawury podczas turnieju, niekiedy lękam się o ciebie.

— Niestety, brak niebezpieczeństwa. Chciałbym, żeby było, zdobyłbym wtedy więcej zasług w twoich oczach. Ale czas upływa i obie moje Diany niecierpliwią się. Powtórz mi raz jeszcze, że mnie kochasz.

— Sire, tak jak dotąd cię kochałam, tak jak zawsze będę cię kochała.

Król przesłał ręką ostatni pocałunek swej miłośnicy, zanim spuścił portierę na drzwiach.

— Pozostań z Bogiem, miłująca i umiłowana Diano — rzekł i wyszedł.

Wtedy w ścianie naprzeciwko otwarły się drzwi ukryte za kobiercem.

— Na litość boską! Czy nie dosyć nagadaliście się dzisiaj? — rzekł brutalnie wchodząc konetabl de Montmorency.

— Sam słyszałeś, przyjacielu, że czyniłam, co mogłam, by go stąd odprawić jeszcze przed dziesiątą, bo wszak ci naznaczyłam o tej godzinie spotkanie. Męczyłam się tak samo jak ty, uwierz mi — rzekła Diana.

— Tak samo jak ja? O nie, na mękę Chrystusa! Jeśli myślisz, moja droga, że wasza rozmowa była budująca i zabawna… Przede wszystkim co to za nowy kaprys, by odmawiać mojemu synowi Franciszkowi ręki twojej córki Diany, skoro mi to solennie obiecałaś? Na koronę cierniową! Czyż nie będą wszyscy uważali, że dziewczyna z nieprawego łoża czyni wielki zaszczyt rodowi Montmorencych racząc doń wejść? Ślub musi się odbyć, rozumiesz, Diano? Przygotuj się na to. To jedyny sposób, jaki nam pozostaje, by wprowadzić nieco równowagi między nami a rodem de Guise. Niech ich diabeł porwie! Tak więc, Diano, wbrew woli króla, wbrew woli papieża, wbrew wszystkiemu żądam, żeby tak było.

— Ależ, przyjacielu…

— Mówię ci, że tego żądam! Pater noster! — zawołał konetabl.

— A zatem będzie tak — z pośpiechem przyrzekła przerażona Diana.

V. KOMNATA KRÓLEWIĄT

Król wszedł do swoich apartamentów i nie zastał tam córki. Kamerdyner powiadomił go, że pani Diana po dłuższym czekaniu odeszła do komnaty królewiąt. Prosiła, by jej dano znać, kiedy jego królewska mość powróci.

— Dobrze, pójdę do niej. Niech mi nikt nie towarzyszy, chcę pójść sam.

Przeszedł przez wielką salę, skierował się w długi korytarz, a potem po cichu otworzył drzwi, zatrzymał się i poprzez rozchylone portiery spojrzał w głąb. Krzyki i śmiechy dzieci zagłuszyły szmer jego kroków. Nie będąc widziany, ujrzał czarujący i pełen wdzięku obrazek.

Maria Stuart, urocza panna młoda, stała otoczona trójką zaaferowanych i rozszczebiotanych dziewcząt. Były to Diana de Castro, Elżbieta i Małgorzata de France. Prostowały fałdy jej stroju, poprawiały loki fryzury, dodawały szyku nowej toalecie dotknięciem ręki, jak tylko niewiasty zdołają to czynić.

W drugim końcu komnaty bracia Karol i Henryk śmiejąc się i krzycząc przytrzymywali z całej siły drzwi, które z drugiej strony na próżno starał się otworzyć delfin Franciszek, młody oblubieniec, któremu nie chcieli pozwolić za wcześnie oglądać przyszłej małżonki.

Jakub Amyot, wychowawca książąt, rozmawiał z powagą w rogu pokoju z panią de Coni i z lady Lennox, guwernantkami księżniczek.

I tak tutaj, na małej przestrzeni, którą łatwo objąć jednym rzutem oka, nagromadziło się mnóstwo nieszczęścia, namiętności i chwały, cała historia przyszłości. Delfin, zwany Franciszkiem II, Elżbieta, która poślubiła Filipa II i stała się królową Hiszpanii, Karol zwany Karolem IX, Henryk, który był później Henrykiem III, Małgorzata de Valois, przyszła królowa i małżonka Henryka IV, i najmłodszy Franciszek, diuk d'Alençon, d'Anjou i Brabantu. Wreszcie Maria Stuart, dwukrotnie królowa, a w końcu męczennica.

Sławny tłumacz Plutarcha śledził melancholijnym i bystrym zarazem spojrzeniem igraszki królewiąt i rozmyślał nad przyszłymi losami Francji.

— Nie, nie, Franciszek nie wejdzie! — krzyczał dziko gwałtowny Karol Maksymilian, który później nakazał rzeź w noc św. Bartłomieja.

Z pomocą braci udało mu się zasunąć rygiel i uniemożliwić wejście biednemu następcy tronu Franciszkowi. Był on zbyt wątły, by odnieść zwycięstwo nad chłopcami, ograniczył się do tupania i błagał spoza drzwi.

— Drogi Franciszek! Jak oni go męczą! — litowała się Maria Stuart.

— Poczekaj, pani następczyni tronu, niech ci przypnę tę spinkę! — rzekła ze śmiechem mała Małgorzata. — Co za piękny wynalazek takie agrafki, jakże wielkim człowiekiem jest ów, kto je wymyślił rok temu.

— Kiedy spinka jest już na właściwym miejscu, otworzę biednemu Franciszkowi, na złość tym szatanom — rzekła czuła Elżbieta. — Sama cierpię widząc, jak on nad tym boleje.

— Tak, ty to rozumiesz, Elżbieto — z westchnieniem rzekła Maria Stuart. — Myślisz pewnie o swoim miłym Hiszpanie, don Carlosie, królewiczu, który nas tak fetował i zabawiał w Saint–Germain.

— Patrz! Elżbieta rumieni się… To fakt, że urodziwy galant ten jej kastylijczyk — zawołała złośliwie mała Małgorzata klaszcząc w ręce.

— Ależ Małgorzato, niełądnie tak wyśmiewać się z sióstr — wmieszała się po matczynemu jako starsza Diana de Castro.

W rzeczy samej wielce był atrakcyjny widok owych czterech jakże różnych dziewcząt

skończenie pięknych. Same kwiaty w pączkach: Diana — uosobienie niewinności i łagodności, Elżbieta — powagi i czułości, Maria Stuart — prowokującego rozmarzenia, Małgorzata — roztargniona trzpiotka. Król Henryk, przejęty i oczarowany, nie mógł nasycić oczu tym zachwycającym widokiem. Musiał jednak zdecydować się i wejść.

— Król! — rozległ się jednogłośny okrzyk. Wszyscy podbiegli do ojca.

Jedynie Maria Stuart pozostała nieco w tyle i po cichu odsunęła zasuwkę, która trzymała Franciszka za drzwiami. Delfin wszedł szybko i rodzina znalazła się w komplecie.

— Dzień dobry, dzieci — rzekł król. — Cieszę się, że was zastaję w dobrym zdrowiu i wesołości. Przetrzymano cię na zewnątrz, biedny zakochany Franciszku? Teraz już będziesz mógł stale patrzeć na swą miłą narzeczoną. Mocno się kochacie, moje dzieci?

— Tak, Sire, miłuję Marię. — Roznamiętniony chłopiec złożył płomienny pocałunek na dłoni przyszłej małżonki.

— Wasza Wysokość — żywo i surowo zwróciła mu uwagę lady Lennox — nie całuje się publicznie dam w rękę, a tym bardziej przy jego królewskiej mości. Co pomyśli on o madame Marii i jej guwernantce?

— Czy owa ręka nie należy do mnie? — spytał następca tronu.

— Jeszcze nie, wasza Wysokość — rzekła dama do towarzystwa. — Pragnę do końca wypełniać swoje obowiązki.

— Bądź spokojny, kiedy nie będzie na nas patrzyła, dam ci ją znowu — półgłosem odezwała się Maria do nadąsanego Franciszka.

Król uśmiechał się ukradkiem.

— Jesteś bardzo — sroga, milady, lecz masz słuszność — dodał. — A ty, panie Amyot, chyba nie jesteś niezadowolony ze swoich wychowanków. Bądźcie posłuszni waszemu uczonemu preceptorowi, panowie, żyje on w wielkiej zażyłości z antycznymi bohaterami. Panie Amyot, czy masz jakieś wieści o Piotrze Danoy, nauczycielu nas obu, i o Henryku Etienne, z którym razem pobieraliśmy nauki?

— Obaj miewają się dobrze, stary i młody. Ucieszą się i będą dumni, że Wasza Królewska Mość raczył o nich zachować wspomnienie.

— Chciałem ujrzeć was, dzieci, przed ceremonią i cieszę się, że was widziałem. Jestem do twej dyspozycji, Diano, moja pieszczotko, chodź ze mną.

Diana złożyła głęboki ukłon i poszła za królem.

VI. DIANA DE CASTRO

Diana de Castro, którą widzieliśmy dzieckiem, miała teraz prawie osiemnaście lat. Jej uroda spełniła oczekiwane nadzieje i rozkwitła w sposób naturalny i uroczy. Dziewicza niewinność nadawała szczególnie łagodny i subtelny wyraz jej twarzy. Z usposobienia pozostała dzieckiem, które poznaliśmy. Nie miała jeszcze trzynastu lat, kiedy diuk de Castro, którego nie widziała więcej po dniu zaślubin, zginął podczas oblężenia Hesdin. Wdowę — dziecko król odesłał, do klasztoru Filles–Dieu w Paryżu, by tam trwała w żałobie. Diana zaznała w klasztorze czułej przyjaźni i tak przywykła do otoczenia, że poprosiła ojca o zezwolenie na pozostanie u dobrych zakonnic, wśród koleżanek, do czasu, aż zechce nią dysponować na nowo. Należało uszanować tak pobożną intencję. Henryk kazał Dianie opuścić klasztor dopiero przed miesiącem, odkąd konetabl de Montmorency, zawistny o władzę książąt de Guise, zażyczył sobie i otrzymał obietnicę ręki Diany de Castro dla syna. Zależało mu na paranteli z córką króla i faworyty.

W ciągu miesiąca spędzonego na dworze Diana zdołała pozyskać sobie natychmiast ogólny szacunek i podziw. Jak pisał Brantôme w książce o sławnych damach, „była bardzo dobra i nikomu nie sprawiała przykrości, przy tym wielkiego i wzniosłego serca, o duszy szlachetnej, mądrej i cnotliwej". W owej cnotliwości, która rysowała się tak czysta i miła na tle ogólnego zepsucia w owych czasach, nie było domieszki ani surowości, ani szorstkości.

Pewien dworzanin rzekł kiedyś Dianie, że królewna winna być dzielna, a jej nieśmiałość zbyt trąci mniszką; wtedy w ciągu kilku dni nauczyła się dosiadać konia i nie było potem amazonki równie odważnej i eleganckiej jak ona. Odtąd towarzyszyła królowi na polowaniach, a Henryk całkiem dał się zniewolić jej dobrocią i wdziękiem, gdyż bez afektacji szukała okazji, by uprzedzać jego życzenia i mu dogadzać. Diana miała przywilej wchodzić o każdej godzinie do ojca i zawsze była mile widziana. Jej wzruszający urok i prostota, atmosfera dziewczęcej niewinności, którą się oddychało wokół niej, nawet trochę smętny uśmiech, wszystko to nadawało jej wytwornego i rzadkiego czaru wśród innych olśniewających dworskich piękności.

— A teraz wysłucham cię, najmilsza — rzekł Henryk. — Bije jedenasta, uroczystość zaślubin w Saint–Germain–l'Auxerrois odbędzie się dopiero w południe, mogę zatem przeznaczyć dla ciebie pół godziny. Ach, czemu nie mam więcej czasu! Takie miłe są chwile mego życia spędzane przy tobie.

— Jesteś bardzo wyrozumiały i ojcowski, Sire.

— Mocno cię kocham, moje czułe dziecko, i pragnąłbym z całego serca uczynić zadość twoim życzeniom pod warunkiem, że nie zaszkodzi to ważnym sprawom, które każdy król winien stawiać ponad osobiste uczucie. Jako dowód przywiązania spełniłem dwie twoje prośby. Zacna siostra Monika, która tak wielce troszczyła się o ciebie i otaczała serdecznością w klasztorze Filles–Dieu, dzięki twemu wstawiennictwu zostanie mianowana przeoryszą w klasztorze Origny w Saint–Quentin.

— Stokrotne dzięki, Najjaśniejszy Panie.

— Poczciwy Antoni, twój ulubiony służący w Vimoutiers, będzie otrzymywał dożywotnio dobrą pensję z naszego skarbu. Żałuję, Diano, że pan Enguerrand już nie żyje. Chcieliśmy po królewsku wynagrodzić czcigodnego giermka, który tak dobrze wychował naszą drogą córkę Dianę. Lecz utraciłaś go chyba rok temu i nie pozostawił po sobie spadkobiercy.

— Zaiste nadmierna to szczodrość i dobroć, Najjaśniejszy Panie.

— Jeszcze jedno, nominacja. Pismo królewskie przyznaje ci tytuł diuszesy d'Angoulême. To nawet nie czwarta część tego, co pragnąłbym uczynić dla ciebie. Widzę cię nieraz zamyśloną i

smutną, dlatego spieszno mi porozmawiać z tobą. Pragnę cię pocieszyć, ulżyć twoim troskom. Nie jesteś szczęśliwa, moja pieszczotko?

— Jakże mogłabym nie być szczęśliwa otoczona twoją czułością i obsypana dobrodziejstwami, Najjaśniejszy Panie. Pragnę, aby chwile pełne radości trwały nadal. Choćby przyszłość miała być piękna i zaszczytna, nigdy nie dorówna teraźniejszości.

— Wiesz, Diano, że sprowadziłem cię z klasztoru po to, by cię powierzyć Franciszkowi de Montmorency. To dobra partia, Diano. Nie ukrywam, że ów związek małżeński korzystnie przysłużyłby się interesom mojej korony. Wydaje mi się jednak, że budzi on w tobie niechęć. Powinnaś podać mi przynajmniej motywy owej odrazy, co mnie zasmuca.

— Toteż nie będę ich przed tobą ukrywała, ojcze — rzekła Diana z zakłopotaniem. — Powiadomiono mnie, że Franciszek de Montmorency w tajemnicy poślubił już pannę de Fiennes, jedną z dam dworu królowej.

— To prawda — odpowiedział król. — Ale małżeństwo po kryjomu zawarte bez zgody konetabla i mojej nie jest prawomocne. Jeśli papież rozwiąże to stadło, nie możesz okazać się bardziej wymagająca od jego świątobliwości. A zatem jeśli to tylko ta przyczyna…

— Ależ jest inną, ojcze — przerwała Diana.

— Jaka? W Jakiż sposób związek, który uchodzi za zaszczytny dla najlepiej urodzonych i najbogatszych dziedziczek Francji mógłby przynieść ci nieszczęście?

— Ponieważ… ponieważ miłuję kogoś innego, ojcze — rzekła Diana wielce zmieszana i z płaczem padła w ramiona króla.

— Miłujesz innego, Diano? — zdziwił się Henryk. — Jak się zwie ów, którego miłujesz?

— Gabriel, Najjaśniejszy Panie.

— Gabriel, jak dalej? — spytał król z uśmiechem.

— Nie wiem, ojcze.

— Jak to możliwe, Diano? Na litość boską, wytłumacz się.

— Rzeknę ci wszystko, Sire. To miłość z lat dziecięcych. Codziennie widywałam się z Gabrielem. Był usłużny, odważny, urodziwy, czuły i wykształcony! Nazywał mnie swoją żoneczką. Nie śmiej się, Najjaśniejszy Panie. To było poważne, święte uczucie, pierwsze, jakie się zrodziło w mym sercu. Inne mogą dołączyć się do niego, ale żadne nie zdoła go wymazać. Wprawdzie pozwoliłam na zaślubiny z diukiem Farnèse, Sire, lecz wtedy nie wiedziałam, co czynię. Zmuszono mnie i byłam posłuszna jak mała dziewczynka. Później zrozumiałam, jakiej zdrady i winy dopuściłam się względem Gabriela. Nie płakał, kiedy ze mną się rozstawał, lecz w głębi jego oczu jakaż malowała się boleść. Wszystko to odżyło we wspomnieniach szczęśliwego dzieciństwa podczas samotnych lat spędzonych w klasztorze. Przeżywałam po raz wtóry dni spędzone razem z Gabrielem, w myślach i w marzeniach. Po powrocie tutaj, na dwór, między szlachetnie urodzonych, którzy cię otaczają wieńcem niby koroną, nie dostrzegłam ani jednego, który by mógł rywalizować z Gabrielem. Nie dorównuje mu Franciszek, uległy syn wyniosłego konetabla, który nigdy nie wymaże mi z pamięci miłego i dumnego towarzysza lat dziecinnych, Teraz, kiedy jestem świadoma swoich czynów i ich wagi, pozostanę wierna Gabrielowi, ojcze, dopóki pozostawisz mnie wolną.

— Czy widziałaś się z nim później, po opuszczeniu Vimoutiers, Diano?

— Niestety, nie, ojcze.

— Ale miewałaś przynajmniej od niego jakieś wiadomości?

— Niestety, nie. Dowiedziałam się jedynie od Enguerranda, że opuścił tamte strony po moim wyjeździe. Oznajmił swej mamce, Alojzie, że ujrzy ją ponownie dopiero wtedy, kiedy zdobędzie sławę i będzie budził postrach wśród wrogów. Prosił, by się nie martwiła o niego. Potem odjechał, Sire.

— A jego rodzina od tego czasu nic o nim nie słyszała?

— Jego rodzina? Nie znałam innej rodziny niż Alojza. Nigdy nie widywałam jego rodziny, kiedy wraz z Enguerrandem odwiedzałam go w Montgomery.

— W Montgomery! — zawołał Henryk i pobladł. — Diano! Mam nadzieję, że to nie żaden z Montgomerych. Rzeknij mi szybko, że to nie Montgomery!

— Nie, Najjaśniejszy Panie. Gdyby tak było, mieszkałby chyba w zamku, a on przebywał w domu swej mamki Alojzy. Co ci uczynili hrabiowie de Montgomery, że do tego stopnia się wzruszyłeś, Sire? Czy jesteście wrogami? Ogólnie mówią o nich wszyscy z wielkim poważaniem.

— Doprawdy nic mi nie uczynili złego, absolutnie nic, Diano — odpowiedział król z pogardliwym uśmiechem. — Co może uczynić jakiś Montgomery Walezjuszowi? Wracajmy do twego Gabriela, Diano. Czyż nie nazywasz go Gabrielem?

— Tak, Sire.

— Czy nie miał jakiegoś nazwiska?

— Nie znałam, tylko imię, Najjaśniejszy Panie. Był sierotą tak jak i ja. Nigdy w mojej obecności nie mówił o ojcu.

— Nie masz żadnych innych zastrzeżeń co do projektowanego związku między tobą a Franciszkiem de Montmorency, jak tylko dawne przywiązanie do młodego chłopca? Żadnych innych, prawda?

— Ono jedno stanowi nakaz dla mego serca, Najjaśniejszy Panie.

— Świetnie, Diano. Nie usiłowałbym zwalczać twoich skrupułów, gdyby twój przyjaciel był tutaj, gdyby można było go poznać i ocenić, chociaż, jak przypuszczam, jest wątpliwego pochodzenia.

— Czyż nie ma także skazy na mojej tarczy herbowej, Wasza Królewska Mość?

— Ale przynajmniej masz herb, madame, a ród Montmorency podobnie jak rodzina de Castro uważają za zaszczyt wprowadzenie wśród siebie prawnie uznanej mojej córki, zechciej o tym pamiętać. Twój Gabriel zaś, przeciwnie… Lecz nie o to chodzi. Interesuje mnie fakt, że od sześciu lat nie pojawił się, może o tobie zapomniał, może pokochał inną.

— Nie znasz Gabriela, Najjaśniejszy Panie. To osamotnione i wierne serce, które zgaśnie miłując mnie.

— Dobrze, Diano. Niewierność względem ciebie nie jest prawdopodobna, słusznie zaprzeczasz. Wszystko każe ci wierzyć, że ów młodzieniec wyruszył na wojnę. Czyż nie zachodzi możliwość, że zginął? Zasmucam cię, moje dziecko, pobladło twe piękne czoło i oczy zalały się łzami. Widzę, że twoje uczucie jest głębokie. Chociaż nie miałem okazji spotkać się z czymś podobnym, chociaż przyzwyczaiłem się wątpić w wielkie namiętności, nie wyśmiewani się z twojej i chcę ją uszanować. Zastanów się, moja miła, w jaki kłopot wpędzi mnie twoja odmowa jedynie ze względu na dziecinną miłość, której przedmiot już nie istnieje, ze względu na wspomnienie, na cień po człowieku. Jeśli obrażę konetabla przez niedotrzymanie słowa, pogniewa się całkiem słusznie, moja córko. Może odejdzie, porzuci służbę, wtedy pozostaniemy tylko we dwóch, ja król i diuk de Guise. Czy wiesz, Diano, że z sześciu braci owego nazwiska diuk de Guise skupia w ręku wszystkie militarne siły Francji, kardynał — wszystkie finanse, trzeci — moje galery w Marsylii, czwarty rozkazuje w Szkocji, a piąty ma zastąpić Brissaca w Piemoncie? W taki oto sposób w całym królestwie ja, król, nie mogę dysponować ani jednym żołnierzem, ani talarem bez ich zgody.

Przemawiam do ciebie łagodnie, Diano, i wyjaśniam ci sprawy. Proszę cię, a przecież mógłbym rozkazywać. Wolę, byś sama osądziła rzecz i aby ojciec, a nie król otrzymał od córki zgodę na swe plany. Uzyskam ją, bo jesteś dobra i oddana. Ów związek małżeński mnie ocali,

moje dziecko. Da Montmorencym władzę odebraną rodowi de Guise, zrównoważy dwie szale wagi, de Guise stanie się przez to mniej wyniosły, a Montmorency bardziej oddany. Nie odpowiadasz, milutka. Czy pozostaniesz głucha na błaganie ojca, który ciebie nie przymusza, nie jest brutalem? Wprost przeciwnie, Wnika w twoje myśli i prosi cię, żebyś nie odmawiała pierwszej przysługi, którą mogłabyś spłacić to, co dla ciebie dotąd uczynił, i chce więcej jeszcze przyczynić się do twego szczęścia i godności. A zatem, Diano, córko, zgódź się!

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała Diana. — Jesteś stokroć potężniejszy, kiedy głos twój błaga, niż kiedy rozkazuje. Jestem gotowa poświęcić się dla twego dobra, lecz pod jednym warunkiem!

— Jakim, rozpieszczone dziecko?

— Niech dopiero za trzy miesiące odbędą się zaślubiny. Do tego czasu poproszę Alojzę o wieści o Gabrielu. Zasięgnę wszelkich możliwych informacji. Chcę wiedzieć, czy zginął. A jeśli żyje, będę mogła prosić go o zwrot słowa.

— Z całego serca zgadzam się — rzekł rozradowany Henryk. — Nie można rozsądniej podejść do owej dziecinady… Do tego czasu odszukasz swojego Gabriela, dopomogę ci, jeśli zajdzie potrzeba. A za trzy miesiące poślubisz Franciszka bez względu na wynik zebranych informacji, bez względu na to, czy twój przyjaciel żyje, czy nie żyje.

— Teraz nie wiem już sama, czy powinnam sobie życzyć jego śmierci czy życia — z goryczą rzekła Diana ze spuszczoną głową.

Król otworzył usta i miał rozwinąć teorię mało ojcowską, zaproponować jedyne możliwe ryzykowne pocieszenie. Ale napotkał niewinne oczy i czysty profil Diany. W czas się powstrzymał, a myśl swoją wyraził jedynie w uśmiechu. Na szczęście lub nieszczęście obyczaje dworskie ją ukształtują, pomyślał. A głośno odezwał się:

— Czas udać się do kościoła, Diano. Służę ci ramieniem aż do wielkiej galerii, madame. Potem ujrzę cię znowu na turniejach i popołudniowych igrcach. Jeśli nie czujesz do mnie zbytniej niechęci za tyranię, racz oklaskiwać moje walki na kopie, wypady i zapasy, piękny mój sędzio.

VII. OJCZENASZE PANA KONETABLA

Tego samego dnia po południu, podczas gdy w Tournelles odbywały się turnieje i festyny, konetabl de Montmorency w Luwrze, w gabinecie Diany de Poitiers przesłuchiwał jednego ze swych tajnych zauszników.

Szpieg był średniego wzrostu, miał śniadą twarz, czarne oczy i włosy, orli nos, rozdwojony podbródek, wydatną dolną wargą i lekko pochylone plecy. W uderzający sposób był podobny do Marcina Guerre'a, wiernego giermka Gabriela. Kto by ich widział osobno, nie odróżniłby jednego od drugiego. Kto by ich widział razem, przypuszczałby, że są to bracia bliźniacy, do tego stopnia w każdym szczególe byli podobni: takie same rysy, taki sam wiek, taki sam sposób poruszania się.

— Co uczyniłeś z kurierem, imć Arnoldzie? — spytał konetabl.

— Zgładziłem go, Wasza Wielmożność. Trzeba było. Zdarzyło się to w nocy, w lesie Fontainebleau, złodziejom przypiszą owo morderstwo. Jestem ostrożny.

— Sprawa jest poważna, imć Arnoldzie, ganię cię za to, że taki jesteś skory do używania noża.

— Nie cofam się przed żadną ostatecznością, gdy chodzi o przysłużenie się Waszej Wielmożności.

— Tak, lecz raz na zawsze zapamiętaj, imć Arnoldzie, że jeśli dasz się złapać, pozwolę, by cię powieszono — suchym i wzgardliwym tonem oświadczył konetabl.

— Bądź spokojny, Dostojny Panie, jestem przezornym człowiekiem.

— A teraz pokaż list.

— Oto on, Wasza Wielmożność.

— Otwórz go bez uszkodzenia pieczęci i czytaj. Czy sobie wyobrażasz, że umiem czytać, na mękę Pańską!

Imć Arnold du Thill wyjął z kieszeni coś w rodzaju ostrego dłuta, starannie odciął pieczęć i rozwinął list. Przede wszystkim sięgnął wzrokiem do podpisu u dołu rulonu.

— Widzisz, Dostojny Panie, że się nie pomyliłem. List adresowany do kardynała de Guise pochodzi od kardynała Caraffy, jak mi się głupio przyznał ów nędznik kurier.

— Czytaj więc, na koronę cierniową! — zawołał Annasz de Montmorency.

Imć Arnold czytał:

— "Wasza Wielebność i drogi sprzymierzeńcze, tylko trzy ważne słowa. Pierwsze, zgodnie z twą prośbą papież będzie odwlekał w nieskończoność sprawę unieważnienia małżeństwa i będzie odsyłał Franciszka da Montmorency od jednej kongregacji do drugiej. Przybył on wczoraj do nas do Rzymu. W końcu Ojciec Święty odmówi mu dyspensy, o którą zabiega".

— Pater noster! — wyszeptał konetabl. — Niech piekło pochłonie wszystkie czerwone sutanny!

— "Po drugie, pan de Guise, twój znakomity brat, po zdobyciu Kampali trzyma w szachu Civitellę. Zanim jednak zdecydujemy się wysłać mu posiłki w ludziach i żywności, czego się domaga, byłaby to wielka ofiara z naszej strony, chcielibyśmy otrzymać zapewnienie, że nie odwołacie go na wojnę z Flandrią. Działaj w taki sposób, żeby u nas pozostał, a wtedy jego świątobliwość zdecyduję się na udzielenie wydatnej pomocy, chociaż czasy są ciężkie. Pomoże panu Franciszkowi de Guise wypędzić skutecznie diuka d'Albe i jego aroganckiego pana".

— Adveniat tegnum Tuum — mruczał przez zęby Montmorency. — Obmyślmy coś, na rany boskie! Wymyślimy coś, choć mielibyśmy wezwać Anglików do Francji! Czytaj dalej, Arnoldzie, na Ewangelię!

— ”Po trzecie. Oznajmiam Waszej Wielmożności, że niebawem przybędzie do Paryża wysłannik twego brata, wicehrabia d’Exmès, który przywiezie Henrykowi sztandary zdobyte podczas italskiej kampanii. Odjeżdża stąd i niewątpliwie przybędzie jednocześnie z moim listem, który wolałem jednak powierzyć zwykłemu kurierowi. Obecność wicehrabiego i chwalebne zdobycze, które ofiaruje królowi, będą ci znaczną pomocą dla skierowania negocjacji we właściwym kierunku”.

— Fiat volutas Tua! — zawołał rozwścieczony konetabl. — Dobrze przyjmiemy owego wysłannika piekieł! Polecam go twojej opiece, Arnoldzie! Czy to już koniec przeklętego listu?

— Tak, Dostojny Panie, dalej są tylko pozdrowienia i podpis.

— Dobrze. Widzisz sam, że będziesz miał robotę.

— Niczego więcej nie pragnę, Wasza Dostojność. No i trochę pieniędzy, aby dzieło doprowadzić do pomyślnego końca.

— Masz sto dukatów, hultaju. Zawsze trzeba mieć dla ciebie pieniądze pod ręką.

— Wydaję tyle, żeby dobrze służyć Waszej Dostojności.

— Twoje nałogi więcej kosztują niż warte usługi dla mnie, łajdaku!

— Jak mylnie mnie oceniasz, Dostojny Panie. Marzeniem moim jest żyć spokojnie, szczęśliwie i bogato, na głuchej prowincji w otoczeniu żony i dziatek, pędzić spokojny żywot jako porządny ojciec rodziny.

— W rzeczy samej wielce to cnotliwe i sielankowe życzenie. No więc popraw się, odłóż na bok kilka dublonów, ożeń się, wtedy będziesz mógł urzeczywistnić plany domowego szczęścia. Kto ci tego zabrania?

— Ach, porywczość, Wasza Dostojność, Jaka niewiasta mnie by zechciała?

— Do dzieła, imć Arnoldzie. W oczekiwaniu na związek małżeński zapieczętuj wielce starannie ów manuskrypt i zanieś go do kardynała. Przebierz się, pojmujesz? Powiesz, że polecił ci go odnieść umierający kolega…

— Wasza Wielmożność może mi zaufać. List z pieczęcią i zastępczy kurier będą się odznaczać większą wiarogodnością niż sama prawda.

— Ach, przebóg! zapomnieliśmy zanotować nazwisko pełnomocnika zapowiedzianego przez diuka de Guise. Jak on się zwie?

— Wicehrabia d’Exmès, Wasza Wielmożność.

— Tak, tak, łajdaku. Zapamiętaj więc owo nazwisko. Kto jeszcze chce mi przeszkadzać?

— Niech mi wybaczy Wasza Dostojność — rzekł wchodząc ochmistrz konetabla. — Przybył z Italii rycerz i prosi o widzenie się z królem z polecenia diuka de Guise. Uważałem, że powinienem zawiadomić cię, Dostojny Panie, zwłaszcza że koniecznie chce rozmawiać z kardynałem de Lorraine. Rycerz zwie się wicehrabia d’Exmès.

— Bardzo dobrze uczyniłeś, Wilhelmie — pochwalił konetabl. — Wprowadź tutaj owego pana. A ty, imć Arnoldzie, stań tutaj za portierą i nie trać okazji, by dobrze się przyjrzeć rycerzowi, z którym niewątpliwie będziesz miął do czynienia. Przyjmuję go ze względu na ciebie. Uwaga!

Szpieg wśliznął się za kobierzec. Wilhelm wprowadził Gabriela.

— Wybacz, panie — rzekł młodzieniec składając ukłon starcowi. — Z kim mam zaszczyt?

— Jestem konetabl de Montmorency. Czego sobie życzysz, panie?

— Przepraszam raz jeszcze — odpowiedział Gabriel. — To, co mam do oznajmienia, winienem rzec królowi.

— Nie wiesz chyba, że jego królewskiej mości nie ma w Luwrze. A w czasie jego nieobecności…

— Pojadę do jego królewskiej mości lub zaczekam — przerwał Gabriel.

— Jego królewska mość jest na uroczystościach w Tournelles i wróci dopiero wieczorem. Czy nie wiesz, że obchodzimy dzisiaj uroczystość zaślubin jego wysokości delfina?

— Nie, Dostojny Panie, dowiedziałem się o tym dopiero w drodze. Przyjechałem od strony uniwersytetu, przez most Change, nie przejeżdżałem ulicą Saint–Antoine.

— Musiałbyś jechać w ślad za tłumem. On zaprowadziłby cię do króla.

— Nie miałem jeszcze zaszczytu audiencji u króla. Jestem obcym na dworze. Spodziewałem się zastać w Luwrze jego eminencję kardynała de Lorraine. Prosiłem o posłuchanie u jego eminencji i nie wiem dlaczego, przywiedziono mnie tutaj.

— Pan de Lorraine lubi pozorowaną walkę jako mąż kościoła. Ja jestem mężem szpady i lubię jedynie prawdziwe bitwy. Dlatego jestem tutaj, a pan de Lorraine jest w Tournelles — wyjaśnił konetabl.

— Udam się zatem do niego, panie.

— Na Boga, odpocznij nieco. Chyba przebywasz z daleka, pewnie z Italii, skoro jechałeś obok uniwersytetu?

— W rzeczy samej z Italii, Wasza Dostojność, nie mam powodu tego ukrywać. — Przybywasz może od diuka de Guise? Co on tam czyni?

— Pozwól, że powiadomię o tym pierwej jego królewską mość i że cię pożegnam, panie, aby wypełnić swój obowiązek.

— Tak wielce ci spieszno? — dodał z udawaną dobrodusznością. — Pewnie chcesz ujrzeć niecierpliwie którąś z naszych pięknych dam? Zaręczam, że spieszysz się i lękasz zarazem. Czy nie jest to prawda, młodzieńcze?

Gabriel przybrał miną chłodną i poważną, odpowiedział li tylko głębokim ukłonem i wyszedł.

— Pater noster qui es in coelis! — zgrzytnął konetabl, kiedy drzwi się zawarły za Gabrielem. — Czy ów przeklęty modniś wyobraża sobie, że chciałem mu czynić awanse, że chciałem go pozyskać, a może, kto wie, chciałem go przekupić? Czyż nie wiem tak samo dobrze jak on, co rzeknie królowi? Mniejsza z tym, jeśli go odnajdą, zapłaci rai za nieokrzesane miny i bezczelną nieufność! Hola!. imć Arnoldzie! Gdzie jest ów łobuz? On także ulotnił się. Na mękę Pańską, wszyscy się uwzięli dzisiaj, by głupio postępować! Niech ich czart porwie! Pater noster!

W tym samym czasie, kiedy konetabl wedle swego zwyczaju wylewał żółć w przekleństwach i ojczenaszach, Gabriel przechodząc przez dość ciemną galerię ku wyjściu z Luwru ujrzał ku wielkiemu zdziwieniu, że przy drzwiach stoi jego giermek Marcin Guerre, któremu kazał czekać na dziedzińcu.

— To ty, imć Marcinie? Wyszedłeś na moje spotkanie? A więc jedź przodem z Hieronimem, będziecie na mnie czekali ze zwiniętymi i osłoniętymi sztandarami na rogu ulicy Sainte–Catherine i Saint–Antoine. Jego eminencja kardynał może zechce, żebyśmy je natychmiast zaprezentowali królowi wobec całego dworu zgromadzonego na turnieje. Krzysztof będzie trzymał mojego wierzchowca i będzie mi towarzyszył. Idź już, zrozumiałeś?

— Tak, Wasza Dostojność, wiem, co chciałem wiedzieć — odpowiedział „Marcin".

Wyprzedzając Gabriela zaczął schodzić po schodach z szybkością wróżącą rychłe wykonanie polecenia.

Toteż Gabriel, który wolniej szedł, pogrążony w zamyśleniu, zdziwił się widząc po raz wtóry na dziedzińcu swego giermka pobladłego z przestrachu.

— Co ci jest, Marcinie? — zapytał.

— Ach, dostojny panie, widziałem go. Przeszedł obok mnie przed chwilą i przemówił.

— Kto?

— Kto? Szatan, widmo, zjawa, potwór, drugi Marcin Guerre.

— Znowu to wariactwo, Marcinie? Śnisz na stojąco?

— Nie, nie śniłem. On przemówił do mnie, Wasza Dostojność. Zatrzymał się przede mną, przeszył magicznym spojrzeniem i zaśmiał się piekielnym śmiechem. „Jesteśmy stale na służbie u wicehrabiego d'Exmès?" Proszę zauważyć liczbę mnogą „jesteśmy". „I przywozimy z Italii sztandary zdobyte przez diuka de Guise?" Skinąłem twierdząco głową wbrew woli, tak mnie zafascynował. Skąd on o tym wie, Dostojny Panie? Powiedział: „Nie bójmy się, czyż nie jesteśmy przyjaciółmi i braćmi?" — dodał z szatańskim sarkazmem, od którego stanęły mi włosy na głowie. „Spotkamy się jeszcze, Marcinie Guerre, spotkamy się". Umknął przez tę małą furtkę, a może raczej zniknął w ścianie.

— Jesteś szalony! — odpowiedział Gabriel. — Kiedy zdążyłby on powiedzieć ci to wszystko? Przed chwilą odszedłeś ode mnie.

— Ależ ja nie ruszyłem się z tego placu, Dostojny Panie, kazałeś mi tutaj czekać.

— Jeżeli to nie ty byłeś, to z kim rozmawiałem przed chwilą?

— Z całą pewnością z kimś innym, z moim sobowtórem, z moim widmem.

— Mój biedny Marcinie, cierpisz znowu? — rzekł Gabriel z litością. — Pewnie boli cię głowa. Może za długo przebywaliśmy na słońcu.

— Wyobrażasz sobie, panie, że cierpię na jakieś majaki? Prawda? Dowodem, że się nie mylę, jest to, że nie znam twoich rozkazów, które rzekomo mi wydałeś.

— Zapomniałeś, Marcinie — łagodnie odpowiedział Gabriel. Dobrze, powtórzę ci je, przyjacielu. Rzekłem, żebyś czekał na mnie ze sztandarami na ulicy Saint–Antoine, na narożniku Sainte–Catherine. Hieronim będzie ci towarzyszył, a ze mną pozostanie Krzysztof. Czy teraz sobie przypominasz?

— Wybacz, panie, jakże chcesz, żebym sobie przypomniał to, czego mi nie podano do wiadomości?

— Teraz wreszcie wiesz, Marcinie — rzekł Gabriel. — Chodźmy odebrać konie u bramy od naszych ludzi i szybko ruszajmy w drogę do Tournelles.

— Słucham, Wasza Dostojność. W sumie masz dwóch giermków. Całe szczęście dla mnie, że nie mam dwóch panów.

Drewniana bariera, podłużna belka odgradzała tereny, na których odbywały się uroczystości. Wiodła przez ulicę Saint–Antoine, od Tournelles aż do królewskich stajni. Tworzyła długi prostokąt obrzeżony ze wszystkich stron trybunami dla widzów: na jednym końcu siedziała królowa i dworzanie, na przeciwnym znajdował się wjazd w szranki, gdzie czekali walczący w turnieju. Tłum cisnął się na dwóch pozostałych galeriach.

Około trzeciej po południu, po kościelnej ceremonii i biesiadzie, która potem nastąpiła, królowa i dwór zajęli miejsca w rzędach dla nich przeznaczonych. Wiwaty i okrzyki radości rozbrzmiewały ze wszystkich stron.

Wśród hałaśliwych okrzyków wesołości festyn rozpoczął się od nieszczęśliwego wypadku. Koń pana d'Avallon, kapitana gwardii, przerażony wrzawą stanął dęba i poniósł na areną. Jeździec wyrzucony z siodła uderzył głową o drewnianą barierę ogradzającą teren.

Rycerza wyniesiono na wpół martwego i powierzono rękom chirurgów w stanie prawie beznadziejnym.

Król wielce się przejął tym godnym pożałowania wypadkiem, ale jego pasja do turniejów i igrców niebawem przeważyła nad smutkiem.

— Biedaczysko pan d'Avallon — rzekł. — Taki oddany sługa! Niech przynajmniej dobrze o niego zadbają.

Po chwili dodał:

— Dalej! Można już zacząć gonitwy do pierścienia.

W owych czasach gonitwy do pierścienia były bardziej skomplikowane i trudniejsze niż znane

nam później. Podwieszka, na której znajdował się pierścień, była umieszczona w odległości mniej więcej dwóch trzecich od bariery. Należało przejechać galopem jedną trzecią, wielkim galopem drugą i podczas szybkiej jazdy nadziać pierścień na ostrze kopii. Ale drewno nie mogło dotykać ciała, trzeba było trzymać kopię poziomo, z łokciem wysoko uniesionym nad głową. Kończyło się gonitwę kłusem po placu turniejowym. Nagrodę stanowił pierścień z diamentami ofiarowany przez królową.

Henryk II na białym koniu, okrytym aksamitnym, haftowanym złotem czaprakiem, był najbardziej wytwornym i najzgrabniejszym jeźdźcem ze wszystkich rycerzy. Z zadziwiającym wdziękiem trzymał kopię i władał nią pewną ręką, nie chybiał pierścienia. Wszakże pan de Vieilleville z nim rywalizował. Był taki moment, kiedy przypuszczano, że jemu przypadnie zwycięstwo. Miał o dwa pierścienie więcej niż król i pozostawało chwycić jeszcze trzy, lecz pan de. Vieilleville jako dobrze ułożony dworzanin jakimś nadzwyczajnym pechem chybił wszystkie trzy i król zdobył nagrodę.

Po otrzymaniu pierścienia wahał się przez chwilę, spojrzenie z żalem powędrowało ku Dianie de Poitiers, ale dar ofiarowała królowa, a zatem podał go świeżo poślubionej małżonce delfina, Marii Stuart.

W przerwie, która nastąpiła po pierwszych zawodach, spytał:

— Czy jest nadzieja na uratowanie pana d'Avallon?

— Oddycha jeszcze, Najjaśniejszy Panie — odpowiedziano — lecz nie ma szans na wyzdrowienie.

— Szkoda! — rzekł król. — Przejdźmy do walk gladiatorów. Walka gladiatorów była symulowaniem walki, ze wszystkimi wykrokami, wypadami i ewolucjami, wielce nowoczesna i rzadka w owej epoce, lecz z pewnością nie pobudzałaby interesująco wyobraźni dzisiejszego widza i czytelników tej książki.

Odsyłamy zatem do Brantôme'a tych, którzy byliby ciekawi poznać ataki i kontrataki dwunastu gladiatorów, z których sześciu było „odzianych w biały atłas, a sześciu w szkarłat wedle antycznej rzymskiej mody". Zaiste musiało to sprawiać nader historyczne wrażenie w stuleciu, kiedy jeszcze nie troszczono się o zachowanie kolorytu lokalnego.

Po zakończeniu pięknej walki wśród ogólnych oklasków poczyniono niezbędne przygotowania do rozpoczęcia gonitwy do pali.

Przy krańcu bariery, tam gdzie zgrupowali się dworzanie, wbito w ziemię kilka pali pięcio– czy sześciostopowych w pewnych od siebie odległościach. Należało podjechać galopem na koniu i okrążać w różnych kierunkach owe zaimprowizowane drzewa, nie dotykając żadnego i żadnego nie pomijając. Nagrodę stanowiła kunsztownie wykonana bransoleta. Na ośmiu wyznaczonych torach wyścigowych zaszczyt zdobycia trzech przypadł królowi, a generał de Bonnivet wygrał także na trzech. Dziewiąty i ostatni był decydujący, lecz pan de Bonnivet odnosił się do króla z nie mniejszym respektem niż pan de Vieilleville. Mimo najlepszych chęci ze strony konia dojechał dopiero trzeci, więc Henryk zdobył i tę nagrodę.

Król usiadł przy Dianie de Poitiers i na oczach wszystkich nałożył jej na rękę otrzymaną bransoletę.

Królowa pobladła ze wściekłości. Gaspard de Tavannes, który siedział za nią, nachylił się do ucha Katarzyny de Medici i rzekł:

— Madame, śledź mnie wzrokiem, dokąd idę, i patrz, co uczynię.

— Co chcesz uczynić, mój dzielny Gaspardzie? — spytała królowa.

— Odrąbać nos pani de Valentinois — chłodno i poważnie odpowiedział Tavannes.

Odchodził, kiedy Katarzyna powstrzymała go na poły przerażona, na poły zachwycona.

— Czy pomyślałeś, że byłbyś zgubiony?

— Pomyślałem, Madame, lecz ocaliłbym króla i Francję.

— Dziękuję, Gaspardzie — odrzekła Katarzyna. — Jesteś zarówno mężnym przyjacielem, jak i twardym żołnierzem. Jednak rozkazuję ci pozostać na miejscu, uzbrójmy się w cierpliwość.

C i e r p l i w o ś ć ! Katarzyna de Midici taką oto zasadą kierowała się dotąd w życiu. Ona, która później tak chętnie wysunęła się na pierwszy plan, nie okazywała w owych czasach aspiracji do wydobycia się z cienia. Czekała. Była wtedy zresztą w pełnym rozkwicie urody, której opis pan de Bourdeille pozostawił dla nas w najbardziej intymnych szczegółach. Przede wszystkim jednak unikała ich pokazywania i dzięki owej skromności nie naraziła się za życia małżonka na żadne obmowy. Jedynie ów brutal konetabl poważył się zwrócić uwagę króla na fakt, że po dziesięciu latach bezpłodności Katarzyna dała Francji dziesięcioro dzieci nie bardzo podobnych do ojca. Nikt inny nie miałby śmiałości pisnąć ani słowa przeciwko królowej.

Katarzyna owego dnia jak i kiedy indziej udawała, że nie zauważa względów, jakimi król otacza Dianę de Poitiers na oczach całego dworu, który wszystko wiedział.

Gdy już uspokoiła wybuch oburzenia marszałka, zaczęła rozmawiać z damami dworu o gonitwach, które się odbyły, o zręczności, jaką okazał Henryk.

VIII. SUKCES PODCZAS TURNIEJU

Turnieje miały się odbyć dopiero nazajutrz i w dalsze dni, lecz sporo dworzan przyszło prosić króla o zezwolenie na skruszenie kilku kopii ku jego czci i dla uciechy dam, bo godzina nie była jeszcze późna.

— Zgoda, panowie — odpowiedział oczywiście król. — Przychylam się z całego serca, chociaż może to być niedogodne dla kardynała Lotaryngii, który chyba nigdy jeszcze nie odebrał tak obfitej korespondencji jak od dwóch godzin, odkąd tu jesteśmy. Oto dwa listy naraz otrzymuje i bardzo nimi jest przejęty. Mniejsza o to! Później dowiemy się, w czym rzecz, a tymczasem kruszcie kopie. To będzie nagrodą dla zwycięzcy — dodał Henryk zdejmując z szyi złoty łańcuch. — Spisujcie się dobrze, panowie, i uważajcie! Jeśli rozgrywki będą, zapalczywe, mogę się wmieszać i starać się odebrać to, co ofiarowuję, tym bardziej że jestem coś winien pani de Castro. Pamiętajcie jednak, że punktualnie o szóstej walka musi być zakończona, a zwycięzca, ktokolwiek nim będzie, otrzyma nagrodę. Do dzieła, macie godzinę czasu na popisanie się pięknymi ciosami. Uważajcie szczególnie, żeby nikomu nie stało się nic złego. Jak się miewa pan d'Avallon?

— Niestety, Najjaśniejszy Panie, przed chwilą wyzionął ducha.

— Niech Bóg, ma w opiece jego duszę — westchnął Henryk. — Był to najgorliwszy w służbie dla mnie i najdzielniejszy ze wszystkich kapitanów gwardii. Kto mi go zastąpi? Ale damy czekają. Wkrótce rozpocznie się turniej. Ciekawe, kto otrzyma łańcuch z rąk królowej.

Hrabia de Pommerive wystąpił pierwszy, musiał on ulec panu de Burie, a po nim zajął miejsce marszałek d'Anville. Marszałek, silny i zwinny, trwał niezwyciężony w walce z pięcioma kolejnymi rycerzami.

Król nie mógł tęgo zdzierżyć i rzekł do marszałka:

— Zaraz się przekonam, czy przyrosłeś do pola turniejowego na całą wieczność, panie d'Anville.

Uzbroił się i zaraz w pierwszej gonitwie pan d'Anville wypuścił nogi ze strzemion. Następnie przyszła kolej na pana d'Aussun. Później już żaden więcej nie zgłosił się, by natrzeć na króla.

— Co to znaczy, panowie? — spytał Henryk. — Nikt z was nie chce ze mną walczyć? Czy przypadkiem nie oszczędzacie mnie? — dodał marszcząc czoło. — Gdybym przypuszczał, dalibóg! Jedynie król jest zwycięzcą, a przecież jedynym przywilejem jest zręczność. Atakujcie mnie odważnie, panowie.

Nikt jednak nie podejmował ryzyka, nikt nie chciał uczynić wypadu na króla. Obawiano się zarówno być zwycięzcą, jak i zwyciężonym.

Tymczasem król wielce się niecierpliwił. Może zaczął powątpiewać, czy jego przeciwnicy w poprzednich gonitwach Wykorzystali wszelkie swoje możliwości? Taka myśl pomniejszała w jego oczach własne zwycięstwo i przepełniała go złością.

Wreszcie nowy napastnik przeskoczył barierę. Nie patrząc, kto zacz, Henryk wyruszył na pole i rzucił się do walki. Obie kopie złamały się, król przez odrzut drzewca zachwiał się w siodle i musiał chwycić się łęku, przeciwnik trwał bez ruchu. W owej chwili wybiła szósta. Henryk został pokonany.

Zwinnie, okazując radość, zeskoczył z siodła, rzucił lejce w ręce giermka i podszedł do zwycięzcy. Ujął jego dłoń i poprowadził do królowej. Ku wielkiemu swojemu zdziwieniu ujrzał oblicze całkiem sobie nie znane. Był to zresztą kawaler pięknej, okazałej postawy, a wyraz twarzy miał pełen, godności. Nakładając łańcuch na szyję młodzieńca klęczącego przed nią,

królowa nie mogła się powstrzymać, by go nie zaszczycić uśmiechem.

On jednak, pokłoniwszy się głęboko, uczynił kilka kroków ku estradzie dworzan, zatrzymał się przed panią de Castro i jej ofiarował łańcuch, nagrodę zwycięzcy. Jeszcze rozbrzmiewały fanfary, więc nikt nie usłyszał dwóch okrzyków wydobywających się jednocześnie z dwojga ust:

— Gabriel!

— Diana!

Diana pobladła z radości i zaskoczenia, wzięła łańcuch drżącą ręką. Wszyscy myśleli, że nieznany jeździec słyszał, jak król obiecywał ofiarować ów łańcuch pani de Castro, i nie chciał sprawić zawodu pięknej damie. Uznano jego postępowanie za pełne galanterii i godne dobrze urodzonego kawalera. Nawet król nie inaczej to potraktował:

— Taka dworskość mnie wzrusza. Przypisuję sobie, że znam z nazwiska wszystkich swoich dworzan, a jednak przyznaję się, panie, że nie przypominam sobie, gdzie i kiedy cię widziałem. Byłoby mi przyjemnie dowiedzieć się, kto mi zadał przed chwilą tak silny cios, że nieomal wysadził mnie z siodła. Bogu dzięki, że mam dość silne nogi.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Gabriel — mam zaszczyt znajdować się w obecności Waszej Królewskiej Mości po raz pierwszy. Dotąd byłem w wojsku. W chwili obecnej przybywam z Italii. Nazywam się wicehrabia d'Exmès.

— Wicehrabia d'Exmès! Dobrze zapamiętam nazwisko mego zwycięzcy.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Gabriel — tam gdzie ty jesteś, nie ma innego zwycięzcy, czego chwalebne dowody przywożę Waszej Królewskiej Mości.

Dał znak. Marcin Guerre i dwaj inni zbrojni weszli za barierę z italskimi sztandarami i złożyli je u stóp króla.

— Oto sztandary zdobyte w Italii przez twoją armię, Sire — mówił Gabriel — przesyła ci je jego wysokość diuk de Guise. Jego eminencja kardynał de Lorraine zapewnił mnie, że Wasza Królewska Mość nie będziesz mi miał za złe, że złożę te trofea nieoczekiwanie w obecności dworu i ludu Francji, zainteresowanych świadków twojej sławy. Mam również honor złożyć w twoje ręce, Najjaśniejszy Panie, listy od pana diuka de Guise.

— Dziękuję, panie d'Exmès — odpowiedział król. — Tu więc kryje się tajemnica korespondencji pana kardynała. Owe listy akredytują ciebie przy naszej osobie, wicehrabio. Ale masz triumfalny sposób zaprezentowania się osobiście. Go ja tu czytam? Cztery sztandary spośród przywiezionych zdobyłeś sam. Nasz kuzyn de Guise uważa cię za jednego z najdzielniejszych dowódców. Panie d'Exmès, proś mnie, o co chcesz, przysięgam przed Bogiem, że otrzymasz to natychmiast.

— Najjaśniejszy Panie, jestem u szczytu szczęścia i poddaję się twojej łaskawości.

— Jesteś dowódcą u pana de Guise. Czy życzyłbyś sobie zająć takie stanowisko w naszej gwardii? Byłem w ambarasie kim zastąpić pana d'Avallon, który dzisiaj zmarł tak nieszczęśliwie. Teraz widzę, że będzie miał godnego następcę.

— Wasza Królewska Mość.

— Przyjmujesz? Załatwione. Jutro obejmujesz funkcje. Teraz powrócimy do Luwru. Opowiesz mi szczegółowiej o wojnie w Italii.

Gabriel pokłonił się.

Henryk dał rozkaz powrotu. Tłum rozpierzchł się krzycząc: „Niech żyje król!" Diana jakby cudem znalazła się na chwilę przy Gabrielu.

— Jutro, na wieczorze towarzyskim u królowej — rzekła cicho. Odeszła prowadzona przez jakiegoś kawalera, lecz dawnemu przyjacielowi pozostawiła nadzieję w sercu.

IX. MOŻNA PRZEJŚĆ OBOK SWEGO PRZEZNACZENIA NIC O TYM NIE WIEDZĄC

Wieczorne przyjęcie u królowej odbywało się zazwyczaj po kolacji. Pouczono Gabriela, że jego nowa godność dowódcy gwardii nie tylko go upoważniała do obecności, ale nawet zobowiązywała do pokazania się wśród dworzan. Ani mu się śniło zaniechać owego obowiązku. Jedyną troską było, że trzeba czekać aż dwadzieścia cztery godziny na jego wypełnienie. Widzimy więc, że w gorliwości i brawurze pan d'Avallon znalazł godnego zastępcę.

Chodziło o to, jak zabić czas, owe dwadzieścia, cztery godziny dzielące Gabriela od upragnionej chwili. Młodzieńca rozsadzała radość. Znał Paryż tylko przelotnie, kiedy przenosił się z jednego obozu do drugiego, nie znał go dokładnie, więc jeździł po mieście razem z Marcinem Guerre, szukając odpowiedniego pomieszczenia. Miał szczęście, nie opuszczała go dobra passa owego dnia: znalazł wolny dom, który zajmował niegdyś jego ojciec, hrabia de Montgomery. Wynajął go, choć był nieco za wspaniały jak na zwykłego kapitana gwardii. Gabriel liczył, że wywiąże się z kosztów. Napisał do wiernego Elyota, by mu nadesłał z Montgomery pewną kwotę. Wezwał także swą poczciwą piastunkę Alojzę, by zamieszkała z nim razem.

Pierwszy cel Gabriel osiągnął. Nie był już dzieckiem, lecz mężczyzną z nabytym doświadczeniem, ludzie musieli się z nim liczyć. Do znakomitości przodków dodał osobiście zdobytą sławę.

Samodzielnie, bez żadnego poparcia poza własną szpadą, bez żadnych rekomendacji poza własną odwagą, w wieku dwudziestu czterech lat doszedł do wybitnego stanowiska. Mógł wreszcie z dumą ofiarować siebie umiłowanej i wystąpić przeciw tym, którym winien nienawiść. Alojza pomoże ich rozpoznać, a ukochaną sam już odnalazł.

Gabriel usnął z zadowoleniem w sercu i spał dobrze.

Następnego dnia miał się zgłosić u pana de Soissy, wielkiego koniuszego koronnego, żeby mu się wykazać szlacheckim pochodzeniem. Pan de Soissy, prawy człowiek, był niegdyś przyjacielem hrabiego de Montgomery. Zrozumiał powody, dla których Gabriel wolał ukrywać swój prawdziwy tytuł, i dał słowo, że dochowa sekretu.

Później marszałek d'Amville przedstawił wicehrabiego jego kompanii. Gabriel natychmiast rozpoczął służbę od zwiedzania i inspekcji koronnych więzień w Paryżu. Było to przykre polecenie, lecz wchodziło w zakres jego obowiązków raz na miesiąc.

Rozpoczął od Bastylii, a skończył na Châtelet.

Naczelnik przedkładał mu listę więźniów i meldował, kto zmarł, kto choruje, kto został przeniesiony lub wypuszczony na wolność. Następnie kazał maszerować więźniom podczas przeglądu, była to smutna defilada, posępne widowisko. Gabriel przypuszczał, że to już koniec, kiedy naczelnik Châtelet pokazał mu w rejestrze prawie pustą stronicę, która nosiła li tylko dziwną notatkę, co uderzyło Gabriela. Nr. 21. X… tajny więzień. Jeśli spróbuje mówić podczas wizytacji naczelnika lub dowódcy gwardii, należy go przenieść do głębszego i jeszcze sroższego lochu.

— Co to za taki ważny więzień? Czy mogę wiedzieć? — spytał Gabriel pana de Salvoison, naczelnika Châtelet.

— Nikt nie wie — odpowiedział naczelnik więzienia. — Przejąłem go od swojego poprzednika, a on wcześniej od swego. Widzisz, panie, że nie wpisano jego daty wejścia tutaj. Pewnie przywieziono go za panowania Franciszka I. Opowiadano mi, że dwa lub trzy razy usiłował coś powiedzieć. Lecz już przy pierwszym jego słowie pod groźbą najsroższych kar

naczelnik był zobowiązany zamknąć drzwi lochu i przenieść go do gorszego pomieszczenia, co też uczyniono. Jest tutaj jeden loch jeszcze straszliwszy, tam czekałaby go śmierć. Chciano widocznie do tego doprowadzić, ale teraz więzień milczy. Jest to bez wątpienia jakiś groźny przestępca. Stale przebywa w kajdanach, a jego strażnik często schodzi do lochu, żeby zapobiec możliwości ucieczki.

— A gdyby coś rzekł strażnikowi? — spytał Gabriel.

— Wzięto na strażnika głuchoniemego urodzonego w Châtelet, który nigdy stąd nie wychodzi.

Gabriela przeniknął dreszcz. Ów człowiek całkowicie odosobniony od świata żyjących, który żył jednak i myślał, wzbudzał w nim litość pomieszaną ze zgrozą. Jakie myśli lub wyrzuty sumienia, jaka obawa przed piekłem lub wiara w niebo mogły powstrzymać tak nędzną istotę od rozbicia sobie głowy o mury więzienia? Co go trzymało jeszcze przy życiu: zemsta czy nadzieja?

Gabriel odczuwał niespokojne pragnienie ujrzenia owego człowieka. Serce mu łomotało tak mocno jak w chwilach, kiedy miał widzieć się z Dianą. Dopiero co odwiedził stu więźniów z miernym współczuciem. Ale ten skazaniec pociągał go i wzruszał więcej niż inni. Niepokój ściskał mu serce, gdy myślał o jego życiu jak w grobie.

— Chodźmy do numeru 21 — rzekł do naczelnika tonem pełnym szczególnego wzruszenia.

Zeszli po kilkunastu ciemnych i wilgotnych stopniach, minęli kilka sklepień podobnych do okropnych kręgów dantejskiego piekła, wreszcie naczelnik zatrzymał się przed żelaznymi drzwiami i rzekł:

— To tutaj. Nie widzę strażnika. Pewnie jest w środku. Mam drugie klucze, wejdźmy.

Otworzył i weszli przy blasku latarni, którą trzymał klucznik.

Gabriel ogarnął wzrokiem cichy, przerażający widok, jaki się zjawia li tylko w koszmarnych majakach gorączki. Ściany całe z kamienia, czarnego kamienia, omszałego i cuchnącego, gdyż ów posępny loch był wyżłobiony poniżej łożyska Sekwany, a kiedy wody jej przybierały, zatapiały podziemie do połowy. Po ponurych ścianach pełzały lepkie żyjątka. W lodowatym powietrzu nie rozlegał się żaden szmer poza kapaniem wody, która spadała regularnymi głuchymi kroplami z ohydnego sklepienia.

Mniej żywotne niż owe krople, a trochę żywsze niż nieruchome mięczaki przebywały tam dwie istoty ludzkie, ponure i nieme jak one.

Strażnik–idiota, olbrzym o głupkowatych oczach i bladej cerze, stał w mroku patrząc otępiałym wzrokiem na więźnia, leżącego w kącie na słomie z rękami i nogami przykutymi do ściany. Był to starzec o siwych włosach i siwej brodzie. Kiedy weszli, zdawało się, że śpi, nie poruszył się. Można było myśleć, że to trup lub posąg.

Wtem podniósł się na legowisku, otworzył oczy i przykuł spojrzenie do wzroku Gabriela.

Zabroniono mu mówić, lecz jego dostojne i piorunujące spojrzenie było wymowne. Gabriel stał jak zafascynowany. Naczelnik więzienia wraz z klucznikiem obchodzili wszystkie zakątki lochu. Gabriel wrosły w ziemię nie szedł za nimi, nie poruszał się. Stał jak przygwożdżony oczyma owego mężczyzny. Nie mógł oderwać wzroku od niego, równocześnie nawał dziwnych i nie wyrażonych myśli krążył po jego głowie.

Więzień przyglądał się przybyszowi wcale nie obojętnie i był nawet moment, kiedy uczynił gest i otwarł usta, jakby miał przemówić. Ale naczelnik więzienia odwrócił się. Starzec przypomniał sobie na czas o obowiązującym zakazie. Usta jego rozchyliły się tylko w gorzkim uśmiechu. Znowu zamknął oczy i popadł na nowo w kamienną nieruchomość.

— Wyjdźmy stąd! — rzekł Gabriel do naczelnika. — Wyjdźmy, na litość boską, odczuwam potrzebę świeżego powietrza i słońca.

Dopiero wtedy, gdy znalazł się na ulicy, w tłumie i hałasie, odzyskał spokój i można by rzec, powrócił do życia. Posępna wizja jeszcze w nim tkwiła i prześladowała go przez dzień cały, gdy

jechał zamyślony wzdłuż piaszczystego brzegu.

Coś mu mówiło, że los owego nieszczęsnego więźnia go dotyczy i że zaszło coś nader ważnego w jego życiu. Wreszcie znużony tajemnym przeczuciem, skierował się ku barierom Tournelles, bo zmrok miał już zapaść. Turnieje wyznaczone na ów dzień, w których Gabriel nie brał udziału, dobiegały końca. Gabriel mógł popatrzeć na Dianę i ona go dostrzegła. Wymiana spojrzeń rozproszyła mroki jego serca niczym promień słońca przebijający się przez chmury. Gabriel zapomniał o posępnym więźniu widzianym za dnia, aby myśleć już tylko o dziewczynie olśniewającej urody, z którą miał się zobaczyć wieczorem.

X. SCENA LIRYCZNA PODCZAS KOMEDII

Była to tradycja sięgająca czasów Franciszka I. Co najmniej trzykroć w ciągu tygodnia król, dworzanie i damy dworu zbierali się wieczorem w komnacie królowej. Tam swobodnie, a niekiedy nawet frywolnie rozprawiano o wydarzeniach dnia. Podczas ogólnej rozmowy nawiązywały się pogawędki we dwoje i jak pisze Brantôme: „tam gdzie znajdowała się grupa niewiast — boginek, każdy wielmoża i rycerz rozmawiał z ową, którą najbardziej miłował". Czasem odbywał się bal lub przedstawienie.

Na takie zebranie towarzyskie miał udać się owego wieczoru nasz przyjaciel Gabriel. Wbrew swoim zwyczajom wystroił się i uperfumował, aby przedstawić się korzystniej oczom tej, którą „najbardziej miłował", jeśli będziemy się stale wyrażali językiem Brantôme'a.

Do radości Gabriela wmieszał się niepokój. Ogólnikowe i złowróżbnie brzmiące słowa szeptane w jego pobliżu o mających się odbyć zaślubinach Diany budziły w nim duchową rozterkę. Pochłonięty całkowicie szczęściem, jakie odczuwał na widok Diany, pełen wiary, że w jej spojrzeniach odnajduje dawną czułość, prawie zapomniał o liście kardynała de Lorraine, który przecież zmusił go do natychmiastowego wyjazdu z Italii. Jednak wieści krążące wokoło, łączenie nazwisk Diany de Castro i Franciszka de Montmorency, co słyszał aż nazbyt wyraźnie, pobudziły jego uczucia. Czyżby Diana zgadzała się na owo wstrętne małżeństwo? Czyżby kochała Franciszka? Rozdzierało mu duszę zwątpienie, którego wieczorne spotkanie może całkiem nie rozproszy?

Gabriel postanowił przeto wypytać na ten temat Marcina Guerre, który zawarł już niejedną znajomość i jako giermek mógł wiedzieć więcej niż jego pan. Można bowiem powszechnie zaobserwować zjawisko akustyczne, że odgłosy wszelkiego rodzaju o wiele lepiej słychać na dole niż na górze i że echo rozlega się jedynie w dolinach. Postanowienie hrabiego d'Exmès narodziło się zresztą tym bardziej na czasie, że Marcin Guerre ze swej strony przyrzekł sobie wypytać pana. Zainteresowanie wicehrabiego Dianą nie uszło jego uwagi. Jego zdaniem pan nie miał prawa ukrywać swoich uczuć i czynów przed wiernym sługą, nie opuszczającym go ani na chwilę od pięciu lat, a przy tym przed człowiekiem, który ocalił mu życie.

Z tej obustronnej zgodnej decyzji i z rozmowy, która nastąpiła, wynikło dla Gabriela, że Diana de Castro nie kocha Franciszka de Montmorency, a dla Marcina Guerre, że Gabriel kocha Dianę de Castro.

Owa podwójna konkluzja tak rozradowała ich obu, że Gabriel przybył do Luwru na godzinę przed otwarciem bram, a Marcin Guerre ku czci ukochanej królewny wicehrabiego pojechał natychmiast do dworskiego krawca, by kupić kubrak z brunatnego sukna i spodnie do kolan z żółtego trykotu. Zapłacił rachunek i natychmiast przebrał się w nowy strój, żeby go obnosić wieczorem po antyszambrach Luwru, gdzie musiał czekać na swego pana.

Toteż krawiec był nader zdziwiony, kiedy w pół godziny później zjawił się znowu Marcin Guerre inaczej ubrany. Krawiec głośno wyraził zdziwienie. Marcin Guerre mu odrzekł, że wieczór wydał mu się chłodnawy, uważał zatem, że należy ubrać się cieplej. Poza tym tak był zadowolony z kubraka i spodni, że przyszedł prosić krawca o sprzedanie lub sporządzenie drugiego ubioru z tego samego sukna, takiegoż kroju. Na próżno kupiec mu perswadował, że będzie wyglądał tak, jakby stale nosił jedno ubranie, że raczej należy zamówić odmienny strój, na przykład żółty kubrak i brunatne spodnie, skoro lubi owe barwy. Marcin Guerre nie chciał odstąpić od swych zamiarów i krawiec musiał mu przyrzec, że nie będzie żadnej odmiany w odcieniu stroju i że uszyje go szybko, bo nie miał drugiego gotowego. Na to zamówienie

„Marcin, Guerre zażądał kredytu. Tak pięknie wywiązał się z zapłaty za pierwszym razem, był wszak giermkiem wicehrabiego d'Exmès, kapitana gwardii królewskiej. Krawiec żywił bezgraniczne zaufanie, stanowiące historyczny wkład w zawód w owych czasach. Zgodził się na kredyt i obiecał na dzień następny drugi komplet odzieży.

Upłynęła już godzina, podczas której Gabriel krążył u wejścia do raju. Wraz z innymi panami i damami wszedł do apartamentów królowej.

Natychmiast dostrzegł Dianę: siedziała obok królowej następczyni tronu, jak od dnia zaślubin nazywano Marię Stuart.

Gdyby nowo przybyły zbliżył się do niej natychmiast, byłoby to nader śmiałe i nieco nierozważne. Gabriel zrezygnował i czekał na sprzyjający moment, kiedy rozmowa się ożywi i rozproszy uwagę obecnych. Tymczasem wdał się w pogawędkę z młodym, bladym panem o delikatnym wyglądzie, którego przypadek z nim zetknął. Po chwili rozmowy na błahe tematy, taką też wydawała się jego osoba, młody kawaler zapytał Gabriela.

— Z kim mam honor, panie?

— Zwę się wicehrabia d'Exmès — odpowiedział Gabriel. — A gdybym śmiał zadać takie samo pytanie?

Młodzieniec spojrzał ze zdziwieniem i odrzekł:

— Jestem Franciszek de Montmorency.

Gdyby rzekł: „Jestem szatanem", Gabriel odsunąłby się z mniejszym pośpiechem i przerażeniem. Franciszek nie odznaczał się bystrą inteligencją, zdziwił się, ponieważ jednak nie lubił natężać głowy, zaniechał rozwikłania zagadki i poszedł szukać gdzie indziej nieco mniej gwałtownych rozmówców.

Gabriel usiłował skierować się w stronę Diany de Castro, lecz powstrzymało go wielkie zamieszanie w pobliżu króla. Henryk II oznajmił, że pragnie zakończyć dzień niespodzianką dla pań. Polecił zorganizować teatr w galerii, gdzie zostanie wystawiona komedia w pięciu aktach wierszem pana Jana Antoniego de Baif, pod tytułem *Śmiałek*. Naturalnie wszyscy przyjęli nowinę podziękowaniami i oklaskami. Panowie podawali rękę damom i prowadzili je do sąsiedniej sali, — gdzie urządzono scenę. Gabriel za późno podszedł do Diany i mógł jedynie znaleźć miejsce niedaleko od niej z tyłu za królową.

Katarzyna de Medici spostrzegła go i przywołała: musiał stanąć przed nią.

— Panie d'Exmès — rzekła — dlaczego nie widzieliśmy ciebie dzisiaj na turnieju?

— Madame — odpowiedział Gabriel — przeszkodziły mi obowiązki, jakie jego królewską mość raczył mi powierzyć.

— To niedobrze — mówiła Katarzyna z czarującym uśmiechem — jesteś z pewnością jednym z naszych najśmielszych i najzręczniejszych jeźdźców. Wczoraj sprawiłeś, że król się zachwiał, co jest rzadkością. Byłoby mi przyjemnie znowu oglądać twoje wyczyny.

Gabriel pokłonił się zakłopotany komplementami, na które nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Czy znasz sztukę, która będzie wystawiona? — mówiła dalej Katarzyna, łaskawie odnosząc się do pięknego a nieśmiałego młodzieńca.

— Znam ją tylko po łacinie odrzekł Gabriel. — Jak wiem, jest to zwykłe naśladownictwo sztuki Terencjusza.

— Miarkuję, że jesteś równie wykształcony jak i waleczny, równie obrotny w literaturze jak zręczny w kruszeniu kopii.

Wszystko to było wypowiedziane półgłosem, a słowom towarzyszyły bynajmniej nie okrutne spojrzenia. Z pewnością w owej chwili serce Katarzyny nie było nikim zajęte. Lecz Gabriel prostoduszny podobnie jak Hipolit Eurypidesa przyjmował awanse królowej ze zmieszaną miną i zmarszczonym czołem. Niewdzięcznik! Jednak owej życzliwości, którą z początku przyjmował z

niechęcią, miał zawdzięczać nie tylko miejsce, o które ubiegał się od tak dawna przy Dianie, lecz jeszcze pełne uroku dąsy ujawniające miłość zazdrośnicy.

W rzeczy samej kiedy wedle zwyczaju w prologu proszono o pobłażliwość audytorium dla sztuki, Katarzyna rzekła do Gabriela:

— Usiądź za mną, między dworkami, znawco literatury, żebym, mogła w razie potrzeby odwołać się do twej wiedzy.

Pani de Castro wybrała miejsce na skraju rzędu, przy przejściu. Pokłoniwszy się królowej, Gabriel wziął taboret i usiadł skromnie w owym przejściu obok Diany, jakby nie chciał nikomu przeszkadzać.

Rozpoczęła się komedia.

Jak już Gabriel rzekł do królowej, było to naśladownictwo *Eunucha* Terencjusza. Sztuka była skomponowana wierszem ośmiozgłoskowym i wiernie oddana z całą naiwną pedanterią owych czasów. Powstrzymamy się od jej analizowania. Byłoby to zresztą anachronizmem, w tamtej prymitywnej epoce nie znano jeszcze krytyki i sprawozdań teatralnych. Wystarczy przypomnieć, że główną postacią sztuki jest mężczyzna udający śmiałka, żołnierz — fanfaron, który pozwala się oszukiwać i znęcać nad sobą darmozjadowi.

Otóż od początku sztuki wielu stronników książąt de Guise siedzących w sali dopatrywało się konetabla de Montmorency w starym, śmiesznym rębaczu–fanfaronie. Stronnicy zaś konetabla chcieli doszukać się ambicji diuka de Guise w samochwalcy–pyszałku. A zatem każda scena była satyrą i każdy dowcip aluzją. Obie partie śmiały się na głos, wytykano siebie nawzajem palcami i prawdę rzekłszy komedia rozgrywająca się na sali była nie mniej zabawna od przedstawianej na estradzie przez aktorów.

Nasi zakochani korzystali z zainteresowania przedstawieniem obu rywalizujących stronnictw. Ich miłość mogła zgodnie przemawiać wśród krzyków i szyderstw. Najpierw oboje po cichu wymówili swe imiona. Było to święte zaklęcie.

— Diano!

— Gabrielu!

— Poślubisz wkrótce Franciszka de Montmorency?

— Jesteś mocno zaawansowany w łaskach u królowej?

— Słyszałaś, że to ona mnie przywołała do siebie. — Wiesz, że to król życzy sobie tego związku.

— Ale zgadzasz się na to, Diano?

— Słuchasz Katarzyny, Gabrielu?

— Jedno słowo! Jedyne! — rzekł Gabriel. — Interesuje cię, że inna wystawia mnie na próbę? Widać obchodzi cię to, co dzieje się w moim sercu!

— Obchodzi mnie o tyle, o ile ciebie obchodzi, co dzieje się w moim — odpowiedziała Diana.

— A więc pozwól sobie rzec, Diano, że jesteś zazdrosna, jeśli to samo czujesz co ja. Jeśli tak jest, to miłujesz mnie szaleńczo, do nieprzytomności.

— Panie d'Exmès, panie d'Exmès, zwę się pani de Castro — przywołała Gabriela do porządku Diana, która pragnęła okazać się surowa.

— Czyż nie jesteś wdową, pani? Czy nie jesteś wolna?

— Niestety, wolna.

— Wzdychasz, Diano. Przyznaj się, że dziecięce uczucie, które owionęło czarem nasze najmłodsze lata, pozostawiło jakiś ślad w sercu dorosłej dziewczyny. Przyznaj się, Diano, że jeszcze miłujesz mnie trochę. Nie lękaj się, że cię ktoś usłyszy, wszyscy wokół są pochłonięci żartami z owego darmozjada, niczego innego nie słuchają chętniej i śmieją się. Uśmiechnij się do mnie i odpowiedz, Diano, czy mnie miłujesz?

— Cicho, sza! Czy nie widzisz, że akt się skończył? — rzekło przekorne dziewczę. — Poczekaj przynajmniej na dalszy ciąg sztuki.

Antrakt trwał dziesięć minut, dziesięć stuleci! Na szczęście Katarzyna zajęta Marią Stuart nie przyzwała Gabriela. Byłby gotów nie pójść, choć byłoby to dla niego zgubą!

Gdy komedia zaczęła się na nowo wśród śmiechów i hałaśliwych oklasków, Gabriel spytał:

— A więc?

— Słucham? — odrzekła Diana udając roztargnienie dalekie od prawdy w jej sercu. — Chyba mnie pytałeś, czy cię kocham. Czyż nie odpowiedziałam ci przed chwilą: „Kocham cię tak jak ty mnie”?

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? — wyszeptał Gabriel. — Czy wiesz, jak daleko posuwa się moja miłość, o której mówisz, że jest podobna do twojej?

— Jeśli chcesz, bym się o tym dowiedziała, to mi o niej opowiedz — rzekła filuternie.

— A zatem posłuchaj, Diano. Przekonasz się, że od sześciu lat, odkąd rozstałem się z tobą, przez cały czas moje działanie zmierzało do zetknięcia się z tobą. Dopiero po przybyciu do Paryża, w miesiąc po twoim wyjeździe z Vimoutiers dowiedziałem się, kim jesteś: córką króla i pani de Valentinois. Przerażał mnie nie twój tytuł królewny, lecz tytuł małżonki diuka de Castro. Jednak coś mi szeptało: „To nieważne! Zbliż się do niej, zdobądź rozgłos, niech któregoś dnia przynajmniej usłyszy twoje imię i niech cię podziwia do tego stopnia, w jakim dla innych będziesz postrachem”. Tak myślałem, Diano, i oddałem się na usługi diukowi de Guise, bo wydawał mi się najodpowiedniejszy, bym dzięki niemu szybko i skutecznie mógł osiągnąć cel: sławę, o którą tak zabiegałem. Istotnie w następnym roku zamknąłem się razem z nim w murach Metzu, gdzie pozostałem, żeby wznieść na nowo wały obronne i naprawić uszkodzenia spowodowane sześćdziesięcioma pięcioma dniami oblężenia. Tam dowiedziałem się o zdobyciu Hesdin przez wojska cesarskie i o śmierci twego małżonka, diuka de Castro. Nawet cię nie ujrzał po raz wtóry, Diano. Współczułem mu, a jak walczyłem w Renty, zapytasz pana de Guise, Byłem także pod Abbeville, pod Dinant, pod Bavay i pod „Cateau–Cambrésis. Wszędzie tam byłem, gdzie rozbrzmiewały strzały z muszkietów, i mogę rzec, że nie dokonało się nic chwalebnego za tego panowania, w czym nie miałbym udziału.

Po chwili milczenia Gabriel opowiadał dalej:

— Kiedy nastąpiło zawieszenie broni w Vaucelles, przyjechałem do Paryża, ale przebywałaś ciągle w klasztorze, Diano. Przymusowy odpoczynek nużył mnie wielce, gdy na szczęście rozejm zerwano. Diuk de Guise, który już się ze mną liczył, zapytał, czy nie chciałbym z nim wyruszyć do Italii. Jakżebym nie chciał! W zimie przekroczyliśmy Alpy, przeszliśmy przez księstwo — mediolańskie, Walencja została zdobyta. Piacenza i księstwo Parmy stały przed nami otworem. W triumfalnym marszu przez Toskanię i państwo kościelne doszliśmy do Abruzzów. Jednak panu de Guise brakło pieniędzy i wojsk. Zdobył mimo to Kampalę i oblega Civitellę. Niestety, nastąpiło rozprzężenie w armii, wyprawa zdana na kompromis. Pod Civitellą z listu jego eminencji de Lorraine do brata dowiedziałem się o projekcie twoich zaślubin z Franciszkiem de Montmorency.

Nie miałem już nic do zdziałania po tamtej stronie Alp. Pan de Guise uważał tak samo, otrzymałem zatem dzięki jego dobroci zezwolenie na powrót do Francji, zaopatrzył mnie we wpływowy list polecający. Przywiozłem królowi zdobyte sztandary. Jedyną moją ambicją było jednak ciebie ujrzeć, Diano, z tobą rozmawiać, dowiedzieć się, czy z własnej woli zawierasz związek małżeński. Teraz, kiedy ci już opowiedziałem o bitwach i trudach w ciągu sześciu lat, zapytuję: czy miłujesz mnie tak jak ja ciebie?

— Przyjacielu — zwróciła się doń czule pani de Castro — teraz ja ci opowiem o swoim życiu. Gdy przybyłam jako dwunastoletnia dziewczynka na dwór królewski, pierwsze chwile wypełniły

zdumienie i ciekawość. Potem ogarnęła mnie tęsknota, ciążyły mi złote okowy takiego życia, gorzko żałowałam naszych łąk i lasów w Vimoutiers i w Montgomery. Co wieczór zasypiałam spłakana, Gabrielu. Król — ojciec był jednak dobry dla mnie, starałam się odpłacać miłością za jego przywiązanie. Ale gdzie się podziała moja swoboda? Gdzie była Alojza? Gdzie byłeś ty, Gabrielu? Nie widywałam codziennie króla. Pani de Valentinois była wobec mnie oschła i nieprzystępna, zdawała się mnie prawie unikać, a ja odczuwam potrzebę kochania. Pamiętasz, Gabrielu, jak lubię być kochana? Przez pierwszy rok wiele wycierpiałam, mój przyjacielu.

— Drogie moje biedactwo! — rzekł wzruszony Gabriel.

— W tym czasie, gdy ty walczyłeś, ja tęskniłam. Mężczyzna działa, a niewiasta czeka, taki już los. Ale czasami trudniej jest czekać niż działać. Od pierwszego roku w samotności śmierć diuka uczyniła mnie wdową, a król odesłał mnie do klasztoru Filles–Dieu, bym tam przeczekała okres żałoby. Pobożne i spokojne życie w klasztorze bardziej odpowiadało mojej naturze niż intrygi i ciągły ruch na dworze. Toteż kiedy żałoba dobiegła końca, poprosiłam króla o zezwolenie na pozostanie w klasztorze, na co się zgodził. Tam mnie przynajmniej lubiono. Zwłaszcza dobra siostra Monika przypominała mi Alojzę. Wymieniam jej imię, Gabrielu, żebyś też ją lubił. Nie tylko byłam czule kochana przez wszystkie siostry, ale jeszcze mogłam tam marzyć. Miałam dość czasu i prawo do tego. Byłam wolna, a kto wypełniał moje marzenia wysnute z przeszłości i sięgające w przyszłość? Zgadujesz, przyjacielu?

Gabriel uspokojony i oczarowany odpowiedział namiętnym spojrzeniem. Na szczęście scena komedii była wielce interesująca. Fanfaron został okropnie wyśmiany, a stronnicy diuków de Guise i stronnicy konetabla de Montmorency rozpływali się z radości. Dwoje kochanków nie czułoby się bardziej samotnie na pustyni.

— Minęło pięć lat w spokoju i nadziei — opowiadała Diana. — Spotkało mnie jedno nieszczęście, utrata Enguerranda, przybranego ojca. Następny cios nie dał na siebie długo czekać. Król wezwał mnie do siebie i zawiadomił, że przeznaczył mi na małżonka Franciszka de Montmorency. Opierałam się, Gabrielu, nie jestem już dzieckiem, które nie wie, co czyni. Sprzeciwiłam się. Ojciec jednak mnie błagał, wykazał mi, że związek małżeński wyjdzie na dobre królestwu. Bez wątpienia o mnie zapomniałeś… To król tak twierdził, Gabrielu. No bo gdzie przebywałeś? Kim jesteś? Mówiąc pokrótce król tak bardzo napierał, błagał… Wczoraj, tak, wczoraj przyrzekłam to, czego chciał, lecz pod warunkiem: po pierwsze, że moja udręka odwlecze się na trzy miesiące, a po drugie, że dowiem się, co się z tobą dzieje.

— W końcu jednak przyrzekłaś? — zapytał Gabriel blednąc.

— Tak, bo ciebie tak długo nie widziałam. Nie przypuszczałam, że tego samego dnia niespodziane z tobą spotkanie wywoła we mnie rozkoszne i bolesne wzruszenia. Poznałam cię, Gabrielu, piękniejszym i dumniejszym niż dawniej, a przecież takim samym. Poczułam natychmiast, że obietnica dana królowi jest niczym i zaślubiny z Franciszkiem niemożliwe, że moje życie do ciebie należy, i jeśli mnie kochasz jeszcze, miłuję cię na zawsze. Przyznaj, że nie pozostaję za tobą w tyle, że nic nie możesz zarzucić mojemu postępowaniu.

— Jesteś aniołem, Diano! Wszystko, co uczyniłem, żeby na ciebie zasłużyć, jest niczym.

— Słuchaj, Gabrielu. Skoro teraz los nas do siebie zbliżył, rozważmy, jakie przeszkody nas jeszcze rozdzielają. Król jest ambitny, jeśli chodzi o córkę, a rody de Castro i de Montmorency uczyniły go, niestety, wymagającym.

— Co do tego bądź spokojna, Diano. Ród, z którego pochodzę, w niczym im nie ustępuje i nie po raz pierwszy wszedłby w koligacje z rodem panującym.

— Naprawdę, Gabrielu? Przepełniasz mnie radością. Nie znam się na herbach, jak słusznie mniemasz. Nie znam wcale rodu d'Exmès. Tam, w Vimoutiers, nazywałam cię Gabrielem, nie było dla mego serca słodszego imienia. Lubię to miano, a jeśli sądzisz, że twe nazwisko zadowoli

króla, wszystko będzie — dobrze, jestem szczęśliwa. Czy zwiesz się Exmès, czy Guise, czy Montgomery… bylebyś nie nazywał się Montgomery, wszystko będzie dobrze.

— A czemu nie powinienem pochodzić z rodu Montgomerych? — spytał przerażony Gabriel.

— Ród Montgomerych, naszych sąsiadów stamtąd, chyba wyrządził jakąś krzywdę królowi, bo czuje do nich wielką urazę.

— Naprawdę? — spytał Gabriel z uciskiem w piersi. — Jak to jest? Czy ród Montgomerych skrzywdził króla, czy też król wyrządził zło rodowi Montgomerych?

— Mój ojciec jest za dobry, żeby był niesprawiedliwym, Gabrielu.

— Dobry dla córki, ale wobec wrogów…

— Może być zawzięty, jak i ty jesteś przeciw królowi i rodowi de France. Ale mniejsza o to. Co nas obchodzi ród Montgomerych, Gabrielu?

— Gdybym był jednak jednym z Montgomerych, Diano? — Nie mów tak, przyjacielu, — Ale gdyby tak było?

— Gdyby tak było, gdybym znalazła się między ojcem a tobą, rzuciłabym się do stóp obrażonego, bez względu na to, kto nim jest, płakałabym i błagała tak długo, aż ojciec przebaczyłby tobie ze względu na mnie, a ty przebaczyłbyś memu ojcu za moją przyczyną.

— Twój głos znaczy tak wiele, Diano, że z pewnością obrażony ustąpiłby tobie, gdyby nie chodziło o przelaną krew, gdyż tylko krew zmywa krew! — Przerażasz mnie Gabrielu! Już zbyt długo przewleka się próba, bo to była tylko próba, nieprawdaż?

— Tak, Diano, zwykła próba. Oby Bóg pozwolił, by to była jedynie próba — wyszeptał do siebie.

— I nie ma, nie może być nienawiści między moim ojcem a tobą?

— Mam nadzieję, Diano. Zanadto bym cierpiał, gdybym zadał ci ból.

— Dobrze, Gabrielu. Ty masz nadzieję, a ja także spodziewam się uzyskać od ojca zgodę na niezawarcie małżeństwa, które byłoby dla mnie śmiercią. Tak potężny król może dać jakieś inne zadośćuczynienie Montmorencym.

— Nie, Diano, żadne skarby i godności nie zdołają wynagrodzić utraty ciebie.

— Tak to ujmujesz? W porządku, obudziłeś we mnie obawę, lecz nie lękaj się, Gabrielu. Franciszek de Montmorency nie myśli tak samo jak ty, Bogu dzięki. Zamiast twojej biednej Diany będzie wolał buławę marszałka. Po uzyskaniu jego zgody na taką zaszczytną zamianę ostrożnie przygotuję króla. Przypomnę mu koligacje królewskie z rodem d'Exmès i twoje osobiste zasługi wojenne… — urwała — Mój Boże! Już chyba sztuka dobiega końca.

— Pięć aktów to za mało — dodał Gabriel. — Masz rację, Diano, oto epilog, który zaraz streści fabułę.

— Na szczęście powiedzieliśmy sobie prawie wszystko, co mieliśmy do powiedzenia.

— Nie wyraziłem ani setnej części tego, co chciałem.

— Ani ja, w rzeczy samej. A awanse królowej…

— Niedobra!

— To ona niedobra, bo uśmiecha się do ciebie, a nie ja, która cię łaję, słyszysz? Nie wdawaj się z nią w pogawędkę dzisiaj wieczorem, nie pozwalam!

— Nie pozwalasz? Jaka jesteś dobra! Nie, nie będę z nią rozmawiał. Epilog już także się skończył. Niestety! Do zobaczenia wkrótce, Diano. Rzeknij mi na ostatek słówko dla otuchy i pociechy, Diano.

— Do zobaczenia wkrótce, Gabrielu; mój mężulku na zawsze — wyszeptała dziewczyna do ucha zachwyconego Gabriela.

Wmieszała się w śpieszący, hałaśliwy tłum. Gabriel wymknął się cichaczem drugą stroną, żeby zgodnie z przyrzeczeniem uniknąć spotkania z królową. Co za wzruszająca wierność

przysięgom! Wyszedł z Luwru z przekonaniem, że Jan Antoni de Baif jest bardzo wielkim człowiekiem i że nigdy jeszcze przedstawienie teatralne nie sprawiło mu większej przyjemności.

Przechodząc przez przedpokój zabrał Marcina Guerre, który czekał w brunatnej nowej odzieży.

— Czy widziałeś panią d'Angoulême, dostojny panie? — spytał giermek swego pana, gdy znaleźli się na ulicy.

— Widziałem ją — odrzekł rozmarzony Gabriel.

— A pani d'Angoulême stale kocha pana wicehrabiego? — pytał Marcin widząc, że Gabriel jest w dobrym nastroju.

— Kto ci to mówi, łobuzie? Z czego wnioskujesz, że pani de Castro mnie kocha i że ja kocham jedynie panią de Castro? Milcz, błaźnie!

— Świetnie! — wyszeptał Marcin. — Wasza Wielmożność ma wzajemność. Gdyby nie, to wzdychałby i nie lżyłby mnie. Wasza Wielmożność jest zakochany. Gdyby tak nie było, zauważyłby, że mam nowy płaszcz z kapturem i nowe spodnie.

— Co mi prawisz o spodniach i płaszczu? W rzeczy samej, nie miałeś przedtem takiej peleryny.

— Nie, Wasza Wielmożność. Kupiłem nową odzież dzisiaj wieczorem, żeby uczcić swego pana i jego panią. Zapłaciłem gotówką, gdyż moja żona Bertranda uformowała we mnie zamiłowanie do porządku, oszczędności, umiarkowania, czystości obyczajów i innych cnót. Muszę jej oddać sprawiedliwość. Gdybym umiał ją skłonić do łagodności, bylibyśmy najszczęśliwszą parą małżeńską na świecie.

— Dobrze, gaduło, zwrócę ci ów wydatek, bo dla mnie naraziłeś się na koszty.

— Co za szczodrość, Wasza Wielmożność. Skoro życzysz sobie zachować tajemnicę, nie dawaj mi nowego dowodu, że zarówno kochasz, jak i jesteś kochany. Nikt nie wypróżnia chętnie sakiewki, kiedy nie ma serca przepełnionego radością. Zresztą pan wicehrabia zna Marcina i wie, że można mu zaufać. Wierny i niemy jak szpada, którą nosi!

— Zgoda, ale już dość, Marcinie.

— Pozostawiam Waszą Wielmożność, by mógł marzyć.

Gabriel w rzeczy samej tak był pogrążony w marzeniach, że po powrocie do domu odczuł nieodpartą potrzebę wylania marzeń na papier. Tego wieczoru napisał do Alojzy:

„Moja Droga Alojzo, Diana mnie kocha!

Ale nie od tego chciałem zacząć. Droga Alojzo, przyjedź do mnie. Po sześciu latach rozłąki chciałbym cię uściskać. Ułożyłem sobie życie. Jestem kapitanem gwardii królewskiej, to jeden że stopni wojskowych wysoko ceniony na dworze. Przybrane nazwisko pomoże mi przywrócić honor i sławę temu, które odziedziczyłem po przodkach. Do tego celu także jesteś mi potrzebna, Alojzo. Wreszcie trzeba mi ciebie, bo jestem szczęśliwy, bo, powtarzam, Diana mnie miłuje. Tak, Diana z dawnych lat, siostra mego dzieciństwa, która nie zapomniała dobrej Alojzy, chociaż króla zwie swym ojcem. Tak, Alojzo, córka króla i pani de Valentinois nigdy nie zapomniała i kocha całą swą niezwykłą duszą przyjaciela nieznanego pochodzenia. Przed niecałą godziną mi to rzekła, a jej miły głos rozbrzmiewa jeszcze w moim sercu.

Przyjedź zatem, Alojzo, doprawdy jestem zbyt szczęśliwy, żebym mógł czuć się dobrze w samotności."

XI. POKÓJ CZY WOJNA?

Siódmego czerwca odbyło się posiedzenie Rady Królewskiej, a Rada Państwa była w pełnym składzie. Wokół Henryka II i książąt jego rodu zasiadali w niej w owym dniu Annasz de Montmorency, kardynał de Lofraine i jego brat Karol de Guise, arcybiskup Reims, kanclerz Olivier de Lenville, prezydent Bertrand, hrabia d'Aumaie, Sedan, Humières i Saint–André z synem.

Wicehrabia d'Exmès jako dowódca gwardii stał przy drzwiach z obnażoną szpadą.

Całe sedno posiedzenia tkwiło jak zazwyczaj we wrogich ambicjonalnych rozgrywkach między rodem Montmorencych a rodem de Guise, reprezentowanych dzisiaj na Radzie osobiście przez konetabla i kardynała de Lorraine.

— Najjaśniejszy Panie — prawił kardynał Lotaryngii — niebezpieczeństwo nagli, wróg stoi u naszych bram. Straszliwa armia organizuje się we Flandrii. Filip II może wkroczyć na nasze terytorium już jutro, a Maria Angielska wypowiedzieć wojnę. Sire, potrzeba ci tutaj nieustraszonego generała, młodego i silnego. Samo jego imię zdoła wzbudzić postrach u Hiszpana i przypomnieć mu niedawne klęski.

— Na przykład nazwisko twego brata, pana de Guise — wtrącił z ironią Montmorency.

— W rzeczy samej, wystarczy nazwisko mojego brata jako zwycięzcy w Metzu, w Renty i w Walencji — odważnie rzekł kardynał. — Tak, Najjaśniejszy Panie, diuka de Guise należy odwołać jak najśpieszniej z Italii, bo tam brak mu już posiłków, musiał odstąpić od oblężenia Civitelli. Tam obecność jego armii już jest zbędna, można zaniechać dalszego podboju. Jego siły przydałyby się tutaj przeciwko inwazji.

Król obrócił się z nonszalancją do pana de Montmorency, jakby chciał mu rzec: No i co ty na to?

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się konetabl — zgoda! Odwołaj armię, gdyż jak to przepowiedziałem, owa pełna pompy wyprawa do Italii zakończyła się ośmieszeniem. Ale po co ci generał? Oto ostatnie wiadomości z Północy: na granicy Niderlandów spokojnie, Filip II drży ze strachu, a Maria Angielska milczy. Możesz odnowić zawieszenie broni, Sire, lub podyktować warunki pokoju. Nie awanturniczy generał jest ci potrzebny, lecz doświadczony i mądry minister, którego nie zaślepia młodzieńcza porywczość, dla którego wojna nie będzie stanowiła stawki dla zaspokojenia nienasyconej ambicji, taki, który umie z honorem i godnie dla Francji położyć podstawy pod trwały pokój…

— Taki jak ty sam, na przykład, panie konetablu — ze smutkiem przerwał kardynał Lotaryngii.

— Jak ja sam — wyniośle potwierdził Annasz de Montmorency. — Otwarcie radzę królowi nie rozważać szans wojny, którą poprowadzi tylko wtedy, jeśli zechce i kiedy zechce. Sprawy wewnętrzne, stan finansów, interes, religii wymagają od nas szczególnej troski, a roztropny administrator wart stokroć więcej niż najbardziej nieustraszony generał.

— I ma stokroć większe prawa do łask jego królewskiej mości, prawda? — gorzko dodał kardynał Lotaryngii.

— Jego Eminencja dokończył moją myśl — chłodno rzekł Montmorency. — Skoro wysunął kwestię na plan, ośmielę się poprosić Waszą Królewską Mość o potwierdzenie, że podoba się jej moja służba dla pokoju.

— O co chodzi? — z westchnieniem spytał król.

— Najjaśniejszy Panie, zaklinam Waszą Królewską Mość, by publicznie ogłosić zaszczyt, jaki

raczysz wyświadczyć mojemu rodowi przez oddanie mojemu synowi ręki pani d'Angoulême. Trzeba mi takiego oficjalnego oświadczenia i uroczystej obietnicy, abym kroczył zdecydowanie po swej drodze, a nie obawiał się wahania ze strony przyjaciół i ujadania wrogów.

Harde żądanie zostało przyjęte bez względu na obecność króla z poruszeniem pełnym aprobaty lub potępienia zależnie od tego, czy członkowie Rady należeli do jednego lub drugiego stronnictwa.

Gabriel pobladł i zadrżał. Ale odzyskał nieco nadziei słysząc, jak kardynał de Lorraine odpowiada żywo:

— Bulla Ojca Świętego unieważniająca małżeństwo Franciszka de Montmorency z Joanną de Fiennes jeszcze nie nadeszła i może w ogóle nie nadejść.

— Obejdziemy się bez niej — rzekł konetabl. — Edykt może uznać za niebyłe wszystkie potajemnie zawarte związki małżeńskie.

— Ale edykt nie ma mocy prawnej działania wstecz — odpowiedział kardynał.

— Nada mu się ją, nieprawdaż, Najjaśniejszy Panie? Rzeknij to głośno, zaklinam cię, żebyś tym, którzy mnie atakują, i mnie samemu dał jasne świadectwo, że popierasz moje poglądy. Rzeknij im, Najjaśniejszy Panie, że twoja królewska łaskawość posunie się tak daleko, że nada prawo działające wstecz owemu sprawiedliwemu edyktowi.

— Niewątpliwie można by mu je nadać — rzekł Król, którego chwiejną słabość zdawała się poddawać takiemu — stanowczemu wystąpieniu.

Gabriel musiał wesprzeć się na szpadzie, żeby nie upaść.

Oczy konetabla rozbłysły radością. Dzięki bezczelności stronnictwo pokoju zdawało się wszechwładnie triumfować.

W tejże chwili dźwięki trąbek rozbrzmiały na dziedzińcu. Była to obca, nieznana melodia. Członkowie Rady patrzyli na siebie ze zdziwieniem.

Po chwili wszedł odźwierny pałacowy. Złożył głęboki ukłon i rzekł:

— Sir Edward Flaming, herold Anglii, ubiega się o zaszczyt dopuszczenia przed oblicze Waszej Królewskiej Mości.

— Niech wejdzie herold Anglii — odpowiedział zdziwiony, lecz spokojny król.

Henryk dał znak: delfin i książęta stanęli za nim półkolem, za książętami inni członkowie Rady Królewskiej. Wprowadzono herolda, za którym szli tylko dwaj zbrojni. Herold pokłonił się królowi, który siedząc na fotelu skinął lekko głową.

Wtedy herold rzekł:

— Maria, królowa Anglii i Francji, do Henryka, króla Francji. Za utrzymywanie stosunków przyjaźni z angielskimi protestantami, wrogami naszej religii i naszego państwa, za obiecanie im i zaofiarowanie pomocy i opieki przeciwko słusznym ich prześladowaniom, my, Maria Angielska, wypowiadamy wojnę na lądzie i morzu Henrykowi Francuskiemu. Ja, Edward Flaming, herold Anglii, rzucam rękawicę wojenną jako dowód nieufności.

Na znak króla wicehrabia d'Exmès podniósł rękawicę sir Flaminga. Wtedy Henryk chłodno rzekł do herolda:

— Dziękuję.

Zdjął z szyi wspaniały łańcuch i podał go Gabrielowi, by doręczył heroldowi. Potem dodał ze skinieniem głowy:

— Możesz odejść.

Herold pokłonił się głęboko i wyszedł. W chwilę później zabrzmiały znowu surmy angielskie, wtedy dopiero król przerwał milczenie.

— Kuzynie de Montmorency — rzekł do konetabla — wydaje mi się, że nieco pośpieszyłeś się z obiecywaniem nam pokoju i dobrych intencji królowej Marii. Opieka świadczona

protestantom angielskim jest pobożnym pretekstem, za którym kryje się miłość naszej siostry Angielskiej do młodego małżonka, Filipa II. Wojna z nimi, zgoda! Król Francji nie obawia się jej wraz z Europą i jeżeli pogranicze Niderlandów pozostawi nam nieco czasu na rekonesans…

— Co tam znowu, Florimondzie?

— Najjaśniejszy Panie — rzekł wchodząc odźwierny — goniec nadzwyczajny pana zarządcy Pikardii z pilnymi depeszami.

— Idź zobacz, co to jest, proszę cię, panie kardynale — rzekł łaskawie król.

Kardynał powrócił z depeszami i podał je Henrykowi.

Król rzucił na nie okiem.

— Panowie, oto inne wieści. Armia Filipa II gromadzi się w Givet, a pan Gaspard de Coligny nam przekazuje, że diuk Sabaudii stoi na czele. Godny przeciwnik! Twój siostrzeniec sądzi, panie konetablu, że wojska hiszpańskie przypuszczą natarcie na Mèzières i Rocry w celu odcięcia Marienburga. Prosi o śpieszną pomoc, by zaopatrzyć w amunicję te miejscowości i stawić czoła pierwszym atakującym.

Wszyscy zebrani na wpół się podnieśli z miejsc, wstrząśnięci i poruszeni.

— Panie de Montmorency — mówił dalej spokojnie Henryk uśmiechając się — nie masz dzisiaj szczęścia do przepowiedni. Rzekłeś, że Maria Angielska milczy, a przed chwilą słyszeliśmy, jak głośno grały jej surmy. Filip II boi się i w Niderlandach spokój. A tymczasem król hiszpański nie lęka się niczego podobnie jak my, a we Flandrii — ruszają się niezgorzej, jak mi się zdaje. Stwierdzam stanowczo, że roztropni administratorzy winni ustąpić miejsca dziarskim generałom.

— Najjaśniejszy Panie, jestem konetablem Francji, a zatem z wojną jestem obznajmiony jeszcze lepiej niż z pokojem — rzekł Annasz de Montmorency.

— Słusznie, kuzynie, widzę z przyjemnością, że na czas przypomniałeś sobie Bicoque i Marignan, że wracasz do myśli o wojnie. Wyjmij więc z pochwy szpadę, by mnie ucieszyć. Chcę rzec, że winniśmy teraz myśleć jedynie o prowadzeniu wojny, pomyślnej i chwalebnej. Panie kardynale de Lorraine, napisz do brata, pana de Guise, żeby powracał co koń wyskoczy. Jeśli chodzi o sprawy wewnętrzne i rodzinne, należy je niezbędnie odłożyć na później. Jeśli chodzi o zaślubiny pani d'Angoulême, panie de Montmorency, sądzę, że uczynimy dobrze czekając na dyspensę papieża.

Konetabl skrzywił się, kardynał uśmiechnął, Gabriel odetchnął.

— Idźcie, panowie — dodał król, który jakby się otrząsnął całkowicie z odrętwienia. — Idźcie, musimy się skupić i przemyśleć poważnie tyle ważnych spraw. Posiedzenie odbyło się rano, ale Rada znowu zbierze się wieczorem. Do wieczora zatem, niech Bóg ma Francję w swojej opiece! Francję w swojej opiece!

— Niech żyje król! — krzyknęli jednogłośnie wszyscy członkowie Rady i rozeszli się.

XII. ŁOTR SPOD CIEMNEJ GWIAZDY

Konetabl wyszedł od króla zatroskany. Arnold du Thill nawinął mu się po drodze i cicho rzekł:

— Jedno słówko, Wasza Wysokość.

Wszystko odbywało się w wielkiej galerii Luwru.

— Co tam? Ach, to ty, Arnoldzie. Czego chcesz ode mnie? Wcale nie jestem usposobiony dzisiaj do wysłuchania ciebie.

— Tak, pojmuję — rzekł Arnold — Wasza Wysokość martwi się, że projekt małżeństwa między panią Dianą a jego wysokością Franciszkiem przybrała zły obrót.

— Skąd wiesz już o tym, łotrze? W rzeczy samej, co mnie obchodzi, niech wiedzą. Wiatr niesie deszcz i jest pomyślny dla Gwizjuszów, to fakt oczywisty.

— Ale jutro wiatr przyniesie piękną pogodę i będzie sprzyjał Montmorencym — rzekł szpieg — a skoro dzisiaj król sprzeciwiał się związkowi, będzie za nim jutro. Nowa przeszkoda, która ci stanie na drodze, jest poważniejsza i przychodzi z zewnątrz Wasza Wysokość.

— Skąd może przyjść przeszkoda poważniejsza niż niełaska króla lub chociażby jego obojętność?

— Na przykład od pani d'Angoulême.

— Wywęszyłeś coś z tej strony, mój przebiegły szpiclu? — rzekł konetabl okazując zaciekawienie i zbliżył się do niego.

— Jak myślisz, Wasza Wysokość, na co zużyłem ostatnie dwa tygodnie?

— Słusznie, długo nie było słychać nic o tobie.

— Ani pośrednio, ani bezpośrednio, Wasza Wysokość — z dumą odpowiedział Arnold. — Wymawiasz mi, panie, że zbyt często jestem notowany w raportach wartowników policji, lecz wydaje mi się, że od dwu tygodni pracowałem mądrze i bez hałasu.

— To także prawda — rzekł konetabl. — Dziwiłem się, że nie muszę interweniować i wyciągać cię z kłopotów, łotrzyku, bo jak nie grasz, to pijesz, a kiedy nie wdajesz się w bijatyki, to oddajesz się rozpuście.

— Hałaśliwym bohaterem ostatnich dwu tygodni nie ja byłem, lecz pewien giermek nowego dowódcy gwardii, wicehrabiego d'Exmès zwany Marcin Guerre.

— Istotnie, przypominam sobie, że Marcin Guerre zajął miejsce Arnolda du Thill w raportach, w które muszę wglądać co wieczór.

— Kto na przykład onegdaj wieczorem upił się na umór i straż musiała go podnosić z ziemi? — spytał Arnold.

— Marcin Guerre.

— Kto wszczął kłótnię podczas gry w kości, które okazały się znaczone i zadał pchnięcie szpadą najprzystojniejszemu żandarmowi króla Francji?

— Tak, znowu Marcin Guerre.

— Kto wreszcie wczoraj został przyłapany na usiłowaniu porwania żony mistrza Gorju, który trudni się wyrobem noży?

— Ciągle Marcin Guerre! — przyznał konetabl. — Łajdak zasłużył na stryczek! Jego pan, wicehrabia d'Exmès, którego nakazałem ci pilnować, pewnie nie więcej wart niż on, gdyż go popiera, broni i zapewnia, że jego giermek jest najłagodniejszym i najbardziej statecznym z mężczyzn.

— Co niekiedy byłeś łaskaw o mnie twierdzić, Wasza Wysokość. Marcin Guerre uważa, że

znajduje się w mocy czarta. A naprawdę to znajduje się w mojej mocy.

— Co to znaczy? Chyba nie jesteś czartem? — zawołał żegnając się znakiem krzyża świętego nader przerażony konetabl, zabobonny jak mnich.

Arnold odpowiedział szatańskim drwiącym śmiechem, a kiedy stwierdził, że dostatecznie już przeraził konetabla, dodał:

— Nie, nie jestem czartem, Wasza Wysokość. Aby tego dowieść i cię uspokoić, proszę o pięćdziesiąt pistoli. Czyż potrzebowałbym pieniędzy, gdybym był szatanem? Czy ciągnąłbym sam siebie za ogon?

— Słusznie — rzekł konetabl. — Masz pięćdziesiąt pistoli.

— Dobrze je zarobiłem, Wasza Wysokość, pozyskując zaufanie wicehrabiego d'Exmès. Choć nie jestem czartem, jestem trochę czarownikiem. Wystarczy, bym wdział brązowy kubrak i żółte hajdawery a już wicehrabia rozmawia ze mną jak z dawnym przyjacielem i wypróbowanym zausznikiem.

— Wszystko to pachnie stryczkiem — orzekł konetabl.

— Mistrz Nostradamus kiedyś ujrzał mnie przelotnie na ulicy i przepowiedział jedynie z fizjonomii, że umrę między niebem a ziemią. Zdaję się przeto, na swój los i oddaję go w służbę twoich interesów, Wasza Wysokość. Bezcenna to rzecz, dysponować życiem wisielca. Człowiek, który ma pewność, że skończy na szubienicy, nie obawia się niczego, nawet szafotu. Na początek uczyniłem z siebie sobowtóra giermka wicehrabiego. Już ci rzekłem, panie, że dokonywałem cudów. Czy wiesz; zgadnij, Wasza Wysokość, kto to jest ów wicehrabia?

— Do kaduka! Zażarty stronnik książąt de Guise.

— Jeszcze więcej. Zalotnik kochany przez panią de Castro.

— Co mi pleciesz, nicponiu, skąd to wiesz?

— Jestem powiernikiem wicehrabiego, powtarzam ci, Wasza Wysokość. To ja najczęściej noszę jego liściki do ślicznotki i przynoszę odpowiedź. Jestem w najlepszych stosunkach ze służebną damy. Otóż owa służebna dziwi się, że jej wielbiciel jest taki nierówny, jednego dnia przedsiębiorczy niczym paź, a nazajutrz nieśmiały jak mnich. Wicehrabia d'Exmès i pani de Castro widują się trzy razy na tydzień u królowej, a pisują do siebie codziennie. Jednak ich miłość jest czysta, daję słowo, wierz mi, jeśli chcesz. Zainteresowałbym się nimi, gdybym nie interesował się sobą. Miłują się jak dwa anioły, zdaje się, że od dzieciństwa. Od czasu do czasu otwieram listy. Wzruszają mnie. Pani Diana jest zazdrosna nieco. O kogo? Zgadnij, Wasza Wysokość. O królową. Nie ma racji, biedaczka. Możliwe, że królowa myśli o wicehrabi d'Exmès…

— Jesteś potwarcą, Arnoldzie — przerwał mu Montmorency.

— A twój uśmiech jest także oszczerczy, Wasza Wysokość — rzekł łajdak. — Mówiłem więc, że może królowa myśli o wicehrabi, lecz z całą pewnością wicehrabia nie myśli o królowej. To miłość idylla, bez skazy, która mnie wzrusza jak ckliwa powieść sielankowa lub rycerska. To nie przeszkadza, Boże broń, że zdradzam za pięćdziesiąt pistoli biedne turkaweczki. Przyznasz sam, Wasza Wysokość, że dobrze poczynam sobie i że sprawiedliwie zarobiłem pięćdziesiąt pistoli.

— Niech będzie. Ale pytam raz jeszcze, skąd czerpiesz takie dobre informacje?

— Wybacz, Wasza Wysokość, to mój sekret, możesz domyślać się, ile chcesz, ale muszę na razie zamilczeć to przed tobą. Zresztą mało cię obchodzą moje sposoby, ja sam za nie odpowiadam, bylebyś osiągnął cel. Otóż twój cel — to otrzymywać wieści o wszelkich czynach i projektach, które mogłyby ci zaszkodzić. Wydaje mi się, że dzisiejsza rewelacja ma swą wagę i użyteczność dla ciebie, Wasza Wysokość.

— Oczywiście, łotrze, ale trzeba dalej śledzić owego przeklętego, wicehrabiego.

— Będę to czynił, Wasza Wysokość. Jestem tobie oddany w równej mierze co występkom. Będziesz mi dawał pistole, a ja tobie nowiny, obaj będziemy radzi. O, ktoś wchodzi do galerii, niewiasta! Do kaduka! Żegnam cię, Wasza Wysokość.

— Kto to jest? — spytał konetabl, który już niedowidział.

— Pani de Castro we własnej osobie. Idzie z pewnością do króla i nie powinna mnie widzieć z tobą, Wasza Wysokość, chociaż mnie nie widziała jeszcze w tym odzieniu. Nadchodzi, więc zmykam.

W rzeczy samej umknął w przeciwną stronę niż ta, skąd szła Diana.

Konetabl zawahał się przez chwilę. Następnie podszedł śmiało do mijającej go pani d'Angoulême, zdecydowany upewnić się osobiście o prawdzie raportów Arnolda.

— Idziesz do gabinetu króla, Madame?

— Tak, panie konetablu.

— Obawiam się, że jego królewska mość nie jest w odpowiednim nastroju, by ciebie wysłuchać, Madame — rzekł Montmorency zaalarmowany jej poczynaniami. — Ważne wieści, jakie nadeszły…

— Stwarzają dla mnie właśnie najodpowiedniejszy moment, panie.

— Przeciwko mnie, nieprawdaż, Madame?

— Nie, panie konetablu, nie czuję nienawiści do nikogo.

— Naprawdę, jedynie miłość? — spytał Annasz de Montmorency tonem tak wiele mówiącym, że Diana zarumieniła się i spuściła oczy.

— Z powodu owej miłości, bez wątpienia, opierasz się woli króla i pragnieniom mojego syna — dodał konetabl.

Zakłopotana Diana milczała.

Arnold rzekł mi prawdę — pomyślał konetabl. — Czuje miłość do pięknego zwiastuna triumfów pana de Guise.

— Panie konetablu — rzekła w końcu Diana — obowiązek każe mi być posłuszną jego królewskiej mości, lecz mam prawo błagać ojca.

— A więc obstajesz za tym, żeby widzieć króla?

— Obstaję.

— Dobrze, Madame, a ja udam się do pani de Valentinois.

— Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość.

Wymienili ukłony i wyszli z galerii każde innymi drzwiami. W chwili, kiedy Diana wchodziła do króla, stary Montmorency wchodził do faworyty.

XIII. U SZCZYTU SZCZĘŚCIA

Tego samego dnia i prawie o tej samej godzinie Gabriel rozmawiał ze swoim giermkiem:

— Chodź tutaj, imć Marcinie, muszę odbyć ront i wrócę nie wcześniej niż za dwie godziny. A ty, Marcinie, stań za godzinę w miejscu umówionym i czekaj na list, ważny list, który Jacenta ci przekaże jak zwykle. Nie trać ani minuty i przybiegnij mi go przynieść. Jeśli wcześniej skończę obchodzenie posterunków, wyjdę naprzeciw, Jeśli nie, tu mnie oczekuj. Czy pojąłeś?

— Pojąłem, dostojny panie, ale proszę cię o łaskę.

— Mów.

— Dodaj strażnika do mego boku, błagam cię, Wasza Wielmożność.

— Strażnika? Co to za nowe szaleństwo? Czego się obawiasz?

— Boję się samego siebie — żałośnie przyznał się Marcin. — Wydaje się, że niemało przewinień popełniłem ostatniej nocy! Okazało się, że jestem pijakiem, graczem w kości i zawadiaką. A teraz jeszcze rozpustnikiem! Ja, którego całe Artigues chwaliło za czystość obyczajów i niewinność duszy! Czy uwierzyłbyś, Wasza Wielmożność, że poniżyłem się tejże nocy do próby porwania? Tak, porwania! Usiłowałem przemocą porwać małżonkę mistrza Gorju, rzemieślnika wyrabiającego noże, nader powabną niewiastę, jak się zdaje. Na nieszczęście lub na szczęście aresztowano mnie i gdybym nie rzekł, kim jestem, i nie powołał się na ciebie, spędziłbym noc w więzieniu. To uwłaczające.

— Ejże, Marcinie, przyśniło ci się czy dopuściłeś się nowych wybryków?

— Przyśniło! Oto raport, Wasza Wielmożność! Czytając go rumieniłem się po uszy. Tak, był taki okres, kiedy przypuszczałem, że owe wszystkie godne potępienia czyny są strasznym koszmarem albo też że czart zabawia się przybieraniem mojego kształtu, żeby się oddawać nocnym szpetnym uczynkom. Wyprowadziłeś mnie z błędu, dostojny panie. Zresztą nie widuję już swojego cienia. Świątobliwy kapłan, któremu powierzyłem kierowanie moim sumieniem, takoż wyprowadził mnie z błędu. Ów, który gwałci wszelkie prawa boskie i ludzkie, winowajca, niedowiarek, przestępca to ja, jako mnie zapewniają. Od tego czasu wierzę temu. Jak kura, która wysiedziała kaczki, dusza moja rodzi uczciwe myśli, a one przeradzają się w bezbożne czyny i cała moja cnotliwość prowadzi do zbrodni. Jeno tobie ośmielam się rzecz, dostojny panie, że jestem opętany przez szatana, bo z tej przyczyny spalono by mnie żywcem, ale widzisz, że w pewnych momentach jestem wcielonym diabłem, jak rzeką.

— Nie, biedaczysko Marcinie — śmiał się Gabriel — jeno tuszę, że folgujesz sobie w piciu od pewnego czasu, a skoro pijesz, widzisz podwójnie.

— Ależ piję jeno wodę, Wasza Dostojność, samą wodę! Chyba że woda z Sekwany pada na mózg…

— A jednak był taki wieczór, kiedy cię położono pijanego jak bela w przedsionku.

— Tak to było, dostojny panie. Owego wieczora ległem spać i usnąłem polecając duszę Panu. Wstałem jednako cnotliwie i dopiero od ciebie dowiedziałem się, jakie prowadziłem życie. Takoż onegdysiejszej nocy, gdy zraniłem rosłego żandarma. Takoż i owej jeszcze nocy, kiedy wielce niecny rapt… A przecież każę Hieronimowi ryglować drzwi izby, zamykam okiennice na potrójny łańcuch. Wszystko na nic. Wstaję i moje zbrukane życie w omamieniu rozpoczyna się na nowo. Nazajutrz po przebudzeniu zapytuję siebie: co znowu uczyniłem tej nocy, słodki Jezu, podczas nieobecności tutaj? Schodzę na dół, żeby to usłyszeć od ciebie, dostojny panie, albo z raportów dzielnicowego. Natychmiast idę oczyścić sumienie spowiadając się z nowych przestępstw, lecz nie otrzymuję rozgrzeszenia, bo to niemożliwe wobec ciągłych nawrotów

upadku. Jedyną pociechą jest post i umartwianie się chłostą w ciągu dnia. Widzę już, że zemrę zatwardziały w grzechu.

— Wierzę jednak, że twoja krewkość złagodnieje i staniesz się znów rozsądnym i statecznym jak wprzódy Marcinem. Zanim co, bądź posłuszny swemu panu i wypełnij skrupulatnie polecenie, jakie ci daję. Jakże chcesz, żebym ci kogoś dodał do towarzyszenia? Wiesz, że wszystko winno pozostać w sekrecie i że ty jeden jesteś dopuszczony do konfidencji.

— Wierzaj mi, Wasza Wielmożność, że uczynię wszystko, co mogę, żeby was zadowolić. Nie umiem wszelako odpowiadać za siebie, uprzedzam.

— Tego już za wiele, Marcinie! Z jakiej przyczyny?

— Nie postradaj cierpliwości, kiedy mnie nie ma, Wasza Dostojność. Mniemam, że jestem tutaj, a jestem tam, że czynię jedno, a czynię drugie. Któregoś dnia, mając jako pokutę odmówić trzydzieści ojczenaszów i trzydzieści zdrowasiek, postanowiłem potroić porcję, żeby się umartwić nieludzkim zmęczeniem, i pozostałem albo raczej zdawało mi się, że pozostałem w kościele świętego Gerwazego przesuwając paciorki różańca przez ponad dwie godziny. Po powrocie tutaj dowiedziałem się, że posłaliście mnie z listem. Jako dowód, że ci przyniosłem odpowiedź, nazajutrz pani Jacenta, takoż powabna niewiasta, niestety łaje mnie, że poprzedniego dnia byłem względem niej wielce zuchwały. Powtórzyło się to trzykroć. Wasza Wielmożność, i chcesz, żebym był pewny siebie po takich wybrykach mojej wyobraźni? Nie, nie jestem w dostatecznej mierze panem siebie i chociaż święcona woda nie parzy mi palców, bywa niekiedy w mojej skórze inny kompan niż imć Marcin.

— Wreszcie to ja ponoszę ryzyko — rzekł zniecierpliwiony Gabriel. — Jak dotąd, bez względu na to, czy byłeś w kościele, czy na ulicy Froid–Manteau, na ogół zręcznie i wiernie wywiązywałeś się z danych poleceń, wypełnisz przeto i dzisiejsze. Jeśli odczuwasz potrzebę pobudzenia swej gorliwości, to wiedz, że przyniesiesz mi w owym liście szczęście lub rozpacz.

— Ależ dostojny panie! Klnę się, że moje oddanie dla ciebie nie wymaga podniety, i gdyby nie te diabelskie zamiany…

— Ejże! Znowu zaczynasz? — przerwał Gabriel. — Muszę już odejść, a ty za godzinę wyrusz z domu i nie zapomnij o niczym. Na ostatek: wiesz, że od kilku dni oczekuję z niepokojem przybycia z Normandii piastunki Alojzy. Jeśli przyjedzie w czasie mej nieobecności, należy jej wskazać komnatę przylegającą do mojej i przyjąć ją tak, żeby się poczuła u siebie. Będziesz pamiętał?

— Tak, Wasza Wielmożność.

— Nuże, Marcinie, pośpiech, dyskrecja i przytomność umysłu nade wszystko.

Marcin odpowiedział jeno westchnieniem, a Gabriel wyruszył z domu przy ulicy des Jardins. Powrócił po dwóch godzinach, jak zapowiedział, z roztargnieniem w oczach, zamyślony. Wchodząc dostrzegł tylko Marcina, podbiegł do niego, wziął z jego rąk list oczekiwany z taką niecierpliwością, gestem odesłał giermka i czytał:

„Podziękujmy Bogu — głosił ów list — Król ustąpił, będziemy szczęśliwi. Winieneś już wiedzieć o przybyciu herolda wojsk angielskich, który wypowiedział wojnę w imieniu królowej Marii, a również znać nowinę o wielkich ruchach wojsk we Flandrii. Owe wydarzenia zagrażają Francji, lecz sprzyjają naszej miłości, Gabrielu, ponieważ podnoszą autorytet młodego diuka de Guise, a umniejszają wpływ starego konetabla. Jednak król jeszcze się wahał. Błagałam go, Gabrielu, rzekłam, że cię odnalazłam, że jesteś szlachetnie urodzony i waleczny, wymieniłam twoje nazwisko. Co czynić! Król niczego nie obiecując rzekł, że rozważy sprawę, że kiedy interes Państwa nie jest taki pilny, byłoby okrucieństwem narażać moje szczęście, że mógłby dać rekompensatę, która by zadowoliła Franciszka de Montmorency. Niczego nie przyrzekł, lecz dotrzyma wszystkiego, Gabrielu! Polubisz go tak, jak ja miłuję dobrego ojca, który spełni nasze

marzenia. Tyle mam ci powiedzieć, a słowa pisane są takie chłodne! Słuchaj, przyjacielu, przyjdź dzisiaj wieczór o szóstej godzinie, w czasie trwania Rady. Jacenta przyprowadzi cię do mnie, będziemy mieli przeszło godzinę na rozmowę o promiennej przyszłości, jaka się przed nami otwiera. Przewiduję, iż wyprawa na Flandrię wezwie ciebie, trzeba ją odbyć, niestety, by służyć królowi i zasłużyć na mnie, mój panie, którego tak mocno miłują. Bo miłuję cię, mój Boże, tak! Po co to teraz ukrywać! Przyjdź przeto, żebym się przekonała, czy jesteś równie szczęśliwy jak

twoja Diana."

— Tak! Wielce szczęśliwy! — głośno zawołał Gabriel po przeczytaniu listu. — Czego mi brak teraz do szczęścia?

— Chyba nie obecności twojej starej piastunki — rzekła z nagła Alojza, która siedziała cicho, bez ruchu.

— Alojza! — zawołał Gabriel biegnąc ku niej i ściskając. — Alojzo, zacna mamko, brakowało mi ciebie. Jak się miewasz? Nie zmieniłaś się wcale. Uściśnij mnie jeszcze raz. Ja także nie zmieniłem się, przynajmniej w sercu, które cię kocha. Trapiłem się twoim opóźnieniem. Zapytaj Marcina… Dlaczego tak długo dałaś na siebie czekać?

— Ostatnio deszcze rozmyły drogi, dostojny panie, i gdybym nie pokonała przeszkód wszelkiego rodzaju, pobudzona do działania" twoim listem, jeszcze bym nie przybyła.

— Dobrze uczyniłaś śpiesząc się, Alojzo, bo zaiste po co być szczęśliwym całkiem samemu? Czy widzisz pismo, które dopiero co otrzymałem? To list od Diany, drugiego twojego dziecka, oznajmia mi, czy wiesz, co mi oznajmia? Że przeszkody piętrzące się przed naszą miłością można usunąć, że król już nie wymaga zaślubin Diany z Franciszkiem de Montmorency, wreszcie, że Diana mnie miłuje! Jesteś tu po to, żebyś to słyszała. Och, Alojzo, czyż nie jestem u szczytu szczęścia?

— A gdybyś jednak musiał się wyrzec pani de Castro? — rzekła Alojza z powagą i smutkiem.

— To niemożliwe, Alojzo! Skoro wszelkie trudności usunęły się jakby same!

— Zawsze można przezwyciężyć trudności pochodzące od ludzi — rzekła przybrana matka — jednak nie owe, jakie stawia Bóg. Wiesz, jak cię kocham i że oddałabym życie, by ci oszczędzić bodaj cienia troski. A jednak muszę rzec: nie pytaj o przyczyny, zrezygnuj z pani de Castro, przestań ją widywać, stłum w sobie ową miłość całą siłą woli. Rozdziela was dwoje straszliwa tajemnica. Klnę się, że w twoim leży interesie nie żądać ode mnie jej ujawnienia. Gdybym ci tak rzekła, co byś mi odpowiedział, dostojny panie?

— Gdybyś zażądała mojego życia bez pytania o przyczynę, usłuchałbym ciebie. Moja miłość jednak pozostaje poza zasięgiem mej woli, ona także pochodzi od Boga.

— Wielki Boże! — zawołała piastunka składając ręce. — On bluźni. Widzisz sam, on nie wie, co czyni, przebacz mu, Boże;

— Przerażasz mnie, Alojzo! Nie trzymaj mnie tak długo w śmiertelnym niepokoju. Cokolwiek byś chciała, cokolwiek byś musiała mi rzec, wyjaw to, błagam cię.

— Życzysz sobie tego, Wasza Wielmożność? Muszę bezwzględnie wyjawić ci tajemnicę, którą miałam zachować, przysięgłam to Bogu. Dzisiaj sam Bóg każe mi dłużej nie skrywać. A zatem pomyliłeś się, dostojny panie, co do natury uczucia, jakie budzi w tobie Diana. To nie pożądanie, nie namiętność, o nie, bądź tego pewien, to poważne i głębokie uczucie i oddanie, potrzeba przyjacielskiej, braterskiej opieki. Nie ma w tym czulszego, żadnego głębszego zainteresowania.

— Mylisz się, Alojzo. A wspaniała uroda Diany…

— Nie mylę się i sam mi to przyznasz za chwilę — pośpiesznie rzekła Alojza. — Dowód okaże ci się jednako oczywisty jako i mnie. Powinieneś wiedzieć, że niestety, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pani de Castro jest… odwagi, moje dziecko, jest twoją siostrą!

— Moją siostrą! — zawołał Gabriel zrywając się na nogi jak wyrzucony sprężyną. — Moja siostra! — powtarzał jak oszalały. — Jakim sposobem córka króla i pani de Valentinois może być moją siostrą?

— Diana de Castro urodziła się w maju 1539 roku, prawda, dostojny panie? Hrabia Jakub de Montgomery, twój ojciec, zniknął w styczniu owego roku, a czy wiesz, na skutek jakiego podejrzenia? Czy wiesz, o co oskarżono twojego ojca? Że był szczęśliwym kochankiem pani Diany de Poitiers i uprzywilejowanym rywalem delfina, dzisiejszego króla Francji. Teraz porównaj daty, dostojny panie.

— Wielkie nieba! — rzekł Gabriel zbierając siły. — Mój ojciec został oskarżony, ale kto może dowieść, że oskarżenie miało podstawy? Diana urodziła się w pięć miesięcy po śmierci mojego ojca, ale kto dowiedzie, że Diana nie jest córką króla, który ją kocha jak własne dziecko?

— Król może się mylić, jak i ja mogę się mylić, dostojny panie. Bacz na to, że nie rzekłam: Diana jest twoją siostrą, ale możliwe, że jest, że mogłaby nią być, jeśli tak wolisz. Czyż nie jest moim obowiązkiem, strasznym obowiązkiem uczynić ci to wyznanie? Czy nie tak, Gabrielu? Bo bez tego wyznania nie chciałbyś się jej wyrzec. Teraz niech sumienie osądzi twoją miłość, a Bóg niech sądzi twoje sumienie.

— Och, niepewność jest tysiąckroć gorsza od samego nieszczęścia — rzekł Gabriel. — Kto rozwieje moje wątpliwości, mój Boże!

— Tajemnicę znały tylko dwie osoby na świecie, dwie ludzkie, istoty mogłyby ci na to odpowiedzieć: twój ojciec, leżący dzisiaj w nieznanym grobie i pani de Valentinois, która, jak sądzę, nigdy się nie przyzna, że oszukała króla i że jej córka nie jest córką monarchy.

— Tak. W obu przypadkach albo miłuję córkę swojego ojca, albo miłuję córkę mordercy ojca! Powinienem pomścić śmierć ojca na królu, na Henryku II, nieprawdaż, Alojzo?

— Któż to wie krom Boga! — odrzekła piastunka.

— Wszędzie zawikłanie i mroki! Niepewność i trwoga! — wyszeptał Gabriel. — Chyba postradam zmysły, mamko! Ale nie! — odzyskał energię młodzieniec. — Jeszcze nie chcę oszaleć, nie chcę! Najprzód wyczerpię wszelkie środki do poznania prawdy. Pójdę do pani de Valentinois i zapytam ją o tajemnicę, która pozostanie dla mnie święta. Jest katoliczką, pobożną, wydobędę z niej przysięgę, która da świadectwo jej szczerości. Udam się do Katarzyny de Medici, ona może coś wiedzieć. Pójdę także do Diany i z ręką na sercu będę słuchał jego bicia. Dokądże bym nie poszedł! Udałbym się na grób ojca, gdybym zdołał go odnaleźć, Alojzo, i zaklinałbym go głosem tak donośnym, że wstałby spomiędzy umarłych, żeby mi dać odpowiedź.

— Drogie biedactwo! — szepnęła Alojza. — Taki odważny, taki bojowy nawet po okrutnym ciosie! Taki silny wobec bezlitosnego losu!

— Nie postradam ani jednej minuty, biorę się do dzieła — rzekł Gabriel wstając ożywiony pragnieniem czynu. — Jest czwarta: za pół godziny będę u pani wielkiej marszałkowej, po godzinie u królowej. O szóstej na spotkaniu z Dianą, która na mnie czeka, a kiedy powrócę wieczorem, może już uchylę rąbka złowróżbnego swego przeznaczenia. Do zobaczenia wieczorem, Alojzo.

— A ja, dostojny panie, czy nie mogę nic uczynić, by ci dopomóc w owym ciężkim zadaniu?

— Możesz się modlić, Alojzo. Módl się.

— Za ciebie i za Dianę, Wasza Wielmożność.

— Módl się także za króla, Alojzo — dodał Gabriel ponuro i wyszedł szybkim krokiem.

XIV. DIANA DE POITIERS

Konetabl de Montmorency przebywał właśnie u Diany de Poitiers i przemawiał do niej wyniosłym tonem, głosem na tyle szorstkim i rozkazującym, na ile ona była czuła i łagodna dla niego.

— Na Boga! W końcu to twoja córka — mówił. — Masz do niej takie same prawa i taką samą władzą nad nią jak i król. Żądaj owego zamęścia.

— Ależ zastanów się, przyjacielu. Skoro do tej pory nie byłam czułą matką, nie mogę jej narzucić takiego obowiązku, nie mogę zadać ciosu, bo wcześniej jej nie pieściłam. Wiadomo ci, że pani d'Angoulême i ja, obie jesteśmy nader chłodne wzajemnie i mimo pewnego zbliżenia na samym początku nadal widujemy się dość rzadko. Zresztą ona zdołała pozyskać wielki wpływ na osobę króla i zaiste nie wiem, która z nas jest teraz silniejsza. To, o co prosisz, jest przeto wielce trudne, żeby nie rzec niemożliwe. Poniechaj owego mariażu i zastąp go związkiem jeszcze znamienitszym. Król zaręczył małą Joannę z Karolem de Mayenne, otrzymamy od niego małą Małgorzatę dla twojego syna.

— Mój syn sypia w łóżku, a nie w kołysce — brutalnie odrzekł konetabl. — Jakimże sposobem mała dziewczynka, która jeszcze nie umie mówić, mogłaby się przyczynić do fortuny mojego rodu? Rzecz inna z panią de Castro, która, jak zauważyłaś, ma wielki wpływ osobisty na umysł króla, i dlatego właśnie chcę panią de Castro na synową. Na Boga! Dziwne to wielce, że skoro możny pan noszący miano pierwszego barona chrześcijaństwa raczy poślubić bastardę, napotyka tyle trudności, zanim skonsumuje ów mezalians. Nie na próżno jesteś faworytą naszego króla i ja nie na próżno jestem twoim amantem. Wbrew pani de Castro, wbrew owemu modnisiowi, który ją kocha, wbrew samemu królowi żądam, by owo małżeństwo zostało zawarte, żądam!

— Czekaj, przyjacielu — łagodnie rzekła Diana de Poitiers. — Narażam się, czyniąc wszystko co możliwe i niemożliwe, byle tylko doprowadzić cię do celu. Czego chcesz, co mam ci rzec więcej? Przynajmniej bądź milszy i nie podnoś na mnie głosu, niedobry!

Piękna diuszesa dotknęła delikatnymi różowymi wargami siwej i szorstkiej brody starego Annasza, który mamrocząc pozwolił się pocałować.

Dziwna była namiętność ubóstwianej metresy młodego i pięknego króla do starego brodacza, który obchodził się z nią po grubiańsku. Mogła ją jeno tłumaczyć szczególna perwersja. Opryskliwość konetabla kontrastowała z galanterią Henryka II. Diuszesa znajdowała więcej uroku w złym traktowaniu niż w pieszczotach króla. Potworny kaprys niewieściego serca! Annasz de Montmorency nie był ani mądry, ani błyskotliwy i słusznie uchodził za chciwca i skąpca. Straszliwe tortury, jakie stosował wobec buntowniczej ludności Bordeaux, przysporzyły mu pełnego nienawiści rozgłosu. Był odważny, to prawda, lecz to zaleta pospolita we Francji, nie miał jednak szczęścia w bitwach, które toczył. Podczas zwycięstw w Rawennie i pod Marignan jeszcze nie dowodził, nie wyróżniał : się z tłumu. Pod Bicoque był pułkownikiem Szwajcarów, dopuścił do prawie całkowitej masakry swojego pułku, w Padwie popadł w niewolę. Jego sława wojenna poza to nie wykraczała, a Saint–Laurent żałośnie ukoronowało jego klęski. Gdyby nie łaskawość Henryka II, wynikła zapewne z wpływu Diany de Poitiers, pozostałby drugorzędną figurą zarówno w Radzie, jak i na wojnie. Ale przecież Diana go kochała, dogadzała i była posłuszna we wszystkim, ona, faworyta wielce ujmującego króla, a niewolnica starego, ośmieszonego wodza.

Wtem dyskretnie zaskrobano do drzwi i za zezwoleniem pani de Valentinois wszedł paź i

oznajmił, że wicehrabia d'Exmès błaga uporczywie o łaskę dopuszczenia przed oblicze diuszesy na małą chwilę w nader ważnej sprawie.

— Zalotnik? — zawołał konetabl. — Czego on chce od ciebie, Diano? Czyżby przypadkiem przyszedł prosić o rękę twojej córki?

— Czy należy go wpuścić? — spytała ulegle faworyta.

— Oczywiście, oczywiście, to może nam pomóc. Ale niech zaczeka parę minut. Jeszcze słówko, żebyśmy się porozumieli.

Diana de Poitiers przekazała rozkaz paziowi. Wyszedł.

— Jeśli wicehrabia d'Exmès przyszedł do ciebie, Diano, to znaczy, że istnieją jakieś nieprzewidziane trudności. Okoliczność widać jest beznadziejna, jeśli ucieka się do tak rozpaczliwego środka. Słuchaj więc, Diano, jeśli dokładnie zastosujesz się do moich wskazówek, twoja hazardowna interwencja u króla może się stać niepotrzebna. O cokolwiek wicehrabia będzie cię usilnie prosił, odmów mu. Jeśli poprosi o wskazanie drogi, odeślij go w stronę przeciwną. Jeśli zechce, żebyś rzekła „tak", rzeknij „nie", a jeśli spodziewa się „nie", odpowiedz „tak". Bądź wobec niego pogardliwa, wyniosła, niedobra, jako godna córka wróżki Meluzyny, od której pochodzicie wy, z rodu Poitiers, jak mi się wydaje. Czy dobrze mnie pojęłaś, Diano? Czy uczynisz tak, jak ci radzę?

— Co do joty, konetablu.

— Przeto zawiłe sprawy galanta nieco się poplączą. Biedaczek, rzuca się prosto w paszczę… — Miał rzec: wilczycy, ale powstrzymał się i dokończył — w paszczę wilków. Odchodzę, Diano, i zdasz mi dokładną relację o pięknym konkurencie. Do zobaczenia wieczorem.

Raczył pocałować Dianę w czoło i wyszedł. Innymi drzwiami wprowadzono wicehrabiego d'Exmès.

Gabriel złożył Dianie ukłon pełen najgłębszego szacunku, a ona odpowiedziała impertynenckim gestem. Lecz Gabriel uzbroił się w odwagę do owej nierównej walki: gorącej namiętności z lodowatą pychą, i rozpoczął dość spokojnie:

— Pani, ośmielam się wobec ciebie na krok z pewnością wielce zuchwały i nader szalony. Zdarzają się wszelako w życiu tak poważne okoliczności, wyższe ponad inne i doniosłe, że górują ponad przyjętymi konwenansami i przeciętnymi skrupułami. Otóż, pani, znalazłem się w strasznym" przełomowym momencie życia. Mężczyzna, który z tobą rozmawia, składa swój los w twoje ręce. Jeśli bezlitośnie go z dłoni wypuścisz, rozbije się jak kruche naczynie.

Pani de Valentinois nie uczyniła najmniejszego znaku zachęty. Pochylona do przodu, z podbródkiem podpartym na ręce i łokciem na kolanie wbiła wzrok w Gabriela z miną znudzoną i niechętną.

A cóż mnie to obchodzi? Zdawał się wyrażać nonszalancki uśmiech Diany de Poitiers.

— Opowiem ci, pani, o miłości przepełniającej mą duszę, żebyś wiedziała, że zdołam zrozumieć, znaleźć usprawiedliwienie, a nawet podziwiać zaślepienie i porywy namiętności nie do przezwyciężenia. Daleki jestem od ganienia jej jako wulgarnej, od drobiazgowego jej badania, jak postępują filozofowie, od potępiania jak księża, padam przed nią na klęczki i adoruję jako odblask Boga. Ona czyni serce, w którym mieszka, czystszym, wielkodusznym, bardziej boskim. A czyż Jezus jej nie uświęcił owego dnia, kiedy rzekł do Marii Magdaleny, że jest błogosławiona wśród wszystkich niewiast, bo najwięcej umiłowana?

Diana de Poitiers zmieniła pozycję i z na wpół przymkniętymi oczyma rozłożyła się niedbale w fotelu. Dokąd zmierza to kazanie? — myślała.

— Widzisz zatem, pani, że miłość jest dla mnie świętością, co więcej, jest wszechmocna w moich oczach. Mąż pani de Castro — żył jeszcze, kiedy miłowałem jego małżonkę, i nawet nie starałem się zwalczyć w sobie nieodpartego instynktu. Można opanować jeno rzekomą miłość,

prawdziwej nie uniknie się, choćby się nie wiem jak chciało. Tak więc ty sama, pani, wybrana i ukochana przez największego króla na świecie, gdybyś nie mogła się jej ustrzec pod naporem niekłamanej namiętności, gdybyś nie mogła się jej oprzeć, współczułbym ci, zazdrościł, ale nie potępił.

Takie samo milczenie ze strony diuszesy de Valentinois, szydercze zdumienie było jedynym uczuciem malującym się na jej twarzy. Gabriel mówił z jeszcze większym zapałem, jakby chciał zmiękczyć spiżową duszę w płomieniach własnego żaru.

— Króla ujęła twoja godna podziwu uroda, wzruszyła cię jego miłość, ale czy serce mogło ją odwzajemnić, choćby chciało? Niestety, nie! Wtedy oprócz króla zjawił się pan szlachetnego rodu, piękny, waleczny i oddany. Kiedy cię ujrzał, pokochał. Owa namiętność, zrazu skryta, lecz nie mniej przez to żywiołowa, ogarnęła twą duszę, która nie mogła nakłonić się do króla. Ale czyż nie jesteś również królową, królową piękności, podobnie jak suweren, który cię kocha, jest królem mocarstwa? Czyż nie ma między wami niezależnej i wolnej równości? Czy jedynie tytuły podbijają serca? Kto może ci zabronić przekładać poddanego nad władcę? Nie ja z pewnością, ja pojąłbym tak szlachetne uczucia i nie zarzucałbym jako zbrodni Dianie de Poitiers, że tak wielce kochana przez króla miłowała hrabiego de Montgomery.

Tym razem Diana poruszyła się, na wpół się podniosła i szeroko otwarła wielkie, jasne, zielone oczy. Zbyt mało osób na dworze znało jej tajemnicę, żeby te porywcze słowa Gabriela nie zaskoczyły jej.

— Czy posiadasz materialne dowody owej miłości? — spytała nie bez odcienia niepokoju.

— Mam jeno pewność moralną, pani — odrzekł Gabriel — ale ją mam.

— Ach, — Odzyskała arogancką minę. — Wobec tego jest mi wszystko jedno, mogą wyznać prawdę. Tak, kochałam hrabiego de Montgomery. I co dalej?

Gabriel nie wiedział nic konkretnego i posuwał się wśród mroków przypuszczeń. Jednak mówił:

— Kochałaś, pani, Jakuba de Montgomery i ośmielam się rzec, że kochasz jeszcze jego wspomnienie, bo przecież jeśli zniknął z powierzchni ziemi, to przez ciebie. Otóż w jego imieniu przychodzę cię zaklinać, pani, i zadać pytanie, które może wydać się zuchwałe, lecz powtórzę, że twoja odpowiedź, jeśli będziesz łaskawa mi jej udzielić, wzbudzi w moim sercu li tylko wdzięczność i uwielbienie. Od twej odpowiedzi zależy moje życie. Powtarzam, pani, że jeśli mi jej nie odmówisz, będę zawsze na twe usługi ciałem i duszą. Nawet największa potęga na świecie może potrzebować ręki i serca pełnego oddania.

— Zmierzaj do końca, panie — rzekła diuszesa. — Przejdźmy wreszcie do owej straszliwej sprawy.

— Na klęczkach chcę ją przedstawić, pani — odpowiedział Gabriel padając na kolana. Mówił drżącym głosem, z bijącym sercem:

— Pani, czy w ciągu 1538 roku kochałaś hrabiego de Montgomery?

— Możliwe. Co dalej?

— Hrabia de Montgomery zniknął w styczniu 1539 roku, a w maju 1539 urodziła się Diana de Castro.

— No więc? — spytała Diana.

— No więc w tym tkwi tajemnica, o którą przyszedłem błagać na kolanach, tajemnica, od której zależy mój los i która umrze we mnie, jeśli raczysz mi ją odkryć — rzekł Gabriel tak cicho, że z trudem go słyszała. — Przed tym oto krucyfiksem, co wisi nad twoją głową, przysięgam, pani, że raczej można będzie wydrzeć mi życie niż owo zwierzenie. A zresztą zawsze mogłabyś zaprzeczyć, tobie będą wierzyć, a nie mnie. Nie proszę o dowód, a jedynie o słowo. Pani, Czy Jakub de Montgomery jest ojcem Diany de Castro?

— Ho, ho! — rzekła Diana wybuchając pogardliwym śmiechem.

W rzeczy samej pytanie jest zuchwałe i słusznie poprzedziłeś je tyloma wstępami. Bądź spokojny, drogi panie, nie mam do ciebie żalu. Zainteresowałeś mnie prawdziwie jak zagadka i dalej jeszcze mnie interesujesz. Co wreszcie może cię obchodzić, panie d'Exmès, czy pani d'Angoulême jest córką króla czy dzieckiem hrabiego? Król uchodzi za jej ojca, to powinno wystarczyć twojej ambicji, jeśli jesteś taki dumny. W co się mieszasz i skądże owo roszczenie, by niepotrzebnie grzebać w przeszłości? Masz jakiś powód, jakiż, on jest?

— W rzeczy samej mam powód, pani, lecz zaklinam cię, uczyń mi łaskę i nie pytaj.

— Ach to tak? Chcesz poznać moje sekrety, a zachować własne. Targ korzystny jedynie dla ciebie!

Gabriel zdjął krzyż z kości słoniowej zawieszony nad klęcznikiem poza Dianą.

— Przysięgnij na zbawienie wieczne, pani, że to, co ci rzeknę, zachowasz w milczeniu i nie użyjesz w żaden sposób przeciw mnie.

— Taka przysięga! — rzekła Diana.

— Tak, pani, gdyż wiem, że jesteś gorliwą i pobożną katoliczką, a jeśli przysięgniesz na zbawienie wieczne uwierzę ci.

— A jeśli odmówię przysięgi?

— Będę milczał, pani, a ty odbierzesz mi możność do życia.

— Czy wiesz, panie, że w niesłychany sposób pobudzasz moją niewieścią ciekawość? Pociąga mnie tajemniczość, którą się tak tragicznie otaczasz. Przyznaję, że mnie to kusi. Odniosłeś triumf nad moją wyobraźnią, mówię otwarcie. Nie przypuszczałam, że możesz mnie zaintrygować aż w takiej mierze. Jeśli przysięgnę, to po to, by dowiedzieć się więcej o tobie, uprzedzam. Czysta ciekawość!

— Ja także błagam cię, pani, o wyznanie. Jednak moja ciekawość jest ciekawością skazańca czekającego na wyrok śmierci. Gorzka i tragiczna ciekawość, jak widzisz. Czy zechcesz złożyć przysięgę, pani?

— Podaj słowa, a ja je powtórzę.

Diana powtarzała za Gabrielem:

— Na moje zbawienie w tym życiu i przyszłym przysięgam nikomu na świecie nie wyjawić tajemnicy, którą mi powierzysz, nigdy się nią nie posłużyć na twą szkodę i postępować pod każdym względem tak, jakbym jej nigdy nie znała.

— Dobrze, pani — rzekł Gabriel — dziękuję ci. Teraz dwa słowa i wszystko pojmiesz. Zwę się Gabriel de Montgomery, a Jakub de Montgomery był moim ojcem.

— Twoim ojcem! — wykrzyknęła Diana zrywając się. Stała wielce poruszona.

— Wynikałoby stąd, że Diana de Castro, którą kocham szaloną miłością, jest moją siostrą!

— Ach, rozumiem — odpowiedziała Diana uspokajając się po trosze i pomyślała: w tym ratunek dla konetabla.

— A teraz, pani, zechciej wyświadczyć mi łaskę i przysiąc natychmiast, na ten krzyż, że pani de Castro jest córką króla Henryka II. Nie odpowiadasz mi? Czemu mi nie odpowiadasz, pani?

— Ponieważ nie mogę złożyć takiej przysięgi, panie.

— O mój Boże, mój Boże! Diana jest dzieckiem mojego ojca? — spytał Gabriel chwiejąc się na nogach.

— Tego nie mówię! Nigdy na to się nie zgodzę! — zawołała pani de Valentinois. — Diana de Castro jest córką króla.

— Och, zaiste, pani, taka jesteś dobra! Ale wybacz, twoje dobro wymaga, byś tak twierdziła. Przysięgnij, pani, przysięgnij! W imię własnego dziecka, które będzie cię błogosławiło, przysięgnij!

— Nie przysięgnę — rzekła diuszesa. — Po co bym przysięgała?

— Ależ, pani, przed chwilą złożyłaś podobną przysięgę jedynie dla zaspokojenia zwykłej ciekawości, sama to rzekłaś. A teraz, gdy chodzi o życie człowieka, kiedy w kilku słowach możesz wyciągnąć z przepaści losy dwojga ludzi, pytasz po co?

— Stanowczo nie przysięgnę — rzekła Diana chłodno i zdecydowanie.

— A jeśli poślubię panią de Castro i jeśli Diana jest moją siostrą, to czy nie sądzisz, że ów występek spadnie na ciebie?

— Nie, ponieważ nie przysięgłam.

— To straszne, straszne! — zawołał Gabriel. — Ależ zastanów się, pani! Mogę rozgłosić wszędzie, że kochałaś hrabiego de Montgomery, że zdradziłaś króla, że ja, syn hrabiego, mam tę pewność.

— Pewność moralną, ale nie dowody — odparowała ze złośliwym uśmieszkiem Diana, która odzyskała już impertynencką i wyniosłą nonszalancję. — Zadam ci kłam, panie. Sam mi rzekłeś, że kiedy będziesz tak twierdzić, a ja zaprzeczę, nie tobie wtedy uwierzą. Pomyśl na dodatek, co mogę rzec królowi: że ośmieliłeś się mi zadeklarować bezczelnie miłość z groźbą, że mnie spotwarzysz, jeśli nie ulegnę. Wonczas będziesz zgubiony, panie Gabrielu de Montgomery. Wybacz — rzekła wstając — muszę cię już pożegnać, panie. Wielce mnie zainteresowałeś, w rzeczy samej twoja historia jest nader osobliwa.

Uderzyła w dzwonek, by przywołać służbę.

— Och, to nikczemne! — wołał Gabriel bijąc się w czoło zaciśniętymi pięściami — Czemu jesteś niewiastą, dlaczego jestem rycerzem! Ale strzeż się, pani, nie będziesz igrała bezkarnie moim sercem i życiem, Bóg cię skarze i mnie pomści, gdyż to, co czynisz, powtarzam, jest nikczemne.

— Tak uważasz? — Słowom Diany towarzyszył szyderczy, urywany śmiech tak dla niej charakterystyczny.

W tej chwili paź, którego wezwała, podniósł zasłonę z kobierca. Pożegnała Gabriela lekkim, ironicznym skinieniem i wyszła z komnaty.

To dopiero — mówiła do siebie — stanowczo ma szczęście mój konetabl. Fortuna jest niczym ja: kocha go. Po kiego diabła go kochamy?”

Gabriel wyszedł w ślad za Dianą, nieprzytomny z wściekłości i udręki.

XV. KATARZYNA DE MEDICI

Gabriel był jednak młodzieńcem nieugiętego i dzielnego serca. Po pierwszej chwili konsternacji opanował przygnębienie, podniósł głowę i kazał się zaanonsować królowej.

Katarzyna de Medici mogła przecież słyszeć o owej mało znanej tragedii, rywalizacji swego małżonka z hrabią de Montgomery. Kto wie, czy nawet nie odegrała w niej pewnej roli. W owym czasie nie miała więcej niż dwadzieścia lat. Czy zazdrość pięknej, a zaniedbywanej małżonki nie kazała jej trzymać oczu stale otwartych na wszelkie poczynania i błędy rywalki? Gabriel liczył, że jej wspomnienia rozświetlą nieco mroczną drogę, po której posuwał się po omacku, a przecież jako zakochany i jako syn miał w tym interes, by widzieć jasno zarówno dla własnego szczęścia, jak i dla zemsty.

Katarzyna przyjęła wicehrabiego d'Exmès ze szczególną życzliwością, jakiej nie przestawała mu okazywać przy każdej okazji.

— To ty, piękny zwycięzco — rzekła. — Jakiemu szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczam miłą wizytę? Rzadko przychodzisz nas odwiedzać, panie d'Exmès, a nawet sądzę, że po raz pierwszy prosisz mnie o audiencją w moich apartamentach. Wiedz, że jesteś i będziesz zawsze mile przez nas witany.

— Madame — rzekł Gabriel — nie wiem, jak mam dziękować za tyle dobroci. Bądź pewna mojego oddania…

— Dajmy spokój twojemu oddaniu i przejdźmy do celu, który cię tu sprowadza. Czy mogę ci usłużyć czymkolwiek? — przerwała mu królowa.

— Tak, Madame, sądzę, że mogłabyś.

— Tym lepiej, panie d'Exmès — podjęła Katarzyna z jak najbardziej zachęcającym uśmiechem. — Jeśli leży w mojej mocy to, o co chcesz prosić, z góry przyrzekam zgodę. Może takie zobowiązanie dla mnie jest nieco kompromitujące, ale nie nadużyjesz go, piękny rycerzu.

— Niech Bóg broni, Madame, nie mam takich zamiarów.

— No, zobaczymy, mów wreszcie — rzekła z westchnieniem królowa.

— Ośmielam się szukać u ciebie, Madame, informacji, nic więcej. Dla mnie wszakże to; nic jest wszystkim. Toteż racz mi wybaczyć, że przywołam wspomnienia, które winny być bolesne dla Waszej Królewskiej Mości. Chodzi o wydarzenia sięgające 1539 roku.

— Och, byłam bardzo młoda wtedy, prawie dzieckiem — rzekła królowa.

— Ale z pewnością bardzo piękna i godna miłości — z galanterią oświadczył Gabriel.

— Niektórzy czasem tak mówili — przyznała królowa zachwycona, że rozmowa przybiera taki obrót.

— A jednak inna kobieta ośmieliła się naruszyć prawa, które otrzymałaś od Boga, z racji pochodzenia i urody, a owa niewiasta nie dość, że odwróciła od ciebie zapewne przez magię i czary oczy i serce małżonka zbyt młodego, by widział jasno, owa niewiasta zdradzała tego, który cię zdradza i kochała hrabiego de Montgomery. Ale może w słusznej pogardzie zapomniałaś o wszystkim, Madame?

— Nie — odpowiedziała królowa — cała historia i wszelkie fortele owej, o której mówisz, jeszcze tkwią w mojej pamięci. Tak, kochała hrabiego de Montgomery. Potem, gdy jej namiętność została odkryta, tchórzliwie twierdziła, że jeno udawała, żeby wypróbować setce delfina. Kiedy Montgomery zniknął, może nawet na jej rozkaz, nie płakała. Już następnego dnia śmiała się i szalała na balu. Tak, zawsze będę pamiętała intrygi, za pomocą których owa niewiasta podkopywała moje świeże królowanie, wtedy smuciłam się z tego powodu, całe dni i

noce tonęłam we łzach. Lecz obudziła się we mnie duma. Zawsze wypełniałam w nadmiarze swoje obowiązki, budziłam szacunek dzięki godnej postawie, tytułom małżonki, matki i królowej. Dałam królowi Francji siedmioro dzieci: Teraz spokojnie miłuję swego małżonka jako przyjaciela i ojca moich synów. Nie przyznaję mu prawa, by wymagał ode mnie czulszych uczuć. Dość długo żyłam dla dobra ogółu, czyż nie mogę nieco pożyć dla samej siebie? Czyż nie dość drogo zapłaciłam za prawo do szczęścia? Gdyby mi się nadarzyło czyjeś młode, namiętne przywiązanie, czyż byłoby zbrodnią nie odpychać go, Gabrielu?

Spojrzenia Katarzyny komentowały jej słowa. Ale myśl Gabriela była gdzie indziej. Odkąd królowa przestała mówić o jego ojcu, już nie słuchał, ale marzył. Katarzyna interpretowała to rozmarzenie w takim sensie, jakiego pragnęła, i była rada. Jednak Gabriel niebawem — przerwał milczenie.

— Wyjaśnij mi, proszę, Madame, rzecz ostatnią i najważniejszą. Jesteś dla mnie tak nadzwyczaj dobra! Zaiste, przychodząc tutaj wiedziałem, że wyjdę usatysfakcjonowany. Mówiłaś o oddaniu. Licz na mnie, Madame. Ale na litość boską, dokończ swego dzieła! Skoro znasz szczegóły ponurej przygody hrabiego de Montgomery, wiesz, czy istniały wonczas wątpliwości, czy pani de Castro, urodzona w kilka miesięcy po zniknięciu hrabiego, jest naprawdę córką króla. Obmowa, a nawet oszczerstwa czy nie wyrażały podejrzeń pod tym względem i nie przypisywały panu de Montgomery ojcostwa Diany?

Katarzyna de Medici spoglądała przez jakiś czas na Gabriela w milczeniu, żeby zdać sobie sprawę z intencji dyktującej owe słowa. Uważała, że odgadła intencję, i jęła się uśmiechać.

— W rzeczy samej spostrzegłam, że zwróciłeś uwagę na panią de Castro i że ubiegałeś się o jej względy dość pilnie. Widzę teraz motywy. Zanim jednak posuniesz się dalej, chcesz się upewnić, nieprawdaż? Czy nie kroczysz błędną drogą i czy naprawdę królewskiej córce składasz hołdy? Nie chcesz po poślubieniu córki Henryka uznanej za prawowicie urodzoną znaleźć się w sytuacji; po nieoczekiwanym odkryciu, że wziąłeś za małżonkę bastardę hrabiego de Montgomery. Jednym słowem jesteś ambitny, panie d'Exmès. Nie broń się, za to jeszcze więcej cię poważam. A poza tym, nie przeciwstawiając się twoim planom, może się to im przysłużyć. Jesteś ambitny, prawda?

— Ależ, Madame… — jąkał się Gabriel naprawdę zakłopotany.

— Dobrze widzę, że cię odgadłam, mój rycerzu — oświadczyła królowa. — Czy chcesz zaufać przyjaciółce? W interesie swoich: zamiarów zrezygnuj z planów wobec Diany. Porzuć tę lalkę. Prawdę rzekłszy nie wiem, czy jest córką króla czy hrabiego, to ostatnie przypuszczenie może być jednak prawdziwe. Ale choćby nawet była spłodzona przez króla, nie jest to niewiasta i podpora, jakiej ci potrzeba. Pani d'Angoulême jest naturą miękką i słabą, uczuciowa, pełna wdzięku, lecz bez mocy charakteru, bez energii, bez odwagi. Umiała pozyskać łaskawość króla, przyznaję, ale nie będzie umiała z tej zdobyczy skorzystać. Dla spełnienia twoich wielkich chimer, Gabrielu, trzeba ci mężnego, silnego serca, które ci dopomoże tak, jak cię miłuje, które będzie ci służyło. Przysłuży ci się i wypełni twą duszę i życie. Nieświadomie znalazłeś owo serce, wicehrabio d'Exmès.

Patrzył na nią zdziwiony. Ona mówiła z uniesieniem:

— Słuchaj, nasz los, los królowych powinien się wyzwolić z pospolitych konwenansów. Jeśli my, umieszczone tak wysoko, chcemy, aby uczucie do nas przyszło, musimy wyjść mu kilka kroków naprzód i wyciągnąć doń rękę. Jesteś piękny, dzielny, pełen żaru i dumy! Od pierwszej chwili, odkąd cię ujrzałam, obudziło się — we mnie nieznane uczucie, a twoje słowa i spojrzenia, chyba się nie mylę i dzisiejsze wystąpienie, które może jest jeno zręcznym manewrem, wszystko to każe mi przypuszczać, że nie natrafiłam na niewdzięcznika.

— Madame! — rzekł przerażony Gabriel.

— Tak, jesteś wzruszony i zaskoczony, widzę to — podjęła Katarzyna z najsłodszym uśmiechem. — Chyba nie osądzasz mnie surowo, mojej nieodzownej szczerości? Powtarzam ci, królowa może znaleźć usprawiedliwienie jako niewiasta. Jesteś nieśmiały, chociaż z ambicjami panie d'Exmès, a skrupuły mogłyby zniszczyć tak cenne oddanie, wolałam przemówić pierwsza. Nuże, uspokój się! Czy budzę taki postrach?

— O tak! — wyszeptał blady i osłupiały Gabriel. Królowa słysząc to źle pojęła jego wykrzyknik.

— Ejże! — dodała filuternie. — Chyba jeszcze nie postradałeś przeze mnie rozumu do tego stopnia, by zapomnieć o sprawie, czego dowodem jest, że prosisz o informacje tyczące pani d'Angoulême. Bądź spokojny, Gabrielu, nie życzą sobie twojego upokorzenia, pragnę wywyższenia. Do tego czasu usuwałam się na drugi plan, wiedz jednak, że niebawem będę błyszczała na pierwszym. Pani Diana de Poitiers jest już w takim wieku, że niezbyt długo zachowa urodę i władzę. Od dnia, kiedy prestiż owej damy zacznie się chylić ku upadkowi rozpocznie się moje królowanie. Pojmij, Gabrielu, że będę umiała rządzić. Rękojmia tego w moim poczuciu władzy, we krwi Medyceuszów. Pewnego dnia król uzna, że nie istnieje żaden sprytniejszy i bardziej doświadczony doradca ode mnie. A wtedy do czego będzie mógł pretendować mężczyzna, który złączył swój los z moim jeszcze wtedy, kiedy moja dola była czarna? Kiedy kochał we mnie niewiastę, a nie królową? Władczyni królestwa czyż nie zechce godnie wynagrodzić owego, kto będzie oddany Katarzynie? Ów mężczyzna będzie drugim po niej, jej prawą ręką, rzeczywistym królem przy królu — cieniu. Czyż nie będzie dzierżył w dłoni wszelkich godności i całych sił zbrojnych Francji? Piękne marzenie, prawda, Gabrielu? Czy chcesz być owym mężczyzną, Gabrielu?

Odważnie wyciągnęła ku niemu rękę.

Gabriel ugiął kolano do ziemi i ucałował białą, czarującą rączkę. Jednak jego charakter był za bardzo prostolinijny i lojalny, żeby naginać się do podstępów i kłamstw udawanej miłości. Mając do wyboru oszustwo albo niebezpieczeństwo, był nazbyt szczery i zdecydowany, by się zawahać. Podniósł swą szlachetną twarz i rzekł:

— Madame, pokorny rycerz u twoich stóp prosi, byś go uważała za pełnego respektu i najbardziej ofiarnego wśród swoich poddanych, ale… — Ale — przerwała mu Katarzyna z uśmiechem — nie wyrazów czci od ciebie wymagam, szlachetny kawalerze.

— A jednak, Madame, nie mogę zwracać się do ciebie słodszymi i czulszymi wyrazami, gdyż, wybacz, zanim cię poznałem, pokochałem panią Dianę de Castro i żadna miłość, nawet miłość królowej nie znajdzie miejsca w sercu wypełnionym innym wizerunkiem.

— Ach! — tyle jeno rzekła Katarzyna z pobladłym czołem przez zaciśnięte wargi.

Gabriel ze spuszczoną głową czekał bez lęku na wybuch oburzenia i pogardy, który się rozpęta nad jego głową. Pogarda i oburzenie nie dały na siebie długo czekać, po kilku minutach milczenia Katarzyna de Medici z trudem hamując gniew rzekła:

— Żebyś wiedział, panie d'Exmès, że znajduję cię zuchwałym, by już nie rzec bezwstydnym! Kto ci mówił o miłości, panie? Z czego wnosisz, że chciałam wystawić na pokuszenie tak zajadłą cnotę? Masz widać o swych zasługach tak pyszałkowate mniemanie i taką bezczelność, by ośmielić się myśleć o podobnych sprawach i by tak zuchwale tłumaczyć sobie życzliwość, którą niesłusznie skierowałam w niegodnym kierunku. Poważnie znieważyłeś damą i królową, panie!

— Madame, wierz mi, że z religijnym respektem…

— Dość! — przerwała Katarzyna. — Oznajmiam, że mnie znieważyłeś i że przyszedłeś po to, żeby mnie znieważyć! W jakim celu tu jesteś? Jaka przyczyna cię tu przywiodła? Co mnie obchodzi twoja i pani de Castro miłość i wszystko, co was dotyczy? Przyszedłeś szukać u mnie informacji? Śmieszny pretekst! Chcesz uczynić z królowej Francji policjanta własnej

namiętności! To bezsensowne, mówię ci i dodaję: to obelżywe!

— Nie, Madame — odpowiedział Gabriel dumnie podnosząc się z klęczek. — Nie spadła na ciebie zniewaga przez zetknięcie się z uczciwym mężczyzną, który woli zranić niż oszukiwać.

— Zamilknij, panie! Każę ci milczeć i wyjść. Uważaj się za szczęśliwca, że nie zamierzam odkryć królowi twojej zuchwałej pomyłki. Ale nigdy więcej nie pokazuj mi się na oczy i uważaj od tej chwili Katarzynę de Medici za nieprzejednanego wroga. Jeszcze cię odnajdę, bądź tego pewny, panie d'Exmès! A teraz wyjdź!

Gabriel pokłonił się królowej i odszedł bez słowa.

A więc to tak! — pomyślał, kiedy znalazł się sam. Jeszcze jedna nienawiść więcej! Ale cóż to znaczy, jeśli dowiedziałem się czegoś o mym ojcu i Dianie. Faworyta króla i małżonka króla jako nieprzyjaciółki! Przeznaczenie chce mnie przygotować do tego, bym stał się wrogiem króla. A teraz do Diany, odpowiednia pora. Oby Bóg zezwolił, żebym nie wyszedł jeszcze smutniejszy i bardziej zrozpaczony ód ukochanej niż od niewiast, które mnie nienawidzą!

XVI. MIŁOŚNIK CZY BRAT?

Kiedy Jacenta wprowadziła Gabriela do komnaty, którą zajmowała w Luwrze Diana de Castro jako prawowita córka króla, dziewczyna z niewinną i pełną prostoty wylewnością pobiegła na spotkanie ukochanego nie ukrywając swej radości. Nawet nie cofnęłaby się, gdyby chciał ucałować jej czoło, ale on zadowolił się uściskiem ręki.

— Jesteś wreszcie, Gabrielu! — rzekła. — Z jakąż niecierpliwością czekałam na ciebie! Od niedługiego czasu nie wiem, jak wyładować nadmiar szczęścia, które mnie przepełnia. Mówię do siebie, śmieję się do siebie samej, szaleję z radości. Ale oto jesteś, Gabrielu, i możemy wspólnie przeżywać szczęście. Co ci jest? Masz chłodny wyraz twarzy, poważny i prawie smutny. Z taką ściągniętą twarzą i z rezerwą w zachowaniu okazujesz mi swoją miłość? A gdzie wdzięczność Bogu i mojemu ojcu?

— Twojemu ojcu? Tak, porozmawiajmy o twoim ojcu, Diano. Dziwi cię moja powaga, lecz mam zwyczaj przyjmować powodzenie z posępnym czołem. Po pierwsze nie ufam darom losu, bo nie jestem do tego przyzwyczajony i przekonałem się, że nieraz kryje cierpienie pod łaskawością.

— Nie wiedziałam, że z ciebie taki filozof i nieszczęśliwiec, Gabrielu — odrzekła dziewczyna na wpół wesoła, na wpół dotknięta. — No, zobaczymy. Rzekłeś, że chcesz rozmawiać o królu, tym lepiej. Jaki on dobry i szlachetny, Gabrielu!

— Tak, Diano. Kocha cię, prawda?

— Z nieskończoną czułością i łagodnością, Gabrielu.

Niewątpliwie przypuszcza, że jest jego córką — szepnął do siebie wicehrabia d'Exmès, a potem rzekł głośno:

— Jedno mnie dziwi: jakim sposobem król, mając pewnie w sercu przeczucie miłości, jaką cię miał obdarzyć, jakim sposobem mógł żyć przez dwanaście lat nie widząc cię, nie znając i jak mógł pozostawić cię w Vimoutiers, daleką i nieznaną? Czy nigdy go nie spytałaś o powód takiej dziwnej obojętności, Diano? Podobne zapomnienie trudno pogodzić z okazywaną teraz życzliwością.

— Och, nie mój biedny ojciec o mnie zapomniał.

— A więc kto?

— Kto? Pani Diana de Poitiers. Nie wiem, czy powinnam ją nazywać matką.

— Dlaczego zdecydowała się ciebie w taki sposób porzucić, Diano? Czyż nie powinna była cieszyć się i chwalić przed królem z powodu twoich urodzin, co jej dawało jeszcze jedno więcej prawo do jego miłości? Czego się obawiała? Jej mąż już nie żył, nie żył jej ojciec…

— Oczywiście, Gabrielu — rzekła Diana. — Trudno mi usprawiedliwić ową szczególną dumę, że pani de Valentinois nie zgodziła się nigdy, by mnie uznać oficjalnie za swą córkę. Nie wiesz, przyjacielu, że otrzymała zgodę króla na ukrycie moich narodzin, że jedynie na skutek jego nalegań, prawie na rozkaz, sprowadziła mnie na dwór królewski i że nie chciała być wymieniona w akcie uznania mnie za prawowitą córkę? Nie żalę się na to, Gabrielu, gdyby nie jej dziwaczna pycha, nigdy bym cię nie poznała i ty byś mnie nie pokochał. Niemniej jednak zastanawiałam się ze smutkiem nad pewnego rodzaju wstrętem, jaki matka czuje do wszystkiego, co mnie dotyczy.

Odraza taka to może wyrzuty sumienia — myślał z przerażeniem Gabriel. — Umiała oszukiwać króla, nie czyniła tego chyba bez wahania.

— O czym tak rozmyślasz, przyjacielu? — spytała Diana. — I dlaczego zwracasz się do mnie

z takimi pytaniami?

— Tak sobie, wątpliwości niespokojnego umysłu. Nie przejmuj się tym, Diano. Jeśli nawet matka jest w stosunku do ciebie prawie nienawistna, to ojciec wynagradza ci ów chłód swoją serdecznością. Ty ze swej strony, jeśli czujesz się nieśmiała i skrępowana w obecności pani de Valentinois, to przy królu serce ci się raduje i poznaje w nim prawdziwego ojca, czyż nie jest to prawdą?

— O tak, oczywiście. Od pierwszego dnia, kiedy go ujrzałam i kiedy zwracał się do mnie z wielką dobrocią, natychmiast poczułam, że coś mnie przyciąga do niego. Nie przez dyplomację jestem dla niego miła i czuła, lecz instynktownie. Gdyby nie był królem, dobroczyńcą i opiekunem, także kochałabym go tak samo, to mój ojciec.

— Nie ma pomyłek w takich sprawach! — rzekł zachwycony Gabriel. — Droga moja Diano, moja umiłowana! Dobrze świadczy o tobie, że tak kochasz ojca i że czujesz dla niego wdzięczność i miłość. Takie słodkie uczucia córki przynoszą ci zaszczyt, Diano.

— Ty także winieneś to rozumieć i pochwalać, przyjacielu. Już rozmawialiśmy o moim ojcu i jego przywiązaniu, które budzi moją wzajemność, i o naszych zobowiązaniach wobec niego. A teraz może pomówilibyśmy trochę o nas i o naszej miłości? Cóż chcesz! Jestem egoistką — dodała dziewczyna z uroczą, właściwą sobie prostotą. — Zresztą, gdyby król był tutaj, czyniłby mi wymówki, że nie myślę całkiem o sobie, o nas. Czy wiesz, co mi powtarzał przed chwilą? „Drogie dziecko, bądź szczęśliwa!" Być szczęśliwą, czy dobrze słyszysz? To — znaczy, żebyś ty uczynił mnie szczęśliwą. Tak więc, mój panie, po spłaceniu długu wdzięczności nie zapominajmy o sobie.

— O to właśnie chodzi — rzekł Gabriel. — Oddajmy się uczuciu, które złączyło nasze oba życia. Patrzmy w nasze serca, zobaczmy, co się w nich dzieje. Otwórzmy przed sobą nawzajem dusze.

— Natychmiast! To będzie zachwycające — odpowiedziała Diana.

— Tak, zachwycające — ze smutkiem potwierdził Gabriel. — Ty pierwsza, Diano: co odczuwasz dla mnie? Czy nie kochasz mnie mniej niż swego ojca?

— Brzydki zazdrośnik! — odpowiedziała Diana. — Musisz wiedzieć, że kocham cię inaczej. Wcale nie jest łatwe ci to wyjaśnić. Gdy król jest ze mną, jestem spokojna, serce nie bije mi szybciej niż zwykle, ale kiedy ciebie widzę, w całej mojej istocie budzi się szczególne podniecenie, czuję się nieswoja i oczarowana. Ojcu mówię nawet wobec innych ludzi słodkie, pieszczotliwe słówka, jakie mi się cisną na usta. Wobec ciebie zdaje się, że nie ośmieliłabym się wyrzec nic więcej niż: Gabrielu, nawet kiedy będę twą małżonką. Jednym słowem, o ile radość odczuwana przy ojcu jest spokojna, o tyle szczęście przebywania z tobą jest niespokojne, rzekłabym bolesne, a jednak jest rozkoszniejsze niż spokój.

— Zamilknij, zamilknij! — zawołał tracąc głowę Gabriel. — Kochasz i to mnie przeraża! I uspokaja, bo przecież Bóg nie pozwoliłby na miłość, gdybyś nie powinna była mnie kochać!

— Co to ma znaczyć, Gabrielu? — spytała zdziwiona Diana. — Dlaczego wyznanie, które miałam prawo uczynić, bo wszak będziesz moim mężem, tak cię wyprowadza z równowagi? Jakie niebezpieczeństwo może się kryć w mojej miłości?

— Żadne, droga Diano, żadne. Nie zwracaj na to uwagi. Radość mnie tak upaja, radość! Tak wielkie szczęście powoduje zawrót głowy. Jednak nie zawsze kochałaś mnie z niepokojem i w cierpieniu. Kiedy przechadzaliśmy się razem w cieniu drzew w Vimoutiers, czułaś dla mnie jedynie przyjaźń… braterską.

— Byłam wtedy dzieckiem — wyjaśniła Diana. — Nie marzyłam o tobie podczas sześciu lat samotności. Miłość nie dojrzewała wraz ze mną. Nie spędziłam nawet dwóch miesięcy na dworze, gdzie frywolność języka i zepsucie obyczajów tym mocniej skłoniły mnie do uwielbiania

naszej czystej i świętej miłości.

— To prawda, Diano.

— A teraz ty, mój miły, opowiedz, ile masz w sobie oddania i żarliwości uczuć dla mnie. Otwórz przede mną swe serce, jak ja to uczyniłam. Jeśli moje słowa były ci miłe, pozwól, niech usłyszę twój głos opowiadający, jak wielce mnie kochasz, w jaki sposób mnie miłujesz.

— Nie wiem — odpowiedział Gabriel. — Nie mogę ci tego wyrazić. Nie pytaj o to! Nie wymagaj, bym sam siebie o to zapytywał. To zbyt straszne!

— Ależ Gabrielu! — krzyknęła skonsternowana Diana. — To twoje słowa są straszne! Czy tego nie czujesz? Jak to? Nie chcesz mi nawet powiedzieć, że mnie miłujesz?

— Czy cię miłuję, Diano? Ona mnie o to pyta! Ależ tak, kocham cię jak szaleniec, może jak zbrodniarz!

— Jak zbrodniarz? — powtórzyła zdumiona pani de Castro. — Jaka zbrodnia tkwi w naszej miłości? Czyż nie jesteśmy wolni oboje? Czy mój ojciec nie wyraził zgody na nasz związek? Bóg i aniołowie cieszą się podobną miłością!

Ochroń ją, Boże, od bluźnierstw! — wołał w myśli Gabriel. Ja także bluźniłem w rozmowie z Alojzą.

— W czym rzecz? — pytała Diana. — Chyba nie jesteś chory, Gabrielu? Ty, zawsze taki opanowany, a teraz przychodzą ci do głowy urojone obawy? Nie lękam się ciebie, wiem, że będę z tobą bezpieczna tak jak przy ojcu. Żebyś powrócił do siebie, do życia, do szczęścia, przytulam się do twej piersi bez obawy, umiłowany małżonku! Bez skrupułów kładę czoło na twoich wargach.

Przybliżyła się do niego z ujmującym uśmiechem, z rozjaśnioną twarzyczką podniesioną ku jego obliczu, z anielskim spojrzeniem zgadzała się na niewinną pieszczotę.

Gabriel odepchnął ją jednak z przestrachem.

— Nie, odejdź, zostaw mnie w spokoju, odsuń się!

— Mój Boże! — westchnęła Diana opuszczając ręce wzdłuż ciała. — Mój Boże! Odpycha mnie! Nie kocha!

— Kocham cię aż nazbyt — oświadczył Gabriel.

— Jeśli mnie miłujesz, to czemu pieszczoty budzą w tobie przerażenie?

Czy naprawdę mnie przerażają? Czy instynkt mnie odpycha, a nie rozum? — myślał Gabriel zdjęty obawą.

— Chodź, Diano, niech patrzę na ciebie, niech wiem, co czuję! Chodź i pozwól mi, w rzeczy samej, przytulić usta do twego czoła, to braterski pocałunek przecież i narzeczony może sobie na to pozwolić.

Przytulił Dianę do serca i złożył przeciągły pocałunek na jej włosach.

— Pomyliłem się! — rzekł podniecony czułym zetknięciem się. — Nie głos krwi woła we mnie, ale zew miłości. Poznaję. Co za szczęście!

— Co opowiadasz, miły? Wyznałeś, że mnie kochasz. Tyle jeno chcę słyszeć i wiedzieć.

— Tak, kocham cię, ubóstwiany aniele, kocham cię i pożądam, kocham namiętnie, do szału. Kocham cię, a czuć twoje serce przy moim to raj… a może piekło! — krzyknął nagle Gabriel wyswobadzając się z objęć Diany. — Odejdź, odejdź, pozwól mi uciec, jestem przeklęty!

Jak nieprzytomny umknął z komnaty, pozostawiając Dianę oniemiałą z przestrachu i skamieniałą z rozpaczy.

Sam nie wiedział, dokąd idzie i co czyni. Machinalnie zszedł po schodach, chwiejąc się jak pijany. Za wiele było na jego rozum owych trzech straszliwych doświadczeń. Gdy doszedł do wielkiej galerii, oczy zamknęły się mimo woli, ugięły się nogi, osunął się przy ścianie na kolana szepcząc:

— Przewidywałem, że anioł zada mi większe cierpienie niż dwa szatany.

Zemdlał. Zapadła ciemność i nikogo nie było w galerii.

Odzyskał przytomność pod dotknięciem małej rączki, która głaskała go po czole. Usłyszał łagodny głos. Otwarł oczy. Młoda królowa, następczyni tronu, Maria Stuart, stała przed nim z pochodnią w dłoni.

— Co za szczęście, drugi anioł — rzekł.

— To ty, panie d'Exmès, przelękłam się ciebie. Myślałam, że nie żyjesz. Co ci jest? Jaki jesteś blady! Czy już czujesz się lepiej? Przywołam kogoś, jeśli chcesz.

— Nie trzeba, Madame — odpowiedział Gabriel usiłując wstać. — Twój głos przywołał mnie do życia.

— Czekaj, pomogę ci. Biedny młodzieńcze! Zasłabłeś? Zemdlałeś? Spostrzegłam cię przechodząc i zabrakło mi sił, by krzyknąć. Chwila refleksji przyniosła uspokojenie, podeszłam i trzeba mi było nie lada odwagi. Położyłam rękę na twym czole, było całkiem jak lód. Wymówiłam twoje nazwisko i odzyskałeś przytomność. Czy już ci lepiej?

— Tak, Madame, bądź błogosławiona za swą dobroć. Teraz już przypominam sobie. Okropny ból z nagła ścisnął mi skronie jak żelazna obręcz. Nogi ugięły się pode mną i obsunąłem się jak długi, chociaż chwytałem się tapiserii. Skąd wziął się ból? Ach, tak, już sobie przypominam, pamiętam wszystko. Niestety, mój Boże! Mój Boże! Przypominam sobie!

— Jakieś wielkie zmartwienie tak cię przytłoczyło, prawda? Tak, na samo wspomnienie tego, co wycierpiałeś, pobladłeś jak nigdy. Oprzyj się o moje ramię, jestem silna. Wezwę kogoś, żeby cię odprowadzono do domu.

— Dziękuję, Madame — rzekł Gabriel zbierając siły i energię. — Czuję się już na siłach, by wrócić samodzielnie do domu. Patrz, idę bez pomocy dość pewnym krokiem. Przeto dziękuję ci, Madame, i póki żyję, będę pamiętał twoją pełną prostoty, wzruszającą dobroć. Ukazałaś się przede mną jak anioł — pocieszyciel w przełomowym momencie mego życia. Jedynie śmierć może to wymazać z mego serca.

— Mój Boże, to rzecz naturalna, panie d'Exmès. Uczyniłabym to samo dla każdej cierpiącej istoty, a tym bardziej dla ciebie, bo wiem, że jesteś oddanym przyjacielem mego wuja de Guise. Nie dziękuj mi za taką drobnostkę.

— Ta drobnostka wiele warta wobec bólu i rozpaczy, które mnie powaliły. Nie chcesz, bym ci dziękował, ale będę pamiętał. Żegnaj, Madame, nie zapomnę.

— Bądź zdrów, panie d'Exmès, lecz się i staraj znaleźć pocieszenie.

Wyciągnęła doń rękę, a Gabriel ucałował ją z szacunkiem. Potem rozeszli się każde w swoją stronę.

Gdy już znalazł się poza Luwrem, ruszył brzegiem rzeki i po upływie pół godziny doszedł do ulicy des Jardins. W głowie miał pustkę i wielki ból.

Alojza oczekiwała go z niepokojem.

— No i co? — spytała.

Gabriel walczył z mrokiem zaćmiewającym wzrok. Bardzo by chciał zapłakać, ale nie mógł. Odpowiedział zmienionym głosem:

— Dalej nic nie wiem, Alojzo. Głucho milczały owe niewiasty i moje serce. Nic nie wiem, choć czoło mam jak lód, a cały płonę, Boże mój, Boże!

— Odwagi, odwagi, dostojny panie.

— Dzięki Bogu mam dość odwagi. Umieram.

I padł na wznak na parkiet. Tym razem nie odzyskał przytomności.

XVII. HOROSKOP

— Chory będzie żył, pani Alojzo. Niebezpieczeństwo było poważne, rekonwalescencja potrwa długo. Częste puszczanie krwi osłabiło biedaka, ale nie wątpię w wyzdrowienie. Dziękujmy Bogu, że wyniszczenie ciała złagodziło cios zadany jego duszy. Mógł on być śmiertelny, a może i jest nadal.

Lekarz, który tak rozprawiał, był mężczyzną wysokiego wzrostu, o mocno wypukłym czole, o oczach głęboko osadzonych i przenikliwych. Lud go zwał mistrzem Notredame, a on podpisywał się w uczonych pismach Nostradamus. Nie wyglądał na więcej niż pięćdziesiąt lat.

— O Jezu, popatrz na niego, panie — rzekła Alojza. — Leży tak od siódmego czerwca wieczorem, a dzisiaj mamy drugiego lipca. W tym czasie nie wyrzekł ani jednego słowa. Nie sprawia wrażenia, by mnie widział i poznawał, jest już jak nieżywy. Dotykasz jego ręki, a on tego nawet nie czuje.

— Tym lepiej, powtarzam, pani Alojzo. Niech jak najpóźniej powróci mu świadomość własnego nieszczęścia. Gdyby pozostał jeszcze przez miesiąc w takim otępieniu, na co mam nadzieję, bez rozeznania, bez myślenia, będzie całkiem ocalony.

— Ocalony! — powtórzyła Alojza wznosząc oczy w górę Bogu w podzięce.

— Już tak jest obecnie, byleby nie było nawrotu choroby. Możesz tak rzec owej ładnej pokojowej, która dwakroć w ciągu dnia przychodzi dowiadywać się o jego zdrowie. Tkwi w tym wszystkim namiętność jakiejś wielkiej pani, prawda? Niekiedy jest to czarujące, a niekiedy fatalne.

— Och, tutaj to fatalność losu, masz słuszność, mistrzu Notredame — z westchnieniem potwierdziła Alojza.

— Z wolą boską niech wybrnie z namiętności tak jak z choroby, pani Alojzo, jeśli choroba i miłość nie mają tej samej przyczyny i takich samych skutków. Odpowiadam za pierwszą, ale nie za drugą.

Nostradamus rozwarł miękką i bezwładną rękę Gabriela i z dociekliwą uwagą przyglądał się dłoni, naciągnął skórę nad palcem wskazującym i środkowym. Zdawał się szukać w swej pamięci, nie bez wysiłku, jakiegoś wspomnienia.

— To szczególne — rzekł półgłosem jakby do siebie. — Już kilka razy studiuję tę dłoń i ciągle mi się wydaje, że już ją badałem w dawniejszych czasach. Jakie linie uderzyły mnie specjalnie? Linia głowy jest pomyślna. Linia środkowa — niepewna. Linia życia bardzo wyraźna. Zresztą nie, zawiera nic przeciętnego. Dominującą cechą młodzieńca winna być silna wola, potężna i nieugięta jak strzała wypuszczona pewną ręką. Wtedy nie to mnie zadziwiło. A zresztą wspomnienia moje są już nieco zatarte, a raczej zbyt dawne, a twój pan, pani Alojzo, nie ma więcej jak dwadzieścia pięć lat, nieprawdaż?

— Ma dwadzieścia cztery dopiero, panie.

— Urodził się przeto w 1533. Czy znasz dokładną datę, pani Alojzo?

— Szóstego marca.

— Ale nie wiesz, czy to był ranek, czy wieczór?

— O przepraszam, wiem dokładnie. Byłam przy jego matce, gdy cierpiała wydając go na świat. Jego dostojność Gabriel urodził się akurat o pół do siódmej rano.

Nostradamus poczynił notatki i rzekł:

— Zobaczę, jaki był stan nieba w owym dniu o tej godzinie. Gdyby wicehrabia d'Exmès miał o dwadzieścia lat więcej, mógłbym przysiąc, że już wtedy trzymałem jego rękę w swojej. Zresztą

to mało ważne! Ma z nim do czynienia nie czarownik, jak lud mnie czasami nazywa, ale medyk. Powtarzam ci, pani Alojzo, lekarz odpowiada już teraz za wyzdrowienie chorego.

— Wybacz, mistrzu — ze smutkiem nawiązała do jego słów Alojza. — Rzekłeś, że odpowiadasz za wyleczenie ciała, ale nie duszy, nie odpowiadasz za namiętność.

— Namiętność! — powtórzył z uśmiechem Nostradamus, — Wydaje mi się, że obecność pokojówki dwa razy dziennie dowodzi, że uczucie nie jest beznadziejne.

— Wprost przeciwnie, mistrzu, wprost przeciwnie — zawołała z przestrachem Alojza.

— Ależ, pani Alojzo! Bogaty, dzielny, młody i piękny jest wicehrabia d'Exmès. Nie mogą go długo odpychać damy naszej epoki, najwyżej może się coś odwlec na czas jakiś.

— Przypuśćmy jednak, że nie tak będzie, mistrzu. Przypuśćmy, że kiedy jego dostojność powróci do przytomności i odzyska rozum, pierwszą i jedyną jego myślą, która uderzy we wskrzeszony umysł, będzie następująca: niewiasta, którą miłuję, jest nieodwołalnie dla mnie stracona. Co stanie się wtedy?

— Och, miejmy nadzieję, że twoje przypuszczenie jest bezpodstawne, pani Alojzo, to byłoby straszne. Takie niezmierne cierpienie dla osłabionego mózgu byłoby przerażające! O ile można sądzić o człowieku z rysów jego twarzy i oczu, twój pan nie jest człowiekiem przesądnym. W takim przypadku jego niezłomna wola i energia przysporzą mu jeno nieszczęścia i załamawszy się przy zetknięciu się z niemożliwością może postradać życie.

— O Jezu! Moje dziecko miałoby umrzeć! — zawołała Alojza.

— Niebezpieczeństwo będzie mniejsze, jeśli nie nastąpi powtórne zapalenie mózgu — rzekł Nostradamus. — No cóż! Zawsze istnieje jakiś sposób, by zabłysło przed jego oczyma światełko nadziei. Choćby szansa była bardzo daleka, bardzo ulotna, pochwyciłby ją i byłby ocalony.

— A zatem będzie ocalony — rzekła Alojza z posępną miną. — Złamię przysięgę, ale będzie ocalony. Wielmożny panie Nostredame, dziękuję.

Upłynął tydzień. Gabriel zdawał się jeśli nie odzyskiwać, to czynić starania, by odzyskać świadomość. Oczy jego, jeszcze błędne i bez wyrazu, kierowały nieme pytania do widzianych twarzy i przedmiotów. Następnie jął się poruszać i podnosić samodzielnie, brać napój podawany przez Nostradamusa.

Alojza czekała stojąc niestrudzenie u wezgłowia jego łoża.

Pod koniec drugiego tygodnia Gabriel już potrafił mówić. Jeszcze nie było jasnego rozeznania w chaosie jego myśli. Wymawiał słowa bez związku i ładu, dotyczyły one jednak faktów z minionego życia. Co więcej, Alojza drżała, żeby Gabriel nie zdradził swojej tajemnicy w obecności lekarza.

Wcale nie były płonne jej obawy. Pewnego dnia Gabriel w gorączce przez sen zawołał przy Nostradamusie:

— Oni przypuszczają, że zwę się wicehrabia d'Exmès. Nie, nie! Strzeżcie się, jestem hrabią de Montgomery!

— Hrabią de Montgomery! — powtórzył Nostradamusa zaskoczony pewnym wspomnieniem.

— Cicho! — rzekła Alojza kładąc palec na ustach.

Ale Nostradamus wyszedł nie czekając, aż Gabriel jeszcze dorzuci jakieś słowo. Nazajutrz i dni następnych lekarz nie powtórzył słów, które wymknęły się choremu. Alojza unikała owego tematu, bo jej pan miał powód; by go ukrywać. Wydawało się, że ów incydent poszedł w zapomnienie.

Tymczasem Gabriel miewał się coraz lepiej. Poznawał już Alojzę i Marcina, prosił o to, czego mu było potrzeba. Rozmawiał z łagodnym smutkiem, co pozwalało przypuszczać, że odzyskiwał świadomość.

Pewnego dnia, kiedy stanął na nogi po raz pierwszy, rzekł do piastunki:

— Co z wojną, Alojzo?

— Jaką wojną, Wasza Wielmożność?

— Z wojną przeciwko Hiszpanii i Anglii.

— Krążą o niej żałosne wieści, Hiszpanie wspomożeni dwunastoma tysiącami Anglików wkroczyli do Pikardii. Biją się wzdłuż całej granicy.

— To dobrze — odpowiedział Gabriel, Alojza przypisała tę odpowiedź gorączce. Ale następnego dnia, z całkowitą przytomnością umysłu Gabriel rzekł do niej:

— Nie zapytałem cię wczoraj, czy pan de Guise powrócił z Italii.

— Jest w drodze, Wasza Wielmożność — odrzekła zdziwiona Alojza.

— To dobrze. Jaki dziś dzień, mamko?

— Środa, czwarty sierpnia, dostojny panie.

— Siódmego upłyną dwa miesiące, odkąd spocząłem na łożu boleści.

— Och! — zdziwiła się Alojza. — Jak Wasza Wielmożność dobrze pamięta.

— Tak, przypominam sobie, Alojzo, pamiętam — dorzucił ze smutkiem. — Ja niczego nie zapomniałem, lecz wydaje mi się, że o mnie zapomniano. Nikt nie przychodzi zasięgać wieści o mnie, Alojzo?

— Ależ oczywiście, dostojny panie — odpowiedziała Alojza łamiącym się głosem, śledząc z niepokojem skutek swych słów na twarzy młodego pana. — Owszem, pokojowa imieniem Jacenta dwakroć w ciągu dnia przychodziła dowiadywać się, jak się czujesz. Ale od dwóch tygodni, odkąd wyraźnie się polepszyło, już nie przychodzi.

— Nie przychodzi? Czy wiesz dlaczego?

— Tak, panie. Wedle tego, co mi rzekła ostatnim razem Jacenta, jej pani uzyskała zgodę króla na schronienie się w klasztorze co najmniej do końca wojny.

— A to dopiero! — rzekł Gabriel z łagodnym, melancholijnym uśmiechem. Łza, pierwsza, jaka ukazała się od dwóch miesięcy, wolno spływała po policzku, a on dodał: — Droga Diana!

— Wymówiłeś to imię! — zawołała Alojza z radosnym uniesieniem. — Wymówiłeś bez wstrząsu, bez zasłabnięcia. Mistrz Notredame się pomylił, jesteś ocalony! Będziesz żył i nie będę musiała złamać przysięgi!

Widać było, że biedaczka szalała z radości, ale na szczęście Gabriel nie zwrócił uwagi na jej ostatnie słowa. Dodał tylko z gorzkim uśmiechem:

— Tak, jestem ocalony, a jednak nie będę żył, dobra Alojzo.

— Jakże to, wielmożny panie? — spytała Alojza z drżeniem.

— Ciało dzielnie przetrwało, ale czy nie sądzisz, Alojzo, że dusza jest śmiertelnie zraniona? Dźwignę się niebawem z długiej choroby, to prawda, i pozwalam się leczyć, jak widzisz. Na szczęście jednak trwają walki na pograniczu, jestem kapitanem gwardii i miejsce moje tam, gdzie wojują. Skoro tylko będę mógł dosiąść konia, pojadę tam, gdzie moje miejsce. Kiedy się znajdę w pierwszej bitwie, tak uczynię, żebym już więcej nie powrócił, Alojzo.

— Dasz się zabić? O Najświętsza Panienko! Ależ dlaczego, Wasza Wielmożność?

— Dlaczego? Dlatego, że pani de Poitiers nie chce mi nic wyjawić, dlatego, że Diana jest może moją siostrą, i dlatego, że kocham Dianę. Dlatego, że może król zamordować kazał mego ojca, a ja nie mogę ukarać króla nie mając pewności. Skoro nie mogę ani pomścić ojca, ani poślubić własnej siostry, nie wiem, co bym miał jeszcze czynić na tym świecie. Oto dlaczego chcę się z nim rozstać.

— Nie, Wasza Wielmożność, nie rozstaniesz się z nim — rzekła wtedy głuchym głosem posępna i przygnębiona Alojza. — Nie zejdziesz z tego świata, bo wiele jeszcze zaiste winieneś uczynić. Przed tobą trudne zadanie, ręczę ci. Opowiem o tym w dniu, gdy będziesz już całkiem krzepki, kiedy mistrz Notredame zapewni, że możesz mnie wysłuchać, że masz na to dość siły.

Taki dzień nadszedł w środę następnego tygodnia, Gabriel wychodził już od trzech dni, żeby przygotować ekwipunek przed wyjazdem, a Nostradamus oświadczył, że przyjdzie w owym dniu odwiedzić rekonwalescenta już po raz ostatni.

Nadeszła chwila, kiedy Alojza została sama z Gabrielem, Tedy rzekła:

— Czy zastanowiłeś się nad ostateczną decyzją? Czy trwasz przy niej, Wasza Wielmożność?

— Trwam — odpowiedział Gabriel.

— Chcesz przeto się zabić?

— Chcę polec w walce.

— Umrzesz jeno dlatego, że nie masz nijakiego sposobu dowiedzieć się, czy pani de Castro jest twoją siostrą?

— Tak, taka jest przyczyna.

— Co ci rzekłam, wtajemniczając w ten okropny sekret? Czy pamiętasz, co ci rzekłam, Wasza Wielmożność?

— Oczywiście! Że jedynie Bóg na tamtym i dwie osoby na tym świecie są w posiadaniu owej tajemnicy. Dwiema ludzkimi istotami są Diana de Poitiers i hrabia de Montgomery, mój ojciec. Prosiłem, zaklinałem, groziłem pani de Valentinois, lecz wyszedłem od niej bardziej jeszcze niepewny i zrozpaczony niż przedtem.

— Dodałeś jednak, Wasza Wielmożność, że trzeba by było zstąpić do grobu twojego ojca, by mu wydrzeć tajemnicę, że poszedłbyś tam bez wahania.

— Ech! — odpowiedział Gabriel. — Nie wiem wcale, gdzie jest jego grób.

— Ani ja, lecz go szukają, Wasza Wielmożność.

— Gdybym go znalazł, Bóg uczyniłby dla mnie cud. Przecież martwi nie mówią, Alojzo.

— Martwi nie, ale żyjący tak!

— Co chcesz wyrazić, wielki Boże! — wyjąkał pobladły Gabriel.

— Nie jesteś, jak powiadałeś w gorączce, hrabią de Montgomery, ale jedynie wicehrabią de Montgomery, gdyż twój ojciec może jeszcze żyje.

— Wielkie nieba! Wiesz, że on żyje? Mój ojciec?

— Nie wiem, wielmożny panie, ale tak przypuszczam. Mam nadzieją. Była to natura silna i żywotna, podobnie jak twoja. Buntowała się mocno przeciw cierpieniom i nieszczęściu. Otóż jeśli żyje, nie odmówi wyjawienia tajemnicy, od której zawisło twoje szczęście.

— Ale gdzie go szukać? Od kogo domagać się jego znalezienia? Mów, Alojzo, na Boga!

— To okropna historia, Wasza Wielmożność. Przysięgłam mężowi na rozkaz twojego ojca, że nigdy jej nie wyjawię. Dlatego, że kiedy ją poznasz, wpadniesz w straszne niebezpieczeństwo, wypowiesz wojnę wrogom stokroć silniejszym od siebie. Najbardziej rozpaczliwe niebezpieczeństwo lepsze jest jednak od pewnej śmierci. Zdecydowałeś się umrzeć i wiem, że trwasz przy swoim zamiarze. Mimo wszystko wolę cię narazić na szansę strasznej walki, czego ojciec tak lękał się dla ciebie. Przynajmniej może nie umrzesz albo — śmierć trochę się odwlecze. Powiem ci przeto wszystko, Wasza Wielmożność, a Bóg mnie z pewnością rozgrzeszy ze złamania przysięgi.

— Tak, oczywiście, droga Alojzo. Mój ojciec żyje! Opowiadaj szybko.

Ale w tej samej chwili ktoś dyskretnie zaskrobał do drzwi i zjawił się Nostradamus.

— Och! Znajduję cię wesołym i ożywionym, panie d'Exmès! A to dopiero! Nie byłeś taki przed miesiącem. Wydaje mi się, że jesteś gotów rozpocząć kampanię wojenną!

— W rzeczy samej wyruszę na pole bitwy — rzekł Gabriel z błyskiem w oczach spoglądając na Alojzę.

— Widzę, że medyk nie ma tu nic więcej do czynienia — oświadczył Nostradamus.

— Nic, prócz otrzymania pochwał i podziękowań, mistrzu, i — nie śmiem rzec — nagrody za

usługi, gdyż ocalenie życia nie da się niczym opłaci.

Gabriel uścisnął dłoń lekarza i wsunął w nią rulon złota.

— Dziękuję, wicehrabio — rzekł Nostradamus — lecz i ty zechciej przyjąć ode mnie podarunek, który uważam za wartościowy.

— Co to jest, mistrzu?

— Wiesz, Wasza Wielmożność, że nie ograniczyłem się do poznawania ludzkich chorób. Pragnąłem sięgnąć dalej, wyżej. Chciałem zgłębiać przyszłe losy człowieka. To zadanie nasuwa wiele wątpliwości i tonie w mrokach, jednakże choć brak jasnego światła, od czasu do czasu zdarzają się przebłyski. Mam takie przekonanie, że Bóg dwukrotnie z góry kreśli szeroki, rozległy plan przeznaczenia każdego człowieka, w gwiazdach nieba jego ojczyzny, ku którym każdy często wnosi oczy, i w liniach jego dłoni. Są na niej pogmatwane zapisy, które człowiek nosi ze sobą bez przerwy, lecz nie zdoła z nich odczytać ani zgłoski bez wieloletnich studiów. Przez mnóstwo dni i nocy wgłębiałem się w owe dwie gałęzie wiedzy bez dna jak beczka Danaid, w astrologię i chiromancję. Wywoływałem całe lata przyszłości. Ludzie, którzy będą żyli za sto lat, zdziwią się moim przepowiedniom. Wiem wszelako, że prawda jawi się niczym błyskawica. Niekiedy widzę, częściej jednak wątpię. Niemniej przeto jestem pewny, że miewam godziny jasnowidzenia, co mnie przeraża. W czasie jednej z takich rzadkich godzin przed dwudziestoma pięcioma laty ujrzałem losy pewnego wielmoży z dworu króla Franciszka. Były one wyraźnie zapisane w gwiazdach towarzyszących jego urodzeniu i w powikłanych liniach jego ręki. Byłem zaskoczony widząc, jak ów los jest niecodzienny, dziwny, pełen niebezpieczeństw. Wyobraź sobie moje zdziwienie, skoro z twojej ręki i z gwiazd, pod którymi się urodziłeś, odczytałem horoskop podobny do tamtego, który mnie wtedy tak wielce zaskoczył. Nie byłem zdolny odczytać go dla ciebie tak jasno jak ongiś. Dwadzieścia pięć lat dzielących od owej chwili zamgliło moje wspomnienia. Wreszcie w ubiegłym miesiącu wymówiłeś, panie, nazwisko. Usłyszałem jeno nazwisko, ale ono mnie uderzyło. Nazwisko hrabiego de Montgomery.

— Hrabiego de Montgomery? — z przerażeniem powtórzył Gabriel.

— Powtarzam, wielmożny panie, usłyszałem nazwisko, a nie obchodzi mnie reszta. Takie nazwisko nosił człowiek, którego los objawił mi się jasno jak w samo południe. Wróciłem do domu, poszukałem w starych papierach i odnalazłem horoskop hrabiego de Montgomery. Rzecz szczególna, Wasza Wielmożność, od trzydziestu lat studiów nic takiego mi się nie przydarzyło. Otóż masz chyba jakieś skryte powiązanie z hrabią de Montgomery, jakieś dziwne pokrewieństwo, bowiem nigdy Bóg nie daje dwom ludziom całkiem podobnych — losów, a was obu przeznaczył niewątpliwie do podobnych wydarzeń. Nie pomyliłem się, linie dłoni i znaki nieba dla was obu są jednakie. Nie chcę przez to rzec, że nie ma różnicy w szczegółach obu waszych egzystencji, lecz dominujący fakt jest podobny. Niegdyś straciłem z oczu hrabiego de Montgomery, lecz wiem, że jedna z moich przepowiedni spełniła się. Zranił w głowę, króla Franciszka I płonącą głownią. Czy dopełniła się pozostała część jego losu, tego nie wiem. Mogę jedynie zapewnić, że nieszczęście i śmierć, które mu groziły tobie również zagrażają.

— Czyż to możliwe? — spytał Gabriel.

— Oto horoskop. Napisałem go swego czasu dla hrabiego de Montgomery — rzekł Nostradamus podając wicehrabiemu d'Exmès zwinięty w rulon manuskrypt. — Nie napisałbym inaczej dla ciebie dzisiaj.

— Daj go, mistrzu, daj. W rzeczy samej to bezcenny podarunek. Nie uwierzysz, w jakim stopniu jest dla mnie wartościowy.

— Jeszcze jedno, ostatnie słowo, pilnuj się, panie. Chociaż Bóg rządzi wszystkim i nie można wymknąć się jego zamiarom: Na dacie urodzenia Henryka II ciąży przepowiednia, że zginie w pojedynku lub osobliwej walce.

— Ależ jaki to ma związek? — spytał Gabriel.

— Zrozumiesz po przeczytaniu rękopisu, Wasza Wielmożność. A teraz pozostaje mi tylko pożegnać cię i życzyć, aby nieszczęście, jakie Bóg ci przeznaczył, spełniło się bez udziału twej woli.

Nostradamus pokłonił się Gabrielowi, a młodzieniec uścisnął mu rękę i odprowadził do drzwi. Mędrzec wyszedł.

Gabriel powrócił do Alojzy, rozwinął rulon pergaminu. Upewnił się, że nikt nie może mu przeszkodzić, podpatrzeć ani podsłuchać, i wtedy przeczytał głośno następujące strofy:

W turnieju, w miłości srogi ból sprawi
Czołu króla
Zada raną lub rogi przyprawi
Czołu króla
Chce czy nie chce on zakrwawi
Czoło króla
Choć miłuje na śmierć go wyprawi
Dama króla.

— Doskonale — zawołał Gabriel rozpromieniony, patrząc na Alojzę z triumfem. — Możesz mi teras opowiedzieć, w jaki sposób król Henryk II pogrzebał żywcem mojego ojca, hrabiego de Montgomery.

— Król Henryk II? Skąd wiesz o tym, Wasza Wielmożność?

— Domyślam się. Możesz mi jednak wyjawić ową zbrodnię, gdyż sam Bóg zapowiedział zemstą.

XVIII. GDY KOKIETCE BRAK KOGOŚ LEPSZEGO

Na podstawie zachowanych pamiętników i ówczesnych kronik, które posłużyły do uzupełnienia opowiadania, Alojzy, tak oto przedstawia się posępna historia Jakuba de Montgomery, ojca Gabriela. Alojza znała szczegóły z ust swego męża, Perrota Davrigny, który był giermkiem i powiernikiem hrabiego i informował ją, jak się kształtowały dzieje życia jego pana. Gabriel znał pobieżnie oficjalną wersję, ale ani on, ani inni nie wiedzieli, jakie było ponure zakończenie.

Jakub de Montgomery, pan na Lorges, podobnie jak jego przodkowie był dzielny i śmiały. Za panowania rozmiłowanego w wojnach Franciszka I widywano go zawsze w pierwszym szeregu walczących. Toteż młodo został pułkownikiem piechoty francuskiej. Wśród setki chwalebnych czynów zdarzył się jednak przykry wypadek, o czym napomknął Nostradamus.

Działo się to w 1521 roku. Hrabia de Montgomery miał zaledwie dwadzieścia lat i rangę kapitana. Zima była ostra. Młodzieńcy, z młodym Franciszkiem I na czele, rozgrywali partię bójki na śnieżki. Gra nie była pozbawiona niebezpieczeństw i wielce modna w owych czasach. Uczestnicy dzielili się na dwie drużyny: jedna pozostawała na placu i broniła się śnieżkami, druga atakowała. Hrabia d'Enghien, pan na Cèrisoles, padł trupem w takiej grze. Podobnie Jakub de Montgomery omal nie zabił króla. Po zakończonej walce szło o to, żeby się rozgrzać. Ognisko prawie całkiem wygasło i wszyscy młodzi, jak szaleńcy, w zamieszaniu chcieli je rozpalić. Jakub nadbiegł pierwszy trzymając w szczypcach płonącą żagiew, lecz natknął się w, przejściu na Franciszka I, który nie zdążył uskoczyć. Płonąca głownia ugodziła go silnie w czoło. Szczęśliwym zrządzeniem losu skończyło się na oparzeniu, jednak dość poważnym. Pozostała szpecąca blizna. Wtedy król wprowadził modę noszenia długiej brody i włosów przyciętych nad brwiami.

Hrabia de Montgomery setkami pięknych wyczynów wojennych usunął w zapomnienie ów niefortunny wypadek. Król nie żywił do niego urazy i dopuścił go na pierwsze miejsce w armii i na dworze. W 1530 roku Jakub poślubił Klaudynę de La Boissière, Związek ów wynikł z konwenansów, hrabia jednak długo opłakiwał swą małżonkę, która zmarła po urodzeniu Gabriela w 1533 roku. Usposobienie Jakuba było nacechowane smutkiem, jak się to zdarza ludziom, którym pisane jest fatum. Gdy pozostał samotnym wdowcem, rozrywkę całą stanowiło dla niego władanie bronią, rzucał się w niebezpieczeństwo z nudów. Po zawieszeniu broni w Nicei w 1538 roku zdawała się, że nic już nie znajdzie dla zabicia czasu. Ów rycerz, mąż czynu, musiał się poddać dyscyplinie dworskiego życia, przechadzać się po galeriach Luwru lub Tournelles ze szpadą od parady przy boku.

Przyszła namiętna miłość i go zgubiła.

Królewska Circe oczarowała to stare dziecko, pełne krzepy i naiwności. Rozmiłował się w Dianie de Poitiers.

Przez trzy miesiące krążył wokół niej smętny i ponury nie odzywając się ani słowem, ale przeszywał ją wiele mówiącym wzrokiem. Wielkiej marszałkowej nie trzeba było aż tyle, by pojęła, że oddał jej duszę. Zapisała w pamięci ową namiętność, gdyż mogła jej się przysłużyć przy lada okazji.

Okazja nadeszła. Franciszek I zaczął zaniedbywać swą piękną faworytę i skierował względy w stronę pani d'Etampes, która nie była tak piękna jak Diana, ale miała tę ogromną przewagę, że była ładna inaczej.

Kiedy stało się widoczne, że król Dianę porzucił, po raz pierwszy przemówiła do Jakuba de

Montgomery. Było to w Tournelles, podczas uroczystości wydanej przez Franciszka I na cześć nowej faworyty.

— Pan de Montgomery? — spytała Diana przywołując hrabiego.

Zbliżył się ze wzruszeniem w sercu i niezgrabnie się ukłonił.

— Jaki jesteś smutny, panie de Montgomery! — rzekła.

— Bliski śmierci, pani.

— Z jakiejże przyczyny, wielki Boże?

— Chciałbym polec, pani.

— Dla kogoś bez wątpienia?

— Byłoby słodko zginąć dla kogoś, lecz przebóg, zginąć bez przyczyny byłoby jeszcze milej.

— Co za czarna melancholia. Skąd się bierze taka straszna choroba?

— Czy ja wiem, pani?

— Ale ja wiem, panie de Montgomery, ty mnie miłujesz.

Jakub wielce pobladł, potem zdobył się na decyzję, jakiej nie byłoby trzeba rzucając się w pojedynkę na batalion nieprzyjaciela.

Odpowiedział szorstkim, drżącym głosem:

— A więc tak, pani. Miłuję cię, tym gorzej dla mnie!

— Tym lepiej! — odpowiedziała ze śmiechem Diana.

— Co rzekłaś, pani? — zawołał drżący Montgomery. — Miej się na baczności, pani! To nie zabawka, a szczera i głęboka miłość, chociaż niemożliwa, a raczej ponieważ nie jest możliwa do spełnienia.

— Dlaczego niemożliwa?

— Wybacz mi otwartość, pani, nie umiem ubierać faktów w piękne słówka. Czy król nie miłuje cię, pani?

— To prawda, miłuje mnie — z westchnieniem potwierdziła Diana.

— Widzisz zatem, że wzbronione mi jest jeśli nie kochać, to deklarować ci ową niegodną miłość.

— Niegodną ciebie, słusznie — rzekła diuszesa.

— Nie, nie mnie! — wykrzyknął hrabia. — Gdyby można było liczyć, że kiedyś…!

Diana przerwała mu z powagą i smutkiem, z dobrze zagraną godnością:

— Dość, panie de Montgomery, przerwijmy tę rozmowę, proszę cię.

Ukłoniła się chłodno i odeszła, pozostawiając biednego hrabiego szarpanego tysiącem sprzecznych uczuć: zazdrością, miłością, nienawiścią, bólem i radością. Diana przeto wiedziała, że ją adoruje. Może ją zranił? Pewnie wydał jej się niesprawiedliwym, niewdzięcznym, okrutnym! Powtarzał wszelkie wzniosłe głupstwa zakochanego.

Nazajutrz Diana de Poitiers oznajmiła Franciszkowi I:

— Nie wiesz nic, Najjaśniejszy Panie? Pan de Montgomery jest we mnie rozmiłowany.

— Cha, cha! — śmiał się król. — Ród Montgomerych jest stary i prawie równie szlachetny jak mój, prawie jednako dzielny i jak widzę, równie pełen galanterii.

— To wszystko, co Wasza Królewska Mość uważasz za stosowne mi odpowiedzieć?

— A cóż byś chciała, żebym ci odpowiedział, przyjaciółko moja? Czy winienem mieć absolutnie za złe hrabiemu de Montgomery, że podobnie jak ja ma dobry gust i oczy?

— Gdyby szło o panią d'Etampes, nie mówiłbyś tak — wyszeptała urażona Diana.

Nie prowadziła dłużej dyskusji na ten temat, ale postanowiła posunąć dalej próbę. W kilka dni później ujrzała Jakuba, przywołała go i na nowo zapytała:

— No i cóż, panie de Montgomery? Jesteś jeszcze smutniejszy niż zwykle!

— Niewątpliwie, pani — pokornie odezwał się hrabia. — Drżę z obawy, że cię obraziłem.

— Nie obraziłeś mnie, jeno zasmuciłeś, panie.

— Och, pani! Oddałbym wszystką krew, by ci oszczędzić jednej łzy. Jakże więc mogłem stać się przyczyną najmniejszego cierpienia?

— Czyż nie usłyszałam od ciebie, że jako metresa króla nie mam prawa spodziewać się miłości męża szlachetnie urodzonego?

— Nie to miałem na myśli, pani. Nie mógłbym tak myśleć ja, szlachetnie urodzony, bo cię kocham miłością równie szczerą jak głęboką. Chciałem li tylko wyrazić, że nie możesz mnie miłować, gdyż król cię kocha i ty kochasz króla.

— Król mnie nie kocha i ja nie kocham króla — odpowiedziała Diana.

— Wielkie nieba! Mogłabyś przeto mnie kochać?!

— Mogę cię kochać — odrzekła ze spokojem Diana. — Ale nigdy nie będę mogła ci rzec, że cię kocham.

— Dlaczego, pani?

— Dla ocalenia życia ojca mogłam stać się metresą króla Francji, lecz ze względu na honor nie mogę być kochanką hrabiego de Montgomery.

Owej półodmowie towarzyszyło tak powłóczyste i namiętne spojrzenie, że hrabia nie mógł zdzierżyć.

— A gdybyś mnie pokochała tak, jak ja ciebie miłuję?

— Proszę?

— Co mnie obchodzą ludzie, przesądy rodowe i honor? Dla mnie jesteś całym światem, pani. Od trzech miesięcy żyję jeno twoim widokiem, miłuję cię z zaślepieniem i żarem pierwszej miłości. Twoja dostojna uroda upaja mnie i podnieca. Jeśli mnie miłujesz tak jak ja ciebie, zostań hrabiną de Montgomery, bądź moją małżonką.

— Dziękuję, hrabio — rzekła Diana z poczuciem triumfu. — Będę pamiętała twe szlachetne i wspaniałomyślne słowa. A tymczasem… wiesz, że zieleń i biel to moje barwy.

Jakub uniesiony radością ucałował białą rączkę Diany, bardziej dumny i szczęśliwy; niż gdyby go obdarzono panowaniem nad całym światem.

Następnego dnia Franciszek I zwrócił uwagę Diany, że jej nowy adorator nosi jawnie jej barwy. Diana odrzekła:

— Czyż to nie jego prawo, Sire? — Obserwowała króla przenikliwym wzrokiem. — Czy nie mogę mu pozwolić na noszenie moich barw, skoro chce, bym nosiła jego nazwisko?

— Czy to możliwe?

— To prawda, Sire — rzekła z wielką pewnością siebie druszesa. Mniemała przez chwilę, że wygrała, że zazdrość niewiernego ujawni jego miłość.

Po chwili milczenia król powstał, by przerwać rozmowę, i rzekł wesoło do Diany:

— Jeśli tak jest istotnie, stanowisko wielkiego marszałka jest nie zajęte od śmierci twojego pierwszego małżonka, pana de Brèzè. Ofiarujemy je w prezencie ślubnym, panu de Montgomery.

— A pan de Montgomery będzie mógł je przyjąć — dumnie odpowiedziała Diana — ponieważ będę dla niego wierną, lojalną małżonką i nie złamię mu wiary dla wszystkich królów świata.

Król pokłonił się z uśmiechem bez słowa i odszedł.

Pani d'Etampes wyraźnie odniosła zwycięstwo.

Ambitna Diana z urazą w sercu rzekła tegoż dnia do uszczęśliwionego Jakuba:

— Waleczny mój hrabio, szlachetny mój Montgomery, kocham cię.

XIX. JAK HENRYK II ZA ŻYCIA SWEGO OJCA ZACZĄŁ KORZYSTAĆ Z DZIEDZICTWA

Ustalono, że zaślubiny Diany z hrabią de Montgomery odbędą się za trzy miesiące. Po rozwiązłym, plotkarskim dworze krążyły pogłoski, jakoby w pośpiechu zemszczenia się na królu Diana de Poitiers ofiarowała już zadatek przyszłemu mężowi.

Tymczasem minęły trzy miesiące. Hrabia de Montgomery był bardziej rozmiłowany niż kiedykolwiek, ale Diana odkładała z dnia na dzień spełnienie obietnicy. Bowiem w krótki czas po zobowiązaniu się słowem spostrzegła, że młodziutki delfin Henryk, trzymający się na osobności, nie spuszcza z niej oczu. Wonczas nowa ambicja obudziła się w sercu władczej Diany. Tytuł hrabiny de Montgomery równoważyłby zaledwie poniesioną klęskę. Natomiast tytuł kochanki delfina byłby prawie triumfem. Cóż! Panią d'Etampes, która zwykle pogardliwie wyrażała się o wieku Diany, kochał ojciec, a ją, Dianę, kochałby syn! Przed nią młodość, nadzieja, przyszłość! Pani d'Etampes zajęła jej miejsce, ale ona będzie władała po niej. Będzie tymczasem wobec rywalki cierpliwa i spokojna, jako żywe zagrożenie… Przecież Henryk będzie królem, a ona, zawsze jednako piękna, będzie królową. W rzeczy samej byłoby to prawdziwe zwycięstwo.

Jeszcze więcej pewności siebie gwarantowały jej cechy charakteru Henryka. Znała jego usposobienie. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, ale brał już udział w niejednej bitwie. Od czterech lat był małżonkiem Katarzyny de Medici, a jednak pozostał nieśmiałym, skrytym dzieckiem. O ile okazywał się dzielny i wytrwały w jeździe konnej, we władaniu bronią, w zapasach i wszelkich innych praktykach wymagających zwinności i zgrabności w ruchach, o tyle bywał niezręczny i zakłopotany wobec dam podczas festynów w Luwrze. Tępy w rozumowaniu i logicznym myśleniu, łatwo ulegał wpływom innych. Annasz de Montmorency pozostawał w chłodnych stosunkach z Franciszkiem I, natomiast zbliżył się do delfina, któremu bez trudu narzucał swe rady i zamiłowania dojrzałego mężczyzny. Kierował nim wedle swej woli i podporządkowywał własnym zachciankom. Wreszcie w słabą i czułą duszę delfina zapuścił głęboko korzenie trwałej władzy i zapanował nad Henrykiem do tego stopnia, że jedynie wpływ kobiety mógłby kiedyś zagrozić jego własnemu znaczeniu.

Niebawem dostrzegł z przerażeniem, że jego wychowanek jest zakochany. Henryk nie dbał już o objawy przyjaźni, jakimi go dotąd otaczał Montmorency. Prostoduszny dotąd Henryk stał się smutny, a nawet marzycielski. Montmorency rozejrzał się wokół i zauważył, że chyba Diana de Poitiers zaczęła królować w myślach młodzieńca. Konetabl, brutalny żołdak, wolał Dianę od innej. W prostackich swych myślach właściwiej oceniał kurtyzanę króla niż rycerski Montgomery. Oparł swój plan na niskich instynktach owej niewiasty, bo sam nimi się kierował, i odtąd uspokojony pozwolił delfinowi skrycie wzdychać do wdowy po wielkim marszałku.

Jej uroda rozbudziła ospałe serce Henryka. Diana była złośliwa, prowokująca, żywego usposobienia. Głową o subtelnych rysach wykonywała wdzięczne, szybkie ruchy, we wzroku czaiły się obietnice. Cała jej postać wywierała magiczny urok, uwiodła nim biednego Henryka. Wydawało mu się, że owa dama zdoła mu objawić nieznaną wiedzę o innym życiu. Dla ciekawego i naiwnego samotnika syrena była nader pociągająca i niebezpieczna jak tajemnica, jak przepaść.

Diana to czuła. Jednak wahała się jeszcze z obawy o przeszłość z Franciszkiem I i o teraźniejszość związaną z Montgomerym, lękała się podjąć ryzyko na nową przyszłość.

Pewnego dnia król, zawsze pełen galanterii, nadskakujący nawet damom, których nie lubił lub przestał kochać, prowadził pogawędkę z Dianą de Poitiers we wnęce okna. Wtedy dostrzegł, że delfin ukradkiem śledzi zazdrosnym okiem ich rozmowę.

Franciszek głośno przywołał Henryka:

— To tak? Co czynisz, mości synu? Podejdź bliżej!

Henryk pobladł i zawstydził się. Wahał się przez minutę między obowiązkiem posłuszeństwa a strachem. Zamiast odpowiedzieć coś na zaproszenie ojca uciekł, jakby nic nie słyszał.

— Jaki dziki chłopak i nieobyczajny — rzekł król. — Czy pojmujesz, pani Diano, skąd się bierze podobna nieśmiałość? Ty, bogini lasów, osądź, czy widziałaś kiedykolwiek bardziej płochliwego daniela? To brzydka wada.

— Czy Wasza Królewska Mość życzysz sobie, żebym ją wykorzeniła u jego wysokości delfina? — spytała z uśmiechem Diana.

— Ależ trudno byłoby znaleźć milszego preceptora i przyjemniejszą naukę.

— Uważaj go z góry za lepiej ułożonego, Sire, podejmę się zadania.

W rzeczy samej po chwili dogoniła zbiega. Hrabia de Montgomery owego dnia pełnił służbę i nie było go w Luwrze.

— Czy budzę w tobie wielkie przerażenie, Wasza Wysokość?

W taki oto sposób Diana rozpoczęła pogawędkę i prowadziła ją umiejętnie. Jak ją zakończyła? Dlaczego nie uraził jej żaden nietakt księcia, a podziwiała każde jego słówko? Dlaczego rozstał się z nią w przekonaniu, że jest dowcipny i czarujący? Istotnie jął stawać się przy niej uroczy i dowcipny. Jak do tego doszło, że pod każdym względem stała się jego mistrzynią, wydając mu rozkazy, udzielając lekcji i darząc szczęściem, w tym tkwi odwieczna i nie wytłumaczalna komedia, którą zawsze ktoś gra, ale nigdy nie można dla niej znaleźć wytłumaczenia.

A Montgomery? Montgomery nader mocno miłował Dianę, żeby ją osądzać, i był zbyt zaślepiony, by cokolwiek zauważyć. Wszyscy już czynili złośliwe uwagi o nowej miłostce pani de Poitiers, a godny hrabia trwał w złudzeniach, troskliwie podsycanych przez Dianę. Budowla, którą wznosiła, była jeszcze zbyt krucha i łamliwa, by kokietka nie miała się obawiać wstrząsu i skandalu. Zachowała przeto delfina przez ambicję, a hrabiego z roztropności.

XX. O POŻYTKU PŁYNĄCYM Z PRZYJACIÓŁ

A teraz pozwólmy Alojzie dokończyć opowiadania, którego poznaliśmy dopiero początek. Tak mówiła do uważnie słuchającego Gabriela:

— Mój mąż, zacny Perrot, słyszał plotki krążące o pani Dianie i kpiny z pana de Montgomery. Nie wiedział, czy powinien przestrzec swego pana, który był tak ufny i szczęśliwy, czy też ukryć niecną intrygę, w jaką go wmieszała ambitna pani. Dzielił się ze mną wątpliwościami, bo zazwyczaj udzielałam mu dobrych rad, przekonał się od dawna, że jestem dyskretna i godna zaufania. Ale w tym przypadku byłam równie jak on niepewna, co przedsięwziąć.

Pewnego dnia byliśmy we troje, dostojny pan, Perrot i ja w tej oto komnacie, gdyż hrabia de Montgomery nie traktował nas jako służących, ale jako przyjaciół. Nawet w Paryżu zechciał zachować patriarchalne obyczaje wspólnie spędzanych zimowych wieczorów, kiedy państwo wraz z domownikami grzeją się przy tym samym kominku po wspólnej codziennej pracy. Zamyślony hrabia z głową wspartą na dłoni siedział przed ogniem. Zazwyczaj wieczory spędzał w pani de Poitiers, ale od pewnego czasu często kazała zapowiadać, że czuje się niedysponowana i nie może go przyjąć. Pewnie o tym rozmyślał. Perrot naprawiał rzemienie przy pancerzu, a ja przędłam.

Było to dnia siódmego stycznia 1539 roku w chłodny, deszczowy wieczór, następnego dnia po święcie Trzech Króli. Zapamiętaj tę ponurą datę, Wasza Dostojność.

Gabriel gestem okazał, że nie traci ani jednego słowa. Alojza opowiadała:

— Nagle zaanonsowano pana de Langeais, pana de Boutières i hrabiego de Sancerre, trzech dworzan, przyjaciół naszego pana, ale jeszcze bliżej zaprzyjaźnionych z panią d'Etampes. Wszyscy trzej owinięci w szerokie ciemne płaszcze weszli wprawdzie roześmiani, ale wydało mi się, że przynoszą ze sobą nieszczęście. Niestety, przeczucie mnie nie zawiodło. Hrabia de Montgomery wstał i podszedł na spotkanie przybyszy z właściwą sobie uprzejmą gościnnością.

„Witam was, przyjaciele" — rzekł i uścisnął ich dłonie.

Na dany znak wzięłam od nich płaszcze i wszyscy trzej usiedli.

„Jaki szczęśliwy przypadek sprowadził was w moje progi?"

„Potrójny zakład — odpowiedział pan de Boutières. — Twoja obecność tutaj, drogi hrabio, sprawia, że w tej chwili wygrałem swój zakład".

„Ja już wcześniej wygrałem swój" — oświadczył pan de Langeais.

„A ja wkrótce także wygram, przekonacie się" — dodał hrabia de Sancerre.

„Co stanowi przedmiot zakładu, panowie?" — spytał Montgomery.

„Otóż Langeais założył się z panem d'Enghien, że delfina nie będzie dzisiaj wieczorem w Luwrze. Przybywamy stamtąd po stwierdzeniu ponad wszelką wątpliwość, że d'Enghien przegrał" — powiedział plan de Boutières.

„Jeśli chodzi o Boutières'a, to rozmawiał dzisiaj z panem de Montejan, że będziesz dzisiaj w domu, drogi hrabio, i widzisz, że wygrał".

„Ręczę, że i ty wygrasz, Sancerre — wtrącił pan de Langeais — gdyż w sumie trzy zakłady stanowią jeden i albo przegramy, albo wygramy wszyscy trzej razem. Sancerre założył się o sto pistoli z panem d'Aussun, że pani de Poitiers będzie chora dziś wieczorem".

Twój ojciec, Gabrielu, pobladł i rzekł ze wzruszeniem w głosie:

„Istotnie wygrałeś, panie de Sancerre, pani diuszesa kazała mnie uprzedzić, że nikogo dzisiaj nie przyjmuje, bo nagle poczuła, się niedysponowana".

„Otóż to! — zawołał hrabia de Sancerre. — To, co rzekłem. Poświadczycie wobec pana

d'Assun, że mi winien sto pistoli".

Wszyscy trzej zaczęli się śmiać jak szaleni, ale hrabia Montgomery zachował powagę i rzekł z domieszką goryczy:

„A teraz, drodzy przyjaciele, czy zechcecie mi wyjaśnić zagadkę?

„Z całego serca, na honor! — rzekł pan de Boutières — ale oddalcie swoich domowników".

Oboje z Perrotem byliśmy już przy drzwiach, lecz pan hrabia dał znak, żebyśmy pozostali, i wyjaśnił młodym wielmożom:

„To są oddani przyjaciele. Zresztą nie mam powodu rumienić się, nie mam nic do ukrycia".

„Niech i tak będzie — rzekł pan de Langeais — choć to zalatuje nieco prowincją. Rzecz dotyczy bardziej ciebie, hrabio, niż nas. Mam pewność zresztą, że oni już znają ową wielką tajemnicę krążącą po mieście, a ty dowiesz się ostatni, jak zwykle bywa".

„Mówcie wreszcie!" — zawołał pan de Montgomery.

„Drogi hrabio — wyjaśnił pan de Langeais. — Powiemy ci, bo przykro nam patrzeć, jak oszukują szlachetnie urodzonego człowieka, podobnie jak my wysoko urodzonego i tak wytwornego zalotnika jak ty. Powiemy, lecz pod warunkiem, że przyjmiesz nasze słowa z filozoficznym spokojem, to znaczy na wesoło, gdyż cała sprawa nie jest warta twojego gniewu, zapewniam cię, a zresztą twój gniew byłby bezskuteczny, nie mógłby znaleźć satysfakcji".

„Zobaczymy, czekam" — odpowiedział chłodno nasz pan.

Wtedy zabrał głos pan de Boutières, najmłodszy i najbardziej roztrzepany spośród trzech:

„Znasz mitologię, prawda, drogi hrabio? Wiadoma ci historia o Endymionie bez najmniejszej wątpliwości. Jak sądzisz, w jakim wieku był Endymion w okresie swych miłostek z Dianą — Luną? Jeśli sobie wyobrażasz, że dobiegał czterdziestki, to się mylisz, mój drogi, miał niespełna dwadzieścia lat i broda mu jeszcze nie rosła. Wiem to od swego preceptora, który świetnie zna się na rzeczy. Dlatego właśnie dzisiaj wieczorem Endymion jest poza Luwrem, dlatego pani Luna położyła się i nie można jej widzieć, prawdopodobnie z powodu deszczu. Dlatego też pozostałeś w domu, panie de Montgomery. Z tego, wniosek, że mój guwerner jest wielkim człowiekiem i że wygraliśmy trzy zakłady. Niech żyje radość!"

„Dowody?" — chłodno spytał hrabia.

„Dowodów możesz poszukać sam. Czyż nie mieszkasz o dwa kroki od Luny?" — spytał pan de Langeais.

„Słusznie, dziękuję".

Tyle tylko wyrzekł hrabia i wstał. Trzej przyjaciele musieli także powstać, w dużym stopniu ochłodzeni i przestraszeni surową i ponurą postawą hrabiego.

„Uważaj, hrabio, żebyś nie popełnił jakiegoś nierozważnego kroku. Pamiętaj, że nie jest dobrze otrzeć się o lwiątko ani tym bardziej o lwa" — rzekł pan de Sancerre.

„Bądźcie spokojni" — odpowiedział hrabia.

„Czy nie masz nam tego za złe?"

„To zależy".

Odprowadził ich, a raczej popchnął aż do drzwi. Następnie zwrócił się do Perrota:

„Płaszcz i szpadę".

Perrot przyniósł jedno i drugie.

„Czy to prawda? Czy wiedzieliście o tym"? — spytał hrabia przypasując szpadę.

„Tak, Wasza Wysokość" — odpowiedział Perrot spuszczając oczy.

„Dlaczego nie ostrzegłeś mnie, Perrocie?"

„Wasza Wysokość…" — wymamrotał mój małżonek.

„Słusznie, nie jesteś przyjacielem, a jeno domownikiem".

Po przyjacielsku klepnął giermka po ramieniu. Był bardzo blady, ale rozmawiał z uroczystym

spokojem. Zapytał jeszcze Perrota:

„Czy od dawna kursują owe plotki?”

„Od pięciu miesięcy miłujesz panią Dianę, dostojny panie, a zaślubiny naznaczyłeś na listopad ubiegłego roku. Otóż powiadają, że jego wysokość delfin pokochał panią Dianę w miesiąc później, jak przyjęła twoje oświadczyny. Prawią o tym dopiero od dwóch miesięcy, a ja wiem o tym od kilkunastu dni. Plotki przybrały na sile dopiero po odroczeniu terminu małżeństwa. Nie powiadano o tym wprost z lęku przed jego wysokością delfinem. Wczoraj poturbowałem jednego z ludzi pana de La Garde, który miał czelność podśmiewać się z tego wobec mnie, a baron de La Garde nie ośmielił się mnie ująć.

„Już nie będą się wyśmiewali” — rzekł mój pan tonem, od którego dreszcz mnie przejął. Kiedy był już gotów, przesunął ręką po czole i rzekł:

„Alojzo, przyprowadź Gabriela, chcę go uścisnąć”.

Spałeś, dostojny panie Gabrielu, spokojnym snem cherubina i jąłeś płakać, kiedy przyszłam cię obudzić i zabrać do ojca. Owinęłam cię w kołdrę i przyniosłam. Ojciec wziął cię w ramiona, przez jakiś czas przyglądał się w milczeniu, jakby chciał nasycić się widokiem syna, potem złożył pocałunek na twoich na wpół przymkniętych oczach. Łza spłynęła na różową twarzyczkę, pierwsza łza, jaką uronił w mojej obecności ów silny i waleczny rycerz. Oddał mi ciebie ze słowami:

„Polecam dziecko twojej opiece, Alojzo”.

Były to niestety ostatnie słowa do mnie wymówione. Są tutaj zawsze obecne i słyszę je ciągle.

„Będę ci towarzyszył, panie” — rzekł wtedy mój dzielny Perrot.

„Nie, Perrocie, muszę być sam. Pozostań tutaj”.

„Jednak, dostojny panie…”

„Tak rozkazuję”.

Nie można było nic odpowiedzieć, kiedy tak mówił, więc Perrot zamilkł. Hrabia ujął nas za ręce.

„Żegnajcie, drodzy przyjaciele. Nie, nie żegnam was, do widzenia”!

Wyszedł spokojnie pewnym krokiem, jakby miał powrócić za kwadrans. Perrot nie odezwał się więcej, ale skoro tylko pan znalazł się poza domem, wziął i on płaszcz i szpadę. Nie zamieniliśmy ani słowa, nie usiłowałam go zatrzymać. Wypełniał swój obowiązek idąc w ślad za hrabią, choćby nawet na śmierć. Wyciągnął do mnie ramiona, rzuciłam się w nie z płaczem. Gdy mnie czule uścisnął, ruszył śladem pana de Montgomery. Wszystko to nie trwało razem minuty i nie wymówiliśmy ani słowa.

Kiedy pozostałam sama, padłam na krzesło szlochając i modląc się. Rzęsisty deszcz padał i wicher potężnie huczał. Natomiast ty, panie Gabrielu, spokojnie zapadłeś znowu w sen, z którego obudziłeś się już jako sierota.

XXI. ROZDZIAŁ, Z KTÓREGO WYNIKA, ŻE PRZED REWOLUCJĄ FRANCUSKĄ ZAZDROŚĆ MOGŁA NIEKIEDY POZBAWIAĆ TYTUŁÓW

— Jak rzekł pan de Langeais, pałac Brèzè, w którym mieszkała pani Diana, był oddalony zaledwie o dwa kroki od naszego przy ulicy Figuier–Saint–Paul. Dotąd istnieje jeszcze owa nieszczęsna siedziba.

Perrot szedł w pewnej odległości za swym panem. Ujrzał, że zatrzymuje się on przy bramie pani Diany, stuka i wchodzi. Wtedy Perrot podszedł bliżej. Pan de Montgomery z wielką pewnością siebie i wyniosłością rozmawiał z lokajami, którzy usiłowali bronić mu wejścia do wnętrza pałacu twierdząc, że ich pani leży chora w swojej komnacie. Ale hrabia wszedł mimo wszystko, a Perrot skorzystał z zamieszania i wśliznął się przez uchylone drzwi. Dobrze znał dom, bo niejedną wiadomość przekazywał już pani Dianie. Bez przeszkód wszedł po ciemku na górę za panem de Montgomery. Bądź go nie zauważono, bądź też nie przywiązywano wagi do giermka, skoro jego pan wszedł wbrew zakazowi.

Na górnym podeście schodów hrabia zastał dwie pokojowe diuszesy wielce niespokojne i zapłakane, które go spytały, czego sobie życzy o takiej porze. W rzeczy samej był późny wieczór, na wszystkich pobliskich wieżach biła dziesiąta godzina. Pan de Montgomery odpowiedział stanowczo, że chce natychmiast widzieć się z panią Dianą, że musi jej bez zwłoki zakomunikować ważne sprawy, a jeżeli nie może go przyjąć, to będzie czekał.

Mówił bardzo głośno, w taki sposób, by go słyszano w pobliskiej sypialni diuszesy. Jedna z niewiast weszła do komnaty i powróciła ze słowami, że pani Diana leży, ale przyjdzie porozmawiać z hrabią, niech czeka w kaplicy.

A zatem nie ma tam delfina, albo zachowuje się nader tchórzliwie jak na królewicza. Pan de Montgomery bez sprzeciwu skierował się do kaplicy, idąc za dwiema służebnymi, które niosły pochodnie.

Wtedy Perrot skulony w cieniu na stopniach schodów wszedł na piętro i ukrył się za kobiercem zwieszającym się z wysoka w szerokim korytarzu, który oddzielał sypialnię Diany de Poitiers od kaplicy, gdzie czekał hrabia. W głębi obszernego kuluaru dwoje stale zamkniętych drzwi prowadziło dawniej do kaplicy i do sypialni. Osłaniały je symetrycznie zawieszone tapiserie. Pod jedną z nich wśliznął się Perrot i stwierdził z radością, że przykładając ucho z bliska będzie mógł podsłuchać, co się dzieje w jednym i drugim pomieszczeniu. Małżonek mój nie kierował się pospolitą ciekawością, dostojny panie. Ostatnie słowa hrabiego przed odejściem z domu i tajemne przeczucie ostrzegały, że pan naraża się na niebezpieczeństwo. Może w tejże chwili zastawiają na niego zasadzką? Chciał mieć możność przyjścia z pomocą w razie potrzeby.

Niestety, jak przekonasz się, Gabrielu, ani jedno słowo usłyszane wtedy nie mogło rzucić światła na nieszczęsne zagadnienie, które cię dzisiaj interesuje.

Pan de Montgomery nie czekał ani dwóch minut. Pani de Poitiers weszła z pośpiechem do kaplicy.

„Co to ma znaczyć, panie hrabio? Czemu dopuszczasz się nocnej inwazji, chociaż prosiłam, żebyś dzisiaj nie przychodził?”

„Odpowiem ci, pani, w kilku szczerych słowach, ale przedtem każ wyjść swoim pokojowym. A teraz słuchaj. Będę zwięzły. Powiedziano mi, że przyjmujesz rywala, że owym rywalem jest delfin i że przebywa u ciebie dzisiejszego wieczoru”.

„Uwierzyłeś w to i przybiegłeś, aby się upewnić?” — spytała wyniośle Diana.

„Cierpię, Diano, i przybiegłem szukać u ciebie leku na cierpienie”.

„No więc widziałeś się ze mną i ja z tobą. Wiesz teraz, że cię okłamano, pozwól mi odpocząć. Na miłość boską, wyjdź, Jakubie”.

„Nie, Diano — rzekł hrabia zaniepokojony pośpiechem, by go odprawić. — Może skłamali twierdząc, że delfin jest tutaj, ale może nie skłamali, że ma tu przyjść dziś wieczorem. Będę wielce rad ich przekonać, że posunęli się aż do oszczerstwa”.

„A zatem zostajesz, panie?”

„Pozostanę, pani. Idź spocząć, jeśli jesteś chora, Diano. A ja będę strzegł twojego snu, jeśli pozwolisz”.

„Ale jakim prawem czynisz to, panie?! — wykrzyknęła pani de Poitiers. — Z jakiego tytułu? Czy nie jestem wolna?”

„Nie, pani — stanowczo odrzekł hrabia. — Nie jesteś już na tyle wolna, by narażać na pośmiewisko dworu prawego rycerza, którego starania o rękę przyjęłaś”.

„Całkiem nie uznaję tej ostatniej pretensji. Nie masz prawa tu pozostać, również jak inni nie mają prawa z ciebie szydzić. Nie jesteś moim małżonkiem, prawda? O ile wiem, nie noszę twojego nazwiska”.

„Ależ pani! — zawołał pan de Montgomery z rozpaczą. — Co mnie to obchodzi, że ze mnie szydzą! Nie w tym rzecz, na Boga! Wiesz dobrze, Diano, że nie mój honor krwawi i woła, ale miłość. Gdybym się poczuł obrażony kpinami owych trzech pyszałków, wyjąłbym szpadę i na tym koniec. Ale zranili mi serce, Diano, i dlatego przybiegłem. Moja godność! Moja reputacja! Bynajmniej nie o to chodzi. Idzie o to, że cię miłuję, że szaleję za tobą, że jestem zazdrosny. Rzekłaś mi i dałaś dowody, że mnie kochasz. Zabiję każdego, kto ośmieli się sięgnąć po moje dobro, bez względu na to, czy to będzie delfin, czy król. Nie będę się troszczył o motywy zemsty, zapewniam cię, pani. Jeśli jest prawdą, że Bóg istnieje, zemszczę się”.

„Za co, proszę? I dlaczego?” — rozległ się za panem hrabią głos o władczym brzmieniu.

Perrot zadrżał, gdyż w słabo oświetlonym korytarzu pojawił się następca tronu, dzisiejszy król. Za delfinem widać było szyderczą, twardą twarz konetabla.

„Ach! — zawołała pani Diana padając na fotel i załamując ręce. — Tego właśnie obawiałam się”.

Pan de Montgomery krzyknął jedynie „Ach!”

Po chwili Perrot usłyszał jego dość opanowany głos:

„Wasza Wysokość, na litość Boską jedno tylko słowo. Rzeknij, że przybyłeś tutaj nie dlatego, że kochasz panią de Poitiers, i nie dlatego, że pani Diana de Poitiers cię kocha”.

„Panie de Montgomery! Jedno słowo na mój — rozkaz! — odpowiedział delfin jeszcze powstrzymując gniew. — Rzeknij mi, że nie zastaję cię tutaj dlatego, że pani Diana cię kocha, i nie dlatego, że ty kochasz panią Dianę”.

Kiedy rozgrywała się ta, scena, nie byli to dziedzic najpotężniejszego tronu na świecie i zwykły rycerz, ale dwaj mężczyźni, dwaj rywale, rozgniewani i zazdrośni, dwa cierpiące serca, dwie dusze rozdarte bólem.

„Jestem przyjętym i wybranym przez panią Dianę małżonkiem, wszak wiesz o tym” — odpowiedział pan de Montgomery opuszczając tytuł, do którego książę miał prawo.

„Obietnica rzucona na wiatr, obietnica, która poszła w niepamięć! — zawołał Henryk. — Prawa mojej miłości są może wcześniejsze niż twoje, są nie mniej pewne i je utrzymam”.

„Ach, nierozsądny! Mówi o swoich prawach! — zawołał hrabia jak pijany zazdrością i szałem. — Ośmielasz się rzec, że owa dama do ciebie należy?”

„Twierdzę, że nie należy do ciebie — odpowiedział Henryk. — Jestem u pani za jej zgodą, a nie jest tak z tobą, jak sądzę. A zatem czekam niecierpliwie, żebyś odszedł, panie”.

„Jeśli jesteś taki niecierpliwy, wyjdźmy razem, to całkiem proste”.

„Wyzwanie! Ośmielasz się rzucić wyzwanie delfinowi Francji?” — zawołał podchodząc bliżej Montmorency.

„Nie ma tutaj delfina Francji, jest mężczyzna twierdzący, jakoby kochała go dama, którą ja miłuję, tylko tyle” — odpowiedział hrabia.

Widocznie uczynił krok w kierunku Henryka, gdyż Perrot usłyszał krzyk pani Diany:

„Chce znieważyć księcia! Chce zabić księcia! Na pomoc!”

Prawdopodobnie zakłopotana swą szczególną rolą rzuciła się naprzód, mimo że konetabl ją uspokajał, że mają dwie szpady przeciw jednej i sporą eskortę na dole. Perrot ujrzał, jak pani Diana biegnie zapłakana przez korytarz do swojej komnaty, wołając na pomoc niewiasty i rajtarów delfina. Jej ucieczka nie ugasiła zapalczywości przeciwników, daleko było do tego! Pan de Montgomery ze smutkiem powtórzył wypowiedziane słowa o eskorcie.

„A zatem jego wysokość delfin uważa za stosowne pomścić zniewagę szpadami swych ludzi?”

„Nie, panie — dumnie odciął się Henryk. Wystarczy mojej do ukarania zuchwalca”.

Obaj sięgali już po rękojeści szpad, ale wmieszał się pan de Montmorency:

„Wybacz, Wasza Wysokość. Kto jutro będzie królem, nie ma prawa narażać swego życia dzisiaj. Nie jesteś mężczyzną, Wasza Wysokość, jesteś narodem. Delfin Francji walczy li tylko o Francję”.

„A więc niech delfin Francji, który wszystko posiada, nie wydziera mi damy, w której ręce złożyłem swe życie, jedynej, która jest dla mnie czymś więcej niż ojczyzna, honor i dziecko w kołysce, czymś więcej niż dusza nieśmiertelna. O wszystkim kazała mi zapomnieć owa niewiasta, która może mnie zdradzała! Ale nie, nie oszukała mnie, to niemożliwe, za bardzo ją kocham! Wybacz mi gwałtowność i szaleństwo, Wasza Wysokość, i racz mi rzec, że nie miłujesz Diany. Bo przecież nie przychodzi się do damy w towarzystwie pana de Montmorency i z eskortą ośmiu czy dziesięciu rajtarów. Powinienem był o tym pomyśleć.”

„Pomimo sprzeciwu delfina zechciałem mu dzisiaj towarzyszyć z eskortą, bo ostrzeżono mnie poufnie, że może popaść w zasadzkę. Miałem jednak go opuścić na progu tego domu. Ale donośny twój głos dotarł aż do nas i zmusił mnie do wejścia i dania wiary zapewnieniom nieznanych przyjaciół, którzy słusznie radzili mieć się na baczności”.

„Znam ich, owych nieznanych przyjaciół! — gorzko roześmiał się hrabia. — Z pewnością są to ci sami, którzy mnie uprzedzili, że delfin dzisiaj wieczorem będzie tutaj. Powiódł się im wyśmienicie ich plan i owej damy, która użyła ich za narządzie. Przypuszczam, że pani d’Etampes chciała skompromitować panią de Poitiers przez taki skandal. Oto pan delfin nie zawahał się przyjść z miłosną wizytą pod eskortą wojska i dzięki temu wspaniale się przysłużył znakomitemu planowi. Oj, Henryku de Valois, nie zdobyłeś się na zachowanie najmniejszych względów dla pani de Brèzè? A zatem oficjalnie głosisz, że jest twą metresą? Należy przeto rzeczywiście i prawdziwie do ciebie owa dama? Nie mam wątpliwości i nadziei! Naprawdę mi ją ukradłeś, a z nią szczęście i życie? A więc dobrze! Do pioruna! Nie mam obowiązku ciebie oszczędzać. To, że jesteś synem królewskim, Henrykiem de Valois, nie jest powodem, żebyś przestał zachowywać się jak rycerz. Zdasz mi sprawę ze swej zbrodni, a jeśli nie, to jesteś podły!”

„Nędzniku!” — zawołał delfin wyjmując szpadę i idąc ku hrabiemu.

Pan de Montmorency znowu rzucił się naprzód stając między rywalami.

„Wasza Wysokość, jeszcze raz ci powiadam, że w mojej obecności spadkobierca tronu nie skrzyżuje szpady przez niewiastę z…”

„Z rycerzem starożytniejszego rodu niż twój, pierwszy baronie chrześcijański — przerwał

hrabia tracąc cierpliwość. — Zresztą każdy szlachcic wart tyle samo co król, a królowie nie zawsze bywali tak roztropni, jak twierdzisz, i nie bez przyczyny! Karol Neapolitański wyzwał Alfonsa Aragońskiego. Franciszek I nie tak dawno temu wyzwał Karola V. Król przeciwko królowi, zgoda! Pan de Nemours, siostrzeniec króla, wyzwał zwykłego hiszpańskiego dowódcę. Ród Montgomerych wart tyle co ród Valois, a skoro wchodzili kilkakroć w koligację z królewskimi dziećmi Francji i Anglii, mogą się bić z nimi. Protoplaści Montgomerych pochodzą z prostej linii z królewskiego rodu Francji, a także w drugim i trzecim pokoleniu. Odkąd powrócili z Anglii, dokąd poszli z Wilhelmem Zdobywcą, herb Montgomerych ma jako tło błękit ze złotym lwem przepasanym srebrną wstęgą z dewizą: „Strzeż dobrze" i trzy kwiaty lilii w rozwartej paszczy. Nuże, Wasza Wysokość, hasze herby są równie podobne jak szpady! Jeden dobry sztych rycerski! Och, gdybyś miłował tę oto damę, tak jak ja ją miłuję, i tak mnie nienawidził, jak ja ciebie nienawidzę! Ale cóż! Jesteś tchórzliwym dzieckiem, zadowolonym, że może się ukryć za plecami guwernera!"

„Panie de Montmorency, puść mnie!" — zawołał delfin wyrywając się konetablowi, który go przytrzymywał.

„Nie, na rany Chrystusa, nie pozwolę ci walczyć z tym szaleńcem. Do tyłu! Ku mnie!" — zawołał głośno.

Dało się słyszeć wyraźnie, jak pani Diana, przechylona przez balustradę schodów, krzyczała także ze wszystkich sił:

„Na pomoc! Wejdźcie! Czy przyzwolicie, żeby zarżnięto waszych panów?"

Zdrada współczesnej Dalili rozjątrzyła do ostateczności hrabiego, wszak tamtych było dwóch przeciw niemu jednemu. Perrot, skamieniały z przerażenia, usłyszał słowa pana hrabiego:

„Czy potrzeba jeszcze jednej obelgi" by cię przekonać, twojego pośrednika i ciebie, Henryku de Valois, o konieczności dania mi satysfakcji?"

Perrot przypuszczał, że hrabia zbliżył się do delfina i podniósł na niego dłoń. Henryk głucho ryknął, ale pewnie pan de Montmorency przytrzymał go za rękę, bo wołał głośniej niż przedtem: „Ku mnie! Ku mnie!" Perrot w ukryciu nie widział nic, ale usłyszał krzyk księcia:

„Jego rękawica dotknęła mego czoła, on winien zginąć jedynie z mojej ręki!"

Wszystko to odbywało się z błyskawiczną szybkością. Weszli ludzie z eskorty. Rozgorzała zacięta walka, słychać było szurgot wielu kroków i szczęk żelaza. Pan de Montmorency wołał:

„Związcie tego szaleńca!"

A delfin:

„Na Boga! Nie zabijajcie go!"

Nierówna walka nie trwała minuty. Perrot nie zdążył przybiec na pomoc swemu panu. Na progu przy wejściu ujrzał martwego rajtara leżącego na podłodze i trzech innych broczących krwią. Ale hrabia był już rozbrojony, związany i trzymany przez pięciu czy sześciu zbrojnych. Nie zauważony w zamieszaniu Perrot myślał, że bardziej się przyda panu de Montgomery, kiedy pozostanie na wolności, zawiadomi jego przyjaciół lub przyjdzie mu z pomocą przy bardziej sprzyjającej okazji. Powrócił zatem bezszelestnie na swoje miejsce i tam, z wytężonym słuchem i ręką na szpadzie czekał na odpowiedni moment, żeby się pokazać i może go ocalić, bowiem pan de Montgomery nie był ani zabity, ani nawet ranny. Przekonasz się za chwilę, dostojny panie, że nie brakło memu dzielnemu małżonkowi ni odwagi, ni zuchwałości. Był jednak równie mądry jak waleczny i umiał sprytem odnosić zwycięstwa. Na razie pozostawało mu jeno obserwować, co czynił z zimną krwią i uwagą.

Tymczasem pan de Montgomery, skrępowany wiązami, jeszcze krzyczał:

„Czy nie rzekłem ci, Henryku de Valois, że przeciwstawisz dziesięć szpad mojej jednej i służalcze męstwo żołdaków ścierpianej ode mnie zniewadze?"

„Widzisz, widzisz, panie konetablu!” — powtarzał delfin, cały rozdygotany.

„Zakneblować mu usta! — wydał rozkaz pan de Montmorency jako całą odpowiedź. — Przyślę wam polecenie, co z nim uczynić. Na razie nie spuszczajcie go z oka. Odpowiadacie własną głową”.

Wyszedł z kaplicy prowadząc delfina. Przeszli przez korytarz, w którym Perrot ukrywał się za kobiercem, i weszli do pani Diany.

Wtedy Perrot przysunął się do drugiej ściany i przyłożył ucho do zamaskowanych drzwi. Scena, która się rozegrała nie była jednak na tyle przerażająca co rozmowa, jaką miał usłyszeć.

XXII. NAJOCZYWISTSZY DOWÓD JAKI MOŻE PRZEDSTAWIĆ NIEWIASTA, ŻE MĘŻCZYZNA NIE JEST JEJ KOCHANKIEM

„Panie de Montmorency, gdybyś mnie nie zatrzymał prawie przemocą, byłbym w mniejszym stopniu niezadowolony i z siebie, i z ciebie” — wchodząc rzekł ze smutkiem i wzburzeniem delfin.

„Niech Wasza Wysokość pozwoli sobie rzec, że przemawia jak młodzieniec, a nie jak królewicz. Życie nie do ciebie należy, ale do narodu. Koronowane głowy mają odmienne obowiązki niż zwykli śmiertelnicy”.

„Dlaczego zatem jestem zły sam na siebie i zawstydzony? — spytał książę. — Ach, to ty, pani — zwrócił się do Diany i unosząc się urażoną miłością własną ponad miłosną zazdrość dodał: — U ciebie i przez ciebie wyrządzono mi pierwszą w życiu zniewagą”.

„Tak, niestety u mnie, ale nie przeze mnie, Wasza Wysokość. Czyż nie odczułam tego równie boleśnie jak ty lub jeszcze silniej? Przecież w niczym nie zawiniłam. Czyż ja kocham owego mężczyznę? Czy kiedykolwiek go kochałam?”

Zdradziła, a potem wyparła się hrabiego, jakież to pospolite.

„Ciebie jednego miłuję, Wasza Wysokość. Moja dusza i życie całkowicie do ciebie należą. Szczęście zaczęło się od dnia, w którym przyjąłeś moje oddane serce. Dawniej, możliwe, przypominam sobie niejasno, że pozwoliłam Montgomery’emu mieć nieco nadziei. Nic konkretnego, żadnego zobowiązania. Zjawiłeś się ty, Waszą Wysokość, a tamto poszło w zapomnienie. Od owej błogosławionej chwili każda myśl, każde pulsowanie krwi tobie jednemu były oddane, przysięgam. Wierz mnie, a nie zrodzonym z zazdrości potwarzom pani d’Etampes i jej popleczników. Ów mężczyzna kłamie, działa w porozumieniu z moimi wrogami. Nie ma żadnych praw do mnie. Tylko do ciebie należę całkowicie, Henryku. Mało znam owego mężczyznę. Nie starczy rzec, że go nie miłuję, wprost przeciwnie, wielki Boże! Nienawidzę i pogardzam nim. Nawet cię nie pytam, czy zginął, czy jeszcze żyje. Jedynie ty mnie obchodzisz, tamtego nienawidzę!”

„Czy to prawda, pani?” — spytał delfin posępniej wciąż jeszcze nieufny”.

„Dowód będzie łatwy i natychmiastowy — wmieszał się do rozmowy pan de Montmorency. — Pan de Montgomery żyje, leży związany przez naszych ludzi, jest unieszkodliwiony. Poważnie obraził księcia. Nie sposób jednak postawić go przed trybunałem. Sądzenie za podobny występek pociągnęłoby za sobą większe niebezpieczeństwo niż samo przewinienie. Z drugiej strony absolutnie jest niemożliwe, aby delfin angażował się w pojedynek z owym niegodziwcem. Jakie jest twoje zdanie, pani? Co mamy uczynić z owym człowiekiem?”

Nastała pełna napięcia chwila ciszy. Perrot wstrzymał oddech, by lepiej słyszeć słowa, z którymi zwlekano. Widać pani Diana bała się sama siebie i tego, co rzec miała. Wahała się przed wydaniem wyroku. W końcu trzeba było się wypowiedzieć. Rzekła dość stanowczo:

„Pan de Montgomery popełnił zbrodnię obrazy majestatu. Panie de Montmorency, na jaką karę skazuje się winnych obrazy majestatu?”

„Na śmierć”. — odpowiedział konetabl.

„Niech umrze przeto”! — zawyrokowała chłodno pani Diana.

Wszyscy zadrżeli, po chwili konetabl przerwał milczenie:

„Zaiste, pani, nie miłujesz i nie miłowałaś nigdy pana de Montgomery.”

Zaprotestował delfin:

„Ale ja nie chcę, nie życzę sobie, żeby poniósł śmierć pan de Montgomery!”

„Takie samo jest moje zdanie — rzekł Montmorency — ale przypuszczam, że inne są moje motywy niż twoje, Wasza Wysokość. Kierujesz się wspaniałomyślnością, a przeze mnie przemawia ostrożność. Pan de Montgomery ma przyjaciół i potężne parantele we Francji i Anglii. Wiadomo dworzanom, że miał się spotkać tutaj z nami tej nocy. Kiedy głośno i hałaśliwie będą się jutro dopytywali, nie powinniśmy im zaprezentować trupa. Rycerstwo nie uznaje traktowania na równi z chłopami, nie pozwala się zabijać bez żadnych ceremonii. Koniecznie musimy im odpowiedzieć: pan de Montgomery uciekł — albo: pan de Montgomery jest ranny, choruje. W każdym razie: pan de Montgomery żyje! Jeśli posuną się do ostateczności i będą nalegać, wtedy będziemy mogli wyciągnąć go z więzienia lub łóżka i pokazać oszczercom. Przypuszczam, że przezorność nie zawadzi. Jutro i pojutrze będą się dopytywali o pana de Montgomery. Ale po tygodniu rzadziej o nim będzie mowa, po miesiącu wcale. Nic nie ulatuje z pamięci tak szybko jak przyjaciel. Trzeba zmieniać temat pogawędki. Uważam, że winowajca nie powinien ani umrzeć, ani żyć wśród nas, powinien zniknąć".

„Niech tak będzie! — zgodził się delfin. Niech opuści Francję. Ma posiadłości i krewnych w Anglii, niech tam się schroni".

„Ależ nie, Wasza Wysokość — sprzeciwił się konetabl. — Wyrok śmierci to za wiele, a wygnanie za mało".

Ściszył głos i dodał:

„Czy chcesz, aby ów człowiek rozgłosił, jak nie we Francji, to w Anglii, że zagroził ci obelżywym gestem?"

„Nie przypominaj mi o tym!" — szepnął delfin przez zaciśnięte zęby.

„Pozwól mi jednak to przywołać na pamięć, Wasza Wysokość, aby cię uchronić przed nieroztropną decyzją. Należy tak postąpić, powtarzam, żeby hrabia nie mógł nic ujawnić ani żywy, ani umarły. Ludzie w naszej eskorcie są godni zaufania, zresztą nie wiedzą, o co chodzi. Naczelnik w Châtelet to mój przyjaciel, co więcej, jest niemy i głuchy jak jego więzienie i całkowicie oddany jego królewskiej mości. Niech przeniosą pana de Montgomery do Châtelet jeszcze tej nocy. Głęboki loch go ukryje, albo nam go zwróci, jeśli zechcemy. Jutro zniknie i rozgłosimy o zniknięciu różne sprzeczne wieści. Gdyby wrzawa nie ucichła sama, gdyby przyjaciele hrabiego natarczywie dopominali się o niego, co niezbyt prawdopodobne, gdyby prowadzili do końca surowe śledztwo, co by mnie wielce zdziwiło, wtedy usprawiedliwilibyśmy się jednym słowem, czyniąc zapis w rejestrach Châtalet, świadczący, że pan de Montgomery — oskarżony o zbrodnię obrazy majestatu czeka w więzieniu »na formalny wyrok sprawiedliwości. Po przeprowadzeniu dowodu nie będzie naszą winą, że więzienie zdrowiu nie sprzyja, — że wyrzuty sumienia i żałość tak wielce wpłynęły na pana de Montgomery, że zmarł wcześniej, zanim stanął przed trybunałem".

„Och, panie de Montmorency!" — jęknął rozdygotany delfin.

„Bądź spokojny, Wasza Wysokość, nie będzie potrzeby posuwać się do takiej ostateczności. Plotki spowodowane nieobecnością hrabiego ucichną samo przez się. Przyjaciele się pocieszą i szybko zapomną, a pan de Montgomery będzie żył w więzieniu, od chwili gdy umrze dla świata".

„Czyż nie ma syna?" — spytała pani Diana.

„Tak, nieletnie dziecko, któremu się powie, że nie wiadomo, co się stało z jego ojcem. Kiedy dorośnie, biedny sierota będzie miał własne sprawy, własne pasje i nie będzie się starał zgłębić historii sprzed piętnastu czy dwudziestu lat".

„Wszystko to słuszne i dobrze obmyślone — rzekła pani de Poitiers. — Chylę czoło przed pomysłem, aprobuję i podziwiam".

„Jesteś nader łaskawa, pani — rzekł Montmorency, ucieszony pochlebstwem. — Stwierdzam z przyjemnością, że jesteśmy oboje stworzeni do pełnego wzajemnego zrozumienia".

„Ale ja nie akceptuję ani nie podziwiam! — zawołał delfin. — Wprost przeciwnie, potępiam i sprzeciwiam się…”

„Potępiaj, Wasza Wysokość, masz rację — odrzekł pan de Montmorency. — Potępiaj, ale nie sprzeciwiaj się. Gań, ale pozwól mi działać. Wszystko to ciebie nie powinno obchodzić, biorę na siebie całą odpowiedzialność za ów czyn przed ludźmi i przed Bogiem”.

„Ale będzie odtąd zbrodnia między nami, nieprawdaż? — rzekł delfin. — Będziesz czymś więcej niż przyjacielem, staniesz się moim wspólnikiem w zbrodni”.

„Och, Wasza Wysokość! Jestem daleki od takich myśli! — zawołał przebiegły minister. — Nie powinieneś się kompromitować karaniem winowajcy ani pojedynkiem. Czy życzysz sobie, abyśmy sprawę przedstawili twojemu ojcu?”.

„Nie, nie, lepiej, żeby mój ojciec o niczym nie wiedział” — żywo zastrzegł się delfin.

„Moim obowiązkiem jest powiadomić go jednak, Wasza Wysokość, jeśli upierasz się przy wierze, iż ciągle jeszcze trwają czasy rycerskich poczynań. Jeśli sobie tak życzysz, Wasza Wysokość, nie śpieszmy się, pozwólmy sobie na zwłokę, by dojrzały nasze zamysły. Musimy się wszakże zabezpieczyć przed hrabią, to niezbędny warunek dla naszych późniejszych zamiarów bez względu na to, jakie by były. Odłóżmy na pewien czas sprecyzowanie decyzji na ten temat”.

„Zgoda — rzekł delfin, bo słabą miał wolę i chętnie przyzwolił na rzekome odwleczenie sprawy. — Pan de Montgomery będzie miał czas opamiętać się po nierozważnym wybuchu, a ja także będę mógł spokojnie zastanowić się, co mi dyktują czynić sumienie i godność”.

„Wracajmy przeto do Luwru, Wasza Wysokość, niech tam stwierdzą naszą obecność. Odeślę ci go jutro, pani — zwrócił się z uśmiechem do pani de Poitiers. — Miałem okazję stwierdzić, że prawdziwie go miłujesz”.

„Ale czy jego wysokość delfin o tym przekonany i czy mi przebaczyć przykrość nieprzewidzianą, jakiej doświadczył z mojego powodu przez owo spotkanie?”

„Tak, miłujesz mnie… straszliwie, Diano — odpowiedział zamyślony delfin. — Nadto mi potrzeba wiary, żebym miał wątpić. Prawdę rzekł hrabia, że za bardzo się cierpi na myśl o utraceniu ciebie i że twoja miłość jest niezbędna dla przetrwania, że kiedy się kocha, to na całe życie!”

„Ach! Gdyby naprawdę tak było!” — wykrzyknęła Diana z taką namiętnością w głosie jak rzadko i ucałowała rękę podaną przez księcia na znak pojednania.

„Chodźmy już, nie zwlekajmy dłużej” — rzekł pan de Montmorency.

„Do widzenia, Diano”.

„Do zobaczenia, mój panie” — odpowiedziała diuszesa podkreślając dwa ostatnie słowa z niezwykłym czarem.

Odprowadziła go aż do progu komnaty.

Kiedy następca tronu szedł na dół po schodach, pan de Montmorency otwarł drzwi kaplicy, gdzie leżał związany pan de Montgomery pod strażą. Konetabl zwrócił się do dowódcy eskorty:

„Przyślę wkrótce swojego zausznika, który cię poinformuje, co masz czynić z więźniem. Do tego czasu czuwajcie nad każdym jego ruchem i nie traćcie go z oczu ani przez chwilę. Każdy z was odpowiada głową”.

„Pojąłem, Wasza Miłość — odpowiedział rajtar. — Poza tym będę czuwał pod drzwiami komnaty pani de Poitiers”.

Wszyscy odeszli, a Perrot w swej kryjówce słyszał regularne kroki wart przy drzwiach wewnątrz kaplicy, podczas gdy reszta rajtarów strzegła osoby więźnia.

XXIII. POŚWIĘCENIE NA NIC SIĘ NIE ZDAŁO

Alojza odpoczywała przez dłuższą chwilę. Ledwie mogła oddychać na wspomnienie owej ponurej historii. Wreszcie zdobyła się na męstwo i dokończyła opowieści na prośbę Gabriela:

— Wybiła pierwsza w nocy w chwili, gdy delfin i jego pozbawiony skrupułów mentor odeszli. Perrot orientował się, że jego pan będzie zgubiony bez możliwości ratunku, kiedy przybędzie wysłannik konetabla. Nadszedł dla giermka czas działania. Pamiętał, że pan de Montmorency nie podał żadnego hasła ani znaku, po którym strażnicy mają rozpoznać wysłannika. Odczekał zatem około pół godziny, tyle prawdopodobnie mogło trwać spotkanie pana de Montmorency z owym człowiekiem. Następnie Perrot wysunął się po cichu z kryjówki, zszedł na palcach po schodach kilka stopni w dół, po czym zawrócił i wchodził głośno, by słychać było jego kroki. Zapukał do drzwi kaplicy. Obmyślony naprędce plan był zuchwały, lecz miał szanse powodzenia właśnie z powodu zuchwałości.

„Kto tam?" — spytał wartownik.

„Wysłannik pana barona de Montmorency".

„Otworzyć!" — wydał rozkaz dowódca straży.

Otwarto drzwi. Perrot wszedł śmiało; z wysoko podniesioną głową i oznajmił:

„Jestem giermkiem pana Karola de Manffol, który, jak wiecie, podlega panu de Montmorency. Po odbyciu warty w Luwrze wracaliśmy obaj, mój pan i ja, kiedy spotkaliśmy na, placu Greve pana de Montmorency w towarzystwie wysokiego młodzieńca otulonego płaszczem. Pan de Montmorency poznał pana de Manffol i go zatrzymał. Rozmawiali przez chwilę, a potem obaj kazali mi przyjść tutaj na ulicę de Figuier, do pałacu pani Diany de Poitiers. Rzekli, że znajdę tutaj więźnia. Pan de Montmorency wydał mi polecenie, co mam z nim uczynić. Prosiłem o eskortę, wtedy mi wyjaśnił, że znajdę ją tutaj dostatecznie liczebną. Widzę w rzeczy samej, że jest was tutaj więcej, niż trzeba do wypełnienia rozkazu. Gdzie jest więzień? Ach, tutaj. Wyjmijcie mu knebel, gdyż mam z nim mówić i musi mi odpowiadać.

Sumienny dowódca rajtarów wahał się jeszcze i mimo rezolutnego tonu Perrota spytał:

„Czy nie masz rozkazu na piśmie?"

„Czy pisze się rozkazy na placu Greve o drugiej godzinie w nocy? — odpowiedział Perrot wzruszając ramionami. — Pan de Montmorency przecież was powiadomił, że mnie przyśle".

„To prawda".

„No więc! Dlaczego zatem czynisz mi trudności, poczciwcze? Oddal się ze swoimi ludźmi, To, co rzeknę panu, ma pozostać w sekrecie między nim a mną. Czy nie słyszycie? Usuńcie się stąd!"

Cofnęli się, Perrot zbliżył się swobodnie do hrabiego, któremu wyjęto już knebel z ust.

„Dzielny Perrocie, w jaki sposób tu się znalazłeś?"

„Dowiesz się, panie, ale później. Nie mamy chwili do stracenia. Słuchaj".

Opowiedział w kilku zdaniach, co się działo u pani Diany, o tym, że pan de Montmorency postanowił pogrzebać na zawsze tajemnicę zniewagi wraz z tym, który dopuścił się obrazy. Trzeba więc wyrwać się w desperacki sposób z owej niewoli rokującej śmierć.

„Na co liczysz, Perrocie? Widzisz, jest ich ośmiu, a nas dwóch, przy tym nie znajdujemy się w przyjaznym domu" — dodał ze smutkiem.

„Nieważne! Pozwól mi działać, a będziesz wolny i uratowany, panie.

„Po co? Na co mi życie i wolność? Diana mnie nie kocha. Diana nienawidzi mnie. Zdradziła".

„Powinieneś zapomnieć o tej niewieście. Myśl o swoim dziecku, Wasza Miłość".

— Masz rację, Perrocie, zapomniałem o małym, biednym Gabrielu. Bóg mnie karze sprawiedliwie. Ze względu na niego postaram się skorzystać z ostatniej szansy ocalenia, jaką mi ofiarowujesz, przyjacielu. Ale wysłuchaj mnie, to najważniejsze! Jeśli mnie zawiedzie owa szansa, jeśli to zuchwałe, szaleńcze przedsięwzięcie nie powiedzie się, nie chcę przekazać w dziedzictwie sierocie skutków mego fatalnego losu. Nie chcę, by po mojej śmierci mściły się na nim animozje, które przyczyniły się do mojej zguby. Przysięgnij mi, że Gabriel nigdy nie dowie się od ciebie, w jaki sposób jego ojciec zszedł z tego świata w przypadku, kiedy grób rozewrze się przede mną, a ty przeżyjesz. Gdyby poznał straszną tajemnicę, zechciałby mnie pomścić lub ocalić, mógłby sam przy tym zginąć. Będę musiał zdać dostateczny rachunek jego matce bez dorzucenia jeszcze i tego ciężaru. Niech mój syn żyje szczęśliwie i nie troszczy się o przeszłość ojca. Przysięgnij mi, Perrocie, i nie uważaj się za zwolnionego z tajemnicy, dopóki troje aktorów tej sceny nie umrze wcześniej ode mnie, a kiedy delfin zostanie królem, dopóki pani Diana i pan de Montmorency nie zabiorą, ze sobą do grobu wszechmocnej nienawiści, dopóki nie będą mogli już nic zdziałać przeciw mojemu synowi. Dopiero wtedy będzie mógł, jeśli zechce, mnie odszukać i żądać mego uwolnienia, choć taka hipoteza jest wielce wątpliwa. Do tego czasu niech nic nie wie, ani tyle co inni, ani więcej od innych, co się dzieje z jego ojcem. Czy mi obiecujesz, Perrocie? Czy możesz przysiąc? Nie chcę, żebyś się tak wielce dla mnie narażał, lękam się, że to się na nic nie zda".

„Chcesz, dostojny panie, żebym przysiągł, a zatem klnę się tajemnicy dochować!"

„Na krzyż twej szpady, Perrocie, że Gabriel nie usłyszy z twoich ust niebezpiecznej tajemnicy!"

„Na krzyż mej szpady, Wasza Miłość!" — przysiągł Perrot podnosząc prawą rękę.

„Dziękuję, przyjacielu. Teraz czyń, co chcesz, wierny sługo. Zdaję się na twe męstwo i wolę Bożą".

„Zimnej krwi i pewności siebie, dostojny panie! Ujrzysz, co uczynię".

Zwrócił się do dowódcy zbrojnego oddziału:

„Słowo dane przez więźnia wystarczy. Możecie go rozwiązać i pozwolić odejść".

„Rozwiązać? Pozwolić odejść?" — powtórzył zdziwiony zbir.

„Oczywiście. Taki jest rozkaz pana de Montmorency".

„Pan de Montmorency nakazał nam strzec więźnia jak oka w głowie. Rzekł, że odpowiadamy za niego głową. Jakże może teraz chcieć go wypuścić?"

„Jak to, odmawiacie mi posłuszeństwa, mnie, rozkazującemu w jego imieniu?" — krzyknął Perrot nie tracąc rezonu.

„Waham się. Słuchaj, gdybyś nam kazał poderznąć gardło owemu panu, wrzucić do wody lub odprowadzić do Bastylii, usłuchalibyśmy natychmiast, ale puścić wolno nie możemy".

„Zgoda — rzekł Perrot z pewnością siebie. — Przekazałem wam otrzymane rozkazy, a teraz umywam ręce. Będziecie odpowiadali wobec pana de Montmorency za skutki nieposłuszeństwa. Nie mam tu już nic więcej do czynienia. Dobranoc!"

Otworzył drzwi, jakby chciał odejść.

„Hej, chwileczkę — rzekł dowódca. — Czemu tak ci spieszno? Twierdzisz, że pan de Montmorency chce wypuścić więźnia? Jesteś pewny, że nikt inny, a pan de Montmorency cię tu przysłał?"

„Głupcze! Skądże bym wiedział, że tu jest więzień pod strażą? Któż by to rzekł, jeśli nie pan konetabl we własnej osobie?"

„Słusznie! Rozumiem. Więc rozwiążemy więźnia — rzekł strażnik nierad jak tygrys, któremu się wydziera łup. — Jacy zmienni są panowie, rany boskie!."

„Dobrze. Czekam".

Perrot stanął na zewnątrz, na pierwszym stopniu schodów, z twarzą zwróconą ku wejściu i sztyletem w ręce. Gdyby ujrzał właściwego wysłannika konetabla, nie pozwoliłby mu uczynić ani jednego kroku dalej.

Nie spostrzegł jednak i nie usłyszał, że pani Diana, zainteresowana gwarem głosów, wyszła z komnaty i zbliżyła się do otwartych drzwi kaplicy. Ujrzała, że straż rozwiązuje Jakuba de Montgomery, który oniemiał z przerażenia na jej widok.

„Nikczemnicy! — zawołała. — Co czynicie?"

„Wypełniamy rozkazy pana de Montmorency, pani — rzekł dowódca straży. — Rozwiązujemy więźnia".

„To niemożliwe! Pan de Montmorency nie mógł wydać takiego rozkazu. Kto wam przyniósł takie polecenie?"

Zbiry wskazały Perrota, który odwrócił się przerażony i stał jak rażony piorunem słysząc słowa pani Diany. Blask lampy padł na bladą twarz biedaka. Pani Diana go poznała.

„Ów mężczyzna? To jest giermek więźnia! Widzicie, co chcieliście uczynić!"

„Nieprawda! — zaprzeczył Perrot usiłując kłamać. — Należę do pana de Manffol, a przysłał mnie tutaj pan de Montmorency".

„Kto się podaje za wysłannika pana de Montmorency? — zahuczał głos przybysza. — Słuchajcie, ludzie, ów człowiek kłamie. Oto pierścień z herbem rodu Montmorencych, zresztą mnie znacie, jestem hrabia de Montansier. Co to? Ośmieliliście się odkneblować usta więźniowi i rozwiązujecie go? Nieszczęśni! Zakneblować go i związać mocniej niż poprzednio!"

„To pojmuję! — rzekł dowódca zbirów. — Oto są prawdopodobne i zrozumiałe rozkazy".

„Biedny Perrot" — rzekł hrabia.

Nie raczył nawet dodać słowa wymówki pani Dianie, chociaż miał czas to uczynić, zanim włożono mu chustkę do ust. Może też nie chciał jeszcze więcej narażać dzielnego giermka. Ale niestety, Perrot nie naśladował jego ostrożności. Obsypał panią Dianę wyrazami oburzenia:

„Pięknie, pani. Nie zatrzymujesz się w połowie drogi do wiarołomstwa! Święty Piotr trzykroć wyparł się Boga, ale Judasz zdradził jeno raz. W ciągu jednej godziny trzykroć zdradziłaś swego kochanka. Zaiste, Judasz był mężczyzną, a ty jesteś damą i diuszesą!"

„Schwytajcie go!" — krzyknęła rozjuszona pani Diana.

„Brać go!" — rozkazał hrabia de Montansier.

„Jeszcze mnie nie pojmaliście!" — odpowiedział Perrot.

W wybuchu rozpaczy rzucił się ku swojemu panu i ostrzem sztyletu zaczął przecinać więzy. Krzyczał:

„Broń się, panie, sprzedajmy drogo własne życie!"

Ale zdołał uwolnić mu zaledwie lewą rękę. Bronił się niedostatecznie, usiłując jednocześnie przecinać wiązy krępujące hrabiego. Dziesięć szpad wytrąciło mu jego własną. Otoczony ze Wszystkich stron, odbierał ciosy. Naraz jedno pchnięcie w bark rzuciło go do stóp hrabiego. Padł jak martwy.

XXIV. NIECH PLAMY KRWI NIGDY CAŁKIEM NIE ZNIKNĄ

— Perrot nie wiedział co działo się później. Kiedy odzyskał przytomność, odczuł przede wszystkim przejmujący chłód. Potem przypomniał sobie, co się stało, rozwarł oczy i spojrzał wokoło. Była czarna noc. Leżał na wilgotnej ziemi, obok niego jakiś trup. Przy nikłym światełku wiecznej lampki palącej się w grocie Matki Boskiej poznał, że znajduje się na cmentarzu des Innocents. Obok leżał trup strażnika zabitego przez hrabiego. Chyba mniemano, że mój biedny małżonek nie żyje.

Usiłował się podnieść, ale wtedy poczuł ból w ranach. Nadludzkim wysiłkiem dźwignął się na nogi i uczynił kilka kroków. W tejże chwili światło latarki rozbłysło w głębokich ciemnościach i Perrot spostrzegł dwóch mężczyzn o ponurych minach niosących łopaty i motyki.

„Powiadali, że u stóp posągu Najświętszej Panny" — rzekł jeden z mężczyzn.

„Tutaj są nasze zuchy" — dodał drugi na widok żołnierza.

„Ależ nie, jest jeno jeden".

„Poszukajmy drugiego".

Dwaj grabarze świecili latarnią na przyległe tereny, Perrot wszakże zdobył się wcześniej na wysiłek i zawlókł się aż poza nagrobek, znacznie oddalony od miejsca, w którym szukali.

„Czart porwał drugiego" — zażartował jeden z grabarzy.

„Ejże, nie gadaj podobnych rzeczy o takiej godzinie i w takim miejscu" — przestrzegł drugi trzęsąc się ze strachu i czyniąc znak krzyża.

„Patrz! Jest tylko jeden. Co uczynić? Zakopmy tego co pozostał. Powiemy, że jego kamrat uciekł albo że źle policzyli".

Zaczęli kopać grób, a Perrot, który oddalał się powoli chwiejnym krokiem, usłyszał jeszcze, jak jowialny grabarz mówi do towarzysza:

„Jeśli się przyznamy, że znaleźliśmy tylko jedno ciało i wykopali jeden grób, mogą nam dać pięć pistoli zamiast dziesięciu. W naszym interesie lepiej przemilczeć, że dziwnie zniknął drugi trup".

„Słusznie, spryciarzu" — przyznał pobożny grabarz. — Wystarczy zawiadomić, że skończyliśmy pracę. W taki oto sposób nie dopuścimy się kłamstwa".

Tymczasem Perrot wycieńczony, bliski śmierci, dowlókł się do ulicy Aubry–le–Boucher. Ujrzał handlarza jarzyn powracającego wozem z targu i zapytał, dokąd jedzie.

„Do Montreuil" — odpowiedział ogrodnik.

„Czy ulitujesz się nade mną i pozwolisz mi wsiąść na wóz, żebym dojechał do skrzyżowania ulicy Geoffroy–l'Asnier z ulicą Saint–Antoine, bo tam mieszkam?"

„Wsiadaj!"

Perrot uczynił to i bez nadmiernego zmęczenia przebył drogę do domu. Jednak chyba dziesięciokrotnie wydawało mu się, że wcześniej skona. Wreszcie wóz się zatrzymał na rogu ulicy Geoffroy–l'Asnier.

„Hola! Jesteś w domu, przyjacielu".

„Dziękuję ci, zacny człowieku".

Perrot zsiadł z wozu chwiejąc się na nogach i musiał oprzeć się o pierwszy napotkany mur.

„Wypiłeś trochę za wiele — zauważył wieśniak. — Wio, wiśta, siwa."

Odjechał śpiewając piosenkę ułożoną niedawno przez mistrza Franciszka Rabelais, wesołego proboszcza z Meudon.

Boże, Ojcze Wszechmogący,
Ty czynisz cuda w Kanie,
Zadek uczyń mi świecący,
Niech za latarnią stanie
Sąsiadowi…

Przejście z ulicy Saint–Antoine na ulicę des Jardins zajęło Perrotowi całą godzinę. Na szczęście styczniowe noce są długie. Nie spotkał nikogo i doszedł do domu około szóstej rano.

Mimo zimna niepokój trzymał mnie przez całą noc na nogach przy otwartym oknie. Na pierwsze wołanie Perrota pobiegłam do drzwi i wpuściłam go.

„Cicho, na Boga!" — rzekł przede wszystkim. — Pomóż mi wejść na piętro do naszego pokoju. Pamiętaj, milcz jak zaklęta"!

Podtrzymywałam go widząc, że jest ranny, ale nie ośmieliłam się rozmawiać zgodnie z zakazem, jeno po cichu płakałam. Kiedy już doszliśmy, zdjęłam mu zbroję, rozebrałam nieboraka z odzieży, miałam ślady krwi na rękach, a jego rany okazały się szeroko rozwarte. Mimo woli chciałam krzyknąć, ale mnie powstrzymał rozkazującym gestem i ułożył się na posłaniu w takiej pozycji, by jak najmniej cierpieć.

„Pozwól przynajmniej, żebym sprowadziła chirurga" — prosiłam szlochając.

„Nic mi już nie pomoże. Wiesz, że znam się nieco na chirurgii. Jedna rana, tutaj, ponad szyją, jest śmiertelna. Chyba bym już nie żył, gdyby mnie nie podtrzymywało coś więcej poza bólem. Bóg, który karze morderców i zdrajców, przedłużył moje życie o kilka godzin, aby wypełnić przyszłe zamiary. Niebawem chwyci mnie gorączka i wszystko się skończy. Żaden lekarz na świecie na nią nie poradzi".

Mówił z wielkim trudem. Błagałam, by nieco odpoczął.

„Słusznie, powinienem oszczędzać resztki sił. Podaj mi coś do pisania".

Przyniosłam, o co prosił. Nie zwrócił jednak wcześniej uwagi, że cios szpady przeorał mu prawą rękę. Pisał przeto z trudem w końcu musiał odrzucić pióro i papier.

„Będę mówił, Bóg mi pozwoli żyć, zanim skończę. Bo przecież Bóg jest sprawiedliwy. Jeśli uderzy W troje nieprzyjaciół mego pana, złamie ich potęgę lub zniszczy życie, bo ludzie źli łatwo mogą utracić owo dobro. Pan de Montgomery może się ocalić dzięki synowi".

Wtedy to Perrot opowiedział mi ponurą historię, którą ci przedstawiłam, dostojny panie. Czynił jednak długie i częste przerwy, a kiedy się poczuł zbytnio wyczerpany, by mówić dalej, kazał mi zejść na dół i pokazać się domownikom. Nie kryłam wielkiego niepokoju o hrabiego i o męża. Wysłałam służących, by zasięgnęli języka w Luwrze, a potem kolejno u przyjaciół hrabiego i u innych znajomych. Pani de Poitiers odpowiedziała, że go nie widziała, a pan de Montmorency, że nie wie, po co go nudzą.

Takim sposobem rozwiało się wszelkie podejrzenie co do mnie, czego sobie życzył Perrot. Jego zabójcy mniemali, że tajemnica została, pogrzebana w lochu, jeśli idzie o pana, i w grobie, jeśli idzie o giermka. Kiedy uwolniłam się na czas jakiś od służby domowej i kiedy jednemu z nich powierzyłam ciebie, panie Gabrielu, weszłam na górę do biedaka Perrota, a on opowiadał mi dalsze dzieje.

Po południu nieco zelżały okropne bóle, jakie bohatersko znosił. Łatwiej mu było mówić, nawet trochę się ożywił. Cieszyłam się, że mu się polepszyło. Wtedy rzekł ze smutnym uśmiechem:

„To gorączka, której się spodziewałem. Ale dzięki Bogu skończyłem już to straszne opowiadanie. Jesteś teraz świadoma tego, co wie jeno Bóg i troje morderców. Jestem pewny, że w swej skrytej, wiernej i dzielnej duszy zachowasz tajemnicę śmierci i krwi aż do dnia, kiedy,

mam nadzieję, będzie ci wolno ją odkryć, komu należy. Wiesz, jakiej przysięgi domagał się ode mnie pan de Montgomery. Powtórz ją i ty. Jak długo będzie wisiało nad Gabrielem niebezpieczeństwo, jak długo troje potężnych wrogów, zabójców mego pana Bóg pełen gniewu zostawi przy życiu, tak długo będziesz milczała, Alojzo. Przysięgnij wobec męża, który wkrótce umrze".

Przysięgłam płacząc. Świętą przysięgę teraz złamałam, wielmożny panie, bo żyje troje nieprzyjaciół, jeszcze potężniejszych i większy budzących postrach niż dawniej. Mógłbyś zginąć, panie. Ale jeśli skorzystasz z owej wieści ostrożnie i mądrze, zdołasz ocalić siebie i ojca i nie zginiesz. Powtórz mi jednak, panie Gabrielu, że nie popełniłam żadnego niewybaczalnego występku i że ze względu na intencję i Bóg i mój drogi Perrot wybaczą mi złamanie przysięgi.

— Nie ma w tym nic złego, świątobliwa niewiasto. Całe twoje postępowanie świadczy o poświęceniu i bohaterstwie. Ale dokończ, dokończ!

— Perrot udzielił mi dalszych wskazówek:

„Kiedy mnie już nie będzie, droga Alojzo, wtedy przezornie zamkniesz dom, zwolnisz służbę i udasz się z Gabrielem i naszym dzieckiem do Montgomery. W Montgomery nie mieszkaj w zamku. Wróć do naszego skromnego domu i wychowuj dziedzica szlachetnych hrabiów. Czyń to jeśli nie całkiem potajemnie, to w każdym razie bez przepychu i rozgłosu. Niech znają go przyjaciele, niech zapomną o nim wrogowie. Wszyscy zacni ludzie stamtąd, rządca i kapelan pomogą ci w dopełnieniu wielkiego obowiązku, jaki Bóg na ciebie nakładą. Będzie może najlepiej, aby nawet Gabriel do osiemnastego roku życia nie znał rodowego nazwiska. Niech wie jeno, że jest wysoko urodzony. Zresztą zorientujesz się sama. Nasz czcigodny kapelan i pan de Vimoutiers, chrzestny ojciec Gabriela, udzielą ci rad. Jednak nawet przed owymi niezawodnymi przyjaciółmi zachowaj w sekrecie to, co ci rzekłem. Ogranicz się do powiedzenia, że lękasz się o Gabriela z powodu możnych nieprzyjaciół jego ojca".

Perrot dodał jeszcze kilka innych przestróg, powtarzał mi je na wieloraki sposób, aż chwyciły go na nowo bóle na przemian z osłabieniem nie mniej wyczerpującym. Korzystał jednak z każdej przerwy w cierpieniu, by mi dodawać odwagi i pocieszać. Polecił mi i kazał obiecać, że wykonam coś, co wymaga ode mnie wiele energii. Przyznaję, że przysporzyło mi to mnóstwo udręki. Tak rzekł:

„Wedle pana de Montmorency spoczywam na cmentarzu. Muszę zatem zniknąć równocześnie z hrabią. Gdyby odnaleziono ślad mojego tutaj powrotu, byłabyś zgubiona, Alojzo, i może Gabriel wraz z tobą. Masz silne ręce i dzielne serce. Kiedy zamkniesz mi oczy, zbierz wszystkie siły duszy i ciała, poczekaj do północy, a kiedy wszyscy w domu zasną, po trudach dnia zanieś moje ciało do starego cmentarnego lochu państwa de Brissac, do których niegdyś ten pałac należał. Nikt już nie wchodzi do opuszczonego grobowca. Klucz do niego ze śladami rdzy znajdziesz w wielkim kufrze w pokoju hrabiego. Będę miał poświęcony grób. Chociaż zwykły giermek nie jest godny spoczywać wśród wielmoży, po śmierci chyba nie ma różnicy między chrześcijanami".

Przyrzekłam, o co tak usilnie prosił. Znowu omdlenie pozbawiło go przytomności. Pod wieczór zaczął majaczyć, później okrutne bóle następowały jeden po drugim. Szarpałam na sobie odzież z rozpaczy, że nie mogę mu ulżyć, ale on dawał mi znaki, że wszelki ratunek jest daremny. Wreszcie płonąc z gorączki, rozdzierany strasznymi bólami, poprosił:

„Alojzo, daj mi pić. Jedną kroplę wody".

Wcześniej już chciałam gasić palące go pragnienie, lecz ciągle odmawiał. Wreszcie szybko poszłam po szklankę wody i podałam do ust. Zanim się napił wyszeptał:

„Alojzo, ostatni pocałunek, ostatnie pożegnanie! Pamiętaj! Pamiętaj!

Obsypałam jego twarz pocałunkami, oblałam łzami. Poprosił o krucyfiks, przytulił wargi do

gwoździ Chrystusa na krzyżu i powtarzał:

„O mój Jezu, o mój Jezu!”

Na koniec poczułam słaby ostatni uścisk jego ręki. Wziął szklankę. Wypił jeden łyk, gwałtownie drgnął i opadł na poduszkę. Już nie żył.

Resztę wieczora spędziłam na łzach i modłach. Jednak poszłam jak zwykle dopilnować, kiedy cię układano do snu, mój panie. Nikt oczywiście nie dziwił się mojej żałości. Przerażenie opanowało cały dom, wierni słudzy opłakiwali hrabiego i zacnego Perrota.

Około drugiej w nocy nie słychać już było żadnego szmeru. Ja jedna czuwałam. Zmyłam krew z ciała małżonka, owinęłam go w prześcieradło i polecając się opiece boskiej zaczęłam schodzić na dół. Dźwigałam drogie brzemię, cięższe dla serca niż dla ramion. Kiedy opuszczały mnie siły, klękałam obok zwłok i modliłam się.

Wreszcie po upływie pół godziny dłuższej niż wieczność doszłam do drzwi lochu. Otwarłam je z niemałym trudem. Lodowaty powiew zgasił lampę i zaparł mi oddech. Jednak odzyskałam siły, na nowo zapaliłam lampę i złożyłam ciało Perrota w grobowcu, który był otwarty i pusty, jakby na niego czekał. Ucałowałam po raz ostatni, całun i spuściłam ciężkie wieko z marmuru. Oddzieliło mnie na zawsze od ukochanego towarzysza życia. Hałas płyty spadającej na sarkofag wzbudził takie przerażenie, że śpiesznie zamknęłam drzwi na klucz i uciekłam biegiem. Zatrzymałam się dopiero w swojej komnacie i padłam półżywa na krzesło.

Trzeba było wszakże przed świtem spalić prześcieradła i pokrwawioną bieliznę, żeby mnie nie zdradziły. Gdy nastał poranek, ciężka praca była zakończona, nie pozostało ani śladu po wydarzeniach dnia i nocy. Zniszczyłam całą odzież z zapobiegliwością zbrodniarki, która nie chce zostawić żadnego drobiazgu jako poszlaki po zbrodni.

Tak wielki wysiłek mocno mnie wyczerpał, popadłam w chorobę. Obowiązkiem moim było jednak trwać przy życiu dla dobra dwojga sierot, powierzonych mojej opiece przez opatrzność, więc żyłam.

— Biedna niewiasto! Biedna męczennico! — rzekł Gabriel ściskając rękę Alojzie.

— W miesiąc później odwiozłam cię do Montgomery zgodnie z poleceniem.

Poza tym stało się tak, jak przewidział pan de Montmorency. Tylko przez jeden tydzień było głośno na dworze z powodu niewytłumaczalnego zniknięcia hrabiego de Montgomery i jego giermka. Potem gwarzono o tym rzadziej. Wreszcie zapowiedziane przybycie cesarza Karola V, który miał przejechać przez Francję w drodze do Gand, by ukarać mieszczan, stało się jedynym tematem wszelkich rozmów.

W maju tegoż roku, w pięć miesięcy po śmierci twego ojca, urodziła się Diana de Castro.

— Tak! — rzekł zamyślony Gabriel. — Czy pani de Poitiers należała do mego ojca? Czy była z delfinem po nim, czy równocześnie z nim? Nie wyjaśnione pytania! Złośliwe plotki rozpustnego dworu nie wystarczą do odgadnięcia zagadki. Ale ojciec mój żyje! Ojciec powinien jeszcze żyć! Odnajdę go, Alojzo. Jest teraz we mnie dwóch ludzi, syn i kochanek, oni potrafią ojca odnaleźć.

— Daj panie Boże! — westchnęła Alojza.

— Czy nie dowiedziałaś się niczego od tego czasu, Alojzo? W jakim więzieniu mogli zagrzebać mego ojca owi nędznicy?

— Nic nie wiem, Wasza Wielmożność. Jedyną wskazówką są słowa pana de Montmorency, które zapamiętał Perrot, że naczelnik więzienia Châtelet jest jego oddanym przyjacielem, że może za niego ręczyć.

— Châtelet! Châtelet! — zawołał Gabriel.

Z szybkością błyskawicy powróciło wspomnienie ponurego, strapionego starca, któremu nigdy nie wolno było wyrzec ani słowa. Przecież go oglądał z dziwnym wzruszeniem w jednym z

najgłębszych lochów królewskiego więzienia.

Gabriel padł w ramiona Alojzy tonąc we łzach.

XXV. BOHATERSTWO JAKO OKUP

Nazajutrz dnia, dwunastego sierpnia Gabriel de Montgomery ze spokojem na twarzy pewnym krokiem szedł do Luwru, by prosić króla o audiencję.

Długo debatował z Alojzą i sobą samym, co winien czynić i mówić. W przekonaniu, że gwałtowność wobec koronowanego przeciwnika zawiodłaby go tam, gdzie znalazł się ojciec, Gabriel postanowił wystąpić otwarcie i godnie, ale panować nad sobą i okazywać szacunek. Będzie prosił, a nie żądał. Nie nadszedł jeszcze czas, by podnosić głos. Trzeba przedtem upewnić, się czy w ciągu osiemnastu minionych lat nie przygasła nienawiść Henryka.

Przez powzięcie takiego postanowienia Gabriel wykazał tyle rozwagi i ostrożności, na ile było go stać, bo przecież, sam zamiar był zuchwały.

Okoliczności tak się złożyły, że nadarzyła się nieoczekiwana pomoc. Gdy przybył na dziedziniec Luwru, a z nim Marcin Guerre, tym razem prawdziwy Marcin, Gabriel zauważył niezwykłe ożywienie. Głęboko pogrążony we własnych myślach, nie zastanawiał się, dlaczego widzi tyle grup zatroskanych dworzan, tyle zasmuconych twarzy przy wejściu do Luwru.

Przechodząc poznał jednak kolebkę z herbem de Guise i złożył ukłon kardynałowi Lotaryngii, który z pośpiechem wysiadał z pojazdu.

— Ach, to ty, panie wicehrabio d'Exmès — rzekł do niego Karol de Lorraine. — Wydobrzałeś już całkowicie, tym lepiej, tym lepiej Pan brat pytał o ciebie z wielką troską w ostatnim liście.

— Nadmiar dobroci, Wasza Eminencjo…

— Zasługujesz na nią przez swe męstwo. Dokąd tak się śpieszysz?

— Do króla, Wasza Eminencjo.

— Hm! Król ma wiele ważniejszych spraw na głowie niż przyjęcie ciebie, młody przyjacielu. Czekaj, ja także udaję się do jego królewskiej mości, który polecił mi natychmiast przyjechać. Wejdźmy razem, wprowadzę cię, a ty mi użyczysz młodego ramienia. Pomoc za pomoc, tak właśnie rzeknę za chwilę miłościwemu królowi. Sądzę, że znasz smutne wieści.

— Ależ nie! Idę z domu. W rzeczy samej, zauważyłem jakoweś poruszenie.

— To jasne. Pan de Montmorency dokonał ruchów wojsk na froncie. Walecznemu konetablowi zachciało się pędzić na pomoc oblężonemu Saint–Quentin. Nie idź tak szybko, panie d'Exmès, proszę cię, nie mam twoich dwudziestoletnich nóg. Rzekłem już, że wydał bitwę wrogom nasz nieustraszony generał. Było to przedwczoraj, dziesiątego sierpnia, w dniu świętego Wawrzyńca. Jego wojska były prawie jednako liczebne jak siły Hiszpanów, wspaniała konnica, elita francuskiego rycerstwa. Tak zręcznie poprowadził walkę ów doświadczony dowódca, że poniósł straszliwą klęskę na polach Gibercourt i Lizerolles. Ranny dostał się do niewoli, a z nim wszyscy dowódcy i generałowie, którzy nie padli na polu bitwy, wśród nich jest pan d'Ehghien, a z całej piechoty nie ocalała setka ludzi. Dlatego właśnie, panie d'Exmès, widzisz wszystkich tutaj tak przejętych. Dlatego jego królewska mość sprowadził mnie natychmiast.

— Wielki Boże! — zawołał Gabriel wielce przejęty ową powszechną klęską, wobec której malały jego osobiste cierpienia. — Wielki Boże! Czy naprawdę powracają dla Francji dni Poitiers i Azincourt? A Saint–Quentin, Wasza Eminencjo?

— Saint–Quentin trzymało się jeszcze przy odjeździe kuriera. Siostrzeniec konetabla, pan admirał Gaspard de Coligny, który broni miasta, zaprzysiągł choć częściowo naprawić błędy wuja, raczej zginąć w gruzach na posterunku niż poddać się. Obawiam się jednak, że w obecnej chwili może już jest pogrzebion, może padł ostatni szaniec powstrzymujący nieprzyjaciela.

— Ależ oznaczałoby to zgubę królestwa!

— Niech Bóg chroni Francję! — westchnął kardynał. — Jesteśmy już u króla. Ujrzymy, co uczyni, żeby samemu się ocalić.

Gwardziści jak zwykle przepuścili kardynała, oddając mu honory, Był mężem opatrznościowym w takiej sytuacji, jedynie jego brat mógł jeszcze uratować kraj. Karol de Lorraine wszedł bez niczyjego sprzeciwu do króla, a Gabriel za nim. Zastali monarchę w towarzystwie, pani de Poitiers. Henryk był całkiem skonsternowany. Gdy spostrzegł kardynała, wstał i skwapliwie pośpieszył na jego spotkanie.

— Witam Waszą Eminencję. Oby jego przybycie wyszło nam na dobre. Co za straszna klęska, panie de Lorraine. Kto by przypuszczał, pytam ciebie.

— Ja, Sire — odpowiedział kardynał. — Gdyby Wasza Królewska Mość mnie zapytał przed miesiącem, zaraz po odjeździe pana de Montmorency…

— To bezużyteczne oskarżenie, mój kuzynie — rzekł król. — Nie chodzi o to, co było, ale o chwilę obecną pełną niebezpieczeństw i o zagrożoną przyszłość. Pan diuk de Guise jest w powrotnej drodze z Italii, nieprawdaż?

— Tak, Najjaśniejszy Panie. Powinien być teraz w Lyonie.

— Chwała Bogu! — zawołał król. — Panie de Lorraine, w ręce twego znamienitego brata składam ocalenie państwa. W dążeniu do chwalebnego celu ty i on będziecie mieli pełną władzę i najwyższy autorytet. Bądźcie królami tak jak ja, a nawet bardziej niż ja. Sam własnoręcznie napisałem do pana diuka de Guise, żeby przyśpieszyć jego powrót tutaj. Oto list. Niech Wasza Eminencja raczy napisać drugi od siebie i odmalować naszą okropną sytuację. Nie ma chwili do stracenia, jeśli się chce ocalić Francję. Przekaż panu de Guise, że zdaję się na niego całkowicie. Napisz, panie kardynale, napisz prędko, proszę cię. Nie ma potrzeby, żebyś stąd wychodził. Tam, w moim gabinecie znajdziesz wszystko, co potrzeba, wszak wiesz. Kurier w butach z ostrogami czeka na dole już na siodle. Chodź, na litość boską, panie kardynale! Każde pół godziny odgrywa rolę, może przynieść zgubę lub ocalić.

— Jestem posłuszny Waszej Królewskiej Mości — odpowiedział kardynał kierując się w stronę gabinetu. — Mój znakomity brat usłucha podobnie jak ja, gdyż jego życie należy do króla i królestwa. Bez względu jednak na to, czy odniesie zwycięstwo, czy poniesie klęskę, Wasza Królewska Mość raczy pamiętać później, że mu powierzył władzę w beznadziejnej sytuacji.

— Raczej niebezpiecznej — sprostował król. — Nie mów, że jest beznadziejna. Przecież zacne miasto Saint–Quentin i jego dzielny obrońca pan de Coligny trzymają się jeszcze.

— Trzymali się dwa dni temu, ale fortyfikacje były w opłakanym stanie, wygłodzeni mieszkańcy mówili o poddaniu się, a dzisiaj może Saint–Quentin jest już we władaniu Hiszpanów. Paryż będzie do nich należał za tydzień. Mniejsza z tym, Sire. Napiszę do brata. Wiesz, że wszystko, co jest jeszcze w tej chwili w mocy ludzkiej, uczyni pań de Guise.

Kardynał pokłonił się królowi i pani Dianie. Wszedł do gabinetu, żeby napisać list, którego żądał Henryk.

Zamyślony Gabriel pozostawał na uboczu nie zauważony. Jego młode, szlachetne serce było głęboko poduszone straszną sytuacją, w jakiej znalazła się Francja, Zapomniał, że chodzi o pana de Montmorency, najokrutniejszego nieprzyjaciela. Zwyciężony, ranny, dostał się do niewoli. Gabriel widział w nim w obecnej chwili jedynie naczelnego wodza wojsk francuskich. Zresztą troszczył się prawie tyle samo o losy ojczyzny, co o cierpienia ojca. Szlachetny młodzian odczuwał litość dla tych, którym się nie wiodło.

Po wyjściu kardynała załamany król padł na fotel kryjąc; twarz w dłoniach i wołał:

— O Saint–Quentin! W tobie teraz nadzieja Francji. Saint–Quentin, drogie moje miasto! Gdybyś mogło opierać się jeszcze przez osiem dni, pan de Guise zdążyłby powrócić, obrona

mogłaby się zorganizować za twymi wiernymi murami! Po jeśli one padną, nieprzyjaciel ruszy na Paryż i wszystko przepadnie. Saint–Quentin! Za każdą godzinę oporu dam ci jeden przywilej, a za każdy kamień, który runie, jeden diament, gdybyś tylko stawiło opór jeszcze przez osiem dni!

— Wytrzyma dłużej niż osiem dni, Najjaśniejszy Panie — rzekł Gabriel podchodząc bliżej.

Przyjął zobowiązanie, wzniosłe zobowiązanie.

— Pan d'Exmès — rzekli jednocześnie Henryk i Diana. Król ze zdziwieniem, Diana z pogardą.

— Skąd tutaj się wziąłeś? — spytał surowo król.

— Wszedłem razem z jego eminencją, Sire.

— To zmienia postać rzeczy — odpowiedział król. — Co powiadasz, panie d'Exmès? Że Saint–Quentin może przetrzymać?

— Tak, Najjaśniejszy Panie. A ty obiecałeś, że jeśli wytrzyma oblężenie, dasz mu przywileje i bogactwa.

— Powtarzam to samo.

— Skoro ofiarowałbyś miastu, jeśli się obroni, tak wiele, to czy odmówiłbyś człowiekowi, który pomoże mu się bronić? Człowiekowi, którego energia i żelazna wola zaimponuje całemu miastu i który poddałby je dopiero wtedy, kiedy ostatni zrąb muru padnie od nieprzyjacielskiego działa. Czy każesz wtedy czekać, Najjaśniejszy Panie, gdyby ów człowiek prosił cię o łaskę, a zdołał ci ofiarować owe osiem dni przetrwania, a w wyniku tego i ocalenie królestwa? Czy poskąpiłbyś łaski człowiekowi, który by ci zwrócił imperium, Wasza Królewska Mość?

— Oczywiście że nie — rzekł król. — Człowiek ów otrzymałby wszystko, co w mocy króla.

— Targ ubity! Król nie tylko może, lecz król powinien przebaczyć, Najjaśniejszy Panie. Ów człowiek prosi cię o przebaczenie, a nie o tytuły ani złoto.

— Ale gdzież on jest? Kto będzie zbawcą?

— Stoi przed tobą, Najjaśniejszy Panie. To ja, twój skromny dowódca gwardii. Czuję w duszy i w rękach nadludzką siłę. Dowiodę ci, że nie przechwalam się, podejmując ocalenie kraju i mego ojca zarazem.

— Ojca, panie d'Exmès? — zdziwił się król.

— Ja jestem Gabriel de Montgomery, syn hrabiego Jakuba, którego winieneś pamiętać, Sire.

— Syn hrabiego de Montgomery? — zawołał król blednąc.

Pani Diana odchyliła się w tył na fotelu z odruchem przerażenia.

— Tak, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział spokojnie Gabriel. — Jestem wicehrabią de Montgomery, który w zamian za przysługę, że Saint–Quentin będzie się trzymać przez osiem dni, prosi cię jedynie o wolność dla ojca.

— Twój ojciec, panie? Twój ojciec nie żyje, zniknął, czy ja wiem? Nie wiem, gdzie jest twój ojciec.

— Ale ja wiem, Sire. Ojciec mój jest w Châtelet od osiemnastu lat czekając na śmierć z woli Boga albo na łaskę króla. Mam pewność, że ojciec żyje. Z powodu jakiegoś występku, nie wiem…

— Nie wiesz? — spytał król z marsem na czole.

— Nie wiem, Sire. Wina musiała być poważna, skoro zasłużył na tak długie uwięzienie. Nie jest ona jednak niewybaczalna, bo nie skazano go na śmierć. Wysłuchaj mnie, Najjaśniejszy Panie. Osiemnaście lat to dość długi okres, by złagodniało prawo, a zapanowała wielkoduszność. Ludzkie namiętności bez względu na to, czy nas czynią złymi czy dobrymi, nie opierają się działaniu czasu. Ojciec mój wszedł do więzienia jako dojrzały mężczyzna, a wyszedłby z niego jako starzec. Czyż nie dość odpokutował bez względu na winę? A jeśli przypadkiem kara była

nazbyt surowa, czy nie jest on już za słaby, by o tym pamiętać? Najjaśniejszy Panie, przywróć do życia biednego więźnia, który od dawna już nie ma żadnego znaczenia. Pomnij, chrześcijański królu, na symbol wiary i wybacz cudze winy, żeby i twoje zostały odpuszczone.

Ostatnie słowa wyrzekł tak wiele znaczącym tonem, że król i pani de Valentinois ze strachem spojrzeli na siebie pytająco.

Gabriel chciał jeno lekko tknąć bolesnego punktu w ich sumieniach, z pośpiechem dokończył:

— Zważ, Sire, że zwracam się do ciebie jako posłuszny i skłonny do ofiarności poddany. Nie przychodzę tu, by rzec: ojciec mój został, skazany po cichu, bez sądu, bez możności obrony, taka niesprawiedliwość ma cechy zemsty. A więc ja, jego syn, będę o tym głośno krzyczał wobec rycerstwa Francji, o tajnym wyroku, jaki spadł na niego. Rozgłoszę publicznie wszystkim, którzy noszą szpadę, że wyrządzono zniewagę mężowi wysoko urodzonemu… — Henryk poruszył się. — Nie po to przychodzę, by tobie to rzec, Najjaśniejszy Panie. Wiem, że istnieją wyższe konieczności niż litera prawa, gdzie despotyzm jest jeszcze nie największym niebezpieczeństwem. Odnoszę się z szacunkiem do tajemnic przeszłości tak odległej od nas, podobnie jak mój ojciec byłby uczynił. Przychodzę prosić li tylko, żebym miał szansę odkupić resztę winy ojca chwalebnym czynem i wywalczyć dla niego uwolnienie. Ofiarowuję w zamian ochronę Saint–Quentin przed nieprzyjacielem przez cały tydzień, a jeśli mi się nie uda, to wynagrodzę utratę Saint–Quentin odebraniem od Hiszpanii lub Anglii innego miasta! To warte uwolnienia starca. Zdołam dokonać tego, Najjaśniejszy Panie, gdyż sprawa, o którą walczę, jest czysta i święta, a wola moja silna i wytrwała. Czuję, że Bóg będzie ze mną.

Pani Diana nie mogła się powstrzymać, by się nie uśmiechać niedowierzająco wobec tak heroicznej postawy młodzieńca i jego ufności we własne siły. Nie była zdolna tego pojąć.

— Rozumiem, co znaczy twój uśmiech, pani — rzekł Gabriel spoglądając na nią z melancholią. — Sądzisz, że ugnę się pod tak wielkim zadaniem, nieprawdaż? Mój Boże, wszystko możliwe. Kto wie, czy przeczucia moje nie kłamią. Wtedy zginę. Tak, pani, tak Najjaśniejszy Panie, gdy wróg wkroczy do Saint–Quentin przed upływem tygodnia, dam się zabić na wyłomie murów miasta, jeśli nie zdołam go obronić. Bóg, ojciec i ty, Wasza Królewska Mość, nie możecie więcej ode mnie wymagać. Wtedy dopełni się moje przeznaczenie zgodnie z wolą Bożą. Ojciec umrze w lochu, ja padnę na polu bitwy, a ty, Sire, w naturalny sposób pozbędziesz się i długu, i wierzyciela, możesz być zatem spokojny.

— To, co mówi, jest słuszne! — wyszeptała Diana do ucha zamyślonego króla.

Henryk trwał w milczeniu i zadumie, Diana zwróciła się do Gabriela:

— W przypadku gdybyś zginął, panie, przed wypełnieniem zadania, nietrudno przypuszczać, że znajdzie się jakiś spadkobierca przez ciebie upoważniony, jakiś powiernik tajemnicy.

— Przysięgam na zbawienie ojca, że wraz z moją śmiercią umrze i tajemnica, nikt nie będzie miał prawa ani mocy niepokoić jego królewską mość w owej sprawie. Powtarzam, że zdaję się z góry na zamiary boskie, i liczę, że ty, Sire, uznasz jego interwencję, jeśli mnie obdarzy siłą niezbędną do wykonania tak wielkiego planu. Od obecnej chwili zwalniam cię, Najjaśniejszy Panie, od wszelkich zobowiązań, od wszelkiej odpowiedzialności, jeśli zginę. Od odpowiedzialności wobec ludzi, gdyż prawa Najwyższego nie ulegają przedawnieniu.

Henryk zadrżał, ale miał wolę tak chwiejną, że nie wiedział, jakie powziąć postanowienie. Słaby władca zwrócił się ku pani de Poitiers, jakby pytając o radę.

Diuszesa dobrze znała jego niepewność, była do niej przyzwyczajona. Rzekła z zagadkowym uśmiechem:

— Czyż nie powinniśmy wierzyć na słowo panu d'Exmès, szlachcicowi wielce lojalnemu i rycerskiemu? Nie wiem, czy jego prośba ma jakiekolwiek uzasadnienie. Milczenie Waszej Królewskiej Mości nie pozwala ani mnie, ani nikomu niczego zapewnić, istnieje wiele

wątpliwości. Wedle mojego skromnego zdania nie powinno się odrzucać tak szlachetnie zaofiarowanych usług, Najjaśniejszy Panie. Gdybym była na twoim miejscu, chętnie dałabym panu d'Exmès królewskie słowo i obdarzyłabym każdą łaską, o jaką poprosi, jeśli dopełni swych śmiałych, bohaterskich obietnic.

— To wszystko, czego pragnę, pani.

— Jeszcze jedno słowo — rzekła Diana przeszywając wzrokiem młodzieńca. — Dlaczego zdecydowałeś się mówić o ważnej tajemnicy w mojej obecności, wobec niewiasty, może niedyskretnej, której chyba nie dotyczy ów sekret?

— Z dwóch powodów, pani — odpowiedział Gabriel, wspaniale zachowując zimną krew. — Przede wszystkim pomyślałem, że żadnej tajemnicy nie kryje przed tobą serce jego królewskiej mości. Powiadomiłem cię przeto o tym, czego dowiesz się później lub co już znasz. Po drugie, miałem nadzieję na to, co już nastąpiło, że raczysz mnie, pani, poprzeć u króla, że go zachęcisz, żeby mnie wysłał na tę próbę, i że ty, pani, jako niewiasta, będziesz za wielkodusznością.

Nawet najbaczniejszy obserwator nie dosłuchałby się w słowach Gabriela najmniejszej intencji szydzenia, nie dopatrzyłby się w jego opanowanych rysach twarzy uśmiechu pogardy. Na próżno go szukało przenikliwe spojrzenie pani Diany.

Na to, co mogło być komplementem, odpowiedziała lekkim skinieniem głowy.

— Pozwól mi zadać jeszcze jedno pytanie. Chodzi o coś, co pobudza moją ciekawość. W jaki sposób ty, taki młody, możesz być w posiadaniu tajemnicy sprzed osiemnastu lat?

— Bardzo chętnie odpowiem ci, pani — rzekł poważnie chmurny Gabriel. — Niech ta odpowiedź cię przekona o interwencji Boga w tę sprawę. Giermek mego ojca, Perrot d'Avrigny, zabity podczas wydarzeń, które doprowadziły do zniknięcia hrabiego de Montgomery, wyszedł z grobu za zezwoleniem bożym i objawił mi to, co rzekłem.

Słysząc uroczyście wypowiedziane słowa, król zerwał się blady, ciężko dysząc, a pani de Poitiers, mimo stalowych nerwów, nie mogła opanować drżenia. W owych zabobonnych czasach chętnie wierzono w zjawy i widma. Słowa Gabriela wypowiedziane z pełnym przekonaniem o prawdziwości faktu wywarły przerażające wrażenie na dwóch udręczonych sumieniach.

— Dość, panie — rzekł szybko król, wielce przejęty. — Zgadzam się na wszystko, o co prosisz. Odejdź, odejdź!

— To znaczy, że mogę natychmiast odjechać do Saint–Quentin, wierząc słowu Waszej Królewskiej Mości?

— Tak, ruszaj w drogę! — rzekł król, który mimo ostrzegawczych spojrzeń Diany z trudem opanowywał niepokój. — Ruszaj zaraz. Uczyń, coś obiecał. Daję ci słowo króla i szlachcica, że spełnię wszystko, co zechcesz, wicehrabio.

Gabriel z radością w sercu pokłonił się królowi i diuszesie. Wyszedł bez słowa. Otrzymał, czego pragnął, i nie miał już teraz ani chwili do stracenia.

— Wreszcie! Już go tu nie ma! — rzekł Henryk oddychając z ulgą, jakby zrzucił ogromny ciężar.

— Uspokój się, Sire, opanuj się! Omal nie zdradziłeś się przed nim.

— Nie chodzi o niego, pani. To wiecznie jątrzące skrupuły, to sumienie moje daje znać o sobie.

— A zatem dobrze się stało, Sire — rzekła Diana odzyskując spokój. — Uczyniłeś bardzo dobrze zgadzając się na prośbę owego Gabriela i odesłanie go tam, gdzie trzeba. Albo mocno się mylę, albo twoje skrupuły polegną pod Saint–Quentin i pozbędziesz się sumienia.

Kardynał Lotaryngii wrócił w tejże chwili z listem napisanym do brata i król nie miał już sposobności udzielić odpowiedzi Dianie.

Tymczasem Gabriel wyszedł od króla z lekkim sercem. Nosił w sobie jedną tylko myśl i jedno

pragnienie. Ujrzeć raz jeszcze, z nadzieją w duszy, tę, którą opuścił pełen lęku. Chciał rzec Dianie de Castro wszystko, czego oczekiwał od przyszłości, i zaczerpnąć z jej oczu odwagi, bowiem wielce mu jej było trzeba.

Wiedział, że umiłowana przebywa w klasztorze, ale w jakim? Może jej służebne nie udały się z nią razem. Poszedł do apartamentu, który Diana zajmowała przedtem w. Luwrze, aby wypytać Jacentę.

Jacenta towarzyszyła swej pani, lecz pozostała Denise, druga pokojowa. Z nią rozmawiał Gabriel.

— Ach, pan d'Exmès! — zawołała. — Witam. Czy przynosisz,: panie, wieści od mojej dobrej pani?

— Wprost przeciwnie, ja przychodzę, żeby od ciebie czegoś się dowiedzieć, Denise.

— Ach, Najświętsza Panno! Nic nie wiem, zastajesz mnie, panie, prawdziwie zatrwożoną.

— Z jakiej przyczyny owa trwoga? — spytał Gabriel czując, że i jego ogarnia niepokój.

— Jak to? Nie wiesz chyba, gdzie znajduje się teraz pani de Castro.

— Oczywiście, że nie wiem, Denise. Miałem nadzieję, że dowiem się od ciebie.

— O Jezu! Przed miesiącem wpadła na myśl, żeby prosić króla o pozwolenie na schronienie się w klasztorze.

— Wiem o tym, ale co później?

— To, co później, jest właśnie okropne. Czy wiesz, panie, jaki klasztor wybrała? Benedyktynki, bo tam jej dawna przyjaciółka, siostrą Monika, jest przeoryszą, w Saint–Quentin, Wasza Dostojność. W obecnie oblężonym, a może już zdobytym przez owych pogan Hiszpanów i Anglików Saint–Quentin! Nie minęły dwa tygodnie od jej przybycia do klasztoru, kiedy zaczęło się oblężenie.

— O! Palec boży jest w tym wszystkim. Bóg stale pobudza mnie, bym jako kochanek działał dla dobra ojca, takim sposobem podwaja moje męstwo i siły. Dziękuję, Denise. Masz tu z podziękowaniem za dobre wieści — dodał podając jej sakiewkę. — Módl się za swoją panią i za mnie.

Z wielkim pośpiechem zbiegł na dziedziniec Luwru, gdzie czekał na niego Marcin Guerre.

— Dokąd wyruszymy teraz, Wasza Wielmożność? — spytał giermek.

— Tam, gdzie grzmią działa, Marcinie, do Saint–Quentin. Musimy tam być pojutrze. Za godzinę odjazd, mój zuchu.

— Tym lepiej. O, wielki mój patronie, święty Marcinie! Nie będę już więcej opojem, graczem i rozpustnikiem. Rzucę się na nieprzyjacielskie bataliony, uprzedzam, bo nigdy nie byłem tchórzem.

XXVI. TKACZ JAN PEUQUOY

W ratuszu miasta Saint–Quentin odbywała się narada dowódców wojskowych i notablów miejskich. Był już piętnasty sierpnia. Miasto się nie poddało, ale wiele rozprawiano o kapitulacji. Skrajny niedostatek nękał mieszczan. Nie było już nadziei na ocalenie starego grodu. Szło jeno o dni: wcześniej lub później wróg wkroczy do środka. Czy nie byłoby lepiej skrócić okres tylu niepowodzeń?

Waleczny admirał Gaspard de Coligny, któremu wuj, konetabl de Montmorency, powierzył obronę placówki, postanowił wpuścić Hiszpanów li tylko w ostateczności. Wiedział, że każdy dzień zwłoki, tak uciążliwy dla biednych oblężonych, mógł przynieść ocalenie królestwu. Co miał wszakże uczynić napotykając na sprzeciw, rezygnację i szemranie całej ludności? Działania wojenne poza murami nie dawały szans na obronę miast wewnątrz, a gdyby któregoś dnia mieszkańcy Saint–Quentin odmówili wykonywania prac, jakich się od nich żądało na równi z żołnierzami, wszelki opór stałby się bezużyteczny. Pozostałoby jedynie oddanie kluczy do miasta, to znaczy kluczy do Francji Filipowi II i jego generałowi, Filipowi Emanuelowi de Savoie.

Zanim jednak do tego dojdzie, Coligny chciał po raz ostatni wypróbować swe siły, dlatego właśnie zwołał radę notablów miejskich, która poinformuje nas wyczerpująco o rozpaczliwym stanie wałów obronnych i o mężnej postawie walczących, owym najpewniejszym murze.

Admirał zagaił posiedzenie apelem do patriotyzmu obecnych. Odpowiedziało mu ponure milczenie. Wtedy Gaspard de Coligny odwołał się bezpośrednio do kapitana Ogera, jednego z najdzielniejszych swoich rycerzy. Zaczynając od oficerów miał nadzieję wciągnąć mieszczan do obrony. Ale niestety, opinia kapitana Ogera nie była taka, jakiej admirał oczekiwał.

— Skoro czynisz mi zaszczyt, panie admirale, pytając o moje zdanie, odpowiem ze smutkiem, ale szczerze: Saint–Quentin nie może dłużej się opierać. Gdybyśmy mieli nadzieję, że utrzymamy się przez tydzień, przez cztery, a choćby jeszcze przez dwa dni, odpowiedziałbym: owe dwa dni pozwolą, na zorganizowanie wojsk na tyłach, owe dwa dni mogą ocalić ojczyznę, niech padnie ostatni mur i ostatni człowiek, a nie poddamy się. Jestem jednak przekonany, że pierwszy atak, który może nastąpić choćby za godzinę, odda nas w ręce wroga. Czyż nie lepiej póki czas ocalić z miasta co się da przez kapitulację? Jeśli nie możemy uniknąć klęski, czy nie uniknąć przynajmniej rabunku?

— Tak, tak, słusznie powiada. To jedyne rozsądne wyjście — słychać było szepty wśród zgromadzonych.

— Nie, panowie, nie! — zawołał admirał. — Nie chodzi o rozsądek, ale o odwagę. Nie mogę w to uwierzyć, by jeden atak z zewnątrz miał wprowadzić Hiszpanów do miasta, jeśli już odparliśmy pięć takich. Słuchaj, Lauxford, kierujesz pracami obronnymi i kontrminami. Czy fortyfikacje nie są w dostatecznie dobrym stanie, by jeszcze długo wytrzymać? Mów otwarcie, nie przedstawiaj sytuacji ani lepiej, ani gorzej, niż jest naprawdę. Zebraliśmy się tutaj, żeby poznać stan faktyczny, proszę zatem o prawdę.

— Zapoznam z nią, a raczej fakty uczynią to lepiej ode mnie bez żadnych upiększeń. Starczy, abyście razem ze mną zbadali w myśli słabe punkty naszych fortyfikacji — zabrał głos inżynier Lauxford. — Panie admirale, cztery wejścia są w nich otwarte dla nieprzyjaciela i dziwię się doprawdy, że z nich jeszcze nie skorzystał. Przede wszystkim bulwar Saint–Martin: rozpadlina jest szeroka, że dwudziestu ludzi w jednym szeregu mogłoby nią przejść. Straciliśmy tam ponad dwustu żołnierzy z żywego muru, który nie zdołał zastąpić muru z kamienia. Przy bramie Saint–

Jean sterczy sama wieża, a najlepsza część, mur łączący boki bastionów, rozsypał się. Jest tam przygotowana kontrmina. Obawiam się, że kiedy jej użyjemy, może wysadzić w powietrze jedyną grubą wieżę, która trzyma jeszcze oblegających w szachu. Jej ruiny pomogłyby wejść wrogom jak po schodach. W osadzie Remicourt okopy Hiszpanów przecięły fosę aż na drugą stronę. Schronili się tam pod osłoną nasypu, spod którego bez przerwy atakują wały. Wreszcie od strony przedmieścia Isle nieprzyjaciel opanował nie tylko fosy, ale także bulwar i opactwo, wiesz o tym, panie admirale. Rozlokowali się tam nader dogodnie. Nie sposób ich dosięgnąć, natomiast oni posuwają się krok za krokiem po parapecie szerokim zaledwie na sześć stóp i bateriami atakują z flanki robotników naszych na bulwarze de la Reine. Wyrządzają takie szkody, że trzeba było zrezygnować z robót nad umocnieniami. Reszta wałów może się utrzyma. Ale przez owe cztery śmiertelne rany, o których mówiłem, życie miasta niebawem ujdzie, Wasza Wielmożność. Pytałeś mnie o prawdę, podaję ją z wielkim smutkiem, zostawiając twojej mądrości i przewidywaniom troskę o skorzystanie z informacji.

Wtedy na nowo rozpoczęło się szemranie tłumu i chociaż nikt nie chciał głośno wystąpić, każdy mówił cicho:

— Lepiej poddać się i nie narażać na klęskę skutkiem ataku. Admirał jednak nie zrażał się:

— Czekajcie, panowie, jeszcze jedno słowo. Jako rzekłeś, panie Lauxford, wyrwy w murach możemy uzupełnić walecznymi żołnierzami, żywymi murami. Dzięki nim, dzięki pełnej zapału współpracy obywateli, czy nie można by opóźnić o kilka dni poddania miasta? W takiej sytuacji to, co dziś byłoby hańbą, stałoby się później powodem do chwały. Przyznaję, że fortyfikacje są słabe, ale nasze wojska są jeszcze dość liczne, nieprawdaż, panie de Rambouillet?

— Gdybyśmy się znajdowali tam na placu, wśród tłumu czekającego na wynik naszych obrad, odpowiedziałbym „tak", bo należy natchnąć wszystkich nadzieją i ufnością, panie admirale. Jednak tutaj, na naradzie, wobec doświadczonych, odważnych mężów, nie waham się wypowiedzieć, że w rzeczywistości nie mamy dość ludzi do wypełnienia trudnego i niebezpiecznego zadania. Rozdaliśmy broń wszystkim, którzy są zdolni ją nosić. Inni obywatele biorą udział w pracach obronnych, do nich należą starcy i dzieci. Niewiasty nam pomagają w pielęgnacji chorych. Nie ma ani jednej nie zatrudnionej, a jednak brakuje nam rąk. W żadnym punkcie szańców nie ma za wiele ludzi, a często raczej za mało. Na próżno dwoić się i troić, nie ma czym uzupełnić brakujących pięćdziesięciu innych przy bulwarze, na których moglibyśmy liczyć. Jeśli nie oczekujesz posiłków z Paryża, panie admirale, to sam rozważ, czy w podobnie krańcowej sytuacji można narażać resztki wojsk i mocno przerzedzoną dzielną naszą żandarmerię. Ci ludzie mogliby skutecznie przydać się do obrony innych placówek, do ocalenia ojczyzny.

Całe zgromadzenie poparło i zaaprobowało słowa zgodne z własną szeptaną opinią, a oddalone okrzyki tłumu cisnącego się wokół ratusza były jeszcze bardziej wymowne.

Nagle grzmiący głos krzyknął:

— Cisza!

Wszyscy zamilkli. Tym, który odezwał się tak głośno i stanowczo, był Jan Peuquoy, syndyk cechu tkaczy, wielce szanowany i chętnie słuchany obywatel. Mieszczanie trochę się go bali.

Jan Peuquoy był przedstawicielem zacnego mieszczaństwa, które kocha miasto jak matkę i dziecko zarazem, uwielbia i łaje, żyje tylko dla niego i umiera zań w razie potrzeby. Dla rzetelnego tkacza istniała jedynie Francja na świecie, a we Francji tylko Saint–Quentin! Nikt tak jak on nie znał historii i tradycji miasta, starych obyczajów i odwiecznych legend. Nie było dzielnicy, bulwaru, domu, które kryłyby w przeszłości lub w chwili obecnej jakąś tajemnicę przed Janem Peuquoy. Był to z krwi i kości notabl miejski. Jego warsztat był drugim rynkiem miejskim, a jego drewniany dom przy ulicy Saint–Martin drugim ratuszem. Szacowna budowla

odznaczała się oryginalnym szyldem: czółenko tkackie ukoronowane wieńcem jelenia z dziesięcioma rozgałęzieniami rogów. Jeden z przodków Jana Peuquoy (bowiem Jan Peuquoy wyliczał przodków jak jaki szlachcic), tkacz jak i on, oczywiście, a co więcej, sławetny łucznik, z odległości ponad stu kroków ugodził dwiema strzałami parę oczu pięknego jelenia. Jeszcze dzisiaj można oglądać wspaniałe rogi w Saint–Quentin przy ulicy Saint–Martin. Na dziesięć mil wkoło był znany tkacz i niezwykłe rogi jelenie. Jan Peuquoy był zatem żywym uosobieniem miasta, a każdy obywatel Saint–Quentin słuchając go słyszał przemawiającą ojczyznę. Dlatego właśnie nikt się nie poruszył, gdy wśród gwaru tkacz krzyknął „cisza!"

— Tak, cisza! — powtórzył. — Użyczcie mi, proszę, drodzy rodacy i przyjaciele, jednej minuty uwagi. Rozpatrzmy razem, co dotąd uczyniliśmy, to nas pouczy, co jeszcze jest do zdziałania. Kiedy wróg rozłożył się pod murami, aby oblegać nasze miasto, kiedy ujrzeliśmy, jak pod dowództwem nieustraszonego Filiberta Emanuela wszyscy ci Hiszpanie, Anglicy, Niemcy i Walonowie spadli niczym szarańcza niosąc grodowi nieszczęście, dzielnie stawiliśmy czoło losowi, nieprawdaż? Nie szemraliśmy, nie oskarżaliśmy Opatrzności o to, że wybrała właśnie Saint–Quentin na ekspiracyjną ofiarę za Francję. Poza tym jego dostojność admirał odda nam sprawiedliwość, że tego samego dnia, gdy tu przybył, niosąc nam pomoc swym doświadczeniem i męstwem, staraliśmy się go wspierać własnymi siłami i majątkiem. Złożyliśmy w ofierze swoje oszczędności i żywność, daliśmy pieniędzy i sami chwyciliśmy za kusze, dzidy lub łopaty. Ci, którzy nie trzymali warty na murach, pracowali w mieście. Przyczyniliśmy się do wprowadzenia karności wśród niesfornych chłopów z okolicznych wsi. W zamian za udzielenie im schronienia musieli wziąć udział w pracach obronnych. Sądzę, że uczyniliśmy wszystko, czego można żądać od ludzi, dla których wojna nie jest ich rzemiosłem. Toteż mamy nadzieję, że nasz miłościwy król i pan pomyśli wkrótce o zuchach z Saint–Quentin i szybko przyśle nam posiłki. Tak się stało. Pan konetabl de Montmorency przybył, żeby wygonić stąd wojska Filipa II. Dziękowaliśmy Bogu i królowi. Ale fatalny dzień pod Saint–Laurent w ciągu kilku minut zawiódł nasze nadzieje. Konetabl został ujęty, jego armia rozgromiona, a my jeszcze bardziej osamotnieni niż na początku. Minęło już pięć dni, nieprzyjaciel je wykorzystał. Trzy zażarte szturmy kosztowały nas ponad — dwustu ludzi i wiele wyłomów w murach. Działo nie przestaje grzmieć, słuchajcie, towarzyszy moim słowom. My jednak nie chcemy go słyszeć, nasłuchujemy odgłosów od strony Paryża w oczekiwaniu na nową pomoc. Niestety, nic nie nadchodzi. Ostatnia rezerwa zdaje się wyczerpana. Król nas pozostawia losowi, ma inne sprawy na głowie, niż o nas myśleć. Musi tam zjednoczyć resztki sił, musi raczej dbać o ocalenie Francji niż jednego grodu. Jeśli czasem zwraca jeszcze wzrok i myśl ku Saint–Quentin, to zadając sobie pytanie, czy jego agonia pozwoli dłużej żyć Francji. Nie ma już dla nas teraz ni nadziei, ni szans ratunku, drodzy rodacy i przyjaciele! Pan de Rambouillet i pan de Lauxford rzekli prawdę. Brak nam murów i żołnierzy, umiera nasz stary gród, jesteśmy opuszczeni, zrozpaczeni, zgubieni.

— Tak, tak — zawołali jednogłośnie zebrani. — Należy poddać się, poddać się!

— Nie, trzeba zginąć — odpowiedział Jan Peuquoy.

Po tej nieoczekiwanej konkluzji nastąpiła cisza wywołana zaskoczeniem. Tkacz z niej skorzystałaby przemawiać z jeszcze większą energią:

— Trzeba umrzeć. To, co uczyniliśmy dotąd, wytycza drogę, co jeszcze pozostaje uczynić. Panowie de Lauxford i de Rambouillet prawią, że nie m o ż e m y się dłużej opierać. Ale pan de Coligny twierdzi, że p o w i n n i ś m y starać się o to, stawiać opór. Wytrwajmy! Drodzy obywatele i przyjaciele, wiecie, jak jestem oddany naszemu ukochanemu miastu Saint–Quentin, kocham je zaiste jak starą matkę. Każda kula armatnia godząca w szacowne mury trafia mi w serce. Jednak uważam, że powinniśmy być posłuszni dowódcy. Niech ręka nie buntuje się przeciwko głowie, niech Saint–Quentin padnie! Pan admirał wie, co czyni i czego chce. Zważył

w swej mądrości losy jednego miasta i losy Francji. Uznaje za słuszne, żeby Saint–Quentin zginęło jak czujka na posterunku, a więc zgoda. Ten, kto szemrze, jest tchórzem, a ten, kto nie posłucha, będzie zdrajcą. Mury się walą, zbudujmy więc wał z naszych trupów, zyskajmy jeden tydzień, zyskajmy dwa dni, zyskajmy jedną godziną za cenę naszej krwi i naszego majątku. Pan admirał nie wie, ile to warte, ale skoro żąda, tego mu potrzeba. Będzie się rozliczał wobec Boga i króla, nas to nie obchodzi. Naszą sprawą jest umrzeć, kiedy nam, mówi „umrzyjcie". Niech sumienie pana de Coligny troszczy się o resztę! On ponosi odpowiedzialność, bądźmy mu ulegli.

Po takich smętnych a uroczystych słowach wszyscy milczeli ze spuszczonymi głowami, Gaspard de Coligny również, jeszcze niżej spuścił głowę niż inni. Zaprawdę ciężkie było brzemię, jakim go obarczał syndyk tkaczy. Admirał nie mógł powstrzymać się od drżenia na myśl, że odpowiada za każde życie ludzkie.

— Z waszego milczenia wnioskuję, przyjaciele i bracia, że pojęliście mnie i przyznaliście rację. Nie można jednak żądać od małżonków i ojców, by skazywali głośno na śmierć swe dzieci i żony. Milczenie służy za odpowiedź. Zezwalacie panu admirałowi, aby uczynił nasze niewiasty wdowami, a dzieci sierotami. Nie chcecie jednak sami wydać na nich wyroku? Słusznie. Umierajcie bez słowa. Nikt nie będzie na tyle okrutny, by wymagać od was okrzyku: „Niech zginie Saint–Quentin!" Jeśli jednak wasze patriotyczne serca biją zgodnie z moim, możecie przynajmniej zawołać: „Niech żyje Francja!"

— Niech żyje Francja! — powtórzyło niewielu szeptem cichym jak skarga i żałosnym jak westchnienie.

Wtedy Gaspard de Coligny wstał szybko wielce przejęty i żywo poruszony:

— Słuchajcie, słuchajcie! Nie przyjmuję na siebie tak straszliwej odpowiedzialności. Mogłem się wam przeciwstawiać, kiedy chcieliście podać się wrogowi, ale skoro poddajecie się mnie, nie mogę dłużej dyskutować. Jesteście wszyscy przeciwni memu zdaniu, uważacie waszą ofiarę za bezużyteczną…

— Niech mi Bóg wybaczy, wydaje mi się, że i ty także, panie admirale, będziesz mówił o poddaniu miasta — przerwał mu donośny głos z tłumu.

XXVII. GABRIEL DZIAŁA

— Kto ośmiela się mi przerywać? — spytał Gaspard de Coligny marszcząc brwi.

— Ja! — rzekł podchodząc bliżej mężczyzna w stroju wieśniaka z okolic Saint–Quentin.

— Chłop! — stwierdził admirał.

— Nie, nie chłop, wicehrabia d'Exmès, dowódca gwardii królewskiej przybywa w imieniu jego królewskiej mości.

— W imieniu króla — rozległy się głosy wśród zdziwionego tłumu.

— W imieniu króla — powtórzył Gabriel. — Widzicie, że nie opuścił dzielnych mieszkańców Saint–Quentin, stale o nich myśli. Przybyłem w chłopskim przebraniu przed trzema godzinami, obejrzałem wasze fortyfikacje i wysłuchałem narady. Pozwólcie mi rzec, że to, co usłyszałem, nie zgadza się z tym, co widziałem. Skąd się bierze takie zniechęcenie, które ogarnia jak panika najtęższe umysły? Nie dziwiłbym się, gdyby tak myślały niewiasty. Skąd się bierze taka nagła utrata wszelkiej nadziei? Czemu dajecie się opanować chimerycznym obawom? Jak to? Umiecie albo buntować się przeciwko woli pana admirała, albo pochylać głowy z rezygnacją jako ofiary? Podnieście czoła, na Boga! Nie przeciwko waszym doradcom, lecz przeciwko wrogom. Jeśli nie ma możności ich zwyciężyć, postępujcie tak, by wasza klęska stała się sławniejsza od zwycięstwa. Przychodzę z wałów i twierdzę, że możecie utrzymać się jeszcze przez dwa tygodnie, a król prosi was tylko o jeden tydzień dla ocalenia Francji. Chcę w paru słowach odpowiedzieć na wszystko, co usłyszeliście dotąd w tej sali, chcę wskazać środki dla zapobieżenia złemu, a powątpiewaniom przeciwstawić nadzieję.

Oficerowie i notable cisnęli się wokół Gabriela poddając się miłemu wpływowi jego silnej woli.

— Słuchajcie, słuchajcie! — wołali.

Wśród ciszy wynikłej z zainteresowania Gabriel rzekł:

— Przede Wszystkim, co mówiliście panie inżynierze Lauxford? Że cztery słabe punkty wałów mogą otworzyć bramy przed wrogiem? Rozpatrzmy to wspólnie. Od strony przedmieścia Isle istnieje największe zagrożenie: Hiszpanie zawładnęli opactwem i stamtąd zieją ogniem ciągle wznawianym do tego stopnia, że nasi robotnicy nie mają śmiałości tam się pokazywać. Pozwól, panie Lauxford, że wskażą bardzo prosty i niezawodny sposób ich ochrony, jaki na moich oczach stosowali oblężeni w Civitelli w bieżącym roku. Wystarczy osłonić naszych robotników przed hiszpańskimi bateriami: ustawić stare statki napełnione ziemią w poprzek bulwaru jeden na drugim. Kule armatnie ugrzęzną w miękkiej ziemi, a poza osłoną statków nasi robotnicy będą podobnie bezpieczni, jakby się znajdowali poza zasięgiem armaty. Rzekłeś, że w wiosce Remicourt nieprzyjaciele pod osłoną nasypu spokojnie podkopują fortyfikacje. Właśnie tam należy założyć kontrminę, panie inżynierze, a nie przy bramie Saint–Jean, gdzie duża wieża czyni waszą kontrminę nie tylko bezużyteczną, ale i niebezpieczną. Odwołaj przeto saperów z zachodu na południe, panie Lauxford, a znajdziesz się w dobrej sytuacji. Zapytacie, czy brama Saint–Jean i bulwar Saint–Martin mają pozostać bez obrony. Wystarczy pięćdziesięciu ludzi w pierwszym punkcie i pięćdziesięciu w drugim, pan de Rambouillet sam tak rzekł i dodał, że mu brak owej setki obrońców. A więc tylu ich do was przywiodłem.

Szmer zdziwienia i radości rozniósł się wśród słuchaczy.

— Tak — powtórzył Gabriel stanowczym głosem stwierdzając, że swoimi słowami pokrzepił ducha wśród zgromadzonych. — O trzy mile stąd połączyłem się z baronem de Vaulpergues i jego kompanią złożoną z trzech setek włóczni. Porozumieliśmy się. Mimo niebezpieczeństw

obiecałem przedostać się tutaj przez nieprzyjacielski obóz i znaleźć odpowiednie punkty, przez które on będzie mógł wejść do miasta ze swoim wojskiem. Przyszedłem, jak widzicie, i wykonałem swój plan działania. Teraz powrócę do Vaulpergues'a. Podzielimy jego kompanię na trzy grupy, ja obejmę komendę nad jednym oddziałem i następnej nocy, która zapowiada się ciemna, bez księżyca, skierujemy się każdy z innego miejsca ku wskazanej z góry bramie. Nie sprzyjałoby nam szczęście, gdyby tylko jedna grupa wymknęła się nieprzyjacielowi odciągniętemu przez dwie inne. W każdym razie jedna grupa wejdzie na pewno, stu zdecydowanych na walkę mężczyzn wejdzie na plac boju i nie zabraknie im zaopatrzenia w broń i żywność. Stu ludzi stanie na posterunkach, jak rzekłem, przy bramie Saint–Jean i na bulwarze Saint–Martin. A teraz mówcie, panie Lauxford i panie de Rambouillet, jakie punkty w murach mogłyby służyć wrogom jako łatwe przejście.

Powszechnymi oklaskami przyjęto dobre słowa Gabriela, które potężnie rozbudziły nadzieją we wszystkich przygnębionych sercach.

— Teraz możemy walczyć i zwyciężać! — zawołał Jan Peuquoy.

— Walczyć tak, ale nie śmiem liczyć na zwycięstwo — stanowczo rzekł Gabriel. — Nie chcę wam przedstawiać sytuacji lepszą, niż jest. Chciałbym jedynie, by się nie pogorszyła. Chciałem dowieść wam wszystkim, a w pierwszym rzędzie tobie, mistrzu Janie Peuquoy, który wyrzekłeś tak bohaterskie, ale jakże smutne słowa, chciałem ci dowieść, że po pierwsze, król was nie opuścił, a po drugie, że wasza klęska może przysporzyć chwały. Wasz opór może okazać się użyteczny. Rzekłeś wcześniej: „Poświęćmy się", a teraz rzekłeś: „Walczmy!", to wielki krok naprzód. Tak, jest to możliwe, jest prawdopodobne, że sześćdziesiąt tysięcy ludzi oblegających nasze mizerne fortyfikacje w końcu nimi zawładnie. Ale strzeżcie się przypuszczać, że szlachetna walka, jaką podejmiecie, narazi was na okrutne represje. Filip Emanuel sam jest dzielnym żołnierzem, lubi i szanuje odwagę, nie ukarze was za mężną walkę. Rozważcie takoż, że jeśli będziecie mogli wytrzymać jeszcze dziesięć, dwanaście dni, stracicie może miasto, ale z całą pewnością ocalicie ojczyznę. Wielki, wzniosły cel! Miasta, podobnie jak ludzie, zdobywają indygenaty szlacheckie, a wzniosłe czyny przez nie dokonane spełniają rolę tytułów i antenatów. Wasze wnuki, mieszkańcy Saint–Quentin, będą kiedyś dumni ze swych przodków. Można zburzyć wasze mury, ale któż zdoła zniweczyć chlubne wspomnienie o oblężeniu? Odwagi zatem, bohaterskie szańce królestwa! Ocalcie króla, ocalcie ojczyznę. Niedawno ze spuszczonym czołem zdecydowaliście się na śmierć jak ofiary pełne rezygnacji. Teraz podnieście głowy! Jeśli zginiecie, to jako bohaterscy ochotnicy i pamięć o was nie zaginie. Widzicie sami, że możecie krzyczeć wraz ze mną: Niech żyje Francja! Niech żyje Saint–Quentin!

— Niech żyje Francja! Niech żyje Saint–Quentin! Niech żyje król! — z entuzjazmem wołało sto głosów.

— A teraz na wały i do dzieła! Własnym przykładem zachęćcie obywateli, którzy, na was czekają. Jutro sto rąk więcej pomoże wam w dziele ocalenia i zdobycia chwały, przysięgam wam.

— Na wały! — krzyczał tłum.

Rzucił się do wyjścia uniesiony radością, nadzieją i dumą. Zarazili swym entuzjazmem tych, którzy nie słyszeli, co prawił niespodziewany zbawca, którego Bóg i król zesłali do wyniszczonego miasta.

Gaspard de Coligny, godny i wielkoduszny admirał, wysłuchał Gabriela w milczeniu ze zdziwieniem i podziwem. Gdy uczestnicy narady rozproszyli się z okrzykami triumfu, wstał z fotela, zbliżył się do młodzieńca i uścisnął mu dłoń:

— Dziękuję ci, panie — rzekł. — Ocaliłeś Saint–Quentin i mnie od hańby, a Francję i króla może i od zguby.

— Jeszcze dotąd nic nie uczyniłem, panie admirale. Teraz muszę przedostać się do barona de

Vaulpergues. Jedynie Bóg może mi dopomóc, abym wyszedł, tak jak wszedłem, i żebym wprowadził do miasta setkę ludzi, jak obiecałem. Za dziesięć dni nie mnie, a Bogu będziemy składać dzięki.

XXVIII. ROZDZIAŁ, W KTÓRYM MARCIN GUERRE NIE WYKAZUJE SPRYTU

Gabriel de Montgomery jeszcze z godzinę rozmawiał z admirałem. Coligny był zachwycony stanowczością, śmiałością i umiejętnościami młodzieńca, który rozprawiał z nim o strategii jak dowodzący generał, o pracach obronnych jak inżynier, a o wpływach moralnych jak starzec. Gabriel ze swej strony podziwiał szlachetny i prawy charakter Gasparda, jego dobroć i wrażliwość sumienia, co czyniło z admirała rycerza bez skazy owych czasów. Z całą pewnością siostrzeniec w niczym nie przypominał wuja. Po upływie godziny „obaj mężczyźni, jeden szpakowaty, a drugi o kasztanowych kędziorach, rozumieli się wzajem i szanowali, jakby się znali od dwudziestu lat.

Kiedy już porozumieli się dostatecznie, jakie środki należy przedsięwziąć, aby nadchodząca noc sprzyjała wprowadzeniu do miasta kompanii barona de Vaulpergues, Gabriel pożegnał admirała pełnymi nadziei słowami „do zobaczenia!" Znał hasła i niezbędne znaki porozumiewawcze.

Marcin Guerre, przebrany za wieśniaka podobnie jak jego pan, czekał na niego u podnóża schodów przy ratuszu.

— Jesteś wreszcie, dostojny panie — rzekł dzielny giermek. — Cieszę się bardzo, że cię widzę z powrotem. Od godziny słyszę, jak wszyscy przechodnie mówią o wicehrabim d'Exmès, Bóg wie, z jakimi wykrzyknikami i pochwałami. Wstrząsnąłeś miastem, panie. Jaki talizman nosisz ze sobą, Wasza Dostojność, że tak potrafiłeś zmienić nastrój całej ludności?

— Słowa męskiej decyzji, nic więcej, Marcinie. Nie starczy mówić, teraz należy działać.

— Działajmy, panie, czyny są dla mnie łatwiejsze niż słowa. Przewiduję, że będziemy maszerowali tuż przed nosem wart nieprzyjacielskich. Chodźmy, Wasza Wielmożność, jestem gotów.

— Bez nadmiernego pośpiechu, Marcinie — rzekł Gabriel. — Jeszcze jest za jasno, czekam na mgłę wieczorną. Wtedy dopiero wyjdziemy, uzgodniłem z panem admirałem. Mamy przed sobą prawie trzy godziny. W tym czasie muszę zresztą coś uczynić — dodał z zakłopotaniem. — Tak, muszę się zatroszczyć o coś ważnego, zasięgnąć w mieście informacji.

— Pojmuję — odpowiedział Marcin. — Jeszcze o siłach garnizonu, nieprawdaż? Albo o słabych stronach fortyfikacji. Niestrudzony zapał!

— Zupełnie mnie nie rozumiesz, biedny Marcinie — rzekł z uśmiechem Gabriel. — Nie, jeśli idzie o wały i wojsko, wiem wszystko, co chciałem wiedzieć. Teraz zajmę się inną sprawą, osobistą.

— Mów, Wasza Wielmożność, gdybym mógł na coś się przydać…

— Tak, Marcinie. Wiem, że jesteś wiernym sługą i oddanym przyjacielem. Toteż nie mam przed tobą sekretów poza tymi, które nie tylko do mnie należą. Jeśli nie wiesz, kogo szukam z niepokojem i miłością w sercu w owym grodzie po wypełnieniu obowiązków, to widocznie zapomniałeś o niej, Marcinie.

— Wybacz, dostojny panie. Teraz już wiem. Chodzi o… nieprawdaż? Chodzi o. pewną benedyktynkę?

— Właśnie. Co się z nią dzieje w tym mieście pełnym trwogi? Nie ośmieliłem się, rzecz oczywista, pytać admirała, żeby nie zdradzić się niepokojem. Nie wiadomo, czy umiałby mi co odpowiedzieć. Możliwe, że pani Diana zmieniła imię wstępując do klasztoru.

— Tak, gdyż pozwolę sobie rzec, że to imię, które nosi, jest wprawdzie urocze, ale wydaje mi się nieco pogańskie, z powodu pani de Poitiers, przypuszczam… Siostra Diana! Faktycznie, to

brzmi tak, jakby przeklinało to moje drugie ja, kiedy się upije.

— Co zatem czynić? — spytał Gabriel. — Najlepiej by było zasięgnąć informacji ogólnie o klasztorze benedyktynek.

— Tak, a potem przejdziemy od ogółu do szczegółu, jak powiadał mój stary proboszcz podejrzewany o luteranizm. Czy chodzi o takie informacje, czy o coś innego, jestem zawsze na twoje usługi, Wasza Wielmożność.

— Każdy z nas osobno będzie szukał informacji, Marcinie. Wtedy będziemy mieli dwie szanse zamiast jednej. Bądź sprytny i powściągliwy, a przede wszystkim staraj się nie zaglądać do szklanki, opoju. Potrzeba nam wiele zimnej krwi.

— Wiesz, Wasza Wielmożność, że od czasu opuszczenia Paryża znowu jestem wstrzemięźliwy i piję samą wodę. Ani razu nie zdarzyło mi się widzieć sobowtóra.

— Tak jest. A zatem, Marcinie, za dwie godziny spotykamy się w tym oto miejscu.

— Będę, Wasza Wielmożność.

Rozeszli się.

W dwie godziny później spotkali się tak, jak umówili się poprzednio. Gabriel promieniał radością, ale Marcin był dość zakłopotany. Marcin dowiedział się tyle, że benedyktynki zechciały na równi z innymi niewiastami z miasta mieć zaszczyt opiekowania się chorymi. Doglądały rannych, zmieniały opatrunki i codziennie były rozproszone po ambulansach. Wracały do klasztoru dopiero wieczorem, otoczone podziwem i szacunkiem żołnierzy i obywateli.

Gabriel miał szczęście dowiedzieć się więcej. Kiedy pierwszy napotkany przechodzień poinformował go o tym, czego dowiedział się Marcin, Gabriel zapytał o imię przeoryszy klasztoru. Była to matka Monika, przyjaciółka Diany de Castro, jeśli czytelnik pamięta. Gabriel zadał przeto pytanie, w jakim miejscu może zastać świątobliwą niewiastę.

— Tam, gdzie najbardziej niebezpiecznie — brzmiała odpowiedź.

Gabriel poszedł na przedmieście Isle i rzeczywiście tam znalazł przeoryszę. Wiedziała już z ogólnego rozgłosu w mieście, kim jest wicehrabia d'Exmès, co mówił w ratuszu i co uczynił dla Saint–Quentin. Przyjęła go jako wysłannika króla i zbawcę miasta.

Wtedy Gabriel rzekł:

— Nie zdziwisz się przeto, wielebna matko, że przybywając tutaj w imieniu króla spytam o jego córkę, panią Dianę de Castro. Na próżno szukałem jej wśród spotkanych zakonnic. Mam nadzieję, że nie jest chora.

— Nie, panie wicehrabio — odpowiedziała przeorysza. — Zażądałam jednak od niej, by dzisiaj pozostała w klasztorze i nieco odpoczęła, bo żadna z nas nie dorównuje jej ofiarnością i odwagą. Była wszędzie obecna i zawsze gotowa do pomocy, o każdej godzinie i w każdym miejscu, niosąc z zapałem i radością szczytne miłosierdzie, w którym się przejawia męstwo nie walczących zakonnic. To dzielna córa krwi królewskiej! Nie chce, żeby znano jej tytuł i rangę. Będzie ci wdzięczna, panie wicehrabio, jeśli uszanujesz jej chwalebne incognito. Ukrywa swe pochodzenie, ale okazuje dobroć. Wszyscy ranni znają jej anielską twarz przesuwającą się jak nadzieja na przyszłe niebo wśród ludzkich cierpień. Przybrała imię naszej reguły klasztornej, siostra Benedicta, ale nasi ranni nie znający łaciny zwą ją krótko siostra Beata.

— Wielce zasłużenie zwą panią diuszesę błogosławioną! — rzekł Gabriel i poczuł, że ciche łzy zwilżają mu powieki. — Czy będę mógł ją ujrzeć jutro, wielebna matko? Jeśli powrócę.

— Powrócisz, bracie — odpowiedziała przeorysza. — Znajdziesz siostrę Beatę tam, gdzie najwięcej jęków i krzyków.

Wtedy Gabriel udał się na umówione miejsce, aby spotkać się z Marcinem. Serce miał przepełnione męstwem i pewnością, wedle słów przeoryszy, iż wyjdzie cało i zdrowo ze wszelkich groźnych niebezpieczeństw nadchodzącej nocy.

XXIX. Rozdział, w którym Marcin Guerre okazuje się niezręczny

Gabriel zasięgnął dość dokładnych wieści o okolicach Saint–Quentin, aby nie zabłądzić w nie znanym sobie terenie. Sprzyjała mu zbliżająca się noc. Bez przeszkód wyszedł z miasta wraz z Marcinem przez najmniej bacznie pilnowaną bramę. Obaj okryci długimi brązowymi płaszczami wśliznęli się jak cienie do fosy, a potem przez szczelinę wydostali się na pole.

Nie byli jednak poza zasięgiem największego niebezpieczeństwa. Nieprzyjacielskie oddziały dzień i noc patrolowały okolice. Obozowiska były rozłożone tu i tam wokół obleganego miasta. Każde spotkanie mogło stać się zgubne dla naszych wojów udających chłopów. Najmniej ryzykowne byłoby przeczekanie jednego dnia, lecz wtedy może raz na zawsze stałaby się bezużyteczna projektowana wyprawa.

Toteż kiedy po półgodzinnym marszu przybyli na rozstajne drogi, Gabriel zatrzymał się i namyślał. Marcin Guerre także przystanął, ale nie zastanawiał się nad niczym. Zazwyczaj pozostawiał ów trud swemu panu. Marcin był dzielnym i wiernym giermkiem, służył jednak tylko rękami i nie pragnął nic więcej. Głową był Gabriel.

Po chwili namysłu wicehrabia rzekł:

— Widzisz te oto dwie drogi, obie prowadzą do lasu Angimont, gdzie na nas czeka baron de Vaulpergues. Gdybyśmy szli razem, wróg mógłby nas złapać obu. Jeśli się rozdzielimy, podwoimy szanse powodzenia, podobnie jak było przy poszukiwaniach pani de Castro. Każdy — z nas pójdzie inną drogą. Ty tą tutaj, dłuższą, ale bezpieczniejszą, jak sądzi admirał. Napotkasz po drodze namioty Walonów, gdzie ma być uwięziony pan de Montmorency. Okrążysz je z daleka, tak jak to uczyniliśmy poprzedniej nocy. Nabierz pewności siebie i okaż zimną krew! Gdybyś napotkał jakiś oddział, podaj się za późno wracającego do domu wieśniaka z Angimont, który przyniósł żywność Hiszpanom obozującym pod Saint–Quentin. Naśladuj jak zdołasz najlepiej gwarę pikardyjską, nie będzie to trudne wobec cudzoziemców. Przede wszystkim zachowuj się raczej bezczelnie niż nieśmiało. Okazuj pewność siebie. Gdybyś się zawahał, będziesz zgubiony.

— Och, bądź spokojny, Wasza Wielmożność — rzekł Marcin przybierając pojętną minę. — Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam, ja im, pokażę!

— Słusznie, Marcinie. Ja pójdę tędy. Droga krótsza, ale bardziej niebezpieczna, bo prowadzi prosto z Paryża, strzegą jej srożej niż innych. Obawiam się, że mogę natknąć się na niejeden oddział nieprzyjacielski i niejeden raz będę brodził w wodzie rowów lub kaleczył się kolcami krzaków. Koniec końców, możliwe nawet, że nie dotrę do celu. Nieważne! Niech nie czekają na mnie dłużej niż półgodziny. Gdybym nie dogonił ciebie po upływie tego czasu, niech pan de Vaulpergues rusza bez zwłoki. Będzie to niespełna o północy, a niebezpieczeństwo mniejsze niż wieczorem. Niemniej jednak zaleć mu w moim imieniu jak najdalej posuniętą ostrożność. Wiesz, Marcinie, co należy czynić: podzielić kompanią na trzy części i z trzech różnych stron podchodzić do miasta kryjąc się, jak tylko można. Nie należy zbytnio się spodziewać, że wszystkim trzem oddziałom powiedzie się akcja. Ale utrata jednego może. Być ratunkiem dla dwu innych. Wszystko jedno! Może więcej już nigdy się nie ujrzymy, zacny Marcinie. Trzeba myśleć jedynie o dobru ojczyzny. Podaj mi rękę i niech Bóg cię prowadzi!

— Modlę się jeno o ciebie, dostojny panie — odpowiedział Marcin. — Jeśli Bóg mnie ocali, może uczynić ze mną, co zechce. Nie nadaję się do niczego więcej, jak tylko by miłować cię, panie, i wiernie ci służyć. Mam wszakże nadzieję, że jeszcze dzisiejszego wieczoru spłatam jakąś dobrą sztuczkę przeklętym Hiszpanom.

— Lubię cię widzieć w takim nastroju, Marcinie. A więc do widzenia! Życzę szczęścia, a zwłaszcza tupetu!

— Powodzenia, Wasza. Wielmożność, i ostrożności!

Pan i giermek rozstali się raz jeszcze. Na początku Marcinowi wszystko szło dobrze i choć wcale nie było łatwo zbaczać z drogi, uniknął dość sprytnie spotkania z kilkoma podejrzanymi zbrojnymi, przed którymi skryły go ciemności. Zbliżał się już do obozu Walonów i warty były coraz liczniejsze.

Przy rozwidleniu dwóch dróg Marcin Guerre znalazł się nagle między dwiema grupami, jedną pieszą, drugą na koniach. Donośne pytanie: „Kto idzie?" świadczyło, że dostrzeżono nieboraka.

„Oto nadszedł moment, żeby okazać tupet, jak mi nakazał mój pan".

Natchniety znakomitą, opatrznościową myślą, zaczął śpiewać na cały głos pieśń o oblężeniu Metzu.

Był piątek, dzień Wszystkich Świętych,
Kiedy przybyli Germanie,
Przy pięknym krzyżu pod Messain
Sprawili nam tęgie lanie.

— Hola! Kto idzie? — krzyknął szorstko jakiś głos. Trudno było odróżnić akcent i dialekt, nie będziemy go naśladowali, bo i nas można by nie zrozumieć.

— Chłop z Angimont — odpowiedział Marcin gwarą równie niewyraźną.

Szedł na przód śpiewając coraz szybciej, ze wzrastającą werwą:

Diuk Alby wraz z żołnierzami
Obóz rozłożył wysoka
W Saint–Arnou, nad winnicami
Chciał na nas baczne mieć oko.
W bliskości naszych okopów
Jak sąsiady szli na zwiady…

— Hej, nieszczęsny chłopie ze swą przeklętą pieśnią, czy zamilkniesz wreszcie i zatrzymasz się?

Marcin zastanowił się: natrętów było z dziesięciu na niego jednego. Na koniach dogonią go bez trudu, zresztą ucieczka wywarłaby jak najgorsze wrażenie. A więc stanął. Miał okazję popisać się zimną krwią i sprytem. Jego pan nieraz wątpił w te cechy jego charakteru, od tej chwili nie będzie już miał powodów, skoro tylko zdoła zręcznie wywinąć się z tak trudnej sytuacji.

Zaczął od okazywania jak największej beztroski.

— Na męczennika świętego Quentina! — rzekł zbliżając się do oddziału. — Co wyprawiacie, nie dajecie powrócić do żony i dzieci biednemu wieśniakowi, który krzynę za długo marudził z powróceniem do Angimont? Mówcie, czego chcecie?

Miał zamiar powiedzieć to w dialekcie pikardyjskim, ale wyszło mu inaczej: mówił w gwarze owerniackiej z akcentem prowansalskim.

Mężczyzna, który krzyknął, miał zamiar także odpowiedzieć po francusku, ale odpowiedział po walońsku z akcentem niemieckim.

— Czego chcemy? Wypytać cię i obszukać, nocny włóczęgo, pod płócienną opończą może się ukrywać szpieg.

— Zgoda, obszukajcie mnie — odpowiedział Marcin śmiejąc się hałaśliwie.

— Przekonamy się w obozie, chodź z nami.

— W obozie? A więc chcę rozmawiać z dowódcą. Zatrzymujecie biednego wieśniaka, który wraca z Saint–Quentin po dostarczeniu żywności waszym kamratom. Niech Bóg mnie skarze, jeśli uczynię to jeszcze raz! Pozwolę całej waszej armii zdechnąć z głodu, jeśli tak wolicie. Szedłem do Angimont po nowe zapasy jadła. Skoro mnie zatrzymujecie, to do widzenia! Jeszcze mnie nie znacie! Porachuję się z wami za takie traktowanie. Saint–Quentin, tète de kien, mówi pikardyjskie przysłowie. Mnie brać za szpiega! Chcę poskarżyć się dowódcy. Ruszajmy do obozu!

— Na mękę Chrystusa! Co za mowa! — odpowiedział komendant oddziału. — Dowódca to ja! I ze mną będziesz miał sprawę, kiedy ją bliżej rozpatrzymy. Czy myślisz, że obudzimy generałów dla błazna w twoim rodzaju?

— Tak, chcą, żebyście mnie przywiedli przed generałów! — mówił potoczyście Marcin. — Mam coś rzec generałom i marszałkom. Powiem im, że nie zatrzymuje się nikogo bez ostrzeżenia, bez zawołania: „Uwaga, stać!" Kogoś, kto żywi was i wasze wojska. Nie uczyniłem nic złego. Jestem uczciwym mieszkańcem Angimont. Zażądam odszkodowania za kłopoty, a was powieszą za karą.

— Jest naprawdę pewny swego — rzekł do rajtara jeden z jego podwładnych.

— Tak, i puściłbym go wolno, gdyby mi się nie wydawało, że skądś znam ten głos i tę postać. Ruszajmy! Wszystko wyjaśni się w obozie.

Marcin, umieszczony dla większej pewności między dwoma jeźdźcami, szedł nie przestając kląć i złorzeczyć podczas drogi. Wchodząc do namiotu, dokąd go najpierw zaprowadzono, dalej przeklinał i pomstował.

— No widzicie, jak urządzacie swoich sprzymierzeńców! A to dopiero! Czekajcie! Będziemy wam dostarczać owsa dla koni i mąki dla was! Opuszczą was. Kiedy mnie poznacie i wypuścicie, wrócę do Angimont i więcej stamtąd się nie ruszę. Albo raczej tak, pójdę wnieść osobiście skargę do jego wysokości pana Filiberta Emanuela. On nie uczyniłby mi takiego afrontu.

W tejże chwili chorąży rajtarów przysunął pochodnię do twarzy Marcina. Odskoczył do tyłu na trzy kroki ze zdziwienia i przestrachu.

— Ki diabeł! — zawołał. — Nie pomyliłem się, to ów nędznik. Czy nie poznajecie go, towarzysze?

— Ależ tak, tak! — jeden po drugim przytakiwali rajtarzy, podchodząc po kolei i przyglądając się Marcinowi z ciekawością, która rychło przemieniała się w oburzenie.

— No więc poznajecie mnie wreszcie? — spytał biedny giermek, zaczynając się poważnie niepokoić. — Wiecie, kim jestem? Marcin Cornouiller z Angimont… Wypuście mnie, nie ma w tym nieszczęścia.

— Mamy cię wypuścić, ty włóczęg o, rozpustniku, obwiesiu? — krzyknął chorąży z płonącym wzrokiem wygrażając pięściami.

— Co ci się wydaje, przyjacielu? Czy nie jestem już Marcinem Cornouiller?

— Nie, nie jesteś Marcin Cornouiller — odpowiedział chorąży. — Dziesięciu ludzi wokół ciebie stoi, żeby cię zdemaskować i zadać ci kłam. Oni cię znają. Przyjaciele, przedstawcie go jemu samemu, temu oszustowi, aby go przekonać o nieuczciwości i kłamstwie, na czym go przyłapaliśmy.

— To Arnold du Thill, podły Arnold du Thill — powtarzali. — To Arnold du Thill — powtórzyło równocześnie dziesięć głosów z przerażającą jednomyślnością.

— Arnold du Thill? Kto to jest? — spytał pobladły Marcin.

— Tak, sam siebie się zaprzyj, nikczemniku! — zawołał chorąży. — Ale na szczęście

dziesięciu świadków ci zaprzecza. Mimo przebrania za wieśniaka, czy wobec nich będziesz miał czelność twierdzić, że nie ująłem ciebie jako jeńca ze świty konetabla podczas bitwy pod Saint–Laurent?

— Nie, nie. Jestem Marcin Cornouiller — jąkał się Marcin tracąc głowę.

— Jesteś Marcin Cornouiller? — rzekł chorąży śmiejąc się urągliwie. — Czyż nie jesteś owym podłym Arnoldem du Thill, który mi przyobiecał okup, którego traktowałem ze względami, a on ostatniej nocy uciekł, porywając mi oprócz niewielkiej sumki pieniędzy, jaką posiadałem, moją ukochaną Godulę, milutką markietankę? Niegodziwcze! Co uczyniłeś z Godulą?

— Co uczyniłeś z Godulą? — powtórzyło donośnym chórem dziesięć głosów.

— Co uczyniłem z Godulą? — powtórzył przygnębiony Marcin. — Czy ja wiem, biedny nieszczęśnik,? Naprawdę wszyscy mnie poznajecie? Jesteście pewni, że się nie mylicie? Możecie przysiąc, że zwę się Arnold du Thill, że ten dzielny wojak wziął mnie do niewoli podczas bitwy pod Saint–Laurent i że ja mu porwałem zdradziecko jego Godulę? Moglibyście mi przysiąc?

— Tak, tak, tak! — ryknęło z energią dziesięć głosów.

— No więc dobrze, to mnie nie dziwi — żałośnie odpowiedział Marcin Guerre, który, jak pamiętacie, bredził dość często, kiedy ktoś poruszał sprawę jego podwójnego życia. — Nie, doprawdy, nie dziwię się. Byłbym utrzymywał aż do jutra, że zwę się Marcin Cornouiller. Ale wy mnie znacie jako Arnolda du Thill, byłem tutaj wczoraj, już się nie wypieram, rezygnuję. Od chwili, kiedy rzecz tak stoi, mam związane ręce i nogi. Nie przewidziałem tego. Od tak dawna nie miałem już sobowtóra, mój Boże! Dobrze, czyńcie ze mną, co chcecie, uprowadźcie, uwięźcie, skrępujcie sznurami. To, co mi prawicie o Goduli, przekonuje mnie w końcu, że się nie mylicie, po tym siebie poznaję. Miło mi wiedzieć, że zwę się Arnold du Thill.

Od tej chwili biedaczysko Marcin Guerre przyznawał się do wszystkiego, pozwolił się gnębić wyzwiskami i szturchańcami. Wszystko ofiarował Bogu jako pokutę za nowe niecne uczynki, jakie mu zarzucano. Ponieważ nie umiał wyznać, co się stało z Godulą, skrępowano go więzami i musiał znosić wszelkiego rodzaju złe traktowanie. Nie Wyczerpała się jego anielska cierpliwość. Żałował jedynie, że nie udało mu się wypełnić misji wobec barona de Vaulpergues. Ale któż mógł przypuszczać, że nowe czyny przestępcze obrócą się przeciwko niemu i zniweczą piękne plany okazania sprytu i przytomności umysłu.

„Przynajmniej to mnie pociesza — myślał leżąc w wilgotnym kącie, gdzie rzucono go na ziemię — że może Arnold du Thill wchodzi z triumfem do Saint–Quentin z oddziałem pana de Vaulpergues. Ale nie, to jeszcze jedna chimera? O ile znam tego łobuza, mogę raczej przypuszczać, że potwór znajduje się w jakiejś oberży i tam pieści gładką Godulę. Niestety, niestety! Wydaje mi się, że chętniej znosiłbym pokutę, gdybym miał świadomość popełnienia grzechu”.

XXX. PODSTĘPY WOJENNE

Jakkolwiek fantastyczna — była nadzieja Marcina, jednak spełniła się. Kiedy Gabriel po uniknięciu tysiąca niebezpieczeństw, wszedł do lasu, w którym czekał na niego baron de Vaulpergues, pierwszą twarzą, jaką zobaczył, był jego giermek. Rzekł:

— Marcin Guerre!

— We własnej osobie, Wasza Wielmożność — odpowiedział rezolutnie giermek.

Nie temu oto Marcinowi musiał nakazywać tupet.

— Czy znacznie mnie wyprzedziłeś, Marcinie? — spytał Gabriel.

— Jestem tutaj od godziny, Wasza Wielmożność.

— Naprawdę? Wydaje mi się, że zmieniłeś strój. Przed trzema godzinami, kiedy rozstawaliśmy się, nie miałeś na sobie tego kubraka.

— Nie, Wasza Wielmożność, poprosiłem o zamianę odzieży wieśniaka bardziej prawdziwego ode mnie, jak mi się wydaje.

— Dobrze. Czy nie miałeś żadnego złego spotkania?

— Żadnego, Wasza Wielmożność.

— Wprost przeciwnie — wtrącił nadchodzący baron de Vaulpergues. — Łobuz przyprowadził dziewczynę o wielce foremnej figurze, dalibóg! Markietankę flamandzką, jak mogliśmy osądzić wedle jej mowy. Mocno płakała, biedna mała, ale on ją brutalnie i bardzo przezornie odprawił na skraju lasu, zanim tutaj przyszedł.

— Wcześniej pozbawiłem ją pewnej części towaru — rzekł rzekomy Marcin Guerre śmiejąc się bezczelnie.

— Oj, Marcinie, Marcinie, dawny człek z ciebie wyłazi.

— Wasza Wielmożność chce rzec młodzieniec. Ale wybacz, panie — rzekł imć Arnold przypominając sobie o odgrywanej roli. — Swoimi głupstwami zajmuję waszym wielmożnościom tyle drogiego czasu.

— Jeśli takie jest twoje zdanie, wicehrabio, a także admirała, wyruszymy stąd dopiero za pół godziny — rzekł baron de Vaulpergues. — Jeszcze nie północ, jestem za przybyciem w pobliże Saint–Quentin około trzeciej godziny. Nad ranem straże są zmęczone i dyscyplina rozluźnia się. Czy nie myślisz tak samo, panie wicehrabio?

— Oczywiście, instrukcje pana de Coligny dokładnie są zgodne z twoją opinią, panie baronie. Będzie nas oczekiwał około trzeciej, wtedy mamy wejść do miasta, jeśli w ogóle nam się to uda.

— Och, na pewno wejdziemy, pozwólcie mi was o tym zapewnić — wmieszał się Arnold — Marcin. — Skorzystałem z tego, że przechodziłem obok obozu Walonów, i obserwowałem okolice, przeprowadzę was tamtędy równie pewnie, jakbym chadzał w owe strony przez dwa tygodnie.

— Cudownie, Marcinie. W krótkim czasie tyle dokonałeś. Od tej chwili będę jednakowo ufał twej inteligencji, jak i twej wierności.

— Jeśli będziesz wierzył w moją gorliwość, a zwłaszcza w moją dyskrecję, nie będę miał wyższych ambicji.

Spisek przebiegłego Arnolda był tak dobrze uknuty dzięki przypadkowi i zuchwałości, że od czasu przybycia Gabriela oszust mówił samą prawdę.

W owym czasie, kiedy Gabriel i Vaulpergues porozumiewali się na uboczu; jak odbyć marsz, Arnold ze swej strony obmyślił plan, który miał mu nie popsuć cudownej szansy, jaka mu się nadarzyła.

Oto co zaszło w rzeczywistości. Arnold wymknął się z obozu, w którym był uwięziony, dzięki pomocy Goduli. Błąkał się przez osiemnaście godzin po okolicznych lasach w obawie, żeby nie popaść na nowo w ręce wrogów. Pod wieczór zdawało mu się, że rozpoznaje ślady jeźdźców, którzy widocznie musieli się ukrywać, gdyż zapuszczali się na słabo przetarte ścieżki. Byli to chyba Francuzi na czatach. Arnold usiłował ich odnaleźć, co mu się powiodło. Wtedy z lekkim sercem odprawił biedaczkę Godulę, która płacząc powróciła do swoich nie wiedząc, że po stracie jednego kochanka odnajdzie pod namiotami drugiego takiego samego. Jeśli chodzi o Arnolda, to pierwszy spotkany żołnierz pozdrowił go jako Marcina Guerre. Arnold oczywiście nie był głupi, by mu zaprzeczyć. Nastawiając skwapliwie uszu i mówiąc jak najmniej, wkrótce wiedział już wszystko. Wicehrabia d'Exmès tejże nocy miał powrócić wraz z panem — de Vaulpergues do Saint–Quentin, o czym poprzednio powiadomił admirała i otrzymał od niego niezbędne dyspozycje, ułatwiające wejście odziałów wojska na plac boju. Marcin Guerre miał mu towarzyszyć. Oczywiście, że traktowano Arnolda, jakby był Marcinem, i wypytywano o pana.

— Wkrótce nadejdzie — odpowiadał. — Każdy z nas wybrał inną drogę.

Kalkulował w myśli, jakie wyciągnie korzyści w obecnej chwili z przyłączenia się do Gabriela. Przede wszystkim środki utrzymania będą zapewnione w tak ciężkich czasach. Poza tym wiedział, że jego pan, konetabl de Montmorency, w obecnej chwili więzień Filiberta Emanuela, mniej może cierpiał z powodu wstydu, że poniósł klęskę i dostał się do niewoli niż z powodu myśli, że jego znienawidzony rywal, diuk de Guise, może zagarnąć całą władzę na dworze i cały wpływ na króla. Przyłączenie się do przyjaciela diuka de Guise znaczyło dla Arnolda uplasowanie się u samego źródła wszelkich wiadomości, które będzie mógł drogo sprzedać konetablowi. W końcu, czyż Gabriel nie był osobistym wrogiem rodu Montmorencych i główną przeszkodą do małżeństwa diuka Franciszka z panią de Castro?

Arnold przypominał sobie to wszystko, lecz równocześnie myślał z melancholią, że powrót Marcina do pana popsuje nieco jego piękne plany. Toteż, żeby nie uchodzić za oszusta, śledził Gabriela. Miał nadzieję oddalić lub zgładzić natychmiast łatwowiernego Marcina. Jakże bardzo się ucieszył widząc, że wicehrabia przybywa sam i że od razu rozpoznał w nim swego giermka. Nie wiedząc o tym, Arnold rzekł prawdę, Wtedy zdał się na los szczęścia. Liczył na to, co jego patron czart sprawił: że biedaczysko Marcin wpadnie w ręce Hiszpanów. Zuchwale zastąpił nieobecnego, co mu się udało, jak widzieliśmy przed chwilą.

Tymczasem skończyła się narada Gabriela z baronem de Vaulpergues. Kiedy uformowano trzy oddziały, aby wyruszyć drogami wiodącymi w różne strony, Arnold nalegał, że będzie towarzyszył Gabrielowi, który miał posuwać się drogą obok walońskich namiotów. Tą właśnie drogą miał przecież iść prawdziwy Marcin Guerre. Gdyby go spotkali, Arnold chciał usunąć giermka albo sam musiałby zniknąć w razie potrzeby.

Minęli wysoko położony obóz bez najmniejszego śladu po Marcinie. Myśl o niebezpieczeństwie zatarła się prawie całkowicie w umyśle Arnolda wobec poważniejszego czekającego niebezpieczeństwa: towarzyszenia Gabrielowi i wojsku pod mury ze wszystkich stron obleganego Saint–Quentin.

W obrębie miasta niepokój nie był mniejszy, jak łatwo było przewidzieć. Ocalenie albo zguba wszystkich były zależne od zuchwałego wyczynu Gabriela i barona de Vaulpergues. Toteż od drugiej godziny rano admirał sam osobiście obchodził posterunki w punktach ustalonych z wicehrabią i nakazał wybranym wartownikom, stojącym na tych placówkach, jak najbardziej wytężoną uwagę. Następnie Gaspard de Coligny wszedł na wieżę dzwonnicy, górującą nad miastem i jego przyległościami. Milczący i nieruchomy, powstrzymując oddech wsłuchiwał się w ciszę i patrzył w czarną noc. Słyszał jednak tylko w oddali głuchy odgłos hiszpańskich min i kontrmin francuskich. Rozróżniał namioty wroga, a dalej lasy Origny rysowały się czarnymi

konturami na tle ciemności.

Następnie admirał, nie mogąc opanować niepokoju, zechciał przynajmniej przybliżyć się do miejsca, w którym miały się rozstrzygnąć losy Saint–Quentin. Zszedł z wieży dzwonnicy i konno w asyście kilku oficerów pocwałował na bulwar de la Reine ku bramie, którą miał przybyć Vaulpergues. Admirał wspiął się na narożnik wału i czekał. Kiedy wybiła trzecia na zegarze kolegiaty, z głębi moczarów nad Sommą rozległo się hukanie puchacza.

— Bogu dzięki! Oto oni! — rzekł admirał.

Pan Du Breuil na znak Coligny'ego przyłożył do ust obie ręce na kształt tuby i odpowiedział na sygnał krzykiem orła.

Zapadło grobowe milczenie. Admirał i jego świta trwali nieruchomo jak skamieniali z wytężonym słuchem i ściśniętym sercem. Nagle rozległ się strzał z muszkietu z kierunku, skąd doleciało hukanie, i prawie jednocześnie nastąpiła ogólna strzelanina, której towarzyszyły żałobnie donośne jęki i straszliwy zgiełk.

Nieprzyjaciel starł się z pierwszym oddziałem.

— O stu zuchów mniej! — zawołał admirał.

Szybko zszedł z bulwaru, dosiadł konia i bez słowa skierował się na bulwar Saint–Martin, gdzie oczekiwał drugiej grupy Vaulpergues'a. Tam przeżywał podobną udrękę. Gaspard de Coligny był podobny do gracza, który rzuca swą fortunę na los szczęścia, na trzy rzuty kośćmi. Przegrał już pierwszy rzut. Czy drugi da mu jakąś szansę?

Niestety, takie samo hukanie dało się słyszeć po drugiej stronie muru, taki sam głos ptaka odpowiedział mu z głębi miasta. Następnie, jakby ta druga scena była fatalnym powtórzeniem pierwszej, warta wszczęła alarm. Strzelanie z muszkietów i krzyki oznajmiły mieszkańcom Saint–Quentin, że rozpoczęła się druga bitwa czy raczej druga jatka.

— Dwieście ofiar! — rzekł głuchym głosem Coligny.

I jeszcze raz wskoczył na konia. W ciągu dwóch minut znalazł się przy bramie przedmieścia, tam był trzeci punkt ustalony z Gabrielem. Jechał tak rączo, że znalazł się pierwszy samotnie na wałach. Jego oficerowie powoli nadjeżdżali. Wszyscy na próżno jednak nasłuchiwali, było słychać tylko jęki konających i okrzyki zwycięzców.

Admirał sądził, że wszystko stracone; W obozie nieprzyjacielskim zarządzono alarm. Nie było ani jednego hiszpańskiego żołnierza, którego by nie rozbudzono. Ten, kto dowodził trzecią grupą, pewnie osądził, że nie warto narażać się na śmiertelne niebezpieczeństwo, i pewnie się wycofał bez próby przedarcia się. Tak więc trzecia i ostatnia szansa została zaprzepaszczona. Trzeciej i ostatniej szansy zabrakło graczowi — straceńcowi. Coligny nawet przypuszczał, że trzeci oddział może przyłapano razem z drugim i że tumult dwóch starć złączył się w jedno.

Łza, paląca łza rozpaczy i wściekłości spłynęła po opalonym policzku admirała. Za kilka godzin ludność zniechęcona nową klęską, będzie domagała się wielkim głosem poddania miasta, a jeśli nawet nie zażąda, Gaspard de Coligny już nie będzie ukrywał ani przed sobą, ani przed zdemoralizowanymi obrońcami, że pierwszy szturm otworzy przed Hiszpanami wrota Saint–Quentin i całej Francji. Niedługo miasto będzie czekało na atak, dadzą jego znak, skoro zacznie świtać, a może nawet i zaraz, w nocy, dopóki jeszcze trzy tysiące nieprzyjacielskich żołnierzy, dumnych z wyrżnięcia trzystu Francuzów, pozostaje w upojeniu chwalebnym zwycięstwem.

Jakby dla potwierdzenia obaw Gasparda de Coligny dowódca miasta du Breuil przytłumionym głosem rzucił słowo: Alarm! Kiedy admirał odwrócił się ku niemu, wskazał w fosie czarną, milczącą grupę, która zdawała się posuwać naprzód jak duchy w kierunku bramy.

— Czy to przyjaciele, czy wrogowie? — cicho spytał du Breuil.

— Cicho! Na wszelki wypadek bądźmy w pogotowiu! — odpowiedział admirał.

— Dlaczego oni nie czynią hałasu? Wydaje mi się, że dostrzegam konie, ale ani jeden kamyk

nie chrzęści pod kopytami. Naprawdę jak widma!

Zabobonny du Breuil uczynił znak krzyża świętego na wszelki wypadek. Ale Coligny, zamyślony i poważny, przyglądał się bacznie czarnej, niemej grupie bez lęku i wzruszenia.

Kiedy przybysze znaleźli się w odległości pięćdziesięciu kroków, Coligny zaczął naśladować wołanie orła.

Odpowiedziało hukanie puszczyka.

Wtedy admirał, uniesiony radością, podbiegł do warty przy bramie i wydał rozkaz jej natychmiastowego otwarcia. Stu jeźdźców owiniętych wraz z końmi w szerokie, ciemne płaszcze wjechało do górnej części miasta ciągle tak samo cicho. Wtedy dało się zauważyć, że kopyta koni, które zazwyczaj głośno dźwięczą po bruku, były owinięte kawałkami płótna wypełnionymi piaskiem. Dzięki temu wybiegowi zastosowanemu wtedy, kiedy dwa pierwsze oddziały zdradziły się brzękiem kopyt, trzeci mógł dostać się do grodu bez przeszkód. Tym, kto obmyślił ów sposób i dowodził oddziałem, nie był kto inny jak tylko Gabriel.

Bez wątpienia pomoc stu ludzi to było niewiele, ale wystarczyło do utrzymania przez kilka dni dwóch zagrożonych stanowisk. Było to pierwsze pomyślne wydarzenie podczas oblężenia tak obfitującego w klęski. Wieść o dobrej wróżbie rozniosła się po mieście. Otwierano drzwi, zajaśniały okna i oklaski przyjęły Gabriela jadącego na czele konnicy.

— Nie, jeszcze nie cieszcie się! — z powagą rzekł Gabriel. — Pomyślcie o dwustu, którzy polegli. — I uchylił kapelusza oddając cześć zmarłym bohaterom, wśród których pewnie znalazł się także waleczny Vaulpergues.

— Tak — odpowiedział Coligny — żałujemy ich i podziwiamy. Ale co mamy tobie rzec, panie d'Exmès, jak mamy ci dziękować? Przynajmniej pozwól, że cię uścisnę, bo już dwukrotnie ocaliłeś Saint–Quentin.

Gabriel uścisnął mu dłoń i odpowiedział:

— Panie admirale, rzekniesz mi to za dziesięć dni.

XXXI. NOTATKI ARNOLDA

Był już najwyższy czas, żeby akcja się powiodła i upragnione posiłki wkroczyły do miasta, bo zaczął się budzić dzień. Gabriel ledwie trzymał się na nogach ze zmęczenia, bo od czterech dni prawie nie odpoczywał. Admirał zaprowadził go do ratusza i wyznaczył komnatę sąsiadującą z jego własną. Wyczerpany Gabriel rzucił się na łóżko i zasnął kamiennym snem.

W samej rzeczy otworzył oczy dopiero o czwartej po południu, obudzony przez admirała. Wszedł on do komnaty i przerwał regeneracyjny sen, którego tak wielce było potrzeba stroskanemu młodzieńcowi. Nieprzyjaciel usiłował przypuścić atak w ciągu dnia, ale odparto go walecznie. Była to niewątpliwie zapowiedź następnego szturmu w dniu jutrzejszym. Admirał, któremu na dobre wyszły dotychczasowe rady Gabriela, przyszedł prosić go o dalsze.

Niebawem wicehrabia wstał z łóżka i był gotów do przyjęcia pana de Coligny.

— Szepnę jedno słówko giermkowi i już jestem na rozkazy, panie admirale.

— Czyń, co chcesz, wicehrabio — odpowiedział Coligny. — Gdyby nie ty, hiszpański sztandar powiewałby już nad ratuszem. Mogę śmiało ci rzec: jesteś u siebie.

Gabriel podszedł do drzwi i przywołał giermka. Arnold przybiegł natychmiast, Gabriel odprowadził go na bok.

— Zacny Marcinie, jeszcze wczoraj powtarzałem, że odtąd będę wierzył zarówno w twoją inteligencję, jak i w wierność. Oto dowód zaufania. Pójdziesz zaraz do ambulansu na przedmieściu Isle. Tam zapytasz nie o panią de Castro, ale o przeoryszę benedyktynek, przewielebną matkę Monikę, i tylko ją, powtarzam, jedynie ją poprosisz, żeby zawiadomiła siostrę Benedyktę o przybyciu wicehrabiego d'Exmès, który przysłany przez króla do Saint–Quentin, będzie u niej za godzinę i zaklina, aby na niego czekała. Widzisz, pan de Coligny zatrzyma tu mnie przez jakiś czas. Muszę zawsze stawiać na pierwszym planie obowiązek przed własną przyjemnością. Idź zatem, niech wie przynajmniej, że serce moje jest przy niej.

— Dowie się o tym, Wasza Wielmożność — rzekł giermek i śpiesznie wyszedł, a pan jego pozostał nie tak niecierpliwy i trochę spokojniejszy.

Rzeczywiście Arnold pośpieszył do ambulansu na przedmieściu Isle i wszędzie dopytywał się o matkę Monikę z wielką skwapliwością.

Wskazano mu przeoryszę. Chytry łajdak zbliżył się do niej i rzekł:

— Wielebna matko, jakże się cieszę, że wreszcie cię spotkałem. Mój biedny pan byłby nader smutny, gdybym nie mógł wypełnić jego zlecenia wobec ciebie i szczególnie wobec pani Diany de Castro.

— Kim jesteś, przyjacielu, i kto ciebie przysyła? — spytała przeorysza zdziwiona i niemile dotknięta, że Gabriel nie dochował sekretu, o co tak bardzo prosiła.

— Przychodzę od pana wicehrabiego d'Exmès — odpowiedział rzekomy Marcin, udając prostotę i dobroduszność. — Pewnie znasz, wielebna matko, wicehrabiego, spodziewam się. Całe miasto go zna.

— Oczywiście! Znam naszego zbawcę. Modliłyśmy się za niego. Miałam zaszczyt widzieć go wczoraj i liczyłam, że zgodnie z obietnicą ujrzę go dzisiaj.

— Przyjdzie godny pan, przyjdzie — odpowiedział Arnold. — Zatrzymał go pan de Coligny, więc zniecierpliwiony wysłał mnie naprzód do was, do ciebie, wielebna matko, i do pani de Castro. Nie dziw się, że znam i wymawiam to nazwisko. Dawna wierność wielekroć wypróbowana sprawia, że pan mój ma do mnie takie zaufanie jak do siebie. Nie ma tajemnic przed lojalnym i oddanym sługą. Nie odznaczam się sprytem ani inteligencją, tak twierdzą inni,

ale wystarczy, że go miłuję i bronię. Taki już jestem, nikt nie może zaprzeczyć, na relikwie świętego Quentina! Wybacz, matko, że tak zaklinam się przy tobie. Nie pomyślałem, to z przyzwyczajenia, widzisz, i jeszcze z porywu serca…

— Dobrze już, dobrze! — odpowiedziała z uśmiechem matką Monika. — A zatem przyjdzie wkrótce pan d'Exmès? Miło go powitam. Siostra Benedykta szczególnie pragnie go widzieć, żeby przekazał jej wieści od króla.

— Ej, ej! — rzekł Marcin — Arnold śmiejąc się głupawo. — Król przysłał go do Saint–Quentin, ale nie do pani Diany, tak myślę.

— Co chcesz wyrazić? — spytała przeorysza.

— Ja, który miłuję wicehrabiego jako pana i brata zarazem, wielce się cieszę, że taka godna i pełna autorytetu osoba jak ty, matko, wmieszasz się nieco w miłostki mojego pana i pani de Castro.

— Miłostki pani de Castro! — krzyknęła przerażona matka Monika.

— Ależ tak, bez wątpienia — potwierdził rzekomy głupiec. — Czy pani Diana nie zwierzyła się tobie, swojej przybranej matce i jedynej przyjaciółce?

— Mówiła mi w sposób bliżej nie określony o troskach, jakie nosi w głębi serca — rzekła zakonnica — ale o bezbożnej miłości ani o wicehrabi nic nie wiedziałam, absolutnie nic!

— Och, zaprzeczasz przez skromność, wielebna matko — odpowiedział Arnold kiwając głową z pojętą miną. — Faktycznie, uważam twoje postępowanie za wielce ładne, jestem ci za to wdzięczny w swoim imieniu. Działasz tak odważnie! Czy powiedziano ci, że król sprzeciwia się miłości owych dzieci? Ach! Ojciec Diany wpadłby w straszliwy gniew, gdyby wiedział, że oni się spotykają. Świątobliwa i godna niewiasto, ja stawię czoło majestatowi królewskiemu i autorytetowi rodzica, ja użyczę zakochanym biedactwom sankcji, we mnie będą mieli oparcie, w moim charakterze. Ułatwię im spotkania, dam im nadzieję i uciszę ich wyrzuty sumienia. Wspaniałe to, co czynisz tutaj, pojmujesz, matko?

— Chryste! — wyszeptała jedynie przeorysza składając ręce zdumiona i przerażona, bo miała trwożliwe serce i bogobojne sumienie. — O Jezu! Król, ojciec, zlekceważony, a moje imię wplątane w miłosne intrygi! Och!

— Czekaj, właśnie widzą w oddali mego pana. Biegnie tutaj, żeby ci osobiście podziękować za życzliwe pośrednictwo i spytać, bo to niecierpliwy młodzian, kiedy i w jaki sposób będzie mógł dzięki tobie widzieć się z ubóstwianą kochanką.

W samej rzeczy Gabriel już nadszedł, wielce zadyszany. Zanim się zbliżył, przeorysza wstrzymała go gestem pełnym godności:

— Ani kroku dalej i ani słowa, panie wicehrabio. Wiem teraz, z jakiego tytułu i w jakich zamiarach chcesz się zbliżyć do pani de Castro. Nie licz na to, że odtąd będę przykładała ręki do twoich planów, jak się obawiam, niegodnych rycerza. Nie, tylko nie mogę i nie chcę cię wysłuchać, lecz także będę się starała użyć całego swojego autorytetu, ażeby odsunąć od Diany wszelką okazję, wszelki pretekst do widywania się i spotykania z tobą bądź to w parlatorium klasztoru, bądź też w ambulansach. Wiem, że jest wolna i nie złożyła ślubów zakonnych, ale dopóki chce mieć u nas azyl, a dobrowolnie go wybrała, będzie uważała za stosowne, aby moja opieka strzegła jej honoru, a nie miłości.

Mniszka pożegnała Gabriela z lodowatą miną, a on milczał zaskoczony takim przyjęciem. Zakonnica odeszła bez wysłuchania jego odpowiedzi, nie patrząc więcej w jego stronę.

— Co to ma znaczyć? — spytał rzekomego giermka młodzieniec, kiedy ochłonął z osłupienia.

— Nie wiem nic więcej niż ty, panie — odpowiedział Arnold maskując wewnętrzną radość pozorami konsternacji. — Przeorysza bardzo źle mnie przyjęła, jeśli mam rzec prawdę. Oświadczyła, że bardzo dobrze zna twoje plany, lecz musi się im przeciwstawić i popierać punkt

widzenia króla. Rzekła też, że pani Diana cię już nie miłuje i nigdy naprawdę nie miłowała.

— Diana mnie już nie miłuje! — Gabriel aż pobladł. — Może i lepiej! Jednak chcę się jeszcze z nią widzieć, chcę jej dowieść, że nie jestem względem niej obojętny ani winny. Absolutnie powinieneś mi pomóc, żebym mógł z nią przeprowadzić rozmowę wielkiej wagi, trzeba mi jej do nabrania otuchy przed trudnym zadaniem.

— Wasza Dostojność wie, że jestem oddanym narzędziem jego woli — pokornie odpowiedział Arnold. — Jestem posłuszny we wszystkim, podobnie jak ręka słucha głowy. Użyję wszelkich wysiłków, zacznę zaraz, żebyś miał z panią de Castro ową rozmowę, której sobie życzysz.

Śmiejąc się pod nosem podstępny łajdak poszedł do ratusza za Gabrielem, który powracał całkiem przygnębiony.

Kiedy wieczorem rzekomy Marcin znalazł się w swojej izbie, wyjął z zanadrza kartkę papieru i zaczął ją odczytywać z pełną satysfakcją.

Rachunek Arnolda du Thill dla pana konetabla de Montmorency od dnia, kiedy został przemocą rozdzielony ze swoim panem. Rachunek obejmuje usługi oficjalne, jako też usługi prywatne.

Za udzielanie rady generałowi Filibertowi Emanuelowi, kiedy zostałem jego jeńcem w dniu bitwy pod Saint–Laurent, aby wypuścił bez okupu konetabla dla tej przyczyny, że jego dostojność wyrządzi mniej szkody Hiszpanem mieczem niż dobra wpływem na króla

— pięćdziesiąt talarów.

Za ucieczkę z obozu dzięki zręcznemu podstępowi, z obozu, w którym trzymano wyżej wymienionego Arnolda jako jeńca, i tym sposobem zaoszczędzenie panu konetablowi kosztów okupu, których nie omieszkałby szczodrze zapłacić dla odzyskania tak wiernego i cennego sługi

— sto talarów.

Za zręcznie przeprowadzenie nikomu nieznanymi ścieżkami oddziału wicehrabiego d'Exmès, który przyszedł z pomocą miastu Saint–Quentin i panu admirałowi de Coligny, ukochanemu siostrzeńcowi pana konetabla.

— dwadzieścia liwrów.

W nocie imci Arnolda był jeszcze niejeden punkt wyliczony nie mniej chciwie i bezczelnie jak powyższe. Szpieg czytał ją ponownie głaszcząc brodę. Gdy skończył czytanie, wziął pióro i dodał:

Za objęcie służby u wicehrabiego d'Exmès pod nazwiskiem Marcina Guerre i za oszkalowanie wyżej wymienionego wicehrabiego wobec przeoryszy zakonu benedyktynek jako kochanka pani de Castro, a co za tym idzie, za rozłączenie na długi czas dwojga młodych, co leży w interesie pana konetabla.

— dwieście talarów.

To wcale nie drogo — mówił do siebie Arnold — a ten ostatni punkt przewyższa wartością wszystkie pozostałe. Ogółem sumka jest dość okrągła. Jesteśmy niedaleko tysiąca, a przy odrobinie wyobraźni możemy dociągnąć do dwóch tysięcy. Gdy je będę miał, wycofam się z tych spraw, ożenię się, zostanę ojcem i członkiem rady parafialnej w, jakiejkolwiek prowincji. W taki oto sposób spełnię marzenie całego życia i osiągnę uczciwy cel przez wszelkie moje złe uczynki.

Arnold położył się i zasnął z cnotliwymi postanowieniami.

Następnego dnia Gabriel posłał go jeszcze raz na poszukiwanie Diany. Można łatwo zgadnąć, jak wywiązał się z polecenia. Gabriel także rozstał się z panem de Coligny, aby zasięgnąć wieści, gdzie jest Diana. Niestety, około dziesiątej rano nieprzyjaciel przypuścił gwałtowny szturm: trzeba było biec na bulwary. Gabriel dokonywał tam cudów waleczności wedle swego zwyczaju i

tak szalał, jakby miał dwa życia do postradania.

Bo musiał dwa ocalić.

oza tym, jeśli się odznaczy, Diana może posłyszy, jak o nim mówią.

XXXII. TEOLOGIA

Po szturmie Gabriel wyczerpany walką powracał razem z Gaspardem de Coligny, kiedy jacyś mężczyźni przechodzący o trzy kroki od nich wymienili imię siostry Beaty. Zostawił generała i pobiegł za przechodniami. Gorączkowo ich pytał, czy mają jakieś wieści o siostrze.

— Niestety nie, kapitanie, nie wiem nic więcej niż ty — rzekł jeden, a był to nie kto inny, jak Jan Peuquoy. — Naprawdę niepokoimy się o nią, ja i mój towarzysz, bo nie widzieliśmy szlachetnej i mężnej pani przez cały dzień. Mówiłem, że po tak gorącym dniu jak dzisiejszy jest wielu nieszczęśliwych rannych potrzebujących pomocy i jej anielskiego uśmiechu. Wkrótce dowiemy się, czy nie jest czasem poważnie chora, bo jutro jej kolej na nocny dyżur. Dotychczas nie opuściła żadnego, a zakonnic jest mało i zmieniają się zbyt często, żeby mogły ją zwolnić z dyżuru bez absolutnej Konieczności. Jutro wieczorem ujrzymy ją na pewno. Podziękują za to Bogu w imieniu naszych chorych, gdyż umie ich pocieszać i przywracać do zdrowia jak prawdziwa święta.

— Dziękuję, przyjacielu, dziękuję — rzekł Gabriel, serdecznie ściskając dłoń Jana Peuquoy, zaskoczonego takim zaszczytem.

Gaspard de Coligny słyszał, co mówił Jan Peuquoy, i zauważył rozradowanie Gabriela. Nic mu jednak nie rzekł, gdy Gabriel znowu do niego się przyłączył. Jednak gdy powrócili do domu i znaleźli się sami w kwaterze admirała, gdzie trzymał dokumenty i wydawał rozkazy, zwrócił się do Gabriela z miłym, lekkim uśmiechem:

— Widzę, że obdarzasz żywym zainteresowaniem ową mniszkę, mój przyjacielu.

— Takim samym jak Pan Peuquoy — odpowiedział Gabriel i zarumienił się. — Pewnie takim samym jak i ty, panie admirale. Niewątpliwie zauważyłeś, podobnie jak ja, do jakiego stopnia brakuje jej naszym rannym i jaki dobroczynny wpływ wywiera na walczących swymi słowami i obecnością.

— Dlaczego chcesz mnie wprowadzić w błąd, przyjacielu? — z nutą smutku rzekł admirał. — Czy masz do mnie tak mało zaufania, że starasz się mnie okłamać?

— Jak to, panie admirale? Kto ci to mógł zasugerować? — odpowiedział Gabriel coraz bardziej zakłopotany.

— To, że siostra Beata jest panią de Castro i że kochasz panią de Castro? — dodał Coligny.

— Wiesz o tym, panie? — zawołał Gabriel głęboko zdziwiony.

— Jakżebym nie wiedział? Czy pan konetabl nie jest moim wujem? Czy cokolwiek z życia dworskiego może się przed nim ukryć? Czy pani de Poitiers nie jest zauszniczką króla, podobnie jak pan de Montmorency włada sercem pani Diany de Poitiers? Z tą sprawą, jak mi się wydaje, wiążą się poważne interesy naszego rodu. Oczywiście, że mnie, uprzedzono na samym początku, żebym się miał na baczności i był gotów popierać projekty szacownych krewnych. Nie minął dzień od mojego przyjazdu do Saint–Quentin, a już dostałem od wuja ekspresową wiadomość. Ów pośpieszny goniec wcale mnie nie informował, jak się spodziewałem, o ruchach wojsk nieprzyjacielskich i planach wojennych konetabla. Nie. W samej rzeczy narażał się na tysiące niebezpieczeństw, by mi przywieźć wiadomość, że w klasztorze benedyktynek w Saint–Quentin ukrywa się pod przybranym imieniem pani Diana de Castro, córka króla, i że mam śledzić dokładnie wszystkie jej kroki. Wczoraj jakiś flamandzki wysłannik, którego uwięziony pan de Montmorency pozyskał za cenę złota, wywołał mnie do południowej bramy. Przypuszczałem, że wuj mi doda odwagi, że poradzi, abym przydał sławy rodowi Montmorencych, bo przybladła przez klęskę pod Saint–Laurent, że król przyśle niezawodnie inne posiłki prócz wojska

doprowadzonego przez ciebie, Gabrielu, i że w każdym przypadku mam raczej umrzeć na posterunku niż poddać Saint–Quentin. Gdzież tam! Przekupny posłaniec nie przyniósł mi szlachetnych słów, które by mi dodały ducha i podnieciły do walki, grubo się pomyliłem! Ów człowiek miał mnie jeno ostrzec, że wicehrabia d'Exmès, który przybył wczoraj wieczorem w te mury pod pretekstem, że chce tu walczyć i umrzeć, kocha panią de Castro, narzeczoną mego kuzyna Franciszka, i że połączenie się kochanków mogłoby godzić w wielkie plany mojego wuja. Skoro na szczęście jestem dowódcą w Saint–Quentin, obowiązkiem moim jest rozwinąć całą aktywność w takim kierunku, żeby wszelkimi możliwymi sposobami rozdzielić panią Dianę i Gabriela d'Exmès, sprzeciwiać się wszelkim ich spotkaniom i przyczynić się przez to do wywyższenia rodu!

Wszystko to wypowiedział z widocznym smutkiem i przygnębieniem. Ale Gabriel odczuł jedynie, że to cios zadany jego miłosnym nadziejom. Rzekł tedy z głuchą złością do admirała:

— A więc to ty, panie, oszkalowałeś mnie wobec przeoryszy benedyktynek. To ty, wierny wskazaniom wuja, liczyłeś na to, że odbierzesz mi wszelkie szanse odnalezienia Diany i ujrzenia jej?

— Zamilknij, młodzieńcze! — zawołał admirał z nie hamowaną dumą. — Zaraz jednak dodał łagodniej. — Przebaczam, namiętność cię zaślepia. Nie miałeś jeszcze czasu poznać lepiej Gasparda de Coligny.

W tonie jego słów było tyle szlachetności i dobroci, że rozwiały się wszelkie podejrzenia Gabriela, zawstydził się, że do nich dopuścił choć na chwilę.

— Wybacz, panie — rzekł podając rękę Gaspardowi. — Jakże mogłem przypuszczać, że wmieszałeś się w podobne intrygi! Tysiąckroć przepraszam, panie admirale.

— Zgoda, Gabrielu — odpowiedział Coligny. — Odnajduję ciebie w takim młodzieńczym, bezpośrednim odruchu. Nie, oczywiście, nie mieszam się w takie machinacje, gardzę nimi i ludźmi, którzy je obmyślili. Jeśli ludzie, którzy budują swoją fortunę wszelkimi sposobami, nawet skandalicznymi, nie biorąc pod uwagą cierpienia i ruiny bliźnich, byle zaspokoić swą ambicję i chciwość, którzy deptaliby nawet po trupie matki — ojczyzny, byle jak najszybciej osiągnąć niecny cel, jeśli ci ludzie są moimi krewnymi, traktuję to jako karę. Bóg uderza w moją dumę i przywołuje mnie do pokory. To zachęta, żebym się okazał surowym dla siebie, a nieposzlakowany względem innych, żebym odkupił wady moich krewnych.

— Tak, wiem, że honor i cnoty ewangeliczne mieszkają w tobie, panie admirale. Jeszcze raz proszę o wybaczenie, że przez chwilę zwracałem się do ciebie jak do dworzanina bez czci i wiary, bo takimi ludźmi nauczyłem się pogardzać i ich nienawidzić.

— Niestety, należy raczej litować się nad nimi, ambitnymi biedakami, co są nic warci, nad biednymi zaślepionymi papistami. Zapominasz — dodał — że nie stoję przed jednym z braci mojej religii. Mniejsza o to, jesteś godny do nas należeć, Gabrielu, i będziesz naszym wcześniej czy później. Bóg, dla którego wszelkie środki są święte, doprowadzi cię do prawdy nawet przez namiętność, przewiduję to. Ta nierówna walka, w której twa miłość rozbija się o zepsucie dworu, przywiedzie cię w końcu do naszych szeregów nie dziś, to jutro. Byłbym szczęśliwy, gdybym się przyczynił do zasiania pierwszych ziaren boskiego żniwa.

— Wiem, panie admirale, że należysz do partii reformatorów, i nauczyłem się szanować prześladowany odłam. Jednak nie jestem tęgi w myśleniu, mam słabość w sercu i dobrze czuję, że będę zawsze wyznawał tę samą religię co Diana.

Gaspard de Coligny, pałający żarliwością nawracania, przekonywał w dalszym ciągu:

— Jeśli pani de Castro wyznaje religię cnoty i prawdy, należy do naszej wiary i ty także z nami będziesz. Będziesz z nami, powtarzam, ponieważ rozpocząłeś walkę z rozwiązłym dworem. Nieroztropny! Dwór zwycięży i zechcesz się zemścić. Czy przypuszczasz, że pan de

Montmorency, który ma chrapkę na królewską córkę dla swego syna, zgodzi się pozostawić dla ciebie taką bogatą zdobycz?

— Niestety, nie będę się z nim o nią kłócił. Niech jedynie król dotrzyma świętych zobowiązań wobec mnie…

— Świętych zobowiązań? — powtórzył admirał. — Czy istnieją takie dla owego, kto po nakazaniu w parlamencie prowadzenia swobodnej dyskusji nad problemem wolności sumienia kazał spalić Annasza Dubourga i Dufaure'a za to, że wierząc królewskiemu słowu bronili sprawy reformy.

— Och, nie mów tak, panie admirale. Nie mów, że król Henryk II nie dotrzyma solennie złożonej mi obietnicy. Nie tylko moja wiara zbuntowałaby się wtedy, ale także i szpada. Nie stałbym się hugenotem, ale stałbym się mordercą.

— Nie, jeśli będziesz hugenotem. My możemy być męczennikami, ale nigdy nie będziemy zabójcami. Twoja zemsta, choć nie krwawa, mogłaby być nie mniej straszliwa. Pomógłbyś nam swą młodością i męstwem, żarliwym poświęceniem dziełu odnowy, które wyda się królowi bardziej zgubne niż pchnięcie sztyletem. Zastanów się, Gabrielu. Chcemy mu odebrać niesprawiedliwe prawa i ogromne przywileje. Pomyśl, że chcemy przeprowadzić reformy nie tylko w Kościele, ale także w rządzie. Pomyśl, że postaramy się dokonać reformy zbawczej dla dobrych i budzącej postrach wśród przewrotnych. Mogłeś się przekonać, czy miłuję Francję i jak jej służę. Stoję po stronie reformacji, bo widzę w niej wielkość i przyszłość ojczyzny, Gabrielu. Gdybyś tak przeczytał wspaniałe księgi naszego Lutra, przekonałbyś się, że duch badawczy i duch wolności, którym tchną, wlałyby w ciebie inną duszę i otworzyłyby przed tobą nowe życie.

— Moje życie to miłość do Diany, moja dusza to święte zadanie, jakie Bóg mi nakazał, i mam nadzieję, że je spełnię.

— Miłość i męskie obowiązki powinny być w zgodzie z obowiązkami i miłością chrześcijanina. Jesteś młody i zaślepiony, przyjacielu. Jednak zbyt dobrze przewiduję, co nastąpi, i serce me krwawi, że ci to przepowiem. Ale dopiero nieszczęście otworzy ci oczy, szlachetność i prawość sprowadzą na ciebie prędzej czy później cierpienia na owym dworze złym i rozwiązłym, niczym wielkie drzewa, które w czas burzy przyciągają, pioruny. Wtedy zastanowisz się nad tym, co dzisiaj rzekłem. Zapoznasz się z naszymi książkami, na przykład z tą. — Admirał wziął ze stołu otwartą książkę. — Zrozumiesz śmiałe, surowe słowa, sprawiedliwe i piękne zarazem, które nam głosi młody podobnie jak ty człowiek, radca parlamentu z Bordeaux, Etienne de la Boètie. Wtedy powtórzysz Gabrielu, za owym dziełem pod tytułem *Dobrowolna Służba*.

Co za nieszczęście, co za przewinienie, gdy całe mrowie ludzkie nie jest posłuszne, ale służy. Nie jest rządzone, ale tyranizowane przez jednostkę, i to nie przez Herkulesa ani Samsona, lecz przez człowieka, najczęściej ostatniego z tchórzów i najbardziej zniewieściałego ze wszystkich, który kłopocze się li tylko o jedno, by służyć swą męskością jakiejś niewiastce.

— W swej rzeczy jest to wielce zuchwała i niebezpieczna rozprawa, która zadziwia swą przystępnością i łatwością zrozumienia. Masz zresztą rację, panie admirale, może się zdarzyć, że pewnego dnia gniew popchnie mnie w wasze szeregi i że opresja postawi mnie po stronie ciemiężonych. Do tego czasu jednak, jak widzisz, życie moje nader jest wypełnione, żeby nowe idee, które mi przedstawiasz, mogły mnie przyciągnąć. Mam zbyt wiele do zdziałania, żebym miał czas do rozmyślań nad książkami.

Niemniej przeto Gaspard de Coligny rozwijał jeszcze z zapałem doktryny i idee fermentujące jak młode wino w jego umyśle. Rozmowa między młodym, pełnym pasji a dojrzałym w swych przekonaniach mężczyzną ciągnęła się długo. Jeden z nich był zdecydowany i porywczy jak uosobienie czynu, a drugi poważny i głęboki jak myśl sama.

Zresztą admirał wcale się nie pomylił w posępnych przewidywaniach. Nieszczęście istotnie

miało się przyczynić do tego, że ziarno owej rozmowy zakiełkuje w płomiennej duszy Gabriela.

XXXIII. SIOSTRA BEATA

Był śliczny pogodny wieczór sierpniowy. Na usianym gwiazdami niebie o spokojnej, głębokiej barwie nie było jeszcze widać księżyce. Noc nabierała przez to więcej tajemniczości, była tym bardziej marzycielska i urocza.

Jej łagodny spokój kontrastował szczególnie z ruchliwością i zgiełkiem minionego dnia. Hiszpanie przypuścili wtedy dwa kolejne szturmy. Dwukrotnie miasto je odparło, ale nie obeszło się bez znacznej ilości trupów i rannych, co przy skąpej liczbie obrońców było ciężkie do zniesienia. Wróg natomiast miał potężne rezerwy i świeże wojska do zastąpienia zmęczonych oddziałów. Toteż Gabriel, zawsze w pogotowiu, obawiał się, że dwa dzienne ataki miały na celu jedynie osłabienie sił i czujności obleganych po to, aby ułatwić trzeci atak lub zaskoczenie w nocy. Tymczasem na kolegiacie wybiła dziesiąta wieczór i nic nie potwierdziło jego podejrzeń. Ani jedno światełko nie migotało między hiszpańskimi namiotami. W obozie, podobnie jak w mieście, słychać było monotonne pokrzykiwania wart. Równie miasto, jak i wrogi obóz zdawały się spoczywać po ciężkich trudach minionego dnia.

Gabriel odbył ostatni ront po wałach i uważał, że może pozwolić sobie na chwilę przerwy podczas nieustannego czuwania nad miastem, niczym syn chorej matki. Od przybycia młodzieńca Saint–Quentin opierało się już przez cztery dni. Jeszcze cztery dni i dotrzyma obietnicy danej królowi, wtedy król będzie musiał dotrzymać swojej.

Gabriel nakazał giermkowi, by szedł za nim, nie mówiąc jednak, dokąd idzie. Z powodu wczorajszego niepowodzenia u przeoryszy przestał ufać nie tyle w wierność, co w inteligencję Marcina. Powstrzymał się przeto i nie podzielił z nim cennymi informacjami, które otrzymał od Jana Peuquoy. Rzekomy Marcin przypuszczał, że towarzyszy swemu panu w roncie wojskowym. Zdziwił się niemało widząc, że Gabriel kieruje się ku bulwarowi de la Reine, gdzie mieścił się duży ambulans.

— Czy idziesz odwiedzić jakiegoś rannego, dostojny panie?

— Cisza! — odpowiedział Gabriel kładąc palec na ustach.

Główny ambulans, przed który przybyli Gabriel i Arnold, znajdował się w pobliżu murów obronnych, niedaleko od przedmieścia Isle, które było miejscem najbardziej wystawionym na ataki wroga, tam właśnie pomoc była bardziej potrzebna. Był to rozległy budynek, który przed oblężeniem służył jako magazyn pasz. Teraz przystosowano go naprędce do dyspozycji chirurgów. Letnia noc była ciepła, pozwalała na otwarcie drzwi środkowych dla wpuszczenia świeżego powietrza. Z dolnych stopni zewnętrznego krużganku Gabriel mógł zapuścić wzrok w salę chorych oświetloną lampami.

Widok był rozdzierający. Tu i ówdzie stało kilku ustawionych w pośpiechu łóżek, lecz taki luksus przyznano jedynie uprzywilejowanym. Większość rannych leżała na podłodze, na materacach, kołdrach, a nawet na słomie. Przejmujące, głośne, żałosne jęki wzywały ze Wszystkich stron pomocy chirurgów i sióstr, mimo gorliwości nie mogli naraz wysłuchać wszystkich wołań. Szli tam, gdzie musiała się odbyć jak najszybciej amputacja, gdzie najpilniej trzeba założyć opatrunki, a inni musieli czekać. Jednymi trzęsła gorączka, inni skręcali się w przedśmiertelnych drgawkach na nędznych posłaniach. Jeśli ktoś w jakimś kącie leżał nieruchomo, bez krzyku, z całunem naciągniętym na głowę, było aż nadto jasne, że nie będzie się już ruszał i żalił.

Wobec tak bolesnego i żałobnego widoku najdzielniejsze serca i najbardziej przewrotne mogły zmięknąć i utracić odwagę. Arnold du Thill nie mógł powstrzymać się od drżenia. Gabriel

pobladł.

Nagle czuły uśmiech zarysował się na bladej twarzy młodziana. W rozpalonym piekle, gdzie kłębiło się tyle dantejskich cierpień, pojawił się promienny anioł pełen spokoju. Słodka Beatrycze, Diana, a raczej siostra Beata, chodziła pogodna, ale melancholijna pośród nieszczęśliwych rannych.

Nigdy jeszcze nie wydała się tak piękna olśnionemu Gabrielowi. Doprawdy, że w złocie, diamentach i aksamicie na festynach dworskich nie było jej tak do twarzy jak w grubym wełnianym habicie i białym barbecie zakonnicy. Szła niczym uosobienie Miłosierdzia, z czystym profilem i niewinną postawą. Jej spojrzenie przynosiło pociechę. Jakiż wzruszający był widok, kiedy pochylała się ze swą niecodzienną urodą nad wychudłymi, zniekształconymi udręką rysami, a ona, królewna, wyciągała czułą rączkę ku bezimiennym żołnierzom, mającym wkrótce umrzeć.

Mimo woli Gabriel pomyślał o pani Dianie de Poitiers, w tym samym czasie pogrążonej pewnie w wesołych rozrywkach i rozwiązłych miłostkach. Gabriel, uderzony dziwnym kontrastem między dwiema Dianami, rzekł sobie, że z pewnością Bóg wlał cnoty w córkę dla odkupienia wad jej matki.

Podczas gdy Gabriel, który z natury był marzycielem, oddawał się kontemplacji i porównaniom zatracając świadomość, że czas mija, we wnętrzu szpitala nastawał spokój. Działały zioła nasenne. Jeszcze tu i tam słychać było żałosne jęki, ale już nie rozdzierające krzyki jak niedawno. Zanim upłynęło pół godziny, wszędzie zapanował spokój o tyle, o ile cierpienie może być ciche.

Diana skierowała do chorych ostatnie słowa pociechy i zachęciła ich lepiej niż lekarze, by zachowali spokój i cierpliwość. Wszyscy byli posłuszni, jak umieli, jej łagodnie rozkazującemu głosowi. Kiedy sprawdziła, że każdy z nich wypełnił otrzymane wskazania i że jej nie potrzebują już w danej chwili, przeciągle westchnęła, jakby chciała ulżyć smutkowi tłoczącemu jej pierś. Wyszła na zewnętrzny krużganek, żeby zaczerpnąć wieczornego świeżego powietrza i odpocząć od ludzkich cierpień i chorób, oglądając gwiazdy na firmamencie.

Oparła się o kamienną balustradę. Jej oczy wzniesione ku niebu nie dostrzegały, że u dołu schodów, o dziesięć kroków od niej stoi Gabriel pogrążony w ekstazie na jej widok jak przed jakąś niebiańską zjawą.

— Marcinie — rzekł cicho do giermka — widzisz, jaka okazja mi się nadarza. Muszę i chcę z niej skorzystać i porozmawiać może po raz ostatni z panią Dianą. Ty czuwaj, żeby nam nie przeszkodzono, i trzymaj straż trochę na uboczu, pozostań jednak w zasięgu mojego głosu. Idź, wierny sługo, idź!

— Ależ, czy nie lękasz się, dostojny panie, że przeorysza…

— Jest pewnie w jakiejś innej sali. Nie ma co się wahać wobec konieczności, która może później rozdzielić nas na zawsze.

Arnold pozornie usłuchał i oddalił się klnąc po cichu.

Gabriel natomiast podszedł do Diany i przyciszonym głosem, by nie ściągnąć niczyjej uwagi, zawołał czule:

— Diano, Diano!

Diana drgnęła. Oczy jej jeszcze nie zdążyły przystosować się do ciemności, nie widziała Gabriela.

— Czy ktoś mnie woła? Kto mnie tak przywołuje?

— Ja — odpowiedział. Gabriel, jakby to miało Medei wystarczyć. Istotnie wystarczyło. Diana nie pytając o nic więcej odpowiedziała głosem drżącym z emocji i zdziwienia.

— Ty, panie d'Exmès! Czy to ty naprawdę? Czego chcesz ode mnie w takim miejscu i o takiej

godzinie? Opowiadano mi, że miałeś przynieść wieści od mego ojca, ale wielce zwlekałeś, panie, i źle wybrałeś czas i miejsce. Żebyś wiedział, że nic od ciebie nie mam zamiaru i nie chcę słyszeć. Nie odpowiadasz, panie d'Exmès? Co znaczy twoje milczenie, Gabrielu?

— Powiedziałaś do mnie: Gabrielu! A więc tak. Nie odpowiadałem, bo twoje chłodne słowa mnie zmroziły, Diano, nie miałem sił zwracać się do ciebie „pani", skoro mnie nazwałaś panem.

— Nie zwij mnie panią ani też Dianą. Nie ma tu pani de Castro. Jest przed tobą siostra Beata. Nazywaj mnie siostrą, a ja będę cię zwała bratem.

— Jak to? Go to ma znaczyć?! — zawołał Gabriel cofając się z przerażeniem. — Mam nazywać cię siostrą?

— Tak wszyscy mnie teraz nazywają. Czy taka nazwa cię przeraża?

— Tak, pewnie, że tak. Albo raczej nie. Wybacz mi, jestem szalony. To tytuł miły i uroczy. Przyzwyczaję się do niego… siostro.

— No widzisz! — ze smutnym uśmiechem odpowiedziała Diana. — Zresztą to prawdziwie chrześcijańskie imię, jakie jest dla mnie odpowiednie, Chociaż jeszcze nie złożyłam ślubów, sercem jestem już zakonnicą. Spodziewam się, że stanę się nią naprawdę, skoro tylko otrzymam zezwolenie króla. Czy przynosisz mi owo zezwolenie, bracie?

— Och! — taka była pełna bólu i wyrzutu odpowiedź Gabriela.

— Mój Boże, zapewniam cię, że żadnego zasmucenia nie kryją w sobie moje słowa. Tak wiele wycierpiałam od pewnego czasu między ludźmi, że w sposób naturalny szukam ucieczki w Bogu. Nie z urazy wypływają moje słowa i postępowanie, ale z cierpienia.

W samej rzeczy, w tonie Diany był tylko ból i smutek. A w sercu jej ze smutkiem przeplatała się bezwiednie radość, której nie zdołała ukryć na widok Gabriela. Gabriela, którego uważała już za utraconego dla miłości i świata, a odnajdywała go dzisiaj energicznym, silnym, a może nawet czułym.

Toteż mimo woli zeszła po kilku stopniach schodów w dół i jakby przyciągana nieprzezwyciężonym magnesem, zbliżyła się do Gabriela.

— Słuchaj — rzekł on — musi się skończyć okrutne nieporozumienie, które obojgu nam rozdziera serca. Nie mogę dłużej znieść myśli, że nie chcesz mnie znać, że podejrzewasz mnie o obojętność czy nawet może o nienawiść. Ta straszna myśl budzi zamęt w mej duszy, nawet przeszkadza mi w świętym i trudnym zadaniu, jakiego muszę dokonać. Chodź trochę na bok… siostro, masz jeszcze do mnie trochę zaufania, prawda? Oddalmy się stąd, z tego miejsca, proszę cię. Jeśli nikt nas nie może zobaczyć, to jednak może ktoś usłyszeć, i mam powody do obawy, że ktoś ze chce zakłócić naszą rozmowę. Rozmowa ta jest konieczna dla spokoju mego umysłu.

Diana już nie zastanawiała się więcej. Słowa wypowiedziane jego ustami były wszechmocne wobec niej. Nie mogła się opierać. Weszła jeszcze o dwa stopnie wyżej, by zajrzeć, czy czasem ktoś z sali szpitalnej jej nie potrzebuje. Po stwierdzeniu, że panuje spokój, zeszła na dół do Gabriela, ufnie oparła rękę na wiernej dłoni swego rycerza.

— Dziękuję chwile są cenne. Obawiam się, że przeorysza, która wie o mojej miłości, może nadejść i sprzeciwić się naszej rozmowie poważnej i niewinnej, podobnie jak moje uczucia do ciebie, siostro.

— Ach, to dlatego! Dobra i matka Monika sama mi powiedziała o twoim przybyciu i chęci, jaką wyjawiłeś, by że mną porozmawiać. Widocznie ktoś ją powiadomił o przeszłości, co przed nią częściowo ukryłam. Zabroniła mi przez trzy dni wychodzić z klasztoru i chciała mnie zatrzymać jeszcze i dzisiejszego wieczoru, ale ponieważ to była moja kolej na nocne czuwanie w szpitalu, stanowczo upomniałam się o możność wypełnienia swych obowiązków. Och, Gabrielu, oszukiwanie łagodnej i godnej szacunku przyjaciółki jest dla mnie bardzo trudne.

— Czy trzeba ci wciąż powtarzać to samo, że jesteś przy mnie jak przy bracie? — z

melancholią odpowiedział Gabriel. — Niestety, muszę nakazać milczenie drżeniu mego serca i mówić z tobą jak oddany przyjaciel, który chętnie poniósłby śmierć dla ciebie, ale który będzie się wsłuchiwał raczej w swój smutek niż w miłość, bądź spokojna.

— A więc mów, bracie.

Bracie! To straszne i miłe słowo przypominało Gabrielowi szczególną, poważną alternatywę, wobec której postawił go los. Jak magiczne zaklęcie nazwa ta odganiała płomienne myśli, jakie budziły w nim sam na sam w nocy i porywająca uroda ukochanej.

— Absolutnie musiałem cię widzieć i z tobą rozmawiać, siostro — rzekł dość pewnym tonem. — Mam do ciebie dwie prośby. Jedna z nich wiąże się z przeszłością, druga odnosi się do przyszłości. Jesteś dobra i szlachetna, Diano, i spełnisz obie dla przyjaciela, który może już nigdy w życiu nie spotka cię na swej drodze w obecnym życiu, a którego fatalna i niebezpieczna misja naraża w każdej chwili na śmierć.

— Nie mów tak, nie mów! — wyszeptała pani de Castro prawie oszalała; bliska omdlenia, bo miłość jej była równa przerażeniu.

— Mówię ci to, siostro, nie po to, byś się niepokoiła, lecz w tym celu, byś mi nie odmówiła przebaczenia i łaski. Przebacz mi przestrach i zmartwienie, jakie musiało spowodować moje bredzenie, kiedy po raz ostatni widzieliśmy się w Paryżu. Niestety, biedna siostro, nie ja do ciebie przemawiałem, ale gorączka. Doprawdy nie zdawałem sobie sprawy, co mówią. Straszne odkrycie dokonane owego dnia, które z trudem zachowałem dla siebie, napełniło mnie rozpaczą i obłędem. Może przypominasz sobie, siostro, że po rozstaniu się z tobą popadłem w długą i ciężką chorobę, którą mogłem przypłacić życiem lub utratą rozumu.

— Jakżebym nie miała pamiętać, Gabrielu!

— Nie nazywaj mnie Gabrielem, na miłość boską, nazywaj mnie stale bratem, tak jak przed chwilą, nazywaj bratem! Ten tytuł przerażał mnie na początku, teraz muszę go słyszeć.

— Jak sobie życzysz… bracie.

W tej samej chwili w odległości około pięćdziesięciu kroków od nich dały się słyszeć miarowe kroki jakiejś maszerującej grupy. Siostra Beata lękliwie przytuliła się do Gabriela i rzekła:

— Ktoś idzie! O mój Boże, ujrzą nas!

— To patrol naszych ludzi — odpowiedział Gabriel nieco zmartwiony.

— Ależ oni będą przechodzić obok nas, rozpoznają mnie lub zawołają. Pozwól mi powrócić na salę, zanim się przybliżą. Pozwól mi uciec, błagam cię.

— Nie, już jest za późno — odpowiedział Gabriel przytrzymując ją. — Uciekać teraz, znaczyłoby pokazać się. Raczej chodźmy tutaj, siostro.

W pośpiechu wbiegł na schody skryte za kamienną balustradą, prowadziły one na mury obronne. Drżąca Diana pobiegła za nim. Tam ją ukrył i sam stanął między pustą budką wartowniczą a blankami muru.

Patrol przeszedł o dwadzieścia kroków nie dostrzegając ich.

Ależ to źle strzeżony punkt! — pomyślał Gabriel. Uporczywie w myślach czuwał nad obroną miasta. Po chwili zwrócił się do nie całkiem jeszcze uspokojonej Diany.

— Bądź spokojna, siostro, niebezpieczeństwo minęło. Wysłuchaj mnie, bo czas mija, a noszę w sercu jeszcze dwa brzemiona, które mnie gnębią. Nie rzekłaś mi jeszcze, czy mi wybaczasz tamto szaleństwo, i ciągle gniecie mnie ów ciężar przeszłości.

— Czy trzeba wybaczać majaczenie i rozpacz? Nie, bracie, można tylko nad nimi się litować i pocieszać. Nie miałam ci tego za złe, jeno płakałam. Teraz powróciłeś do rozumu i zdrowia, a ja zdaję się na wolę Boga.

— Ach, rezygnacja to nie wszystko, siostro! Trzeba mieć nadzieję. Dlatego chciałem cię

widzieć. Uwolniłaś mnie od wyrzutów sumienia za minione, dziękuję ci. Ale musisz jeszcze zdjąć z mojej piersi niepokój co do twojej przyszłości. Wiesz, że jesteś jednym z moich promiennych celów życia. Spokojny o ów cel, powinienem zajmować się jedynie przeciwnościami, jakie napotkam na drodze do celu. Winienem mieć pewność, że znajdę cię u kresu drogi ze smutnym uśmiechem, jeśli mi się nie powiedzie, a z wesołym, jeśli mi się uda, w każdym razie z uśmiechem przyjaznym. Co do tego nie powinno być między nami nieporozumienia. Jednak istnieje konieczność, żebyś mi wierzyła na słowo i miała do mnie zaufanie. Tajemnica, jaką noszę w sercu, leży na dnie wszelkich moich poczynań, nie do mnie należy. Przysiągłem, że jej dotrzymam. Jeśli chcę, żeby dotrzymano zobowiązań względem mnie podjętych, muszę także dotrzymać swoich względem innych.

— Mów jaśniej.

— Widzisz, że waham się i szukam wykrętów, bo myślę o habicie, który nosisz, o tytule siostry, jakim cię darzą, a co najważniejsze, o głębokim poważaniu, jakie czuję dla ciebie w swoim sercu. Nie chcę wypowiedzieć ani jednego słowa, które obudzi na nowo zbyt upojne wspomnienia lub niebezpieczne złudzenia. A jednak muszę ci rzec, że nigdy umiłowany obraz twojej osoby nie zatarł się ani nie przysiadł w mojej duszy, nikt nigdy nie zdoła go zniweczyć.

— Bracie — szepnęła Diana, zmieszana i zachwycona zarazem.

— Wysłuchaj mnie do końca, siostro. Powtarzam ci, że nic nie oziębiło i nigdy nie oziębi owego gorącego… przywiązania, jakie ci złożyłem w ofierze. Czuję się szczęśliwy, że tak myślę i że mogę to rzec: cokolwiek się stanie, zawsze wolno mi będzie, a nawet będzie wskazane, żebym cię miłował. Ale jakiej natury będzie ta czułość? Bóg jeden wie, niestety! Mam nadzieję, że i my wkrótce się dowiemy. A tymczasem proszę cię o jedno, siostro. Pokładaj zaufanie w Bogu i w bracie, pozwól działać opatrzności i mojej przyjaźni, na nic nie licząc, ale też nie wątpiąc. Pojmij mnie dobrze. Rzekłaś mi kiedyś, że mnie kochasz. Wybacz, czuję w sercu swoim, że jeszcze może mnie miłujesz, jeśli los tak chce. Otóż pragnę złagodzić swe rozpaczliwe słowa wyrzeczone w szaleństwie, gdy od ciebie odchodziłem w Luwrze. Nie powinniśmy ani zwodzić się złudnymi chimerami, ani sądzić, że wszystko między nami skończone na tym świecie. Czekaj. W krótkim już czasie przyjdę ci wyjaśnić jedną z owych dwóch spraw. Rzekną: Diano, kocham cię, pamiętaj o naszym dzieciństwie i przysięgach, musisz należeć do mnie. Wszelkimi możliwymi sposobami otrzymamy od króla zezwolenie na nasz związek. Albo też rzeknę: siostro, nieprzezwyciężony fatalizm sprzeciwia się naszej miłości i nie pozwala nam osiągnąć szczęścia. W tym wszystkim nic nie jest od nas zależne, coś nadludzkiego, prawie boskiego staje między nami, siostro. Zwracam ci słowo. Jesteś wolna. Poświęć swe życie innemu, nie będę cię ani potępiał, ani nad tobą się litował. Nie, nawet łzy nasze byłyby zbędne w takiej sytuacji. Pochylmy czoła bez słowa i zgódźmy się z nieuniknionym losem. Będziesz dla mnie zawsze drogą i świętą, ale wtedy obie nasze egzystencje będą mogły dzięki Bogu płynąć obok siebie, choć nigdy nie będą mogły się połączyć.

— Jaka dziwna i straszna zagadka! — nie mogła się powstrzymać od tych słów pani de Castro, tonąc w rozmyślaniach pełnych obaw.

— Będę mógł później wyjaśnić ci ową zagadkę w dwóch słowach. A do tego czasu na próżno chciałabyś zgłębić ową tajemnicę. Czekaj i módl się, siostro. Obiecaj mi wprzódy, że będziesz wierzyła w moje uczucia i że nie będziesz żywiła rozpaczliwej myśli o wyrzeczeniu się światowego życia i pogrzebaniu w klasztorze. Czy przyrzekasz mi żywić wiarę i nadzieję, podobnie jak praktykujesz miłosierdzie?

— Tak, mogę teraz przyrzec wiarę w ciebie i ufność w Bogu. Ale dlaczego chcesz, żebym powróciła do świeckiego życia, jeśli nie razem z tobą? Duszo moja, czyż to nie wystarczy? Czemu chcesz, żebym podporządkowała twej woli moje życie, kiedy nie tobie mam je

poświęcić? We mnie i wokół mnie same mroki, o Boże!

— Siostro, proszę cię o złożenie przyrzeczenia po to, żebym mógł kroczyć spokojny i silny po straszliwej i może śmiertelnej drodze, żebym miał pewność, że będziesz gotowa na spotkanie, jakie ci wyznaczę — wyjaśnił Gabriel przejmującym, uroczystym tonem.

— Dobrze, bracie, będę ci posłuszna — zgodziła się Diana.

— Dzięki ci, dzięki! Teraz przyszłość do mnie należy. Czy zechcesz złożyć swą rękę w mojej jako dowód przyrzeczenia?

— Oto ona, bracie.

— Mam teraz pewność, że zwyciężę — z zapałem rzekł młodzieniec. — Wydaje mi się, że odtąd nic nie będzie sprzeciwiało się moim pragnieniom i zamiarom.

Jakby po to, by zadać kłam temu marzeniu, w tej samej chwili, dały się słyszeć głosy wzywające siostrę Beatę. Głosy dochodziły od strony miasta. Równocześnie Gabriel usłyszał lekki szmer w fosie. Na początku przejął się tylko obawą Diany.

— Szukają mnie, wołają! O Jezu! Gdyby nas razem zastano! Zostań z Bogiem, Gabrielu.

— Do widzenia, siostro, do widzenia, Diano. Idź już. Ja tu zostanę. Wyszłaś trochę zaczerpnąć powietrza. Do zobaczenia wkrótce i dziękuję.

Diana szybko zbiegła po schodach i poszła naprzeciw ludziom niosącym pochodnie, którzy wołali ją na cały głos, a na ich czele kroczyła matka Monika.

Kto przez głupie, złośliwe insynuacje obudził czujność przeoryszy? Kto, jak nie Arnold, wmieszany w tłum z żałosną miną wśród szukających siostry Beaty. Nikt nie miał bardziej niewinnej miny niż ów łajdak! Był wielce w tym podobny do poczciwego Marcina.

Gabriel uspokojony widział z daleka, jak Diana dołącza się bez przeszkód do matki Moniki i jej grupki. Zamierzał zejść z wałów, kiedy nagle jakiś cień wyrósł za nim.

Mężczyzna w pełnym uzbrojeniu, wróg, przesadził mur.

Pobiec za nim, powalić pchnięciem szpady, krzyknąć: Alarm! Alarm! donośnym głosem, rzucił się ku drabinie przystawionej do muru z wdrapującymi się po niej Hiszpanami było dla Gabriela dziełem jednej chwili.

Chodziło po prostu o zaskoczenie w nocy. Gabriel w tym się nie pomylił. Nieprzyjaciel przypuścił dwa szturmy dzienne jeden po drugim, żeby zaryzykować z większą śmiałością zuchwałą wyprawę w nocy.

Jednak opatrzność, a raczej mówiąc zgodnie z prawdą i po pogańsku, miłość przywiodła tu Gabriela. Zanim drugi żołnierz zdążył wejść na platformę, gdzie leżał zabity jego kolega, Gabriel silnymi rękoma uchwycił drabinę za obie żerdzie i strzasnął z niej dziesiątkę wspinających się wrogów.

Krzyki spadających na ziemię mieszały się z okrzykami Gabriela: Do broni! Jednak o dwadzieścia kroków dalej ustawiono drugą drabinę, tam nie było punktu oparcia dla Gabriela. Na szczęście zauważy w mroku duży głaz. Niebezpieczeństwo podwoiło jego siły, uniósł kamienny odłam na parapet Straszliwy ciężar złamał ją na dwie części, a nieszczęśliwcy, którzy na nią weszli, zabici lub poranieni spadli do fosy. Ich jęki i agonia przeraziły towarzyszy, którzy zawahali się przed następnym atakiem.

Tymczasem krzyki Gabriela wywołały alarm. Warty podawały hasło dalej, bębny bębniły na zbiórkę, dzwon z kolegiaty bił w przyśpieszonym rytmie. Nie minęło pięć minut, a ponad setka ludzi przybiegła i zepchnął na drugą drabinę do wicehrabiego, gotowa do odparć: się dalej pojawiać. Strzelali Francuzi a oblegających, którzy ośmielili z powodzeniem, mieli przewagę nad nieprzyjaciółmi w rowach, którzy nie mogli odpowiedzieć na ogień z rusznic.

Zuchwała wyprawa Hiszpanów poniosła porażkę. Mogłaby się powieść jedynie wtedy, gdyby punkt atakowany był pozbawiony obrońców. Gabriel jednak, znajdując się na murach, udaremnił

zaskoczenie. Oblegający musieli się wycofać, co uczynili z wielkim pośpiechem, pozostawiając nie tylko pewną liczbę trupów, ale i rannych.

Jeszcze raz miasto zostało ocalone i znowu dzięki Gabrielowi. Musiało jeszcze wytrwać cztery długie dni, żeby król zechciał wypełnić obietnicę.

XXXIV. CHWALEBNA KLĘSKA

Nieoczekiwanie doznana porażka w pierwszej chwili zniechęciła oblegających. Zaczęli pojmować, że zawładną całkowicie miastem dopiero po unicestwieniu wszelkich środków obrony, jakie są jeszcze w jego posiadaniu. Tak więc podczas trzech następnych dni nie przypuścili nowego ataku. Jednak grzmiały wszystkie armaty, miny jedna po drugiej wybuchały bez przerwy. Obrońcy placówki, ożywieni nadludzką odwagą, wydawali się im niezwyciężeni. Zaatakowali mury obronne i fortyfikacje okazały się nie tak odporne jak piersi ludzkie. Waliły się wieże, fosy wypełniały się rumowiskiem, cały pierścień obwarowań miejskich rozpadał się w gruzy.

W cztery dni po nocnej wyprawie napastnicy w końcu odważyli się na szturm. Było to ósmego i ostatniego dnia zobowiązania Gabriela wobec Henryka II. Gdyby nie powiódł się atak i tym razem, ocalałby i hrabia de Montgomery i gród. Jeśli nie, to wszystkie trudy i wysiłki poszłyby na marne, stary ojciec, Diana i on sam, Gabriel, wszyscy byliby zgubieni.

Toteż trudno wyrazić, jaką wściekłą odwagę okazywał owego ostatniego dnia. Trudno uwierzyć, że w ludzkiej duszy i ciele może się nagromadzić tyle mocy i energii. Nie liczył się z niebezpieczeństwami i śmiercią, kierował się li tylko myślą o ojcu i narzeczonej. Szedł naprzeciw włóczniom, kulom i pociskom armatnim, jakby nic nie zdołało go zranić. Odłamek kamienny raził go w bok, a żelazo lancy uderzyło w czoło, ale nie czuł ran. Zdawał się; upojony brawurą. Szedł, biegł, zadawał ciosy, zachęcając innych do naśladowania głosem i przykładem. Widziano go wszędzie tam, gdzie niebezpieczeństwo najbardziej zagrażało. Jak duch ożywia ciało, tak on zachęcał miasto do oporu, dwoił się, troił, walczył za dziesięciu, dwudziestu, za setkę ludzi. Przy takim nadzwyczajnym podnieceniu nie brakowało mu zimnej krwi i roztropności. Jednym rzutem oka, szybszym niż błyskawica, dostrzegał niebezpieczeństwo i pojawiał się tam natychmiast. Potem, kiedy Hiszpanie cofali się, Francuzi, zelektryzowani zaraźliwym męstwem, brali górę w sposób oczywisty. Gabriel wtedy rzucał się na inne zagrożone stanowisko. Bez znużenia na nowo wprowadzał w czyn swe bohaterskie posłannictwo.

Trwało to sześć godzin, od pierwszej do siódmej.

O siódmej zmrok zaczął zapadać. Hiszpanie wycofywali się zewsząd. Za osłoną kilku zrębów muru, za zburzonymi wieżami i pewną liczbą zdziesiątkowanych i okaleczonych żołnierzy Saint–Quentin przetrwało jeszcze jeden dzień, a może nawet o kilka dni przedłużyło chwalebny opór.

Kiedy ostatni nieprzyjaciel opuścił ostatni atakowany posterunek, Gabriel padł na ręce otaczających, wyczerpanych zmęczeniem i radością.

Triumfalnie zaniesiono go do ratusza.

Okazało się, że rany są powierzchowne, a omdlenie wkrótce minęło. Gdy odzyskał przytomność, rozpromieniony admirał de Coligny był przy nim.

— Panie admirale, chyba nie śniło mi się? Był dzisiaj straszliwy szturm, który szczęśliwie odparliśmy? — takie były pierwsze słowa Gabriela.

— Tak, przyjacielu, w wielkiej części dzięki tobie.

— Upłynęło osiem dni, na które zgodził się król. Dzięki, dzięki ci, Boże.

— Aby jeszcze lepiej cię pokrzepić, przynoszę wyśmienite wieści. Dzięki naszej obronie Saint–Quentin organizuje się obrona w całym kraju. Jeden z moich szpiegów, który miał możność widzieć się z konetablem, przybył tutaj podczas dzisiejszego rwetesu i czyni mi jak najlepsze nadzieje. Pan de Guise przybył do Paryża z armią piemoncką i razem z kardynałem Lotaryngii przygotowuje obronę miast i ludności. Saint–Quentin, wyludnione i odsłonięte, nie

oprze się następnemu atakowi, ale jego rola i nasza została spełniona. Francja ocalała, przyjacielu. Tak, wszyscy zbroją się za naszymi niezawodnymi szańcami. Szlachta i wszystkie stany powstają, rosną szeregi ochotników, opływamy w bezpłatne dary, dwa niemieckie pomocnicze korpusy stanowią wojska zaciężne. Gdy wkrótce wróg skończy z nami, będzie miał przynajmniej z kim się zetrzeć. Francja ocalona, Gabrielu!

— Ach, panie admirale, nie wiesz, ile dobra mi wyświadczasz. Pozwól mi jednak zadać jedno pytanie. To nie pyszałkowata miłość własna przeze mnie przemawia. Za dobrze mnie znasz, by tak myśleć. Na dnie mojego zapytania leży przyczyna nader poważna, mająca wielkie znaczenie. W dwóch słowach proszę o odpowiedź: czy moją obecność tutaj od ośmiu dni przyczyniła się w jakiejś mierze do pomyślnej obrony Saint–Quentin?

— W pełnej mierze, w pełnej — zapewnił Gaspard ze szlachetną otwartością. — Widziałeś, co było w dniu twojego przybycia, poddałbym się, gdyby nie twoja nieoczekiwana interwencja. Miałem ugiąć się pod straszną odpowiedzialnością, jaką obarczono moje sumienie, sam oddałbym Hiszpanom klucze do miasta powierzone mi przez króla. Czy nie dokończyłeś swego dzieła nazajutrz przez wprowadzenie do grodu pomocy, wprawdzie nielicznej, ale wystarczyła ona do podniesienia na duchu oblężonych? Nie mówię już o wspaniałych radach, jakich udzielałeś naszym saperom i inżynierom. Nie mówię o wspaniałej odwadze, jaką wszędzie i zawsze okazywałeś przy każdym natarciu. A przed czterema dniami kto w cudowny sposób uchronił miasto przed nocnym zaskoczeniem? A dzisiaj, kto z niebywałym męstwem i szczęściem przedłużył opór, który ja sam odtąd uważałem za niemożliwy? Ty, zawsze ty, przyjacielu, wszędzie obecny i stale w pogotowiu na całej linii naszych fortyfikacji, jakbyś dzielił z aniołami dar wszechobecności. Nasi żołnierze nazywają cię „Kapitanem P i ę ć s e t”. Mówię ci to ze szczerą radością głęboko wdzięczny, jesteś pierwszym i jedynym zbawcą tego miasta i co za tym idzie, całej Francji.

— Dzięki ci, panie admirale, za dobre i wyrozumiałe słowa. Wybacz, ale czy zechcesz je powtórzyć wobec królewskiej mości?

— Nie tylko jest to moją wolą, ale i obowiązkiem. Wiesz przecież, że Gaspard de Coligny nigdy nie uchybia swoim powinnościom.

— Jakie to szczęście! Czuję się zobowiązany panie admirale. Poproszę jeszcze o jedną przysługę. Nie mów nikomu, błagam cię, ani nawet panu konetablowi, a zwłaszcza panu konetablowi, w jaki sposób dopomogłem w twoim chwalebnym zadaniu. Niech wie jedynie król. Jego królewska mość zrozumie, że nie ubiegam się o sławę i rozgłos, a tylko o dotrzymanie zobowiązania wobec jego osoby. Dzierży w swych rękach nagrodę dla mnie i jeśli będzie sobie życzył, nagrodę tysiąckroć godniejszą zazdrości niż wszelkie honory i stanowiska w jego królestwie. Tak, panie admirale, oby nagroda została mi przyznana i dług Henryka II względem mnie stokrotnie spłacony.

— Nagroda powinna być w samej rzeczy wspaniała — odpowiedział Gaspard de Coligny. — Niech Bóg sprawi, by wdzięczność króla cię nie zawiodła! Uczynię zresztą, jak sobie życzysz, Gabrielu, chociaż wiele mnie kosztuje przemilczenie twoich zasług. Będę milczał, skoro tego żądasz.

— Ach, od dawna nie zaznałem podobnego spokoju, jaki w tej chwili odczuwam. Jak dobrze mieć nadzieję i trochę wiary w przyszłość. Teraz pójdę wesoło na mury, będę walczył z lekkim sercem i wydaje mi się, że nikt mnie nie zwycięży. Czy żelazo i ołów ośmieliłyby się tknąć człowieka, który ma nadzieję?

— Jednak nie ufaj jej nazbyt, przyjacielu — z uśmiechem odpowiedział admirał. — Już teraz mogę oznajmić z wszelkim prawdopodobieństwem, że zwycięstwo nie jest pewne. Miasto jest prawie odsłonięte. Kilka wystrzałów armatnich zdruzgocze resztki murów i ostatnie szczątki

wież. Co więcej, brakuje silnych rąk, brak żołnierzy, którzy dotąd tak dzielnie uzupełniali braki fortyfikacji. Następne natarcie uczyni nieprzyjaciela panem placu boju, nie łudźmy się.

— Ależ czy pan de Guise nie może nam przysłać posiłków?

— Pan de Guise nie będzie narażał swych cennych rezerw dla miasta zdobytego już w trzech czwartych i uczyni to słusznie. Niech zachowa swoich ludzi w sercu Francji, tam są potrzebni. Saint–Quentin poświęciło się. Ekspiacyjna ofiara walczyła dostatecznie długo, Bogu dzięki! Teraz nic innego jej nie pozostaje, jak paść godnie, i w tym staramy się grodowi dopomóc, prawda, Gabrielu? Triumf Hiszpanów nad Saint–Quentin powinien ich kosztować drożej niż klęska. Walczymy teraz nie dla ocalenia pozycji, ale aby walczyć.

— Tak, dla przyjemności; to taki luksus! — wesoło dorzucił Gabriel — Bohaterska rozrywka! Panie admirale, to luksus godny ciebie! A więc dobrze. Niech i tak będzie, bawmy się w opór miasta jeszcze przez dwa, trzy, cztery dni, jeśli potrafimy. Postawmy Filipa II, Filiberta Emanuela, Hiszpanię, Anglię i Frandrię wobec porażki, przed gruzami i szczątkami kamieni. Zyskamy przez to nieco czasu dla pana de Guise, a dla siebie zabawne widowisko. Co myślisz o tym?

— Myślę, że wspaniale żartujesz i że nawet w twoich dowcipach kryje się zapowiedź chwały.

Przypadek pomógł życzeniom Gabriela i admirała. W samej rzeczy, Filip II i jego generał Filibert Emanuel byli wściekli, że tak długo musieli się zatrzymać pod jednym grodem, że na próżno przypuścili dziesięć szturmów, nie chcieli próbować jedenastego bez pewności zwycięstwa. Podobnie jak poprzednio, trzy dni stali bez natarcia. Żołnierzy zastąpili działami, ponieważ zdecydowanie mury bohaterskiego miasta były mniej twarde niż serca. Admirał i wicehrabia d'Exmès podczas owych trzech dni w miarę możności dbali o naprawę szkód wyrządzonych przez działa i miny. Na nieszczęście brakło już rąk do pracy. Dwudziestego szóstego sierpnia nie ostał się ani jeden odłam muru. Domy było widać odsłonięte jak w otwartym mieście. Żołnierze tak się przerzedzili, że nie starczyło ich do ustawienia w pojedynkę na linii głównych punktów obrony.

Sam Gabriel musiał to przyznać. Skoro tylko Hiszpanie dali znak do ataku, zdobyli gród.

Nie wzięto go przynajmniej od strony szczerby, której bronił Gabriel. Tam znajdowali się razem z nim pan du Breuil i Jan Peuquoy. Wszyscy trzej fechtowali się tak dobrze i dokonywali takich cudownych wyczynów, że odepchnęli trzykrotnie atakujących. Gabriel szczególnie tym się ucieszył, a Jan Peuquoy zdumiewał się wielce, śledził z oszołomieniem pchnięcia szpadą, jakie wicehrabia rozdawał na prawo i lewo, że o mało nie zginął przez swe roztargnienie. Dwakroć Gabriel musiał ocalić życie temu, kto go tak podziwiał.

Toteż mieszczanin zaprzysiągł natychmiast wicehrabiemu cześć i wieczne oddanie. Nawet krzyknął w entuzjazmie, że mniej żałuje rodzinnego miasta, bo ma inny przedmiot uwielbienia i miłowania. To prawda, że Saint–Quentin dało mu życie, ale wicehrabia d'Exmès mu je ochronił.

Pomimo owych szlachetnych wysiłków gród absolutnie już nie mógł dłużej się opierać. Jego fortyfikacje były jednym ciągłym wyłomem, a Gabriel, du Breuil i Jan Peuquoy jeszcze się bili. Za ich plecami nieprzyjaciele, władcy Saint–Quentin, zapełniali już ulice.

Waleczne miasto poddało się przemocy dopiero po siedemnastu dniach i po jedenastu natarciach.

Minęło dwanaście dni od przybycia Gabriela. Przekroczył obietnicę daną królowi o dwakroć czterdzieści osiem godzin!

XXXV. ARNOLD DU THILL ZAŁATWIA SWE DROBNE INTERESY

Od pierwszej chwili srożyły się w mieście rabunki i rzezie. Filibert wydał jednak surowe zakazy i opanował zamieszanie, a gdy przyprowadzono do niego admirała de Coligny z wyniosłością wyraził mu uznanie.

— Nie umiem karać za męstwo, a miasto Saint–Quentin nie zostanie potraktowane surowiej, niż gdyby się poddało w dniu, kiedy rozpoczęliśmy oblężenie pod jego murami.

Zwycięzca, równie szlachetny jak i zwyciężony, pozwolił admirałowi debatować nad warunkami kapitulacji.

Oczywiście, że Saint–Quentin zostało uznane za miasto hiszpańskie. Jego mieszkańcy, którzy by nie zechcieli przyjąć cudzoziemskiej władzy, mogli je opuścić po zrzeczeniu się własności domów. Wszyscy zresztą, tak żołnierze jak i mieszczanie, będą od tej chwili wolni. Filibert zatrzyma jedynie pięćdziesięciu jeńców różnego wieku, płci i pochodzenia zgodnie z wyborem jego własnym lub jego dowódców wojskowych, aby uzyskać okup niezbędny na opłacenie wojsku zaległego żołdu. Reszta osób i dóbr znajdzie się pod ochroną władzy i Filibert postara się zapobiec nieporządkom. Okazał zresztą admirałowi tyle galanterii, że nie żądał od niego pieniędzy, bowiem Coligny wyczerpał wszelkie swoje prywatne zasoby podczas oblężenia. Admirał od jutra będzie wolny i będzie mógł udać się do Paryża na spotkanie z konetablem de Montmorency, który po klęsce pod Saint–Laurent nie zetknął się z tak bezinteresownymi zwycięzcami i musiał dostarczyć spory okup. Okup ten miała zapłacić Francja w jakiejkolwiek formie. Ale Filibertowi Emanuelowi zależało na zaszczycie pozyskania przyjaciela w osobie Gasparda de Coligny i nie chciał wyznaczać ceny za jego uwolnienie. Dowodzący porucznicy i najbogatsi z mieszczan dostarczą wystarczającego pokrycia kosztów wojny.

Taką decyzję, świadczącą o większej łagodności, niż można było się spodziewać, przyjął Coligny z uległością, a mieszkańcy z zadowoleniem pomieszanym z obawą. Na kogo padnie okrutny wybór Filiberta Emanuela i jego najbliższych? Następny dzień to okaże. Dzisiaj najdumniejsi zachowują się z największą pokorą, a najbogatsi głośno rozprawiają o swym ubóstwie.

Arnold du Thill, handlarz tyleż aktywny co pomysłowy, spędził noc na rozmyślaniu o swoich interesach. Obmyślił kombinacją, która mogła się stać nader zyskowna. Ubrał się wedle możności jak najwykwintniej i od rana dumnie przechadzał się po ulicach zatłoczonych zwycięzcami mówiącymi obcymi językami, Niemcami, Anglikami, Hiszpanami itp.

Istna wieża Babel! — myślał zatroskany Arnold słysząc jeno cudzoziemską mowę. — Za pomocą kilku słów angielskich, jakie znam, nigdy nie zdołam dogadać się z żadnym z tych bełkoczących. Jedni mówią „Carajo!” inni „Goddam!” Jeszcze inni „Tauseno saperment!” Ani jeden…

— Wciórności! Zatrzymasz się wreszcie, włóczykiju? — krzyknął za Arnoldem tubalny głos.

Arnold z pośpiechem obrócił się ku temu, kto mimo angielskiego akcentu wydawał się jednak znającym dogłębnie wszelkie subtelności języka francuskiego. Był to wysoki drab o bladej cerze i rudych włosach. Wyglądał na tak przebiegłego jak kupiec i na tak głupiego jak chłop. Arnold du Thill poznał w nim Anglika na pierwszy rzut oka. Zapytał więc:

— Czym mogę służyć?

— Czynię cię moim jeńcem, tyle usług dla mnie — odpowiedział żołdak, który przeplatał język angielski francuskimi słowami. Arnold usiłował z początku go naśladować, aby łatwiej nawiązać porozumienie.

— Czemu, mnie bierzesz jaka jeńca, a nie kogoś innego? Może raczej tamtego tkacza, który nas mija?

— Bo masz lepsze łachy na sobie niż tkacz — odrzekł Anglik.

— I owszem! Jakim prawem mnie zatrzymujesz ty, zwykły łucznik, jak mi się wydaje?

— O, nie działam we własnym imieniu, ale z polecenia mego pana lorda Greya, który dowodzi angielskimi łucznikami i któremu diuk Filibert — Emanuel przyznał jako część łupu trzech jeńców, w tym dwóch ze szlachty i jednego mieszczanina wraz z okupami," jakie zdoła z nich ściągnąć. — Otóż mój pan, który uważa, że jestem nie w ciemię bity i nie ślepy, nakazał mi pójść na łowy i wyśledzić trzech wartościowych jeńców. Jesteś najlepszą zwierzyną, jaką spotkałem, i biorę cię za kołnierz, imci mieszczaninie.

— Wielki to honor dla biednego giermka — odpowiedział skromnie Arnold. — Czy twój pan będzie mnie dobrze żywił?

— Czy sądzisz, że będzie cię długo żywił, łobuzie?

— Przypuszczam, że do czasu, aż mu się spodoba zwrócić mi wolność. Chyba nie da mi zdechnąć z głodu.

— Hm — zastanowił się łucznik — czy czasem nie złapałem nędzarza wilka w skórze lisa o wspaniałym futrze?

— Obawiam się, że tak, panie łuczniku. Jeśli lord Grey, twój pan, przekazał ci prawo do pojmania trzech zdobyczy, lękam się, że całą nagrodą za mnie będzie dwadzieścia lub trzydzieści kijów na twym grzbiecie. Jeśli cię to nie zniechęca, to spróbuj!

— Może masz rację, łotrze — rzekł Anglik wpatrując się z bliska w złośliwe oczy Arnolda. — Straciłbym przez ciebie nawet to, co lord Grey mi obiecał, jeden liwr od stu, jakie otrzyma za złapanych przeze mnie.

Już go mam! — pomyślał Arnold.

— Hola, kolego nieprzyjacielu — rzekł głośno. — A jeśli dzięki mnie pojmiesz bogatą zdobycz, jeńca, który wart dziesięć tysięcy liwrów bitych w Tours na przykład, czy okażesz mi wdzięczność?

— Dziesięć tysięcy liwrów z Tours?! W samej rzeczy, rzadko zdobywa się jeńców tyle wartych! Sto liwrów przypadłoby mnie, niezły udział!

— Tak, lecz godziłoby się dać z nich pięćdziesiąt przyjacielowi, który wskazał ci drogę. To słuszne, nie?

— Zgoda! — rzekł łucznik lorda Greya po chwili wahania. — Ale natychmiast zaprowadź mnie da owego człowieka i powiedz, jak się zwie.

— Nie będziemy go daleko szukali, jeno kilka kroków w tę stronę. Poczekaj, nie chcę pokazywać się razem z tobą na wielkim placu. Pozwól mi ukryć się za węgłem domu. A ty ruszaj naprzód. Czy widzisz na balkonie ratusza rycerza, który rozmawia z mieszczaninem?

— Widzę. Czy to mój człowiek?

— To n a s z człowiek.

— Nazywa się?

— Wicehrabia d'Exmès.

— Naprawdę tam jest wicehrabia d'Exmès? Ładnie o nim mówiono na polu bitwy. Czy równie bogaty jak odważny?

— Ręczę ci za to.

— Znasz go przeto bliżej, panie?

— Do kaduka! Jestem jego giermkiem.

— Ty Judaszu! — nie mógł się powstrzymać od uwagi łucznik.

— Nie — odpowiedział ze spokojem Arnold — bo Judasz się powiesił; a ja tego nie uczynię.

— Może ktoś cię wyręczy, obwiesiu — zdobył się Anglik na grubiański żart.

— Słuchaj, czy dotrzymasz słowa? Czy targ ubity? Tak czy nie?

— Ubity. Zaprowadzę twojego pana do lorda. Wskażesz mi później innego szlachcica i jakiegoś wzbogaconego mieszczucha, jeśli znasz.

— Znam za taką samą cenę, połowa twojego dochodu.

— Będziesz ją miał, diabelskie nasienie.

— Zgoda. Ale bez szachrajstwa. Między łotrami obowiązuje umowa. Zresztą odkryłbym oszustwo. Czy twój pan płaci gotówką?

— Gotówką i z góry. Pójdziesz z nami do lorda pod pozorem, że towarzyszysz wicehrabiemu, ja podejmę kwotę i zaraz dam ci twoją część. A ty z wdzięczności pomożesz mi znaleźć drugi i trzeci łup.

— Zobaczymy. Zajmijmy się najprzód pierwszym.

— Z tym pójdzie szybko — rzekł łucznik. — Twój pan jest zbyt szorstki podczas walki, żeby nie był łagodny w czasie pokoju. Znam się na ludziach. Wyprzedź mnie o dwie minuty, stań za nim a ujrzysz, że znam swój fach.

Arnold rozstał się z godnym siebie towarzyszem, wszedł do ratusza i z lisim wyrazem twarzy zjawił się w komnacie. Gabriel rozmawiał ze swym znajomym Janem Peuquoy. Giermek zapytał, czy pan nie potrzebuje jego usług. Jeszcze rozmawiał, kiedy łucznik wkroczył z miną odpowiednią do okoliczności. Anglik podszedł wprost do wicehrabiego, który patrzył na niego zaskoczony" i z głębokim ukłonem rzekł:

— Czy mam honor mówić z dostojnym panem wicehrabią d'Exmès?

— Jestem wicehrabią d'Exmès, w samej rzeczy — odpowiedział Gabriel coraz bardziej zdziwiony. — Czego chcesz ode mnie?

— Oddaj szpadę, dostojny panie — rzekł łucznik pochylając się aż do ziemi.

— Tobie! — rzekł Gabriel cofając się z gestem niewypowiedzianej pogardy.

— W imieniu mojego pana, lorda Greya, dostojny panie — odpowiedział łucznik, który nie był dumny. — Jesteś wyznaczony jako jeden z pięćdziesięciu jeńców, których pan admirał ma przekazać zwycięzcom. Nie czuj żalu do mnie, biedaka, że muszę ci oznajmić ową nieprzyjemną nowinę.

— Do ciebie żal? Nie, ale do lorda Greya, szlachcica. Mógłby sobie zadać trud i sam zażądać ode mnie szpady. Jemu ją oddam, rozumiesz?

— Jak sobie życzysz, panie.

— Oczywiście, oczywiście, dostojny panie — gorliwie zapewniał łucznik.

— A więc idę z tobą.

— Ależ to niegodziwość! — zawołał Jan Peuquoy. — Źle czynisz, ustępując w taki sposób. Opieraj się, dostojny panie. Ty nie jesteś mieszkańcem Saint–Quentin! Nie jesteś z tego miasta!

— Mistrz Jan Peuquoy ma słuszność — rzekł z zapałem Arnold du Thill ukradkiem wskazując łucznikowi mieszczanina. — Tak, mistrz Jan Peuquoy mówi prawdę, dostojny pan nie pochodzi z Saint–Quentin, mistrz Jan Peuquoy wie o tym. Mistrz Jan Peuquoy zna całe miasto, jest mieszczaninem od czterdziestu lat. Jest syndykiem cechu! I dowódcą łuczników! Co rzekniesz na to, Angliku?

Anglik zrozumiał.

— Mam tyle do powiedzenia, że jeśli to jest mistrz Jan Peuquoy, mam rozkaz aresztowania jego również. I on znajduje się na mojej liście

— Ja? — zdziwił się zacny mieszczanin.

— We własnej osobie, mistrzu — odpowiedział łucznik. Peuqoy patrzył pytająco na Gabriela.

— Niestety, mistrzu Janie — rzekł wzdychając mimo woli wicehrabia. — Przypuszczam, że

po spełnieniu żołnierskiego obowiązku podczas walki musimy pogodzić się z prawami zwycięzców po skończonej bitwie. Musimy się poddać, mistrzu Janie Peuquoy.

— Iść z tym człowiekiem?

— Oczywiście, mój zacny przyjacielu. Jestem zadowolony, że nie będę odosobniony w owym przykrym doświadczeniu.

— Słusznie, dostojny panie — rzekł wzruszony tkacz. — Jesteś bardzo szlachetny. Jeśli taki waleczny kapitan jak ty godzi się z losem, czy może szemrać taki nieszczęśnik mieszczanin jak ja? Chodźmy, zgoda. — Zwrócił się do łucznika: — Jestem twoim jeńcem albo raczej jeńcem twego pana.

— Pójdziecie ze mną do lorda Greya i tam pozostaniecie, zanim nie dostarczycie sowitego okupu.

— Gdzie zostanę na zawsze, czarci synu! — zawołał Jan Peuquoy. — Twój pan Anglik nigdy nie będzie oglądał moich talarów. Musi mnie żywić do końca życia, jeśli jest chrześcijaninem, a ja odżywiam się obficie, uprzedzam!

Łucznik rzucił przerażone spojrzenie w stronę Arnolda, ale ów uspokoił go gestem i wskazał na Gabriela, który śmiał się z bufonady Jana. Anglik także znał się na żartach i zaczął śmiać się dobrodusznie.

— A zatem, dostojny panie, i ty, panie, ja was…

— Pójdziesz przodem prowadząc nas do mieszkania lorda Greya — przerwał mu wyniośle Gabriel. — Omówimy nasze sprawy z twoim panem.

— Jak sobie życzysz, Wasza Wielmożność — pokornie odpowiedział łucznik.

Idąc przed nimi, nawet trochę z boku, zaprowadził do lorda Greya rycerza i mieszczanina, za którymi w pewnej odległości szedł Arnold.

Lord Grey był flegmatycznym i ociężałym żołdakiem, znużonym i znudzonym. Dla niego wojna była sprawą handlową. Wpadał w bardzo zły humor, kiedy mu nie płacono lub płacono i jemu i jego wojsku jedynie okupem za trzech jeńców. Przyjął Gabriela i Jana Peuquoy z oziębłą godnością.

— Ach, mam przyjemność i honor otrzymać jako jeńca wicehrabiego d'Exmès — rzekł przyglądając się z zaciekawieniem, Gabrielowi. — Przyczyniłeś nam sporo ambarasu, panie, i gdybym zażądał jako okupu tego, co stracił przez ciebie król Filip II, sądzę, że Francja króla Henryka przeszłaby na jego własność.

— Czyniłem, co mogłem — prosto odpowiedział Gabriel.

— Świetnie to czyniłeś, gratuluję — rzekł lord Grey — nie o to jednak chodzi. Chociaż dokonywałeś cudów, losy wojenne oddały w moją władzę ciebie i twoją dzielną szpadę. Zachowaj ją, panie, zachowaj — dodał widząc, że Gabriel czyni ruch, aby ją odpiąć. — Żeby okupić prawo posługiwania się nią, co możesz ofiarować? Ułóżmy się. Wiem niestety, że brawura i bogactwo nie zawsze chodzą w parze. Jednak nie mogę być stratny. Czy pięć tysięcy talarów wydaje ci się odpowiednią ceną za twą wolność?

— Nie, milordzie — odpowiedział Gabriel.

— Nie? Uważasz, że to za wiele? Ach, przeklęta wojna! Taka nędzna kampania! No więc cztery tysiące talarów to nie za wiele, dalibóg!

— To nie jest dosyć — chłodno odpowiedział Gabriel.

— Jak to, co mówisz?

— Mówię, że źle pojąłeś moje słowa, milordzie. Spytałeś mnie, czy pięć tysięcy talarów wydaje mi się odpowiednim okupem, wtedy odrzekłem: nie. Wedle mego szacunku jestem wart dwakroć tyle.

— Świetnie! Rzeczywiście, wasz król będzie mógł wypłacić taką kwotę, żeby tylko odzyskać

dzielnego rycerza.

— Mam nadzieję; że nie będzie potrzeby odwoływać się do króla. Moja osobista fortuna pozwoli pokryć nieprzewidziany wydatek i rozliczyć się z tobą bezpośrednio, milordzie.

— Wszystko układa się zatem jak najlepiej — rzekł lord Grey nieco zdziwiony. — W takim stanie rzeczy macie mi wypłacić dziesięć tysięcy talarów. Przepraszam, kiedy wypłata?

— Pojmujesz, panie, że nie przywiozłem takiej sumy do obleganego miasta. Z drugiej strony środki pana de Coligny i jego przyjaciół są nader ograniczone tutaj, jak myślę, i nie chcę go niepokoić. Jeśli mi dasz trochę czasu, to sprowadzę pieniądze z Paryża.

— Dobrze. A w razie potrzeby posłużę się twoim słowem, które warte złota. Jednak interesy są interesami. Może się zdarzyć, że brak porozumienia między naszymi wojskami i hiszpańskimi zmusi mnie do powrotu do Anglii. Nie obrazisz się zatem, że do czasu wypłaty całej ustalonej kwoty zatrzymam cię nie w tym hiszpańskim mieście Saint–Quentin, bo je opuszczam, ale w Calais, które należy do Anglików. Tam mój szwagier lord Wentworth jest dowódcą. Czy odpowiada ci taki układ?

— Doskonale — rzekł Gabriel i gorzki uśmiech pojawił się na jego białych wargach. — Poproszę cię jedynie o zezwolenie na wysłanie do Paryża mojego giermka, by mi przywiózł pieniądze, żeby mojej niewoli i twojego zaufania nie narazić na zbyt długą zwłokę.

— Bardzo słusznie. Oczekując powrotu swego męża zaufania będziesz traktowany przez mojego szwagra z wszelkimi należnymi ci względami. W Calais będziesz korzystał ze względnej swobody, tym bardziej że miasto jest ufortyfikowane i zamknięte. Lord Wentworth da ci wyżywienie. Sam jest smakoszem i lubi hulanki nad miarę. To jego sprawa. Jego żona, a moja siostra nie żyje, chcę cię uprzedzić, że nie będziesz się zbytnio nudził.

A teraz ty, mistrzu — zwrócił się lord Grey do Jana Peuquoy, który niejeden raz wyrażał gestami zdziwienie podczas poprzedniej sceny. — Widzę, że jesteś mieszczaninem, którego mi przyznano wraz z dwojgiem szlachty.

— Jestem Janem Peuquoy, milordzie.

— Dobrze. Jakiego okupu mogę żądać od ciebie?

— Ja będę się targował, dostojny panie. Jak kupiec z kupcem. Na próżno marszczysz czoło, ja nie jestem dumny, milordzie, i wedle mnie nie jestem wart dziesięciu liwrów.

— Ależ! — rzekł z pogardą lord Gery. — Zapłacisz sto liwrów, tyle właśnie obiecałem łucznikowi, który cię tutaj przyprowadził.

— Niech będzie sto liwrów, milordzie, jeśli tak wysoko mnie cenisz — odpowiedział sprytny dowódca łuczników — ale nie gotówką.

— Jak to? Nie masz nawet takiej mizernej sumki?

— Miałem, milordzie, ale wszystko rozdałem biednym i rannym podczas oblężenia.

— Masz chyba przyjaciół. A może krewnych?

— Przyjaciół? Nie ma co na nich liczyć, milordzie. Krewnych także nie mam. Małżonka zmarła bezdzietnie, nie miałem brata, pozostał mi tylko jeden kuzyn…

— A ów kuzyn? — spytał zniecierpliwiony lord Grey.

— Kuzyn, który mógłby za mnie wypłacić kwotę, której żądasz, mieszka właśnie w Calais.

— Na pewno? — spytał lord z odcieniem nieufności.

— Dalibóg tak, milordzie — rzekł Jan Peuquoy z dobrodusznie szczerą minę. — Mój kuzyn zwie się Piotr Peuquoy i od przeszło trzydziestu lat jest płatnerzem z zawodu przy ulicy Martroi, jako godło ma bożka Marsa.

— Czy jest i oddany?

— Tak sądzę, milordzie. Jestem ostatnim Peuquoy w mojej linii, dlatego mnie wielce szanuje. Przeszło dwa wieki temu jeden z naszych przodków, Peuquoy, miał dwóch synów. Jeden był

tkaczem i osiedlił się w Saint–Quentin, drugi wybrał zawód płatnerza i zamieszkał w Calais. Od tego czasu ród Peuquoy w Saint–Quentin tka, a ród Peuquoy w Calais kuje. Chociaż są one rozdzielone, kochają się z daleka i pomagają sobie, jak mogą i jak się godzi między zacnymi kuzynami, mieszczanami ze starego pnia. Piotr mi pożyczy, ile trzeba — do wykupienia się, jestem tego pewny, chociaż nie widziałem się z nim od dziesięciu lat, bo wy, Anglicy, nie pozwalacie łatwo wchodzić Francuzom do waszych fortyfikowanych grodów.

— Tak, tak — rzekł lord Grey z łaskawością. — Właśnie dwieście lat mija, odkąd wasi Peuquoy z Calais są Anglikami.

— Och! — krzyknął zapalczywie Jan. — Ród Peuquoy… — i nagle zamilkł.

— No więc co, ród Peuquoy? — zdziwiony zapytał lord Grey.

Jan obracał swoją czapkę z zakłopotaniem.

— Ród Peuquoy nie zajmuje się wcale polityką, to chciałem rzec. Czy są Anglikami, czy Francuzami, są zadowoleni, jeśli mogą zarabiać na życie jedni kowadłem, a drudzy czółenkiem.

— A zatem kto wie? — rzekł wesoło lord Grey. — Może osiądziesz jako tkacz w Calais i staniesz się poddanym królowej Marii, wtedy wreszcie Peuquoy połączą się po tylu latach.

— Na Boga, to możliwe — rzekł dobrodusznie Jan Peuquoy.

Gabriel mocno się zdziwił słysząc, jak dzielny mieszczanin, który tak bohatersko bronił miasta, mówi spokojnie o staniu się Anglikiem, jakby chodziło o zmianę kurtki. Jan przymrużył oko, kiedy lord nie patrzył na niego. Upewnił Gabriela o swoim patriotyzmie i dał mu do zrozumienia, że w jego grze kryje się podstęp. Niebawem lord Grey pożegnał ich obu.

— Jutro opuścimy razem miasto Saint–Quentin i udamy się do Calais. Do tej pory możecie poczynić przygotowania i pożegnać się w mieście. Puszczam was wolno na słowo — dodał ze szczególną delikatnością — tym bardziej że będą o was wiedzieć przy bramach i że nikomu nie wolno wychodzić poza obręb miasta bez przepustki dowódcy.

Gabriel bez słowa ukłonem pożegnał lorda Greya i oddalił się wraz z Janem Peuquoy. Nie zwrócił uwagi, że jego giermek, rzekomy Marcin Guerre, pozostał w tyle, zamiast iść za nim.

— Jakie masz zamiary, przyjacielu? — spytał Jana, kiedy znaleźli się na zewnątrz. — Czy to możliwe, że nie masz stu talarów, żeby wykupić się natychmiast? Dlaczego zależy ci na podróży do Calais? Czy kuzyn płatnerz naprawdę istnieje? Jaka szczególna przyczyna skłania cię do tego?

— Cicho! — szepnął Jan Peuquoy z tajemniczą miną. — W takiej cudzoziemskiej atmosferze boję się ryzykować jednym choćby słowem. Sądzę, że możesz liczyć na swego giermka Marcina.

— Odpowiadam za niego. Mimo że zdarza mu się czegoś nie pamiętać i mimo pewnej nierówności usposobienia, to najwierniejsze serce na świecie.

— Dobrze. Nie należy go wysyłać bezpośrednio stąd po okup do Paryża, ale zabrać go do Calais razem z nami i dopiero stamtąd go wysłać. Musimy mieć oczy otwarte.

— Ale po co takie środki ostrożności? — spytał Gabriel. — Nie masz w Calais żadnego krewnego, to widać.

— Ależ tak! — żywo odpowiedział Jan. — Piotr Peuquoy istnieje, to taka sama prawda jak to, że wychowano go w miłości do Francji i w tęsknocie za dawną ojczyzną. W razie potrzeby podobnie jak ją przyłoży ręki do dzieła, jeśli obmyślisz tam jakiś bohaterski plan.

— Szlachetny przyjacielu, rozumiem cię — rzekł Gabriel ściskając dłoń mieszczanina. — Zbyt wysoko cenisz mnie jednak i mierzysz mnie własną miarą. Nie wiesz, ile egozimu kryło się w rzekomym bohaterstwie. Nie jest ci wiadomo, że w przyszłości woła mnie święty obowiązek, jeszcze świętszy niż chwała ojczyzny, przede wszystkim on mnie przyzywa, i to całkowicie.

— Zgoda! — rzekł Jan Peuquoy. — Wypełnisz ów obowiązek jak i wszystkie inne. A między innymi — szepnął zniżając głos — jeden specjalnie nadarza się przy okazji: zdobyć Calais jako rewanż za Saint–Quentin.

XXXVI. DALSZY CIĄG UCZCIWYCH NEGOCJACJI MISTRZA ARNOLDA

Pozostawmy młodemu kapitanowi i staremu mieszczaninowi marzenia o zwycięstwie. Powróćmy do giermka i łucznika, rozliczających się w domu lorda Greya.

W rzeczy samej zaraz po wyjściu obu jeńców łucznik upomniał się u swego pana o obiecaną premię, którą mu lord Grey bez wahania wypłacił, zadowolony z bystrości okazanej przy wyborze jeńców.

Arnold du Thill czekał na swoją część. Anglik, trzeba być sprawiedliwym, skrupulatnie ją wypłacił. Zastał Arnolda bazgrzącego coś w kącie na odwiecznym rachunku dla konetabla de Montmorency, szepczącego po cichu:

„Za zręczne włączenie wicehrabiego d'Exmès w liczbę jeńców wojennych i za uwolnienie dostojnego pana konetabla od rzeczonego wicehrabiego…"

— Co tam czynisz, przyjacielu — spytał łucznik uderzając Arnolda po ramieniu.

— Co czynię? Rachunki — odpowiedział rzekomy Marcin Guerre. — A co z naszym?

— Zapłacony — rzekł Anglik podając Arnoldowi talary.

Giermek zaczął je uważnie i starannie liczyć.

— Widzisz, że jestem słowny i nie żałuję pieniędzy. Pomogłeś mi dwakroć w wyborze jeśli chodzi o twego pana to dobra gratka, nie targował się, wprost przeciwnie! Siwobrody nastręczył nieco trudności, ale jak na mieszczanina nie był najgorszy. Bez ciebie mógłbym trafić gorzej, przyznaję to.

— Ja też tak sądzę — potwierdził Arnold chowając pieniądze do kieszeni.

— Jeszcze nie wszystko skończone. Widzisz, że dobrze płacą. Chodzi teraz o to, żebyś mi wskazał trzecią, zdobycz, drugiego jeńca szlachetnego stanu, do którego mamy prawo.

— Dalibóg, nie mam kogo polecić, powinieneś sam wybierać.

— Wiem o tym. Proszę, żebyś mi pomógł wybrać spomiędzy mężczyzn, niewiast, starców lub dzieci szlachetnie urodzonych, których można, by chapnąć w tym oto mieście.

— Jak to? Mogą być niewiasty?

— W pierwszym rzędzie niewiasty. Jeśli znasz jakąś, która by poza szlachectwem i bogactwem miała urodę i młodość, mielibyśmy piękny dochód do podziału, bo lord Grey odprzedałby ją drogo swemu szwagrowi, milordowi Wentworthowi, który woli zakładniczki od więźniów, mogę ręczyć śmiało.

— Niestety, nie znam takiej — odpowiedział Arnold. — Ach, jednak tak! Ale nie, to niemożliwe.

— Dlaczego niemożliwe, kamracie? Czyż nie jesteśmy tutaj panami i zwycięzcami? A poza admirałem czy jest ktoś inny wolny po kapitulacji? — To prawda, ale ślicznotka, o której mówię, nie powinna pozostawać w pobliżu mego pana. Nie może go widzieć. Otóż uwięzić ich w tym samym mieście to nie jest sposób na rozdzielenie ich.

— Ba! — rzekł łucznik. — Czyż milord Wentworth nie zachowa w ukryciu dla siebie samego ładnej niewolnicy?

— Tak, w Calais — odpowiedział zamyślony Arnold. — Ale w drodze? Mój pan będzie miał czas i sposobność ją widzieć i z nią rozmawiać.

— Nie, jeśli nie zechcę. Utworzymy dwa oddziały. Jeden będzie poprzedzał drugi, będzie różnica dwóch godzin marszu między rycerzem i jego ślicznotką, jeśli ma ci to sprawić przyjemność.

— Tak, ale co rzeknie stary konetabl? — głośno zapytał Arnold. — Jeśli dowie się, że

przyczyniłem się do jej pojmania, to każe mnie wysoko a krótko powiesić.

— Czy się dowie? Czy ktokolwiek się dowie? — kusi łucznik. — Ty mu o tym nie powiesz, a pieniądze także nie wydadzą głosu przyznając się, skąd pochodzą…

— Będzie jeszcze sporo pieniędzy?

— Połowa dla ciebie.

— Jaka szkoda! Bo kwota będzie wielka, jej ojciec nie będzie zważał na koszty, jak myślą.

— Czy jej ojciec jest diukiem lub księciem?

— Ojciec jest królem, kamracie, i zwie się Henryk II.

— Córka króla tutaj? — ryknął Anglik. — Niech Bóg mnie skarze! Jeśli mi zaraz nie rzekniesz, gdzie znajdę ową gołąbkę, sądzę, że będę zmuszony cię udusić, kamracie! Królewna!

— Z królewską urodą! — dodał Arnold.

— Och! Milord Wentworth straci dla niej głowę — zawyrokował łucznik. — Towarzyszu, rzekł uroczyście wyjmując trzos i otwierając go przed zafascynowanym Arnoldem — trzos i jego zawartość dla ciebie w zamian za imię owej piękności i wskazanie jej mieszkania.

— Zgoda! — rzekł Arnold niezdolny do oporu, chwytając mieszek.

— Jak się zwie?

— Diana de Castro przezywana siostrą Beatą.

— Miejsce pobytu?

— Klasztor benedyktynek.

— Biegnę — zawołał Anglik i ulotnił się.

— Wszystko mi jedno, wszystko mi jedno — powtórzył Arnold idąc do swego pana.

— Nie umieszczę jej w rachunku dla konetabla.

XXXVII. LORD WENTWORTH

W trzy dni później, pierwszego września lord Wentworth, zarządca Calais, otrzymał instrukcje od lorda Greya i odprowadził szwagra na statek płynący do Anglii. Następnie znowu dosiadł konia i powrócił do swej rezydencji, w której przebywali już Gabriel i Jan Peuquoy, a w innej komnacie Diana.

Pani de Castro nie wiedziała, że znajduje się tak blisko ukochanego. Zgodnie z obietnicą, jaką dał łucznik Arnoldowi, nie miała z Gabrielem żadnej styczności od chwili wyjazdu z Saint–Gmentin.

Lord Wentworth stanowił całkowity kontrast ze swym szwagrem. O ile lord Grey okazał się butny, nadęty, chłodny i skąpy, o tyle lord Wentworth był żywego usposobienia, miły i szczodry. Był to przystojny pan wysokiego wzrostu o eleganckim obejściu. Mógł mieć już około czterdziestki, kilka siwych pasm bieliło się — wśród jego czarnych włosów, opadających w naturalnych puklach. Jego sposób bycia był młodzieńczy, gorący płomień w szarych oczach zapowiadał porywczość i namiętność. W samej rzeczy prowadził wesołe i hulaszcze życie, jakby miał dopiero dwadzieścia lat.

Najprzód wszedł do sali, w której czekali na niego wicehrabia d'Exmès i Jan Peuquoy. Powitał ich z uprzejmym uśmiechem jako gości, a nie jeńców.

— Mile witam w moim domu pana wicehrabiego i ciebie, mistrzu. Jestem wdzięczny drogiemu szwagrowi, że was tutaj przywiózł, i cieszę się dwakroć ze zdobycia Saint–Quentin. Wybaczcie mi, ale na tym smutnym placu boju, gdzie żyję w ciężkiej atmosferze, rozrywki są rzadkością, a towarzystwo tak skąpe, że czuję się szczęśliwy, kiedy mogę spotkać od czasu do czasu kogoś, z kim można porozmawiać, i egoistycznie życzę sobie, aby okup za was przybył jak najpóźniej.

— W rzeczy samej opóźni się bardziej, niż przypuszczałem, milordzie — odpowiedział Gabriel. — Lord Grey pewnie cię o tym zawiadomił: mój giermek, którego chciałem wysłać do Paryża po okup, upił się, wplątał się w bójkę podczas podróży z żołnierzem z eskorty i odniósł ranę w głowie. Nie jest ona niebezpieczna, to prawda, ale obawiam się, że każe mu przebywać w Calais dłużej, niż bym pragnął, wyznaję to.

— Tym gorzej dla biednego chłopaka, a tym lepiej dla mnie, panie — rzekł lord.

— Zbytek grzeczności, milordzie — odpowiedział ze smutnym uśmiechem.

— Nie, dalibóg, nie ma w tym najmniejszej przesady. Uprzejmością byłoby bez wątpienia zezwolenie na natychmiastowy powrót do Paryża jedynie na słowo. Powtarzam ci, że jestem jednak zbyt wielkim egoistą i zanadto znudzonym. Szwagier mój jest nieufny i, kazał mi solennie przyrzec, że zwrócę ci wolność dopiero za worek talarów. Cóż chcesz? Razem będziemy jeńcami i postaramy się umilać jeden drugiemu przykrości z powodu naszego uwięzienia.

Gabriel ukłonił się bez słowa. Wolałby oczywiście, aby lord Wentworth na słowo zwrócił mu wolność i możność spełnienia zadania. Ale czyż mógł domagać się on, nieznajomy, takiego zaufania?

Jednak trochę pocieszał się myślą, że obecnie Coligny przebywa na dworze Henryka II. Przecież prosił go o doniesienie królowi, co uczynił dla przedłużenia oporu Saint–Quentin. To pewne, że szlachetny przyjaciel wypełni zobowiązanie. Henryk, wierny swej królewskiej obietnicy, może nawet nie będzie czekał na powrót syna i uwolni ojca!

Gabriel jednak nie mógł całkowicie opanować niepokoju, tym bardziej, że chodziło o dwie bliskie osoby. Przed opuszczeniem Saint–Quentin nie mógł zobaczyć się z drugą drogą sobie

istotą. Toteż przeklinał z całego serca wypadek, który zdarzył się niepoprawnemu opojowi Marcinowi. Nie dzielił zadowolenia Jana Peuquoy, który skrycie się cieszył, że jego tajemniczym planom sprzyja owo opóźnienie, tak mocno zasmucające Gabriela.

Tymczasem lord Wentworth mówił nie zważając na melancholijne roztargnienie jeńca:

— Zresztą postaram się, panie d'Exmès, nie być zbyt surowym strażnikiem i dowiodę, że nie kieruję się obraźliwą nieufnością. Jeśli mi dasz słowo szlacheckie, że nie będziesz usiłował uciec, zgodzę się, żebyś wychodził, kiedy zechcesz. Możesz poruszać się swobodnie po mieście.

Jan Peuquoy nie mógł się powstrzymać od jednoznacznego okazania radości. Żeby się nim podzielić z Gabrielem, pociągnął go za ubranie. Młodzieniec był zaskoczony taką demonstracją.

— Przyjmuję z wdzięcznym sercem, milordzie — odpowiedział Gabriel na dworną propozycję dowódcy miasta. — Daję słowo honoru, że nie będę usiłował uciec.

— To mi wystarczy, panie wicehrabio, a jeśli gościnność moją, jaką mogę i winienem ci zapewnić w swoim domu, choć nie jest należycie urządzony, mógłbyś odczuwać jako przymusową i krępującą, nie będę miał za złe, jeśli znajdziesz sobie w Calais apartament bardziej komfortowy i dogodniejszy.

— Panie wicehrabio — rzekł Jan Peuquoy błagalnym tonem do Gabriela — gdybyś raczył zgodzić się na najpiękniejszą komnatę w domu mego kuzyna Piotra, płatnerza, byłby z tego wielce dumny, a ja bardzo szczęśliwy, przysięgam!

Poczciwy Peuquoy uzupełnił owe słowa znaczącym gestem. Otaczał się tajemniczością i niedomówieniami, jego zachowanie mogło wzbudzić nieufność.

— Dziękuję, przyjacielu. Skorzystanie z takiego pozwolenia mogłoby wyglądać na nadużycie zaufania.

— Nie, zapewniam, że nie — żywo zaprzeczył lord. — Pozostawiam całkowitą swobodę co do zamieszkania u Piotra Peuquoy. To bogaty mieszczanin, obrotny i zręczny w swoim zawodzie, najuczciwszy człowiek na świecie. Znam go dobrze, kilkakrotnie kupowałem u niego broń. Mieszka u niego ładna osóbka, córka czy małżonka, tego nie wiem.

— Jego siostra, milordzie, kuzynka Babetka. Tak, jest ona dość miła i gdybym nie był taki stary… Ród Peuquoy nie wygaśnie: Piotr utracił małżonkę ale mu pozostawiła dwóch zdrowych chłopców żywego usposobienia. Urozmaicą ci pobyt, panie wicehrabio, jeśli zechcesz przyjąć gościnność ofiarowaną całym sercem przez kuzyna.

— Nie tylko do tego upoważniam, ale i namawiam — dodał lord Wentworth.

Gabriel nabrał pewności nie bez racji, że przystojny galant, dowódca Calais, ze znanych tylko sobie powodów wolał pozbyć się z domu współbiesiadnika, który byłby stale w jego domu i z powodu pozostawionej mu swobody mógłby krępować jego własną. Taką istotnie intencją kierował się lord, który wolał niewolnice od niewolników, jak to rzekł zgrabnie łucznik lorda Greya.

Wtedy już Gabriel nie miał więcej skrupułów. Z uśmiechem zwrócił się do Jana:

— Skoro lord Wentworth pozwala, pójdę mieszkać u twojego kuzyna.

Jan aż podskoczył z radości.

— Na honor! Prawdę mówiąc sądzę, że dobrze czynisz — rzekł lord Wentworth. — Nie dlatego, że nie chciałbym cię gościć tutaj. Ale w budynku strzeżonym dzień i noc przez żołnierzy, gdzie moja uciążliwa władza nałożyła surowy regulamin, mógłbyś nie czuć się tak swobodnie jak u zacnego płatnerza. Młody człowiek potrzebuje swobody, wiadomo.

— Wydaje mi się, że istotnie o tym ci wiadomo, panie — roześmiał się Gabriel. — Widzę, że znasz dobrze cenę niezależności.

Na honor, tak! — odpowiedział lord takim samym swawolnym tonem. — Nie jestem jeszcze w takim wieku, żebym przeklinał wolny stan!

Następnie zwrócił się do Jana:

— A ty, mistrzu Peuquoy, licz ze swej strony na sakiewkę kuzyna, podobnie jak liczysz na gościnę dla pana wicehrabiego. Lord Grey mnie zawiadomił, że spodziewasz się od niego stu talarów na okup.

— Wszystko, co Piotr posiada, należy do Jana — sentencjonalnie odpowiedział mieszczanin. — Zawsze tak jest w rodzinie Peuquoy. Byłem na tyle pewny z góry dobrego przyjęcia w domu kuzyna, jakby był moim własnym, że odesłałem do niego rannego giermka pana wicehrabiego. Jestem nadal pewny, że jego sakiewka jest otwarta przede mną podobnie jak domostwo. Proszę, aby jeden z twoich ludzi, milordzie, poszedł ze mną, przyniesie umówioną kwotę.

— To niepotrzebne, mistrzu Peuquoy — odpowiedział lord. — Ciebie także puszczam na słowo. Jutro lub pojutrze przyjdę z wizytą do wicehrabiego, wtedy za należne mi pieniądze wybiorę dla siebie piękną zbroję, którą Piotr Peuquoy tak znakomicie wykonuje.

— Jak sobie życzysz, milordzie — odpowiedział Jan.

— A teraz, panie d'Exmès, muszę ci rzec, że za każdym razem, kiedy zechcesz zakołatać do mych drzwi, będziesz mile widziany. Masz również swobodę tego nie uczynić. Powtarzam ci, życie jest monotonne w Calais, przekonasz się o tym i dołączysz się do mnie, mam nadzieję, przeciwko wspólnemu wrogowi: nudzie. Twoja obecność tutaj jest dla mnie szczęśliwym wydarzeniem, z którego chcę korzystać, jak można najlepiej. Jeśli będziesz się trzymał z daleka, przyjdę ci przeszkadzać, uprzedzam. Pamiętaj, że daję ci półwolność, a jako przyjaciel powinieneś do mnie często przyprowadzać siebie — jeńca.

— Dziękuję, milordzie — rzekł Gabriel. — Przyjmuję wszystkie twoje uprzejmości. — I dodał z uśmiechem: — W rewanżu powiem, że losy wojny są zmienne i dzisiejszy przyjaciel może jutro stać się wrogiem.

— Och, jestem bezpieczny, aż nazbyt bezpieczny za naszymi niezwyciężonymi murami. Gdyby Francuzi mieli odebrać Calais, nie czekaliby na to dwieście lat. Jestem o to spokojny, gdybyście mi pewnego dnia robili honory w Paryżu, będzie to podczas pokoju, tak sądzę.

— Wszystko w ręku Boga, milordzie — odpowiedział Gabriel. — Pan d'Coligny, z którym dopiero co rozstałem się, miał zwyczaj mawiać, że mądry człowiek umie czekać.

— Zgoda! A na razie czerpać jak najwięcej szczęścia z życia. A propos, zapomniałem. Pewnie źle stoisz z pieniędzmi, panie. Wiedz, że moja sakiewka zawsze jest do twojej dyspozycji.

— Dziękuję, milordzie. Moja nie jest dostatecznie pełna, abym mógł się natychmiast rozliczyć, ale na koszty pobytu tutaj całkowicie mi wystarczy. Jedyną moją troską jest fakt, że dom twego kuzyna, Janie, bez uprzedzenia ma stanąć otworem przed trzema niespodziewanymi gośćmi. Wolałbym w takim razie poszukać mieszkania za kilka talarów…

— Kpisz chyba! — przerwał Jan. — Dom Piotra jest dostatecznie obszerny, Bogu dzięki, aby pomieścić trzy rodziny w razie potrzeby. Na prowincji nie buduje się tak skąpo i wąsko jak w Paryżu.

— To prawda — wtrącił lord Wentworth. — Poświadczam ci, wicehrabio, że mieszkanie płatnerza nie jest niegodne kapitana. Liczniejsza świta niż twoja pomieściłaby się tam wygodnie i dwa warsztaty nie przeszkadzałyby sobie. Czy nie taki jest twój zamiar, mistrzu Peuquoy? Czy nie planujesz osiedlić się tutaj i uprawiać zawód tkacza? Lord Grey napomknął mi w paru słowach o takim projekcie, przychyliłbym się do niego z przyjemnością.

— Może się spełni — rzekł Jan — gdy Calais i Saint–Quentin będą wkrótce należały do jednego pana, będę wolał przenieść się bliżej rodziny.

— Tak — odpowiedział lord Wentworth, który źle zrozumiał słowa złośliwego mieszczanina. — Tak, możliwe, że Saint–Quentin stanie się wkrótce miastem angielskim. Ale za długo was zatrzymuję, po trudach podróży potrzebujecie odpoczynku. Panie d'Exmès i ty, mistrzu, możecie

odejść. Do zobaczenia wkrótce.

Odprowadził kapitana i mieszczanina do drzwi, uścisnął dłoń pierwszemu, uczynił przyjazny gest pożegnalny drugiemu i pozwolił im iść razem na ulicę Martroi. Jeśli czytelnicy pamiętają, tam właśnie mieszkał Piotr Peuquoy pod bojowym szyldem Marsa i tam wkrótce odnajdziemy Gabriela i Jana, jeśli Bóg pozwoli.

— Na honor! — rzekł lord Wentworth, kiedy zobaczył, że odchodzą. — Zdaje mi się, że postąpiłem właściwie odsuwając od siebie owego wicehrabiego. Jest dworzaninem, gdyby któregoś dnia, ujrzał moją piękną brankę, przypominałby ją sobie do końca życia. Tak, bo ja, który widziałem ją przelotnie przed dwiema godzinami jestem wprost olśniony. Jaka jest piękna! Kocham ją, kocham! Biedne serce, tak długo milczało w ponurej samotności. Jak bijesz teraz! Ów młody człowiek, który wydaje mi się porywczy i odważny, mógłby w niej rozpoznać córką króla i nieprzyjemnie wmieszać się w stosunek, jaki nawiąże się między panią Dianą a mną, liczę na to. Obecność rodaka, a może i przyjaciela mogłaby ją żenować albo zachęcać do sprzeciwu. Nikogo trzeciego między nami! Nie trzeba stwarzać przeszkód, bo chcę używać środków nie uwłaczających mej godności.

Nacisnął w szczególny sposób jeden z dzwonków. Po minucie zjawiła się służebna.

— Jane — rzekł do niej po angielsku lord — czy zgodnie z moim poleceniem jesteś na rozkazy owej damy?

— Tak, milordzie.

— Jak ona miewa się teraz?

— Wygląda na smutną, ale nie przygnębioną. Ma dumne spojrzenie i stanowczy sposób mówienia. Rozkazuje łagodnie, ale jest przyzwyczajona do nakazywania posłuszeństwa.

— Dobrze. Czy zjadła posiłek, który miałaś jej podać?

— Zaledwie skosztowała owoców, milordzie. Pod pewną siebie miną nietrudno dostrzec wiele niepokoju i żałości.

— Wystarczy, Jane — rzekł lord. — Teraz powrócisz do damy i zapytasz w moim imieniu, w imieniu lorda Wentwortha, dowódcy miasta Calais, któremu lord Grey odstąpił swoje prawa, czy zechcę mnie przyjąć. Idź i szybko wracaj.

Po kilku minutach, które wydały się wiekiem niecierpliwemu lordowi, wróciła pokojowa.

— No i co?

— Owa dama nie tylko zgadza się, ale nawet żąda natychmiast rozmowy.

Wszystko idzie jak najlepiej — pomyślał lord.

— Zatrzymała przy sobie starą Mary i kazała mi natychmiast powrócić.

— Dobrze, Jane, idź zaraz. Trzeba jej słuchać we wszystkim, słyszysz? Idź. Powiedz, że za chwilę przyjdę.

Jane wyszła, a lord Wentworth ze ściśniętym sercem jak zakochany dwudziestolatek zaczął wchodzić na schody prowadzące do komnaty Diany de Castro.

Jakże jestem szczęśliwy, kocham ją! A ta, którą kocham, jest królewną! I jest w moim posiadaniu!

XXXVIII. ZAKOCHANY DOZORCA WIĘZIENNY

Diana de Castro przyjęła lorda Wentwortha z godnością i spokojem. Niewinność jej anielskiego spojrzenia i szlachetność rysów tchnęła siłą i nieodpartym urokiem. Pod pozornym opanowaniem ukrywała sporo niepokoju. Biedna dziewczyna drżała odpowiadając na ukłon lorda. Królewskim gestem wskazała mu fotel o kilka kroków od siebie.

Mary i Jane zabierały się do odejścia. Dała im znak, żeby pozostały. Widząc, że lord Wentworth pogrążony w uwielbieniu milczy, zdecydowała się przemówić pierwsza.

— Czy znajduję się w obecności lorda Wentwortha, dowódcy Calais?

— Lord Wentworth, oddany sługa, czeka na twoje rozkazy, pani.

— Moje rozkazy! — rzekła z goryczą. — Och, milordzie! Nie mów tak, mogłabym przypuszczać, że drwisz ze mnie. Gdyby usłuchano nie moich rozkazów, ale próśb, błagań, nie byłoby mnie tutaj. Czy wiesz, milordzie, kim jestem, z jakiego rodu?

— Wiem, że jesteś panią de Castro, ukochaną córką króla Henryka II.

— A zatem dlaczego mnie uwięziono? — spytała Diana. Głos jej zamiast przybrać na sile osłabł przy tym pytaniu.

— Ależ właśnie dlatego, że jesteś królewną, pani — odpowiedział lord. — Dlatego, że wedle zasad kapitulacji, na co zgodził się admirał de Coligny, zwycięzcom miało przypaść w udziale pięćdziesięciu jeńców do wyboru, wszelkiej pozycji, wieku i płci. To oczywiste, że wybrano najznakomitszych, najbardziej niebezpiecznych i, pozwól sobie rzec, takich, za których można otrzymać najwyższy okup.

— Ale skąd dowiedziano się, że ukrywałam się w Saint–Quentin pod imieniem siostry benedyktynki? Oprócz przeoryszy klasztoru tylko jedna osoba w mieście znała mój sekret.

— Widocznie owa osoba cię zdradziła, pani, i to wszystko.

— Nie, jestem pewna, że nie! — zawołała Diana tak żywo i z takim przekonaniem, że lorda ukąsiła w serce żmija zazdrości. Nic już nie odpowiedział.

— Było to nazajutrz po poddaniu Saint–Quentin — opowiadała Diana z ożywieniem. — drżąca i poruszona, ukryłam się w głębi celi. Wywołano do parlatorium siostrę Beatę, moje imię z nowicjatu, milordzie. Jakiś angielski żołnierz żądał widzenia się ze mną. Obawiałam się nieszczęścia, jakiejś strasznej wieści. Zeszłam na dół ogarnięta potworną ciekawością pomieszaną z bólem. Chciałam wiedzieć, kogo opłakiwać. Ów łucznik, którego nie znałam, oświadczył, że jestem jego jeńcem. Oburzyłam się, opierałam, ale co mogłam uczynić wobec przemocy? Było ich trzech, tak, trzech żołnierzy, milordzie, do aresztowania jednej niewiasty! Wybacz, jeśli cię uraziłam, mówię, jak było. Owi mężczyźni pochwycili mnie i zmuszali do przyznania się, że jestem Dianą de Castro, córką króla Francji. Na początku zaprzeczałam, ale ciągnęli mnie mimo wypierania się. Wtedy zażądałam, żeby mnie zaprowadzono do admirała de Coligny, ale admirał nie znał siostry Beaty, więc oświadczyłam, że jestem tą, o którą pytają. Myślisz może, milordzie, że wobec przyznania się ulegli mojej prośbie i zaprowadzili do pana admirała, który by się domagał mojego uwolnienia? Bynajmniej! Okazali jedynie radość ze zdobyczy, popychali mnie i uprowadzili czym prędzej, — kazali mi wsiąść do zakrytej kolebki. Kiedy szlochałam ledwie żywa ze smutku, starałam się jednak rozpoznać, dokąd mnie wiozą. Okazało się, że byłam już poza obrębem Saint–Quentin, na drodze do Calais. Następnie lord Grey, który dowodził eskortą, jak mi powiedziano, nie zechciał mnie wysłuchać. Jakiś żołnierz mnie pouczył, że jestem branką jego pana i że w oczekiwaniu na okup wiozą mnie do Calais. W taki oto sposób przybyłam tutaj i nic więcej nie wiem.

— Ja także nic więcej nie mam ci do oznajmienia, pani — rzekł zamyślony lord.

— Nic więcej, milordzie? — spytała Diana. — Nie możesz mi wyjaśnić, dlaczego mi nie pozwolono porozmawiać z przeoryszą benedyktynek ani z panem admirałem? Nie możesz mi rzec, czego chcą ode mnie, dlaczego mi nie pozwolono zbliżyć się do osób, które by zawiadomiły króla o moim uwięzieniu i przywiozły z Paryża okup za mnie? W jakim celu takie tajemnicze porwanie? Dlaczego nawet nie ujrzałam lorda Greya, który, jak mówią, nakazał je?

— Widziałaś lorda Greya, pani, kiedy przechodziłaś przed nami. To ów rycerz, z którym rozmawiałem i który ukłonił ci się razem ze mną.

— Wybacz, milordzie, nie wiedziałam, w czyjej znajduję się obecności. Ale skoro rozmawiałeś z lordem Greyem, swoim krewnym, jak powiedziała mi tutejsza dziewczyna, chyba podzielił się z tobą wieścią, jakie ma względem mnie zamiary.

— W rzeczy samej tak, pani. Przed wejściem na statek do Anglii wyjaśnił mi to, w chwili gdy cię wprowadzano do tego domu. Rzekł mi, że wskazano mu ciebie w Saint–Quentin jako królewską córkę. Mając prawo wyboru trojga jeńców dla siebie skwapliwie przyjął taką propozycję bez uprzedzania kogokolwiek o swej zdobyczy, aby uniknąć protestów. Jego cel jest bardzo prosty: wyciągnąć za ciebie jak najwięcej pieniędzy, pani. Ze śmiechem pochwaliłem swego chciwego szwagra. Wtedy właśnie ujrzałem cię, pani, przechodzącą przez salę. Zobaczyłem cię, pani, i pojąłem, że jesteś królewną nie tylko z urodzenia, ale i królową piękności. Od tego czasu, przyznaję się ze wstydem, zmieniłem zdanie i wypowiedziałem się jeśli nie na temat przeszłości, to przynajmniej co do planów na przyszłość. Przestałem pochwalać zamiar szwagra wzięcia za ciebie okupu. Przedstawiłem mu, że może liczyć na więcej! Anglia i Francja są w stanie wojny, możesz się przyczynić do jakiejś bardzo ważnej wymiany, że jesteś warta co najmniej jednego miasta. Jednym słowem zobowiązałem go, by nie wypuszczał za kilka talarów tak cennej zdobyczy. Jesteś w Calais, w naszym mieście, grodzie nie do zdobycia Trzeba cię tutaj zatrzymać i czekać, pani.

— Jak to? Udzieliłeś lordowi Greyowi takiej rady i przyznajesz się do tego przede mną? Ach, milordzie, dlaczego sprzeciwiłeś się mojemu uwolnieniu? Co ci uczyniłam? Widziałeś mnie niecałą minutę! Tak mnie nienawidzisz?

— Widziałem cię przez niecałą minutę i pokochałem cię, pani — rzekł lord Wentworth szalejąc z afektu.

Diana zbladła i cofnęła się.

— Jane, Mary! — przywołała obie służebne, które trzymały się na uboczu stojąc we wnęce okiennej.

Lord Wentworth uczynił jednak nakazujący gest i nie ruszyły się z miejsca. Następnie rzekł ze smutnym uśmiechem:

— Nie lękaj się, pani, jestem rycerzem i nie tobie, ale mnie przystoi drżeć i obawiać się. Tak, płonę afektem i nie mogę powstrzymać się, by ci tego nie wyznać. Ujrzałem cię pełną wdzięku, gibką, podobną do bogini. Całe moje serce wyrywa się ku tobie. Tak, jesteś w mojej mocy, tutaj słuchają mnie, wystarczy jeden znak. Ale nie obawiaj się, jestem pod twoją władzą, niestety, już nie jesteś pod moją i z nas dwojga prawdziwym jeńcem ja jestem. Tyś królową, pani, a ja niewolnikiem. Rozkazuj, będę posłuszny.

— A zatem, panie, odeślij mnie do Paryża, skąd każę ci wysłać okup, jaki ustalisz.

Diana uradowała się, była pełna nadziei.

Lord Wentworth zawahał się, a potem odpowiedział:

— Wszystko, tylko nie to, pani. Czuję, że taka ofiara jest ponad moje siły. Przecież ci powiadam, że jedno spojrzenie złączyło raz na zawsze moje życie z twoim. Tutaj przebywam jak na wygnaniu, od dawna moje gorące serce nie kochało miłością jego godną. Odkąd cię ujrzałem

tak piękną, szlachetną, dumną, poczułem, że wszystkie tłumione porywy mej duszy znalazły pobudki działania i cel. Kocham cię od dwóch godzin. Gdy mnie poznasz, przekonasz się, że miłowałem cię od dziesięciu lat.

— Czego chcesz ode mnie, milordzie, na Boga? Czego się spodziewasz? Na co czekasz? Jakie są twoje plany?

— Chcę cię widywać, pani. Chcę napawać się twoją obecnością i uroczym widokiem, to wszystko. Nie podejrzewaj mnie, pani, o zamiary niegodne rycerza. Jedynym moim błogosławionym prawem jest zachować cię przy sobie i z niego korzystam, — Czy sądzisz, milordzie, że taka przemoc skłoni mnie, bym miłością odpowiedziała na twoje uczucie?

— Nie przypuszczam — cicho odpowiedział lord Wentworth — ale może kiedy będziesz mnie widywała codziennie takim zrezygnowanym, takim pełnym szacunku, kiedy będę przychodził jedynie po to, by zasięgnąć wieści o tobie, by móc cię oglądać przez jedną minutę, może wtedy wzruszysz się uległością owego, który mógłby cię przymuszać zamiast błagać.

— I wtedy francuska królewna, pokonana, zostanie kochanką lorda Wentwortha? — rzekła Diana z pogardliwym uśmiechem.

— Wtedy lord Wentworth, ostatni potomek jednego z najbogatszych i najznamienitszych rodów w Anglii, na kolanach ofiaruje pani de Castro swoje nazwisko i życie. Jak widzisz, miłość moja jest równie zaszczytna jak szczera.

Czy kieruje się ambicją? — myślała Diana, a potem rzekła głośno usiłując wydobyć uśmiech na usta:

— Słuchaj, milordzie, radzę ci, puść mnie wolno, zwróć mnie królowi ojcu, a ja nie będę się uważała za skwitowaną wobec ciebie jedynie za okup. Między obu państwami nastanie pokój, to jest nieuniknione. Jeśli nie mogę ci ofiarować siebie, przysięgam, że uzyskam dla ciebie więcej zaszczytów i godności, niż mógłbyś sobie życzyć będąc moim małżonkiem. Okaż szlachetność, milordzie, a ja się odwdzięczę.

— Zgaduję twoje myśli, pani — odpowiedział lord z goryczą i smutkiem. — Jestem bardziej interesowny i ambitny niż przypuszczasz. Ze wszystkich skarbów świata tylko ciebie pragnę.

— A zatem ostatnie słowo jeszcze, milordzie, wtedy może zrozumiesz — rzekła Diana zmieszana i dumna zarazem. — Milordzie, jest ktoś, kto mnie miłuje.

— I wyobrażasz sobie, że cię uwolnię po to, żeby oddać owemu rywalowi! — rzekł lord tracąc panowanie nad sobą. — O nie! Będzie co najmniej tak samo nieszczęśliwy jak ja! Jeszcze bardziej nieszczęśliwy, bo nie będzie cię widywał, pani. Od dzisiejszego dnia jedynie trzy wydarzenia mogą cię wyzwolić: moja śmierć, ale jestem jeszcze młody i silny, albo pokój między Francją a Anglią, ale wojny trwają między nimi, jak wiesz, po sto lat, albo zdobycie Calais, ale Calais jest nie do zdobycia. Poza tymi trzema prawie niemożliwymi szansami będziesz długo moją branką, jak sądzę. Odkupiłem od lorda Greya wszelkie prawa do ciebie i nie chcę otrzymać okupu, choćby to miało być imperium! A jeśli chodzi o ucieczkę, najlepiej uczynisz wcale o niej nie myśląc. Ja sam cię pilnuję i przekonasz się, jak uważny i niezawodny jest dozorca więzienny, który kocha.

Po tych słowach lord Wentworth złożył głęboki ukłon i odszedł pozostawiając Dianę drżącą i zrozpaczoną.

Pocieszała się nieco myślą, że śmierć jest niezawodną ucieczką i że w razie najgroźniejszego niebezpieczeństwa w niej mogą się schronić nieszczęśliwi.

XXXIX. DOM PŁATNERZA

Dom Piotra Peuquoy tworzył narożnik ulicy du Martroi i placu targowego. Po obu bokach wspierał się na dwóch szerokich drewnianych kolumnach, jakie jeszcze widuje się w Paryżu jako filary Hal. Dom miał dwa piętra i facjatki. Na fasadzie drewno, cegła i dachówka układały się ciekawie w fantazyjne i regularne zarazem arabeski. Poza tym parapety okien i szerokie belki poprzeczne prezentowały ornamenty z fantastycznych zwierząt wśród niezwykłych liści. Wszystko razem wyglądało naiwnie i mało wytwornie, ale nie było pozbawione inwencji i witalności. Wysoki i szeroki dach wystawał na zewnątrz, tworząc galerię z balustradą, która podobnie jak w szwajcarskich domach biegła wokoło drugiego piętra.

Ponad oszklonymi wejściowymi drzwiami sklepu wisiało godło w kształcie drewnianej chorągwi, na której wojownik szkaradnie namalowany miał przedstawiać boga Marsa, w zrozumieniu czego pomagał bez wątpienia napis: POD BOGIEM MARSEM PIOTR PEUQUOY PŁATNERZ.

Na progu przy wejściu pełna zbroja, hełm, pancerz, naramienniki i nagolenniki, służyła jako wymowna reklama sklepu dla rycerzy nie umiejących czytać.

Poprzez oprawne w ołów szybki okna wystawowego można było rozróżnić mimo zmroku inne rynsztunki rycerskie, broń ofensywną i defensywną wszelkiego rodzaju. Rzucały się w oczy zwłaszcza szpady swą liczebnością, różnorodnością i przepychem.

Dwaj terminatorzy siedzący pod filarami przywoływali przechodniów oferując towar, zachwalając i zapraszając jak najuprzejmiej.

Jeśli idzie o płatnerza Piotra Peuquoy, zachowywał się zazwyczaj nader godnie, przebywając na zapleczu sklepu z widokiem na podwórzec albo też w kuźni mieszczącej się w szopie stojącej w głębi. Wchodził do sklepu jedynie wtedy, kiedy jakiś ważny klient zwabiony wołaniem terminatorów lub raczej reputacją Piotra Peuquoy pytał o właściciela.

Zaplecze sklepu, lepiej oświetlone niż sam sklep, służyło jednocześnie za salon i jadalnię. Komnata była wszędzie wyłożona dębem. Meble świadczyły o zamożności: czworokątny stół na krętych nogach, miękkie krzesła kryte gobelinem i wspaniały kufer, na którym widniało arcydzieło wykonane przez Piotra pod okiem ojca, kiedy miał otrzymać stopień mistrza. Była to wspaniała zbroja w miniaturze, demaskinowana złotem, wielce precyzyjnej i delikatnej roboty. Trudno sobie wyobrazić, ile artyzmu i cierpliwości należało włożyć w tak doskonały klejnot.

Naprzeciwko kufra, w niszy wykładanej lamperią stał gipsowy posąg Najświętszej Dziewicy okolony bukszpanem. W taki oto sposób nabożne myśli panowały stale w rodzinnej komnacie.

Sień na tyłach mieściła w sobie klatkę schodową. Drewniane schody wiodły na wyższe piętra.

Piotr Peuquoy zachwycony, że gości u siebie wicehrabiego d'Exmès i kuzyna Jana, chciał koniecznie odstąpić im całe pierwsze piętro. Tam bowiem znajdowały się gościnne pokoje. On sam wraz z młodą siostrą Babetką i swoimi dziećmi zamieszkiwał drugie piętro. Również na drugim piętrze ulokowano rannego giermka Arnolda. Terminatorzy sypiali na poddaszu. We wszystkich pokojach, wygodnych i dobrze urządzonych, znać było jeśli nie bogactwo, to przynajmniej zamożność i dobrobyt właściwe mieszczaństwu wszystkich epok.

Odnajdziemy Gabriela i Jana przy stole. Zacny gospodarz czyni honory domu przy sutym obiedzie. Babetka usługuje biesiadnikom. Dzieci z respektem trzymają się w pewnej odległości.

— Na Boga, jak mało jesz, dostojny panie, pozwól to sobie rzec — oświadczył płatnerz. — Jesteś zatroskany, a Jan zamyślony. Chociaż posiłek jest lichy, ale służę nim z całego serca. Weź przynajmniej winogron, są rzadkością w naszych okolicach. Mam winnice po dziadku, a on po

swoim przodku. Dawniej, za Francuzów, winnica w Calais szczodrze rodziła i miała złociste grona. Ale cóż! Odkąd miasto jest angielskie, winorośl myśli, że jest w Anglii, i nie ma zwyczaju dojrzewać.

Gabriel nie mógł powstrzymać uśmiechu słysząc osobliwe patriotyczne wywody zacnego Piotra.

— A zatem piję za dojrzewanie winogron w Calais!

Jakże serdecznie rodzina Peuquoy odpowiedziała na taki toast.

Po skończonej kolacji Piotr wyraził swą wdzięczność Bogu, czego goście wysłuchali stojąc z odkrytymi głowami. Dzieci odesłano do łóżek.

— Ty także możesz już odejść, Babetko — rzekł płatnerz do siostry. — Daj baczenie, by terminatorzy nie hałasowali nadto w facjatkach. Zanim wrócisz do swojego pokoju, wejdź razem z Gertrudą do giermka pana wicehrabiego i zapytaj, czy chory czegoś nie potrzebuje.

Ładna Babetka zarumieniła się, dygnęła i wyszła.

Piotr zwrócił się wtedy do Jana:

— Teraz jesteśmy tylko we trójkę, drogi mój kumie i kuzynie. Jeśli chcesz mi uczynić jakieś zwierzenie, jestem gotów słuchać.

Gabriel, spojrzał ze zdziwieniem na Jana. Tkacz odpowiedział z poważną miną:

— W samej rzeczy, mam ci do powiedzenia coś ważnego.

— Odejdę — rzekł Gabriel.

— Wybacz, panie wicehrabio, twoja obecność przy rozmowie nie tylko jest pożyteczna, ale wręcz konieczna. Beż twojego udziału nie dałoby się zrealizować projektów, którymi chcę się podzielić w zaufaniu z Piotrem.

— Słucham przeto — odpowiedział Gabriel popadając znowu w smutne zadumanie.

— Tak, dostojny panie, wysłuchaj nas, a może słuchając podniesiesz głowę z nadzieją lub kto wie, nawet z radością.

Gabriel uśmiechnął się żałośnie na myśl, że dopóki daleka jest możność uwolnienia ojca, dopóki przebywa daleko od miłości Diany, radość będzie dla niego niczym nieobecny przyjaciel. Mimo wszystko jednak dzielny młodzieniec obrócił się ku Janowi dając znak, że może zacząć.

Wtedy Jan z powagą przemówił do Piotra:

— Kuzynie, więcej niż kuzynie, bracie, powinieneś mówić pierwszy, żeby wykazać panu wicehrabiemu, jak dalece można polegać na twoim patriotyzmie. Powiedz nam, Piotrze, w jakich uczuciach do Francji wychował cię ojciec i jak jego wychował jego ojciec. Powiedz nam że chociaż uczyniono cię Anglikiem przemocą od przeszło dwustu lat, nigdy nie byłeś Anglikiem z serca. Powiedz nam wreszcie, czy w razie czego oddałbyś krew i udzielił poparcia starej ojczyźnie przodków przeciw narzuconej władzy.

— Janie — odpowiedział płatnerz tak samo uroczyście jak przed chwilą jego kuzyn — nie wiem, Janie, co myślałbym i czuł, gdyby moje nazwisko i pochodzenie były angielskie. Wiem jednak z doświadczenia, że kiedy rodzina była francuska, choćby to było przed dwoma wiekami, każde obce panowanie jest trudne do zniesienia dla członków owej rodziny jak niewola i gorzkie jak wygnanie. Jeden z moich przodków, Jan, który widział, jak Calais dostaje się we władanie wroga, rozmawiał ze swym synem o Francji tonąc we łzach, a o Anglii z nienawiścią. Jego syn czynił podobnie wpajając takie uczucia swojemu, tak że owe dwojakie uczucia żalu i tęsknoty za rodzinnym krajem, a wstrętu do najeźdźcy były przekazywane z pokolenia na pokolenie nic nie tracąc na sile i nie zmieniając się. Powietrze naszych starych mieszczańskich domów działa konserwująco. Piotr Peuquoy sprzed dwu wieków odżył w dzisiejszym Piotrze Peuquoy. Równie jak noszę to samo francuskie nazwisko, mam takie samo francuskie serce. Dawno wyrządzono nam zniewagę i ból jest zadawniony. Nie mów mi, Janie, że mam dwie ojczyzny. Mam tylko

jedną i nigdy innej mieć nie mogę. Gdyby mi wypadło wybierać między krajem, którego mieszkańcy narazili mnie na cierpienie, a krajem, którym Bóg mnie obdarzył, wierz mi, nie zawahałbym się.

— Słyszysz, dostojny panie! — rzekł Jan do wicehrabiego.

— Tak, przyjacielu, słyszę, bardzo to piękne, bardzo szlachetne — odpowiedział z roztargnieniem Gabriel.

— Jeszcze słowo, Piotrze. Wszyscy nasi tutejsi rodacy nie myślą, niestety, tak samo jak ty? Jesteś chyba w Calais po dwustu latach jedynym synem Francji, który pozostał wierny matce — ojczyźnie?

— Mylisz się, Janie — odpowiedział płatnerz. — Mówiłem ogólnie, a nie tylko o sobie samym. Nie twierdzę, że wszyscy noszący francuskie nazwiska pamiętają o swym pochodzeniu. Jest jednak sporo rodzin mieszczańskich, które zawsze kochają Francję i za nią tęsknią, z takich rodzin nasza wybierała sobie żony. Słuchaj, w szeregach straży obywatelskiej Calais, do której wbrew swej woli muszę należeć, wielu strzaskałoby raczej halabardę, niż zwróciło ją przeciw francuskiemu żołnierzowi.

— Dobrze to wiedzieć — szepnął Jan zacierając ręce. — Rzeknij mi, kuzynie, masz chyba jakąś szarżę w owej straży obywatelskiej. Przecież jesteś lubiany i szanowany.

— Nie, Janie. Odmówiłem przyjęcia stopnia, żeby nie ponosić żadnej odpowiedzialności.

— Tym gorzej i tym lepiej zarazem! Czy służba, którą wam narzucają, jest bardzo uciążliwa? Czy odbywa się często?

— Tak — odpowiedział Piotr. — Owa pańszczyzna obowiązuje dość często i jest dość ciężka ze względu na to, że w takiej bazie wojskowej, jaką jest Calais, nigdy nie wystarcza sam garnizon. Ja mam służbę piątego każdego miesiąca.

— Piątego każdego miesiąca regularnie, Piotrze? Anglicy nie są dość ostrożni, jeśli ustalają z góry dzień służby dla każdego z was.

— Och, nie grozi niebezpieczeństwo po dwóch latach panowania. Jednak nie mają pełnego zaufania do straży obywatelskiej, wyznaczają jej stanowiska nie do zdobycia. Ja zawsze trzymam wartę na platformie Ośmiokątnej Wieży, którą morze broni lepiej ode mnie i dokąd dostęp mają tylko mewy.

— Zawsze trzymasz straż piątego każdego miesiąca na platformie Ośmiokątnej Wieży, Piotrze?

— Tak, od czwartej do szóstej rano. Oficer dzielnicowy pozwala wybrać godzinę. Ja wolę ranne, bo przez trzy czwarte roku widzę odblaski wschodzącego słońca na Oceanie. Nawet dla takiego skromnego kupca jak ja to wspaniały widok.

— Istotnie, to niezwykły widok, Piotrze — potwierdził Jan ściszając głos. — Założyłbym się, że mimo niedostępności posterunku, gdyby jakiś zuchwały śmiałek spróbował wspiąć się od strony morza na twoją Ośmiokątną Wieżę, nie dostrzegłbyś go zatopiony w podziwianiu panoramy?

Piotr ze zdziwieniem spojrzał na kuzyna i odpowiedział po chwili namysłu:

— To prawda, że nie widziałbym, bo wiem, że jedynie Francuz miałby interes w przedostaniu się do miasta. Żywię przekonanie, że nie mam żadnych zobowiązań wobec ciemiężycieli, a więc zamiast odeprzeć atakującego, raczej pomógłbym mu wejść.

— Dobrze rzekłeś, Piotrze — ucieszył się Jan i zwrócił się do Gabriela: — Widzisz, dostojny panie, że Piotr jest oddany Francuzom jako rodakom.

— Widzę to, mistrzu — rzekł wicehrabia wciąż nieuważnie słuchając rozmowy, która, jego zdaniem, była przelewaniem z pustego w próżne. — Na co zdałoby się takie poświęcenie?

— Na co? — odpowiedział Jan. — Myślę, że teraz na mnie kolej wypowiedzieć się. Jeśli

zechcesz, panie wicehrabio, możemy wziąć rewanż w Calais za Saint–Quentin. Anglicy, zadufani w sobie przez dwieście lat posiadania, zasypiają w zwodniczym poczuciu bezpieczeństwa. Owo bezpieczeństwo może ich zgubić. Widzisz, panie, że mamy tu na miejscu pomocników gotowych do działania. Rozważmy ów projekt: niech twoja interwencja przyjdzie nam z pomocą, a mój rozum, a jeszcze bardziej instynkt powiada, że zuchwały zamach stanu uczyni nas panami miasta. Pojmujesz mnie, panie?

— Tak, oczywiście — przytaknął Gabriel, który nie słuchał, co Jan mówi, ale bezpośrednie zwrócenie się obudziło go z marzeń. — Tak, twój kuzyn chce powrócić do pięknego królestwa francuskiego, przenieść się do miasta w kraju, na przykład do Amiens… Dobrze, pomówię z lordem Wentworthem, a także z panem de Guise. Sprawę można załatwić, nie odmówię swojej interwencji. Mów dalej, przyjacielu, jestem ci oddany. Oczywiście, że słucham.

I znowu pogrążył się we własnych myślach.

Głos, którego słuchał, nie należał do Jana Peuquoy. Słyszał głos Henryka II, który po wysłuchaniu sprawozdania admirała z oblężenia Saint–Quentin natychmiast wydał rozkaz uwolnienia hrabiego de Montgomery. Później był to głos ojca, ponury i przepojony wciąż jeszcze zazdrością, stwierdzający, że Diana jest córką jego koronowanego rywala. Wreszcie słyszał głos Diany, która po tylu przeszkodach mogła mu rzec: kocham cię! A on miał prawo słuchać niebiańskich słów.

Łatwo pojąć, że pogrążony w słodkim marzeniu, puszczał mimo uszu zuchwałe plany zwycięstwa, które snuł Jan.

Ów poważny mieszczanin poczuł się urażony nieuwagą Gabriela i brakiem zainteresowania planem nie pozbawionym wzniosłości i odwagi. Rzekł przeto z nutą goryczy:

— Gdyby Wasza Wielmożność raczył z mniejszym roztargnieniem słuchać tego, co mówię, dopatrzyłbyś się może w naszych myślach nie tak osobistych i miernych motywów, jak przypuszczasz.

Gabriel nie odezwał się wcale.

— On w ogóle nie słucha, Janie — rzekł Piotr wskazując kuzynowi gościa pogrążonego w zadumie. — Może ma swój plan, swoją pasję.

— Jego pasja nie jest mniej interesowna od naszej! — rzekł Jan z goryczą. — Rzekłbym nawet, że jest egoistyczna, gdybym nie widział, jak ów rycerz brawurowo i szaleńczo narażał się na niebezpieczeństwo, a nawet ryzykował swoim życiem, żeby ocalić moje. Mniejsza o to! Powinien był mnie słuchać, gdy mówiłem dla dobra i chwały ojczyzny. Niestety, bez niego, mimo naszego zapału, będziemy bezużytecznym narzędziem Piotrze. Nie mamy nic poza uczuciem. Brak nam myśli i możliwości.

— Wszystko jedno. Uczucie jest piękne. Słuchałem i zrozumiałem cię, bracie — rzekł płatnerz.

Dwaj kuzyni serdecznie uścisnęli sobie dłonie. Jan rzekł:

— Na razie trzeba wyrzec się marzeń lub odłożyć je na później. Co może ręka bez głowy? Co może naród bez rycerstwa?

Odwieczny mieszczanin dodał ze szczególnym uśmiechem:

— Aż do dnia, kiedy lud będzie ręką i głową zarazem.

XL. ROZDZIAŁ, W KTÓRYM SKUPIŁO SIĘ PRZEDZIWNIE WIELE WYDARZEŃ

Minęły trzy tygodnie, dobiegał koniec września, a żadna godna uwagi zmiana nie dokonała się w sytuacji poszczególnych osób tej oto książki.

Jan Peuquoy zapłacił oczywiście lordowi Wentworthowi skromny okup, jakim siebie otaksował. Co więcej, otrzymał zezwolenie na stałe zamieszkanie w Calais. Musimy jednak przyznać, że bynajmniej się nie śpieszył z założeniem warsztatu i zabraniem do pracy. Wydawało się, że ów zacny mieszczuch jest mocno ciekaw wszystkiego i nader lekkomyślny z natury. Można było go widzieć od rana do wieczora, jak wałęsa się po wałach obronnych i rozmawia z żołnierzami garnizonu, jakby już nie myślał o zawodzie tkacza, jakby był bodaj opatem czy mnichem. Jednak nie chciał lub nie zdołał zarazić kuzyna Piotra Peuquoy swoim lenistwem. Nigdy jeszcze zręczny płatnerz nie polerował tak wielkiej ilości broni, i to nie byle jakiej.

Gabriel z dnia na dzień stawał się coraz smutniejszy. Docierały do niego z Paryża nowiny jedynie ogólnej natury. Francja wreszcie odetchnęła. Hiszpanie i Anglicy utracili bezpowrotnie" mnóstwo czasu na zdobywanie słabych warowni. Kraj miał sposobność odzyskać równowagę, a Paryż i król zostali ocaleni. Takie dobre wieści, że bohaterska obrona Saint–Quentin niemało się do tego przyczyniła, cieszyły Gabriela, ale cóż! O Henryku II, o Colignym, o ojcu, o Dianie — ani słowa! Myśl o nich zasępiała czoło i powstrzymywała go od przyjmowania przyjacielskich awansów lorda Wentwortha, co uczyniłby może w innych okolicznościach.

Łatwo przystępny i wylewny zarządca miasta istotnie wydawał się usposobiony przyjacielsko względem więźnia. Nuda, jak i przypływ smutku od kilku dni niewątpliwie przyczyniły się do uczuć sympatii. Cennym urozmaiceniem w ponurym Calais stało się towarzystwo młodego, dowcipnego dworzanina francuskiego. Toteż niemal co drugi dzień lord Wentworth odwiedzał wicehrabiego i chciał go widywać przy swoim stole co najmniej trzy razy w tygodniu. Serdeczność taka była mimo wszystko krępująca, bo zarządca ze śmiechem przysięgał, że uwolni więźnia jedynie w ostateczności, że nigdy się nie zgodzi wypuścić go na słowo i że dopiero wtedy, kiedy Gabriel mu godziwie wypłaci ostatniego talara wykupu, ulegnie twardej konieczności i rozstanie się z drogim przyjacielem.

Jeśli idzie o sedno sprawy, mógł to być jeno wytworny i pański sposób okazywania nieufności. Gabriel przeto nie ośmielił się nalegać i przez swą delikatność cierpiał bez skargi w oczekiwaniu na wyzdrowienie giermka, który, jak sobie przypominamy, miał pojechać do Paryża po okup ustalony w zamian za oswobodzenie wicehrabiego d'Exmès.

Ale Marcin Guerre, a raczej podszywający się pod niego Arnold du Thill, bardzo powoli wracał do zdrowia. Po kilku dniach leczenia chirurg, który opatrywał ranę — giermka, odniesioną w bójce, odszedł oświadczając, że jego zadanie dobiegło końca i chory całkiem powrócił do zdrowia. Jeszcze dwa dni odpoczynku i życzliwych starań miłej Babetki, siostry Piotra Peuquoy wystarczą, żeby dokończyć kuracji, jeśli w ogóle jest ona jeszcze potrzebna.

Po takim zapewnieniu Gabriel oznajmił giermkowi, że nie zwlekając dłużej ma pojutrze odjechać do Paryża. Ale pojutrze rano Arnold żalił się na zaburzenia wzroku i słuchu, a także równowagi, co zmuszało go do korzystania z pomocy Babetki. Giermek poprosił o odwleczenie podróży jeszcze o dwa dni i uzyskał zgodę. A później ogólne osłabienie opanowało ręce i nogi biednego Arnolda. Poprzez kąpiele i dość surową dietę musiał przezwyciężyć wyczerpanie spowodowane niewątpliwie chorobą. Niestety, dieta doprowadziła do takiego wycieńczenia, że stała się niezbędna dalsza zwłoka, aby wierny giermek miał czas odzyskać siły przez wzmacniające środki i szlachetne wino. Przynajmniej tak twierdziła płacząc jego pielęgniarka

Babetka. Jeśli wicehrabia zażąda od „Marcina” by natychmiast wyjechał, narazi go na to, że padnie na drodze wskutek osłabienia.

Szczególna rekonwalescencja ciągnęła się ponad dwa tygodnie mimo starań, a złośliwy rzekłby — dzięki staraniom Babetki. Upływał dzień za dniem, był już blisko miesiąc od przybycia Gabriela do Calais.

Dalej już tak trwać nie mogło. W końcu Gabriel zniecierpliwił się i nawet Arnold, który na początku szukał wykrętów i je wynajdywał z największą chęcią, teraz oświadczył z miną zaspokojonego zwycięzcy, że nie może dłużej narażać się na niezadowolenie swego pana i że najlepiej będzie jak najwcześniej odjechać, by rychło powrócić. Zaczerwienione oczy i przygnębiona, mina biedaczki Babetki dowodziły, że takie racje wcale do niej nie przemawiają.

Wieczorem w przeddzień wyjazdu giermka, który oficjalnie zadeklarował, że wyrusza do Paryża, Gabriel poszedł na wieczerzę do lorda.

Wentworth chciał otrząsnąć się z większej niż zwykle melancholii i posuwał swą wesołość aż do szaleństwa.

Odprowadził Gabriela na dziedziniec oświetlony o tej godzinie jedną przygasającą latarnią i pożegnał. Zanim młodzieniec owinął się płaszczem, dostrzegł jakieś wpółuchylone drzwi. Jedna z pokojówek, którą spotykał w owym domu, prześliznęła się cicho przez szparę w drzwiach, położyła palec na ustach i podała mu złożoną kartkę mówiąc po cichu:

— Dla francuskiego szlachcica, którego często przyjmuje lord Wentworth.

Uciekła, zanim zdumiony Gabriel zdążył jej zadać pytanie.

Młodzieniec wielce zaintrygowany, ciekawski z natury a niezbyt rozważny pomyślał, że ma przed sobą kwadrans marszu w ciemności, zanim będzie mógł przeczytać liścik w swojej komnacie. Za długo było czekać na rozwiązanie zagadki, która zapowiadała się pikantnie. Toteż na nic nie zważając i chcąc się zorientować w czym rzecz, rozejrzał się wkoło. Widząc, że jest sam, podszedł do kopcącej latarni, rozłożył kartkę i nie bez podniecenia przeczytał następujące słowa:

„Panie, nie znam cię i nigdy nie widziałam, ale jedna z obsługujących mnie niewiast rzekła, że jesteś Fracuzem podobnie jak ja Francuzką, i również więźniem, jak ja. To mi dodaje odwagi, by zwrócić się do ciebie w rozpaczliwej sytuacji. Z pewnością czekasz na okup. Wkrótce pewnie powrócisz do Paryża i będziesz mógł się widzieć z moimi najbliższymi, którzy nie wiedzą, co się ze mną stało. Mógłbyś ich zawiadomić, gdzie jestem, i rzec, że lord Wentworth trzyma mnie w odosobnieniu bez zezwolenia na porozumienie się z kimkolwiek. Nie chce przyjąć nagrody za moją wolność i nadużywa okrutnego prawa zwycięzcy. Ośmiela się codziennie prawić mi o miłości, przed którą bronię się ze wstrętem, ale moja pogarda i jego poczucie niekaralności mogą go popchnąć do występku. Szlachcic, a zwłaszcza rodak winien mi dopomóc w takiej sytuacji bez wyjścia. Chcę ci jeszcze oznajmić kim jestem, aby ów obowiązek…”

Na tym list się urywał, bez podpisu. Jakaś nieprzewidziana przeszkoda, jakieś nagłe zaskoczenie pewnie nakazały przerwać pisanie, a jednak owa niewiasta zechciała go doręczyć, nawet nie dokończony, aby nie stracić cennej okazji. Chociaż nie miał zakończenia, jednak podawał wszystko najważniejsze, co chciał przekazać, prócz nazwiska tak niecnie ciemiężonej niewiasty.

Gabriel nie znał jej nazwiska, nie poznał drżącego, świadczącego o pośpiechu pisma, a jednak dziwny niepokój, niezwykle silne przeczucie wśliznęło się do jego serca. Pobladły z emocji, zbliżył się do latarni, aby powtórnie przeczytać list. Wtem otwarły się drzwi i wyszedł lord Wentworth we własnej osobie, przed nim kroczył paź. Przechodzili przez dziedziniec rezydencji udając się do sypialnej komnaty.

Kiedy lord spostrzegł Gabriela, którego odprowadził pięć minut wcześniej, zatrzymał się

nieco zdziwiony:

— Jeszcze tu jesteś, przyjacielu? — spytał idąc ku niemu ze zwykłą troskliwością. — Kto cię zatrzymał? Chyba nie czujesz się niedysponowany, chyba nie zdarzył się żaden wypadek?

Prawy młodzieniec bez słowa odpowiedzi podał lordowi otrzymany list. Anglik rzucił nań okiem i zbladł bardziej od Gabriela. Zachował jednak zimną krew. Udając, że czyta, sprytnie obmyślił odpowiedź.

— Stara wariatka! — powiedział, zmiął kartkę i rzucił na ziemię z gestem dobrze odegranej pogardy.

Żadne inne słowa lepiej i gruntowniej nie mogły rozczarować Gabriela, przed chwilą jeszcze zatopionego w czułych marzeniach, a teraz ostudzonego już względem nieznajomej. Jednak nie poddał się całkowicie i spytał nieufnie:

— Nie rzekłeś mi, co to za uwięziona, którą trzymasz tu wbrew jej woli, milordzie.

— Oczywiście, że wbrew jej woli — odpowiedział lord swobodnie. — To krewna mojej żony, chora na umyśle. Rodzina chciała ją usunąć z Anglii i na nieszczęście powierzono ją mojej opiece, gdyż w tym mieście łatwiejszy jest nadzór równie nad obłąkanymi, jak i nad więźniami. Skoro już odkryłeś sekret rodzinny, wolę ci rzec, drogi przyjacielu, o co idzie. Mania lady Howe, która naczytała się romansów rycerskich, polega na tym, że mimo swoich pięćdziesięciu lat i siwych włosów uważa się za uciśnioną, prześladowaną heroinę. Za pomocą mniej lub więcej zmyślonych bajeczek stara się zainteresować sobą każdego młodego, rycerskiego galanta, który przebywa w zasięgu jej możności porozumienia się. Niech Bóg mnie skarze, Gabrielu, wydaje mi się, że bajka mojej starej ciotki cię wzruszyła. Przyznaj, że jej list cię zatrwożył, biedny mój przyjacielu!

— Historia jest nieco dziwna, sam musisz przyznać, milordzie — odpowiedział chłodno Gabriel. — Nigdy dotąd nie opowiadałeś mi o takiej krewnej.

— Nie, w samej rzeczy — rzekł lord Wentworth. — Nikomu nie jest pilno z wprowadzaniem obcych w rodzinne sprawy.

— Ale twoja krewna podaje się za Francuzkę — wrócił do tematu Gabriel.

— Po to pewnie, by cię sobą zainteresować — rzekł lord ze sztucznym uśmiechem.

— A ta miłość, którą ją prześladujesz?

— Złudzenia staruchy, która wspomnienia traktuje jako nadzieję na przyszłość — odpowiedział lord okazując zniecierpliwienie.

— A więc w celu uniknięcia śmieszności trzymasz ją w ukryciu, z dala od ludzkich spojrzeń?

— Cóż to za pytania! — rzekł lord marszcząc brwi, ale powstrzymał wybuch gniewu. — Nie znałem cię z tej strony, Gabrielu, tak lubisz się dopytywać. Już jest za kwadrans dziewiąta, życzą sobie, abyś powrócił, zanim dadzą sygnał na gaszenie świateł. Twoja swoboda, chociaż jesteś więźniem związanym jeno słowem, nie powinna łamać przepisów bezpieczeństwa obowiązujących w Calais. Jeśli interesuje cię tak bardzo lady Howe, możemy jutro o niej dalej rozmawiać. A tymczasem proszę cię o milczenie w tej delikatnej familijnej materii i życzę ci dobrego wieczoru, panie wicehrabio.

Zarządca ukłonił się „Gabrielowi i odszedł. Chciał do końca pozostać panem siebie. Obawiał się, że okaże wzburzenie, jeśli rozmowa potrwa dłużej.

Po minucie wahania i namysłu Gabriel wyszedł poza obręb rezydencji i powrócił do domu płatnerza. Jednak lord Wentworth nie umiał się dostatecznie powściągnąć aż do końca rozmowy, co podtrzymało podejrzenie tkwiące w sercu Gabriela, a wątpliwości młodzieńca, wątpliwości podsycane tajemnym instynktem opanowały go na nowo w powrotnej drodze.

Postanowił odtąd zachować milczenie, więcej nie poruszać owego tematu z lordem, który mu na pewno nic nie powie. Gabriel sam będzie obserwował, wypytywał i upewniał się, czy

naprawdę owa nieznajoma dama nie jest jego rodaczką więzioną przez Anglika.

Mój Boże! Jeśli nawet okaże się tak istotnie, co zdołam uczynić? Czyż nie jestem więźniem równie jak ona? Czyż nie mam związanych rąk? Lord Wentworth ma prawo zażądać ode mnie szpady, którą noszę dzięki jego przyzwoleniu. Musi się to skończyć, żebym w razie potrzeby wywikłał się z dwuznacznej sytuacji. Absolutnie, bez żadnej dalszej zwłoki Marcin Guerre musi jutro odjechać. Zapowiem mu to sam natychmiast, dzisiaj wieczorem.

Drzwi domu otworzył jeden z czeladników Piotra. Gabriel wszedł na drugie piętro nie zatrzymując się na pierwszym, gdzie miał swój pokój. Cały dom był pogrążony we śnie o tej porze, a Marcin pewnie spał tak jak inni. Ale Gabriel postanowił go obudzić i przekazać pilne polecenie. Aby nie zakłócić niczyjego snu, szedł po cichu, nie czyniąc hałasu, do izby giermka.

Klucz tkwił w pierwszych drzwiach. Gabriel lekko je otworzył. Ale drugie drzwi były zamknięte. Gabriel słyszał za nimi wybuchy śmiechu i brzęk szklanek, którymi się trącano. Zapukał wtedy dość gwałtownie i tonem nie znoszącym sprzeciwu powiedział, kim jest. Natychmiast zaległa cisza, a ponieważ Gabriel znowu przemówił podniesionym głosem Arnold du Thill pośpieszył się z odsunięciem zasuwy. W rzeczy samej zanadto się pośpieszył. Nie pozostawił dość czasu, aby przez boczne drzwi zdążyła umknąć suknia niewieścia, zanim Gabriel wejdzie.

Młodzieniec przypuszczał, że chodzi o miłostkę ze służącą, a ponieważ nie odznaczał się przesadną pruderią, nie zdołał się powstrzymać od uśmiechu karcąc giermka.

— No, no! Wydaje mi się, że czujesz się lepiej, niż twierdzisz, Marcinie. Zastawiony stół, trzy butelki, dwa nakrycia! Wystraszyłem współbiesiadnika. Mniejsza z tym, dość już widziałem jaskrawych dowodów twego wyzdrowienia. Bez żadnych dalszych skrupułów rozkazuję ci jutro wyjechać.

— Taki mam zamiar, dostojny panie — rzekł Arnold nieco zakłopotany. — Właśnie żegnałem się.

— Z przyjacielem? Świadczy to o dobrym sercu, ale z powodu przyjaźni nie należy zapominać o obowiązku. Żądam, abyś jutro przed świtem był w drodze do Paryża. Masz przepustkę od zarządcy miasta, twój ekwipunek jest gotów od kilku dni, koń wypoczęty równie jak ty, twój trzos pełny dzięki zaufaniu naszego szczodrego gospodarza, który żałuje jedynie, że nie może zapłacić za mnie całego okupu; Jakiż to zacny człowiek! Niczego ci nie brak, Marcinie. Jeśli wyjedziesz jutro wczesnym rankiem, za trzy dni możesz być w Paryżu, Pamiętasz, co masz tam czynić?

— Tak, Wasza Wielmożność: pojadę prosto do rezydencji przy ulicy des Jardins–Saint–Paul. Uspokoję piastunkę co do losu jej pana. Zażądam dziesięciu tysięcy talarów na okup Oraz trzech tysięcy na przyszłe wydatki i pokrycie długu tutaj. Jako dowód pokażę jej list i pierścień.

— Niepotrzebna przezorność, Marcinie, moja zacna mamka zna cię dobrze, wierny sługo, ale ustąpiłem wobec twoich skrupułów. Jedno jest ważne, żeby ową kwotę zgromadzono jak najszybciej, rozumiesz?

— Bądź spokojny, dostojny panie. Po zabraniu pieniędzy i oddaniu listu panu admirałowi powrócę tutaj jeszcze szybciej, niż wyjechałem.

— Ale bez, żadnych utarczek w drodze!

— Nie ma obawy, Wasza Wielmożność.

— A zatem z Bogiem, Marcinie. Powodzenia!

— Za dziesięć dni ujrzysz mnie z powrotem, dostojny panie. A jutro o wschodzie słońca będę już daleko od Calais.

Arnold tym razem dotrzymał obietnicy. Jedynie pozwolił Babetce następnego dnia rano odprowadzić się aż do bram miasta. Ucałował ją po raz ostatni przysięgając, że niebawem ujrzy

go znowu. Następnie spiął boki konia ostrogami i bardzo rozradowany nicpoń zniknął za rogiem.

Biedna dziewczyna śpieszyła się powrócić, zanim wstanie jej srogi brat Piotr. Oświadczyła jednak, że jest chora, aby móc się do woli wypłakać samotnie w swojej komnacie.

Od tej chwili byłoby trudno rzec, kto z większą niecierpliwością oczekiwał powrotu giermka, ona czy Gabriel.

Oboje mieli długo czekać.

XLI. W JAKI SPOSÓB ARNOLD DU THILL KAZAŁ POWIESIĆ ARNOLDA DU THILL W NOYON

Pierwszego dnia Arnold du Thill nie miał żadnego złego spotkania i jechał bez przeszkód. Od czasu do czasu napotykał po drodze nieprzyjacielskie oddziały: Niemców — dezerterów, zwolnionych z wojska Anglików" Hiszpanów równie bezczelnych jak ich zwycięstwo. W biednej, spustoszonej Francji było wtedy więcej cudzoziemców niż Francuzów. Wszystkim tym wędrowcom po szerokich traktach Arnold pokazywał z dumą przepustkę od lorda Wentwortha i wszyscy nie bez żalu i nie bez szemrania musieli uszanować owego, kto miał glejt z podpisem zarządcy Calais.

Niemniej jednak drugiego dnia w pobliżu Saint–Quentin oddział Hiszpanów szykanował go twierdząc, że koń nie jest wymieniony w przepustce, a więc należałoby go skonfiskować. Ale rzekomy Marcin Guerre okazał tak wielką stanowczość żądając, by go zaprowadzono do wodza, że puszczono go wolno wraz z wierzchowcem.

Przygoda posłużyła mu za przestrogę i odtąd postanowił unikać, na ile możliwe, spotkania z wojskowymi oddziałami. Sprawa była trudna: chociaż wróg nie odniósł stanowczego zwycięstwa, jednak od czasu zdobycia Saint–Quentin okupował całą okolicę. Le Catelet, Ham, Noyon, Chauny należały do Hiszpanów.

Kiedy wieczorem następnego dnia Arnold znalazł się w pobliżu Noyon, musiał się zdecydować na okrążenie miasta i szukanie noclegu w sąsiedniej wsi.

Trzeba było zjechać z traktu. Arnold nie znał owych stron. Zabłądził i szukając drogi na zakręcie ścieżki wpadł nagle na oddział nieprzyjacielskich rajtarów, którzy kogoś szukali…

Arnolda spotkała swego rodzaju satysfakcja: usłyszał, że jeden z nich krzyczy na jego widok:

— Hola, czy to nie on przypadkiem, ów niegodziwy Arnold du Thill?

— Czy Arnold du Thill miał konia? — rzekł drugi rajtar.

— Wielki Boże — wyszeptał do siebie giermek blednąc znają mnie tutaj, a jeśli znają, to jestem zgubiony.

Było już za późno, aby wycofać się i uciekać. Otoczyli go rajtarzy. Na szczęście zapadła już dość ciemna noc.

— Kim jesteś? Dokąd jedziesz? — spytał jeden z żołnierzy.

— Nazywam się Marcin Guerre — odpowiedział drżący Arnold. Jestem giermkiem wicehrabiego d'Exmès, obecnie uwięzionego w Calais. Jadę do Paryża po pieniądze na okup. Mam przepustkę od milorda Wentwortha, zarządcy Calais.

Dowódca oddziału przywołał rajtara, który niósł płonącą pochodnię, i z powagą zaczął oglądać przepustkę Arnolda.

— Pieczęć jest autentyczna — rzekł — przepustka prawomocna. Rzekłeś prawdę, możesz jechać dalej.

— Dziękuję — Arnold odetchnął z ulgą.

— Jeszcze jedno słowo. Czy nie spotkałeś na drodze uciekającego mężczyzny, łajdaka, obwiesia, który zwie się Arnold du Thill?

— Nie znam żadnego Arnolda du Thill — szybko odpowiedział Arnold.

— Nie znasz go, ale mógłbyś go spotkać po drodze. Jest tego wzrostu co ty i jak można osądzić w ciemności, podobny do ciebie z postawy. Ale nie jest tak dobrze odziany jak ty. Ma brązowy płaszcz, okrągły kapelusz i szare krótkie spodnie. Pewnie ów bandyta ukrywa się w tamtej stronie, skąd idziesz. Niech tylko wpadnie nam w ręce ów czart Arnold!

— Co uczynił? — trwożnie zapytał Arnold.

— Co uczynił? Uciekł po raz trzeci. Twierdzi, że ma zbyt ciężkie życie, wierzę mu. Przy pierwszej eskapadzie porwał kochankę swemu panu. To chyba zasługuje na ukaranie. Później nie miał czym zapłacić okupu. Sprzedano go i wykupiono, przechodził z rąk do rąk. W końcu nikt go już nie chce. Skoro nie możemy z niego ciągnąć korzyści, niechby nas zabawiał! Ale unosi się dumą, nie chce, ucieka. Już trzeci raz uciekł. Ale kiedy złapiemy łotra…

— Co z nim uczynicie? — spytał Arnold.

— Za pierwszym razem dostał kije, za drugim omal go nie zabiliśmy, a za trzecim powiesimy.

— Powiesicie! — powtórzył przerażony Arnold.

— Natychmiast, przyjacielu. Bez żadnego sądu. Należy do nas. To nam sprawi uciechę, a jego nauczy rozumu! Spojrzyj na prawo, przyjacielu. Widzisz szubienicę? Na niej powiesimy natychmiast Arnolda du Thill, jeśli uda się nam go złapać.

— Ach, tak się sprawa przedstawia! A to dopiero! — rzekł Arnold przymuszając się do śmiechu.

— Zapewniam cię! Jeśli ci wpadnie pod rękę, przyprowadź go do nas. Odwdzięczymy się za przysługę. Szczęśliwej drogi!

Oddalili się. Uspokojony Arnold zawołał:

— Przepraszam, przysługa za przysługę. Zabłądziłem i nie wiem, gdzie się znajduję. Proszę was, pomóżcie mi odnaleźć kierunek.

— Ależ to nader łatwe — rzekł rajtar. — Mury i brama za tobą, jeśli je rozróżniasz w mroku, to Noyon. Patrzysz za bardzo w prawo w stronę szubienicy. To tam, na lewo, gdzie lśnią piki naszych kolegów, bo tej nocy nasza kompania strzeże bramy. A teraz odwróć się. Masz przed sobą drogę do Paryża przez las. O dwadzieścia kroków stąd droga się rozdwaja. Skręcisz w prawo albo w lewo, jak wolisz. Obie drogi są jednakowej długości i obie schodzą się przy promie przez rzekę Oise, o ćwierć mili stąd. Kiedy miniesz prom, jedź ciągle prosto. Pierwsza wieś to Auvray, o milę od promu. Teraz wiesz tyle samo co my. Szczęśliwej podróży!

— Dziękuję i dobranoc — rzekł Arnold puszczając konia kłusem. Wskazówki, jakich mu udzielono, były dokładne. O dwadzieścia kroków dalej znalazł się na rozstajnych drogach i puścił luzem wierzchowca, który wybrał drogę na lewo.

Noc była ciemna choć oko wykol i las gęsty. Jednak po dziesięciu minutach Arnold przybył na polanę, księżyc poprzez perłowe chmury rozlewał słaby blask po drodze.

Wtedy giermek pogrążył się w rozmyślaniach o tym, ile przeżył, strachu, i o dziwnej przygodzie, z której wyszedł cało dzięki swej zimnej krwi. Uspokojony co do przeszłości, patrzył w przyszłość nie bez melancholii.

Ścigają prawdziwego Marcina Guerre zamiast mnie! Ale uciekł ów obwieś! Spotkam go niedługo w Paryżu i może dojść do niebywałego konfliktu. Wiem, że bezczelność może mnie ocalić, ale może również zgubić. Po co, błazen, uciekł! Staje się doprawdy krępujący. Byłby to akt miłosierdzia względem mnie ze strony wrogów, gdyby go powiesili. Zdecydowanie ów człek jest moim złym duchem.

Jeszcze trwał ów budujący monolog, kiedy Arnold swym bystrym i wyćwiczonym wzrokiem dostrzegł o sto kroków przed sobą mężczyznę czy raczej cień jakiś, który na jego widok ukrył się w rowie.

A to dopiero! Jeszcze jedno niedobre spotkanie, jakaś zasadzka! — pomyślał roztropny Arnold.

Usiłował wjechać w las, ale rowu nie zdołałby przeskoczyć ani jeździec, ani koń. Poczekał jeszcze kilka minut, a potem ośmielił się spojrzeć. Widmo, które stało, natychmiast padło do rowu.

Czyżby on bał się tak samo jak ja? — myślał Arnold. — Czy obaj staramy się uniknąć spotkania? Ale trzeba zaryzykować, bo te przeklęte zarośla zagradzają dojazd przez las do tamtej drugiej drogi. Czy muszę zawrócić? Tak byłoby najrozsądniej! Czy też należy ruszyć odważnie galopem i przemknąć jak błyskawica obok owego człeka? Tak byłoby najprościej; jest piechurem, chyba że oddałby strzał z rusznicy. Ale nie zdąży!

Co postanowił, wykonał natychmiast. Arnold spiął konia ostrogami i przemknął jak strzała przed mężczyzną, który tkwił w zasadzce lub kryjówce.

Mężczyzna nie poruszył się.

Minął strach. Arnold osadził w miejscu konia i zawrócił, bo przyszła mu nagle myśl do głowy.

Człowiek trwał bez ruchu.

Arnold całkowicie odzyskał odwagę i pewny siebie skierował się wprost na fosę. Zanim zdążył krzyknąć: Jezu! mężczyzna wyjął ze strzemienia prawą nogę Arnolda i gwałtownie zrzucił jeźdźca z konia. Padł na niego, przyłożył mu rękę do gardła i kolanem przycisnął pierś.

Wszystko to razem nie trwało dwudziestu sekund.

— Kim jesteś? Czego chcesz? — spytał zwycięzca przygniecionego wroga.

— Puść mnie, litości! — zdławionym głosem wyrzekł Arnold czując nad sobą pana. — Jestem Francuzem, ale mam przepustkę od lorda Wentwortha, zarządcy Calais.

— Jeśli jesteś Francuzem… Istotnie, nie masz akcentu diabelskich cudzoziemców, to nie potrzebna mi twoja przepustka. Ale czemu zbliżałeś się do mnie w tak niezwykły sposób?

— Zdawało mi się, że widzę mężczyznę w rowie — odpowiedział Arnold i poczuł, że ucisk zelżał. — Zbliżyłem się, żeby się przekonać czy nie jesteś ranny, czy nie potrzebujesz pomocy.

— Intencja była dobra — rzekł mężczyzna cofając rękę i zdejmując kolano. — Podnieś się, towarzyszu — dodał podając dłoń Arnoldowi, który szybko wstał. — Potraktowałem cię może nieco… surowo, wybacz. Chodzi o to, by nikt nie wtykał nosa w moje sprawy. Ale jesteś rodakiem, to co innego, i możesz mi dopomóc, zamiast zaszkodzić. Zaraz dojdziemy do porozumienia. Nazywam się Marcin Guerre, a ty?

— Ja? Ja? Bertrand — rzekł drżąc Arnold, bowiem był sam z nim w nocy. Górował nad nim jak zwykle przebiegłością, ale tamten przewyższał go siłą i odwagą.

Na szczęście noc była ciemna. Zapewniała Arnoldowi incognito, a przy tym zmieniał on brzmienie głosu, jak tylko zdołał.

— Słuchaj, kolego Bertrandzie — mówił Marcin — jestem jeńcem, uciekłem już drugi raz dzisiaj rano, inni twierdzą, że po raz trzeci. Uciekłem Hiszpanom, Anglikom, Niemcom, Flamandom, mówiąc krótko, całej tej nieprzyjacielskiej zgrai, która jak szarańcza spadła na nasz biedny kraj. Francja stała się teraz podobna do wieży Babel, jak Boga kocham. Od miesiąca byłem pod przemocą dwudziestu szwargocących rozmaitych narodowości i musiałem słuchać coraz to bardziej szorstkiej i barbarzyńskiej gwary. Znużyło mnie przenoszenie się z wioski do wioski, tym bardziej że szydzono ze mnie i z dręczenia czyniono igraszkę. Ciągle mi wymawiali jakąś urodziwą szelmutkę Godulę, która ponoć tak mnie miłowała, że ze mną uciekła.

— Ho, ho! — odezwał się Arnold.

— Rzekłem ci to, co mi powiadali. Wreszcie znudziły mnie ich kpiny do tego stopnia, że pewnego pięknego poranka uciekłem z Chauny. Schwytano mnie, bo miałem pecha, i tak wychłostano, że sam litowałem się nad sobą. Po co to wszystko? Na próżno mi grozili, że powieszą, jeśli jeszcze raz uczynię to samo. Nie miałem chęci zaczynać. Ale dzisiaj rano schwytałem ładną okazję. Kiedy mnie prowadzono do Noyon, wystawiłem do wiatru tyranów. Bóg jeden wie, jak mnie szukali, żeby powiesić. Ale ja, który się przed tym wzdrygam, wspiąłem się na grube drzewo w lesie, proszę ja ciebie, żeby tam przeczekać noc Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, chociaż cichego, kiedy klnąc i złorzecząc przejeżdżali pod moim

drzewem. Gdy nadszedł wieczór opuściłem swój punkt obserwacyjny. Najpierw zabłądziłem w lesie, bo nigdy jeszcze tędy nie szedłem, a później byłem bardzo głodny, bo nic nie położyłem na ząb przez dwadzieścia cztery godziny prócz kilku liści i korzonków, chuda uczta! Opadam z sił, jak widzisz.

— Ech! Nie widać tego było przed chwilą. Muszę przyznać, że wprost przeciwnie, wydałeś mi się dość krzepki.

— Tak, nieco cię poturbowałem. Nie czuj urazy. W istocie, gorączka głodowa podtrzymywała mi siły, W obecnej chwili jako rodak jesteś dla mnie opatrznością, nie pozwolisz, bym wpadł wrogom w ręce, prawda?

— Oczywiście, jeśli zdołam — odpowiedział Arnold du Thill, rozmyślając skrycie o tym, co rzekł Marcin.

W chwili odprężenia po żelaznym uścisku sobowtóra jasno zaczynał pojmować zarysowujące się korzyści.

— Możesz wiele dla mnie uczynić — dobrodusznie mówił Marcin. Przede wszystkim, czy znasz nieco te strony?

— Pochodzę z Auvray, o ćwierć mili stąd.

— Wracasz tam?

— Nie, idę stamtąd — odpowiedział po chwili wahania łotr nad łotry.

— A więc tędy, do Auvray? — spytał Marcin wskazując w kierunku Noyon.

— Właśnie tędy. To pierwsza wieś po Noyon przy drodze do Pa ryża.

— Przy drodze do Paryża! Widzisz, jak człowiek gubi się w lesie. Wyobrażałem sobie, że mam za sobą Noyon, bo stamtąd idę. Przypuszczałem, że idę w stronę Paryża, a oddalałem się od niego. Jak już rzekłem, nie znam absolutnie tych przeklętych okolic. A więc tam, skąd idziesz, mam się skierować, by nie wpaść w paszczę lwa?

— Tak jak mówisz. Ja idę do Noyon, chodź ze mną kilka kroków. Blisko stąd, nieco przed promem na Oise znajdziemy inną drogę, która cię zawiedzie prosto do Auvray.

— Stokrotne dzięki, przyjacielu Bertrandzie — rzekł Marcin. — Oczywiście, że wolę zaoszczędzić nóg, bo jestem zmęczony i nieco słaby będąc na czczo, jak ci to już powiedziałem. Czy nie masz przypadkiem przy sobie żywności? Ocaliłbyś mnie dwakroć! Raz przed Anglikami, a po raz wtóry od głodu, który jest nie mniej okrutny niż Anglicy.

— Niestety, nie mam ani okruszyny w sakwie. Ale jeśli chcesz się napić, mam pełną manierkę.

W samej rzeczy, Babetka troskliwie napełniła dość mocnym winem cypryjskim bukłak porzucającego ją kochanka. Arnold do tej pory roztropnie skąpił sobie picia, aby oszczędzać rozum nieco zachwiany niebezpieczeństwami podróży.

— Pewnie, że chce mi się pić! — z zapałem wykrzyknął Marcin. — Łyk wina doda mi animuszu.

— A więc bierz i pij zuchu — rzekł Arnold podając mu bukłak.

— Dziękuję, Bóg zapłać.

Zaczął wlewać w siebie ufnie wino, równie zdradzieckie, jak zdrajcą był ofiarodawca. Przy pustym żołądku wino natychmiast poszło mu do głowy.

— Nie brak mocy twojemu cienkuszowi — powiedział już mocno podchmielony.

— Gdzież tam, jest nieszkodliwe, przy każdym posiłku wypijam dwie butelki. Czekaj, noc jest piękna, usiądźmy na trawie, odpoczniesz chwilę i napijesz się do woli. Mam czas, bylebym dojechał do Noyon przed dziesiątą, kiedy zamykają bramy. Jeśli idzie o ciebie, to chociaż Auvray trzyma z Francją, możesz się tam natknąć na kłopotliwe patrole, kiedy o takiej porze będziesz szedł główną drogą. A jeśli zejdziesz z niej w bok, znowu zabłądzisz. Lepiej zatrzymać się i

porozmawiać po przyjacielsku przez kilka minut. Gdzie dostałeś się do niewoli?

— Nie wiem dokładnie. W tej sprawie, równie jak prawie w całym moim skromnym życiu istnieją dwie sprzeczne wersje: to, co sądzę, i to, co mi mówią. Zapewniają mnie, że poddałem się podczas bitwy pod Saint–Laurent. A ja przypominam sobie, że nie było mnie tam w owym czasie i że wpadłem w ręce nieprzyjacielskiego oddziału znacznie później.

— Jak to pojmujesz? — spytał Arnold udając zdziwienie. — Masz dwie historie życia! Twoje przygody wydają mi się ciekawe i pouczające. Muszę ci rzec, że lubię, kiedy ktoś opowiada, lubię aż do zapamiętania. Pociągnij z pięć, sześć łyków, żeby pobudzić pamięć, i opowiedz mi o swym życiu. Nie pochodzisz z Pikardii?

— Nie — odpowiedział Marcin po przerwie, podczas której opróżnił bukłak do trzech czwartych. — Nie, jestem z południa, z Artiques.

— Ponoć to piękny kraj. Masz tam rodzinę?

— Rodzinę i żonę, drogi przyjacielu — odpowiedział Marcin, który dzięki cypryjskiemu winu stał się bardzo ufny i wylewny.

Pod wpływem pytań Arnolda i ciągłego popijania zaczął opowiadać z upodobaniem swoje dzieje z najdrobniejszymi szczegółami: o młodości, miłostkach, małżeństwie: że jego żona jest czarująca, ma jeno mały defekt w ręce, ma ją zbyt szczodrą i za bardzo ciężką jednocześnie. Zaiste, policzek otrzymany od niewiasty nie przynosi ujmy mężczyźnie, ale przykro jest ciągle to znosić. Dlatego opuścił swą nadmiernie porywczą małżonkę. Opowiadał z podaniem wszelkich okoliczności, przyczyn, faktów i skutków separacji. A jednak w głębi serca kochał ciągle drogą Bertrandę! Nosił na palcu żelazną obrączkę małżeńską, a na sercu kilka listów od żony, bo Bertranda pisała do niego po pierwszym rozstaniu. Opowiadając o tym płakał poczciwy Marcin. Roztkliwiał się pod wpływem wina. Chciał opowiedzieć Jeszcze, co mu się przydarzyło w czasie służby u wicehrabiego d'Exmès, że ścigał go demon, że miał w sobie dwie istoty i nie mógł się połapać w swoich obu egzystencjach. Ta część opowiadania mniej interesowała Arnolda. Ciągle naprowadzał go na czasy dzieciństwa, rodzinnego domu, przyjaciół i krewnych z Artigues, do wdzięków i wad Bertrandy.

W ciągu niespełna dwóch godzin przewrotny Arnold du Thill dzięki sprytnemu wypytywaniu dowiedział się wszystkiego, czego chciał, o nawykach i najintymniejszych sprawach Marcina.

Zanim minęły dwie godziny, Marcin z ciężką głową wstał albo raczej usiłował wstać. Zachwiał się i opadł z powrotem jak kłoda.

— Co się dzieje? — rzekł wybuchając śmiechem, który rozlegał się długo, zanim ścichnął. — Niech Bóg mnie skarze, bezczelne wino czyni swoje. Podaj mi rękę, kolego, żebym zdołał stanąć na nogi.

Arnold podniósł go z wysiłkiem i postawił, ale nie w klasycznej równowadze.

— Hola! Ile latarni! — krzyknął Marcin. — Ale jestem głupi! Gwiazdy biorę za latarnie!

Zaczął śpiewać donośnym głosem:

Czy mi przyślesz, cholera,
Zagrychy do wina
Z karczmy biesa, syna
Starego Lucyfera.

— Bądź cicho! — krzyknął Arnold. — Uspokój się! A jeśli usłyszy cię jakiś przechodzący niedaleko oddział nieprzyjacielski?

— Co tam! Gwiżdżę na to — odpowiedział Marcin. — Co mogą mi uczynić? Powiesić? Całkiem dobrze jest wisieć. Za dużo dałeś mi pić, kamracie. Jestem zwykle wstrzemięźliwy jak

jagnię, nie umiem walczyć po pijanemu, byłem na czczo, byłem głodny, a teraz chce mi się pić.

Czy mi przyślesz, cholera…

— Cicho! — nakazał Arnold. — Chodźmy. Staraj się maszerować. Czy nie chciałbyś przespać się w Auvray?

— O tak, spać! Ale nie w Auvray, tutaj na trawie, pod latarnią dobrego Pana Boga!

— A jutro rano hiszpański patrol cię znajdzie i pośle spać do diabła.

— Do starego zbereźnika Lucyfera? Wolą jednak wziąć się w garść i powlec się do Auvray. To tam, prawda? Pójdę.

Na próżno starał się, tak się zataczał, zakreślał takie zygzaki, że Arnold w obawie, by Marcin znowu nie zabłądził, to znaczy — nie ocalał, wolał mu trochę dopomóc. Ocalenie nie byłoby po myśli nikczemnika.

— Chodź! — rzekł do biedaczyska Marcina. — Mam litościwe serce. Auvray nie jest stąd daleko. Zaprowadzę cię. Odwiążę konia, poprowadzę za uzdę i będę cię trzymał pod rękę.

— Dalibóg, że pochwalam pomysł. Nie mam w sobie dumy i mówiąc między nami, przyznam ci się, że jestem nieco pijany. Powtarzam swoją opinię: twój trunek rozgrzewa. Czuję się bardzo szczęśliwy, ale nieco zalany.

— Ruszajmy w drogę, jest późno — rzekł Arnold du Thill, prowadząc swego sobowtóra prosto do bramy posterunku w Noyon. — Aby nam się nie dłużyło, może mi opowiesz jeszcze jakąś historyjkę z Artigues.

— Czy chcesz, żebym ci opowiedział historię o Papotte? Ach, ta biedna Papotte!

Epos o Papotte jest zanadto rozwiązły, żeby go tu podać. Był prawie na ukończeniu, kiedy z wielkim trudem dwóch Menaechmów z szesnastego wieku doszło do bramy w Noyon.

— Tam! Nie mam potrzeby iść dalej. Widzisz bramę? To brama Auvray. Zastukasz, strażnik przyjdzie ci otworzyć. Powołasz się na mnie, Bertranda, on wskaże ci o dwa kroki dalej mój dom. Tam przyjmie cię mój brat, dostaniesz dobrą wieczerzę i wygodne posłanie. A zatem żegnaj, kolego. Tak, ostatni uścisk dłoni i żegnaj!

— Zostań z Bogiem, dziękuję — odpowiedział Marcin. — Jestem tylko biedakiem, który nie ma czym ci się odwdzięczyć za to, co uczyniłeś. Ale bądź spokojny. Dobry Bóg jest sprawiedliwy, odpłaci ci z nawiązką. Żegnaj, przyjacielu.

Dziwna rzecz! Przepowiednia pijanego wprawiła w drżenie Arnolda. Chociaż nie był przesądny, nastał moment, kiedy chciał przywołać Marcina z powrotem. Ale giermek już dobijał się do bramy.

Biedaczysko! Puka do swego grobowca! — myślał Arnold. — Co tam, to fraszka!

Tymczasem Marcin, który dobrze wiedział, że towarzysz podróży obserwuje go z daleka, zawołał donośnie:

— Hej, strażniku! Hej, cerberze! Zechciej mi otworzyć, chamie! Bertrand mnie przysyła, zacny Bertrand.

— Kto tam? — zapytał z wewnątrz strażnik. — Już nie mogę otworzyć. Kim jesteś, że czynisz tyle hałasu?

— Kim jestem? A to bałwan! Jestem Marcin Guerre albo, jeśli wolisz, Arnold du Thill, albo, jeśli sobie życzysz, przyjaciel Bertranda. Jest we mnie kilku, zwłaszcza kiedy piję. Mieszczę w sobie ze dwudziestu zuchów, wychłoszczemy cię mocno, jeśli nie otworzysz natychmiast.

— Arnold du Thill? Jesteś Arnold du Thill? — upewniał się wartownik.

— Tak Arnold du Thill, do stu tysięcy diabłów — odrzekł Marcin dobijając się do bramy nogami i pięściami.

Wtedy za bramą powstała wrzawa wśród żołnierzy przywołanych przez strażnika. Rozwarto wierzeje, świecąc latarnią. Arnold du Thill, ukryty wśród drzew w pewnej odległości, usłyszał głosy wołające ze zdziwieniem: To on, słowo daję! To on, do licha!

Marcin Guerre rozpoznał swoich dręczycieli i krzyknął z rozpaczy. Do kryjówki Arnolda krzyk ów dotarł jako przekleństwo.

Później Arnold wywnioskował z bieganiny i krzyków, że dzielny Marcin, czując się zgubiony, toczył niesłychaną walkę. Ale miał jedynie dwie pięści przeciw dwudziestu szpadom. Wrzawa przycichła, oddaliła się i całkiem ustała. Uprowadzono Marcina, który klął i złorzeczył.

Obelgami i pięściami chce załatwić sprawę! — mówił do siebie Arnold zacierając ręce z radości.

Kiedy nic już nie było słychać, podczas kwadransa oddawał się rozmyślaniom, bo bardzo wielkim, skończonym łajdakiem był Arnold du Thill. W wyniku medytacji wszedł głębiej w las trzysta, czterysta kroków, uwiązał konia do pnia, położył na ziemi na zeschłych liściach siodło i czaprak, otulił się płaszczem i po kilku minutach zasnął snem sprawiedliwego. Bóg zsyła sen zarówno zatwardziałemu złoczyńcy, jak i bogobojnemu człowiekowi bez zmazy.

Spał osiem godzin bez przerwy.

Kiedy się obudził, było jeszcze ciemno. Z położenia gwiazd ocenił, że jest około czwartej nad ranem. Wstał, przeciągnął się i nie odwiązując konia ostrożnie przemknął aż do traktu.

Na szubienicy, którą mu wczoraj pokazano, łagodnie się kołysało ciało biednego Marcina.

Wstrętny uśmiech błąkał się na wargach Arnolda. Bez drżenia zbliżył się do trupa. Ale ciało wisiało za wysoko, żeby go dosięgnąć. Wdrapał się na słup szubienicy ze szpadą w ręce i osiągnąwszy niezbędną wysokość przeciął sznur ostrzem szpady.

Ciało spadło na ziemię.

Arnold zsunął się ze słupa, zdjął trupowi z palca żelazny pierścień, który nie przedstawiał wartości, pogrzebał na piersi wisielca i znalazł papiery, złożył je starannie, włożył płaszcz i odszedł spokojnie, bez oglądania się wstecz, bez modlitwy za nieszczęśliwca, którego tak zadręczał za życia i okradł po śmierci.

Odszukał konia w zaroślach, osiodłał i galopem ruszył w stronę Aulnay. Był zadowolony, łotr nad łotrami. Już nie obawiał się Marcina.

W pół godziny później słaby świt zajaśniał na wschodzie. Jakiś drwal przechodził przypadkowo drogą, ujrzał odcięty sznur szubienicy i wisielca leżącego na ziemi. Zbliżył się na poły ze strachem, na poły z ciekawością. Trup miał odzież w nieładzie i sznur dość luźno założony wokół szyi. Zadawał sobie pytanie, czy ciężar ciała zerwał sznur, czy też jakiś przyjaciel odciął go zbyt późno. Zdobył się na dotknięcie ciała, aby się upewnić, że na pewno jest martwe.

Ale wtedy ku wielkiemu jego przerażeniu wisielec poruszył głową i rękoma, podniósł się na kolana. Przerażony drwal uciekał co sił w nogach przez las, żegnając się znakiem krzyża i oddając w opiekę Boga i wszystkich świętych.

XLII. SIELANKOWE MARZENIA ARNOLDA

Konetabl de Montmorency dopiero dzień wcześniej powrócił do Paryża dzięki temu, że król zapłacił zań okup. Stawił się rano w Luwrze, aby wybadać, czy cieszy się nadal łaską króla. Henryk II przyjął go ozięble i z powagą. Wychwalał zarządzenia diuka de Guise, który zabrał się do zapobiegania nieszczęściom i naprawy sytuacji w królestwie.

Konetabl, blady ze złości i zawiści, liczył, że znajdzie pociechę u Diany de Poitiers. Ale faworyta zmroziła go chłodem. Montmorency żalił się na takie przyjęcie i okazywał obawę, czy przez swą nieobecność nie poniósł uszczerbku, może ktoś szczęśliwszy od niego pozyskał łaski diuszesy.

— Ani słowa więcej! — impertynencko odrzekła pani de Poitiers. — Czy znasz nowe porzekadło ludu paryskiego?

— Dopiero co przybyłem, pani, nie znam — wyjąkał konetabl.

— No więc słuchaj, co mówi złośliwy lud: C'est aujourd'hui la Saint Laurent, qui quitte sa place la rend!

Konetabl zsiniał, ukłonił się diuszesie i wyszedł z Luwru ugodzony w serce.

Powrócił do swego pałacu, wszedł do komnaty i rzucił z impetem kapelusz na posadzkę.

— Ach ci królowie i damy, niewdzięcznicy! Lubią jedynie sukcesy.

— Jaśnie panie — rzekł lokaj — jakiś mężczyzna chce z tobą mówić.

— Niech się wynosi do diabła! Akurat jestem usposobiony do przyjmowania kogokolwiek! Odeślij go do pana de Guise.

— Wasza Wielmożność, ów mężczyzna prosił, bym rzekł, że zwie się Arnold du Thill.

— Arnold du Thill! — wykrzyknął zaskoczony konetabl. — To co innego, niech wejdzie.

Lokaj złożył ukłon i oddalił się.

Arnold jest sprytny, chytry, zachłanny, bez żadnych skrupułów, bez sumienia. Gdyby mógł mi dopomóc w zemście na tych wszystkich ludziach! Mścić się? Co przez to osiągną? Gdyby mi raczej dopomógł powrócić do łask. Wie sporo. Myślałem już o ujawnieniu tajemnicy o hrabi de Montgomerym. Ale jeśli Arnold zdoła coś uczynić, byłoby lepiej żebym się do tego nie uciekał.

Wtedy wprowadzono Arnolda.

Radość i bezczelność malowały się na twarzy łajdaka. Pokłonił się konetablowi do samej ziemi.

— Myślałem, że jesteś jeńcem — rzekł Montmorency.

— Byłem, Wasza Miłość, podobnie jak ty.

— Ale wydobyłeś się z niewoli, jak widzę.

— Tak, dostojny panie, zapłaciłem im swoją monetą, lisią monetą. Ty, panie, posłużyłeś się pieniędzmi, a ja sprytem. Oto obaj jesteśmy wolni.

— Czy to ma być impertynencja, łotrze? — spytał konetabl.

— Nie, Wasza Wielmożność, to pokora. Ma to znaczyć, że mi brak pieniędzy, i tyle.

— Hm — mruknął Montmorency — czego chcesz ode mnie?

— Pieniędzy, bo mi ich brak, dostojny panie.

— A po co miałbym ci dawać pieniądze?

— Aby mi zapłacić, Wasza Wielmożność — odrzekł szpicel.

— Za co ci zapłacić?

— Za nowiny, jakie przynoszę.

— Posłuchajmy, co to za nowiny.

— Zobaczmy pierwej dukaty.

— A jeśli każę cię powiesić, błaźnie?

— Okropny sposób na rozwiązanie języka, abym go wywiesił.

Zachowuje się bezczelnie, pewnie wie coś ważnego — pomyślał Montmorency.

— Dobrze — powiedział głośno — zgadzam się uczynić co nieco dla ciebie.

— Wasza Miłość jest bardzo dobry i przypomnę owe słowa wspaniałomyślne, kiedy mi uregulujesz swe długi przeszłości.

— Jakie długi?

— Oto rachunek, dostojny panie — rzekł Arnold podając mu sławetną kartkę, którą na naszych oczach uzupełniał.

Annasz de Montmorency rzucił na nią okiem.

— Tak, obok usług całkiem nierealnych i iluzorycznych są tu usługi, które mogłyby mi się przydać w momencie, kiedy je świadczyłeś, ale dzisiaj na nic mi się nie zdadzą, budzą tylko żale.

— Ba, wielmożny panie, może przesadzasz także co do niełaski.

— Co? Zatem już wiadomo, że popadłem w niełaskę?

— Wiele osób tego się domyśla i ja także.

— A więc, Arnoldzie, powinieneś zdawać sobie sprawę, że na nic mi wiadomość, że wicehrabia d'Exmès i Diana de Castro byli każde osobno w Saint–Quentin, bo wedle wszelkiego prawdopodobieństwa król i diuszesa nie zechcą dać córki memu synowi — rzekł Montmorency ze smutkiem.

— Dalibóg, Wasza Wielmożność, ja sądzę, że król z chętnego serca ci ją da, jeśli mu ją zwrócisz.

— Co chcesz powiedzieć?

— Mówię, Wasza Miłość, że nasz pan, Henryk II, jest chyba w obecnej chwili wielce zmartwiony nie tylko utraceniem miasta Saint–Quentin i bitwą pod Saint–Laurent, ale także utratą ukochanej córki Diany de Castro, która zniknęła po oblężeniu Saint–Quentin. Nie wiadomo właściwie, co się z nią stało. Ze dwadzieścia różnych wersji krążyło na ten temat. Powróciłeś dopiero wczoraj, więc może o tym nie wiesz, panie. Ja także dowiedziałem się dzisiejszego ranka.

— Mam zaiste wiele innych trosk! Winienem raczej myśleć o obecnej niełasce niż o łaskach, jakich dawniej doświadczałem.

— Słusznie. Ale czyż nie przywrócą ci łask, dostojny panie, kiedy przyjdziesz do króla i rzekniesz mu: Sire, opłakujesz córkę, szukasz jej wszędzie, wypytujesz wszystkich o nią. Ja jeden wiem, gdzie ona jest, Najjaśniejszy Panie.

— Czyżbyś to wiedział, Arnoldzie? — żywo spytał konetabl.

— Wiedzieć to moje rzemiosło — odpowiedział szpieg. — Rzekłem ci, że mam wieści na sprzedaż. Widzisz, że mój towar nie jest pośledniej jakości. Rozmyślasz nad tym? Rozmyślaj, dostojny panie.

— Zastanawiam się nad tym, że królowie pamiętają niepowodzenia swoich sług, a nie ich? zasługi. Kiedy zwrócę córkę Henrykowi II, z początku będzie uniesiony radością, złota i wszelkich zaszczytów nie starczy mu do opłacenia mnie. A potem Diana będzie płakała, Diana rzeknie, że woli innego niż mojego syna. Król pod jej wpływem, pod wpływem moich wrogów przypomni sobie o przegranej bitwie, a zapomni, że mu odnalazłem córkę. Tak więc wszelkie moje wysiłki będą zmierzały do tego, by zapewnić szczęście wicehrabiemu d'Exmès.

— A więc należy się postarać, aby wicehrabia d'Exmès zniknął wtedy, kiedy odnajdzie się pani de Castro. Byłaby to dobra sztuczka! — rzekł Arnold ze złośliwym uśmiechem.

— Tak, ale są to środki ostateczne, którymi nie mogę się posługiwać. Wiem, że masz pewną

rękę i potrafisz milczeć, jednak…

— Wasza Wielmożność, źle pojąłeś moje intencje — odezwał się Arnold udając oburzenie. — Rzucasz na mnie kalumnie. Przypuszczałeś, że zechcę cię uwolnić od owego młodzieniaszka gwałtownym postępkiem. — Uczynił wymowny gest. — Nie, stokroć nie! Można inaczej, lepiej.

— Co masz na myśli? — żywo spytał konetabl.

— Najpierw uporządkujemy nasze sprawy, dostojny panie. Podam ci miejsce, gdzie przebywa zbłąkana łania. Zapewnię ci nieobecność i milczenie rywala diuka Franciszka co najmniej do czasu potrzebnego na zawarcie małżeństwa. To są dwie znakomite usługi, Wasza Miłość. A ty ze swej strony co uczynisz dla mnie?

— Czego żądasz?

— Jesteś rozsądny, więc ja także taki będę. Najpierw uregulujesz bez targu mały zaległy rachunek, który ci pokazałem.

— Zgoda.

— Wiedziałem, że nie będziemy mieli trudności w tej sprawie. Sumka jest nędzna i nie starczy mi jej na opłacenie kosztów podróży i zakup kilku podarunków, zanim opuszczę Paryż. Ale złoto nie jest wszystkim na tym świecie.

— Co? — spytał konetabl zdziwiony i prawie przerażony. — Czy to Arnold du Thill mi powiada, że złoto to jeszcze nie wszystko?

— Arnold du Thill we własnej osobie, Wasza Wielmożność, ale to już nie Arnold du Thill, jakiego znałeś, nędzarz i chciwiec. Nie to inny Arnold du Thill, zadowolony ze swej skromnej fortuny, którą zdobył. Nie mam innego pragnienia jak spędzić spokojnie resztę życia w rodzinnych stronach, pod ojcowskim dachem, wśród przyjaciół dzieciństwa, na łonie rodziny. Było to zawsze moim marzeniem, dostojny panie. Oto spokojny i pełen uroku cel mojego ruchliwego życia.

— Tak, w samej rzeczy, jeśli dla zakosztowania spokoju trzeba przejść przez burzę, będziesz szczęśliwy, Arnoldzie. Wzbogaciłeś się zatem?

— W miarę, panie, w miarę jestem zadowolony. Dziesięć tysięcy talarów dla takiego biedaka jak ja to już fortuna, zwłaszcza w mojej lichej wiosce, na łonie skromnej rodziny.

— Twoja rodzina! Twoja wioska! Myślałem, że nie masz domowego ogniska ni ziemi, że żyjesz od przypadku do przypadku w przygodnym odzieniu i pod fałszywym nazwiskiem.

— Arnold du Thill jest w rzeczy samej przybranym nazwiskiem, Wasza Wielmożność. Moje prawdziwe imię brzmi Marcin Guerre, urodziłem się w wiosce Artigues w pobliżu Rieux. Tam zostawiłem żonę i dzieci.

— Żonę? Dzieci? — powtarzał stary Montmorency coraz bardziej zdumiony.

— Tak, Wasza Miłość. — Arnold uderzył w ton sentymentalny bardzo śmiesznie: — Muszę z góry uprzedzić, żebyś nie liczył w przyszłości na moje usługi. Te dwa wybiegi, które ci ofiarowuję w obecnej chwili, to już ostatnie. Wycofuję się z takich spraw, chcę żyć odtąd uczciwie, otoczony miłością krewnych i szacunkiem obywateli.

— A to dopiero! Jeśli stałeś się taki skromny i sielankowy, że nie chcesz mówić o pieniądzach, czego żądasz jako ceny za posiadane tajemnice?

— Żądam więcej i mniej zarazem niż pieniędzy — odrzekł Arnold swoim zwykłym tonem. — Żądam honoru, a nie zaszczytów. Jedynie odrobinę honoru. Przyznaję się, że pilnie mi go potrzeba.

— Mów jaśniej. Mówisz w samej rzeczy zagadkowo.

— Przygotowuję pismo zaświadczające, że ja, Marcin Guerre, pozostawałem na twoich usługach podczas wielu lat jako… jako giermek. Trzeba rzecz upiększyć. Że przez ten czas służyłem ci lojalnie, wiernie i z oddaniem. Że zechciałeś mnie wynagrodzić, panie, za moją

wierność darem, pokaźną sumką, abym spędził resztę życia zabezpieczony. U dołu pisma przyłożysz swą pieczęć i umieścisz podpis. Będziemy skwitowani, Wasza Wielmożność.

— To niemożliwe. Naraziłbym się na zarzut fałszerstwa. Nazwanoby mnie fałszerzem i łamiącym prawo, gdybym podpisał podobne kłamstwa.

— To nie są kłamstwa, Wasza Wielmożność. Zawsze wiernie ci służyłem… wedle możności. Przyznaję, że gdybym oszczędzał pieniądze otrzymane od ciebie, panie, do chwili obecnej suma przekroczyłaby dziesięć tysięcy talarów. Nie narażasz się zatem na żadne kłamstwo. Wierz mi, że straszliwie się narażałem, żeby doprowadzić do szczęśliwego końca twoje sprawy, a ty zbierasz jeno owoce.

— Nikczemniku! Takie porównanie…

— Jest właściwe, Wasza Miłość. Potrzebujemy jeden drugiego. Równość jest córką konieczności. Szpieg daje ci, co posiada, ty daj także szpiegowi. Nikt nas nie słyszy, dostojny panie. Bez fałszywego wstydu zakończ targ. Jest pomyślny dla mnie, ale korzystniejszy dla ciebie. Z rączki do rączki. Podpisz, dostojny panie.

— Nie, później — odpowiedział Montmorency. — Z rączki do rączki, jak mówisz. Chcę przedtem poznać sposoby, jakimi osiągniesz owe dwa rezultaty, jakie mi obiecujesz. Chcę wiedzieć, co się stało z Dianą de Castro i co się stanie z wicehrabią d'Exmès.

— Dobrze. Poza pewnym przemilczeniem, które uważam za niezbędne, chcę cię zadowolić co do obu spraw. Będziesz musiał przyznać, że przypadek i ja dobrze załatwiliśmy sprawy w twoim interesie.

— Słucham.

— Najpierw o pani de Castro. Nie została ona ani zabita, ani porwana, ale stała się branką w Saint–Quentin wraz z pięćdziesiątką innych notabli, za których miano dostać okup. A teraz pytanie: dlaczego ten, w czyje ręce wpadła, nie pochwalił się swoją zdobyczą? Czemu pani de Castro sama nie przesłała wieści? Tego nie wiem. Prawdę mówiąc, sądziłem, że jest wolna. Po przybyciu do Paryża przypuszczałem, że ją tutaj zastanę. Dopiero dzisiaj rano usłyszałem, że na dworze nie wiedzą, co się stało z królewną, i że jest to jedna z nie najmniejszych trosk Henryka II. W czasach ogólnych zamieszek wiadomość od pani Diany mogła zaginąć lub zabłąkać się, a może kryje się w tym jakaś inna tajemnica. Mogę rozwiać wszelkie wątpliwości na ten temat i wskazać, gdzie przebywa uwięziona pani de Castro.

— Wiadomość jest cenna w rzeczy samej — przyznał konetabl. — Jakie to miejsce i kto ją więzi?

— Poczekaj, dostojny panie. Czy nie chciałbyś tak samo dowiedzieć się o wicehrabi d'Exmès? Dobrze jest wiedzieć, gdzie są przyjaciele, ale jeszcze lepiej znać miejsce pobytu wrogów.

— Worek maksym! Gdzież jest ów d'Exmès?

— Również jest jeńcem, dostojny panie. Kto nie był jeńcem w ostatnich czasach? To jest w modzie. Otóż wicehrabia d'Exmès podporządkował się modzie i jest uwięziony.

— Ale on może przesłać wieści o sobie. Ma przyjaciół, ma pieniądze. Będzie miał czym zapłacić okup i któregoś pięknego dnia spadnie nam na głowę.

— Bardzo słusznie to wywiodłeś, dostojny panie. Tak, wicehrabia d'Exmès ma pieniądze. Niecierpliwie czeka na wyswobodzenie i chce zapłacić okup możliwie jak najszybciej." Nawet wysłał kogoś do Paryża po talary, by przywieziono mu jak najprędzej cenę jego wolności.

— Co na to poradzić?

— Ależ na szczęście dla nas, a na jego nieszczęście, ten ktoś, kogo wysłał do Paryża w wielkim pośpiechu, to ja, Wasza Wielmożność. Służyłem u wicehrabiego d'Exmès pod moim prawdziwym nazwiskiem, Marcin Guerre, jako giermek. Widzisz więc, że mogę być giermkiem,

wcale nie brak temu prawdopodobieństwa.

— I nie wypełniłeś polecenia, łobuzie? Nie odebrałeś okupu dla swego rzekomego pana?

— Odebrałem skrupulatnie, Wasza Wielmożność, takich spraw się nie zaniedbuje. Pomyśl zresztą, że gdybym nie odebrał pieniędzy, wzbudziłbym podejrzenie. Wziąłem skrupulatnie dla dobra sprawy. Bądź spokojny, nie zawiozę mu ich pod żadnym pretekstem. To właśnie owe dziesięć tysięcy talarów, które mi pomogą spędzić pobożnie i uczciwie resztę życia. Będę je zawdzięczał twojej szczodrobliwości, dostojny panie, zgodnie z dokumentem, który podpiszesz.

— Nie podpiszę, nikczemniku. Nie stanę się świadomie wspólnikiem kradzieży.

— Och, Wasza Wielmożność, czemu nazywasz tak twardym słowem konieczność, jakiej ulegam, żeby ci oddać przysługę? Każę milczeć swemu sumieniu przez przywiązanie i tak oto mnie wynagradzasz! Zgoda! Niech tak będzie, odeślijmy wicehrabiemu d'Exmès ową kwotę, on znajdzie się tutaj jednocześnie z panią Dianą, jeśli nie wcześniej. A gdyby jej nie otrzymał…

— Gdyby jej nie otrzymał? — powtórzył konetabl.

— Zyskamy na czasie, pan d'Exmès będzie czekał na mnie cierpliwie przez dwa tygodnie. Potrzeba czasu, żeby zgromadzić kwotę dziesięciu tysięcy talarów, a jego piastunka dopiero dzisiaj rano mi ją doręczyła.

— Zaufała ci, biedna niewiasta?

— Zaufała mnie, pierścieniowi i pismu od wicehrabiego. Poznała mnie. Powiedzmy zatem: dwa tygodnie cierpliwego oczekiwania, tydzień niecierpliwego czekania i następny tydzień czekania z rozpaczą. Dopiero za miesiąc, za półtora zrozpaczony wicehrabia d'Exmès wyśle innego posłańca na poszukiwanie pierwszego. Ale pierwszy się nie odnajdzie. Trudno jest zebrać dziesięć tysięcy talarów, ale znaleźć dziesięć następnych to już niemożliwe. Będziesz miał dość czasu na ożenienie syna dwadzieścia razy. Wicehrabia d'Exmès zniknie, jakby poległ dwa miesiące wcześniej. Powróci żywy i wściekły dopiero w przyszłym roku.

— Tak, ale powróci! I będzie się dowiadywał, co się stało z jego dobrym giermkiem Marcinem Guerre!

— Niestety — żałośnie przyznał Arnold — trzeba mu odpowiedzieć to, co z żalem ci głoszę, że wierny Marcin Guerre z okupem w powrotnej drodze do swego pana wpadł nieszczęśliwie w ręce oddziału Hiszpanów. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa obrabowali go i ogołocili ze wszystkiego, a potem z okrucieństwem powiesili przy bramie do Noyon, żeby zapewnić sobie jego milczenie.

— Jak to, Arnoldzie, będziesz wisiał?

— Wisiałem, Wasza Wielmożność. Widzisz jak daleko posuwa się moja gorliwość. Jedynie będą rozmaite wersje co do daty powieszenia. Nie będą się zgadzały. Ale czy ktoś uwierzy rajtarom, rabusiom, w których interesie leży przeinaczać prawdę? — wesoło i rezolutnie rzekł bezwstydny Arnold. — Pomyśl, Wasza Wielmożność, że zachowałem wszelkie środki ostrożności, że skoro jestem takim doświadczonym chwatem, nie grozi niebezpieczeństwo, by Wasza Ekscelencja został skompromitowany. Gdyby roztropność została wygnana z ziemi, ukryłaby się w sercu wisielca. Zresztą, powtarzam, potwierdzisz tylko, prawdę. Służę ci od dawna, wielu twoich ludzi może to potwierdzić równie jak ty. Dałeś mi dziesięć tysięcy talarów, bądź tego pewny. Czy chcesz, żebym ci dał pokwitowanie? — wspaniałomyślnie spytał Arnold.

Konetabl nie zdołał się powstrzymać od uśmiechu.

— Tak, łajdaku, ale jeśli w sumie…

Arnold du Thill mu przerwał:

— Ależ, dostojny panie, wahasz się jedynie przez czystą formalność, a po co formalności dla wyższych umysłów, podpisz bez skrupułów.

Położył na stole przed konetablem arkusz papieru i czekał na podpis.

— Ale przedtem podaj nazwę miasta i nazwisko człowieka, który więzi Dianę de Castro.

— Nazwisko za nazwisko, panie. Twoje u dołu arkusza, a dowiesz się.

— Dobrze.

Montmorency nakreślił energicznie znak, który mu służył za podpis.

— A pieczęć, jaśnie panie?

— I pieczęć. Jesteś zadowolony?

— Tak jakby dostojny pan podarował mi dziesięć tysięcy talarów.

— No dobrze. Gdzie jest Diana?

— W rękach lorda Wentwortha w Calais — odpowiedział Arnold, chcąc zabrać konetablowi manuskrypt, który Montmorency jeszcze trzymał w ręce.

— Czekaj, a wicehrabia d'Exmès?

— W Calais, w rękach lorda Wentwortha.

— A zatem on widuje sięz Dianą?

— Nie, Wasza Wielmożność. Mieszka u płatnerza Piotra Peuquoy, a ona przebywa w rezydencji zarządcy miasta. Wicehrabia d'Exmès wcale nie wie, że jego ślicznotka jest blisko.

— Biegnę do Luwru — rzekł konetabl wypuszczając dokument z rąk.

— A ja ruszam do Artigues — zawołał z triumfem Arnold. — Życzę szczęścia, dostojny panie! Staraj się nie być w przyszłości konetablem na pośmiewisko!

— Powodzenia, łajdaku! Staraj się, żeby cię nie powieszono na dobre!

Rozeszli się w dwie różne strony.

XLIII. BROŃ PIOTRA, SZNURY JANA I LAMENTY BABETKI

Minął prawie cały miesiąc nie przynosząc niestety zmiany w położeniu tych, których pozostawiliśmy w Calais. Piotr ciągle kuł wiele broni, Jan zabrał się do tkania, a w wolnych chwilach sporządzał liny niesłychanej długości. Babetka chodziła zapłakana.

Jeśli chodzi o Gabriela, jego czekanie przechodziło fazy, jakie przewidywał Arnold w rozmowie z konetablem. Czekał cierpliwie dwa tygodnie. Później zaczął się niepokoić. Rzadko chodził do lorda Wentwortha, składał mu jedynie krótkie wizyty. Zapanowała między nimi oziębłość od dnia, kiedy Gabriel nierozważnie wmieszał się w rzekomo rodzinne sprawy zarządcy.

Możemy rzec z satysfakcją, że lord z każdym dniem stawał się smutniejszy. Niepokoiło go jednak coś innego, nie trzej wysłańcy króla Francji, którzy przybyli w krótkich odstępach czasu jeden po drugim po odjeździe Arnolda. Wszyscy trzej, pierwszy z wyszukaną grzecznością, drugi ostro, a trzeci z groźbami domagali się oczywiście tego samego, uwolnienia pani de Castro ofiarowując okup, którego wysokość pozostawiono do ustalenia przez samego zarządcę. Wszyscy trzej otrzymali taką samą odpowiedź: że chce zatrzymać panią de Castro jako zakładniczkę do wymiany w razie potrzeby za jakiegoś znaczniejszego jeńca, jeśli wojna będzie trwała, albo zwróci ją królowi bez okupu w razie pokoju. Był w prawie tak postąpić, a za osłoną silnych fortyfikacji dzielnie się przeciwstawiał gniewowi Henryka II.

Nie jego gniew wprowadzał go w rozterkę, chociaż zadawał sobie pytanie, w jaki sposób król mógł się dowiedzieć o uwięzieniu Diany. Popadał w rozdrażnienie z powodu coraz to bardziej wzgardliwej obojętności pięknej branki. Ani ustępliwość, ani uprzejmość nie zdołały ułagodzić dumnego i wyniosłego postępowania pani de Castro. Pozostawała ciągle smutna, spokojna i pogardliwa wobec płonącego namiętnością lorda. Skoro tylko odważył się wyrzec choćby słówko o miłości, zachowując jednak rezerwę, jaką mu nakazywała pozycja dobrze urodzonego, bolesne i dumne zarazem spojrzenie Diany łamało mu serce i urażało ambicję. Biedny lord Wentworth nie ośmielił się nic rzec Dianie na temat listu napisanego przez nią do Gabriela ani o staraniach króla o uwolnienie córki, tak wielce obawiał się gorzkiego słowa, ironicznej wymówki z jej uroczych, a okrutnych usteczek.

Diana nie ujrzała już więcej w rezydencji owej pokojówki, której odważyła się oddać list. Zrozumiała, że przez ów rozpaczliwy krok utraciła szanse. Jednak odwaga nie opuszczała niewinnej, pełnej godności dziewczyny. Czekała, modliła się. Zdała się na Boga, w razie konieczności na śmierć.

Ostatni dzień października Gabriel wyznaczył sobie jako termin czekania na Marcina. Postanowił udać się do lorda Wenwortha i poprosić go o zezwolenie na wysłanie do Paryża innego gońca.

Około drugiej godziny wyszedł z domu rodziny Peuquoy. Piotr szlifował jakąś szpadę, Jan plótł długą linę, a Babetka z oczyma zaczerwienionymi od łez kręciła się wokół niego, nie mogąc znaleźć okazji do swobodnej rozmowy. Gabriel poszedł prosto do rezydencji zarządcy.

Lord Wentworth był w owej chwili zajęty i poprosił Gabriela, by zaczekał pięć minut, wkrótce będzie do jego dyspozycji.

Sala, w której przebywał Gabriel, wychodziła na wewnętrzny dziedziniec. Gabriel zbliżył się do okna, żeby wyjrzeć na podworzec. Odruchowo palce jego przesunęły się po szybie. Nagle wyczuł litery wyżłobione w szkle diamentem pierścienia. Przyjrzał się im i wyraźnie odczytał słowa DIANA DE CASTRO. To był podpis, którego brakowało pod tajemniczym listem,

otrzymanym miesiąc wcześniej.

Mgła przesłoniła oczy Gabriela. Musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść. A więc nie kłamało jego wewnętrzne przeczucie. A więc jednak to była Diana, narzeczona lub siostra, to ją rozpustny Wentworth dzierżył w swej władzy. Nikczemny, owej słodkiej dziewczynie ośmielał się mówić o miłości. Mimowolnym gestem Gabriel wyciągnął rękę ku gardzie szpady, której nie miał. Wtedy wszedł lord Wentworth. Jak za pierwszym razem Gabriel bez słowa powiódł go do oknami pokazał oskarżycielski podpis. Lord najpierw zbladł, po chwili odzyskał panowanie nad sobą, co umiał znakomicie czynić i spytał?

— No więc co?

— Czy to nie nazwisko owej obłąkanej damy, owej krewnej, którą jesteś zmuszony trzymać u siebie, milordzie?

— Możliwe, i co z tego? — odrzekł zarządca miasta z wyniosłą miną.

— Jeśli tak jest, to ja znam ową krewniaczkę… bardzo daleką. Widywałem ją często w Luwrze. Jestem jej oddany, jak każdy szlachcic francuski winien być oddany córce rodu królewskiego.

— No i co?

— Zażądam, byś zdał rachunek z tego, w jaki sposób przetrzymujesz tutaj i jak traktujesz brankę takiej rangi!

— A jeśli odmówię, podobnie jak już odmówiłem królowi Francji?

— Królowi Francji? — powtórzył zdumiony Gabriel.

— Oczywiście, panie — odpowiedział lord Wentworth ze swą zwykłą flegmą — Anglik nie ma obowiązku odpowiadać za swe czyny przed cudzoziemskim władcą, zwłaszcza wtedy, kiedy jego kraj jest w stanie wojny z owym władcą; A zatem, panie d'Exmès, gdybym i tobie odmówił zdania sprawy?

— Zażądałbym satysfakcji, milordzie — oświadczył Gabriel.

— I spodziewasz się, że mnie zabijesz szpadą, którą zachowałeś dzięki memu zezwoleniu, a ja mam prawo odebrać ci ją w każdej chwili.

— Milordzie, milordzie, zapłacisz mi za to! — rzekł rozgniewany Gabriel.

— Zgoda, mój panie, i nie wymówię się od długu, kiedy uiścisz swój.

— Bezsilny! Jestem bezsilny w momencie, kiedy chciałbym mieć siłę dziesięciu tysięcy mężczyzn. — Gabriel załamał ręce.

— W rzeczy samej, to przykre dla ciebie — rzekł lord. — Konwenanse i prawo wiążą ci ręce. Sam przyznasz, że byłoby to nazbyt dogodne dla jeńca wojennego i dłużnika otrzymać zwyczajne skwitowanie i wolność przez poderżnięcie gardła wierzycielowi i wrogowi.

Gabriel starał się odzyskać spokój.

— Milordzie, wiesz, że przed miesiącem wysłałem giermka do Paryża po ową sumę, o którą tak się troszczysz. Nie wiem, co się z nim stało. Czy Marcin Guerre został zraniony, zabity w drodze mimo twojej przepustki? Czy ukradziono mu pieniądze, które wiózł dla mnie? Faktem jest, że nie powrócił. Przyszedłem dzisiaj w tym celu, żeby cię prosić o zezwolenie na wysłanie kogoś innego do Paryża, skoro nie wierzysz memu szlachetnemu słowu i nie zaproponowałeś, żebym sam pojechał po okup. Teraz, milordzie, nie masz prawa mi odmówić, a ja mam prawo teraz rzec, że obawiasz się mnie na wolności i nie pozwalasz mi nosić szpady.

— Do kogo to mówisz, panie, w angielskim mieście, pozostającym pod moją bezpośrednią władzą, gdzie powinienem cię traktować jak jeńca i wroga?

— Powiedziałbym głośno do każdego, kto czuje i myśli, do każdego szlachetnego sercem i z imienia, do twych oficerów, którzy pojmują sprawy honoru, nawet do robotników, bo instynkt ich oświeca. Wszyscy zgodziliby się ze mną przeciw tobie, milordzie, że nie dając mi możności

wyjść stąd stajesz się niegodny miana wodza walecznych żołnierzy.

— Nie myślisz, panie, o tym, że zanim zaczniesz szerzyć wśród moich podwładnych ducha niesubordynacji, wystarczy jedno moje słowo, jeden gest, a będziesz wrzucony do więzienia, gdzie będziesz mógł miotać na mnie oskarżenia jedynie wobec czterech ścian.

— To prawda, do pioruna! — wyszeptał Gabriel zaciskając zęby i pięści.

Uczuciowy młodzieniec rozbijał się o nieczułość mężczyzny ze spiżu i stali. Ale jedno słowo zmieniło sytuację i na nowo ustanowiło równość między lordem a Gabrielem.

— Droga Diana, droga Diana! — powtarzał z niepokojem młodzieniec. — Nic nie mogę zdziałać dla ciebie, zagrożonej.

— Co rzekłeś, panie? Droga Diana? Czy tak rzekłeś, czy źle usłyszałem? Czy ty także kochasz panią de Castro?

— Tak, kocham ją. I ty ją także kochasz. Ale moja miłość jest czysta i pełna oddania, a twoja niecna i okrutna. Tak, wyznaję wobec Boga i aniołów, ubóstwiam ją.

— Co zatem mówiłeś o córce królewskiej i opiece, jaką każdy rycerz winien takiej uciemiężonej? Ach, kocham ją. To ty jesteś owym, którego ona kocha bez wątpienia. Ciebie przywołuje w pamięci, kiedy mnie zadaje tortury. Przez ciebie ona mną pogardza. Gdyby nie ty, może by mnie pokochała. A więc to ty jesteś jej umiłowanym?

Lord, przed chwilą szyderczy i pogardliwy, podziwiał teraz z obawą pełną respektu młodzieńca, którego kochała Diana, a Gabriel słysząc słowa rywala wesoło, z triumfem podniósł w górę czoło.

— Ach, naprawdę tak mnie kocha? Myśli jeszcze o mnie? Przywołuje mnie, jak mówisz? Jeśli mnie woła, pójdę, pomogę jej, ocalą. Dalej, milordzie, odbierz mi szpadę, zwiąż, skrępuj, uwięź. Wbrew tobie i całemu światu zdołam jej dopomóc i ochronię, bo kocha mnie ciągle, najlepsza moja Diana. Skoro miłuje mnie nadal, stawiam ci czoła! Ty uzbrojony, ja bez oręża, a jednak jestem pewny, że cię zwyciężę dzięki miłości Diany jako boskiej egidzie.

— To prawda, prawda, tak przypuszczam — wyszeptał przygnębiony lord Wentworth.

— Teraz nie byłoby szlachetne z mojej strony, gdybym cię wyzwał na pojedynek. Przywołaj straże i każ mnie zamknąć, jeśli tego sobie życzysz. Uwięzienie obok niej i równocześnie z nią to także pewien rodzaj szczęścia.

Nastało dość długie milczenie.

— Panie, przyszedłeś mnie prosić o zezwolenie na wyjazd do Paryża drugiego wysłannika, który by przywiózł okup.

— W samej rzeczy, milordzie, taki był mój zamiar, z którym tutaj przyszedłem.

— Wymawiałeś mi, że nie mam wiary w twój honor rycerski, że ci nie pozwoliłem jedynie na parol samemu pojechać po okup.

— To prawda, milordzie.

— A więc dobrze, panie. Możesz zaraz dzisiaj odjechać. Bramy Calais staną przed tobą otworem. Zgadzam się na twą prośbę.

— Rozumiem — rzekł Gabriel ze smutkiem — chcesz mnie od niej oddalić. A gdybym teraz odmówił opuszczenia Calais?

— Ja tutaj rządzę. Nie masz prawa mi odmawiać ani przyjmować mojego nakazu, ale musisz go wypełnić.

— Niech tak będzie, odjadę, milordzie, ale uprzedzam, że nie jestem zadowolony z takiej wspaniałomyślności.

— Nie potrzeba mi twojej wdzięczności.

— Odjadę, ale wiedz, że nie pozostanę długo twoim dłużnikiem. Niebawem powrócę, by ci spłacić wszystkie długi razem. A kiedy już nie będę twoim więźniem ani ty moim wierzycielem,

nie będzie już więcej pretekstu, aby się nie skrzyżowała z twoją moja szpada, którą będę miał prawo nosić.

— Mógłbym odmówić walki — rzekł lord Wentworth z melancholią — bo szanse między nami nie będą równe. Jeśli cię zabiję, ona mnie znienawidzi. Jeśli ty mnie zabijesz, ona pokocha cię jeszcze silniej. Mniejsza z tym! Muszę przyjąć i przyjmuję wyzwanie. Ale czy nie lękasz się, że mnie doprowadzisz przez to do ostateczności? — dodał z posępną miną. — Kiedy wszystkie dane są po twojej stronie, czy nie nadużyję możliwości, jakie mi pozostają?

— Bóg jest w niebie i na tym świecie rycerstwo wszystkich krajów cię osądzi, milordzie — rzekł Gabriel z drżeniem. — Jeśli zemścisz się tchórzliwie na tych, którzy nie mogą się bronić, za tych, których nie zdołałeś pokonać.

— Jakkolwiek się stanie, nie zgadzam się, byś mnie osądzał.

Dodał po chwili:

— Jest trzecia godzina, panie. Masz czas do siódmej, kiedy zamykają pierwsze bramy, aby poczynić przygotowania do podróży i opuścić miasto. Wydam rozkazy, żeby cię puszczono wolno.

— O siódmej już mnie nie będzie w Calais, milordzie.

— I licz się z tym, że nie wrócisz tu nigdy w życiu. Gdybym zginął w pojedynku poza murami miasta, poczynię odpowiednie zastrzeżenia, licz na moją zazdrość! Nie będziesz posiadał pani de Castro, nigdy jej nie ujrzysz!

Gabriel uczynił już krok ku wyjściu, teraz zatrzymał się przy drzwiach:

— To, co mówisz, jest niemożliwe, milordzie. Wcześniej czy później ujrzę Dianę.

— Tak się nie stanie, przysięgam ci, wicehrabio. Jeśli wola zarządcy placówki lub ostatnia wola umierającego będą miały szansę temu się przeciwstawić.

— Stanie się tak. Nie wiem, w jaki sposób, ale mam pewność — rzekł Gabriel.

— Wtedy, panie, kiedy zdobędziesz szturmem Calais — z pogardliwym uśmiechem odpowiedział lord.

Gabriel zastanawiał się; przez chwilę.

— Zdobędę szturmem Calais. Do widzenia, milordzie.

Ukłonił się i odszedł pozostawiając Wentwortha w osłupieniu. Lord sam już nie wiedział, przerazić się czy śmiać.

Gabriel natychmiast powrócił do domu rodziny Peuquoy.

Zastał Piotra przy polerowaniu ostrza szpady, Jana przy wiązaniu węzłów na linie i Babetkę wzdychającą bez przerwy.

Opowiedział przyjaciołom treść rozmowy, jaką przeprowadził z zarządcą, i oznajmił, że w jej wyniku odjeżdża. Nie zataił przed nimi groźby, z jaką rozstał się z lordem. Potem dodał:

— Teraz idę do swojej komnaty przygotować się do podróży. Pozostawiam cię, Piotrze, przy szpadach, ciebie, Janie, przy linach, a ciebie, Babetko, przy westchnieniach.

Wszedł na piętro i śpiesznie przygotował się do odjazdu. Kiedy był już wolny, śpieszyło się dzielnemu młodzieńcowi do Paryża. Chciał ocalić ojca, a potem wrócić do Calais, żeby uratować Dianę. Po upływie pół godziny wyszedł z komnaty i na podeście zastał Babetkę.

— Odjeżdżasz, panie wicehrabio? Nie pytasz, dlaczego płaczę?

— Nie, moje dziecko. Spodziewam się, że nie będziesz płakała, kiedy powrócę.

— Ja także mam nadzieję, Wasza Wielmożność. A zatem mimo pogróżek zarządcy liczysz na powrót?

— Ręczę ci za to, Babetko.

— Razem z giermkiem Marcinem, przypuszczam?

— Z całą pewnością.

— Jeśli tak, to masz pewność spotkania się w Paryżu z Marcinem Guerre? To nie jest nieuczciwy mężczyzna, nieprawdaż? Chyba nie roztrwonił twojego okupu? Jest niezdolny do… niewierności?

Gabriel był nieco zdziwiony pytaniami młodej dziewczyny:

— Mógłbym przysiąc. Marcin ma zmienne humory zwłaszcza od pewnego czasu. Są w nim dwaj ludzie, jeden prosty i spokojnych obyczajów, i drugi, chytry i awanturnik. Pominąwszy zmiany usposobienia, to wierny i lojalny sługa.

— Nie zdradziłby kobiety, podobnie jak i swego pana, nieprawdaż?

— Och, to mniej pewne, nie odpowiadałbym za niego, przyznaję. Babetka pobladła.

— Czy byłbyś łaskaw zawieźć mu pierścień? Będzie wiedział, od kogo jest i co oznacza.

— Wręczę mu, Babetko — rzekł Gabriel zdumiony, przypomniał sobie wieczór przed odjazdem giermka. — Wręczę pierścień, ale osoba, która go posyła, chyba wie, że Marcin Guerre jest żonaty?

— Żonaty! — wykrzyknęła Babetka. — Wobec tego zatrzymaj, panie, pierścień albo wyrzuć, ale mu go nie dawaj.

— Ależ, Babetko…

— Dziękuję, Wasza Wielmożność i zostań z Bogiem — wyszeptała biedna dziewczyna.

Uciekła na drugie piętro i zaraz po wejściu do pokoju padła na krzesło zemdlona.

Gabriel, zasmucony i zaniepokojony podejrzeniem, które się zrodziło w jego głowie, schodził pogrążony w myślach po drewnianych schodach starego domostwa rodziny Peuquoy.

U dołu schodów spotkał Jana, który zbliżył się z tajemniczą miną.

— Panie wicehrabio — rzekł cicho — pytałeś mnie ciągle, po co sporządzam takie długie liny. Nie chcę, żebyś odjechał bez wyjaśnienia zagadki zwłaszcza po tak godnym podziwu pożegnaniu z Wentworthem. Wiążąc małymi poprzecznymi linkami dwie długie i mocne liny jak ta, którą sporządzam, otrzymam drabinę. Kiedy się należy do straży miejskiej jak Piotr od dwudziestu lat, a ja od trzech dni, można ją przenieść we dwóch pod budkę strażniczą wieży Ośmiokątnej. A potem, stojąc na posterunku w ciemny grudniowy lub styczniowy poranek, można przez ciekawość przyczepić oba końce do żelaznych prętów w otworach wieży i spuścić dwa końce w morze na trzysta stóp, gdzie może się znaleźć przypadkiem łódź jakiegoś śmiałka.

— Ależ mój dzielny Janie! — przerwał mu Gabriel.

— Dość na ten temat, panie wicehrabio. Wybacz mi, chciałem przed rozstaniem się pozostawić ci wspomnienie o oddanym słudze Janie Peuquoy. Oto szkic jaki taki, przedstawia on plany murów i fortyfikacji Calais. Sporządziłem go dla rozrywki podczas ciągłych przechadzek, które cię tak mocno dziwiły. Ukryj to pod sajanem, a kiedy znajdziesz się w Paryżu, popatrz czasem, proszę cię, przez przyjaźń dla mnie.

Gabriel chciał mu przerwać, ale Jan nie pozwolił, uścisnął rękę młodzieńca i odszedł mówiąc tylko tyle:

— Do zobaczenia, panie d'Exmès. Przy drzwiach zastaniesz Piotra, on także czeka, żeby cię pożegnać. Uzupełni moje pożegnanie.

W samej rzeczy, Piotr czekał przed domem trzymając za uzdę wierzchowca Gabriela.

— Dziękuję za miłą gościnę, mistrzu — rzekł wicehrabia. — Niebawem przyślę ci albo sam przywiozę pieniądze, które byłeś łaskaw mi pożyczyć. Dołączę hojny datek dla twej służby. A tymczasem zechciej ofiarować swej siostrze w moim imieniu ten oto mały diament.

— Przyjmuję w jej imieniu, panie wicehrabio. — odpowiedział płatnerz — ale jedynie pod warunkiem, że przyjmiesz także coś ode mnie. Oto róg, zawiesiłem go przy łęku twego siodła. Sam go wykonałem i rozpoznam jego dźwięk poprzez szum wzburzonego morza, na przykład między czwartą a szóstą rano każdego piątego dnia miesiąca, kiedy trzymam wartę na

Ośmiokątnej Wieży, która stoi nad morzem.

— Dziękuję — Gabriel ściskając ręką Piotra w taki sposób, by potwierdzić, że zrozumiał.

— Dziwiłeś się, panie, że sporządzam tak wielkie ilości broni. Gdyby Calais było pewnego dnia oblegane, stronnictwo nasze, które trzyma z Francją, mogłoby się posłużyć ową bronią i w samym centrum miasta spowodować groźną dywersję.

— To prawda! — rzekł Gabriel ściskając jeszcze mocniej dłoń zacnego obywatela.

— A teraz życzę ci szczęśliwej podróży i powodzenia, panie d'Exmès. Jedź z Bogiem, do rychłego zobaczenia!

— Do zobaczenia wkrótce! — odpowiedział Gabriel. Odwrócił się i pomachał ręką Piotrowi stojącemu na progu, Janowi wychylonemu z okna pierwszego piętra i Babetce, która patrzyła na odjeżdżającego poprzez firankę swojego pokoju. Spiął konia ostrogami i ruszył galopem.

Lord Wentworth wysłał widać rozkazy do bram Calais: nie czyniono żadnych trudności jeńcowi, przejechał swobodnie i znalazł się na drodze do Paryża sam ze swoim niepokojem i nadzieją! Czy zdoła uwolnić ojca po powrocie do Paryża? Czy potrafi wyswobodzić Dianę po powrocie do Calais?

XLIV. DALSZY CIĄG ZMARTWIEŃ MARCINA

Drogi Francji nie były bezpieczne ani dla Gabriela de Montgomery, ani dla jego giermka. Musiał posłużyć się całą swą inteligencją i aktywnością umysłu, żeby uniknąć przeszkód i zasadzek. Mimo pośpiechu przybył do Paryża dopiero na czwarty dzień po wyjeździe z Calais.

Niebezpieczeństwa podróży mniej pochłaniały Gabriela niż niepokój, jak osiągnąć swe cele. Chociaż z natury nie miał skłonności do marzeń, samotna jazda sprzyjała ciągłym rozmyślaniom o uwięzieniu ojca i Diany, o sposobach uwolnienia najdroższych istot, o obietnicy króla i o stanowisku, jakie trzeba będzie zająć w przypadku, gdyby Henryk II nie dotrzymał przyrzeczenia. Ale, nie! Henryk II był przecież pierwszym wśród chrześcijańskich rycerzy. Kosztowało go wiele wypełnienie przyrzeczenia i czekał, aż Gabriel przyjdzie domagać się, żeby przebaczył staremu rebeliantowi, i przebaczy hrabiemu. A gdyby nie przebaczył? Kiedy taka rozpaczliwa myśl przechodziła mu przez głowę, to czuł jakby sztylet w sercu. Gabriel bódł wtedy konia ostrogą i sięgał do gardy szpady.

Słodka i żałosna myśl o Dianie de Castro wprowadzała spokój do jego skołatanej duszy. Jechał bez przerwy przez całą noc. Miotany niepewnością i udręką, przybył nareszcie do bram Paryża rankiem czwartego dnia. Zaledwie jaśniejący świt rozświetlał miasto, kiedy przejeżdżał przez ulice w pobliżu Luwru.

Zatrzymał się przed zamkniętą, pogrążoną we śnie rezydencją królewską. Wahał się, czy ma czekać, czy jechać dalej. Bezczynność nie odpowiadała jego niecierpliwej naturze.

Zdecydował się pojechać na razie do siebie, na ulicę Jardins–Saint–Paul, gdzie będzie mógł się dowiedzieć tego, czego pragnął i czego obawiał się. Jego droga wiodła niedaleko ponurych wieżyczek Châtelet. Zatrzymał się przed posępną bramą. Zimny pot zrosił mu czoło.

Jego przeszłość i przyszłość były tam, za wilgotnymi murami. Gabriel jednak nie był skłonny poddawać się wzruszeniom przez dłuższy czas, skoro mógł z pożytkiem poświęcić działaniu. Odgonił smutne myśli i ruszył dalej mówiąc sobie: Naprzód!

Kiedy przyjechał pod swój pałacyk, którego od dłuższego czasu nie widział, światło jarzyło się za szybami sali na dole. Czujna Alojza była już na nogach.

Gabriel zastukał, wymienił swe imię. W dwie minuty później znalazł się w objęciach zacnej niewiasty, która zastępowała mu matkę.

— Jesteś wreszcie, dostojny panie! Jesteś, moje dziecko!

Tylko tyle zdołała wymówić. Gabriel uścisnął ją czulę, cofnął się o krok i patrzył na nią.

W jego głębokim spojrzeniu kryło się pytanie wyraźniejsze od słów. Alojza pojęła, spuściła głowę i nic nie rzekła.

— Jak to, żadnych wieści ze dworu? — spytał wtedy wicehrabia, jakby odpowiedź zawarta w milczeniu mu nie starczała.

— Żadnych wieści, Wasza Dostojność — odpowiedziała piastunka.

— Tak myślałem. Gdyby zaszło coś pomyślnego lub niepomyślnego, rzekłabyś mi przy pierwszym pocałunku. Nic nie wiesz?

— Nic, niestety.

— Tak, pojmuję — z goryczą rzekł młodzieniec. — Byłem jeńcem, może zginąłem. Nie spłaca się długu jeńcowi, a tym bardziej umarłemu. Ale oto wróciłem żywy i wolny, powinni się ze mną liczyć. Chętnie albo z musu, ale powinni.

— Bądź ostrożny, dostojny panie — ostrzegła Alojza.

— Nie lękaj się, Alojzo. Czy pan admirał jest w Paryżu?

— Tak, panie. Przychodzi tu i przysyłał z dziesięć razy po wieści o twym powrocie.

— Dobrze. A pan de Guise?

— Także powrócił. Naród liczy, że on ocali Francję od nieszczęść, a obywateli od cierpień.

— Niech Bóg pozwoli, aby nie zetknął się z cierpieniami nie do ukojenia.

— Jeśli chodzi o panią Dianę de Castro, o którą martwiono się, że zaginęła, to pan konetabl odkrył, że jest uwięziona w Calais. Spodziewają się ją stamtąd wkrótce wydobyć.

— Wiedziałem o tym i mam taką samą nadzieję — rzekł Gabriel szczególnym tonem. — Ale nie mówisz o tym, co tak znacznie przedłużyło moje uwięzienie, o Marcinie Guerre, o zwłoce w wypełnieniu zadania. Co się z nim dzieje?

— Jest tutaj, ów próżniak, głuptak!

— Jak to? Tutaj? Od kiedy? Co czyni?

— Położył się i śpi — mówiła o Marcinie z goryczą. — Mówi, że jest nieco chory, podaje jako pretekst, że go powieszono.

— Powieszono? Pewnie po to, żeby mu ukraść pieniądze na okup za mnie.

— Pieniądze na twój okup, dostojny? Tak, powiedz coś temu skończonemu idiocie o pieniądzach na okupi! Zobaczysz, co odpowie. Nie będzie wiedział, o co chodzi. Wyobraź sobie, że przybył tu rozgorączkowany, w pośpiechu, i że stosownie do otrzymanego listu zgromadziłam szybko i wręczyłam mu dziesięć tysięcy pięknych, brzęczących talarów. Odjechał gorączkowo, nie tracąc ani chwili. W kilka dni później kogo ujrzałam powracającego z nosem na kwintę i żałosną miną? Marcina. Twierdzi, że nie otrzymał ani jednego czerwonego denara. Uwięziony jeszcze zanim padło Saint–Quentin, nie wie od trzech miesięcy, co się dzieje z jego panem. Nie powierzyłeś mu żadnej misji. Bili go i powiesili. Udało mu się uciec i powrócić do Paryża po raz pierwszy od czasu wojny. Takie oto banialuki plecie Marcin Guerre od rana do wieczora, kiedy mu mówię o okupie.

— Wyjaśnij to, Alojzo — rzekł Gabriel. — Marcin nie mógł sprzeniewierzyć pieniędzy, mogę przysiąc. Nie jest on nieuczciwy z całą pewnością. Jest mi oddany i wierny.

— Nie, panie, nie jest on nieuczciwy, ale obłąkany. Obawiam się, że oszalał, utracił pamięć, jest wariatem, którego należy związać, uwierz mi. Chociaż nie jest jeszcze zły, jest jednak niebezpieczny. Przecież nie ja jedną tutaj go widziałam. Wszyscy twoi domownicy świadczą przeciw niemu. Rzeczywiście otrzymał dziesięć tysięcy talarów. Imć Elyot miał nawet trudności z zebraniem ich tak szybko.

— Jednak jest konieczne, aby na nowo zgromadził taką samą kwotę, a raczej jeszcze większą. Ale w tej chwili nie o to chodzi. Idę do Luwru, będę rozmawiał z królem.

— Jak to? Bez jednej chwili wypoczynku? Poza tym nie pomyślałeś, że jest dopiero siódma. Wszystkie bramy zastaniesz zamknięte, otwierają dopiero o dziewiątej.

— Słusznie, jeszcze dwie godziny czekania. Mój Boże! Użycz mi cierpliwości na dwugodzinne czekanie, bo przecież trwało ono już dwa miesiące. Ale przynajmniej będę mógł spotkać się z panem de Coligny i panem de Guise.

— Nie, gdyż prawdopodobnie obaj są w Luwrze. Zresztą król nie przyjmuje wcześniej niż w południe, nie będziesz mógł go widzieć przed dwunastą. Masz zatem trzy godziny na rozmowę z panem admirałem i panem generałem, porucznikiem królestwa. To nowy tytuł, jaki król nadał w obecnej ciężkiej sytuacji panu de Guise. A tymczasem nie odmawiaj, Wasza Wielmożność, przyjęcia posiłku i spotkania się z wiernymi starymi sługami, którzy tęsknili za tobą.

W tej samej chwili, jakby po to, aby skrócić młodzieńcowi przykre oczekiwanie, Marcin Guerre, powiadomiony widać o przybyciu pana, wpadł do komnaty, bledszy jeszcze bardziej z radości niż ze skutków cierpienia.

— To ty, panie, to ty! Jakie szczęście!

Gabriel jednak przyjął chłodno wylewną radość biednego giermka.

— Jeśli szczęśliwie powróciłem, Marcinie, to musisz przyznać, że nie dzięki tobie. Uczyniłeś wszystko, co można, bym pozostał na zawsze w niewoli.

— Jak to, i ty także, panie? — rzekł skonsternowany Marcin. — Ty także, zamiast mnie oczyścić z zarzutów pierwszym słowem, jak na to liczyłem, ty także mnie oskarżasz o zabranie dziesięciu tysięcy talarów. Kto wie? Może powiesz także, że kazałeś mi je odebrać i sobie przywieźć?

— Ależ tak, bez wątpienia — odpowiedział zaskoczony Gabriel.

— Tak więc przypuszczasz, że ja, Marcin Guerre, jestem zdolny przyswoić sobie podle cudze pieniądze, pieniądze przeznaczone na okupienie wolności mego pana? — rzekł biedaczysko głuchym głosem.

— Nie, Marcinie, nie — odpowiedział żywo Gabriel, wzruszony tonem wiernego sługi. — Nigdy nie miałem podejrzeń ani wątpliwości w twą uczciwość. Rozmawialiśmy o tym przed chwilą z Alojzą. Ale ktoś mógł ci zabrać ową kwotę, mogłeś ją zgubić w podróży jadąc do mnie.

— Jadąc do ciebie panie — powtórzył Marcin. — Ale dokąd, Wasza Wielmożność? Od czasu naszego pierwszego wyjścia z Saint–Quentin niech mnie piorun trzaśnie, jeśli wiem, gdzie byłeś! Dokąd miałem, do ciebie przyjechać?

— Do Calais, Marcinie. Chociaż lekkomyślna i szalona jest twa głowa, niemożliwe, żebyś zapomniał o Calais!

— Jak miałbym zapomnieć, skoro w ogóle go nie znam — ze spokojem odpowiedział Marcin.

— Ależ, nieszczęsny, jak możesz się zapierać do tego stopnia! — krzyknął Gabriel.

Powiedział parę słów do Alojzy, która wyszła. Wtedy podszedł do Marcina i spytał:

— A Babetka?

— Babetka? Jaka Babetka? — zdumiał się giermek.

— Ależ ta, którą uwiodłeś, niecnoto.

— Ach tak, pomyliłeś imiona. To nie Babetka, a Godula, panie. Tak, biedna dziewczyna. Ale szczerze mówiąc, ja jej nie uwiodłem, ona sama się oddała, przysięgam.

— Co? Jeszcze jedna? Tej nie znam, ale chyba nie jest tak godna pożałowania jak Babetka Peuguoy.

Marcin nie ośmielił się okazać zniecierpliwienia, ale gdyby był na miejscu wicehrabiego, uczyniłby to.

— Czekaj, Wasza Wielmożność, wszyscy mówią, że jestem obłąkany. Słysząc to ciągle, chyba naprawdę oszaleję, na świętego Marcina! Przecież mam swój rozum i pamięć, do diaska! W razie potrzeby, panie, chociaż przeszedłem wiele przykrych doświadczeń i nieszczęść, starczyłoby ich na dwóch, w fazie potrzeby opowiem ci punkt po punkcie wszystko, co mi się wydarzyło od trzech miesięcy, od czasu, kiedy cię opuściłem. Przynajmniej to, co sobie przypominam.

— W samej rzeczy, będę ciekaw usłyszeć, jak wyjaśnisz swoje dziwaczne postępowanie.

— Było tak, Wasza Wielmożność. Po wyjściu z Saint–Quentin szliśmy prosić o pomoc pana de Vaulpergues. Każdy z nas szedł inną drogą, powinieneś to sobie przypomnieć. Wtedy zdarzyło się to, co przewidziałeś. Wpadłem w ręce wrogów. Chciałem zgodnie z twoimi instrukcjami wygrać zuchwałością, ale co dziwne, wrogowie mnie poznali. Byłem już wcześniej ich jeńcem.

— Widzisz, że znowu pleciesz.

— Zaklinam cię, panie, bądź łaskaw i pozwól opowiadać to, co wiem, że wiem. Dość mam kłopotów, żebym sam siebie rozpoznał, później mnie zganisz. Odkąd wrogowie mnie rozpoznali, przyznaję, że zrezygnowałem. Wiedziałem w głębi duszy, ja i ty wiesz, panie, że jestem

podwójny. Bez uprzedzenia ów drugi czyni swoje. Tak więc przyjęliśmy odtąd swój los. Godula, miła Flamandka, którą porwaliśmy, nas także rozpoznała. Zasłużyliśmy na grad batów, mówiąc nawiasem. Ale nie poczuwaliśmy się do winy. Opowiadać wszystkie nieszczęścia, których zaznaliśmy pod władzą różnych panów o rozmaitych dialektach, byłoby zbyt długo.

— Tak, skróć te ubolewania — rzekł Gabriel.

— Pomijam najgorsze. Mój numer dwa poprzednio już jeden raz uciekł i mocno mnie przyciśnięto za jego przewinienie. Mój numer jeden, ten, którego jestem świadomy i którego męki opowiadam, uciekł znowu, ale głupio dał się złapać. Pozostawiono mnie na miejscu jako zmarłego. Mniejsza o to. Uciekł po raz trzeci. Ale złapany po raz trzeci przez zdradliwe wino i zdradę przechodnia, chciałem popełnić szaleństwo i okładałem pięściami owych żołdaków ze wściekłością i rozpaczą pijanego. Oprawcy powiesili mnie nad ranem.

— Powiesili cię? — zawołał Gabriel sądząc, że powraca atak manii prześladowczej. — Powiesili cię, Marcinie? Jak to rozumiesz?

— Rozumiem przez to, że mnie podciągnęli między ziemię a niebo na linie konopnej przywiązanej do szubienicy, inaczej zwanej szafotem. We wszystkich językach i gwarach, którymi mi przewiercili uszy, to się nazywa potocznie powiesić, Wasza Wysokość. Czy teraz jasne?

— Nie za bardzo, Marcinie, gdyż jak na wisielca…

— Czuję się nie najgorzej, panie, to fakt. Ale nie znasz jeszcze końca historii. Ból i wściekłość, że mnie wieszają, sprawiły, że straciłem przytomność. Kiedy przyszedłem do siebie, leżałem na wilgotnej trawie z odciętym sznurem oplecionym wokół szyi. Czy jakiś podróżny, przechodząc drogą, wzruszył się moim nieszczęściem i zechciał uwolnić szubienicę od zwisającego owocu człowieczego? Obecna moja mizantropia nie pozwala mi tak myśleć. Przypuszczam raczej, że złodziej jakiś chciał mnie okraść. Przeciął sznur, żeby przeszukać kieszenie. Zdjęto mi obrączkę ślubną i zabrano papiery, co mnie upoważnia do takiego twierdzenia nie czyniąc krzywdy rodzajowi ludzkiemu. W każdym razie odcięto mnie na czas. Mimo że szyję miałem nadwerężoną, mogłem uciec czwarty raz przez pola i lasy, ukrywając się w dzień, maszerując ostrożnie nocą, żywiąc się korzonkami i ziołami, to obrzydliwe jadło, chyba zwierzętom trudno do nich się przyzwyczaić. Zabłądziłem ze sto razy i w końcu po dwóch tygodniach ujrzałem Paryż i ten dom, dokąd przyszedłem przed dwunastoma dniami i gdzie przyjęto mnie gorzej, niż oczekiwałem po tylu przejściach. Taka jest moja historia, dostojny panie.

— Dobrze! Wobec tej historii mógłbym ci opowiedzieć całkiem odmienną, jaką rozgrywałeś na moich oczach.

— Historia mojego numeru dwa, Wasza Wielmożność? — spytał spokojnie Marcin. — Dalibóg, dostojny panie, jeśli nie popełnisz niedyskrecji i będziesz łaskaw mi ją podać w dwóch słowach, będę ciekaw ją poznać.

— Kpisz sobie ze mnie, łobuzie?

— Wasza Wielmożność wie, jaki czuję głęboki respekt! Dziwna rzecz! Ów drugi ja sprawił mi wiele kłopotów, nieprawdaż? Wpędził mnie w okrutne tarapaty! Mimo wszystko nim się interesuję. Daję słowo honoru, że mam słabość do niego, i w końcu chyba go polubię, tego błazna.

— Istotnie, błazen! — rzekł Gabriel.

Miał zamiar rozpocząć opowiadanie o występkach Arnolda, ale przerwała mu piastunka. Weszła prowadząc mężczyznę w odzieniu wieśniaka.

— Znowu coś! Oto człowiek, który twierdzi, że przybył tu, by nam oznajmić twoją śmierć, Marcinie!

XLV. UCZCIWOŚĆ MARCINA DOCZEKAŁA SIĘ REHABILITACJI

— Moją śmierć? — zawołał Marcin Guerre blednąc na te straszne słowa pani Alojzy.

— O Boże, Jezusie! — wykrzyknął wieśniak, kiedy spojrzał w twarz giermka.

— Drugi ja umarł? Łaska boska! — rzekł Marcin. — Czy nie będę już miał drugiej egzystencji? Prawdę rzekłszy, byłbym tym nieco zasmucony, a zarazem dość zadowolony. Mów, przyjacielu, mów — dodał zwracając się do zdumionego wieśniaka, który mu się przyglądał i dotykał.

— Ach, panie, jak to możliwe, że odnajduję cię tutaj przybyłego wcześniej ode mnie? Klnę się, panie, że śpieszyłem się, żeby wypełnić twe polecenie i zarobić dziesięć talarów. Chyba że jechałeś konno, bo absolutnie jest niemożliwe, żebyś mnie wyprzedził, musiałbym cię widzieć.

— Ależ mój zuchu, nigdy cię nie widziałem! A ty rozmawiasz ze mną tak, jakbyś mnie znał.

— Jakbym cię znał! — powtórzył osłupiały wieśniak. — Może to nie ty wydałeś mi polecenie, żebym przyszedł tutaj oznajmić, że imć Marcin Guerre zginął powieszony?

— Jak to? Ależ Marcin Guerre to ja!

— Ty? Niemożliwe! Czy mógłbyś oznajmić, że zginąłeś powieszony?

— Ale dlaczego i kiedy miałem ci mówić takie okropności?

— Trzeba wszystko powiedzieć?

— Tak, wszystko.

— Pomimo że mi nakazałeś trzymać gębę na kłódkę?

— Mów.

— No dobrze, jeśli masz taką słabą pamięć, to wszystko powiem. Tym gorzej dla ciebie, jeśli mnie do tego zmuszasz. Sześć dni temu, rano, uprawiałem pole.

— Gdzie jest to pole, przede wszystkim? — spytał Marcin.

— Czy najprawdziwszą prawdę mam mówić, panie? — pytał chłop.

— Oczywiście, bydlaku.

— Moje pole leży za Montargis, tam! Pracowałem, przechodziłeś drogą z torbą podróżną na plecach. Co robisz? spytałeś. Uprawiam pole naszego pana, odpowiedziałem. Ile ci przynosi dochodu takie zajęcie? Bez względu na dobry czy zły rok cztery su dziennie. Czy chcesz zarobić dwadzieścia talarów w ciągu dwu tygodni? Och! Pytam: tak czy nie. Ależ tak. A więc dobrze. Pójdziesz natychmiast do Paryża; Idąc dobrymi marszem będziesz tam najpóźniej za pięć lub sześć dni. Zapytasz o ulicę Jardins–Saint–Paul i pałac wicehrabiego d'Exmès. Posyłam cię do owego pałacu. Wicehrabiego tam nie będzie, ale zastaniesz panią Alojzę, dobrą niewiastę, jego piastunkę. Powiesz — jej… Słuchaj dobrze. Powiesz: przychodzę z Noyon. Rozumiesz? Nie z Montargis, a z Noyon. Przybywam z Noyon, gdzie ktoś z twoich znajomych został powieszony przed dwoma tygodniami. Ten ktoś nazywa się Marcin Guerre. Zapamiętaj dobrze nazwisko, Marcin Guerre. Powieszono Marcina Guerre, zabrano mu pieniądze, które miał przy sobie, i powieszono ze strachu, żeby nie poszedł się skarżyć. Ale zanim go zaprowadzono na szubienicę, Marcin Guerre miał czas opowiedzieć mi o swoim nieszczęściu. Powiedział, że masz przygotować nowy okup dla swego pana. Obiecał mi, że za trudy wypłacicie mi dziesięć talarów. Widziałem go powieszonego i przyszedłem. To masz powiedzieć dobrej niewieście. Czy pojąłeś? — Tak, panie, odpowiedziałem. Ale na początku „rzekłeś o dwudziestu talarach, a teraz mówisz o dziesięciu. Głupcze, masz oto dziesięć jako zadatek. A to dopiero, rzekłem, a jeśli dobra niewiasta Alojza spyta mnie, jak wyglądał ów Marcin Guerre, którego w życiu nie widziałem? Popatrz na mnie. Patrzę. A więc opiszesz Marcina Guerre, jakby to był ja.

— To dziwne — wyszeptał Gabriel, który przysłuchiwał Się opowiadaniu z głęboką uwagą.

— A teraz przyszedłem gotów do powtórzenia wyuczonej lekcji prawie na pamięć i znajduję cię tutaj wcześniej ode mnie! To prawda, że trochę się wałęsałem i straciłem w przydrożnych karczmach twoje dziesięć talarów w nadziei, że wkrótce otrzymam dziesięć następnych. Ale w końcu nie przekroczyłem terminu, jaki mi wyznaczyłeś. Dałeś mi sześć dni czasu, a dzisiaj akurat szósty dzień odkąd odszedłem z Montargis.

— Sześć dni — rzekł melancholijnie zamyślony Marcin. — Przechodziłem przez Montargis przed sześcioma dniami, w drodze do swoich rodzinnych stron. Twoje opowiadanie jest całkiem prawdopodobne, przyjacielu. Chyba mówisz prawdę.

— Ależ nie! — zaprzeczyła żywo Alojza. — Mężczyzna kłamie. Twierdzi, że rozmawiał z tobą w Montargis przed sześcioma dniami, a przecież od dwunastu dni nie wychodziłeś z tego domu.

— To prawda — przyznał Marcin — ale mój numer dwa.

— A poza tym, nie przed dwoma tygodniami powieszono cię w Noyon. Wedle tego, co prawiłeś, było to miesiąc temu.

— To pewne — odpowiedział giermek. — Dzisiaj właśnie mija miesiąc. Myślałem o tym po przebudzeniu. Jednak drugi ja…

— Banialuki! — zawołała Alojza.

— Nie — wmieszał się Gabriel — ten człowiek naprowadza nas na drogę prawdy.

— O, mój dobry jaśnie panie, mówię świętą prawdę. Czy otrzymam dziesięć talarów?

— Tak, ale podasz nam swe nazwisko i adres. Może pewnego dnia będzie potrzebne twoje świadectwo. Zaczynam dopatrywać się wielu przestępstw poprzez niejasne jeszcze podejrzenia.

— A jednak, panie… — zastrzegał się Marcin.

— Dość o tym — przerwał Gabriel. — Dopilnujesz, aby ów zacny człowiek odszedł zadowolony, dobra moja Alojzo. Ta sprawa doczeka się swojej godziny. Ale przed ukaraniem owego, kto zdradził giermka, muszę pomścić zdradę pana.

— Niestety — szepnęła Alojza.

— Ósma godzina — rzekł Gabriel. — Zobaczę się z domownikami po powrocie, bo chcę być w chwili otwarcia bram przed Luwrem. Jeśli nie mogę zbliżyć się do króla przed południem, przynajmniej porozmawiam z admirałem i panem de Guise.

— A po widzeniu się z królem powrócisz natychmiast? — spytała Alojza.

— Natychmiast, bądź spokojna, zacna opiekunko. Coś mi szepcze, że wyjdę zwycięsko z wszystkich ciemnych sprawek, jakie intrygi i zuchwalstwo piętrzą wokół mnie.

— Tak będzie, jeśli Bóg wysłucha mych gorących modlitw — rzekła Alojza.

— Odchodzę. Pozostań, Marcinie, muszę być sam. Uniewinnimy cię i oczyścimy z zarzutów, przyjacielu. Widzisz, mam kogoś innego uniewinnić i uwolnić. Do zobaczenia wkrótce, Marcinie, do widzenia, Alojzo.

Oboje ucałowali ręce młodego pana. Wyszedł sam, pieszo; otulony w obszerny płaszcz. Poważny i dumny, skierował się na drogą do Luwru.

Mój Boże! myślała piastunka, tak samo odchodził niegdyś jego ojciec, który dotąd nie powrócił

Gabriel przeszedł przez Pont–au–Change i kroczył ulicą Greve wzdłuż rzeki. Zauważył z daleka mężczyznę, okrytego również długim płaszczem, ale pospolitszym i staranniej okrywającym niż jego własny. Co więcej, ów mężczyzna starał się zasłonić twarz szerokim rondem kapelusza

Chociaż Gabrielowi się zdawało, że niejasno rozpoznaje po sylwetce jakąś przyjazną osobę, szedł dalej drogą. Ale nieznajomy widząc wicehrabiego uczynił ruch, zdawał się wahać, wreszcie

nagle się zatrzymał i rzekł cicho:

— Gabrielu! Przyjacielu!

Odkrył połowę twarzy. Gabriel się przekonał, że nie pomylił.

— Pan de Coligny — rzekł nie podnosząc głosu — w tym miejscu! O takiej porze!

— Cicho! — rzekł admirał. — Przyznaję ci się, że nie chciałbym być rozpoznany, szpiegowany, śledzony! Ale widząc ciebie, mój przyjacielu, po tak długiej rozłące i tak wielkim niepokoju o twój los, nie mogłem się oprzeć potrzebie przywołania i uściśnięcia twej dłoni. Od kiedy jesteś w Paryżu?

— Od dzisiejszego rana — rzekł Gabriel. — Szedłem zobaczyć się z tobą w Luwrze.

— Jeśli nie śpieszysz się nadto, chodź parę kroków w moją stronę. Opowiesz mi, co się z tobą działo podczas długiej nieobecności.

— Powiem wszystko, co mogę, najbardziej oddanemu i prawemu przyjacielowi — odpowiedział Gabriel. — Pozwól mi jednak przedtem zadać pytanie na temat, który wielce mnie obchodzi, więcej niż cokolwiek na świecie, panie admirale.

— Przewiduję pytanie. Czy nie powinieneś przewidzieć mej odpowiedzi? Chcesz mnie zapytać, czy dotrzymałem obietnicy, czy opowiedziałem królowi o twoim chwalebnym i skutecznym udziale w obronie Saint–Quentin.

— Nie, panie admirale, nie o to doprawdy chciałem zapytać. Znam cię, nauczyłem się ufać twoim słowom i jestem pewien, że pierwszą twoją troską po powrocie tutaj było wypełnić zobowiązanie i powiedzieć wielkodusznie królowi, osobiście samemu królowi, że odegrałem jakąś rolę w obronie Saint–Quentin. Pewnie nawet wyolbrzymiłeś wobec jego królewskiej mości moje zasługi. Tak, panie, z góry o tym wiedziałem. Ale nie wiem i bardzo jest dla mnie ważne wiedzieć, co Henryk II odpowiedział na twe dobre słowa.

— Niestety, Gabrielu, Henryk odpowiedział pytaniem, co się z tobą stało. Byłem dość zakłopotany, co mu rzec. List, jaki mi pozostawiłeś opuszczając Saint–Quentin, nie był jasny i jedynie mi przypomniał uczynioną obietnicę. Odpowiedziałem, że pewnie nie zginąłeś, ale że wedle prawdopodobieństwa zabrano cię jako jeńca i że ty przez delikatność nie chciałeś mnie o tym powiadomić.

— A co na to król?

— Mój przyjacielu, król rzekł: To dobrze. Uśmiech zadowolenia zakwitł na jego wargach. Później, kiedy podkreślałem zasługi twoich czynów wojennych i zobowiązania, jakie zaciągnął wobec ciebie król i Francja, Henryk rzekł: Dość na ten temat. Zmienił przedmiot rozmowy, zmusił mnie do mówienia o czymś innym.

— Tak jest jak przypuszczałem — rzekł z ironią Gabriel.

— Odwagi przyjacielu. Przypominasz sobie, że już w Saint–Quentin uprzedzałem cię, że nie trzeba liczyć na wdzięczność możnych tego świata.

Na to Gabriel rzekł tonem zabarwionym groźbą:

— Król chciał zapomnieć wtedy, kiedy spodziewał się, że jestem jeńcem lub zginąłem. Ale kiedy pójdę zaraz mu przypomnieć twarzą w twarz o swoich prawach, chyba sobie będzie musiał przypomnieć.

— A jeśli cierpi na zanik pamięci?

— Panie admirale, kiedy ktoś doznaje obrazy, zwraca się do króla, by wymierzył sprawiedliwość. Kiedy sarn król obraził, trzeba jedynie zwrócić się do Boga, by nas pomścił.

— Zresztą wyobrażam sobie, że w razie potrzeby sam chętnie stałbyś się narzędziem boskiej zemsty.

— Rzekłeś prawdę, panie.

— No więc dobrze. Może przyszedł czas na przypomnienie ci rozmowy na temat religii

uciśnionych. Mówiłem ci o pewnym środku na ukaranie królów służąc prawdzie.

— Tak, mam w pamięci ową rozmowę. Nie zapominam. Może uciekłbym się do twojego środka, panie, jeśli nie przeciw Henrykowi II, to przeciw jego następcom, bo ów środek jest dobry na wszystkich królów.

— Wobec tego, czy możesz mi poświęcić jedną godzinę?

— Król przyjmuje dopiero w południe. Do tego terminu mój czas należy do ciebie, panie admirale.

— Chodź razem ze mną tam, dokąd idę. Jesteś szlachcicem, poznałem twój charakter w ciężkich próbach, nie żądam zatem od ciebie przysięgi. Obiecaj mi po prostu zachować sekret nienaruszony o osobach, które zobaczysz, i o sprawach, o których usłyszysz.

— Obiecuję absolutne milczenie — rzekł Gabriel.

— Chodź ze mną. Jeśli doświadczysz jakiejś niesprawiedliwości w Luwrze, z góry będziesz miał w rękach rewanż. Idź za mną.

Coligny i Gabriel przeszli przez most Pont–au–Change i przez Cite. Zapuścili się w kręte zaułki w pobliżu ulicy Saint–Jacques.

XLVI. FILOZOF I ŻOŁNIERZ

Na początku ulicy Saint–Jacques Coligny zatrzymał się przed niską bramą domu o niepozornym wyglądzie. Zastukał. Najpierw otwarto okienko, potem bramę, kiedy niewidoczny stróż rozpoznał admirała.

W ślad za swym godnym przywódcą Gabriel przeszedł przez ciemną, długą aleję i wszedł na trzecie piętro po zmurszałych schodach. Kiedy doszli prawie na strych, do najwyżej położonej i najnędzniejszej izby w domu, Coligny uderzył trzykroć w drzwi, nie ręką, ale nogą. Otworzono, weszli do sporego pokoju, ale prawie pustego i ponurego. Dwa wąskie okna, jedno wychodzące na ulicę Saint–Jacques, drugie na podwórze na tyłach domu, słabo go oświetlały. Jako całe umeblowanie służyły cztery stołki i dębowy stół na krzywych nogach.

Dwaj mężczyźni, którzy zdawali się oczekiwać na przybysza, podeszli do admirała.

Trzeci pozostał dyskretnie na uboczu, stał przed oknem wychodzącym na ulicę. Złożył jedynie z daleka ukłon Coligny'emu.

— Teodorze i kapitanie, przyprowadzam i przedstawiam wam przyjaciela, jeśli nie dawnego, to teraźniejszego, i mam nadzieję, że będzie nim także w przyszłości.

Dwaj nieznajomi ukłonili się w milczeniu wicehrabiemu d'Exmès. Później młodszy, którego zwano Teodorem, zaczął z ożywieniem rozmawiać po cichu z admirałem. Gabriel odsunął się na bok, by ich nie krępować. Miał okazję przyjrzeć się do woli osobom, które mu przedstawił admirał. Nie znał jeszcze nazwisk.

Kapitan miał wyraziste rysy i okazałą postawę energicznego męża czynu. Był silnym brunetem wysokiego wzrostu. Nie trzeba być bystrym obserwatorem, żeby z jego czoła odczytać odwagę, z oczu zapał i siłę woli z zaciśniętych ust.

Towarzysz owego dumnego śmiałka wyglądał raczej na dworzanina: był to pełen wdzięku kawaler o wesołej, okrągłej twarzy, bystrym spojrzeniu, wytwornym i swobodnym obejściu. Jego strój zgodnie z wymaganiami najświeższej mody jaskrawo kontrastował ze skromnym aż do surowości odzieniem kapitana.

Jeśli chodzi o trzeciego osobnika, który stał w oddaleniu od grupy mężczyzn, mimo postawy pełnej rezerwy przyciągał uwagę pańską fizjognomią. Szerokie czoło, bystrość i głębia spojrzenia nawet najmniej spostrzegawczym wskazywały na człowieka intelektu, a nawet geniusza.

Tymczasem Coligny po wymianie kilku zdań z przyjacielem zbliżył się do Gabriela.

— Wybacz mi, nie ja tutaj rządzę, musiałem naradzić się z braćmi, zanim ci powiem, gdzie jesteś i w czyim towarzystwie.

— A teraz czy mogę się dowiedzieć? — spytał Gabriel.

— Możesz, przyjacielu.

— A więc, gdzie jestem?

— W skromnym pokoju, gdzie syn bednarza z Noyon, Jan Kalwin, organizował pierwsze tajne związki reformatorów. Stąd musiał powędrować na stos Estrapady. Ale dzisiaj triumfuje i ma pełnię władzy w Genewie. Królowie tego świata muszą się z nim liczyć. Wystarczy sama wzmianka o nim, aby więcej rozsławić wilgotne mury tej nory niż złote arabeski Luwru.

Gabriel zdjął kapelusz na dźwięk słynnego nazwiska Kalwina. Chociaż energiczny młodzieniec do tej pory nie interesował się specjalnie zagadnieniami religii i moralności, był jednak człowiekiem swej epoki. Niejeden raz nurtowały jego umysł problemy związane z pracowitym i surowym trybem życia reformatora, jego śmiałymi, zdecydowanymi doktrynami, jego wzniosłym, a budzącym postrach charakterem.

Gabriel zapytał ze spokojem:

— Kim są ci, którzy mnie otaczają w szacownym pokoju mistrza?

— Jego uczniowie: Teodor de Bèze, jego pióro, i La Renaudie, go szpada — odpowiedział admirał.

Gabriel ukłonił się wytwornemu pisarzowi, który miał się stać historykiem zreformowanych kościołów i zawadiackiemu kapitanowi, który miał stać się sprawcą zamieszek w Amboise.

Teodor de Bèze odkłonił się Gabrielowi z dwornym, właściwym mu wdziękiem i przemówił do niego z uśmiechem:

— Panie wicehrabio d'Exmès, chociaż wprowadzono cię tutaj z pewną ostrożnością, nie traktuj nas, proszę, jako nazbyt niebezpiecznych i tajemniczych konspiratorów. Śpieszę ci oświadczyć, że przywódcy wyznania zbierają się w tym domu potajemnie trzy razy w tygodniu jedynie po to, aby przekazać sobie nawzajem wieści o reformie, aby przyjmować bądź neofitów, którzy wyznając nasze zasady chcą z nami dzielić niebezpieczeństwa, bądź też tych, których pragnęlibyśmy pozyskać dla sprawy ze względu na ich osobiste zasługi. Dziękujemy admirałowi, że cię tu przyprowadził, panie wicehrabio, z całą pewnością należysz do tych drugich.

— A ja, panowie, należę do pierwszych — rzekł zbliżając się z miną pełną prostoty i skromności nieznajomy, który pozostawał dotąd na uboczu. — Należę do pokornych myślicieli, których światło waszych idei przyciąga w mroku i który chciałby bliżej je poznać.

— Ambroise, wkrótce zaliczymy cię do najznakomitszych braci — rzekł na to La Renaudie. — Tak, panowie — zwrócił się do Coligny'ego i de Bèze'a — to adept jeszcze nie oświecony, jeszcze młody, jak widzicie, jednak ręczę, że stanie się chlubą religii, bo pracuje i myśli. Sam do nas przyszedł, z czego winniśmy się cieszyć, gdyż wkrótce z dumą będziemy zaliczali do naszych szeregów chirurga Ambrożego Paré.

— Ależ, panie kapitanie — rzekł Ambroży.

— Kto pouczał mistrza Ambrożego Paré? — spytał Teodor de Bèze.

— Minister Chaudieu, który mnie zapoznał z panem La Renaudie — odpowiedział Ambroży.

— Czy już złożyłeś uroczystą przysięgę?

— Jeszcze nie — odparł chirurg. — Szczerze mówię, że chcę się zaangażować dopiero po poznaniu sprawy. Przyznaję się, że mam jeszcze pewne wątpliwości. Aby się oddać sprawie bez zastrzeżeń i bezpowrotnie, muszą wyjaśnić kilka niejasności. Dlatego właśnie zapragnąłem poznać przywódców reformacji, a jeśli trzeba będzie, pójdę do samego Kalwina, bo prawda i wolność to moje pasje.

— Słusznie — przyznał admirał bądź spokojny, mistrzu, nikt z nas nie zechce odmawiać racji twemu rzadkiemu i dumnemu poczuciu niezależności umysłu.

— Czy wam nie mówiłem? — spytał triumfująco La Renaudie. — Czyż nie jest to cenny nabytek dla naszego wyznania? Widziałem Ambrożego Paré przy własnym księgozbiorze, widziałem go u wezgłowia chorych, widywałem go nawet na polach bitwy i wszędzie, wobec pomyłek i przesądów jak wobec ludzkich ran i chorób zawsze był taki spokojny, górujący nad innymi i opanowany.

Tutaj wtrącił się Gabriel, poruszony tym, co widział i słyszał:

— Proszę mi pozwolić rzec parę słów: wiem już, gdzie jestem, i domyślam się, jakimi motywami kierował się mój szlachetny przyjaciel, pan de Coligny, kiedy mnie przyprowadził do tego domu. Tu się zbierają ci, których król Henryk II zwie heretykami i uważa za swych śmiertelnych wrogów. Z całą pewnością ja bardziej potrzebuję pouczeń niż mistrz Ambroży Paré. Podobnie jak on, może sporo działałem, ale niestety nie oddawałem się refleksjom. Oddałby przysługę nowo przybyłemu nie znającemu nowych idei, gdyby zechciał mu uświadomić, jakie racje i jaki interes zjednały jego wzniosły umysł dla partii reformatorów.

— To nie interes — odpowiedział Ambroży Paré. — Gdyby mi zależało na powodzeniu jako chirurgowi, byłoby w moim interesie związać się z wierzeniami dworu i książąt. To nie interes, panie wicehrabio, ale, jak rzekłeś, racje. Jeśli wybitne osobistości, wobec których zabieram głos, upoważnią mnie do tego, wykażę ci te racje w dwóch słowach.

— Mów, mów! — rzekli naraz Coligny, La Renaudie i Teodor de Bèze.

— Będę się streszczał, bo czas nagli. Trzeba wiedzieć przede wszystkim, że chciałem odłączyć ideę reformy od wszystkich innych teorii i formuł. Kiedy się odrzuci wszystko, co uboczne, takie oto zasady pozostają, i dla nich chętnie poddałbym się wszelkim prześladowaniom…

Gabriel nie ukrywał podziwu, z jakim słuchał owego bezinteresownego wyznawcy prawdy.

Ambroży Paré mówił:

— Władza religijna i polityczna, Kościół i monarchia narzuciły swój reżim i prawo woli i rozumowi jednostki. Ksiądz mówi każdemu: masz wierzyć w to i to, a panujący: masz czynić to i to. Sprawy mogły trwać do czasu, dopóki umysły były jeszcze nie wyrobione i musiały podlegać takiej dyscyplinie, aby iść przez życie. Ale obecnie czujemy się dojrzali i zrównoważeni, a więc tacy jesteśmy. A tymczasem władca i ksiądz, Kościół i król nie chcą zrezygnować z autorytetu, do którego się przyzwyczaili. Moim zdaniem, r e f o r m a p r o t e s t u j e przeciwko takiemu anachronizmowi nierówności. Od tej chwili niech każda dusza ma możność rozmyślać nad wiarą i uzasadnić rozumowo poddanie się jej. Wydaje mi się, że do takiego ujęcia powinna dążyć odnowa, której poświęcamy nasze starania. Czy się mylę, panowie?

— Nie, ale idziesz znacznie za daleko naprzód — rzekł Teodor de Bèze — taka śmiałość w mieszaniu kwestii moralnych ze sprawami politycznymi…

— Właśnie ta śmiałość mi się podoba! — przerwał Gabriel.

— To nie śmiałość, a logika! — wyjaśniał Ambroży Paré. — Dlaczego to, co jest sprawiedliwe w Kościele, miałoby nie być sprawiedliwe w Państwie? Dlaczego chcielibyście wykluczyć w czynach to, co dopuszczacie w myślach?

— Wiele jest buntu w zuchwałych słowach, jakie wygłosiłeś, mistrzu — rzekł zamyślony Coligny.

— Buntu? — powtórzył spokojnie Ambroży.

— Mówię o rewolucjach.

Trzej zwolennicy reformacji patrzyli na siebie ze zdziwieniem. Ów mężczyzna jest silniejszy, niż przypuszczaliśmy, mówiły ich spojrzenia.

Gabriel nie zapominał o naczelnej idei swego życia, porównywał z nią to, co przed chwilą usłyszał, i rozmyślał.

Teodor de Bèze rzekł żywo do zuchwałego chirurga:

— Absolutnie powinieneś do nas należeć. Czego żądasz?

— Nic więcej, jak mieć możność porozmawiania czasem i przedstawienia waszym światłym umysłom trudności, jakie mnie jeszcze wstrzymują.

— Uzyskasz więcej, będziesz bezpośrednio korespondował z Kalwinem — rzekł Teodor de Bèze.

— Taki zaszczyt dla mnie? — spytał Ambroży Paré rumieniąc się z radości.

— Tak, powinieneś go poznać, a on ciebie — odrzekł admirał. — Taki adept jak ty wymaga takiego mistrza jak on. Złożysz listy na ręce swego przyjaciela La Renaudie, a my podejmiemy się je dostarczyć do Genewy. My także przekażemy ci odpowiedź. Nie będziesz długo czekał. Słyszałeś już o zadziwiającej aktywności Kalwina, będziesz zadowolony.

— Wynagradzacie mnie zanim cokolwiek uczyniłem — rzekł Ambroży Paré. — Czym zasłużyłem na tyle łaskawości?

— Wiedziałem, że ich oczarujesz od pierwszego razu, przyjacielu — rzekł La Renaudie.

— Dzięki, stokrotne dzięki. Niestety, muszę już z wami się rozstać. Czekają na mnie pacjenci.

— Idź już, idź. Woła cię święta powinność, nie chcemy cię zatrzymywać. Idź i czyń dobro, podobnie jak w myślach dążysz do prawdy — rzekł Teodor de Bèze.

— Rozstając się z nami powtarzaj sobie, że opuszczasz przyjaciół i braci, tak mówimy o wyznawcach naszej religii — dodał Coligny.

Tak oto serdecznie go żegnali. Gabriel gorąco uścisnął mu rękę, chcąc równie jak inni okazać mu przyjaźń.

Ambroży Paré wyszedł z radością i dumą w sercu.

— To doprawdy wyjątkowa dusza. — rzekł Teodor de Bèze.

— Jak nienawidzi pospolitości — dodał La Renaudie.

— I jaka ofiarność bez wyrachowania i ubocznych myśli poza dobrem ludzkości — zauważył Coligny.

— Niestety! — rzekł Gabriel. — Wobec takiego wyrzeczenia się, jaki lichy może ci się wydać mój egoizm, panie admirale. Ja nie podporządkowuję czynów i osób ideom i zasadom, jak to czyni Ambroży Paré, ale wprost przeciwnie, zasady i idee przystosowuję do osób i czynów. Wiesz dobrze, że dla mnie Reformacja nie będzie celem, ale środkiem. W waszej wielkiej bezinteresownej walce będę brał udział na własny rachunek. Czuję, że moje motywy są zbyt osobiste, żebym się ośmielił bronić tak czystej sprawy, i uczynicie właściwie, jeśli mnie teraz wyrzucicie ze swoich szeregów jako niegodnego.

— Z pewnością rzucasz na siebie kalumnie panie d'Exmès — rzekł Teodor de Bèze. — Jeśli nawet będziesz posłuszny celom mniej wzniosłym niż idee Ambrożego Paré, ścieżki boże są rozmaite, prawdy nie znajduje się jedynie na jednej drodze.

— Tak dodał La Renaudie — rzadko ktoś nam składa takie wyznanie wiary, jakie przed chwilą usłyszałeś. Człowieka, którego chcemy wcielić w nasze szeregi, pytamy; czego chciałbyś?

— A więc jest tak — odpowiedział Gabriel ze smutnym uśmiechem — Ambroży Paré na to pytanie odpowiedział: zapytuję, czy istotnie sprawiedliwość i prawo są po waszej stronie. Czy wiecie, o co ja zapytam?

— Nie — odrzekł Teodor de Bèze — ale pod każdym względem chcemy udzielić ci satysfakcjonującej odpowiedzi.

— Zapytam: Czy jesteście pewni, że posiadacie dostatecznie wielką potęgę materialną i liczebność? Jeśli nie po to, aby zwyciężyć, to przynajmniej, aby walczyć?

Znowu trzej hugenoci popatrzyli na siebie ze zdziwieniem. Ale było to innego rodzaju zdziwienie niż za pierwszym razem.

Gabriel obserwował ich w melancholijnym milczeniu.

Po przerwie Teodor de Bèze odpowiedział:

— Bez względu na to, jakie uczucia dyktują ci takie pytanie, obiecałem ci z góry odpowiedzieć na wszystko, więc dotrzymuję obietnicy. Mamy za sobą nie tylko rozum, ale i siłę, dzięki Bogu. Rozprzestrzenianie się wyznania jest szybkie i niezaprzeczalne. Od trzech lat zreformowany kościół ma siedzibę w Paryżu, a wielkie miasta monarchii jak Blois, Tours, Poitiers, Marsylia, Rouen mają swoje ośrodki reformacji. Będziesz mógł sam stwierdzić, panie d'Exmès, jakie zadziwiające skutki wywierają nasze spacery do Prè–aux–Clercs. Lud, szlachta i dwór królewski opuszczają festyny dworskie po to, aby razem z nami śpiewać po francusku psalmy Klemensa Marota. Liczymy, że w przyszłym roku stwierdzimy, ilu nas jest podczas publicznej procesji. W chwili obecnej z pewnością stanowimy jedną piątą narodu. Możemy więc bez zastrzeżeń zwać się partią i wzbudzać zaufanie w naszych przyjaciołach, a obawę wrogów.

— Jeśli tak jest, to wkrótce będę mógł zaliczać się do pierwszych i pomagać wam zwalczać

drugich.

— Ą gdybyśmy byli jednak słabsi? — spytał La Renaudie.

— Przyznaję się, że poszukałbym innych sprzymierzeńców — odpowiedział Gabriel ze spokojną stanowczością.

La Renaudie i Teodor de Bèze uczynili gest zdziwienia.

— Nie sądźcie go, przyjaciele, zbyt pośpiesznie i surowo Widziałem go w działaniu podczas oblężenia Saint–Quentin. Kiedy ktoś ryzykuje życie, tak jak on to czynił, nie ma pospolitej duszy. Wiem, że ma wypełnić święty i przerażający obowiązek, który całkowicie go pochłania.

— Nie mogąc mówić o swych powinnościach, chciałbym przynajmniej okazać szczerość. Jeśli zdarzenia tak się ułożą, że będę do was należał, ofiaruję wam solidne ramię i serce. Prawdą jest, że nie mogę się wam oddać całkowicie i bez liczenia się z niczym. Przede mną obowiązek konieczny i trudny. Gniew boży i złość ludzka mi go narzuciły. Dopóki nie dokonam dzieła, nie jestem panem swego losu. Wybaczcie mi. Życie innego człowieka mnie wzywa o każdej porze i na każdym miejscu.

— Można się poświęcić dla człowieka tak samo jak dla idei — zauważył Teodor de Bèze.

— A w takim przypadku chętnie będziemy ci służyć, podobnie jak bylibyśmy dumni, — gdybyśmy się tobą posłużyli — rzekł Coligny.

— Nasze dobre myśli i życzenia będą ci towarzyszyły i z chęcią ci pomożemy w razie potrzeby — mówił La Renaudie.

— Jesteście bohaterscy i święci! — zawołał Gabriel.

— Ale miej się na baczności, młody człowieku — rzekł surowo La Renaudie w swój familiarny a nakazujący sposób. — Miej się na baczności, kiedy raz cię nazwiemy bratem, powinieneś stać się nas godny, Możemy dopuścić poświęcenie dla jednostki, ale niekiedy serce się myli. Czy jesteś całkiem pewny, młodzieńcze, że kiedy uważasz się za oddanego wyłącznie myśli o drugim człowieku, żadna osobista myśl nie powoduje twoimi czynami? Czy jesteś absolutnie, rzeczywiście bezinteresowny w dążeniu do owego celu? Czy nie inspiruje cię żadna namiętność, choćby najszlachetniejsza na świecie?

— Tak — dorzucił Teodor de Bèze — nie pytamy o twoje sekrety, ale zajrzyj w głąb swego serca i rzeknij, czy ani przez chwilę nie byłbyś zakłopotany, gdybyś miał prawo nam ujawnić swe uczucia i projekty. Uwierzymy ci na słowo.

— Oni mówią tak do ciebie, przyjacielu — wyjaśniał admirał — bo w rzeczy samej trzeba bronić czystych spraw czystymi rękoma. Gdyby tak nie było, można by przynieść nieszczęście sprawie i sobie samemu.

Gabriel słuchał i spoglądał po kolei na trzech mężczyzn stojących wokół niego, surowych dla drugiego jak dla siebie samych, którzy wypytywali go jako przyjaciele i sędziowie zarazem. Przy ich słowach Gabriel bladł i rumienił się na zmianę.

Sam badał swoje sumienie. Był człowiekiem zewnętrznych okoliczności, człowiekiem czynu, nie był przyzwyczajony do rozmyślań i analizowania. W obecnej chwili zapytywał siebie z przerażeniem, czy w jego miłości synowskiej miłość do pani de Castro nie odgrywała wielkiej roli. Czy nie zależało mu tak wielce na odkryciu tajemnicy urodzenia Diany, może tyle samo co na uwolnieniu hrabiego? Czy w owej kwestii życia i śmierci był na tyle bezinteresowny jak zdaniem Coligny'ego było trzeba, żeby zasłużyć na łaskę bożą?

Przerażające wątpliwości! A jeśli przez jakąś uboczną, egoistyczną intencję narażał wobec Najwyższego zbawienie ojca?!

Drżał na ową niespokojną myśl. Na pozór mało znacząca okoliczność przywołała go do czynu, zgodnie z naturą. Na kościele Saint–Severin wybiła jedenasta. Za godzinę znajdzie się w obecności króla!

Wtedy Gabriel dość zdecydowanym głosem wymówił następujące słowa do członków reformacji:

— Jesteście mężami złotego wieku. Każdy, kto czuje się bez zarzutu, byłby zmieszany i zachwiany w szacunku dla siebie, gdyby się porównał z waszym ideałem. Jednak jest niemożliwe, żeby wszyscy należący do waszego stronnictwa byli do was podobni. Jest pożyteczne i konieczne, abyście wy, stojący na czele Reformacji, czuwali nad sobą, nad intencjami i czynami. Ale jeśli ja się oddam waszej sprawie, to nie jako przywódca, a jedynie jako żołnierz. Otóż jedynie plamy na duszy są nie do starcia, zabrudzone ręce można umyć. Będę waszą ręką, i to wszystko. Dłoń owa jest odważna i zuchwała, ośmielam się to rzec. Czy macie prawo ją odepchnąć?

— Nie rzekł Coligny — i przyjmujemy ją od tej chwili, przyjacielu.

— A ja odpowiem, że spocznie równie czysta jak waleczna na gardzie miecza.

— Jako zadość uczynienie żałujemy, że w twoim skrupulatnym sercu nasze słowa obudziły wahanie, były one może zbyt szorstkie i surowe. Umiemy osądzać ludzi — dodał La Renaudie.

— Dziękuję wam, panowie — odpowiedział Gabriel. — Dzięki za to, że nie chcieliście zachwiać mego zaufania, którego tak wielce mi potrzeba do wypełnienia twardego obowiązku. Specjalne dzięki tobie składam, panie admirale, że zgodnie ze swą obietnicą z góry wskazałeś mi sposoby, jak płacić za brak wiary nawet koronowanemu królowi. Muszę teraz z wami się rozstać, panowie, nie mówią żegnam, ale do zobaczenia. Chociaż należą do takich, którzy się podporządkowują raczej wydarzeniom niż abstrakcjom, wierzę jednak, że ziarno, jakie zasialiście dzisiaj we mnie, zakiełkuje w późniejszym czasie.

— Życzymy sobie tego — rzekł Teodor de Bèze.

— Nie należy mi tego życzyć — odpowiedział Gabriel. — Już wam wyznałem, że tylko nieszczęście odda mnie waszej sprawie. Do widzenia raz jeszcze, panowie, muszę udać się do Luwru.

— Pójdę razem z tobą — rzekł Coligny. — Muszę powtórzyć Henrykowi II w twojej obecności to, co już oświadczyłem wtedy, gdy cię nie było. Pamięć królów jest krótka. Nie należy dopuścić, by mógł zapomnieć lub zaprzeczyć. Idę z tobą.

— Nie ośmieliłbym się prosić o taką przysługę, panie admirale — rzekł Gabriel. — Przyjmuję z wdzięcznym sercem.

— Ruszajmy — rzekł Coligny.

Kiedy wyszli z pokoju Kalwina, Teodor de Bèze wziął dwie karteczki i napisał na nich dwa nazwiska:

Ambroży Paré

Gabriel wicehrabia d'Exmès.

La Renaudie zwrócił mu uwagę:

— Wydaje mi się, że nieco się pośpieszyłeś wpisując owych dwóch mężczyzn w nasze szeregi. Jeszcze się w żaden sposób nie zaangażowali.

— Ci dwaj ludzie do nas należą — odpowiedział de Bèze. — Jeden szuka prawdy, a drugi ucieka przed niesprawiedliwością. Mówię ci, że już do nas należą, napiszę o tym do Kalwina.

— A zatem poranek był korzystny dla religii — rzekł La Renaudie.

— Oczywiście! — potwierdził Teodor. — Zdobyliśmy głębokiego filozofa i wartościowego żołnierza, mocną głowę i silne ramię, zwycięzcę w bitwach i siewcę idei. Masz rację, La Renaudie, poranek był w samej rzeczy dobry.

XLVII. Urok Marii Stuart ukazuje się w tej powieści tak samo przelotnie jak w historii Francji

Kiedy Gabriel przyszedł wraz z admirałem Coligny do bram Luwru, przytłoczyło go pierwsze usłyszane słowo. Król tego dnia nie przyjmował.

Admirał, mimo swej pozycji i mimo że był siostrzeńcem Montmorency'ego, nie miał na dworze wzięcia jako podejrzany o herezję. Jeśli chodzi o kapitana gwardii, Gabriela d'Exmès, odźwierni królewskiej rezydencji zdążyli zapomnieć jego twarz i nazwisko. Dwaj przyjaciele z trudem przebrnęli przez zewnętrzne bramy.

Wewnątrz było znacznie gorzej. Stracili ponad godzinę na wstępne rozmówki, nalegania, a nawet groźby. W miarę jak udawało im się zmusić do usunięcia jednej halabardy, wyrastała przed nimi następna i tarasowała drogę. Zdawali się mnożyć owi dragoni mniej lub więcej nieprzezwyciężeni, którzy strzegą królów.

Z wielkim trudem weszli do wielkiej galerii przed gabinetem Henryka II i już nie zdołali przejść dalej. Zakaz był nader surowy. Król zamknął się z konetablem i panią de Poitiers, wydał ścisłe rozkazy, żeby mu nie przeszkadzano pod żadnym pretekstem.

Aby uzyskać audiencję, Gabriel musiał czekać aż do wieczora.

Czekać, ciągle czekać, kiedy miał nadzieję dotrzeć do celu przybliżonego tyloma walkami i trudami! Te ostatnie godziny do przebycia wydawały się Gabrielowi straszniejsze i bardziej zabójcze niż wszelkie niebezpieczeństwa, które dotąd zwalczył.

Nie słuchając dobrych słów, jakimi admirał starał się go pocieszyć i nakłonić do cierpliwości, smutno patrzył przez okno na deszcz, który zaczął padać z zachmurzonego nieba. Przejęty gniewem i niepokojem, gorączkowo ściskał rękojeść szpady.

W jaki sposób poprzewracać owe idiotyczne straże i przejść ponad nimi do komnaty króla, a może do swobody ojca?

Nagle uniosła się portiera królewskiego antyszambru. Biała, promienna postać rozświetliła młodzieńcowi szarą, deszczową atmosferę.

Młoda królowa następczyni tronu, Maria Stuart, szła przez galerię.

Instynktownie Gabriel krzyknął i wyciągnął ku niej ramiona.

— O, Madame! — rzekł nie zdając sobie sprawy ze swego odruchu.

Maria Stuart odwróciła się, rozpoznała admirała i Gabriela i podeszła do nich bez wahania, uśmiechnięta jak zwykle.

— Wreszcie jesteś z powrotem, panie wicehrabio d'Exmès. Miło mi cię znowu widzieć. Słyszałam wiele w ostatnich czasach na twój temat. Ale co czynisz w Luwrze o takiej wczesnej godzinie, czego sobie życzysz?

— Rozmawiać z królem, Madame — odpowiedział Gabriel zdławionym głosem.

— Pan d Exmès w samej rzeczy musi porozmawiać natychmiast z jego królewską mością. Sprawa jest dla niego wielkiej wagi nawet dla samego króla, a wszystkie straże zakazują wejścia, odsyłają do wieczornej audiencji.

— Jakbym mógł czekać do wieczora! — zawołał Gabriel.

— Przypuszczam, że dlatego tak się dzieje, ponieważ jego królewska mość kończy wydawanie ważnych rozkazów. Pan konetabl de Montmorency jest jeszcze u króla i naprawdę obawiam się…

Błagalne spojrzenie Gabriel a nie dało Marii Stuart dokończyć zdania.

— No dobrze, spróbujmy, narażam się — rzekła.

Uczyniła gest malutką rączką. Straże rozsunęły się z respektem. Gabriel i admirał mieli wolne przejście.

— Dziękuję ci, Madame rzekł gorąco młodzieniec. — Dzięki ci, podobnej do anioła. Zjawiasz się zwykle, aby mnie pocieszyć lub mi pomóc w troskach.

— Droga wolna — odpowiedziała z uśmiechem Maria Stuart. — Jeśli jego królewska mość wpadnie w złość, nie zdradzaj interwencji anioła, chyba w ostateczności, proszę cię.

Z wdziękiem złożyła ukłon Gabrielowi i jego towarzyszowi i zniknęła.

Gabriel był już przed drzwiami gabinetu króla. W ostatnim antyszambrze był ostatni odźwierny, który uczynił minę, jakby chciał sprzeciwić się wejściu. Ale w tejże chwili otwarły się drzwi i Henryk II ukazał się w całej okazałości na progu, kończąc wydawanie ostatnich instrukcji konetablowi.

Szybka decyzja nie była zaletą króla. Na niespodziewany widok wicehrabiego d Exmès cofnął się i nie umiał nawet okazać irytacji.

Zaletą Gabriela była stanowczość. Przede wszystkim pokłonił się głęboko przed królem.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — racz przyjąć wyrazy mojego uszanowania…

Potem zwrócił się do pana de Coligny, który szedł za nim. Chciał mu zaoszczędzić kłopotu zagajenia rozmowy.

— Chodź, panie admirale, i zgodnie z życzliwie uczynioną mi obietnicą zechciej przypomnieć jego królewskiej mości, jaki był mój udział w obronie Saint–Quentin.

— Co to ma znaczyć, panie? — zawołał Henryk zaczynając odzyskiwać zimną krew. — Jakim prawem tak wchodzisz do nas bez upoważnienia, bez zaanonsowania? Jak ośmielasz się zapytywać pana admirała w naszej obecności?

Gabriel, zawsze zuchwały w decydujących momentach tak jak wobec wroga, rozumiejąc, że nie należy się przestraszyć, odpowiedział tonem pełnym szacunku, ale stanowczym:

— Najjaśniejszy Panie, sądziłem, że Wasza Królewska Mość jest zawsze gotów do wymierzenia sprawiedliwości, choćby chodziło o najnędzniejszego z poddanych.

Skorzystał z chwili, że król się cofnął, i wszedł odważnie do gabinetu, gdzie Diana de Poitiers, blada, na wpół się podniosła z rzeźbionego dębowego fotela i patrzyła, co czyni śmiałek. Z gniewu i zaskoczenia nie mogła znaleźć ani jednego słowa.

Coligny wszedł w ślad za swym gwałtownym przyjacielem, a Montmorency, zdumiony jak i pozostali, także to uczynił.

Zapanowała chwila ciszy. Henryk II, zwrócony ku swej faworycie, radził się jej spojrzeniem. Ale wcześniej, zanim on powziął lub ona narzuciła mu postanowienie, Gabriel, który znał wagę każdej minuty, powiedział do Coligny'ego błagalnym, a zarazem pełnym godności tonem:

— Zaklinam cię, mów, panie admirale.

Montmorency uczynił siostrzeńcowi znak zaprzeczenia, ale dzielny Gaspard z nim się nie liczył.

— Będę mówił w samej rzeczy, bo taki mój obowiązek i tak obiecałem. Najjaśniejszy Panie, powtarzam ci pokrótce w obecności pana wicehrabiego d'Exmès to, co uważałem za stosowne ci rzec szczegółowo przed jego powrotem. Dzięki niemu, dzięki niemu jednemu mogliśmy przedłużyć obronęSaint–Quentin poza termin wyznaczony przez Waszą Królewską Mość.

Wtedy konetabl znacząco aż podskoczył. Ale Coligny, choć patrzył na niego, dokończył z nie mniejszym spokojem:

— Tak, Najjaśniejszy Panie, trzykroć i więcej pan d'Exmès ocalił miasto. Bez jego odwagi, bez jego energii Francja dzisiejsza nie znalazłaby się na drodze do ocalenia, na której, miejmy nadzieję, teraz już się utrzyma.

— Ależ jesteś nazbyt skromny i zbyt uprzejmy, mój siostrzeńcze — zawołał pan de

Montmorency nie mogąc już dłużej powstrzymać objawów swej niecierpliwości.

— Nie, panie — odpowiedział Coligny — jestem sprawiedliwy i prawdomówny, to wszystko. Przyczyniłem się ze swej strony ze wszystkich sił do obrony powierzonego mi grodu. Ale wicehrabia d'Exmès pobudził odwagę mieszkańców, kiedy wydawała mi się już całkowicie Wygasła. Wicehrabia d'Exmès umiał sprowadzić pomoc, czego ja nie zdołałem uczynić. Wicehrabia d'Exmès odkrył zasadzkę nieprzyjaciela, której nie przewidziałem. Nie mówię już o sposobie, w jaki się zachowywał podczas walki wręcz, wszyscy czyniliśmy wszystko wedle najlepszej możności. Ale to, czego sam dokonał, głośno obwieszczam, chociażby ogrom jego chwały zdobytej przy tej okazji miał pomniejszyć moje zasługi.

Zwracając się do Gabriela zacny admirał dorzucił:

— Czy tak należało mówić, przyjacielu? Czy wypełniłem swoje wobec ciebie zobowiązania, czy jesteś ze mnie zadowolony?

— Dziękuję ci i błogosławię, panie admirale, za tyle prawości i męstwa — rzekł wzruszony Gabriel ściskając dłonie Coligny'ego. — Spodziewałem się tego po tobie. Możesz na mnie liczyć jako na wiecznego dłużnika, proszę cię. Tak, od tej chwili twój wierzyciel stał się dłużnikiem i będzie pamiętał o długu, przysięgam ci.

W owym czasie król ze zmarszczonymi brwiami i oczami spuszczonymi ku ziemi niecierpliwie tupał nogą w parkiet. Wydawał się w głębokiej rozterce.

Konetabl krok za krokiem zbliżył się do pani de Poitiers i wymienił z nią po cichu kilka słów.

Chyba powzięli jakieś postanowienie, bowiem Diana zaczęła się uśmiechać. Ów niewieści szatański uśmiech wprawił w drżenie Gabriela, który w owym momencie podniósł oczy na piękną diuszesę.

Jednak znalazł siłę, by dodać:

— Teraz już nie zatrzymuję cię, panie admirale. Wypełniłeś względem mnie więcej niż obowiązek, a jeśli Wasza Królewska Mość raczy mi jako pierwszą nagrodą udzielić minuty na rozmowę na osobności…

— Później, panie, później. Nie mówię nie — żywo odpowiedział Henryk II. — Obecnie jest to niemożliwe.

— Niemożliwe! — żałośnie powtórzył Gabriel.

— A dlaczego niemożliwe, Najjaśniejszy Panie? — przerwała spokojnie Diana ku wielkiemu zdziwieniu Gabriela i samego króla.

— Co, pani? Myślisz, że… — wyjąkał Henryk.

— Myślę, że najpilniejszą sprawą dla króla jest dać każdemu z poddanych to, co mu się należy. Otóż wydaje mi się, że twój dług wobec pana wicehrabiego d'Exmès jest słuszny, uzasadniony i święty.

— Bez wątpienia, bez wątpienia — rzekł Henryk szukając w oczach metresy odczytania wyjaśnienia — chcę…

— Wysłuchać pana d'Exmès natychmiast — dokończyła Diana. — To dobrze, Najjaśniejszy Panie, tak każe sprawiedliwość.

— Ale Wasza Królewska Mość wie, że muszę z nim rozmawiać na osobności.

— Pan de Montmorency odchodził, kiedy wchodziłeś, panie — rzekła Diana de Poitiers. — Jeśli idzie o pana admirała, sam zadałeś sobie trud, by mu rzec, że go nie zatrzymujesz. Jeśli chodzi o mnie, byłam świadkiem zobowiązania podjętego przez króla wobec ciebie i umiałabym w razie potrzeby przypomnieć jego królewskiej mości dokładne słowa. Może pozwolisz mi pozostać?

— Oczywiście, pani, proszę — wyszeptał Gabriel.

— Odchodzimy, siostrzeniec i ja, żegnamy jego królewską mość i ciebie, pani — rzekł

Montmorency.

Pochylając się przed Dianą uczynił znaczący gest dla dodania jej odwagi, chociaż ona nie zdawała się jej potrzebować.

Coligny zaś ośmielił się uścisnąć rękę Gabrielowi, potem wyszedł w ślad za wujem.

Król i faworyta pozostali sami z Gabrielem, przerażonym taką nieprzewidzianą i tajemniczą opieką i łaskawością ze strony matki Diany de Castro.

XLVIII. DRUGA DIANA

Mimo wielkiego opanowania Gabriel nie mógł się ustrzec przed bladością, która pokryła mu twarz, i wzruszeniem powodującym załamanie głosu, kiedy po przerwie rzekł do króla:

— Najjaśniejszy Panie, z drżeniem, a jednak z głęboką ufnością w twą królewską obietnicę ośmielam się Waszej Królewskiej Mości przypomnieć o uroczystym zobowiązaniu, jakie raczyłeś podjąć względem mnie. Dopiero wczoraj wyrwałem się z niewoli! Hrabia de Montgomery jeszcze żyje, Najjaśniejszy Panie. Gdyby tak nie było, już od dawna przerwałbyś moje słowa…

Zatrzymał się nie kończąc zdania, czuł ucisk w piersi. Król pozostał nieruchomy i niemy. Gabriel znowu zaczął mówić:

— A zatem, skoro hrabia de Montgomery jeszcze żyje, a wedle świadectwa pana admirała przedłużyłem poza termin opór Saint–Quentin, przekroczyłem swą obietnicę, Najjaśniejszy Panie, a teraz ty dotrzymaj swojej. Najjaśniejszy Panie, zwróć mi ojca!

— Panie — rzekł Henryk z wahaniem.

Spoglądał na Dianę de Poitiers, której spokój i pewność siebie niczym nie dały się zakłócić.

Decyzja była jednak trudna. Henryk przyzwyczaił się uważać Gabriela za zmarłego lub więźnia, nie przewidział, że będzie musiał odpowiedzieć na straszne żądanie.

Widząc wahanie monarchy Gabriel czuł, jak niepokój ściska mu serce.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł z rozpaczą — niemożliwe, żeby Wasza Królewska Mość zapomniał! Wasza Królewska Mość z pewnością przypomina sobie ową uroczystą rozmowę, jakie zobowiązanie ja podjąłem w imieniu więźnia, a jakie zobowiązanie Wasza Królewska Mość względem mnie.

Wbrew swej woli król wzruszył się bólem i przerażeniem szlachetnego młodzieńca, obudziły się w nim szlachetne uczucia i rzekł:

— Pamiętam wszystko.

— Ach, Najjaśniejszy Panie, dzięki! — Wzrok Gabriela zajaśniał radością.

Ale w owej chwili pani de Poitiers powiedziała spokojnie:

— Oczywiście, król pamięta o wszystkim, panie d'Exmès, ale wydaje mi się, że ty o czymś zapomniałeś.

Piorun z jasnego nieba nie przeraziłby bardziej Gabriela.

— Jak to? O czym zapomniałem, Madame?

— O połowie swego zadania, panie — odpowiedziała Diana. — Powiedziałeś do jego królewskiej mości, cytuję, jeśli nie słowa, to ich sens: Najjaśniejszy Panie, dla odkupienia wolności hrabiego de Montgomery powstrzymam wroga w triumfalnym marszu ku centrum Francji.

— Czyż tego nie uczyniłem, pani? — spytał Gabriel tracąc głowę z przejęcia.

— Tak — odpowiedziała Diana — ale dodałeś: A nawet, jeśli trzeba będzie, z atakowanego stając się agresorem, zawładnę warownią którą opanował nieprzyjaciel. Tak rzekłeś, panie. Otóż wydaje mi się, że wykonałeś dopiero połowę tego, co obiecałeś. Co na to odpowiesz? Utrzymałeś Saint–Quentin przez pewien czas i temu nie przeczę. To miasto obronione, a gdzie miasto zdobyte?

— O mój Boże! Mój Boże! — tyle tylko zdołał rzec Gabriel.

— A więc widzisz, że moja pamięć jest jeszcze lepsza niż twoja i gotowa na zawołanie. Mam nadzieję, i że i ty sobie teraz to przypominasz.

— Tak, to prawda, teraz sobie przypominam — z goryczą rzekł Gabriel. — Ale mówiąc tak chciałem jedynie wyrazić, że w razie potrzeby uczyniłbym nawet rzecz niemożliwą. Czyż jest możliwe teraz odebrać jakieś miasto Hiszpanom lub Anglikom? Pytam, Najjaśniejszy Panie? Wasza Królewska Mość pozwalając mi odjechać, tym samym zaakceptował pierwszą moją ofertę nie dając mi do zrozumienia, że po takim bohaterskim wyczynie, po tak długim uwięzieniu będę musiał jeszcze wypełnić drugą. Najjaśniejszy Panie, do ciebie się zwracam, czy jedno miasto za wolność jednego człowieka to nie dosyć? Czy nie zadowolisz się takim okupem? Pod wpływem egzaltacji wymknęło mi się słówko. Czyż można ode mnie wymagać zadania stokroć trudniejszego niż pierwsze, a nawet nieziszczalnego?

Król uczynił gest, jakby chciał przemówić, ale diuszesa pośpieszyła się, żeby go uprzedzić.

— Czy to łatwiejsze i bardziej realne, czyż mniej w tym niebezpieczeństw i szaleństwa, by ze względu na twoje obietnice zwrócić wolność poważnemu przestępcy, budzącemu postrach więźniowi, który dopuścił się obrazy majestatu? Aby otrzymać rzecz niemożliwą, ofiarowałeś się uczynić rzecz niemożliwą, panie d'Exmès. Nie jest to sprawiedliwe; żebyś się domagał od króla dotrzymania królewskiego słowa, jeśli do końca nie wypełniłeś swojego przyrzeczenia. Obowiązki monarchy nie są mniej poważne od zobowiązań poddanego. Olbrzymie, nadludzkie usługi oddane Państwu mogłyby jedynie dopuścić do wyjątku, by jego królewska mość przymknął oczy na państwowe prawa. Masz ojca do ocalenia, w porządku, ale król ma do zachowania Francję.

Wymownym spojrzeniem komentującym owe słowa Diana podwójnie przypominała Henrykowi, na jakie ryzyko narazi się, jeśli pozwoli wyjść z grobu staremu hrabiemu de Montgomery i jego tajemnicy.

Gabriel ponowił ostatnią próbę, zawołał wyciągając błagalnie ręce do króla:

— Najjaśniejszy Panie, odwołuję się do twego poczucia sprawiedliwości, do twej wspaniałomyślności! Najjaśniejszy Panie, później, gdy pozwoli czas i okoliczności, zobowiązuję się zwrócić ojczyźnie miasto albo umrzeć. Ale tymczasem, Najjaśniejszy Panie, pozwól, niech ujrzę ojca, łaski!

Henryk pod wpływem upartego wzroku Diany i całej jej postawy odpowiedział stanowczym tonem:

— Dotrzymaj swej obietnicy do końca, panie, a klnę się na Boga, że dopiero wtedy dopełnię swojej. Moje słowo znaczy tyle samo co twoje.

— Czy to ostateczna odpowiedź, Najjaśniejszy Panie?

— To moja ostateczna odpowiedź.

Gabriel pochylił głowę, złamany, zwyciężony i drżący po tak straszliwej klęsce.

W ciągu minuty mnóstwo myśli przebiegło mu przez głowę. Zemści się na owym niewdzięcznym królu i przewrotnej niewieście. Wejdzie w szeregi reformatorów. Dopełni się los Montgomerych! Uderzy śmiertelnie Henryka, tak jak Henryk ugodził w starego hrabiego! Przyczyni się do tego, by wygnano Dianę de Poitiers, okrytą wstydem i pozbawioną zaszczytów. Taki będzie od tej chwili jedyny cel jego woli i życia. Chociaż to cel daleki i pozornie nieprawdopodobny do osiągnięcia przez zwykłego szlachcica, ale on potrafi go osiągnąć!

Cóż! Biedny jego ojciec w tym czasie umrze! Byłoby dobrze go pomścić, ale ocalić jeszcze lepiej. W jego sytuacji zdobycie miasta nie było może trudniejsze niż ukaranie króla. Pierwszy cel jest święty i chwalebny, a drugi występny i bezbożny! Przez ów drugi utraci Dianę de Castro na zawsze, dzięki pierwszemu, kto wie, czy jej nie uzyska!

Jak błyskawica przemknęły przed oczyma Gabriela wszystkie wydarzenia, jakie się dokonały od czasu zdobycia przez wrogów Saint–Quentin.

W ciągu jednej dziesiątej czasu, jaki zużyliśmy na opisanie tego, dzielny i zawsze gotowy do

działania młodzieniec podniósł się na duchu. Powziął decyzję, ułożył plan, znalazł wyjście.

Król i faworyta ze zdziwieniem spostrzegli, że podnosi blade, ale spokojne czoło.

— Niech tak będzie — rzekł.

— Rezygnujesz? — spytał król.

— Decyduję się — odpowiedział Gabriel.

— Co to ma znaczyć? Wyjaśnij.

— Wysłuchaj mnie, Najjaśniejszy Panie. Przedsięwzięcie, by odebrać Hiszpanom zabrane miasto, wydaje ci się beznadziejne, nie możliwe, bezsensowne, szaleńcze, nieprawdaż? Bądź dobrej myśli, Najjaśniejszy Panie, i ty także, pani. Czy tak w głębi duszy osądzacie takie przedsięwzięcie?

— Tak jest — odpowiedział Henryk.

— Obawiam się, że tak jest — dodała Diana.

— Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa takie usiłowanie będzie mnie kosztowało życie i nie wywoła innych skutków poza tym, że mnie uznacie za śmiesznego szaleńca.

— Nie ja ci to zaproponowałem — zastrzegł się król.

— Byłoby rozsądniej zrezygnować — dodała Diana.

— Jednak rzekłem, że zdecydowałem się na to — oświadczył Gabriel.

Henryk i Diana nie zdołali ukryć podziwu.

— Miej się na baczności — rzekł król.

— Po co? Ze względu na życie? — roześmiał się głośno Gabriel. — Od dawna złożyłem je w ofierze. Ale, Najjaśniejszy Panie, żeby nie było nieporozumienia tym razem. Żadnych wykrętów. Warunki targu, jakie ustalamy razem wobec Boga, są jasne i wyraźne. Ja, Gabriel, wicehrabia d'Exmès, wicehrabia de Montgomery, będę postępował w taki sposób, aby jedno miasto znajdujące się obecnie we władaniu Hiszpanów lub Anglików przypadło tobie. Owo miasto nie będzie lichą mieściną, ale potężną warownią tak ważną, jak sobie życzysz. Nie ma żadnej dwuznaczności, sądzę?

— Nie, oczywiście — rzekł zmieszany król.

— Ale także z twojej strony, Henryka II, króla Francji, żądam zobowiązania, że na pierwszą moją prośbę zobowiązujesz się otworzyć loch mego ojca i zwrócić mi hrabiego de Montgomery. Czy podejmujesz zobowiązanie? Zgoda?

Król ujrzał uśmiech niedowierzania na twarzy Diany i rzekł:

— Zobowiązuję się.

— Dziękuję, Wasza Królewska Mość. Ale to nie wszystko. Możesz dać jedną jeszcze gwarancję biednemu szaleńcowi który z otwartymi oczyma rzuca się w przepaść. Trzeba być pobłażliwym dla mających umrzeć. Nie żądam dowodu na piśmie, bo mógłby cię skompromitować, z pewnością odmówiłbyś mi. Ale oto jest Biblia. Najjaśniejszy Panie, połóż na niej, królewską rękę i złóż przysięgę: W zamian za duże miasto, które będę zawdzięczał Gabrielowi de Montgomery, zobowiązuję się na Pismo Święte zwrócić wicehrabiemu d'Exmès uwolnionego ojca. Z góry deklaruję, że jeśli pogwałcę przysięgę, wymieniony wicehrabia będzie zwolniony z obowiązku wierności względem mnie i moich najbliższych. Wszystko, co uczyni dla ukarania krzywoprzysięzcy, jest w porządku, będzie rozgrzeszony wobec Boga i ludzi, gdyby to nawet była zbrodnia popełniona na mojej osobie. Powtórz taką przysięgę, Najjaśniejszy Panie.

— Jakim prawem tego się domagasz? — spytał Henryk.

— Już ci rzekłem, Najjaśniejszy Panie: prawem tego, kto ma umrzeć.

Król jeszcze się wahał. Diuszesa jednak ciągle z pogardliwym uśmieszkiem na ustach dała mu znak, że może się zobowiązać bez obawy.

W samej rzeczy myślała, że Gabriel naraz stracił rozum i z litością wzruszała ramionami.

— Zgoda, zgadzam się — rzekł Henryk w fatalnym porywie.

Z ręką na Ewangelii powtórzył słowa przysięgi za Gabrielem.

Kiedy król skończył, młodzieniec dodał:

— Przynajmniej to mi starczy, żeby zaoszczędzić wyrzutów sumienia. Świadkiem naszego nowego układu nie tylko jest Madame, jest nim Bóg. Teraz nie mam czasu do stracenia. Zostań z. Bogiem, Najjaśniejszy Panie. Za dwa miesiące albo zginę, albo uściskam ojca.

Skłonił się przed królem i diuszesa, potem szybko wyszedł.

Mimo woli Henryk trwał w powadze i zamyśleniu. Diana wybuchnęła śmiechem.

— Nie śmiejesz się, Najjaśniejszy Panie? Przecież widzisz, że ów szaleniec jest zgubiony, a jego ojciec umrze w więzieniu. Możesz się śmiać, Najjaśniejszy Panie!

— Tak też czynię — rzekł król i roześmiał się.

XLIX. WIELKA IDEA DLA WIELKIEGO CZŁOWIEKA

Odkąd diuk de Guise nosił tytuł generalnego namiestnika królestwa, zajmował apartament w samym Luwrze. Teraz w pałacu królów Francji sypiał, a raczej czuwał co noc ambitny przywódca rodu Lotaryńskiego.

Jakież snuł marzenia całkiem na jawie pod sztukateriami przedstawiającymi Chimery! Czyż nie posunęły się naprzód jego rojenia od dnia, w którym zwierzał się Gabrielowi pod namiotem w Civitelli z projektów i aspiracji do tronu w Neapolu? Czy obecnie nim by się zadowolił? Czy nie mówił do siebie gość domu królewskiego, że mógłby się stać jego panem? Czy nie wyczuwał wokół swych skroni lekkiego dotyku korony? Czy nie spoglądał z uśmiechem zadowolenia na swą zacną szpadę, która była pewniejsza niż różdżka czarodzieja i mogła zmienić jego nadzieje w rzeczywistość?

Wolno nam przypuszczać, że w owym czasie Franciszek de Loraine oddawał się takim myślom. Patrzcie, przecież sam król, wzywając go na pomoc w niebezpieczeństwie, podsycał jego najśmielsze ambicje. Powierzenie mu ocalenia Francji w beznadziejnej sytuacji znaczyło, że uznaje go za głowę owych czasów. Franciszek I nie działałby z taką skromnością. Chwyciłby sam za miecz spod Marignan. Ale Henryk II, jakkolwiek wykazywał osobiście wiele męstwa, był pozbawiony woli, która wydaje nakazy, i siły, która je egzekwuje.

Nad tym wszystkim rozmyślał diuk de Guise, ale mówił też sobie, że nie wystarczy przed sobą uzasadniać własnych nadziei, trzeba znaleźć dla nich uzasadnienie w oczach Francji. Trzeba nabyć prawa i wykuć swe przeznaczenie wybitnymi osiągnięciami i wyraźnymi sukcesami.

Zwycięski generał miał szczęście zatrzymać pod Metz drugą inwazję Karola Piątego, czuł jednak dobrze, iż to nie starczy, by ważyć się na wszystko. Gdyby nawet obecnie odepchnął Hiszpanów i Anglików aż do granic, jeszcze byłoby to za mało. Żeby Francja mu się oddała lub pozwoliła się wziąć, trzeba nie tylko wyrównywać klęski, ale także odnosić zwycięstwa.

Takie oto rozmyślania snuły się po głowie diuka de Guise od czasu powrotu z Italii. To samo powtarzał sobie tego dnia, kiedy Gabriel de Montgomery zawarł z Henrykiem II szaleńczy a szczytny pakt.

Franciszek de Guise był sam w komnacie. Stał przy oknie, patrzył na dziedziniec z roztargnieniem i bębnił palcami po szybie.

Jeden z jego pokojowców dyskretnie zaskrobał do drzwi i kiedy diuk udzielił zezwolenia na wejście, zaanonsował wicehrabiego d'Exmès.

— Wicehrabia d'Exmès! — rzekł diuk de Guise, który miał pamięć jak Cezar, i zresztą miał słuszne racje, by pamiętać Gabriela. Wicehrabia d'Exmès, młody towarzysz broni spod Metz, Renty i Walencji. — Wprowadź, Thibault, wprowadź natychmiast.

Pokojowiec ukłonił się i wyszedł, żeby wprowadzić Gabriela.

Nasz bohater nie wahał się. (Mamy prawo nadać mu miano bohatera). Wiedziony instynktem, który kieruje duszą w przełomowych momentach, a zwie się genialną intuicją, jeśli przejawia się w ciągu całego życia, Gabriel po rozstaniu się z królem, jakby przeczuł skryte myśli diuka de Guise, udał się wprost do apartamentów generalnego namiestnika monarchii.

On jeden spośród żyjących potrafi go zrozumieć i dopomóc.

Gabriela wzruszyło przyjęcie, jakiego doznał ze strony swego byłego dowódcy.

Diuk de Guise poszedł na jego spotkanie aż do drzwi i wziął go w ramiona.

— Ach, wreszcie jesteś, mój bohaterze. Skąd przybywasz? — rzekł z wylaniem. — Co się z tobą działo od czasu Saint–Quentin? Jak często o tobie myślałem i mówiłem, Gabrielu!

— Czy naprawdę zajmowałem jakieś miejsce w twojej pamięci, Wasza Wysokość?

— Dalibóg, jeszcze pyta! — wykrzyknął diuk. — Czy nie miałeś sposobności przypomnieć się ludziom? Coligny, który wart jest sam więcej niż wszyscy inni Montmorency razem, opowiadał mi w sposób dość oględny, nie wiem dlaczego, o niektórych twoich czynach wojennych dokonanych w Saint–Quentin. Powiedział, że przemilczał lepszą połowę.

— Jednak niewiele zdziałałem — odpowiedział ze smutkiem Gabriel.

— Jesteś ambitny.

— W rzeczy samej, bardzo ambitny — rzekł Gabriel spuszczając głowę z melancholią.

— Dzięki Bogu, że już wróciłeś — rzekł diuk de Guise. — Jesteśmy znowu razem, przyjacielu. Znasz projekty, jakie wspólnie snuliśmy w Italii. Biedny Gabrielu, teraz więcej niż kiedykolwiek Francja potrzebuje twojego męstwa. Do jakich smutnych ostateczności doprowadzili ojczyznę!

— Wszystko, co w mej mocy, i całego siebie ofiarowuję dla dobra ojczyzny. Czekam jedynie na twój znak, dostojny panie — rzekł Gabriel.

— Dziękuję ci, przyjacielu, skorzystam z twej ofiarności, bądź pewien, niezbyt długo będziesz czekał na me wezwanie. — Wtedy ja ci podziękuję, panie.

— Prawdę mówiąc, czym dłużej rozglądam się wokół siebie, tym bardziej znajduję sytuację kłopotliwą i nader poważną. Na początku musiałem uwijać się przy tym co najpilniejsze, zorganizować opór wokoło Paryża, utworzyć potężną linię obrony przed nieprzyjacielem, powstrzymać jego parcie naprzód. Ale to nic nie jest. Wróg trzyma Saint–Quentin! Ma w posiadaniu Północ! Powinienem działać i chcę tego. Ale w jaki sposób?

Przerwał, jakby chciał zasięgnąć rady Gabriela. Znał wysoką sprawność umysłu młodzieńca, i przy niejednej okazji korzystał już z jego rad. Jednak tym razem wicehrabia d'Exmès milczał obserwując diuka i czekając, aż się wypowie.

Franciszek de Lorraine mówił:

— Nie oskarżaj mnie o powolność w działaniu, przyjacielu. Jak ci wiadomo, nie należę do wahających się, ale do rozważnych. Nie zganisz mnie za to, bo sam taki jesteś, zdecydowany i roztropny zarazem. Wydaje mi się nawet, że myśli pod twym młodzieńczym czołem są bardziej posępne teraz niż dawniej. Nie śmiem cię wypytywać o osobiste sprawy. Przypominam sobie, że miałeś się wywiązać z poważnych obowiązków i odszukać niebezpiecznych wrogów. Czyżbyś ubolewaj nad innymi nieszczęściami poza troskami o ojczyzną? Obawiam się, że tak jest, bowiem byłeś poważny, kiedy rozstawaliśmy się, a teraz odnajduję cię smutnym.

— Nie mówmy o mnie, Wasza Miłość, proszę o to — rzekł Gabriel. — Rozmawiajmy o Francji, będzie jeszcze czas na mówienie o mnie.

— Zgoda — odpowiedział diuk de Guise. — Chcę ci przedstawić otwarcie swe myśli i troski. Obecnie wydaje mi się konieczne jakimś chwalebnym czynem podnieść ducha w narodzie i podtrzymać dawną reputację sławy oręża. Obronę przemienić w atak, nie ograniczać się do osłony przed ciosami, ale je powetować sukcesem.

— Takie samo jest moje zdanie, Wasza Miłość — żywo odpowiedział Gabriel, zaskoczony i uradowany taką zbieżnością myśli z jego własnymi planami.

— Jesteś takiego samego zdania, prawda? Niejeden raz rozmyślałeś — nad niebezpieczeństwem zagrażającym Francji i nad sposobami, jak ją z nich wydobyć.

— W rzeczy samej, często nad tym się zastanawiałem.

— Czyżbyś mnie w tym wyprzedzał? — spytał Franciszek de Lorraine. — Czy rozważyłeś, przyjacielu, poważne trudności? Podobnie jak ja odczuwasz potrzebę zdobycia rozgłosu. Gdzie i kiedy spróbować owego zamachu?

— Wydaje mi się, że wiem, Wasza Wysokość.

— Czy to możliwe? Wypowiedz się, przyjacielu.

— Mój Boże, wygadałem się może za wcześnie — rzekł Gabriel. — Mam ci uczynić propozycję wymagającą niewątpliwie długich przygotowań. Jesteś znakomitością, Wasza Wysokość, ale wszystko jedno! Rzecz, którą ci przedstawię, może nawet tobie wydać się ponad miarę.

— Nie ulegam łatwo zawrotom głowy — rzekł z uśmiechem diuk de Guise.

— To nieważne, Wasza Miłość. Na pierwszy rzut oka mój projekt może ci się wydać dziwny, bezsensowny, a nawet nie do zrealizowania. Obawiam się tego i z góry cię uprzedzam. W istocie jednak jest jedynie trudny i niebezpieczny.

— Ależ to jeszcze bardziej nęcące!

— A więc zakładamy, że przede wszystkim nie przestraszysz się, Wasza Wysokość. Powtarzam, że przedsięwzięcie jest wielce ryzykowne. Ale w moim posiadaniu są środki zapewniające powodzenie, a kiedy ci je przedstawię dokładnie, sam to przyznasz.

— Jeśli tak jest, powiedz wreszcie, Gabrielu. Kto przychodzi nam przeszkadzać? — dodał ze zniecierpliwieniem. — Czy to ty pukasz, Thibault?

— Tak, Wasza Wysokość — rzekł wchodząc pokojowiec. — Wasza Wysokość kazał mi przypomnieć, kiedy nadejdzie godzina rady. Właśnie bije druga. Pan de Saint–Remy i inni panowie za chwilę nadejdą po Waszą Wysokość.

— Słusznie, słusznie — odpowiedział diuk de Guise — za chwilę odbędzie się narada i to bardzo ważna. Muszę być na niej obecny. W porządku, Thibault, zostaw nas samych. Wprowadzisz panów, kiedy nadejdą. Widzisz, Gabrielu, że obowiązek wzywa mnie do króla. Ale w oczekiwaniu, aż wieczorem rozwiniesz przede mną swoje plany, wielkie na twoją miarę, krótko zaspokój moją ciekawość i niecierpliwość, błagam cię. Powiedz krótko w dwóch słowach, co zamierzasz uczynić.

— W dwóch słowach, Wasza Wysokość: z d o b y ć C a l a i s — rzekł spokojnie Gabriel.

— Zdobyć Calais! — wykrzyknął diuk de Guise cofając się ze zdziwienia.

— Zapomniałeś, Wasza Wysokość, że obiecałeś mi nie przerażać się pod pierwszym wrażeniem — zwrócił uwagę Gabriel zachowując zimną krew.

— Tak, ale czy rozważyłeś to dobrze? Zdobyć Calais strzeżone przez znakomity garnizon, przez mury obronne nie do pokonania, przez morze! Calais pozostaje w mocy Anglii od przeszło dwóch wieków! Calais jest strzeżone jak klucz do Francji, dzierżą je mocno. Lubię śmiałość. Ale czy to nie zuchwałość?

— Tak, Wasza Wysokość. Właśnie dlatego, że przedsięwzięcie jest zuchwałe, dlatego, że trudno o nim pomyśleć lub je podejrzewać, dlatego właśnie ma najlepsze szanse powodzenia.

— W samej rzeczy, to możliwe — odpowiedział zamyślony diuk.

— Kiedy usłyszysz szczegóły, powiesz mi, że to pewne. Z góry należy przyjąć sposób postępowania: zachować absolutną tajemnicę, wprowadzić w błąd nieprzyjaciela przez jakiś fałszywy manewr i przybyć niespodzianie pod miasto. W ciągu dwóch tygodni Calais będzie nasze!

— Takie ogólnikowe wskazówki mi nie wystarczą — odrzekł z żywością diuk de Guise. — Czy masz plan działania, Gabrielu?

— Taki Wasza Wysokość, jest prosty i pewny…

Gabriel nie zdążył dokończyć. W owej chwili otwarto drzwi. Wszedł hrabia de Saint–Remy, a za nim panowie oddani Domowi Lotaryńskiemu.

— Jego królewska mość oczekuje na naradzie przybycia generalnego namiestnika królestwa — rzekł Saint–Remy.

— Jestem do waszych usług, panowie — powitał przybyłych diuk de Guise.

Potem szybko podszedł do Gabriela i rzekł po cichu:

— Muszę cię opuścić, jak widzisz, przyjacielu. Ale niesłychany i wspaniały pomysł, jaki mi poddałeś, nie rozstanie się ze mną podczas dnia, ręczę ci. Jeśli naprawdę wierzysz, że taki cud jest możliwy do realizacji, czuję się zaszczycony, że zdołam go pojąć. Czy możesz przyjść do mnie dzisiaj wieczorem o ósmej? Będziemy mieli przed sobą całą noc i nikt nam nie przeszkodzi.

— Będę punktualnie o ósmej — odpowiedział Gabriel — i dobrze wypełnię czas do tej pory.

— Muszę zwrócić uwagę Waszej Wysokości, że już jest po drugiej — rzekł hrabia de Saint–Remy.

— Już idę, już idę — odpowiedział diuk.

Uczynił kilka kroków ku wyjściu, potem obrócił się w stronę Gabriela, popatrzył na niego, podszedł bliżej jeszcze raz i jakby chcąc się upewnić, czy dobrze słyszał, powtórzył cicho tonem zapytania:

— Zdobyć Calais?

Gabriel pochylił potakująco głowę i odpowiedział z łagodnym i spokojnym uśmiechem.

— Zdobyć Calais.

Diuk de Guise wyszedł, a wicehrabia d'Exmès w ślad za nim i opuścił Luwr.

L. ROZMAITE TYPY WOJAKÓW

Alojza z niepokojem oczekiwała powrotu. Gabriela przy oknie na dole rezydencji. Gdy go wreszcie dostrzegła, wzniosła ku niebu oczy pełen łez, łez szczęścia i wdzięczności tym razem.

Następnie pobiegła sama otworzyć drzwi ukochanemu panu.

— Dzięki Bogu! Widzę cię znowu, Wasza Miłość. Wracasz z Luwru? Widziałeś króla?

— Widziałem go.

— No i co?

— Należy jeszcze poczekać, zacna moja opiekunko.

— Dalej czekać! — Alojza złożyła ręce. — Najświętsza Panienko! Bardzo smutno i trudno czekać.

— Byłoby to niemożliwe do wytrzymania, gdybym czekając nie działał. Będę jednak działał, Bogu dzięki. Będę mógł tymczasem odczuwać ulgę dążąc do celu.

Wszedł do sali i rzucił płaszcz na poręcz fotela.

Nie dostrzegł Marcina Guerre siedzącego w rogu, pogrążonego w głębokim zamyśleniu.

— Ej, Marcinie, próżniaku! — zawołała pani Alojza do giermka. — Nawet nie podchodzisz, żeby pomóc jego wielmożności zdjąć płaszcz?

— Przepraszam, przepraszam — rzekł Marcin budząc się z zamyślenia i szybko wstając.

— W porządku, Marcinie, nie przeszkadzaj sobie — rzekł Gabriel. — Alojzo, nie życzę sobie, żebyś dręczyła biednego Marcina. Jego zapał i oddanie są mi teraz więcej potrzebne niż kiedykolwiek. Muszę się z nim porozumieć w poważnych sprawach.

Każde życzenie wicehrabiego d'Exmès było święte dla Alojzy. Giermka, który powrócił do łask, zaszczyciła najmilszym uśmiechem i dyskretnie wyszła, pozostawiając Gabrielowi swobodę w rozmowie.

Kiedy zostali sami, wicehrabia spytał:

— Co czyniłeś tutaj? Nad czym tak rozmyślałeś?

— Łamałem sobie głowę, aby odgadnąć zagadkę owego mężczyzny, który przyszedł rano, Wasza Wielmożność.

— Czy ją rozwiązałeś? — spytał — Gabriel z uśmiechem.

— Niestety, nie bardzo. Właściwie przyznaję się, że chociaż wytrzeszczam oczy, widzę tylko czarną noc.

— Ależ oznajmiłem ci, Marcinie, że ja widzę coś innego.

— Ale co, w samej rzeczy, Wasza Miłość? Zabija mnie to szukanie.

— Jeszcze nie nadeszła właściwa chwila, żebym ci powiedział. Słuchaj, Marcinie, jesteś mi oddany, prawda?

— Czy pytasz mnie o to, Wasza Wielmożność?

— Nie, Marcinie, to pochwała dla ciebie. Odwołuję się do twojego oddania, o którym rzekłem. Na jakiś czas trzeba, żebyś zapomniał o sobie, o cieniu w twoim życiu, którego przegonimy później, obiecuję ci. Ale w obecnej chwili jesteś mi potrzebny, Marcinie.

— To świetnie!

— Ale musimy się dobrze zrozumieć. Potrzeba mi ciebie całego, twego życia, twej odwagi. Czy chcesz mi zaufać, odłożyć na bok na jakiś czas osobisty niepokój i oddać mi się całkowicie?

— Czy chcę! Ależ to mój obowiązek, Wasza Wielmożność, a nawet więcej, w tym moja przyjemność. Na świętego Marcina! Zbyt długo byłem od ciebie oddzielony. Chcę naprawić stracone dni, do pioruna! Choćby całe legiony innych Marcinów Guerre szły mym tropem,

kpiłbym sobie z nich, bądź spokojny, panie. Odkąd będziesz przy mnie, jedynie ciebie będę widział na świecie.

— Dzielne serce! — rzekł Gabriel. — Jednak zastanów się, Marcinie, że przedsięwzięcie, w którym masz wziąć udział, jest pełne niebezpieczeństw i przepaści.

— Nieważne! Przeskoczę je! — odpowiedział Marcin prztykając palcami z beztroską.

— Będziemy, narażali stokrotnie nasze życie, Marcinie.

— Gra warta stawki, Wasza Wielmożność.

— Ale to straszna gra. Jeśli raz się w nią zaangażujemy, nie będzie nam wolno wycofać się.

— Albo się jest graczem, albo nie jest — ambitnie odpowiedział giermek.

— Nie o to idzie. Mimo swego postanowienia nie przewidujesz wszelkich niecodziennych i budzących obawę możliwości, jakie niesie ze sobą nadludzka walka, w którą cię poprowadzę. Pomyśl tylko, że tyle wysiłków może pozostać bez nagrody. Pomyśl, Marcinie, że plan, który muszę wykonać, mnie samego przeraża, kiedy go rozpatruję.

— Dobra! Niebezpieczeństwa i ja, znamy się dobrze — rzekł Marcin z pojętną miną. — Kiedy miało się zaszczyt być powieszonym…

— Marcinie, trzeba będzie przezwyciężyć żywioły, cieszyć się z burzy, drwić z niemożliwości!

— Będziemy drwili — rzekł Marcin Guerre. — Mówiąc otwarcie, od czasu szubienicy dnie, które przeżywam, wydają mi się dniami z łaski i nie będę szykanował dobrego Boga co do proporcji nadwyżki, którą mi łaskawie przyznaje. Nie należy liczyć tego, co kupiec ci dorzuca poza umową handlową, inaczej byłoby się niewdzięcznikiem lub głupcem.

— To znaczy zatem, że będziesz dzielił mój los i pójdziesz za mną.

— Aż do piekła, Wasza Wielmożność, z zastrzeżeniem, że po to, aby kpić z szatana, bo wszak jestem dobrym katolikiem.

— Nie bój się o to. Może narazisz swoją skórę na tym świecie, ale nie zbawienie na tamtym.

— Tyle tylko mi potrzeba. Czy nie żądasz ode mnie, panie, nic więcej poza życiem?

— Ależ tak — rzekł Gabriel uśmiechając się z powodu naiwności pytania. — Oczywiście, że tak, Marcinie. Powinieneś mi wyświadczyć przysługę.

— O co chodzi, panie?

— Bądź tak dobry i wyszukaj mi możliwie jak najszybciej ze dwunastu towarzyszy podobnych do ciebie, odważnych, silnych, zuchwałych nie lękających się ni żelaza, ni ognia, umiejących znosić głód i pragnienie, upał i mróz, posłusznych jak anioły, a walczących jak demony. Czy to możliwe?

— To zależy. Czy będą dobrze opłacani?

— Sztuka złota za każdą kroplę krwi — rzekł Gabriel. — Nie żałuję fortuny dla zbożnej i trudnej sprawy, którą muszę doprowadzić do końca.

— Za taką cenę zwerbuję ci w ciągu dwóch godzin dobrych łotrzyków, którzy nie będą się żalili na rany, odpowiadam ci za to. We Francji, a zwłaszcza w Paryżu nigdy nie brak podobnych chwatów. Ale komu mają służyć?

— Mnie samemu — rzekł wicehrabia d'Exmès. — Nie jako kapitan gwardii, ale jako ochotnik przygotowuję kampanię. Muszę mieć swoich ludzi.

— O, jeśli tak, mam pod ręką pięciu lub sześciu zuchów gotowych na każde wezwanie znanych mi z czasu wojny w Lotaryngii. Biedacy aż pożółkli, odkąd ich zwolniłeś. Jakże będą zadowoleni powrócić w wir walki razem z tobą! Dla ciebie mam ich zwerbować? A zatem jeszcze dzisiaj wieczorem przedstawię ci cały zespół.

— Dobrze. Stawiam jeden warunek co do ich zaciągu. Muszą być przygotowani do opuszczenia Paryża o każdej godzinie i iść za mną wszędzie, dokąd ja pójdę, bez pytań i

komentarzy, nie bacząc nawet, czy idziemy na południe czy na północ.

— Pójdą ku sławie i pieniądzom z zamkniętymi oczyma, Wasza Miłość.

— Liczę więc na nich i na ciebie, Marcinie. Jeśli chodzi o twoją część…

— Nie mówmy o tym, panie — przerwał Marcin.

— Wprost przeciwnie, mówmy. Jeśli przeżyjemy ów zamęt, mój dzielny sługo, zobowiązuję się solennie uczynić dla ciebie to, co ty uczynisz dla mnie, i służyć ci przeciwko twoim wrogom. Bądź o to spokojny. A tymczasem podaj mi dłoń, mój wierny Marcinie.

— Wasza Wielmożność — wyszeptał Marcin całując z respektem dłoń podaną przez pana.

— A więc idź, Marcinie. Natychmiast zacznij poszukiwania. Dyskrecji i odwagi! Teraz muszę zostać sam.

— Wybacz, panie, pozostaniesz w pałacu?

— Tak, do siódmej godziny. Muszę pójść do Luwru na ósmą.

— W takim razie przed siódmą mam nadzieję przedstawić ci kilku kandydatów, panie wicehrabio.

Ukłonił się i odszedł dumny i przejęty swą ważną misją.

Gabriel pozostał sam i spędził resztę dnia na analizie planu, który mu przedłożył Jan Peuquoy, na pisaniu uwag, chodzeniu wzdłuż i wszerz po pokoju i rozmyślaniu.

Nie chciał, aby wieczorem jakiekolwiek zastrzeżenie diuka de Guise pozostało bez wyjaśnienia.

Przerywał pracę jedynie od czasu do czasu, żeby powtarzać sobie zdecydowanym tonem z gorącym sercem:

— Ocalę cię, ojcze! Ocalę cię, moja Diano!

Około szóstej wobec nalegań Alojzy zjadł jakiś posiłek. Wtedy wszedł Marcin Guerre z poważną i układną miną:

— Wasza Wielmożność, czy zechciałbyś przyjąć siedmiu ludzi, którzy ubiegają się o zaszczyt służenia Francji i królowi pod twoimi rozkazami?

— Jak to? Już masz siedmiu?

— Są to ludzie, których nie znasz, panie. Nasi dawni spod Metz uzupełnią dwunastką. Wszyscy są zachwyceni, że mogą narażać skórę dla takiego pana jak ty, i przyjmują wszelkie warunki, jakie zechcesz im podać.

— Do diaska! Nie traciłeś czasu — rzekł wicehrabia d'Exmès. — No dobrze, wprowadź ludzi.

— Każdego osobno, nieprawdaż? — spytał Marcin. — Będziesz mógł lepiej ich osądzić.

— Tak, jednego po drugim.

— Jeszcze jedno słowo — dodał giermek. — Nie muszę uprzedzać cię, panie wicehrabio, że znam tych wszystkich ludzi albo osobiście, albo z dokładnych informacji. Różnią się usposobieniem i skłonnościami, ale mają wspólną cechę: wypróbowaną odwagę. Mogę wziąć na siebie odpowiedzialność za tę zasadniczą zaletę, jeśli zechcesz panie być pobłażliwy co do innych małych uchybień.

Po wygłoszeniu owej przygotowawczej mowy Marcin Guerre wyszedł na chwilę. Powrócił natychmiast z wysokim zuchem o smagłej cerze, swobodnym obejściu, o twarzy beztroskiej i inteligentnej.

— Ambrosio — przedstawił go Marcin.

— Ambrosio to cudzoziemskie nazwisko. Czy nie jesteś Francuzem?

— Nie wiadomo — odpowiedział Ambrosio. — Znaleziono mnie dzieckiem i dożyłem wieku męskiego w Pirenejach, jedną nogą we Francji, a drugą w Hiszpanii. Dalibóg, na wesoło biorę siebie jako podwójnego bękarta, nie mam żalu o to ani do Boga, ani do matki.

— A jak dotąd żyłeś? — spytał Gabriel.

— Neutralny wobec jednej i drugiej ojczyzny, starałem się zawsze w granicach swoich skromnych możliwości znosić bariery między nimi, rozciągać na jedną korzyści drugiej i przez taką swobodną wymianę dóbr, które one posiadają dzięki Opatrzności, chciałem jako pobożny ich syn przyczyniać się w miarę możności do ich wzajemnej pomyślności.

— Jednym słowem, Ambrosio zajmował się przemytem — wyjaśnił Marcin Guerre.

— Ale poszukiwany zarówno przez władze hiszpańskie, jak i francuskie, nie uznany i ścigany przez niewdzięcznych rodaków po obu stronach Pirenejów, postanowiłem usunąć się i przybyć do Paryża, azylu dla odważnych…

— Gdzie Ambrosio byłby szczęśliwy mogąc służyć wicehrabiemu d'Exmès swoją nieustraszoną odwagą, sprytem i długim przyzwyczajeniem do trudów i niebezpieczeństwa — wmieszał się Marcin.

— Przyjęty Ambrosio przemytnik! — rzekł Gabriel. — Następny!

Wyszedł Ambrosio zadowolony i ustąpił miejsca osobnikowi o ascetycznym wyglądzie i powściągliwym zachowaniu, odzianemu w długą brązową pelerynę, z różańcem z grubych paciorków wokół szyi.

Marcin go przedstawił pod nazwiskiem Lactance i dodał:

— Lactance już służył pod dowództwem pana de Coligny, który żałuje, żre go utracił, i może wystawić mu dobre świadectwo. Ale Lactance jest gorliwym katolikiem i nie chciał być posłuszny wodzowi ze skłonnością do herezji.

Lactance nie mówiąc ani słowa potakiwał głową i gestem ręki, a Marcin mówił:

— Ten oto pobożny wiarus uczyni wszystko, co w jego mocy, by wypełnić obowiązki i zadowolić pana wicehrabiego d'Exmès. Prosi jednaki by mu pozostawiono swobodę uprawiania praktyk religijnych i ułatwiono je, bo tego wymaga jego zbawienie. Zawód wojaka, jaki wybrał z naturalnego powołania, zmusza go, by walczył przeciw braciom w Chrystusie i ich zabijał. Lactance mądrze uważa, że należy skompensować konieczność okrucieństwa surowością obyczajów i umartwieniami. Czym Lactance jest zapalczywszy w walce, tym bardziej żarliwy podczas mszy. Nakłada na siebie niezliczone posty i umartwienia za zabitych i rannych, których wysłał przedwcześnie przed tron Boży.

— Przyjęty Lactance nabożniś — oświadczył z uśmiechem Gabriel.

Lactance ciągle milcząc głęboko się pokłonił i szepcząc dziękczynną modlitwę do Najwyższego, który mu wyjednał łaskę służenia tak walecznemu dowódcy, wyszedł z salonu.

Po nim Marcin Guerre wprowadził pod nazwiskiem Yvonnet młodego człowieka średniego wzrostu, o delikatnych, dystyngowanych rysach, o drobnych rękach dobrze utrzymanych. Od krezy aż po buty jego ubiór był nie tylko czysty, ale i pełen wdzięku. Pokłonił się Gabrielowi z wielką gracją i stał przed nim w pozie pełnej szacunku, ale wykwintnej, strzepując lekko ręką jakiś pyłek, który osiadł na — prawym rękawie.

— Wasza Wysokość, oto najbardziej zdecydowany ze wszystkich — rzekł o nim Marcin Guerre. — Yvonnet podczas zamętu jest prawdziwym rozjuszonym lwem, którego nic nie zatrzyma. Tnie płazem i kłuje szpadą jak szalony. Ale wyróżnia się zwłaszcza w ataku. To on zawsze pierwszy wstępuje na szczebel drabiny, on pierwszy zatyka sztandar francuski na nieprzyjacielskich murach.

— A więc to prawdziwy bohater? — spytał Gabriel.

— Czynię, co mogę — skromnie rzekł Yvonnet. — Pan Marcin Guerre przecenia niewątpliwie moje skromne wysiłki.

— Nie, oddaję ci sprawiedliwość, dowodem czego niech będzie, że po wyjawieniu tych cnót chcę podać twe wady. Wasza Miłość, Yvonnet jest odważny jak szatan jedynie na polu bitwy. By pobudzić jego męstwo, potrzeba walenia w bębny, gwizdu strzał, grzmiących dział. Poza tym, w

codziennym życiu Yvonnet jest nieśmiały, wrażliwy i nerwowy jak dziewczyna. Jego wrażliwość wymaga oszczędzania go. Nie lubi sam pozostawać w ciemności; boi się myszy i pająków i traci przytomność przy lada zadraśnięciu. Odzyskuje bojową zuchwałość dopiero wtedy, kiedy go upaja zapach prochu i widok krwi.

— Nic nie szkodzi — rzekł Gabriel. — Nie prowadzimy go na bal, ale na rzeź. Przyjmuję delikatnego Yvonneta.

Yvonnet złożył wicehrabiemu ukłon wedle obowiązujących konwenansów i odszedł uśmiechnięty, muskając białą ręką czarny wąsik.

Dwóch blondynów na schwał, sztywnych i spokojnych, zjawiło się po nim. Jeden wyglądał na czterdzieści lat, drugi nie więcej niż dwadzieścia pięć.

— To Heinrich Scharfenstein i Franz Scharfenstein, jego bratanek — przedstawił Marcin.

— Kim są do diaska! — rzekł olśniony Gabriel. — Kim jesteście, zuchy?

— Wir verstehen nur ein wenig Französich — rzekł starszy.

— Co proszę? — spytał wicehrabia.

— My rozumieć źle francuski — odezwał się młodszy.

— To są niemieccy rajtarzy — rzekł Marcin. Po włosku condottieri, po francusku żołnierze. Sprzedają swe ręce dającemu więcej i oceniają męstwo wedle właściwej ceny. Pracowali już dla Hiszpanów i Anglików. Ale Hiszpan źle płaci, a Anglik za bardzo się targuje. Kup ich, Wasza Wysokość, będziesz zadowolony z nabytku. Nigdy nie dyskutują nad rozkazem i są gotowi stanąć przed paszczą działa z niezmąconą zimną krwią. Odwaga jest dla nich sprawą uczciwości i byleby tylko otrzymywali punktualnie żołd, bez skargi narażą się na ewentualne niebezpieczeństwa, nawet śmiertelne, bo to dla nich sprawa handlowa.

— A więc zatrzymam owych wyrobników sławy — rzekł Gabriel. — Dla większej pewności zapłacę im za miesiąc z góry. Ale czas nagli. Następni!

Dwaj germańscy goliaci podnieśli mechanicznie po wojskowemu ręce do czapek i odeszli razem jak wyciosani z jednej bryły, wybijając takt nogami z precyzją.

— Następny zwie się Pilletrousse. Oto on.

Typ bandyty z groźną miną, w poszarpanej odzieży wszedł kołyszącym się krokiem, z zakłopotaniem odwracając oczy, stanął przed Gabrielem jak przed sędzią.

— Dlaczego okazujesz zawstydzenie, Pilletrousse? — spytał Marcin ujmująco. — Mój pan prosił mnie o ludzi odważnych. Ty jesteś bardziej… wyróżniający się od innych, ale w sumie nie masz powodu, żeby się czerwienić.

Marcin zwrócił się poważnie do swego pana:

— Pilletrousse jest, jak my to zwiemy, rabusiem na drogach. W powszechnej wojnie przeciwko Hiszpanom i Anglikom prowadził wojnę na własny rachunek. Pilletrousse wałęsa się po naszych głównych traktach, zapełnionych obecnie cudzoziemskimi rozbójnikami. Pilletrousse obrabowuje rabusiów. Jeśli chodzi o rodaków, nie tylko ich oszczędza, ale i opiekuje się nimi. A zatem Pilletrousse zdobywa, ale nie kradnie. Pilletrousse żyje z łupów, a nie z drobnych kradzieży. Co więcej, odczuwa potrzebę uregulowania swego zawodu wędrownego i chce niepokoić wrogów Francji nie tak samowolnie. Toteż przyjął skwapliwie ofertę zaciągnięcia się pod sztandar wicehrabiego d'Exmès.

— Za twoją poręką, Marcinie Guerre, przyjmę go pod warunkiem, że nie będzie już więcej działał na terenie dróg i ścieżek, ale za pole swoich wyczynów obierze fortece i pola bitwy.

— Wyraź swą wdzięczność, łobuzie, należysz do nas — rzekł do rabusia Marcin, czujący widać słabość do łotra.

— Dziękuję, Wasza Wysokość — rzekł z wylaniem Pilletrousse. — Obiecuję nigdy już nie walczyć w pojedynkę z dwoma lub trzema, ale jeden przeciw dziesięciu.

— I owszem! — rzekł Gabriel.

Jako następny zjawił się blady osobnik, melancholijny, a nawet zatroskany, który zdawał się traktować świat z niechęcią i smutkiem. Szramy i blizny nadawały posępny wyraz jego twarzy, była nimi szeroko i obficie poorana. Marcin przedstawił owego siódmego i ostatniego rekruta pod nazwiskiem Malemort, co brzmiało żałobnie.

— Pan wicehrabia d'Exmès postąpi naprawdę niesłusznie, jeśli odrzuci biednego Malemorta — dodał Marcin. — W samej rzeczy, Malemort jest miotany jedyną namiętnością, szczerą i głęboką namiętnością do Bellony, jeśli się wyrażę trochę mitologicznie. Ale owa namiętność była dotąd wielce nieszczęśliwa. Nieszczęśnik ma zdecydowane, skończone zamiłowanie do wojny. Lubuje się jedynie w walkach, jest szczęśliwy dopiero wtedy, gdy jest istna jatka, ale nie zasmakował, niestety, jej inaczej niż brzegiem warg. Rzuca się tak na ślepo i tak szaleńczo w wir walki, że zawsze łapie przy pierwszym susie jakieś cięcie, które kładzie go na boku i odsyła do ambulansu, gdzie spędza jęcząc resztę bitwy. Jęczy z powodu swej tam nieobecności, a nie z przyczyny rany. Całe jego ciało jest jedną blizną. Ale jest silny, Bogu dzięki. Szybko się dźwiga. Musi jednak czekać na następną okazję. Owo długie, nie zaspokojone pragnienie niszczy go więcej niż krew chwalebnie przelana. Wasza Wielmożność widzi, że nie miałby sumienia wykluczyć owego melancholijnego wojownika z radości, jaką może mu zapewnić ku wzajemnej korzyści.

— Toteż przyjmuję z entuzjazmem Malemorta, drogi Marcinie — oświadczył Gabriel.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił twarz bladego Malemorta. Nadzieja ożywiła błysk jego przygasłych oczu. Poszedł przyłączyć się do kolegów krokiem żywszym niż wtedy, kiedy wchodził.

— Czy to są już wszyscy, których chciałeś mi przedstawić? — spytał Gabriel giermka.

— Tak, panie. W obecnej chwili nie mam już innych. Nie śmiałem się spodziewać, że przyjmiesz ich wszystkich.

— Byłbym zbyt wymagający, Marcinie. Masz dobre i pewne rozeznanie. Przyjmij gratulacje z powodu tak szczęśliwego wyboru.

— Tak — rzekł skromnie Marcin — myślę w głębi duszy, że Malemort, Pilletrousse, dwaj Scharfensteinowie, Lactance, Yvonnet i Ambrosio nie są zuchami do pogardzenia.

— Ja też tak sądzę — rzekł Gabriel. — Tacy srodzy towarzysze!

— Jeśli Wasza Wielmożność zgadza się do nich dołączyć Landrylego, Chesnela, Aubriota, Contamine'a i Balu, naszych weteranów z wojny w Lotaryngii, uważam, że razem z panem wicehrabią na czele i czterema, pięcioma ludźmi stąd do naszych posług, będziemy mieli oddział naprawdę dobry do pokazania przyjaciołom, a jeszcze lepszy do zaprezentowania wrogom.

— Tak, z pewnością, żelazne ręce i głowy! Uzbroisz i wyekwipujesz owych dwunastu zuchów w jak najkrótszym czasie, Marcinie. Ale dzisiaj odpocznij. Dobrze wypełniłeś dzień, przyjacielu, dziękuję ci. Mój, chociaż także był pełen aktywności i smutku, jeszcze nie jest zakończony.

— Dokąd idziesz, Wasza Miłość, dzisiaj wieczór?

— Do Luwru, do pana de Guise, który na mnie czeka o ósmej godzinie — rzekł Gabriel wstając. — Dzięki twojej skwapliwości i zapałowi mam nadzieję, że pewne trudności, które mogłyby zaistnieć podczas mojej rozmowy z diukiem, już z góry zostały usunięte.

— Bardzo się cieszę, panie.

— I ja także, Marcinie. Nie wiesz nawet, do jakiego stopnia zależy mi na powodzeniu. Osiągnę je.

Szlachetny młodzieniec powtarzał sobie w sercu, idąc ku drzwiom:

— Tak, ocalę cię, ojcze! Ocalę cię, moja Diano!

LI. PRZEBIEGŁA NIEZRĘCZNOŚĆ

Przekroczmy w myśli sześćdziesiąt mil i dwa tygodnie. Powróćmy do Calais w końcu listopada 1557 roku.

Nie minęło jeszcze dwadzieścia pięć dni od wyjazdu wicehrabiego d'Exmès, kiedy u bram angielskiego grodu zjawił się jego wysłannik.

Ów mężczyzna poprosił, żeby go zaprowadzono do lorda Wentwortha, zarządcy miasta, miał mu bowiem dostarczyć okup za byłego jeńca.

Wydawał się dość niezręczny i mało rozgarnięty ów posłaniec! Na próżno mu wskazano drogę, ze dwadzieścia razy przeszedł nie wchodząc przed wielką bramą, choć starano się ze wszystkich sił, by mu ją wskazać. Ciągle stukał do bram i wejść zakazanych. Z wielką stratą czasu obszedł bulwary biegnące na zewnątrz fortecy. Co za głuptak!

Wreszcie dzięki informacjom coraz to dokładniejszym pozwolił się skierować na właściwą drogę. Taka była w owych dawnych czasach magiczna potęga słów: Przynoszę dziesięć tysięcy talarów dla zarządcy miasta, że po zachowaniu nakazanych ostrożności, po zrewidowaniu go, po otrzymaniu rozkazów od lorda Wentwortha pozwolono wejść do Calais nosicielowi owej znacznej sumy.

Stanowczo jedynie złoty wiek nie był wiekiem pieniędzy!

Nieinteligentny wysłannik Gabriela zabłądził jeszcze niejeden raz na ulicach Calais, zanim odnalazł pałac zarządcy, choć różne współczujące dusze wskazywały mu go co sto kroków. Zdawało mu się, że na każdym odwachu trzeba pytać o lorda Wentwortha, szybko biegał to tu to tam.

Stracił godzinę, by przebyć dziesięciominutową drogę, i doszedł w końcu do rezydencji zarządcy.

Prawie natychmiast wprowadzono go do lorda Wentwortha. Przyjął, go z poważną miną, która tego dnia graniczyła z posępnym smutkiem.

Gdy wyjaśnił, po co przybywa i położył na stole worek wypchany złotem, Anglik go spytał:

— Czy wicehrabia d'Exmès kazał ci jedynie wręczyć pieniądze? Czy nie kazał czegoś więcej mi przekazać?

Piotr, bo tak zwał się posłaniec, gapił się ze zdumieniem na lorda, co nie najlepiej świadczyło o jego rozgarnięciu. Wreszcie zdobył się na słowa:

— Milordzie, nic więcej nie miałem uczynić poza wręczeniem okupu. Nic więcej mi nie nakazał mój pan, więc nie pojmuję…

— A to dopiero! — przerwał mu lord Wentworth z pogardliwym uśmiechem. — Pan wicehrabia d'Exmès zmądrzał, jak widzę! Winszuję mu! Atmosfera dworu francuskiego sprzyja zapomnieniu! Tym lepiej dla tych, którzy w niej przebywają. Wyszeptał po cichu, jakby mówiąc do siebie samego: — Zapomnienie stanowi często połowę szczęścia!

— Czy milord ze swej strony nie ma nic do przekazania mojemu panu? — spytał posłaniec, który wysłuchał z beztroską i głupawą miną melancholijnej uwagi Anglika.

— Nie mam nic do powiedzenia panu d'Exmès, ponieważ on nic nie przekazał — sucho odrzekł lord Wentworth. — Jednak uprzedź go, że jeszcze przez miesiąc do pierwszego stycznia będę go oczekiwał i będę do jego dyspozycji jako szlachcic i jako zarządca Calais. On zrozumie.

— Do pierwszego stycznia? — powtórzył Piotr. — Rzeknę mu to, milordzie.

— Dobrze. Oto pokwitowanie dla ciebie, a tutaj małe wynagrodzenie za trudy podróży. Weź, weź, proszę.

Mężczyzna zdawał się wahać na początku, teraz się rozmyślił i przyjął sakiewkę podaną przez lorda.

— Dzięki, milordzie. Dopraszam się o jeszcze jedną łaskę.

— O co chodzi?

— Oprócz długu, który przed chwilą spłaciłem, wicehrabia d'Exmès zaciągnął inny podczas swego tutaj pobytu u jednego z mieszkańców. Jak on się zwie? Piotr Peuquoy, był jego gościem.

— No więc?

— Czy wolno mi pójść teraz do owego Piotra Peuquoy i zapłacić, co wyłożył?

— Ależ oczywiście — rzekł zarządca — wskażą ci ów dom. A tu przepustka na opuszczenie Calais. Chciałbym ci pozwolić na pobyt kilkudniowy, bo może odczuwasz potrzebę odpoczynku po podróży, ale regulamin wojskowy zabrania przetrzymywać cudzoziemca, zwłaszcza Francuza. Żegnaj zatem, przyjacielu, i szczęśliwej drogi!

— Zostań z Bogiem, milordzie, powodzenia i stokrotne dzięki.

Po wyjściu z pałacu zarządcy posłaniec jeszcze z dziesięć razy pomylił się w drodze, zanim poszedł na ulicę Martroi, gdzie mieszkał płatnerz Piotr Peuquoy, jeśli sobie przypominają nasi czytelnicy.

Wysłannik Gabriela zastał Piotra Peuquoy jeszcze smutniejszym w warsztacie, niż był lord Wentworth w swej rezydencji. Płatnerz myślał na początku, że to nowy praktykant. Przyjął go z wyraźną obojętnością.

Jednak kiedy przybysz oświadczył, że przychodzi od wicehrabiego d'Exmès, oblicze zacnego mieszczanina rozjaśniło się natychmiast.

— Od wicehrabiego d'Exmès! — wykrzyknął.

Następnie zwrócił się do jednego z uczniów, który mógłby ich podsłuchać przy porządkowaniu warsztatu:

— Quentin, zostaw nas samych i idź zaraz zawiadomić mego kuzyna Jana, że przybył właśnie wysłannik wicehrabiego d'Exmès.

Na taki rozkaz zawiedziony praktykant wyszedł natychmiast.

— Mów teraz, przyjacielu — z żywością zwrócił się do gościa Piotr Peuquoy. — Wiedzieliśmy, że ów godny pan nie zapomni o nas. Mów szybko, co przynosisz, jakie wieści.

— Pozdrowienia i serdeczne podziękowanie, mieszek złota i słowa: Pamiętajcie o piątym! Rzekł, że pojmiecie, o co idzie.

— I to wszystko? — spytał Piotr.

— Absolutnie wszystko, mistrzu.

Ależ są wymagający, ci tutejsi. Zdawałoby się, że im w ogóle nie zależy na pieniądzach. Mają jakieś tajemnicze pretensje, sam diabeł ich nie pojmie — myślał wysłannik.

— Jest nas troje w tym domu. Poza mną jeszcze mój kuzyn i siostra Babetka. Wypełniłeś polecenie co do mnie, w porządku. Czy nie masz nic do przekazania Babetce i Janowi?

Jan Peuquoy, akurat wszedł do pokoju i usłyszał odpowiedź posłańca:

— Miałem jedynie tobie, mistrzu, przekazać to, co rzekłem.

— No widzisz, bracie — Piotr zwrócił się do Jana — pan wicehrabia nam dziękuje. Pan wicehrabia śpieszy się nam odesłać pieniądze. Pan, wicehrabia d'Exmès kazał nam powiedzieć: Pamiętajcie! Ale sam nie pamięta.

— Niestety! — rzekł słaby, żałosny głosik za drzwiami.

Biedna Babetka wszystko usłyszała.

— Chwileczkę! — odezwał się znowu Jan Peuquoy, który upierał się przy nadziei. — Przyjacielu, przybywasz z domu pana d'Exmès. Powinieneś znać Marcina Guerre, jednego ze sług i towarzyszy.

— Marcin Guerre? Tak, Marcin Guerre, giermek. Tak, mistrzu, znam go.

— Czy stale przebywa w służbie u wicehrabiego?

— Stale.

— Czy wiedział, że jedziesz do Calais?

— Wiedział. Przypominam sobie, że był obecny w chwili, gdy opuszczałem pałac wicehrabiego. Odprowadził mnie razem ze swoim… z naszym panem aż do bramy, widział, jak odjeżdżam.

— I nic nie kazał mi powiedzieć ani nikomu w tym domu?

— Absolutnie nic, powtarzam.

— Czekaj, Piotrze, nie bądź niecierpliwy! Przyjacielu, może Marcin Guerre kazał ci coś przekazać w tajemnicy? Taka ostrożność już niepotrzebna. Znamy już prawdę. Cierpienie osoby, której Marcin Guerre winien jest naprawienie krzywdy, jest nam znane. Możesz przeto mówić w naszej obecności. Poza tym, jeśli masz jeszcze pewne skrupuły, wyjdziemy, a przyjdzie osoba, którą ci wskazał Marcin Guerre, sama z tobą porozmawia natychmiast.

— Dalibóg! Przysięgam, że nie rozumiem ani słowa z tego przemówienia.

— Wystarczy, Janie, dość tego, sam powinieneś mieć dość! — zawołał Piotr Peuquoy z błyskiem oburzenia w oczach. — Na pamięć ojca! Doprawdy nie widzę, jaką przyjemność możesz znajdować podkreślaniem afrontu, jaki nas spotyka.

Jan żałośnie spuścił głowę nic nie dodając. Uznał, że kuzyn ma słuszność.

— Czy raczysz przeliczyć pieniądze, mistrzu? — spytał posłaniec zakłopotany swą rolą.

— Nie ma po co — odpowiedział Jan spokojniejszy, a może nie tak smutny jak Piotr. — Weź to dla siebie, przyjacielu. Przygotuję ci coś do picia i jedzenia.

— Dziękuję za pieniądze — rzekł posłaniec zakłopotany, że musi je przyjąć. — Jeśli chodzi o jedzenie i picie, nie odczuwam głodu ani pragnienia, niedawno jadłem śniadanie w Nieullay. Muszę natychmiast powracać, bo zarządca miasta zabronił mi tutaj przebywać dłużej niż potrzeba.

— Nie zatrzymujemy cię, przyjacielu — rzekł Jan Peuquoy — żegnaj. Powiedz Marcinowi Guerre…Nie, jemu nie mamy nic do powiedzenia. Rzeknij jedynie panu d'Exmès, że mu dziękujemy i że pamiętamy o piątym. Mamy nadzieję ze swej strony, że on będzie pamiętał.

— Słuchaj, coś jeszcze — dodał Piotr wyrwany z ponurego zamyślenia. — Powiedz swojemu panu, że będziemy na niego czekać przez miesiąc. W ciągu jednego miesiąca możesz powrócić do Paryża, a on może tutaj kogoś znowu przysłać. Ale jeśli ten rok się skończy, a my nie otrzymamy od niego wieści, pomyślimy, że jego serce utraciło pamięć i będziemy źli na niego i na siebie. Jeśli jego uczciwość szlachecka pamięta tak dobrze o pożyczonych pieniądzach, to tym bardziej powinna sobie przypomnieć o powierzonych sekretach. Żegnaj, przyjacielu.

— Niech Bóg ma was w swojej opiece — rzekł posłaniec Gabriela wstając. — Wszystkie wasze pytania i oświadczenia zostaną wiernie powtórzone memu panu.

Jan Peuquoy odprowadził mężczyznę do drzwi. Piotr nie ruszył się z miejsca.

Włóczący się posłaniec, po wielu kluczeniach i wielokrotnym błądzeniu po zagmatwanym mieście Calais, które sprawiało mu tyle kłopotu, wreszcie dobrnął do głównej bramy. Wydobył przepustkę, i kiedy go starannie obszukano, mógł wyjść w pole.

Szedł trzy kwadranse żwawym krokiem, bez zatrzymywania się i zwolnił marsz dopiero w odległości około mili od fortecy.

Wtedy pozwolił sobie na odpoczynek, usiadł na pokrytym trawą pagórku, rozmyślał i uśmiech zadowolenia rozjaśnił mu oczy i wargi.

Nie wiem czemu, ludzie w Calais są smutniejsi i bardziej tajemniczy niż gdzie indziej. Wygląda na to, że Wentworth ma jakąś sprawę do uregulowania z panem d'Exmès, a Rodzina

Peuquoy żywi jakąś urazę do Marcina Guerre. Co mnie to w końcu obchodzi! Ja nie jestem smutny. Wiem to, czego mi potrzeba i co chciałem wiedzieć. Bez kreski piórem, bez skrawka papieru, to prawda, ale wszystko mieści się tutaj, w mojej głowie, i razem z pomocą planu wicehrabiego zrekonstruuję łatwo w myśli fortecę, która czyni innych posępnymi, a mnie jej wspomnienie przynosi radość.

W wyobraźni przeszedł ulice, bulwary i fortyfikacje, dokąd rzekoma głupkowatość go prowadziła.

Tak to jest! Wszystko jest jasne i wyraźne, jakbym na to patrzył. Diuk de Guise będzie zadowolony. Dzięki podróży i cennym wskazówkom kapitana gwardii jego królewskiej mości będziemy mogli doprowadzić drogiego wicehrabiego d'Exmès wraz z jego giermkiem na spotkanie wyznaczone przez lorda Wentwortha i Piotra Peuquoy za miesiąc. Za sześć tygodni, jeśli Bóg i okoliczności będą nam sprzyjały, staniemy się panami Calais albo utracę swe imię.

Czytelnicy nam przyznają rację, że szkoda, by było, kiedy się dowiedzą, że chodzi o sławnego marszałka Piotra Strozzi, jednego z najznakomitszych i najzdolniejszych inżynierów szesnastego wieku.

Po kilku minutach odpoczynku Piotr Strozzi ruszył w dalszą drogę, jakby się śpieszył powrócić do Paryża. Wiele myślał o Calais, a bardzo mało o jego mieszkańcach.

LII. 31 GRUDNIA 1557 ROKU

Łatwo odgadnąć, dlaczego Piotr Strozzi zastał lorda Wentwortha pogrążonego w smutku i goryczy i dlaczego zarządca Calais mówił o wicehrabim d'Exmès z taką wyniosłością i sarkazmem.

Bowiem pani de Castro zdawała się go coraz bardziej nienawidzić.

Kiedy prosił ją o zezwolenie na złożenie wizyty, szukała stale pretekstów, żeby go nie przyjąć. Jeśli wszakże niekiedy była zmuszona znosić jego obecność, lodowate i ceremonialne przyjęcie jasno zdradzały jej uczucia dla niego i czyniły go za każdym razem coraz bardziej strapionym.

Jednak mimo wszystko nie znużył się jeszcze swą miłością. Niczego się nie spodziewał, ale też nie rozpaczał. Chciał przynajmniej pozostać w oczach Diany wzorem dżentelmena, który pozostawił po sobie na dworze Marii Angielskiej opinię wytwornej dworskości. Przygniatał, to właściwe słowo, swą brankę uprzejmościami. Obsługiwano ją jak księżniczkę z wszelkimi względami i luksusem. Przydzielił jej pazia francuskiego. Zaangażował dla niej muzyków italskich, tak bardzo poszukiwanych w dobie renesansu. Wszędzie w komnacie Diana znajdowała stroje i klejnoty o najwyższej cenie. Lord Wentworth sprowadzał je dla niej z Londynu, ale ona nawet ich nie oglądała.

Pewnego razu wydał wielki bal, na który zaprosił najznakomitszych Anglików z Calais i Francji. Jego zaproszenia dotarły nawet na drugą stronę kanału. Jednak pani de Castro stanowczo odmówiła ukazania się na nim.

Lord Wentworth wobec takiego chłodu i pogardy powtarzał sobie codziennie, że z pewnością byłoby lepiej dla spokoju przyjąć królewski okup, jaki mu proponował Henryk II, i zwrócić Dianie wolność.

Znaczyłoby to jednak oddać ją szczęśliwej miłości z Gabrielem d'Exmès. Anglik nigdy nie mógł znaleźć w swym sercu tyle siły i odwagi, by uczynić tak przykrą ofiarę.

— Nie, nie, jeśli ja jej nie mam, nikt jej przynajmniej mieć nie będzie.

Na niezdecydowaniu i udręce upływały dni, tygodnie, miesiące.

Dnia 31 grudnia 1557 roku lordowi Wentworthowi udało się otrzymać audiencję u pani de Castro. Jak już rzekliśmy, tylko przy niej oddychał z ulgą, chociaż wychodziły coraz smutniejszy i mocniej zakochany. Odczuwał silną potrzebę widywania Diany, słyszenia jej nawet ironicznej i surowej.

On stał, ona siedziała przed wysokim kominkiem i rozmawiali.

Rozmawiali na jedyny rozdzierający temat, który ich łączył i rozdzielał zarazem.

— Pani — mówił zakochany zarządca — a gdybym jednak mimo twego okrucieństwa, zrozpaczony twą pogardą zapomniał, że jestem szlachcicem, a ty gościem?

— Poniósłbyś ujmę na honorze, milordzie, a mnie nie zniesławiłbyś — odpowiedziała stanowczo Diana.

— Oboje razem zniesławilibyśmy się! Jesteś w mojej mocy. Dokąd byś się schroniła?

— Ależ, mój Boże, w śmierci — odpowiedziała spokojnie.

Lord Wentworth pobladł i wzdrygnął się. On miałby spowodować śmierć Diany!

— Taki upór nie jest zgodny z naturą. W głębi duszy lękałabyś się mnie doprowadzić do ostateczności, gdybyś nie żywiła nierozsądnej nadziei. Ciągle wierzysz, Madame, w jakąś nieprawdopodobną szansę? Powiedz mi, od kogo mogłabyś się spodziewać pomocy obecnie.

— Od Boga, od króla… — odpowiedziała Diana.

W zdaniu owym mieściło się niedomówienie, celowe przemilczenie, które lord pojął aż za

dobrze. Z pewnością myśli p tym wicehrabi!

Było to niebezpieczne wspomnienie, nie śmiał o tym mówić ani go obudzić. Zadowolił się tym, że rzekł ze smutkiem.

— Tak, licz na króla! Licz na Boga! Gdyby Bóg chciał ci dopomóc, już pierwszego dnia byłby cię ocalił, tak mi się wydaje. Oto rok dobiega końca dzisiaj, a on nie rozciągnął nad tobą swej opieki.

— Pokładam nadzieję w roku, który jutro się rozpocznie — odpowiedziała Diana podnosząc oczy ku niebu, jakby błagając o oparcie.

— Jeśli idzie o twego ojca, króla Francji, ma z pewnością zbyt wielkie brzemię trudnych spraw na barkach, by użyć całej swej potęgi i poświęcić ci wszystkie myśli. Francja jest w pilniejszym niebezpieczeństwie niż jego córka.

— To ty tak twierdzisz — odpowiedziała Diana z powątpiewaniem.

— Lord Wentworth nie kłamie, Madame. Czy wiesz, jak stoją sprawy dla twego znakomitego ojca?

— Cóż mogę słyszeć w tym więzieniu? — odpowiedziała Diana nie mogąc powstrzymać odruchu zainteresowania.

— Powinnaś mnie zapytać — rzekł lord uszczęśliwiony, że ona będzie go słuchać przez chwilę, choćby nawet był zwiastunem nieszczęścia. — Powrót pana diuka de Guise do Paryża wcale nie polepszył sytuacji Francji. Zorganizowano kilka oddziałów wojska, wzmocniono kilka fortec, nic więcej. W chwili obecnej wahają się i nie wiedzą, co czynić. Wszystkie siły zgromadzone na północnej granicy mogły zatrzymać triumfalny pochód Hiszpanów, ale nie podejmują starań. Czy zaatakują Luksemburg? Czy skierują się do Pikardii? Nic nie wiadomo. Czy postarają się zdobyć Saint–Quentin lub Ham?

— Albo Calais? — przerwała mu Diana podnosząc szybko oczy na zarządcę, aby pochwycić na jego twarzy efekt swoich słów.

Lord Wentworth nawet nie mrugnął i odpowiedział z szerokim uśmiechem:

— Och, Madame, pozwól mi nawet nie zadawać sobie takiego pytania! Ktokolwiek ma jakieś pojęcie o wojnie, nie dopuści ani na chwilę takiego przypuszczenia. Pan diuk de Guise ma zbyt wiele doświadczenia, aby narażać się na śmieszność wobec wszystkich władających bronią w Europie przez takie usiłowanie nie do zrealizowania.

W tejże chwili rozległ się szmer przy drzwiach i wszedł pośpiesznie łucznik.

— Co się dzieje, że ośmielasz się przeszkadzać mi w taki sposób! — rzekł z gniewem lord wstając i podchodząc do niego.

— Wybacz mi, milordzie. Lord Derby przysyła mnie w pośpiechu.

— Jakaż jest tego pilna przyczyna? Wytłumacz się!

— Oznajmiono lordowi Derby, że przednia straż złożona z dwóch tysięcy strzelców francuskich była widziana wczoraj o dziesięć mil od Calais. Lord Derby wydał mi rozkaz przyjść natychmiast i ostrzec cię, milordzie.

— Ach! — zawołała Diana nie starając się ukryć radości.

Jednak lord Wentworth odpowiedział chłodno łucznikowi:

— I z tego powodu miałeś czelność przyjść aż tutaj, błaźnie?

— Milordzie, lord Derby… — tłumaczył się osłupiały biedak. Zarządca mu przerwał:

— Lord Derby jest krótkowidzem, który grudki ziemi widzi jako góry. Powiedz mu to ode mnie.

— Milordzie, a co z posterunkami, które lord Derby chciał jak najszybciej podwoić?

— Niech pozostanie tak, jak jest! I niech mnie pozostawi w spokoju. Śmieszna panika!

Łucznik pokłonił się z respektem i wyszedł.

— Widzisz, milordzie, że wedle opinii jednego z najlepszych twoich poruczników moje tak bezsensowne przewidywania mogą się ściśle spełnić.

— Jestem zmuszony wyprowadzić cię z błędu, Madame — odpowiedział lord Wentworth z niezamąconą pewnością. — Mogę ci podać w dwóch słowach wyjaśnienie owego fałszywego alarmu, na co dał się złapać lord Derby.

— Czekam — rzekła pani de Castro, spragniona oświecenia na temat, w którym się koncentrowało teraz jej życie.

— Jedno z dwojga, Madame: albo diuk de Guise i pan de Nevers, którzy są, jak przyznaję zdolnymi i roztropnymi dowódcami, chcą wzmocnić Ardres i Boulogne i tam kierują wojska, o których mowa, albo czynią pozorowany ruch niby ku Calais, aby opanować Ham i Saint–Quentin, potem nagle zawrócą i będą usiłowali zdobyć jedno z owych miast.

— A może nie ku Ham ani Saint–Quentin kierują pozorny atak po to, aby zaskoczyć tym pewniej Calais? — spytała raczej nieroztropna niż cierpliwa pani de Castro.

Na szczęście miała do czynienia z mocnym przekonaniem opartym naraz na narodowej dumie i dumie osobistej.

— Już miałem — honor cię zapewnić, Madame, że Calais jest takim miastem, którego nie można ani zaskoczyć, ani zdobyć. Żeby moc się do niego zbliżyć, musieliby pokonać fort Sainte–Agathe i opanować fort Nieullay. Trzeba by piętnastu dni zwycięskiej walki we wszystkich punktach. W ciągu owych dwu tygodni zawiadomiona o tym Anglia miałaby możność piętnaście razy przyjść z pomocą swemu cennemu grodowi. Zdobyć Calais! Nie mogę powstrzymać się od śmiechu, kiedy o tym myślę.

Urażona pani de Castro odpowiedziała ze smutkiem:

— To, co mnie zadaje ból, tobie sprawia radość. Jak możesz chcieć, żeby nasze dusze mogły kiedykolwiek się zrozumieć!

— Madame — rzekł lord Wentworth blednąc — chciałbym naprawdę zniweczyć twe iluzje, które nas rozdzielają. Chciałbym ci dowieść, co jasne jak słońce, że łudzisz się chimerami. Aby powziąć myśl o takim usiłowaniu, jakie sobie wymarzyłaś, dwór Francji chyba by oszalał.

— Istnieją heroiczne szaleństwa, milordzie — dumnie odrzekła Diana. — Znam w samej rzeczy wielkodusznych szaleńców, którzy nie cofnęliby się przed wzniosłą niecodziennością z miłości do ojczyzny lub po prostu z przywiązania.

— Ach, tak! Na przykład pan d'Exmès! — zawołał lord uniesiony wściekłością i zazdrością, których nie zdołał opanować.

— Kto ci powiedział owo nazwisko? — spytała zdumiona pani de Castro.

— Przyznaj, Madame, że to nazwisko masz na ustach od początku naszej rozmowy, że jednocześnie wzywasz w myśli, prócz Boga i ojca, owego trzeciego wyzwoliciela.

— Czy mam ci zdawać sprawę ze swoich uczuć?

— Nie zdawaj mi sprawy z niczego, wiem wszystko. Wiem nawet to, czego sama nie wiesz, Madame, i dzisiaj podoba mi się ci to oznajmić, aby wykazać, czy można się opierać na pięknej miłości romantycznych zakochanych. Wiem mianowicie, że wicehrabia d'Exmès, uwięziony w Saint–Quentin jednocześnie z tobą, został przywieziony w tym samym czasie co ty tutaj, do Calais.

— Czy to możliwe! — Diana była zaskoczona.

— Tak, ale go tutaj już nie ma, Madame. Inaczej bym ci nie powiedział. Od dwóch miesięcy pan d'Exmès jest wolny.

— Och, nie wiedziałam, że przyjaciel cierpiał razem ze mną, blisko mnie.

— Tak, ty nie wiedziałaś, ale on wiedział, Madame. Muszę nawet przyznać się, że kiedy się o tym dowiedział, obrzucał mnie straszliwymi groźbami. Nie tylko wyzwał mnie na pojedynek, ale

posuwając swą miłość do szaleństwa oświadczył prosto w oczy, że uczynił postanowienie zdobyć Calais. Przewidziałaś to niesłychanie trafnie i z wyczuciem.

— Zatem nadzieja moja rośnie.

— Nie spodziewaj się za wiele, Madame. Powtarzam ci, odkąd pan d'Exmès skierował do mnie pełne groźby pożegnanie, upłynęły dwa miesiące. Otrzymałem, to prawda, wieści, od swego agresora w ciągu owych dwóch miesięcy. W końcu listopada przysłał mi ze skrupulatną punktualnością pieniądze na okup. Ale ani słowa o dumnym wyzwaniu.

— Czekaj, milordzie. Pan d'Exmès potrafi spłacić wszelkie rodzaje długów.

— Wątpię, Madame. Termin płatność wkrótce minie.

— Co chcesz rzec?

— Kazałem oznajmić wicehrabiemu d'Exmès przez jego posłańca, że będę czekał na spełnienie podwójnego wyzwania do 1 stycznia 1558 roku. Otóż dzisiaj jest już 31 grudnia…

Diana mu przerwała:

— Jeszcze dwanaście godzin przed nim.

— Słusznie, Madame. Ale jeśli jutro o tej godzinie, nie otrzymam wieści…

Nie dokończył. Wielce przerażony lord Derby wpadł do komnaty.

— Milordzie, słusznie mówiłem! To Francuzi! Idą na Calais!

— Ależ skąd! Ależ to niemożliwe! — odpowiedział lord Wentworth, który mienił się na twarzy udając pewność siebie. — Kto ci to potwierdził? Znowu pogłoski, gadanina, chimeryczne obawy?

— Niestety nie. To fakty, na nieszczęście — odpowiedział lord Derby.

— Mów ciszej, Derby, ciszej — rzekł lord Wentworth zbliżając się do porucznika. — Więcej zimnej krwi. Jakie są twoje fakty?

Lord mówił po cichu, jak wymagał od niego zwierzchnik, który nie chciał zdradzić fatalnej nowiny wobec Diany.

— Francuzi zaatakowali znienacka fort Sainte–Agathe. Nic nie było przygotowane na ich przyjęcie, ani mury, ani ludzie. Obawiam się, że w obecnej chwili opanowali już pierwszy bulwar Calais.

— Byliby jeszcze od nas daleko — rzekł żywo lord Wentworth.

— Tak, ale stamtąd nic już dla nich nie stanowi przeszkody aż do mostu Nieullay, a most Nieullay jest oddalony o dwie mile od nas.

— Czy posłałeś naszym posiłki, Derby?

— Tak, milordzie, wybacz mi. Bez twego rozkazu i wbrew twojemu zakazowi.

— Dobrze uczyniłeś — pochwalił lord Wentworth.

— Ale owe posiłki mogą przybyć za późno — rzekł porucznik.

— Kto wie? Nie lękajmy się. Natychmiast będziesz mi. Towarzyszył do Nieullay. Każemy drogo zapłacić za zuchwałość owym nieroztropnym! Jeżeli są już w Sainte–Agathe, wystarczy, że ich stamtąd wygonimy.

— Oby Bóg to sprawił! Ale oni bardzo nieugięcie rozpoczęli walkę.

— Weźmiemy sobie rewanż — odpowiedział lord Wentworth. — Czy wiesz, kto nimi dowodzi?

— Nie wiadomo. Pan de Guise prawdopodobnie lub przynajmniej pan de Nevers. Chorąży, który szybkim galopem przyjechał tutaj z nieprawdopodobną wieścią o ich nagłym przybyciu, rzekł mi, że sam rozpoznał z daleka w pierwszych szeregach twojego byłego jeńca, przypominasz sobie, owego wicehrabiego d'Exmès…

— Przekleństwo! — zawołał zarządca zaciskając pięści. — Ruszajmy, Derby, ruszajmy szybko!

Pani de Castro wyostrzonym słuchem, co zdarza się w ważnych okolicznościach, wysłuchała prawie całego raportu lorda Derby, chociąż składał go cicho.

Gdy lord Wentworth ją pożegnał słowami:

— Wybacz mi, Madame, muszę odejść. Ważna sprawa…

— Idź, milordzie — przerwała mu Diana nie bez niewieściej złośliwości. — Staraj się odzyskać swą przewagę, tak okrutnie narażoną na kompromitację. A tymczasem pamiętaj o dwóch rzeczach: po pierwsze, najsilniejsze złudzenia nie zawodzą, a po drugie, trzeba zawsze liczyć na słowo honoru francuskiego rycerza. Jeszcze nie mamy pierwszego stycznia, milordzie.

Rozgniewany lord Wentworth wyszedł bez odpowiedzi.

LIII. KANONADA

Lord Derby wcale się nie pomylił w swoich przypuszczeniach. Oto, co się wydarzyło:

Wojska pana de Nevers w nocy szybko się dołączyły do oddziałów diuka de Guise i przybyły niespodzianie, dzięki forsownemu marszowi, przed fort Sainte–Agathe. Trzy tysiące strzelców z rusznicami, wspierane trzydziestu konnymi, odniosło zwycięstwo i zdobyło fort w niecałą godzinę.

Lord Wentworth przybył z lordem Derby do fortu Nieullay akurat w chwili, by ujrzeć swoich uciekających, z mostu w rozsypce i szukających schronienia na owym drugim i lepszym szańcu Calais.

Musimy przyznać, że po pierwszym zaskoczeniu lord Wentworth szybko się podniósł na duchu. Mimo wszystko była to nieprzeciętna dusza, czerpiąca z dumy właściwej swemu narodowi wielką energię.

— Ci Francuzi naprawdę poszaleli! — rzekł z przekonaniem do lorda Derby. — Ale drogo nam zapłacą za swe szaleństwo. Przed dwoma wiekami Calais wytrzymało jeden rok broniąc się przed Anglikami, a wytrzymałoby dziesięć jako angielskie. Nie będziemy potrzebowali tak długich wysiłków. Zanim tydzień dobiegnie końca, ujrzysz, mój Derby, jak wróg z hańbą rzuci się do ucieczki. Zyskał wszystko, co mógł zdobyć przez zaskoczenie. Ale teraz mamy się na baczności. Bądźcie spokojni i śmiejcie się razem ze mną z pomyłki pana de Guise.

— Czy sprowadzisz posiłki z Anglii? — spytał lord Derby.

— Po co? — odpowiedział wyniośle zarządca. — Jeśli nieroztropni trwają w swej lekkomyślności, zanim miną trzy dni, podczas których Nieullay będzie ich trzymało w szachu, wojska hiszpańskie i angielskie przebywające na terenie Francji same przybędą nam z pomocą. Jeśli owi dumni zdobywcy będą się dalej upierali, w ciągu dwudziestu czterech godzin nasze wezwanie przekazane do Dover sprowadzi do nas dziesięć tysięcy ludzi. Ale na razie nie czyńmy im nadmiernego honoru przez zbytek lęku. Dziewięciuset naszych żołnierzy i dobre mury przysporzą im dość trudu. Nie zajdą dalej niż do mostu Nieullay.

Mimo to nazajutrz, pierwszego stycznia 1558 roku, Francuzi byli już na moście, który lord Wentworth wyznaczył jako ostatnią granicę. W nocy przygotowali okopy, a od południa ich działa drążyły wyłom w forcie Nieullay.

Przy silnym i regularnym huku dwóch grzmiących artylerii w starym domu rodziny Peuquoy rozegrała się taka oto uroczysta i smutna scena rodzinna.

Naglące pytania zadawane przez Piotra Peuquoy wysłannikowi Gabriela bez wątpienia uświadomiły czytelnikowi, że Babette nie mogła już dłużej ukrywać przed bratem i kuzynem swoich łez i powodu łez.

W samej rzeczy była nieszczęśliwa biedna dziewczyna. Naprawienie wyrządzonej krzywdy, jakie był jej winien rzekomy Marcin Guerre, było konieczne nie tylko dla niej samej, ale także dla jej dziecka.

Babette Peuquoy miała zostać matką.

Jednak wyznając swój błąd i ciężkie konsekwencje błędu nie ośmieliła się wyznać Piotrowi i Janowi, że jej przyszłość jest bez wyjścia, że Marcin Guerre jest żonaty.

Nie godziła się z tym we własnym sercu. Mówiła sobie, że to niemożliwe, że pan d'Exmès się pomylił i że dobry Bóg nie pozostawi bez ratunku biednej istoty, której jedyną zbrodnią było, że pokochała. Powtarzała sobie naiwnie jak dziecko to rozumowanie i co dzień miała nadzieję. Pokładała nadzieję w Marcinie Guerre i w wicehrabi d'Exmès. Czego się spodziewała, sama nie

wiedziała, mimo wszystko ufała.

Jednak milczenie w ciągu dwu długich w nieskończoność miesięcy ze strony i pana, i sługi zadało jej straszny cios.

Z niecierpliwością pomieszaną ze strachem oczekiwała pierwszego stycznia, ostatniego terminu, jaki Piotr Peuquoy ośmielił się sam wyznaczyć wicehrabiemu.

Toteż dnia 31 grudnia wieść, najpierw, niepewna, a później całkiem wyraźna, że Francuzi maszerują na Calais wywołała w niej dreszcz niewypowiedzianej radości.

Słyszała, jak mówiono bratu i kuzynowi, że z całą pewnością wicehrabia d'Exmès jest pomiędzy oblegającymi. A zatem Marcin Guerre jest także. Babetka miała słuszność, że spodziewała się tego.

Jednak ze ściśniętym sercem nazajutrz, pierwszego stycznia, przyjęła zaproszenie brata, aby przyszła na dół do salonu, gdzie mieli się naradzić wraz z Janem, co należy czynić w — teraźniejszych okolicznościach.

Zjawiła się blada i drżąca przed domowym trybunałem, który składał się jednak z dwóch jedynych istot, odczuwających względem niej prawie ojcowskie przywiązanie.

— Kuzynie, bracie, oto jestem na wasze rozkazy — wyrzekła wzruszonym tonem.

— Usiądź, Babetko — rzekł Piotr wskazując jej krzesło. Potem dodał łagodnie, ale poważnie: — Na początku, gdy pod naciskiem naszych nalegań i obaw zwierzyłaś się nam ze smutnej prawdy, przypominam sobie z żalem, że dałem się ponieść odruchowi gniewu i żalu, prawiłem ci obelgi, a nawet groziłem. Na szczęście Jan zainterweniował.

— Niech będzie błogosławiony za swą szlachetność i pobłażanie — rzekła Babetka zwracając ku kuzynowi oczy skąpane we łzach.

— Nie mów o tym, Babetko, nic nie mów — odpowiedział Jan bardziej poruszony, niżby chciał okazać. — To, co uczyniłem, to sprawa całkiem prosta, a poza tym nie zaradziłoby się twoim kłopotom przez zasmucanie nowymi troskami.

— Co i ja pojąłem — rzekł Piotr. — Zresztą twoja skrucha i łzy wzruszyły mnie, Babetko. Moja wściekłość przemieniła się we współczucie, a współczucie przeszło w czułość. Przebaczyłem ci, że splamiłaś nasze nazwisko, pozostające do tego czasu bez skazy.

— Chrystus będzie dobry dla ciebie tak jak ty dla mnie, bracie.

— Później Jan zwrócił moją uwagę na to, że twoje nieszczęście może da się jeszcze naprawić. Ów mężczyzna, który cię w nie wpędził, ma prawo i obowiązek z niego cię wydobyć.

Babette pochyliła niżej twarz, którą okrył rumieniec. Kiedy już ktoś inny poza nią myślał o takim zadośćuczynieniu, ona już w nie nie wierzyła.

Piotr mówił:

— Mimo nadziei, jaką powziąłem z radością, że twój i nasz honor może się doczekać rehabilitacji, Marcin Guerre ciągle milczał, a wysłannik pana d'Exmès przybyły przed miesiącem do Calais nie przyniósł żadnej wieści od uwodziciela. Ale oto Francuzi przed naszymi murami. Przypuszczam, że wicehrabia d'Exmès jego giermek są wśród nich.

— To jest pewne, Piotrze — przerwał zacny Jan.

— Nie będę ci zaprzeczał, Janie. Załóżmy więc, że pan d'Exmès i jego giermek pozostają oddzieleni od nas jedynie murami i fosami, które nas strzegą, a raczej strzegą Anglików. W przypadku, gdy ich znowu ujrzymy, Babetko, jak uważasz, w jaki sposób mamy się do nich odnieść? Czy są naszymi przyjaciółmi czy wrogami?

— Cokolwiek uczynisz, bracie, będzie dobre — rzekła Babetka przestraszona, że taki obrót przybiera rozmowa.

— Ależ, Babetko, czy nie przewidujesz ich zamiarów?

— Nie, nic, o Boże! Czekam i to wszystko.

— A więc nie wiesz, czy przybywają, by cię ocalić, czy po to, aby cię opuścić. Czy odgłosy armaty, towarzyszące moim słowom, oznaczają dla naszej rodziny wyzwolicieli, których należy błogosławić, czy nikczemników, których należy ukarać? Nic nie wiesz, Babetko?

— Niestety! Czemu mnie o to pytasz, smutną dziewczynę, która nie może zebrać myśli, która umie już tylko modlić się i zdawać się na łaskę?

— Dlaczego ciebie o to pytam? Posłuchaj. Pamiętasz, w jakich uczuciach względem Francji i Francuzów wychował nas ojciec. Anglicy nigdy nie byli dla nas rodakami, ale ciemiężcami. Od trzech miesięcy żadna muzyka nie była przyjemniejsza dla moich uszu od tej, która rozbrzmiewa w obecnej chwili.

— Ach, dla mnie to głos wołającej ojczyzny! — dodał Jan.

— Janie, ojczyzna to wielkie gniazdo, to liczna rodzina, to rozszerzone braterstwo. Ale czy wypada dla niego poświęcać braterstwo, ognisko rodzinne, najbliższą rodziną?

— O mój Boże! Do czego zmierzasz, Piotrze? — spytała Babetka.

— Do tego, że w szorstkich, plebejskich, spracowanych rękach twego brata spoczywa może w obecnej chwili los miasta Calais. Tak, te biedne ręce, poczerniałe od pracy codziennej mogą zwrócić królowi Francji klucze do Francji.

— I jeszcze się wahasz? — zawołała Babetka, która z mlekiem wyssała nienawiść do cudzoziemskiego jarzma.

— Szlachetna dziewczyna! — rzekł Jan. — Jesteś godna naszego zaufania.

— Ani me serce, ani ręce nie zawahałyby się, gdybym miał możność zwrócić piękny nasz gród królowi Henrykowi II lub jego przedstawicielowi diukowi de Guise. Ale takie są okoliczności, że będziemy zmuszeni posłużyć się jako pośrednikiem panem d'Exmès.

— No to co? — spytała Babetka zdziwiona taką rezerwą.

— O ile byłbym zadowolony i dumny przyłączyć do wielkiego dzieła naszego byłego gościa, którego giermek powinien by stać się moim bratem, o tyle wzdragam się przed uczynieniem takiego zaszczytu szlachcicowi bez sumienia, który przyczynił się do pozbawienia nas honoru.

— On, pan d'Exmès, taki współczujący, taki prawy? — oburzyła się Babetka.

— Niemniej jednak jest prawdą, że pan d'Exmès po twoich zwierzeniach, podobnie jak Marcin Guerre w swoim sumieniu, wiedział, o twoim nieszczęściu. Sama widzisz, że obaj milczą.

— Co mógł rzec i uczynić pan d'Exmès?

— Po swoim powrocie do Paryża mógł wezwać Marcina Guerre i kazać mu, by ci dał swoje nazwisko. Zamiast nieznajomego posłańca mógł przysłać tutaj swego giermka i nam spłacić jednocześnie dług z sakiewki i dług z serca.

— Nie, nie, nie mógł tego uczynić — rzekła szczerze Babetka ze smutkiem spuszczając głowę.

— Jak to? Nie miał prawa wydać rozkazu swemu słudze? — Po co miałby mu dać taki rozkaz?

— Jak to? Po co naprawić występek? Po co uratować dobrą opinię? Czy oszalałaś, Babetko?

— Nie, na moje nieszczęście. Szaleńcy nic nie pamiętają — rzekła dziewczyna tonąc we łzach.

— Jeśli jesteś przy pełnych zmysłach, to dlaczego mówisz, że pan d'Exmès nie może użyć swego autorytetu pana, aby zmusić uwodziciela do poślubienia ciebie?

— Mnie poślubić? Czyżby mógł? — rzekła Babetka oszołomiona.

— A któż by mu zabronił? — zawołali równocześnie Jan i Piotr.

Obaj wstali z miejsc odruchowo. Babetka padła na kolana.

— Przebacz mi, bracie, jeszcze jedno! Chciałam to ukryć. Ukrywałam to przed samą sobą. Ale

zacząłeś mi mówić o naszym splamionym honorze, o Francji, o panu d'Exmès, o tym niecnym Marcinie Guerre… Czy ja wiem? Tracę głowę. Pytałeś, czy postradałam zmysły? Obawiam się, że naprawdę ogarnia mnie szaleństwo. Wy jesteście spokojniejsi, rzeknijcie, jeśli się mylę, czy naprawdę jest możliwe to, co mi oznajmił pan d'Exmès.

— Co on ci oznajmił?

— Tak, w moim pokoju, w dniu — jego odjazdu, kiedy go prosiłam, by dał Marcinowi mój pierścień… Nie śmiałam mu wyznać, jemu obcemu, swego błędu. A jednak on widocznie mnie zrozumiał. A jeśli mnie pojął, to jak mógł mi taką rzecz powiedzieć?

— Co? Co on ci powiedział? Dokończ!

— Niestety! Że Marcin Guerre jest już żonaty.

— Nieszczęsna! — zawołał Piotr rzucając się ku niej, tracąc panowanie i podnosząc rękę na siostrę.

— Ach, więc to prawda! Czuję teraz, że to prawda — wyszeptała zamierającym głosem nieszczęśliwa dziewczyna. Padła na parkiet zemdlona.

Jan zdążył chwycić Piotra i odrzucić go to tyłu.

— Co czynisz, Piotrze? — rzekł surowo. — Nie ją, nieszczęśliwą, trzeba bić, ale owego nikczemnika.

— Słusznie — przyznał Piotr zawstydzony, że dał się ponieść ślepemu gniewowi.

Odszedł na bok zły i ponury, a tymczasem Jan, pochylony nad Babetką, starał się ją przywrócić do życia. Zapanowało dość długie milczenie.

Na zewnątrz w regularnych odstępach czasu ciągle grzmiała armata.

Wreszcie Babetka otworzyła oczy.

— Co się stało? — spytała.

Patrzyła zamglonym wzrokiem na pochyloną ku sobie twarz Jana. Dziwne, bo Jan nie wyglądał na zbyt smutnego. Na jego dobrej twarzy malowało się głębokie przywiązanie, a nawet skryte zadowolenie.

— Mój dobry kuzynie! — rzekła Babetka wyciągając do niego rękę.

Pierwsze słowa Jana do miłej sobie zasmuconej brzmiały:

— Bądź ufna, Babetko, ufaj!

Oczy dziewczyny zatrzymały się jednak na chwilę na posępnej i zrozpaczonej twarzy brata. Zadrżała i wszystko sobie przypomniała.

— Wybacz mi, Piotrze, wybacz! — rzekła.

Na wzruszający gest Jana, który odwoływał się do jego litości, Piotr podszedł do siostry, podniósł ją i posadził.

— Uspokój się. Nie do ciebie mam pretensję. Tyle wycierpiałaś! Uspokój się. Powtarzam za Janem: ufaj.

— Czego mogę się spodziewać teraz? — spytała.

— Nie naprawiania krzywdy, to prawda, ale przynajmniej zemsty. — odpowiedział Piotr marszcząc czoło.

Jan powiedział mu cicho:

— A ja ci radzę: jednocześnie zemsta i naprawienie krzywdy.

Dziewczyna spojrzała zdziwiona. Zanim zdążyła zadać pytanie, Piotr powtórzył:

— Jeszcze raz ci wybaczam, biedna siostro. Twoja wina nie jest większa przez to, że podły człowiek dwakroć cię oszukał. Kocham cię, Babetko, tak samo jak dawniej.

Dziewczyna, pocieszona w bólu, padła w ramiona brata.

— Mój gniew nie wygasł, jedynie skierował się na kogoś innego. Chciałbym dosięgnąć owego podłego uwodziciela, wstrętnego Marcina Guerre — dodał Piotr i uścisnął siostrę?

— Bracie! — żałośnie mu przerwała Babetka.

— Nie, dla niego nie mam litości! — zawołał srogo mieszczanin. — Ale zwracam honor jego panu, wicehrabiemu d'Exmès, bez wahania lojalnie to przyznają.

— Już wcześniej ci to rzekłem, Piotrze — przypomniał Jan.

— Tak, Janie, miałeś słuszność, jak zwykle. Źle osądziłem godnego pana. Teraz już wszystko jasne. Jego milczenie świadczy o delikatności. Po co miałby nam przypominać w okrutny sposób nieszczęście, którego nie da się naprawić? Nie miałem racji. Kiedy pomyślę, że przez smutne nieporozumienie mogłem zadać kłam przekonaniom i skłonnościom całego mojego życia i kazać płacić Francji mojej ukochanej za winę, której nie było!

— Mój Boże, od czego zależą wielkie wydarzenia na świecie! — filozoficznie zauważył Jan Peuquoy. — Ale na szczęście, nie jeszcze straconego dzięki zwierzeniom Babetki. Wiemy teraz, że wicehrabia d'Exmès nadal zasługuje na naszą przyjaźń. Znam jego szlachetne serce. Zawsze go podziwiałem, z wyjątkiem jego pierwszego wahania, kiedy mu zaproponowaliśmy rewanż przez zdobycie Saint–Quentin. Owo wahanie naprawia wspaniale w obecnej chwili.

Dzielny tkacz uczynił gest, aby słuchali huku potężnego działa, które zdawało się rozbrzmiewać coraz szybszą kanonadą.

— Janie, czy wiesz, co dla nas oznacza taka strzelanina? — spytał Piotr.

— Oznajmia nam, że jest tam pan d'Exmès.

— Tak bracie, ona nam jeszcze mówi: Pamiętajcie o piątym! — dodał kuzynowi na ucho.

— Będziemy o tym pamiętali, prawda, Piotrze?

Poufna cicha rozmowa przeraziła Babetkę, która myśląc jedynie „o swojej sprawie wyszeptała: — Nad czym oni spiskują? Jeśli pan d'Exmès jest tam, niech Bóg sprawi, żeby Marcina nie było razem z nim.

Jan usłyszał jej szept.

— Marcin Guerre? Och, pan d'Exmès wypędzi haniebnie swego niecnego sługę! Dobrze czyni w interesie owego nikczemnika, gdyż sami wyzwalibyśmy i zabili go przy jego pierwszym kroku w Calais, prawda, Piotrze?

— Oczywiście, w każdym przypadku. Jeśli nie w Calais, to w Paryżu. Zabiję go — oznajmił Piotr niewzruszonym tonem.

— Och, takich właśnie odwetów, przejawów zemsty się obawiałam. Nie chodzi o niego, bo już go nie kocham, ale o ciebie, Piotrze, i o ciebie, Janie. Obaj jesteście tacy braterscy i oddani!

— Toteż, Babetko, podczas mojej z nim walki nie za niego, a za mnie będziesz się modliła?

— Twoje pytanie, Janie, jest najokrutniejszą karą za mój błąd, jaką mnie zasmucasz. Czyżbym się dzisiaj wahała między tobą, takim wspaniałomyślnym i dobrym, a owym podłym zdrajcą?

— Dzięki. To, co mówisz, dobrze mi czyni. Wierz mi, że Bóg cię za to wynagrodzi.

— Mam pewność ze swej strony, że Bóg ukarze winnego. Ale jeszcze o tym nie myślmy. — Zwrócił się do Jana: — Mamy inne sprawy do załatwienia i tylko trzy dni na przygotowania. Trzeba wyjść, widzieć się z przyjaciółmi, policzyć broń… — Powtórzył cicho: — Janie, pamiętajmy o piątym!

W kwadrans później płatnerz i tkacz wyszli zaaferowani do miasta. Tymczasem Babetka, spokojniejsza w swoim pokoju, dziękowała Bogu, sama nie wiedząc za co.

Kuzyni zdawali się nie myśleć już o Marcinie Guerre, który w owej chwili, mówiąc nawiasem, nie spodziewał się, jakie złe przyjęcie czekało na niego w mieście Calais, gdzie nigdy jeszcze nie stanęła jego noga.

W tym czasie ciągle grzmiały działa, i jak pisze Rabutin, *ładowano je i rozładowywano z nadzwyczajną furią w burzliwej kanonadzie artyleryjskiej.*

LIV. W NAMIOCIE

W trzy dni później, wieczorem czwartego stycznia, wbrew przepowiedniom lorda Wentwortha Francuzi jeszcze posunęli się naprzód. Minęli nie tylko most, ale także fort Nieullay, który opanowali rano wraz z bronią i amunicją, jakie zawierał.

Na tej pozycji mogli odtąd zamknąć przejście dla wszelkich posiłków Hiszpanów lub Anglików z kontynentu.

Taki wynik był wart oczywiście trzech dni zażartej walki, a nawet morderczej, która wiele ich kosztowała.

— To chyba sen! — rzekł wyniosły zarządca Calais, widząc swoje wojska uciekające w rozsypce ku miastu po bohaterskich wysiłkach, by wytrwać na posterunku.

Szczyt poniżenia! Sam musiał iść za nimi. Miał obowiązek umrzeć ostatni.

Kiedy byli już bezpieczni, lord Derby powiedział do niego:

— Na szczęście Calais i Vieux–Château, nawet z tą niewielką liczbą wojska, które nam pozostało, wytrzymają jeszcze dwa lub trzy dni. Fort Risbank i dostęp od strony morza pozostają wolne, Anglia nie jest daleko.

Zwołana przez lorda Wentwortha rada oświadczyła z całą pewnością, że tam jest ocalenie. Już nie było czasu na unoszenie się dumą. Natychmiast trzeba wysłać do Dover wezwanie. Najpóźniej jutro potężne posiłki nadejdą i Calais zostanie ocalone.

Lord Wentworth z rezygnacją zatwierdził ów projekt. Natychmiast wyruszyła łódź, unosząc pilne wezwanie do zarządcy Dover.

Następnie Anglicy przedsięwzięli środki, by skoncentrować całą swą energię na obronie Vieux–Château.

To był słaby punkt Calais. Jedynie morze, wydmy i garstka straży miejskiej wystarczała poza tym do obrony fortu Risbank.

My w tym czasie, kiedy oblężeni organizują w Calais opór w punkcie łatwym do zaatakowania, zobaczmy, co się dzieje poza miastem, w miejscu, gdzie przebywają oblegający, i co czynią wieczorem czwartego stycznia wicehrabia d'Exmès, Marcin Guerre i ich waleczni zaciężni żołnierze.

Powinni odpoczywać o takiej godzinie, bo wszak ich zadaniem jest walka, nie są saperami, ich miejsce nie w okopach i nie przy pracach nad oblężeniem, ale w ataku. Wystarczy unieść płótno namiotu umieszczonego trochę na uboczu po prawej stronie francuskiego obozu, aby odnaleźć Gabriela wraz z małym oddziałem ochotników. Przedstawiali malowniczy i urozmaicony widok.

Gabriel ze spuszczoną głową siedział w rogu na jedynym taborecie, jaki tam był. Wydawał się głęboko czymś pochłonięty.

U jego stóp Marcin Guerre naprawiał sprzączkę u pasa. Od czasu do czasu podnosił oczy na swego pana z widoczną troską, ale szanował jego ciche zamyślenie i nic nie mówił.

Niedaleko od nich na posłaniu z płaszczy spoczywał i jęczał ranny. Oczywiście, że owym rannym był pechowy Malemort.

W drugim końcu namiotu pobożny Lactance klęcząc przebierał w palcach paciorki różańca żywo i zapalczywie. Lactance miał nieszczęście zabić rano przy zdobywaniu fortu Nieullay trzech braci w Chrystusie. Był zatem dłużny swemu sumieniu trzysta Ojcze hasz i tyleż zdrowasiek. Taką taksę ustalił za zabitych jego spowiednik. Za rannych liczył połowę.

Przy nim Yvonnet po starannym oczyszczeniu i wyszczotkowaniu odzieży poplamionej błotem i kurzem szukał wzrokiem miejsca na ziemi, gdzie by nie było zbyt wilgotno, żeby się

położyć i trochę odpocząć. Nocne czuwanie i zmęczenie długotrwałymi trudami nie odpowiadały jego delikatnej naturze.

O dwa kroki od Yvonneta Scharfenstein stryj i Scharfenstein bratanek na ogromnych palcach czynili skomplikowane obliczenia. Kalkulowali, ile im może przynieść poranna zdobycz. Młodszemu Scharfensteinowi udało się położyć łapę na cennej zbroi. Godni siebie Teutonowie z rozpromienionymi twarzami z góry już dzielili się pieniędzmi, jakie liczyli otrzymać za bogaty łup. Reszta wojaków, zgromadzonych pośrodku namiotu, grała w kości. Jedni grali, a drudzy zakładali się, kto wygra. Z ożywieniem śledzili zmienne szanse partii. Wielka, kopcąca świeca oświetlała ich wesołe lub zawiedzione twarze i rzucała słabe refleksy na inne oblicza, ożywione odmiennymi uczuciami, które już staraliśmy się rozróżnić i naszkicować W panującym półmroku.

Kiedy biedak Malemort wydał bardzo żałosny jęk, Gabriel uniósł głowę i zapytał giermka:

— Marcinie, która może być teraz godzina?

— Dobrze nie wiem, panie — odpowiedział Marcin — deszcz i ciemność przygasiła wszystkie gwiazdy. Ale przypuszczam, że chyba niedaleko do szóstej, bo już przeszło godzina, jak zapadła noc.

— A ów chirurg obiecał przyjść o szóstej?

— Dokładnie o szóstej. Patrz, panie, podnosi zasłonę, oto i on.

Wicehrabia d'Exmès rzucił okiem na przybysza i natychmiast go rozpoznał. Widział go tylko jeden raz, ale twarz chirurga była taka, że jej się nie zapomina po spotkaniu.

— Mistrz Ambroży Paré — rzekł wstając Gabriel.

— Pan wicehrabia d'Exmès — odpowiedział Paré z głębokim ukłonem.

— Nie wiedziałem, mistrzu, że jesteś w obozie, tak blisko nas.

— Staram się być zawsze tam, gdzie mogą się przydać.

— Poznaję cię po tym, szlachetne serce. Podwójnie się cieszę, że tak jest, bo muszę się uciec do twej wiedzy i zręczności.

— Mam nadzieję, że nie chodzi o ciebie — rzekł chirurg.

— Jeden z moich ludzi dzisiaj rano rzucił się tak gwałtownie na uciekinierów angielskich, że dostał cios kopią w ramię.

— W ramię? To nie będzie nic poważnego.

— Obawiam się, że wprost przeciwnie. Jeden z kolegów rannego, ten oto Scharfenstein, tak szorstko i niezręcznie starał się wyciągnąć drzewce kopii, że je złamał, a żelazo pozostało w ranie.

Ambroży Paré skrzywił się złowróżbnie.

— Zobaczmy — rzekł spokojnie.

Zaprowadzono go do posłania pacjenta. Wszyscy wojacy wstali i otoczyli chirurga, porzucając jedni grę, drudzy rachunki, jeszcze inni czyszczenie odzieży. Jedynie Lactance, pokutując za swą waleczność, nie przerywał modlitwy, żeby grzeszyć dalej.

Ambroży Paré rozsunął płótno okrywające ramię Malemorta i uważnie oglądał ranę. Potrząsnął głową z powątpiewaniem i niezadowoleniem, ale głośno rzekł:

— To nic nie jest.

— Jeśli to nic nie jest, to czy będę mógł jutro powrócić między walczących? — mruknął przez zęby Malemort.

— Nie sądzę — odpowiedział chirurg sondując ranę.

— Aj, zadajesz mi ból, panie. Czy wiesz o tym?

— Oczywiście. Odwagi, przyjacielu.

— Nie brak mi jej. Jak dotąd można to znieść. Czy będzie gorzej, kiedy trzeba będzie

wydobyć przeklęty odłamek?

— Nie, bo już go mam — odpowiedział chirurg podnosząc do góry i pokazując Malemortowi ostrze kopii, które wyjął.

— Jestem ci bardzo zobowiązany, panie chirurgu — grzecznie podziękował ranny.

Rozległ się szmer podziwu i zdziwienia.

— Jak to? Już po wszystkim? Ależ to cud! — rzekł Gabriel.

— Trzeba także przyznać, że ranny to nie delikacik — uśmiechnął się chirurg.

— Ani operator nie był niezręczny, na Boga! — zawołał spoza pleców żołnierzy przybysz, którego nikt nie zauważył wśród ogólnego niepokoju.

Na dźwięk dobrze znanego głosu wszyscy rozsunęli się z respektem.

— Pan diuk de Guise — rzekł Paré rozpoznając naczelnego dowódcę.

— Tak, mistrzu, jestem zdumiony i zachwycony twoimi umiejętnościami. Na Świętego Franciszka, mojego patrona! Przed chwilą widziałem tam, w ambulansie skończonych osłów lekarzy, którzy czynili więcej szkody moim żołnierzom swoimi narzędziami niż Anglicy bronią. A ty wyrwałeś to ostrze tak łatwo jak siwy włos. Nie znam cię. Jak cię zwą, mistrzu?

— Ambroży Paré, Wasza Wysokość.

— Mistrzu Ambroży Paré, ręczę, że zdobędziesz fortunę pod jednym warunkiem.

— Pod jakim, Wasza — Wysokość?

— Jeśli mi się przydarzy rana albo guz, co jest bardzo prawdopodobne w najbliższych dniach, teraz bardziej niż kiedykolwiek, zajmiesz się mną i potraktujesz mnie tak samo bez ceremonii jak tego tu biedaka.

— Uczynię tak, Wasza Wysokość, Wszyscy ludzie są równi w cierpieniu.

— Hm! Będziesz się starał przeto w takim przypadku, o jakim mówię, żeby byli również równi w wyzdrowieniu.

— Pozwól mi teraz, panie, zamknąć ranę i ją obandażować. Tylu innych rannych potrzebuje mnie dzisiaj.

— Czyń, co należy, mistrzu. Nie zajmuj się inną. Sam pośpieszę się, żeby ci przysłać pacjentów wyzwolonych z rąk przeklętych eskulapów. Poza tym, muszę porozmawiać z panem d'Exmès.

Ambroży Paré wrócił do bandażowania Malemorta.

— Panie chirurgu, jeszcze raz ci dziękuję. Ale wybacz, mam jeszcze jedną prośbę do ciebie.

— O co idzie, mój zuchu?

— Odkąd nie czuję w ciele owego strasznego drąga, który mi tak dokuczał okrutnie, chyba będę już zdrów?

— Tak, prawie — odpowiedział chirurg zaciskając bandaże.

— A zatem powiedz, proszę, memu panu, wicehrabiemu d'Exmès, że będę w stanie bić się doskonale, jeśli jutro będzie bitwa.

— Jutro chcesz się bić? Nie myśl o tym!

— Ależ oczywiście, że o tym myślę — odpowiedział z melancholią Malemort.

— Ależ, nieszczęsny, nakazuję ci osiem dni absolutnego odpoczynku, co najmniej osiem dni w łóżku, osiem dni diety.

— Dieta, jeśli idzie o jadło, zgoda. Ale nie dieta od bitwy, proszę cię.

— Jesteś szalony. Jeśli wstaniesz, złapie cię gorączka, będziesz zgubiony. Rzekłem osiem dni i nie obniżę ci terminu ani o godzinę.

— Biada mi! W ciągu ośmiu dni będzie po oblężeniu — zajęczał Malemort. — Nigdy nie będę się bił zatem do syta.

— Ależ to twardy zuch! — pochwalił diuk de Guise, który usłyszał szczególny dialog między

rannym a chirurgiem.

— Taki jest Malemort — rzekł z uśmiechem Gabriel. — Proszę cię, Wasza Wysokość, żebyś kazał go przenieść do ambulansu, by go pilnowano. Gdyby tutaj usłyszał zgiełk walki, byłby zdolny wstać mimo wszystko.

— Dobrze, nic prostszego. Każ go przenieść kolegom.

— Będę potrzebował może swych ludzi dzisiejszej nocy — rzekł Gabriel z zakłopotaniem.

Diuk patrzył ze zdziwieniem na wicehrabiego.

— Jeśli pan d'Exmès tego sobie życzy, mogę przysłać dwóch swoich pomocników z noszami, przeniosą rannego wojaka — rzekł chirurg zbliżając się do Gabriela po zakończeniu opatrunku.

— Dziękuję i przyjmuję. Polecam go twojej pilnej trosce.

— Oj! — zawołał Malemort z rozpaczą.

Ambroży Paré pożegnał diuka de Guise i odszedł Żołnierze pana d'Exmès na znak Marcina odsunęli się w drugi koniec namiotu. Gabriel pozostał we względnym odosobnieniu z generałem dowodzącym oblężeniem.

LV. MAŁE STATKI PRZYCZYNIAJĄ SIĘ DO OCALENIA WIELKICH OKRĘTÓW

Kiedy wicehrabia d'Exmès znalazł się prawie sam z diukiem de Guise, spytał:

— Czy jesteś zadowolony, Wasza Wysokość?

— Tak, przyjacielu, zadowolony z dotychczasowych wyników, ale, przyznaję, niespokojny o przyszłe losy. Niepokój wygnał mnie z namiotu, błąkałem się po obozie i przyszedłem szukać u ciebie otuchy i dobrej rady.

— Ależ co zaszło nowego? Wydarzenia przerosły twoje nadzieje, tak mi się zdaje. Po czterech dniach jesteś władcą dwu puklerzy Calais. Obrońcy samego miasta i Vieux–Château nie wytrzymają dłużej niż czterdzieści osiem godzin.

— To prawda — rzekł diuk — ale wytrzymają czterdzieści osiem godzin. To starczy dla naszej zguby i ich ocalenia.

— Pozwól mi w to wątpić, Wasza Wysokość.

— Nie, przyjacielu, stare doświadczenie mnie nie myli. Wystarczy z ich strony jeden nieprzewidziany manewr, jedna pomyślna szansa wykraczająca poza nasze ludzkie wyliczenia, a nasze przedsięwzięcie weźmie w łeb. Wierz w to, co mówię.

— Jak to? — spytał Gabriel z uśmiechem, który nie harmonizował, ze smutnym zwierzeniem.

— Wykażę ci to w dwóch słowach, na twoim własnym planie. Siedź bieg mojej myśli.

— Cały zamieniam się w uwagę.

— Niezwykłe, hazardowne usiłowania, w które twój młodzieńczy zapał wciągnął mą rozsądną ambicję, nie miały innego punktu wyjścia jak tylko odcięcie i zaskoczenie angielskiego garnizonu. Calais jest nie do zdobycia, ale można je zaskoczyć. Idąc za taką myślą zaprojektowaliśmy nasze szaleństwo, nieprawdaż?

— I jak dotychczas fakty nie zadały kłamu naszym kalkulacjom.

— Nie, oczywiście, dowiodłeś, Gabrielu, że umiesz jednako dobrze osądzać ludzi jak widzieć rzeczy. Wybadałeś duszę zarządcy Calais równie zręcznie jak wnętrze miasta. Lord Wentworth nie zawiódł żadnego z twoich przypuszczeń. Ufał, że starczy dziewięciuset żołnierzy i budzących postrach przednich placówek, abyśmy pożałowali zuchwałej wyprawy. Za nisko nas ocenił, żeby wszczynać alarm, i nie zechciał wezwać na pomoc ani jednej kompanii tak z kontynentu jak z Anglii.

— Przewidziałem, że będzie się kierował wzgardliwą dumą w takich okolicznościach.

— Także dzięki jego zarozumiałości zdobyliśmy fort Sainte–Agathe prawie bez strzału, a fort Nieullay w trzy dni zwycięskiej walki.

— Tak więc, gdyby teraz Anglicy lub Hiszpanie nadeszli od strony kontynentu, chcąc pomóc swemu rodakowi czy aliantowi, zamiast dział lorda Wentwortha, które miałyby im wtórować, spotkaliby się z bateriami diuka de Guise, które ich zmiażdżą.

— Będą nieufni i zbliżą się jedynie na pewną odległość — dodał Franciszek de Guise z uśmiechem, bowiem udzielił mu się dobry humor młodzieńca.

— Czyż nie opanowaliśmy ważnej placówki?

— Niewątpliwie, ale niestety nie jest ona jedyna ani najważniejsza. Zamknęliśmy przed zewnętrzną dla nich pomocą jedną z dróg, jedną z bram do fortecy. Ale pozostaje im druga brama, druga droga.

— Jaka, Wasza Wysokość? — spytał Gabriel udając, że trudno mu się domyślić.

— Spojrzyj na mapę opracowaną powtórnie przez marszałka Strozziego wedle planu przedłożonego przez ciebie. Calais może otrzymać pomoc z dwóch stron: przez fort Nieullay,

broniący szos i traktów lądowych.

— Ale teraz on nas broni.

— Oczywiście, ale od strony morza jest fort Risbank, chroniony przez ocean, bagna i wydmy. Zwą go także Wieżą Ośmiokątną. Fort Risbank dowodzi portem, otwiera go przed statkami i zamyka dostęp. Niech wyjdzie z niego zlecenie do Dover, a za kilka godzin angielskie okręty przywiozą tyle wojsk i żywności, żeby zapewnić fortecy trwanie przez całe lata. Tak więc fort Risbank strzeże miasta, a morze strzeże fortu Risbank. Otóż czy wiesz, Gabrielu, co czyni teraz lord Wentworth po niedawnej klęsce?

— Wiem doskonale — odpowiedział ze spokojem wicehrabia d'Exmès. — Lord Wentworth po jednogłośnej decyzji rady wysyła w pośpiechu do Dover spóźnione zawiadomienie i liczy, że jutro o tej samej godzinie otrzyma posiłki, które uznał w końcu za niezbędne.

— I co dalej? Nie kończysz?

— Przyznaję się, Wasza Wysokość, że nie widzę dobrze, co dalej. Nie mam wszechwiedzy Boga.

— Wystarczy ludzkie przewidywanie. Skoro twoje zatrzymuje się w połowie drogi, pozwól, że dokończę.

— Niech Wasza Wysokość raczy mnie pouczyć, co nastąpi — rzekł Gabriel z ukłonem.

— To bardzo proste. Oblężeni z pomocą całej Anglii będą mogli jutro przeciwstawić nam w Vieux–Château potężne siły, siły nie do przezwyciężenia. Jeśli będziemy się dobrze trzymali, mimo wszystko, wszyscy Hiszpanie i Anglicy, jacy tylko są, ściągną z Ham, z Saint–Quentin, z całej Francji i spadną jak śnieg zimą na okolice Calais. Kiedy się poczują dostatecznie liczni, oni nas z kolei będą oblegali. Zakładam, że nie zdobędą od razu fortu Nieullay. W końcu zdobędą jednak fort Sainte–Agathe. To wystarczy, żeby nas wziąć w dwa ognie.

— Taka katastrofa byłaby istotnie przerażająca — spokojnie stwierdził Gabriel.

— A jednak jest bardzo prawdopodobna — odpowiedział diuk przyciskając rękę do czoła gestem zniechęcenia.

— Ale chyba myślałeś, Wasza Wysokość, o sposobach i środkach zaradczych, by zapobiec takiej strasznej klęsce?

— Dalibóg, że jedynie o tym myślę.

— No i co? — niedbale spytał Gabriel.

— Istnieje jedyna szansa, szansa niepewna. Jutro przypuścić atak do Vieux–Château, atak rozpaczliwy. Nic nie będzie przygotowane, jak należy, chociaż tej nocy trzeba posunąć prace możliwie jak najaktywniej. Nie ma innego wyboru. Będzie to mniejszym szaleństwem niż bierne czekanie na przybycie posiłków z Anglii. W Italii mówią o furii francuskiej, może osiągnie ona cel w cudownym impecie natarcia na niedostępne mury.

— Nie, rozbije się o nie — chłodno odpowiedział Gabriel. — Wybacz mi, Wasza Wysokość, wydaje mi się, że armia francuska nie jest ani dostatecznie silna, ani tak słaba, żeby się porywać na niemożliwe. Straszna odpowiedzialność ciąży na tobie, Wasza Wysokość. Istnieje prawdopodobieństwo, że utracimy połowę ludzi i w końcu zostaniemy odparci. Co zamierza zatem uczynić diuk de Guise?

— Nie narażać się na całkowitą klęskę, na ruinę — rzekł żałośnie Franciszek de Lorraine — wycofać spod przeklętych murów resztę oddziałów i zachować je na lepsze czasy dla króla i ojczyzny.

— Zwycięzca spod Metz i Renty skłania się do odwrotu!

— To zawsze lepsze niż upieranie się przy klęsce, podobnie jak to uczynił konetabl pod Saint–Laurent.

— Wszystko jedno! Taki fakt byłby klęską dla Francji i dla reputacji Waszej Wysokości.

— Nikt o tym nie wie lepiej ode mnie! Ile znaczy sukces i los szczęścia! Gdyby mi się udało, byłbym bohaterem, geniuszem, półbogiem. Poniosę klęskę, wtedy będę jedynie zarozumialcem i pyszałkiem, który zasłużył na wstyd upadku. Takie same dążenia zwane wzniosłymi i zadziwiającymi, gdy sprzyja im szczęśliwe zakończenie, ściągną na mnie krzyki całej Europy i odwleką, jeśli nie zniweczą całkiem w zarodku wszystkie moje plany i nadzieje. Od czego zależą marne ambicje tego świata!

Diuk zamilkł, przerażony. Gabriel celowo zachował długie milczenie i nie ważył się go przerwać. Chciał, żeby pan de Guise doświadczonym okiem stwierdził ogromne trudności sytuacji.

Następnie, kiedy osądził, że diuk je dostatecznie zgłębił, powiedział:

— Widzę cię, panie, w momencie zwątpienia, jakie wśród największych poczynań ogarnia największych twórców. Jednak mała uwaga. Tak niezwykły geniusz, taki doświadczony dowódca, z którym mam honor rozmawiać, nie mógł się zaangażować lekkomyślnie w tak poważne przedsięwzięcie. Najmniejsze szczegóły, najbardziej nieprawdopodobne ewentualności zostały przewidziane już chyba w Paryżu, w Luwrze. Chyba już naprzód znalazłeś rozwiązanie dla wszelkich perypetii i środki zaradcze przeciw wszelkim niepowodzeniom. Jak to się dzieje, że wahasz się i jeszcze szukasz?

— Mój Boże! Zaślepił mnie twój młodzieńczy entuzjazm i twoja pewność siebie mnie zafascynowała.

— Ależ Wasza Wysokość! — rzekł Gabriel z wyrzutem.

— Och, nie czuj się urażony, nie mam do ciebie pretensji, przyjacielu! Nadal podziwiam twój wielki patriotyczny zamysł. Ale rzeczywistość lubi rozwiewać piękne marzenia. Niemniej jednak, o ile sobie przypominam, przedstawiłem ci wtedy swoje zastrzeżenia o takiej ostateczności, jaka teraz zaistniała, a ty przełamałeś moje zastrzeżenia.

— W jaki sposób, Wasza Wysokość? — spytał Gabriel.

— Obiecałeś mi, że jeśli opanujemy w krótkim czasie dwa forty, Sainte–Agathe i Nieullay, powiązania, jakie masz w mieście, oddadzą w nasze ręce fort Risbank w taki sposób, że Calais nie otrzyma już pomocy ani drogą morską, ani lądem. Tak, Gabrielu, przypominam sobie, i ty także powinieneś to sobie przypomnieć, bo mi to obiecałeś.

— No więc co? — spytał wicehrabia d'Exmès nie okazując zakłopotania.

— Twoje nadzieje zawiodły, nieprawdaż? Twoi przyjaciele z Calais nie dotrzymali słowa, to się zdarza. Jeszcze nie są pewni naszego zwycięstwa i boją się. Pokażą się wtedy, kiedy już nam nie będą potrzebni.

— Wybacz, Wasza Wysokość, kto ci to rzekł?

— Ależ, przyjacielu, wystarczy twoje milczenie. Nadeszła chwila, kiedy twoi tajni pomocnicy powinni oddać nam przysługę i ocalić. Nie dają znaku życia, a ty milczysz. Wywnioskowałem z tego, że już na nich nie liczysz i że trzeba zrezygnować z ich pomocy.

— Gdybyś mnie lepiej znał, Wasza Wysokość, wiedziałbyś, że nie lubię mówić, kiedy mogę działać.

— Więc jak? Ciągle jeszcze się spodziewasz?

— Tak, Wasza Wysokość, dopóki żyję — odpowiedział Gabriel poważnym i melancholijnym tonem.

— A zatem fort Risbank?

— Będzie do ciebie należał, jeśli nie zginę, kiedy będzie to konieczne.

— Ależ, Gabrielu, taka konieczność jawi się już jutro, jutro rano.

— A więc będziemy go mieli jutro rano — odpowiedział ze spokojem Gabriel — jeśli nie zginę, powtarzam. Wtedy nie będziesz zarzucać niedotrzymania słowa temu, kto oddał swe życie,

żeby dotrzymać przyrzeczenia.

— Co masz uczynić, Gabrielu? Narazić się na jakieś śmiertelne niebezpieczeństwo, ubiegać się o jakąś szaloną szansę? Nie chcę tego, nie chcę! Francja nazbyt potrzebuje takich ludzi jak ty.

— Nie niepokój się, Wasza Wysokość. Niebezpieczeństwo jest wielkie, ale cel także wielki i gra warta ryzyka, jakie za sobą pociąga. Myśl jedynie o wykorzystaniu skutków, a mnie pozostaw środki. Odpowiadam tylko za siebie, a ty za wszystkich.

— Co mógłbym uczynić, by ci dopomóc przynajmniej? Jaki udział mi pozostawiasz w swoich zamiarach?

— Wasza Wysokość, gdybyś mi nie uczynił zaszczytu i nie przyszedł dziś wieczór do mnie, moim zamiarem było odwiedzić cię w twoim namiocie i skierować do ciebie prośbą…

— Mów, mów — żywo mu przerwał Franciszek de Lorraine.

— Jutro, piątego dnia miesiąca, o świcie, to znaczy około ósmej godziny, gdyż w styczniu noce są długie, zechciej wysłać na posterunek kogoś pewnego, aby obserwować fort Risbank z przylądka. Jeśli angielska flaga będzie dalej na nim powiewała, przypuść rozpaczliwy szturm, jaki obmyśliłeś. Będzie to znaczyło, że nie powiodła mi się, to znaczy innymi słowy, że nie żyję.

— Że nie żyjesz! Widzisz, Gabrielu, że idziesz na zatratą.

— W takim przypadku nie trać czasu na żale nade mną, Wasza Wysokość. Byleby wszystko było przygotowane i ożywione twym ostatnim wysiłkiem! Proszą Boga, żeby ci się powiodło. Idźcie i walczcie! Pomoc z Anglii nie nadejdzie wcześniej niż w południe. Zanim się wycofasz, będziesz miał cztery bohaterskie godziny, żeby dowieść, że Francuzi są równie nieustraszeni jak rozsądni.

— A ty, Gabrielu, rzeknij mi, że masz jakieś szanse na sukces.

— Tak, mam je, bądź spokojny, Wasza Wysokość. Zachowaj opanowanie i cierpliwość godne wielkiego męża, jakim jesteś. Nie dawaj za wcześnie sygnału do ataku. Nie narażaj się na ryzykowną ostateczność, chyba w konieczności. Nakaż spokojnie marszałkowi Strozziemu i jego saperom prace nad oblężeniem. Twoi żołnierze i artyleria będą mogli oczekiwać odpowiedniej chwili na szturm, jeśli o ósmej godzinie dowiesz się, że na forcie Risbank powiewa francuska flaga.

— Francuska flaga na forcie Risbank? — wykrzyknął diuk de Guise.

— Myślę, że jej widok każe natychmiast zawrócić z drogi statkom nadjeżdżającym z Anglii.

— Przypuszczam tak samo. Ale jak to uczynisz?

— Pozwól mi zachować tajemnicę, błagam cię, Wasza Wysokość. Gdybyś poznał mój dziwny plan, chciałbyś mnie może zawrócić z drogi. Nie czas teraz zastanawiać się i wątpić. Zresztą nie narażę na szwank przez to ani armii, ani ciebie. Moi ludzie sami wystarczą, tylko ich chcę użyć, wszyscy są ochotnikami podobnie jak ja, i zobowiązałeś się mi ich pozostawić, jak również swobodę działania. Pragnę wypełnić swój projekt bez niczyjej pomocy albo umrzeć.

— Po co taka duma?

— To nie dumą. Chcę spłacić, jak zdołam najlepiej, bezcenną łaskę, jaką mi zechciałeś obiecać w Paryżu. Mam nadzieję, że pamiętasz, Wasza Wysokość.

— O jakiej bezcennej łasce mówisz, Gabrielu? Uchodzę za posiadającego dobrą pamięć, zwłaszcza w odniesieniu do przyjaciół. Przyznaję się ze wstydem, że nie przypominam sobie…

— Niestety, a sprawa jest dla mnie bardzo ważna. O to prosiłem twą łaskawość: jeśli okaże się, że dzięki pomysłowi jak i wykonaniu go zdobycie Calais mnie. Francja będzie zawdzięczała, nie chodzi mi o to, by mi publicznie oddawano honory, bo należą się one tobie, dowódcy wyprawy. Proszę jedynie, żebyś oświadczył królowi ale zwykła sprawiedliwość. Potajemnie czy publicznie wedle twej woli zawsze będę gotów uznać i potwierdzić twe zasługi i czyny.

— Moja ambicja nie wykracza poza to, Wasza Wysokość. Niech jeno król będzie

poinformowany o moich wysiłkach. Ma w swoich rękach nagrodę, która jest dla mnie warta tyle co wszelkie zaszczyty i sukcesy na świecie.

— Król dowie się o wszystkim, co uczyniłeś dla niego, Gabrielu. Ale czy ja nie mogę nic dla ciebie?

— Ależ tak, Wasza Wysokość, chcę jeszcze prosić o kilka przysług dzięki twojej łaskawości.

— Mów.

— Przede wszystkim potrzebne mi hasło na dzisiejszą noc, żebym mógł o każdej godzinie wyjść z obozu ze swoimi ludźmi.

— Powiedz: *Calais i Karol,* straże was przepuszczą.

— Następnie, gdybym zginął, a ty odniósłbyś zwycięstwo, ośmielam się przypomnieć, że Diana de Castro, córka króla, jest branką lorda Wentwortha i ma słuszne prawa do twej dwornej opieki.

— Będę pamiętał o obowiązku mężczyzny i dworzanina. Co więcej?

— Wreszcie, dzisiejszej nocy zaciągam znaczny dług wobec pewnego rybaka z tych okolic, zwanego Anzelmem. Jeśli Anzelm zginie wraz ze mną, napisałem już do imć Elyota, który zarządza moimi dobrami, żeby zabezpieczył przetrwanie i dobrobyt jego rodzinie pozbawionej pomocy. Ale dla większej pewności, będę wielce zobowiązany za czuwanie nad wykonaniem mojego polecenia.

— Tak będzie. Czy to wszystko?

— Wszystko, Wasza Wysokość. Jeśli mnie więcej nie ujrzysz, pomyśl o mnie czasami z żalem, proszę cię, i mów o mnie z szacunkiem do króla, który ucieszy się moją śmiercią, lub do pani de Castro, która może będzie zasmucona. A teraz już cię nie zatrzymuję i żegnam, Wasza Wysokość.

Diuk de Guise wstał.

— Odpędź od siebie smutne myśli, przyjacielu. Odchodzę, żeby cię pozostawić sam na sam z tajemniczym projektem, i przyznaję ci się, że do ósmej rano będę bardzo niespokojny i wcale nie zasnę. Szczególnie z powodu owej tajemniczości, którą otaczasz to, co masz uczynić. Coś mi mówi, że cię ujrzę, i nie żegnam cię.

— Dzięki za dobrą wróżbę, Wasza Wysokość. Jeśli mnie znowu ujrzysz, będzie to w Calais, francuskim mieście. Henrykowi II, jaki miałem w tym udział, pod twymi rozkazami, w zdobyciu miasta. Otóż wtedy mi obiecałeś, że taka nagroda zostanie mi przyznana.

— Co? Taka to ma być niesłychana łaska, o której wspominałeś? Do diaska, nigdy bym nie przypuszczał! Ależ to nie byłaby nagroda.

— W takim przypadku będziesz mógł się chełpić, że wydobyłeś z wielkiego niebezpieczeństwa honor Francji i mój własny.

— Małe statki przyczyniają się niekiedy do ocalenia wielkich okrętów, Wasza Wysokość — rzekł z ukłonem Gabriel.

Diuk de Guise przy wyjściu z namiotu po raz ostatni uścisnął przyjaźnie rękę wicehrabiego d’Exmès i wielce zamyślony powrócił do swego pomieszczenia.

LVI. UKRYCI W MROKU NOCY

Po odprowadzeniu do drzwi diuka de Guise Gabriel powrócił na swoje miejsce i dał znak Marcinowi, który natychmiast wstał i wyszedł nie czekając na żadne wyjaśnienia.

W kwadrans później giermek powrócił w towarzystwie mężczyzny o opalonej cerze, nędznie odzianego.

Marcin podszedł do swego pana pogrążonego w zamyśleniu. Inni towarzysze grali w kości lub spali, jak kto wolał.

— Wasza Wielmożność, to ten człowiek — rzekł Marcin.

— To ty jesteś rybakiem Anzelmem, o którym mi mówił Marcin?

— To ja, Wasza Wielmożność.

— Czy wiesz, jakiej usługi spodziewamy się po tobie?

— Giermek mi rzekł, Wasza Wielmożność, jestem gotów.

— Marcin Guerre powinien był ci powiedzieć, że w tej wyprawie ryzykujesz życiem, razem z nami.

— Nie miał potrzeby mi tego mówić. Wiem to równie dobrze albo jeszcze lepiej niż on.

— I jednak przyszedłeś?

— Jestem na twoje rozkazy, panie.

— Świetnie, przyjacielu. To czyn świadczący o odważnym sercu.

— Albo o przegranym życiu.

— Jak to? Co chcesz rzec?

— O miłosierna Matko Boża! Codziennie narażam życie, żeby przynieść jakąś rybę, a bardzo często wracam z niczym. Nie ma przeto w tym wielkiej zasługi, że zaryzykują swą opaloną wiatrem skórą dla ciebie, panie, który zobowiązujesz się, bez względu na to, czy będę żył, czy zginę, zabezpieczyć los mojej żony i trojga dzieci.

— Tak, ale niebezpieczeństwo, z którym stykasz się Codziennie, jest wątpliwe i skryte. Nigdy nie wyruszasz łodzią podczas burzy. A tym razem niebezpieczeństwo jest wyraźne i pewne.

— To prawda. Trzeba być szaleńcem lub świętym, żeby zapuszczać się na morze w podobną noc. To twoja sprawa, panie, i nie mam nic do gadania, jeśli powziąłeś taką myśl. Z góry mi zapłaciłeś za łódź i moje ciało. Będziesz jedynie winien Najświętszej Panience świecę z prawdziwego wosku, jeśli przybędziemy cali i zdrowi.

— Gdy już przybędziemy, twoje zadanie jeszcze nie będzie skończone. Po wiosłowaniu będziesz musiał, w razie potrzeby, bić się, działać jako żołnierz po zakończeniu pracy marynarza. Wyruszając: z nami, zetkniesz się z dwoma niebezpieczeństwami zamiast jednego. Nie zapominaj o tym.

— Dobrze. Proszę mnie nie odstraszać. Będę posłuszny. Gwarantujesz mi środki do życia dla rodziny, która mi jest droga. A ja daję ci w zamian swoje. Targ ubity, nie mówmy już o tym.

— Jesteś zacnym człowiekiem. Twojej żonie i dzieciom niczego nie zabraknie. W tej sprawie napisałem do swego intendenta Elyota, wydałem polecenia, a pan diuk de Guise sam dopilnuje ich wykonania.

— To więcej niż mi trzeba, jesteś, panie, bardziej szlachetny i szczodry niż król. Gdybyś mi nie dał więcej jak tę sumę, która już nas wydobyła z kłopotów, nie żądałbym reszty. Skoro jestem zadowolony z ciebie, mam nadzieję, że i ty będziesz kontent ze mnie.

— Czy zmieści się nas czternastu w łodzi?

— Wytrzymała dwudziestu.

— Potrzeba ci rąk do wiosłowania, prawda?

— Tak. Dość będę miał do roboty przy sterze i żaglach, jeśli żagle wytrzymają.

— Mamy Ambrosia, Pilletrousse'a i Landry'ego, którzy będą wiosłowali tak, jakby nigdy w życiu nic innego nie czynili, a ja sam równie dobrze wiosłuję, jak pływam — rzekł Marcin Guerre.

— Doskonale — odpowiedział wesoło Anzelm — będę wyglądał na bogatego właściciela łodzi, mając tylu dobrych towarzyszy na swoje usługi. Imć Marcin nie powiedział mi tylko jednej rzeczy: jaki jest określony punkt, gdzie mamy wylądować.

— Fort Risbank — rzekł wicehrabia d'Exmès.

— Fort Risbank! Rzekłeś fort Risbank? — zawołał Anzelm ze zdumieniem.

— Bez wątpienia tak. Czy masz jakieś zastrzeżenia?

— Nie, nic ponadto, że miejsce w ogóle nie jest dostępne do lądowania i że nigdy tam nie zarzucałem kotwicy. Wszędzie jest skała.

— Czy odmawiasz, nie zawieziesz nas tam? — spytał Gabriel.

— Dalibóg, nie odmawiam. Chociaż źle znam tamto wybrzeże, uczynię, co będę mógł. Ojciec mój, rybak z urodzenia, miał zwyczaj mówić: Nie należy chcieć rządzić ani rybą, ani doświadczeniem. Zawiozę was do fortu Risbank, jeśli potrafię. Będzie to ładna wycieczka!

— O której godzinie mamy być gotowi? — spytał Gabriel:

— Chcecie przybyć na miejsce o czwartej, zdaje mi się? — upewnił się Anzelm.

— Między czwartą a piątą, nie wcześniej.

— A więc tak: trzeba liczyć w przybliżeniu dwie godziny, żeglowania. Najważniejsze, żebyśmy się niepotrzebnie nie męczyli na morzu. Musimy stąd wyruszyć tak, żeby nas nie widziano, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Stąd do zatoczki liczmy jedną godzinę marszu.

— Wyjdziemy z obozu o pierwszej w nocy — rzekł Gabriel.

— Tak właśnie trzeba.

— Pójdę teraz uprzedzić swoich ludzi — rzekł wicehrabia.

— Uczyń to, panie. Proszę cię o pozwolenie spania do pierwszej rażeni z nimi. Już pożegnałem się z najbliższymi. Łódź czeka na nas, starannie ukryta i solidnie przymocowana. Nic mnie nie wzywa na zewnątrz.

— Odpoczywaj, masz słuszność, Anzelmie. Będziesz miał dość zmęczenia tej nocy. Marcinie, uprzedź towarzyszy.

— Hej, gracze i śpiochy! — zawołał Marcin.

— Co? Co się dzieje? — pytali wstając i zbliżając się do giermka.

— Podziękujcie jego wielmożności. Jest specjalna wyprawa o pierwszej godzinie — rzekł Marcin.

— Dobrze! Bardzo dobrze! Doskonale — odpowiedzieli chórem jednogłośnym wojacy.

Malemort również krzyczał radośnie łącząc się z kolegami w niedwuznacznych oznakach zadowolenia.

Jednak w tej samej chwili weszło czterech pomocników Ambrożego Paré oznajmiając, że przyszli po rannego, żeby go przenieść do ambulansu.

Malemort zaczął głośno wykrzykiwać.

Pomimo protestów i oporu z jego strony położono go i przytrzymano na noszach. Na próżno obrzucał kamratów przykrymi wymówkami, nazywając ich dezerterami, zdrajcami i tchórzami, jeśli pójdą walczyć bez niego. Nie zwracano uwagi na obelgi i zabrano go, choć złorzeczył i przeklinał.

— Teraz pozostaje nam tylko ustalić wszelkie dyspozycje i wyznaczyć każdemu jego kolejność i rolę — rzekł Marcin.

— Jakiego rodzaju zadanie będziemy musieli wykonać? — spytał Pilletrousse.

— Chodzi o pewien rodzaj szturmu — odpowiedział Marcin.

— Och, to ja będę się wspinał pierwszy — oznajmił Yvonnet.

— Zgoda! — rzekł giermek.

— Nie, to niesprawiedliwe! — zaprotestował Ambrosio. — Yvonnet zawsze zagarnia pierwsze miejsce w niebezpieczeństwie. Jakby był tylko on jeden, doprawdy!

— Pozwólcie mu — zainterweniował wicehrabia d'Exmès. — W niebezpiecznej wspinaczce, którą będziecie usiłowali wykonać, ten, który wejdzie pierwszy, będzie najmniej narażony, tak przypuszczam. Dowodem tego jest, że ja chcę wejść ostatni.

— A zatem Yvonnet został wykiwany — śmiał się Ambrosio.

Marcin Guerre wyznaczył każdemu jego kolejny numer w marszu, w łodzi i w szturmie. Ambrosio, Pilletrousse i Landry dowiedzieli się, że będą musieli wiosłować. Przewidziano wszystko to, co należało przewidzieć, aby uniknąć, o ile możliwe, nieporozumień i zamieszania.

Lactance odprowadził Marcina na bok.

— Przepraszam, czy przypuszczasz, że będziemy zabijali?

— Nie wiem całkiem na pewno, ale to bardzo możliwe — odpowiedział Marcin.

— Dziękuję. W takim razie zacznę na przód odmawiać modlitwy za trzech lub czterech zmarłych i tyluż rannych.

Kiedy już wszystko zostało ustalone, Gabriel zachęcił swój oddział do odpoczynku przez jedną lub dwie godziny. Podjął się obudzić ich, kiedy będzie potrzeba.

— Tak, chętnie trochę się prześpię — rzekł Yvonnet. — Moje biedne nerwy są strasznie podniecone dzisiejszego wieczora, a muszę być dobrze dysponowany i wypoczęty, kiedy mam się bić.

Po kilku minutach słychać było pod namiotem regularne chrapanie wiarusów i monotonne pacierze Lactance'a.

W końcu i ten ostatni szmer ucichł. Znużony Lactance także usnął, zwyciężony przez senność.

Sam jeden Gabriel czuwał i rozmyślał.

Około pierwszej obudził jednego po drugim, nie czyniąc hałasu, wszystkich swoich ludzi. Wstali i uzbroili się po cichu, milcząc. Potem wyszli bezszelestnie z namiotu i obozu.

Gabriel cicho wypowiedział słowa hasła: *Calais i Karol*. Straże pozwoliły im przejść bez przeszkód.

Mała grupka prowadzona przez rybaka Anzelma szła polem wzdłuż wybrzeża. Nikt nie wymówił ani słowa. Jedynie słychać było zawodzenie Wichru i w oddali żałośnie jęczący huk fal.

Noc była czarna i mglista. Nikogo nie spotkali po drodze. Gdyby nasi śmiałkowie nawet spotkali kogoś, pewnie by ich nie zauważono, a gdyby ich zauważono o takiej porze w takim mroku, wzięto by ich za mary nocne.

Wewnątrz miasta był jednak ktoś, kto czuwał jeszcze w tej chwili. Był to lord Wentworth, zarządca grodu. Licząc, że następnego dnia otrzyma pomoc, o którą prosił miasto Dover, lord Wentworth powrócił do swej rezydencji, żeby trochę odpocząć.

W samej rzeczy nie sypiał od trzech dni, narażając się z niestrudzonym męstwem w najniebezpieczniejszych miejscach obrony, dwojąc się i trojąc we wszystkich punktach, gdzie jego obecność była niezbędna.

Wieczorem czwartego stycznia oglądał jeszcze wyłom, we Vieux–Château, sam rozstawił posterunki i uczynił przegląd miejskiej milicji, której powierzono łatwy do obrony fort Risbank.

Jednak mimo zmęczenia, chociaż wszystko było pewne i panował spokój, lord nie mógł zasnąć. Niejasna, absurdalna, bezustanna obawa trzymała go w stanie czuwania na łożu.

Wszelkie ostrożności zostały zachowane. Wróg nie mógł porwać się na szturm nocny przez wyłom tak nieznaczny we Vieux–Château. A inne placówki były strzeżone przez moczary i ocean.

Lord Wentworth powtarzał to sobie tysiąckrotnie, a mimo to nie mógł usnąć. Czuł wokół siebie czające się niebezpieczeństwo wśród czarnej nocy, czuł niewidocznego nieprzyjaciela. Tym nieprzyjacielem nie był w jego myśli marszałek Strozzi ani diuk de Nevers, ani nawet wielki Franciszek de Guise.

Jak to! Czyżby to był jego były więzień, którego nienawistną sylwetkę kilkakroć zauważył w tłumie ze szczytu murów? Czyżby to był naprawdę ów szaleniec ów wicehrabia d'Exmès, zakochany w pani de Castro?

Wart śmiechu przeciwnik dla zarządcy Calais w mieście tak wspaniale strzeżonym!

Jednak lord Wentworth, cokolwiek by czynił, nie zdołał opanować niewyraźnego strachu ani go wyjaśnić.

Czuł go i nie spał.

Том II

I. NAD PRZEPAŚCIĄ

Fort Risbank, który zwano Wieżą Ośmiokątną ze względu na jej kształt, stał, jak już rzekliśmy, u wejścia do portu Calais na wydmach. Jego czarny, ogromny masyw z granitu spoczywał na ciemnej, olbrzymiej skale.

Morze w godzinach przypływu rozbijało fale o skałą, ale nigdy nie dosięgało jej najwyższych warstw.

Otóż nocą z czwartego na piąty stycznia 1558 roku około czwartej rano morze było bardzo wzburzone i groźne. Wydawało potężne i złowieszcze jęki, podobnie jak człowiek o duszy ciągle niespokojnej i stale zawiedzionej.

W pewnej chwili zaraz po zmianie warty, która miała strzec fortu od czwartej do szóstej, do zawodzenia oceanu wmieszał się odgłos spiżowego rogu. Wiatr niósł go wyraźnie.

Wtedy można było dostrzec, że nowy strażnik zadrżał, nasłuchiwał, a po rozpoznaniu owego dziwnego odgłosu położył swą kuszą na występie muru. Następnie upewnił się, że nikt go nie obserwuje, podniósł silną ręką budkę wartowniczą i wyjął spod niej zwój sznurów tworzących długą drabinę z węzłami. Przytwierdził ją silnie do żelaznych klamer wmontowanych w blanki wieży.

Wreszcie ów mężczyzna splótł mocno poszczególne fragmenty lin i przerzucił je ponad blankami na drugą stronę. Dwie ciężkie kule ołowiane, umocowane na końcach drabiny, ściągnęły ją aż do skały stanowiącej podnóże fortu.

Drabina była długa na dwieście dwanaście stóp, a fort Risbank liczył ich dwieście piętnaście.

Zaledwie wartownik wykonał swe tajemnicze zadanie, ront nocny ukazał się na górnych stopniach kamiennych schodów prowadzących na platformę. Ale ront zastał strażnika stojącego przy budce, powiedział hasło i usłyszał odzew. Odszedł nic nie widząc.

Uspokojony strażnik czekał. Już było kwadrans po czwartej.

Po dwóch godzinach walki z morzem i nadludzkich wysiłków łódź z czternastoma ludźmi dobiła w końcu do skały fortu Risbank. Drewnianą drabinę oparto o skałę. Sięgała do pierwszego występu skalnego, gdzie pięciu do sześciu ludzi mogło stanąć.

Jeden po drugim w milczeniu zuchwali śmiałkowie wdrapywali się z łodzi na drabinę i nie zatrzymując się na półce skalnej wspinali się wyżej za pomocą nóg i rąk, czepiając się wszelkich nierówności terenu.

Celem ich wspinaczki było dojście do podnóża wieży. Noc była czarna, a skała śliska. Łamały się paznokcie, krwawiły palce o granit. Jednemu pośliznęła się noga, stoczył się i wpadł do morza.

Na szczęście ostatni z czternastu mężczyzn był jeszcze w łodzi starając się ją bezskutecznie umocować, zanim wejdzie na drabinę. Spadający okazał tyle opanowania, że nie krzyknął. Popłynął w kierunku łodzi z wielkim nakładem sił. Towarzysz podał mu rękę i mimo że łódź była ciągle w ruchu, z radością mu pomógł wydobyć się. Ocalony był zdrów i cały.

— Co? To ty, Marcinie? — spytał wicehrabia rozpoznając go mimo mroku.

— Ja we własnej osobie, przyznaję się, Wasza Wielmożność.

— W jaki sposób pośliznąłeś się, ty niezgrabiaszu?

— Lepiej, że to się przydarzyło mnie, a nie komuś innemu — oświadczył giermek.

— Dlaczego?

— Ktoś inny mógłby krzyknąć.

— Dalej, pomóż mi, skoro już tu jesteś — rzekł Gabriel. — Trzeba przesunąć linę za ten

gruby korzeń. Odesłałem Anzelma razem z innymi i źle uczyniłem.

— Korzeń nie będzie trzymał, Wasza Wielmożność. Byle wstrząs go złamie. Utracimy łódź i sami zginiemy bez niej.

— Nic lepszego nie można uczynić. Działajmy, a nie rozmawiajmy.

Kiedy umocowali łódź, najlepiej jak mogli, Gabriel rzekł do giermka:

— Wspinaj się.

— Po tobie, panie. Kto ci przytrzyma drabinę?

— Wchodź, jeśli ci mówię! — powtórzył Gabriel tupiąc nogą z niecierpliwością.

Moment nie był odpowiedni do dyskusji i ceremonii. Marcin wdrapał się na występ skalny i przytrzymał z góry ze wszystkich sił szczebel drabiny, a Gabriel wchodził.

Miał nogę na ostatnim szczeblu, kiedy gwałtowna fala wstrząsnęła łodzią, zerwała linę i uniosła na pełne morze drabinę i szalupę.

Zginąłby Gabriel, gdyby Marcin, schylony nad przepaścią wodną, nie chwycił swego pana za kołnierz sajana ruchem szybszym niż myśl. Następnie z siłą, jaką daje rozpacz, dzielny giermek przyciągnął ku sobie Gabriela także bez najmniejszej rany i postawił na skale.

— Teraz ty mnie ocaliłeś, dzielny Marcinie — rzekł Gabriel.

— Tak, ale łódź już daleko — odpowiedział giermek.

— Nieważne, jak mówi Anzelm, zapłaciłem za nią — rzekł beztrosko Gabriel, chcąc ukryć swój niepokój.

— Wszystko jedno — rzekł roztropny Marcin zwieszając głowę. — Jeśli twój przyjaciel nie czeka na posterunku tam w górze, jeśli drabina nie zwisa z wieży albo się urwie pod naszym ciężarem, jeśli platforma jest zajęta przez wrogów, jedyną szansą odwrotu, całą nadzieją byłaby łódź. Nadzieja ocalenia znikła wraz z ową przeklętą łodzią.

— Tym lepiej — oświadczył Gabriel. — Musimy teraz zwyciężyć albo umrzeć.

— Zgoda! — odpowiedział Marcin z obojętną i bohaterską naiwnością.

— Naprzód! Towarzysze już chyba dotarli do podnóża wieży, bo nie słyszę już szmerów. Trzeba dołączyć się do nich. Uważaj, Marcinie, żebyś tym razem dobrze się trzymał, i nie puszczaj jednej ręki, dopóki druga mocno się nie chwyci.

— Bądź spokojny, będę się starał — odpowiedział Marcin.

Zaczęli niebezpieczną wspinaczkę. Po dziesięciu minutach, po przezwyciężeniu trudności i niezliczonych trudnych sytuacji dołączyli się do dwunastu towarzyszy, którzy na nich czekali wielce zaniepokojeni na skale pod fortem Risbank. Już upłynął trzeci kwadrans po czwartej godzinie.

Z niewysłowioną radością Gabriel dostrzegł sznurową drabiną zwisającą ze skały.

— Widzicie, przyjaciele, tam u góry na nas czekają. Dziękujcie za to Bogu, gdyż nie możemy już oglądać się wstecz, morze uniosło naszą łódź. A zatem naprzód, w imię Boże!

— Amen — odezwał się Lactance.

Ludzie otaczający Gabriela musieli być w samej rzeczy zdecydowani na wszystko. Przedsięwzięcie, już dostatecznie zuchwałe, stawało się wprost szalone. Jednak na wiadomość, że odwrót jest odcięty, nikt się nie poruszył.

Gabriel, mimo słabej widoczności przy całkiem zachmurzonym niebie, obserwował uważnie męskie twarze. Wszystkie były niewzruszone. Powtórzyli za nim:

— Naprzód!

— Czy pamiętacie ustalony porządek? — spytał Gabriel. — Idziesz pierwszy, Yvonnet, potem Marcin Guerre, potem każdy po kolei, tak jak wyznaczyliśmy, a ja wejdę ostatni. Mam nadzieję, że sznury i węzły są mocne.

— Lina jest jak z żelaza, Wasza Wielmożność — rzekł Ambrozio. — Wypróbowaliśmy ją,

utrzymałaby tak samo trzydziestu jak czternastu.

— Ruszaj, dzielny Yvonnet — zachęcił go wicehrabia d'Exmès. — Nie najmniejsze niebezpieczeństwo ci zagraża w naszym przedsięwzięciu. Idź, odwagi!

— Odwagi mi nie brak, Wasza Wielmożność, zwłaszcza kiedy biją w bębny i grzmi armata. Ale przyznaję się, że nie jestem przyzwyczajony do cichej wspinaczki ani do kołyszących się lin. Dlatego też jestem zadowolony, że idę pierwszy i że będę miał za sobą innych.

— Skromny pretekst do zapewnienia sobie honorowego miejsca! — zauważył Gabriel, lecz nie chciał się wdawać w niebezpieczną dyskusję. — Ruszaj bez gadania! Chociaż wiatr i szum morza zagłuszają nasze słowa, trzeba działać, a nie rozmawiać. Naprzód, Yvonnet! Pamiętajcie wszyscy, że wolno odpocząć dopiero na sto pięćdziesiątym stopniu. Jesteście gotowi? Muszkiet zawieszony na plecach, a szpada w zębach? Patrzcie w górę, a nie na dół. Myślcie o Bogu, a nie o niebezpieczeństwie. Naprzód!

Yvonnet wszedł na pierwszy stopień.

Wybiła piąta. Drugi ront nocny przeszedł przed strażnikiem na platformie.

Wtedy powoli, w milczeniu czternastu nieustraszonych mężczyzn, jeden za drugim, narażało życie na wiotkiej drabinie kołysanej wiatrem.

Nie było to nic przerażającego, dopóki Gabriel jako ostatni był tuż nad skałą. Ale w miarę jak posuwali się w górę, żywe grono balansowało coraz bardziej i niebezpieczeństwo przybierało niesłychane rozmiary.

Było to wspaniałe i straszne widowisko. Nocą, w gwałtownym wichrze czternastu milczących ludzi, czternaście demonów pięło się wzdłuż czarnej ściany, u góry śmierć była prawdopodobna, u dołu śmierć była pewna.

Na sto pięćdziesiątym węźle Yvonnet zatrzymał się. Wszyscy uczynili to samo.

Było ustalone, że wtedy trochę odpoczną tyle czasu, ile potrzeba do odmówienia dwóch Zdrowaś Mario. Gdy Marcin Guerre skończył modlitwę, ujrzał ze zdziwieniem, że Yvonnet nie rusza z miejsca. Przypuszczał, że pomylił się, i wyrzucając sobie roztargnienie zaczął odmawiać sumiennie trzeci *Ojcze nasz* i trzecią zdrowaśkę.

Ale Yvonnet trwał nieruchomo.

Wtedy Marcin Guerre zaczął go uderzać po nogach. Byli już zaledwie o setkę stóp od platformy, niebezpiecznie było rozmawiać. Marcin szepnął:

— Ruszaj naprzód!

— Nie, już więcej nie mogę — rzekł Yvonnet zdławionym głosem.

— Nie możesz, nikczemniku, a dlaczego? — spytał z drżeniem Marcin.

— Mam zawrót głowy — odpowiedział Yvonnet. Zimny pot zrosił czoło Marcina.

Przez chwilę nie wiedział, na co się zdecydować. Gdyby Yvonneta złapał zawrót głowy i gdyby przewodnik spadł, wszystkich pociągnąłby za sobą. Schodzenie w dół także nie dawało żadnych szans. Marcin nie czuł się zdolny ponosić odpowiedzialności w tak przerażających okolicznościach, pochylił się zatem nad Anzelmem, który stał o szczebel niżej, i rzekł:

— Yvonnet ma zawrót głowy.

Anzelm zadrżał podobnie jak Marcin i przekazał najbliższemu sąsiadowi:

— Yvonnet ma zawrót głowy.

Każdy, wyjmując na chwilę sztylet z zębów, mówił do swego towarzysza poniżej:

— Yvonnet ma zawrót głowy. Yvonnet ma zawrót głowy.

W końcu fatalna wieść dotarła do Gabriela, który zbladł i zadrżał usłyszawszy ją.

II. Nieobecny Arnold du Thill wywiera dalej swój zgubny wpływ na biednego Marcina Guerre

Nadszedł moment strasznego niepokoju i napięcia nerwów. Gabriel znalazł się w potrójnym niebezpieczeństwie. Rod nim szalejące morze zdawało się wołać potężnym głosem i wzywać swą zdobycz. Przed nim dwunastu przerażonych mężczyzn, unieruchomionych, nie mogących ani się cofnąć, ani posunąć naprzód, tarasowało mu drogę ku trzeciemu niebezpieczeństwu, pikom i rusznicom Anglików, którzy może czekali na niego tam w górze.

Na chwiejącej się drabinie ze wszystkich stron zagrażała śmierć i trwoga.

Na szczęście Gabriel nie należał do ludzi, którzy długo się wahają, nawet zawieszeni między niebem a ziemią. W ciągu minuty powziął decyzję.

Nie zastanawiał się, czy ręce go nie zawiodą, czy nie rozbije czaszki o wystającą skałę. Uniósł się do góry i czepiając się liny jedynie za pomocą silnych ramion przeszedł po kolei ponad dwunastoma towarzyszami, którzy byli przed nim.

Dzięki nadzwyczajnej sile duszy i ciała wspiął się aż do Yvonneta bez wypadku i oparł stopy obok Marcina Guerre.

— Czy zechcesz posuwać się naprzód? — rzekł do Yvonneta krótko rozkazującym tonem.

— Mam… zawrót głowy — odpowiedział nieszczęśnik. Szczękał zębami, jeżyły mu się włosy.

— Czy posuniesz się naprzód? — powtórzył wicehrabia.

— To niemożliwe. Czuję, że nogi i ręce zsuwają mi się ze sznurów. Spadnę.

— Zobaczymy — rzekł Gabriel.

Podniósł się na wysokość pasa Yvonneta i przyłożył ostrze sztyletu do pleców.

— Czy czujesz ostrze sztyletu? — spytał.

— Tak, Wasza Wielmożność. Litości! Boję się, litości!

— Klinga jest cienka i naostrzona — mówił Gabriel z nadzwyczaj zimną krwią. — Przy najmniejszym ruchu sama wchodzi w ciało. Słuchaj dobrze, Yvonnet. Marcin Guerre przejdzie przed ciebie, a ja zostanę z tyłu. Jeśli nie pójdziesz za Marcinem, słyszysz, jeśli będziesz udawał, że się potykasz, klnę się przed Bogiem, że nie spadniesz i nie zrzucisz innych, bo przygwożdżę cię swoim sztyletem do muru, dopóki wszyscy nie przejdą nad twym trupem.

— Litości, panie! Będę posłuszny — rzekł, Yvonnet wyleczony ze strachu większym zagrożeniem.

— Marcinie, słyszałeś, co mówiłem. Przejdź naprzód.

Marcin wykonał taki sam manewr, jaki poprzednio uczynił jego pan, i znalazł się pierwszy na drabinie.

— Ruszaj! — rozkazał Gabriel.

Marcin zaczął piąć się dzielnie, a Yvonnet, któremu Gabriel uczepiony jedynie lewą ręką i nogami groził ciągle sztyletem, zapomniał o zawrocie głowy i poszedł za giermkiem. W taki sposób czternastu mężczyzn pokonało sto pięćdziesiąt ostatnich stopni.

Dalibóg! — myślał Marcin, któremu powracał dobry humor, kiedy widział zmniejszającą się odległość od szczytu wieży. — Dalibóg! Mój pan wynalazł znakomity środek przeciw zawrotowi głowy!

Zaledwie dokończył owej żartobliwej refleksji, głowa jego znalazła się na poziomie gzymsu platformy.

— Czy to ty? — spytał głos nie znany Marcinowi.

— Dalibóg! — odpowiedział giermek swobodnym tonem.

— Najwyższy czas! — rzekł strażnik. — Zanim minie pięć minut, przejdzie trzeci ront.

— Dobrze! My go przyjmiemy — rzekł Marcin Guerre. Gestem zwycięzcy oparł kolano o kamienny gzyms.

— Ach! — krzyknął nagle mężczyzna z fortu, starając się rozróżnić postać w mroku. — Jak się zwiesz?

— Marcin Guerre…

Nie dokończył. Piotr Peuquoy, bo to był on, nie pozwolił mu oprzeć drugiego kolana, pchnął go ze wściekłością dłońmi oburącz i strącił w dół.

— Jezu! — tyle zdążył powiedzieć biedny Marcin.

Spadał bez krzyku, z najwyższym, pełnym wzniosłości wysiłkiem, żeby nie zawadzić o towarzyszy i swego pana.

Idący za nim Yvonnet, odkąd poczuł stały grunt pod nogami, odzyskał zimną krew i zuchwałość. Stanął na platformie, a za nim Gabriel i reszta.

Piotr Peuquoy nie stawiał im żadnego oporu. Stał nieczuły jak skamieniały.

— Nieszczęsny! — Wicehrabia d'Exmès chwycił go za ramiona i potrząsnął. — Jaka nierozumna wściekłość cię ogarnęła? Co ci uczynił Marcin Guerre?

— Mnie nic — odpowiedział głuchym głosem płatnerz — ale mojej siostrze Babetce!

— Ach, zapomniałem. Biedny Marcin! Ależ to nie on winien! Czy nie można go jakoś ocalić?

— Ocalić po upadku z przeszło dwustu pięćdziesięciu stóp na skałę! — zaśmiał się przeraźliwie Piotr Peuquoy. — Ależ panie wicehrabio, lepiej byś pomyślał, jak ocalić samego siebie i towarzyszy, i to natychmiast!

— Towarzysze, ojciec i Diana! — Słowa Piotra przywołały go do obowiązków i ryzykownej sytuacji. — Trudno! Mój biedny Marcin!

— Nie czas na opłakiwanie winnego — przerwał Piotr.

— Nie był winien, mówię ci! Dowiodę tego. Ale nie w tej chwili, masz rację. Czy jesteś gotów nam służyć? — spytał Gabriel dość szorstko.

— Jestem oddany Francji i tobie — odpowiedział Piotr.

— Co mamy dalej czynić?

— Za chwilę przejdzie ront nocny, składający się z czterech mężczyzn. Trzeba ich skrępować i zakneblować. Nie ma już czasu, żeby ich zaskoczyć. Już tu są!

Piotr jeszcze mówił te słowa, kiedy patrol miejski ukazał się na wewnętrznych schodach przy platformie. Gdyby wszczął hałas, wszystko pewnie byłoby stracone.

Na szczęście obaj Scharfensteinowie, stryj i bratanek, ciekawscy i wścibscy z natury, myszkowali po tamtej stronie. Wartownicy nie zdążyli nawet krzyknąć. Od tyłu szeroka dłoń zatkała każdemu z nich usta i przewróciła na plecy silnym pchnięciem.

Nadbiegli Pilletrousse i dwaj inni. Wtedy już bez trudu mogli zakneblować i rozbroić czterech zdumionych milicjantów.

— Dobry początek! — pochwalił Piotr Peuquoy. — A teraz należy zabezpieczyć się przed innymi wartami i śmiało zejść do kordegardy. Musimy znieść po drodze dwa posterunki. Nie obawiajcie — się przewagi liczebnej. Przeszło połowa miejskiej milicji, w której jesteśmy obaj z Janem, jest oddana Francuzom i czeka na to, by udzielić pomocy. Zejdę pierwszy, aby zawiadomić sojuszników o waszym powodzeniu. W tym czasie zajmijcie się wartownikami. Gdy wejdę tu na górę, już trzy czwarte roboty będzie wykonane.

— Jakże dziękowałbym ci, Peuquoy, gdyby nie śmierć Marcina… Jednak ów występek traktujesz jako wymiar sprawiedliwości.

— Jeszcze raz mówię, zostaw to Bogu i mojemu sumieniu, panie d'Exmès — odpowiedział

poważnie twardy mieszczanin. — Odchodzę. Działajcie na swoją rękę, a ja uczynię swoje.

Wszystko się odbyło prawie tak samo, jak przewidział wcześniej Piotr Peuquoy. Po większej części strażnicy stali po stronie Francji. Jeden, który stawiał opór, został natychmiast związany i unieszkodliwiony. Kiedy płatnerz wszedł na wieżę w towarzystwie Jana i kilku zaufanych przyjaciół, cała górna część fortu Risbank była już we władzy wicehrabiego d'Exmès.

Teraz chodziło o opanowanie kordegardy. Wraz z posiłkami, jakie przyprowadzili Piotr i Jan, Gabriel nie zawahał się przed zejściem do niej bez zwłoki.

Zręcznie wykorzystali pierwszy moment zaskoczenia i niepewności,

O tak wczesnej rannej godzinie większość zwolenników Anglii, związanych z nią bądź urodzeniem, bądź też interesami, spała w poczuciu bezpieczeństwa na polowych łóżkach. Jeszcze się nie rozbudzili, a już byli związani.

Zamieszanie trwało zaledwie minutę. Przyjaciele Piotra krzyczeli: Niech żyje Francja! Niech żyje Henryk II! Neutralni i obojętni podporządkowali się natychmiast, jak to bywa i stanęli po stronie zwycięzców. Tacy, którzy usiłowali stawiać opór, musieli się poddać liczebnej przewadze. W sumie było jedynie dwóch zabitych i pięciu rannych. Tylko trzy razy wystrzelono z rusznicy. Pobożny Lactance miał na swym sumieniu dwóch rannych i jednego trupa. Na szczęście, miał nadwyżkę w pacierzach!

Jeszcze nie wybiła szósta, kiedy cały fort Risbank należał do Francuzów. Opierający się i podejrzani zostali zamknięci w bezpiecznym miejscu, a cała reszta straży miejskiej otaczała i witała Gabriela jako wybawcę.

Tak więc został zdobyty prawie bez strzału w ciągu niecałej godziny nadludzkim, niecodziennym wysiłkiem ów fort, którego Anglicy nawet nie myśleli zbrojnie zabezpieczyć. Wydawało im się, że morze wystarczająco go broni! A ów fort stanowił klucz do Calais, klucz do portu i miasta!

Sprawę poprowadzono tak sprawnie i szybko, że nikt w mieście nie wiedział, co się dzieje, że fort Risbank został zdobyty i ze wicehrabia d'Exmès rozmieścił nowe straże z nowym hasłem.

— Nie uważam naszego zadania za skończone, zanim miasto się nie podda — rzekł Piotr Peuquoy do Gabriela. — Jestem takiego zdania, panie wicehrabio, że wystarczy, byś zatrzymał połowę naszych ludzi i strzegł wraz z Janem fortu Risbank, a mnie pozwól powrócić do miasta z drugą połową. Tam przydamy się Francuzom lepiej niż tutaj przez jakąś zręczną dywersję. Po sznurach Jana dobrze jest zużytkować broń Piotra.

— Czy nie obawiasz się, że lord Wentworth ze wściekłości wyrządzi ci coś złego? — spytał Gabriel.

— Bądź spokojny. Będę działał podstępem. To dobra metoda walki z naszymi ciemięzcami od przeszło dwóch wieków. Jeśli zajdzie potrzeba, oskarżę Jana, że nas zdradził. Zostaliśmy zaskoczeni przez przewagę liczebną i pomimo oporu musieliśmy się zdać na ich łaskę. Usunie się z fortu takich, którzy nie chcieli uznać twego zwycięstwa. Lord Wentworth za bardzo zaprzepaścił sprawę, okaże wiarę w nasze słowa i będzie nam dziękował.

— Zgoda! Wracaj przeto do Calais. Widzę, że jesteś jednako odważny jak i sprytny. Oczywiście, że mógłbyś mi dopomóc, gdybym na przykład zaryzykował jakiś wypad.

— Na to się nie porywaj, zobowiązuję cię! Nie jesteście dostatecznie silni, możesz mało zyskać, a wszystko stracić przez taką wycieczkę. Jesteś w niezdobytej wieży poza dobrymi murami. Zostań tu. Gdybyś rozpoczął ofensywę, lord Wentworth łatwo mógłby odzyskać fort Risbank. Tyle już uczyniłeś, byłoby szkoda wszystko stracić.

— Więc jak? Mam trwać bezczynnie ze szpadą u boku, gdy tymczasem pan de Guise i wszyscy nasi biją się i nadstawiają głowy?

— Ich życie do nich należy, a fort Risbank należy do Francji — odpowiedział roztropny

mieszczanin, — Słuchaj, co powiem: kiedy uznam, że nadeszła stosowna chwila, kiedy będzie brakowało jedynie decydującego ciosu, żeby wyrwać Calais z rąk Anglików, wzniecę powstanie, podburzę swoich ludzi i „innych mieszkańców podzielających moje poglądy. Wtedy, kiedy wszystko dojrzeje do zwycięstwa, będziesz mógł wyjść, by nas wesprzeć i otworzyć bramy miasta diukowi de Guise.

— Ale kto mnie uprzedzi, że mogę podjąć ryzyko? — spytał wicehrabia.

— Zwróć mi róg, który ci wcześniej dałem — rzekł Piotr Peuquoy — po jego dźwięku cię rozpoznałem. Kiedy w forcie Risbank znowu usłyszysz jego dźwięk, wyjdź bez obawy. Będziesz mógł po raz drugi brać udział w triumfie, jaki tak dobrze przygotowałeś.

Gabriel serdecznie podziękował Piotrowi, wybrał razem z nim ludzi, którzy mieli powrócić do miasta, by pomóc Francuzom w potrzebie, odprowadził ich uprzejmie do bram fortu Risbank, a także innych, którzy zostali haniebnie wygnani.

W owym czasie, a było już wpół do ósmej, świt zabielił niebo.

Gabriel zechciał sam czuwać nad tym, by francuskie flagi zatknięto na forcie Risbank. Miały one uspokoić pana de Guise, a odstraszyć angielskie okręty. Wszedł więc na platformę, która była świadkiem wydarzeń w ową straszną i chwalebną noc.

Zbliżył się pobladły do miejsca, gdzie była przytwierdzona sznurowa drabina, skąd biedny Marcin Guerre, ofiara fatalnej pomyłki, został strącony. Pochylił się z drżeniem myśląc, że dojrzy na skale zmiażdżone ciało wiernego giermka.

Na początku nic nie znalazł, więc szukał dalej spojrzeniem, a zaskoczenie było pomieszane z rodzącą się nadzieją.

Ołowiana rynna, którą ścieka deszczowa woda z wieży, zatrzymała ciało na pół drogi w strasznym spadaniu. Gabriel zauważył je zawieszone, zgięte we dwoje, nieruchome.

W pierwszej chwili przypuszczał, że nie ma w nim życia. Ale chciał przynajmniej mu oddać ostatnią przysługę.

Pilletrousse był tam również płacząc, bo Marcin zawsze go lubił. Swoje przywiązanie okazał realizując pobożne myśli wicehrabiego. Kazał się mocno przywiązać do sznurów i spuścił się w dół. Kiedy powrócił na wieżę nie bez trudu, z ciałem przyjaciela, zauważono, że Marcin jeszcze oddycha.

Przywołany chirurg stwierdził, że biedak żyje. W samej rzeczy, dzielny giermek odzyskiwał przytomność.

Niestety po to, aby tym więcej cierpieć. Marcin Guerre był w strasznym stanie. Miał zwichniętą jedną rękę i złamane udo. Chirurg nastawił rękę, ale uznał za konieczną amputację nogi. Jednak nie ośmielił się wykonać tak trudnej operacji.

Tym bardziej Gabriel żałował, że był zamknięty w wieży. Przykre dotychczas dla zwycięzcy oczekiwanie przemieniło się w okrutną mękę. Gdyby można było skomunikować się z doświadczonym chirurgiem Ambrożym Parę, Marcina może dałoby się ocalić.

III. LORD WENTWORTH CZUJE SIĘ ZASZCZUTY

Chociaż diuk de Guise, powodując się rozsądkiem, nie mógł wierzyć w sukces zuchwałego przedsięwzięcia, chciał jednak sam przekonać się, czy wicehrabiemu d'Exmès się powiodło czy nie. W trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł, można się spodziewać nawet nieprawdopodobieństwa.

Przed ósmą godziną przybył na koniu z nieliczną świtą na skaliste wybrzeże morskie, które wskazał mu Gabriel jako miejsce, skąd można było za pomocą lunety dostrzec fort Risbank. Po pierwszym spojrzeniu w kierunku fortu diuk wydał okrzyk triumfu.

Nie pomylił się. Dobrze rozróżniał sztandar z barwami Francji. Otaczający go rycerze potwierdzili, że to nie jest złudzenie, i podzielali jego radość.

— Mój dzielny Gabriel! — zawołał. — Naprawdę dokonał owego cudu! Czyż mnie on nie przewyższa, a ja wątpiłem! Dzięki niemu mamy dość czasu, by przygotować i zapewnić sobie zdobycie Calais. Choćby nadeszła pomoc z Anglii, Gabriel podejmie się spotkać naszych wrogów.

— Wasza Wysokość, wydaje mi się, że ich przywołałeś — rzekł jeden ze świty. — Popatrz, panie, czyż nie widać na horyzoncie angielskich żagli?

Diuk skierował lunetę na morze.

— Pośpieszyli się. Patrzmy, co dalej. To są naprawdę Anglicy. Do diaska! Nie tracili czasu, nie spodziewałem się ich tak wcześnie. Czy wiecie, że gdybyśmy o tej porze zaatakowali Vieux–Château, nagłe przybycie posiłków dla oblężonych przybrałoby dla nas zły obrót? Podwójny powód do wdzięczności względem wicehrabiego d'Exmès. Nie tylko daje nam zaszczyt zwycięstwa, ale i ocala od hańby klęski. Teraz już się nam nie śpieszy, obserwujmy, jak będą się zachowywali przybysze i jak młody dowódca fortu Risbank do nich się odniesie.

Patrzyli przez lornetki na morze.

Było już całkiem jasno, kiedy statki angielskie przybyły do miejsca, skąd widoczny był fort.

Oczom ich ukazała się flaga francuska jak groźne widmo w pierwszym brzasku dnia. Żeby ich utwierdzić w przekonaniu o niezwykłym zjawisku, Gabriel kazał ich powitać czterema strzałami z armaty.

Nie ulegało wątpliwości! To francuski sztandar powiewał na wietrze z angielskiej wieży. Widocznie miasto już wcześniej znalazło się we władaniu oblegających, a po nim i fort Risbank. Mimo wielkiego pośpiechu posiłki przybyły za późno.

Po kilku minutach zaskoczenia i niedowierzania statki angielskie zaczęły się oddalać powoli z powrotem do Dover. Przywieźli siły wystarczające do pomagania miastu Calais, ale niedostateczne, by je zdobyć na nowo.

— Chwała Bogu! — zawołał diuk de Guise w porywie radości. — Widzicie, jaki jest Gabriel! Umie tak samo dobrze strzec zdobyczy, jak umiał zdobywać! Oddał Calais w nasze ręce i musimy tylko ich mocno przycisnąć, żeby zająć piękne miasto.

Wsiadł na koń i powrócił rozweselony do obozu, aby przyśpieszyć prace oblężnicze.

Wydarzenia mają prawie zawsze dwa oblicza, jedni się śmieją w ich wyniku, a drudzy płaczą. W tejże chwili, kiedy diuk de Guise zacierał ręce z radości, lord Wentworth wyrywał sobie włosy z rozpaczy.

W nocy, jak widzieliśmy, miotały lordem Wentworthem złowróżbne przeczucia. Nad ranem wreszcie usnął. Kiedy tylko wyszedł z komnaty, rzekomi pokonani z fortu Risbank, Piotr Peuquoy był na ich czele, przynieśli do miasta fatalną wieść.

Jakby to rzec? Zarządca został o tym poinformowany ostatni. Ogarnięty żałością i gniewem, nie wierzył własnym uszom. Rozkazał, aby przyprowadzono do niego naczelnika uciekinierów.

Wprowadzono Piotra Peuquoy, który wszedł spuściwszy nos na kwintę, z miną dostosowaną do okoliczności.

Chytry mieszczanin, jeszcze drżący z przerażenia, opowiedział o nocnym szturmie. Odmalował trzystu dzikich zuchwalców, którzy wdrapali się nagle na fort Risbank. Pewnie ktoś dopuścił się zdrady, ale tego on, Piotr Peuquoy, nie da rady zgłębić.

— Ale kto dowodził owymi trzema setkami ludzi? — spytał lord Wentworth.

— Mój Boże! Twój dawny jeniec, panie, wicehrabia d'Exmès — odpowiedział naiwnie płatnerz.

— Spełnił się mój sen! — zawołał lord Wentworth. Potem zmarszczył czoło, tknięty nieuchronnym skojarzeniem: — Ej, Piotrze Peuquoy, wydaje mi się, że pan d'Exmès był twoim gościem podczas swego tutaj pobytu.

— Tak, dostojny panie — odpowiedział Piotr bez zmieszania. — Nie będę przed tobą ukrywał, że mam podejrzenie. To pewnie mój kuzyn Jan maczał palce w tej machinacji.

Lord Wentworth spojrzał na niego z ukosa. Jednak nieustraszony mieszczanin patrzył śmiało w jego twarz.

Jego zuchwałość budziła domysły, jednak zarządca czuł się zbyt słaby. Musiał się liczyć z Piotrem Peuquoy, który był znaczną figurą w mieście. Wolał nie okazywać podejrzeń, Gdy pozostał sam, popadł w głębokie przygnębienie.

Nie bez powodu! Miasto zostało zdane na słaby garnizon, odcięte od wszelakiej pomocy z lądu i z morza. Wtłoczone między fort Nieullay i fort Risbank, które je nękały ogniem zamiast bronić, miasto mogło się utrzymać przez niewiele dni, a może przez niewiele godzin.

Okropna sytuacja dla wyniosłej dumy lorda Wentwortha.

— Nie szkodzi! — mówił do siebie po cichu, blady ze zdziwienia i wściekłości. — Nie szkodzi! Sprzedam im drogo owe zwycięstwo! Calais należy teraz do nich, to aż nazbyt pewne. Ale będę się trzymał do końca i każę im zapłacić za cenną zdobycz największą liczbą trupów, Jak tylko będę mógł. A jeśli idzie o ukochanego pięknej Diany de Castro…

Przerwał, bo piekielna myśl zajaśniała radością na jego posępnej twarzy. Po chwili dokończył, delektując się swymi słowami

— Jeśli idzie o ukochanego pięknej Diany, postaram się przynajmniej, żeby nie miał powodu do nadmiernej wesołości z powodu mojej śmierci, gdy spocznę pod ruinami Calais, tak jak powinienem, jak chcę! Konający i pokonany rywal zgotuje mu zaskakującą niespodziankę, niech się strzeże!

Następnie wybiegł z pałacu, żeby podtrzymać odwagę i wydać rozkazy. Umocniony na duchu i uspokojony swym ponurym planem, okazywał tyle zimnej krwi, że nawet jego rozpacz zdołała w chwiejne umysły wlać nadzieję.

Nie leży w zamiarach autora tej książki opowiadać długo o szczegółach oblężenia Calais. Franciszek de Rabutin w swoich *Wojnach w Belgii* podaje je z całą rozwlekłością.

Dni piątego i szóstego stycznia zeszły na równie energicznych wysiłkach ze strony oblegających, jak i oblężonych. Robotnicy i żołnierze działali po obu Stronach z takim samym męstwem i bohaterskim uporem.

Wspaniałą obronę ze strony lorda Wentwortha paraliżowała siła wyższa: marszałek Strozzi, kierujący pracami nad oblężeniem, jakby przewidywał wszelkie środki obrony i posunięcia Anglików, mury i szańce Calais zdawały się przezroczyste. Widocznie wróg posiadał plan miasta!

Wiemy, kto dostarczył ów plan diukowi de Guise.

Tak więc wicehrabia d'Exmès, choć nieobecny, choć bezczynny, był jeszcze pożyteczny dla swoich i jak zauważył pan de Guise w swym pełnym wdzięczności poczuciu sprawiedliwości, zbawczy wpływ Gabriela działał nawet na odległość.

Młodemu zapaleńcowi jednak wielce ciążył stan przymusowej bezczynności. Uwięziony na zdobytej placówce, musiał wyładowywać swą aktywność na jej strzeżeniu, co uważał za zbyt łatwe do wykonania,

Co godzinę odbywał ront z taką samą baczną czujnością, jakiej się nauczył przy obronie Saint–Quentin, a potem wracał do wezgłowia Marcina Guerre, by go pocieszać i podtrzymywać na duchu.

Dzielny giermek znosił cierpienia z godną podziwu cierpliwością i pogodą. Ale dziwił go i boleśnie ranił złośliwy sposób, w jaki go potraktował Piotr Peuquoy.

Szczerość jego smutku i zaskoczenie, wypytywanie o ową ciemną sprawę rozwiały ostatnie podejrzenia Gabriela. Marcin czynił to w dobrej wierze.

Młodzieniec zdecydował się w końcu opowiedzieć Marcinowi historię o nim samym, taką jaką przewidywał na podstawie pozorów i podejrzeń. Było teraz dla niego jasne, że łotr jakiś wykorzystał swe nadzwyczajne podobieństwo do Marcina, by pod jego nazwiskiem dopuszczać się haniebnych, karygodnych uczynków, za które nie obawiał się ponosić odpowiedzialności. Chciał natomiast korzystać z wszelkich dobrodziejstw, jakich pozbawił swego sobowtóra.

Gabriel celowo uczynił owo odkrycie w obecności Jana Peuquoy. Jan smucił się i był przestraszony skutkami fatalnej pomyłki, był bowiem uczciwym człowiekiem. Był jednak niespokojny, co się dzieje z nędznikiem, który wszystkich oszukał i nadużył zaufania. Kim on jest? Czy on także jest żonaty? Gdzie się ukrywa?

Marcin Guerre ze swej strony był przerażony na samą myśl o tak wielkiej przewrotności. Cieszył się, że odciążono jego sumienie z mnóstwa występków, które sobie od dłuższego czasu wyrzucał, ubolewał jednak wielce nad tym, że jego dobre imię i reputacja zostały skompromitowane z winy jakiegoś łotra.

Kto wie, do jakich ekscesów może się jeszcze posunąć ów łajdak, ukrywający się pod jego nazwiskiem w tym samym czasie, kiedy on, Marcin, leży zamiast niego na łożu boleści.

Epizod z Babetką Peuquoy napełnił szczególnym smutkiem i litością serce dobrego Marcina. Teraz wybaczał Piotrowi jego brutalność. Nie tylko znajdował dla niego usprawiedliwienie, ale go nawet pochwalał. Dobrze uczynił mszcząc się w taki sposób za niecnie zbrukany honor! To Marcin teraz pocieszał i uspokajał przerażonego Jana Peuquoy.

Zacny, giermek gratulując bratu Babetki zapomniał o jednym, że w istocie sam zapłacił za prawdziwego winowajcę.

Kiedy Gabriel z uśmiechem zwrócił mu na to uwagę, Marcin rzekł:

— Nic nie szkodzi! Teraz nawet błogosławię ów wypadek. Jeśli przeżyję, moja biedna kulawa noga albo jej brak przyczyni się do odróżnienia mnie od oszusta i zdrajcy.

Niestety, owa mierna pociecha, na jaką liczył Marcin, była jeszcze mocno problematyczna. Czy przeżyje? Chirurg ze straży miejskiej nie brał za to odpowiedzialności. Potrzebna była szybka pomoc zdolnego chirurga. Dwa dni już miały upłynąć niebawem. Nie było innej rady na alarmujący stan zdrowia Marcina jak tylko jakieś zgoła nie wystarczające opatrunki.

Stanowiło to dla Gabriela nie najmniejszy przedmiot niepokoju i niecierpliwości. Bardzo często, tak we dnie jak i w nocy, stał nasłuchując, czy oczekiwany dźwięk rogu nie wyzwoli go wreszcie z przymusowej bezczynności. Ale żaden odgłos takiego rodzaju nie wprowadzał odmiany w daleki i monotonny huk obu artylerii, angielskiej i francuskiej.

Wieczorem szóstego stycznia Gabriel, który władał fortem Risbank od trzydziestu sześciu godzin, usłyszał wreszcie od strony miasta większy tumult niż zwykle i niecodzienne okrzyki

triumfu i wołania o pomoc.

Po jednej z najzaciętszych walk Francuzi weszli właśnie jako zwycięzcy do Vieux–Château. Calais nie mogło odtąd opierać się dłużej niz dwadzieścia cztery godziny.

Niemniej jednak cały dzień siódmego stycznia minął na niesłychanych wysiłkach ze strony Anglików, aby odzyskać tak ważną pozycję i utrzymać się na ostatnich placówkach.

Pan de Guise, daleki od tego, aby pozwolić wrogowi odzyskać bodaj piędź ziemi, zdobywał powoli następny teren. Wkrótce stało się jasne, że nazajutrz Calais nie będzie już pod panowaniem Anglików.

Była trzecia po południu. Lord Wentworth, który nie oszczędzał się od tygodnia, widziano go zawsze w pierwszych szeregach zadającego śmierć z lekceważeniem własnego życia, uznał, że jego ludziom nie starczy sił fizycznych i energii duchowej na dłużej niż na dwie godziny.

Wtedy wezwał do siebie lorda Derby.

— Jak myślisz, ile czasu jeszcze zdołamy wytrzymać?

— Nie więcej niż trzy godziny, jak się obawiam — odpowiedział ze smutkiem lord Derby.

— Ale ręczysz za dwie godziny, prawda?

— Mógłbym ręczyć, jeśli nie zajdzie jakieś nieprzewidziane wydarzenie — odpowiedział lord Derby oceniając w myśli drogę, jaką Francuzi mieli jeszcze do przebycia.

— A zatem, przyjacielu, powierzam ci dowództwo i odchodzą. Jeśli nasi w ciągu dwóch godzin, ale nie wcześniej, nie uzyskają korzystnej szansy, co jest mało prawdopodobne, pozwalam ci, a nawet żądam nakazać odwrót i prosić o kapitulację. Domagam się tego, żeby było jasne, że nie ponosisz odpowiedzialności.

— Za dwie godziny, milordzie, to wystarczy.

Lord Wentworth poinformował swego zastępcę o warunkach kapitulacji, czego mógł się domagać i na co diuk de Guise bez wątpienia wyrazi zgodę.

— Ale zapominasz o sobie odnośnie warunków, milordzie. Powinienem prosić pana de Guise, żeby cię wziął za okup, nieprawdaż?

Ponury blask rozświetlił zgaszony wzrok lorda Wentwortha.

— Nie, nie — odpowiedział ze szczególnym uśmiechem — nie zajmuj się mną, przyjacielu. Sam sobie zapewniłem wszystko, co mi potrzeba.

— A jednak… — chciał oponować lord Derby.

— Dość! — autorytatywnie rzekł dowódca. — Czyń to, co ci rzekłem, nic więcej. Żegnaj. Zaświadczysz w Anglii, że uczyniłem wszystko, co jest w ludzkiej mocy, dla obrony miasta i że ustąpiłem dopiero pod przekleństwem losu. Ty także walcz do ostatniej chwili, ale oszczędzaj honor i krew angielską, Derby. To moje ostatnie słowa. Żegnaj.

Nie chcąc nic więcej rzec ani słyszeć, lord Wentworth uścisnął dłoń lorda Derby i odszedł z pola bitwy. Sam powrócił do opustoszałego pałacu. Wydał najsurowsze rozkazy, żeby nikt nie śmiał iść za nim pod żadnym pretekstem.

Był pewny, że ma przed sobą co najmniej dwie godziny.

IV. WZGARDZONA MIŁOŚĆ

Lord Wentworth czuł się bardzo pewny w dwóch sprawach. Po pierwsze, pozostały mu dwie dobre godziny do poddania się Calais. Lord Derby nie zgłosi kapitulacji przed godziną piątą. Po drugie, spodziewał się zastać — swą rezydencję całkiem pustą. Był na tyle przezorny, że odesłał również swoich domowników do obrony wyłomu od samego rana. Andrzej, paź francuski pani de Castro, na jego rozkaz został wcześniej zamknięty. Diana musiała być sama z jedną lub dwiema służebnymi niewiastami.

Wszystko po drodze wydawało się puste i jak wymarłe, kiedy lord Wentworth wracał do domu, a Calais było podobne do ciała, z którego ucieka życie. Całą ostatnią energię skoncentrowano w miejscu, gdzie walczono.

Lord Wentworth, ponury, srogi i jakby pijany z rozpaczy, poszedł prosto do pomieszczeń zajmowanych przez panią de Castro.

Nie kazał się zaanonsować Dianie, jak to zwykł był czynić, ale wszedł brutalnie jako pan i władca do pokoju, w którym przebywała wraz z jedną pokojową.

Nie powitał zdumionej Diany, ale rozkazująco zwrócił się do służebnej:

— Wyjdź natychmiast! Możliwe, że Francuzi wkroczą dzisiaj wieczorem do miasta, a ja nie mam ochoty ani sposobu ciebie ochronić. Wracaj do ojca. Tam twoje miejsce. Idź zaraz i powiedz paru niewiastom, które tu przebywają, żeby natychmiast uczyniły to samo.

— Ależ, milordzie! — zaprotestowała pokojowa.

— Czy nie słyszałaś, co rzekłem: rozkazuję! — Zarządca tupał nogą ze złością.

— Jednak, milordzie. — Diana chciała coś powiedzieć.

— Rzekłem: rozkazuję! — Lord Wentworth uczynił stanowczy gest.

Przerażona służebna odeszła.

— Doprawdy, że cię nie poznaję, milordzie — odezwała się Diana po chwili milczenia pełnej niepokoju.

— Dlatego, że nie widziałaś mnie jeszcze pokonanego, Madame — wyjaśnił lord z gorzkim uśmiechem. — Byłaś dla mnie wspaniałą wieszczką ruiny i przekleństwa! Doprawdy, byłem szalony, że ci nie wierzyłem. Zostałem zwyciężony, całkiem pokonany, beznadziejnie, bez ratunku. Ciesz się!

— Czyżby sukces Francuzów był naprawdę pewny aż do takiego stopnia? — spytała Diana z trudem ukrywając radość.

— Jakżeby nie? Fort Nieullay, fort Risbank, Vieux–Château są w ich mocy. Mogą wziąć miasto w trzy ognie. Calais należy do nich. Raduj się!

— Z takim człowiekiem jak ty, milordzie, nigdy nie można być pewnym zwycięstwa. Wbrew samej sobie jeszcze wątpię, przyznaję się, i powinieneś mnie zrozumieć.

— Och, Madame, czy nie widzisz że zdezerterowałem? Byłem obecny do końca walki, ale czyż nie widzisz, że nie chcę być świadkiem klęski i — dlatego jestem tutaj? Lord Derby za półtorej godziny podda się. Za półtorej godziny triumfujący Francuzi wejdą do Calais, a wicehrabia d'Exmès razem z nimi. Raduj się!

— Mówisz to, milordzie, takim tonem, że nie wiadomo, czy można ci wierzyć — rzekła Diana, która jednak zaczęła nabierać nadziei. Promieniała spojrzeniem i uśmiechem na myśl o wyzwoleniu.

— Żeby cię przekonać, Madame, zależy mi na tym, żeby cię przekonać, użyję innego sposobu i rzeknę ci: drzyj, za półtorej godziny Francuzi wkroczą tutaj z triumfem, a wicehrabia d'Exmès

wraz z nimi. Drzyj, Madame!

— Co chcesz wyrazić? — spytała Diana blednąc.

— Co? Czy to jeszcze nie dość jasne? — Lord Wentworth zbliżył się do niej ze śmiechem, w którym brzmiała groźba. — Powtarzam ci, za półtorej godziny nasze role ulegną zmianie. Ty będziesz wolna, ą ja będę więźniem. Wicehrabia d'Exmès przyjdzie otworzyć przed tobą wrota do wolności, miłości i szczęścia, a mnie wrzuci na dno jakiejś głębokiej fosy. Drżyj!

— Dlaczego mam drzeć? — spytała cofając się aż do ściany pod ponurym a namiętnym spojrzeniem mężczyzny.

— Mój Boże! Łatwo pojąć. W tej chwili ja tu jestem panem, za półtorej godziny będę niewolnikiem albo raczej za godzinę i kwadrans, bo minuty płyną. Za godzinę i kwadrans będę w twojej mocy, a teraz ty jesteś w moim posiadaniu. Za godzinę i kwadrans będzie tutaj wicehrabia d'Exmès, w obecnej chwili ja tu jestem. Ciesz się i drzyj zarazem, Madame!

— Milordzie, milordzie, czego chcesz ode mnie?… — krzyknęła biedna Diana, odpychając gwałtownie lorda Wentwortha.

— Czego chcę od Ciebie? Ciebie! — rzekł głucho.

— Nie zbliżaj się do mnie, bo będę krzyczała, wołała, pozbawię cię honoru, nikczemniku! — groziła Diana u szczytu przerażenia.

— Krzycz i wołaj, wszystko mi jedno — odpowiedział lord ze złowrogim spokojem. — Pałac jest pusty i ulice opustoszałe. Nikt nie nadejdzie na twoje wołanie wcześniej niż za godzinę. Widzisz, nie zadałem sobie nawet trudu, by zamknąć drzwi i okna, na tyle jestem pewny, że nikt nie przyjdzie przed upływem godziny.

— Ale za godzinę przyjdą, oskarżę cię, wydam, zabiją ciebie.

— Nie — chłodno odpowiedział lord — sam się zabiję. Czy sądzisz, że chcę przeżyć zdobycie Calais? Za godzinę zabiję się, tak postanowiłem. Nie mówmy o tym. Ale wcześniej odbiorę cię twemu kochankowi i zaspokoję naraz w najwyższej, straszliwej rozkoszy i moją zemstę, i moją miłość. Chodź, moja piękna, twoja odmowa i wzgarda są nie na czasie, już nie proszę, a rozkazuję! Nie błagam, ale wymagam!

— A ja umieram! — zawołała Diana, wyjmując z zanadrza nóż. Zanim jednak zdążyła siebie ugodzić, lord „Wentworth rzucił się ku niej, uchwycił jej wiotkie rączki w swe silne dłonie, wyrwał nóż i odrzucił daleko.

— Jeszcze nie teraz! — krzyknął ze strasznym uśmiechem. — Nie chcę, żebyś się teraz zabiła. Potem zrobisz, co zechcesz, jeśli wolisz umrzeć wraz ze mną, zamiast żyć razem z nim, masz naprawdę wolny wybór. Ale w tej ostatniej godzinie twoje życie do mnie należy. Jedynie godzina mi pozostaje, żebym sobie powetował wieczność w piekle. Wierz mi, że tego się nie wyrzeknę.

Chciał ją pochwycić. Słabnąc, czując, że siły ją opuszczają, padła mu do stóp.

— Miłosierdzia, łaski, milordzie! Błagam cię o łaskę i litość na kolanach. Przypomnij sobie, że jesteś rycerzem!

— Rycerzem! Tak, byłem rycerzem, zachowywałem się jak dżentelmen chyba, dopóki triumfowałem, dopóki ufałem, dopóki żyłem. Ale teraz nie jestem już rycerzem, jestem zwykłym mężczyzną, który ma umrzeć i chce się zemścić.

Podniósł panią de Castro leżącą u jego kolan i szaleńczo uścisnął. Piękne, pozbawione siły ciało Diany raniło się, zdzierając skórę o zapinkę pasa. Chciała modlić się, krzyczeć, ale nie mogła już.

W tej chwili na ulicy zapanował wielki zgiełk.

— Ach — westchnęła jedynie Dianami w oku jej zabłysła nadzieja.

— Wspaniale! — rzekł Wentworth śmiejąc się szatańsko. — Wydaje się, że mieszkańcy zaczynają rabować jedni drugich w oczekiwaniu na wrogów. Słusznie, uważam, że czynią bardzo

dobrze, dalibóg! Ich zarządca powinien im dać przykład.

Podniósł Dianę, jak uczyniłby z dzieckiem, i zaniósł drżącą i wyczerpaną od mocowania się z nim na łoże.

— Litości — błagała jeszcze.

— Nie, jesteś za ładna! Zemdlała.

Lord nie zdążył przycisnąć ust do jej pobladłych warg, kiedy przy zbliżającym się hałasie nagle drzwi otwarły się z trzaskiem. Na progu stanął wicehrabia d'Exmès. Za nim pojawili się dwaj Peuquoy i kilku francuskich łuczników.

Gabriel ze szpadą w ręce skoczył na lorda Wentwortha ze strasznym okrzykiem:

— Nikczemniku!

Lord zacisnął zęby i chwycił swą szpadę pozostawioną na fotelu.

— Cofnijcie się! — rzekł Gabriel — do swych towarzyszy, którzy chcieli się wmieszać. — Ja sam ukarzę łotra.

Bez słowa dwaj rywale z wściekłością skrzyżowali szpady.

Piotr i Jan Peuquoy oraz inni towarzysze stanęli szeregiem, żeby im uczynić miejsce. Byli niemymi, ale nie obojętnymi świadkami owej walki na śmierć i życie.

Diana wciąż leżała nieprzytomna.

Można się domyślić, w jaki sposób opatrznościowa pomoc dla bezbronnej branki nadeszła wcześniej, niż się spodziewał lord Wentworth.

W ciągu poprzednich dwóch dni Piotr Peuquoy zgodnie z obietnicą daną Gabrielowi podburzył i uzbroił obywateli, którzy potajemnie byli zwolennikami Francuzów. Kiedy już nie było wątpliwości co do zwycięstwa liczba stronników Francji była pokaźna. Byli to przeważnie przezorni i roztropni mieszczanie, którzy zgodnie myśleli, że jeśli nie ma sposobu dłużej się opierać, najlepiej będzie zapewnić sobie jak najkorzystniejsze warunki kapitulacji.

Płatnerz chciał uderzyć, mając całkowitą pewność co do skuteczności decydującego ciosu. Czekał, aż jego grupa stanie się dostatecznie silna, a oblężenie na tyle zaawansowane, żeby nie narażać na niepotrzebne ryzyko tych, którzy mu zaufali. Odkąd został zdobyty Vieux–Château, postanowił działać. Ale zgromadził z pewną zwłoką swoich rozproszonych konspiratorów. W chwili kiedy lord Wentworth opuścił wyłom, zorganizowała się i zamanifestowała wewnętrzna ruchawka.

Powstanie było powoli przygotowywane, ale okazało się tym bardziej nieprzezwyciężone.

Na dźwięk rogu Piotra Peuquoy rozbrzmiewającego jak cudowna muzyka, wyskoczyli z fortu Risbank wicehrabia d'Exmès, Jan i połowa ich towarzyszy. Słaby oddział strzegący miasta od tej strony został szybko rozbrojony, a brama otwarta przed Francuzami.

Potem całe stronnictwo braci Peuquoy, wspomagane owymi posiłkami, zachęcone pierwszym i łatwym sukcesem, rzuciło się ku wyłomowi, gdzie lord Derby starał się paść z jak największym honorem.

Zastępca lorda Wentwortha dostał się między dwa ognie, powstańców i Francuzów. Co pozostało mu uczynić? Sztandar francuski wkroczył do Calais wraz z wicehrabią d'Exmès. Zbuntowana milicja miejska groziła, że sama otworzy bramy oblegającym. Lord Derby wolał poddać się natychmiast. W sumie jedynie nieznacznie przyśpieszył wykonanie rozkazu dowódcy. Półtorej godziny bezskutecznego oporu nie wpłynęłoby na uniknięcie klęski, ą mogłoby przyczynić się do większych represji.

Lord Derby wysłał parlamentariuszy do diuka de Guise. Na tę chwilę czekali Gabriel i obaj Peuquoy. Zauważyli nieobecność lorda Wentwortha i to Ich zaniepokoiło. Odeszli od wyłomu, gdzie rozbrzmiewały ostatnie strzały, i pod wpływem tajemnego przeczucia skierowali się z kilkoma żołnierzami do rezydencji zarządcy miasta.

Wszystkie drzwi zastali otwarte i bez trudności doszli aż do komnaty pani de Castro, gdzie ich prowadził za sobą Gabriel.

Czas był najwyższy! Wyciągnięty miecz kochanka Diany błysnął w odpowiedniej chwili, by ocalić córkę Henryka II przed najpodlejszym z występków, przed zhańbieniem.

Pojedynek Gabriela z przeciwnikiem był dość długi. Dwaj rywale zdawali się mieć jednakie doświadczenie w szermierce. Jeden drugiemu okazywał równie zimną krew w takiej samej furii. Klingi wiły się jak węże i krzyżowały jak błyskawice.

Jednak po dwóch minutach szpada lorda Wentwortha wypadła mu z rąk, wytrącona silną kontrą wicehrabiego d'Exmès.

Lord chciał zgiąć się, by uniknąć ciosu, pośliznął się i upadł.

Gniew, pogarda, nienawiść i inne gwałtowne uczucia kotłujące się w sercu Gabriela nie pozostawiły już miejsca na wspaniałomyślność. Nie było powodu, żeby oszczędzać takiego wroga. Natychmiast był nad nim, ze szpadą wzniesioną nad piersią lorda.

Nikt z obecnych, poruszonych niedawnym Bèzeceństwem, nie miał zamiaru powstrzymać ręki mściciela.

Ale Diana de Castro podczas pojedynku ocknęła się z omdlenia. Otwarła ciężkie powieki, ujrzała scenę i wszystko pojęła.

Przez skojarzenie z ostatnim krzykiem, jaki wydała przed zemdleniem, taki sam powtórzyła po odzyskaniu przytomności:

— Litości!

Wstawiała się za owym, którego na próżno błagała.

Gabriel na widok ukochanej, na dźwięk jej wszechmocnego głosu odczuwał już tylko czułość i miłość. Wspaniałomyślność zajęła miejsce w jego duszy po wściekłości.

— Chcesz zatem, żeby żył, Diano? — spytał ukochanej.

— Proszę cię o to, Gabrielu. Czyż nie trzeba mu pozostawić czasu na skruchę?

— Zgoda! Niech anioł ocali szatana, na tym polega jego rola.

Przez cały czas trzymał pod swym kolanem zwycięzcy lorda Wentwortha ryczącego z wściekłości.

— Zbliżcie się i związcie owego mężczyznę, dopóki go trzymam — rzekł spokojnie do braci Peuquoy i łuczników. — Następnie wrzućcie go do więzienia w jego własnym pałacu do czasu, aż diuk de Guise wyda decyzję co do jego śmierci.

— Nie, zabij mnie, zabij! — krzyczał lord Wentworth wyrywając się.

— Czyńcie, co rzekłem — mówił Gabriel nie wypuszczając go z uścisku. — Zaczynam wierzyć, że życie będzie dla niego gorszą karą niż śmierć.

Wypełniono polecenie wicehrabiego d'Exmès. Na próżno lord Wentworth — szamotał się, pienił i lżył, w jednej chwili go zakneblowano i związano. Kilku ludzi wzięło na ręce i wyniosło bez żadnych ceremonii byłego zarządcę Calais.

Gabriel zwrócił się do Jana Peuquoy w obecności jego kuzyna:

— Przyjacielu, opowiedziałem Marcinowi przy tobie historię wielce szczególną z jego życia i masz teraz dowody jego niewinności. Przez okrutną pomyłkę ugodzono w niewinnego zamiast w winowajcą. Bolejesz nad tym i życzysz sobie jak najprędzej ulżyć ciężkiemu cierpieniu, jakie znosi za innego. Oddaj mi zatem przysługę…

— Domyślam się — przerwał zacny Jan Peuquoy — pewnie mam pójść poszukać Ambrożego Parę, aby uzdrowił twego biednego giermka? Już biegnę. Żeby było łatwiej go pielęgnować, każę go natychmiast przenieść do nas, jeśli transport nie będzie dla niego niebezpieczny.

Piotr Peuquoy zdumiony patrzył i słuchał słów Gabriela i swego kuzyna, jakby był we śnie.

— Chodź, Piotrze — rzekł do niego Jan — pomożesz mi w tym wszystkim. Jesteś zdziwiony,

nie pojmujesz. Wyjaśnię ci w drodze i przekonam cię bez trudu. Na ile cię znam, sam zechcesz naprawić zło, które nieświadomie wyrządziłeś.

Następnie skłonił się Dianie i Gabrielowi. Wyszedł wyprowadzając Piotra, który go już wypytywał.

Kiedy pani de Castro pozostała sama z Gabrielem, padła na kolana w pierwszym odruchu pobożności i dziękczynienia. Wznosząc oczy ku niebu i sprawcy jej ocalenia rzekła:

— Bądź błogosławiony, Boże! Bądź dwakroć błogosławiony za to, żeś mnie ocalił, i za to, że on właśnie mnie ocalił!

V. MIŁOSNA ROZTERKA

Diana padła w ramiona Gabriela.

— Tobie także powinnam dziękować, i ciebie błogosławić. W ostatnim przebłysku świadomości wzywałam swego anioła zbawcę. Przyszedłeś. Dzięki, dzięki!

— Och, Diano, ileż wycierpiałem od czasu, gdy z tobą się widziałem! Jak długo nie oglądałem ciebie!

— I ja.

Wtedy zaczęli sobie opowiadać, z niezbyt dramatycznymi przerwami, trzeba to przyznać, co czynili i odczuwali każde podczas tak długiego rozstania.

Calais, diuk de Guise, zwyciężeni i zwycięzcy, wszystko poszło w niepamięć. Żadne hałasy ani pasje otaczające ich nie docierały do dwojga zakochanych. Zagubieni we własnym świecie miłości i upojenia, nie widzieli i nie słyszeli nic ze smutnego świata.

Po przeżyciu tylu smutków i obaw dusza słabnie i traci siły przez cierpienie. Silna w przeciwnościach, nie potrafi opierać się szczęściu. W ciepłej atmosferze czystych wzruszeń Diana i Gabriel poddali się niezwykłej dla nich od dawna słodyczy spokoju i radości.

Po scenie porywczej miłości, którą opisaliśmy, nastąpiła druga, podobna i różna zarazem.

— Ach, jak dobrze mi przy tobie, przyjacielu — mówiła Diana. — Zamiast przebywania z owym bezbożnym człowiekiem, którego nienawidzę, bo jego miłość mnie przeraża, co za upojenie czuć twoją obecność tak drogą i uspokajającą.

— I ja od czasu naszego dzieciństwa, kiedy byliśmy tacy szczęśliwi nic o tym nie wiedząc, nie przypominam sobie, Diano, w mym ruchliwym i samotnym życiu podobnej chwili.

Milczeli przez chwilę, zatopieni spojrzeniami w sobie.

Diana przerwała ciszę.

— Chodź tutaj usiąść przy mnie, Gabrielu. Czy uwierzysz, przyjacielu? Podczas niewoli wymarzyłam, przewidziałam ową chwilę, która nas złączyła tak niespodzianie. Zawsze mi się wydawało, że uwolnienie nastąpi dzięki tobie i że w chwili największego niebezpieczeństwa ty, mój rycerzu, mnie wybawisz, że Bóg ciebie nagle przyśle dla ocalenia.

— Jeśli idzie o mnie, Diano, czułem, że twoje myśli mnie przyciągają jak magnes i prowadzą jak światło. Przyznam się tobie i własnemu sumieniu, że chociaż tyle innych potężnych bodźców mogło mną kierować, nie powziąłbym owej myśli, by zdobyć Calais, nie zrealizowałbym jej naprawdę zuchwałymi sposobami, gdybyś nie była tutaj uwięziona, gdyby nie pobudzał mnie i nie mówił mi instynkt, że grozi ci niebezpieczeństwo. Gdyby nie nadzieja, że ci przyjdę z pomocą, i drugi jeszcze święty cel mojego życia, Calais byłoby jeszcze we władaniu Anglików. Oby Bóg mnie nie ukarał w swej sprawiedliwości, że pragnąłem i czyniłem dobro jedynie w interesownych celach.

Wicehrabia myślał w owej chwili o scenie przy ulicy Saint–Jacques, o samozaparciu Ambrożego Parę, o surowych zasadach wiary admirała, głoszących, że niebo żąda czystych rąk dla czystych spraw.

Uspokoił go nieco ukochany głos Diany, która rzekła:

— Bóg miałby cię ukarać, Gabrielu? Za to, że byłeś tak wielki i szlachetny?

— Kto wie? — odpowiedział zadając pytanie niebu i wznosząc oczy z melancholijnym przeczuciem.

— Ja to wiem, ja — rzekła Diana z miłym uśmiechem.

Mówiąc to była tak czarująca, że Gabriel uderzony jej olśniewającą urodą oderwał się od

innych myśli i nie mógł się powstrzymać od okrzyku:

— Ależ jesteś piękna jak anioł, Diano!

— Jesteś waleczny jak bohater, Gabrielu.

Usiedli całkiem blisko obok siebie. Ich ręce przez przypadek spotkały się i uścisnęły. Zaczęła zapadać noc.

Zarumieniona Diana wstała i przeszła się po pokoju.

— Oddalasz się ode mnie, uciekasz przede mną, Diano! — ze smutkiem rzekł młodzieniec.

— Nie — odpowiedziała zbliżając się żywo — z tobą jest całkiem inaczej. Nie boję się, przyjacielu.

Diana nie miała racji. Niebezpieczeństwo istniało, ale innego rodzaju. Mimo wszystko było to niebezpieczeństwo, — przyjaciela może więcej należało się lękać niż wroga.

— Świetnie, Diano! — rzekł Gabriel biorąc małą, białą, miękką rączkę, której mu znowu nie broniła ściskać. — Świetnie! Pozwólmy sobie na chwilę szczęścia, bo tak wiele wycierpieliśmy. Niech się odprężą nasze dusze i odpoczną w zaufaniu i radości.

— Tak, to prawda, tak mi jest dobrze przy tobie, Gabrielu. Zapomnijmy na chwilę o świecie i hałasie, który nas otacza. To rozkoszna jedyna, godzina, sycmy się nią. Sądzę, że Bóg na to zezwala, korzystajmy z niej bez obawy i niepokoju. Masz słuszność: za co tyle wycierpieliśmy?

Takim samym miłym ruchem, jak była przyzwyczajona w dzieciństwie, oparła uroczą główkę na ramieniu Gabriela. Jej wielkie aksamitne oczy powoli się zamknęły, włosy dotknęły warg rozpalonego młodzieńca.

Teraz on wstał, drżący i oszołomiony.

— Co z tobą? — spytała Diana otwierając zdziwione, tęskne oczy.

Pobladły padł na kolana przed nią, otoczył ją rakami.

— Kocham cię, Diano, kocham! — rzekł z głębi serca.

— Kocham cię, Gabrielu — odpowiedziała Diana bez obawy, jakby posłuszna nieodpartemu instynktowi serca.

Jeden Bóg wie, jak przybliżyły się ich twarze, jak złączyły wargi, w jaki sposób w owym pocałunku zjednoczyły się ich dusze. Jest pewne, że oni sami tego nie wiedzieli.

Nagle jednak Gabriel oderwał się od Diany czując, że traci rozum od nadmiaru szczęścia.

— Zostaw mnie, Diano! Pozwól mi uciec! — zawołał z akcentem bezdennego przerażenia.

— Uciec? Po co uciekać? — spytała zdziwiona.

— Diano, Diano, a jeśli jesteś moją siostrą? — odpowiedział mimo woli.

— Twoją siostrą? — powtórzyła Diana zmiażdżona, rażona piorunem.

Gabriel umilkł, jakby zdziwiony i zamroczony własnymi słowami. Przesunął ręką po rozpalonym czole. Głośno zapytał:

— Co ja rzekłem?

— Co rzekłeś w samej rzeczy? Czy mam brać dosłownie to straszne słowo? Na czym polega owa przerażająca tajemnica? Czyżbym naprawdę była twoją siostrą? O mój Boże!

— Siostrą? Wyznałem ci, że jesteś moją siostrą?

— A więc to prawda! — wyszeptała z drżeniem Diana.

— Nie, to nie jest, to nie może być prawda! Nie wiem, któż może wiedzieć? Zresztą nie powinienem ci nic mówić o tym. To sekret na śmierć i życie, przysiągłem go dotrzymać. Na litość boską! Zachowywałem zimną krew rozsądek podczas cierpień i przeciwności. Czyż było potrzeba pierwszej drobiny szczęścia, która dotyka mych warg i upaja do szaleństwa, żebym zapomniał o przysiędze?!

— Gabrielu — rzekła poważnie pani de Castro — jeden Bóg wie, że nie kieruje mną próżna ciekawość. Ale rzekłeś mi za wiele lub za mało, żebym była spokojna. Teraz trzeba dokończyć.

— To niemożliwe, niemożliwe — powtarzał Gabriel z przestrachem.

— Dlaczego niemożliwe? Coś we mnie mówi, że tajemnica należy równie do mnie, jak i do ciebie. Nie masz prawa nic przede mną ukrywać.

— Słusznie, i masz z całą pewnością takie samo prawo co ja do ubolewania. Ale teraz mnie samego przygniata ciężar, nie żądaj jego połowy.

— Ależ tak, żądam, domagam się, wymagam: połowa twoich trosk dla mnie. Co więcej, Gabrielu, przyjacielu, błagam cię o to! Czy mi odmówisz?

— Jednak przysiągłem królowi — odpowiedział Gabriel z trwogą.

— Przysiągłeś? W porządku, zachowaj lojalnie ową przysięgę w stosunku do obcych, obojętnych, nawet wobec przyjaciół. Tak będzie dobrze dla ciebie. Ale wobec mnie, która, jak sam wyznajesz, w owej tajemnicy jestem jednako z tobą zainteresowana, czy możesz, czy powinieneś zachowywać obraźliwe milczenie? Nie, Gabrielu, nie uczynisz tego, jeśli masz litość nade mną. Moje wątpliwości, niepokoje na ten temat dość już dręczyły moje serce. Przecież w tej sprawie, jeśli nie w innych zdarzeniach twego życia, jestem do pewnego stopnia drugim tobą. Czy łamiesz przysięgę, jeśli rozmyślasz nad swoim sekretem w samotności, sam na sam ze swoim sumieniem? Czy przypuszczasz, że moja dusza, głęboka, szczera i dojrzała poprzez tyle doświadczeń, nie zdoła podobnie jak twoja utrzymać i strzec zazdrośnie powierzonego depozytu radosnego lub smutnego, który należy do niej tak samo jak do ciebie?

Łagodny, pieszczotliwy głos Diany poruszał intymne struny w młodzieńcu jak podatny instrument.

— Skoro los nam zabrania złączyć się w miłości i szczęściu, jakże masz odwagę odmawiać jedynej dozwolonej wspólnoty, dzielenia smutku? Czy nie będziemy mniej cierpieli cierpiąc razem? Widzisz przeto, jak boleśnie jest myśleć, że jedyna więź, która powinna nas łączyć, rozdziela.

Czuła, że Gabriel na poły przekonany jeszcze się waha, więc dodała:

— Uważaj zresztą. Jeśli upierasz się przy milczeniu, dlaczego nie mam rozmawiać z tobą w sposób, który teraz budzi w tobie tyle obaw i niepokoju, a którego sam nauczyłeś dawno temu moje usta i serce. W końcu narzeczona ma prawo ci powtarzać, że cię kocha, że kocha jedynie ciebie. Twoja oblubienica przed Bogiem może w niewinnej pieszczocie położyć głowę na twym ramieniu i zbliżyć usta do twego czoła…

Gabriel ze ściśniętym sercem odsunął znowu Dianę od siebie cały drżący.

— Nie! Miej litość nade mną, nie zamraczaj mi rozumu, Diano, błagam cię. Chcesz zatem zdecydowanie poznać całą naszą straszną tajemnicę? Zgoda! Z obawy przed możliwością występku ujawnię ją. Tak, Diano, trzeba rozumieć dosłownie to, co rzekłem jak w gorączce niedawno. Możliwe, że jesteś córką hrabiego de Montgomery, mojego ojca. Może jesteś moją siostrą.

— Najświętsza Panno! — wyszeptała pani de Castro, przygnębiona takim odkryciem. — Jak do tego doszło?

— Wolałbym, żeby twe czyste i spokojne życie nigdy nie poznało owej historii pełnej przerażających zbrodni. Niestety, czuję jednak, że o własnych siłach nie zwalczę mojej miłości. Musisz mi trochę pomóc, wbrew samej sobie, Diano. Wszystko ci powiem.

— Słucham cię z lękiem, ale uważnie.

Wtedy Gabriel opowiedział wszystko: jak bardzo jego ojciec kochał panią de Poitiers i jak w oczach dworu był przez nią kochany, jak delfin, dzisiejszy król, stał się jego rywalem. O tym, że hrabia Montgomery pewnego dnia zniknął i że jedynie Alojza wiedziała i opowiedziała, co się stało. Tyle wiedział od swej mamki. Pani de Poitiers uparcie odmawia wyjaśnień, więc jedynie hrabia de Montgomery, jeśli jeszcze żyje, może wyjawić tajemnicę urodzenia Diany.

Kiedy Gabriel dokończył posępnego opowiadania, Diana zawołała:

— To straszne! Bez względu na to, jak jest, nasz los będzie nieszczęsny. Jeśli jestem córką hrabiego de Montgomery, to jesteś mym bratem. Jeśli jestem córką króla, jesteś zażartym wrogiem mego ojca. Tak czy inaczej, w każdym przypadku los nas dzieli.

— Nie, Diano — odpowiedział Gabriel. — Nasze nieszczęście, dzięki Bogu, nie jest pozbawione całkowicie nadziei. Zacząłem ci wszystko opowiadać, więc dokończę Czuję, że miałaś rację. Zwierzenie przyniosło mi ulgę. Tajemnica wyszła z mego serca po to, by wejść do twego.

Gabriel powiadomił panią de Castro o niezwykłym, niebezpiecznym pakcie, jaki zawarł z Henrykiem II, i o uroczystej obietnicy króla, że zwróci wolność hrabiemu de Montgomery, jeśli wicehrabia de Montgomery poza tym, że obronił Saint–Quentin przed Hiszpanami, odbierze Calais Anglikom.

Otóż od godziny Calais jest miastem francuskim i Gabriel bez próżności miał prawo sądzić, że w wielkiej mierze przyczynił się do chwalebnego zwycięstwa.

W miarę jak mówił, nadzieja po trochu usuwała smutek z twarzy Diany, podobnie jak jutrzenka rozprasza ciemności.

Kiedy Gabriel skończył, trwała przez chwilę w skupieniu zamyślona, potem wyciągnęła do niego rękę i rzekła mężnie:

— Mój „biedny Gabrielu, jest o czym myśleć i nad czym cierpieć w odniesieniu do przeszłości i przyszłości. Ale nie poprzestańmy na tym, przyjacielu. Nie powinniśmy się rozczulać nad sobą i mięknąć. Będę się starała okazać silna i odważna jak ty i razem z tobą. Obecnie najważniejsze jest działać i rozstrzygnąć nasz los tak lub inaczej. Wierzę, że nasza udręka dobiega końca. Wypełniłeś już swe zobowiązania wobec króla. Mam nadzieję, że król dotrzyma swoich względem ciebie. Na oczekiwaniu tego powinniśmy odtąd skoncentrować swe uczucia i wszystkie myśli. Co zamierzasz teraz uczynić?

— Pan diuk de Guise był moim powiernikiem i wspólnikiem w działaniu odnośnie wszystkiego, czego tutaj usiłowałem dokonać. Wiem, że bez niego nic bym nie osiągnął, ale on także nic by nie zdziałał Bèze mnie. Jedynie on może i powinien poświadczyć, w jakiej mierze miałem udział w zdobyciu miasta. Mogę się tym bardziej spodziewać od niego dopełnienia owego aktu sprawiedliwości, że w ostatnich dniach on sam uroczyście się do tego zobowiązał. Otóż zaraz pójdę przypomnieć obietnicę diukowi de Guise i prosić go o list do jego królewskiej mości. Skoro moja obecność tutaj nie jest już niezbędna, chciałbym wyruszyć natychmiast do Paryża…

Gabriel jeszcze mówił z ożywieniem, a Diana słuchała go z oczyma błyszczącymi nadzieją, kiedy otwarto drzwi i zjawił się zgnębiony i skonsternowany Jan Peuquoy.

— Co się dzieje? Czy gorzej z Marcinem? — spytał zaniepokojony Gabriel.

— Nie, panie wicehrabio — odpowiedział Jan Peuquoy — Marcin, przeniesiony do nas, za moim staraniem już miał odwiedziny mistrza Ambrożego Parę. Chociaż chirurg uznał, że amputacja nogi jest konieczna, mistrz Parę zapewnia, że twój waleczny sługa przeżyje operację.

— Wspaniała nowina! — rzekł Gabriel. — Pewnie chirurg jest jeszcze przy nim.

— Niestety, Dostojny Panie — rzekł ze smutkiem mieszczanin — musiał go opuścić dla innego rannego znaczniejszej pozycji i w rozpaczliwszym stanie.

— O kogo chodzi? — spytał Gabriel mieniąc się na twarzy. — O Marszałka Strozziego? O pana de Nevers?

— Pan diuk de Guise umiera w tej chwili — odpowiedział Jan Peuquoy.

Gabriel i Diana jednocześnie boleśnie krzyknęli.

— A ja już powiedziałam, że dobiega końca nasza udręka — rzekła po chwili milczenia pani

de Castro. — O mój Boże, mój Boże! Mój Boże!

— Nie wzywaj Boga, Madame — rzekł Gabriel z melancholijnym uśmiechem. — Bóg jest sprawiedliwy i słusznie karze mój egoizm. Zdobyłem Calais jedynie ze względu na ojca i ciebie. Bóg chciał, żebym je zdobył wyłącznie dla Francji.

VI. POKIERESZOWANY

Niemniej jednak nie zginęła wszelka nadzieja dla Gabriela i Diany, skoro diuk de Guise jeszcze oddychał. Nieszczęśliwi chwytają się kurczowo najmniej pewnej szansy, podobnie jak rozbitki jakichś pływających szczątków.

Wicehrabia d'Exmès rozstał się zatem z Dianą i poszedł osobiście się przekonać, jak dalece nowy cios ich dosięgnąć w momencie kiedy zdawało się, że zły los trochę im pofolgował.

Gabrielowi towarzyszył Piotr Peuquoy i opowiadał w drodze, co się zdarzyło.

Lord Derby, zmuszony przez zbuntowanych mieszczan do poddania się przed godziną wyznaczoną przez lorda Wentwortha, niedawno posłał do diuka de Guise parlamentariuszy w sprawie kapitulacji.

Tymczasem trwała jeszcze walka w kilku punktach, bardziej zażarta niż przedtem, w ostatnich porywach gniewu zwyciężonych i niecierpliwości zwycięzców.

Franciszek de Lorraine, równie nieustraszony żołnierz jak zdolny generał, zjawiał się w miejscach, gdzie był najgorętszy wir walki, gdzie było najbardziej niebezpiecznie.

Zdarzyło się to przy wyłomie muru na wpół już zdobytego ponad fosą całkowicie wypełnioną.

Diuk de Guise na koniu, na pagórku widocznym ze wszystkich stron, zagrzewał swych żołnierzy do walki własnym przykładem i słowami. Nagle dostrzegł ponad wyrwą w murze białą flagę parlamentariuszy.

Dumny uśmiech pojawił się na jego twarzy, oto nadchodziło ostateczne ukoronowanie zwycięstwa.

— Przestańcie strzelać! — zawołał wśród zgiełku do otaczających go. — Calais poddaje się. Rzućcie broń!

Podniósł przyłbicę hełmu i podjechał na koniu kilka kroków naprzód, z oczyma utkwionymi we fladze, znaku jego zwycięstwa i pokoju.

Zmrok zaczął już zapadać, a wrzawa nie ustawała.

Jakiś mężczyzna w angielskiej zbroi widocznie nie widział parlamentariuszy ani nie usłyszał wśród hałasu słów pana de Guise. Rzucił się ku uździe konia i go odepchnął, a kiedy roztargniony diuk, nie patrząc nawet na przeszkodę, która go powstrzymała, ubódł konia ostrogą, by ruszyć naprzód, żołnierz ów uderzył go lancą, w głowę.

— Nie powiedziano mi, w jakie miejsce twarzy ugodzono diuka de Guise, ale jest pewne, że rana jest straszliwa. Drzewce włóczni złamane, a grot pozostał w ranie. Diuk upadł bez słowa twarzą naprzód na łęk siodła. Zdaje się, że Anglika, który zadał ów fatalny cios roznieśli na szpadach rozwścieczeni Francuzi. Niestety, nie ocaliło to pana de Guise. Niesiono go jak nieżywego. Dotąd nie odzyskał przytomności.

— Z tego wynika, że Calais nawet do nas nie należy? — spytał Gabriel.

— Ależ tak — odpowiedział pan Peuquoy — pan diuk de Nevers przyjął parlamentariuszy i jako pan sytuacji podyktował warunki dla nas jak najbardziej korzystne. Ale zdobycie miasta słabo powetuje Francji utratę takiego bohatera.

— Mój Boże! Uważasz go już za zmarłego? — spytał drżący Gabriel.

— Niestety, niestety! — to była cała odpowiedź tkacza, który zwiesił głowę.

— Dokąd mnie prowadzisz? Wiesz, dokąd go przeniesiono?

— Do kordegardy w Château–Neuf, tak rzekł do Ambrożego Paré człowiek, który nam przyniósł fatalną wieść. Mistrz Paré zechciał tam biec natychmiast, Piotr miał mu wskazać drogę, a ja tutaj przyszedłem, by cię zawiadomić. Przeczuwałem, że to ważne dla ciebie i że w takich

okolicznościach zechcesz coś zdziałać.

— Mogę jedynie ubolewać tak jak inni i jeszcze ciężej od innych. Ale zdaje mi się, że już zbliżamy się, o ile ciemność pozwala mi rozróżniać kontury.

— To Château–Neuf, w samej rzeczy — rzekł Jan Peuquoy. Mieszczanie i żołnierze, ogromny ruchliwy tłum, popychający się i szemrzący, tłoczył się przy wejściu do kordegardy, dokąd zaniesiono diuka de Guise. W zaniepokojonych grupach krążyły pytania, domysły i komentarze, podobnie jak powiewy wiatru i jego echa w cienistym lesie.

Wicehrabia d'Exmès i Jan Peuquoy z wielkim trudem przeciskali się przez tłum, zanim doszli do wejściowych schodów kordegardy, na której bronił dostępu silny oddział żołnierzy z pikami i halabardników. Niektórzy z nich trzymali zapalone pochodnie, które rzucały czerwonawe blaski na kołyszące się masy ludzi.

Gabriel zadrżał widząc w migocącym świetle Abrożego Paré, który stał u dołu schodów ponury, nieruchomy, ze ściągniętymi brwiami i rękami skrzyżowanymi na wzburzonej piersi. Łzy bólu i oburzenia lśniły w jego pięknych oczach.

Za nim stał Piotr Peuquoy, tak samo posępny i przygnębiony jak on.

— Tutaj jesteś, mistrzu Paré? — zawołał Gabriel. — Co tu czynisz? Jeśli diuk de Guise jeszcze dysze, twoje miejsce jest u jego boku!

— Nie mnie trzeba to mówić, panie d'Exmès — odpowiedział chirurg, skoro podniósł oczy i poznał Gabriela. — Rzeknij to, jeśli masz nad nimi jakąś władzę, owym głupim strażom!

— Jak to? Czyż wzbraniają ci wejść? — spytał Gabriel.

— Nie chcą o tym słyszeć. Kiedy pomyślę, że Bóg może uzależniać tak cenne życie od podobnie fatalnych okoliczności!

— Ależ musisz wejść! Źle się do tego zabrałeś.

— Na początku błagaliśmy — wyjaśniał Piotr Peuquoy — potem groziliśmy. Na nasze prośby odpowiedzieli śmiechem, a na groźby szturchańcami. Kiedy mistrz Paré chciał wejść siłą, gwałtownie go odepchnęli i oberwał cios drzewcami halabardy.

— To bardzo proste! — odpowiedział Ambroży Paré z goryczą. — Nie mam złotego łańcucha ani ostróg. Mam jedynie celne oko i pewną rękę.

— Czekaj, potrafię cię wprowadzić — rzekł Gabriel.

Podszedł ku schodom kordegardy, ale żołnierz z piką pochylił się wprawdzie w ukłonie, ale zagrodził mu drogę.

— Wybacz, panie — rzekł z szacunkiem — otrzymaliśmy rozkaz nikomu nie pozwolić wejść.

— Błaźnie! Czy zakaz obowiązuje wicehrabiego d'Exmès, dowódcę gwardii jego królewskiej mości, przyjaciela pana de Guise? Gdzie jest twój szef? Chcę z nim mówić.

— Strzeże wewnętrznych drzwi, Dostojny Panie — pokorniej odpowiedział żołnierz.

— Idę zatem do niego — rozkazująco rzekł wicehrabia. — Chodź, mistrzu Paré, idź za mną.

— Przejdź, Dostojny Panie, skoro tego żądasz. Ale tamten nie przejdzie.

— A to dlaczego? — spytał Gabriel. — Dlaczego chirurg nie miałby pójść do rannego?

— Wszyscy chirurdzy, lekarze i zielarze, przynajmniej ci znani i z patentami, zostali wezwani do jego wysokości. Powiedziano nam, że żadnego nie brakuje.

— To właśnie mnie przeraża! — rzekł z pogardliwym sarkazmem Ambroży Paré.

— Ten tutaj nie ma dyplomu w kieszeni — mówił dalej żołnierz. — Znam go dobrze. Niejednego ocalił w obozie, ale on nie jest stworzony dla diuków.

— Nie gadaj tyle! — krzyknął Gabriel tupiąc niecierpliwie nogą. — Żądam, ja żądam, żeby mistrz Paré wszedł razem ze mną.

— Niemożliwe, panie wicehrabio.

— Rzekłem: żądam, błaźnie!

— Pomyśl, panie, że zakaz pozwala mi ciebie nie usłuchać.

— Ach — zawołał boleśnie Ambroży — może diuk umiera podczas tych śmiesznych sporów!

Okrzyk ów rozwiał wątpliwości i wahanie Gabriela, jakie porywczy młodzieniec mógł jeszcze mieć w podobnej chwili.

— Chcecie, żebym was traktował jak Anglików! Tym gorzej dla was! — krzyknął na halabardników. — Życie pana de Guise warte więcej niż waszych dwadzieścia! Przekonamy się, czy wasze piki ośmielą się tknąć mojej szpady!

Klinga wydobyta z pochwy zabłysła jak błyskawica. Ciągnąc za sobą Ambrożego Paré wszedł ze wzniesioną szpadą po schodach kordegardy.

Było tyle groźby w jego postawie i spojrzeniu, tyle mocy w spokoju i postawie chirurga, poza tym osoba i wola rycerza w owej epoce miały taki prestiż, że ujarzmione straże rozstąpiły się i opuściły broń, nie tyle przed szpadą co przed nazwiskiem wicehrabiego d'Exmès.

— Puśćcie go! — zawołał jakiś głos z tłumu. — Wyglądają jak zesłani przez Boga dla ocalenia diuka de Guise!

Tak więc Gabriel i Ambroży doszli już bez żadnych przeszkód do drzwi kordegardy.

W wąskim przedsionku wiodącym do dużej sali był jeszcze porucznik dowodzący żołnierzami z zewnątrz i kilku mężczyzn.

Wicehrabia d'Exmès bez zatrzymywania się rzekł krótko, tonem wykluczającym wszelką replikę:

— Prowadzę do jego wysokości nowego chirurga.

Porucznik pokłonił się i pozwolił wejść bez żadnych zastrzeżeń.

Gabriel i Paré weszli. Uwaga wszystkich obecnych była zbyt żywo i okrutnie rozproszona, żeby zważano na ich przybycie.

Oczom ich przedstawił się naprawdę straszny i rozdzierający widok.

Pośrodku sali na polowym łóżku spoczywał diuk de Guise całkiem nieruchomo, nie dając znaku życia, z twarzą zalaną krwią.

Twarz miał przeciętą z jednej strony na drugą. Grot włóczni przebił policzek pod prawym okiem i utkwił w karku poniżej lewego ucha. Odłamek wystawał na pół stopy z tak zdruzgotanej głowy. Rana przedstawiała się okropnie.

Wokoło łóżka stało dziesięciu czy dwunastu lekarzy i chirurgów, skonsternowanych ogólną rozpaczą. Nic nie czynili, tylko patrzyli i rozmawiali.

W chwili kiedy Gabriel wszedł razem z Ambrożym Paré, jeden z nich mówił głośno:

— Tak więc, po naradzeniu się, jesteśmy zmuszeni z żalem stwierdzić, że pan diuk de Guise został ugodzony śmiertelnie, bez nadziei i sposobu ratunku. Aby mieć jakąś szansę na ocalenie, trzeba by wyjąć odłamek włóczni z głowy. Otóż wyjęcie go to pewna śmierć dla jego wysokości.

— A zatem wolicie pozwolić mu umrzeć! — rzekł zuchwale spoza stojących w pierwszym rzędzie Ambroży Paré, który ocenił od pierwszego rzutu oka istotnie beznadziejny stan rannej znakomitości.

Chirurg, który przemawiał, podniósł wzrok, żeby dostrzec zuchwalca, który mu przerywa, ale nie widząc go prawił dalej:

— Jakiż śmiałek ośmieliłby się podnieść swe bezbożne ręce do dostojnej twarzy i ryzykować, bez pewności ocalenia, by wykończyć konającego?

— Ja! — rzekł Ambroży Paré zbliżając się z podniesionym czołem do kręgu lekarzy.

Nie zwracając uwagi na otaczających i szmer zdziwienia wywołany jego odpowiedzią, pochylił się nad diukiem, aby z bliska obejrzeć jego ranę.

— Ach! To mistrz Ambroise Paré! — rzekł pogardliwie główny chirurg rozpoznając szaleńca, który ośmielił się wypowiedzieć zdanie sprzeczne z jego opinią. — Mistrz Ambroży Paré

zapomina, że nie ma zaszczytu należeć do chirurgów diuka de Guise.

— Powiedz raczej, że jestem jedynym jego chirurgiem, bo jego nadworni chirurdzy go opuszczają. Zresztą przed kilkoma dniami diuk de Guise widział na własne oczy pewną udaną operację i powiedział bardzo poważnie, jeśli nie oficjalnie, że odtąd w potrzebie będzie się domagał moich usług. Obecny tutaj wicehrabia d'Exmès może to poświadczyć.

— Oświadczam, że to prawda — rzekł Gabriel.

Ambroży Paré powrócił do pozornie martwego już ciała diuka i znowu przyglądał się ranie.

— No i co? — spytał naczelny chirurg z ironicznym uśmiechem. — Po zbadaniu jeszcze trwasz w zamiarze wydobycia grotu z rany?

— Po zbadaniu obstaję przy tym.

— Jakim cudownym narzędziem masz zamiar się posłużyć?

— Własnymi rękami.

— Głośno protestuję — zawołał rozgniewany chirurg. — To profanacja agonii.

— I my protestujemy razem z tobą — zawołali wszyscy jego koledzy.

— Czy macie jakiś sposób na ocalenie księcia? — spytał Ambroży Paré.

— Nie, to jest niemożliwe — odpowiedzieli chórem. — A więc należy do mnie — rzekł Ambroży rozpościerając ręce nad chorym, jakby go brał w posiadanie.

— A my odejdźmy — rzekł naczelny chirurg cofając się wraz ze swoimi lekarzami.

— Co chcesz uczynić? — pytano Ambrożego ze wszystkich stron.

— Diuk de Guise umarł dla wszystkich. Będę tak postępował, jakby był martwy.

Mówiąc to zdjął sajan i zakasał rękawy.

— Czynić takie eksperymenty na jego wysokości tanquam in anima viii! — rzekł składając ręce zgorszony stary lekarz.

— Będę go traktował w samej rzeczy nie jak człowieka ani nawet jak podłą duszę, ale jak przedmiot. Patrzcie — odpowiedział Ambroży nie spuszczając wzroku z rannego.

Zuchwale oparł stopę na piersi chorego. Szmer przerażenia, powątpiewania i groźby przebiegł między zebranymi.

— Strzeż się, mistrzu! — rzekł pan de Nevers dotykając ramienia Ambrożego. — Strzeż się! Jeśli ci się nie powiedzie, nie odpowiadam za gniew przyjaciół i sług diuka.

— Ach! — rzekł tylko Ambroży odwracając się ze smutnym uśmiechem.

— Ryzykujesz życiem! — dodał ktoś inny.

Ambroży Paré spojrzał w niebo, potem rzekł z powagą:

— Zgoda! Zaryzykuję swoją głowę, żeby ocalić tę tutaj. Ale przynajmniej zostawcie mnie w spokoju!

Wszyscy odsunęli się na bok z pewnego rodzaju respektem wobec wszechwładnego geniuszu. W solennej ciszy słychać było jedynie przyśpieszone oddechy.

Ambroży Paré oparł lewe kolano na piersi diuka. Potem pochylił się, ujął w palce drzewce włóczni i poruszał nimi stopniowo, na początku delikatnie, a później coraz silniej.

Diuk zatrząsł się w strasznym cierpieniu.

Lęk powlekł czoła wszystkich obecnych jednaką bladością.

Ambroży Paré zaprzestał na chwilę ruchów, sam przerażony. Pot niepokoju zrosił jego czoło. Ale natychmiast powrócił do dzieła. Po minucie dłuższej niż godzina grot żelazny wyszedł wreszcie z rany. Ambroży Paré odrzucił go żywo daleko od siebie i szybko pochylił się nad rozwartą raną.

Kiedy się podniósł, błysk radości rozjaśnił jego twarz. Ale po chwili spoważniał, padł na kolana, złożył ręce do Boga i łza szczęścia spłynęła wolno po jego policzku.

Nastał podniosły moment. Zanim przemówił naczelny chirurg, zrozumiano, że teraz już była

nadzieja. Słudzy diuka płakali gorącymi łzami. Inni całowali skraj szat Ambrożego Paré.

Wciąż milczano, czekano na pierwsze słowa.

Wyrzekł je wreszcie poważnym, wzruszonym głosem:

— Teraz odpowiadam za życie jego wysokości diuka de Guise. W samej rzeczy po godzinie diuk de Guise odzyskał przytomność i mowę. Ambroży Paré kończył opatrywanie rany, a Gabriel stał obok łóżka, na które chirurg kazał przenieść znakomitego pacjenta.

— Tak więc, Gabrielu — mówił diuk — zawdzięczam ci nie tylko zdobycie Calais, ale także życie. Wszak to ty sprowadziłeś do mnie prawie przemocą mistrza Paré.

— Tak, Wasza Wysokość — odpowiedział Ambroży. — Gdyby nie pan d'Exmès, oni nie pozwoliliby nawet zbliżyć się do ciebie.

— Moi dwaj wybawcy! — rzekł Franciszek de Lorraine.

— Nie rozmawiaj tyle, Dostojny Panie, błagam cię — przestrzegł chirurg.

— Dobrze, już milczę. Ale jeszcze jedno słowo, jedno pytanie.

— Proszę, Wasza Wysokość.

— Mistrzu Paré, czy sądzisz, że skutki mej strasznej rany nie wpłyną na pogorszenie mego zdrowia, mojego myślenia?

— Jestem tego pewien, Dostojny Panie — rzekł Ambroży. — Obawiam się jednak, że pozostanie szrama, blizna…

— Blizna! To nic nie jest! Szrama ozdabia twarz wojownika! Nawet mi się spodoba przydomek „pokiereszowany"!

Wiadomo, że jego współcześni i potomność była tego samego zdania co diuk de Guise, który od tego czasu, równie jak potem jego syn, nosił przezwisko „Pokiereszowany" w owym stuleciu i tak przeszedł do historii.

VII. CZĘŚCIOWE ROZWIKŁANIE SPRAWY

Jest dzień ósmego stycznia, w przeddzień którego Gabriel d'Exmès zwrócił królowi Francji najpiękniejsze utracone miasto Calais i jego największego dowódcę, diuka de Guise.

Nie chodzi już tutaj o kwestie, od których zależy przyszłość narodów, a o zwykłe interesy mieszczańskie i sprawy rodzinne. Od wyłomu w murach Calais i śmiertelnego łoża Franciszka de Lorraine przechodzimy do sali na parterze domu Peuquoy.

Tam Jan kazały przenieść Marcina Guerre, żeby mu zaoszczędzić zmęczenia. Tam poprzedniego wieczora Ambroży Paré wykonał ze swym zwykłym szczęściem amputację nogi zacnego giermka, gdyż okazała się konieczna.

Tak więc to, co dotąd było jedynie nadzieją, stało się pewnością. Marcin Guerre będzie kaleką, ale będzie żył.

Niepodobna odmalować żalu, a raczej wyrzutów sumienia Piotra Peuquoy, kiedy od Jana dowiedział się prawdy. Owa surowa, lecz prawa i lojalna dusza nigdy nie miała sobie wybaczyć tak okrutnej pomyłki. Uczciwy płatnerz zaklinał co chwila Marcina, by żądał, czego zechce, lub aby przyjął wszystko, co posiada: pomoc i serce, majątek i życie.

Wiemy już, że Marcin Guerre nie czekał, aż Piotr wyrazi skruchę. Wybaczył mu jego postępek, a nawet uważał, że snycerz postąpił słusznie.

Byli więc obaj w jak najlepszych stosunkach. Nic dziwnego, że przy Marcinie, który był traktowany jak członek rodziny, odbyła się familijna narada podobna do tamtej podczas bombardowania.

Brał w niej udział także wicehrabia d'Exmès, który miał wyjechać „wieczorem do Paryża. Mimo wszystko rozmowa była mniej kłopotliwa tym razem niż poprzednia dla dzielnych jego sojuszników z fortu Risbank.

W samej rzeczy naprawienie krzywdy, czego się domagał honor rodziny Peuquoy, nie było całkowicie niemożliwe. Prawdziwy Marcin Guerre jest żonaty, ale nie wiadomo, czy uwodziciel Bąbelki także jest związany. Należało odszukać winowajcę.

Toteż twarz Piotra Peuquoy miała więcej pogody i spokoju. Jan przeciwnie, wyglądał na smutnego, a Babetka była mocno przygnębiona.

Gabriel obserwował wszystkich w milczeniu, a Marcin Guerre na swym łożu boleści martwił się, że nie mógł w niczym dopomóc swym nowym przyjaciołom poza udzieleniem bardzo ogólnikowych i bliżej nie określonych informacji co do osoby swego sobowtóra.

Piotr i Jan właśnie w tej chwili powrócili od diuka de Guise. Diuk nie chciał zwlekać z podziękowaniem zacnym patriotom mieszczanom za ich skuteczny i chwalebny udział w odebraniu miasta. Na jego wyraźne życzenie przyprowadzono ich.

Teraz Piotr, dumny i rozradowany, opowiadał Babetce szczegóły owej prezentacji.

— Tak, siostro, kiedy pan d'Exmès opowiedział diukowi de Guise o naszej współpracy w słowach oczywiście zbyt pochlebnych i mocno przesadzonych, ów wielki mąż raczył nam wyrazić, Janowi i mnie, swe zadowolenie z taką łaskawością i dobrocią, że nigdy o tym nie zapomnę, choćbym żył ponad sto lat. Najbardziej mnie ucieszył i wzruszył pytaniem, w czym mógłby się nam przysłużyć. Bynajmniej nie jestem interesowny, znasz mnie pod tym względem, Babetko. Chciałbym go jednak prosić o jedną przysługę. Czy wiesz jaką?

— Nie wiem doprawdy, mój bracie — wyszeptała Babetka.

— Kiedy odnajdziemy oszusta, który cię tak niecnie zawiódł, a odnajdziemy go, bądź pewna, poproszę pana de Guise, żeby mi dopomógł swym autorytetem, by ci przywrócić honor. Nie

jesteśmy ani potężni, cni bogaci, a takie poparcie może będzie konieczne, żeby uzyskać sprawiedliwość.

— A jeśli nawet przy takim poparciu winowajca nie stawi się w sądzie? — spytał Jan.

— Wtedy dzięki mej poręce zemsta przynajmniej nie zawiedzie. Tymczasem muszę przyznać, że gwałtownością jak dotychczas nic dobrego nie uzyskałem — dodał cicho Piotr spoglądając w stronę Marcina.

Umilkł i przez minutę trwał w zamyśleniu. Kiedy się ocknął z zadumy, ze zdziwieniem zauważył, że Babetka płacze.

— Co ci jest, siostro? — spytał.

— Ach, jestem taka nieszczęśliwa! — zawołała Babetka szlochając.

— Nieszczęśliwa? Z jakiego powodu? Wydaje mi się, że przyszłość nabiera jaśniejszych barw…

— Zaciemnia się — odpowiedziała.

— Nie, wszystko pójdzie dobrze, bądź spokojna — rzekł Piotr. — Nie ma co się wahać między łagodnym zadośćuczynieniem a straszną karą. Kochanek powróci do ciebie i zostaniesz jego żoną…

— A jeśli nie zechcę go na męża?

Jan Peuquoy nie mógł powstrzymać się od ruchu radości, co zauważył Gabriel.

— Nie zechcesz? — Piotr był niezmiernie zdziwiony. — Ależ przecie go kochałaś!

— Kochałam chorego, wydawało mi się, że mnie kocha, okazywał mi szacunek i czułość. Ale nienawidzę i pogardzam nim, bo mnie oszukał, okłamał, opuścił. Ukradł nazwisko, a może nawet odzienie drugiemu, aby wkraść się w moje biedne serce.

— Ale w końcu jeśli cię poślubi?

— Poślubiłby mnie jedynie pod przymusem albo po to, że spodziewałby się łask ze strony diuka de Guise. Dałby mi swoje nazwisko ze strachu albo przez chciwość. Nie, nie! Teraz ja go nie chcę!

— Babetko — rzekł surowo Piotr — nie masz prawa mówić: nie chcę go.

— Dobry bracie, łaski! Miej litość! — wołała Babetka przez łzy. — Nie zmuszaj mnie do poślubienia człowieka, którego sam nazywałeś nędznikiem i podłym tchórzem.

— Babetko, pomyśl, że masz splamiony honor.

— Wolę rumienić się przez chwilę z powodu miłości niż rumienić się przez całe życie z powodu męża.

— Babetko, pomyśl o swoim dziecku bez ojca!

— Uważam, że lepiej dla niego nie mieć ojca, który by go nie cierpiał. Będzie miało uwielbiającą je matkę. Gdybym poślubiła tamtego mężczyznę, umarłabym pewnie ze wstydu i zmartwienia.

— Zamykasz więc uszy na moje przestrogi i prośby?

— Odwołuję się do twoich uczuć i litości, bracie, błagam cię.

— Zatem moja litość i uczucia odpowiedzą ci z ubolewaniem, ale i stanowczością. Najważniejsze jest, Babetko, żebyś żyła szanowana przez innych i sama siebie szanowała. Wolałbym cię widzieć nieszczęśliwą niż zniesławioną, ze względu na to, że zniesławiona byłabyś w dwójnasób nieszczęśliwa. Żądam tego jako twój brat, twój Starszy brat, głowa rodziny, żądam, zrozum mnie dobrze, żebyś poślubiła, jeśli on się zgodzi, owego mężczyznę, który cię zgubił, bo on jedynie może ci zwrócić odebrany honor. Prawo i religia dają mi władzę, z której skorzystam w razie potrzeby, uprzedzam cię, aby cię zmusić do wypełnienia obowiązku względem Boga, rodziny, własnego dziecka i siebie samej.

— Skazujesz mnie na śmierć, bracie — odpowiedziała Babetka łamiącym się głosem. —

Dobrze, poddaję się, bo taki już mój los, to jest dla mnie kara, bo nikt nie wstawia się za mną.

Mówiąc te słowa patrzyła na Gabriela i Jana, którzy obaj milczeli. Pierwszy chciał obserwować, drugi cierpiał.

Na bezpośrednie wezwanie Babetki Jan nie mógł się powstrzymać. Zwracał się do niej, ale obrócił się w stronę Piotra. Mówił ze smutną ironią, co nie było zgodne z jego usposobieniem.

— Kto ma interweniować w twojej sprawie, Babetko? Czyż to, czego wymaga twój brat, nie jest całkiem słuszne i mądre? Jego sposób widzenia jest doprawdy wspaniały. Głównie leży mu na sercu honor rodziny i twoja cześć. Żeby zachować ów honor, co czyni? Zmusza cię do poślubienia oszusta. To cudowne! Jest prawdą że kiedy ów nikczemnik wejdzie już do rodziny, na pewno ją zniesławi przez swe postępowanie. Nie ulega wątpliwości, że obecny tutaj pan d'Exmès nie omieszka w imieniu Marcina Guerre zażądać od niego zdania surowego rachunku z nikczemnego podstawienia się pod osobę giermka. To może i ciebie włóczyć po sądach, Babetko, jako żonę owego wstrętnego złodzieja nazwiska. Ależ cóż to szkodzi! Niemniej jednak będziesz do niego należała jak najbardziej legalnie, twoje dziecko będzie synem uznanym i prawowitym fałszywego Marcina Guerre. Może umrzesz ze wstydu jako jego małżonka, ale twoja opinia młodej dziewczyny pozostanie nienaruszona w oczach wszystkich ludzi.

Jan wyrażał się z takim żarem i oburzeniem, że aż Babetka się zdziwiła.

— Nie poznaję ciebie, Janie — ze zdumieniem rzekł Piotr. — Czy ty to mówisz, zawsze taki spokojny i opanowany?

— Właśnie dlatego, że jestem spokojny i opanowany, lepiej widzę sytuację, w jaką nierozważnie chcesz nas dzisiaj wciągnąć.

— Sądzisz zatem, że łatwiej zniósłbym infamię szwagra niż niesławę siostry? Nie. Jeśli odnajdziemy uwodziciela Babetki, spodziewam się, że jego oszustwo przyniosło krzywdę jedynie nam i Marcinowi Guerre. W takim przypadku liczę na poświęcenie wspaniałego Marcina, że zrezygnuje ze skargi, która w równej mierze spadłaby jako kara na niewinnych, co i na winowajcę.

— Och — odezwał się ze swojego łóżka Marcin — nie mam mściwości w duszy i nie żądam śmierci grzesznika. Niech wam spłaci dług, a ja go skwituję ze swojego.

— Oto kto jest wspaniałomyślny w odniesieniu do przeszłości! — rzekł Jan, który niezbyt był zachwycony wielkodusznością giermka. — Ale co z przyszłością? Kto będzie odpowiadał za przyszłość?

— Ja sam będę czuwał — oświadczył Piotr. — Mąż Babetki nie zejdzie mi z oczu. Musi stać się uczciwym człowiekiem i chodzić prostą drogą, inaczej…

— Wymierzysz sam sprawiedliwość, czy nie tak? — przerwał mu Jan. — Najwyższy czas! Babetka jednak stanie się ofiarą.

Piotr okazał zniecierpliwienie.

— Ależ Janie, jeśli sytuacja jest trudna, to nie ja do niej doprowadziłem. Ulegam jej. Tyle mówisz, może znalazłeś lepsze wyjście niż to, które proponuję?

— Tak, oczywiście, jest inne wyjście — rzekł Jan.

— Jakie? — spytali jednogłośnie Piotr i Babetka, a Piotr, trzeba to przyznać, z jednakową skwapliwością co jego siostra.

Wicehrabia d'Exmès ciągle trwał w milczeniu, ale podwoił uwagę.

— Czyż nie znajdzie się porządny mężczyzna, który bardziej wzruszony niż przestraszony nieszczęściem Babetki zgodzi się jej dać swoje nazwisko? — spytał Jan.

Piotr kręcił głową z niedowierzającą miną.

— Nie liczmy na to — rzekł. — Musiałby być zakochany albo podły, żeby tak przymykał oczy. W jednym czy drugim przypadku musielibyśmy wprowadzić w naszą tajemnicę jakichś

obcych ludzi, obojętnych. Chociaż pan d'Exmès i Marcin są naszymi oddanymi przyjaciółmi, żałuję, że ujawniliśmy wobec nich okoliczności, które nie powinny wychodzić poza rodzinę.

Jan Peuquoy odpowiedział z na próżno ukrywanym wzruszeniem:

— Nie proponowałbym Babetce nikczemnika za męża. Ale twoje drugie przypuszczenie, Piotrze, czyż nie jest do przyjęcia? Gdyby ktoś pokochał moją kuzynkę, gdyby się dowiedział o okolicznościach błędu, ale także i o skrusze, gdyby postanowili zapomnieć o przeszłości po to, by sobie zapewnić szczęśliwą, spokojną przyszłość, bo przecież Babetka z całą pewnością chciałaby zmazać przeszłość dzięki wielu cnotom? Gdyby tak było, co rzekłbyś, Piotrze? Co rzekłabyś, Babetko?

— Och, to niemożliwe, to marzenie — rzekła Babetka, a jej oczy zabłysły promieniem nadziei.

— Czyżbyś znał takiego mężczyznę, Janie? — spytał trzeźwy Piotr. — Czy nie jest to z twojej strony jedynie hipoteza albo, jak mówi Babetka, marzenie?

Wobec takiego ścisłego pytania Jan zawahał się, coś wyjąkał, zmieszał się.

Nie dostrzegł, z jaką uwagą w głębokim milczeniu Gabriel śledził wszystkie jego posunięcia. Był wielce zaabsorbowany obserwowaniem Babetki, która drżąca, ze spuszczonymi oczyma zdawała się tym mocno przejęta, a zacny tkacz, mało doświadczony w owej materii, nie wiedział, jak to interpretować.

Nie zdecydował się na wyjaśnienie zgodne z jego pragnieniami. Żałosnym tonem odpowiedział na proste pytanie kuzyna takimi słowy:

— Niestety, Piotrze, możliwe, że wszystko, co powiedziałem, jest jak sen. Dla spełnienia mojego marzenia nie wystarczy, żeby Babetka była bardzo miłowana, trzeba, żeby i ona trochę kochała. Inaczej byłaby dalej nieszczęśliwa. Ów człowiek, który by chciał uzyskać od Babetki swoje szczęście za cenę zapomnienia, musiałby żądać wybaczenia różnych braków, gdyż nie jest prawdopodobnie ani młody, ani piękny, ani godny kochania. Nie ma zatem widoków na to, aby Babetka z własnej woli zechciała zostać jego żoną. Dlatego też wszystko, co rzekłem, było jedynie marzeniem.

— Tak, to było marzenie — smutno odpowiedziała Babetka. — Ale nie z tych powodów, jakie podałeś, kuzynie. Tak szlachetnego człowieka, który by chciał mi przyjść z pomocą z takim oddaniem, musiałabym uważać za młodego, nawet gdyby był starcem całkiem zwiędłym i ponurym, bo jego czyn świadczyłby o młodości duszy, jakiej czasem nie mają dwudziestoletni. Musiałabym go uznać za pięknego, gdyż tak dobre i litościwe myśli pozostawiają szlachetne piętno na rysach twarzy. Musiałabym go uznać za miłego do pokochania, gdyż dałby mi największy dowód miłości, jaki kobieta może otrzymać. Moim obowiązkiem i radością byłoby przeto kochać go przez całe życie z całego serca, to całkiem proste. Ale jest rzeczą nieprawdopodobną, a nawet niemożliwą znaleźć takie samozaparcie, jakie sobie wyobrażasz, kuzynie. Trudno o to takiej jak ja dziewczynie bez urody i honoru. Istnieją może ludzie wielkoduszni i wspaniałomyślni, którzy mogą powziąć myśl o podobnym poświęceniu, i to już wiele. Ale po głębszej refleksji nawet tacy wahaliby się, cofnęliby się w ostatniej chwili, a ja wpadłabym z nadziei w rozpacz. Takie są prawdziwe przyczyny, dla których to, co rzekłeś, jest jak senne marzenie.

— A gdyby to była prawda? — rzekł nagle Gabriel wstając.

— Jak to? Co mówisz? — zawołała zmieszana Babetka.

— Mówię ci, Babetko, że tak oddany i szlachetny człowiek istnieje.

— Znasz go? — spytał mocno wzruszony Piotr.

— Znam go — odpowiedział z uśmiechem młodzieniec. — Kocha cię prawdziwie uczuciem zarówno ojcowskim, jak i czułym, uczuciem opiekuńczym, które lubi przebaczać. Możesz zatem

przyjąć bez ubocznych myśli jego ofiarę, bo nie ma w niej żadnej pogardy, a zrodziła się z miłosierdzia i szczerego oddania. Zresztą, Babetko, dasz tyle samo, ile weźmiesz. Otrzymasz honor, a dasz szczęście. Ten, kto cię kocha, jest sam na świecie, bez radości, nie związany żadnymi interesami, bez przyszłości. Ty mu to wszystko przyniesiesz. Jeśli go przyjmiesz, uczynisz go tak szczęśliwym, jak on ciebie kiedyś uszczęśliwi. Czy to nieprawda, Janie?

— Ależ… panie wicehrabio… nie wiem… — wyjąkał Jan drżąc jak liść.

— Tak, Janie, może nie wiesz jednego — mówił Gabriel ciągle uśmiechając się — może nie wiesz o jednej sprawie: że Babetka ze swej strony żywi dla kochającego ją mężczyzny nie tylko głęboki szacunek, ale także bogobojną czułość. Babetka przeczuła, jeśli się nie domyśliła, że jest przedmiotem miłości. Dzięki temu podniosła się we własnych oczach, wzruszyła się i poczuła szczęśliwa. Od tego czasu żywi gwałtowną niechęć do nędznika, który ją uwiódł. Właśnie dlatego błagała na kolanach brata, żeby jej nie łączył z owym człowiekiem, którego zdawało się jej tylko, że kocha, to była pomyłka i zaskoczenie, dzisiaj go nie cierpi z powodu swego uczucia dla innego, który chce ją ocalić. Czy się mylę, Babetko?

— Naprawdę… Dostojny Panie… Nie wiem… — wyjąkała Babetka blada jak płatki śniegu.

— Jedno nie wie, drugie nie wie — odpowiedział Gabriel. — Jak to, Babetko, jak to, Janie, nic nie wiecie o własnych uczuciach? Nic sobie nie uświadamiacie? Przecież to niemożliwe! Czy ja mam ci odkryć, że Jan cię kocha? Domyślałeś się, Janie, wcześniej ode mnie, że kocha cię Babetka.

— Czy to możliwe? — zawołał Piotr. — Nie, taki nadmiar radości!

— Popatrz na nich! — rzekł mu Gabriel.

Babetka i Jan patrzyli na siebie jeszcze niezdecydowani, niedowierzający.

Potem Jan wyczytał w oczach Babetki tak żarliwą wdzięczność, a Babetka w oczach Jana tak wzruszającą prośbę, że nagle przezwyciężyli się i zdecydowali. Nie wiedząc, jak to się stało, znaleźli się w serdecznym uścisku, jedno w ramionach drugiego.

Piotr Peuquoy zachwycony nie mógł wykrztusić ani słowa, ale ściskał dłoń Jana wymowniej niż wszelkie języki świata.

Marcin Guerre ryzykując zdrowiem podniósł się na posłaniu. Z oczyma pełnymi łez klaskał z entuzjazmem na takie nieoczekiwane zakończenie.

Kiedy pierwsze wybuchy radości ustały, Gabriel rzekł:

— Tak zatem jest postanowione. Jan poślubi możliwie jak najprędzej Babetkę. Zanim zamieszkają u brata, przyjadą na kilka miesięcy do mnie do Paryża. W taki sposób tajemnica Babetki, smutna przyczyna szczęśliwego małżeństwa zostanie pogrzebana w pięciu lojalnych sercach osób tutaj obecnych. Szósty osobnik mógłby zdradzić sekret. Ale ręczę wam za to, że nie zdąży już was niepokoić. Możecie przeto, moi dobrzy i drodzy przyjaciele, żyć odtąd spokojni i zadowoleni, z całkowitym poczuciem bezpieczeństwa myślcie o przyszłości.

— Mój szlachetny i wspaniałomyślny gościu! — rzekł Piotr całując dłoń Gabriela.

— Tobie jedynie zawdzięczamy nasze szczęście, tak jak król tobie zawdzięcza Calais — dodał Jan.

— Codziennie rano i wieczór będziemy się gorąco modlili do Boga za naszego zbawcę — powiedziała Babetka.

— Tak, Babetko, dziękuję ci za tę myśl. Módlcie się, żeby wasz zbawca umiał teraz ocalić samego siebie — zakończył wzruszony Gabriel.

VIII. POMYŚLNA WRÓŻBA

— Czyż ci się nie wiedzie we wszystkim, co zamierzasz? — spytała Babetka słysząc ton melancholijnego zwątpienia. — Tak było w obronie Saint–Quentin, w zdobyciu Calais i w sprawie małżeństwa biednej Babetki.

— To prawda — odpowiedział Gabriel ze smutnym uśmiechem. — Bóg zezwala, żeby przeszkody nie do przezwyciężenia, nawet najokropniejsze ustępowały mi z drogi jak zaczarowane. Ale niestety, drogie moje dziecko, nie mogę osiągnąć upragnionego celu.

— Uszczęśliwiłeś tyle osób, że w końcu i sam będziesz szczęśliwy — rzekł Jan.

— Przyjmuję tę dobrą wróżbę, Janie. Nic nie mogłoby stanowić dla mnie pomyślniejszej przepowiedni niż to, że zostawiam swych przyjaciół w Calais w spokoju i radości. Teraz muszę was opuścić, wiesz o tym, kto wie, może dla przyszłych łez i bólu? Nie pozostawiajmy poza sobą przynajmniej żadnych kłopotów, ułóżmy dokładnie nasze sprawy.

Ustalono termin zawarcia ślubu, na którym Gabriel ku swemu żalowi nie będzie obecny, a później termin wyjazdu Babetki i Jana do Paryża.

— Może się zdarzyć, że mnie nie zastaniecie w domu, że nie przyjmę was osobiście. Może tak nie będzie, mam nadzieję. Gdybym jednak był zmuszony usunąć się na pewien czas z Paryża i ze dworu, mimo wszystko przyjedźcie. Alojza, moja — zacna piastunka, przyjmie was w moim imieniu tak samo, jakbym ja to uczynił. Razem z nią pomyślcie od czasu do czasu o nieobecnym gospodarzu.

Marcin musiał bez względu na swego pana pozostać w Calais. Ambroży Paré oświadczył, że jego rekonwalescencja będzie trwała długo i będzie wymagała wielu zabiegów i wielkiego oszczędzania się. Mimo żalu i zawodu, Marcin musiał zrezygnować z wyjazdu.

— Kiedy już będziesz całkiem wyleczony, mój wierny towarzyszu, powróć zaraz do Paryża. Bądź spokojny, że dotrzymam swej obietnicy i uwolnię cię od niezwykłego prześladowcy. Obecnie zależy mi na tym podwójnie — oświadczył wicehrabia.

— Myśl o sobie, a nie o mnie, Wasza Wielmożność.

— Trzeba spłacić każdy dług — odpowiedział Gabriel. — Żegnajcie, drodzy przyjaciele. Nadeszła pora mojego powrotu do pana de Guise. W waszej obecności prosiłem go o pewne, uprzejmości. Myślę, że je wam wyświadczy ze względu na moje zasługi w ostatnich wydarzeniach.

Rodzina Peuquoy jednak nie zechciała pożegnać się z Gabrielem już teraz. Będą czekali na niego przy Porte de Paris, tam go ujrzą jeszcze raz i pożegnają.

Jedynie Marcin Guerre żegnał w tej chwili swego pana nie bez żalu i smutku. Gabriel pocieszał go dobrymi słowami, które umiał znaleźć na każdą okazję.

W kwadrans później wprowadzono wicehrabiego d'Exmès do diuka de Guise.

— Jesteś, ambitny rycerzu — powiedział do wchodzącego Franciszek de Lorraine.

— Całą moją ambicją było pomagać ci, jak umiałem najlepiej, Wasza Wysokość — rzekł Gabriel.

— Och, jeśli o to chodzi, to nie poprzestałeś na ambicji — odpowiedział Pokiereszowany. (Obdarzamy odtąd diuka owym imieniem czy raczej tytułem). — Nazywam cię ambitnym, Gabrielu, z powodu wielu niecodziennych próśb, jakie do mnie skierowałeś, a ja doprawdy nie wiem, czy będę mógł je zaspokoić.

— W samej rzeczy, Wasza Wysokość, są one na miarę twej szczodrobliwości, a nie moich zasług — odpowiedział Gabriel.

— Masz zatem piękną opinię o mojej szczodrobliwości — pokpiwał diuk de Guise. Po czym zwrócił się do siedzącego przy jego łóżku pana de Vaudemont, który przyszedł go odwiedzić: — Biorę cię na rozjemcę, rozsądzisz, czy wolno przedstawiać jakiemukolwiek księciu tak nędzne prośby.

— Przyjmij przeto, że niewłaściwie je wyraziłem, mierząc wedle swych zasług, a nie twojej hojności.

— Jeszcze raz niewłaściwie odpowiedziałeś. Twoja wartość stokroć przewyższa moje możliwości. Otóż posłuchaj, panie de Vaudemont, jakich niesłychanych łask żąda ode mnie wicehrabia d'Exmès.

— Z góry twierdzę, że będą nieznaczne dla ciebie, Wasza Wysokość, i dla niego. Zobaczymy, o co idzie — odpowiedział markiz de Vaudemont.

— Po pierwsze, pan d'Exmès prosi, żebym zabrał ze sobą do Paryża małą grupę ludzi, których sobie zwerbował poprzednio na własny koszt. Do tego czasu mam się nimi posługiwać wedle własnej woli. Dla siebie pozostawia jedynie czterech mężczyzn jako świtę w podróży do Paryża. Zuchy, których mi pożycza, to owe wcielone diabły, które wraz z nim przez tytaniczną wspinaczkę zdobyły niezwalczony fort Risbank. A więc kto komu świadczy przysługę, pan d'Exmès mnie, czy ja jemu?

— Muszę przyznać, że pan d'Exmès — rozsądził markiz de Vaudemont.

— Na honor, przyjmuję to nowe zobowiązanie — rzekł wesoło diuk de Guise. — Nie rozpieszczę bezczynnością twoich ośmiu chwatów, Gabrielu. Kiedy tylko będę mógł wstać, zabiorę ich ze sobą pod Ham, bowiem nie chcę Anglikom pozostawić ani piędzi ziemi w naszej Francji. Nawet Malemort, wiecznie ranny, tam pójdzie. Mistrz Paré obiecał, że wyzdrowieje on równocześnie ze mną.

— Będzie się czuł wielce szczęśliwy, Wasza Wysokość.

— Udzieliłem zatem pierwszej łaski bez większego wysiłku. Jako drugie zobowiązanie pan d'Exmès mi przypomina, że przebywa tutaj w Calais pani de Castro, córka króla, którą znasz, panie de Vaudemont, Anglicy trzymali ją tutaj jako zakładniczkę. Wicehrabia d'Exmès przypomina mi, że mimo przytłaczających mnie zajęć i kłopotów mam zapewnić owej damie królewskiej krwi opiekę i honory, jakie jej się należą. Czy to jest przysługa ze strony pan d'Exmès czy nie?

— Bez najmniejszej wątpliwości — odpowiedział markiz.

— A więc i drugi punkt załatwiony — rzekł diuk de Guise. — Wydałem już rozkazy. Chociaż uchodzę za złego dworaka, za bardzo mi zależy na obowiązkach rycerza względem dam, żebym całkowicie zapomniał o względach należnych obecnie osobie i pozycji pani de Castro. Kiedy zechce, odpowiednia eskorta odwiezie ją do Paryża.

Gabriel pokłonił się diukowi dla wyrażenia podziękowania bez słów, gdyż obawiał się, by nie dostrzeżono jego zainteresowania Dianą i jakie znaczenie przywiązuje do otrzymanej obietnicy.

— Po trzecie, lord Wentworth, były zarządca miasta, został uwięziony przez wicehrabiego d'Exmès. Podczas kapitulacji uzgodniliśmy z lordem Derby, że zgadzamy się go wypuścić za okup. Ale pan d'Exmès, do którego jeniec i okup należą, pozwala nam okazać wspaniałomyślność. Prosi w samej rzeczy o zezwolenie na odesłanie lorda Wentwortha do Anglii, ale zrzeka się okupu jako ceny za jego wolność. Czyż taki czyn nie przysporzy nam wielkiego honoru za kanałem? Czy pan d'Exmès nie oddaje nam przez to prawdziwej przysługi?

— Oczywiście, jeśli w tak nobliwy sposób pojmujesz to, Wasza Wysokość — rozstrzygnął pan de Vaudemont.

— Bądź zadowolony, Gabrielu, spełniłem twoją prośbą. Pan de Thiermes w imieniu twoim i moim udał się do lorda Wentwortha, żeby go uwolnić i zwrócić mu szpadę. Będzie mógł

odjechać, kiedy zechce.

— Dziękuję, Wasza Wysokość, ale nie uważaj mnie za tak wielkodusznego. Chciałem jedynie spłacić dług za uprzejme traktowanie mnie, kiedy byłem więźniem lorda Wentwortha. Jednocześnie chciałem mu dać nauczkę, lekcję zacnego postępowania. Przypuszczam, że zrozumie ją jako wymówkę i cichą aluzję.

— Masz prawo być bardziej wymagający i surowy pod tym względem niż inni — rzekł z powagą diuk de Guise.

Gabriel stwierdził z niepokojem, że jego zwierzchnik przemilcza sprawę dla niego najważniejszą, toteż rzekł:

— Pozwól mi przypomnieć sobie, Dostojny Panie, obietnicę, którą łaskawie uczyniłeś w moim namiocie w przeddzień zdobycia fortu Risbank.

— Poczekaj, niecierpliwy młodzieńcze! Oddaję ci trzy ogromne przysługi, co stwierdził pan de Vaudemont, a zatem mam prawo domagać się jednej od ciebie. Proszę cię, bo przecież wybierasz się wkrótce do Paryża, żebyś, zawiózł królowi klucze miasta" Calais…

— Och, Wasza Wysokość… — przerwał Gabriel z wybuchem wdzięczności.

— Przypuszczam, że nie sprawi ci to nadmiernego kłopotu. Już przyzwyczaiłeś się do tego rodzaju poleceń, bo przecież poprzednio podjąłeś się dostarczenia sztandarów zdobytych w kampanii italskiej.

— W swej łaskawości umiesz podwajać dobrodziejstwa! — rzekł ucieszony Gabriel.

— Oprócz tego oddasz przy okazji jego królewskiej mości kopię kapitulacji i list ode mnie, w którym oznajmiam o naszym sukcesie. Napisałem go dzisiaj rano własnoręcznie, mimo zastrzeżeń mistrza Ambrożego Paré. — Potem dodał ze znaczącą miną: — Nikt lepiej ode mnie nie potrafiłby oddać ci sprawiedliwości, zważywszy na mój autorytet. Mam nadzieję, że będziesz ze mnie zadowolony, a w konsekwencji i z króla. Weź, przyjacielu, oto są klucze, a tutaj pismo. Nie mam potrzeby ci polecać, byś ich pilnie strzegł.

— A ja, Wasza Wysokość, nie mam potrzeby ci deklarować, że jestem twój na śmierć i życie — rzekł wzruszonym głosem Gabriel.

Wziął drewnianą rzeźbioną szkatułkę i list z pieczęcią z rąk diuka de Guise. Oto były cenne talizmany, warte wolności ojca i jego własnego szczęścia.

— A teraz już cię nie zatrzymuję — rzekł diuk. — Pewnie pilno ci odjechać. Mam mniej szczęścia od ciebie. Po takim burzliwym poranku odczuwam silne zmęczenie, które bardziej stanowczo jeszcze niż mistrz Paré nakazuje mi kilka godzin spoczynku.

— Żegnam i jeszcze raz dziękuję, Wasza Wysokość — odpowiedział wicehrabia d'Exmes.

W tym samym momencie wszedł mocno skonsternowany pan de Thermes, którego diuk de Guise niedawno posłał do lorda Wentwortha.

— Ach — rzekł diuk do Gabriela — nasz ambasador zwycięstwa nie odjedzie, zanim nie zetknie się z ambasadorem w sprawie zwyciężonego. Co się stało, de Thermes? Wyglądasz na zmartwionego.

— Bo też jestem przygnębiony, Wasza Wysokość — odpowiedział pan de Thermes.

— Co się zdarzyło? Czy lord Wentworth…

— Zgodnie z twoim poleceniem, Dostojny Panie, oznajmiłem lordowi Wentworthowi, że jest wolny, i zwróciłem mu szpadę. Przyjął ją chłodno i nie wyrzekł słowa na taką łaskę. Odchodziłem już zdziwiony taką rezerwą, kiedy głośne krzyki przywołały mnie z powrotem. Lord Wentworth uczynił taki pierwszy użytek ze swojej Wolności, że przeszył swe ciało dopiero co otrzymaną szpadą. Skonał natychmiast i ujrzałem jedynie trupa.

— Ach! — zawołał diuk de Guise. — Rozpacz z powodu poniesionej klęski popchnęła go do takiej ostateczności. Czy nie myślisz podobnie, Gabrielu? To prawdziwe nieszczęście.

— Nie, Wasza Wysokość — odpowiedział Gabriel ze smutkiem i powagą — nie dlatego zadał sobie śmierć lord Wentworth, że został pokonany.

— Jak to? Jakaż mogła być przyczyna? — spytał Pokiereszowany.

— Pozwól, że ją przemilczę, Wasza Wysokość. Byłbym zachował ową tajemnicę za życia lorda, zachowam ją tym bardziej po jego śmierci. Jednak rzeknę ci poufnie — Gabriel ściszył głos — w obliczu takiej dumnej śmierci, że ja na jego miejscu postąpiłbym podobnie. Tak, lord Wentworth dobrze uczynił. Choćby miał się rumienić jedynie przede mną, sumienie rycerza samo jest nazbyt natrętnym świadkiem, by można było mu za wszelką ceną nakazać milczenie. Kiedy się ma honor należeć do rycerstwa w szlacheckim kraju, a zdarzy się jaki fatalny upadek, można z niego się podźwignąć jedynie przez śmierć.

— Pojmuję, Gabrielu. Winniśmy mu teraz oddać ostatnią przysługę — rzekł diuk de Guise.

— Teraz stał, się jej godny. Bolejąc gorzko nad takim nie uniknionym końcem cieszę się jednak, że mogę go za to szanować i boleć przed odjazdem, byłem bowiem jego gościem w Calais.

Gabriel po kilku minutach pożegnał się z diukiem de Guise ponawiając podziękowania i poszedł prosto do pałacu byłego zarządcy, gdzie mieszkała jeszcze pani de Castro.

Nie widział Diany od wczoraj. Zastał ją spokojną i silniejszą, bowiem dowiedziała się rychło wraz z całym Calais o udanym zabiegu Ambrożego Paré i ocaleniu diuka de Guise.

Zakochani bywają przesądni. Spokój ukochanej wpłynął dobrze na Gabriela.

Diana radowała się jeszcze bardziej, kiedy wicehrabia zdał jej sprawę z przebiegu rozmowy u diuka de Guise i pokazał jej list i szkatułkę, okupione tyloma wielkimi niebezpieczeństwami.

Wśród radosnych nastrojów jako dobra chrześcijanka dała upust chwili żalu z powodu zgonu lorda Wentwortha. Obrażał ją wprawdzie w ciągu jednej godziny, ale przez poprzednie trzy miesiące szanował ją i chronił.

— Niech Bóg mu przebaczy, jak i ja mu wybaczam — rzekła. Następnie Gabriel rozmawiał z nią o Marcinie, o rodzinie Peuquoy, o opiece, jaką jej zapewni diuk de Guise. Gwarzył z nią jeszcze o innych interesujących sprawach.

Aby dłużej przy niej przebywać, był gotów wynaleźć tysiące innych tematów. Jednak myśl o Paryżu nieubłaganie go przywoływała do obowiązków. Pragnął wyjechać i pozostać, był naraz szczęśliwy i niespokojny.

Czas biegł naprzód. Nadeszła chwila, kiedy Gabriel musiał oznajmić, że już odjeżdża. Nie mógł zwlekać dłużej niż chwilę.

— Odjeżdżasz, Gabrielu? Tym lepiej z tysiąca powodów! Nie miałam odwagi mówić z tobą o wyjeździe. Jednak nie zwlekając dłużej dajesz mi największy dowód uczucia, jaki mogę od ciebie przyjąć. Tak, przyjacielu, jedź, żebym nie tak długo cierpiała i czekała. Jedź, niech nasz los rozstrzygnie się jak najprędzej.

— Błogosławię cię za dzielność, która mnie podtrzymuje na duchu — odpowiedział Gabriel

— Tak, przed chwilą oboje odczuwaliśmy zażenowanie. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach, a nie ośmieliliśmy się przystąpić do głównej sprawy dla naszych serc, dla, naszego życia. Jeśli odjeżdżasz za kilka minut, możemy bez obawy powrócić do jedynego interesującego dla nas tematu.

— Jednym rzutem oka czytasz i w mojej, i w swojej duszy — rzekł Gabriel.

— Słuchaj przeto: oprócz listu od diuka de Guise zaniesiesz jego królewskiej mości drugi ode mnie, napisałam go ostatniej nocy. Oto on. Opisuję w nim, w jaki sposób mnie oswobodziłeś i ocaliłeś. Stanie się jasne dla króla i wszystkich, że zwróciłeś królowi Francji jego gród, a ojcu córkę. Tak mówię, bo spodziewam się, że moje uczucia do Henryka II nie kłamią, że nie wprowadzają mnie w błąd. Mam pełne prawo nazywać go swoim ojcem,

— Droga Diano! Gdybyż to była prawda!

— Zazdroszczę ci, Gabrielu, wcześniej ode mnie uchylisz rąbka naszego przeznaczenia. Pojadę w ślad za tobą, przyjacielu. Skoro pan de Guise jest tak dobrze do mnie ustosunkowany, poproszę go, żebym mogła jutro wyjechać. > Wprawdzie będę zmuszona podróżować w wolniejszym tempie niż ty, wyprzedzisz mnie w Paryżu o niewiele dni.

— O tak, przyjedź szybko. Twoja obecność przyniesie mi szczęście, tak mi się wydaje.

— W każdym razie nie chcę być całkowicie od ciebie odcięta. Chcę, żeby ktoś ci mnie przypominał od czasu do czasu. Musisz pozostawić tutaj wiernego giermka Marcina, weź zatem ze sobą francuskiego pazia, którego lord Wentworth przy mnie umieścił. Andrzej jest jeszcze dzieckiem, ma zaledwie siedemnaście lat, a z usposobienia jest jeszcze młodszy, niż wiek na to wskazuje. Jest jednak oddany, prawy i może ci usługiwać. Przyjmij go ode mnie. Wśród nieobytych żołnierzy, którzy ci towarzyszą, on będzie milszym, dającym się lubić służącym. Będzie mi przyjemnie wiedzieć, że jest przy tobie.

— Dzięki za tak delikatną troskliwość — rzekł Gabriel — ale wiesz przecież, że odjeżdżam za chwilę…

— Andrzej o tym wie. Jest niezmiernie dumny, że będzie należał do ciebie. Już się przygotował do odjazdu, muszę mu tylko dać kilka ostatnich pouczeń. Zanim się pożegnasz z ową zacną rodziną Peuquoy, Andrzej dołączy do ciebie, nim wyjedziesz z Calais.

— Przyjmuję z radością — odpowiedział Gabriel. — Będę miał z kim rozmawiać niekiedy o tobie.

— O tym także pomyślałam — rzekła pani de Castro rumieniąc się lekko. — A teraz żegnaj, trzeba wreszcie się pożegnać.

— Nie mów żegnaj, to smutne słowo rozłąki. Nie żegnaj, ale do zobaczenia!

— Niestety! Kiedy i jak spotkamy się? Jeśli zagadka naszego losu rozstrzygnie się nieszczęśliwie, czy nie byłoby lepiej już nigdy się nie widzieć?

— Nie mów tak, Diano — zawołał Gabriel. — Nie mów tak! Poza tym, jeśli nie ja osobiście, to kto cię powiadomi o nieszczęśliwym albo pomyślnym rozwikłaniu?

— O Boże! — Diana zadrżała. — Bez względu na to, jakie będzie zakończenie, pomyślne czy złe, umrę z radości albo z bólu, bylebym usłyszała je z twoich ust.

— Co uczynić, żebyś wiedziała?

— Poczekaj minutę.

Zdjęła z palca złoty pierścień, potem wyjęła z kufra welon zakonnicy, który nosiła na głowie w klasztorze benedyktynek w Sant–Quentin. Rzekła uroczyście:

— Słuchaj, Gabrielu. Możliwe, że wszystko się rozstrzygnie przed moim powrotem. Wtedy wyślij z Paryża Andrzeja na moje spotkanie. Jeśli Bóg jest po naszej stronie, paź przyniesie ten oto pierścień ślubny wicehrabinie de Montgomery. Jeśli nadzieja nas zawiedzie, to zwróci mi woal zakonny siostry Beaty.

— Pozwól, abym u twych stóp czcił cię jak anioła! — rzekł młodzieniec z duszą przejętą tak wzruszającym dowodem miłości.

— Nie, Gabrielu nie, powstań. Bądźmy twardzi i godni bożych zamiarów. Złóż na moim czole czysty, braterski pocałunek, taki jaki ja składam na twoim, aby cię obdarzyć wiarą i energią, na tyle, na ile jest to w mojej mocy.

W milczeniu wymienili ów bogobojny, żałosny pocałunek.

— A teraz rozstaniemy się, przyjacielu, bo tak trzeba. Nie mówmy: żegnaj, ale do widzenia! Na tym świecie lub na innym.

— Do widzenia! Do widzenia! — szeptał Gabriel.

Bez słowa przyciskał Dianę do swej piersi, patrzył na nią zachłannie, jakby chciał z jej

pięknych oczu zaczerpnąć siły, której tak bardzo było mu trzeba.

Wreszcie na smutny, ale wymowny znak z jej strony wypuścił ją z ramion. Pierścień włożył na palec, a welon schował w zanadrzu.

— Do zobaczenia, Diano — rzekł jeszcze raz stłumionym głosem.

— Gabrielu, do zobaczenia! — odpowiedziała Diana z gestem nadziei.

Gabriel uciekł jak nieprzytomny.

W pół godziny później wicehrabia d'Exmes, spokojniejszy znacznie, opuszczał miasto Calais, które zwrócił Francji. Był konno, towarzyszył mu młody paź Andre, a także czterech jego wolontariuszy.

Był to Ambrosio, ucieszony, że zawiezie do Paryża kilka drobnych towarów angielskich, które zbędzie korzystnie w sąsiedztwie dworu.

Drugi to Pilletrousse, który w zdobytym mieście czuł się zwycięzcą i panem wraz z innymi. Obawiał się pokus i powrotu do dawnych przyzwyczajeń.

Yvonnet natomiast w prowincjonalnym mieście Calais nie znalazł ani jednego krawca godnego zaufania. Jego ubiór był nadmiernie zniszczony wśród tylu przejść i nie prezentował się okazale. Zastąpi go odpowiednim nowym jedynie w Paryżu.

Lactance chciał towarzyszyć swemu panu, żeby spowiednik go uspokoił, że liczba jego czynów wojennych nie przekroczyła liczby modlitw pokutnych, że aktywa jego umartwień dorównują pasywom wynikłym z działań na polu bitew.

Piotr i Jan Peuquoy wraz z Babetką zechcieli odprowadzić pieszo pięciu jeźdźców aż do bramy zwanej paryską. Tam trzeba było już koniecznie się rozstać. Gabriel słowami i ręką wyraził ostatnie pożegnanie przyjaciołom, a oni ze łzami w oczach przesyłali mu tysiące życzeń i błogosławieństw.

Wkrótce Peuquoy stracili z oczu mały oddział, który ruszył kłusem i zniknął za zakręcie drogi. Zacni mieszczanie rozdartym sercem wrócili do Marcina.

Jeśli chodzi o Gabriela, nie był smutny, lecz poważny. Miał nadzieję!

Już przedtem raz jeden Gabriel tak opuszczał Calais, żeby znaleźć w Paryżu rozstrzygnięcie swego losu. Ale tamtym razem okoliczności były mniej korzystne: był niespokojny o Marcina, o Babetkę i o rodzinę Peuquoy, niespokojny zwłaszcza o Dianę, pozostawioną jako brankę zakochanego lorda Wentwortha. Wreszcie nieokreślone przeczucia co do przyszłości nie mówiły mu nic dobrego. Przecież jedynie przedłużył opór miasta, ale ono było stracone dla ojczyzny. Czy to była dość wielka zasługa dla otrzymania tak wielkiej nagrody?

Dzisiaj nie pozostawiał poza sobą żadnych większych trosk. Obaj drodzy sercu ranni, generał i giermek, zostali ocaleni. Ambroży Pars odpowiadał za ich wyzdrowienie. Babetka miała poślubić mężczyznę, którego kochała i który ją kochał. Jej honor i szczęście były zapewnione. Pani de Castro była wolna i traktowana jak królowa we francuskim mieście, a jutro wyjedzie, żeby połączyć się z Gabrielem w Paryżu.

Nasz bohater dostatecznie długo walczył z losem, teraz spodziewał się, że go przezwyciężył. Doprowadził do końca swe zamiary, dostarczając pomysłu i środków do zdobycia Calais. Nie ulegało dyskusji, że za taki czyn nikt nie będzie się targował o cenę. Klucze od Francji przekaże królowi Francji. Taka waleczność uprawniała, bez wątpienia do najdalej posuniętych ambicji, a w odniesieniu do osoby wicehrabiego d'Exmès były one uzasadnione i święte.

Miał nadzieję! Dźwięczały mu jeszcze w uszach pociechy, zachęty i słodkie obietnice Diany, a także ostatnie życzenia rodziny Peuquoy. Gabriel widział obok siebie Andrzeja, którego obecność przypominała mu ukochaną. Otaczali go oddani, waleczni żołnierze. Przed sobą miał mocno przytwierdzoną do łęku siodła szkatułkę zawierającą klucze od Calais. Dotykał sajana czując pismo w sprawie kapitulacji i bardzo cenne listy od diuka de Guise i pani de Castro.

Pierścień Diany połyskiwał na jego małym palcu. Ileż wymownych posiadanych gwarancji szczęścia!

Nawet niebo, mocno błękitne i bezchmurne, zdawało się napełniać nadzieją. Orzeźwiające, czyste powietrze sprawiało, że krew dobrze krążyła w żyłach. Tysiące szmerów dochodzące z pól i łąk o wieczornym zmierzchu niosły uspokojenie, a słońce zachodziło w splendorze purpury na prawo od Gabriela, natura obdarzała jego oczy i myśli kojącym widokiem.

Nie sposób wyruszyć w drogę ku upragnionemu celowi pod lepszą wróżbą!

Przekonamy się, co nastąpiło.

IX. CZTEROWIERSZ

Dnia dwunastego stycznia 1558 roku wieczorem u królowej Katarzyny de Medici odbywało się przyjęcie, jedno z takich, o jakich już mówiliśmy, gromadzili się wtedy wokół króla książęta i szlachta.

Dzisiejsze było wielce wykwintne i bardzo ożywione, chociaż wojna zatrzymywała jeszcze na Północy przy diuku de Guise znaczną część rycerstwa.

Wśród niewiast były, oprócz prawowitej królowej, Katarzyny, faktyczna władczyni, Diana de Poitiers, młoda następczyni tronu królowa Maria Stuart i melancholijna księżniczka Elżbieta, mająca wkrótce stać się królową Hiszpanii, jej tak podziwiana uroda miała jej w przyszłości przynieść nieszczęście.

Wśród mężczyzn znajdował się Antoni, obecna głowa rodu Burbonów, król Nawarry, niezdecydowany i słaby. Jego żona o męskim sercu, Joanna d'Albret, wysłała go na dwór francuski, żeby dzięki wstawiennictwu Henryka II starał się odzyskać ziemie Nawarry skonfiskowane przez Hiszpanię.

Jednak Antoni de Bourbon popierał teorie kalwinistów, wobec czego nie był dobrze widziany na dworze, który kazał palić heretyków.

Jego brat, Ludwik de Bourbon, książę de Condé, także tu był, ale umiał nakazać sobie większy szacunek, a może nawet go tutaj lubiano. Był on zaciętszym kalwinistą niż król Nawarry, uważano go za tajemnego przywódcę zbuntowanych. Miał jednak dar pozyskiwania sobie ludu. Śmiało dosiadał konia i zręcznie władał szpadą, oraz sztyletem, chociaż był niskiego wzrostu, a zbyt szeroki w barach. Był dowcipnym galantem, namiętnie kochał niewiasty, a popularna piosenka tak go opiewała:

Taki drobny, taki gładki,
śmieje się i prawi gadki,
wciąż całuje swoją lubą,
Bóg go strzeże przez złem, zgubą.

W kręgu króla Nawarry i księcia de Condé grupowali się — oczywiście dworzanie, którzy jawnie lub skrycie stali po stronie reformacji: admirał Coligny, La Renaudie, baron de Castelnau dopiero co przybyły z Turenii po raz pierwszy dostąpił prezentacji na dworze. Mimo wielu nieobecnych jak widzimy, towarzystwo było liczne i dystyngowane. Wśród gwaru, ożywienia i radości dwaj ludzie zdradzali roztargnienie, byli poważni, a nawet smutni.

Z całkiem odmiennych przyczyn tak się zachowywali król i konetabl de Montmorency.

Henryk II ciałem był w Luwrze, a myślą w Calais.

Od trzech tygodni, odkąd wyjechał diuk de Guise, myślał bez przerwy, dniem i nocą o ryzykownej wyprawie, która mogła wygnać Anglików na zawsze z królestwa, ale mogła także ciężko narazić na niebezpieczeństwo losy Francji. Niejeden raz wyrzucał sobie, że pozwolił panu de Guise na tak ryzykowny krok.

Jeśli wyprawa zawiedzie, jakiż to będzie wstyd wobec Europy! Ileż trzeba będzie wysiłków, żeby naprawić taką porażkę. Dzień pod Saint–Laurent jest niczym w porównaniu z obecną sytuacją. Konetabl poniósł klęskę, a Franciszek de Lorraine poszedł jej tam szukać.

Król od trzech dni nie miał wieści od oblegającej armii, był więc pochłonięty smutkiem i od niechcenia słuchał zapewnień kardynała de Lorraine, który stojąc przy jego fotelu usiłował dodać

mu otuchy i wzniecić nadzieję.

Diana de Poitiers dostrzegła zły humor swego królewskiego kochanka. Ale po drugiej stronie ujrzała pana de Montmorency, ponurego podobnie jak król, więc podeszła do niego. On także dręczył się oblężeniem Calais, ale w całkiem innym sensie.

Król obawiał się klęski, konetabl lękał się zwycięstwa.

W rzeczy samej, sukces wysunąłby definitywnie diuka de Guise na pierwsze miejsce, a odtrącił konetabla na drugie. Ocalenie Francji stałoby się zgubą biednego konetabla! Jego egoizm zawsze górował nad patriotyzmem.

Toteż bardzo krzywo patrzył na piękną faworytę, która z uśmiechem zbliżała się do niego.

Przypominamy sobie, jaką dziwną, gorszącą miłość żywiła do brutalnego wojaka metresa najwytworniejszego króla pod słońcem.

— Co ci jest dzisiaj, mój stary woju? — spytała bardzo pieszczotliwym tonem.

— Ty również ze mnie szydzisz, pani! — rzekł Montmorency z goryczą.

— Ja z ciebie szydzę? Nie wierzysz sam w to, co mówisz, przyjacielu.

— Myślę o tym, co mówisz — odpowiedział konetabl ze złością. — Zwiesz mnie swym starym wojem. Starym? To prawda, nie jestem dwudziestoletnim fircykiem. Wojem? Nie. Widzisz przecie, uważają, że nie jestem zdolny do niczego więcej, jak tylko paradować ze szpadą po salach Luwru.

— Nie mów tak — rzekła czule spoglądając. — Czyż nie jesteś ciągle KONETABLEM?

— Co znaczy konetabl, jeśli jest generalny namiestnik w królestwie?

— Ów ostatni tytuł ulegnie zniesieniu, kiedy miną wydarzenia, które go ustanowiły. Twój nie podlega odwołaniu. Najwyższa godność wojskowa w królestwie przeminie dopiero wraz z tobą.

— Toteż należę już do przeszłości i śmierci — rzekł konetabl śmiejąc się gorzko.

— Po co to mówisz, przyjacielu? Twoja potęga nie ustała, budzisz postrach równie wśród wrogów z zewnątrz, jak i wśród osobistych nieprzyjaciół wewnątrz kraju.

— Pomówmy poważnie, Diano, nie starajmy się wzajemnie zwodzić słowami.

— Jeśli wprowadzam cię w błąd, to znaczy, że sama się mylę. Jeśli mi przedstawisz dowody prawdy, nie tylko uznam natychmiast swoją pomyłkę, ale ją naprawię, jak będę mogła.

— Dobrze. Każesz drżeć przede mną zewnętrznym wrogom, to pocieszające słowa. Kogo istotnie wysłano przeciw nieprzyjacielowi? Młodszego i niewątpliwie mającego więcej szczęścia ode mnie generała. Będzie on mógł pewnego dnia wykorzystać swe szczęście na własny rachunek.

— Skąd wiesz, że diukowi de Guise się powiedzie? — spytała ze zręcznym pochlebstwem.

— Jego niepowodzenie stałoby się dla Francji okropnym nieszczęściem, które opłakiwałbym, gorzko w imieniu kraju. Ale jego sukcesy mogłyby się stać dla króla straszniejszym nieszczęściem, czego się obawiam — odpowiedział z hipokryzją konetabl.

— Przypuszczasz, że ambicje papa de Guise…

— Wysondowałem je, są wygórowane — rzekł zawistny dworak. — Gdyby na skutek jakiegokolwiek przypadku nastąpiła zmiana na tronie, czy pomyślałaś, Diano, do czego mogłaby doprowadzić taka ambicja wspomagana wpływami Marii Stuart na umysł młodego! niedoświadczonego króla? Moje oddanie twoim interesom całkowicie zraziło do mnie królową Katarzyną. Ród de Guise stanie się bardziej władczy od samego władcy.

— Dzięki Bogu, że takie nieszczęście jest całkiem nieprawdopodobne i bardzo dalekie — odpowiedziała Diana nie mogąc powstrzymać się od myśli, że sześćdziesięcioletni konetabl tak łatwo przepowiadał śmierć czterdziestoletniego króla.

— Istnieją przeciwko nam inne możliwości, całkiem bliskie i jeszcze straszniejsze — rzekł pan de Montmorency kiwając głową z poważną miną.

— Owe niekorzystne możliwości jakież są, przyjacielu?

— Czy utraciłaś pamięć, Diano? Albo udajesz, że nie wiesz, kto odjechał do Calais z diukiem de Guise, kto mu podszepnął wedle wszelkiego prawdopodobieństwa myśl o zuchwałej wyprawie, kto powróci tutaj jako triumfator razem z nim wiedząc, że jemu przypadnie część zaszczytu w zwycięstwie?

— Czy mówisz o wicehrabi d'Exmès?

— A o kimże innym, pani? Jeśli zapomniałaś o jego niezwykłej obietnicy, to on ją pamięta! Co więcej, to szczególne ryzyko! Jest zdolny dotrzymać przyrzeczenia i zgłosić się zuchwale z żądaniem dotrzymania obietnicy przez króla!

— To niemożliwe!

— Co ci się wydaje niemożliwe? Żeby pan d'Exmès dotrzymał słowa? Czy żeby król dotrzymał swego?

— Oba przypuszczenia są równie szalone i absurdalne. Drugie jeszcze bardziej niż pierwsze.

— Gdyby jednak pierwsze się spełniło, drugie musiałoby wyniknąć z pierwszego. Król ma słabostkę do spraw honoru. Byłby gotów unieść się prawością rycerską i wydać swój i nasz sekret w ręce wroga…

— Powtarzam, że to bezsensowne przypuszczenie! — zawołała pobladła Diana.

— A jeśli dotkniesz rękami i ujrzysz na własne oczy owo widziadło? Co wtedy uczynisz?

— Nie wiem, drogi konetablu. Trzeba by obmyślić coś, szukać, działać. Wszystko raczej niż taka ostateczność. Gdyby król od nas odstąpił, obejdziemy się bez króla. Z góry jesteśmy pewni, że nie ośmieli się nas potępiać po fakcie. Posłużymy się własną władzą, naszymi osobistymi możliwościami.

— Na to czekałem! Nasza władza, nasze osobiste możliwości! Mów o sobie, pani! Jeśli chodzi o mnie, mój autorytet upadł tak nisko, ze szczerze mówiąc uważam, iż już nie istnieje. Moi wewnętrzni wrogowie, nad czym przed chwilą tak się użalałaś, mieliby teraz przed sobą piękną passę. Każdy dworzanin na tym dworze ma większą władzę niż godny pożałowania konetabl. Widzisz, jak pusto wokół mnie! To proste! Kto by się troszczył i ubiegał o łaski podupadłego władcy? Będzie dla ciebie pewniej, pani, żebyś nie liczyła odtąd na starego sługę, który popadł w niełaskę, pozostał bez przyjaciół, bez wpływów, a nawet bez pieniędzy.

— Bez pieniędzy? — z niedowierzaniem powtórzyła Diana.

— Ależ tak! Na Mękę Pańską! Bez pieniędzy, pani — powtórzył z gniewem konetabl. — W moim wieku, po tylu wyświadczonych przysługach to jest najboleśniejsze! Ostatnia wojna mnie zrujnowała, okup za mnie i moich ludzi wyczerpał ostatnie zasoby pieniężne. Dobrze o tym wiedzą ci, którzy mnie opuszczają. Nadejdzie dzień, kiedy będę zmuszony chodzić po ulicy i prosić o jałmużnę, jak ów generał kartagiński, Belizariusz, słyszałem, jak o nim mówiono przy moim siostrzeńcu admirale.

— Ach, konetablu, czyż nie masz. przyjaciół? — spytała Diana śmiejąc się w duchu z erudycji i chciwości swego starego kochanka.

— Nie, nie mam już przyjaciół, mówię ci. — Po chwili dodał tonem patetycznym: — Nieszczęśliwi ich nie mają.

— Dowiodę ci, ze tak nie jest. Już wiem, skąd się bierze twój zły humor, w którym się pogrążasz. Czemu wcześniej nie mówiłeś? Brak ci zaufania do mnie? To źle. Mniejsza z tym. Pragnę się zemścić jak przyjaciółka. Rzeknij mi, czy król nie pobrał nowego podatku w ubiegłym tygodniu.

— Tak, droga Diano, to podatek bardzo sprawiedliwy i nielichy na pokrycie kosztów wojny — odpowiedział rozpogodzony konetabl.

— To mi wystarczy. Chcę ci okazać, że niewiasta zdoła naprawić niesprawiedliwość fortuny

względem tak zasłużonego męża jak ty. Henryk jest także w bardzo złym usposobieniu. Wszystko jedno. Natychmiast do niego przystąpię. Będziesz musiał przyznać, że jestem wierną sojuszniczką i dobrą przyjaciółką.

— Diano, równie dobra jak piękna! Odtąd będę to głosił — rzekł z galanterią Montmorency.

— Ale ty także nie opuścisz mnie w potrzebie, stary lwie, kiedy przeze mnie odzyskasz autorytet i łaskę? I nie będziesz opowiadał oddanej przyjaciółce o bezsilności wobec jej i swoich wrogów?

— Droga Diano, całym sobą, wszystkim, co mogę, czyż nie jestem ci oddany? Jeśli smucę się niekiedy utratą swoich wpływów, to jedynie dlatego, że lękam się nie tak dobrze służyć mej pięknej władczyni i pani.

— Świetnie — odpowiedziała Diana z najbardziej obiecującym uśmiechem.

Położyła swą białą królewską rączkę na skrytych wśród wąsów i brody wargach wysłużonego adoratora. On złożył czuły pocałunek. Uspokajając go pożegnalnym spojrzeniem poszła bez zwłoki do króla.

Kardynał de Lorraine pozostawał ciągle przy Henryku, referując sprawy nieobecnego brata i uspokajając z wielką elokwencją króla co do losów zuchwałej wyprawy pod Calais. Henryk jednak raczej się poddawał swym niespokojnym myślom niż pociechom kardynała.

W takiej właśnie chwili pani Diana zbliżyła się do nich. Z żywością zwróciła się do kardynała:

— Ręczę, że Wasza Eminencja źle mówi do' króla o biednym panu de Montmorency.

Karol de Lorraine był zaskoczony nieprzewidzianą napaścią:

— Pani, ośmielam się wziąć na świadka jego królewską mość, że nazwisko pana konetabla nawet nie zostało wymówione podczas naszej rozmowy.

— To prawda — lekceważąco odpowiedział król.

— To także sposób, żeby mu się źle przysłużyć.

— Jeśli mi nie wolno ani mówić, ani milczeć na temat konetabla, to cóż mam czynić, pani?

— Należało o nim mówić dobrze — odpowiedziała Diana.

— Zgoda! — rzekł chytry kardynał. — Będę mówił, bo zawsze jestem posłuszny i poddany rozkazom pięknej damy. Powiem, że pan de Montmorency jest opatrznościowym mężem wojny, że wygrał bitwę pod Saint–Laurent i umocnił chwałę Francji, że w obecnej chwili dla dokończenia swego dzieła podjął zaszczytną ofensywę przeciw wrogom i usiłuje dokonać niezapomnianego wyczynu pod murami Calais.

— Calais, Calais! Kto mi dostarczy wieści z Calais! — wyszeptał król, który z całej tej utarczki słownej między ministrem a faworytą usłyszał tylko ten jeden wyraz.

— Masz godny podziwu chrześcijański sposób chwalenia, panie kardynale — odpowiedziała Diana. — Winszuję takiego zjadliwego miłosierdzia.

— Doprawdy, pani, nie widzę, jaką pochwałę można by znaleźć dla biednego, jak rzekłaś, pana de Montmorency.

— Bo źle szukasz, eminencjo. Czy na przykład nie można by mu oddać sprawiedliwości wspomnieniem o zapale, z jakim konetabl organizuje w Paryżu środki obrony i gromadzi resztki wojsk rozsiane po Francji, gdy tymczasem inni ryzykują i narażają główne siły narodowe podczas awanturniczych wypraw?

— Och — tylko tyle rzekł kardynał.

— Niestety — westchnął król, do jego umysłu docierało jedynie to, co wiązało się z jego troską.

— Czyżby nie można było dodać, że jeśli przypadek nie sprzyjał wspaniałym wysiłkom pana de Montmorency, jeśli niepowodzenie sprzysięgło się przeciw niemu, to jest przynajmniej pozbawiony wszelkiej osobistej ambicji? Dla niego istnieje jedynie sprawa ojczyzny i wszystko

dla niej poświęcił. Narażał jako pierwszy swe życie, odebrano mu na długo wolność, a nawet fortunę utracił, tak że nic mu już nie pozostało.

— Ach! — tylko tyle rzekł ze zdziwieniem kardynał.

— Tak, Wasza Eminencjo, pan de Montmorency jest zrujnowany.

— Zrujnowany? Naprawdę? — spytał kardynał.

— Tak, jest zrujnowany — mówiła bezwstydna faworyta — że przychodzę właśnie do króla, by prosić jego królewską mość o pomoc dla jego lojalnego sługi w ciężkiej sytuacji.

Ponieważ król, zamyślony wciąż, nie odpowiedział, Diana dodała; zwracając się bezpośrednio do niego, by pobudzić jego uwagę:

— Tak, Najjaśniejszy Panie, zaklinam cię stanowczo, żebyś przyszedł z pomocą swemu wiernemu konetablowi, którego wysoki okup i znaczne koszty wojny prowadzonej w służbie Waszej Królewskiej Mości pozbawiły ostatnich środków… Czy słyszysz mnie, Najjaśniejszy Panie?

— Wybacz mi, pani — rzekł Henryk — nie mogę dzisiaj skupić uwagi na takim temacie. Dobrze wiesz, że myśl o możliwości klęski pod Calais całkowicie mnie pochłania.

— Właśnie dlatego uważam, że Wasza Królewska Mość powinien troszczyć się i popierać osobę, która z góry się przygotowuje do pomniejszenia skutków klęski, jeśli spadnie ona na Francję.

— Ale nam samym takoż brak pieniędzy jak i konetablowi.

— A ten nowo ustanowiony podatek? — spytała Diana.

— Pieniądze owe są przeznaczone na opłacenie żołdu i utrzymanie wojsk — wyjaśnił kardynał.

— A zatem największa ich część powinna przypaść dowódcy wojsk.

— Przecież dowódca jest w Calais — przypomniał kardynał.

— Nie, on jest w Paryżu, w Luwrze — oświadczyła Diana.

— Chcesz przeto, żeby wynagradzać klęskę, pani? — To lepiej niż podsycać szaleństwo.

— Dość! — przerwał król. — Czy nie widzicie, że taka kłótnia mnie męczy i obraża? Czy wiesz, pani, czy wiesz, panie de Lorraine, jaki czterowiersz znalazłem niedawno w swoim modlitewniku?

— Czterowiersz? — razem powtórzyli Diana i kardynał.

— Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, brzmi on tak:

Jeśli czynisz wszystko, co miłe Karolowi,
i przyzwalasz Dianie rządzić swą osobą,
dajesz się łamać, gnieść, miękniesz, tajesz do woli,
niczym wosk się stajesz, sire, nie jesteś już sobą.

Diana bynajmniej się nie zmieszała:

— Dworna gra słów, która mi przypisuje większy wpływ na Waszą Królewską Mość, niż naprawdę jest, niestety!

— Nie powinnaś, pani, nadużywać swego wpływu właśnie dlatego, że go masz — odpowiedział: król.

— Czyż mam rzeczywiście? — rzekła Diana głosem pełnym słodyczy. — Najjaśniejszy Panie, zgadzasz się zatem na to, o co cię proszę dla konetabla?

— Zgoda! — rzekł król nieborak. — Myślę, że teraz już mnie zostawisz w spokoju z bolesnymi przeczuciami, w niepokoju.

Widząc dowód takiej słabości kardynał wzniósł oczy ku niebu. Diana rzuciła mu triumfujące

spojrzenie.

— Dzięki, Wasza Królewska Mość. Jestem ci posłuszna i odchodzę. Ale odegnaj od siebie obawę i niepokój, Najjaśniejszy Panie. Zwycięstwo sprzyja szczodrym, moim zdaniem zwyciężysz.

— Przyjmuję dobrą wróżbę, Diano — podziękował król. — Z jakąż radością otrzymałbym taką wieść! Od pewnego czasu nie sypiam, nic dla mnie nie istnieje! Mój Boże, jak jest ograniczona władza króla! Nie mieć możności dowiedzieć się, co w danej chwili dzieje się w Calais! Na próżno mi prawisz pociechy, kardynale, milczenie twego brata jest przerażające. Wieści z Calais, kto mi je przywiezie, o Jezu!

Wszedł odźwierny pełniący służbę, pokłonił się przed królem i głośno rzekł:

— Wysłannik pana de Guise przybyły z Calais ubiega się o łaskawe posłuchanie u Waszej Królewskiej Mości.

— Wysłannik z Calais! — powtórzył król wstając, z błyszczącym wzrokiem, ledwie panując nad sobą.

— Wreszcie! — rzekł kardynał drżąc cały z lęku i radości.

— Wprowadź wysłańca pana de Guise, wprowadź natychmiast! — żywo rozkazał król.

Oczywiście, że wszelkie rozmowy umilkły, wszystkie piersi falowały, wszystkie spojrzenia skierowały się ku drzwiom.

Gabriel wkroczył w krąg ciszy nieruchomych posągów.

X. WICEHRABIA DE MONTGOMERY

Świtę Gabriela, podobnie jak po powrocie z Italii, stanowiło czterech pachołków. Byli to Ambrosio, Lactance, Yvonnet i Pilletrousse. Nieśli sztandary angielskie, ale zatrzymali się przed progiem sali.

Młodzieniec trzymał oburącz aksamitną poduszkę, na niej leżały dwa listy i klucze miasta.

Na ów widok twarz Henryka II przybrała dziwny wyraz radości pomieszanej z przerażeniem. Zdawał się pojmować, jaka to pomyślna przesyłka, ale surowy posłaniec go niepokoił.

— Wicehrabia d'Exmès — wyszeptał widząc zbliżającego się wolnym krokiem Gabriela,

Pani de Poitiers i konetabl, wymieniając między sobą alarmujące spojrzenie, również wyjąkali po cichu:

— Wicehrabia d'Exmès!

Tymczasem Gabriel, uroczysty i poważny, zgiął kolano przed królem i rzekł pewnym tonem:,

— Najjaśniejszy Panie, oto klucze miasta Calais, które Anglicy złożyli w ręce pana diuka de Guise po siedmiu dniach oblężenia i trzech zaciętych szturmach. Pan diuk de Guise śpieszy oddać je Waszej Królewskiej Mości.

— Calais do nas należy? — spytał jeszcze król, chociaż doskonale usłyszał za pierwszym razem.

— Calais jest nasze, Najjaśniejszy Panie — powtórzył Gabriel.

— Niech żyje król! — krzyknęli jednogłośnie wszyscy obecni, z wyjątkiem może konetabla de Montmorency.

Henryk II myślał jedynie o rozwianych obawach, o wspaniałym triumfie swoich wojsk i z rozpromienioną twarzą zwrócił się ku wzruszonym zebranym:

— Dziękuję, panowie, dziękuję. W imieniu Francji przyjmuję wasze okrzyki, ale nie powinny one kierować się wyłącznie do mnie. Słuszne jest, aby większa ich część była wzniesiona na cześć walecznego dowódcy wyprawy, na cześć mojego szlachetnego kuzyna pana de Guise.

Szmer aprobaty przebiegł przez zgromadzenie. Ale nie nadszedł jeszcze czas, żeby ośmielono się wołać w obecności króla: Niech żyje diuk de Guise!

— W czasie nieobecności naszego drogiego kuzyna jesteśmy szczęśliwi, że możemy skierować powinszowania i dzięki na" ręce pana kardynała de Lorraine, który go reprezentuje, a także tobie dziękujemy, wicehrabio d'Exmès, za to, że podjąłeś się owej chwalebnej misji.

— Najjaśniejszy Panie — z respektem ale śmiało rzekł Gabriel pochylając się przed królem — wybacz mi, Najjaśniejszy Panie, ale od czasu zdobycia Calais nie nazywam się już wicehrabią d'Exmès.

— Jak to? — spytał król marszcząc brwi.

— Najjaśniejszy Panie, od dnia zdobycia Calais przypuszczam, że mogę się zwać moim prawdziwym nazwiskiem, posługiwać moim należnym mi tytułem: wicehrabia de Montgomery.

Nazwisko, które od wielu lat nie było głośno wymawiane na dworze, wywołało powszechne zdumienie. Młodzieniec tytułował siebie wicehrabia de Montgomery, a zatem hrabia de Montgomery, jego ojciec, jeszcze żyje! Co znaczy powrót tak sławnego niegdyś starego nazwiska? Po tak długotrwałym zniknięciu?

Król nie słyszał owych niegłośnych komentarzy, ale bez trudu ich się domyślał. Stał się bielszy od swej italskiej krezy, wargi mu drżały ze zniecierpliwienia i gniewu.

Pani de Poitiers także zadrżała. Konetabl, skryty w swoim kącie, utracił ponurą nieruchomość. Jego mętne spojrzenie rozgorzało.

— Co to ma znaczyć, panie? — spytał król z trudem nadając głosowi łagodne brzmienie. — Jakie nazwisko śmiesz sobie przybierać? Skąd się bierze taka zuchwałość?

— To moje nazwisko, Najjaśniejszy Panie — spokojnie odpowiedział Gabriel. — To, co Wasza Królewska Mość uważasz za zuchwałość, świadczy o mojej ufności.

Było znać, że Gabriel chciał śmiało i nieodwołalnie przystąpić do rozgrywki, wszystko rzucić na jedną kartę zarówno przed królem jak przed sobą zamknąć drogę do wahania czy odwrotu.

Henryk pojął to równie dobrze, ale obawiał się, że wybuchnie gniewem. Dla odwleczenia przynajmniej skandalu, którego się lękał, rzekł:

— Twoja osobista sprawa może zaczekać, panie. Nie zapominaj, że w obecnej chwili jesteś wysłannikiem pana de Guise, i wydaje mi się, że nie dokończyłeś jeszcze swej misji.

— To prawda — rzekł Gabriel z głębokim ukłonem. — Mam jeszcze złożyć przed Waszą Królewską Mością sztandary zdobyte na Anglikach. Oto one. I jeszcze doręczyć list napisany własnoręcznie przez pana diuka de Guise.

Podał na poduszce pismo od. Pokiereszowanego. Król je wziął, złamał pieczęć, rozerwał kopertę i podał szybko list kardynałowi de Lorraine.

— W twoje ręce, panie kardynale, miej przyjemność przeczytać głośno list od brata. Nie jest adresowany do króla, ale do Francji.

— Jak to, Najjaśniejszy Panie? Wasza Królewska Mość życzy sobie?

— Pragnę, żebyś przyjął zaszczyt, jaki ci się należy, panie kardynale.

Karol de Lorraine pokłonił się, wziął z uszanowaniem z rąk króla list, rozłożył i przeczytał następujące słowa wśród ogólnego głębokiego milczenia:

„Najjaśniejszy Panie,

Dzierżymy Calais pod swoją władzą. W ciągu tygodnia odebraliśmy Anglikom to, co przed dwoma wiekami kosztowało ich rok oblężenia.

Guines i Ham, dwa ostatnie punkty, jakie jeszcze mają we Francji, nie zdołają teraz długo się utrzymać. Ośmielam się przyobiecać Waszej Królewskiej Mości, że w niecałe dwa tygodnie nasi odwieczni wrogowie zostaną definitywnie wygnani z całego królestwa.

Uważałem, że powinienem okazać się wspaniałomyślnym dla zwyciężonych. Złożyli broń, amunicję, oddali działa. Warunki kapitulacji, na jakie się zgodziłem, dają mieszkańcom Calais prawo wyemigrowania wraz z posiadanym mieniem do Anglii, jeśli tego sobie życzą. Byłoby niebezpiecznie pozostawić w nowo zajętym mieście taki aktywny ferment rewolty.

Liczba naszych poległych i rannych jest nieznaczna dzięki szybkości działań, z jaką gród został zdobyty.

Brak mi czasu i sposobu, żeby podać dzisiaj Waszej Królewskiej Mości więcej szczegółów. Sam ciężko ranny…”

W tym miejscu kardynał pobladł i przerwał czytanie.

— Co? Nasz kuzyn jest ranny? — zawołał król udając troskliwość.

— Niech Wasza Królewska Mość i Jego Eminencja będą spokojni — rzekł Gabriel. — Rana pana diuka de Guise nie będzie miała złych następstw, dzięki Bogu! Pozostanie mu jedynie szlachetna, blizna na twarzy i chwalebny przydomek Pokiereszowany.

Kardynał w tym czasie czytał kilka linijek dalej i przekonał się sam, że Gabriel mówi prawdę. Uspokojony czytał głośno:

„…Sam ciężko ranny w dniu wkroczenia do Calais, zostałem ocalony dzięki szybkiej pomocy i nadzwyczajnym zdolnościom młodego chirurga, mistrza Ambrożego Paré. Jestem jeszcze bardzo słaby i skutkiem tego pozbawiony przyjemności dłuższej listownej pogawędki z Waszą Królewską Mością.

— Innych szczegółów możesz się dowiedzieć, Najjaśniejszy Panie, od rycerza, który ci

doręczy ów list, klucze miasta i angielskie flagi. Zanim list zakończę, muszę jednak o nim ci powiedzieć, Wasza Królewska Mość.

Najjaśniejszy Panie, nie mnie należy się cały zaszczyt zadziwiającego zdobycia Calais. Starałem się do tego przyczynić ze wszystkich sił wraz z walecznym wojskiem. Ale pomysł, środki jego wykonania i samo zwycięstwo zawdzięczam oddawcy mego listu, wicehrabiemu d'Exmès…"

— Wygląda na to, że nasz kuzyn nie zna jeszcze twojego prawdziwego nazwiska — przerwał czytanie król zwracając się do Gabriela.

— Najjaśniejszy Panie, nie ośmieliłbym się używać go wcześniej, zanim go nie wypowiem w obecności Waszej Królewskiej Mości.

Na znak króla kardynał czytał dalej:

„…Przyznam się szczerze, że nawet nie myślałem o tak zuchwałym wyczynie, kiedy pan d'Exmès przyszedł do mnie do Luwru, przedłożył mi chwalebny projekt, rozwiał moje obawy i rozproszył wahanie, a w końcu dokonał niesłychanego zbrojnego wyczynu, który sam wystarczyłby do rozsławienia Francji.

Ale to jeszcze nie wszystko. Nie można było lekkomyślnie ryzykować tak poważnej wyprawy, doświadczona rada musiała znaleźć racje dla realizacji bohaterskiego marzenia. Pan d'Exmès dostarczył marszałkowi Strozziemu sposoby, żeby się wśliznął do Calais w przebraniu, i sam sprawdził szansę ataku i obrony. Co więcej, dał nam tak dokładny i szczegółowy plan szańców i ufortyfikowanych posterunków, że zbliżaliśmy się do Calais, jakby mury były ze szkła.

Pod murami miasta i w czasie szturmów, w forcie Nieullay, w Vieux–Château, wszędzie wicehrabia d'Exmès, na czele małego oddziału zwerbowanego na koszt własny, dokonywał cudów waleczności. Tam był jedynie równy innym nieustraszonym dowódcom, których nie sposób przewyższyć. Nie będę więc przykładał zbyt wielkiej wagi do znamion męstwa okazywanych przy lada okazji, a podkreślę czyny będące wyłącznie jego osobistą zasługą.

Tak więc szło o zdobycie fortu Risbank, wrót do Calais, odsłoniętych od strony morza, którędy miały się przedostać ogromne posiłki, jakie nadeszły z Anglii. Bylibyśmy zgnieceni, zgubieni. Nasze gigantyczne przedsięwzięcie poniosłoby porażkę, śmiałaby — się z nas cała Europa. Jakim sposobem bez okrętów zdobyć wieżę bronioną przez ocean? Wicehrabia d'Exmès dokonał owego cudu, W nocy, na łodzi, sam z garstką swoich ochotników, dzięki tajnym porozumieniom, jakie nawiązał w mieście, dokonał budzącej postrach nawigacji, potem przerażającej wspinaczki na wieżę i zatknął sztandar francuski na niezdobytym forcie".

Mimo obecności króla szmer podziwu przez nikogo i nic nie powstrzymany przerwał na chwilę czytanie. Wyrwał się ze znakomitego kręgu walecznych jako głos nie do pokonania. Wrażenie spowodowane opisem bohaterskiego wyczynu potęgowało się jeszcze, gdy spoglądano na Gabriela. Stał spokojny, ze spuszczonymi oczyma, pełen godności, skromnie o dwa kroki od króla, zachwycał swą postawą młode niewiasty i starych żołnierzy.

Sam król wzruszył się i utkwił już złagodniałe spojrzenie w młodym bohaterze epickiej przygody.

Jedynie pani de Poitiers gryzła zbielałe wargi, jedynie pan de Montmorency marszczył gęste brwi.

Po krótkiej przerwie kardynał wrócił do listu brata:

„…Po zdobyciu fortu Risbank wiedzieliśmy, że miasto jest nasze. Angielskie statki nawet nie ośmieliły się przypuścić bezskutecznego ataku. W trzy dni później jako triumfatorzy wkroczyliśmy do Calais, z drugiej strony wspomagała nas dywersja sojuszników wicehrabiego d'Exmès wewnątrz grodu i energiczny wypad samego wicehrabiego d'Exmès.

W tej ostatniej walce otrzymałem straszną ranę, która kosztowałaby mnie życie, gdyby pan

d’Exmès jeszcze raz nie przyszedł mi z pomocą, jeśli wolno mi wspominać o jego osobistej przysłudze względem mnie po tylu zasługach dla państwa i narodu. On bowiem prawie siłą przyprowadził do mego łoża śmierci mistrza Paré, a ów chirurg mnie ocalił”.

— Ja w swoim imieniu ci dziękuję, panie — rzekł przerywając czytanie Karol de Lorraine, a głos mu drżał ze wzruszenia. Następnie czytał tonem tak serdecznym, jakby jego brat to mówił:

„…Najjaśniejszy Panie, zazwyczaj zaszczyt wszelkich podobnych sukcesów przypisuje się wodzowi, pod którym zwycięstwo zostało odniesione. Pan d’Exmès pierwszy, równie skromny jak wzniosły, chętnie pozwoliłby, by jego imię pozostało w cieniu poza moim. Niemniej jednak, wydawało mi się słuszne powiadomić Waszą Królewską Mość, że młody rycerz, który oddaje ten list, naprawdę był głową i ręką naszej wyprawy i że bez niego Calais w chwili, gdy to piszę, należałoby jeszcze do Anglii. Pan d’Exmès prosił, żebym to oświadczył, jeśli zechcę, jedynie królowi, ale żebym to rzekł monarsze. Co” czynię całkiem głośno z zadowoleniem i wdzięcznością.

Dać panu d’Exmès chwalebne świadectwo jest moim obowiązkiem. Reszta leży w twoich prawach, Sire. Zazdroszczą ci owego prawa, ale nie mogę i nie chcę go sobie uzurpować. Nie ma chyba wśród żyjących nikogo innego, komu należałoby zapłacić za zdobycie granicznego miasta i zapewnienie integralności królestwu.

Pan d’Exmès mi wspomniał, że Wasza Królewska Mość masz w ręce nagrodę godną owego zwycięstwa. Nie wątpię w to, Najjaśniejszy Panie. Istnieje zaiste jedyny król, wielki król taki jak Wasza Królewska Mość, który potrafisz wynagrodzić w przybliżeniu wartość królewskiego wyczynu wojennego.

Proszę Boga, by ci dał długie życie i szczęśliwe panowanie. Wielce pokorny i posłuszny sługa i poddany

Franciszek de Lorraine

W Calais, dnia 8 stycznia 1558 roku.”

Kiedy Karol de Lorraine zakończył odczytywanie listu i złożył go na ręce króla, wśród obecnych znowu dało się zauważyć poruszenie pełne aprobaty, które wyrażało gratulacje dotąd powstrzymywane przez dworzan. Na nowo zadrżało serce Gabriela, głęboko poruszonego pod pozorem spokoju. Gdyby respekt nie narzucał milczenia entuzjazmowi, z całą pewnością rozbrzmiewałyby huczne oklaski — na cześć młodego zwycięzcy.

Król wyczuwał instynktownie nastrój wielkiego porywu i sam go nawet podzielał. Nie mógł się powstrzymać, by nie rzec Gabrielowi, jakby był wyrazicielem niewyrażonego pragnienia wszystkich zebranych:

— To dobrze, panie! Piękne jest to, co uczyniłeś! Życzę sobie, żeby mi istotnie było dane przyznać ci nagrodę godną ciebie i mnie, jak to mi daje do zrozumienia diuk de Guise.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Gabriel — ubiegam się tylko o jedną, Wasza Królewska Mość wie, o jaką…

Henryk uczynił ruch nieokreślony, wtedy Gabriel pośpieszył dodać:

— Wybacz, Najjaśniejszy Panie, moja misja nie jest jeszcze skończona.

— O co jeszcze chodzi? — spytał król.

— Najjaśniejszy Panie, oto list od madame de Castro do Waszej Królewskiej Mości.

— Od pani de Castro? — żywo powtórzył król.

Powstał szybko z fotela, zszedł dwa stopnie niżej z królewskiego podwyższenia i sam wziął list od Diany mówiąc po cichu:

— Zaiste, panie, zwracasz nie tylko córkę królowi, ale zwracasz córkę ojcu! Zaciągnąłem dwa długi wobec ciebie! Zobaczymy, co w liście…

Dworzanie stali nieruchomo i w milczeniu czekali z szacunkiem na rozkazy króla Henryka,

który skrępowany taką milczącą obserwacją, powiedział głośno:

— Nie chcę więcej krępować objawów waszej radości, panowie. Nic więcej nie mam wam do zakomunikowania, reszta to sprawa między mną a wysłannikiem naszego kuzyna de Guise. Możecie komentować szczęśliwą nowinę i jej sobie gratulować. Zwalniam was, panowie.

Chętnie przyjęto królewskie zezwolenie, utworzyły się grupki rozmawiających i wkrótce słychać było jedynie niewyraźne szepty pomieszane ze sobą, jak zwykle bywa w tłumie, gdzie wiedzie się sto odrębnych pogawędek.

Jedynie pani de Poitiers i konetabl chcieli szpiegować króla i Gabriela. Wymownym spojrzeniem przekazali sobie obawy i Diana obojętnym gestem zaczęła przybliżać się do króia — kochanka.

Henryk nie zwracał uwagi na zawistną parę, cały był pochłonięty listem od córki.

— Droga Diana! Biedna, kochana Diana! — szeptał rozczulony.

Kiedy skończył czytać, rzekł do Gabriela prawie głośno:

— Pani de Castro także mi poleca swego wybawcę, całkiem słusznie! Pisze, że nie tylko zwróciłeś jej wolność, ale także ocaliłeś jej cześć.

— Spełniłem swój obowiązek, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Gabriel.

— A teraz przychodzi na mnie kolej wypełnić swój — rzekł żywo Henryk. — Teraz ty mów, panie. Czego sobie życzysz, wicehrabio de Montgomery?

XI. RADOŚĆ I UDRĘKA

Panie wicehrabio de Montgomery! Usłyszawszy, że król wymówił to nazwisko, co zawierało już w sobie obietnicą, Gabriel zadrżał ze szczęścia.

Henryk miał przebaczyć, to oczywiste!

— Już mięknie — rzekła cicho pani de Poitiers do konetabla, który podszedł do niej.

— Poczekajmy na swoją kolej — odpowiedział pan de Montmorency nie zbity z tropu.

Tymczasem Gabriel mówił do króla, bardziej wzruszony nadzieją niż obawą, bo taką już miał naturę:

— Najjaśniejszy Panie, nie mam potrzeby powtarzać Waszej Królewskiej Mości, jakiej łaski śmiem oczekiwać od jego dobroci, jego wspaniałomyślności i odrobiny sprawiedliwości. To czego wymagałeś ode mnie, Najjaśniejszy Panie, spodziewam się, że wykonałem. Czy Wasza Królewska Mość raczy uczynić to, o co prosiłem? Czy zapomniałeś o swej obietnicy, czy też chcesz jej dotrzymać, Najjaśniejszy Panie?

— Tak, panie, dotrzymam jej pod warunkiem całkowitego milczenia — odpowiedział Henryk bez wahania.

— Zaręczam honorem, że warunki zostaną dokładnie i ściśle spełnione — odpowiedział wicehrabia;

— Zbliż się więc, panie — rzekł król.

Gabriel zbliżył się, kardynał de Lorraine dyskretnie się odsunął na bok. Ale pani de Poitiers, siedząc tak samo blisko przy Henryku nie ruszyła się z miejsca i mogła słyszeć wszystko, co mówił, chociaż ściszał głos, by mówić jedynie do Gabriela. Tego rodzaju nadzór nie zachwiał jednak, trzeba to przyznać, wolą króla, który mówił ze stanowczością:

— Panie wicehrabio de Montgomery, jesteś walecznym rycerzem, którego szanuję i poważam. Kiedy otrzymasz to, o co prosisz i co sprawiedliwie zdobyłeś, nie będziemy jeszcze całkiem kwita wobec ciebie. Tymczasem weź ten pierścień. Jutro rano, o ósmej godzinie pokaż go zarządcy Châtelet. Będzie wcześniej uprzedzony i zwróci ci natychmiast przedmiot twej bogobojnej i szlachetnej ambicji.

Gabriel poczuł, że z radości kolana mu się uginają, padł do nóg króla.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł z piersią przepełnioną szczęściem i oczyma wilgotnymi od łez — Najjaśniejszy Panie, całą swą wolę, całą energię, których dowody już dałem, składam na resztę życia w służbie i oddaniu dla Waszej Królewskiej Mości. Przyznaję, że gdybyś rzekł „nie”, służyłyby jedynie mej nienawiści.

— Naprawdę? — rzekł król uśmiechając się dobrotliwie.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, wyznaję i powinieneś mnie zrozumieć, ponieważ przebaczyłeś. Byłbym cię ścigał w twoim potomstwie, a teraz będę cię bronił i miłował także w drugim pokoleniu. Wobec Boga, który wcześniej lub później karze krzywoprzysięzców, dotrzymam swej przysięgi na wierność, tak jak byłbym dotrzymał przysięgi na zemstę.

— Wstań, panie — rzekł król ciągle uśmiechnięty. — Uspokój się. Żeby trochę przyjść do siebie, opowiedz mi szczegółowiej o niespodziewanym zdobyciu Calais. Nigdy chyba się nie znużę mówieniem i słuchaniem o owym sukcesie.

Henryk zatrzymał przy sobie Gabriela przeszło godzinę. Wypytywał go i słuchał, kazał sto razy powtarzać te same szczegóły. Potem musiał go odstąpić damom, żądnym nowin z ust młodego bohatera.

Kardynał de Lorraine, niedostatecznie poinformowany o przodkach Gabriela, widział w nim

jedynie przyjaciela i protegowanego swego brata, toteż chciał go koniecznie przedstawić królowej.

Katarzyna de Medici w obecności całego dworu była zmuszona gratulować rycerzowi, który dokonał dla króla tak pięknego zwycięstwa. Ale uczyniła to z wyraźnym chłodem i wyniosłością. Surowe i pogardliwe spojrzenie jej szarych oczu zadawało kłam słowom, jakie usta jej musiały wymawiać wbrew woli serca.

Gabriel złożył Katarzynie pełne uszanowania podziękowanie, w głębi duszy czuł się zmrożony kłamliwymi komplementami królowej. Przypominając sobie przeszłość, odgadywał pod ich osłoną skrytą ironię i jakby nie wypowiedzianą groźbę.

Kiedy ukłonił się Katarzynie de Medici i odwrócił się, by wyjść, znalazł przyczynę bolesnego przeczucia, jakiego doświadczył przed chwilą.

Spojrzał w stronę króla i zobaczył z przerażeniem, że Diana de Poitiers zbliżyła się do niego i rozmawiała ze swym złośliwym, sardonicznym uśmiechem. Czym bardziej Henryk zdawał się bronić, tym natarczywiej ona nastawała. Następnie przywołała konetabla, który także rozmawiał z królem z wielkim ożywieniem.

Gabriel widział to wszystko z daleka. Nie utracił żadnego z manewrów przeciwników i czuł mękę.

W chwili gdy jego serce było tak rozdarte, przystąpiła do niego wesoło i zaczęła zadawać pytania młoda następczyni tronu, Maria Stuart. Zasypała go komplementami i pytaniami równocześnie. Mimo zaniepokojenia, Gabriel odpowiadał, jak umiał najlepiej.

— To wspaniałe! — mówiła Maria z entuzjazmem. — Czyż nie tak, mój miły delfinie? — dodała zwracając się do swego młodego małżonka Franciszka. On także dołączył swoje pochwały.

— Czego by się nie czyniło, żeby zasłużyć na tak miłe słowa! — mówił — Gabriel, ale jego roztargnione oczy nie odrywały się od grupy, jaką stanowili król, konetabl i Diana.

— Kiedy czułam do ciebie jakąś nieokreśloną sympatię, widocznie serce mi mówiło, że dokonasz cudownego wyczynu ku chwale mego drogiego wuja de Guise. Czekaj, chcę mieć prawo da wynagrodzenia ciebie podobnie jak król. Niestety, niewiasta nie ma tytułów ani zaszczytów do swej dyspozycji.

— Doprawdy, mam wszystko na świecie, czego bym sobie mógł życzyć — rzekł Gabriel. Król nie odpowiada, tylko słucha — myślał.

— Wszystko jedno — mówiła dalej Maria Stuart. — Gdybym miała możność, tworzyłabym dla ciebie życzenia, aby móc je spełniać. W obecnej chwili mam tylko bukiecik fiołków, który przysłał mi jako rzadkość o tej porze roku po ostatnich przymrozkach ogrodnik z Tournelles. Panie d'Exmès, za przyzwoleniem jego wysokości delfina ofiarowuję ci te kwiaty jako pamiątkę dnia. Czy je przyjmiesz?

— Pani! — rzekł Gabriel całując z respektem rękę podającą bukiecik.

— Kwiaty są jednocześnie zapachem radości i pociechą w smutku — mówiła zamyślona Maria Stuart. — Może będę kiedyś bardzo nieszczęśliwa. Ale będę się czuła mniej nieszczęśliwa, dopóki będę miała kwiaty. Rozumie się, że tobie, panie d'Exmès, który jesteś taki szczęśliwy i triumfujący, ofiarowuję je jedynie dla zapachu.

— Kto wie? — odpowiedział Gabriel potrząsając głową z melancholią. — Kto wie, czy szczęśliwy triumfator nie potrzebuje pocieszenia?

Kiedy to mówił, jego oczy były utkwione w królu, który zdawał się namyślać, i spuszczał głowę wobec coraz to żywszych słów pani de Poitiers i konetabla.

Gabriel drżał myśląc, że z pewnością faworyta usłyszała obietnicę króla i że teraz toczy się rozmowa na temat jego ojca i jego osoby.

Młoda następczyni tronu odeszła żartując łagodnie z rozproszonej uwagi Gabriela.

Wtedy podszedł do niego admirał de Coligny. I on składał gratulacje bardzo serdeczne z powodu wspaniałej jego postawy. Podtrzymał swój rozgłos z Saint–Quentin i jeszcze go przewyższył w Calais.

Nigdy chyba nie było młodzieńca bardziej uprzywilejowanego przez los i bardziej godnego zazdrości jak ów biedak, który przeżywał nie znaną dotąd udrękę.

— Jesteś wart tak wiele, nadajesz się do osiągania zwycięstw i do zmniejszania klęsk. Jestem wielce dumny, że przeczułem twe wy — bitne zasługi, i żałuję, że nie brałem udziału w owym pięknym czynie wojennym, tak szczęśliwym dla ciebie, a chwalebnym dla Francji.

— Nadarzy się jeszcze okazja, panie admirale — odpowiedział Gabriel.

— Nieco wątpię — rzekł admirał z odcieniem smutku. — Oby Bóg dał, by przy spotkaniu na polu bitwy nie zdarzyło się, że będziemy w dwóch przeciwnych obozach!

— Niech Bóg mnie przed tym strzeże! — rzekł żywo Gabriel. — Ale co masz na myśli, panie admirale?

— W ostatnim miesiącu spalono żywcem czterech kalwinistów — wyjaśnił Coligny. — Protestanci z każdym dniem rosną w liczbę i potęgę. W końcu znudzą się im ohydne i niesprawiedliwe prześladowania. Już dzisiaj z dwóch stronnictw, które dzielą Francję, można by utworzyć dwie armie.

— A więc? — spytał Gabriel.

— A więc, mimo wspólnej przechadzki na ulicę Saint–Jacques, zachowałeś swobodę i obowiązuje cię jedynie dyskrecja, panie d'Exmès. Wydaje mi się, że słusznie pozyskałeś wielkie łaski. Chyba będziesz należał do królewskiej armii przeciw h e r e z j i, jak mówią.

— Chyba się mylisz, panie admirale — rzekł Gabriel, który nie spuszczał oczu z króla. — Mam podstawy do przypuszczeń, że wręcz przeciwnie, będę miał wkrótce prawo maszerować wraz z uciśnionymi przeciwko ciemiężcom.

— Jak to? Co to ma znaczyć? Bledniesz, Gabrielu, twój głos się łamie. Co się z tobą dzieje? — spytał admirał.

— Nic, nic, panie admirale. Ale muszę już odejść. Do zobaczenia wkrótce.

Gabriel właśnie pochwycił z daleka gest króla wyrażający zgodę. Pan de Montmorency odszedł natychmiast, rzucając Dianie triumfujące spojrzenie.

Niemniej jednak w kilka minut później, gdy zakończyło się przyjęcie, Gabriel, składając ukłon na pożegnanie, ośmielił się rzec królowi:

— Do jutra, Najjaśniejszy Panie.

— Do jutra, panie — odpowiedział król.

Wymawiając te słowa Henryk II nie patrzył prosto w twarz Gabrielowi, odwrócił wzrok. Nie uśmiechał się. Ale uśmiechała się pani de Poitiers.

Wszyscy myśleli, że Gabriel promienieje nadzieją i radością, on jednak odszedł z przerażeniem i bólem w sercu.

Przez cały wieczór krążył w pobliżu Châtelet. Nabrał trochę otuchy, ponieważ nie ujrzał wychodzącego stamtąd pana de Montmorency.

Następnie dotknął na palcu królewskiego pierścienia i powtarzał sobie wyraźne słowa Henryka II, nie budzące wątpliwości i nie mogące kryć w sobie podstępu: Przedmiot twej bogobojnej i szlachetnej ambicji zostanie ci zwrócony.

Mimo wszystko noc dzieląca jeszcze Gabriela od decydującego momentu wydawała mu się dłuższa niż rok.

XII. Środki ostrożności

Jeden Bóg wie, ile wycierpiał, o czym myślał Gabriel podczas męczących godzin nocnych. Po powrocie do domu nie chciał nic powiedzieć ani domownikom, ani nawet Alojzie. Od tej chwili rozpoczęło się dla niego życie zamknięte w sobie, skoncentrowane na jednej myśli, w skupieniu, całe wypełnione działaniem; a skąpe w słowa, odkąd nakazał sobie surowo ślub milczenia.

Tak więc zawiedzione nadzieje, energiczne postanowienia, miłosne projekty i plany zemsty, wszystko, co tej nocy przeżył, odczuj, wymarzył i zaprzysiągł samemu sobie, pozostanie tajemnicą jego niezgłębionej duszy i Boga.

Dopiero o ósmej mógł się zgłosić w Châtelet z królewskim pierścieniem, który miał przed nim otworzyć wszystkie drzwi, nie tylko przed nim, ale i przed jego ojcem.

Do szóstej rano Gabriel przebywał sam w komnacie, nie chcąc widzieć nikogo. O szóstej zszedł na dół ubrany i wyekwipowany jak na długą podróż. Już wieczorem poprzedniego dnia poprosił piastunkę o tyle złota, ile zdoła zgromadzić.

Domownicy cisnęli się do niego, ofiarowując swe usługi. Zwłaszcza czterech ochotników zabranych z Calais było do jego dyspozycji. Gabriel przyjaźnie im podziękował i ich zwolnił, zatrzymując przy sobie jedynie pazia Andrzeja i Alojzę.

— Droga Alojzo — rzekł do niej — lada dzień oczekuję tutaj dwojga gości, dwojga przyjaciół z Calais, Jana Peuquoy z żoną Babetką. Może się zdarzyć, że nie będzie, mnie w domu. Ale nawet w czasie mojej nieobecności, a zwłaszcza, gdyby mnie nie było, proszę cię, Alojzo, żebyś ich przyjęła i traktowała tak, jakby to był mój brat i siostra. Babetka cię zna z moich opowiadań. Będzie miała do ciebie zaufanie jak córka. Otocz ją czułością i matczyną pobłażliwością, zaklinam cię w imię uczuć, jakie dla mnie żywisz.

— Obiecuję, Dostojny Panie — odpowiedziała po — prostu, piastunka — znasz mnie, to jedno słowo wystarczy. Bądź spokojny o swoich gości. Niczego im nie zabraknie dla duszy i dla ciała.

— Dziękuję, Alojzo — rzekł Gabriel ściskając jej rękę. — A teraz mam sprawę do ciebie, Andrzeju — zwrócił się do pazia otrzymanego od pani de Castro. — Mam kilka ostatnich poleceń do wydania, tobie je przekażę, bo trzeba mi kogoś pewnego. Ty je wypełnisz, Andrzeju, bo zastępujesz mojego wiernego Marcina.

— Jestem na twoje rozkazy, Dostojny Panie.

— Słuchaj uważnie. Za godzinę wyjdę z tego domu sam. Jeśli wkrótce powrócę, nic nie będziesz miał do roboty, a raczej wydam ci nowe rozkazy. Ale jest możliwe, że nie powrócę albo nie powrócę ani dzisiaj, ani jutro, ani przez dłuższy czas…

Piastunka zapłakana wzniosła ramiona w niebo. Andrzej przerwał swemu panu:

— Wybacz, panie. Mówisz, że może nie powrócisz przez dłuższy czas.

— Tak, Andrzeju.

— I ja nie będę ci towarzyszył, dostojny panie? I przez dłuższy czas może cię nie zobaczę? — pytał Andrzej, na tę wieść bardzo zakłopotany i zasmucony.

— Oczywiście, że to możliwe.

— Ale pani de Castro przed moim odjazdem poruczyła mi list do Waszej Dostojności…

— A ty mi go do tego czasu nie doręczyłeś, Andrzeju! — z wyrzutem rzekł Gabriel.

— Wybacz mi, Wasza Dostojność, miałem go doręczyć dopiero po, twoim powrocie z Luwru, gdybym cię ujrzał smutnym albo rozgniewanym. Tylko wtedy daj ów list panu d'Exmès, rzekła pani Diana, bo zawiera on przestrogę i pocieszenie.

— Dawaj, dawaj szybko — zawołał Gabriel. — Rada i pociecha są teraz dla mnie jak najbardziej na czasie.

Andrzej wyjął z sajana list starannie owinięty i podał swemu nowemu panu. Gabriel z pośpiechem go otworzył i odszedł, aby go przeczytać we framudze okna.

Oto co zawierał list:

„Przyjacielu, ostatnia noc przyniosła mi wiele niepokoju i rozmyślań. Może na zawsze będzie to rozłąka. Najboleśniejszą myślą, rozdzierającą moje serce była taka:

Może się zdarzyć, że przy wypełnianiu swego wielkiego i groźnego obowiązku, którego wkrótce odważnie dokonasz, staniesz wobec konfliktu z królem. Może się zdarzyć, że nieprzewidziany wynik twojej walki zmusi cię do znienawidzenia go albo popchnie do wymierzenia kary.

Gabrielu, nie wiem jeszcze, czy jest moim ojcem, ale wiem, że jak dotąd uwielbiał mnie jako swoje dziecko. Samo przewidywanie twojej zemsty wprawia mnie w drżenie. Dokonanie zemsty mnie zabije.

Jednak może ze względu na pochodzenie będę zmuszona myśleć tak samo jak ty. Może i ja będę musiała pomścić swego ojca na tym, który był moim ojcem, co za straszliwa ostateczność!

Ale dopóki wątpliwość i ciemności w tej okropnej sprawie wiszą nade mną, dopóki nie wiem jeszcze, w którą stroną ma się skierować moja nienawiść i miłość, zaklinam cię, Gabrielu. Jeśli mnie kochałeś, usłuchasz mnie: oszczędź osobę króla.

Teraz jeszcze rozmyślam nie bez emocji, ale bez namiętności i czuję… Wydaje mi się, że nie do ludzi należy karanie ludzi, ale do Boga.

Proszę cię przeto, przyjacielu, cokolwiek się zdarzy, nie wydzieraj z rąk Boga kary, która ma uderzyć nawet w zbrodniarza.

Jeśli ów, którego dotąd nazywałam ojcem, ponosi winę, jest człowiekiem i może nim być. Nie czyń siebie jego sędzią ani tym bardziej katem. Bądź spokojny, za wszystko trzeba zapłacić Najwyższemu, a Najwyższy nas pomści jeszcze straszliwiej, niż ty zdołałbyś to uczynić. Bez obawy oddaj swoją sprawę jego sprawiedliwości.

Oby Bóg nie uczynił z ciebie bezwiednego narzędzia, a jakże fatalnego, nieubłagalnej sprawiedliwości! Oby się nie posłużył wbrew twojej woli twą ręką! Obyś nie zadał ciosu na ślepo i bez udziału woli! Gabrielu, nie skazuj sam siebie na zgubę, a zwłaszcza nie wykonuj sam wyroku.

Uczyń to z miłości do mnie, przyjacielu. Łaski! Litości! To ostatnia moja prośba i ostatni krzyk skierowany ku tobie

Diana de Castro”.

Gabriel dwukrotnie przeczytał list. Kiedy czytał dwa razy, ani André, ani piastunka nie zauważyli na jego twarzy żadnej reakcji. Miał na ustach swój smutny uśmiech jak zwykle.

Kiedy złożył i schował na piersi list od Diany, jeszcze milczał przez jakiś czas ze spuszczoną głową rozmyślając. Potem jakby ocknął się ze snu i rzekł głośno:

— W porządku. To, co mam ci zlecić, nie ulega zmianie, Andrzeju. Jak ci już rzekłem wcześniej, jeśli nie powrócę natychmiast, jeśli usłyszysz coś o mnie lub nic nie usłyszysz, cokolwiek się zdarzy lub nie zdarzy, zapamiętaj dobrze moje słowa. Powiem, co masz uczynić.

— Słucham, Dostojny Panie, będę ci posłuszny nader dokładnie, bo cię miłuję i jestem ci oddany.

— Za kilka dni pani de Castro będzie w Paryżu. Tak się urządź, żebyś był poinformowany o jej powrocie możliwie jak najszybciej.

— To łatwe, Wasza Miłość.

— Wyjedź nawet na jej spotkanie, jeśli możesz. Oddaj jej ode mnie tę oto zalakowaną paczkę. Bardzo uważaj, żebyś jej nie zgubił, chociaż nie zawiera nic specjalnie cennego, woal niewieści, nic więcej. Mniejsza z tym. Wręczysz ów woal osobiście do jej rąk własnych i powiesz…

— Co mam powiedzieć? — spytał Andrzej widząc, że jego pan waha się.

— Nie, nic jej nie mów. Chyba tyle, że jest wolna i że jej zwracam wszelkie obietnice, nawet i tę, której gwarancją jest ów woal.

— Czy to wszystko, Wasza Dostojność? — spytał paź.

— To wszystko. Gdyby jednak o mnie całkiem zaginęły słuchy i gdybyś widział, że pani de Castro trochę się niepokoi, wtedy dodasz… Nie, nie ma po co, nic nie dodawaj, Andrzeju. Poproś ją wtedy, żeby cię wzięła do siebie na służbę Jeśli tak nie będzie, wróć tutaj i czekaj na mój powrót.

— Jak to, a więc na pewno wrócisz, panie? — pytała Alojza z oczyma pełnymi łez. — Go mówiłeś, że może więcej o tobie nie usłyszymy? — Może by tak było lepiej, przybrana matko, gdyby słuch o mnie zaginął. W takim przypadku nie trać nadziei i czekaj na mnie.

— Mieć nadzieję, kiedy znikniesz dla wszystkich i nawet dla piastunki? Będzie to trudne! — mówiła Alojza.

— Kto ci mówi, że zniknę? Nie trzeba tego przewidywać. Jeśli idzie o mnie, to doprawdy liczę na to, że cię wkrótce uścisnę z całego serca, Alojzo, chociaż muszę przedsięwziąć środki ostrożności. Najprawdopodobniej tak będzie, bo Opatrzność jest czułą matką dla błagającego ją. Czyż nie rozpocząłem od tego, że wszystkie moje polecenia dla Andrzeja będą z pewnością zbędne do wykonania w prawie pewnym przypadku mojego powrotu tutaj jeszcze dzisiaj?

— Niech Bóg cię błogosławi za dobre słowa — rzekła Alojza mocno wzruszona

— Czy nie masz dla mnie innych rozkazów, Dostojny Panie, na oby krótki czas twej nieobecności? — spytał Andrzej.

Gabriel sobie coś przypomniał.

— Zaczekaj — rzekł. Usiadł przy stole i napisał do admirała de Coligny list następującej treści:

„Panie Admirale,

Chcę się dokształcić w waszej religii. Licz mnie od dnia dzisiejszego jako jednego z waszych. Bez względu na to, czy wiara, czy twoje przekonywające słowa, czy jakiś inny motyw powoduje decyzję zmiany wyznania, poświęcą bezpowrotnie waszej sprawie, sprawie prześladowanej religii swoje serce, życie i szpadę.

Twój bardzo pokorny towarzysz i dobry przyjaciel
Gabriel de Montgomery”.

— Oddasz także dopiero wtedy, jeśli nie powrócą — rzekł Gabriel wręczając list z pieczęcią. A teraz, moi przyjaciele, muszę was pożegnać i odejść. Już czas.

W pół godziny później Gabriel pukał drżącą ręką do bramy Châtelet.

XIII. TAJNY WIĘZIEŃ

Pan de Salvoison, zarządca Châtelet, który przyjął Gabriela, kiedy był w więzieniu po raz pierwszy, już nie żył od niedawna, a obecny zarządca zwał się pan de Sazerac.

Do niego wprowadzono młodzieńca.

Trwoga ściskała krtań biednego Gabriela jak żelazna ręka, nie mógł wymówić ani słowa W milczeniu pokazał zarządcy pierścień, który mu wręczył król.

Pan de Sazerac poważnie się pokłonił.

— Czekałem na ciebie, panie — rzekł do Gabriela. — Przed godziną otrzymałem rozkaz, który cię dotyczy. Na sam widok tego pierścienia, bez wypytywania o dalsze wyjaśnienia, mam oddać w twoje ręce bezimiennego więźnia, który przebywa w Châtelet przez długie lata jako numer 21. Czy o to chodzi, panie?

— Tak, tak, panie — żywo odpowiedział Gabriel, bo nadzieja przywróciła mu głos. — A rozkaz, panie zarządco?

— Jestem gotów go wypełnić.

— Naprawdę? — rzekł Gabriel drżąc od stóp do głów.

— Ależ oczywiście — odpowiedział pan de Sazerac takim tonem, że nawet ktoś obojętny mógłby wyczuć smutek i gorycz.

Ale Gabriel był zbyt wzburzony i pochłonięty radością.

— A więc to prawda! Nie śnię, mam otwarte oczy. Moje szalone obawy były snem. Zwrócisz mi więźnia, panie! Dzięki ci, Boże! Biegnijmy szybko, błagam cię, panie.

Uczynił kilka kroków, jakby chciał iść przed panem de Sazerac. Ale wobec radości siły opuściły go, takie mocarne w cierpieniu. Musiał się na chwilę zatrzymać. Serce mu biło tak szybko i silnie, że oddychał z trudnością. Biedna ludzka natura nie mogła znieść tylu wzruszeń.

Nagle osiągnął prawie nieoczekiwanie urzeczywistnienie odległych nadziei, cel całego życia, kres nadludzkich wysiłków. Ogarnęła go wdzięczność dla tak prawego króla i sprawiedliwego Boga. Wreszcie zaspokoi miłość synowską: Druga miłość, jeszcze gorętsza, wreszcie się wyjaśni. Tyle pobudzonych naraz uczuć przepełniało duszę Gabriela.

Wśród niesłychanego zamętu uczuć, szalonego szczęścia górowało jedno przeżycie, hymn dziękczynny na cześć Henryka II, bo dzięki niemu dochodził do upojenia.

Gabriel powtarzał we wdzięcznym sercu przysięgę ofiarowania życia za tak szlachetnego króla i jego dzieci. Jak mógł choć przez chwilę wątpić w tak wielkiego i doskonałego władcę!

Wreszcie Gabriel otrząsnął się z ekstazy i rzekł do zarządcy Châtelet, który także się zatrzymał:

— Wybacz, panie, osłabienie na chwilę mnie unieruchomiło. To z radości, czasem jest ona trudna do zniesienia!

— Nie tłumacz się, panie, ubłagam cię — odpowiedział głuchym głosem zarządca.

Tym razem Gabriela zaskoczył ton słów i podniósł oczy na pana de Sazerac.

Trudno było ujrzeć twarz bardziej dobroduszną, szczerą i uczciwą. Wszystko w zarządcy więzienia świadczyło o zacności i dobroci. Co najdziwniejsze, że kiedy oglądał wylewną radość Gabriela, na jego — twarzy malowało się czułe współczucie.

Gabriel dostrzegł ów szczególny wyraz twarzy, chwyciło go złe przeczucie i nagle pobladł. Ale taką miał naturę, że owa nieokreślona obawa, jaka wkradała się nagle do jego poczucia szczęścia, dodała jedynie bodźca jego dzielnemu duchowi. Wyprostował swą wysoką postać i rzekł do naczelnika więzienia:

— Chodźmy, panie, chodźmy. Oto jestem gotów i silny teraz.

Wicehrabia d'Exmès i pan de Sazerac zeszli więc w głąb lochów.

Przed nimi szedł pachołek niosąc pochodnię.

Na każdym kroku Gabriel odnajdywał posępne wspomnienia. Rozpoznawał na zakrętach korytarze, schody, ponure mury, które poprzednio widział. Odnajdywał smętne wrażenia, jakich doznawał wtedy nie mogąc ich sobie uzasadnić.

Kiedy doszli do żelaznych drzwi lochu, gdzie ze ściśniętym dziwnie sercem odwiedził wychudłego, niemego więźnia, nie wahał się ani sekundy i zatrzymał się.

— To tutaj — rzekł, a ciężar tłoczył mu pierś.

Niestety, pan de Sazerac ze smutkiem zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, to jeszcze nie tu.

— Jak to? Jeszcze nie tu? Czy szydzisz ze mnie, panie?

— Ależ, panie — rzekł naczelnik z łagodną wymówką.

Zimny pot zrosił czoło Gabriela.

— Wybacz, wybacz, panie. Ale co znaczą twoje słowa? Mów, mów szybko.

— Mam smutną misję do spełnienia. Muszę cię zawiadomić, że od wczorajszego wieczoru tajnego więźnia musiano przenieść o jedno piętro niżej.

— Ach! — rzekł Gabriel jak nieprzytomny. — A dlaczego?

— Od dawna uprzedzono go, chyba o tym wiesz panie, że jeśli spróbuje przemówić do kogokolwiek, jeśli wyda choć najsłabszy okrzyk, jeśli wyszepcze jakieś nazwisko, nawet gdyby go o to pytano, będzie natychmiast przeniesiony do innego lochu, jeszcze głębiej położonego, straszniejszego i bardziej zabójczego niż ten tutaj.

— Wiem o tym — wyszeptał Gabriel tak cicho, że naczelnik więzienia wcale nie usłyszał.

— Już jeden raz wcześniej więzień ośmielił się sprzeciwić rozkazowi. Wtedy wtrącono go do tego właśnie lochu, już bardzo srogiego, w którym go widziałeś. Mówiono mi, że już wcześniej poinformowano cię o owym skazaniu na milczenie, któremu podlegał, dopóki żyje.

— W rzeczy samej, w rzeczy samej — potwierdził Gabriel ze straszną niecierpliwością. — Co dalej, panie?

— Otóż wczoraj wieczorem, na krótko przed zamknięciem bram zewnętrznych pewien możny pan przyszedł do Châtelet. Muszą przemilczeć jego nazwisko — rzekł zakłopotany pan de Sazerac.

— Mniejsza o to, mów dalej, panie — rzekł Gabriel.

— Ów wielmoża kazał się zaprowadzić do lochu numer 21. Sam mu towarzyszyłem. Przemówił do więźnia i nie otrzymał odpowiedzi. Miałem nadzieję, że starzec wyjdzie zwycięsko z próby. Podczas pół godziny, pomimo wszelkich prowokacji, zachowywał uparte milczenie.

Gabriel głęboko westchnął i podniósł oczy ku niebu, ale nie wymówił ani słowa, żeby nie przerywać ponurego opowiadania naczelnika.

— Na nieszczęście, kiedy więzień usłyszał zdanie wypowiedziane mu na ucho, powstał z posłania, łza zabłysła w jego dotąd obojętnych oczach i przemówił, panie. Upoważniono mnie do opowiedzenia ci o tym, żebyś wierzył w moje potwierdzenie faktu: więzień przemówił. Ja, szlachcic, zapewniam cię na swój honor, że sam usłyszałem.

— Co wtedy? — spytał Gabriel załamany.

— Wtedy, mimo moich próśb i wstawiennictwa, zmuszono mnie do wypełnienia barbarzyńskiego obowiązku, jaki nakłada na mnie urząd. Musiałem usłuchać władzy wyższej od mojej. Sam się uchyliłem od wykonania polecenia, ale znaleźli się służalcy, bardziej ulegli, którzy kazali przenieść więźnia jego niememu strażnikowi, współtowarzyszowi w celi. Umieszczono go w lochu znajdującym się poniżej tego.

— W lochu poniżej tego? Biegnijmy szybko! Przecież w końcu przynoszę mu wyzwolenie.

Naczelnik smutno kiwał głową. Ale Gabriel tego nie zauważył, już potykał się na śliskich, wyszczerbionych schodach kamiennych, prowadzących do najgłębszych czeluści ponurego więzienia. Pan de Sazerac wziął pochodnię z rąk pachołka i dał mu znak, by odszedł. Przyłożył chustkę do ust i szedł za Gabrielem.

Kiedy schodzili na dół, za każdym krokiem powietrze stawało się bardziej duszne i dławiące.

Wreszcie stanęli u dołu schodów. Ciężko dysząca pierś z trudem chwytała powietrze. Od razu można było wyczuć, że jedynymi stworzeniami mogącymi żyć w takiej atmosferze dłużej niż kilka minut są owe nieczyste żyjątka, które z obrzydzeniem rozgniatali nogami.

Gabriel nie myślał jednak o tym. Wziął z drżących rąk naczelnika zardzewiały klucz, otworzył ciężkie, stoczone przez robactwo drzwi i wpadł do lochu.

W blasku pochodni można było dostrzec na gnojowisku ze słomy leżące ciało.

Gabriel rzucił się na ciało, pociągnął je, potrząsnął i zawołał:

— Ojcze!

Pan de Sazerac zadrżał z przerażenia na ów krzyk. Ręce i głowa starca opadły bezwładnie, chociaż Gabriel chciał je pobudzić do ruchu.

XIV. HRABIA DE MONTGOMERY

Gabriel, wciąż na klęczkach, podniósł tylko bladą, wystraszoną twarz i powiódł po otoczeniu spokojnym, smętnym wzrokiem. Wyglądał tak, jakby zadawał sam sobie pytania i rozmyślał. Taki spokój wzruszył i przeraził pana de Sazerac więcej niż wszelkie krzyki i łkania.

Następnie, jakby mu jakaś myśl przyszła do głowy, przyłożył rękę do serca trupa. Słuchał i szukał bicia tętna przez parę minut.

— Nic — rzekł wreszcie głosem równym i łagodnym, ale przez to przerażającym. — Nic. Serce już nie bije, ale ciało jest jeszcze ciepłe.

— Jaka silna natura — wyszeptał naczelnik więzienia. — Mógłby jeszcze pożyć długo.

Oczy zmarłego były wciąż otwarte. Gabriel pochylił się nad nim i zamknął je pieczołowicie. Potem złożył pełen uszanowania pocałunek, pierwszy i ostatni, na biednych powiekach już martwych, które zwilżyło tyle gorzkich łez.

— Panie — rzekł do niego pan de Sazerac, który chciał koniecznie przerwać te straszne rozmyślania — jeśli zmarły jest ci bliski…

— Jeśli jest bliski? Ależ to jest mój ojciec, panie!

— Jeśli chcesz oddać ostatnią posługę, pozwolono mi, żebyś go stąd zabrał.

— Naprawdę? — spytał Gabriel z przerażającym spokojem wciąż jednakowym. —Wobec tego dzieje mi się sprawiedliwość, dotrzymano mi wiernie słowa, muszę to przyznać. Wiedz, panie naczelniku, że mi przyrzeczono wobec Boga zwrócić mi ojca. Dotrzymano przysięgi, zwracają mi go. Stwierdzam, że nikt się nie zobowiązał oddać mi go żywego.

Wybuchnął przerażającym śmiechem.

— Odwagi! — rzekł pan de Sazerac. — Czas pożegnać się z tym, którego opłakujesz.

— Jak widzisz, czynię to właśnie — odpowiedział Gabriel.

— Tak, ale teraz trzeba stąd koniecznie odejść. Powietrze, którym oddychamy, nie nadaje się dla żywych, dłuższe przebywanie wśród tych wyziewów trujących może się stać niebezpieczne. — Dowód tego przed naszymi oczyma — rzekł Gabriel wskazując ciało.

— Chodźmy, chodźmy! — Naczelnik więzienia chciał wziąć pod rękę Gabriela i wyprowadzić.

— Dobrze, pójdę za tobą, panie — odpowiedział Gabriel — ale zmiłuj się, pozostaw mnie jeszcze przez minutę.

Pan de Sazerac uczynił znak wyrażający zgodę i stanął przy drzwiach, gdzie powietrze było nieco mniej cuchnące i duszne.

Gabriel klęczał przy zwłokach z pochyloną głową, z opuszczonymi rękami, trwał nieruchomo i milcząco przez kilka minut, modląc się albo dumając.

Co powiedział zmarłemu ojcu? Czy pytał o rozwiązanie zagadki owe usta za wcześnie naznaczone palcem śmierci? Może przysięgał świętej ofierze, że ją pomści na tym świecie w oczekiwaniu, aż to Bóg uczyni na tamtym? Może ze zniekształconych już rysów starał się odczytać, jakim był ów ojciec, którego widział zaledwie po raz wtóry? Jakie spokojne i szczęśliwe mogłoby być życie minione, otoczone jego miłością? Czy myślał o przeszłości czy o przyszłości, o ludziach czy o Bogu, o sprawiedliwości czy o przebaczeniu?

Posępny dialog między zmarłym ojcem a synem pozostał jeszcze jedną tajemnicą między Gabrielem a Bogiem.

Upłynęło około pięciu minut.

Zaczęło brakować powietrza płucom obu mężczyzn, których obowiązek miłości i

humanitarności przywiódł pod zgubne sklepienia.

— Błagam cię, panie. Wielki czas stąd odejść — rzekł zacny naczelnik Châtelet.

— Już idę, już idę.

Gabriel ujął zlodowaciałą rękę ojca i ucałował. Pochylił się nad jego wilgotnym, rozkładającym się czołem i też pocałował. Wszystko bez jednej łzy. Nie mógł płakać.

— Żegnaj! Żegnaj!

Podniósł się z kolan, wciąż spokojny i zamknięty w sobie, silny postawą, jeśli nie sercem, jeśli nie duszą.

Przesłał ojcu ostatnie spojrzenie i ostatni pocałunek i poszedł za panem de Sazerac wolnym i poważnym krokiem.

Kiedy przechodzili o piętro wyżej, zechciał obejrzeć ciemną i zimną celę, w której więzień przebywał tyle lat, gdzie pozostało tyle jego bolesnych myśli, i gdzie on, Gabriel, wszedł raz, ale wtedy nie uściskał ojca.

Spędził tam kilka minut na cichej medytacji, zaspokajał swą chłonną ciekawość pomieszaną z rozpaczą.

Kiedy wszedł na górę, ku światłu i życiu, pan de Sazerac zadrżał patrząc na niego w dziennym świetle w pokoju. Nie ośmielił się rzec młodzieńcowi, że siwe kępki srebrzyły się teraz miejscami w jego ciemnych włosach.

Powiedział do niego po chwili wzruszonym głosem:

— Czy mogę teraz coś dla ciebie uczynić, panie? Żądaj, będzie mi bardzo przyjemnie zgodzić się na wszystko, czego nie zabraniają przepisy.

— Rzekłeś, panie, że wolno mi oddać zmarłemu ostatnią posługę. Dzisiaj wieczorem przyjdą tu ludzie przeze mnie skierowani. Jeśli zechcesz, każ wcześniej włożyć do trumny ciało i pozwól im zabrać je w trumnie. Pójdą pochować więźnia w rodzinnym grobowcu.

— Zgadzam się, panie, muszę jednak przestrzec, ze postawiono jeden warunek przy całym tolerancyjnym traktowaniu.

— Jaki, panie? — chłodno spytał Gabriel.

— Abyś zgodnie ze złożonym przyrzeczeniem nie czynił żadnego skandalu przy tej okazji.

— Dotrzymam i tej obietnicy — odpowiedział Gabriel. — Ludzie moi przyjdą w nocy, nie będą wiedzieli, o co chodzi. Przeniosą ciało na ulicę Jardins–Saint–Paul, do grobowca hrabiów de…

— Wybacz, panie — nie pozwolił mu dokończyć naczelnik wiezienia — nie znałem nazwiska więźnia i nie chcę, nie powinienem go znać. Obowiązek zmusił mnie do wielu przemilczeń… Powinieneś więc także do mnie się odnosić z taką samą rezerwą.

— Ja nic nie mam do ukrywania — dumnie odpowiedział Gabriel. — Tylko winni się kryją.

— Zaliczasz się do nieszczęśliwych, panie. Czy tak nie jest lepiej?

— Zresztą, domyślam się tego, co przemilczałeś. Sam mógłbym ci to powiedzieć. Na przykład, jeśli chodzi o możnego pana, który przyszedł tutaj wczoraj wieczorem i chciał mówić do więźnia po to żeby go zmusić do mówienia, to wiem, w jaki sposób oczarował biedaka i zmusił go do przerwania milczenia. A od owego milczenia zależała resztka jego życia, o którą dotąd walczył ze swoimi katami.

— Jak to? Czyżbyś wiedział? — rzekł zdziwiony pan de Sazerac. —Ależ tak, oczywiście. Wielmoża powiedział do starca: Twój syn żyje! Albo: Twój syn okrył się chwałą. Albo: Twój syn przyjdzie cię uwolnić. Mówił mu, nikczemnik, o synu! Naczelnikowi więzienia wyrwał się odruch zdziwienia.

— Nieszczęśliwy ojciec, który do tego czasu umiał się opanować wobec swego śmiertelnego wroga, słysząc imię syna nie zdołał powstrzymać odruchu radości. Był niemy z nienawiści, ale

przemówił przez miłość. Czy tak było, panie?

Naczelnik więzienia spuścił głowę bez odpowiedzi.

— To prawda, bo nie zaprzeczasz. Widzisz dobrze, nie było potrzeby ukrywać przede mną, co możny pan powiedział do biednego więźnia. Jeśli chodzi o nazwisko owego pana, na próżno chciałbyś je okryć milczeniem. Czy mam ci je powiedzieć?

— Panie, panie! — zawołał pan de Sazerac z żywością. — Wprawdzie jesteśmy sami, jednak uważaj! Czyż się nie lękasz?

— Już ci rzekłem, że nie mam czego się bać. A zatem ów mężczyzna zwie się diuk de Montmorency, konetabl. Kat nie zawsze potrafi się zamaskować.

— Och, panie! — przerwał mu naczelnik więzienia rozglądając się z przerażeniem.

— Nie znasz nazwiska więźnia, nie znasz mojego. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebym ci je powiedział. Co więcej, mogłeś mnie już spotykać, będziesz mógł w przyszłości spotkać się ze mną w życiu. Poza tym, byłeś dla mnie dobry w najcięższych momentach. Jeśli o mnie usłyszysz, co może się zdarzyć za kilka miesięcy, dobrze będzie, jeśli będziesz wiedział, że ten, o którym mówią, jest ci dzisiaj wielce zobowiązany.

— Będzie mi przyjemnie dowiedzieć się, że los nie zawsze jest dla ciebie okrutny, panie.

— Och, nie o to mi teraz chodzi — odpowiedział poważnie Gabriel. — W każdym razie chcę, żebyś znał moje nazwisko. Po śmierci ojca tej nocy w więzieniu ja się nazywam hrabia de Montgomery.

Naczelnik więzienia jak skamieniały nie wyrzekł ani słowa.

— A zatem zegnaj, panie. Żegnaj, dziękuję ci. Niech cię Bóg ma w swojej opiece!

Skłonił się panu de Sazerac i wyszedł sprężystym krokiem z Châtelet.

Owionęło go świeże powietrze i oślepił jasny dzień. Zatrzymał się na chwilę, jak olśniony i chwiał się na nogach. Zadziwiało go życie po wyjściu z piekielnych czeluści.

Przechodnie zaczęli mu się przyglądać ze zdziwieniem, wtedy zebrał siły i odszedł z fatalnego miejsca.

Skierował swe kroki przede wszystkim na puste, piaszczyste wybrzeże. Wyjął z kieszeni notes i napisał do piastunki takie słowa:

„Droga moja Alojzo,

Stanowczo nie czekaj na mnie, dzisiaj nie powrócę do domu. Odczuwam potrzebę samotności przez jakiś czas, muszę chodzić, myśleć i czekać. Ale nie niepokój się o mnie. Na pewno do ciebie powrócę.

Dzisiaj wieczorem zarządź tak, żeby wszyscy wcześnie położyli się spać. Ty jedna czuwaj. Otworzysz czterem mężczyznom, którzy zastukają do wielkiej bramy późno wieczorem, kiedy ulica jest już pusta. Sama zaprowadzisz owych czterech ludzi, którzy będą nieśli żałobny, wielki ciężar, do rodzinnego grobowca.

Wskażesz im otwarty grób, gdzie powinni złożyć tego, kogo przyniosą. Będziesz pobożnie czuwała przy pochówku. Kiedy ceremonia dobiegnie końca, wręczysz każdemu z mężczyzn po cztery złote talary. Wyprowadzisz ich po cichu, a sama powrócisz na grób, uklękniesz i pomodlisz się za swego pana i mego ojca.

O tej samej godzinie ja także będę się modlił, ale daleko stąd. Tak trzeba. Czuję, że widok grobu popchnąłby mnie do nierozsądnych, gwałtownych ostateczności. Potrzeba mi raczej szukać rady w samotności i w Bogu.

Do zobaczenia, zacna Alojzo, do widzenia. Przypomnij Andrzejowi to, co dotyczy pani de Castro, i nie zapomnij o moich gościach, Janie i Babetce Peuquoy. Do zobaczenia, zostań z Bogiem!

Gabriel de M.

Potem Gabriel udał się na poszukiwania. Znalazł czterech mężczyzn z ludu, czterech najemników.

Każdemu z nich z góry dał po cztery złote talary i obiecał im tyleż później. Aby zarobić taką kwotę, jeden z nich miał zanieść natychmiast list pod wskazany adres. Potem, Wieczorem, krótko przed dziesiątą godziną mieli się zgłosić wszyscy czterej w Châtelet i otrzymać od naczelnika więzienia pana de Sazerac trumnę, potem zanieść ją w absolutnej ciszy, unikając spotkania z kimkolwiek, na ulicę Jardins–Saint–Paul, do pałacu, do którego był zaadresowany list.

Ubodzy najemnicy z wylaniem podziękowali Gabrielowi. Byli uradowani zarobkiem i rozstając się z nim obiecali wypełnić jego rozkazy bardzo skrupulatnie.

No tak — myślał smętnie Gabriel — można by powiedzieć, że uszczęśliwiłem cztery osoby.

Szedł dalej drogą wiodącą poza granice Paryża. Przechodził przed Luwrem. Owinięty w płaszcz, z rękami skrzyżowanymi na piersi, zatrzymał się na chwilę przyglądając się zamkowi królewskiemu.

— A teraz między nami dwoma! — wyszeptał z wyzywającym spojrzeniem.

Ruszył w dalszą drogę. Maszerując recytował z pamięci horoskop, jaki mistrz Nostradamus napisał dawno temu dla hrabiego de Montgomery, a który wedle słów mistrza przez jakąś dziwną zbieżność praw astrologii dokładnie dotyczył jego syna:

W turnieju, w miłości srogi ból sprawi
Czołu króla,
Zada ranę lub rogi przyprawi
Czołu króla,
Chce czy nie chce, on zakrwawi
Czoło króla,
Choć miłuje, na śmierć go wyprawi
Dama króla.

Gabriel zastanawiał się, że owa dziwna przepowiednia spełniła się we wszystkich szczegółach na jego ojcu. W rzeczy samej, hrabia de Montgomery w młodości podczas zabawy uderzył króla Franciszka I w głowę płonącą żagwią, potem stał się rywalem w miłości króla Henryka II i właśnie wczoraj zginął przez tę samą damą króla, którą kochał.

W chwili obecnej Gabriela także pokochała królowa, Katarzyna de Medici. Czy do końca wypełni się jego przeznaczenie? Zemsta albo los nakaże mu tak samo zwyciężyć i zranić króla podczas turnieju?

Gdyby tak się zdarzyło, byłoby Gabrielowi wszystko jedno, kiedy go zabije dama króla, która go pokochała, wcześniej czy później, bez różnicy!

XV. BŁĘDNY RYCERZ

Biedna Alojza, stworzona do czekania, samotności i cierpienia, znowu spędziła dwie lub trzy godziny wlokące się w nieskończoność siedząc przy oknie i wyglądając, czy nie ujrzy ukochanego młodego pana.

Pobiegła sama otworzyć, kiedy najemnik z listem od Gabriela zastukał do drzwi. Wreszcie są jakieś wieści!

Okropne wieści! Już po paru pierwszych linijkach Alojza poczuła, że mgła przesłania jej oczy. Aby ukryć wzruszenie, musiała szybko powrócić do swego pokoju, gdzie nie bez trudu odczytała do końca fatalny list oczyma zapuchniętymi od płaczu. Jednak miała silną naturę i dzielną duszę. Uspokoiła się, otarła oczy i wyszła, by rzec posłańcowi:

— W porządku. Dzisiaj wieczorem będę czekała na ciebie i twoich towarzyszy.

Paź Andrzej wypytywał ją z niepokojem. Odłożyła odpowiedź do jutra. Do tego czasu miała wszystko przemyśleć i tyle uczynić.

Gdy nadszedł wieczór, wcześnie odesłała domowników na spoczynek.

— Pan nie wróci z pewnością dzisiejszej nocy — rzekła.

Gdy pozostała sama pomyślała: Tak, pan powróci. Niestety, nie młody, ale stary. Bo któż by to był inny! Nie żyjący, ale martwy. Dla czyjego ciała miałabym schodzić w nocy do grobowca Montgomerych? To na pewno hrabia de Montgomery. O, mój szlachetny panie! Dla ciebie zginął mój biedny Perrot, a teraz ty połączysz się z wiernym sługą. Czy uniosłeś swoją tajemnicę do grobu? Tajemniczość, wszędzie tajemniczość i groza! Mniejsza o to. Będę posłuszna, choć nie wiem, nie rozumiem, nie mam nadziei. To mój obowiązek, wypełnię go, dobry Boże!

Bolesne myśli Alojzy przeszły w gorącą modlitwę. Takie przyzwyczajenie ma ludzka dusza, kiedy ciężar życia staje się zbyt ciężki, ucieka się do Boga.

Około jedenastej ulice były już całkiem puste. Rozległo się głuche uderzenie w wielką bramę. Alojza zadrżała i zbladła, ale zebrała się na odwagę i poszła z pochodnią w ręce otworzyć ludziom niosącym żałobne brzemię.

Głębokim, pełnym szacunku ukłonem powitała powracającego po długiej nieobecności pana. Potem rzekła do niosących:

— Idźcie za mną, nie czyńcie hałasu. Wskażę wam drogę.

Szła przed nimi ze światłem, prowadziła do lochu cmentarnego.

Gdy tam przybyli, mężczyźni złożyli trumnę do jednego z otwartych grobowców, założyli wieko z czarnego marmuru, a potem zdjęli czapki, uklękli i odmówili krótką modlitwę za duszę nieznajomego, bowiem cierpienie uczyniło ich pobożnymi wobec majestatu śmierci.

Kiedy powstali z klęczek, piastunka wyprowadziła ich w milczeniu, na progu drzwi wsunęła każdemu w rękę kwotę obiecaną przez Gabriela. Odeszli jak nieme cienie nie mówiąc ani słowa.

Alojza znowu zeszła do podziemia, spędziła tam resztę nocy przy grobowcu klęcząc, modląc się i płacząc.

Nazajutrz rano Andrzej zastał ją bladą, ale spokojną. Rzekła mu poważnie tylko tyle:

— Mój chłopcze, powinniśmy zawsze mieć nadzieję, ale nie musimy już czekać na pana wicehrabiego d'Exmès. Pomyśl zatem, o wypełnieniu poleceń, jakie ci przekazał w przypadku, gdyby zaraz nie powrócił.

— To mi wystarczy — rzekł ze smutkiem paź. — Zamierzam wyruszyć już dzisiaj na spotkanie pani de Castro.

— W imieniu nieobecnego pana dziękuję ci, Andrzeju, za gorliwość.

Chłopak uczynił, co rzekł, tego samego dnia wyruszył w drogę. Jechał i wypytywał po drodze o czcigodną podróżną. Dopiero w Amiens ją odnalazł.

Diana de Castro dopiero co przybyła da miasta z eskortą, jaką przydzielił diuk de Guise córce Henryka II. Wysiadła z kolasy, aby odpocząć przez kilka godzin u pana de Thure, zarządcy grodu.

Kiedy Diana dostrzegła pazia, zmieniła się na twarzy, ale opanowała się, dala mu znak, by poszedł za nią do sąsiedniego pokoju, i rzekła, gdy już byli sami:

— Co przynosisz mi, Andrzeju?

— Tylko to, Madame — odpowiedział paź wręczając paczkę z woalem.

— Ach, więc nie pierścień! — zawołała. Przede wszystkim patrzyła, co przyniósł. Potem trochę się uspokoiła i zdjęta ciekawością właściwą nieszczęśliwym, którzy chcą zbadać do głębi swój ból, żywo wypytywała Andrzeja:

— Czy pan d'Exmès nie dał ci oprócz tego jakiegoś listu do mnie?

— Nie, Madame.

— Ale masz mi przekazać ustnie jakąś wieść?

— Niestety, Madame. Pan d'Exmès rzekł jedynie, że zwraca ci wszystkie przyrzeczenia, nawet i to, którego rękojmią jest woal. I że nic więcej nie ma do dodania.

— W jakich okolicznościach wysłał ciebie do mnie? Czy otrzymał mój list? Co rzekł po jego przeczytaniu? Wręczając ci paczkę, co powiedział? Mów, Andrzeju. Jesteś mi oddany i wierny. Sprawa mojego życia zależy od twoich odpowiedzi. Najmniejszy nawet drobiazg może mi wskazać, co czynić, i dodać mi pewności, rozproszyć ciemności.

— Pani, powiem ci wszystko, co wiem, ale wiem bardzo mało.

— Opowiadaj! Opowiadaj!

Andrzej opowiedział nic nie opuszczając, jakie polecenia wydał jemu i Alojzie, w razie gdyby jego nieobecność się przedłużała. Opowiedział, bo Gabriel nie zastrzegł tajemnicy wobec Diany. Mówił o wahaniach i niepokoju młodzieńca. Po przeczytaniu listu Diany zdawało się, że Gabriel chce coś powiedzieć, ale powstrzymał się, zachował milczenie i tylko kilka niejasnych słów wymówił. Andrzej zgodnie z daną obietnicą o niczym nie zapomniał, ani gestu, ani półsłówek, ani niedomówień. Nie miał wykształcenia więc opowiadanie jego, składające się z nie powiązanych fragmentów, jeszcze wzmogło wątpliwości i niepewność Diany.

Ze smutkiem patrzyła na czarny woal, jedyne przesłanie, prawdziwy symbol jej przeznaczenia. Zdawała się mu zadawać pytanie i prosić o radę.

— W każdym razie jedno z dwojga — mówiła do siebie — albo Gabriel wie, że jest moim bratem, albo stracił wszelką nadzieję i sposób na przeniknięcie w przyszłości fatalnej tajemnicy. Mam do wyboru jedynie takie dwa nieszczęścia. Tak, sprawa jest jasna i nie mam już złudzeń, którymi mogłabym się dłużej mamić. Ale czyż Gabriel nie powinien był mi zaoszczędzić tak okrutnej alternatywy? Dlaczego nie zwierzył mi się, co zamierza uczynić, co chce począć ze sobą? Więcej mnie przeraża milczenie niż wybuchy gniewu i wszelkie groźby.

Diana zadawała sobie pytanie, czy powinna iść za pierwszym zamiarem, by wrócić do klasztoru jakiegokolwiek w Paryżu lub na prowincji i więcej już z niego nie wyjść, czy też może raczej jest jej obowiązkiem udać się na dwór królewski, starać się widzieć z Gabrielem, wydusić z niego prawdę o zaszłych wydarzeniach i o jego planach na przyszłość, czuwać w każdym przypadku nad zagrożonym może życiem króla, jej ojca!

Jej ojca? Czy Henryk jest jej ojcem? Czyż nie okaże się, winną i bezbożną córką nie dopuszczając do zemsty, która ma ukarać, ugodzić króla? Straszliwa ostateczność!

Diana była niewiastą, niewiastą czułą i szlachetną. Mówiła sobie, że cokolwiek by się stało, można sobie żałować gniewu, ale nigdy przebaczenia. Pod wpływem naturalnej skłonności do

dobroci postanowiła powrócić do Paryża i zostać przy królu jako jego obrończyni i straż aż do czasu, kiedy otrzyma jakieś uspokajające wieści o Gabrielu i jego projektach. Może Gabriel także potrzebuje jej interwencji, kto wie? Kiedy ocali obu, których kocha, wtedy jeszcze będzie czas schronić się do klasztoru.

Po powzięciu decyzji dzielna Diana już się nie wahała i udała się w dalszą podróż do Paryża.

Przybyła w trzy dni później i wysiadła przed Luwrem, gdzie Henryk II powitał ją z wielką radością bardzo wylewnie i z całkiem ojcowską czułością.

Mimo wszystko Diana nie mogła się opanować i przyjmowała okazywane uczucia ze smutkiem i chłodem. Sam król, pamiętający o skłonności córki do Gabriela, czuł się chwilami zakłopotany i zmieszany w obecności córki. Przypominała mu sprawy, o których wolał zapomnieć.

Nie ośmielił się rozmawiać o projektowanym związku z Franciszkiem de Montmorency, przynajmniej pod tym względem pani de Castro była spokojna.

Miała dostateczną liczbę własnych trosk. Ani w pałacu Montgomerych, ani w Luwrze, nigdzie nie było wieści o wicehrabi d'Exmès.

Młody rycerz po prostu zniknął.

Upływały dni, tygodnie, całe miesiące, a Diana na próżno dopytywała się bezpośrednio lub pośrednio, nikt nie umiał jej powiedzieć, co się stało z Gabrielem.

Jedni opowiadali, że go spotkali posępnego i ponurego. Nikt z nim nie rozmawiał. Widać było, że ma duszę przeżartą troskami, stale unikał zetknięcia się z ludźmi i od nich uciekał. Zresztą wszystkie wypowiedzi różniły się co do miejsca spotkania: jedni mówili, że widzieli wicehrabiego d'Exmès w Saint–Germain, inni w Fontainebleau, jeszcze inni w Vincennes, a niektórzy w Paryżu. Cóż można było wywnioskować z tak sprzecznych informacji?

A jednak wielu z nich miało rację. W rzeczy samej, Gabriel pod wpływem okropnego wspomnienia i jeszcze straszniejszych myśli nie pozostawał ani jednego dnia w tym samym miejscu. Wieczna potrzeba ruchu i czynnego życia przeganiała go z jednego miejsca w drugie. Odkąd przybył gdziekolwiek, pieszo czy konno, do miasta czy na wieś, musiał dążyć, naprzód bez końca, blady i ponury, podobny do antycznego Orestesa ściganego przez Furie.

Błąkał się zresztą ciągle po okolicy, pod gołym niebem, a wchodził do domostw dopiero wtedy, kiedy go do tego zmuszała jakaś konieczność.

Jednak zdarzyło się jeden raz, kiedy Ambroży Paré powrócił do Paryża, bo ranni wyzdrowieli i wrogie utarczki nieco osłabły na Północy, że przyszedł do niego stary znajomy wicehrabia d'Exmès. Przyjął go z szacunkiem jako szlachcica i z serdecznością jako przyjaciela.

Gabriel, jak człowiek przybywający z zagranicy, wypytywał chirurga o sprawy dobrze mu znane.

Najpierw dowiedział się, że Marcin Guerre, już całkiem zdrów, powinien być w obecnej chwili w drodze do Paryża. Pytał o diuka de Guise i armię. Pod tym względem wszystko szło doskonale. Pokiereszowany był pod Thionville. Marszałek de Thremes zdobył Dunkierkę. Gaspard de Tavannes zagarnął Guines i krainę Oie. Tak jak sobie przysiągł Franciszek de Loiraine, ani piędź ziemi w całym królestwie nie pozostała w mocy Anglików.

Gabriel słuchał z powagą i pozornym chłodem owych dobrych nowin.

— Dziękuję ci, mistrzu — rzekł w końcu do Ambrożego. — Cieszy mnie wieść, że przynajmniej dla Francji zdobycie Calais nie pozostało bez dobrych skutków. Jednak nie ciekawość tych spraw przywiodła mnie do ciebie. Zanim cię podziwiałem u wezgłowia rannych, wcześniej jeszcze, w małym domu przy ulicy Saint–Jacques, pewnego dnia w ubiegłym roku poruszyły mnie głęboko twoje słowa. Przychodzę porozmawiać z tobą, mistrzu, na temat zagadnień religijnych, które bada nad wyraz postępowo twoja myśl. Przypuszczam, że

wytworzyłeś sobie pełny pogląd na sprawę reformy.

— Tak, panie — rzekł stanowczo Ambroży Paré. — Prowadziłem korespondencję z wielkim Calwinem, rozproszyły się moje niektóre wątpliwości i ostatnie zastrzeżenia. Jestem teraz kalwinistą z przekonania.

— Czy zechcesz, mistrzu, wtajemniczyć w swoją światłość neofitę, który ma dobrą wolę? Mówię o sobie. Czy zechcesz umocnić moją chwiejną wiarę, tak jak zestawiasz złamaną kończynę?

— Moim obowiązkiem jest przynosić ulgę w miarę możliwości duszom i ciałom bliźnich. Jestem na twe usługi, panie d'Exmès.

Rozmawiali przeszło dwie godziny, Ambroży był pełen zapału i elokwentny, a Gabriel spokojny, smutny i pojętny.

Po upływie tego czasu Gabriel wstał i uścisnął rękę chirurga.

— Dziękuję, rozmowa dobrze na mnie podziałała. Niestety, jeszcze nie nadszedł czas, żebym całkiem otwarcie mógł wystąpić jako protestant. Nawet dla dobra samej religii jest konieczne trochę poczekać. Moje nawrócenie bowiem mogłoby narazić waszą świętą sprawę na prześladowania albo co najmniej na potwarze. Wiem, co mówię. Dzięki tobie, mistrzu, rozumiem teraz, że twoi towarzysze są naprawdę na dobrej drodze, i wierzcie mi, że od tej chwili jestem z wami sercem, choć jeszcze nie czynem. Żegnaj, mistrzu, Ambroży, żegnaj. Zobaczymy się później.

Nic więcej nie wyjaśniając Gabriel ukłonił się chirurgowi i odszedł.

W pierwszych dniach następnego miesiąca, w maju 1558 roku, po raz pierwszy od czasu swego tajemniczego wyjazdu zjawił się w swym pałacu przy ulicy Jardins–Saint–Paul.

Zastał tam zmiany. Od dwóch tygodni już powrócił Marcin Guerre, a Jan Peuquoy z żoną Babetką mieszkał tam od trzech miesięcy.

Bóg nie pozwolił, aby poświęcenie Jana trwało do końca życia, a może aby wina Babetki pozostała nie ukarana. Kilka dni przed powrotem Gabriela urodziła przedwcześnie nieżywe dziecko. Biedna matka wiele płakała, ale schyliła czoło przed cierpieniem, które przyjęła w skrusze jako ekspiację. Podobnie jak Jan ofiarował jej wspaniałomyślnie swą ofiarę, tak ona jemu w zamian swoją rezygnację.

Zresztą nie brakło miłej zasmuconej czułych pociech małżonka i macierzyńskich słów otuchy ze strony Alojzy.

Marcin Guerre ze swą zwykłą dobrodusznością pocieszał ją, jak mógł.

Pewnego dnia, kiedy rozmawiali przyjaźnie we czworo, otwarły się drzwi i ku ich wielkiemu zdziwieniu i ogromnej radości wszedł niespodzianie wolnym krokiem i z poważną miną wicehrabia d'Exmès. Cztery okrzyki zlały się w jeden, dwoje gości, giermek i niańka otoczyli Gabriela.

Kiedy minęły pierwsze uniesienia radości, Alojza chciała wypytać przybysza, którego głośno nazywała swoim panem, a w sercu zwała go zawsze swoim dzieckiem. Co się z nim działo w czasie tak długiej nieobecności? Co zamierzał teraz czynić? Czy wreszcie pozostanie wśród kochających go serc?

Gabriel położył palec na ustach i spokojnym, lecz stanowczym spojrzeniem nakazał milczenie czułej, troskliwej Alojzie. Było widać, że nie chciał lub nie mógł nic wyjaśnić na temat ani przeszłości, ani przyszłości.

Wypytywał natomiast Jana i Babetkę o nich samych. Czy niczego im nie brakuje? Czy mieli wiadomości najświeższe od Piotra, który pozostał w Calais?

Serdecznie współczuł Babetce i starał się ją pocieszyć o tyle, o ile da się pocieszać matkę opłakującą stratę dziecka.

Gabriel spędził resztę dnia wśród swych przyjaciół i sług. Był dobry i serdeczny dla wszystkich, ale nie potrafił otrząsnąć się z czarnej melancholii, która go przytłaczała.

Marcin Guerre nie spuszczał oczu z drogiego pana, wreszcie odzyskanego. Gabriel rozmawiał z nim z wielkim zainteresowaniem, ale przez cały dzień nic nie rzekł na temat uczynionej dawniej obietnicy i wyglądało na to, że zapomniał o podjętym zobowiązaniu ukarania złodzieja nazwiska i honoru, który przez tak długi czas nękał biednego Marcina. Marcin zaś był tak pełen szacunku i pozbawiony egoizmu, że nie kierował myśli wicehrabiego na ów temat.

Gdy nadszedł wieczór, Gabriel wstał i rzekł tonem wykluczającym sprzeciw lub dyskusję:

— Muszę teraz odjechać. — Potem zwrócił się do Marcina i dodał: — Mój zacny Marcinie, zajmowałem się twoją sprawą podczas swoich wycieczek. Jako nieznajomy wypytywałem i szukałem Zdaje mi się, że natrafiłem na ślad prawdy, która cię tak żywo obchodzi Dobrze pamiętałem o podjętym zobowiązaniu Wobec ciebie.

— Och, Wasza Wielmożność! — rzekł giermek, mocno szczęśliwy i zmieszany.

— Powtarzam ci, że zebrałem dostateczną ilość wskazówek, żeby się znaleźć na dobrej drodze. Powinieneś mi jednak trochę dopomóc. Wyjedź w tym tygodniu w swoje strony. Ale nie udawaj się bezpośrednio do swojej wsi. Za miesiąc od dziś bądź w Lyonie. Ja tam także będę, odnajdę cię i porozumiemy się co do dalszego działania.

— Będę ci posłuszny, panie. Ale czy do tego czasu cię nie ujrzę?

— Nie, nie. Na razie muszę być sam — rzekł Gabriel stanowczo. — Znowu wyjeżdżam, nie starajcie się mnie zatrzymywać, bo tylko zasmucilibyście mnie niepotrzebnie. Żegnajcie, drodzy przyjaciele. Marcinie, pamiętaj, za miesiąc od dziś w Lyonie.

— Będę tam na ciebie czekał, Wasza Dostojność — rzekł giermek.

Gabriel serdecznie pożegnał Jana i jego żonę, uścisnął w swych dłoniach ręce Alojzy i znowu odjechał, żeby prowadzić wędrowne życie, na które się skazał.

XVI. ROZDZIAŁ, W KTÓRYM ODNAJDUJE SIĘ ARNOLD DU THILL

W sześć tygodni później, dnia 15 czerwca 1558 roku, znajdujemy się w wiosce Artigues niedaleko Rieux, przed jednym z najpiękniejszych domów osady. Zielona winna latorośl pięła się po brunatnym murze, tworząc ramy dla uroczego, zacisznego wiejskiego obrazka, który w swej nieco prostackiej zwykłości był nader charakterystyczny.

Na drewnianej ławce siedział mężczyzna. Z mocno zakurzonych jego nóg można było wnioskować, że odbył marsz dość długi. Teraz wysunął nogi w kierunku niewiasty, która klęcząc rozwiązywała mu trzewiki.

Mężczyzna marszczył brwi, a niewiasta uśmiechała się.

— Czy wreszcie skończysz, Bertrando? — rzekł szorstko. — Twoja niezręczność i powolność wyprowadzają mnie z równowagi!

— Już skończone — odpowiedziała łagodnie niewiasta.

— Już skończone? — burknął rzekomy Marcin. — A gdzie są ciżmy na zmianę? Tam! Ręczę, że nie przewidziałaś nawet, że trzeba je przynieść, głupia babo! Muszę czekać z bosymi nogami najmniej dwie minuty!

Bertranda pobiegła do domu i w mgnieniu oka przyniosła inną parę obuwia. Spiesznie nałożyła ją na nogi swego pana i władcy.

Bez wątpienia łatwo rozpoznaliście osoby: Arnolda du Thill pod przybranym nazwiskiem Marcina Guerre i Bertrandę de Rolles, niezmiernie łagodną i doprowadzoną do rozsądku.

— A mój miód? Gdzie jest? — spytał „Marcin" zrzędnym tonem.

— Jest tam, już przygotowany, mój drogi — rzekła bojaźliwie Bertranda. — Idę ci go przynieść.

— Zawsze muszę czekać! — narzekał tupiąc nogą. — Idź, pośpiesz się, bo jeśli nie…

Wymownym gestem uzupełnił słowa.

Bertranda odeszła i powróciła lotem błyskawicy. „Marcin" wziął z jej rąk szklanicę napełnioną miodem i wypił jednym tchem z widoczną satysfakcją.

— No dobrze! — raczył wyrzec, zwracając niewieście próżne naczynie.

— Biedaku! Jest ci gorąco! — ośmieliła się zauważyć ocierając chusteczką czoło grubiańskiego męża. — Masz, nałóż czapkę, żeby cię nie chwycił przeciąg. Jesteś wielce znużony, prawda?

— No chyba — dalej gderał „Marcin" — po co się przystosowywać do głupich obyczajów tych zacofanych okolic i w każdą rocznicę ślubu chodzić zapraszać na obiad całą gromadę wygłodzonych krewniaków? Chodzić po wszystkich sąsiadujących z nami wioskach? Dalibóg, że zapomniałem o tym idiotycznym zwyczaju, i gdybyś mi nie przypomniała wczoraj, Bertrando… Wreszcie cały obchód skończyłem. Za dwie godziny wszyscy krewni o żarłocznych szczękach zjawią się tutaj.

— Dziękuję, mój kochany — rzekła Bertranda. — Masz słuszność, zwyczaj jest głupi, ale jest to utarty zwyczaj, do którego trzeba się stosować, żeby nie uchodzić za aroganckich i zarozumiałych.

— Świetne rozumowanie! — ironizował „Marcin". — A ty, próżniaczko, czy chociaż popracowałaś nad tym, co do ciebie należy? Czy ustawiłaś stół w sadzie z odpowiednią zastawą?

— Tak, Marcinie, tak jak kazałeś.

— Czy zaprosiłaś również sędziego? — pytał czuły małżonek.

— Tak, Marcinie, powiedział, że w miarę możności postara się wziąć udział w naszej

uroczystości.

— W miarę możności? — krzyknął rozgniewany „Marcin". — Tak być nie może! Musi przyjść! Niewłaściwie go zapraszałaś! Zależy mi na tym sędzi, wiesz o tym, ale czynisz mi wszystko na przekór. Jego obecność to jedyne, co pozwoli mi znieść ów nużący zwyczaj i odbyć pańszczyznę całkiem niepotrzebną takiej śmiesznej rocznicy.

— Śmieszna rocznica! Naszego małżeństwa? — mówiła Bertranda ze łzami w oczach. — Jesteś teraz, Marcinie, nader wykształcony, wiele widziałeś, wiele podróżowałeś, masz prawo pogardzać starymi przesądami wsi. Mniejsza o ta! Ale rocznica przypomina mi czasy, kiedy byłeś nie tak surowy, a czulszy dla biednej małżonki.

— Tak — odpowiedział „Marcin" z sardonicznym śmiechem — wtedy moja małżonka była nie tak łagodna, była kłótliwsza ode mnie, nieraz się zapominała do tego stopnia, że posuwała się aż do…

— Marcinie, Marcinie, nie przywołuj wspomnień, od których się czerwienię, trudno mi teraz wprost w to uwierzyć.

— A cóż dopiero ja! Kiedy pomyślę, że byłem taki głupi, żeby znosić… Ale dajmy temu spokój. Mój charakter się zmienił i twój także, muszę ci oddać sprawiedliwość. Jak sama mówisz, Bertrando, sporo świata od tego czasu widziałem, twoje złe postępowanie zmusiło mnie do gonienia po kraju. Przez to zdobyłem sporo doświadczenia i kiedy powróciłem rok temu, mogłem przywrócić bieg rzeczy naturalnemu porządkowi. Wystarczyło, że przyniosłem ze sobą drugiego Marcina, Marcina — kija. Teraz wszystko idzie wedle życzenia i tworzymy naprawdę zgraną parę małżeńską.

— To prawda, dzięki ci Boże!

— Bertrando!

— Marcinie?

— Pójdziesz natychmiast znowu do sędziego w Artigues — rzekł „Marcin" tonem władczym, nie dopuszczającym sprzeciwu. — Ponowisz nalegania, otrzymasz od niego zapewnienie, że przyjdzie na nasze przyjęcie. Jeśli nie przyjdzie, wtedy zabiorę się do bicia. Idź, Bertrando, i szybko powracaj.

— Pójdę i zaraz wrócę — odpowiedziała Bertranda i po minucie już jej nie było.

Arnold du Thill śledził ją przez chwilę wzrokiem pełnym zadowolenia. Gdy już był sam, położył się rozleniwiony na drewnianej ławie, głęboko wdychał powietrze i przymykał oczy w egoistycznym błogostanie gardzącego wszystkim człowieka, szczęśliwego, że nie ma się czego obawiać i niczego więcej pragnąć.

Nie zwrócił — uwagi na mężczyznę, wędrowca wspartego na kiju, który szedł z trudem drogą, sam jeden w ową upalną porę. Gdy zauważył Arnolda, zatrzymał się przy nim:

— Wybacz, czy nie ma w waszej wiosce oberży, gdzie bym mógł odpocząć i zjeść obiad?

— Nie, nie ma — odpowiedział Arnold nie zmieniając pozy. — Powinieneś pójść do Rieux, o dwie mile stąd, tam znajdziesz szyld hotelu.

— Jeszcze dwie mile! Już nie mogę iść dalej, takim zmęczony. Chętnie zapłaciłbym całego pistola, byle natychmiast znaleźć schronienie i posiłek.

— Pistola! — powtórzył Arnold i poruszył się z miejsca, zawsze jednakowy, gdy chodzi o pieniądze. — Dobrze, zacny człowieku, jeśli chcesz, dostaniesz u nas kąt i łóżko do spania. Jeśli idzie o posiłek, to dzisiaj mamy uroczysty obiad. Jeden biesiadnik mniej czy jeden więcej nie czyni różnicy. To ci odpowiada, hę?

— Oczywiście, powtarzam ci, że padam ze zmęczenia i głodu.

— No dobrze. Załatwione. Pozostań — rzekł Arnold — za jednego pistola.

— Płacę z góry — rzekł podróżny.

Arnold du Thill podniósł się z ławy, żeby wziąć monetę. Zdjął czapkę zakrywającą oczy i twarz.

Przybysz wtedy ujrzał rysy jego twarzy i cofnął się ze zdziwienia:

— Mój siostrzeniec! Arnold du Thill!

Arnold popatrzył mu w twarz i zbladł. Ale natychmiast opanował się.

— Twój siostrzeniec? Nie znam cię. Kim jesteś?

— Nie poznajesz mnie, Arnoldzie? Nie poznajesz wuja, brata twej matki, Carbona Barreau, któremu przysporzyłeś tylu trosk, podobnie jak całej rodzinie?

— Nie, dalibóg! — odpowiedział Arnold śmiejąc się bezczelnie.

— Jak to! Wypierasz się mnie i samego siebie? Wpędziłeś do grobu ze zmartwienia własną matkę a moją siostrę, biedną — wdowę, zostawiłeś ją samą przed dziesięcioma laty w Sagias. Nie poznajesz mnie, niewdzięczniku? Ale ja cię poznaję, łotrze.

— Nie wiem, o czym w ogóle mówisz — odpowiedział bezwstydnie Arnold, nie zbity z tropu. — Nie nazywam się Arnold, ale Marcin, Marcin Guerre. Nie pochodzę z Sagias, ale z Artigues. Starzy ludzie z tych okolic znają mnie od urodzenia i potwierdzą. Chyba chcesz, żeby z ciebie kpiono, możesz powtórzyć swe bzdury wobec mojej żony Bertrandy de Rolles i wszystkich moich krewnych.

— Twoja żona! Twoi krewni! — zdumiał się Barreau. — Przepraszam. Czyżbym się istotnie pomylił? Ale nie! Takie podobieństwo…

— Po dziesięciu latach jest trudne do stwierdzenia — dokończył Arnold. — Miewasz przywidzenia, poczciwcze! Moi prawdziwi wujowie, moi prawdziwi krewni przyjdą tu za chwilę, sam będziesz mógł ich zobaczyć i usłyszeć.

— Ha, jeśli tak, to możesz się poszczycić podobieństwem do mojego siostrzeńca Arnolda du Thill.

— Od ciebie dopiero o tym się dowiaduję, jeszcze się tym nie chwaliłem — szydził Arnold.

— Powiadam ci, że możesz się tym chwalić — rzek}wędrowiec. — Ale nie ma powodu do dumy być podobnym do takiego łajdaka. Mogę tak twierdzić, bo należę do jego rodziny, mój siostrzeniec jest najgorszym łotrem, jakiego sobie można wyobrazić. Kiedy, sobie o nim myślę, w rzeczy samej jest mocno prawdopodobne, że już nie żyje. Do tego czasu z pewnością dawno go już powiesili, nędznika!

— Tak myślisz? — spytał Arnold z pewną dozą smutku.

— Mam taką pewność, panie Marcinie Guerre. Ciebie to nic nie obchodzi, że mówię o owym łotrzyku, bo to nie jesteś ty, mój gospodarzu.

— Absolutnie nic mnie to nie obchodzi — potwierdził Arnold, niezbyt zadowolony.

Wuj był gadułą, więc dodał:

— Ileż razy w obecności jego biednej matki wyrażałem radość, że pozostałem w bezżennym stanie, że nigdy nie miałem dzieci, które mogły się stać podobne do owego łotra spod ciemnej gwiazdy, zniesławić moje nazwisko i zniszczyć mi życie.

To prawda — myślał Arnold — wuj Carbonnie miał dzieci, to znaczy, nie ma spadkobierców.

— O czym myślisz, panie Marcinie?

— Myślę, że mimo przeciwnych twierdzeń cieszyłbyś, się może dzisiaj, panie Carbon Barreau, gdybyś miał syna, a w jego braku chociażby, owego niedobrego siostrzeńca, którego tak źle wspominasz. Byłby w końcu dla ciebie serdeczną osobą, kimś z rodziny, komu mógłbyś przekazać po sobie swój dobytek.

— Mój dobytek?

— Oczywiście, że swój dobytek. Jeśli rzucasz tak hojnie pistolami, nie jesteś biedny! Myślę, że twoim spadkobiercą będzie ów Arnold, do którego jestem podobny. Do diaska! Żałuję, że nie

jestem nim.

— W rzeczy samej, jeśli Arnold du Thill nie został powieszony, będzie po mnie dziedziczył — z powagą oświadczył Barreau. — Ale nie będzie miał wielkich korzyści ze spadku, bo nie jestem bogaty. Ofiarowuję pistola za możność odpoczynku i pożywienia się, bo jestem wyczerpany zmęczeniem i głodem. Niestety, sakiewka moja jest lekka, zbyt lekka!

— Hę? — spytał Arnold z niedowierzaniem.

— Nie wierzysz mi, imć Marcinie Guerre! Jak ci się podoba. Jednak jest prawdą, że wędruję do Lyonu, gdzie przewodniczący parlamentu, u którego byłem przez dwadzieścia lat za odźwiernego ofiarowuje mi kąt i łaskawy chleb do końca życia. Przysłał mi dwadzieścia pięć pistoli na opłacenie drobnych długów i podróż. Co za szczodry pan! Ta odrobina, która mi pozostała, jest całym moim majątkiem. Dziedzictwo po mnie nic nie jest warte dla Arnolda du Thill, gdyby jeszcze żył. Nie miałby w tym żadnego interesu, by się o nie ubiegać. Dlatego więc…

— Dość już tego, gaduło — opryskliwie przerwał mu Arnold, bardzo niezadowolony. — Czy mam czas wysłuchiwać twego gładzenia? Daj mi wreszcie tego pistola i wejdź do domu, jeśli chcesz. Będziesz jadł obiad za godzinę, potem się wyśpisz i będziemy skwitowani. Nie ma po co tyle gadać.

— Przecież ty mnie wypytywałeś!

— Dalejże! Wchodzisz, czy nie wchodzisz? Już nadchodzą moi współbiesiadnicy, pozwól, że cię opuszczę, żeby ich powitać. Wejdź. Nie czyń ceremonii, bądź jak u siebie, nie wprowadzę cię.

— Widzę to.

Wszedł do budynku, złorzecząc na nagłe zmiany humoru swego gospodarza.

W trzy godziny później jeszcze wszyscy siedzieli przy stole pod wiązami. Goście byli w komplecie, na honorowym miejscu siedział sędzia z Artigues, którego łaski tak bardzo starał się pozyskać Arnold.

Przy dobrym winie krążyły wesołe rozmowy. Młodzi snuli plany na przyszłość, a starzy wspominali dawne czasy. Wuj Carbon Barreau miał okazję przekonać się, że jego gospodarz naprawdę zwał się Marcin. Guerre, był znany, i traktowany przez mieszkańców wioski jak swojak.

— Czy przypominasz sobie, Marcinie, owego mnicha augustiana, brata Chryzostoma, który uczył nas obu czytać?

— Pamiętam — odpowiedział Arnold.

— Czy pamiętasz, kuzynie Marcinie, że na twoim weselu po raz pierwszy strzelano na wiwat w tej okolicy?

— Przypominam sobie — odpowiedział Arnold.

Jakby chciał odświeżyć wspomnienia, ucałował żonę siedzącą obok siebie, a ona była dumna i rozradowana.

— Skoro masz taką dobrą pamięć, przypominasz sobie tyle spraw, może i mnie sobie przypomnisz! — odezwał się nagle głośno i stanowczo za plecami jakiś głos.

XVII. PALESTRA W KŁOPOCIE

Ów, kto przemawiał władczym tonem, odrzucił brązowy płaszcz i kapelusz z szerokim rondem, kryjący twarz. Goście Arnolda du Thill odwrócili się, aby patrzeć, kto mówi. Ujrzeli młodego rycerza o dumnym, pańskim wyglądzie, w bogatym stroju. W pewnej odległości pachołek trzymał za uzdy dwa wierzchowce, na których przyjechali.

Wszyscy wstali z wielkim uszanowaniem, nieco zdziwieni i mocno zaintrygowani.

Arnold du Thill stał śmiertelnie blady.

— Pan wicehrabia d'Exmès! — wyszeptał przestraszony.

— No więc jak? Poznajesz mnie? — Gabriel grzmiącym głosem zwrócił się wprost do niego.

Po chwili wahania Arnold szybko obliczył swoje szansę i podjął wyzwanie.

— Oczywiście — głosowi starał się nadać pewne siebie brzmienie — w rzeczy samej, poznaję pana wicehrabiego d'Exmès. Widywałem cię, panie, w Luwrze i gdzie indziej za czasów, kiedy byłem w służbie u pana de Montmorency. Trudno mi uwierzyć, że Wasza Wysokość mnie poznaje, mnie, ubogiego i nic nie znaczącego sługę konetabla.

— Zapominasz, że byłeś także i moim sługą.

— Co? Ja? — Arnold udawał najgłębsze zdziwienie. — Wybacz, Wasza Dostojność, ale z całą pewnością się mylisz.

— Na tyle jestem pewien, że się nie mylę, aby otwarcie prosić sędziego z Artigues tutaj obecnego, żeby cię natychmiast kazał aresztować i uwięzić. Czy to jasne?

Wśród zebranych przebiegł szmer przerażenia. Sędzia zbliżył się wielce zdziwiony. Jedynie Arnold zachował pozory spokoju.

— Czy mogę przynajmniej się dowiedzieć, o jakie przestępstwo jestem oskarżony? — spytał.

— Oskarżam cię — ostro mówił Gabriel — że bezprawnie zająłeś miejsce mojego giermka, podszyłeś się pod nazwisko Marcina Guerre. Podle i zdradziecko ukradłeś mu jego dobre imię, dom i żonę, wykorzystując nadzwyczajne podobieństwo do niego.

Na tak jasno sformułowane oskarżenie biesiadnicy patrzyli na siebie osłupiali.

— Co to ma znaczyć? — szeptali. — Marcin Guerre to nie Marcin Guerre? Jakie diabelskie sztuczki tkwią w tym wszystkim?

Kilkoro prostodusznych żegnało się krzyżem świątyni i po cichu wymawiało formułki egzorcyzrnów. Większość przyglądała się z przerażeniem przybyszowi.

Arnold du Thill pojął, że nadszedł czas do decydującej rozgrywki, aby nakłonić ku sobie ludzi w rozterce. Zwrócił się do niewiasty, którą nazywał swoją małżonką:

— Bertrando, przemów wreszcie! Czy jestem, czy nie jestem twoim mężem?

Biedna Bertranda, przerażona, ciężko dysząc, nie mówiąc ani słowa, spoglądała szeroko otwartymi oczyma to na Gabriela, to na zastępcę męża. Widząc władczy gest Arnolda i słysząc ton groźby, nie zawahała się i rzuciła się porywczo w jego ramiona:

— Drogi Marcinie Guerre!

Na te słowa urok prysnął i wrogie szmery zwróciły się przeciwko wicehrabiemu d'Exmes.

— Panie, wobec świadectwa mojej żony, wszystkich przyjaciół i krewnych, którzy mnie otaczają, czy trwasz przy swoim dziwnym oskarżeniu? — spytał Arnold z triumfem.

— Trwam przy swoim — po prostu odpowiedział Gabriel.

— Chwileczkę — wmieszał się Carbon Barreau — wiedziałem, że to nie przywidzenie. Skoro istnieje gdzie indziej osobnik tak podobny do tego tutaj, to twierdzę, że jeden z nich jest moim siostrzeńcem z Sagias, Arnoldem du Thill.

— Opatrznościowa pomoc mi przybywa w odpowiedniej chwili — rzekł Gabriel. — Czy rozpoznajesz istotnie swego siostrzeńca w tym oto mężczyźnie? — zwrócił się Gabriel do starca.

— Prawdę mówiąc, nie umiałbym odróżnić jednego od drugiego. Ale z góry mogę przysiąc, że jeśli zaszło oszustwo, sprawcą jest mój siostrzeniec, nałogowo to czyni.

— Czy słyszysz, panie sędzio? — zwrócił się Gabriel do przedstawiciela palestry. — Ktokolwiek jest winien, przestępstwo jest niewątpliwe.

— Ale gdzież jest wreszcie ów człowiek, który się uważa za poszkodowanego, a mnie przez to krzywdzi? — zuchwale rzekł Arnold du Thill. — Czemu mi go nie pokażą? Czemu się ukrywa? Niech się ujawni, żeby sprawę rozsądzić.

— Mój giermek Marcin Guerre na mój rozkaz zgodził się na zamknięcie w więzieniu w Rieux. Jestem hrabia de Montgomery, panie sędzio, były kapitan gwardii jego królewskiej mości. Sam oskarżony mnie rozpoznał. Wzywam cię, panie sędzio, do zatrzymania go i osadzenia w więzieniu, podobnie jak jest z jego oskarżycielem. Kiedy będą obaj w rękach sprawiedliwości, spodziewam się, że łatwo zdołam dowieść po czyjej stronie jest prawda, a po czyjej oszustwo.

— To oczywiste, Wasza Wysokość — odpowiedział Gabrielowi olśniony pomysłem sędzia. — Niech odprowadzą do więzienia Marcina Guerre.

— Sam pójdę, bo mam silne przekonanie o swej niewinności. Drodzy moi, zacni przyjaciele — dodał do zebranych, uważając za roztropne ich sobie pozyskać — liczę na wasze prawe świadectwo, żebyście mi pomogli w tej przykrej ostateczności. Wszyscy, którzy mnie znaliście, poznajecie mnie, prawda?

— Ależ tak, bądź spokojny, Marcinie! — rzekli krewni i przyjaciele, wzruszeni odwołaniem się do nich.

Tymczasem Bertranda znalazła wyjście z sytuacji w omdleniu.

Po ośmiu dniach wszczęto proces przed trybunałem w Rieux. Proces niezwykle trudny i budzący zainteresowanie. Stał się sławny i pamięć o nim trwa, po upływie trzystu lat, aż do naszych czasów.

Gdyby nie wmieszał się w sprawę Gabriel de Montgomery, może nawet wspaniali sędziowie z Rieux, przed którymi wyłożono sprawę, nigdy by z owego procesu nie wybrnęli.

Gabriel przede wszystkim zażądał, aby obaj przeciwnicy nie znaleźli się ani na chwilę razem pod żadnym pretekstem do czasu wydania nowego zarządzenia. Śledztwo i konfrontacje ze świadkami odbywały się dla każdego z osobna. Marcin tak samo jak, Arnold został podporządkowany temu rygorowi i tajemnicy, który jest który.

Marcin Guerre, udrapowany w płaszcz, stanął po kolei przed żoną, Carbonem Barreau, wszystkimi sąsiadami i krewnymi. Wszyscy go poznali. To była jego twarz i jego postawa. Nie mogło być mowy o pomyłce.

Wszyscy jednak podobnie rozpoznali Arnolda du Thill jako Marcina kiedy stanął przed nimi. Krzyczeli, byli zalęknieni i nikt nie mógł znaleźć sposobu na odróżnienie ich obu.

Jak odgadnąć prawdę wobec dwóch sobowtórów podobnych do siebie jak dwie krople wody? Który jest Arnoldem du Thill, a który Marcinem?

— Nawet czart z piekła rodem zapomniałby języka w gębie — rzekł mocno zafrasowany Carbon Barreau, widząc po kolei ich obu. Wobec takiego niesłychanego, nadzwyczajnego fenomenu natury Gabriel i sędziowie w braku różnic fizycznych musieli się kierować różnicą charakterów i opierać się na niezgodności faktów.

Opowiadając o pierwszych latach życia i Arnold, i Marcin podawali takie same fakty, przypominali takie same daty, cytowali nazwiska przerażająco identycznie. Na poparcie swych słów Arnold przyniósł listy Bertrandy, dokumenty rodzinne i obrączkę ślubną Ale Marcin opowiadał, jak Arnold go wywiódł w pole, naraził na powieszenie w Noyon. Wtedy ukradł mu

papiery i ślubny pierścień.

Sędziowie byli wciąż bezradni, pogrążeni w wielkiej niepewności. Pozory i oświadczenia obu były jednakowo jasne i wymowne. Twierdzenia obu oskarżonych zdawały się jednako szczere. Potrzeba było formalnych dowodów i niezbitych świadectw do rozstrzygnięcia tak trudnej sprawy. Gabriel podjął się ich dostarczyć.

Po pierwsze, na jego prośbę przewodniczący trybunału zadał na nowo Marcinowi i Arnoldowi pytanie, gdzie przebywali w wieku od dwunastu do szesnastu lat.

Każdy z nich, pytany na osobności, odpowiedział: — W San Sebastian, w prowincji Baskijskiej, u kuzyna Sanxi.

Sanxi był tutaj jako zaprzysiężony świadek i poświadczył, że fakt się zgadza.

Gabriel podszedł do niego i szepnął mu słówko na ucho. Sanxi zaczął się śmiać i zadał pytanie Arnoldowi w języku Basków, Arnold pobladł i nie odpowiedział ani jednego słowa.

— Jak to? — pytał Gabriel. — Spędziłeś cztery lata W San Sebastian i nie znasz miejscowego dialektu?

— Zapomniałem już — odpowiedział Arnold.

Marcin Guerre, poddany takiej samej próbie, gadał po baskijsku przez kwadrans ku wielkiej radości kuzyna Sanxi, posłużyło to jako budujący dowód dla zebranych i sędziów.

Po tej pierwszej próbie, która zaczęła rozjaśniać głowy i wskazywać, co jest prawdą, — wkrótce nastąpiła druga, która chociaż była jedynie naśladowaniem Odyssei, niemniej jednak była wielce znacząca.

Mieszkańcy Artigues, rówieśnicy Marcina Guerre, przypominali z podziwem i zazdrością jego zręczność przy grze w piłkę. Od czasu powrotu do wioski Marcin wymawiał się od udziału w proponowanej mu grze pod pretekstem, że ma zranioną prawą rękę.

Prawdziwy Marcin Guerre wprost przeciwnie, z przyjemnością dotrzymywał placu i przodował w grze z najlepszymi partnerami. Grał nawet siedząc, owinięty w płaszcz. Jego przeciwnik podawał mu piłki, a Marcin odbijał je prawą ręką z niesłychaną zręcznością.

Od owego momentu sympatia publiczności, tak ważna w podobnych okolicznościach, wyraźnie przechyliła się na stronę Marcina, i co zdarza się dość rzadko: na stronę sprawiedliwości.

Jeszcze jeden dziwny fakt zupełnie zniweczył w umysłach sędziów Arnolda du Thill.

Obaj oskarżeni byli absolutnie tego samego wzrostu. Ale Gabriel zwracający uwagę, na najmniejszy szczegół, zauważył, że stopa, jedyna stopa jego wiernego giermka, była znacznie mniejsza od stopy Arnolda du Thill. Stary szewc z Artigues stanął przed trybunałem. Przyniósł stare i obecne miary.

— Jest pewne, że dawniej Marcin Guerre nosił dziewiątkę. Byłem bardzo zaskoczony, kiedy okazało się, że po powrocie Marcin nosi numer dwunasty. Pomyślałem, że to wskutek jego długich wędrówek.

Rzeczywisty Marcin Guerre wyciągnął w stronę szewca swą jedyną nogę, którą zachowała mu opatrzność chyba po to, aby zatriumfowała prawda. Szewc prostaczek zmierzył stopę, poznał ją i oświadczył, że na tę właśnie stopę sporządzał dawniej obuwie. Pomimo długich podróży i zmęczenia noga pozostała taka sama.

Od tej chwili rozległ się krzyk jednogłośny za niewinnością Marcina a winą Arnolda du Thill. Nie wystarczały jednak same materialne dowody. Gabriel chciał przedstawić jeszcze argumenty moralne.

Sprowadził wieśniaka, któremu Arnold du Thill dał dziwne polecenie oznajmienia w Paryżu o powieszeniu Marcina Guerre w Noyon. Poczciwiec w naiwny sposób opowiedział o swym zdziwieniu, gdy zastał w Paryżu przy ulicy Jardins–Saint–Paul tego samego mężczyznę, który

skierował się na drogę do Lyonu. To była pierwsza okoliczność, która obudziła w Gabrielu podejrzenie o mistyfikację.

Na nowo jeszcze przesłuchano Bertrandę de Rolles.

Biedna Bertranda, pomimo zmiany ogólnej opinii, ciągle obstawała przy mężu, którego się bała. Zapytana, czy nie zauważyła zmiany w usposobieniu męża, spiesznie wyznała

— Tak, tak, po powrocie bardzo się zmienił, ale na korzyść.

Kiedy ją przyciskano do muru, aby wyrażała się ściśle, rzekła naiwnie:

— Dawniej Marcin był słabszy i łagodniejszy niż baranek, pozwalał sobą kierować, wodzić za nos. Aż mi nieraz było wstyd za niego. Powrócił jako pan i władca. Dowiódł mi, nie pozostawiając możności obrony, że postępowałam z nim niesłusznie, że obowiązkiem niewiasty jest być posłuszną, jego słowom i kijowi. Teraz on rozkazuje, a ja go obsługuję, teraz on podnosi na mnie rękę, a ja spuszczam głowę. Po długich podróżach nabrał takiej godności, że nasze role zmieniły się, i teraz jest tak, jak być powinno. Taki nawyk się ustalił i jestem z niego zadowolona.

Inni mieszkańcy wsi Artigues świadczyli po kolei, że dawniej Marcin Guerre był zawsze nieszkodliwy, pobożny i dobry, a teraz stał się agresywny, niewierzący i zadziorny. Podobnie jak szewc i Bertranda, przypisali owe zmiany podróżom.

Na końcu raczył zabrać głos Gabriel de Montgomery wśród pełnego szacunku milczenia sędziów i obecnych na rozprawie.

Opowiadał, w jakich niecodziennych okolicznościach miał na zmianę do usług dwóch Marcinów, jak długo trwało, zanim zdołał dojść przyczyny tak nagłych zmian humoru i usposobienia podwójnego giermka i jakie wydarzenia skierowały jego myśli na właściwą drogę.

Wreszcie Gabriel przedstawił wszelkie straszne wydarzenia, jakie przeżył Marcin, zdradę ze strony Arnolda wobec wrogów, zalety jednego i przestępcze czyny drugiego. Owa ciemna i zagmatwana historia stała się wyraźna i jasna wszystkim obecnym. Gabriel zakończył żądaniem kary dla winowajcy i rehabilitacji niewinnego.

Sprawiedliwość w owych czasach nie była tak pobłażliwa i łagodna jak dzisiaj. Arnold du Thill nie znał jeszcze zeznań obciążających i dowodów zebranych przeciw niemu. Ale z niepokojem przyjął próby z językiem Basków i gry w piłkę. Mimo zakłopotania, ufał sobie, że dostatecznie mądrze się wykręcił. Z miary stopy, branej przez samego szewca, nic nie pojął. Poza tym nie wiedział, czy Marcin Guerre, którego wciąż przed nim ukrywano, wyplątał się lepiej od niego z pytań i trudności.

Gabriel przez poczucie sprawiedliwości i szlachetności żądał, aby Arnold du Thill — był obecny na rozprawie, kiedy wicehrabia go oskarżał, i żeby miał możność się bronić w razie potrzeby. Marcin nie miał po co tego czynić i pozostał w więzieniu. Przyprowadzono jednak Arnolda, aby mógł słyszeć oskarżenie. Nie stracił ani jednego słowa z przekonywającego opowiadania rycerza.

Mimo, wszystko, kiedy wicehrabia d'Exmès zakończył przemówienie, Arnold du Thill nie dał się ani onieśmielić, ani zastraszyć. Wstał spokojnie z ławy i poprosił o pozwolenie na obronę. Trybunał pewnie by mu odmówił, lecz Gabriel wstawił się za nim, żeby mógł mówić.

Mówił wspaniale. Łotr był przebiegły. Miał niezwykły dar wymowy, szło mu to łatwo, a przy tym umysł jego był giętki i wykrętny.

Gabriel usiłował przede wszystkim wprowadzić jasne rozeznanie zagmatwanych przygód obu Marcinów. Arnold zaś starał się wszystko skomplikować, pomieszać wszelkie wątki i po raz drugi wprowadzić w umysły sędziów zbawcze dla siebie zawiłości. Oświadczył, że sam nie pojmuje, w jaki sposób dwie różne egzystencje mogły się tak splątać, by jednego brać za drugiego. Nie umiał wyjaśnić wszelkich qui pro quo, jakimi go obciążano. Może odpowiadać

wyłącznie za własne życie i usprawiedliwiać się z własnych czynów. Do tego jest gotów w każdej chwili.

Znowu zaczął powtarzać fakty i czyny od dzieciństwa do chwili obecnej. Opowiadanie było nader logiczne i zwięzłe. Ponownie odwołał się do swych krewnych i przyjaciół, — przypominając różne okoliczności, o których oni sami zapomnieli, śmiał się z jednych wspomnień, a rozczulał nad innymi.

Nie mógł oczywiście mówić językiem Basków ani grać w piłkę. Ale któż miał pamięć do języków! Pokazywał bliznę na dłoni. Przecież jego przeciwnik mógł się nauczyć specjalnie gwary baskijskiej i wyćwiczyć się w grze.

Na zakończenie jeszcze jedno: hrabia de Montgomery, wprowadzony w błąd przez jakiegoś intryganta, oskarża go, że ukradł jego giermkowi dokumenty ustalające jego tożsamość i pochodzenie, ale nie ma na to żadnego dowodu.

A jeśli chodzi o zeznania wieśniaka, kto może potwierdzić, że to nie był kum samozwańczego Marcina?

A teraz jeszcze sprawa pieniędzy na okup, które Marcin Guerre ukradł hrabiemu de Montgomery. W rzeczy samej, powrócił do Artigues z pewną kwotą pieniędzy, ale znacznie większą niż wymienia hrabia. Wyjaśnił jej pochodzenie wyjąwszy potwierdzenie wypłaty przez dostojnego i potężnego pana konetabla diuka de Montmorency.

Arnold du Thill w swej perorze z niesłychaną zręcznością zabłysnął godnym szacunku nazwiskiem konetabla wobec olśnionych sędziów. Błagał usilnie, żeby zasięgnięto informacji o nim u znakomitego pana. Miał całkowitą pewność, że po uzyskaniu takiej opinii niewinność jego wystąpi całkiem jasno i namacalnie.

Krótko mówiąc, przemówienie chytrego łajdaka było tak zręczne i podstępne, wyrażał się z takim żarem, bowiem bezczelność nieraz trudno jest odróżnić od niewinności, że Gabriel ujrzał sędziów znowu niezdecydowanych i zachwianych w poprzednich przekonaniach.

Należało zadać decydujący cios i Gabriel zdecydował się nań, choć z pewnym oporem.

Podszedł do przewodniczącego trybunału i szepnął mu słówko na ucho. Wydano rozkaz, odprowadzono do więzienia Arnolda du Thill, a przyprowadzono z celi Marcina Guerre.

XVIII. NOWE POMYŁKI

Przede wszystkim nie odprowadzono Arnolda du Thill do aresztu w wartowni miejskiej w Rieux, gdzie poprzednio przebywał. Pozostawiono go na dziedzińcu sądu całkiem samego na kilka minut.

Powiedziano mu, że zachodzi możliwość ponownego wezwania, kiedy sędziowie przesłuchają jego sobowtóra. Pozostawiony własnym myślom, przebiegły nicpoń sam sobie gratulował widocznych efektów swej zręcznej, bezczelnej obrony. Poczciwy Marcin Guerre, chociaż po jego stronie była słuszność, nie potrafi z pewnością mówić tak przekonywająco.

Tak czy inaczej, Arnold zyskał na czasie. Wnikając ściślej w sprawę nie mógł przed sobą udawać, że osiągnął coś więcej. W końcu prawda wyjdzie na jaw ze wszystkich stron, chociaż tak zuchwale jej zaprzeczał. Nawet pan de Montmorency, na którego świadectwo się powołał, chyba nie odważy się pokrywać własnym autorytetem stwierdzonych występków swego szpiega. To bardzo wątpliwe.

W sumie Arnold du Thill, najprzód wielce rozradowany, tracił nadzieję i popadał po trochu w niepokój. Gdy wszystko dobrze rozważył, rzekł do siebie, że sytuacja nie jest pocieszająca". Ze zwątpieniem spuścił głowę, kiedy przyszedł po niego strażnik, by odprowadzić na powrót do więzienia.

Trybunał nie uznał za stosowne przesłuchać go po wyjaśnieniach Marcina Guerre! Nowy powód do troski!

Nie przeszkodziło to jednak Arnoldowi, który wszystko dostrzegał, zauważyć, że nie ten sam co zwykle strażnik przyszedł go odprowadzić.

Skąd ta zmiana? Czy podwajano ostrożności wobec niego? Czy chciano go zmusić do mówienia? Arnold obiecał sobie mieć się na baczności. Milczał przez cały czas podczas drogi.

Nowy powód do zdziwienia! Nowy strażnik prowadził Arnolda nie do tego samego więzienia, które dotychczas zajmował. Okno, w celi było zakratowane i stał wysoki piec, czego w tamtej celi nie było!

Jednak wszystko świadczyło o niedawnej obecności jakiegoś więźnia. Leżały jeszcze świeże resztki chleba, dzban z wodą był do połowy opróżniony. Arnold widział posłanie ze słomy i na wpół otwarty kuferek, z którego wystawała męska odzież.

Arnold, przyzwyczajony do panowania nad sobą, nie okazał zdziwienia. Ale skoro tylko pozostał sam, pobiegł natychmiast przeszukać kuferek.

Znalazł w nim jedynie odzienie. Żadnej wskazówki! Ale ubranie kolorem i krojem coś mu przypominało: Zwłaszcza dwa sajany z brązowego sukna i krótkie spodnie z żółtego trykotu nie miały zbyt pospolitego kroju.

— No, no, to dziwne! — rzekł do siebie Arnold.

Już noc zaczęła zapadać, kiedy wszedł nieznajomy strażnik.

— Hej, panie Marcinie Guerre — rzekł klepiąc po ramieniu zamyślonego Arnolda. Czynił to w sposób świadczący, że chociaż więzień go nie znał, strażnik znał nader dobrze swego więźniar

— Co się dzieje? — spytał Arnold du Thill spoufalonego strażnika.

— Mój drogi, twoja sprawa całkiem widocznie idzie ku lepszemu. Czy wiesz, kto uzyskał zezwolenie od Sędziów i ubiega się o łaskę porozmawiania z tobą przez kilka minut?

— Nie wiem, dalibóg! — odpowiedział Arnold. — Skąd mam wiedzieć? Kto to może być?

— Twoja żona, mój drogi, Bertranda de Rolles we własnej osobie, zaczyna widocznie się orientować, po czyjej stronie jest słuszność. Gdybym był na twoim miejscu, nie zgodziłbym się

jej przyjąć.

— A dlaczego nie? — spytał Arnold du Thill.

— Dlaczego? Ależ dlatego, że przez długi czas nie chciała cię rozpoznać. Najwyższy czas, żeby stanęła po stronie prawdy. Najpóźniej jutro wyrok trybunału zostanie ogłoszony jawnie, publicznie, oficjalnie! Chyba i ty jesteś mojego zdania? Odeślę ją z powrotem na dobre, ową niewdzięcznicę.

Strażnik uczynił krok w stronę drzwi. Ale Arnold powstrzymał go gestem.

— Nie, nie! Nie odsyłaj jej. Chcą ją widzieć, wprost przeciwnie, chcę ją widzieć. Skoro w ostateczności uzyskała przepustkę od sędziów, wprowadź Bertrandę de Rolles, drogi przyjacielu.

— Ech! Zawsze taki sam! Zawsze dobroduszny i wybaczający! Jeśli pozwolisz żonie tak szybko odzyskać swój wpływ na ciebie, nic nie zyskasz. A wreszcie, co mnie to obchodzi!

Strażnik wyszedł wzruszając ramionami z litości.

W dwie minuty później powrócił razem z Bertrandą. Ciemność zapadała coraz głębsza.

— Pozostawiam was samych — rzekł strażnik — ale wrócę po Bertrandę, zanim noc zapadnie, taki jest regulamin. Macie przed sobą kwadrans czasu, skorzystajcie z tego, aby się pobić albo pogodzie. Do wyboru, jak wolicie.

I znowu wyszedł.

Bertranda zbliżyła się wielce zawstydzona, ze spuszczoną głową do rzekomego Marcina Guerre, który siedział milcząc. Czekał, aż ona przemówi.

— Marcinie — rzekła trwożnym, cichym głosem, kiedy była już przy nim — czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

Oczy jej zwilżyły się łzami, drżała całym ciałem.

— Co mam ci wybaczyć? — spytał Arnold nie chcąc się zdradzie.

— Wybacz mi taką ogromną pomyłkę. Wielce zawiniłam nie poznając ciebie. Jednak nic dziwnego, że się pomyliłam, skoro nawet ty sam niegdyś się myliłeś. Teraz wierzę w swoją pomyłkę. Cała okolica, hrabia de Montgomery i sędziowie powinni o tym się dowiedzieć. Oni mnie zapewniają, że jesteś moim prawdziwym mężem, a ów drugi jest oszustem i kłamcą.

— Ale który, który jest stwierdzonym oszustem? Ten, którego, przyprowadził pan de Montgomery, czy tamten, którego znaleziono w posiadłości Marcina Guerre, noszącego jego imię?

— Ależ ów drugi! On mnie oszukał, a jeszcze w ubiegłym tygodniu nazywałam go swoim małżonkiem, jakaż byłam głupia i ślepa!

— Ach, więc sprawa już jest pomyślnie wyjaśniona? — spytał po ruszony do żywego Arnold.

— Ależ tak! Marcinie — rzekła ciągle zmieszana Bertranda. — Panowie z trybunału i twój pan, ów godny wielmoża, zapewnili mnie przed chwilą, że nie mają już żadnych wątpliwości, że ty jesteś prawdziwym Marcinem Guerre, moim zacnym, drogim mężem.

— Ach, naprawdę? — spytał blednąc Arnold.

— Dlatego dano mi do zrozumienia, że byłoby dobrze, gdybym cię poprosiła o przebaczenie i pogodziła z tobą jeszcze przed odczytaniem wyroku. Ubiegałam się o to i otrzymałam zezwolenie na widzenie, się z tobą.

Przerwała, ale widząc, że jej rzekomy mąż nic nie odpowiada mówiła dalej:

— To całkiem oczywiste, że wielce zawiniłam wobec ciebie, mój zacny Marcinie. Ale pomyśl, proszę, że całkiem bezwiednie, biorą na świadków Najświętszą Panienkę i Dzieciątko Jezus! Moim pierwszym — błędem było, że nie odkryłam i nie zdemaskowałam oszustwa, owego Arnolda du Thill. Czyż mogłam przypuszczać, że istnieje na świecie takie całkowite podobieństwo i że dobry Bóg mógł się zabawiać stworzeniem dwóch istot tak dokładnie podobnych? Podobnych z twarzy i podstawy, ale nie z charakteru i serca! Owa różnica powinna

była mi otworzyć oczy, przyznaję to. Ale cóż! Nic mnie nie ostrzegło, żebym się miała na baczności. Arnold du Thill rozmawiał ze mną o przeszłości tak, jak ty mógłbyś to czynić. Miał twój pierścień, twoje papiery. Nikt z przyjaciół, nikt z krewnych go nie podejrzewał. Postępowałam w dobrej wierze. Przypisywałam twoją zmianę usposobienia doświadczeniom zdobytym w świecie. Rozważ, drogi mężu, że pod nazwiskiem owego obcego ciebie stale kochałam, tobie podporządkowałam się z radością. Pomyśl o tym i przebacz mi pierwszą pomyłkę, jaką Bóg dopuścił mi popełnić bezwiednie i nieświadomie. Za ów grzech do końca swoich dni będę błagała o przebaczenie ciebie i niebiosa.

Bertranda de Rolles znowu zamilkła, żeby się przekonać, czy Marcin Guerre do niej przemówi nieco jej doda otuchy. Ale on uparcie zachowywał milczenie, a biedna Bertranda z rozdartym sercem mówiła znowu.

— Niemożliwe, żebyś miał urazę do mnie za ową pierwszą nieświadomą szkodę, natomiast druga z całą pewnością zasługuje na wyrzuty i gniew. Kiedy cię tutaj nie było, mogłam wziąć innego. Ale kiedy zjawiłeś się i ustaliłam podobieństwo, powinnam była cię uznać jako swego męża. Ale i nad tym zastanów się, czy nie ma usprawiedliwienia dla mojego postępowania. Przede wszystkim Arnold du Thill był w posiadaniu tytułu i nazwiska, które do ciebie należało. Budziłoby we mnie wstręt przypuszczenie, że to ktoś podszywający się pod ciebie, i byłoby to karygodne. Po drugie, zbyt krótko pozwolono mi ciebie oglądać i z tobą rozmawiać. Kiedy mnie z tobą skonfrontowano, nie miałeś na sobie zwykłej odzieży, a byłeś owinięty w długi płaszcz, ukrywający przede mną twoją figurę i ruchy. Poza tym, trzymano mnie w odosobnieniu, podobnie jak Arnolda du Thill i ciebie, i ujrzałam każdego z was zawsze osobno przed trybunałem i z daleka. Wobec takiego zatrważającego podobieństwa, w jaki sposób mogłam stwierdzić prawdę? Prawie na chybił trafił zdecydowałam się na tego, który jeszcze wczoraj nazywał się moim mężem. Błagam cię, żebyś mi nie miał tego za złe. Dzisiaj sędziowie mnie zapewniają i udowadniają mi, że się pomyliłam i że oni zdobyli dowody. Od tej chwili powracam do ciebie z należytym szacunkiem i zakłopotana powierzam się twej dobroci i dawnej miłości. Czy mylę się licząc na twą pobłażliwość?

Po skierowaniu owego prawie bezpośredniego zapytania Bertranda uczyniła przerwę. Ale oszukańczy „Marcin" ciągle milczał.

Było widoczne, że Bertranda wyrzekając się Arnolda du Thill znalazła szczególny sposób, by go rozczulić. Działała w dobrej wierze i coraz bardziej zapuszczała się w tym kierunku, który uznała za właściwy, aby trafić do serca męża, którego chciała przebłagać.

— Zastaniesz mnie w całkiem odmiennym usposobieniu. Nie jestem już kapryśną, wzgardliwą, łatwo wpadającą w gniew niewiastą, przez którą tyle wycierpiałeś. Złe traktowanie ze strony owego niecnego Arnolda powinno było ujawnić mi, że to nie ty. Jednak miało ono taki dobry skutek, że ugięłam się, podporządkowałam, upokorzyłam. Możesz liczyć na to, że w przyszłości będę równie uległa i czuła, na ile ty jesteś łagodny i dobry. Bo jesteś dobry i łagodny dla mnie tak samo jak dawniej, prawda? Dowiedziesz mi tego natychmiast przez przebaczenie, a ja uznam cię w sercu, tak jak cię rozpoznaję po rysach twarzy.

— A zatem teraz mnie poznajesz? — odezwał się wreszcie Arnold du Thill.

— Ależ tak — odpowiedziała Bertranda — i ganię siebie, że czekałam na to, aż zapadnie wyrok sędziów.

— Rozpoznajesz mnie? — natarczywie pytał Arnold. — A więc mnie poznajesz, a nie owego intryganta, który tydzień temu jeszcze zuchwale nazywał siebie twoim mężem. Uznajesz mnie za prawdziwego, legalnego męża, za Marcina Guerre, którego od lat nie widziałaś? Uznajesz mnie za pierwszego, za jedynego swego męża?

— Ależ oczywiście — potwierdziła Bertranda.

— A po jakich znakach mnie poznajesz?

— Niestety, jedynie po oznakach czysto zewnętrznych i niezależnych od twej osoby, przyznaję się do tego. Gdybyś stał obok Arnolda du Thill, ubrany tak samo jak on, może bym także was nie rozróżniła, tak bliźniaczo jesteście podobni. Uznaję cię za prawdziwego męża, ponieważ znajdujesz się w tym więzieniu, a nie w tamtym, ponieważ przyjmujesz mnie z surowością, na jaką zasługuję, a tymczasem Arnold starałby się mnie wykorzystać i uwieść…

— Nikczemny Arnold! — krzyknął surowym głosem Arnold. — A ty jesteś niewiastą zbyt łatwą i łatwowierną.

— Tak, potępiaj mnie. Wolę twoje wymówki niż milczenie. Kiedy mi powiesz wszystko, co masz na sercu, znam cię, jesteś pobłażliwy i czuły, potraktujesz mnie łagodnie i przebaczysz.

— Nie rozpaczaj, Bertrando — rzekł Arnold łagodniejszym tonem. — Zobaczymy, jakoś to będzie.

— Ach, jest, jak mówiłam! Tak, ty jesteś moim prawdziwym, drogim Marcinem Guerre!

Rzuciła się do jego stóp, zrosiła jego ręce szczerymi łzami, gdyż przypuszczała, że rozmawia z prawowitym mężem. Arnold du Thill, który ją obserwował nieufnym spojrzeniem, nie powziął żadnego podejrzenia. Objawy radości i skruchy z jej strony były niedwuznaczne.

— Dobrze, zapłacisz mi za to kiedyś, perfidna niewiasto — mruczał do siebie Arnold.

A tymczasem zdawał się poddawać odruchowi spontanicznej czułości.

— Jestem bezbronnymi czuję, ze mięknę — rzekł udając, że ociera łzy, których nie było. Jakby mimo woli złożył lekki pocałunek, na czole skruszonej grzesznicy.

— Co za szczęście, już trochę powróciłam do łask! — rzekła Bertranda.

W tej chwili otwarły się drzwi i ukazał się strażnik.

— Pogodzeni! — rzekł gderliwie dostrzegając czułą parę rzekomych małżonków. — Z góry byłem tego pewien. Ciepłe kluski z ciebie, Marcinie.

— Jak to! Zarzucasz mu dobrać? — spytała Bertranda.

— Daj spokój, daj spokój! — mówił Arnold uśmiechając się dobrotliwie, jak tylko potrafił.

— Wreszcie, powtarzam, mnie to nie obchodzi — odpowiedział nieugięty strażnik. — Mnie obchodzi regulamin. Minął wyznaczony czas, nie możesz tu zostać ani chwili dłużej, zapłakana moja ślicznotko.

— Jak to? Już mam go opuścić!

— Będziesz miała okazję go widzieć jutro i później.

— To prawda! Jutro będziesz wolny! Jutro, mój drogi, na nowo zaczniemy dawne słodkie życie.

— Odłóżcie do jutra czułości. Teraz trzeba się wynosić — rzekł nielitościwy strażnik.

Bertranda po raz ostatni ucałowała dłoń, którą wyciągnął ku niej Arnold królewskim gestem, przesłała ręką ostatnie pożegnanie i wyszła, a za nią strażnik.

Gdy dozorca zamykał drzwi, Arnold go przywołał.

— Czy nie mógłbym dostać lampy? Brak mi światła.

— Oczywiście, dzisiaj tak samo jak co wieczór, do godziny dziewiątej. Nie traktują cię tak surowo jak Arnolda du Thill. A poza tym twój pan hrabia de Montgomery jest taki szczodry. Jestem mu wdzięczny, a więc tobie świadczę… Za pięć minut przyślę ci świecę, przyjacielu Marcinie.

W rzeczy samej, w kilka minut później pachołek więzienny przyniósł światło. Odszedł, życząc więźniowi dobrej nocy i przypominając, by je zgasił jak zwykle o dziewiątej godzinie.

Arnold du Thill znalazł się sam. Zwinnie zrzucił z siebie płócienną odzież i odział się zgrabnie w sajan brunatny i spodnie z żółtego trykotu, znalezione w kuferku Marcina.

Następnie spalił kawałek po kawałku nad płomieniem świecy swoją dawną odzież i zmieszał

jej popiół z popiołem na palenisku komina.

Wszystko to zajęło mu mniej niż godzinę. Zgasił światło i położył się, jak należy, kiedy usłyszał sygnał gaszenia.

— Zaczekajmy teraz — rzekł do siebie. — Zdaje się, że zdecydowanie zostałem pokonany wobec sędziów. Będzie bardzo zabawnie, że nawet z klęski będę mógł wydobyć sposoby na zwycięstwo. Zaczekajmy.

XIX. PRZESTĘPCA SAM NA SIEBIE WYGŁASZA AKT OSKARŻENIA

Zrozumiałe, że tej nocy Arnold wcale nie spał. Leżał na posłaniu ze słomy z szeroko otwartymi oczyma, poświęcając całą uwagę rozważaniu szans, budowaniu planu i obmyślaniu środków. Powziął zuchwały projekt podszycia się jeszcze raz pod biednego Marcina Guerre. Musiał się powieść dzięki jego zuchwałości.

Kiedy przypadek tak cudownie mu sprzyja, czyżby Arnold się dał wyprowadzić w pole przez własną bezczelność? Nie, szybko powziął decyzję podporządkowania się przyszłym zdarzeniom i nieoczekiwanym okolicznościom.

Gdy nastał dzień, obejrzał strój, uznał go, że jest bez zarzutu i zaczął ćwiczyć sposób chodzenia i postawę Marcina Guerre, co dawniej bardzo dokładnie wystudiował. Naśladował bardzo udatnie, może nawet nieco przesadnie dobroduszną minę swego sobowtóra. Trzeba przyznać, że ów podły łajdak mógłby być znakomitym aktorem komediowym.

O godzinie ósmej rano obróciły się na zawiasach drzwi jego więzienia. Arnold du Thill opanował drżenie i przybrał postawą obojętną i spokojną.

Ukazał się ten sam co wczoraj strażnik, prowadząc hrabiego de Montgomery.

— Do diaska! Nadszedł kryzys — rzekł do siebie Arnold. — Grajmy ostrożnie.

Z niepokojeni czekał na pierwsze słowo Gabriela na swój widok.

— Dzień dobry, biedny mój Marcinie — rzekł Gabriel.

Arnold du Thill odetchnął. Hrabia de Montgomery dobrze mu się przyjrzał, zanim nazwał go Marcinem. Zaczynało się qui pro quo. Arnold czuł się ocalony!

— Dzień dobry, dobry mój, drogi panie — rzekł do Gabriela z wylewną wdzięcznością, która tym razem nie była całkiem udawana.

Arnold ośmielił się dodać:

— Co nowego, Wasza Wysokość?

— Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wyrok zostanie ogłoszony dzisiaj rano.

— Wreszcie! Dzięki Bogu! Spieszno mi z tym skończyć, przyznaję. Nie ma już powodów do obaw i wątpliwości, nieprawdaż panie? Słuszność zwycięży.

— Ufam i mam nadzieję — rzekł Gabriel uporczywie wpatrując się w Arnolda. — Ów niecny Arnold du Thill chwyta się rozpaczliwych sposobów.

— Naprawdę? Co on jeszcze kombinuje?

— Czy zdołałbyś uwierzyć? Zdrajca stara się jeszcze raz powtórzyć qui pro quo jak dawniej.

— Czy to możliwe! — zawołał Arnold wznosząc ramiona ku niebu. — Jak to możliwe, wielki Boże?

— Ośmiela się twierdzić, że wczoraj, po wyjściu z rozprawy, strażnicy się pomylili. Że zaprowadzono go do więzienia Arnolda, a że ciebie do jego więzienia.

— Czyż to możliwe! — rzekł Arnold z pięknym odruchem zdziwienia i oburzenia. — Na czym opiera owo bezczelne twierdzenie ów nędznik?

— Było tak. Ani on, ani ty nie zostaliście natychmiast odprowadzeni do więzienia. Po powrocie z narady sędziowie mogli jeszcze potrzebować wyjaśnień jednego i drugiego. A więc straż zostawiła ciebie na dziedzińcu, a jego na korytarzu na dole. Otóż on przysięga, że nastąpiła pomyłka. W tym leży przyczyna pomyłki, że zazwyczaj pozostawiano Arnolda w korytarzu, a Marcina na dziedzińcu. Według niego, strażnicy pomylili jednego z drugim. Dozorcy są ci sami co przedtem, oni was odprowadzili, a te maszyny — ludzie wiedzą tyle, że to więzień, i nie odróżniają osób. Na takich mizernych przesłankach opiera swą nową pretensję. Płacze, krzyczy,

wzywa mnie, chce mnie zobaczyć.

— Czy poszedłeś go odwiedzić, Wasza Wysokość? — z ożywieniem spytał Arnold.

— Nie, dalibóg, daję parol. Obawiam się jego podstępów i wykrętów. Mógłby mnie jeszcze oszukać i wywieść w pole. Łotr jest taki sprytny i zuchwały!

— No i jak! Wasza Wysokość teraz bronisz! — rzekł Arnold udając niezadowolenie.

— Nie bronię go, Marcinie. Ale przyznajmy, że jest to umysł pełen pomysłów i że gdyby użył dobrze połowy swojego sprytu…

— To nikczemnik! — krzyknął Arnold gwałtownie.

— Jak ty go dzisiaj potępiasz! Przychodząc tutaj jednak myślałem, że mimo wszystko nie spowodował niczyjej śmierci, a jeśli go skażą za kilka godzin, z pewnością go powieszą zanim upłynie tydzień. Myślę także, że kara śmierci jest zbyt surowa za takie występki i że w końcu… moglibyśmy, jeśli chcesz prosić dla niego o łaskę.

— Prosić o łaskę! — powtórzył Arnold du Thill trochę niezdecydowany.

— Tak, to wymaga namysłu, wiem o tym. No więc, zastanów się, Marcinie, co ty na to?

Arnold du Thill podparł podbródek ręką i drapał się po policzku. Kilka chwil trwał w zamyśleniu nic nie mówiąc, wreszcie zabrał głos:

— Nie, nie! Nie ułaskawienie! — rzekł stanowczo. — Lepiej nie prosić o łaskę.

— No, no. Nie znałem cię takim nieubłaganym. To nie leży w twoich zwyczajach, Marcinie. Wczoraj jeszcze litowałeś się nad oszustem i chętnie prosiłbyś o jego ocalenie.

— Wczoraj, wczoraj — burknął Arnold — wczoraj to było jeszcze przed tym figlem, jaki nam wypłatał, najobrzydliwszy ze wszystkich dotychczasowych.

— To prawda — rzekł Gabriel. — Tak więc zdecydowanie jesteś zdania, by winowajca poniósł śmierć?

— Mój Boże! — mówił Arnold z dobroduszną miną. — Wiesz sam, Wasza Wysokość, do jakiego stopnia moja natura wzdryga się przed gwałtownymi czynami, przed zemstą i rozlewem krwi. Moja dusza jest rozdarta z tego powodu, że musi dopuścić tak okrutną konieczność, ale to niezbędne. Pomyśl, dostojny panie, dopóki ów podobny do mnie człowiek będzie żył, nigdy nie będę miał spokoju. Ostatni zuchwały cios, jaki ryzykuje w danej chwili, dobrze świadczy o tym, że jest niepoprawny. Z więzienia ucieknie, z wygnania powróci. Od tej chwili będę ciągle niespokojny, udręczony, bezustannie gotów do oglądania go, kiedy się zjawi i zburzy moje życie. Moi przyjaciele i żona nigdy nie będą mieli pewności, czy naprawdę że mną mają do czynienia. Byłaby to wieczna nieufność trzeba by ciągle czekać i spodziewać się nowych konfliktów i nowych zaprzeczeń. W końcu, nigdy nie mógłbym powiedzieć, że jestem w posiadaniu samego siebie. Muszę więc przezwyciężyć swój charakter, z bólem, z rozpaczą. Niewątpliwie będzie mi smutno, że spowodowałem śmierć człowieka, ale tak trzeba, to mus! Dzisiejsze oszustwo przekreśla ostatnie moje skrupuły. Niech Arnold du Thill umrze! Zgadzam się na to.

— Zgoda, umrze — odpowiedział Gabriel. — To znaczy, umrze, jeśli go skażą. Bo jeszcze wyrok nie został wydany.

— Jak to? Czy jeszcze sprawa nie jest pewna?

— Prawdopodobna, ale nie pewna. Ów szatan Arnold wygłosił wczoraj wobec sędziów przemówienie wielce subtelne i przekonywające.

Co za idiota ze mnie! — myślał Arnold du Thill.

— A ty, Marcinie, dowodzisz mi elokwentnie i ze wspaniałą pewnością siebie konieczność śmierci Arnolda, a przed trybunałem nie mogłeś znaleźć wczoraj, pamiętasz, ani jednego argumentu, ani jednego faktu, żeby zatriumfowała prawda. Byłeś zmieszany i wiele milczałeś, pomimo moich nalegań. Zgodzono się na to, żebyś poznał sposób obrony twego przeciwnika. Ale ty nie wiedziałeś, co rzec, żeby odwrócić argumenty i pobić go jego własną bronią.

— To dlatego, Wasza Wysokość, że dobrze się czuję w twojej obecności, a wszyscy ci sędziowie mnie onieśmielają. Poza tym muszę się przyznać, że liczyłem na swoje prawo do słuszności. Zdawało mi się, że sprawiedliwość lepiej mnie obroni niż ja sam siebie. Ale nie tego trzeba wobec prawników. Oni chcą słów, widzę to dobrze. Ach, gdyby tak jeszcze raz zacząć od nowa! Gdyby zechcieli mnie posłuchać!

— Co byś wtedy uczynił, Marcinie?

— Skupiłbym się w sobie i wtedy mówiłbym! Nie jest trudno sprowadzić do niczego wszystkie dowody i twierdzenia tego Arnolda du Thill!

— Nie jest to tak łatwe! — uczynił uwagę Gabriel.

— Wybacz mi, Wasza Wysokość, widziałem błędy w jego podstępach tak jasno, jak on sam powinien był je widzieć, i gdybym był nie tak bojaźliwy, gdyby mi nie brakło słów do wygadania się, powiedziałbym sędziom…

— Co byś im powiedział? Mów.

— Co bym im powiedział? Ależ nie ma nic prostszego, słuchaj, Wasza Wysokość.

Wtedy Arnold zaczął zbijać zarzuty z własnego przemówienia od początku do końca. Rozplatał wydarzenia i pomyłki podwójnego życie Marcina Guerre i Arnolda du Thill z taką samą łatwością, jak je sam zaplątał poprzedniego dnia. Hrabia de Montgomery przedstawiając sprawę pozostawił pewne niejasności w umysłach sędziów, bo sam sobie także nie umiał ich wytłumaczyć. Arnold rozświetlił sprawy z niezwykłą wyrazistością. Ukazał wreszcie Gabrielowi dwa splątane losy: uczciwego człowieka i łajdaka, rozdzielił je tak widocznie, odrębnie, jak się dzieje z oliwą, która na wierzch wody wypływa.

— A więc zasięgnąłeś wieści w Paryżu? — spytał Gabriel.

— Bez najmniejszej wątpliwości, Wasza Wysokość — odrzekł Arnold — w razie potrzeby dostarczę na to dowodów. Nie jest mi łatwo zacząć, ale kiedy mnie ktoś popchnie do przodu, to umiem czynić dobre wypady.

— Jednak Arnold du Thill powołał się na świadectwo pana de Montmorency i na to nie odpowiesz.

— Ależ tak, i na to odpowiem. To prawda, że ów Arnold był w służbie u konetabla, ale była to służba przynosząca ujmę. Był czymś w rodzaju szpiega i właśnie dlatego związał się z tobą, żeby cię obserwować i śledzić. Tacy ludzie są w użyciu ale się im nie ufa. Czy sądzisz, że pan de Montmorency zechce ponosić odpowiedzialność za czyny i postępki swego wysłańca? Nie, nie! Arnold du Thill, przyparty do muru, nie ośmieliłby się zwrócić naprawdę do konetabla, a nawet gdyby się ośmielił w ostatniej rozpaczy, naraziłby się na wstyd, bo pan de Montmorency zaprzeczyłby i wyparł się. Tak więc będę się streszczał…

W jasnym i logicznym streszczeniu Arnold du Thill dokończył burzenia wspaniałej budowli oszustwa, którą tak zręcznie wzniósł poprzedniego dnia.

Z taką łatwością rzeczowego dowodzenia i płynnością wymowy Arnold du Thill za naszych czasów byłby wytrawnym adwokatem. Miał nieszczęście, że przyszedł na świat o trzysta lat wcześniej. Wyraźmy żal jego cieniowi!

— Mam nadzieję, że to wszystko nie doczeka się repliki — rzekł do Gabriela, kiedy skończył perorę. — Jaka szkoda, że sędziowie nie mogli mnie usłyszeć.

— Usłyszeli ciebie — rzekł Gabriel.

— Jak to?

— Popatrz.

Drzwi celi otwarto i Arnold, osłupiały z przerażenia, ujrzał stojących nieruchomo poważnych przedstawicieli sprawiedliwości, był to przewodniczący trybunału i dwaj sędziowie.

— Co to ma znaczyć? — spytał Arnold du Thill obracając się ku Gabrielowi.

— To znaczy, że chciałem przezwyciężyć nieśmiałość mojego biednego Marcina Guerre, i chciałem, aby bez jego wiedzy sędziowie mogli wysłuchać mowy obrończej bez repliki, którą przed chwilą usłyszeli.

— Wspaniale. Dziękuję ci, Wasza Wysokość, tysiąckrotnie — rzekł Arnold i z ulgą odetchnął.

Zwrócił się do sędziów, starając się nadać lękliwe brzmienie swemu głosowi:

— Czy mogę się spodziewać, czy mogę uwierzyć, że moje słowa przemówiły za słusznością mojej sprawy i trafiły do przekonania światłym umysłom, które są zarazem sędziami mojego losu?

— Tak — rzekł przewodniczący trybunału — dostarczone dowody nas przekonały.

— Ach! — odetchnął z triumfem Arnold.

— Ale są i inne dowody, nie mniej pewne, a nawet niezbite, które pozwalają stwierdzić, że wczorajsza zamiana dwóch więźniów była celowa. Marcin Guerre został odprowadzony do twojej celi, Arnoldzie du Thill, a ty zajmujesz jego celę.

— Co? Jak? — bełkotał Arnold jak piorunem rażony. — Wasza Wysokość, co mówisz na to? — zwrócił się bezpośrednio do Gabriela.

— Mówię, że o tym wiedziałem — odpowiedział z wielką surowością hrabia. — Powtarzam ci, Arnoldzie, chciałem, żebyś sam udowodnił niewinność Marcina i swoją winę. Zmusiłeś mnie do odegrania roli, która budzi we mnie wstręt. Ale twoja wczorajsza bezczelność pozwoliła mi zrozumieć, że jeśli się podejmuje walkę z takimi jak ty, trzeba użyć ich własnej broni. Oszustów można zwyciężyć tylko oszustwem. Zresztą nawet nie musiałem nic czynić, tak się śpieszyłeś, by zdradzić własną sprawę. Twoja podłość sama wpędziła cię w zasadzkę.

— W zasadzkę? — powtórzył Arnold. — A więc była to zasadzka? W każdym razie nie opuszczaj swojego Marcina, nie bądź w błędzie, Wasza Wysokość.

— Nie upieraj się, Arnoldzie du Thill. Pomyłka została obmyślona i nakazana przez trybunał. Zdemaskowałeś się bez możności odwrotu, mówię ci — rzekł przewodniczący.

— Oni się mylą — kłamał Arnold du Thill. — To ja jestem Marcin Guerre, giermek pana de Montgomery, nie pozwolę się w taki sposób skazać. Skonfrontujcie mnie z tamtym więźniem. Kiedy znajdziemy się jeden obok drugiego, ośmielcie się wybierać! Ośmielcie się odróżnić Arnolda du Thill od Marcina Guerre! Winnego od niewinnego! Jakby było jeszcze za mało pomyłek i zamieszania w tej sprawie, dodajcie do niej jeszcze nowe! Sumienie wam nie pozwoli z tego tak wybrnąć. Będę krzyczał do końca i mimo wszystko: ja jestem Marcin Guerre! Wyzwę każdego, kto ośmieli się mi zadawać kłam i przeciwstawiać.

Sędziowie i Gabriel kiwali głowami i uśmiechali się poważnie i smutno wobec tak bezwstydnego uporu.

— Jeszcze raz ci oświadczam, Arnoldzie du Thill, że nie ma możliwości pomyłki między tobą a Marcinem Guerxe.

— Jakim sposobem? Po czym go poznajecie? Czym się wyróżnia? — pytał Arnold.

— Zaraz zobaczysz, łotrze — rzekł oburzony Gabriel. Dał znak. Marcin Guerre ukazał się na progu celi.

Marcin bez płaszcza! Marcin kaleka! Marcin na drewnianej nodze!

— Marcina, mojego dzielnego giermka, ocalono mimo szubienicy, którą dla niego przygotowałeś w Noyon. W Calais nie uniknął całkiem słusznej zemsty wymierzonej przeciwko jednej z twoich podłości. Zamiast ciebie strącono go w przepaść. Musiał przejść amputację nogi, co z niezbadanej woli Opatrzności sprawiedliwej, choć niekiedy okrutnej, służy teraz do ustalenia różnicy między prześladowcą, a ofiarą. Obecni tutaj sędziowie już więcej się nie pomylą i zdołają odróżnić zbrodniarza po jego bezwstydności, a sprawiedliwego po jego kalectwa.

Arnold du Thill, blady, zmiażdżony, unicestwiony słowami i piorunującym wzrokiem

Gabriela, nie próbował więcej bronić się i zaprzeczać: wygląd okaleczonego Marcina Guerre z góry obracał w niwecz wszelkie jego kłamstwa.

Padł ciężko na ziemię jak bezwładna masa.

— Jestem zgubiony — wyszeptał — zgubiony!

XX. SPRAWIEDLIWOŚCI!

W rzeczy samej, Arnold du Thill był zgubiony. Trybunał natychmiast udał się na naradę i po kwadransie wezwano oskarżonego, aby wysłuchał wyroku. Podajemy go dosłownie według rejestrów z tamtej daty:

„Zważywszy na zeznania rozmaitych świadków, Marcina Guerre, Bertrandy de Rolles, Carbona Barreau i innych, a zwłaszcza na zeznanie pana hrabiego de Montgomery.

Zważywszy przyznanie się do winy samego oskarżonego, który po daremnych próbach zaprzeczania w końcu wyznał swoją zbrodnię. Z owych przesłuchań, zeznań i przyznania się widać jasno: że wyżej wymieniony Arnold du Thill całkowicie i bez wątpliwości jest winien oszustwa, fałszerstwa, podszycia się pod imię i nazwisko, cudzołóstwa, porwania, świętokradztwa, krzywoprzysięstwa, plagiatu, kradzieży i innych przestępstw.

Zespół sędziowski skazał i skazuje wymienionego Arnolda du Thill:

Po pierwsze, na publiczne wyrażenie skruchy przed kościołem miejscowości Artigues, na klęczkach, w koszuli, z gołą głową i bosymi nogami, ze stryczkiem na szyi i z pochodnią z płonącego wosku w rękach.

Po drugie, na publiczną prośbę o przebaczenie ze strony Boga, króla i sprawiedliwości oraz wymienionych małżonków Marcina Guerre i Bertrandy de Rolles.

Po uczynieniu tego wymieniony Arnold du Thill zostanie wydany w ręce wykonawcy najwyższej sprawiedliwości, który mu każe przejść przez ulice i uczęszczane miejsca w Artigues, ciągle ze stryczkiem u szyi, i zaprowadzi go przed dom wzmiankowanego Marcina Guerre.

Aby dojść do szubienicy, która w tym miejscu będzie wzniesiona, i na niej zostać powieszonym i uduszonym, a następnie ciało zostanie spalone.

Poza tym sąd wyłączył i wyłącza z procesu wymienionego Marcina Guerre i wymienioną Bertrandę de Rolles i odsyła wymienionego Arnolda du Thill do sędziego w Artigues, aby poddał niniejszy wyrok wykonaniu zgodnie z jego formą i treścią.

Orzeczono sądowo w Rieux dnia dwunastego lipca 1558 roku.

Arnold du Thill słuchał owej przewidywanej sentencji wyroku z posępną, ponurą miną. Jednak ponownie potwierdził „swe zaznania, uznał słuszność wyroku i okazał pewną skruchę.

— Błagam Boga o łaskawość, a ludzi o przebaczenie. Jestem przygotowany na poniesienie kary po chrześcijańsku.

Marcin Guerre, obecny na rozprawie, dał nowy dowód swej tożsamości tonąc we łzach przy może nieszczerych słowach swego wroga.

Przezwyciężył nawet wrodzoną nieśmiałość i zapytał przewodniczącego sądu, czy nie byłoby sposobu uzyskać łaskę dla Arnolda du Thill, któremu on z całego serca odpuszcza winy przeszłości.

Ale odpowiedziano dobremu Marcinowi Guerre, że jedynie król ma prawo łaski i że w przypadku tak wyjątkowej zbrodni i tak oczywistej z pewnością odmówiłby jej, gdyby nawet trybunał podjął się o to starać.

Tak — szeptał w myśli Gabriel. — Tak, król odmówiłby łaski, a przecież sam potrzebowałby ułaskawienia! Ale postąpiłby słusznie, gdyby był nieugięty. Żadnej łaski! Nigdy łaski! Sprawiedliwości!

Marcin Guerre z pewnością nie myślał tak jak jego pan. W swojej potrzebie przebaczenia otwarł natychmiast ramiona przed Bertrandą, żałującą i skruszoną.

Bertranda nawet nie musiała powtarzać próśb i obietnic, jakie przez ostatnią, ale skuteczną

pomyłkę skierowała do fałszywego Arnolda du Thill w przekonaniu, że rozmawia z mężem. Marcin Guerre nie pozostawił jej czasu na opłakiwanie na nowo błędów i słabości. Na początku zamknął jej usta siarczystym pocałunkiem i poprowadził ją, szczęśliwy i triumfujący, do — małego rodzinnego domku w Artigues, którego od tak dawna nie widział.

Przed tym samym domem, który wreszcie wrócił do prawowitego właściciela, Arnold du Thill w osiem dni po skazaniu zgodnie z wyrokiem poniósł dobrze zasłużoną karę.

Mieszkańcy wszystkich okolic w promieniu dwudziestu mil zeszli się tam, żeby przyglądać się karze śmierci. Ulice skromnej wioski Artigues były obficiej zaludnione w ów dzień niż arterie stolicy.

Trzeba przyznać, że skazaniec okazał sporo odwagi w ostatnich swoich chwilach i przynajmniej przykładnym końcem ukoronował swój niecny żywot.

Kiedy wedle zwyczaju kat zawołał trzykrotnie do zgromadzonych Sprawiedliwości stało się zadość, tłum rozchodził się powoli w milczącym przerażeniu. A w domu jego ofiary: mężczyzna płakał, a niewiasta modliła się. Byli to Marcin Guerre i Bertranda de Rolles.

Atmosfera domu rodzinnego, widok miejsc, gdzie upłynęło jego dzieciństwo, serdeczność krewnych i dawnych przyjaciół, a zwłaszcza troskliwość Bertrandy w krótkim czasie rozproszyły ślady troski z czoła Marcina Guerre.

Pewnego wieczoru w tym samym miesiącu lipcu siedział przy wejściu pod winnym szpalerem po spędzeniu spokojnego, szczęśliwego dnia. Jego żona zajęta była w domu pracami gospodarskimi. Ale Marcin słyszał jej krzątaninę, więc nie był przecież sam. Spoglądał na prawo, gdzie słońce zachodzące w całej swej wspaniałości zapowiadało następny dzień równie piękny jak ów, który się kończył.

Marcin Guerre nie zauważył przeto jeźdźca, który nadjeżdżał z lewej. Zbliżył się do giermka bez szmeru.

Jeździec zatrzymał się na chwilę i ze smutnym uśmiechem przyglądał się Marcinowi pogrążonemu w ciszy i spokojnej kontemplacji.

Potem wyciągnął do niego rękę i nic nie mówiąc dotknął jego ramienia.

Marcin żwawo się odwrócił, podniósł rękę do czapki, wstał:

— To ty, dostojny panie! — rzekł mocno wzruszony. — Wybacz, nie widziałem, że przyjechałeś.

— Nie usprawiedliwiaj się, zacny Marcinie — odrzekł Gabriel, bo był to on. — Nie przybyłem tu po to, żeby zakłócać twój spokój, ale przeciwnie, żeby się upewnić, że ci dobrze.

— O tak, popatrz na mnie, Wasza Wysokość.

— Czynię to, Marcinie. Więc jak, jesteś szczęśliwy?

— Szczęśliwszy niż jaskółka w powietrzu i niż ryba w wodzie.

— Po prostu w domu znalazłeś dostatek i odpoczynek.

— Tak, w tym tkwi z pewnością jeden z powodów zadowolenia. Może za wiele włóczyłem się po świecie, widziałem sporo bitew, dość czuwałem, dość pościłem, dość wycierpiałem na sto sposobów, żeby zdobyć sobie prawo do odprężenia przez jakiś czas. Jeśli chodzi o dobrobyt — Marcin przybrał poważny ton — w rzeczy samej, zastałem dom bogaty, nawet zbyt bogaty. Te pieniądze nie do mnie należą i nie chcę ich tknąć. Przywiózł je Arnold du Thill, chcę je zwrócić temu, kto ma do nich prawo. Największa ich część należy do ciebie, Wasza Wysokość, bo to pieniądze na okup w Calais. Suma jest odłożona na bok, przygotowana do zwrotu. Jeśli idzie o resztę nadwyżki, którą Arnold wziął komuś lub od kogoś dostał, mało to ważne, te dukaty palą moje ręce. Imć Carbon Barreau myślał tak samo jak ja, to uczciwy człowiek. Mając z czego żyć, nie chce przyjąć spadku po niecnym siostrzeńcu. Po opłaceniu kosztów procesu reszta pieniędzy zostanie rozdana między biednych.

— A zatem nie będziesz miał wiele, biedny Marcinie?

— Wybacz, Wasza Wysokość. Kiedy się służyło dość długo u tak hojnego pana jak ty, jeszcze mi coś pozostanie. Przywiozłem z Paryża w mieszku zacną sumkę. Poza tym rodzina Bertrandy miała posiadłość i pozostawiła jej spadek. Krótko mówiąc, po spłaceniu długów i należności będziemy nadal bogaczami w tej okolicy.

— Jeśli chodzi o zwroty, nie odmawiaj mi, Marcinie, przyjęcia sumy, której nie chciałeś wziąć po Arnoldzie. Proszę cię o to, wierny mój sługo. Zatrzymaj ją jako pamiątkę i wynagrodzenie ode mnie.

— Jak to, Wasza Wysokość! Taki wielki dar dla mnie!

— Czy myślisz, że chcę płacić za twoje poświęcenie? Czyż nie jestem na zawsze twoim dłużnikiem? Nie unoś się dumą wobec mnie, Marcinie, nie mówmy więcej o tym. Ułożone, że przyjmujesz bagatelkę, jaką ci ofiarowuję raczej ze względu na siebie niż na ciebie. Wszak mówiłeś, że nie trzeba ci pieniędzy, żeby żyć dostatnio i w poważaniu swojej okolicy, a ten drobiazg niewiele ci doda do szczęścia. Twoje szczęście powinno polegać głównie na tym, że powróciłeś w rodzinne strony, gdzie żyłeś jako dziecko i młodzieniec.

— To prawda, Wasza Wysokość. Czuję się zadowolony, odkąd tu jestem, i jedynie dlatego, że tu jestem. Z czułą radością spoglądam na domy, drzewa, drogi, czego obcy nawet by nie zauważył. Stanowczo najlepiej się oddycha tam, gdzie się zaczerpnęło pierwszy oddech w życiu.

— A twoi przyjaciele, Marcinie? Przyjechałem po to, żeby się upewnić osobiście o wszystkim, co ci daje szczęście. Czy odnalazłeś przyjaciół?

— Niestety, Wasza Wysokość. Niektórzy już nie żyją. Ale odnalazłem jeszcze sporo kompanów z młodych lat, wszyscy mnie lubią tak jak dawniej. On! także z satysfakcją cenią moją szczerość, przyjaźń i oddanie. Dalibóg, wszyscy się wstydzą, że mogli mnie pomylić z Arnoldem du Thill, który pokazał im próbki swego charakteru odmiennego niż mój. Jest nawet kilku takich, którzy się pokłócili z fałszywym Marcinem Guerre z powodu jego brzydkich postępków. Jakże są teraz z tego dumni i zadowoleni! Streszczając się rzeknę, że obsypują mnie objawami uszanowania i przyjaźni, aby naprawić czas stracony. To jest jeden z powodów do mojej wielkiej radości, zapewniam cię, panie.

— Wierzę ci, zacny Marcinie, wierzę. Mówiąc o uczuciach innych nie wspominasz o żonie?

— Ach, uczucia mojej żony — powtórzył Marcin drapiąc się za uchem bardzo zafrasowany.

— Niewątpliwie, pytam o uczucia żony — rzekł zaniepokojony Gabriel. — Czy Bertranda dręczy cię tak samo jak dawniej? Czy jej charakter nie uległ zmianie na lepsze? Czy stale jest niewdzięczna mimo twej dobroci, wbrew losowi, który dał jej tak dobrego męża? Marcinie, czy znowu cię dręczy kłótliwością i szorstkością, aby cię zmusić do opuszczenia po raz drugi własnej ziemi i miłych przyzwyczajeń?

— Ach, wprost przeciwnie, Wasza Wysokość. Bardzo mnie wiąże z obyczajami tutejszych okolic. Troszczy się o mnie, schlebia mi, całuje. Już bez żadnych kaprysów ani buntów. Odznacza się taką łagodnością i równym usposobieniem, jakiego nie pamiętam. Jeszcze nie zdążę otworzyć ust, a ona już przybiega. Nie czeka, aż wypowiem jakieś życzenie, ale je uprzedza. To wspaniałe! A że ja także nie jestem ani władczy, ani despotyczny, a raczej łatwy w pożyciu i dobroduszny, pędzimy słodkie życie, jesteśmy najlepiej dobraną parą na świecie.

— A to dopiero! Na początku niemal mnie przeraziłeś.

— To dlatego, że odczuwam nieco zażenowania i jestem zmieszany, kiedy kto wysuwa tę sprawę, jeśli mam rzec prawdę. Gdy się nad tym zastanawiam, znajduję w sercu dziwne odczucie, które mi przynosi nieco wstydu. Ale wobec ciebie, mój panie, mogę wyznać wszystko całkiem szczerze i prosto, nieprawdaż?

— Oczywiście — rzekł Gabriel.

Marcin Guerre rozejrzał się lękliwie na boki, czy kto nie usłyszy, a zwłaszcza jego własna żona. Potem ściszył głos i rzeki:

— Wasza Wysokość, nie tylko przebaczam biednemu Arnoldowi du Thill, ale obecnie nawet go błogosławię. Jakąż oddał mi przysługę! Z tygrysicy uczynił owieczkę, z szatana anioła. Zbieram wspaniałe owoce jego brutalnych manier, bez potrzeby zarzucania ich sobie. Wszystkim udręczonym i napotykającym na przeszkody mężom, a jest ich sporo, życzę jedynie sobowtóra, sobowtóra tak przekonywającego jak mój. Arnold du Thill przysporzył mi wiele nieprzyjemności i trosk, to prawda, ale wynagrodził mi je w nadmiarze. Umiał swoim energicznym postępowaniem zapewnić mi szczęście domowe i spokój do końca moich dni.

— To pewne — rzekł z uśmiechem młody hrabia de Montgomery.

— Słusznie przeto błogosławię Arnolda du Thill, chociaż Czynię to skrycie, wszak korzystam z błogich skutków jego współpracy. Jak wiesz, Wasza Wysokość, mam z natury skłonność do filozofowania: zawsze biorę wszystko z dobrej strony. Otóż muszę przyznać, że Arnold więcej mi się przysłużył, niż zaszkodził. Był w zastępstwie mężem mojej żony, ale zwrócił mi ją słodszą od majowego poranka. Na pewien czas okradł mnie z mienia i przyjaciół, ale dzięki niemu mienie wraca do mnie powiększone i przyjaźń utrwalona. Wreszcie poddał mnie srogim doświadczeniom zwłaszcza w Noyon i Calais. Ale za to obecne życie wydaje, mi się tym przyjemniejsze. Mogę jedynie chwalić dobrego Arnolda i to czynię.

— To wynika z wdzięcznego serca — rzekł Gabriel.

— Ale przede wszystkim i ponad wszystko powinienem składać dzięki, okazać wdzięczność i uwielbiać nie Arnoida du Thill, mimowolnego dobroczyńcę, ale ciebie, dostojny panie. Tobie zawdzięczam wszystko, co dobre, ojczyznę, fortunę, przyjaciół i żonę.

— Jeszcze raz powtarzam, dość na ten temat, Marcinie. Proszę jedynie, żebyś z tych zasobów skorzystał. Powtórz mi: czy jesteś szczęśliwy?

— Powtarzam ci, panie, szczęśliwy jak nigdy.

— Tyle tylko chciałem wiedzieć. A teraz muszę już odjechać.

— Jak to? Odjechać? Myślisz już teraz odjechać? Wasza Wysokość!

— Tak, Marcinie, nic mnie tu już nie zatrzymuje.

— Wybacz, panie, to słuszne. Kiedy odjeżdżasz?

— Dzisiaj wieczorem.

— I nie uprzedziłeś mnie — rzekł Marcin Guerre — a ja nie pomyślałem. Usypiałem, taki próżniak! Ale zaczekaj, nie będzie to trwało długo.

— Co? — spytał Gabriel.

— Moje przygotowania do podróży.

Wstał żwawo i szybko poszedł do drzwi domu.

— Bertrando! Bertrando! — zawołał.

— Po co wołasz żonę, Marcinie? — spytał Gabriel.

— Żeby natychmiast spakowała mi tłumok i pożegnała się.

— Ależ to zbyteczne, zacny Marcinie, nie jedziesz ze mną.

— Jak to! Nie zabierasz mnie ze sobą, Wasza Wysokość? — spytał Marcin.

— Nie, jadę sam — odpowiedział Gabriel.

— I już nie powrócisz?

— Przynajmniej chcę długo nie wracać.

— Co zatem masz mi do zarzucenia, panie? — spytał ze smutkiem Marcin.

— Ależ nic, Marcinie. Jesteś najwierniejszym i najbardziej oddanym ze sług moich.

— Jednak to rzecz naturalna, że sługa jedzie za panem, że giermek jedzie za rycerzem. A ty mnie nie zabierasz, panie?

— Mam trzy słuszne powody, Marcinie.

— Czy mogę mieć śmiałość zapytać jakie?

— Po pierwsze byłoby okrucieństwem odrywać cię od szczęścia, które smakujesz tak późno, i od wypoczynku, na który zasłużyłeś.

— Jeśli chodzi o to, moim obowiązkiem jest ci służyć i towarzyszyć do ostatniej godziny. Wydaje mi się, że raj porzuciłbym dla ciebie, panie.

— Tak, ale do mnie należy nie nadużywać twego zapału, za który ci dziękuję. Po drugie, żałosny wypadek, którego padłeś ofiarą, nie pozwala ci już, biedny Marcinie, spełniać usług tak samo aktywnie jak dawniej.

— To prawda, że nie mogę już, niestety, walczyć u twego boku ani dosiadać konia z tobą. Ale w Paryżu, w Montgomery albo nawet w obozie wojskowym są służby wymagające zaufania. Mógłbyś je poruczyć biednemu inwalidzie. Starałbym się wywiązać jak najlepiej.

— Wiem o tym, Marcinie. Może nawet egoistycznie bym je przyjął, gdyby nie trzecia przyczyna.

— Czy mogę ją znać, Wasza Wysokość?

— Tak — odpowiedział Gabriel z powagą i melancholią — ale pod warunkiem, że nie będziesz jej zgłębiał, że tym się zadowolisz, co powiem, i nie będziesz więcej nastawał, żeby mi towarzyszyć.

— To coś poważnego i naglącego, Wasza Wysokość?

— To smutne i nieodwołalne, Marcinie — rzekł Gabriel stłumionym głosem. — Do tej pory prowadziłem godne życie w służbie honoru. Chciałem, by wymawiano często moje nazwisko okryte sławą. Sądzę, że w rzeczy samej wyświadczyłem Francji i królowi ogromne przysługi, choćby tylko wspomnieć Saint—Quentin i Calais. Przypuszczam, że hojnie i szlachetnie spłaciłem swój dług ojczyźnie.

— Któż to wie lepiej ode mnie, panie — potwierdził Marcin.

— Tak, Marcinie. O ile pierwsza część mojego istnienia jest lojalna, szlachetna i woła o jawność i rozgłos, o tyle druga część życia, jaka mi pozostaje, będzie ponura, przerażająca i będzie szukała tajemnicy i ciemności. Pewnie okażę taką samą energię w owym działaniu, ale nie wyznam, dla jakiej sprawy, cel jej ukryję. Dotychczas działałem otwarcie wobec Boga i ludzi, żeby z radością zdobyć nagrodę. A teraz w mroku i trwodze muszę pomścić zbrodnię. Biłem się, walczyłem, teraz muszę karać. Z żołnierza Francji przeistoczę się w kata bożego.

— O Jezusie! — wyszeptał Marcin składając ręce.

— Tak więc muszę być sam dla spełnienia posępnego zadania. Sam proszę Boga, żeby posłużył się moim ramieniem, ale nie moją wolą— Chciałbym być jedynie ślepym narzędziem, a nie myślącą głową. Skoro życzę sobie, skoro mam nadzieję, że moje straszne zadanie pochłonie zaledwie połowę mojej istoty, jakże chcesz, Marcinie, żebym myślał o włączeniu ciebie w taką sprawę?

— Słusznie, teraz to pojmuję, panie — rzekł wierny giermek spuszczając głowę. — Dziękuję ci, ze raczyłeś mu udzielić wyjaśnienia. Chociaż mnie ono zasmuca, rezygnuję tak jak wprzódy obiecałem.

— A ja ze swej strony dziękuję ci za uległość. Ofiarnością tutaj jest nie pomnażanie ciężkiego brzemienia odpowiedzialności, która mnie przytłacza.

— Więc jak, panie, czy absolutnie niczym nie mogę ci się przysłużyć w takiej okoliczności?

— Możesz się modlić do Boga, Marcinie, aby zgodnie z moim życzeniem oszczędził mi owej inicjatywy, która mnie wiele kosztuje, zanim do niej przystąpię. Masz pobożne serce, życie zacne i czyste, przyjacielu. Twoja modlitwa może mi więcej pomóc niż twa ręka.

— Będę się modlił, Wasza Wysokość, i to gorąco! Nie mam potrzeby cię o tym zapewniać.

— A teraz żegnaj, Marcinie — rzekł Gabriel. — Muszę rozstać się z tobą i wracać do Paryża, abym był gotów i obecny na miejscu w dniu, jaki Bóg zechce dla mnie wyznaczyć. Przez całe życie broniłem prawa walcząc o sprawiedliwość. Niech Bóg o tym pamięta w ostatnim moim dniu, niech wymierzy sprawiedliwość swemu słudze, jak ja to uczyniłem swojemu!

Wznosząc oczy ku niebu szlachetny młodzieniec powtarzał:

— Sprawiedliwości! Sprawiedliwości!

Od sześciu miesięcy, kiedy Gabriel otwierał oczy, wznosił je utkwione w niebo, od którego żądał sprawiedliwości. Kiedy je zamykał, zawsze widział ponure więzienie w Châtelet w najczarniejszych swoich myślach, które w nim wołały: zemsty!

W dziesięć minut później z wielkim trudem wyrywał się z kręgu pożegnania i łez Marcina i Bertrandy, którą mąż przywołał.

— Żegnaj, żegnaj, zacny Marcinie, zostań z Bogiem, wierny przyjacielu! — mówił wyswobadzając prawie siłą dłonie z rąk giermka, który je całował i szlochał. — Muszę odjechać, zostań z Bogiem, jeszcze się zobaczymy.

— Żegnaj, spanie, i niech Bóg cię strzeże, niech cię strzeże!

Tylko tyle zdołał powiedzieć biedy Marcin, wstrząsany łkaniem.

Poprzez łzy patrzył, jak jego pan i dobroczyńca wsiada na konia i znika w ciemnościach, które zaczęły gęstnieć i zakryły niebawem smutnego jeźdźca, podobnie jak przesłoniły od dawna jego życie.

XXI. DWA LISTY

Po tak trudnym i szczęśliwie, zakończonym procesie dwóch Marcinów Guerre Gabriel de Montgomery zniknął znowu na kilka miesięcy. Powrócił do wędrownego, niepewnego i tajemniczego życia. Spotykano go nadal w dwudziestu różnych miejscach. Jednak nie oddalał się nigdy z okolic Paryża ani od dworu na zbyt wielki dystans, ukrywał się w cieniu w taki sposób, żeby wszystko widzieć, a samemu nie być widzianym.

Wyczekiwał na wydarzenia, ale sytuacja nie układała się po jego myśli. Dusza młodzieńca, pochłonięta jedyną myślą, nie znalazła jeszcze sposobu wyjścia w oczekiwaniu na spełnienie sprawiedliwej zemsty.

Jedynym ważnym faktem, jaki się dokonał w ciągu ostatnich miesięcy, było zawarcie pokoju traktatem w Cateau–Cambrésis.

Konetabl de Montmorency, zazdrosny o wyczyny wojenne diuka de Guise i nowe uprawnienia, jakie jego rywal zdobywał raz po raz w dowód wdzięczności narodu i łaskawości króla, wymusił wreszcie ów pokój na Henryku II dzięki wszechmożnym wpływom Diany de Poitiers,

Traktat został podpisany trzeciego kwietnia 1559 roku. Chociaż zawarty w okresie pełnego zwycięstwa, nie był on wcale korzystny dla Francji.

Zatrzymywała ona Trois–Evêchés, Metz, Toul i Verdun z przyległymi terytoriami. Dzierżyła także Calais, ale jedynie na osiem lat i miała płacić Anglii osiemset tysięcy talarów w złocie rocznie, gdyby nie zwróciła grodu do tego czasu. (Jednak „klucz do Francji", nigdy nie został zwrócony i nigdy nie zapłacono ośmiuset tysięcy talarów). Poza tym Francja odzyskiwała Saint–Quentin oraz Ham, zachowywała także, ale do czasu, Piemont, Turyn i Pignerol.

Filip II utrzymał w swej pełnej władzy fortece Thionville, Marientaurg i Hesdin. Zrównał z ziemią Therouanne i Yvoy. Kazał oddać Bouillon biskupowi z Liege, genueńczykom wyspę Korsykę, Filibertowi Sabaudię i Piemont zdobyty przez Franciszka I. Przy tym zawarowal sobie małżeństwo z Elżbietą, córką króla i związek małżeński diuka de Savoie z księżniczką Małgorzatą. Były to dla niego ogromne korzyści, jakich nie mogło mu zapewnić jego zwycięstwo w Saint–Laurent.

Diuk de Guise powrócił szybko z frontu mocno rozjuszony. Głośno i nie bez racji oskarżył konetabla de Montmorency o zdradę, a króla o słabość. Ustąpił on i jednym pociągnięciem pióra oddał to, czego wojska hiszpańskie nie zdołały Francji wydrzeć po trzydziestu latach jej sukcesów.

Jednak zło już się stało i ponure niezadowolenie Pokiereszowanego niczego nie naprawiało.

Gabriel także się nie ucieszył. Jego poczucie sprawiedliwości ścigało w osobie króla mężczyznę, a nie monarchę. Chciał się zemścić, ale nie przeciwko ojczyźnie.

Tymczasem zanotował w swej pamięci, co odczuł diuk de Guise i co musiał planować widząc swe chwalebne wyczyny zaprzepaszczone przez podstępne machinacje i intrygi. Gniew książęcego Koriolana mógł się przysłużyć planom Gabriela.

Franciszek de Lorraine nie był oczywiście jedynym niezadowolonym w królestwie.

Pewnego dnia Gabriel spotkał w pobliżu Pre–aux–Clercs barona La Renaudie, którego nie widział od czasu porannego spotkania przy ulicy Saint–Jacques.

Zamiast uniknąć spotkania, jak to czynił za każdym razem, kiedy napotykał znajomych, Gabriel sam do niego przystąpił.

Ci dwaj mężczyźni byli stworzeni do dobrego rozumienia się. Byli do siebie podobni pod

wieloma względami, zwłaszcza odznaczali się taką samą energią i prawością. Obaj jednakowo byli urodzonymi mężami czynu, obaj pasjonowali się dążeniem do sprawiedliwości.

Po wymianie pierwszych grzecznościowych powitań La Renaudie rzekł z wielką pewnością:

— Widziałem się z mistrzem Ambrożym Paré, należysz do nas, prawda?

— Sercem tak, czynem nie — odpowiedział Gabriel.

— Kiedyż więc wreszcie będziesz do nas należał całkowicie i otwarcie? — spytał La Renaudie.

— Nie będę już teraz do ciebie przemawiał egoistycznie tak jak wtedy, może oburzaliście się na mnie. Odpowiem wprost przeciwnie: chcę do was należeć, kiedy będziecie mnie potrzebowali, a kiedy ja was już nie będę potrzebował.

— Co za szlachetność! Dobrze urodzony cię podziwia, ale członek stronnictwa nie może cię naśladować. Jeśli chcesz czekać na moment, kiedy będziemy potrzebowali wszystkich naszych przyjaciół, to wiedz, że chwila już nadeszła.

— Co się dzieje? — spytał Gabriel.

— Przygotowuje się tajny zamach przeciwko wszystkim protestantom — rzekł La Renaudie. — Za jednym razem chcą się pozbyć wszystkich kalwinistów.

— Co na to wskazuje, z czego się domyślasz?

— Ależ wcale się z tym nie kryją — odpowiedział baron. — Antoni Minard, przewodniczący parlamentu, powiedział całkiem głośno na naradzie w Saint–Germain: „Trzeba zadać zdecydowany cios, jeśli nie chcemy stać się republiką podobnie jak Stany Szwajcarskie.

— Jak to? Wymówił on słowo r e p u b l i k a? — spytał zdziwiony Gabriel. — Ależ bez wątpienia wyolbrzymiał niebezpieczeństwo po to, żeby przedsięwzięto nadmierne środki ostrożności.

— Nie zanadto — odpowiedział La Renaudie ściszając głos. — Nie za bardzo przesadzał mówiąc prawdę. My także nieco zmieniliśmy się od czasu zebrania w pokoju Kalwina. Teorie Ambrożego Paré nie wydają się nam dzisiaj zbyt zuchwałe. Widzisz zresztą, że nas popychają do ostateczności.

— Wobec tego może będę do was należał wcześniej, niz myślałem — oświadczył żywo Gabriel.

— Ależ i owszem!

— W którą stronę mam mieć zwrócone oczy?

— Na parlament — odpowiedział baron. — Tam problem się rozpocznie. Stronnictwo ewangelistów pozostaje w ogromnej mniejszości. Annasz Dubourg, Henryk Dufaur, Mikołaj Duval, Eustachy de la Porte i dwudziestu innych. Na przemówienia, które domagają się ścigania heretyków, nasi zwolennicy kalwinizmu odpowiadają żądaniem zwołania soboru powszechnego, który zgodnie z dekretami z Konstancji i Bazylei winien rozstrzygać sprawy religijne. Protestanci mają za sobą prawo. Zatem wrogowie muszą użyć wobec nich gwałtu. Ale my czuwamy, dawaj baczność razem z nami.

— To mi wystarczy — rzekł Gabriel.

— Pozostań w Paryżu, w swoim pałacu, żeby można było cię zawiadomić w razie potrzeby.

— To mnie wiele kosztuje, ale pozostanę, bylebyście nie pozwolili mi się nudzić zbyt długo. Dość już chyba pisaliście i mówiliście, trzeba by zacząć wprowadzać słowa w czyn i działać.

— Takie jest i moje zdanie — rzekł La Renaudie. — Pozostawaj w gotowości i bądź spokojny!

Rozeszli się. Gabriel odszedł mocno zamyślony.

Czy jego, sumienie nie schodziło na manowce w zapale zemsty? Teraz owa zapalczywość pchała go do wojny domowej! Ale skoro wydarzenia nie podsuwały się same do niego, on musiał

wyjść im naprzeciw.

Tego samego dnia Gabriel powrócił do swego pałacyku przy ulicy Jardins–Saint–Paul.

Zastał tam jedynie swą wierną Alojzę. Marcina Guerre nie było, Andrzej pozostał przy pani de Castro, Jan i Babetka powrócili do Calais, a stamtąd do Saint–Quentin, bowiem traktat z Cateau–Cambrésis otwierał bramy przed tkaczem–patriotą.

Powrót pana do pustego domu był zatem tym razem smutniejszy niż zazwyczaj. Jednak macierzyńska opiekunka kochała go za wszystkich. Trudno opisać jej radość, kiedy Gabriel oświadczył, że przez jakiś czas z nią pozostanie. Będzie żył w całkowitym ukryciu i odosobnieniu, ale w końcu będzie z nią, będzie jedynie rzadko wychodził. Alojza będzie go widziała i troszczyła się o niego! Od dawna nie czuła się tak uszczęśliwiona.

Gabriel ze smutnym uśmiechem zazdrościł jej owego szczęścia kochającej duszy. Niestety, nie mógł go z nią dzielić, jego własne życie stało się od tej chwili dla niego samego straszliwą zagadką, której się lękał, i pragnął jednocześnie jej rozwiązania.

Tak płynęły dni wśród niecierpliwego oczekiwania i obaw. Niespokojne i nudne, ciągnęły się ponad miesiąc.

Zgodnie z obietnicą daną niańce prawie nie wychodził z domu. Jedynie wieczorami błąkał się w pobliżu wieży Châtelet, a po powrocie zamykał się na długie godziny w podziemnym grobowcu, dokąd jego ojca przynieśli pewnej nocy ukradkiem nieznani grabarze.

Gabriel znajdował smutną przyjemność we wspomnieniach doświadczonej obelgi i czerpał z nich siły do pomnażania odwagi i gniewu.

Kiedy oglądał czarne mury Châtelet, kiedy oglądał zwłaszcza marmurowy grobowiec, w którym spoczęło cierpienie szlachetnego żywota, jawił się przed nim w całej swej okropności straszny poranek, gdy zamknął oczy zamordowanego ojca.

Wtedy zaciskały się pięści, jeżyły się włosy, unosiła się pierś westchnieniem. Wychodził z tych rozmyślań ze straszną nową nienawiścią. W takich chwilach Gabriel żałował, że odłożył zemstę do czasu sprzyjających okoliczności. Nie sposób było znieść oczekiwania.

W końcu i to! W czasie kiedy on czekał cierpliwie, mordercy jego ojca wesoło triumfowali! Król spokojnie siedział na tronie w Luwrze! Konetabl pomnażał niedolę ludu! Diana de Poitiers nurzała się w Bèzecnych miłostkach!

To nie mogło trwać dłużej! Skoro drzemał boski piorun z nieba, skoro uciśnieni drżeli w bólu, Gabriel obejdzie się bez Boga i ludzi, a raczej stanie się narzędziem bożej sprawiedliwości i urazy ludzkiej.

Wtedy, unoszony nieprzepartym odruchem, chwytał za rękojeść szpady i czynił krok ku wyjściu…

Ale wtedy czułe sumienie z przerażeniem przypominało mu list Diany de Castro, list napisany w Calais, w którym jego ukochana błagała go, by nie karał własnoręcznie, by stał się raczej mimowolnym narzędziem, aby uderzył jedynie w winnych.

Gabriel czytał wielekroć ów wzruszający list i odkładał szpadę do pochwy.

W poczuciu, że znieważały go wyrzuty sumienia, znowu czekał.

W rzeczy samej, Gabriel należał do tych, którzy działają, a nie kierują sprawami. Okazywał godną podziwu energię mając za sobą wojsko, stronnictwo albo znaczną osobistość. Ale nie był człowiekiem tej miary, i natury, by sam dokonywał nadzwyczajnych rzeczy zarówno w dobrym, jak i w złym. Nie urodził się ani jako potężny książę, ani jako wielki geniusz. Brakło mu także możliwości i chęci do podejmowania inicjatywy.

U boku de Coligny'ego i diuka de Cuise dokonał zadziwiających wyczynów! Ale teraz, jak dał do zrozumienia Marcinowi Guerre, jego zadanie uległo zasadniczym zmianom: zamiast walczyć z wrogiem, miał ukarać swego króla. Nikt mu tym razem nie mógł dopomóc w

strasznym dziele.

Niemniej jednak liczył jeszcze na tych samych ludzi, którzy już mu użyczyli swoich wpływów, na protestanta Coligny'ego i na ambitnego diuka de Guise.

Wojna wewnętrzna ku obronie prawd religii, walka przeciw triumfowi uzurpacji ze strony wojennego geniusza — takie to były utajone nadzieje Gabriela. Śmierć lub detronizacja Henryka II, w każdym razie jego ukaranie, wyniknie z takiej lub innej rewolty. Gabriel wystąpi na drugim planie jako stronnik dowódcy. Dotrzyma do końca przysięgi złożonej wobec samego króla: będzie ścigał krzywoprzysięzcę w jego dzieciach i wnukach.

Gdyby go zawiodły obie te szanser Gabriel, przyzwyczajony do drugorzędnej pozycji, musi zdać się jedynie na Boga.

Okazało się jednak, że nie zabrakło mu żadnej z dwu szans. Dnia trzynastego czerwca Gabriel otrzymał prawie jednocześnie dwa listy.

Pierwszy z nich dostarczono około piątej po południu. Przyniósł go jakiś tajemniczy człowiek, nie zechciał oddać pisma inaczej jak do rąk własnych i wręczył go dopiero po porównaniu rysów twarzy Gabriela z posiadanym szczegółowym opisem adresata.

Tak oto brzmiał list:

„Przyjacielu i Bracie,

Nadeszła godzina. Prześladowcy zrzucili maski. Błogosławmy Boga! Męczeństwo wiedzie do zwycięstwa.

Dzisiaj wieczorem o dziewiątej poszukaj na placu Maubert brązowej bramy pod numerem 11.

Zastukasz do tej bramy trzy razy, czyniąc regularne przerwy. Mężczyzna otworzy i rzeknie ci: Nie wchodź, nie będziesz tu widział jasno. Odpowiesz: Przynoszę światło ze sobą. Człowiek cię poprowadzi ku schodom z siedemnastu stopni, po których wejdziesz po ciemku. U góry drugi towarzysz podejdzie do ciebie mówiąc: Czego żądasz? Odpowiesz: Tego, co jest słuszne. Zostaniesz wprowadzony do pustego pokoju, gdzie ktoś powie ci na ucho słowo: G E N E W A. Odpowiesz na to hasło odzewem: C H W A Ł A. Wtedy natychmiast zaprowadzą ciebie między tych, którzy d z i s i a j c i ę p o t r z e b u j ą.

Do wieczora, przyjacielu i bracie. Spal ten list. Dyskrecji i odwagi!

L. R

Gabriel kazał sobie przynieść zapaloną lampę. W obecności posłańca spalił list i rzekł mu jako całą odpowiedź:

— Przyjdę.

Mężczyzna ukłonił się i odszedł.

— No wreszcie! — rzekł Gabriel — Oto w końcu kalwiniści się znudzili!

O ósmej godzinie jeszcze rozmyślał nad wezwaniem pana La Renaudie, kiedy wszedł paź w barwach domu Lotaryńskiego, wprowadzony przez Alojzę, paź przyniósł taki oto list:

„Drogi Panie i Towarzyszu,

Jestem od sześciu tygodni w Paryżu po powrocie z wojska, gdzie nie miałem już nic do czynienia.

Zapewniono mnie, że powinieneś także od pewnego czasu przebywać w domu. Dlaczego cię nie spotkałem? Czy i o mnie zapomniałeś w czasach niewdzięczności i zapomnienia? Nie, znam cię, to niemożliwe.

Przyjdź zatem. Będę na ciebie czekał w moim mieszkaniu w Tournelles.

Przyjdź choćby po to, byśmy się wzajemnie pocieszali po tym, co oni uczynili z naszymi sukcesami.

Twój szczerze oddany przyjaciel

Franciszek de Lorraine”

— Przyjdę — znowu odpowiedział po prostu paziowi Gabriel. Kiedy chłopiec odszedł, pomyślał:

— No proszę! Ambitny także się obudził!

Kołysany podwójną nadzieją, wyruszył po kwadransie na plac Maubert.

XXII. TAJNE ZGROMADZENIE PROTESTANTÓW

Dom przy placu Maubert pod numerem 11, gdzie list pana La Renaudie wyznaczał Gabrielowi spotkanie, należał do adwokata nazwiskiem Trouillard. Mówiono o nim ogólnikowo wśród ludu, że tam się zbierają heretycy. Rozlegające się daleko śpiewy, psalmów, słyszane w sąsiednich domach wieczorami potwierdzały owe niebezpieczne pogłoski. Ale były to zaledwie pogłoski, a policja owej epoki nie wpadła jeszcze na myśl, żeby je sprawdzać.

Bez trudności Gabriel odnalazł brązową bramą i stosownie do instrukcji zawartych w liście trzy razy miarowo zastukał w jednakowych odstępach czasu.

Brama otwarła się jakby sama, ale jakaś ręka pochwyciła w ciemności dłoń Gabriela i ktoś powiedział;

— Nie wchodź, nie będziesz tu widział jasno.

— Przynoszę światło ze sobą — odpowiedział Gabriel zgodnie z instrukcją.

— Przeto wejdź i idź za ręką, która cię wiedzie — rzekł głos. Gabriel usłuchał i uczynił kilka kroków. Potem puszczono jego rękę ze słowami:

— Teraz idź sam.

Gabriel wyczuł pod nogą pierwszy stopień schodów, Naliczył ich siedemnaście i zatrzymał się.

— Czego żądasz? — spytał jakiś inny głos.

— Tego, co jest słuszne.

Otwarto przed nim drzwi natychmiast i wszedł do pokoju słabo oświetlonego.

Znajdował się w nim jeden mężczyzna, który zbliżył się do Gabriela i powiedział bardzo cicho:

— Genewa.

— Chwała — odpowiedział bez namysłu młody hrabia. Mężczyzna uderzył w dzwonek. La Renaudie we własnej osobie ukazał się na ów dźwięk, wszedł przez zamaskowane drzwi: Podszedł do Gabriela i serdecznie uścisnął mu dłoń.

— Czy wiesz, co się działo dzisiaj w parlamencie? — spytał.

— Nie wychodziłem dzisiaj z domu — odpowiedział Gabriel.

— A więc o wszystkim dowiesz się tutaj. Jeszcze się nie zaangażowałeś w naszą sprawę, ale mniejsza o to, my się zwiążemy z tobą. Poznasz nasze plany, obliczysz, siły. Nic nie zataimy przed tobą, co dotyczy spraw naszego stronnictwa. Ty natomiast będziesz miał swobodę działania z nami albo samotnie, wedle woli. Rzekłeś mi, że jesteś z nami intencją, to wystarczy. Nie żądani nawet od ciebie rycerskiego słowa honoru, że nie ujawnisz nic z tego, co ujrzysz lub usłyszysz. Wobec ciebie ostrożność jest zbędna.

— Dziękuję za zaufanie — rzekł wzruszony Gabriel. — Nie będziecie tego żałowali.

— Wejdź razem ze mną i zostań blisko mnie. Będę ci po kolei mówił nazwiska tych braci, których nie znasz. Sam osądzisz resztę. Chodź.

Ujął Gabriela za rękę, nacisnął ukrytą sprężynę tajemnych drzwi i wszedł z nim do wielkiej, podłużnej sali, w której było zgromadzonych około dwustu osób.

Kilka świeczników rozstawionych gdzieniegdzie słabo oświetlało poruszające się grupy ludzi. Poza tym nie było ani mebli, ani obić, ani ławek. Mównica z grubo ciosanego drewna dla ministra lub osoby przemawiającej, i na tym koniec. Obecność dwudziestu kobiet wyjaśniała, ale nie usprawiedliwiała potwarzy, na które pozwalali sobie katolicy w związku z owymi nocnymi tajnymi zebraniami i sekretami kalwinistów. Spieszmy się to zaznaczyć.

Nikt nie zwracał uwagi na wejście Gabriela i jego przewodnika. Wszystkie oczy i myśli były zwrócone ku stojącemu na trybunie.

Był to protestant o smutnej twarzy i poważnym sposobie mówienia.

La Renaudie wymienił jego nazwisko Gabrielowi.

— To radca parlamentu Mikołaj Duval — rzekł mu po cichu — zaczął sprawozdanie o tym, co dzisiaj się działo u augustianów. Słuchaj.

Gabriel słuchał.

— Nasza zwykła sala posiedzeń w pałacu została zajęta w związku z przygotowaniami do uroczystości ślubnych księżniczki Elżbiety. Tymczasowo odbywamy narady u augustianów. Wygląd owej nie używanej sali obudził w nas przeczucie wydarzenia także niecodziennego.

Tymczasem przewodniczący Gilles Lemaitre otworzył posiedzenie jak zwykle i nic nie wydawało się usprawiedliwiać obaw niektórych z nas.

Powrócono do zagadnienia poruszonego w poprzednią środę. Chodziło o poglądy religijne. Antoni Fumée, Paweł de Foix i Eustachy de la Porte wypowiadali się jeden po drugim za tolerancją. Ich elokwentne i zwarte przemówienia zdawały się wywierać wielkie wrażenie na większości zebranych.

Eustachy de la Porte właśnie usiadł mocno oklaskiwany, a zabrał głos Henryk Dufaur, żeby wpłynąć na głosy jeszcze wahających się, gdy nagle otwarły się wielkie drzwi i odźwierny parlamentu zapowiedział głośno:

— Król!

Przewodniczący nie okazał żadnego zdziwienia i wstał z pośpiechem z zajmowanego fotela, by pójść na spotkanie króla. Wszyscy radni podnieśli się bezładnie, jedni zaskoczeni, inni wielce spokojni i jakby oczekujący, co dalej zajdzie.

Król wszedł w asyście kardynała de Lorraine i konetabla.

— Nie przychodzę po to, żeby przeszkadzać wam w pracy, panowie, chcę „brać udział w obradach parlamentu.

Po kilku nic nie znaczących zwrotach grzecznościowych zakończył słowami:

— Został zawarty pokój z Hiszpanią. Ale przy okazji wojen niecne herezje powstały w królestwie. Trzeba je stłumić tak jak wojnę. Dlaczego nie zatwierdziliście urzędowo edyktu przeciw luteranom, jak wam rozkazałem? Tymczasem kontynuujcie swobodnie w mojej obecności rozpoczęte narady.

Henryk Dufaur, który przemawiał, odważnie podjął obronę swobody sumienia 1 dodał nawet kilka zastrzeżeń smutnych a surowych na temat postępowania, rządu królewskiego,

— Żalisz się na zamieszki? Znamy ich twórcę. Można by odpowiedzieć, tak jak Eliasz rzekł do Achaba: To ty dręczysz Izrael.

Henryk II przygryzł wargi blednąc, ale zachował milczenie.

Wtedy powstał Dubourg i wystąpił z jeszcze surowszymi i bezpośrednio kierowanymi napomnieniami:

— Uważam, że są pewne występki, Sire, które należy bezlitośnie karać, takie jak cudzołóstwo, bluźnierstwo, krzywoprzysięstwo, są one faworyzowane bezustannie przez nieład i grzeszne miłostki. Ale o co się oskarża tych, których się wydaje w ręce kata? O obrazę majestatu? Nigdy żaden z nich w swoich modlitwach nie pominął królewskiego imienia. Nigdy nie knuli rewolty ani zdrady! Jak to! Czy dlatego, że dzięki oświeceniu z Pisma Świętego odkryli wielkie występki i haniebne wady potęgi rzymskiej, że zażądali, by wprowadzono ład i porządek, to zasługują na stos?

Król ciągle trwał bez ruchu. Ale czuć było, jak jego gniew rośnie.

Przewodniczący Gilles Lemaitre chciał pochlebić w podły sposób tej niemej urazie i zawołał z

udanym oburzeniem:

— Chodzi o heretyków! Czas z nimi skończyć tak jak z Albigensami! Filip August kazał ich sześciuset spalić jednego dnia!

To gwałtowne wystąpienie może jeszcze lepiej służyło dobrej sprawie niż umiarkowana stanowczość naszych. Stawało się widoczne, że w ostatecznej rozgrywce wynik opinii będzie co najmniej zachwiany.

Henryk II to pojął i postanowił wszystko przyśpieszyć zamachem stanu.

— Pan przewodniczący ma rację — rzekł. — Trzeba skończyć z heretykami, gdziekolwiek by się schronili. A na początek, panie konetablu, niech aresztują owych dwóch buntowników.

Wskazał ręką Henryka Dufaur i Annasza Dubourg. Sam wyszedł, jakby nie mógł powstrzymać już dłużej swej wściekłości.

Nie mam potrzeby wam mówić, bracia i przyjaciele, że pan de Montmorency posłuchał rozkazu króla. Dubourg i Dufaur zostali pochwyceni i porwani w trakcie pełnych obrad parlamentu, a my pozostaliśmy wszyscy skonsternowani.

Gilles Lemaitre jedyny miał odwagę dorzucić:

— To sprawiedliwość! Tak będą ukarani wszyscy, którzy uchybią respektowi dla królewskiego majestatu!

W tej samej chwili wkroczyły straże, ponownie naruszając prawo, dla wykonania następnych rozkazów króla. Zaaresztowano jeszcze de Foix, Fumee i de la Porte'a, którzy przemawiali, zanim król przybył, i którzy ograniczyli się do obrony tolerancji religijnej nie występując z najmniejszym zarzutem przeciwko władcy.

Stało się zatem pewne, że nie z powodu wystąpień przeciwko monarsze, ale z racji poglądów religijnych pięciu pozostających pod ochroną prawa członków parlamentu zostało postawionych w stan oskarżenia, pociągającego za sobą karę śmierci. Wpadli w ohydną zasadzkę.

Mikołaj Duval umilkł. Szmery ubolewania i gniewu zebranych przerywały jego przemówienie ze dwadzieścia razy i rozległy się donośnie, kiedy zakończył opowiadanie o owym burzliwym posiedzeniu, które dla nas z perspektywy czasu zdaje się być częścią innego zgromadzenia. Odbyło się ono w dwieście trzydzieści lat później. Jedynie z tą różnicą, że w dwieście trzydzieści lat później nie władza królewska, ale wolność miała ostatnie słowo.

Po Mikołaju Duval zajął miejsce na mównicy minister David.

— Bracia — zwrócił się do zebranych — oby Bóg podczas narady natchnął nasze umysły prawdą, wznieśmy ku niemu głosy i myśli jakimś psalmem.

— Psalm czterdziesty! — zawołała większość kalwinistów.

Wszyscy zaczęli śpiewać.

Szczególnie nadawał się do wprowadzenia nastroju: nie był on pokojowy! Był to raczej śpiew pełen gróźb niż hymn pobożny.

Ale w owej chwili oburzenie przepełniało dusze i wszyscy z przejęciem śpiewali następujące strofy, których zapał wyrównywał braki poetyckie:

Ludzie szaleni, gdzież serca macie,
Chrystowi wojnę wypowiadacie,
W służbę idziecie do szatana,
By prześladować naszego Pana.
Zdrajcy obrzydliwi!
Czemu służycie
Diabłu gorliwi.
Przykazań Bożych Słuchać nie chcecie,

W grzechu żyjecie!

Ostatnia strofa było szczególnie znacząca:

Nie brońcie głosić wszędzie
Słowa żywego Boga,
On królem zawsze będzie,
Was kara czeka sroga!
Przeklnie was, grzeszników,
Strąci w piekielne czeluści,
Ukaże bezbożników,
Bolesne męki spuści!

Po odśpiewaniu psalmu, jakby ów pierwszy krzyk do Boga ulżył sercom, zapanowała cisza i narady mogły się rozpocząć.

La Renaudie pierwszy zabrał głos, aby sprecyzować przede wszystkim jego zakres i znaczenie. Mówił z miejsca, gdzie stał:

— Bracia, wobec niesłychanego faktu, który godzi we wszelkie zasady sprawiedliwości, musimy określić, jaki sposób postępowania ma przyjąć stronnictwo reformacji. Czy będziemy jeszcze czekać cierpliwie, czy będziemy działać? W drugim przypadku, jak będziemy działali? Takie są pytania, które każdy winien sobie zadać i rozstrzygnąć wedle swego sumienia. Widzicie, że nasi prześladowcy mówią o powszechnej masakrze i dążą do przekreślenia naszego życia jak słowa błędnie napisanego w książce. Czy będziemy potulnie czekali na śmiertelny cios, czy raczej postaramy się sami wymierzyć sprawiedliwość i przeciwstawić siłę prawu, ponieważ sprawiedliwość i prawo zostały pogwałcone przez tych samych, których obowiązkiem jest ich strzec? Wy macie na to odpowiedzieć, bracia i przyjaciele.

La Renaudie uczynił krótką przerwę, jakby chciał pozostawić czas na wyraźne uformowanie się w umysłach owego strasznego dylematu. Potem mówił dalej, chcąc naraz naświetlić i przyśpieszyć wyciągnięcie wniosków:

— Na nieszczęście wiemy wszyscy, że jest rozdział między dwoma stronnictwami, które powinna jednoczyć sprawa reformy i prawdy. Jest wśród nas stronnictwo szlacheckie i stronnictwo genewskie. Ale wobec niebezpieczeństwa i wspólnego wroga wypada, abyśmy mieli jedno serce i jedną wolę. Członkowie jednego i drugiego odłamu jednakowo są proszeni o wypowiedzenie swego zdania i o zaproponowanie sposobów działania. Rada, która zaofiaruje najlepsze szansę powodzenia, bez względu na to, od kogo wyjdzie, winna być przez ogół przyjęta. A teraz mówcie, bracia i przyjaciele, z całkowitą swobodą i pełnym zaufaniem.

Po przemówieniu pana La Renaudie nastąpiło dość długie wahanie. Słuchającym brakło właśnie swobody, brakło ufności.

Przede wszystkim, pomimo oburzenia, którym wszystkie serca były szczerze przepełnione, władza królewska miała wtedy zbyt wielki prestiż, żeby kalwiniści, nowicjusze w konspiracji, ośmielili się wyrażać natychmiast otwarcie i bez ubocznych myśli swe zdanie o zbrojnej rebelii. Byli zdecydowani i oddani sprawie jako masa. Ale każdy z nich cofał się przed odpowiedzialnością w pierwszym odruchu. Wszyscy chcieliby brać udział w ruchawce, ale nikt nie ośmielił się zacząć.

Następnie, jak już zaznaczył La Renaudie, jedni nie mieli zaufania do drugich. Każde z dwóch stronnictw nie wiedziało, dokąd może je zaprowadzić drugie, bo przecież ich cele w rzeczy samej były zbyt niepodobne, żeby wybór drogi i wodzów stał się dla nich obojętny.

W samej rzeczy, partia genewska tajnie dążyła do republiki, a partia szlachty jedynie do zmiany władzy królewskiej.

Formy wyborcze kalwinizmu, zasada, równości, jaką zakładała we wszystkim nowa religia, prowadziły bezpośrednio do systemu republikańskiego w warunkach przyjętych przez szwajcarskie kantony. Ale szlachta nie chciała iść aż tak daleko i zadowoliłaby się detronizacją Henryka II i zastąpieniem go przez króla kalwinistę. Z góry wspominano po cichu o księciu de Condé.

Widać przeto, że było trudno zespolić we wspólnym dziele dwa elementy bardziej opozycyjne.

Gabriel zauważył z żalem po przemówieniu — pana La Renaudie, że dwa obozy, wręcz prawie wrogie, mierzyły się nieufnym okiem. Nie wyglądało na to, że myślą o wyciągnięciu wniosków z przesłanek tak śmiało postawionych.

Minęła jedna i druga minuta na pomieszanych szeptach w niezdecydowaniu bardzo żałosnym. La Renaudie zadawał sobie pytanie, czy przez swą zbyt szorstką szczerość mimo woli nie popsuł skutków przemówienia Mikołaja Duvala. Ale skoro już — wstąpił na taką drogę, chciał wszystko postawić na jedną kartę, by wygrać. Zwrócił się do małego człowieczka, chudego i wątłego, o gęstych brwiach, wyglądającego na wątrobnika, który stał w grupie niedaleko:

— No więc jak, Lignières — rzekł głośno — czy nie przemówisz do naszych braci nie zrzucisz tego, Co masz na sercu?

— Zgoda! — odpowiedział drobny mężczyzna, a jego posępne spojrzenie nabrało blasku. — Będę mówił, ale w niczym nie ustępując i niczego nie tuszując.

— Śmiało! Jesteś wśród przyjaciół — rzekł La Renaudie.

W tym czasie, kiedy Lignières wstępował na podwyższenie, baron powiedział na ucho Gabrielowi:

— Używam niebezpiecznego środka. Lignières jest fanatykiem w dobrej czy w złej wierze. Tego nie wiem, kto popycha sprawy do ostateczności i prowokuje więcej odrazy niż sympatii. Mniejsza z tym! Trzeba za wszelką cenę wiedzieć, czego mamy się trzymać, nieprawdaż?

— Tak — przyznał Gabriel. — Niech prawda ujawni się wreszcie ze wszystkich zamkniętych serc.

— Lignières i jego genewskie doktryny nie pozwolą zasnąć, bądź spokojny — odpowiedział La Renaudie.

Mówca istotnie zaczął mocno, ex abrupto:

— Prawo samo w sobie zostało pogwałcone. Jakie odwołanie nam pozostaje? Odwołanie do siły i nic innego! Pytacie, co należy czynić? Jeśli ja nie odpowiem na to pytanie, to jest coś, co może odpowiedzieć za mnie.

Podniósł do góry i pokazał srebrny medal.

— Ów medal przemówi wymowniej od moich słów. Tym, którzy Z daleka nie mogą go dobrze widzieć, powiem, co on przedstawia: to wizerunek ognistego miecza, który przecina lilię, której łodyga pochyla się i spada. Wedle niego berło i korona stoczyły się w proch.

Lignières dodał jakby w obawie, że nie zrozumiano go dobrze:

— Medale zazwyczaj służą do upamiętnienia dokonanych czynów: ten oto niech służy jako wróżba dla czynu, który wkrótce nadejdzie. Nic więcej nie powiem.

Powiedział aż nadto! Zszedł z estrady wśród oklasków, małej grupki zgromadzonych i szmerów wśród większości. Ale ogólna postawa to było milczenie pełne osłupienia.

— Dalej! Nie ta struna wibruje najsilniej wśród nas — rzekł La Renaudie cicho do Gabriela. — Uderzmy w inną.

Zwrócił się do młodego eleganta, trwającego w zamyśleniu, wspartego o kominek o dziesięć

kroków od niego:

— Panie baronie de Castelnau, czy ty nie chcesz z kolei zabrać głosu?

— Może nie mam nic do powiedzenia, ale mam —odpowiedź.

— Słuchamy— zachęcił go La Renaudie.

Nachylił się do ucha Gabriela dodając:

— Ten należy do stronnictwa szlacheckiego i powinieneś go był widzieć w Luwrze w dniu, kiedy przyniosłeś nowinę o zdobyciu Calais. Castelnau jest otwarty, prawy i odważny. Zatknie swój sztandar równie zuchwale jak Lignières i przekonamy się, czy lepiej go przyjmą.

Castelnau zatrzymał się na jednym ze stopni podwyższenia i stamtąd przemówił:

— Zacznę podobnie jak poprzedni mówcy. Ugodzono w nas niesprawiedliwością, a więc brońmy się tą samą bronią. Prowadźmy na otwartym polu w pancerzach wojnę, jaką rozpoczęto w parlamencie wśród czerwonych tog. Ale jeśli idzie o resztę, to się różnię zdaniem od pana de Lignières. Ja także mam medal do pokazania. Oto on. Z daleka wydaje się podobny do talarów, monet, które nosimy w sakiewkach. To prawda, że także przedstawia wizerunek króla w koronie. Tylko zamiast Henricus II rex Galliae napis brzmi: Ludovicus XIII rex Galliae. Skończyłem.

Baron de Castelnau z wysoko podniesionym czołem zszedł z trybuny. Aluzja do księcia Ludwika de Conde była wyraźna. Ci, którzy oklaskiwali pana de Lignières szemrali, ci, co przedtem szemrali, teraz klaskali.

Ale większość trwała nieruchomo dalej milcząc między dwiema mniejszościami.

— Czego więcej chcą? — spytał cicho Gabriel pana La Renaudie.

— Obawiam się, że niczego — odpowiedział baron.

W tej samej chwili adwokat Des Avenelles poprosił o głos.

— Myślę, że to ich człowiek — rzekł La Renaudie. — Des Avenelles mnie gości, kiedy przebywam w Paryżu. Umysł mądry i uczciwy, ale zbyt ostrożny, a nawet zbyt lękliwy. Jego zdanie stanie się dla nich wyrocznią.

Des Avenelles od samego początku wykazał, że przewidywania pana La Renaudie są słuszne.

— Usłyszeliśmy tutaj odważne, a nawet zuchwałe słowa. Ale czy nadszedł właściwy moment, żeby, je wymawiać? Wskazuje się nam wzniosły cel, ale nikt nie mówi o środkach. Nie mogą być inne jak kryminalne. Nikt może więcej ode mnie nie ma duszy bardziej przejętej prześladowaniem, którego doznaliśmy. Ale kiedy mamy jeszcze tyle przesądów do zwalczenia, czy należy na sprawę reformy rzucać ohydę morderstwa? Tak, morderstwa, bo inną drogą nie osiągniecie rezultatów, jakie ośmielacie się nam pokazywać. „

Prawie jednogłośne oklaski przerwały jego przemówienie.

— Czy nie tak mówiłem? — szepnął do Gabriela La Renaudie. — Ten adwokat jest ich rzecznikiem.

Des Avenelles mówił:

— Król jest w okresie dojrzałości, w sile wieku. Aby wyrwać mu tron, trzeba by go z niego zrzucić. Kto z żywych podjąłby się takiego gwałtu? Królowie są pomazańcami bożymi, jedynie Bóg ma nad nimi władzę. Gdyby jakiś cios dosięgnął króla, gdyby stracił życie w jakimś wypadku, w nieprzewidzianej chorobie, w jakimś prywatnym zamachu, a opieka nad nieletnim królem następcą dostała się w race podłych poddanych, którzy nas ciemiężą! Wtedy atakowalibyśmy ową opiekę, a nie majestat królewski, ród de Guise, a nie Franciszka II. Wojna domowa stałaby się chwalebną, a rewolta świętą, pierwszy krzyczałbym wtedy: do broni!

Taka energia wykazana przez bojaźliwego adwokata wzbudziła podziw — wśród zebranych. Nowe objawy aprobaty nagrodziły aplauzem roztropną odwagę pana Des Avenelles.

— Żałuję teraz, że cię wezwałem — rzekł La Renaudie do Gabriela. — Pewnie litujesz się nad nami.

Ale zamyślony Gabriel mówił sam do siebie:

— Nie, nie mogę im wyrzucać słabości, bo jest podobna do mojej. Ja liczyłem skrycie na nich, a zdaje się, że oni liczą na mnie.

— Co zatem należy uczynić? — zawołał La Renaudie do triumfującego adwokata.

— Nie wykraczać poza legalność, czekać — stanowczo odpowiedział Des Avenelles. — Annasz Dubourg, Henryk Dufaur i trzej inni nasi przyjaciele z parlamentu zostali aresztowani. Ale kto nam rzekł, że ośmielą się ich skazać albo choćby oskarżyć? Moim zdaniem, gwałtowność z naszej strony mogłaby w rezultacie sprowokować gwałtowną reakcję ze strony władzy królewskiej. Kto wie, czy nasza rezerwa nie stanie się naprawdę ocaleniem ofiar. Zachowajmy spokój silnych i godność poszanowania prawa. Niech wszystkie uchybienia będą po stronie naszych prześladowców." Czekajmy. Kiedy ujrzą, że jesteśmy stanowczy, ale umiarkowani, dwakroć się zastanowią, zanim nam wypowiedzą wojnę. Proszę was, bracia i przyjaciele, żebyście dwakroć sami sobie się przyjrzeli, zanim dacie im znak do rozpoczęcia represji.

Des Avenelles umilkł, rozległy się znowu oklaski.

Adwokat, pełen — chwały, chciał stwierdzić swe zwycięstwo i rzekł:

— Kto myśli tak jak ja, niech podniesie rękę.

Prawie wszystkie ręce podniosły się do góry aby świadczyć adwokatowi, że jego głos wyrażał opinię zgromadzenia.

— A więc decyzja powzięta — rzekł.

— Żeby nie powziąć decyzji — przerwał mu Castelnau.

— Odłożyć do odpowiedniejszej chwili ostatecznie rozgrywki — dokończył Des Avenelles rzucając wściekłe spojrzenie na tego, który mu przerwał.

Minister David zaproponował znowu zaśpiewać psalm, by prosić Boga o uwolnienie biednych więźniów.

— Chodźmy stąd — rzekł La Renaudie do Gabriela. — Wszystko to mnie oburza i irytuje. Ci ludzie nie umieją nic więcej, tylko śpiewać. Ich buntowniczość kończy się na psalmach.

Kiedy byli już na ulicy, szli w milczeniu, każdy pochłonięty swoimi myślami.

Na moście Notre–Dame rozdzielili się. La Renaudie skierował się na przedmieście Saint–Germain, a Gabriel w stronę Arsenał.

— Do widzenia, panie d'Exmès — rzekł La Renaudie. — Jestem zły, że traciłeś czas niepotrzebnie. Wierz mi jednak, że nie jest to nasze ostatnie słowo. Brakowało dzisiaj wieczorem księcia Coligny'ego i najlepszych głów.

— Nie straciłem czasu na próżno — rzekł Gabriel — przekonasz się o tym niedługo.

— Tym lepiej, tym lepiej! Jednak wątpię…

— Proszę nie wątpić. Musiałem się dowiedzieć, czy protestanci naprawdę zaczynają tracić cierpliwość. Bardziej użyteczna dla mnie świadomość, że nie sądzisz, abym się upewnił, że jeszcze nie mają tego dość.

XXIII. DRUGA PRÓBA

Kiedy niezadowolenie protestantów zawiodło, dla zemsty Gabriela pozostała jeszcze druga szansa — ambicja diuka de Guise.

Tak więc następnego dnia rano o dziesiątej godzinie stawił się punktualnie na spotkanie, jakie list Franciszka de Lorraine wyznaczył mu w pałacu Tournelles.

Oczekiwano tam młodego hrabiego de Montgomery. Skoro tylko przybył, natychmiast go wprowadzono do wodza, którego dzięki jego męstwu nazywano teraz „zdobywcą Calais".

Pokiereszowany podszedł z pośpiechem na spotkanie Gabriela i serdecznie ściskał jego ręce w swoich dłoniach.

— Jesteś wreszcie, ale pamiętający o mnie przyjacielu. Byłem zmuszony ciebie szukać, posyłać po ciebie aż do twego ustronia. Gdybym tego nie uczynił, jeden Bóg wie, kiedy bym cię ujrzał! Dlaczego tak postępujesz? Dlaczego nie przyszedłeś zaraz po moim powrocie?

— Wasza Wysokość — rzekł cicho Gabriel — żałosne obowiązki…

— Byłem tego pewien! — przerwał mu diuk de Guise. — Kłamali, jeśli chodzi o dane obietnice? Oszukali cię, nie zadowolili, zranili? Ciebie, zbawcę Francji! Słusznie przypuszczałem, że kryje się w tym nikczemność! Mój brat, kardynał de Lorraine, który był obecny przy twoim powrocie do Luwru, kiedy usłyszał twe nazwisko hrabiego de Montgomery, domyślił się z przenikliwością księdza, że padniesz ofiarą oszustwa tamtych ludzi. Dlaczego nie zwróciłeś się raczej do niego? Mógłby ci pomóc w czasie mej nieobecności.

— Dziękuję, Wasza Wysokość — odpowiedział z powagą Gabriel. — Zapewniam, że się mylisz. Dotrzymano jak najdokładniej danych mi zobowiązań.

— Mówisz to, ale jakim tonem, przyjacielu!

— Mówię to, tak jak czuję, Wasza Wysokość. Muszę ci powtórzyć, że się nie skarżę i ze obietnice, na które liczyłem, zostały wypełnione co do joty. Nie mówmy już o mnie, błagam, wiesz przecież, że taki temat rozmowy wcale mi nie przypada do gustu. Dzisiaj więcej niz kiedykolwiek jest dla mnie kłopotliwy? Błagam o łaskę, Wasza Wysokość, nie nastawaj więcej swymi życzliwymi pytaniami.

Diuk de Guise był zaskoczony żałosnym tonem wypowiedzi Gabriela.

— To mi wystarczy, przyjacielu. Naprawdę byłbym w obawie „teraz dotknąć którejś z twoich ran jeszcze nie zasklepionych, nie chcę już wypytywać o ciebie.

— Dziękuję, Wasza Wysokość — rzekł Gabriel z godnością i przejęciem.

— Chcę jednak, abyś wiedział, że na każdym miejscu i o każdej porze, bez względu, o co by szło, moje zaufanie, fortuna i życie należą do ciebie, Gabrielu. Gdybym kiedyś miał szansę, że czegoś będziesz potrzebował, wyciągnij do mnie dłoń, a znajdziesz moją.

— Dziękuję, Wasza Wysokość.

— Kiedy to już omówione, o czym życzyłbyś sobie ze mną porozmawiać?

— Ależ o tobie, Wasza Wysokość — odpowiedział młodzieniec o twojej sławie, o twoich projektach, to mnie interesuje! To jest magnes, który sprawił, że przybiegłem na twoje pierwsze wezwanie.

— Moja sława? Moje projekty? — powtórzył Franciszek de Lorraine kiwając głową. — Niestety! To dla mnie także smutny temat do rozmowy.

— Co mówisz, panie?! — zawołał Gabriel.

— Prawdę, przyjacielu! Tak, przyznają się, wierzyłem, że zdobyłem dobre imię, wydawało mi się, że moje nazwisko może być teraz wymawiane we Francji z pewnym respektem, a z pewnym

lękiem w Europie. Owa sławna i znakomita przeszłość kazała mi spojrzeć w przyszłość, układałem plany opierając je na swej renomie, marzyłem o wielkich czynach dla ojczyzny i dla siebie samego. Byłbym je spełnił, wydaje mi się!

— No więc, Wasza Wysokość?

— Od sześciu tygodni, od czasu powrotu na ten dwór, przestałem wierzyć w swoją sławę i wyrzekłem się wszelkich projektów.

— Dlaczego? O Jezu!

— Czy nie widzisz, jakim hańbiącym traktatem oni zakończyli nasze zwycięstwo? Gdybyśmy byli zmuszeni przerwać oblężenie Calais, gdyby Anglicy jeszcze umocnili swą władzę u bram Francji, klęska we wszystkich punktach wykazałaby niedostatek naszych sił i niemożliwość kontynuowania nierównej walki, to jeszcze nie podpisalibyśmy pokoju na tan niekorzystnych i hańbiących warunkach jak pokój w Cateau–Cambrésis.

— To prawda, Wasza Wysokość — rzekł Gabriel. — Każdy ubolewa, że tak nędzne plony zebrano po wspaniałych żniwach.

— Jakże więc chcesz, żebym dalej siał dla ludzi, którzy tak źle zbierają plony? Poza tym, czyż mnie nie zmusili do bezczynności przez takie piękne zawarcie pokoju? Moja szpada na długo skazana na pozostawanie w pochwie. Gdy wojna wszędzie, za wszelką cenę stłumiona, wygasły tym samym wszelkie moje sny o sławie. Mówiąc między nami, o to właśnie im chodziło.

— Ale jesteś nie mniej potężny, nawet w spoczynku, Wasza Wysokość. Dwór cię szanuje, naród uwielbia, cudzoziemcy ciebie się lękają.

— Tak czuję, że mnie kochają wewnątrz kraju i boją za granicą. Ale nie powiadaj mi, przyjacielu, że Luwr odnosi się do mnie z respektem. Równocześnie z unicestwianiem moich sukcesów podminowano moje prywatne wpływy. Kiedy stamtąd powróciłem, kogo zastałem w większych łaskach niż kiedykolwiek? Bezczelnego, pobitego pod Saint–Laurent, tego Montmorency'ego, którego nienawidzę!

— Na pewno nie więcej niż ja! — wyszeptał Gabriel.

— To przez niego i dla niego ów pokój,, przez który wszyscy się rumienimy, został zawarty. Nie zadowolił się wykazaniem, że moje wysiłki były mało skuteczne, w traktacie jeszcze zadbał o swe własne interesy, kazał sobie zwrócić po raz drugi, a może trzeci ów Okup zapłacony za Saint–Laurent. Spekuluje nawet na własnej klęsce i na własnej hańbie!

— I takiego rywala uznaje diuk de Guise! — z pogardliwym uśmiechem rzekł Gabriel.

— Aż kipię! Ale widzisz, przyjacielu, że prawo mi go narzuca. Widzisz przecież, że pana konetabla chroni coś silniejszego od sławy, ktoś silniejszy od samego króla! Moja służba nigdy nie potrafi dorównać usługom pani Diany de Poitiers, niech ją piorun trzaśnie!

— Niech cię Bóg usłyszy! — szepnął Gabriel.

— Co uczyniła owa niewiasta królowi? Czy wiesz, przyjacielu? Czy lud ma słuszność mówiąc o eliksirach i czarach? Wyobrażam sobie, że łączy ich coś silniejszego niż miłość. Nie tylko namiętność tak silnie wiąże jedno z drugim, to chyba jakaś zbrodnia. Przysiągłbym, że coś takiego istnieje! Wśród wspomnień wyrzuty sumienia! Oni są więcej niż kochankami, są wspólnikami.

Hrabia de Montgomery zadrżał od stóp do głów.

— Czy nie uważasz tak samo jak ja, Gabrielu

— Tak, myślę, że tak, Wasza Wysokość — odpowiedział Gabriel przytłumionym głosem.

— Czy wiesz, jaką nagrodę znalazłem tutaj dla pełnego poniżenia poza potwornym traktatem z Cateau–Cambrésis? Natychmiastowe cofnięcie godności generalnego namiestnika królestwa. Takie nadzwyczajne funkcje są zbędne w czasie pokoju, tak mi rzekli. Bez wcześniejszego uprzedzenia, bez podziękowania skreślono mi ów tytuł, — tak jak się odrzuca w kąt mebel, który

się już do niczego nie nadaje.

— Czyż to możliwe? Nie okazano ci żadnych względów? — spytał Gabriel chcąc podsycić ogień w jego rozjątrzonej duszy.

— A po cóż względy dla zbędnego sługi! — rzekł zaciskając zęby diuk de Guise. — Jeśli chodzi o pana de Montmorency, to co innego! Jemu honorów się nie odbiera, a pozyskał je przez czterdzieści lat ponoszonych klęsk! Ale, na krzyż Lotaryngii! Jeśli wicher wojny znowu zawieje, choćby przychodzili mnie błagać, zaklinać, nazywać zbawcą ojczyzny, odeślę ich do konetabla! Niech on ich ocali, jeśli zdoła! To jego powinność wynikająca ze stanowiska. Jeśli mnie skazują na bezczynność, przyjmuję wyrok i aż do lepszych czasów będę odpoczywał.

Po przerwie Gabriel rzekł z powagą:

— Takie postanowienie z, twojej strony jest zasmucające, ubolewam nad tym. Przyszedłem właśnie uczynić ci propozycję…

— To zbędne, przyjacielu nie trzeba! Już się zdecydowałem. Powtarzam ci, że pokój odbiera nam pretekst do zdobywania sławy.

— Wybacz, Wasza Wysokość, właśnie w czasie pokoju moja propozycja da się wykonać.

— Naprawdę? — spytał diuk de Guise zwabiony pokusą. — Coś tak zuchwałego jak oblężenie Calais?

— Coś znacznie zuchwalszego.

— Co? Podsycasz żywo moją ciekawość — rzekł zdziwiony diuk.

— Pozwalasz mi mówić?

— Oczywiście, proszę o to.

— Czy jesteśmy tutaj sami?

— Całkiem sami. Ani żywej duszy.

— Dobrze, Wasza Wysokość, oto co mam ci rzec — stanowczo powiedział Gabriel. — Król i konetabl obchodzą się bez ciebie. Ty, obejdź się bez nich. Zabrali ci tytuł generalnego namiestnika królestwa, odbierz go!

— W jaki sposób? Wyjaśnij, proszę.

— Obcy panujący ciebie się lękają, naród cię kocha, armia stoi po twojej stronie. Jesteś już bardziej królem Francji niż król, Wasza Wysokość. Jesteś królem przez geniusz, a on jedynie dzięki koronie. Ośmiel się przemawiać jako władca, a wszyscy będą ci posłuszni jako poddani. Czy Henryk II będzie silniejszy w Luwrze niż ty w swoim obozie? Ten, kto do ciebie mówi< byłby szczęśliwy i dumny, gdyby cię mógł nazywać jego królewską mością.

— To doprawdy zuchwały projekt, Gabrielu — rzekł diuk de Guise. Ale nie miał rozgniewanej miny. Nawet się uśmiechał udając zaskoczenie.

— Przynoszę zuchwały plan dla niezwykłej duszy — zdecydowanie rzekł Gabriel. — Mówię to dla dobra Francji. Potrzeba jej wielkiego człowieka na króla. Czyż to nie jest katastrofalne, że wszystkie twoje idee o wielkości i podboju są niecnie tłumione przez kaprysy kurtyzany i zazdrość faworyta? Gdybyś był wreszcie wolny jako władca, gdzie byłby kres twego geniuszu? Stałbyś się drugim Karolem Wielkim!

— Wiesz o tym, że Dom Lotaryński pochodzi od niego! — z żywością rzekł diuk.

— Niech nikt w to nie wątpi widząc cię w działaniu! Bądź dla Walezjuszy Hugonem Capetem.

— Tak, ale gdybym został jedynie konetablem Burbonów?

— Rzucasz na siebie potwarze, Wasza Wysokość. Konetabl Burbonów wzywał sobie na pomoc cudzoziemców, nieprzyjaciół. Ty posłużyłbyś się jedynie siłami narodowymi.

— Ale gdzie są owe siły, którymi mógłbym dysponować?

— Dwie partie ofiarują ci swoje usługi.

— Jakie? Doprawdy, pozwalam ci mówić, Jakby to nie była chimera. Jakie są owe dwie partie?

— Armia i reforma, Wasza Wysokość. Możesz na początek być wodzem armii.

— Uzurpatorem!

— Rzeknij raczej zdobywcą! Jeśli wolisz inaczej, zostań królem hugenotów.

— A książę de Condé? — rzekł z uśmiechem diuk de Guise.

— Posiada sporo uroku i zręczności, ale ty masz w sobie wielkość i rozgłos. Czy myślisz, że Kalwin wahałby, się w wyborze między wami dwoma? Trzeba przyznać, że ów syn bednarza z Noyon dysponuje swoim stronnictwem. Rzeknij jedno słówko, a jutro będziesz miał na swoje rozkazy trzydzieści tysięcy kalwinistów.

— Przecież jestem księciem katolickim, Gabrielu.

— Religią takich jak ty, Wasza Wysokość, jest sława.

— Poróżniłbym się z Rzymem.

— Byłby to pretekst, żeby go podbić.

— Przyjacielu, przyjacielu! Mocno nienawidzisz Henryka II — rzekł diuk de Guise patrząc uporczywie na Gabriela.

— Tyle samo na ile ciebie kocham — odpowiedział ze szlachetną otwartością młodzieniec.

— Cenię sobie ową szczerość, Gabrielu — z powagą rzekł diuk. — Aby tego dowieść chcę z tobą otwarcie porozmawiać.

— A to poufne wyznanie zamknie się na zawsze w moim sercu.

— Słuchaj więc. Przyznam ci się, że już kilkakrotnie rozważałem w swych marzeniach ów cel, jaki mi dziś ukazujesz. Musisz mi jednak przyznać, że jeśli się zdąża do jakiegoś celu, trzeba mieć co najmniej pewność, ze się go osiągnie i że ryzyko przedwczesne może doprowadzić do przegranej.

— To prawda — przyznał Gabriel.

— Czy oceniasz, ze moja ambicja już do tego dojrzała i że czasy temu sprzyjają? Na daleką metę należy przygotowywać takie wstrząsy. Opinia narodu musi być przygotowana do ich przyjęcia. Czy sądzisz, ze już dzisiaj ludzie są przyzwyczajeni do myśli o zmianie panującego?

— Przyzwyczają się do tego — rzekł Gabriel.

— Wątpię w to — odpowiedział diuk de Guise. — Dowodziłem armiami, broniłem Metzu, zdobyłem Calais, dwa razy byłem generalnym namiestnikiem królestwa. Bez wątpienia jest sporo niezadowolonych. Ale to jeszcze za mato. Nie przybliżyłem się dostatecznie do władzy królewskiej. Henryk II jest młody, inteligentny i dzielny. Jest synem Franciszka I. Nie grozi mu niebezpieczeństwo detronizacji.

— A zatem wahasz się, Wasza Wysokość?

— Nawet więcej, przyjacielu: odmawiam. Ach, gdyby tak jutro przez jakiś wypadek lub chorobę Henryk II nagle umarł…

On także myśli tak samo jak ja — mówił do siebie Gabriel, a głośno rzekł:

— A gdyby się urzeczywistnił taki nieprzewidziany cios, co uczyniłbyś, Wasza Wysokość?

— Wtedy pod panowaniem młodego niedoświadczonego króla wedle własnego uznania zostałbym czymś w rodzaju regenta. Gdyby królowa matka lub konetabl postanowili stawiać mi sprzeciw, gdyby buntowali się kalwiniści, gdyby państwo w niebezpieczeństwie wymagało silnej ręki do rządzenia, same rodziłyby się okazje, byłbym prawie niezbędny! Wtedy, nie zaprzeczam, twoje projekty byłyby mile widziane i usłuchałbym ciebie, przyjacielu.

— A nie jest to prawdopodobne przed śmiercią króla?

— Rezygnuję, przyjacielu. Zadowolę się przygotowaniami na przyszłość. A jeśli marzenia powstałe w moich myślach zrealizują się dopiero dla mojego syna, to znaczy, że Bóg tak chce.

— Czy to twoje ostatnie słowo, Wasza Wysokość?

— To moje ostatnie słowo — oświadczył diuk de Guise. — Niemniej jednak dziękuję ci, Gabrielu, że pokładasz taką ufność w moim przeznaczeniu.

— A ja, dziękuję ci, że zaufałeś mojej dyskrecji, Wasza Wysokość.

— Tak, wszystko zamknięte jak w grobie, to zrozumiałe.

— A teraz pójdę już — rzekł Gabriel wstając.

— Jak to, już?

— Tak, Wasza Wysokość, dowiedziałem się, czego chciałem. Będę pamiętał twoje słowa. Są bezpieczne w moim sercu, ale będę o nich pamiętał. Wybacz mi, musiałem się upewnić, czy królewskie ambicje diuka de Guise są jeszcze uśpione. Żegnaj, Wasza ‘Wysokość.

— Do zobaczenia, przyjacielu.

Gabriel opuścił Tournelles jeszcze smutniejszy i bardziej niespokojny niż wtedy, kiedy tam wszedł.

— Naprzód! — powiedział do siebie. — Na żadną z obu ludzkich pomocy nie mogę liczyć. Nikt mi nie dopomoże. Pozostaje Bóg.

XXIV. NIEBEZPIECZNY KROK

Diana de Castro mieszkała w królewskim Luwrze w żałości i śmiertelnej trwodze. Ona także czekała. Ale jej całkiem bierna rola może była jeszcze dotkliwsza niż Gabriela. Jednak nie zerwała się całkiem więź, między nią a tym, którego tak mocno miłowała. Prawie co tydzień paź Andre przychodził na ulicę Jardins–Saint–Paul i zasięgał, informacji u Alojzy.

Przynosił Dianie nowiny bynajmniej nie pokrzepiające. Młody hrabia de Montgomery był stale milczący, posępny i rozdrażniony. Opiekunka mówiła o nim ze łzami w oczach i pobladłą twarzą.

Diana długo się wahała. Wreszcie pewnego poranka w czerwcu podjęła decyzję skończyć raz z obawami. Owinęła się w bardzo zwyczajny płaszcz, twarz ukryła pod woalką i o godzinie, kiedy w zamku dopiero się budzono, wyszła jedynie z paziem Andrzejem, by się zobaczyć z Gabrielem.

Skoro jej unikał, skoro milczał, ona pójdzie do niego! Siostra miała prawo odwiedzić brata! Czyż nie było jej obowiązkiem ostrzec go lub pocieszyć?

Niestety, cała odwaga, na jaką się zdobyła Diana, okazała się bezużyteczna.

Gabriel także szukał wczesnych godzin i opustoszałych ulic dla swych wędrówek po mieście. Kiedy Diana, drżąca ze wzruszenia, zastukała do drzwi pałacyku, Gabriela już nie było od pół godziny.

Czekać na niego? Nigdy nie było wiadomo, kiedy powróci. Zbyt długa nieobecność w Luwrze mogła narazić Dianę na oszczerstwa. Mniejsza o to! Będzie czekała przynajmniej tak długo, ile czasu miała mu poświęcić.

Spytała o Alojzę. Ją także chciała widzieć i wypytać. Andrzej wprowadził ją do komnaty na uboczu i pobiegł zawiadomić Alojzę.

Od lat, od szczęśliwych dni w Montgomery i Vimoutiers Alojzy i Diana, niewiasta z ludu i królewska córka nie widziały się. Ale życie obu było wypełnione taką samą myślą, taki sam niepokój wypełniał ich dni obawami i bezsennością w nocy.

Kiedy Alojza, wchodząc w pośpiechu, chciała się pokłonić przed panią de Castro, Diana jak dawniej rzuciła się w objęcia niewiasty i ucałowała ją ze słowami z dawnych czasów:

— Droga nianiu!

— Jak to, Madame, przypominasz mnie sobie jeszcze? — spytała ze łzami w oczach. — Poznajesz mnie?

— Czy pamiętam ciebie? Czy cię poznaję? — powtórzyła Diana. — Jak mogłabym nie pamiętać o domu Enguerranda! Jakbym nie znała zamku Montgomerych!

W tym czasie Alojza przyglądała się uważnie Dianie i zawołała, uśmiechając się i wzdychając równocześnie:

— Jakaś ty urodziwa!

Uśmiechała się. Bardzo lubiła młodą dziewczynę, która stała się tak piękną damą. Wzdychała, bo oceniała wymiar bólu Gabriela.

Diana zrozumiała sens owego spojrzenia pełnego zachwytu i melancholii. Spiesznie rzekła rumieniąc się:

— Nie o sobie przyszłam rozmawiać, nianiu.

— O nim? — spytała Alojza.

— A o kim? Przed tobą mogę otworzyć serce. Co za nieszczęście, że go nie zastałam! Przyszłam go pocieszyć, siebie pocieszając. Jak się miewa? Bardzo ponury i zrozpaczony,

prawda? Dlaczego ani razu nie przyszedł mnie odwiedzić w Luwrze? Co mówi? Co czyni? Powiedz mi! Mów, nianiu!

— Niestety, Madame — odpowiedziała Alojza — słusznie przypuszczasz, że jest posępny i zrozpaczony. Wyobraź sobie…

Diana przerwała niańce:

— Czekaj, dobra Alojzo, zanim zaczniesz, proszę cię o jedno. Zostałabym tu, aby słuchać chętnie do jutra, bez znużenia, nie zauważając, jak biegnie czas. Jednak muszę powrócić do Luwru, zanim ktoś zauważy moją nieobecność. Obiecaj mi, że kiedy upłynie godzina, bez względu na to, czy on powróci czy nie, powiesz mi i odeślesz stąd.

— Ja także łatwo zdołam zapomnieć co godzinie, pani, i nie zmęczy mnie rozmowa.

— Jak to uczynić? Obawiam się i twojej, i swojej słabostki.

— Wydajmy polecenie — trzeciemu — rzekła Alojza.

— Ależ tak! Andrzej!

Paź przebywający w sąsiednim pokoju obiecał zapukać, kiedy upłynie jedna godzina.

Diana powróciła, usiadła obok niani i rzekła:

— A teraz rozmawiajmy spokojnie, ile się nam zechce, jeśli nie wesoło, niestety.

Jednak ta rozmowa, bardzo pociągająca, bo ujawniająca prawdę obu zasmuconym niewiastom, nastręczała mnóstwo trudności i goryczy. Przede wszystkim, ani jedna, ani druga nie wiedziała, do jakiego stopnia jej rozmówczyni jest wtajemniczona w straszne sekrety rodu Montgomerych.

W tym, co Alojza wiedziała z poprzedniego okresu życia swego młodego pana, było mnóstwo luk niepokojących, sama się bała je komentować. W jaki sposób wyjaśnić jego długą nieobecność, nagłe powroty i wyjazdy, zajęcia i nawet milczenie?

Wreszcie niania powiedziała Dianie wszystko, co wiedziała, wszystko, co mogła zauważyć przynajmniej, a Diana słuchając jej odczuwała wielką słodycz, że mówi jej o Gabrielu, ale także wielki ból, że brzmi to tak smutno.

W rzeczy samej, informacje Alojzy nie mogły uspokoić niepokoju i udręki pani de Castro. Raczej je wzmogły, a ów żywy i uczuciowy świadek wielkiego rozdarcia i depresji młodego hrabiego uświadamiał Dianie wszelkie męki i strapienia nader czynnego trybu życia Gabriela.

Diana coraz bardziej nabierała przekonania, że jeśli chce ocalić ukochanego, najwyższy czas, by interweniowała.

Nawet przy najkłopotliwszych zwierzeniach godzina szybko zleciała. Diana i Alojza wstrząsnęły się słysząc, że Andrzej puka do drzwi.

— Co? Już? — obie jednocześnie zawołały.

— Tym gorzej, chcę zostać jeszcze kwadrans — rzekła Diana.

— Bądź ostrożna, Madame — przestrzegła niańka.

— Masz rację, nianiu, muszę, chcę odejść. Jeszcze jedno słowo: we wszystkim, co mi opowiadałaś o Gabrielu, pominęłaś… czy on nigdy nie mówi o mnie?

— Nigdy, Madame, przyznaję to.

— Och, dobrze czyni — westchnęła Diana.

— I uczyniłby znacznie lepiej, gdyby nigdy więcej o tobie nie myślał.

— A więc przypuszczasz, że jednak o mnie myśli? — żywo spytała pani de Castro.

— Jestem aż nadto tego pewna, Madame.

— A jednak mnie unika starannie, unika Luwru.

— Jeśli unika Luwru, Madame, to nie z powodu tej, którą miłuje. — Alojza potrząsnęła głową.

Ach, pojmuję, z powodu owego, którego nienawidzi — drżąc pomyślała Diana. Głośno rzekła:

— Muszę go widzieć, muszę koniecznie.

— Czy chcesz, Madame, żebym mu przekazała wiadomość od ciebie, że ma przyjść do Luwru?

— Nie, nie! Nie do Luwru! — rzekła przerażona Diana. — Niech nie przychodzi do Luwru! Zobaczę, poszukam okazji takiej jak dziś rano. Ja tutaj przyjdę, ja.

— A jeśli on znowu wyjdzie? Jakiego dnia, w którym tygodniu to będzie? Może wiesz mniej więcej? Będzie czekał. Pomyśl, zastanów się.

— Niestety, biedna ze mnie królewska córka. Jakże mogę przewidzieć chwilę, kiedy będę wolna? Jeśli będzie można, wcześniej przyślę Andrzeja.

W tej chwili paź po raz drugi zastukał, do drzwi myśląc, że go nie słyszano.

— Madame — rzekł — ulice i pobliże Luwru zaczynają się zagęszczać.

— Już idę, już idę — odpowiedziała pani de Castro.

— A zatem musimy się rozstać, dobra nianiu — rzekła głośno do piastunki. — Uściskaj mnie mocno, tak jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem, wtedy kiedy byłam szczęśliwa.

Gdy Alojza, nie mogąc wymówić ani słowa, trzymała ją ciasno w objęciach, Diana rzekła jej na ucho:

— Czuwaj nad nim, troszcz się o niego.

— Tak jak wtedy, kiedy był dzieckiem, kiedy był szczęśliwy — odpowiedziała niańka.

— Lepiej! Jeszcze lepiej, Alojzo. Wtedy nie tak bardzo mu tego było potrzeba.

Diana wyszła z pałacyku, a Gabriela wciąż nie było.

W pół godziny później znalazła się bez przeszkód w swoim apartamencie w Luwrze. Chociaż skutki owego kroku wcale nie budziły w niej niepokoju, jeszcze bardziej odczuwała udrękę z powodu nieznanych projektów Gabriela. Przeczucia miłującej niewiasty są najjaśniejszą i najpewniejszą wróżbą.

Gabriel wrócił do domu jeszcze za dnia. Upał był wielki. Czuł się zmęczony fizycznie, a jeszcze więcej duchowo.

Kiedy jednak Alojza wymieniła imię Diany i opowiedziała o wizycie, zerwał się, ożywił, cały był drżący, rozdygotany.

— Czego chciała? Co rzekła? Co uczyniła? Och, dlaczego mnie tutaj nie było? Mów, powiedz mi wszystko, Alojzo, powtórz wszystkie jej słowa, wszystkie gesty.

Teraz on wypytywał chciwie niańkę, nie dając dość czasu na odpowiedź.

— Chce mnie widzieć? Ma mi coś do powiedzenia, ale nie wie, kiedy będzie mogła tutaj przyjść? Och, nie mogę czekać w niepewności, pojmujesz to, Alojzo. Pójdę natychmiast do Luwru.

— Do Luwru! O Jezu! — wykrzyknęła przerażona Alojza.

— Ależ oczywiście — spokojnie odpowiedział Gabriel. — Nie zostałem wygnany z Luwru, nie jestem banitą. Przypuszczam że ów, kto uwolnił w Calais panią de Castro, ma pełne prawo złożyć jej hołd w Paryżu.

— Pewnie że tak — odrzekła drżąca Alojza — ale pani de Castro wyraźnie przykazała, żebyś nie przychodził do niej do Luwru.

— Czy miałbym się czegoś obawiać? — dumnie odpowiedział Gabriel. — To właśnie byłby powód, by tam pójść.

— Nie, prawdopodobnie ze względu na siebie samą obawia się czegoś — rzekła niańka.

— Jej reputacja bardziej była narażona na szwank przez potajemne, ukradkowe wyjście, jeśli je odkryto, niż przez wizytę złożoną oficjalnie w biały dzień. Złożę ją dzisiaj, natychmiast.

Wezwał służącego, by mu przyniósł ubranie na zmianę.

— Ależ Wasza Wysokość, sam dotąd unikałeś Luwru, pani de Castro to zauważyła. Nie

chciałeś tam pójść ani razu od czasu powrotu — rzekła biedaczka Alojza odchodząc od zmysłów.

— Nie szedłem odwiedzić pani de Castro, dopóki mnie nie wzywała. Unikałem Luwru, kiedy nie miałem po co tam iść. Ale dzisiaj bez mojego udziału i zabiegów coś mnie nieodwołalnie zachęca, pani de Castro pragnie mnie widzieć! Przysiągłem sobie, Alojzo, że uśpię w sobie wolę, że pozostawię kierowanie przeznaczeniem Bogu, a więc dzisiaj pójdę natychmiast do Luwru.

Krok Diany spowodował przeto skutki przeciwne do zamierzonych.

XXV. NIEROZWAGA MIMO OSTROŻNOŚCI

Gabriel bez przeszkód wszedł do Luwru. Od czasu zdobycia Calais nazwisko młodego hrabiego de Montgomery było zbyt często wymawiane na dworze, żeby mu ktoś miał bronić wstępu do apartamentów pani de Castro.

Diana w owej chwili w towarzystwie jednej z dworek zajmowała się haftem. Często ręka jej opadała i w zamyśleniu przypominała sobie poranną rozmowę z Alojzą.

Nagle Andrzej wszedł całkiem przerażony.

— Madame, pan wicehrabia d'Exmes — zaanonsował. Chłopak nie przyzwyczaił się nazywać dawnego pana nowym nazwiskiem.

— Kto? Pan d'Exmes! Tutaj! — powtórzyła Diana całkiem wstrząśnięta.

— Madame, pan idzie za mną, już tu jest.

Gabriel pojawił się we drzwiach opanowując wzruszenie, jak tylko zdołał. Niski ukłon złożył pani de Castro, która oniemiała nie oddała mu ukłonu.

Ale jednym gestem odesłała pazia i dworką.

Gdy Diana i Gabriel pozostali sami, zbliżyli się do siebie, wyciągnęli ręce i je uścisnęli. Pozostali tak około minuty ze złączonymi dłońmi, przypatrując się sobie w milczeniu.

— Zechciałaś przyjść do mnie, Diano — rzekł w krańcu Gabriel głębokim głosem. — Chciałaś mnie widzieć, ze mną porozmawiać. A więc przybiegłem.

— Czy dopiero ten mój krok ci uświadomił, ze odczuwam potrzebę widzenia ciebie, czy nie wiedziałeś o tym przedtem?

— Diano — odpowiedział Gabriel ze smutnym uśmiechem — dałem już dowody swej odwagi, mogę więc ci wyznać, że idąc do Luwru odczuwałem obawę.

— Obawę, przed czym? — spytała Diana lękając się sama swego pytania.

— Bałem się ciebie! Bałem się siebie!

— I dlatego wolałeś zapomnieć o naszej dawnej przyjaźni, o czułych uczuciach? Mówię o legalnej i świętej stronie owego uczucia — śpiesznie dorzuciła Diana.

— Przyznaję, że wolałbym o wszystkim zapomnieć niż powrócić tutaj do Luwru. Ale niestety, nie mogłem. A dowodem tego…

— Co jest dowodem?

— Dowodem tego jest, że szukam cię ciągle i wszędzie, że obawiając się twojej obecności dałbym wszystko na świecie, żeby cię ujrzeć przelotnie choć z daleka. Dowodem jest, że błąkałem się po Paryżu, w Fontainebleau, w Saint–Germain wokoło królewskich zamków zamiast pragnąć tego, nad czym postanowiłem czuwać, ciebie wypatrywałem, twojego uroczego, miłego zjawienia się, twojej sukienki między drzewami lub na tarasie, tego pragnąłem, tego wzywałem, tego chciałem"! Dowód jeszcze jeden, że wystarczyło, żeś uczyniła jeden krok ku mnie, a zapomniałem o roztropności, obowiązku, obawach, o wszystkim! I oto jestem w Luwrze, od którego winienem uciekać. I odpowiadam na twoje pytania. Czuję, że to wszystko jest niebezpieczne i bez sensu, a jednak to czynię. Diano, czy starczy ci tych dowodów?

— Tak, tak, Gabrielu — odpowiedziała z pośpiechem Diana drżąc cała.

— Ach, gdybym był mądrzejszy, gdybym trwał w swoim stanowczym postanowieniu, żeby cię więcej nie widzieć, żeby uciekać kiedy mnie wzywasz, żeby milczeć, kiedy mi zadajesz pytania! Lepiej by tak było i dla ciebie, i dla mnie, wierz mi, Diano. Wiedziałem, co czynię. Wolałem raczej, byś przeżywała niepokój niż ból. Dlaczego, o mój Boże, jestem bezsilny na dźwięk twego głosu, na urok twego spojrzenia.

Diana zaczęła pojmować, że może w rzeczy samej źle uczyniła chcąc położyć kres swemu śmiertelnemu niepokojowi. Każdy przedmiot rozmowy stawał się cierpieniem, każde pytanie budziło niebezpieczeństwo. Między dwiema istotami, stworzonymi przez Boga może dla szczęścia, z winy ludzi mogła być już tylko nieufność, niebezpieczeństwo i nieszczęście.

Ale skoro Diana wyzwała los, nie mogła już przed nim uciec, tym gorzej dla niej! Będzie musiała wysondować ową przepaść, na którą się pokusiła, choćby miała w niej znaleźć jedynie rozpacz i śmierć.

Po ciszy wypełnionej myślami rzekła:

— Chciałam się z tobą widzieć, Gabrielu, z dwóch przyczyn: przede wszystkim chciałam ci coś wyjaśnić, a poza tym pragnę o coś zapytać.

— Mów, Diano. Otwórz i rozedrzyj mi serce. Należy do ciebie. Możesz to czynić do woli.

— Po pierwsze, czułam, potrzebę — cię zawiadomić, dlaczego po otrzymaniu twego posłania nie nałożyłam natychmiast welonu, który mi odesłałeś, dlaczego zaraz nie wstąpiłam do klasztoru, tak jak wyraziłam chęć w Calais podczas naszego ostatniego bolesnego widzenia się.

— Czyż uczyniłem ci choćby najmniejszą wymówkę, Diano? Kazałem ci powiedzieć przez Andrzeja, że zwracam ci słowo. Nie był to z mojej strony pusty frazes, ale realna intencja.

— Było to także moim realnym celem zostać zakonnicą, Gabrielu. Ten zamiar jedynie się odwlókł, chcę, żebyś wiedział.

— Po co wyrzekać się świata, dla którego jesteś stworzona?

— Niech twoje sumienie pod tym względem będzie spokojne. Nie tyle, żeby dotrzymać przysięgi, którą ci złożyłam, przyjacielu, ile aby zaspokoić tajemne pragnienie mej duszy chcę opuścić ten świat, gdzie tyle wycierpiałam. Potrzeba mi ciszy i spokoju, a nie zdołam go znaleźć już teraz poza Bogiem. Nie zazdrość mi takiego ostatniego schronienia.

— O tak, zazdroszczę ci go — rzekł Gabriel.

— Nie wykonałam natychmiast swojego nieodwołalnego planu jedynie z jednej przyczyny: chciałam czuwać nad tym, byś spełnił moją prośbę zawartą w ostatnim liście, że nie staniesz się sędzią ani wykonawcą kary, że nie będziesz uprzedza! Boga.

— Czyż kiedykolwiek można go wyprzedzić! — wyszeptał Gabriel.

— Wreszcie miałam nadzieję w razie potrzeby stanąć między tymi, których kocham, a którzy się wzajemnie nienawidzą. Kto wie? Może zapobiegłabym nieszczęściu lub przestępstwu? Czy czujesz do mnie żal za taką myśl, Gabrielu?

— Nie można mieć za złe aniołom z powodu ich natury, Diano. Byłaś szlachetna, wszystko jasne.

— Ach! — wykrzyknęła pani de Castro. — Kto wie, czy byłam szlachetna? Czy wiem, do jakiego stopnia taką jestem? Wybaczam na ślepo, przypadkiem. Właśnie na ten temat chcę ci zadać pytanie. Chcę poznać całą okropność mego przeznaczenia.

— Diano, Diano! — To zgubna ciekawość! — rzekł Gabriel.

— To nieważne! Nie pozostanę ani dnia dłużej w tak strasznie kłopotliwej sytuacji! Powiedz mi, Gabrielu, czy zdobyłeś pewność, że jestem rzeczywiście twoją siostrą. Czy też całkowicie straciłeś nadzieję na poznanie prawdy dotyczącej owej dziwnej tajemnicy? Odpowiedz! Proszę cię o to, błagam!

— Odpowiem — smutno rzekł Gabriel — istnieje hiszpańskie przysłowie, które mówi: trzeba liczyć na najgorsze. Przyzwyczaiłem się zatem od chwili naszego rozstania uważać cię w myśli za siostrę. Ale prawdą jest, że nie zdobyłem żadnych nowych dowodów. Jedynie, jak to rzekłaś, nie mam już więcej żadnej nadziei, żadnego sposobu, aby je zdobyć.

— Wielki Boże! — zawołała Diana — Oj…, ów, który miał ci dostarczyć dowodów, nie żył już po twoim powrocie z Calais?

— Żył, Diano.

— A zatem wiem już, nie dotrzymano ci przysięgi, jaką uczyniono. Ktoś mi jednak mówił, że król cię nadzwyczaj życzliwie przyjął.

— Dotrzymano przyrzeczenia bardzo ściśle, dotrzymano wszystkiego, co mi obiecano.

— Och, Gabrielu, jakim złowieszczym tonem mi to mówisz! Jakaż przerażająca zagadka kryje się pod tym, o Najświętsza Boża Rodzicielko!

— Żądałaś, więc wszystkiego się dowiesz, Diano — rzekł Gabriel. — Do końca będziesz dźwigała połowę mojej strasznej tajemnicy. Cieszę się, że zobaczę, co myślisz po moim wyznaniu. Jeśli po wysłuchaniu będziesz trwała w swej wspaniałomyślności, jeśli twoja mina, twarz, gesty nie zadadzą kłamu twoim słowom przebaczenia… Słuchaj!

— Słucham i drżę, Gabrielu.

Wtedy Gabriel urywanym, wibrującym głosem opowiedział wszystko pani de Castro, przyjęcie przez króla, jak Henryk II ponowił swoją obietnicę, perswazje, jakie pani de Poitiers i konetabl wydawali mu się czynić, jaką spędził noc pełną udręki i w gorączce, jak zszedł do czeluści piekielnych przeklętego więzienia, smutne opowiadanie pana de Sazerac, wszystko.

Diana słuchała nie przerywając, bez wykrzykników, bez ruchu, niema i sztywna jak kamienny posąg, z rozszerzonymi oczyma, z włosami zjeżonymi na czole.

Nastała długa przerwa, kiedy Gabriel skończył swą żałobną historię. Potem Diana chciała przemówić, ale nie mogła. Głos uwiązł jej w gardle z przejęcia. Gabriel patrzył z rodzajem okrutnej radości na jej zmieszanie i przerażenie. W końcu zdobyła się na okrzyk:

— Łaski dla króla!

— Ach, prosisz o łaskę! A więc ty także osądzasz go jako zbrodniarza! Łaski? Ależ to potępienie! Łaski? Zasługuje na śmierć, czyż nie tak?

— Nie powiedziałam tego — odpowiedziała jak oszalała Diana.

— Ależ tak! Powiedziałaś! Myślisz i czujesz tak samo jak ja! Jedynie wyciągamy inne wnioski, każdy zgodnie ze swą naturą. Niewiasta błaga o łaskę, mężczyzna domaga się sprawiedliwości.

— Ach! — zawołała Diana. — Jakaż jestem nierozważna i szalona! Po co sprowadziłam cię do Luwru!

W owej chwili ktoś po cichu zaskrobał we drzwi.

— Kto tam znowu? Czego chcą ode mnie, o Boże!

Andrzej uchylił drzwi i rzekł:

— Wybacz mi, Madame, wiadomość od króla.

— Od króla! — powtórzył Gabriel i wzrok mu zapłonął.

— Po co mi przynosisz ów list, Andrzeju?

— Madame, powiedziano mi, że jest pilny.

— Daj mi go, zobaczmy, czego chce król. Wyjdź, Andrzeju. Jeśli będzie odpowiedź, to cię przywołam.

Andrzej wyszedł. Diana rozpieczętowała list królewski i po cichu przeczytała następujące słowa, a niepokój jej rósł w miarę czytania:

„Droga moja Diano,

Powiedziano mi, że jesteś w Luwrze. Nie wychodź, proszę cię, zanim ja nie przyjdę do ciebie. Jestem na naradzie, która lada chwila się skończy. Po niej natychmiast udam się do ciebie, do twoich apartamentów. Czekaj na mnie za chwilę. Od dawna nie widziałem cię samej. Jestem smutny i odczuwam potrzebę porozmawiania przez kilka chwil z moją ukochaną córką. Do zobaczenia za chwilę

Henryk”

Diana pobladła i zmięła list w zaciśniętej dłoni po jego przeczytaniu.

Co miała uczynić? Odesłać natychmiast Gabriela? A jeśli wychodząc spotka się z królem, który w każdym momencie może nadejść? Zatrzymać przy sobie młodzieńca? Ależ król go zastanie wchodząc.

Zawiadomić króla znaczyło obudzić podejrzenia, uprzedzić Gabriela znaczyło wywołać jego gniew, że się boi. Starcie między obu mężczyznami, tak niebezpieczne dla jednego jak i drugiego, wydawało się teraz nieuniknione. Ona sama, Diana, która za wszelką cenę chciała — ratować swą krew, ona doprowadziła do fatalnego spotkania!

— Co ci przekazuje król, Diano? — spytał Gabriel z udanym spokojem, któremu przeczyło drżenie jego głosu.

— Nie, nic ważnego, naprawdę — odpowiedziała Diana. — Polecenie dotyczące wieczornego przyjęcia.

— Może ci przeszkadzam, Diano? Już odejdę.

— Nie, nie, pozostań — zawołała żywo Diana. — Zresztą jeśli jakaś pilna sprawa na zewnątrz cię wzywa, to nie chciałabym cię zatrzymywać.

— List wprawił cię w niepokój, Diano. Obawiam się, że jestem ci nie na rękę, więc się pożegnam.

— Ty, niepożądany! Przyjacielu, jak możesz tak myśleć? Czyż nie ja sama poszłam cię szukać? Niestety, może nierozsądnie, boję się. Jeszcze będę się z tobą widziała, nie tutaj, u ciebie w domu. Kiedy, tylko będę mogła się wyrwać, przyjdę cię odwiedzić, przyjdę porozmawiać jeszcze na ów straszny temat. Rozmowa z tobą jest dla mnie taką pociechą! Obiecuję ci. A teraz, masz słuszność, przyznaję, że jestem trochę zajęta, trochę źle się czuję… Mam chyba trochę gorączki.

— Widzę to, Diano, i odchodzę — smutno odpowiedział Gabriel.

— Do prędkiego zobaczenia, przyjacielu. Idź już, idź!

Poszła razem z nim aż do drzwi.

Odprowadzając go pomyślała: jeśli go zatrzymam, to pewne, że zobaczy króla. Jeśli odejdzie natychmiast, ma przynajmniej szansę, że go nie spotka.

Jednak wahała się, wątpiła i ciągle drżała. Mimo woli rzekła na progu:

— Wybacz, Gabrielu, jeszcze ostatnie słowo. Boże, jak mną wstrząsnęło twoje opowiadanie! Z trudem zbieram myśli… O co chciałam cię zapytać? Ach tak, już wiem. Jedno tylko słowo, ważne słowo. Nie powiedziałeś mi, co zamierzasz uczynić. Błagałam o laskę, a ty wołałeś sprawiedliwości! W jaki sposób chcesz uzyskać ową sprawiedliwość?

— Jeszcze nie wiem — rzekł Gabriel z posępną miną. — Zdaję się na Boga, na wypadek lub okazję.

— Na okazję? — powtórzyła z drżeniem Diana. — Na okazję? Co przez to rozumiesz? Och, wróć, wróć! Nie mogą ci pozwolić tak odejść. Gabrielu, nie wyjaśniłeś mi słowa: okazja. Pozostań, zaklinam cię.

Ujęła go za rękę i wprowadziła znowu do komnaty. Myślała:

Jeśli spotka króla poza moją komnatą, będą sami, sam na sam, król bez świty, a Gabriel ze szpadą u boku. A tutaj przynajmniej ja jestem, będę mogła rzucić się między nich, błagać Gabriela, rzucić się na spotkanie ciosu. Gabriel powinien pozostać.

— Czuję się lepiej — rzekła głośno. — Zostań, Gabrielu, rozmawiajmy dalej. Wyjaśnij mi to, o co pytam. Czuję się znacznie lepiej.

— Nie, Diano, jesteś jeszcze bardziej rozgorączkowana niż przed chwilą. A czy wiesz, jaka myśl mi przychodzi do głowy i jaką przewiduję przyczynę twych obaw?

— Doprawdy Gabrielu, w jakiż sposób mogłabym to wiedzieć?

— Dobrze. Niedawny twój krzyk o łaskę przyznał, że zbrodnia jest oczywista, a teraźniejsze twoje obawy świadczą o tym, że kara w twoich oczach byłaby słuszna. Obawiasz się dla winowajcy mojej zemsty, a zatem mogłabyś ją zrozumieć. Zatrzymujesz mnie tutaj, aby zapobiec odwetowi, możliwości odwetu, ale nie dziwiłabyś się, gdybym to uczynił. Wydaje ci się to zwykłym następstwem rzeczy, prawda?

Diana zadrżała. Cios słusznie ją uderzył.

Niemniej jednak zbierając całą swą energię rzekła:

— Jak możesz myśleć, że snuję takie myśli, Gabrielu! Ty Gabriel, mordercą? Ty miałbyś zaskoczyć kogoś i ugodzić, kto nie mógłby się bronić? To niemożliwe! To byłby więcej niż występek, to byłaby podłość. Wyobrażasz sobie, że cię zatrzymuję. Błędne mniemanie! Idź! Odejdź! Otwieram przed tobą drzwi, bądź spokojny! O, mój Boże! Bądź — całkiem spokojny przynajmniej pod tym względem. Jeśli coś mnie niepokoi, to nie taka myśl, ręczę ci. Odejdź z Luwru, odejdź w pokoju. Przyjdę do ciebie, żeby dokończyć rozmowy. Idź już, przyjacielu, idź! Widzisz, że nie chcę cię zatrzymać!

Mówiąc tak odprowadziła go aż do antyszambru. Był tam paź. Diana pomyślała, czy mu nakazać odprowadzić Gabriela poza Luwr. Ale taka ostrożność tym bardziej zdradziłaby jej nieufność.

Kiedy tu już była, nachyliła się do ucha Andrzeja i nie zdołała powstrzymać się od pytania:

— Może wiesz, czy narada już się skończyła?

— Jeszcze nie, Madame — odpowiedział cichutko paź. — Nie widziałem, żeby radni wychodzili z dużej sali.

— Żegnaj, Gabrielu — rzekła głośno ożywiona Diana. — Zegnaj, przyjacielu. Prawie mnie zmuszasz do pożegnania, abym ci dowiodła, że cię nie zatrzymuję. Wkrótce do zobaczenia.

Odszedł. Stała i patrzyła, aż ostatnie drzwi zamknęły się za nim.

Potem wróciła do swojej komnaty, padła na kolana na klęczkach z oczami we łzach i bijącym sercem.

— O, mój Boże, mój Boże! Czuwaj w imię Jezusa nad tym, kto może jest moim bratem, i nad tym, który może jest moim ojcem. Strzeż jednego przed drugim, bo to istoty, które kocham, o, mój Boże! Jedynie w tobie nadzieja.

XXVI. OKAZJA

Mimo wysiłków, jakie czyniła pani de Castro, a raczej dzięki tym wysiłkom spełniło się to, czego się obawiała i co przewidziała.

Gabriel wyszedł od niej bardzo smutny i zaniepokojony. Rozgorączkowanie Diany udzieliło mu się do tego stopnia, że przyćmiewało wzrok i mąciło myśli. Nie zwracając uwagi na otaczające go przedmioty szedł machinalnie po schodach i korytarzach Luwru, dobrze sobie znanych.

Jednak zanim otworzył drzwi do wielkiej galerii, przypomniał sobie, że po powrocie z Saint–Quentin tutaj spotkał Marię Stuart i że interwencja młodej następczyni tronu pozwoliła mu dotrzeć aż do króla, u którego czekał go pierwszy zawód.

Przecież nie po raz pierwszy oszukano go i znieważone. Przecież: kilkakroć zawiedziono jego nadzieje! Po pierwszym oszustwie powinien był przyzwyczaić się i oczekiwać na dalsze wygórowane żądania i podłe interpretacje sensu zawartej pod przysięgą umowy.

W czasie kiedy owe przykre myśli nurtowały jego umysł, właśnie otworzył drzwi i wszedł do galerii. Nagle wstrząsnął się, cofnął o krok i zatrzymał jak skamieniały.

W drugim końcu galerii otwarto właśnie drzwi. Wszedł mężczyzna. Był to Henryk II, Henryk winowajca lub co najmniej główny wspólnik zbrodniarzy, którzy go doprowadzili do rozpaczy i na wieki skazali na zagładę duszę i życie Gabriela.

Król nadchodził sam, bez szpady i bez orszaku.

Sprawca zniewagi i znieważony spotkali się po raz pierwszy od czasu jej wyrządzenia. Byli sami, oddzieleni odległością stu kroków zaledwie, w ciągu dwudziestu sekund, dwudziestu skoków można ją przebyć.

Powiedzieliśmy, że Gabriel nagle się zatrzymał, nieruchomy i lodowaty jak posąg, jak statua Zemsty lub Nienawiści.

Król także się zatrzymał, dostrzegając niespodzianie widmo ze swych snów, którego od prawie roku w ogóle nie widywał. Dwaj mężczyźni stali przez chwilę bez ruchu, jakby zafascynowani jeden drugim.

W zamęcie przeżyć i myśli przepełniających mroki duszy Gabriel jak oszalały nie zdołał powziąć żadnej decyzji, znaleźć żadnego rozwiązania. Czekał.

Henryk natomiast mimo wypróbowanej odwagi odczuwał, wyraźnie przestrach! Wzywanie pomocy zdradziłoby, że się boi. Wycofanie się byłoby ucieczką. Szedł w kierunku — drzwi, gdzie Gabriel stał jak przygwożdżony. Jakaś siła wyższa, nieprzezwyciężone przyciąganie, jakiś fatalizm kierowały go ku blademu widmu, które zdawało się na niego czekać.

Wpadał w wir swego przeznaczenia.

Gabriel z pewnego rodzaju ślepą i instynktowną satysfakcją patrzył, jak król idzie ku niemu, ale nie mógł wyłonić żadnej myśli z zamętu zaciemniającego jego umysł. Położył jedynie rękę na rękojeści szpady.

Kiedy król znalazł się zaledwie o kilka kroków od Gabriela, zdjęła go na nowo obawa, którą przedtem zwalczył, teraz znowu lęk ścisnął mu serce jak imadłem. Czul niejasno, że nadeszła dla niego ostatnia chwila i że to mu się należy. Jednak ciągle się przybliżał. Nogi zdawały się go nieść mimo woli. Chyba tak chodzą lunatycy.

Gdy znalazł się tuż przy Gabrielu, kiedy słyszał jego oddech i mógł dosięgnąć jego dłoni, w dziwnym niepokoju podniósł rękę do toczka, z aksamitu i ukłonił się młodzieńcowi.

Gabriel nie oddał ukłonu. Zachował postawę jak z marmuru, a jego skamieniała dłoń nie

oderwała się od szpady do kapelusza.

Dla króla Gabriel nie był jednym z poddanych, ale przedstawicielem Boga, któremu należy się pokłon. Dla Gabriela Henryk nie był już królem, ale zabójcą jego ojca, któremu był winien jedynie nienawiść. Jednak pozwolił mu przejść, nie uczynił mu nic złego i nie przemówił.

Król przeszedł nie odwracając się, nie dziwiąc się, że okazano mu brak poszanowania.

Kiedy drzwi zamknęły się oddzielając obu mężczyzn, kiedy zauroczenie prysło, każdy z nich obudził się, przetarł oczy i spytał siebie:

— Czy to nie był sen?

Gabriel wolnym krokiem wyszedł z Luwru. Nie żałował straconej okazji, nie ubolewał, że pozwolił się wymknąć królowi. Odczuwał raczej coś w rodzaju radości i zmieszania.

Oto sama zdobycz podchodzi do mnie — myślał. — Kręci się w pobliżu moich sideł, sama mi podchodzi pod oszczep.

Spał tej nocy tak, jak mu się od dawna nie zdarzyło.

Król nie był taki spokojny! Poszedł do oczekującej go Diany, która przyjęła go z uniesieniem radości. Ale Henryk był roztargniony i niespokojny. Nie ośmielił się wspomnieć o hrabi de Montgomery. Jednak myślał o tym, że Gabriel bez wątpienia wyszedł od jego córki i wtedy go spotkał. Nie chciał się w to zagłębiać. Jedynie to się zmieniło: przyszedł tutaj z wylewem serdeczności i zaufania, a przez cały czas wizyty zachował minę pełną nieufności i skrępowania.

Wrócił do swoich apartamentów posępny i smutny. Był niezadowolony z samego siebie i z innych. W ogóle nie spał tej nocy. Zdawało mu się, że wszedł do labiryntu, z którego nie wyjdzie z życiem.

— Przecież dzisiaj sam się podstawiłem pod jego szpadę, stąd wynika, że nie chce mnie zabić! — tak sobie mówił.

Król, aby się rozerwać i znaleźć zapomnienie, nie chciał pozostać w Paryżu. Podczas dni, które nastąpiły po spotkaniu z hrabią de Montgomery, kolejno jeździł do Saint–Germain, do Chambord i do Diany, do zamku Anet.

W końcu czerwca był w Fontainebleau.

Wszędzie prowadził bardzo czynne życie, jakby chciał stłumić myśli w hałasie, ruchu i aktywności.

Zbliżające się zaślubiny jego córki Elżbiety z królem Filipem II stawały się pretekstem do zaspokojenia owej gorączkowej potrzeby aktywności. Ambasadorowi Hiszpanii chciał pokazać, jak się odbywają wielkie łowy z nagonką w lesie. Polowanie zostało wyznaczone na dzień 23 czerwca.

Dzień zapowiadał się upalny i duszny. Zanosiło się na burzę. Ale Henryk nie odwołał wydanych poleceń. Burza to także hałas i rwetes. Chciał dosiąść najbardziej narowistego i najszybszego wierzchowca. Oddał się polowaniu wprost z furią.

Nastał moment, kiedy uniesiony porywem konia i własnym wyprzedził wszystkich, stracił z oczu myśliwych i zabłąkał się w lesie. Chmury nawarstwiały się na niebie, głuche grzmoty rozbrzmiewały w oddali. Rozpętała się burza.

Henryk pochylił się nad spienionym koniem. Nawet nie próbował zwolnić jazdy, popędzał go głosem i ostrogą. Jechał, pędził szybciej od wiatru wśród drzew i kamieni. Podobał mu się taki zawrotny galop, śmiał się głośno sam do siebie. Na kilka chwil znalazł zapomnienie.

Nagle rumak stanął dęba, czymś przerażony. Błyskawica rozdarła chmurę i nagła zjawa w postaci skały, niejedna z nich znajduje się w obfitości w lesie Fontainebleau, wyrosła na zakręcie ścieżki.

Grzmot połączony z piorunem wzmógł jeszcze przestrach płochliwego wierzchowca. Rzucił się naprzód jak oszalały. Gwałtownym,, ruchem wstecz ułamał uzdę przy wędzidle. Henryk już

nad nim nie panował.

Zaczęła się wtedy szalona jazda, straszliwa, obłędna. Koń ze zjeżoną grzywą, dymiąc bokami o stalowych mięśniach przecinał powietrze jak strzała. Król, pochylony nad jego szyją, żeby nie spaść, ze zjeżonymi włosami, odzieniem szarpanym wiatrem, na próżno usiłował złapać za uzdę, choć była już ona bezużyteczna.

Gdyby ktokolwiek widział go tak pędzącego podczas burzy, z pewnością uważałby go za zjawę piekielną i jedynie przeżegnałby się znakiem krzyża świętego. Ale nikogo nie było. Ani żywej duszy, ani zamieszkanej chaty. Koronowanemu jeźdźcowi zabrakło owej jedynej szansy, jaką stanowi obecność innego człowieka podczas niebezpieczeństwa. Ni drwala, ni żebraka, ni kłusownika, ni rabusia, żeby ocalić króla!

Ulewny deszcz i coraz to bliższe pioruny przyśpieszały szalony galop przerażonego zwierzęcia.

Henryk błędnym wzrokiem starał się rozpoznać, jaką ścieżką odbywał się ten śmiercionośny pęd. Zorientował się widząc polankę między drzewami i zadrżał. Ścieżka prowadziła prosto na szczyt urwistej skały, opadającej pionowo nad głębokim dołem, nad przepaścią! Król usiłował zatrzymać konia ręką, głosem, ale nic nie skutkowało. Rumak ponosił. Gdyby się zsunął, rozbiłby sobie głowę o pień drzewa lub o występ granitowy. Lepiej już było trwać do końca przy rozpaczliwej jeździe.

Tak czy inaczej, Henryk czuł się zgubiony, polecał swą duszę Bogu, duszę pełną wyrzutów sumienia i lęku. Nie wiedział nawet, w jakim punkcie ścieżki znajduje się, czy przepaść jest blisko czy daleko. Chyba już jest tuż przy niej. Król bez względu na ryzyko, zsunął się na ziemię.

Rzucając przed siebie ostatnie spojrzenie w dal, dostrzegł przy końcu dróżki mężczyznę, również na koniu, ale stojącego pod dębem.

Nie mógł rozpoznać jeźdźca z takiej odległości. Poza tym długi płaszcz i kapelusz z szerokim rondem kryły twarz i sylwetką. Ale z całą pewnością był to jakiś szlachcic, który także zabłądził w lesie.

A zatem od tej chwili Henryk poczuł się ocalony. Ścieżyna była wąska. Wystarczyło, aby nieznajomy popchnął nieco naprzód konia, i już zagrodziłby drogę rumakowi króla. Wystarczyłoby także, by wyciągnął rękę i zatrzymał biegnącego wierzchowca. Nic łatwiejszego. A jeśli nawet nastręczało to pewne niebezpieczeństwo, rycerz widząc króla nie powinien wahać się, narazić własne życie dla ocalenia swego władcy. Dwadzieścia razy dłużej czyta się to, niż było trzeba czasu na przelot na koniu trzystu czy czterystu kroków dzielących Henryka od jego zbawcy.

Henryk wymachiwał lewą ręką i krzyknął rozpaczliwie, żeby zwrócić na siebie uwagę. Mężczyzna go dostrzegł i poruszył się. Pewnie się przygotowywał.

O zgrozo! Koń ponoszący przebiegł przed jeźdźcem, a tamten nieme uczynił, żeby go powstrzymać. Zdawało się raczej, że się cofnął, żeby uniknąć zetknięcia się. Król wydał po raz drugi okrzyk już nie wołania o pomoc, ale wściekłości i rozpaczy.

Zdawało mu się, że pod kopytami konia dźwięczy głaz, a nie ziemia. Dojechał do niebezpiecznego urwiska. Wezwał imienia bożego, wyjął nogi ze strzemion i zdając się na los szczęścia spadł na ziemię.

Pod wpływem wstrząsu toczył się jeszcze z piętnaście kroków dalej. Ale cudem jakimś upadł na pagórek pokryty mchem i trawą. Nic złego mu się nie stało. Najwyższy czas! Przepaść zionęła otworem o dwadzieścia kroków dalej.

Koń, zdziwiony, że już nie czuje na sobie ciężaru, zwolnił trochę pęd. Kiedy znalazł się nad brzegiem rozpadliny, zmierzył ją wzrokiem i wiedziony instynktem rzucił się gwałtownie do tyłu, z szeroko rozwartymi oczyma, dymiącymi nozdrzami i zwichrzoną grzywą. Gdyby król go

jeszcze dosiadał, to nagłe zatrzymanie się z pewnością zrzuciłoby go w przepaść.

Henryk skierował ku Bogu żarliwą modlitwę dziękczynną, bo całkiem widocznie Najwyższy miał go pod swoją opieką. Podszedł do konia, uspokoił go i wskoczył na siodło. Teraz pierwszą myślą pałającego gniewem króla było jechać do owego mężczyzny, który pozwoliłby mu nędznie zginąć, gdyby nie interwencja boska.

Nieznajomy stał wciąż na tym samym miejscu, ciągle nieruchomy pod fałdami czarnego płaszcza.

— Nikczemniku! — krzyknął król zbliżając się na odległość głosu. — Czy nie widziałeś, że byłem w niebezpieczeństwie? Czy mnie poznałeś, ty królobójco! Gdyby to nawet nie był twój król, czy nie powinieneś ocalić przed niebezpieczeństwem, ktokolwiek by to był Wystarczyło, byś wyciągnął rękę, łotrze!

Mężczyzna nie poruszył się i nic nie odpowiedział. Podniósł tylko nieco głowę, którą zasłaniał przed oczami Henryka jego szeroki filcowy kapelusz. Król zadrżał rozpoznając bladą, posępną twarz Gabriela. Wtedy umilkł i pochylił czoło:

— Hrabia de Montgomery! — wyszeptał całkiem cicho. — A zatem nic nie mam do powiedzenia.

Nie dodając już ani słowa więcej, spiął konia ostrogą i galopem zniknął w lesie.

— On mnie nie zabije — powtarzał sobie wstrząsany śmiertelnym dreszczem — ale wygląda na to, że pozwoliłby mi zginąć.

Gabriel natomiast, gdy pozostał sam, powtórzył ze złowieszczym uśmiechem:

— Czuję, że zdobycz podchodzi do mnie i nadchodzi godzina.

XXVII. W ROZTERCE

Akty zaślubin Elżbiety i Małgorzaty de France miały zostać podpisane dnia 28 czerwca w Luwrze. Król od 25 był już z powrotem w Paryżu, smutniejszy i bardziej roztargniony niż kiedykolwiek.

Od czasu ostatniego spotkania z Gabrielem życie jego stało się męką. Uciekał od samotności i ciągle szukał rozrywek, żeby się oderwać od ponurej myśli, która go opętała.

O drugim spotkaniu także nikomu nie mówił. Ale czuł lęk i przemożną chęć zarazem otwarcia serca wobec kogoś wiernego i oddanego. Sam nie wiedział już, co myśleć i co postanowić. Myśl o śmierci narzucała mu się siłą i całkowicie wprawiała w zamęt jego umysł.

Zdecydował się zatem na otwartość wobec Diany de Castro.

Przecież Diana widziała się niedawno z Gabrielem. Bez najmniejszej wątpliwości młody hrabia wychodził od niej, kiedy go ujrzał po raz pierwszy. Może przeto Diana znała jego projekty. Tylko ona może i powinna uspokoić ojca albo go ostrzec. Mimo gorzkich powątpiewań, które go opanowały bez reszty, Henryk nie przypuszczał, żeby jego ukochana córka mogła zawinić jako wspólniczka knutej przeciwko niemu zdrady.

Potajemny instynkt mówił mu, że Diana jest zaniepokojona nie mniej od niego. W rzeczy samej, pani de Castro nic nie wiedziała o dwóch dziwnych starciach losów króla i Gabriela, nie wiedziała również, co się dzieje z jej ukochanym. Kilkakrotnie posyłała Andrzeja do pałacyku przy ulicy Jardins–Saint–Paul dla zasięgnięcia informacji, ale paź nie przyniósł żadnej. Gabriel znowu zniknął z Paryża. Widzieliśmy go na tropach króla w Fontainebleau.

26 czerwca po południu Diana była sama, zamyślona, w komnacie. Jedna z dworek przybiegła i zaanonsowała króla.

Henryk jak zwykle był poważny. Po pierwszych słowach powitania zaraz przystąpił do rzeczy, jakby na początku chciał się pozbyć dręczących go trosk.

Zajrzał głęboko w oczy córki i rzekł:

— Droga Diano, od dawna nie rozmawialiśmy oboje o panu wicehrabi d'Exmès, który przybrał teraz tytuł hrabiego de Montgomery. Od jak dawna go nie widziałaś?

Słysząc nazwisko Gabriela Diana zbladła i zadrżała. Starając się zachować spokój odpowiedziała:

— Najjaśniejszy Panie, widziałam tylko jeden raz pana d'Exmès od czasu mojego powrotu z Calais.

— Gdzie go widziałaś, Diano?

— W Luwrze, tutaj, Sire.

— Około dwóch tygodni temu, prawda?

— Istotnie, może to było dwa tygodnie temu.

— Domyślałem się tego.

Uczynił przerwę, jakby się zastanawiał nad dalszymi słowami. Diana patrzyła na niego z uwagą i obawą, starając się odgadnąć przyczynę nieoczekiwanego przesłuchania.

Poważna twarz ojca była nieprzenikniona.

— Wybacz mi, Najjaśniejszy Panie — rzekła wtedy zbierając się na odwagę — ośmielam się zapytać Waszą Królewską Mość po długim milczeniu, jakie zachowałeś na temat rycerza, który mnie ocalił w Calais od hańby, dlaczego dzisiaj czynisz mi zaszczyt swą wizytą niespodziewaną, aby wypytywać mnie o niego?

— Pragniesz to wiedzieć, Diano?

— Mam tę śmiałość. Najjaśniejszy Panie.

— Zgoda, dowiesz się wszystkiego. Życzę aby moje zaufanie zachęciło cię do wzajemności. Mówiłaś mi nieraz, że go miłujesz.

— Powiedziałam tak i znowu powtarzam. Ciebie kocham jako króla, dobroczyńcę i jako ojca.

— Mogę wszystko wyjawić swej czułej, wiernej córce. Słuchaj mnie dobrze, Diano.

— Słucham cię całą duszą, Sire.

Henryk opowiedział jej wtedy o obu spotkaniach z Gabrielem. O pierwszym w galerii Luwru i o drugim w lesie Fontainebleau. Mówił Dianie o dziwnym zachowaniu się, o niemym buncie młodego hrabiego i o tym, że za pierwszym razem nie chciał ukłonić się swemu królowi, a za drugim razem nie zechciał go ocalić.

Diana nie potrafiła opanować swego smutku i przerażenia. Konflikt między Gabrielem a królem, którego się tak obawiała, już zaistniał przy dwu okazjach. Mógł się powtarzać jeszcze niebezpieczniejszy, jeszcze straszliwszy.

Henryk udawał, że nie zauważa przejęcia córki, i zakończył słowami:

— To są poważne zniewagi, nieprawdaż, Diano? To prawie obraza majestatu! A jednak nie ujawniłem obelg i ukryłem swoje uczucia, ponieważ ów młody człowiek wiele wycierpiał przeze mnie w swoim czasie, mimo chwalebnych zasług względem królestwa i za które powinien by otrzymać większą nagrodę…

Utkwił w Dianie przenikliwe spojrzenie i mówił dalej:

— Nic o tym nie wiem i nie chcę wiedzieć, czy znasz moje winy wobec pana d'Exmès. Chcę jedynie, żebyś wiedziała, że moje milczenie zostało podyktowane uczuciem żalu za winy. Ale czy takie milczenie nie jest z mojej strony nieroztropne? Czy odniesione już zniewagi nie zapowiadają następnych, jeszcze cięższych? Czy nie powinienem wystrzegać się pana d'Exmès? Na te tematy chciałem zasięgnąć twojej rady, Diano, całkiem po przyjacielsku.

— Dziękuję ci za zaufanie, Sire — żałośnie odpowiedziała pani de Castro, która znalazła się w trudnej sytuacji rozdarcia między dwoma uczuciami.

— Taka ufność jest całkiem naturalna, Diano. A więc? — spytał widząc, że Diana się waha.

— No tak, przypuszczam, że Wasza Królewska Mość ma słuszność i że będzie postępowała rozsądnie… uważając na pana d'Exmès…

— Myślisz zatem, Diano, że moje życie jest w niebezpieczeństwie?

— Tego nie mówię, Sire — żywo zawołała Diana — ale pan d'Exmès wydaje się głęboko dotknięty i można się obawiać…

Biedna Diana przerwała, drżąca, z czołem okrytym potem. Pewnego rodzaju denuncjacja, jaką wyrwał z niej przymus moralny, budziła wstręt w jej szlachetnym sercu.

Ale Henryk inaczej interpretował widoczne jej cierpienie.

— Rozumiem cię, Diano — rzekł chodząc wielkimi krokami po komnacie. — Tak, dobrze przeczuwałem. Nie mogę mieć zaufania do owego młodzieńca. Ale żyć stale z mieczem Damoklesa nad głową to niemożliwe. Królowie mają inne obowiązki niż zwyczajni rycerze. Muszę tak uczynić, żeby zabezpieczyć się przed panem d'Exmès.

Uczynił krok ku wyjściu, ale Diana rzuciła się naprzód.

Jak to? Gabriel ma być oskarżony, wydany, uwięziony może! Ona go zdradziła! Nie mogła znieść takiej myśli. Mimo wszystko, w słowach Gabriela nie było wyraźnej groźby!

— Najjaśniejszy Panie, chwileczkę — zawołała. — Mylisz się, przysięgam, że się mylisz! Nie powiedziałam, że zagraża jakieś niebezpieczeństwo twej dwakroć poświęconej głowie. W poufnej rozmowie z panem d'Exmès nic mi nie nasunęło myśli o jakiejś zbrodni. Gdyby tak było, to czyżbym ci tego nie ujawniła?

— Słusznie — rzekł Henryk zatrzymując się. — Co chciałaś wyrazić, Diano?

— Chciałam jedynie powiedzieć, że Wasza Królewska Mość winieneś unikać kłopotliwych spotkań, podczas których obrażony poddany może nie pamiętać o respekcie należnym królowi. Ale od braku uszanowania do królobójstwa jest bardzo daleko, Najjaśniejszy Panie. Czy jest godne ciebie, Sire, naprawiać pierwszą krzywdę następną niesprawiedliwością?

— Nie, oczywiście, nie miałem takiego zamiaru. Dowodem tego, że przemilczałem sprawę. A skoro rozwiewasz moje podejrzenia, skoro odpowiadasz za moje bezpieczeństwo przed Bogiem i własnym sumieniem, skoro mogę być spokojny…

— Być spokojnym! — przerwała mu drżąca Diana. — Ależ nie posunęłam się aż tak daleko, Sire. Przytłaczasz mnie straszliwą odpowiedzialnością! Wasza Królewska Mość, wprost przeciwnie, powinieneś czuwać, mieć się na baczności…

— Nie, nie mogę ciągle się obawiać — i ciągle drżeć. Od dwóch tygodni jakbym nie żył. Trzeba z tym skończyć. Jedno z dwojga: albo ufając twojemu słowu zdam się spokojnie na los, będę żył myślą o królestwie, a nie o wrogu, nie będę się więcej zajmował panem d'Exmès, albo unieszkodliwię człowieka, który ma do mnie pretensje, doniosę, komu należy, o zniewagach. Zbyt wysoko stoję i zbyt dumne mam o sobie mniemanie, żebym się bronił sam. Pozostawię troskę o to tym, którzy mają obowiązek strzec mojej osoby.

— Kto to jest. Sire?

— Przede wszystkim pan de Montmorency, konetabl i szef armii.

— Pan de Montmorency! — powtórzyła Diana z drżeniem.

Znienawidzone nazwisko Montmorency przypominało jej naraz wszystkie nieszczęścia ojca Gabriela, jego długotrwałe uwięzienie i śmierć. Gdyby z kolei Gabriel wpadł w ręce konetabla, czekałby go taki sam los, byłby zgubiony!

Diana ujrzała w wyobraźni ukochanego wrzuconego do lochu bez powietrza, umierającego w ciągu jednej nocy, lub — co jeszcze straszniejsze — umierającego przez dwadzieścia lat, oskarżającego Boga, ludzi, a zwłaszcza ją, Dianę, która przez jakieś niejasne, dwuznaczne słowa wydała go na zagładę!

Nic nie świadczyło o tym, że zemsta Gabriela chciała lub mogła dosięgnąć króla. Było natomiast pewne, że uraza pana de Montmorency nie oszczędzi Gabriela.

W ciągu kilku sekund Diana to sobie uzmysłowiła. Król postawił jej wyraźne pytanie:

— A więc, Diano, co mi radzisz? Ponieważ ty lepiej ode mnie możesz ocenić niebezpieczeństwo, na jakie jestem narażony, twoje słowo będzie dla mnie wyrocznią. Czy mam się już nie zajmować panem d'Exmès, czy wprost przeciwnie, mam się nim zająć?

— Sire — rzekła Diana, którą przestraszył ton ostatnich słów króla — mogę Waszej Królewskiej Mości udzielić tylko jednej rady, odwołania, się do własnego sumienia. Gdyby jakiś inny obrażony przez ciebie człowiek uchybił respektowi przy spotkaniu albo opuściłby cię zdradziecko w niebezpieczeństwie, nie przyszedłbyś się mnie radzić, żeby słusznie ukarać winnego. Jakiś wewnętrzny nakaz skłonił zatem Waszą Królewską Mość do milczenia i przebaczenia. Otóż nie widzę żadnego powodu, aby ów nakaz przestał działać. Gdyby w końcu panu d'Exmès myśl o zbrodni miała przyjść do głowy, nie czekałby na lepsze okazje niż te, które mu się nadarzyły w pustej galerii Luwru i w lesie Fontainebleau, nad brzegiem przepaści…

— To wystarczy, Diano — rzekł Henryk. — Niczego więcej od ciebie nie chciałem. Zdjęłaś mi z serca poważną troskę i dziękuję ci za to, moje drogie dziecko. Nie mówmy już więcej o tym. Mogę zacząć myśleć z całkowitą swobodą umysłu o uroczystościach podwójnych zaślubin. Chcę, żeby były wystawne, chcę także, żebyś ty się prezentowała okazale, słyszysz, Diano?

— Niech mi Wasza Królewska Mość wybaczy, chciałam właśnie prosić o pozwolenie niebrania udziału w rozrywkach. Muszę się przyznać, że wolałabym pozostać u siebie w samotności.

— Jakże to? Czy nie wiesz, Diano, że uroczystości odbędą się z wprost królewską pompą? Będą gonitwy i turnieje najwspanialsze na świecie i ja sam będę stawał w szrankach. Jakież sprawy mogą odsunąć mą ukochaną córkę od świetnych widowisk?

— Sire, będę się modliła… — rzekła poważnym tonem Diana.

W kilka minut później król opuścił Dianę z ulgą na duszy. Całą udrękę niepokoju pozostawił w sercu biednej dziewczyny.

XXVIII. PRZEPOWIEDNIE

Od tego czasu król czuł się wyzwolony od smętnego niepokoju. Skoncentrował całą swą aktywność na przygotowaniach do wspaniałych uroczystości, jakimi chciał obdarzyć zacne miasto Paryż z okazji szczęśliwych związków małżeńskich córki Elżbiety z Filipem II i siostry Małgorzaty z diukiem de Savoie.

Związki małżeńskie, w rzeczy samej nader pomyślne, zasługiwały na tyle uciech i festynów publicznych? Akt małżeństwa Filipa Emanuela z księżniczką Małgorzatą de France miał być podpisany dnia 28 czerwca.

Henryk ogłosił, że tego dnia i dwa następne dni w Tournelles będą otwarte szranki dla turniejów i innych gonitw rycerskich.

Pod pretekstem, że czyni to dla uhonorowania nowo zaślubionych, a w rzeczywistości w celu zaspokojenia swego zamiłowania i wprost pasji do tego rodzaju walk i zapasów król oznajmił, że sam znajdzie się wśród rycerzy biorących udział w turniejach.

Rankiem 28 czerwca królowa Katarzyna, choć w owych czasach prawie nie opuszczała swego ustronia, natarczywie domagała się rozmowy z królem. Oczywiście, że Henryk przychylił się do pragnienia swojej małżonki i damy.

Katarzyna, mocno poruszona, weszła do komnaty króla.

— Ach, drogi Sire — rzekła na jego widok — w imię Chrystusa! Zaklinam cię, żebyś do końca tego miesiąca nie opuszczał Luwru.

— Dlaczego, Madame? — spytał Henryk zdziwiony takim porywczym sprzeciwem.

— Najjaśniejszy Panie, w tych dniach ma cię spotkać nieszczęście.

— Kto ci to rzekł, Madame? — spytał król.

— Twoja gwiazda, Sire, obserwowana dzisiejszej nocy przeze mnie i mojego italskiego astrologa, wykazuje silnie grożące niebezpieczeństwo, śmiertelne niebezpieczeństwo.

Trzeba wiedzieć, że Katarzyna de Medici zaczęła wtedy oddawać się praktykom magii i astrologii. Jeśli można wierzyć pamiętnikarzom owych czasów, rzadko kiedy ją zawiodły w czasie całego jej życia.

Ale Henryk II nie wierzył całkiem w gwiazdy i odpowiedział królowej ze śmiechem:

— Ależ, Madame, jeśli moja gwiazda zapowiada niebezpieczeństwo, to dosięgnie mnie tak samo tutaj jak gdzie indziej.

— Nie, Sire — odpowiedziała Katarzyna — czeka cię niebezpieczeństwo pod gołym niebem, na świeżym powietrzu.

— Doprawdy? A może to będzie od wiatru, jakieś zawianie? — kpił Henryk.

— Najjaśniejszy Panie, nie żartuj z tych rzeczy! Gwiazdy są słowem pisanym przez Boga.

— Należy przy tym stwierdzić, że pismo boże jest na ogół bardzo zaciemnione i zagmatwane.

— Jak to, Sire?

— Przekreślenia i gryzmoły czynią tekst nieczytelnym do takiego stopnia, że każdy może z nich odcyfrować to, co sam chce. W gryzmołach niebiańskich widziałaś, Madame, że moje życie jest zagrożone, w razie kiedy wyjdę z Luwru? — Tak, Sire.

— No dobrze! A Forcatel w ubiegłym miesiącu widział coś innego. Myślę, że poważasz Forcatela, Madame.

— Tak, to uczony mąż — rzekła królowa. — On czyta biegle tam, gdzie my zaledwie sylabizujemy.

— Dowiedz się przeto, Madame, że Forcatel odczytał dla mnie w gwiazdach taki oto piękny

wiersz, który ma jedynie jedną wadę, że jest niezrozumiały: Jeśli to nie jest Mars, obawiaj się jego wizerunku.

— W czym ta przepowiednia osłabia lub unieważnia moją?

— Zaczekaj, Madame. Mam tutaj gdzieś mój horoskop ułożony poprzedniego roku. Czy przypominasz sobie, co mi wróży?

— Dość niedokładnie, Najjaśniejszy Panie.

— Z tego horoskopu wynika, że umrę w pojedynku. To rzecz bardzo, rzadka i nowa dla króla z całą pewnością! Ale w pojedynku to nie wizerunek Marsa. Coś mi się zdaje, według mego pokornego zdania, że musiałby być to sam Mars!

— Jaki wniosek stąd wyciągasz, Najjaśniejszy Panie? — spytała Katarzyna.

— Ależ, Madame! Skoro wszystkie te przepowiednie są sprzeczne, najpewniej jest nie wierzyć w żadną. Owe kłamczuchy dementują siebie nawzajem, przecież widzisz to dobrze!

— Wasza Królewska Mość ma zamiar opuścić Luwr w najbliższych dniach? — spytała Katarzyna.

— W każdej innej okoliczności byłoby mi przyjemnie uczynić cię szczęśliwą pozostaniem razem z tobą. Ale obiecałem i ogłosiłem publicznie, że będę brał udział w festynach, muszę się tam udać.

— Ale przynajmniej nie wejdziesz w szranki, Najjaśniejszy Panie!

— W tym także dane słowo mnie zobowiązuje. Z wielkim żalem muszę ci odmówić, Madame. Jakież niebezpieczeństwo grozi podczas takich zapasów? Jestem ci Wdzięczny z głębi serca za tyle troskliwości. Jednak pozwól sobie rzec, że takie obawy są chimeryczne. Ustąpić przez nie byłoby dowodem, że mam fałszywe mniemanie o niebezpieczeństwie owych wdzięcznych i uciesznych turniejów, nie chcę, aby z mojego powodu je zniweczyć.

— Sire, jestem przyzwyczajona ustępować twojej woli — odpowiedziała zwyciężona Katarzyna. — Jeszcze raz dzisiaj rezygnuję, ale z żalem i przerażeniem w sercu.

— Przyjedziesz do Tournelles, nieprawdaż, Madame? — rzekł Henryk całując rękę Katarzyny. — Choćby po to, żeby oklaskiwać moje ciosy włócznią i przekonać samą siebie o niesłuszności ślepych obaw.

— Będę ci posłuszna do końca, Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała królowa odchodząc.

W rzeczy samej, Katarzyna wraz z całym dworem prócz Diany asystowała przy pierwszym turnieju, w którym król przez cały dzień kruszył kopie z każdym rycerzem biorącym udział w walce.

Wieczorem ze śmiechem rzekł do Katarzyny:

— No widzisz Madame, gwiazdy nie miały racji.

Katarzyna ze smutkiem pokiwała głową.

— Niestety, czerwiec jeszcze się nie skończył — rzekła.

Drugiego dnia, 29 czerwca, było tak samo: Henryk nie opuszczał szranków i miał tyle samo szczęścia co śmiałości.

Kiedy powrócili do Luwru, znowu rzekł do Katarzyny:

— Widzisz, Madame, że gwiazdy pomyliły się także i dzisiaj.

— Ach, Najjaśniejszy Panie, najwięcej lękam się trzeciego dnia! — zawołała królowa.

Ostatni dzień turniejów, piątek 30 czerwca, miał być najpiękniejszym i najświetniejszym ze wszystkich trzech. Miał godnie zamknąć owe pierwsze festyny.

Czterema rycerzami walczącymi w szrankach byli: król w biało–czarnej zbroi, noszący kolory pani de Poitiers, diuk de Guise w rynsztunku biało–szkarłatnym, Alfons d'Este, diuk Ferrary, w barwach żółto–czerwonych, Jakub de Savoie, diuk de Nemours nosił barwy żółtą i czarną.

„Byli to — jak pisze Brantôme — czterej książęta, najlepsi rycerze władający bronią, jakich

można spotkać nie tylko we Francji, ale i w innych krajach. Toteż dokonywali w on dzień cudów, nie wiadomo było, komu przyznać sławę, a przy tym król był jednym z najznakomitszych i najzręczniejszych jeźdźców w swoim królestwie".

W samej rzeczy, szansę przypadały pięknie raz temu, raz owemu z czterech obrotnych i sławnych rycerzy. Gonitwy następowały jedna po drugiej, dzień biegł naprzód, a nie można było rzec, komu przypadnie honor turnieju.

Henryk był tym wszystkim mocno ożywiony i rozgorączkowany. W zawodach i starciach broni czuł się w swoim żywiole. Więcej mu tutaj zależało na zwycięstwie niż w prawdziwej walce na polu bitew.

Jednak nadchodził wieczór. Trąbki i fanfary zabrzmiały na ostatnią gonitwę.

Pan de Guise dostarczył pięknego widowiska, uczynił to przy głośnych oklaskach dam i zgromadzonego tłumu.

Nareszcie królowa odetchnęła i wstała z miejsca. Był to sygnał do rozejścia się.

— Jak to? Już koniec? — zawołał król podniecony i zazdrosny. — Zaczekajcie, zaczekajcie! Czyż nie moja kolej na gonitwę?

Pan de Vieilleville przypomniał królowi, że pierwszy rozpoczął gonitwy, że czterej rycerze odbyli jednakową liczbę gonitw, że przewaga nikomu nie przypadła w udziale, nie było zwycięzcy, to prawda, ale szranki zamknięto i dzień dobiega końca.

Henryk odpowiedział z niecierpliwością:

— Jeśli król wchodzi w szranki pierwszy, powinien z nich wyjść ostatni. Nie chcę, żeby się to tak skończyło. Widzę jeszcze dwie całe włócznie.

— Ależ, Najjaśniejszy Panie, nie ma już więcej atakujących.

— Ależ tak — rzekł król — a tamten, który cały czas ma spuszczoną przyłbicę i jeszcze nie brał udziału w gonitwach? Kto to jest, Vieilleville?

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie. Nie zauważyłem — odpowiedział rycerz.

— Hej, panie — zwrócił się Henryk ku nieznajomemu — proszę cię, abyś na zakończenie kruszył ze mną kopie.

Mężczyzna przez jakiś czas nie odpowiadał, wreszcie rzekł wzruszonym, głuchym głosem:

— Niech mi Wasza Królewska Mość pozwoli odmówić takiego zaszczytu.

Henryk sam sobie nie zdawał sprawy, dlaczego dźwięk tego głosu obudził w nim dziwny niepokój pomieszany z gorączkowym zniecierpliwieniem.

— Pozwolić ci odmówić? Nie, nie pozwalam, panie — rzekł z wybuchem złości.

Wtedy nieznajomy bez słowa odsłonił przyłbicę. Po raz trzeci od dwu tygodni król miał sposobność ujrzeć bladą, posępną twarz Gabriela de Montgomery.

XXIX. ZGUBNY TURNIEJ

Na widok posępnej, wyniosłej twarzy młodego hrabiego de Montgomery króla przeszył dreszcz zaskoczenia, a może i przerażenie rozlało się po wszystkich żyłach.

Nie chciał się jednak do tego przyznać przed samym sobą, a jeszcze mniej okazać to innym. Natychmiast stłumił w sobie pierwszy przykry odruch. Duch działał wbrew instynktowi i właśnie dlatego, że czuł strach przez sekundę, okazał brawurę, a nawet nieustraszoność.

Gabriel rzekł po raz drugi powolnym, poważnym głosem:

— Błagam Waszą Królewską Mość nie upierać się przy swej chęci.

— A jednak upieram się, panie de Montgomery — odpowiedział król.

Henryk, oszołomiony tyloma sprzecznymi uczuciami, doszukiwał się wyzwania w słowach i tonie Gabriela. Przerażony nawrotem dziwnego niepokoju, który Diana de Castro na moment w nim rozproszyła, energicznie zwalczał w sobie słabość. Chciał wreszcie położyć kres tchórzliwym niepokojom, które były niegodne jego, Henryka II, syna Francji, monarchy!

Tedy rzekł do Gabriela z przesadną nawet stanowczością:

— Przygotuj się, panie, do gonitwy ze mną.

Gabriel, równie wstrząśnięty jak król, skłonił się w milczeniu zamiast odpowiedzi.

W tej samej chwili pan de Boisy, wielki koniuszy, zbliżył się do króla i przekazał słowa królowej, która zaklina Jego Królewską Mość, żeby się więcej nie potykał w turnieju przez miłość do niej.

— Odpowiedz, panie, królowej, że właśnie z miłości dla niej chcę jeszcze skruszyć tę oto włócznię.

Potem zwrócił się do pana de Vieilleville:

— Dalej, panie de Vieilleville, uzbrój mnie natychmiast!

W swoim roztargnieniu prosił pana de Vieilleville o usługę, której wypełnienie należało do obowiązków wielkiego koniuszego, pana de Boisy. Pan de Vieilleville, zdziwiony, z respektem należnym zwrócił królowi na to uwagę.

— Słusznie! — rzekł, król uderzając się w czoło. Gdzie ja mam głowę?

Napotkał chłodne, nieruchome spojrzenie Gabriela i rzekł niecierpliwie:

— Ależ tak! Miałem rację! Przecież pan de Boisy ma pójść do królowej i wypełnić do końca polecenie, zanosząc jej moją odpowiedź. Wiem dobrze, co czynię i co mówię! Podaj mi broń, panie de Vieilleville!

— Jeśli tak ma być, Najjaśniejszy Panie, skoro Wasza Królewska Mość chce stanowczo skruszyć ostatnią kopię, ja powinienem stawać przeciwko niej, proszę o to prawo. Bo wszakże pan de Montgomery nie zgłosił się na początku do szranków, a wszedł dopiero wtedy, kiedy gonitwy zostały zakończone.

— Masz słuszność, panie — żywo odpowiedział Gabriel. — Ustępuję ci miejsca.

W pośpiechu hrabiego de Montgomery, by uniknąć z nim starcia, król dopatrywał się znieważającego oszczędzania ze strony wroga, który sobie wyobraża, że budzi strach.

— Nie, nie! — odpowiedział Henryk panu de Vieilleville tupiąc nogą w ziemię. — Chcę się potykać z panem de Montgomery, a nie z kimś innym! Dość tego zwlekania! Podaj mi broń!

Wymienił dumne, wyniosłe spojrzenie z uporczywym, poważnym wzrokiem hrabiego i nic nie dodając wysunął czoło, żeby pan de Vieilleville założył mu hełm.

Całkiem widocznie los go zaślepiał.

Pan de Savoie przyszedł jeszcze go błagać, by opuścił pole walki na prośbę Katarzyny de

Medici. Kiedy król nie odpowiadał na jego nalegania, dodał całkiem cicho:

— Pani Diana de Poitiers także prosiła mnie, abym w sekrecie cię ostrzegł, miej się na baczności, z kim tym razem walczysz.

Słysząc imię Diany Henryk zadrżał wbrew swej woli, ale opanował i to drżenie.

— Czyż wygląda na to, że się lękam czegoś wobec mojej damy? — rzekł do siebie, ale zachował wyniosłe milczenie człowieka zdecydowanego i upartego.

Pan, de Vieilleville nakładając mu zbroję mówił także po cichu:

— Najjaśniejszy Panie, przysięgam przed Bogiem, że od trzech dni myślę ciągle, że ma ci się dzisiaj przytrafić jakieś nieszczęście i że dzień ostatni czerwca jest feralny."

Król udawał, że tego nie słyszy. Był już uzbrojony i chwycił kopię. Gabriel trzymał swoją i także wjechał w szranki.

Obaj zawodnicy dosiedli koni i znaleźli się na polu gonitwy.

W tłumie zaległo dziwnie głębokie milczenie. Wszystkie oczy się wytężały, wszystkie oddechy były wstrzymane.

Jednak nie było konetabla i Diany de Castro. Z wyjątkiem Diany de Poitiers nikt nie wiedział, co zaszło między królem a hrabią de Montgomery, nie znano przyczyn ich wzajemnej nienawiści i przedmiotu zemsty. Nikt nie przewidywał, że walka na niby będzie miała krwawe zakończenie. Król był przyzwyczajony do gier rycerskich nie grożących niebezpieczeństwem, ze sto razy w ciągu trzech dni pojawiał się na polu walki w warunkach z pozoru takich samych jak obecna sytuacja.

A jednak w owym przeciwniku, który maskował się tajemniczo do samego końca, w jego wiele znaczących odmowach potykania się, w ślepym uporze króla wyczuwano niejasno coś niezwykłego i strasznego. Wobec nieznanego niebezpieczeństwa milczano i czekano. Na co? Nikt nie umiałby powiedzieć. Gdyby ktoś całkiem obcy przybył w tej chwili i ujrzał miny obecnych z pewnością rzekłby. Dzieje się tutaj coś osobliwie niezwykłego! W powietrzu unosiła się groza.

Godna uwagi okoliczność była widoczną oznaką złowieszczego nastawienia myśli zebranych.

Podczas zwykłych gonitw, podczas całego ich trwania trąbki i fanfary rozbrzmiewały bezustannie i ogłuszająco. Był to jakby głos wybuchów radości podczas turnieju.

Ale kiedy król i Gabriel weszli w szranki, trąbki wszystkie ucichły naraz. Nie zadźwięczała ani jedna. Nikt sobie z tego nie zdawał sprawy, zdwoiło się oczekiwanie i ogólne przerażenie wśród zaskakującej ciszy.

Dwaj zawodnicy, bardziej jeszcze niż przyglądający się, odczuwali owe niezwykłe wrażenie, ów niepokój przepełniający atmosferę.

Gabriel o niczym nie myślał, nic nie widział, prawie już nie żył. Jechał odruchowo jak we śnie, czyniąc instynktownie to, co czynić należało w podobnych okolicznościach. Wiodła go jakaś tajemna, potężna siła woli, która nagle przestała być jego własną.

Król był jeszcze bardziej bierny i bardziej roztargniony. Jakby mu chmura zasłaniała oczy, zdawało mu się, że działa i porusza się jak w fantasmagorii niesłychanej, która nie jest ani rzeczywistością, ani snem.

Miał wszelako przebłysk myśli, w której wyraźnie ujrzał przepowiednie królowej, przekazane mu przedwczoraj rano, wróżby horoskopu i zły omen Forcatela. Nagle, olśniony jakimś dziwnym wewnętrznym światłem pojął sens i korelację wszystkich złowieszczych znaków: Zimny pot oblał go od stóp do głów. Nastał moment, kiedy chciał wyjechać ze szranków i zrezygnować z walki. Ale cóż! Tysiące oczu śledzących uważnie wisiało na nim i przykuwało go do miejsca!

Zresztą pan de Vieilleville dał już znak rozpoczęcia.

Los rzucił wyzwanie. Naprzód! Niech Bóg czyni, co mu się spodoba!

Oba konie ruszyły galopem, były one w owej chwili mądrzejsze i mniej zaślepione może niż ich ciężcy jeźdźcy zakuci w stal.

Gabriel i król spotkali się na środku areny. Ich lance zderzyły się i złamały o pancerze. Obyło się bez żadnego wypadku.

A zatem straszne przeczucia były niesłuszne! Wielki szmer radości wyrwał się naraz ze wszystkich piersi i ulgą. Królowa wzniosła ku niebu spojrzenie pełne wdzięczności.

Cieszono się przedwcześnie!

Jeźdźcy pozostawali jeszcze w szrankach. Kiedy każdy z nich dojechał do przeciwległego końca, musieli powrócić galopem do punktu wyjścia i skutkiem tego spotkać się jeszcze raz.

Jakiegoż jeszcze niebezpieczeństwa można było obawiać się? Mieli się spotkać bez dotykania się.

Bądź to na skutek podniecenia, bądź to celowo, bądź przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności, nikt nie zna prawdy prócz Boga, Gabriel w powrotnej drodze nie odrzucił jak jest w zwyczaju, trzonka lancy, trzymał go w ręce przed sobą.

W powrotnej gonitwie, ponoszony przez konia w galopie, zawadził trzonkiem o głowę Henryka II. Gwałtowność ciosu podniosła przyłbicę hełmu. Odłamek lancy wbił się głęboko w oko króla i wyszedł przez ucho.

Zaledwie połowa widzów, już roztargnionych i zbierających się do wyjścia, ujrzała ów straszliwy cios. Wielki krzyk zwrócił uwagę reszty.

Tymczasem Henryk puścił wodze, chwycił się szyi rumaka i tak dojechał do krańca placu gonitw. Tam na niego czekali pan de Vieilleville i pan de Boisy.

— Ach, umieram! — takie były pierwsze słowa króla.

Zdążył jeszcze wyszeptać:

— Nie niepokójcie pana de Montgomery. To sprawiedliwe… wybaczam mu.

Król zemdlał.

Nie będziemy opisywali zamieszania, jakie nastąpiło. Odciągnięto na wpół martwą Katarzynę de Medici. Król został natychmiast przewieziony do swej komnaty w Tournelles, nie odzyskując ani na chwilę przytomności.

Gabriel zsiadł z konia i stał oparty o barierę nieruchomy, skamieniały, jakby sam był rażony ciosem, który zadał.

Słyszano ostatnie słowa króla i powtarzano je. Nikt nie ośmielił się go niepokoić. Ale szeptano wokół niego, spoglądano na niego z pewnym przestrachem.

Admirał de Coligny, obecny na turnieju, jedyny miał odwagą zbliżyć się do młodzieńca i przechodząc obok, po lewej jego stronie, rzekł cicho:

— To straszny wypadek, przyjacielu! Wiem, że stało się to przypadkiem. Nic z tym na pewno nie mają wspólnego nasze idee i rozmowy, jakie słyszałeś na tajnym zgromadzeniu, o czym mi mówił La Renaudie. Nie o to chodzi. Chociaż nie mogą cię oskarżyć o wypadek, miej się jednak na baczności! Radzę ci zniknąć na pewien czas, wyjechać z Paryża, a nawet z Francji. Zawsze licz na mnie, i do zobaczenia.

— Dziękuję — odpowiedział Gabriel nie zmieniając postawy.

W czasie kiedy do niego mówił dowódca protestantów, słaby, smutny uśmiech wykwitł na jego bladych ustach.

Coligny skinął mu głową i oddalił się.

W kilka minut później diuk de Guise, który właśnie patrzył jak wynoszono króla podszedł do Gabriela wydając jakieś rozkazy. Przeszedł bardzo blisko młodego hrabiego, a przechodząc rzekł mu na ucho:

— Bardzo niefortunny cios, Gabrielu. Ale nie można o to mieć do ciebie pretensji, raczej

trzeba ci współczuć. Pomyśl jednak! Gdyby ktoś słyszał naszą rozmowę, jaką przeprowadzaliśmy w Tournelles, jakież straszne, wstrętne domysły mogliby wyciągnąć źli ludzie z owego nieszczęsnego — wypadku! Wszystko jedno, jestem dostatecznie silny i możny, cały jestem ci oddany, o tym wiesz. Nie pokazuj się przez kilka dni, ale nie opuszczaj Paryża, to zbędne. Gdyby ktoś ośmielił się ciebie oskarżać, przypomnij sobie, co ci rzekłem: wszędzie i zawsze licz na mnie, cokolwiek by się stało.

— Dziękuję, Wasza Wysokość — odpowiedział Gabriel ciągle takim samym tonem i z tym samym melancholijnym uśmiechem.

Było widoczne, że diuk de Guise tak samo jak i Coligny wprawdzie bez silnego przekonania, ale mieli nieokreślone podejrzenie, że wypadek, nad którym udawali, że boleją, nie był wcale wypadkiem. W głębi duszy i protestant, i ambitny, nie chcąc się do tego przyznać we własnym sumieniu, przypuszczali obaj, że Gabriel skorzystał z okazji i przypadku, aby przysłużyć się losowi uwielbianego protektora, tak myślał jeden, a drugi, że fanatyzm młodego hugenota mógł go skłonić do wyzwolenia uciskanych braci od prześladowcy.

Obaj zatem poczuli się zobowiązani do podejścia i wyrażenia kilku dobrych słów swemu dyskretnemu, zaufanemu pomocnikowi. Dlatego właśnie obaj zbliżyli się do Gabriela jeden po drugim, dlatego — właśnie Gabriel przyjął ich podwójną pomyłkę ze smutnym uśmiechem.

Diuk de Guise w tym czasie powrócił do zaniepokojonych grup dworzan, którzy go otoczyli. Gabriel rozejrzał się wkoło. Ujrzał, z jaką bojaźliwą ciekawością mu się przyglądano. Westchnął i postanowił odejść z fatalnego miejsca.

Powrócił do swego pałacyku przy ulicy Jardins–Saint–Paul. Nikt go nie zatrzymał ani o nic nie wypytywał.

W Tournelles komnata króla była zamknięta dla wszystkich dworzan. Jedynie królowa, dzieci, i chirurdzy byli obecni przy zranionym królu. Jednak Fernel i inni lekarze szybko zorientowali się, że nie ma nadziei, że nie zdołają ocalić Henryka II.

Ambroży Paré przebywał w Peronne. Diuk de Guise nie miał zamiaru po niego posyłać.

Król przez cztery dni nie odzyskiwał przytomności. Na piąty dzień na tyle przyszedł do siebie, że wydał kilka poleceń, zarządził zwłaszcza, żeby natychmiast odbyły się zaślubiny jego siostry.

Widział się także z królową, wydał jej polecenie dotyczące dzieci i spraw królestwa.

Potem nadeszła gorączka, majaczenie i agonia.

W końcu, dnia 10 lipca 1559 roku, nazajutrz po zaślubinach siostry Małgorzaty z diukiem de Savoie, co oblubienica uczyniła dla spełnienia ostatniej woli króla ze łzami w oczach, po długich dniach agonii Henryk II wyzionął ducha.

Tego samego dnia pani Diana de Castro odjechała, a raczej uciekła do starego, znanego sobie klasztoru benedyktynek w Saint–Quentin, otwartego na nowo po zawarciu pokoju w Cateau–Cambrésis.

PANOWANIE FRANCISZKA II.

XXX. NOWA SYTUACJA

Dla faworyty i faworyta króla prawdziwą śmiercią nie jest śmierć monarchy, ale niełaska.

Syn zmarłego hrabiego de Montgomery dostatecznie pomścił śmierć ojca, zemścił się na konetablu i na Dianie de Poitiers, skoro dwoje winowajców zamieni wszechwładztwo na wygnanie, a rozgłos na zapomnienie.

Na taki oto wynik czekał Gabriel, posępnie zamyślony w samotni swej rezydencji, gdzie się zagrzebał po fatalnym ciosie zadanym 30 czerwca. Gdyby Montmorency i jego wspólniczka pozostali przy władzy, lękał się nie prześladowania, ale ich rozgrzeszenia. Czekał.

Podczas jedenastu dni agonii Henryka II konetabl de Montmorency czynił wszystko, co możliwe, żeby zachować swoje wpływy w rządzie. Pisał listy do książąt krwi zachęcając ich do zajęcia miejsca w radzie młodego króla. Jego nalegania skierowały się zwłaszcza do Antoniego de Bourbon, króla Nawarfy, najbliższego dziedzica tronu po braciach króla. Polecił mu śpieszyć się, bo najmniejsza zwłoka z jego strony mogła obcym zapewnić przewagę, a później już nie będzie sposobu jej im wydrzeć. Wysyłał kuriera za kurierem, podburzał jednych, usilnie prosił drugich i nie zaniedbał niczego, żeby stworzyć stronnictwo zdolne stawić czoła zwolennikom książąt de Guise.

Diana de Poitiers, mimo zgryzoty, pomagała mu, jak mogła, w owych wysiłkach. Jej los także był teraz związany z losem starego kochanka. Razem z nim mogła jeszcze królować jeśli nie bezpośrednio, to przynajmniej skutecznie.

Kiedy dnia 10 lipca najstarszy z synów Henryka II został obwołany królem przez wojskowego herolda jako Franciszek II, młody książę miał zaledwie szesnaście lat. Chociaż prawo go uznało za pełnoletniego, jego młody wiek, brak doświadczenia i słabe zdrowie zmuszały go do pozostawienia steru rządów przez kilka lat ministrowi potężniejszemu z nazwiska niż on sam.

Kto będzie zatem owym ministrem czy raczej regentem? Diuk de Guise czy konetabl? Katarzyna de Medici czy Antoni de Bourbon?

Takie pytanie zawisło nazajutrz nad Francją po śmierci Henryka II.

Owego dnia Franciszek II musiał przyjąć o trzeciej po południu posłów parlamentu. Kogo przedstawi im jako swego ministra, tego powitają jako prawdziwego króla.

Szło przeto o zwycięstwo stronnictwa. Rano 12 lipca Katarzyna de Medici i Franciszek de Lorraine udali się, każde osobno, do młodego króla pod pretekstem złożenia mu kondolencji. W rzeczy samej po to, aby mu podsunąć swoje rady.

Wdowa po Henryku II złamała nawet etykietę w tym ważnym celu, bowiem obyczaj nakazywał jej nie pokazywać się oczom ludzkim przez czterdzieści dni.

Katarzyna de Medici, przygnębiona, odsunięta na bok przez małżonka, od dwunastu dni czuła, jak budzi się w niej szeroko zakreślona, głęboka ambicja, która miała wypełnić resztę jej życia. Skoro jednak nie mogła być regentką za pełnoletniego króla, jedyną szansą, jaka jej pozostała, było rządzić przez ministra oddanego jej interesom.

Konetabl de Montmorency nie powinien być owym ministrem. Za poprzedniego panowania niemało się przyczynił do usunięcia prawowitego wpływu Katarzyny i do faworyzowania wpływów Diany de Poitiers. Królowa matka nie mogła mu wybaczyć takiego postępowania, myślała raczej o tym, jak go ukarać za traktowanie jej zawsze szorstkie, a często nawet okrutne.

Antoni de Bourbon byłby w jej rękach narzędziem bardziej uległym. Był jednak kalwinistą. Joanna d'Albret, jego żona, była również bardzo ambitna. Tytuł księcia krwi w połączeniu z faktyczną władzą mógł mu inspirować niebezpieczne zachcianki.

Pozostawał diuk de Guise. Nie wiadomo jednak, czy Franciszek de Lorraine uzna łaskawie autorytet moralny królowej matki, czy przeciwnie, odmówi jej udziału we własnej władzy.

O tym właśnie Katarzyna de Medici byłaby rada się upewnić. Toteż z radością zaakceptowała coś w rodzaju spotkania w obecności króla rankiem owego decydującego dnia, skoro tak zrządził przypadek między nią a Franciszkiem de Lorraine.

Znajdzie lub stworzy okazje dla wypróbowania diuka i wysondowania, jak jest do niej usposobiony.

Diuk de Guise był nie mniej zręcznym w polityce, jak i w prowadzeniu wojny. Starannie miał się na baczności.

Ów prolog przed sztuką rozgrywał się w królewskiej komnacie, w której poprzedniego dnia zamieszkał Franciszek II. Jedynymi aktorami byli: królowa matka, diuk de Guise, młody król i Maria Stuart.

Pośród egoistycznych i chłodnych ambicji Katarzyny i diuka de Guise Franciszek i jego młoda małżonka byli jedynie naiwnymi, zakochanymi, uroczymi dziećmi, które pokładają zaufanie w pierwszym, kto się nadarzy, i potrafi zręcznie zdobyć sobie ich dusze.

Szczerze opłakiwali śmierć, króla ojca. Katarzyna zastała ich smutnych i strapionych. Rzekła do Franciszka:

— Synu mój, słusznie ronisz łzy wspominając tego, kogo ty w pierwszym rzędzie powinieneś opłakiwać. Wiesz, że podzielam twoją boleść i żal. Jednak pomyśl także, że nie tylko obowiązki syna masz do wypełnienia. Ty również jesteś ojcem. Ojcem swego narodu. Gdy już poświęciłeś przeszłości prawowitą część żalu, zwróć się ku przyszłości. Przypomnij sobie wreszcie, że jesteś królem, mój synu, a raczej Wasza Królewska Mość, muszę się przystosować do sposobu wyrażania, który przypomni ci równocześnie twe obowiązki i prawa.

— Niestety! — odpowiedział Franciszek II potrząsając głową. — Zbyt wielki ciężar berła Francji na moje szesnastoletnie ręce, Madame. Nie byłem przygotowany na myśl, że takie jarzmo może przytłoczyć moją młodość, nie mam dostatecznego doświadczenia ani powagi.

— Najjaśniejszy Panie, przyjmij z rezygnacją i wdzięcznością zarazem stanowisko, jakie Bóg na ciebie nakłada. Ci, którzy cię otaczają i miłują, ulżą ci w jego dźwiganiu wedle własnych możliwości i połączą swe wysiłki razem z twoimi, by ci pomóc godnie sprawować władzę — rzekła Katarzyna.

— Dzięki ci, Madame — wyszeptał młody król, nie wiedząc, jak odpowiedzieć na owe awanse.

Odruchowo spojrzał w stronę diuka de Guise, jakby chciał pytać o radę wuja swej małżonki.

Czyniąc pierwszy krok po królewskiej drodze biedny młodzieniaszek nawet wobec wyczuwał instynktownie zasadzki.

Wtedy diuk de Guise rzekł mu bez wahania:

— Tak, Wasza Królewska Mość ma rację. Dziękuj królowej, dziękuj z wylaniem za dobre, zachęcające słowa. Nie zadowalaj się samymi podziękowaniami. Miej śmiałość jej rzec także, że wśród wszystkich, którzy cię miłują i tych których ty kochasz, ona zajmuje pierwsze miejsce. Tym samym powinieneś liczyć i liczysz na jej skuteczną macierzyńską pomoc w trudnym zadaniu, jakie ci przypadło w udziale w tak młodym wieku.

— Mój wuj de Guise był wiernym odtwórcą moich myśli, Madame — rzekł wtedy zachwycony król do matki. — Nie powtarzam ich z obawy, by nie osłabić ich wymowy. Uważaj, Madame, że sam je wypowiedziałem, matko ukochana, i racz wspomóc moją słabość swym cennym oparciem.

Królowa matka rzuciła już wcześniej diukowi de Guise spojrzenie pełne życzliwości i sympatii.

— Sire — odpowiedziała synowi — moja skromna wiedza, jaką posiadam, należy do ciebie, będę szczęśliwa i dumna za każdym razem, kiedy będziesz zasięgał mojej rady. Jestem jednak tylko niewiastą. Potrzebny ci u boku tronu obrońca dzierżący miecz. Silne ramię, męską energię znajdziesz, Wasza Królewska Mość, wśród tych samych, którzy dzięki parantelom i pokrewieństwu będą ci służyli jako naturalna pomoc.

Katarzyna de Medici natychmiast spłaciła swój dług diukowi de Guise za dobre postępowanie.

Został między nimi jakby pakt zawarty jednym spojrzeniem, które jednak, przyznajmy, nie było szczere ani z jednej, ani z drugiej strony. Jak zobaczymy później, nie był on długotrwały.

Młody król pojął matkę i zachęcony spojrzeniem Marii, wyciągnął trwożną dłoń do diuka. Przez uścisk dłoni oddawał mu rządy Francją.

Mimo wszystko Katarzyna nie chciała pozwolić synowi na zbytnie angażowanie się, zanim diuk de Guise nie da jej pewnych gwarancji dobrych chęci. Uprzedziła zatem młodego króla, który prawdopodobnie uczyniłby jakąś obietnicę formalną dla potwierdzenia swego gestu i pierwsza zabrała głos:

— W każdym razie, zanim będziesz miał ministra, matka twoja prosi cię nie o łaskę, ale zgłasza żądanie.

— Rzeknij, jaki mam wydać rozkaz. Mów, proszę cię — odpowiedział Franciszek II.

— Mój synu, chodzi o niewiastę, która wyrządziła mi wiele złego, a jeszcze więcej Francji. Nie do nas należy ganić słabostki człowieka, który dla nas na zawsze jest świętością. Ale przecież twego ojca już nie ma, Sire. Jego wola nie rządzi już tym zamkiem, a jednak, owa niewiasta, której nawet nie chcę wymienić nazwiska, ośmiela się jeszcze tu przebywać. Jej obecność jest dla mnie do końca zniewagą. Podczas długiej agonii króla zwracano jej uwagę, że nie wypada, by pozostawała w Luwrze. Czy król zmarł? — zapytała. Nie, jeszcze oddycha. A zatem nikt nie ma prawa poza nim wydawać mi rozkazów. I bezczelnie pozostała.

Diuk de Guise z uszanowaniem przerwał królowej matce i pośpieszył się rzec:

— Wybacz, Madame. Znam zamiary jego królewskiej mości w sprawie osoby, o której mówisz.

Bez żadnego uprzedzenia uderzył w dzwonek na służbę. Wszedł pokojowiec.

— Niech zawiadomią panią de Poitiers, że król chce z nią natychmiast rozmawiać.

Kamerdyner ukłonił się i wyszedł spełnić polecenie.

Młody król nie okazywał bynajmniej zdziwienia ani niepokoju, że bez zasięgnięcia jego zdania ktoś się tak rządzi. Faktem jest, że był zachwycony z pozbycia się odpowiedzialności i oszczędzenia mu trudu działania i rozkazywania.

Mimo wszystko Pokiereszowany chciał nadać swemu krokowi sankcję przyzwolenia królewskiego.

— Chyba nie zanadto uprzedziłem życzenia Waszej Królewskiej Mości w tej sprawie?

— Oczywiście, że nie, wuju drogi — odpowiedział z pośpiechem Franciszek. — Działaj! Z góry wiem, że to, co uczynisz, będzie właściwe.

— A to, co ty mówisz, mój miły, jest także dobre — cicho szepnęła mu na ucho Maria Stuart.

Franciszek poczerwieniał z satysfakcji i dumy. Za jedno słówko, Za jedno aprobujące spojrzenie umiłowanej Marii gotów był na ryzyko, a nawet na oddanie wszystkich królestw świata.

Królowa matka z niecierpliwą ciekawością czekała, jak sprawę rozegra diuk de Guise. Uważała jednak, że powinna coś dodać, aby wypełnić panujące milczenie lub aby lepiej — wyrazić swoje intencje;

— Ta, którą wezwałeś, Sire, może pozostawić Luwr bez podziału dla byłej legalnej królowej i dla uroczej obecnej królowej — rzekła to z miłym ukłonem w stronę Marii Stuart. — Bogata i

piękna dama może znaleźć schronienie i pociechę we wspaniałym królewskim zamku Anet, bardziej królewskim i bardziej wspaniałym oczywiście niż mój skromny dom w Chaumónt–sur–Loire.

Diuk de Guise nic nie powiedział, ale zanotował w pamięci podsuniętą myśl.

Trzeba przyznać, że nie znosił Diany de Poitiers nie mniej silnie niż Katarzyna de Medici. Przecież to pani de Valentinois dla przypodobania się konetablowi plątała ze wszystkich sił losy i plany diuka. Na zawsze pozostałby przez nią w cieniu, gdyby kopia Gabriela nie przerwała wraz z życiem Henryka II Władzy owej czarodziejki.

Nadszedł jednak wreszcie dzień rewanżu dla Franciszka de Lorraine, umiał on równie dobrze nienawidzić jak kochać.

Odźwierny zaanonsował głośno:

— Pani diuszesa de Valentinois.

Weszła Diana de Poitiers całkiem widocznie zmieszana, ale ciągle jeszcze wyniosła.

XXXI. ZEMSTA GABRIELA DOSIĘGA POZOSTAŁYCH WINOWAJCÓW

Pani de Valentinois złożyła lekki ukłon przed młodym królem, jeszcze lżejszy przed Katarzyną de Medici i Marią Stuart i zdawała się w ogóle nie zauważać obecności diuka de Guise.

— Sire, Wasza Królewska Mość polecił mi zjawić się…

Przerwała. Franciszek II był rozdrażniony i zarazem zaniepokojony dumną postawą byłej faworyty. Zawahał się, poczerwieniał i wreszcie rzeki:

— Nasz wuj de Guise łaskawie się podjął powiadomić cię, pani, o naszych zamiarach.

I zaczął po cichu rozmawiać z Marią Stuart.

Diana powoli obróciła się w stronę diuka. Widząc drwiący, szyderski uśmiech błądzący po jego wargach, starała się mu przeciwstawić jedno ze swych najbardziej władczych spojrzeń rozgniewanej Junony.

Jednak nie tak łatwo było onieśmielić diuka jak jego królewskiego siostrzeńca.

Rzekł do niej z głębokim ukłonem:

— Król dowiedział się o głębokim smutku, jaki ci sprawiło straszne nieszczęście, które spadło na nas wszystkich. Dziękuje ci za to. Jego królewska mość zechciała wyjść naprzeciw twoim najgorętszym pragnieniom i pozwala ci opuścić dwór, byś zaznała samotności. Możesz odjechać natychmiast, kiedy uznasz to za dogodne, na przykład dzisiaj wieczorem, pani.

Diana powstrzymała łzy wściekłości w rozpłomienionych oczach.

— Jego królewska mość w rzeczy samej spełnia me najgłębsze życzenie. Cóż bym tu miała teraz czynić? Nic mi tak nie leży na sercu jak odejście na moje wygnanie, i to jak najszybciej, panie, bądź spokojny!

— Wszystko przeto układa się jak najlepiej — lekko odpowiedział diuk de Guise, bawiąc się kokardami swego aksamitnego płaszcza. Po chwili dodał poważniejszym tonem, akcentując rozkaz: — Twój zamek Anet, którym władasz dzięki łaskawości nieboszczyka króla, jest chyba ustroniem zbyt światowym, szeroko otwartym i za wesołym dla tak zrozpaczonej samotnicy jak ty, pani. Tak więc pani królowa Katarzyna ofiarowuje ci w zamian za tamten swój zamek Chaumont–sur–Loire, bardziej oddalony od Paryża, a zatem odpowiedniejszy dla twojego gustu i potrzeb obecnej chwili, tak przypuszczam. Będzie do twojej dyspozycji, kiedy tylko zechcesz.

Pani de Poitiers bardzo dobrze pojęła, że rzekoma zamiana była jedynie pretekstem do samowolnej konfiskaty. Ale co czynić? Jak się sprzeciwiać? Nie miała już wpływu ani władzy! Wszyscy dawni jej przyjaciele stali się dzisiaj wrogami. Trzeba było ustąpić, choć wewnątrz kipiała. Ustąpiła.

— Bardzo mi przyjemnie ofiarować królowej wspaniałą rezydencję, którą istotnie zawdzięczam wspaniałomyślności jej szlachetnego małżonka.

— Przyjmuję to odszkodowanie, pani — sucho odpowiedziała Katarzyna de Medici, mierząc Dianę chłodnym wzrokiem, a wdzięczne spojrzenie rzucając diukowi de Guise.

Tak to wyglądało, jakby on jej złożył w podarunku zamek Anet.

— Zamek Chaumont nad Loarą należy do ciebie, pani — dodała — zostanie przygotowany do godnego przyjęcia nowej właścicielki.

Diuk de Guise w dalszym ciągu chciał przeciwstawić niewinne kpiny wściekłym spojrzeniom rzucanym przez Dianę, którymi chciała go spiorunować była faworyta.

— Tam w spokoju będziesz mogła odpocząć po trudach, jakich ci dostarczyły ostatnie dni przez te liczne korespondencje i narady prowadzone w porozumieniu z panem de Montmorency.

— Sądzę, że nieźle się przysłużyłam żyjącemu jeszcze królowi porozumiewając się z mężem stanu, z wielkim dowódcą wojskowym jego panowania w tym wszystkim, co dotyczy dobra królestwa.

W swoim zapale, by ukłuć ostrym słówkiem diuka, pani de Poitiers nie pomyślała, że dostarcza broni przeciwko sobie samej, a urażonej Katarzynie przypomina o drugim wrogu, konetablu.

— To prawda — rzekła nielitościwa królowa matka — pan de Montmorency wypełnił swoją chwałą i swą pracą całe dwa panowania! Najwyższy czas, mój synu, żebyś pomyślał o godziwym odpoczynku, na który tak pracowicie zasłużył.

— Pan de Montmorency równie jak ja spodziewa się takiej nagrody za długą służbę! — z goryczą rzekła Diana. — Był u mnie właśnie niedawno, kiedy jego królewska mość mnie wezwał. Pewnie jest tam jeszcze, pójdę do niego i oznajmię o życzliwych dyspozycjach go dotyczących. Będzie mógł przyjść natychmiast do króla złożyć swe podziękowania i pożegnać. On jest mężczyzną, konetablem, jednym z najmożniejszych panów w królestwie. Bez żadnej wątpliwości wcześniej czy później znajdzie okazję nie tylko słowami okazać swą wdzięczność królowi odnoszącemu się z takim pietyzmem do przeszłości oraz nowym doradcom, którzy tak skutecznie zabiegają o sprawiedliwość i interes społeczny.

Groźba! — pomyślał diuk de Guise. — Żmija jeszcze się prostuje spod obcasa! Tym lepiej! Wolę tak.

— Król jest gotów przyjąć pana konetabla — rzekła królowa matka, blada z oburzenia. — Jeśli pan konetabl ma jakieś zastrzeżenia lub uwagi pod adresem jego królewskiej mości, niech zaraz przyjdzie! Zostanie wysłuchany i wymierzy mu się sprawiedliwość.

— Zaraz go tutaj przyślę — odpowiedziała pani de Poitiers tonem wyzwania.

Pożegnała króla i obie królowe swoim wyniosłym ukłonem i wyszła z wysoko podniesionym czołem, ale załamana na duchu, z dumą na twarzy, a śmiercią w sercu.

Gdyby Gabriel mógł ją taką widzieć, uznałby, że się dostatecznie zemścił.

Za cenę poniżenia, jakie przeżyła Diana, Katarzyna de Medici gotowa była już więcej do niej nie mieć pretensji.

Królowa matka zauważyła jednak z niepokojem, że słysząc nazwisko konetabla diuk de Guise zamilkł i nie podjął bezczelnych prowokacji pani de Poitiers. Czyżby obawiał się pana de Montmorency i chciał go oszczędzać? Czyżby w razie potrzeby zawarł przymierze z odwiecznym wrogiem Katarzyny? Wielkie znaczenie miała dla florentynki świadomość, czego się trzymać, zanim władza przejdzie bez sprzeciwu w ręce Franciszka de Lorraine. Aby wysondować równocześnie i jego, i króla, po wyjściu Diany rzekła:

— Pani de Poitiers jest bardzo impertynencka i czuje się silna przez swego konetabla! W rzeczy samej, mój synu, jest pewne, że jeśli pozostawisz jakąś władzę panu de Montmorency, samo to znaczy, jakbyś oddał pani Dianie połowę swej władzy.

Diuk de Guise ciągle jeszcze milczał.

— Jeśli mam wypowiedzieć swoje zdanie Waszej „Królewskiej Mości, to uważani, że nie należy obdarzać zaufaniem kilku, a mieć jednego ministra, albo pana de Montmorency, albo twego wuja de Guise, albo twego wuja de Bourbon, do wyboru. A więc ten lub tamten, ale nie ci i tamci. Wola jednego człowieka w Państwie połączona z wolą króla wspomaganego radą małej liczby osób, które mają na celu jedynie dobro i chwałę ojczyzny. Czy nie podzielasz mojego zdania, panie de Lorraine?

— Ależ tak, Madame, jeśli takie jest twoje — odpowiedział diuk de Guise jakby z pobłażaniem.

Widzicie! Słusznie przypuszczałam! Myślał oprzeć się na konetablu! Niech wybiera między

mną a nim, chyba nie ma po co się wahać — myślała Katarzyna. Głośno zaś rzekła:

— Wydaje mi się, panie de Guise, że tym bardziej powinieneś podzielać moje zdanie, że wyjdzie ci to na dobre. Król zna moje myśli, ani konetabla de Montmorency, ani Antoniego de Navarre nie życzyłabym mu jako doradcy. A jeśli wypowiadam" się za wykluczeniem tamtych, to nie przeciwko tobie.

— Madame. — odpowiedział diuk de Guise — chciej wierzyć w moją głęboką wdzięczność i oddanie nie mniej wyjątkowe.

Sprytny polityk podkreślił z naciskiem ostatnie słowa, jakby w rzeczy samej stanął po jej stronie i zdecydowanie ofiarował konetabla Katarzynie.

— A to dopiero! Kiedy przyjdą — panowie z parlamentu, znajdą między nami rzadką, wzruszającą jednomyślność poglądów i uczuć — odpowiedziała Katarzyna.

— Najwięcej ja się cieszę z tak wspaniałej zgody! — zawołał młody król klaszcząc w ręce z radości. — Z matką jako doradcą i wujem jako ministrem zaczynam się godzić z władzą królewską, która na początku tak wielce mnie przerażała.

— Będziemy rządzili jako rodzina — wesoło dodała Maria Stuart.

Wobec takich nadziei, a raczej złudzeń młodych suwerenów Katarzyna de Medici i Franciszek de Lorraine tylko się uśmiechali. Każde z nich w obecnej chwili otrzymało to, czego sobie życzyło. On zdobył pewność, że królowa matka nie będzie się sprzeciwiała powierzonej mu wszechwładzy. Ona wierzyła, że minister będzie, się z nią dzielił ową wszechwładzą.

Tymczasem zaanonsowano pana de Montmorency.

Trzeba przyznać, że konetabl na początku zachowywał więcej godności i spokoju od pani de Valentinois. Bez wątpienia uprzedziła go wcześniej, więc chciał znieść swój upadek z honorem.

Pokłonił się z szacunkiem przed Franciszkiem II i pierwszy zaczął mówić:

— Najjaśniejszy Panie, z góry już wątpiłem, aby stary sługa twego ojca i dziada miał u ciebie nieco łaski. Nie żalę się na odwrócenie się fortuny, bo je przewidziałem. Odchodzę bez szemrania. Gdyby kiedykolwiek król lub Francja mnie potrzebowali, można mnie znaleźć w Chantilly. Moje dobra, dzieci, własne moje życie i wszystko, co posiadam, będzie zawsze na usługach Waszej Królewskiej Mości.

Taka powściągliwość wzruszyła króla, który bardziej zaambarasowany niż kiedykolwiek, obrócił się ku matce z pewnym zakłopotaniem.

Diuk de Guise przeczuwał, że jakaś interwencja z jej strony może obrócić w wybuch gniewu rezerwą starego konetabla, rzekł z najbardziej wyszukaną galanterią:

— Skoro pan de Montmorency opuszcza dwór, przypuszczam, że zechce przed swym odjazdem zwrócić Waszej Królewskiej Mości pieczęć królewską powierzoną mu przez nieboszczyka króla. Od dzisiaj nam będzie ona potrzebna.

Diuk się nie pomylił. Owe zwykłe słowa podnieciły w najwyższym stopniu gniew zawistnego konetabla.

— Tu jest pieczęć! — rzekł z goryczą wyjmując ją spod sajana. — Sam ją miałem zwrócić jego królewskiej mości. Nie trzeba było mnie o to prosić. Ale widzę, że Wasza Królewska Mość jesteś otoczony ludźmi gotowymi mu doradzać afront wobec tych, którzy mają prawo jedynie do wdzięczności.

— O kim tak mówi pan de Montmorency? — spytała wyniośle Katarzyna.

— Mówiłem o tych, którzy otaczają jego królewską mość, Madame — odpowiedział konetabl zgodnie ze swą szorstką, brutalną naturą.

Wybrał nieodpowiedni moment. Katarzyna jedynie czekała na okazję, żeby wybuchnąć.

Wstała i bez żadnego opanowania zaczęła wyrzucać konetablowi szorstki i pogardliwy sposób odnoszenia się do niej, jego wrogość do wszystkiego, co florenckie, i to, że dawał przewagę

metresie nad legalną małżonką. Bardzo dobrze wiedziała, że jemu należy przypisać wszelkie poniżenia, jakie wycierpieli jej ziomkowie przybyli razem z nią. Wiedziała, że w pierwszych latach jej małżeństwa z Henrykiem II Montmorency śmiał zaproponować królowi, by uznał ją za bezpłodną, a potem Ją podle znieważał oszczerstwami.

Konetabl, rozwścieczony, bo nieprzywykły do wymówek, odpowiedział szyderczym śmiechem, co było nową zniewagą.

Tymczasem diuk de Guise zdążył po cichu wysłuchać rozkazów Franciszka II, a raczej mu podyktować swoje polecenia. Mówiąc spokojnie podniósł jednak głos i zmiażdżył swego rywala ku wielkiej satysfakcji Katarzyny, de Medici.

— Panie konetablu — rzekł z udawaną uprzejmością — twoi przyjaciele i te różne kreatury, które razem z tobą zasiadały w radzie, jak Bochetel, l'Aubespine i inni, a zwłaszcza jego eminencja strażnik wielkich pieczęci Jan Bertrandi, zechcą prawdopodobnie ciebie naśladować i przejść w stan spoczynku. Król powierza ci pożegnanie ich w jego imieniu. Od jutra będą wolni i już będą mieli następców.

— Dobrze! — wymamrotał pan de Montmorency z zaciśniętymi zębami.

— Jeśli chodzi o pana de Coligny, twojego siostrzeńca, który jest zarządcą — gubernatorem Pikardii i l'Ile–de–France, król uważa, że podwójne stanowisko zanadto go obciąża, i chce odciążyć pana admirała z jednego z nich wedle wyboru. Będziesz tak dobry i go o tym powiadomisz, nieprawdaż? — mówił diuk de Guise.

— Coś podobnego! — rzekł pan de Montmorency z szyderstwem i żalem.

— Drugie stanowisko będzie dla ciebie, panie konetablu — spokojnie wyjaśniał diuk de Guise.

— Odbieracie mi buławę konetabla? — przerwał mu z goryczą pan de Montmorency.

— Och, dobrze wiesz, że to nie jest możliwe, z godnością konetabla nie jest tak jak ze stanowiskiem generalnego namiestnika królestwa, jest dożywotnia. Ale czyż jest nienaruszalna godność wielkiego marszałka, w którą także się przybrałeś? Taka jest opinia jego królewskiej mości, który odbiera ci to stanowisko, panie, i przyznaje je mnie, który nie mam żadnego.

— Tym lepiej! — odpowiedział konetabl zgrzytając zębami. — Czy to już wszystko, panie?

— Ależ tak, myślę, że tak — rzekł diuk de Guise siadając w fotelu.

Konetabl czuł, że trudno by mu było dłużej powstrzymywać wściekłość, że mógłby wybuchnąć, uchybić w respekcie dla króla, wtedy nie tylko utraciłby łaskę, ale stałby się rebeliantem… Nie chciał sprawić takiej uciechy swemu triumfującemu wrogowi. Krótko pożegnał się i miał odejść.

Jednak zanim odszedł, rzekł, jakby zmieniając zdanie:

— Najjaśniejszy Panie, jeszcze jedno słowo, ostatni obowiązek, jaki mi przypada wypełnić względem twego znakomitego ojca. Człowiek, który wymierzył śmiertelny cios, sprawcą rozpaczy nas wszystkich, był nie tylko niezręczny, Sire. Mam podstawy tak sądzić. W tym wypadku, który pociągnął za sobą śmierć, odegrała wedle mnie rolę zbrodnicza intencja. Mężczyzna, którego oskarżam, czuł się obrażony przez króla. Wasza Królewska Mość z pewnością nakaże surowe śledztwo w tej sprawie…

Diuk de Guise zadrżał słysząc formalne oskarżenie, tak niebezpieczne dla Gabriela. Tym razem Katarzyna de Medici podjęła się Odpowiedzi. Rzekła do konetabla:

— Powinieneś wiedzieć, panie, że nie potrzeba twojej interwencji, aby zwracać uwagę na taki czyn osobom, dla których nie mniej cenne było życie króla, tak okrutnie przerwane. Ja, wdowa po Hen — ryku II, nikomu nie mogę pozwolić na inicjatywę w tej sprawie — Bądź więc spokojny, panie, za bardzo się pośpieszyłeś w swojej troskliwości. Możesz odejść spokojny pod tym względem.

— Zatem nie mam już nic do dodania — rzekł konetabl.

Nawet mu nie pozwolono zaspokoić osobiście głębokiej urazy do hrabiego de Montgomery i uchodzić za oskarżyciela winowajcy oraz mściciela swego pana.

Dławiąc się z wściekłości i wstydu wyszedł zrozpaczony.

Tego samego dnia wieczorem odjechał do swej posiadłości Chantilly.

Tego samego dnia pani de Valentinois rozstała się także z Luwrem, gdzie królowała bardziej władczo od królowej. Wyjechała na wygnanie do posępnego, dalekiego zamku Chaumont nad Loarą, skąd już nie wróciła przed śmiercią.

W stosunku do Diany de Poitiers Gabriel zemścił się całkowicie. Była faworyta ze swej strony żywiła straszliwą chęć zemsty na Gabrielu, który pozbawił ją możnowładztwa.

Z konetablem hrabia de Montgomery jeszcze nie skończył. Miał go pewnego dnia odnaleźć i uzyskać — rewanż.

Ale nie uprzedzajmy zdarzeń i powróćmy czym prędzej do Luwru, gdzie zaanonsowano posłów parlamentu Franciszkowi II.

XXXII. ZMIANA TEMPERATURY

Zgodnie z życzeniem wypowiedzianym przez Katarzynę de Medici posłowie parlamentu zastali w Luwrze najbardziej jednomyślną zgodę. Franciszek II z małżonką po prawej ręce, a matką po lewej przedstawił im diuka de Guise jako generalnego namiestnika królestwa, kardynała de Lorraine jako superintendenta finansów, a Franciszka Olivier jako strażnika pieczęci. Pokiereszowany triumfował, królowa matka uśmiechała się triumfalnie, wszystko szło jak najlepiej. Żadna oznaka braku porozumienia nie zakłócała pomyślnych wróżb dla panowania, które zapowiadało się tak długotrwałe jak szczęśliwe.

Jeden z radców parlamentu uważał, że idea wspaniałomyślności była na czasie wśród ogólnego szczęścia;. Przechodząc przed królem zawołał ze środka grupy:

— Łaski dla Annasza Dubourg!

Ale ów radca zapomniał, jakim gorliwym katolikiem był nowy minister. Diuk de Guise wedle swego zwyczaju udał, że źle usłyszał, i nawet bez porozumienia się z królową matką, bowiem był pewny jej zgody, odpowiedział głośno i stanowczo:

— Tak, panowie, proces Annasza Dubourg i jego współoskarżonych wkrótce się odbędzie i szybko się zakończy, bądźcie spokojni!

Usłyszawszy takie zapewnienie, członkowie parlamentu opuścili Luwr, jedni smutni, inni weseli, zależnie od podzielanych opinii, ale wszyscy nabrali przekonania, że nigdy rządzący nie byli bardziej jednomyślni i zadowoleni jedni z drugich jak ci, którym przyszli się pokłonić.

Po ich odejściu w rzeczy samej diuk de Guise ujrzał na ustach Katarzyny de Medici uśmiech. Za każdym razem, kiedy na niego spoglądała, uśmiech się powtarzał i stał się już stereotypowy.

Franciszek II poczuł się zmęczony obowiązkami reprezentacji.

— Mam nadzieję, że już dosyć na dzisiaj tych spraw i ceremonii. Matko, wuju, czy nie moglibyśmy w najbliższych dniach opuścić Paryża i spędzić czas naszej żałoby do końca na przykład w Blois, nad brzegiem Loary, którą Maria tak lubi? Czyż nie możemy? Powiedzcie.

— Och, starajcie się, żeby to było możliwe — rzekła Maria Stuart. — W takie piękne dni letnie Paryż jest męczący, a pola i łąki takie przyjemne!

— Pan de Guise to rozpatrzy — rzekła Katarzyna — ale na dzisiaj twój obowiązek jeszcze się nie skończył? Zanim się udasz na wypoczynek, proszę cię jeszcze o pół godziny, bo pozostaje ci do wypełnienia święty obowiązek.

— Jaki, matko? — spytał Franciszek.

— Obowiązek sędziego, Sire. Obowiązek, w spełnieniu którego pan konetabl wyobrażał sobie, że mnie wyprzedzi. Ale poczucie sprawiedliwości u małżonki jest bardziej skore do satysfakcji niż u przyjaciela.

Co chce powiedzieć? — pytał siebie zaalarmowany diuk de Guise.

— Najjaśniejszy Panie, twój dostojny ojciec zmarł śmiercią gwałtowną. Człowiek, który go ugodził, nie wiadomo, czy uczynił to nieszczęśliwym przypadkiem, czy też jest winowajcą. Przechylam się raczej do drugiego przypuszczenia. W każdym razie należy rozpatrzyć sprawę. Jeśli zaakceptujemy obojętnie taki zamach stanu, nie zadając sobie nawet trudu z postawieniem pytania, czy był to akt zamierzony czy nie, jakież niebezpieczeństwa czyhałyby na królów, na ciebie w pierwszym rzędzie! Sire, śledztwo w sprawie z dnia 30 czerwca, którą nazywamy „wypadkiem", jest konieczne.

Diuk de Guise rzekł na to:

— Ależ wtedy zgodnie z twoim zdaniem, Madame, należałoby natychmiast zatrzymać pana de

Montgomery jako podejrzanego o królobójstwo.

— Pan de Montgomery jest aresztowany od rana — odpowiedziała Katarzyna.

— Aresztowany? Na czyj rozkaz? — zawołał diuk de Guise.

— Na mój — odpowiedziała królowa matka. — Jeszcze nie była ustanowiona żadna władza wtedy. Wzięłam na siebie rozkaz. Pan de Montgomery mógłby w każdej chwili uciec, było pilne temu zapobiec. Został przyprowadzony do Luwru bez hałasu i skandalu. Proszę, synu, żebyś go — przesłuchał.

Nie czekając na przyzwolenie uderzyła w dzwonek, aby wezwać odźwiernego. Uczyniła tak samo jak diuk de Guise dwie godziny wcześniej.

Tym razem diuk zmarszczył brwi. Zanosiło się na burzę.

— Przyprowadzić więźnia — rozkazała Katarzyna, kiedy zjawił się odźwierny.

Kiedy wyszedł, zapanowało kłopotliwe milczenie. Król wydawał się niezdecydowany, Maria Stuart zaniepokojona, diuk de Guise niezadowolony. Królowa matka jedyna okazywała godność i pewność siebie.

Diuk de Guise wypowiedział tylko jedno zwykłe zdanie:

— Wydaje mi się, że gdyby pan de Montgomery chciał uciec, nie było nic łatwiejszego jak uczynić to dwa tygodnie temu.

Katarzyna nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż w tej chwili wprowadzono Gabriela.

Był blady, ale spokojny. Dzisiaj rano o wczesnej godzinie czterech giermków przyszło po niego do pałacyku ku wielkiemu przerażeniu Alojzy. Poszedł za nimi bez żadnego oporu. Od tego czasu czekał bez okazywania niepokoju.

Kiedy Gabriel wszedł pewnym krokiem ze spokojną twarzą, młody król to bladł, to czerwieniał, bądź z emocji, że ujrzał rycerza, który ugodził jego ojca, bądź też ze strachu, że po raz pierwszy ma wypełnić obowiązek sędziego, o co go prosiła matka. W rzeczy samej najstraszliwszy to obowiązek, jaki Najwyższy nałożył na króla.

Ledwie słyszalnym głosem zwrócił się do Katarzyny:

— Na ciebie kolej mówić, Madame.

Katarzyna natychmiast po przyzwoleniu poczuła się pewna swej wszechwładzy, swego wpływu na Franciszka II i jego ministra. Zwróciła się przeto do Gabriela wyniosłym i mentorskim tonem:

— Panie, postanowiliśmy kazać ci stanąć przed jego królewską mością, aby osobiście zadać ci pytanie. Jeśli uznamy cię za niewinnego, nie będziemy żądali żadnego zadośćuczynienia. Jeśli zaś uznamy cię za winnego, niech wymiar sprawiedliwości będzie jak najgłośniejszy. Niecodzienne zbrodnie wymagają niecodziennych sędziów. Czy jesteś gotów nam odpowiadać na pytania, panie?

— Jestem gotów cię wysłuchać, Madame.

Katarzynę raczej rozgniewał niż przekonał spokój znienawidzonego mężczyzny, znienawidzonego jeszcze wcześniej, zanim została wdową. Nienawidziła go tak silnie, jak poprzednio go miłowała.

Mówiła ze smutkiem, ale obraźliwym tonem:

— Dziwny zbieg okoliczności gromadzi się przeciwko tobie i skarżą cię: długa nieobecność w Paryżu, dobrowolne uchylanie się od przebywania na królewskim dworze już od dwóch lat, twoja obecność i tajemnicze zachowanie się podczas fatalnego turnieju, nawet twoja odmowa wejścia w szranki z królem. Jak to się stało, że ty, przyzwyczajony do zapasów i władania bronią, nie zachowałeś należytej ostrożności i nie odrzuciłeś przed powrotem drzewca włóczni? Czym wytłumaczysz to niezwykłe zapomnienie? Odpowiedz wreszcie. Co masz do powiedzenia o tym?

— Nic, Madame — rzekł Gabriel.

— Nic? — powtórzyła zdziwiona królowa matka.

— Nic absolutnie

— Jak to? A więc przyznajesz się?

— Do niczego się nie przyznaję, Madame.

— A więc zaprzeczasz?

— Ani też nie zaprzeczam. Po prostu milczę.

Maria Stuart uczyniła gest aprobaty. Franciszek II słuchał i patrzył z pewnego rodzaju podziwem. Diuk de Guise milczał i siedział nieruchomo.

Katarzyna mówiła tonem coraz ostrzejszym:

— Miej się na baczności, panie! Może by było lepiej, gdybyś się bronił i usprawiedliwiał! Dowiedz się jednego: pan de Montmorency twierdzi, że wedle jego rozeznania czułeś do króla pewną urazę, miałeś osobiste motywy wrogości. A pan de Montmorency w razie potrzeby będzie stawał jako świadek.

— Jakie motywy, Madame? Czy pan de Montmorency powiedział jakie?

— Jeszcze nie, ale z pewnością je wyjawi.

— Dobrze! Niech powie, jeśli się ośmieli! — odpowiedział dumnie Gabriel ze spokojem i uśmiechem.

— A zatem całkowicie odmawiasz odpowiedzi? — nastawała Katarzyna.

— Odmawiam.

— Czy wiesz, że tortury byłyby słuszne przy takim dumnym milczeniu?

— Nie przypuszczam, Madame.

— Uprzedzam cię, że w taki sposób narażasz własne życie.

— Nie broniłbym go, Madame. Już nie warto.

— Czy powziąłeś na pewno taką decyzję? Ani jednego słowa?

— Ani jednego, Madame — odpowiedział Gabriel czyniąc gest przeczenia głową.

— To dobrze! Bardzo dobrze! — rzekła Maria Stuart w nieodpartym porywie. — To wielkie i szlachetne, że milczy! Tak postępuje rycerz, który nawet nie chce odeprzeć podejrzenia z obawy, żeby owo podejrzenie go nie splamiło! Ja twierdzę, że takie milczenie jest bardziej wymowne od usprawiedliwień.

Tymczasem stara królowa patrzyła na młodą królową z surową i rozgniewaną miną. Maria Stuart mówiła:

— Tak, może nie powinnam tak mówić, ale tak czuję i myślę. Nigdy serce nie potrafi nakazać ustom milczenia. Moje wrażenia i przeżycia muszą wyjść na światło dzienne. Instynkt jest dla mnie motywem polityki. Instynkt głośno mi mówi, że pan d'Exmès nie uknuł na zimno i nie popełnił świadomie takiej zbrodni, że był jedynie ślepym narzędziem losu, że czuje się wyższy ponad wszelkie podejrzenia, że gardzi usprawiedliwianiem się. Mój instynkt krzyczy o tym we mnie, więc i ja krzyczę głośno. Dlaczego nie?

Młody król patrzył z miłością i zadowoleniem na swą najmilszą, jak ją nazywał. Jej sposób wyrażania się z taką elokwencją, z takim ożywieniem czyniły ją stokroć ładniejszą niż zwykle.

Gabriel rzekł głęboko wzruszonym głosem:

— Dzięki ci, Madame, dzięki! Dobrze czynisz! Nie ze względu na mnie, ale na siebie samą dobrze czynisz, że tak postępujesz!

— Wiem o tym dobrze! — odpowiedziała Maria najmilszym tonem, jaki można wymarzyć.

— Czy skończyliśmy wreszcie z dziecinnymi sentymentami? — krzyknęła zirytowana Katarzyna.

— Nie, Madame — odrzekła Maria Stuart zraniona w swej miłości własnej jako młoda kobieta i młoda królowa. — Nie, jeśli ty już skończyłaś z dzieciństwami, to my na szczęście

jesteśmy młodzi, i dopiero zaczynamy. Czy nieprawda, mój słodki Sire? — spytała zwracając się z wdziękiem do młodego małżonka.

Król nic nie odpowiedział, ale pocałował po kolei wszystkie różowe paluszki podanej przez Marię rączki.

Dotąd powstrzymywana złość Katarzyny teraz wybuchła. Nie mogła się przyzwyczaić do traktowania jak króla swego syna, prawie dziecko, co więcej, spodziewała się silnego poparcia ze strony diuka de Guise, który dotąd się nie wypowiedział. Nie wiedziała, że jest on oddanym protektorem i można by rzec, cichym wspólnikiem hrabiego de Montgomery. Ośmieliła się przeto otwarcie wybuchnąć złością.

— Ach, więc to tak! — rzekła w odpowiedzi na ostatnie lekko drwiące słowa Marii. — Domagam się swego prawa, a ze mnie się wyśmiewają! Żądam całkiem umiarkowanie, żeby morderca Henryka II był przynajmniej przesłuchany. Kiedy on odmawia i nie chce się usprawiedliwiać, aprobuje się jego milczenie, co więcej, pochwala się je! Dobrze! Skoro sprawy tak się toczą, koniec z tchórzliwą rezerwą i półśrodkami. Ogłaszam się otwarcie oskarżycielką hrabiego de Montgomery. Czy król odmówi wymiaru sprawiedliwości swej matce? Dlatego, że jest jego matką? Trzeba przesłuchać konetabla, jeśli zajdzie potrzeba, wysłucha się pani de Poitiers! Prawda wyjdzie na światło dzienne. Jeśli Państwo ma jakieś kompromitujące tajemnice w tym względzie, będziemy sądzić tajnie i tajnie uzyskamy skazanie. Przynajmniej śmierć króla, zdradziecko zamordowanego w obecności całego narodu, będzie pomszczona.

Podczas wystąpienia oskarżycielskiego królowej matki smutny i zrezygnowany uśmiech błąkał się po wargach Gabriela.

Przypomniał sobie dwa ostatnie wiersze przepowiedni Nostradamusa

Choć miłuje, na śmierć go wyprawi
Dama króla.

Przepowiednia dotychczas tak dokładnie spełniona, wypełni się do końca! Katarzyna każe skazać i zgubi mężczyznę, którego pokochała! Gabriel na to czekał, był gotów!

Tymczasem florentynka, może sama osądzając, że posunęła się za daleko, w pewnej chwili umilkła i zwróciła się z miłą uprzejmością do milczącego ciągle diuka de Guise.

— Ale ty nic nie mówisz, panie de Guise. Podzielasz moje zdanie, nieprawdaż?

— Nie, Madame — powoli odpowiedział Pokiereszowany. — Nie, nie podzielam twego zdania, oświadczam to, i dlatego właśnie nic nie mówiłem.

— Ach i ty także! I ty także stajesz przeciwko mnie! — odpowiedziała Katarzyna głuchym głosem pełnym groźby.

— Tym razem żałuję, Madame — rzekł diuk de Guise. — Widziałaś przecie, że dotychczas byłem po twojej stronie w tym, co dotyczyło konetabla i pani de Valentinois, całkowicie wnikałem w twój punkt widzenia.

— Tak, ponieważ to służyło twoim planom — wyszeptała Katarzyna. — Widzę to dopiero teraz i za późno

— Jeśli chodzi o pana de Montgomery, nie mogę w swym sumieniu podzielać twoich uczuć, Madame. Wydaje mi się, że nie sposób czynić odpowiedzialnym za całkiem przypadkowe zajście dzielnego i lojalnego rycerza. Proces przyniósłby mu triumf, a dla jego oskarżycieli jeno wstyd. Wedle ciebie, Madame, życie królów jest narażone na niebezpieczeństwo. Nie zaszkodzi pobłażanie, które jest skłonne raczej wierzyć w nieszczęśliwy wypadek niż w zbrodnię. Uważam wprost przeciwnie, że byłoby niebezpieczne przyzwyczajać naród do myśli, że życie królów nie jest nienaruszalne i święte do tego stopnia, jak się uważa…

— Co za wzniosłe maksymy polityczne! — odpowiedziała z goryczą Katarzyna.

— Szanuję je jako prawdziwe i sensowne, Madame — dodał diuk. — Z tych wszystkich względów i jeszcze z innych jestem takiego zdania, że pozostaje nam tylko przeprosić pana de Montgomery za samowolne aresztowanie, które na szczęście pozostało w sekrecie. Na szczęście raczej dla nas niż dla niego! Kiedy przyjmie nasze przeprosiny, musimy mu zwrócić wolność, by powrócił godny czci i czczony tak jak wczoraj, jak będzie szanowany jutro i zawsze. Powiedziałem.

— Wspaniale! — szydziła Katarzyna. Szorstko zwróciła się do młodego króla:

— Zobaczymy, jakie jest twoje zdanie. Czy przypadkiem nie jest takie samo, mój synu?

Postawa Marii Stuart, która spojrzeniem i uśmiechem dziękowała diukowi de Guise, nie pozostawiła wątpliwości w umyśle Franciszka II.

— Tak, matko, przyznaję, że opinia wuja jest także moją.

— Tak więc zdradzasz pamięć swego ojca? — zarzuciła Katarzyna drżącym głosem.

— Wprost przeciwnie Madame, respektuję ją — odpowiedział Franciszek II. — Pierwsze słowa ojca po zranieniu brzmiały, żeby nie niepokoić pana de Montgomery. Prosił o to, żądał! Czyż nie tak było? Czyż w przebłyskach świadomości podczas agonii nie powtarzał swej prośby albo raczej rozkazu w tej sprawie? Pozwól, Madame, że jako syn będę mu posłuszny.

— A lekceważysz sobie tymczasem zaraz na początku świętą wolę swej matki!

— Madame — przerwał jej diuk de Guise — pozwól, że ci przypomnę twoje własne słowa: Jedna wola ma rządzić w Państwie!

— Ale rzekłam też, że woła ministra idzie dopiero po woli króla! — zawołała Katarzyna.

— Tak, Madame — wtrąciła się Maria Stuart. — Dodałaś jednak, że wola króla może być oświetlana przez osoby, których celem jest jedynie jego dobro i chwała. Chyba nikt więcej ode mnie, jego małżonki, nie ma tego na względzie. Radzę mu razem z wujem de Guise, by wierzył raczej w prawość niż w perfidię zasłużonego, walecznego poddanego i żeby nie zaczynał rządzenia od popełnienia niesprawiedliwości.

— Poddajesz się takim sugestiom, mój synu — rzekła jeszcze Katarzyna.

— Słucham głosu swego sumienia, matko — odpowiedział król z taką stanowczością, jakiej się po nim nie spodziewano.

— Czy to twoje ostatnie słowo, Franciszku? Miej się na baczności! Jeśli odmawiasz własnej matce spełnienia jej pierwszej prośby i stajesz wobec niej w opozycji jako niezależny władca, a wobec innych jesteś uległym narzędziem, rządź sobie sam, z wiernymi ministrami lub bez nich! Nie będę się zajmowała niczym, co dotyczy króla lub królestwa. Pozbawiam cię swoich rad, opartych na doświadczeniu i ofiarności. Powracam do swego azylu, opuszczam cię, mój synu. Zastanów się nad tym! Zastanów!

— Będziemy nad tym ubolewali, ale zrezygnujemy — wyszeptała Maria Stuart tak cicho, żeby tylko Franciszek ją słyszał.

— Będziemy nad tym ubolewali, ale zrezygnujemy — jak echo powtórzył głośno za Marią zakochany, nierozważny małżonek król.

— Dobrze! — tyle tylko odrzekła Katarzyna. Dodała po cichu wskazując na Gabriela:

— Odnajdę go wcześniej czy później.

— Wiem, Madame — odpowiedział młody rycerz myśląc o przepowiedni.

Ale Katarzyna już tego nie usłyszała.

Ze wściekłością ogarnęła swym krwawym, strasznym, żmijowatym spojrzeniem uroczą młodą parę i diuka de Guise. Było to fatalne spojrzenie, na jego podstawie można było przeczuć wszystkie następne zbrodnie wywołane ambicją Katarzyny, całą posępną historię ostatnich potomków rodu de Valois.

Z piorunującym wzrokiem wyszła bez słowa.

XXXIII. DIUK DE GUISE I ADMIRAŁ DE COLIGNY

Po wyjściu Katarzyny de Medici nastała chwila milczenia. Młody król wydawał się sam sobie zdziwiony własną śmiałością. Maria działająca z delikatną intuicją czułości rozmyślała z pewnego rodzaju przerażeniem o ostatnim, pełnym groźby spojrzeniu królowej matki. Diuk de Guise czuł się w głębi duszy zachwycony tym, że w pierwszej godzinie swej władzy pozbył się ambitnej a niebezpiecznej sojuszniczki.

Gabriel, który spowodował całe to zamieszanie pierwszy zabrał głos:

— Najjaśniejszy Panie, Madame i ty także, Wasza Wysokość, zechciejcie przyjąć moje podziękowania za dobre, szlachetne intencje względem nieszczęśnika, którego Bóg opuścił. Mimo głębokiej wdzięczności, jaką jest przejęte moje serce dla wąs, mówię: po co odsuwać niebezpieczeństwa i śmierć od tak smutnego, straconego życia jak moje? Życie moje nie przyda się już na nic nikomu, nawet mnie samemu. Nie kłóciłbym się z madame Katarzyną, bo to zbędne…

W myśli dodał smutno: Ponieważ może to kiedyś wam zaszkodzić.

— Gabrielu — rzekł diuk de Guise — twoje życie było chwalebne i zasłużone w przeszłości, będzie jeszcze lepiej wypełnione i zaszczytniejsze w przyszłości. Jesteś mężem czynu, jakich trzeba by wielu do rządzenia mocarstwami, a mało ich ma twoją energię.

— A poza tym — dodała łagodnym, pocieszającym głosem Maria Stuart — poza tym jesteś, panie de Montgomery wielkim i szlachetnym sercem. Od dawna cię znam i często o tobie rozmawiałyśmy z panią de Castro.

— Wreszcie twoja poprzednia służba upoważnia mnie do liczenia na twe przyszłe usługi — rzekł Franciszek II. — Obecnie wojny ustały, ale mogą na nowo rozgorzeć i nie chcę, aby jakiś moment rozpaczy, bez względu na motyw, pozbawił ojczyznę na zawsze obrońcy tak prawego, jak jest waleczny, o czym jestem przekonany.

Z melancholią i zdziwieniem Gabriel słuchał poważnie dobrych słów zachęty i nadziei. Spoglądał po kolei na każdą z wysokich osobistości, od których je słyszał, i głęboko je rozważał.

— A więc tak — rzekł w końcu. — Nieoczekiwana dobroć, jaką mi okazujecie wy wszyscy, którzy moglibyście mnie nienawidzić, zmienia moją, duszę i moje przeznaczenie. Muszę rzec tobie, Sire, tobie, Madame, i tobie, Wasza Wysokość, którzy mi ofiarowujecie dar życia: nie jestem zły! Nie urodziłem się zły! Wasze dobrodziejstwo wzrusza mnie do głębi serca. Urodziłem się po to, żeby się poświęcać, być oddanym, żeby służyć pięknym ideom i wielkim ludziom za narzędzie. Narzędzie niekiedy szczęśliwe, niekiedy fatalne. Niestety! Gniew Boży wie o tym najlepiej! Nie mówmy już o żałobnej przeszłości, ponieważ chcecie, bym wierzył w przyszłość. Należy ona nie do mnie, ale do was, zgodnie z moim podziwem i przekonaniami. Zrzekam się własnej woli. Niech istoty i rzeczy, w które wierzę, uczynią ze mną, co zechcą. Moja szpada, krew, śmierć wszystko, czym jestem, należy do nich. Oddaję bez zastrzeżeń i bezzwrotnie swoje ramię twojemu geniuszowi, Wasza Wysokość, a duszę religii…

Nie dokończył jakiej. Ale ci, którzy go słuchali, byli zbyt zaślepionymi katolikami, aby myśl o reformie komukolwiek choć na chwilę przyszła do głowy.

Wzruszyło ich elokwentne samozaparcie młodego hrabiego. Maria miała łzy w oczach, król winszował sobie samemu, że był stanowczy i przez to zdobył wdzięczne serce. Diuk de Guise zdawał się wiedzieć lepiej od innych, jak daleko zdoła się posunąć Gabriel w żarliwej cnocie poświęcenia. Rzekł do niego:

— Tak, przyjacielu, będziesz mi potrzebny. Upomnę się pewnego dnia w imię Francji i króla

o dzielną szpadę, którą nam obiecujesz.

— Będzie ona gotowa jutro, dzisiaj, zawsze, Wasza Wysokość.

— Zatrzymaj ją na czas jakiś w pochwie — rzekł diuk de Guise. — Jego królewska mość już ci powiedział, że czasy są spokojne, po wojnach nastąpił rozejm. Odpoczywaj zatem, Gabrielu, i pozwól, niech ucichnie owa żałobna wrzawa, jaka otaczała w ostatnich dniach twoje imię. Jest rzeczą pewną, że nikt z utytułowanych i nikt z rycerzy nie myśli cię oskarżać z powodu nieszczęścia. Prawdziwa twa, sława wymaga, żeby ów okrutny rozgłos trochę przycichł. Później, za rok lub dwa poproszę króla o tytuł kapitana gwardii znów dla ciebie, bo nie przestałeś być jego godny.

— Nie pragnę bynajmniej zaszczytów, ale okazji, by być użytecznym królowi i Francji, okazji do walki, nie ośmielam się już rzec, żebym się nie wydał niewdzięczny, okazji, aby zginąć.

— Nie mów tak, Gabrielu — odpowiedział Pokiereszowany. — Oznajmij jedynie, że stawisz się natychmiast na wezwanie, kiedy król cię powoła do walki z wrogami.

— Gdziekolwiek będę, kiedy trzeba będzie się stawić, tak, Wasza Wysokość.

— Dobrze, niczego więcej nie żądam.

— A ja dziękuję ci za obietnicę — rzekł Franciszek II. — Tak postąpię, żebyś nie żałował, że jej dotrzymałeś.

— I ja cię zapewniam, że nasze zaufanie zawsze będzie odpowiadało twemu oddaniu — dodała Maria Stuart. — Będziesz dla nas jednym z przyjaciół, przed którymi niczego nie ukrywamy i którym niczego się nie odmawia.

Młody hrabia, bardziej wzruszony, niż chciałby się przyznać przed sobą samym, schylił się w ukłonie i z respektem dotknął wargami ręki podsuniętej przez królową.

Następnie uścisnął dłoń diuka de Guise i pożegnany życzliwym gestem króla odszedł, zdobyty dobrocią syna, chociaż ojcu zaprzysiągł ściganie go zemstą w następnych pokoleniach.

Gdy Gabriel powrócił do domu, zastał admirała de Coligny, który czekał na niego.

Admirał przyszedł odwiedzić dawnego towarzysza z Saint–Quentin. Alojza go powiadomiła, że wezwano rano jej pana do Luwru. Podzieliła się z nim swym niepokojem, wtedy Coligny postanowił pozostać i czekać na powrót — hrabiego de — Montgomery. Pocieszał niańkę i sam chciał się upewnić co do losu Gabriela.

Powitał go z wylewnością i wypytywał, co się stało.

Gabriel nie wchodził w żadne szczegóły. Powiedział jedynie, że kiedy dał zwykłe wyjaśnienie co do godnej pożałowania śmierci Henryka II, zwolniono go, nietkniętego na czci i osobie.

— Nie mogło być inaczej — rzekł admirał — całe rycerstwo Francji zaprotestowałoby przeciw podejrzeniu plamiącemu jednego z jego najgodniejszych przedstawicieli.

— Dajmy spokój temu tematowi — rzekł Gabriel z uczuciem skrępowania i smutku. — Miło mi ciebie widzieć, panie admirale. Wiesz, że już wcześniej należałem sercem do religii zreformowanej. Mówiłem ci to i pisałem. Skoro uważasz, że nie przyniosę ujmy sprawie, w którą wierzę, chcą i mogę dzisiaj wyrzec się starej wiary. Rozmowy z tobą mistrzem Paré, książki i moje własne refleksje całkiem mnie przekonały. Należę do was.

— Dobra nowina w odpowiedniej chwili — rzekł admirał.

— Wydaje mi się jednak, że w interesie samej religii byłoby może dobrze utrzymać w tajemnicy przez czas jakiś moje nawrócenie. Dopiero co mówił mi o tym pan de Guise, żebym unikał wszelkiego rozgłosu dla mego nazwiska. Zresztą taka zwłoka pozostanie w zgodzie z nowymi obowiązkami, które będę musiał wypełniać.

— Zawsze będziemy dumni nazwać cię oficjalnie jednym z naszych — oświadczył admirał.

— Ale do mnie będzie należało odmówić lub odwlec ową cenną oznakę waszego poważania — odpowiedział Gabriel. — Zależy mi na tym, żebym dał taką rękojmię mej wewnętrznej i

niezłomnej wierze i mógł sobie rzec w sumieniu, że jestem jednym z waszych braci przez intencje i czyny.

— Wspaniale — rzekł pan de Coligny. — Proszę cię jedynie, abyś pozwolił mi oznajmić przywódcom stronnictwa, że nasze idee odniosły tak znaczny sukces.

— Och, zgadzam się z całego serca.

— Toteż książę de Condé, La Renaudie, baron de Castelnau już cię znają i cenią odpowiednio do twej wartości.

— Niestety, obawiam się, że przesadzają: wartość nie jest zbyt wysoka.

— Nie, nie — odpowiedział de Coligny — słusznie na nią liczą. Ja także cię znam! Zresztą może wkrótce będziemy mieli okazję wystawić na próbę twój zapał — dodał ściszając głos.

— Doprawdy? Wiesz, panie admirale, że możesz liczyć na mnie. Jednak z pewnymi zastrzeżeniami na razie, zaraz je poznasz.

— Któż ich nie ma? — odpowiedział admirał. — Ale słuchaj, Gabrielu. Dzisiaj złożył ci wizytę nie tylko przyjaciel, ale i kalwinista. Rozmawiałem o tobie z księciem i z La Renaudie. Nawet przedtem, zanim zdecydowanie przyznałeś rację naszym zasadom, uważaliśmy ciebie za sojusznika o szczególnych zasługach i niepodważalnej uczciwości. Każdy z nas ze swej strony przyznał, że należy cię uważać za męża zdolnego nam służyć, jeśli będziesz mógł, a niezdolnego do zdradzenia nas bez względu na to, co się zdarzy.

— Mam ową ostatnią zaletę w rzeczy samej — przyznał Gabriel ale brak mi pierwszej. Zawsze można pokładać ufność jeśli nie w moją pomoc, to na pewno w moje słowo.

— Także postanowiliśmy nigdy nie mieć przed tobą tajemnic. Jako jeden z przywódców będziesz wtajemniczony we wszystkie nasze plany i będziesz odpowiedzialny jedynie za milczenie. Nie jesteś takim jak inni, a wobec ludzi wyjątkowych trzeba wyjątkowo postępować. Pozostaniesz wolny, a jedynie my będziemy związani…

— Tyle zaufania! — rzekł Gabriel.

— Zobowiązuje ciebie jedynie do dyskrecji, powtarzam ci to. Na początek dowiedz się jednego: projekty ujawnione na zebraniu przy placu Maubert, które musiały się odwlec, dzisiaj zostaną wykonane. Słabość młodego króla, zuchwałość rodu de Guise, idee prześladowań, których już się nie ukrywa, zmuszają nas do działania. Będziemy działali…

— Wybacz, panie — przerwał mu Gabriel. — Rzekłem ci już, panie admirale, że oddaję się wam tylko do pewnych granic. Zanim posuniesz się dalej w swoich konfidencjach, muszę ci oznajmić, że nie obchodzi mnie nic, co dotyczy politycznej strony reformy, przynajmniej do czasu trwania panowania, które się rozpoczęło. Dla propagandy naszych idei i wpływu moralnego ofiarowuję chętnie całą mą fortunę, czas i życie, ale nie mam prawa widzieć w reformie partii politycznej, a jedynie religijną. Franciszek II, Maria Stuart i diuk de Guise postąpili ze mną wspaniałomyślnie i wzniosie. Nie zawiodę ich zaufania, tak samo jak i twojego. Pozwól mi powstrzymać się od działania i zajmować się jedynie ideą. Żądaj dowodu, kiedy zechcesz, ale zachowuję niezależność mej szpady.

Pan de Coligny rozmyślał przez minutę, wreszcie rzekł:

— Nie rzucałem słów na wiatr, Gabrielu. Jesteś i będziesz zawsze wolny. Idź sam swoją drogą, jeśli ci to odpowiada. Działaj bez nas lub w ogóle nie działaj. Nie będziemy żądali, żebyś nam zdawał rachunek. Wiemy — dodał ze znaczącą miną — że to twój sposób bycia, nie chcesz ani sprzymierzeńców, ani doradców.

— Co chcesz przez to wyrazić, panie? — spytał zdziwiony Gabriel.

— Pojmuję. W chwili obecnej prosisz, żeby cię nie mieszać w nasze spiski przeciw władzy królewskiej. Zgoda! Nasza rola ograniczy się do powiadamiania cię o naszych ruchach i projektach. Idź z nami lub pozostań na uboczu, ciebie to tylko obchodzi. Dowiesz się, będziesz

się dowiadywał stale bądź z listu, bądź od posłańca, kiedy i jak potrzebowali będziemy ciebie, a potem postąpisz, jak ci się wyda słuszne. Jeśli przybędziesz, mile cię powitamy. Jeśli się wstrzymasz, nikt ci nie uczyni wymówki. Tak zostało ustalone w gronie przywódców stronnictwa wcześniej, zanim mnie uprzedziłeś o swym stanowisku. Wydaje mi się, że możesz przyjąć takie warunki.

— Toteż je przyjmuję i dziękuję — odpowiedział Gabriel.

Gdy nadeszła noc po owym dniu, Gabriel klęczał pod żałobnym sklepieniem hrabiów de Montgomery, przed grobowcem ojca i mówił tak do drogiego zmarłego:

— Mój ojcze! Oczywiście, że przysiągłem nie tylko ukarać twego mordercę odbierając mu życie, ale także niszczyć go w dalszych pokoleniach. Oczywiście, mój ojcze, oczywiście. Nie przewidziałem jednak tego, co zajdzie. Czyż nie ma świętszych obowiązków nad przysięgę? Jakie zobowiązanie może cię zmusić do ugodzenia w przeciwnika, który ci wkłada szpadę do ręki i nadstawia nagą pierś pod ciosy? Gdybyś żył, ojcze, jestem pewny, że poradziłbyś mi odłożyć gniew na później i nie odpowiadać zdradą na zaufanie. Wybacz mi przeto jako zmarły to, co sam doradziłbyś mi, gdybyś żył. Zresztą coś mi mówi, że zemsta nie na długo zostanie zawieszona. Tam, u góry wiesz to, co my tu, na dole, zaledwie przeczuwamy. Bladość wątłego króla, pełne groźby spojrzenie jego matki, przepowie dnie dotąd wiernie się sprawdzające, które skazują me życie na zagładę z powodu urazy niewiasty, uknute już spiski przeciw panowaniu, które zaledwie wczoraj się rozpoczęło, wszystko to dowodzi, że prawdopodobnie szesnastoletni młodzieniaszek będzie królował krócej od czterdziestoletniego mężczyzny. Wkrótce będę mógł, ojcze, podjąć na nowo swój Obowiązek i wypełnić przysięgę ekspiacyjną za panowania następnego syna Henryka II.

XXXIV. RAPORTY I DONOSY

Minęło siedem lub osiem miesięcy bez większych wydarzeń dla bohaterów tej książki i postaci historycznych. Ale w tym czasie przygotowywano wydarzenia większej wagi.

Aby je poznać na bieżąco, musimy się przenieść w dniu 25 lutego 1560 roku w miejsce słusznie uznane jako najwłaściwsze, aby się tam dowiedzieć nowin, a mianowicie do gabinetu pana — namiestnika policji, którym w owym czasie był pan de Braguelonne.

A zatem wieczorem 25 lutego 1560 roku pan de Braguelonne, nonszalancko siedząc w dużym fotelu obitym kurdybanem, słuchał raportu mistrza Arpion, jednego ze swych sekretarzy.

Mistrz Arpion czytał:

„Dzisiejszego dnia znany złodziej Gilles Rose został aresztowany w wielkiej sali pałacowej za odcięcie końca pasa ozdobionego złotem kanonikowi z Sainte–Chapelle".

— Kanonikowi z Sainte–Chapelle! No wiecie! — wykrzyknął pan de Braguelonne.

— To wielce bezbożne! — zauważył mistrz Arpion.

— I bardzo zręczne! Bardzo sprytne! Bo kanonik jest nieufny — dodał namiestnik policji. — Powiem ci zaraz, mistrzu Aprion, co należy uczynić z przewrotnym złodziejaszkiem. Czytaj dalej.

„Panny z królikami przy ulicy Grand–Heuleu podniosły jawny bunt…"

— Z jakiego powodu, o Jezu?

— Twierdzą, że skierowały prośbę bezpośrednio do króla, żeby je utrzymywano w ich własnych mieszkaniach, a tymczasem rozpędziły straż, zmusiły ją do ucieczki."

— To wielce śmieszne! — rzekł śmiejąc się pan de Braguelonne. — Łatwo będzie przywołać je do porządku. Biedne dziewczęta! Co jeszcze?

Mistrz Arpion czytał:

„Panowie posłowie z parlamentu poszli w Paryżu do pani hrabiny de Condé prosząc, żeby się zobowiązała nie jadać mięsa podczas wielkiego postu. Spotkali się z mnogimi docinkami ze strony pana de Sechelles, który wśród innych obelg rzekł im, że ich kocha jak smarki z nosa i ze dziwni z nich ambasadorowie, takie cielęta jak oni".

— O! To już poważne! — rzekł wstając namiestnik policji. — Odmawiać postu i znieważać panów z Sorbony! To zwiększy twój rachunek, pani de Condé, kiedy ci przedstawimy podsumowanie! Arpion, czy to już wszystko?

— Tak, na dzisiaj, mój Boże! Ale Wasza Wysokość mi nie rzekł, co uczynić z Gilles Rosę?

— Tak uczynisz. Umieścisz go w więzieniu z najzręczniejszymi złodziejami kieszonkowcami i odeślesz tych wszystkich dobrych kompanów do Blois. Przygotowuje się tam festyn na cześć króla. Trzeba zabawić jego — królewską mość pokazem wszelkich forteli i sztuczek.

— Ależ, Wasza Wysokość, a jeśli zatrzymają dla kpiny skradzione przedmioty?

— Wtedy się ich powiesi.

W owym momencie wszedł odźwierny i zaanonsował:

— Pan inkwizytor wiary.

Mistrz Arpion nie czekał, aż mu powiedzą, by wyjść. Ukłonił się z szacunkiem i umknął.

Wchodzący był w samej rzeczy ważną i budzącą postrach personą.

Do swoich zwykłych tytułów doktora Sorbony i kanonika z Noyon dołączył piękny tytuł nadzwyczajny wielkiego inkwizytora wiary we Francji. Aby mieć nazwisko równie dźwięczne jak tytuł, kazał się nazywać Démocharèsem, chociaż naprawdę zwał się całkiem zwyczajnie Antoni de Mouchy. Lud ochrzcił jego wysłanników nazwą m o u c h a r d s .

— A więc co, panie wielki inkwizytorze? — spytał namiestnik policji.

— Co nowego w Paryżu?

— Miałem ci zadać dokładnie takie samo pytanie.

— To znaczy, że nie ma nic — rzekł Démocharès z głębokim westchnieniem. — Czasy są ciężkie. Idzie jak po grudzie. Najmniejszego spisku! Żadnego choćby najsłabszego zamachu! Jacy tchórze z tych hugenotów! Przeżyły się nasze profesje, panie de Braguelonne!

— Nie, nie — z przekonaniem zaprzeczył pan de Braguelonne — mijają panowania i rządy, ale policja zostaje.

Pan de Mouchy na to rzekł ze smutkiem:

— Widzisz przecie, czym się zakończyło twoje zbrojne najście na dom kalwinistów przy ulicy Marais. Zastałeś ich przy stole, przy uczcie. Jak nam doniosłeś, spodziewaliśmy się ich przyłapać na jedzeniu prosięcia przybranego w jagnięcą skórę, w skórę baranka wielkanocnego. A tymczasem z tej pięknej wyprawy przyniesiono jedynie skromną pulardę nadziewaną słoniną. Czy przynosi to wiele zaszczytu twojej instytucji, panie namiestniku policji.

— Nie zawsze wszystko się wiedzie — rzekł pan de Braguelonne urażony. — A czy miałeś więcej szczęścia w swojej aferze z adwokatem z palcu Maubert z owym Trouillard, zdaje mi się? A spodziewałeś się cudów.

— Przyznaję ci rację — rzekł żałośnie Démocharès.

— Liczyłeś, że dowiedziesz, żeby się stało jasne jak dzień, że ów Trouillard oddał swoje dwie córki współwyznawcom po strasznej orgii, a tymczasem świadkowie, których tak drogo opłaciłeś, nagle się wycofali i odwołali zeznania.

— Zdrajcy! — wyszeptał de Mouchy.

— Co więcej, otrzymałem raporty od chirurgów i matron; jasno i wyraźnie stwierdzono, że cnota obu młodych dziewczyn nie została naruszona.

— To podłość! — burczał Démocharès.

— Przegrana sprawa, panie wielki inkwizytorze wiary! Sprawa chybiona! — powtórzył z satysfakcją pan de Braguelonne.

— Jeśli chybiona, to z twojej winy! — zawołał zniecierpliwiony Démocharès.

— Jakże to? Z mojej winy? — spytał zdumiony namiestnik policji.

— Ależ oczywiście. Poprzestajesz na raportach, odwołaniach, głupstewkach! Co znaczą niepowodzenia i zaprzeczenia! Mimo wszystko należało ścigać! Choćby to było nic, trzeba śmiało oskarżać bezbożników!

— Jak to? Bez dowodów?

— Tak, i skazać ich.

— Bez winy?

— Tak, kazać ich powiesić.

— Bez sędziów?

— Ależ tak, sto razy tak! Bez sędziów, bez zbrodni, bez dowodów! Cóż to za zasługa wieszać prawdziwych winowajców!

— Ale ileż będzie wrzasku i wściekłości wtedy! — rzekł pan de Braguelonne.

— Ach! Na to tylko czekałem! — triumfował Démocharès. — W tym jest kamień węgielny całego mojego systemu, panie. W rzeczy samej, co wynika ze wściekłości? Spiski. Do czego prowadzą spiski? Do rewolty. Co wynika z rewolt? Widoczna użyteczność naszych funkcji.

— Jasne, że z takiego punktu widzenia… — rzekł ze śmiechem pan de Braguelonne.

— Panie — rzekł po mentorsku Démocharès — zapamiętaj dobrze zasadę: aby zbierać występki, należy je zasiać. Prześladowanie to siła.

— Wydaje mi się, że od początku nowego panowania nie brakuje prześladowań. Trudno

byłoby bardziej podburzyć i sprowokować niezadowolonych niż tym, co uczyniono.

— Phi! A cóż uczyniono? — rzekł pogardliwie wielki inkwizytor.

— A te codzienne nachodzenia, ataki i rabunki u winnych i niewinnych hugenotów, to nic nie znaczy?

— Dalibóg tak, uważam to za nic. Widzisz dobrze, jak znoszą ze spokojem i cierpliwością niemałe udręki.

— A kara śmierci dla Annasza Dubourg, siostrzeńca kanclerza Francji, spalonego przed dwoma miesiącami na placu Greve, czy to także nic?

— To ciągle niewiele — rzekł trudny pan de Mouchy. — Co spowodowała owa kara śmierci? Zamordowanie przewodniczącego Minard, jednego z sędziów i rzekomą konspirację, której śladów nie odnaleziono. O co czynić tyle hałasu?

— A co myślisz o ostatnim edykcie? — spytał pan de Braguelonne. — Ostatni edykt godzi nie tylko w hugenotów, ale w całą szlachtę w królestwie. Powiedziałem to szczerze panu kardynałowi de Lorraine, uważam to za nader zuchwałe.

— Co? Mówisz o zarządzeniu, które zniosło pensje?

— Nie, ale o tym, które nakazywało petentom, szlacheckim zarówno jak plebejskim, opuścić dwór w ciągu dwudziestu czterech godzin pod groźbą powieszenia. Jednaki stryczek dla dobrze urodzonych, jak i dla chamów, sam przyznasz, że to zbyt twarde i niezgorzej podburzające.

— Tak, sprawie nie brak zuchwałości — rzekł Démocharès z uśmiechem satysfakcji. — Podobne zarządzenie pięćdziesiąt lat temu wznieciłoby powstanie całej szlachty w królestwie, przyznaję. Ale dzisiaj widzisz, krzyczeli, ale nie działali. Nikt się nie ruszył.

— Mylisz się, panie wielki inkwizytorze — rzekł Braguelonne ściszając głos. — Nie robią ruchawki w Paryżu, ale burzą się na prowincji.

— Masz zatem jakieś nowiny? — spytał z pośpiechem de Mouchy.

— Jeszcze ich nie mam, ale czekają na nie w każdej chwili.

— Skąd?

— Znad Loary.

— Masz tam emisariuszy?

— Jednego tylko, ale jest dobry.

— Jednego! To bardzo ryzykowne — rzekł Démocharès z powątpiewającą miną.

— Wolę opłacać jednego inteligentnego i pewnego zausznika, tak drogiego jak dwudziestu głupich łajdaków. Taki już jest mój sposób, cóż, chcesz — wyjaśnił pan de Braguelonne.

— Tak, ale kto ci odpowiada za owego człeka?

— Przede wszystkim jego własna głowa i jego dawne" zasługi. Dał dowody.

— To nieważne! Bardzo ryzykowne! — powtórzył Démocharès. Mistrz Arpion powrócił cichutko, kiedy pan de Mouchy jeszcze mówił, i rzekł po cichu coś do ucha swego zwierzchnika.

— No, no! — zawołał triumfująco namiestnik. — Wprowadź natychmiast pana de Lignières… Tak, mimo obecności pana wielkiego inkwizytora, częściowo do nas należy.

Arpion ukłonił się i wyszedł.

— Ów de Lignières jest właśnie człowiekiem, o którym ci opowiadałem — rzekł pan de Braguelonne zacierając ręce z radości. — Usłyszysz, co powie. Właśnie przybywa z Nantes. Nie mamy sekretów jeden przed drugim, nieprawdaż? Cieszę się. Mogę ci dowieść, że mój sposób nie jest najgorszy.

W tejże chwili mistrz Arpion otwarł drzwi przed imć panem de Lignières.

Był to mały, chudy człowieczek, ciemny i wątły, którego widzieliśmy już na zgromadzeniu protestantów przy placu Maubert. Ten sam, który tak zuchwale pokazał medal republikański i mówił o ściętych liliach i zdeptanych koronach.

Z tego widać, że w owych czasach, kiedy jeszcze nie istniała nazwa agenta prowokatora, sama rzecz już kwitła.

XXXV. SZPIEG

Wchodząc Lignières rzucił przede wszystkim chłodne, nieufne spojrzenie na Démocharèsa. Złożył ukłon panu de Braguelonne i trwał nieruchomo w milczeniu czekając na pytania.

— Bardzo się cieszę, że cię widzę, panie Lignières — rzekł pan de Braguelonne. — Możesz bez obawy mówić w obecności pana wielkiego inkwizytora wiary we Francji.

— Och, oczywiście — rzekł z wielką skwapliwością Lignières. — Gdybym był wiedział, że znajduję się w obecności znakomitego Démocharès, wierz mi, panie, nie wahałbym się ani sekundy.

— Wyśmienicie! — rzekł de Mouchy pochlebiony pełnym szacunku odnoszeniem się szpiega. Kiwał głową aprobującym gestem.

— A zatem opowiadaj, panie Lignières, mów prędko! — rzekł namiestnik policji.

— Może pan nie jest dostatecznie zorientowany w tym, co się działo podczas przedostatniego zgromadzenia protestantów w La Ferté? — spytał Lignières.

— W samej rzeczy, nie wiem zbyt wiele — odpowiedział Démocharès.

— Jeśli mi zatem wolno, w kilku krótkich słowach streszczę poważne fakty zebrane przeze mnie w ostatnich dniach. Tak będzie jaśniej i lepiej od podstaw ugruntować, wieści.

Pan de Braguelonne dał znak przyzwolenia, na co czekał Lignières. Takie małe opóźnienie niecierpliwiło namiestnika policji, ale pochlebiało jego dumie. Pozwolił zabłysnąć wobec wielkiego inkwizytora niezwykłym zdolnościom, a nawet nadzwyczajnej elokwencji agenta, którego umiał wybrać.

Jest rzeczą pewną, że Démocharès był zdziwiony i oczarowany zarazem jako pojętny znawca, który spotyka narzędzie lepsze i bez najmniejszego zarzutu, lepsze od tych, którymi się dotąd posługiwał.

Lignières, podniecony ową wysoką łaskawością, chciał się pokazać jej godny i aż wypiękniał z przejęcia. Rzekł;

— Pierwsze zgromadzenie w Ferté nie było zbyt ważne. Czyniono i mówiono tam rzeczy dość banalne. Na próżno proponowałem zrzucenie z tronu jego królewskiej mości i ogłoszenie we Francji konstytucji Stanów podobnie jak w Szwajcarii. Jedynym oddźwiękiem były obelgi do mnie skierowane. Jedynie prowizorycznie uchwalono, że skieruje się do króla prośbę o zaprzestanie prześladowań kalwinistów i zdymisjonowanie panów de Guise, o powołanie ministerstwa złożonego z książąt krwi i natychmiastowe zwołanie Stanów Generalnych. Zwykła petycja z mizernym rezultatem. Tymczasem obliczono siły i zorganizowano się. To już jest coś. Następnie działano, aby mianować przywódców. Dopóki chodziło o drugorzędnych dowódców okręgów, nie napotkano na żadne trudności. Ale główny przywódca, głowa konspiracji — to było kłopotliwe! Pan de Coligny i książę de Condé poprzez swoich przedstawicieli odmówili przyjęcia niebezpiecznego zaszczytu, jaki chciano im uczynić przez mianowanie. Reprezentanci wypowiedzieli się w ich imieniu, że lepiej wybrać hugenota nie na tak wysokiej pozycji, żeby rewolta zachowała wyraźny charakter ludowego przedsięwzięcia. Pretekst dobry dla głupców! Zadowolili się tym i po wielu naradach wybrali w końcu Godfryda de Barry, pana La Renaudie.

— La Renaudie! — powtórzył Démocharès. — Tak, to istotnie jeden z zapalczywych przywódców owych niedowiarków. Znam go jako człowieka energicznego i stałych przekonań.

— Poznasz go wkrótce jako Katylinę! — rzek] Lignières.

— Ale, ale! Wydaje mi się, że nieco przesadzasz — rzekł namiestnik policji.

— Przekonasz się, czy go przeceniam! — odpowiedział szpieg. — Przechodzę do n a s z e g o

drugiego tajnego zgromadzenia, które odbyło się w Nantes dnia piątego lutego.

— Ach! Ach! — wykrzyknęli jednocześnie Démocharès i Braguelonne. Obaj przysunęli się bliżej pana Lignières, okazując chłonną — ciekawość. Lignières mówił z ważną miną:

— Tam nie poprzestano na przemówieniach i dyskusjach tym razem. Posłuchajcie! Czy potrafię przedstawić w dostatecznej mierze Waszym Wielmożnościom rozwlekłe szczegóły i dowody? — dodał błazen, chcąc jakby przedłużyć swe panowanie nad dwiema duszami.

— Fakty! Fakty! — krzyknął zniecierpliwiony namiestnik policji.

— Zaraz je podam i zadrżycie. Po kilku przemówieniach i nic nie znaczących wstępach La Renaudie zabrał głos i oto co rzekł: Rok temu, kiedy królowa Szkocji chciała wydać pod sąd ministrów w Stirling, wszyscy parafianie postanowili udać się w ślad za nimi do tegoż miasta. Chociaż byli nieuzbrojeni, tak wielkie wzburzenie ludu wystarczyło, by onieśmielić regentkę. Wyrzekła się zamierzonego aktu gwałtu. Proponuję, abyśmy we Francji zaczęli tak samo. Niech wielki tłum kalwinistów skieruje się do Blois, gdzie obecnie rezyduje król. Niech się tam pokażą bez broni i przedłożą petycję, w której będą błagać o zniesienie edyktów prześladowczych i zezwolenie na swobodne praktyki religijne protestantom. Ponieważ rzucano oszczerstwa na ich nocne potajemne zgromadzenia, ubiegają się o zezwolenie na zbieranie się w świątyniach na oczach władzy.

— No i co! Zawsze to samo — przerwał Démocharès z rozczarowaną miną. — Pokojowe manifestacje, pełne szacunku, które do niczego nie prowadzą! Petycje! Protesty! Błaganie! Takie są owe twoje straszne nowiny, panie Lignières?

— Poczekajcie! Poczekajcie! — odpowiedział Lignières. — Pojmujecie, że podobnie jak wy i jeszcze głośniej niż wy podniosłem krzyk po takiej niewinnej propozycji pana Le Renaudie. Jaki cel miały, do jakiego celu dążyły takie kroki bez żadnego znaczenia? Inni kalwiniści także się wypowiedzieli w tym sensie. Wtedy La Renaudie zachwycony odkrył, co myśli w głębi duszy, i zdradził zuchwały projekt ukrywany pod skromnymi pozorami.

— Zobaczmy, co to za hardy projekt — rzekł Démocharès jak człowiek, który niczemu się nie dziwi.

— Wart, żeby go udaremnić — odpowiedział Lignières. — Wtedy kiedy uwaga będzie rozproszona przez tłum kalwinistów trwożliwych i bezbronnych, którzy zbliżą się do tronu z błaganiem, pięciuset jeźdźców i tysiąc piechurów, pojmujecie panowie, piętnaście setek mężów spośród najbardziej zdecydowanych rycerzy, najgorliwiej oddanych reformie i książętom, zgromadzą się z różnych prowincji pod dowództwem trzydziestu wyborowych kapitanów, zbliżą się po cichu do Blois rozmaitymi drogami, wkroczą do miasta bez trudności lub siłą, porwą króla, królową matkę i pana de Guise, postawią ich przed sądem i przekażą ich władzę książętom krwi. Stany Generalne mają zadecydować, jaką formę administracji trzeba będzie przyjąć. Oto spisek, panowie. Co na to rzekniecie? Czy to dziecinada? Czy należy przejść nad tym do porządku nie interesując się tym? Czy jestem do niczego, czy też w czymś pożyteczny?

Przerwał z triumfem. Wielki inkwizytor i namiestnik policji patrzyli na siebie mocno zdziwieni i nieco zaalarmowani. Nastała dość długa przerwa wypełniona refleksjami różnego rodzaju.

— Na Boga! To wspaniałe! Przyznaję — rzekł wreszcie Démocharès.

— Powiedz raczej przerażające! — odpowiedział pan de Braguelonne.

— Trzeba to rozpatrzyć — mówił wielki inkwizytor kiwając głową z pojętną miną.

— Znamy jedynie zamiary, jakie ujawnia La Renaudie. Łatwo zgadnąć, że na tym nie poprzestaną. Panowie de Guise będą się bronili, dadzą się posiekać w kawałki. A jeśli jego królewska mość powierzy władzę księciu de Condé, stanie się to jedynie aktem gwałtu.

— Ale skoro jesteśmy uprzedzeni! — odpowiedział Démocharès. — Wszystko, co ci biedni

bezbożnicy chcą uczynić przeciwko nam, obróci się przeciwko nim. Wpadną we własne sidła. Ręczę, że pan kardynał będzie zachwycony i zapłaciłby drogo za taką okazję rozprawienia się z wrogami.

— Oby Bóg dał, żeby był zachwycony do końca! — uczynił uwagę pan de Braguelonne.

Zwrócił się do adwokata Lignières, który stawał się człowiekiem godnym oszczędzania, cennym człowiekiem, znacznym człowiekiem:

— A jeśli idzie o ciebie, panie markizie (bo naprawdę był markizem ów nędznik!), oddałeś jego królewskiej mości i Państwu ogromną przysługę. Będziesz za to godnie wynagrodzony, bądź spokojny!

— Tak, na honor! Zasługujesz na piękną wdzięczność, mam dla ciebie wielki szacunek! Tobie także, panie de Braguelonne, składam szczere gratulacje za dobór pracowników. Pan de Lignières może liczyć na moje „najwyższe uznanie, naprawdę!

— To miła nagroda dla mnie za to, co zdołałem uczynić — rzekł de Lignières skromnie składając ukłon.

— Wiesz, że nie jesteśmy niewdzięczni, panie de „Lignières — mówił pan de Braguelonne — ale nie wszystko jeszcze rzekłeś. Czy wyznaczono termin i miejsce spotkania?

— Mają się zgromadzić wokół Blois piętnastego marca — odpowiedział Lignières.

— Piętnastego marca! Widzicie! — rzekł namiestnik policji. — Nawet dwudziestu dni nie mamy przed sobą! A pan kardynał de Lorraine jest w Blois! Jeszcze blisko dwa dni, trzeba go zawiadomić i otrzymać rozkazy! Jaka odpowiedzialność!

— Ale jaki triumf na końcu! — rzekł Démocharès.

— Czekaj, drogi panie de Lignières, czy masz nazwiska przywódców?

— Tak, na piśmie.

— Wyjątkowy człowiek — rzekł Démocharès z podziwem. — To mnie częściowo godzi z rodzajem ludzkim.

Lignières rozchylił wewnętrzne rozcięcie swego sajana, wyjął mały zwitek, rozwinął go i przeczytał głośno:

— Lista dowódców z nazwami prowincji, którymi mają kierować: Castelnau de Chalosses — Gaskonia,

Mazeres — Béarn,

Du Mesnil — Périgard,

Maille de Brézé — Poitou,

La Chesnaye — Maine,

Sainte–Marie — Normandia,

Cocqueville — Pikardia,

De Ferrière — Maligny — Ile–de–France i Szampania,

Châteauvieux — Prowansja itd.

— Przeczytasz sobie i skomentujesz listę do woli, panie — rzekł Lignières podając namiestnikowi policji zdradziecki wykaz.

— Wojna domowa dobrze zorganizowana — zauważył pan de Braguelonne.

— I zapamiętaj, że w tym samym czasie, kiedy bandy skierują się do Blois, inni dowódcy w każdej prowincji będą w pogotowiu do stłumienia wszelkich rozruchów, jakie mogłyby powstać ku obronie panów de Guise — dodał Lignières.

— Dobrze! Będziemy ich wszystkich trzymali jak w obszernej siatce — mówił Democharet zacierając ręce. — Jaką masz przygnębioną minę, panie de Braguelonne! Po pierwszej chwili zaskoczenia oznajmiam, że bardzo bym się rozgniewał, gdyby to wszystko nie zaszło.

— Ale popatrz, jak nam mało czasu pozostało! — rzekł namiestnik policji. — Doprawdy, mój

zacny Lignières, nie chciałbym ci czynić najmniejszego zarzutu, ale od piątego lutego mogłeś i powinieneś był mnie uprzedzić.

— Czyż mogłem? — odpowiedział Lignières. — La Renaudie wydał mi ponad dwadzieścia poleceń do wykonania począwszy od Nantes aż do Paryża. Przecież zaprzepaściłbym naszą sprawą i tajemnicę pomijając już to, że zdołałem zebrać cenne wiadomości. Zaniedbać wykonania poleceń lub je odwlec, znaczyłoby obudzić podejrzenia. Napisać list albo wysłać posłańca, także zdradziłoby nasze tajemnice.

— Słusznie! — rzekł pan de Braguelonne. — Zawsze masz rację. Nie mówmy już o tym, co się stało, ale co należy uczynić. Nic nam nie rzekłeś o księciu de Condé? Czy nie było go w Nantes?

— Był tam — odpowiedział Lignières — ale zanim się zaangażuje, życzył sobie widzieć się z Chaudieu i angielskim ambasadorem. Miał w tym celu towarzyszyć panu La Renaudie do Paryża.

— Przybędzie zatem do Paryża? I La Renaudie przyjedzie?

— Jeszcze lepiej, powinni już tutaj być — rzekł Lignières.

— A gdzie zamieszkają? — spytał pan de Braguelonne z pośpiechem.

Tego nie wiem. Zapytałem, jakby nigdy nic, gdzie mógłbym znaleźć naszego przywódcę, gdybym miał dla niego jakąś wiadomość, ale wskazano mi jedynie jako środek korespondencję przesławną pośrednią drogą. Bez wątpienia La Renaudie nie chce skompromitować księcia.

— Źle się składa, nie można będzie zapobiec — rzekł namiestnik policji. — Musielibyśmy aż do końca deptać im po piętach!

Mistrz Arpion wszedł jeszcze raz swym lekkim krokiem, nader tajemniczy.

— Co jest, Arpion? — spytał z niecierpliwością pan de Braguelonne. — Wiesz dobrze, że zajmujemy się poważnymi sprawami, do diaska!

— Toteż nie pozwoliłbym sobie wejść, gdyby nie mniej ważna sprawa — odpowiedział Arpion.

— O co chodzi? Mów szybko i głośno. Jesteśmy w swoim gronie.

— Niejaki Piotr Des Avenelles — odpowiedział Arpion. Braguelonne, Démocharès i Lignières przerwali Arpionowi jednogłośnym wykrzyknikiem:

— Piotr Des Avenelles!

— To adwokat z ulicy Marmousets, który zazwyczaj udziela noclegu w Paryżu kalwinistom — rzekł Démocharès.

— Od dawna mam jego dom na oku — dodał de Braguelonne — ale poczciwina jest ostrożny i przebiegły, ciągle wyprowadza mnie w pole. Czego chce, Arpionie?

— Natychmiast rozmawiać z Waszą Wielmożnością — odpowiedział sekretarz. — Wydał mi się przestraszony.

— Nie może o niczym wiedzieć — żywo odparował Lignières z zawiścią. I dodał pogardliwie: — To uczciwy człowiek.

— Trzeba się przekonać! Trzeba się przekonać! — rzekł wielki inkwizytor. (Był to jego ulubiony zwrot).

— Arpionie, wprowadź natychmiast owego człeka — rzekł pan de Braguelonne.

— Już idę, Wasza Wielmożność — rzekł wychodząc Arpion.

— Wybacz, mój drogi markizie — zwrócił się namiestnik policji do Lignières'a — ów Des Avenelles cię zna, twój nieoczekiwany widok mógłby go zmieszać. Poza tym i ty, i ja musimy się troszczyć o to, by się nie dowiedział, że jesteś nasz. Bądź zatem uprzejmy i przejdź do gabinetu sekretarza Arpiona, tam dalej w głębi korytarza. Każę cię wezwać, kiedy z nim skończymy. A pan, wielki inkwizytorze, zostań tutaj. Twoja imponująca obecność może się nam przydać.

— Zgoda, pozostanę, żeby ci służyć — odpowiedział zadowolony Démocharès.

— A ja odchodzę — rzekł Lignières — ale przypomnij sobie, co ci rzekłem, panie namiestniku policji: niczego ważnego nie wyciągniesz od tego Des Avenelles. Mizerny mózg! Lękliwy umysł, ale prawy! Nic wartościowego! Nic wart!

— Postąpimy, jak będziemy uważali za stosowne. Idź już, idź, drogi Lignières. Oto i on.

W rzeczy samej, zaledwie zdążył umknąć Lignières, drugimi drzwiami wszedł blady i roztrzęsiony nerwowo mężczyzna, prowadzony, prawie niesiony przez mecenasa Arpiona.

Był to adwokat Piotr Des Avenelles, którego widzieliśmy po raz pierwszy obok pana Lignières na tajnym zgromadzeniu przy placu Maubert. Jeśli sobie przypominacie, to on odniósł sukces w ów wieczór swym bojaźliwym przemówieniem.

XXXVI. DONOSICIEL

W owym dniu, w którym się z nim powtórnie spotykamy, Des Avenelles był wielce zalękniony, nie było w nim ani krzty odwagi. Pokłonił się do ziemi obu dostojnikom i rzekł drżącym głosem:

— Bez wątpienia stoję przed panem namiestnikiem policji…

— I panem wielkim inkwizytorem wiary — dodał de Braguelonne wskazując de Mouchy'ego.

— O Jezu! — rzekł biedny Des Avenelles blednąc więcej niż to możliwe. — Wielmożni panowie, widzicie przed sobą wielkiego winowajcę, nader wielkiego winowajcę. Czy mogę liczyć na łaskę? Nie wiem. Czy szczere wyznanie może zmniejszyć moją winę? Odwołuję się do waszej wspaniałomyślności.

Pan de Braguelonne zorientował się natychmiast, z jakim człowiekiem ma do czynienia.

— Nie wystarczy przyznać się, trzeba naprawić błędy — rzekł twardym głosem.

— Och, uczynię to, jeśli potrafię, Wasza Wielmożność — odpowiedział Des Avenelles.

— Tak, ale żeby to uczynić, trzeba by oddać nam jakąś przysługę, przynieść jakąś cenną wiadomość.

— Postaram się ją przekazać — rzekł adwokat zdławionym głosem.

— Będzie to trudne, bo wszystko wiemy — lekceważąco odpowiedział de Braguelonne.

— Jak to? Wiecie?

— Powtarzam ci, że wszystko wiemy, a kiedy się znalazłeś w złej sytuacji, na nic się zda twoja spóźniona skrucha. Uprzedzam, że trudno będzie ocalić głowę.

— Moja głowa? O nieba! Moja głowa jest w niebezpieczeństwie? A przecież skoro przyszedłem…

— Za późno! — rzekł nieugięty Braguelonne. — Nie możesz już być dla nas użyteczny i z góry wiemy, co możesz nam ujawnić.

— Może. Wybaczcie mi pytanie, ale co wiecie?

— Przede wszystkim, że jesteś jednym z owych przeklętych heretyków — wmieszał się grzmiącym głosem Démocharès.

— Niestety, niestety, to zbyt prawdziwe! — przyznał Des Avenelles. — Tak, należę do nowego wyznania. Dlaczego? Sam nie wiem. Ale odrzeknę się wiary, Wasza Wielmożność, jeśli mi darujesz życie. Protestantyzm pociąga za sobą zbyt wiele niebezpieczeństw. Powracam do mszy.

— To jeszcze nie wszystko — dodał Démocharès. — Dajesz schronienie u siebie hugenotom.

— Nie złapano u mnie żadnego, podczas żadnej rewizji — żywo odpowiedział adwokat.

— Tak — przyznał pan de Braguelonne — prawdopodobnie masz w swoim mieszkaniu jakieś tajne wyjście, jakiś ukryty korytarz, jakieś nieznane połączenie na zewnątrz. Ale pewnego dnia zdemolujemy twój dom do ostatniego kamienia i wtedy wyda on nam swój sekret.

— Sam go zdradzę — odpowiedział adwokat. — Przyznaję się, że niekiedy przyjmowałem i udzielałem noclegu kalwinistom. Płacą dobrze czynsz, a procesy tak mało dają dochodu! Przecież trzeba żyć. Ale więcej się to już nie zdarzy, a jeśli wyrzeknę się nowej wiary, żaden hugenot więcej nie ośmieli się zapukać do moich drzwi.

— Zabierałeś także często głos na tajnych zgromadzeniach protestantów — dodał Démocharès.

— Jestem adwokatem — rzekł żałośnie Des Avenelles — ale zawsze mówiłem w imieniu odłamów umiarkowanych. Powinniście o tym wiedzieć, skoro wszystko wiecie.

Des Avenelles odważył się podnieść oczy na dwie złowrogie osobistości i dodał jeszcze:

— Wybaczcie, ale wydaje mi się, że nie wiecie wszystkiego. Mówicie tylko o mnie, a milczycie o ogólnych sprawach, bardzo ważnych. Widzę z przyjemnością, że nie znacie wielu spraw.

— Mylisz się — rzekł namiestnik policji — zaraz ci dowiedziemy, że jest przeciwnie.

Démocharès dał mu znak, by uważał.

— Pojmuję, o co ci chodzi, panie wielki inkwizytorze — rzekł. — Nie jest nieroztropnością z mojej strony pokazać nasze grę owemu panu. Długo stąd nie wyjdzie.

— Jak to? Długo stąd nie wyjdę? — powtórzył przerażony Piotr Des Avenelles.

— Oczywiście, że nie. — ze spokojem potwierdził pan de Braguelonne. Wyobraź sobie zatem, że pod pozorem odkrycia nam rewelacji możesz spokojnie się przekonać, ile wiemy, a kiedy upewnisz się, co wiemy, możesz zaraportować wszystko swoim wspólnikom. Tak nie będzie, drogi panie, jesteś od tej chwili naszym więźniem.

— Więźniem! — powtórzył Des Avenelles z nagła przygnębiony.

Ale po namyśle podjął grę. Jak sobie przypominamy, ów człowiek miał w wysokim stopniu rozwiniętą odwagę tchórzostwa.

— Dobrze, nawet tak wolę, w rzeczy samej. Jestem tutaj bezpieczniejszy niż w domu, wmieszany w ich spiski. A skoro mnie zatrzymujecie, panie namiestniku policji, nie będziesz miał już skrupułów z odpowiedzią na kilka moich pełnych uszanowania pytań. Moim zdaniem, nie jesteście całkiem dobrze poinformowani, jak wam się zdaje. Znajdę sposób, żeby przez pożyteczną wiadomość dowieść wam swojej dobrej wiary i lojalności.

— Hę? Wątpię w to — rzekł pan de Braguelonne.

— Co wiecie o ostatnich zgromadzeniach hugenotów? — spytał adwokat.

— Mówisz o zebraniu w Nantes? — odpowiedział pytaniem na pytanie namiestnik policji.

— Ach? Już o tym, wiecie? No dobrze, mówmy o Nantes. Co się tam działo?

— Czy czynisz aluzję do konspiracji, która tam się zawiązała? — spytał pan de Braguelonne.

— Niestety tak, i widzę że nic ważnego wam o tym nie dodam. Owa konspiracja…

— Porwać króla z Blois, zastąpić gwałtem panów de Guise książętami, zwołać Stany Generalne i tak dalej. Wszystko to stara historia, drogi panie Des Avenelles, datuje się od dnia piątego lutego.

— A spiskowcy czują się tak pewni dochowania tajemnicy! Są zgubieni! I ja także. Bez wątpienia wiecie, kto stoi na czele spisku — dodał adwokat.

— Tajni przywódcy i jawni. Tajni przywódcy to książę de Condé, to admirał. Szefowie jawni to La Renaudie, Castelanu, Mazeres… Za długo by było ich wyliczać. Patrz tutaj lista ich nazwisk i prowincji, które mają podburzyć.

— Na litość boską! Jakaż policja jest sprytna, a spiskowcy szaleni! Czyż ani słówka nie mogę wam podać jako nowość? Czy wiecie, gdzie są książę de Condé i La Renaudie?

— W Paryżu, są razem.

— To przerażające! Muszę jeno duszę polecić Bogu. Jednak, litości, jeszcze jedno słowo: gdzie są w Paryżu?

Pan de Braguelonne zwlekał z odpowiedzią, a przenikliwym wzrokiem zdawał się wniknąć w głąb oczu i duszy adwokata.

Des Avenelles oddychając z trudnością potworzył pytanie:

— Czy wiecie, gdzie są w Paryżu książę de Condé i La Renaudie?

— Odnajdziemy ich bez trudu — odpowiedział pan de Braguelonne.

— Ale ich jeszcze nie odnaleźliście! — zawołał uradowany Des Avenelles. — Ach! Bogu dzięki! Jeszcze mogę zasłużyć na przebaczenie. Ja wiem, gdzie oni są, Wasza Wielmożność.

Rozbłysły oczy Démocharèsa, natomiast namiestnik policji ukrywał swą radość.

— Gdzież zatem oni są? — spytał tonem jak najbardziej obojętnym.

— U mnie, panowie, u mnie! — z dumą zapewnił adwokat.

— Wiedziałem o tym — spokojnie odpowiedział pan de Braguelonne.

— Jak to? To wiedziałeś także? — blednąc rzekł Des Avenelles.

— Oczywiście! Ale chciałem cię wypróbować, przekonać się, czy masz dobre chęci. Dobrze. Jestem z ciebie zadowolony. Twoja sprawa była nader poważna. Udzielać schronienia tak wielkim winowajcom!

— Stałeś się równy winą tamtym! — sentencjonalnie powiedział Démocharès.

— Nie mów tak, Wasza Wielmożność. Domyślałem się niebezpieczeństwa, na jakie się narażam. Toteż odkąd poznałem straszne plany moich dwóch gości, umieram ze strachu. Ale znam ich zaledwie od trzech dni. Przysięgam, że dopiero od trzech dni. Powinniście wiedzieć, że nie byłem na zgromadzeniu w Nantes. Kiedy książę de Condé i pan La Renaudie przybyli do mnie na początku tego tygodnia, w dobrej wierze przyjąłem kalwinistów, a nie spiskowców. Czuję wstręt do konspiratorów i spisków. Na początku nic mi o tym nie rzekli i o to mam do nich żal. Narażać w taki sposób biednego człowieka, który dotąd im oddawał przysługi! To bardzo niecnie. Jednak wielkie osobistości nic sobie nie czynią z innych.

— Hę? — spytał groźnie pan de Braguelonne, który się uważał za wielką personę.

— Mówię o wybitnych osobistościach reformacji! — pośpieszył się dodać adwokat. — Zaczęli zatem od tego, że wszystko przede mną kryli. Ale szeptali ze sobą przez cały dzień. Pisali dzień i noc. Przyjmowali wizyty co minutę. Śledziłem, słuchałem. Krótko rzekłszy, zgadłem, jaki był początek, tak że byli zmuszeni wyznać mi, jaki będzie koniec. Zgromadzenie w Nantes, wielki spisek, wszystko, co już wiecie, a oni czują się bezpieczni w schronieniu. Po owym odkryciu nie jem, nie śpię, nie żyję. Za każdym razem, kiedy ktoś wchodzi do mnie, a jeden Bóg wie, jak często wchodzą, wyobrażam sobie, że przychodzą po mnie, żeby mnie wlec przed sędziów. W nocy, podczas rzadkich chwil gorączkowych snów śnią mi się tylko trybunały, szubienice i kaci. Budzę się zlany zimnym potem po to, aby obliczać, przewidywać i mierzyć ryzyko, na jakie się narażam.

— Na jakie ryzyko się narażasz? Po pierwsze na uwięzienie rzekł pan de Braguelonne.

— Na tortury potem — dodał Démocharès.

— A następnie prawdopodobnie na powieszenie — dorzucił namiestnik policji.

— A może na stos — mówił wielki inkwizytor.

— Nawet przy tej samej okazji na łamanie kołem — rzekł pan de Braguelonne dla osiągnięcia efektu.

— Uwięziony! Torturowany! Powieszony!. Spalony! Łamany kołem! — wykrzykiwał przy każdym z tych słów mecenas Des Avenelles, jakby przechodził każdą z wymienionych mąk.

— Dalibóg! Jesteś adwokatem znasz prawo — rzekł znowu pan de Braguelonne.

— Znam je aż nadto dobrze! — rzekł Des Avenelles. — Toteż po trzech dniach udręki nie mogłem już wytrzymać, czułem, że taki sekret jest ciężarem zbyt wielkim jak na moją odpowiedzialność i przyszedłem się nim podzielić i złożyć go w twoje ręce, panie namiestniku policji.

— To było najpewniejsze. Chociaż twoje odkrycie nie na wiele się nam zda, jak widziałeś, jednak będziemy mieli wzgląd na twą dobrą wolę.

Porozmawiał przez kilka chwil po cichu z panem de Mouchy, który zdawał się przyjąć, choć nie bez pewnego oporu, jego postanowienie.

— Przede wszystkim proszę was, bądźcie łaskawi nie zdradzić mojego odszczepieństwa wobec dawnych moich… wspólników. Niestety, ci, którzy zmasakrowali przewodniczącego

Minard, mogliby i mnie wyrządzić coś złego

— Zachowamy to w tajemnicy — obiecał namiestnik policji.

— Jednak zatrzymacie mnie jako więźnia, prawda? — spytał Des Avenelles z pokorną, bojaźliwą miną.

— Nie, możesz swobodnie wrócić do domu nawet w tej chwili — odpowiedział de Braguelonne.

— Naprawdę? — rzekł adwokat. — Schwytacie przeto — moich gości?

— Bynajmniej. Pozostaną na wolności tak samo jak ty.

— Dlaczego? — spytał zdumiony Des Avenelles.

— Wysłuchaj mnie i dobrze zapamiętaj moje słowa — rzekł namiestnik policji władczo. — Natychmiast powrócisz do domu, żeby twoja długa nieobecność nie wzbudziła podejrzenia. Nie powiesz ani słowa swoim gościom o obawach ani o ich tajemnicach. Będziesz tak postępował i pozwolisz im działać, jakbyś dzisiaj nie był w tym gabinecie. Czy dobrze mnie rozumiesz? Nie zapobiegaj niczemu i niczemu się nie dziw. Pozwól działać.

— To łatwe — odpowiedział Des Avenelles.

— Jedno tylko: gdybyśmy potrzebowali jakichś wiadomości, zapytamy o nie albo wezwiemy cię tutaj. Będziesz przez cały czas pozostawał do naszej dyspozycji. Gdyby jakieś najście na twój dom stało się konieczne, przyłożysz do niego rękę.

— Skoro już zacząłem i tyle uczyniłem, dokończę — z westchnieniem obiecał Des Avenelles.

— Dobrze. Jeszcze jedno słowo jako konkluzja. Gdyby sprawy tak się potoczyły, że mielibyśmy dowód twego posłuszeństwa tak prostym instrukcjom, otrzymasz naszą łaskę. Gdybyśmy jednak podejrzewali, że najmniejsza niedyskrecja ci się wymknęła, będziesz ukarany pierwszy, i to najokrutniej.

— Będziesz się smażył na wolnym ogniu, przysięgam na Najświętszą Pannę! — rzekł Démocharès złowieszczym, tubalnym głosem.

— A przecież… — chciał coś rzec adwokat cały drżący.

— Dość tego — rzekł pan de Braguelonne. — Usłyszałeś. Zapamiętaj sobie. Do zobaczenia.

Wykonał ręką rozkazujący gest. Nadmiernie ostrożny adwokat wyszedł równocześnie z ulgą w sercu i obawą.

Po jego wyjściu nastała chwila milczenia między namiestnikiem policji i wielkim inkwizytorem.

— Chciałeś, więc ustąpiłem — rzekł w końcu pierwszy. — Ale przyznaję, że mam wątpliwości co do takiego sposobu postępowania.

— Nie, wszystko jest w najlepszym porządku — odpowiedział Démocharès. — Sprawa musi nabrać rozmachu i z tego względu, mówię ci, jest ważne, żeby nie zaalarmować spiskowców. Niech będą pewni, że tajemnica jest zachowana, i niech działają. Wyobrażają sobie, że działają w ciemnościach, a my śledzimy ich wszystkie kroki w biały dzień. To wspaniałe! Podobna okazja już się nie nadarzy chyba przez dwadzieścia lat, żeby wywierać terror dzięki herezji. Znam poglądy w tej materii jego eminencji kardynała de Lorraine.

— Lepiej niż ja, to prawda — rzekł de Braguelonne. — Co nam pozostaje teraz czynić?

— Ty zostaniesz w Paryżu i będziesz czuwał przez szpiega de Lignières i przez donosiciela Des Avenelles nad dwoma przywódcami konspiracji. Ja za godzinę wyjadę do Blois i ostrzegę panów de Guise. Kardynał, na początku trochę się przestraszy, ale Pokiereszowany jest przy nim, więc mu doda otuchy. Po namyśle będzie zachwycony. To ich sprawa zebrać w ciągu piętnastu dni po cichu i zgromadzić wokół króla wszystkie siły, jakie mają do dyspozycji. Tymczasem nasi hugenoci niczego nie będą się domyślali. Przybędą razem albo jedni po drugich w zastawioną pułapkę i dostaniemy ich w swoje ręce! To zaślepione lekkoduchy! Już ich mamy! Ogólna

masakra!

Wielki inkwizytor przechadzał się wielkimi krokami po komnacie zacierając ręce z radości.

— Oby Bóg tylko zechciał, żeby żaden zwrot nieprzewidziany nie obrócił wniwecz tego wspaniałego projektu! — rzekł pan de Braguelonne.

— To niemożliwe! — odpowiedział Démocharès. — Powszechna jatka! Dzierżymy ich! Wezwij tu z powrotem owego Lignières'a, niech skończy podawać informacje, które zaraz przekażę kardynałowi de Lorraine. Uważam już herezję za stłumioną. Powszechna masakra!

XXXVII. KRÓL I KRÓLOWA JAK DZIECI

Gdy przeskoczymy w myśli dwa dni i czterdzieści mil, znajdziemy się dnia 27 lutego we wspaniałym zamku Blois, gdzie cały dwór był właśnie zgromadzony.

Poprzedniego dnia odbył się wielki festyn i zabawa w zamku, festyn urządzony przez pana Antoniego de Baif, poetę. Były turnieje, balety i alegorie.

Tak więc owego poranka młody król i mała królowa wstali później niż zwykle po zabawie zorganizowanej poprzedniego dnia i byli jeszcze nieco znużeni rozrywką.

Na szczęście nie wyznaczono na dzisiaj żadnego przyjęcia. Dla odprężenia mogli dq woli rozprawiać o wszystkich uciechach, jakie podziwiali.

— Uważam, że to były najpiękniejsze i najrzadsze na świecie rozrywki — mówiła Maria Stuart.

— Tak — przyznał jej rację Franciszek II — zwłaszcza balety i odgrywane sceny. Ale wyznam, że sonety i madrygały miały pewne dłużyzny.

— Ależ skąd! — protestowała Maria. — Były pełne galanterii i dowcipne, zapewniam cię.

— Ale bezustannie zbyt pochwalne, musisz mi przyznać, najmilsza. Niezbyt to zabawne słuchać, jak cię chwalą godzinami. Wyobrażałem sobie wczoraj, że Bóg w niebie także musi miewać momenty zniecierpliwienia. Dodaj jeszcze do tego, że owi panowie, a zwłaszcza, pan de Baif i pan de Maisonfleur przeplatają swoje mowy taką ilością słów łacińskich, że nie zawsze rozumiałem.

— Ale to stwarza bardzo dobrą atmosferę, w taki sposób wiadomo, że człowiek jest uczony, a gust wyszukany.

— Bo ty jesteś sawantką, Mario — odpowiedział król wzdychając. — Układasz wiersze i rozumiesz łacinę, przez którą ja nie zdołałem się przegryźć.

— Ależ to dla nas, niewiast, szansa i rozrywka, taka wiedza. A dla was mężczyzn i książąt pozostaje działanie i rozkazywanie.

— Aby ci dorównać w czymkolwiek, pragnąłbym być również wykształcony, na przykład tak jak mój brat Karol.

— Jeśli już mówimy o naszym bracie Karolu, to czy zwróciłeś na niego uwagę wczoraj w roli, jaką grał w alegorii pod tytułem *Religia broniona przez trzy cnoty ewangeliczne*?

— Tak, był jednym z rycerzy reprezentujących cnoty, chyba Miłosierdzie.

— Tak — rzekła Maria. — Czy zauważyłeś, Sire, z jaką wściekłością uderzał w głowę Herezji?

— Tak, rzeczywiście, kiedy zbliżyła się wśród płomieni na cielsku żmii… Karol wychodził z siebie, to prawda.

— Powiedz mi, mój słodki panie, czy owa głowa Herezji nie wydała ci się podobna do czyjejś?

— W samej rzeczy — rzekł Franciszek II — myślałem, że się mylę, ale była podobna do pana de Coligny, nieprawdaż?

— Powiedz raczej, że był to pan admirał kropka w kropkę.

— A owe wszystkie diabły, które go porwały!

— A radość naszego wuja kardynała!

— A uśmiech mojej matki!

— Był przerażający! — rzekła młoda królowa. — Mniejsza o to. Franciszku, twoja matka była jeszcze bardzo piękna wczoraj, w złotej karbowanej sukni z woalem w barwie opalonej.

Wspaniały, oryginalny strój!

— Tak, moja najmilejsza, toteż zamówiłem dla ciebie podobną suknię w Konstantynopolu przez pana de Grandchamp. Będziesz miała także woal z rzymskiego tiulu podobny do tego, jaki miała moja matka.

— Och, dziękuję ci, mój miły królu! Dziękuję! Oczywiście, że nie zazdroszczę wcale naszej siostrze Elżbiecie Hiszpańskiej, która, jak powiadają, nigdy dwakroć nie nakłada tej samej sukni. Jednak nie chciałabym, żeby jakakolwiek niewiasta we Francji choćby twoja matka, była lepiej przystrojona ode mnie.

— Czy ci na tym w gruncie rzeczy zależy? Czyż nie jesteś zawsze najpiękniejsza?

— Wcale wczoraj na to nie wyglądało — dąsała się Maria. — Kiedy tańczyłam brani z pochodnią, nie rzekłeś mi potem ani słowa. Muszę myśleć, że ci się nie podobał.

— Ależ podobał mi się! — rzekł Franciszek. — Cóż miałem mówić, wielki Boże! Tyle było obok ciebie pięknoduchów dworskich, którzy ci prawili komplementy prozą i wierszem. Du Bellay twierdził, że nie trzeba ci było pochodni, jak innym damom, bo wystarczyło twoich dwoje oczu. Maisonfleur obawiał się niebezpieczeństwa dwóch płonących świateł w twoich źrenicach, które nie przygasały, i mogła od nich spłonąć cała sala. Na co Ronsard dorzucił, że gwiazdy twoich oczu mogłyby rozświetlać przez całą noc ciemności, a w dzień słońce. Czyż po takiej poezji miałem przyjść do ciebie i rzec całkiem zwyczajnie, że uważam ciebie i taniec za czarujące?

— A dlaczego nie? Twoje zwykłe słowa więcej by mnie rozradowały niż te ich wszystkie ckliwe komplementy.

— A więc mówię ci to dzisiaj rano, moja najmilsza, z całego serca. Taniec był wprost doskonały i kazał mi zapomnieć o hiszpańskiej pawanie, którą tak lubiłem, i o pazzemeni włoskim, który tak bosko tańczyłaś z biedną Elżbietą. To, co czynisz, jest zawsze lepsze niż to, co czynią inne. Jesteś Najpiękniejsza z Pięknych, najładniejsze niewiasty wyglądają przy tobie jak pokojówki. Zarówno w królewskim stroju, jak i w zwykłym negliżu zawsze jesteś moją królową, moją miłością. Widzę tylko ciebie! Tylko ciebie miłuję!

— Mój drogi miły!

— Moje uwielbienie! — Życie moje!

— Moje najwyższe dobro! Choćbyś nosiła zwykły kapturek wieśniaczki, kochałbym cię jeszcze goręcej niż wszystkie królowe na ziemi.

— A gdybyś ty był zwykłym paziem, jedynie ty miałbyś moje serce!

— O Boże! Jak lubię rozczesywać palcami twoje miękkie włosy, takie jasne, takie cienkie, lubię je burzyć i wichrzyć. Pojmuję, że twoje damy dworu proszą często o zezwolenie na pocałowanie twej szyi, takiej krągłej i białej, i ramion tak zgrabnych i pulchnych… Jednak nie pozwalaj im na to więcej, Mario.

— Dlaczego?

— Jestem o to zazdrosny! — wyznał król.

— Dzieciaku! — odpowiedziała Maria z miłym, dziecinnym gestem.

— Wiedz, że gdybym musiał wyrzec się korony albo Marii, łatwo bym dokonał wyboru — rzekł namiętnie Franciszek.

— Co za szaleństwo! — odpowiedziała królowa. — Czyż można wyrzec się korony Francji, najpiękniejszej ze wszystkich poza niebieską?

— Co ona czyni z moim czołem! — rzekł Franciszek z uśmiechem na wpół wesołym, na wpół melancholijnym.

— Jak to? — spytała Maria. — Zapomniałam, że naprawdę mamy do załatwienia pewną sprawę, sprawę wielkiej wagi, którą mój wuj de Lorraine nam przekazał.

— No, no — odpowiedział król — nieczęsto mu się to zdarza.

— Obarczył nas obowiązkiem ustalenia barw mundurów naszej gwardii szwajcarskiej — rzekła z powagą Maria.

— Taka oznaka zaufania czyni nam zaszczyt. Wdajmy się w rozważania. Jakie jest zdanie Waszej Królewskiej Mości w owej trudnej kwestii, Madame?

— Będę mówiła chyba dopiero po tobie, Najjaśniejszy Panie.

— Zastanówmy się. Myślę, że krój stroju powinien zostać taki sam. Obszerny kaftan z szerokimi rękawami, a na nich rozcięcia w trzech kolorach, czy nie tak?

— Tak, Sire. Ale jakie mają być owe trzy kolory? Oto pytanie.

— Nie jest łatwe. Ale czemu mi nie pomagasz, mój miły doradco? Pierwszy kolor?

— Powinien być biały jako kolor Francji — rzekła Maria.

— Zgoda. Wtedy drugi niech będzie niebieski, kolor Szkocji.

— Niech będzie. A trzeci?

— Może żółty?

— Nie! To kolor Hiszpanii. Raczej zielony.

— To barwa rodu de Guise — odpowiedział król.

— Czy to dostateczny motyw, żeby ją wykluczyć? — spytała Maria.

— Nie, nie. Ale czy takie trzy kolory będą dobrze ze sobą harmonizowały?

— Mam pomysł. Weźmy czerwony, kolor Szwajcarii, przynajmniej przypomni ojczyznę owym biednym ludziom.

— Świetna myśl, taka sama jak twoje dobre serce, Mario! A zatem ważna sprawa chwalebnie zakończona. Uf!! Sporo było z tym kłopotu! Poważne sprawy na szczęście mniej ich nastręczają. Twoi drodzy wujowie, Mario, obciążają siebie zamiast mnie całym brzemieniem rządzenia. To urocze! Oni piszą, a ja jedynie podpisuję, czasem bez czytania. Do tego stopnia, że moja korona na tronie mogłaby mnie w pełni zastępować, gdyby mi przyszła fantazja… odbyć podróż.

— Czyż nie wiesz tego, Sire, że moi wujowie mają na sercu jedynie twój interes i Francji?

— Jakżebym nie wiedział! Powtarzają mi to zbyt często, żebym miał zapomnieć. Czekaj, dzisiaj jest dzień, kiedy zbiera się rada. Ujrzymy pana kardynała de Lorraine z uniżonymi manierami i przesadnym respektem, które nie zawsze mnie bawią. Usłyszymy, jak do mnie mówi słodziutkim głosem bijąc pokłony przy każdym słowie: Najjaśniejszy Panie, propozycja, którą przedkładam Waszej Królewskiej Mości, ma na widoku jedynie honor twojej korony. Wasza Królewska Mość nie może wątpić w zapał, jaki nas ożywia dla chwały twojego panowania i dobra narodu. Najjaśniejszy Panie, splendor tronu i Kościoła jest jedynym celem, i tak dalej, i tak dalej.

— Jak dobrze go naśladujesz! — zawołała Maria śmiejąc się i klaszcząc w dłonie. Ale potem dodała poważniejszym tonem: — Jednak trzeba być pobłażliwym i wspaniałomyślnym, Franciszku. Czy myślisz, że twoja matka, madame Katarzyna de Medici, wielce mnie raduje, kiedy z surową, bladą twarzą prawi mi bez końca kazania o moim stroju, ludziach i ekwipażach? Czy nie słyszysz jej tutaj, jak do mnie mówi z zaciśniętymi wargami: Moja córko, jesteś królową. Jestem dzisiaj tylko drugą niewiastą w królestwie. Ale gdybym była na twoim miejscu, wymagałabym, żeby moje damy nigdy nie opuszczały mszy ani nieszporów, ani kazania. Gdybym była na twoim miejscu, nie nosiłabym wiśniowego aksamitu, bo to kolor trochę za poważny. Gdybym była na twoim miejscu, przerobiłabym srebrzystą suknię i gołąbkową na sposób burboński, ponieważ są zanadto wydekoltowane. Gdybym była na twoim miejscu, nigdy bym z nikim nie tańczyła i zadowoliłabym się patrzeniem na tańczących. Gdybym była na twoim miejscu…

Król przerwał jej wybuchem śmiechu:

— Och, moja matka jak żywa! Ale widzisz, najmilsza, mimo wszystko to moja matka i już ją poważnie obraziłem nie dając jej żadnego udziału w rządach, w sprawach Państwa, którym jedynie twoi wujowie administrują. Trzeba zatem jej co nieco wybaczyć i znosić z szacunkiem jej gderanie. Ja zdaję się całkowicie na ckliwą opiekę kardynała de Lorraine, ponieważ ty jesteś jego siostrzenicą. Czy mnie pojmujesz?

— Dziękuję, drogi Sire, dziękują za tyle poświęcenia — rzekła Maria całując go.

— Ale w rzeczywistości nadchodzą takie chwile, kiedy mnie kusi zrezygnować z tytułu króla, tak jak już poprzednio wyrzekłem się władzy.

— Ależ, co mówisz? — wykrzyknęła Maria.

— Mówię to, co czuję, Mario. Gdyby nie trzeba było być królem Francji, by być twym małżonkiem. Pomyśl tylko! Mam jedynie same kłopoty i przykrości z królowania. Ostatni z moich poddanych ma więcej ode mnie swobody. Gdybym się poważnie nie rozgniewał, mielibyśmy każde oddzielne apartamenta! Dlaczego? Twierdzono, że taki jest obyczaj wśród królów i królowych Francji:

— Jacyż są oni absurdalni ze swoimi obyczajami! — rzekła Maria. — A więc my zmienimy ów obyczaj! I ustalimy nowy, który jest tyle samo wart co stary.

— Z całą pewnością, Mario. Rzeknij mi, czy wiesz, jakie mam utajone pragnienie od pewnego czasu.

— Nie wiem doprawdy.

— Żebyśmy uciekli, wymknęli się, odlecieli, rozstali się na jakiś czas z kłopotami tronu, żebyśmy uciekli z Paryża, Blois, nawet z Francji i pojechali… dokąd? Sam nie wiem, byle daleko stąd. Aby odetchnąć trochę ze swobodą jak inni ludzie. Powiedz mi, Mario, czy sześciomiesięczna podróż albo roczna nie sprawiłaby ci przyjemności.

— Byłabym nią zachwycona, mój najukochańszy, Sire, zwłaszcza ze względu na ciebie, bo zdrowie twoje czasem mnie niepokoi. Zbyt często cierpisz na przykre bóle głowy. Zmiana powietrza, nowość otoczenia, wszystko to rozerwałoby trochę ciebie, uczyniłoby ci dobrze. Och! Ale czy kardynał i królowa matka znieśliby to?

— Przecież mimo wszystko jestem królem, jestem władcą — rzekł Franciszek II. — W królestwie panuje spokój i cisza, a skoro tak dobrze obchodzą się bez mojej woli w rządzeniu, mogą się obejść i bez mojej obecności. Wyjedziemy przed zimą, jak odlatują jaskółki. Dokąd chcesz pojechać? A może odwiedzilibyśmy nasze Państwo Szkockie?

— Co? Płynąć przez morze! Jechać w tak niebezpieczne dla twoich płuc mgły, mój miły? Nie! Wolę naszą wesołą Turenię i przyjemny zamek w Blois. A czemu nie mielibyśmy pojechać do Hiszpanii złożyć wizytę naszej siostrze Elżbiecie?

— Powietrze Madrytu nie jest dobre dla królów Francji, Mario.

— A zatem Italia! Tam zawsze jest pięknie, zawsze ciepło. Szafirowe niebo i szafirowe morze! Kwitnące drzewa pomarańczowe, muzyka i festyny!

— Zgadzam się na Italię! — rzekł wesoło król. — Ujrzymy świętą religię katolicką w pełni chwały, piękne kościoły i święte relikwie.

— I malowidła Rafaela i Świętego Piotra, i Watykan!

— Poprosimy ojca świętego o błogosławieństwo i powrócimy z wieloma odpustami!

— To będzie czarujące! — rzekła królowa. — Zrealizować razem takie słodkie marzenie, jedno obok drugiego, kochani i kochający się nawzajem, mieć lazur w sercach i nad głowami!

— To raj! — z entuzjazmem odpowiedział Franciszek II.

Kiedy tak rzekł kołysany uroczą nadzieją, drzwi otwarły się gwałtownie. Kardynał de Lorraine odepchnął odźwiernego, który nawet nie zdążył go zaanonsować, i wszedł blady i zdyszany do królewskiej komnaty.

Diuk de Guise, spokojniejszy, ale poważny, szedł za bratem w pewnej odległości. Słychać było tupot jego ciężkich kroków w antyszambrze poprzez otwarte drzwi.

XXXVIII. KONIEC Z PODRÓŻĄ DO ITALII

— Jak to, panie kardynale — rzekł energicznie król — czy nie mogę mieć chwili odpoczynku i wolności nawet tutaj, w tym miejscu?

— Sire, żałuję, że złamałem rozkazy wydane przez Waszą Królewską Mość, ale sprawa, która nas tutaj sprowadza, mnie i brata, jest takiej wagi, ze nie cierpi zwłoki — rzekł Karol de Lorraine.

W tym momencie wkroczył z powagą diuk de Guise, ukłonił się w milczeniu królowi i królowej i stał za bratem milcząc, nieruchomo i poważnie.

— No więc, słucham was, mów, panie — rzekł Franciszek do kardynała.

— Najjaśniejszy Panie. Dopiero co odkryto spisek przeciw Waszej Królewskiej Mości. Niebezpiecznie jest pozostawać dłużej w zamku Blois. Należy go zaraz opuścić.

— Spisek! Opuścić Blois! Co to wszystko znaczy?

— To znaczy, że źli ludzie czyhają na życie i koronę Waszej Królewskiej Mości.

— Jak to! O co mogą mieć żal do mnie, tak młodego, który dopiero wczoraj zasiadłem na tronie, do mnie, który świadomie i dobrowolnie nigdy nie uczyniłem nic— złego nikomu? Kim są ci źli, panie kardynale?

— A kimże by byli, jeśli nie przeklętymi hugenotami i heretykami.

— Znowu heretycy! — zawołał król. — Czy jesteś pewien, panie, że nie dajesz się wciągać w podejrzenia przeciwko nim skierowane bez żadnych głębszych podstaw?

— Niestety! — rzekł kardynał. — Na nieszczęście nie można wątpić tym razem.

Młodemu królowi w nieodpowiedniej chwili przerwano jego wesołe marzenia. Rozpaczliwa rzeczywistość żywo go rozgniewała. Maria poruszona była jego złym humorem, a kardynał mocno zmieszany przyniesieniem takich wieści. Jedynie diuk de Guise. był spokojny i panował nad sobą. Czekał na rezultat rozmowy w obojętnej postawie.

— Co uczyniłem swojemu narodowi, że mnie nie lubi? — spytał urażony król.

— Mówię, sądzę, że zbuntowani to jedynie hugenoci, Wasza Królewska Mość — rzekł kardynał de Lorraine.

— Niemniej jednak są Francuzami! — odpowiedział król. — Wreszcie tobie, panie kardynale, powierzyłem całą swoją władzę w nadziei, że naród będzie cię błogosławił, a wszędzie wokół siebie widzę zamieszki, skargi i niezadowolenie.

— Och, Sire, Sire — z wyrzutem rzekła Maria Stuart.

Kardynał de Lorraine odpowiedział oschle:

— Nie byłoby sprawiedliwie czynić nas odpowiedzialnymi za to, co wynika z nieszczęść naszych czasów.

— Jednak pragnąłbym wreszcie poznać, panie, tło tych spraw. Gdybyś przez jakiś czas nie był już przy moim boku, żebym wiedział, że do mnie, a nie do ciebie ludzie mają pretensje.

— Och, Wasza Królewska Mość! — wykrzyknęła znowu żywo dotknięta Maria Stuart.

Franciszek zamilkł wyrzucając sobie, ze posunął się już za daleko. Diuk de Guise nie okazywał najmniejszego niepokoju. Karol de Lorraine po lodowatym milczeniu przybrał godną minę jako człowiek niesprawiedliwie obrażony.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — z bólem widzimy, że nasze wysiłki nie zostały docenione lub są zbędne. Nic innego nam nie pozostaje jako lojalnym poddanym i oddanym krewnym, jak odejść i ustąpić miejsca bardziej godnym lub szczęśliwszym…

Król zaambarasowany milczał, a kardynał mówił dalej po przerwie:

— Wasza Królewska Mość raczy nam rzec, w czyje ręce mamy przekazać nasze urzędy. W tym, co mnie dotyczy, nic łatwiejszego bez wątpienia mnie zastąpić. Wasza Królewska „Mość będzie miał do wyboru między panem kanclerzem Olivier, panem kardynałem de Tournon a panem de L'Hôpital…

Zrozpaczona Maria Stuart ukryła twarz w dłoniach, a skruszony Franciszek chciałby cofnąć okazaną dziecinną złość, onieśmielało go jednak wyniosłe milczenie diuka de Guise.

Karol de Lorraine mówił:

— Jednak stanowisko wielkiego marszałka i kierowanie sprawami wojennymi wymagają tak rzadkich talentów i tak wielkiej sławy, że widzę, zaledwie dwóch ludzi mogących pretendować do tej roli po moim bracie, może pan de Brissac…

— Och! Brissac, to niemożliwe! — rzekł dąsając się ciągle król, ciągle zaperzony.

— A na drugim miejscu pan de Montmorency, któremu wprawdzie brak zalet, ale ma przynajmniej rozgłos.

— Pan konetabl jest za stary dla mnie i dawniej zbyt lekceważąco traktował delfina, żeby mógł dzisiaj służyć z szacunkiem królowi. Ale dlaczego, mnie kardynale, pomijasz innych moich krewnych, książąt krwi, na przykład księcia de Conde?

— Najjaśniejszy Panie — rzekł kardynał — żałuję, że o tym dowiaduję się od Waszej Królewskiej Mości. Ale wśród nazwisk tajnych wodzów odkrytej konspiracji na pierwszym miejscu jest pan książę de Conde.

— Czyż to możliwe? — spytał zdumiony młody król.

— To pewne, Najjaśniejszy Panie.

— Jest to przeto całkiem poważny spisek uknuty przeciw Państwu? — spytał Franciszek.

— To prawie rewolta, Najjaśniejszy Panie. Skoro Wasza Królewska Mość zdejmuje z nas, z mojego brata i ze mnie, najstraszniejszą odpowiedzialność, jaka kiedykolwiek na nas ciążyła, jest moim obowiązkiem błagać o mianowanie naszych następców możliwie jak najwcześniej, bo kalwiniści za kilka dni będą pod murami Blois.

— Co mówisz, wuju? — zawołała przerażona Maria.

— Prawdę, Madame.

— A wielu jest buntowników?

— Najjaśniejszy Panie, mówią o dwóch tysiącach ludzi — rzekł kardynał. — Zanim jeszcze otrzymałem z Paryża dzięki panu de Mouchy zawiadomienie o konspiracji, już raporty donosiły o ich przedniej straży w pobliżu La Carreliere, nie mogłem w to uwierzyć… Odejdziemy zatem, pan de Guise i ja…

— Jak to! — żywo zaprotestował król. — Obaj mnie opuszczacie wobec tak wielkiego niebezpieczeństwa?

— Przypuszczałem, że dobrze pojąłem intencje Waszej Królewskiej Mości.

— Czego chcecie? Jestem tak smutny, kiedy widzę, że mi przysparzacie… że mam wrogów! Słuchaj, nie mówmy więcej o tym, wuju, podaj mi raczej szczegóły owej bezczelnej próby zbuntowanych. Co zamierzasz uczynić, żeby jej zapobiec?

— Wybacz, Najjaśniejszy Panie — rzekł jeszcze urażony kardynał — z tego, co usłyszałem od Waszej Królewskiej Mości, wypada, żeby inni, a nie my…

— Proszę cię, wuju, żebyś puścił w niepamięć odruch mojej popędliwości, czego żałuję — rzekł Franciszek II. — Cóż mogę rzec więcej? Czy mam prosić o wybaczenie i tłumaczyć się dalej?

— Ależ, Sire — rzekł Karol de Lorraine — od chwili kiedy Wasza Królewska Mość przywraca nam swe cenne zaufanie…

— Całkowicie i z całego serca — dodał król wyciągając rękę do kardynała.

— Ile straconego czasu! — rzekł z powagą diuk de Guise. Były to pierwsze jego słowa od początku audiencji.

Podszedł bliżej, tak jakby wszystko, co działo się dotąd, było jedynie nic nie znaczącym wstępem, nudnym prologiem, w którym pozostawił główną rolę kardynałowi de Lorraine. Gdy się skończyły dziecinne debaty, on wyniośle zabierał głos i przejmował inicjatywę.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł do króla — chodzi o to: dwa tysiące buntowników pod dowództwem barona La Renaudie i skrycie wspieranych przez księcia de Conde zjadą się w najbliższych dniach z Poitou, Bearn i innych prowincji, aby usiłować zdobyć Blois i uprowadzić Waszą Królewską Mość.

Franciszek uczynił gest pełen oburzenia i zdziwienia.

— Uprowadzić króla! — zawołała Maria Stuart.

— I ciebie razem z nim, Madame — mówił diuk de Guise. — Ale uspokój się, będziemy czuwali nad Waszymi Królewskimi Mościami.

— Jakie środki chcecie przedsięwziąć? — spytał król.

— Dowiedzieliśmy się dopiero przed godziną — rzekł diuk de Guise. — Pierwsza rzecz, jaką należy uczynić, to zabezpieczyć ciebie jako pomazańca. Należy więc już dzisiaj opuścić otwarte miasto Blois i nie ufortyfikowany zamek. Trzeba schronić się w Amboise, zamek—forteca uchroni od zamachu.

— Co? — rzekła królowa. — Mamy się zamknąć w olbrzydliwym zamku Amboise, tak wysoko położonym, tak ponurym i smutnym?! —Dziecko! — rzekł diuk de Guise do swej siostrzenicy, jeśli nie słowem, to surowym spojrzeniem. Głośno rzekł tylko:

— Tak musi być, Madame.

— Będziemy uciekali przed buntownikami! — oburzył się młody król drżąc z gniewu.

— Najjaśniejszy Panie — mówił diuk de Guise — jeśli wróg jeszcze nie zaatakował, nie jest to ucieczka. Nieprzyjaciel nawet jeszcze nie wypowiedział wojny. Mogą mniemać, że nie znamy karygodnych zamiarów owych buntowników.

— Przecież je znamy — odpowiedział Franciszek.

— Niech Wasza Królewska Mość polega na mnie w sprawach honoru — odpowiedział diuk de Guise. — Nie unikamy walki, jedynie zmieniamy pole bitwy. Spodziewam się, że rebelianci zadadzą sobie trud, by pójść w ślad za nami aż do Amboise.

— Czemu mówisz, że się spodziewasz, panie? — spytał król.

Diuk de Guise odpowiedział z wyniosłym uśmiechem:

— Dlaczego? Bo to będzie raz wreszcie okazja, żeby skończyć ze wszystkimi, z heretykami i herezją. Nadszedł czas, żebry w nich uderzyć inaczej niż w fikcjach i alegoriach. Oddałbym dwa palce mojej ręki… lewej ręki, aby stoczyć bez naszej winy decydującą walkę, jaką nierozważni prowokują dla naszego triumfu.

— Niestety, taka walka to jednak wojna domowa — rzekł król.

— Zaakceptujemy ją, by ją skończyć, Sire — odpowiedział diuk de Guise. — W dwóch słowach podam swój plan. Niech Wasza Królewska Mość pamięta, że idzie o buntowników. Poza wycofaniem się z Blois, co nie bardzo ich odstraszy, mam nadzieją, będziemy udawali, że czujemy się całkowicie bezpieczni i że kompletnie nic nie wiemy. A kiedy przybliżą się, żeby nas zdradziecko zaskoczyć, my ich zaskoczymy i złapiemy we własne sidła. A zatem bez żadnej atmosfery alarmu i ucieczki, specjalnie tobie to zalecam, Madame — zwrócił się do Marii. — Wydam rozkazy i uprzedzę waszych obrońców, ale w tajemnicy. Niech nikt z zewnątrz nie domyśla się naszych przygotowań ani obaw. Odpowiadam za wszystko.

— Na którą godzinę ustalono odjazd? — spytał Franciszek z rezygnacją i przygnębieniem.

— Trzecia po południu, Najjaśniejszy Panie — rzekł diuk de Guise. — Już z góry wydałem

odpowiednie dyspozycje.

— Jak to? Z góry?

— Tak, z góry, Najjaśniejszy Panie — ze stanowczością rzekł diuk. — Z góry dobrze wiedziałem, że Wasza Królewska Mość podporządkuje się rozsądnym radom i honorowi.

— A to dopiero! — odpowiedział z lekkim uśmiechem ujarzmiony król. — Będziemy gotowi na trzecią, panie. Pokładamy w tobie pełne zaufanie.

— Dziękuję ci za zaufanie. Najjaśniejszy Panie, będę jego godny. Ale niech Wasza Królewska Mość mi wybaczy, w takich okolicznościach liczą się minuty. Mam napisać dwadzieścia listów, wydać sto poleceń. Pokornie prosimy, mój brat i ja, o zezwolenie na opuszczenie Waszej Królewskiej Mości.

Dość niedbale złożył ukłony królowi i królowej i wyszedł z kardynałem.

Franciszek i Maria spoglądali na siebie przez chwilę, wielce zasmuceni. W końcu król rzekł:

— No i co, moja droga, a nasza piękna podróż do Rzymu?

— Kończy się na ucieczce do Amboise — z westchnieniem odpowiedziała Maria.

Weszła akurat pani Dayelle, pierwsza dama dworu królowej.

— Czy to prawda, Madame, co nam powiedziano? — spytała składając przepisane kurtuazją ukłony. — Mamy natychmiast się przeprowadzać z Blois do Amboise?

— To rzetelna prawda, moja biedna Dayelle — odpowiedziała królowa.

— Ale czy wiesz, Madame, że w tamtym zamku nic nie ma? Nawet lustra w możliwym stanie!

— Trzeba zatem wszystko przewieźć stąd, Dayelle. Zrób natychmiast listę niezbędnych rzeczy. Podyktuję ci. Przede wszystkim moja nowa suknia karmazynowa z adamaszku oblamowana złotą taśmą…

Powróciła do króla, który stał smutny i zamyślony we framudze okna, i rzekła:

— Czy możesz pojąć, drogi Sire, zuchwałość owych protestantów? Ale wybacz, ty także powinieneś się zająć rzeczami, które ci tam będą potrzebne, żebyś nie był zaskoczony brakami.

— Nie, pozostawiam ten trud Aubertowi, lokajowi. Rozmyślam jedynie o moim zmartwieniu.

— Czy sądzisz, ze moje nie jest tak bolesne? Pani Dayelle, napisz: krynolina kryta złotofioletowym kamlotem i suknia z białego adamaszku oblamowana srebrem… Ale trzeba być rozsądnym — zwróciła się znowu do króla — i nie narażać się na brak przedmiotów pierwszej potrzeby… Pani Dayelle, zapisz: płaszcz na noc ze srebrzystego płótna podbity wilczym futrem… Chyba przez całe wieki ów stary zamek w Amboise nie był zamieszkiwany przez dwór.

— Od czasów Karola VIII chyba żaden król Francji nie przebywał w nim dłużej niż dwa, trzy dni.

— A kto wie, czy my nie pozostaniemy tam przez cały miesiąc! Och, wstrętni hugenoci! Czy myślisz, pani. Dayelle, że przynajmniej sypialnia nie będzie zbyt ogołocona?

— Najpewniej będzie tak czynić, jakbyśmy w niej nic nie mieli zastać, Madame.

— Zapakuj więc lustro w kutej złotej ramie, szkatułę z fioletowego aksamitu, włochaty kobierzec, żeby go położyć przy łóżku… Czy kto słyszał, Sire, zęby poddani stawali tak przeciw władcy i wypędzali go ze swej siedziby? — spytała półgłosem Maria powracając do króla.

— Przypuszczam, że nigdy — ze smutkiem odpowiedział król. — Czasem jacyś łajdacy opierali się rozkazom króla, tak było piętnaście lat temu w Merindot i La Cabriere. Ale żeby pierwsi atakowali króla, nawet sobie tego nie wyobrażałem, przyznaję się.

— A więc mój wuj de Guise ma słuszność. Zbytek ostrożności wobec takich wściekłych rebeliantów nie zawadzi. Pani Dayelle, dopisz tuzin trzewików, poduszki i dwanaście prześcieradeł. Czy to wszystko? Naprawdę można stracić głową! Czekaj jeszcze, moja droga, aksamitna poduszka, złoty świecznik, złota szpilka… Chyba nic więcej.

— Czy Madame nie zabiera swoich dwóch zestawów drogich kamieni?

— Ależ oczywiście! Zabieram je! Gdzieżby je tu zostawić. Tutaj mogłyby wpaść w ręce niedowiarków Zabieram Nieprawdaż, Sire?!!

— Ostrożność nie zawadzi — odpowiedział Franciszek lekko się uśmiechając.

— Wydaje mi się, że nie opuściłam nic ważniejszego, droga Dayelle — rzekła Maria Stuart rozglądając się wokoło.

— Spodziewam się, że Madame ma na myśli swoje modlitewniki — odparła dama dworu z przesadnie wytworną miną.

— Ach! Przypomniałaś mi! — naiwnie przyznała się Maria. — Zabierz te najpiękniejsze, ów od wuja kardynała i drugi w szkarłatnym aksamicie ze złotymi okuciami. Pani Dayelle, polecam wszystko twoim staraniom. Widzisz, do jakiego stopnia' oboje z królem jesteśmy zaabsorbowani twardą koniecznością nagłego, wyjazdu.

— Madame, nie ma potrzeby pobudzać mojej gorliwości — rzekła dama. — Ile zamówić kufrów do zabrania tego wszystkiego? Myślę, że starczy pięć

— Zażądaj sześciu. Nie możemy się ograniczać w takiej opłakanej ostateczności. Sześć, nie licząc dla dam dworu, rozumie się. Niech każda myśli o sobie, nie mam głowy na zajmowanie — się takimi szczegółami. Doprawdy, Franciszku, ja tak samo jak ty mam myśli pochłonięte jedynie hugenotami… niestety! Możesz odejść, Dayelle.

— Nie ma rozkazu dla lokajów i mulników, Madame?

— Niech ubiorą się zwyczajnie w sukienną odzież — rzekła królowa. — Idź, droga Dayelle, idź prędko.

Dayelle złożyła ukłon i uczyniła trzy lub cztery kroki ku drzwiom.

— Dayelle! — wołała Maria przypominając sobie. — Jeśli mówię, że moja służba ma nałożyć sukienne ubrania, to ma być, pojmujesz, tylko na podróż. Ale niech się postarają zabrać krótkie płaszcze z fioletowego aksamitu i lila płaszcze podbite żółtym aksamitem, rozumiesz?

— To starczy. Czy Madame nie ma już więcej rozkazów?

— Nie, nic więcej — rzekła Maria — ale niech wszystko będzie wykonane sprężyście. Mamy czas zaledwie do trzeciej godziny. Nie zapomnij o płaszczach dla lokajów.

Tym razem Dayelle wyszła już na dobre.

Wtedy Maria zwróciła się do króla:

— Chyba pochwalasz w sprawie płaszczy dla służby? Panowie kalwiniści przynajmniej pozwolą nadać naszemu domowi wygląd jak należy. Nie należy poniżać królewskości wobec buntowników. Nawet mam nadzieją, Sire, że znajdziemy jeszcze sposób, żeby wyprawić im przed nosem jakąś małą uroczystość w owym Amboise, chociaż jest okropny.

Franciszek ze smutkiem zwiesił głowę.

— Nie potępiaj mojej myśli — rzekła Maria. — To ich onieśmieli więcej, niż myślisz, kiedy im pokażemy, że wcale się ich nie lękamy. W takim przypadku bal byłby świetnym manewrem politycznym. Nawet twoja matka, taka zdolna, nie znalazłaby lepszego. Mimo wszystko mam serce rozdarte bólem, mój biedny, drogi Sire. Ach ci obrzydliwi kalwiniści!

XXXIX. DWA WEZWANIA

Od czasu fatalnego turnieju w dniu 30 czerwca Gabriel pędził spokojne życie, w smutku i odosobnieniu. On, człowiek pełen energii, przyzwyczajony do ruchu i czynnego życia, rozmiłował się teraz w samotności i zapomnieniu.

Ani razu nie pokazał się na dworze, nie widywał nikogo z przyjaciół, mało wychodził z pałacyku, długie smutne godziny upływały mu w zamyśleniu między niańką Alojzą a paziem Andrzejem, który powrócił do niego, odkąd Diana nagle schroniła się do klasztoru Benedyktynek w Saint–Quentin.

Gabriel, młody wiekiem, stał się starcem przez cierpienie. Żył wspomnieniami, niczego się nie spodziewał.

Ileż razy żałował, że nie zginął, podczas owych długich wieczorów, dłuższych aniżeli lata. Ileż razy zapytywał siebie, dlaczego diuk de Guise i Maria Stuart stanęli pomiędzy nim a Katarzyną de Medici i narzucili mu takie gorzkie dobrodziejstwo życia. Co czynił jeszcze na tym świecie? Do czego się nadawał? Grób byłby mniej jałowy niż taka wegetacja. Czy można było nazwać to egzystencją?

Zdarzały się jednak momenty, kiedy jego młodość i wigor protestowały wbrew samemu sobie. Wtedy podnosił czoło, wyciągał rękę i spoglądał na szpadę.

Czuł niejasno, że jego życie nie jest jeszcze skończone, że jest przed nim przyszłość i że gorące godziny walki, a może i zwycięstwa powrócą wcześniej czy później zgodnie z przeznaczeniem.

Pogrążony w rozważaniach, widział dla siebie jedynie dwie szansę, które mogłyby przywrócić go do prawdziwego życia, do czynu — wojna z zagranicą lub prześladowania religijne.

Gdyby Francja, gdyby król zaangażował się w jakąś nową wojnę dla usiłowania podboju lub konieczności odepchnięcia inwazji, hrabia de Montgomery czuł, że jego młodzieńczy zapał odrodzi się bez trudu i że będzie mu słodko umrzeć, tak jak żył, to znaczy walcząc.

Poza tym chciałby spłacić zaciągnięty bez udziału jego woli dług wobec diuka de Guise względem młodego króla Franciszka II.

Myślał także i o tym, jakby było pięknie oddać życie za nowe prawdy, które w ostatnich czasach oświeciły jego duszę. Sprawa reformacji — wedle niego sprawa sprawiedliwości i swobody — była także bez wątpienia szlachetną, świętą sprawą.

Młody hrabia pilnie czytał książki o sprawach religijnych i kazania, których wtedy wszędzie było pełno. Pasjonował się wielkimi zasadami ogłoszonymi we wspaniałym języku przez Lutra, Melanchtona, Kalwina, Teodora de Bèze i tylu innych. Pociągały go książki wszystkich tych wolnomyślicieli, przekonały go. Byłby szczęśliwy i dumny, gdyby własną krwią mógł podpisać wyznanie wiary.

Ożywiała go ciągle szlachetna skłonność prawego serca do oddania życia za kogoś lub za coś.

Niedawno stokroć razy był gotów ryzykować swoje życie dla ocalenia lub pomszczenia ojca, dla ukochanej Diany. Były to wiecznie krwawiące wspomnienia zranionej duszy. Teraz, w braku najbliższych, chciałby bronić świętych idei.

Ojczyzna w zamian za ojca, religia w zamian za miłość.

Niestety, niestety! Na próżno tak mówić, to nie to samo! Entuzjazm dla abstrakcji niewart — zarówno w cierpieniach, jak i weselu — czułości dla żywych istot.

Mniejsza o to! Dla jednej lub drugiej sprawy, dla reformacji lub dla Francji, Gabriel chętnie by się poświęcił. Na jedno z tych poświęceń liczył dla rozplatania swego losu.

Szóstego marca rano w dżdżysty poranek Gabriel siedział w fotelu wsparty na łokciu w rogu komnaty przy kominku. Jak zawsze pogrążony był w swoich medytacjach, które stały się nawykiem. Wtedy Alojza wprowadziła posłańca w wysokich butach z ostrogami, zabłoconego jak po długiej podróży.

Kurier przybywał z Amboise z silną eskortą. Wiózł kilka listów od pana de Guise, generalnego namiestnika królestwa.

Jeden z listów był zaadresowany do Gabriela i zawierał co następuje:

„Mój zacny i drogi towarzyszu,

Piszę w pośpiechu nie mając ani czasu, ani możności na bliższe wyjaśnienia. Rzekłeś królowi i mnie, że jesteś nam oddany i że mamy cię wezwać, kiedy zajdzie potrzeba owego poświęcenia.

Dzisiaj cię wzywamy.

Wyjedź natychmiast do Amboise, gdzie król i królowa zamieszkali na kilka tygodni. Kiedy przybędziesz, powiem ci, w jaki sposób możesz nam służyć.

Oczywiście rozumie się, że pozostaniesz wolny — sam zdecydujesz, czy będziesz działał, czy nie. Twój zapał jest dla mnie zbyt cenny, żebym chciał go nadużyć lub narazić. Bez względu na to, czy pozostaniesz z nami, czy zachowasz neutralność, sądziłem, że nie obdarzając cię zaufaniem uchybiłbym obowiązkowi.

Przybądź zatem jak najśpieszniej. Jak zawsze miło cię powitamy.

Twój serdecznie przywiązany

Franciszek de Lorraine

Amboise, 4 lutego 1560

P. S. Załączam list żelazny na wypadek, gdyby cię zatrzymały w drodze jakieś wojska królewskie”.

Posłaniec diuka de Guise już wyruszył, by wykonać dalsze zlecenia, kiedy Gabriel dokończył czytania listu.

Porywczy młodzieniec natychmiast wstał i bez wahania rzekł do niani:

— Droga moja Alojzo, proszę cię, sprowadź Andrzeja i zarządź, niech mi osiodłają jabłkowitego rumaka i niech przygotują troki podróżne.

— Znowu wyjeżdżasz, Wasza Wysokość? — spytała zacna niewiasta.

— Tak, nianiu, za dwie godziny jadę do Amboise.

Nie było repliki. Alojza wyszła ze smutkiem, ale bez słowa, żeby wykonać polecenia młodego pana.

W trakcie tych przygotowań inny posłaniec poprosił o poufną rozmowę z hrabią de Montgomery. Nie czynił hałasu i nie miał eskorty. Wszedł po cichu, skromnie i podał Gabrielowi bez słowa list.

Gabriel zadrżał, bo rozpoznał człeka, który już mu niegdyś przyniósł zaproszenie od pana La Renaudie, na zgromadzenie protestantów przy placu Maubert.

Był to w samej rzeczy ten sam posłaniec, a list nosił ten sam podpis co wtedy. Oto treść listu:

„Bracie i przyjacielu,

Nie chciałem wyjechać z Paryża nie widząc się z tobą. Ale zabrakło mi czasu, wydarzenia naglą mnie do pośpiechu. Muszę wyjechać, a nie uścisnąłem ci dłoni i nie opowiedziałem o naszych projektach i nadziejach.

Wiemy, że jesteś z nami, i wiemy, jakim jesteś człowiekiem. Z podobnymi do ciebie nie są potrzebne przygotowania, zebrania i przemówienia. Wystarczy jedno słowo.

Owo słowo brzmi: Potrzebujemy ciebie. Przyjeżdżaj, bądź między dziesiątym a dwunastym

tego miesiąca marca w Noisai pod Amboise. Zastaniesz tam naszego dzielnego, prawego przyjaciela de Castelnau. Powie ci, o co chodzi, czego nie mogę powierzyć papierowi.

Zgodnie z umową nie masz obowiązku w nic się angażować, masz prawo pozostać na uboczu, możesz zawsze powstrzymać się od działania bez wzbudzenia jakichkolwiek podejrzeń lub wymówek.

Przybądź jednak do Noisai. Spotkam się tam z tobą. W braku twej pomocy, poprosimy cię o radę.

Poza tym może coś zajść w stronnictwie, o czym nie jesteś poinformowany.

A zatem do zobaczenia wkrótce w Noisai. Liczymy przynajmniej na twoją obecność.

L. R.

P. S. Gdyby w drodze spotkała cię jakaś grupa naszych, pamiętaj, że hasło dalej brzmi G E N E W A , a odzew C H W A Ł A B O G A !”

— Za godzinę odjeżdżam — rzekł hrabia de Montgomery milczącemu posłańcowi, który złożył ukłon i odszedł.

Co to ma znaczyć? — myślał Gabriel, kiedy pozostał sam. — Co wyrażają te dwa wezwania nadeszłe z dwóch różnych stron, które mi wyznaczają spotkanie prawie w tym samym miejscu? Wszystko jedno! Wszystko jedno! Mam zobowiązania tak samo względem wszechpotężnego diuka, jak i względem uciskanych kalwinistów. Moim obowiązkiem jest przede wszystkim wyjechać. A potem niech się dzieje, co chce! Chociaż trudna staje się moja sytuacja, sumienie mi mówi, że nigdy nie będę zdrajcą!

W godzinę później Gabriel udał się w drogę w towarzystwie jednego tylko Andrzeja. Nie przewidywał nawet, przed jaką dziwną i straszliwą alternatywą postawi go własna lojalność.

XL. NIEBEZPIECZNE ZAUFANIE

W zamku Amboise w apartamencie swoim diuk de Guise wypytywał właśnie mężczyznę wysokiego wzrostu, silnego i masywnego, o ostrych rysach, dumnej i zuchwałej twarzy, ubranego w strój kapitana strzelców.

— Marszałek de Brissac zapewnił mnie, że mogę pokładać w tobie pełne zaufanie, kapitanie Richelieu — mówił diuk.

— Pan marszałek jest wielce łaskaw — odpowiedział Richelieu.

— Wygląda na to, że jesteś ambitny.

— Mam ambicji na tyle, żeby nie pozostać kapitanem strzelców przez całe życie, Wasza Wysokość. Pochodzę z dobrego pnia, bo spotyka się już wielmoży du Plessis pod Bovines, jednak jestem piątym z sześciu braci i muszę dopomóc trochę swemu losowi, bo nie bardzo liczę na dziedziczenie ojcowizny.

— Dobrze — powiedział z satysfakcją diuk de Guise. — Możesz oddać nam tutaj kilka dobrych przysług, czego nie pożałujesz.

— Widzisz mnie, panie, gotowym wszystkiego się podjąć, żeby cię zadowolić — rzekł Richelieu.

— Na początek powierzyłem ci straż nad główną bramą zamku.

— Obiecuję zdawać sobie z tego dobrze sprawę, Wasza Wysokość.

— Nie przypuszczam, żeby panowie kalwiniści byli tak źle uświadomieni i przypuścili atak z tej strony, gdzie musieliby po kolei zdobywać siedem bram. Ale nikt i nic nie powinno się tamtędy przedostać, posterunek jest jednym z najważniejszych. Nie pozwól przeto nikomu tamtędy przechodzić, ani z wewnątrz, ani z zewnątrz, chyba że na rozkaz podpisany przeze mnie własnoręcznie.

— Dotrzymam tego, Wasza Wysokość. Jednak młody rycerz, zwący się hrabią de Montgomery, zgłosił się przed chwilą bez rozkazu specjalnego, ale z glejtem przez ciebie podpisanym. Mówi, że przybywa z Paryża. Czy mam go wprowadzić, tak jak tego się domaga, Wasza Wysokość?

— Tak, tak, bez najmniejszej zwłoki. Ale zaczekaj — rzekł z ożywieniem diuk de Guise. — Nie skończyłem z wydawaniem ci instrukcji. Dzisiaj do tej samej bramy, przy której trzymasz straż, powinien przybyć około południa książę de Condé, którego wezwaliśmy, żeby mieć pod ręką rzekomego dowódcę rebeliantów. Ręczę za to, że nie ośmieli się wzbudzić naszych podejrzeń nie stawiając się na wezwanie. Otworzysz mu, kapitanie Richelieu, ale tylko jemu, a nie wpuścisz innych, którzy by chcieli wejść za nim. Postarasz się wypełnić swoimi żołnierzami wszystkie wnęki i framugi ciągnące się wzdłuż sklepienia. Skoro tylko książę przybędzie, pod pretekstem oddania mu honorów wszyscy mają stanąć w szyku, z muszkietem na ramieniu i zapalonym lontem.

— Wszystko będzie dokładnie wykonane — rzekł Richelieu.

— Poza tym, kiedy protestanci zaatakują i zacznie się akcja, czuwaj z bliska osobiście nad nim, kapitanie. Jeśli będzie wyglądało na to, że chce się połączyć ze szturmującymi, albo jeśli się zawaha, by wyciągnąć broń przeciwko nim, bo tak mu każe obowiązek, nie wahaj się, ugodź go.

— Nie widziałbym w tym żadnej trudności, Wasza Wysokość — odpowiedział z prostotą kapitan Richelieu — gdyby nie moja niska ranga zwykłego kapitana strzelców. Może nie zawsze będzie mi łatwo być tuż przy nim, jeśli tego nie będzie chciał. Diuk de Guise zastanawiał się przez chwilę i rzekł:

— Pan wielki przeor i diuk d'Aumale nie ruszą się krokiem od przypuszczalnego zdrajcy, oni ci dadzą znak, będziesz im posłuszny.

— Będę im posłuszny — odpowiedział Richelieu.

— Dobrze. Nie mam żadnego więcej rozkazu dla ciebie, kapitanie. Odejdź. Jeśli splendor twego rodu rozpoczął się za Filipa Augusta, możesz go zacząć na nowo z diukiem de Guise. Liczę na ciebie, ty licz na mnie. Idź. Każ, proszę, wprowadzić natychmiast do mnie pana de Montgomery.

Kapitan Richelieu złożył głęboki ukłon i wyszedł. W kilka minut później zameldowano diukowi przybycie hrabiego.

Gabriel był smutny i blady. Serdeczne przyjęcie ze strony diuka de Guise nie wygładziło jego zmarszczek.

W samej rzeczy, wedle domysłów i kilku zdań, które wymknęły się bez skrupułów strażom wobec rycerza z listem żelaznym podpisanym przez diuka de Guise, młody protestant mógł odgadnąć prawie całą prawdę.

Król, który zdobył się wobec niego na akt łaski, i odłam, do którego się przyłączył w swych przekonaniach, pozostawały w otwartej wojnie. Jego lojalność mogła zostać narażona na szwank podczas konfliktu.

— Chyba wiesz, po co się wezwałem — rzekł diuk de Guise.

— Domyślam się, ale nic nie wiem dokładnie Wasza Wysokość — odpowiedział Gabriel.

— Rewolta kalwinistów w bujnym rozkwicie. Mają nas zaatakować zbrojnie w zamku Amboise, takie są wieści.

— To bolesna i straszliwa ostateczność — rzekł Gabriel myśląc o własnej sytuacji.

— Przyjacielu, okazja jest wspaniała! — odpowiedział diuk.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał zdziwiony Gabriel.

— Chcę powiedzieć, że hugenoci liczą, że nas zaskoczą, a my na nich czekamy. Chcę przez to wyrazić, że ich plany zostały odkryte, projekty zdradzone. Będzie to dobra wojna, bo oni pierwsi wyciągnęli szpady. Nasi wrogowie sami się wydadzą w nasze ręce. Powiadam ci, że są zgubieni.

— Czy to możliwe?! — zawołał hrabia de Montgomery przygnębiony.

— Sam osądź, do jakiego stopnia wszelkie szczegóły ich szalonego przedsięwzięcia są nam znane. Szesnastego marca w południe mają się zgromadzić pod miastem i nas zaatakować. Nawiązali porozumienie z gwardią króla, ale zmieniliśmy już gwardię. Ich przyjaciele mieli im otworzyć zachodnią bramę, ale już ją zamurowaliśmy. Wreszcie ich oddziały mają przybyć tutaj potajemnie oznakowanymi ścieżkami przez las Château–Regnault. Wojska królewskie wypadną niespodzianie na podzielone grupy, w miarę jak będą nadchodziły. Nie pozwolą dotrzeć do Amboise ani połowie ich posiłków. Jesteśmy dokładnie poinformowania i wspaniale mamy się na baczności, pokładam w tym nadzieję!

— Wspaniale! — powtórzył za nim przerażony Gabriel. — Ale kto mógł cię tak dokładnie poinformować? — spytał zmieszany i nie wiedząc już, co mówi.

— Było to tak. Dwóch z pośród nich doniosło nam o projektach. Jeden za pieniądze, a drugi ze strachu. Dwaj zdrajcy, przyznaję, jeden płatny szpieg, drugi przerażony panikarz. Możliwe, że znasz szpiega, niestety, podobnie jak wielu z nas. Nie możesz mu ufać, to markiz de…

— Nic mi nie mów! — żywo zawołał Gabriel. — Nie wymieniaj nazwisk! Spytałem przez nieuwagę. Już i tak dość mi powiedziałeś! Rzeczą najtrudniejszą dla człowieka honoru jest nie zdradzić zdrajców!

— O — rzekł diuk de Guise ze zdziwieniem — pokładamy w tobie pełne zaufanie, Gabrielu. Jeszcze wczoraj rozmawialiśmy o tobie z młodą królową. Rzekłem jej, że cię wezwałem, pogratulowała mi tego.

— Po co mnie wezwałeś, Wasza Wysokość? Jeszcze tego nie wiem.

— Po co? Ależ król ma jedynie małą garstkę oddanych i pewnych na swe usługi! Jesteś dla nas jednym z nich, będziesz dowodził oddziałem przeciw rebeliantom.

— Przeciw rebeliantom? To niemożliwe! — rzekł Gabriel.

— Dlaczego niemożliwe? — spytał Pokiereszowany. — Nie przyzwyczaiłem się słyszeć takiego słowa od ciebie, Gabrielu.

— Wasza Wysokość, ja także należę do protestantów.

Diuk de Guise zerwał się na nogi gwałtownie i patrzył na hrabiego ze zdziwieniem i przerażeniem.

— Tak jest — potwierdził Gabriel ze smutnym uśmiechem. — Gdyby ci się spodobało stawić mnie przeciwko Anglikom, lub Hiszpanom, nie cofnąłbym się, wiesz o tym. Oddałbym ci swe życie więcej niż ofiarnie, bo z radością. Ale podczas wojny domowej, wojny religijnej przeciwko moim współrodakom, przeciw braciom, jestem zmuszony zachować swobodę, jaką mi — zagwarantowałeś, Wasza Wysokość.

— Ty hugenotem! — rzekł w końcu diuk de Guise.

— I to hugenotem z przekonania, Wasza Wysokość — rzekł Gabriel. — To przestępstwo, ale także wyjaśnienie odmowy. Wierzę w nowe idee i oddałem im swoją duszę.

— I swoją szpadę także, bez wątpienia? — spytał diuk ze smutkiem.

— Nie, Wasza Wysokość — z powagą odpowiedział Gabriel.

— Jakże to? Każesz mi wierzyć, że nie znasz spisku uknutego przeciwko królowi przez twych braci, jak ich nazywasz, i że ci sami bracia z radością w sercu wyrzekają się pomocy tak nieustraszonego sojusznika jak ty?

— Tak być musi — odpowiedział młody hrabia poważniej niż kiedykolwiek.

— To znaczy, że zdezerterujesz, bo twoja nowa wiara odbiera ci zaufanie do obu stron.

— Ależ, panie! — zawołał Gabriel z wyrzutem.

— Jak inaczej się urządzisz? — spytał diuk de Guise zrzucając z głowy ze złością swój toczek na pusty fotel.

— Jak inaczej się urządzę? — powtórzył Gabriel chłodno i surowo. — Sprawa jest prosta. Moim zdaniem, czym sytuacja jest bardziej fałszywa, tym człowiek powinien być bardziej szczery. Kiedy przystałem do protestantów, głośno i lojalnie oświadczyłem dowódcy hugenotów, że podczas tego panowania obowiązki moje względem króla, królowej i diuka de Guise nie pozwolą mi walczyć w szeregach protestantów, jeśli dojdzie do walki. Wiedzą, że reformacja jest dla mnie sprawą religii, a nie stronnictwa. Z nimi, podobnie jak z tobą, Wasza Wysokość, ściśle zawarowałem sobie utrzymanie wolności woli. Im tak samo jak tobie mam prawo odmówić udziału w walce. W smutnym konflikcie między poczuciem wdzięczności a wiarą serce będzie mi krwawiło z powodu wszystkich ciosów, ale moje ramię nie zada żadnego. Widać z tego, że słabo mnie znasz, Wasza Wysokość, znasz mnie źle. Wiesz teraz, w jaki sposób pozostając neutralnym mam możność pozostania człowiekiem honoru.

Gabriel mówił z ożywieniem i dumą. Pokiereszowany, nieco już uspokojony, nie mógł się powstrzymać od podziwu dla otwartości i szlachetności starego towarzysza broni.

— Jesteś dziwnym człowiekiem — rzekł mu zamyślony.

— Dlaczego dziwnym, Wasza Wysokość? Czy dlatego, — że mówię, co czynię, i czynię to, co mówię? Przysięgam, że nic nie wiedziałem o owym spisku protestantów. Przyznaję jednak, że w Paryżu jednocześnie z twoim listem otrzymałem także list od nich. Tamten list, podobnie jak twój, pozbawiony jest wyjaśnień i jedynie mnie wzywa. Przewidziałem trudną alternatywę, w jakiej mogę się znaleźć. Jednak przybyłem na podwójne wezwanie, Wasza Wysokość. Przyszedłem, żeby nie zdezerterować przed żadnym z obowiązków. Przyjechałem, żeby ci

powiedzieć: nie mogę walczyć przeciw swoim współwyznawcom. Przybyłem, żeby im rzec: nie mogę walczyć przeciwko tym, którzy ocalili mi życie.

Diuk de Guise podał rękę młodemu hrabiemu de Montgomery.

— Nie miałem słuszności — rzekł do niego serdecznie. — Przypisz mój odruch żalu smutkowi, jaki odczułem, że ty, na którego tak liczyłem, należysz do moich wrogów.

— Nie jestem wrogiem i nie będę nim nigdy, Wasza Wysokość. Czy dlatego, że zadeklarowałem się otwarciej od nich, bardziej jestem nieprzyjacielem niż książę de Condé, niż pan de Coligny, którzy podobnie jak ja są protestantami, ale bez broni?

— Ależ tak, są oni uzbrojeni, wiem wszystko dobrze! Jedynie oni kryją się z tym, że mają broń. Jest pewne, że kiedy się spotkamy, będę udawał tak jak oni, będę ich nazywał przyjaciółmi, a w razie potrzeby będę oficjalnie rękojmią ich niewinności. Komedia! To prawda, komedia niezbędna!

— Dobrze, Wasza Wysokość, ale skoro wobec mnie jesteś na tyle dobry, że odrzucasz obowiązujące formy konwencjonalne, powiedz mi, że poza wewnętrzną polityką możesz jeszcze wierzyć w moje oddanie i mój honor, chociaż jestem hugenotem. Powiedz mi zwłaszcza, że jeśli nadejdzie kiedyś dzień wojny z zewnętrznym wrogiem, uczynisz mi łaskę, zażądasz wypełnienia mego słowa i odeślesz mnie do armii, abym umarł za ojczyznę i króla.

— Tak, Gabrielu — rzekł diuk de Guise — żałując, że dzielą nas teraz różnice, wierzę ci i zawsze będę" ci wierzył. Aby ci tego dowieść i odkupić moment podejrzenia, czego żałuję, weźmiesz coś ode mnie i zrobisz z tego użytek, jaki ci się spodoba.

Podszedł do stołu i napisał kilka słów, umieścił podpis i wręczył młodemu hrabiemu.

— To rozkaz wypuszczenia ciebie z Amboise, dokądkolwiek zechcesz się udać. Na podstawie tego dokumentu jesteś wolny. Bądź pewien, że takiego dowodu szacunku i zaufania nie dałbym księciu de Condé, którego przed chwilą wspomniałeś. Od chwili, kiedy noga jego stanie w tym zamku, będzie z oddali śledzony jako wróg i milcząco pilnowany jako więzień.

— Jeśli tak, to odmawiam przyjęcia dowodu zaufania i szacunku — odpowiedział Gabriel.

— Jak to? Dlaczego? — spytał zdziwiony diuk.

— Jeśli pozwolisz mi wyjść z Amboise, czy wiesz dokąd stąd pojadę?

— To tylko ciebie obchodzi, ja o to nie pytam.

— Ale ja właśnie chcę ci to rzec Po rozstaniu się z tobą pojechałbym tam, gdzie mnie wzywa obowiązek, pojechałbym do Noisai, do rebeliantów, spotkać się z jednym z nich.

— Do Noisai? — Tam dowódcą jest Castelnau — rzekł diuk.

— Jesteś dobrze poinformowany, Wasza Wysokość, od początku do końca.

— Co chcesz czynić w Noisai, nieszczęsny?

— Istotnie, co będę tam czynił? Muszę im powiedzieć: wezwaliście mnie, więc jestem, ale nic dla was nie uczynię. Jeśli mnie zapytają, co mogłem usłyszeć i zauważyć po drodze, będę musiał milczeć. Nie będę mógł ich przestrzec przed zasadzką, jaką na nich zastawiasz, Wasza Wysokość, twoje zwierzenia pozbawiają mnie tego prawa. A zatem proszę cię, ubiegam się o jedyną łaskę…

— Jaką?

— Zatrzymaj mnie tutaj jako więźnia. Przez to mnie ocalisz od kłopotliwej sytuacji. Jeśli pozwolisz mi odjechać, będę musiał przynajmniej zaznaczyć swoją obecność wśród tych, którzy idą na stracenie, a jeśli tam pójdę, nie będę mógł ich ocalić.

Po namyśle Diuk de Guise odpowiedział:

— Gabrielu, nie mogę i nie chcę okazywać ci takiego braku zaufania. Rozwinąłem i odkryłem przed tobą cały swój plan bitwy, a ty jedziesz do przyjaciół swoich, w których interesie jest plan ów poznać. Mimo wszystko weź swoją przepustkę.

— Wobec tego udziel mi, Wasza Wysokość, przynajmniej ostatniej łaski. Błagam w imię tego, co mogłem uczynić dla twej sławy w Metz, w Italii, w Calais, w imię tego, co wycierpiałem od tamtych czasów. A wiele wycierpiałem!

— O co chodzi? Jeśli, mogą, uczynię to, przyjacielu

— Możesz, Wasza Wysokość. Może nawet powinieneś, bo chcesz pobić Francuzów. Pozwól mi, bym ich odwiódł od fatalnego zamiaru bez ujawniania im pewnego wyjścia, ale doradzając, prosząc, zaklinając ich.

— Miej się na baczności, Gabrielu — rzekł z uroczystą powagą diuk de Guise. — Jeśli wymknie ci się chociaż jedno słówko na temat naszych przygotowań, a buntownicy utrzymają swoje zamiary zmieniając jedynie ich sposób wykonania, wtedy król, królowa i ja będziemy zgubieni. Dobrze zważ sobie tę sprawę. A teraz czy przysięgasz na honor rycerza, że nie pozwolisz im się niczego domyślić lub czegokolwiek podejrzewać? Ani słowem, ani aluzją, ani żadnym gestem o niczym, co się dzieje tutaj?

— Zobowiązuję się do tego honorem rycerza — rzekł hrabia de Montgomery.

— Idź zatem i staraj się namówić rebeliantów, aby się wyrzekli zbrodniczego ataku. Ja wyrzeknę się z radością łatwego zwycięstwa, myśląc o uniknięciu rozlewu krwi francuskiej. Jeśli jednak nie kłamią ostatnie raporty, w ich przedsięwzięciu jest zbyt wiele ślepej ufności i uporu. Nie powiedzie ci się, Gabrielu. Mniejsza o to! Jedź i uczyń ostatni wysiłek. Ze względu na nich, a zwłaszcza na ciebie, nie chcę ci tego odmawiać.

— W ich imieniu i własnym dziękuję, Wasza Wysokość. W kwadrans później był już w drodze do Noisai.

XLI. NIELOJALNOŚĆ LOJALNOŚCI

Baron Castelnau de Chalosses był wartościowym, szlachetnym młodzieńcem, któremu protestanci powierzyli nie najłatwiejszy posterunek, nie opodal zamku Noisai, w miejscu ogólnej zbiórki oddziałów dnia szesnastego marca.

Musiał pokazywać się hugenotom, a kryć się przed katolikami. Taka delikatna sytuacja wymagała tyleż samo roztropności i zimnej krwi co odwagi.

Dzięki hasłu podanemu w liście barona La Renaudie Gabriel mógł dotrzeć bez większych przeszkód aż do barona de Castelnau.

Było już popołudnie dnia piętnastego marca. Zanim upłynie osiemnaście godzin, protestanci mają się połączyć w Noisai. Zanim upłynie ich dwadzieścia cztery, muszą zaatakować Amboise.

Nie było czasu do stracenia, aby ich odwieść od zamiaru.

Baron de Castelnau znał dobrze hrabiego de Montgomery. Widywał go wiele razy w Luwrze i przywódcy stronnictwa często o nim mówili. Poszedł zatem na jego spotkanie i przyjął jako przyjaciela i sprzymierzeńca.

— A więc jesteś, panie de Montgomery — rzekł, kiedy pozostali sami. — Prawdę mówiąc miałem nadzieję, ale nie oczekiwałem cię na pewno. Admirał zganił La Renaudie'ego za napisanie listu do ciebie. Trzeba było zawiadomić o naszych projektach hrabiego de Montgomery, ale go tu nie ściągać. Tak powiedział. Zrobiłby, co zechce. Czyż hrabia nas nie uprzedził, że za panowania Franciszka II jego szpada nie będzie do nas należała, nie będzie należała do niego samego? Na to La Renaudie odpowiedział, że list nie zobowiązuje cię do niczego i pozostawia ci całkowitą niezależność.

— To prawda — odpowiedział Gabriel.

— Niemniej jednak spodziewaliśmy się, że przybędziesz, bo pismo porywczego barona nie mówiło ci, o co chodzi. Ja mam cię powiadomić, jakie są nasze zamiary i nadzieje.

— Słucham — rzekł hrabia de Montgomery.

Castelnau powiedział wszystko to samo, co mu już oznajmił diuk de Guise. Gabriel stwierdził z przerażeniem, do jakiego stopnia diuk jest dokładnie o wszystkim poinformowany. Żaden z punktów raportów donosicieli nie zawierał niedokładności, ani jedna okoliczność spisku nie została pominięta. Spiskowcy naprawdę byli skazani na zatracenie.

— Teraz już wiesz wszystko — rzekł Castelnau do przygnębionego słuchacza. — Pozostaje mi jedynie zadać ci pytanie, na które z góry przewiduję odpowiedź. Nie możesz maszerować razem z nami?

— Nie mogę — rzekł Gabriel ze smutkiem potrząsając głową.

— W porządku. Jednak pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi. Wiem, że masz z góry przyznane prawo niemieszania się do walki. Takie twoje prawo w takiej okoliczności, kiedy jesteśmy pewni zwycięstwa.

— Czy jesteście pewni w samej rzeczy? — spytał Gabriel z intencją w głosie.

— Całkowicie pewni — odpowiedział baron — Nieprzyjaciel niczego się nie domyśla i zostanie z nagła zaskoczony. Mieliśmy moment obawy, kiedy król ze swoim dworem przeniósł się z otwartego miasta Blois do ufortyfikowanego zamku Amboise. Widać mieli jakieś podejrzenia.

— To samo rzuca się w oczy.

— Ale ustały nasze wahania, bo doszliśmy do wniosku, że taka niespodziewana zmiana rezydencji wcale nie szkodzi naszym projektom, wprost przeciwnie, doskonale im służy. Diuk de

Guise drzemie teraz w poczuciu złudnego bezpieczeństwa. Wyobraź sobie, drogi hrabio, że mamy powiązania na miejscu i że otworzą nam zachodnią bramę, kiedy tylko nadejdziemy. Sukces jest pewny, powiadam ci, i możesz bez żadnych skrupułów powstrzymać się od walki.

— Rzeczywistość nieraz zawodzi najwspanialsze nadzieje — rzekł Gabriel z powagą.

— Ale tutaj oni nie mają najmniejszej szansy przeciwko nam. Jutro nastąpi triumf naszej partii i upadek panów de Guise.

Mówiąc to Castelnau zacierał radośnie ręce.

— A… zdrada? — spytał z wysiłkiem Gabriel zasmucony głęboko widząc, że tylu odważnych młodych rzuci się z zamkniętymi oczyma w przepaść.

— Zdrada nie jest możliwa — odpowiedział niezachwiany w dobrej wierze Castelnau. — Jedynie przywódcy są wtajemniczeni i żaden z nich nie jest zdolny… Otóż wydaje mi się, panie de Montgomery, że nam zazdrościsz i chcesz nam źle wróżyć co do przedsięwzięcia przez wściekłość, że nie możesz w nim wziąć udziału. Fe, zazdrośniku!

— Tak, to prawda, zazdroszczę wam — rzekł Gabriel z posępną miną.

— Tego byłem pewny! — śmiał się młody baron.

— Mimo wszystko masz do mnie jakieś zaufanie?

— Ślepe zaufanie, jeśli mamy rozmawiać poważnie — oświadczył Castelnau.

— Czy chcesz posłuchać dobrej rady, rady przyjaciela?

— Jakiej?

— Wyrzeknijcie się jutro zamiaru zdobycia Amboise. Roześlij natychmiast posłańców, ludzi pewnych, do naszych, którzy mają się z tobą połączyć dzisiejszej nocy lub jutro. Każ im rzec, że projekt jest chybiony lub musi zostać odwleczony na później.

— Ależ dlaczego? Dlaczego? — pytał Castelnau, który zaczął się niepokoić. — Chcesz mi przez to powiedzieć, że jest poważna przyczyna?

— Ależ nie, na Boga — odpowiedział Gabriel przykro skrępowany.

— W końcu przecież masz jakieś powody radząc, by porzucić projekt, który ma tak pomyślne wróżby.

— Nie, nie mogę powiedzieć dlaczego. Czy chcesz i możesz mi wierzyć na słowo? Posuwam się już i tak dalej, niż powinienem. Uczyń mi łaskę i wierz mi na słowo, przyjacielu.

— Słuchaj — poważnie odpowiedział Castelnau — jeśli wezmę na siebie taką dziwną decyzję odwrotu w ostatniej chwili, będę ponosił odpowiedzialność wobec La Renaudie'ego i innych dowódców. Czy mógłbym ich przynajmniej odesłać do ciebie?

— Tak — odpowiedział Gabriel.

— I wyjawisz im motywy, które ci dyktują taką radą?

— Niestety, nie mam prawa.

— Jakże, więc możesz chcieć, żebym ustąpił na twoje nalegania? Czyż mi nie będą bracia wyrzucać, że jednym słowem unicestwiłem całkiem pewne nadzieje?. Jakkolwiek mamy wszyscy do ciebie zasłużone zaufanie, panie de Montgomery, jednak człowiek jest tylko człowiekiem i może się mylić przy najlepszych na świecie intencjach. Jeśli nikogo nie dopuścisz do skontrolowania i potwierdzenia twoich racji, będziemy z całą pewnością musieli przejść nad nimi do wykonania planów.

— A zatem miejcie się na baczności! — powiedział surowo Gabriel. — Przyjmujesz na siebie odpowiedzialność za wszystko, co może się przytrafić złego!

Castelnau był zaskoczony tonem, jakim hrabia wypowiedział ostatnie słowa.

— Panie de Montgomery! — rzekł jakby nagle olśniony wewnętrznym światłem. — Chyba przeczuwam prawdę! Powierzono ci tajemnicę albo ją przejąłeś i nie wolno ci jej ujawnić. Ale wiesz coś poważnego o możliwym zakończeniu naszego przedsięwzięcia, na przykład o zdradzie.

Czy nie tak?

— Nic takiego nie powiedziałem! — zastrzegł się żywo Gabriel.

— Albo przed przybyciem tutaj widziałeś się z diukiem de Guise, który jest twoim przyjacielem i który nie wiedząc, że należysz do nas, zapoznał cię z sednem sprawy.

— Nie było w moich słowach nic, co mogłoby w tobie obudzić takie przypuszczenia — zawołał Gabriel.

— A może przejeżdżając przez Amboise zauważyłeś przygotowania, usłyszałeś rozkazy, sprowokowałeś zwierzenia… Wreszcie mów, czy nasz spisek został wykryty.

— Czy ja dałem ci okazję tak myśleć? — spytał przerażony Gabriel.

— Nie, panie hrabio, nie, bo naruszyłbyś tajemnicę, widzę to. Toteż nie proszę o potwierdzenie, o żadne słowo, jeśli nie chcesz. Ale jeśli się nie mylę, jeden gest, mrugnięcie okiem, nawet twoje milczenie mogą wystarczyć, by mnie oświecić.

Tymczasem Gabriel, wielce zaniepokojony, przypomniał sobie słowo honoru dane diukowi de Guise. Na honor rycerza zobowiązał się nie pozwolić się niczego domyślić, niczego podejrzewać. Ani słowem, ani aluzją, ani gestem nie miał zdradzić tego, co się działo w Amboise.

Kiedy jego milczenie przedłużało się, odezwał się baron Castelnau z oczami utkwionymi w jego twarzy:

— Milczysz, rozumiem cię i wskutek tego będę działał.

— Co uczynisz? — spytał z ożywieniem Gabriel.

— Jak mi na początku radziłeś, ostrzegę pana La Renaudie i innych dowódców, powstrzymam całą wyprawę, oświadczę naszym, kiedy przybędą, że jeden z godnych zaufania doniósł nam o możliwości zdrady…

— Ależ nie ma nic takiego! — przerwał mu szybko hrabia de Montgomery. — O niczym ci nie doniosłem, panie de Castelnau.

Castelnau ściskał mu rękę ze wzruszeniem.

— Hrabio, czy powściągliwość nawet nie może stać się dla nas wyznaniem i ocaleniem? Po takim ostrzeżeniu.:.

— Co wtedy?

— Wszystko pójdzie nam dobrze, a im źle. Odwleczemy do pomyślniejszych czasów swoje przedsięwzięcie, za wszelką cenę wykryjemy zdrajców wśród nas, podwoimy ostrożności i tajemnicę i pewnego pięknego dnia, kiedy wszystko będzie dobrze przygotowane, pewni tym razem naszego zamachu, ponowimy próbę. Dzięki tobie zamiast klęski odniesiemy triumf.

— Tego właśnie chciałem uniknąć! — rzekł Gabriel, który z przerażeniem ujrzał siebie na skraju zdrady nie zamierzonej. — Powiem ci, jaka jest prawdziwa przyczyna moich ostrzeżeń i rad. Mówię stanowczo, że uważam wasze zamiary za karygodne i niebezpieczne. Atakując katolików, całą winę ściągacie na siebie. Dajecie uzasadnienie dla wszystkich prześladowań. Z uciskanych stajecie się rebeliantami. Jeśli narzekacie na ministrów, dlaczego zabieracie się do młodego króla? Jestem śmiertelnie smutny myśląc o tym wszystkim. Ze względu na dobro powinniście się wyrzec na zawsze takiej bezbożnej walki. Pozwólcie raczej, by wasze zasady walczyły w waszym imieniu. Nie powinno się rozlewać krwi dla prawdy! Jedynie to chciałem ci wyrazić. Dlatego właśnie zaklinam cię, ciebie, a także wszystkich braci, żebyście się powstrzymali od nieszczęsnych wojen domowych, które jedynie opóźnią utrwalenie naszych idei.

— Czy naprawdę to jedyna przyczyna twojej rozmowy?

— Jedyna — głucho odpowiedział Gabriel.

— Dziękuję ci przeto za intencję, panie hrabio — chłodno rzekł Castelnau. — Jednak powinienem działać w takim kierunku, jaki mi wskazali przywódcy reformacji. Pojmuję, że nie mogąc walczyć jest dla ciebie jako rycerza bolesne widzieć, jak inni walczą bez ciebie. Ale nie

możesz sam jeden hamować i paraliżować całej armii,

— A zatem pozwolisz, aby dalej obstawali przy swoim fatalnym zamiarze? I sam z nimi pójdziesz? — pytał blady i posępny Gabriel.

— Tak, panie Hrabio, jeśli pozwolisz, to odejdę, by zaraz, wydać niezbędne rozkazy do ataku w dniu jutrzejszym — Castelnau powiedział to ze stanowczością nie dopuszczającą repliki.

Skłonił się Gabrielowi i wyszedł nie czekając na jego odpowiedź.

XLII. POCZĄTEK KOŃCA

Gabriel jednak nie ruszył się z zamku Noisai, postanowił spędzić w nim noc. Jego obecność będzie dla kalwinistów dowodem jego uczciwości, w razie gdyby zostali zaatakowani. Poza tym miał nadzieję nazajutrz rano przekonać jeśli nie Castelnau, to któregoś innego dowódcę, nie tak zaciekle upartego. Gdyby nadjechał La Renaudie!

Castelnau pozostawił Gabrielowi całkowitą swobodę i z pewną pogardą nie zwracał na niego uwagi. Hrabia de Montgomery spotykał go owego wieczoru kilkakrotnie na korytarzu i w salach zamku chodzącego tu i tam, wydającego polecenia dla rekonesansów i dotyczące zaprowiantowania.

Obaj dzielni młodzieńcy, równie dumni jak szlachetni, nie wymieniali jednak między sobą ani słowa.

Podczas długich godzin nocnej udręki hrabia de Montgomery, za bardzo niespokojny, by mógł usnąć, pozostał na wałach nasłuchując, rozmyślając i modląc się.

Z nadejściem dnia wojska protestantów zaczęły przybywać małymi, pojedynczymi grupami. O ósmej godzinie zgromadziła się już ich znaczna liczba. O jedenastej Castelnau nie oczekiwał żadnej więcej.

Gabriel nie znał jednak żadnego z dowódców. La Renaudie przekazał wiadomość, że zajmie las Château–Regnault przed wyruszeniem na Amboise ze swoimi oddziałami.

Wszyscy byli przygotowani do wymarszu. Kapitanowie Mazere i Raunai, którzy mieli tworzyć przednią straż, zeszli na taras zamku, aby ustawić swoje oddziały w szyku do marszu. Castelnau triumfował.

— No i co? — rzekł do Gabriela, któremu w swoim rozradowaniu wybaczył wczorajszą rozmowę. — Widzisz, panie hrabio, nie miałeś racji, wszystko idzie jak najlepiej.

— Poczekajmy — odpowiedział Gabriel potrząsając głową.

— Czego ci jeszcze potrzeba, żebyś uwierzył, ty niedowiarku — mówił z uśmiechem Castelnau. — Ani jeden z naszych nie sprawił zawodu, wszyscy przybyli na czas o oznaczonej godzinie z większą liczbą ludzi, niż obiecali. Przeszli przez swoje prowincje i nikt ich nie niepokoił i co ważniejsze, oni nikomu nie zakłócili spokoju. Doprawdy, niesłychane szczęście!

Słowa barona przerwał odgłos trąbek i szczęk broni, wielki tumult na zewnątrz. Ale w ufnym upojeniu nie przestraszył się wcale i myślał jedynie o szczęśliwej szansie. Rzekł do Gabriela:

— Ręczę, że to nowe posiłki nieoczekiwane. Bez wątpienia Lamothe i Deschamps ze spiskowcami z Pikardii. Mieli przybyć dopiero jutro, ale przyśpieszyli marsz, dzielni towarzysze! Aby także mieli swój udział w walce i zwycięstwie. To są przyjaciele!

— Czy naprawdę to przyjaciele? — spytał Gabriel, który pobladł słysząc dźwięk trąbek.

— A któż inny mógłby być? Chodź do tej galerii, panie hrabio. Przez zębate blanki roztacza się dobry widok na taras, skąd dochodzi zgiełk.

Pociągnął za sobą Gabriela. Kiedy podszedł jednak do krawędzi muru, krzyknął głośno, podniósł w górę ręce i stał jak skamieniały.

Nie były to wojska kalwinistów, ale oddziały królewskie. One spowodowały tumult. Nie Lamothe dowodził nowo przybyłymi, ale Jakub de Savoie, diuk de Nemours.

Dzięki lasom otaczającym zamek Noisai jeźdźcy królewscy mogli przybyć znienacka na otwarty taras, na którym przednia straż rebeliantów ustawiała się w szyku bojowym.

Nawet nie doszło do walki, bowiem diuk de Nemours opanował przede wszystkim broń złożoną w kozły.

Mazere i Raunai musieli się poddać bez oddania strzału. W momencie kiedy Castelnau patrzył z góry muru, jego ludzie, pokonani bez bitwy, oddawali szpady zwycięzcom. Tam gdzie spodziewał się ujrzeć żołnierzy, widział jedynie jeńców.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Stał przez chwilę nieruchomo zdumiony, jak wrosły w ziemię, niezdolny do wymówienia słowa. Takie wydarzenie nie mieściło mu się w głowie i z początku z trudem zdawał sobie sprawę z sytuacji.

Gabriel, mniej zaskoczony nagłym ciosem, był równie przygnębiony.

Kiedy tak patrzyli na siebie, obaj posępni i bladzi, wszedł chorąży szybkim krokiem szukając barona Castelnau.

— Co z nami? — spytał baron odzyskując głos pełen niepokoju.

— Panie baronie, opanowali most zwodzony i pierwszą bramę. Zaledwie zdążyliśmy zamknąć drugą. Ale ona nie wytrzyma i za kwadrans będą na dziedzińcu. Czy mamy próbować walki, czy prowadzić układy? Czekają na twój rozkaz — rzekł chorąży.

— Już idę — rzekł Castelnau. — Czas się uzbroić, schodzę na dół.

Z pośpiechem wszedł do sąsiedniej sali, by nałożyć zbroję i przypasać szpadę. Gabriel poszedł za nim.

— Co masz zamiar uczynić, przyjacielu? — spytał ze smutkiem.

— Nie wiem, nic nie wiem — odpowiedział Castelnau jak w obłędzie. — W każdym razie mogę umrzeć.

— Niestety! Dlaczego mi nie uwierzyłeś wczoraj?

— Tak, miałeś słuszność, widzę to — odpowiedział baron — Przewidziałeś, co nastąpi. Może z góry o tym wiedziałeś?

— Może? To dla mnie największa męka. Ale pomyśl, Castelnau, zdarzają się w życiu takie dziwne i straszliwe komplikacje losu. Nie miałem prawa przekonać cię za pomocą istotnych racji, choć cisnęły mi się na usta. Jeśli dałem słowo szlachcica, że nie pozwolę ci się niczego domyślać, podejrzewać prawdy ani pośrednio, ani bezpośrednio?

— Dobrze zatem uczyniłeś, że milczałeś, postąpiłbym tak samo na twoim miejscu. To ja, niemądry, powinienem był cię zrozumieć, to ja powinienem był pomyśleć, że rycerz tak waleczny jak ty nie odradza bitwy bez poważnych powodów. Odpokutuję swoją winę, umrę.

— Wobec tego ja także umrę z tobą — rzekł ze spokojem Gabriel.

— Ty? Dlaczego? Musisz jedynie powstrzymać się od walki.

— Toteż nie będę walczył, nie mogę. Ale ciąży mi życie. Pozornie podwójna rola, jaką gram, jest dla mnie wstrętna. Wmieszam się do walki bez broni. Sam się nie zabiję, ale pozwolę się zabić. Może będę mógł rzucić się naprzód, żeby ciebie osłonić przed ciosem. Jeśli nie mogę szpadą, mogę jeszcze służyć jako puklerz.

— Nie, zostań tutaj. Nie powinienem, nie chcę cię wciągać we własną zgubę.

— Wciągniesz w nią bez pożytku i bez nadziei tych wszystkich naszych, którzy zamknęli się z tobą w zamku. Moje życie jest bardziej niepotrzebne niż ich.

— Czyż mogę uczynić inaczej niż żądać od nich ofiary dla chwały naszego stronnictwa? Męczennicy są nieraz bardziej użyteczni i więcej chwały przysparzają sprawie niż zwycięzcy.

— Tak, ale twój obowiązek dowódcy czy ci nie każe w pierwszej kolejności starać się ocalić powierzone ci siły? Potem, masz swobodę umrzeć na ich czele, jeśli ocalenie nie godzi się z honorem.

— Co mi radzisz zatem? — spytał Castelnau.

— Spróbować środków pokojowych. Jeśli będziesz się opierał, nie masz żadnych szans na uniknięcie klęski i masakry. Jeśli ustąpisz wobec konieczności, nie mają prawa karać nie wykonanego planu, tak mi się wydaje. Nie przesądza się, nie karze się tym bardziej za zamiary.

Rozbroisz wrogów sam się rozbrajając.

— Ogromnie żałuję, że nie posłuchałem twego zdania, więc tym razem pójdę za twoją radą. Mimo wszystko przyznaję, że się waham. Wzdrygam się przed cofaniem się.

— Aby się wycofać, trzeba przedtem uczynić krok naprzód. A kto potwierdzi tutaj, kto dowiedzie ci rebelii? Dopiero wyjmując szpadę okażesz się winny. Czekaj, moja obecność tutaj może jeszcze na coś się przydać, Bogu dzięki. Nie mogłem ocalić cię wczoraj, czy chcesz, żebym spróbował to uczynić dzisiaj?

— Co byś uczynił? — spytał załamany Castelnau.

— Jedynie to, co jest w zgodzie z twoją godnością, bądź spokojny. Pójdę do diuka de Nemours, który dowodzi królewskim oddziałem. Oznajmię mu, że nikt mu nie stawia oporu, że otworzy się przed nim bramy i że mu się poddasz, ale na słowo honoru. Powinien zaręczyć swoją prawością diuka, że nic złego się nie stanie ani tobie, ani twoim rycerzom i że po odprowadzeniu was przed króla, żebyście mogli mu przedstawić swoje żale i prośby, wypuści was na wolność.

— A jeśli odmówi? — spytał Castelnau.

— Jeśli odmówi, wina będzie po jego stronie. Jeśli odrzuci sprawiedliwe i honorowe pojednanie, cała odpowiedzialność za przelaną krew spadnie na jego głowę. Jeśli odmówi, powrócę do waszych szeregów, żeby umrzeć przy twym boku.

— Czy przypuszczasz, że gdyby La Renaudie był na moim miejscu, zgodziłby się na to, co proponujesz?

— Przysięgam na moją duszę! Każdy rozsądny człowiek na to by się zgodził.

— Uczyń tak. Obawiam się, że ci się nie powiedzie u diuka. Wtedy beznadziejność naszej sytuacji będzie jeszcze straszliwsza.

— Dziękuję — rzekł Gabriel. — Mam nadzieję, że mi się powiedzie i że z bożą pomocą uda mi się ochronić tak wiele szlachetnych, walecznych egzystencji.

Zbiegł na dół, kazał otworzyć przed sobą bramę na dziedziniec i z chorągwią parlamentariusza w ręce zbliżył się do diuka de Nemours, który na koniu wśród swoich wojsk czekał na pokój lub wojnę.

— Nie wiem, czy Wasza Wysokość mnie poznaje. Jestem hrabia de Montgomery.

— Tak, panie de Montgomery, poznaję cię — odpowiedział Jakub de Savoie. — Pan de Guise mnie uprzedził, że zastanę cię tutaj, i dodał, że jesteś tu za jego przyzwoleniem i polecił mi traktować cię jako przyjaciela.

— Taka przezorność może narazić mnie na zniewagi wobec innych nieszczęśliwych przyjaciół — rzekł Gabriel ze smutkiem kiwając głową. — Wasza Wysokość, czy mogę się ośmielić prosić o chwilę rozmowy?

— Jestem do twej dyspozycji, panie — rzekł diuk de Nemours.

Castelnau śledził z niepokojem wszystkie ruchy diuka i Gabriela przez zakratowane okno zamku. Ujrzał, że odchodzą na bok i rozmawiają przez kilka minut z ożywieniem. Potem Jakub de Nemours poprosił o coś do pisania i na bębnie napisał szybko kilka linijek, a potem podał kartkę hrabiemu de Montgomery. Widać było, że Gabriel mu dziękuje serdecznie.

Istnieje więc nadzieja. Gabriel — rzeczywiście powrócił szybko do zamku i w chwilę później, zadyszany, bez słowa podał panu de Castelnau następujące oświadczenie:

„Po moim przybyciu do Noisai pan de Castelnau i jego towarzysze z zamku zgodzili się oddać broń i poddać się. Ja niżej podpisany Jakub de Savoie przysiągłem im na swoją prawość książęcą, na honor i zbawienie duszy, że nie doznają niczego złego i że ich doprowadzę zdrowych i całych. Piętnastu z nich z panem de Castelnau na czele ma mi towarzyszyć do Amboise, aby przedłożyli królowi swoje pokojowe zastrzeżenia. W zamku Noisai, dnia 16 marca 1560 roku.

Jakub de Savoie”.

— Dziękuję, przyjacielu — rzekł Castelnau do Gabriela po przeczytaniu pisma. — Ocaliłeś nam życie i więcej niż życie, bo honor. Na takich warunkach jestem gotów pojechać z panem de Nemours do Amboise, gdyż teraz przybędziemy do króla nie jako jeńcy do zwycięzcy, ale jako uciemiężeni do swego monarchy. Jaszcze raz dzięki!

Ściskając dłoń swego wyswobodziciela, Castelnau zauważył, że Gabriel powrócił tak samo smutny jak przedtem.

— Co ci jeszcze dolega? — spytał.

— Myślę teraz o panu La Renaudie i innych protestantach, którzy mają dzisiejszej nocy zaatakować Amboise. Z pewnością jest już za późno, zęby ich ocalić. A może jednak spróbowałbym? Czy La Renaudie ma jechać przez las Château–Regnault?

— Tak — rzekł Castelnau skwapliwie — może jeszcze mógłbyś go tam odnaleźć i ocalić podobnie jak nas.

— Będę usiłował — rzekł Gabriel. — Diuk de Nemours pozostawi mnie na wolności, mam nadzieję. Żegnaj zatem, przyjacielu. Będę kontynuował swoją rolę pojednawczą. Do zobaczenia w Amboise.

— Do widzenia — odpowiedział Castelnau.

Zgodnie z przewidywaniami Gabriela diuk de Nemours nie sprzeciwił się, by opuścił Noisai i oddziały królewskich wojsk. Pełen zapału i poświęcenia, młody hrabia wyruszył na koniu w kierunku lasów Château–Regnault.

Castelnau i piętnastu dowódców, ufnych i spokojnych, udało się wraz z Jakubem de Nemours do Amboise.

Kiedy jednak przybyli do zamku, natychmiast ich wtrącono do więzienia. Powiedziano im, że mają tam pozostać do czasu, aż zakończą się utarczki i nie będzie już niebezpiecznie dopuścić ich przed oblicze króla.

XLIII. LAS POD CHÂTEAU–REGNAULT

Na szczęście las pod Château–Regnault był odległy od Noisai nie więcej niż o półtorej mili. Gabriel ruszył galopem na dobrym wierzchowcu. Kiedy tam przybył, ponad godzinę jeździł po nim w rozmaitych kierunkach i nie natknął się na żaden oddział ani przyjacielski, ani wrogi.

Wreszcie usłyszał, gdy skręcił w boczną, drogę, regularny tętent kawalerii. Nie mogli to być jednak kalwiniści. Słychać było śmiech i rozmowy, a hugenoci przykładali wielką wagę do ukrycia swego przemarszu w najzupełniejszej ciszy.

Mniejsza o to! Gabriel ruszył w tamtą stronę i niebawem dostrzegł czerwone szarfy królewskich oddziałów. Przybliżył się do dowódcy, poznał go, a on także rozpoznał Gabriela.

Był to baron de Pardaillan, młody, waleczny oficer, który razem z nim walczył pod dowództwem diuka de Guise w Italii.

— O, hrabia de Montgomery! Myślałem, że jesteś w Noisai — rzekł Pardaillan.

— Jadę stamtąd — odpowiedział Gabriel.

— Co się tam działo? Jedź kawałek z nami i opowiedz mi.

Gabriel opowiedział o nagłym zjawieniu się diuka de Nemours, o zdobyciu tarasu i zwodzonego mostu, o swojej interwencji między obu stronami i o pokojowym poddaniu się, które taki szczęśliwy osiągnęło wynik.

— Dalibóg! Pan de Nemours miał szczęście, chciałbym i ja mieć takie. Czy wiesz, panie de Montgomery, przeciwko komu idę w obecnej chwili?

— Pewnie przeciwko panu La Renaudie — rzekł Gabriel.

— Właśnie. A czy wiesz, kim dla mnie jest La Renaudie?

— Chyba twoim kuzynem, przypominam sobie.

— Tak, moim kuzynem i więcej niż kuzynem, przyjacielem, towarzyszem broni. Czy wiesz, jak ciężko walczyć przeciw temu, kto najczęściej bił się obok ciebie?

— O tak! — odpowiedział Gabriel. — Ale nie masz pewności, czy go spotkasz?

— Ależ tak. Jestem tego pewny. Otrzymane instrukcje są zbyt dokładne, a raporty donosicieli aż nadto wierne. Czekaj, jeszcze kwadrans jazdy, w drugiej alei na lewo mam stanąć twarzą w twarz z panem La Renaudie.

— A gdybyś pojechał inną aleją? — podpowiedział mu Gabriel.

— Poniósłbym ujmę na honorze i nie spełniłbym obowiązku żołnierza. Chciałbym, ale nie mogę. Moi dwaj porucznicy otrzymali takie same rozkazy jak ja od diuka de Guise i nie dopuszczą, żeby im przeciwdziałać. Nie, jedyną moją nadzieją, że La Renaudie zgodzi się mi poddać. Bardzo niepewna nadzieja! Jest przecież dumny i odważny. W otwartym polu nie da się zaskoczyć tak jak Castelnau. Nie będziemy go przewyższać znacznie liczebnością. Pomożesz mi, panie de Montgomery, i doradzisz mu pokój?

— Uczynię, co potrafię.

— Do diaska z wojnami domowymi! — wykrzyknął Pardaillan na zakończenie.

Jechali około dziesięciu minut w całkowitym milczeniu. Gdy skręcili w drugą aleję na lewo, Pardaillan rzekł:

— Musimy się przybliżyć. Bije mi serce. Po raz pierwszy w życiu boję się, niech mnie Bóg skarze!

Królewscy jeźdźcy już nie rozmawiali, nie słychać było śmiechów, jechali powoli i ostrożnie.

Jeszcze nie uczynili dwustu kroków, kiedy poprzez gęstwinę drzew na ścieżce biegnącej wzdłuż głównej drogi ujrzeli błysk broni.

Ich wątpliwości nie trwały długo, bo prawie jednocześnie stanowczy głos krzyknął:

— Stój! Kto idzie!

— To głos La Renaudie'ego — rzekł Pardaillan do Gabriela.

Wtedy odpowiedział na wołanie:

— Valois i Lorraine!

Natychmiast naprzeciw wyjechał na koniu z alei La Renaudie ze swoim oddziałem. Kazał jednak swojemu wojsku zatrzymać się i podjechał naprzód sam.

Pardaillan postąpił tak samo. Krzyknął do zbrojnych: Stój! i zbliżył się razem z Gabrielem.

Można by myśleć, że podjeżdżają do siebie dwaj przyjaciele, stęsknieni po długim niewidzeniu, a nie wrogowie gotowi walczyć przeciw, sobie.

— Odpowiedziałbym ci, tak jak powinienem — rzekł La Renaudie — gdybym nie rozpoznał przyjaznego głosu. Czy się nie mylę, chyba przyłbica kryje oblicze mojego drogiego Pardaillana?

— Tak, to ja, mój biedny La Renaudie — odpowiedział Pardaillan. — Mam dla ciebie braterską radę: wyrzecz się tej wyprawy, przyjacielu, i spuście natychmiast broń.

— Ach tak! Czy to naprawdę braterska rada? — spytał z ironią La Renaudie.

— Tak, panie La Renaudie — odpowiedział Gabriel ukazując swą twarz. — Rada lojalnego przyjaciela, potwierdzam. Castelnau poddał się panu de Nemours dzisiaj rano. Jeśli nie będziesz go naśladował, marnie zginiesz.

— No, no! Panie de Montgomery! Ty także jesteś po ich stronie?

— Nie jestem ani z nimi, ani z tobą — odpowiedział ze smutkiem Gabriel. — Jestem między wami.

— Wybacz mi, panie hrabio — rzekł La Renaudie, wzruszony szlachetnym i godnym tonem odpowiedzi Gabriela. — Nie chciałem cię obrazić. Raczej o sobie bym zwątpił niż o tobie.

— Wierz mi zatem i nie narażaj się na walkę bezużyteczną i zgubną. Poddaj się.

— To niemożliwe! — odpowiedział La Renaudie.

— Musisz się dowiedzieć, że jesteśmy zaledwie słabą strażą przednią — dodał Pardaillan.

— A czy sądzisz, że ja zacząłem jedynie z taką garstką walecznych, którzy są tutaj?

— Uprzedzam cię, że w swoich szeregach masz zdrajców — rzekł Pardaillan.

— A teraz są w waszych — odpalił La Renaudie.

— Podejmuję się uzyskać łaskę dla ciebie u diuka de Guise — rzekł jeszcze Pardaillan nie wiedząc, co jeszcze wyszukać.

— Łaska dla mnie! Spodziewam się wkrótce łaski rozdawać raczej niż je otrzymywać! — zawołał La Renaudie.

— La Renaudie, La Renaudie! Chyba nie zechcesz mnie zmusić, do skierowania broni przeciw tobie, Godfrydzie, stary mój przyjacielu, druhu dzieciństwa!

— Musisz się jednak na to przygotować. Pardaillan. Za dobrze mnie znasz, żebyś uwierzył, że ustąpię z pola bitwy.

— Panie La Renaudie, znowu nie masz słuszności — rzekł Gabriel.

Ale gwałtownie mu przerwano. Kawalerzyści obu partii, stojąc w pewnym oddaleniu i patrząc na siebie, nie pojmowali nic z owych dziwnych rozmów dowódców i płonęli chęcią utarczki. Swędziły ich ręce.

— Do diaska! O czym tak długo rozprawiają? — szemrali żołnierze Pardaillana.

A hugenoci mówili:

— Czy myślą, że przybyliśmy tutaj po to, żeby patrzeć, jak tamci rozmawiają o swoich sprawach?

— Poczekaj, poczekaj — rzekł jeden z oddziału hugenotów, w którym każdy żołnierz czuł się dowódcą. — Znam sposób na skrócenie ich rozmowy.

W chwili gdy Gabriel zaczął mówić, oddał strzał z pistoletu w grupę żołnierzy Pardaillana.

— Widzisz — z żalem rzekł Pardaillan — pierwszy strzał padł z ręki twoich.

— Bez mojego rozkazu — żywo rzekł La Renaudie. — Ale skoro kości zostały rzucone, tym gorzej! Naprzód, przyjaciele, naprzód!

Wrócił do swego oddziału, a Pardaillan, żeby nie pozostać w tyle, uczynił to samo krzycząc:

— Naprzód!

Dano ognia.

Tymczasem Gabriel stał nieruchomo między czerwonymi i białymi, między królewskimi wojskami a kalwinistami. Zaledwie trochę odsunął się z koniem w bok i był narażony na strzały z obu stron.

Przy pierwszej strzelaninie pióropusz na jego hełmie przebiła kula, a koń jego padł pod drugą. Uwolnił się ze strzemion i stał bez ruchu, zamyślony wśród ogólnego zamieszania.

Proch się wyczerpał, wtedy oba oddziały prowadziły dalszą walkę na szpady.

Gabriel ciągle stał bez ruchu wśród szczęku oręża i nawet nie tknął rękojeści szpady. Zadowolił się patrzeniem na wściekłe ciosy zadawane wokół niego, smutny i ponury jak obraz Francji wśród wrogich sobie Francuzów.

Kalwiniści, słabsi liczebnie i mniej zdyscyplinowani, zaczęli się załamywać.

W ogólnym tumulcie La Renaudie zbliżył się do Pardaillana.

— Ku mnie! — zawołał. — Niech przynajmniej zginę z twojej ręki!

— Ach! — krzyknął Pardaillan. — Ten, który zabije drugiego, okaże się bardziej wspaniałomyślny!

Zderzyli się z wielką siłą. Zadawane cięcia dźwięczały na zbrojach jak młoty na kowadle. La Renaudie wirował wokół Pardaillana, który mocno trzymał się w siodle, parował i odparowywał ciosy bez śladu zmęczenia. Dwaj rywale, zawzięci w zemście, nie byliby bardziej zażarci.

Wreszcie La Renaudie zagłębił szpadę w piersi Pardaillana, który spadł z konia. Ale nie Pardaillan wydał okrzyk, lecz La Renaudie.

Szczęście to było dla zwycięzcy, że nawet nie zdążył przyjrzeć się swemu zgubnemu zwycięstwu. Montigny, paź Pardaillana, strzelił do niego z rusznicy i strącił go, śmiertelnie rannego, z wierzchowca.

Jednak zanim zmarł, La Renaudie zdołał jeszcze przebić szpadą pazia, który w niego trafił, tak że młody padł trupem na miejscu.

Wokoło trzech trupów powstało zamieszanie, tam się skoncentrowała walka bardziej zażarta niż przedtem.

Hugenoci całkiem widocznie przegrywali, królewscy brali górę. Niebawem kalwiniści, pozbawieni wodza, doznali pełnej klęski. Większość z nich poległa. Niektórych wzięto jako jeńców, część uciekła. Zaciekła, krwawa walka nie trwała dłużej niż dziesięć minut.

Kawaleria królewska ustawiła się w szyku powrotnym do Amboise. Na tego samego, konia położono trupy obu wodzów razem, La Renaudie'ego i Pardaillana.

Gabriel, mimo swych najgorętszych życzeń, oszczędzany widać przez obie strony, nie odniósł najmniejszego zadrapania. Ze smutkiem spoglądał na dwa ciała, niedawno jeszcze ożywione najszlachetniejszymi sercami, jakie znał.

— Który z nich był dzielniejszy? — zapytywał siebie. — Który z nich bardziej kochał drugiego? Przez utratę którego ojczyzna poniosła większą stratę

XLIV. O POLITYCE W SZESNASTYM WIEKU

Oddanie zamku w Noisai i potyczka w lesie pod Château–Regnault nie był to jeszcze kres wszystkiego.

Większość spiskowców z Nantes nie była powiadomiona o dwóch kolejnych klęskach protestantów i maszerowała w kierunku Amboise w zamiarze zaatakowania zamku tejże nocy. Wiemy, że z powodu szczegółowych raportów adwokata Lignières oczekiwano ich.

Toteż młody król nie chciał się położyć spać. Stał, zaniepokojony, lub chodził nerwowymi krokami po obszernej, przestrzennej sali, ogołoconej z ozdób, jaką mu przeznaczono na komnatę.

Maria Stuart, diuk de Guise i kardynał de Lorraine czuwali przy nim i dzielili jego oczekiwanie.

— Noc długa jak wieczności — mówił Franciszek II. — Czują się chory, głowa jak w ogniu, bóle ucha nie do wytrzymania sprawiają mi tortury. Co za noc!

— Biedny, drogi Sire — łagodnie odpowiedziała Maria — nie ruszaj się tyle, zaklinam cię. Zwiększasz tym bóle ciała i cierpienia duszy. Na litość boską, odpocznij choć przez kilka minut!

— Czyż mogę odpoczywać, Mario, czy mogę być spokojny, kiedy mój naród się buntuje i podnosi broń przeciwko mnie! Ach! Wszystkie te troski z pewnością skrócą mi życie, którego tak mało przydzielił mi Bóg.

Maria nic nie odpowiedziała, tylko łzy płynęły po jej uroczej twarzyczce.

— Wasza Królewska Mość nie powinien wzruszać się do tego stopnia — rzekł diuk de Guise. — Miałem już zaszczyt zapewnić, że przedsięwzięliśmy środki ostrożności, i zwycięstwo jest oczywiste. Odpowiadam za ciebie przed tobą, Sire.

— Czyż nie zaczęliśmy pomyślnie? — dodał kardynał de Lorraine. Castelnau uwięziony, La Renaudie zabity, czyż nie są to szczęśliwe wróżby na zakończenie całej sprawy?

— W samej rzeczy, szczęśliwe Wróżby — rzekł z goryczą Franciszek.

— Jutro wszystko będzie zakończone — dodał kardynał. — Inni zbuntowani dowódcy wpadną w nasze ręce i będziemy mogli ich zastraszyć okrutnym losem tych, którzy ośmieliliby się ich naśladować.

Król aż się wzdrygnął ze wstrętem.

— To konieczne, Najjaśniejszy Panie — wtrącił, widząc odruch króla. — Uroczysty Akt Wiary, jak mówią w Hiszpanii, jest konieczny dla chwały zelżonej religii i dla zagrożonego bezpieczeństwa tronu. Na początek musi umrzeć Castelnau. Pan de Nemours przysiągł mu, że zostanie oszczędzony, ale nas to nie dotyczy, my nic nie obiecywaliśmy. La Renaudie wymknął się przed torturami przez śmierć. Ale wydałem rozkaz, aby jutro od świtu jego głowa została wystawiona na widok publiczny na moście w Amboise z napisem: Dowódca rebeliantów.

— Dowódca rebeliantów! — powtórzył młody król. — Przecież sam mówiłeś, że nie on był wodzem, że zeznania i korespondencja spiskowców dowodzą, że prawdziwym motorem zamysłu był jedynie książę de Condé.

— Na litość boską! Nie mów tak głośno, Najjaśniejszy Panie, błagam cię o to — przerwał mu kardynał. — Tak, to prawda, książę wszystkim kierował z daleka. Bezbożnicy zwali go Niemym Kapitanem. Po pierwszym sukcesie miał wystąpić jawnie. Ale skoro brak sukcesu, nie wystąpił i już się to nie stanie. Nie popychajmy go do jakiejś niebezpiecznej ostateczności. Nie uznawajmy oficjalnie jego związku z rewoltą, to zbyt potężna głowa. Udawajmy, że go nie widzimy, żeby nie zaszła potrzeba go pokazać.

— Niemniej jednak pan de Condé jest prawdziwym rebeliantem! — rzekł Franciszek.

Ponosiła go młodzieńcza niecierpliwość, nie uznawał owych fikcji rządowych, jak je odtąd nazywano.

— Tak, Sire — odpowiedział diuk de Guise. — Książę jednak jest daleki od przyznania się do owych planów, wprost przeciwnie, zarzeka się ich. Udawajmy, że wierzymy mu na słowo. Książę przybył dzisiaj zamknąć się w Amboise, strzegą go z daleka, w taki sam sposób, w jaki on spiskował, z daleka. Udawajmy, że przyjmujemy go jako, sprzymierzeńca. To mniej niebezpieczne niż mieć w nim wroga. Jeśli zajdzie potrzeba, książę dzisiejszej nocy sam uderzy z nami — jako wspólnikami na kalwinistów i będzie asystował jutro przy ich egzekucji. Czyż nie ulega konieczności o wiele przykrzejszej niż ta, jaka nam przypadła w udziale?

— To na pewno — rzekł król. — Ale czy uczyni tak? A jeśli uczyni, to czyż możliwe, by był winien?

— Sire — odpowiedział kardynał — mamy w rakach i możemy przedłożyć, jeśli Wasza Królewska Mość sobie tego życzy, wszystkie dowody potajemnego współudziału pana de Condé. Czym jednak dowody są bardziej oczywiste, tym więcej musimy ukrywać niektóre słowa, które mi się — wymknęły, czego żywo żałuję, bo mogłyby obrazić księcia, gdyby mu je kto doniósł.

— Lękać się obrażenia winowajcy! — zawołał król. — Ale co to za hałas na zewnątrz? O Jezu! Czyżby to byli buntownicy?

— Już tam biegnę — rzekł diuk de Guise.

Zanim przekroczył próg, kapitan strzelców Richelieu wszedł i rzekł do króla:

— Wybacz, Najjaśniejszy Panie, pan de Condé usłyszał słowa źle mówiące o jego honorze i domaga się usilnie, aby mógł publicznie zmyć raz wreszcie wszelkie znieważające podejrzenia w obecności Waszej Królewskiej Mości.

Możliwe, że król odmówiłby księciu widzenia. Jednak diuk de Guise uczynił mu znak. Strzelcy kapitana Richelieu rozstąpili się, a pan de Condé wszedł z wysoko podniesioną głową i zaczerwienioną twarzą.

Szło za nim kilku ze szlachty, w ich liczbie kanonicy od świętego Florentyna, codzienni współbiesiadnicy w zamku Amboise, których kardynał owej nocy przedzierzgnął w żołnierzy dla potrzeb obrony. Każdy z nich prócz różańca niósł rusznicę, a na głowie miał hełm pod kapturem, było to dość pospolite w owych czasach.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł książę po złożeniu ukłonu — wybacz mi zuchwałość. Moja śmiałość może zostanie usprawiedliwiona, bezczelnością oskarżeń o nielojalność, co mi przypisują moi wrogowie, jak mi się wydaje, pokątnie. Chcę ich zmusić do wystąpienia całkiem jawnie, po to, by ich zawstydzić i spoliczkować.

— O co chodzi, panie kuzynie? — spytał młody król poważnym tonem.

— Sire, ośmielają się twierdzić, że ja jestem prawdziwym wodzem buntowników, których szalony i bezbożny zamach wprowadza obecnie zamieszanie w Państwie i przeraża Waszą Królewską Mość.

— Ach! Tak mówią? — spytał Franciszek. — A kto tak mówi?

— Przed chwilą sam pochwyciłem owe ohydne kalumnie z ust wielebnych braci od świętego Florentyna, którzy widocznie czują się tutaj jak u siebie i nie krępują się powtarzać głośno tego, co im podpowiedziano na ucho.

— Kogo zatem oskarżasz: tych, co powtarzali, czy tych, którzy szepnęli obelgę? — spytał Franciszek.

— Oskarżam jednych i drugich, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział książę de Condé — ale szczególnie podżegaczy szerzących podłe kłamstwa…

Mówiąc to, patrzył prosto w twarz kardynała de Lorraine, który, zakłopotany jego pewnością siebie, krył się za plecami brata.

— Dobrze, kuzynie — rzekł młody król. — Pozwalamy ci zmusić do milczenia potwarców i oskarżyć. Czekam.

— Zniweczyć potwarz, Najjaśniejszy Panie? Czy moje czyny nie świadczą o tym lepiej niż" wszelkie słowa? Czyż nie przybyłem na pierwsze wezwanie do tego tutaj zamku i nie zająłem miejsca wśród obrońców. Waszej Królewskiej Mości? Czy tak postępuje winowajca? Pytam ciebie samego, Sire.

— Oskarż zatem potwarców! — rzekł Franciszek, który nie chciał na pytanie odpowiedzieć.

— To także uczynię nie słowami, ale czynem, Wasza Królewska Mość — rzekł pan de Condé. — Niech sami mnie oskarżą i wystąpią jawnie. Rzucam im publicznie rękawicę wobec Boga i mego króla. Niech wystąpi człowiek bez względu na rangę i urodzenie, który zechce utrzymywać, że jestem twórcą sprzysiężenia. Wyzywam go do walki, kiedy zechce i jaką bronią zechce, choćby był mi nierówny, niech się zmierzy ze mną w boju.

Kończąc wypowiedź książę de Condé rzucił u swych stóp rękawicę. Jego wzrok nie ustawał komentować wyzwania, dumnie patrzył na diuka de Guise, który nawet nie mrugnął okiem.

Nastała chwila milczenia. Każdy myślał niewątpliwie o owym dziwnym widowisku, kiedy książę krwi wobec całego dworu bronił się udawaniem oburzenia, a nawet byle paź wiedział, że książę jest winien.

Prawdę rzekłszy, jedynie młody król był na tyle naiwny, że się zdziwił. Nikt nie miał za złe księciu jego brawury i męstwa.

Sposób patrzenia na politykę przyniesiony do Francji z dworów italskich przez Katarzynę de Medici i jej florentyńczyków był w modzie we Francji. Kto lepiej oszukiwał, był uważany za zręczniejszego. To wielka sztuka ukrywać, swe myśli i maskować czyny. Szczerość uchodziła za głupotę. Najszlachetniejsze, najbardziej prawe charaktery tamtych czasów, Coligny, Condé, kanclerz Olivier, nie umieli się ustrzec od owej zarazy.

Toteż diuk de Guise nie pogardzał księciem de Condé, podziwiał go. Z uśmiechem pomyślał, że on sam nie byłby słabszy od niego pod tym względem. Uczynił krok naprzód, zdjął powoli rękawicę i rzucił ją obok rękawicy księcia.

Nastała chwila zaskoczenia. Myślano, że diuk przyjmie bezczelne wyzwanie księcia de Condé. Nie byłby jednak wtedy tak wielkim politykiem, jakim się chwalił być. Głośno, stanowczym tonem i przekonywująco rzekł:

— Potwierdzam i podtrzymuję słowa pana księcia de Condé. Jestem na tyle jego sługą, mając zarazem honor być jego krewnym, że sam się zgłaszam jako drugi i chwycę za broń przeciw każdemu. Będę księciu asystował w słusznej obronie.

Diuk hardo patrzył swymi inkwizytorskimi oczyma na wszystkich, którzy go otaczali.

Książę de Condé nie wytrzymał jego wzroku i spuścił oczy. Poczuł się bardziej zwyciężony, niż gdyby się to działo na polu walki.

— Czy nikt nie podejmie rękawicy księcia ani mojej? — spytał diuk.

Oczywiście, że nikt się nie ruszył.

— Mój kuzynie — rzekł Franciszek II z melancholijnym uśmiechem — widzisz, wedle życzenia jesteś wolny od wszelkiego podejrzenia o zdradę, tak mi się wydaje.

— Tak, Najjaśniejszy Panie — rzekł z naiwną bezczelnością NIEMY KAPITAN. — Dziękuję Waszej Królewskiej Mości, że mi dopomogłeś.

Potem obrócił się nie bez przymusu w stronę diuka de Guise i dodał:

— Dziękuję ci, mój sprzymierzeńcu i krewniaku, panie de Guise. Spodziewam się dowieść tobie i wszystkim, walcząc tej nocy, gdyby nadeszli buntownicy, że miałeś słuszność broniąc mnie.

Potem książę de Condé i diuk de Guise z wielką kurtuazją wymienili głębokie ukłony.

Następnie książę, tak godnie uniewinniony, nie miał co czynić więcej. Pokłonił się przed królem i wyszedł, a za nim dworzanie stanowiący jego świtę.

W królewskiej komnacie pozostały jedynie cztery osoby, które zabawiła ta szczególna komedia i pomogła przetrwać momenty oczekiwania i obaw.

Z owej rycerskiej sceny wynika, że dyplomacja datuje się co najmniej od szesnastego wieku.

XLV. TUMULT W AMBOISE

Po wyjściu księcia de Condé ani król, ani królowa, ani dwaj bracia de Lorraine nie skierowali rozmowy na temat tego, co się wydarzyło. Za cichą zgodą zdawali się unikać niebezpiecznego tematu.

W niecierpliwym i ponurym milczeniu czekali, upływały minuty i godziny.

Franciszek II często podnosił rękę do rozpalonej głowy. Maria siedziała na ubocza, wpatrywała się ze smutkiem w bladą, zwiędłą, twarz młodego małżonka, od czasu do czasu ocierała łzę. Kardynał de Lorraine nasłuchiwał z natężeniem hałasu z zewnątrz. Diuk de Guise nie miał już rozkazów do wydawania. Jego ranga i obowiązek trzymały go na uwięzi przy królu. Zdawał się niesłychanie cierpieć z powodu przymusowej bezczynności. Od czasu do czasu drżał i tupał nogą jak koń bojowy gryzący krępujące wędzidło.

Tymczasem noc dobiegała końca. Zegar na wieży zaniku, a potem w kaplicy świętego Florentyna, oba wydzwoniły szóstą godzinę, wreszcie pół do siódmej. Zaczęło świtać, a żaden zgiełk ataku, żaden, alarm warty nie zamącił nocnej ciszy.

— No tak! — rzekł król oddychając z ulgą. — Zaczynam wierzyć panu kardynałowi, że ów Lignières wprowadził w błąd Waszą Eminencję, albo hugenoci zmienili plany.

— W sumie to jeszcze gorzej — powiedział Karol de Lorraine. — Byliśmy tacy pewni, że poskromimy bunt.

— Ależ nie, tym lepiej — odpowiedział Franciszek II. — Sam fakt walki byłby klęską dla władzy królewskiej…

Jeszcze król nie skończył mówić, kiedy rozległy się dwa strzały z rusznic, umówiony sygnał. Na wałach obronnych powtarzano okrzyk od posterunku do posterunku:

— Do broni! Do broni! Do broni!

— Nie ma najmniejszej, wątpliwości, to są nieprzyjaciele! — rzekł kardynał de Lorraine blednąc mimo woli.

Diuk de Guise zerwał się prawie rozradowany, złożył ukłon królowi i rzekł:

— Najjaśniejszy Panie, do zobaczenia wkrótce, licz na mnie.

Wyszedł z pośpiechem.

Jeszcze było słychać jego silny głos wydający rozkazy w antyszambrze, kiedy wybuchła nowa strzelanina.

— Widzisz, Najjaśniejszy Panie, widzisz sam, że Lignières był dobrze poinformowany i że omylił się zaledwie o kilka godzin — mówił tak kardynał może po to, aby pokryć głosem opanowujący go strach.

Król jednak wcale go nie słuchał. Gryzł ze złości pobladłe wargi i nastawiał ucha na rosnący grzmot artylerii i rusznic.

— Trudno mi uwierzyć w taką zuchwałość! — szeptał. — Taki afront dla korony!

— Zakończy się hańbą dla nędzników, Najjaśniejszy Panie! — rzekł kardynał.

— Ha! Jeśli sądzić wedle hałasu, jaki czynią, panowie z reformacji są w niezłej liczbie i niczego się nie boją!

— Wszystko zaraz przygaśnie jak słomiany ogień — rzekł Karol de Lorraine.

— Nie wygląda na to, bo" zgiełk przybliża się, a ogień rozpala zamiast przygasać — odpowiedział Franciszek.

— O Jezu! — wykrzyknęła przerażona Maria. — Czy słyszycie jak — kule uderzają w mury?

— Wydaje mi się jednak, Madame… Przypuszczam, Wasza Królewska Mość… Ja słyszę

jedynie rosnący tumult… — bełkotał kardynał.

Przerwała mu straszliwa eksplozja.

— Widzisz, kto ci odpowiada — rzekł król z gorzkim uśmiechem — mimo wszystko twoja przerażona i blada twarz temu nie przeczy.

— Czuję już zapach prochu — rzekła Maria. — Jakie hałaśliwe krzyki!

— Coraz lepiej — rzekł Franciszek. — Widocznie panowie kalwiniści już przekroczyli mury miasta i przewiduję, że będą nas oblegali według wszelkich zasad w zamku.

— Ależ, Najjaśniejszy Panie — rzekł drżący kardynał — w takiej sytuacji może byłoby lepiej, gdyby Wasza Królewska Mość schronił się w baszcie. Można mieć pewność, że jej nie zdobędą.

— Kto? Ja? Ja mam się ukrywać przed swoimi poddanymi? — zawołał król. — Przed heretykami! Pozwólcie im przyjść aż tutaj, panie wuju, jestem bardzo rad wiedzieć, jak daleko posuną swoją zuchwałość. Zobaczysz, że każą nam zaśpiewać, razem z nimi po francusku kilka psalmów i wygłoszą kazanie w naszej kaplicy świętego Florentyna.

— Na litość boską, Sire, bądź nieco rozsądniejszy — rzekła Maria.

— Nie — odpowiedział król — pójdę aż do samego końca, tutaj czekam na wiernych poddanych. Na moją godność królewską! Pierwszy, który mi uchybi należnego respektu przekona się, że sztylet u mego boku nie jest od parady.

Mijały minuty, a strzelanina stawała się coraz gęstsza. Biedny kardynał de Lorraine nie miał już siły wymówić ani słowa. Młody król zaciskał pięści z gniewu.

— Co się dzieje? — rzekła Maria Stuart. — Nikt nie przychodzi do nas i nie przynosi wieści? Czyż niebezpieczeństwo jest tak wielkie, że nikt nie może opuścić swego miejsca ani na chwilę?

— Ach, takie oczekiwanie jest nie do zniesienia, wszystko byłoby lepsze niż to! — rzekł król tracąc cierpliwość. — Znam sposób, aby dowiedzieć się co się dzieje, pójdę sam w ów zamęt. Pan generalny namiestnik chyba nie odmówi mi przyjęcia jako ochotnika.

Franciszek uczynił lalka kroków w stronę wyjścia. Maria rzuciła się przed niego.

— Sir, o czym myślisz? Taki jesteś chory! — zawołała.

— Już nie czuję bólu — rzekł król. — Oburzenie zajęło miejsce cierpienia.

— Zaczekaj, Najjaśniejszy Panie! — rzekł kardynał. — Wydaje mi się, że tym razem zgiełk oddala się naprawdę. Tak, strzały są coraz rzadsze. Oto paź, widać z nowinami.

— Najjaśniejszy Panie — wchodząc rzekł paź — pan diuk de Guise polecił mi oznajmić Waszej Królewskiej Mości, że kalwiniści odstąpili od oblężenia i cofają się.

— Wreszcie! Na szczęście! — rzekł król.

— Kiedy tylko pan generalny namiestnik uzna, że będzie mógł zejść z, murów obronnych, przyjdzie zdać sprawę ze wszystkiego królowi — rzekł paź i odszedł.

— No i widzisz, Najjaśniejszy Panie. Czyż nie przewidziałem, że to bagatela i że mój znakomity waleczny brat zda wkrótce — sprawę o owych śpiewających kantyczki? — rzekł z triumfem kardynał.

— O, wuju, jak ci nagle powróciła odwaga…

W tej samej chwili rozległ się drugi wybuch, jeszcze straszniejszy od pierwszego.

— Cóż to jeszcze za hałas? — spytał król.

— W samej rzeczy, to szczególne — rzekł kardynał drżąc na nowo. Na szczęście strach nie trwał długo. Niebawem wszedł Richelieu, kapitan rusznikarzy, z twarzą czarną od prochu i wyszczerbioną szpadą w ręce.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł — rebelianci są w całkowitym odwrocie. Zaledwie jeno zdołali wysadzić w powietrze zapas prochu, złożony przez nich przy jednej z bram. Naszym nic się nie stało. Ci z buntowników, którzy nie zostali ujęci lub zabici, przeszli z powrotem przez most i zabarykadowali się w domu na przedmieściu Vendômois, gdzie będzie nam łatwo dać im

radę. Wasza Królewska Mość może nawet widzieć ze swojego okna, jak z nimi się postępuje.

Król żwawo podszedł do okna, a za nim kardynał i w pewnej odległości królowa.

— Tak, naprawdę. Teraz dla odmiany oni są oblegani. Ale co widzę? Dym bucha z tego domu.

— Najjaśniejszy Panie, podłożono tam ogień.

— Bardzo dobrze! Doskonale! — wykrzykiwał kardynał. — Czekaj, Najjaśniejszy Panie, skaczą przez okna, dwóch, trzech, czterech… Jeszcze! Jeszcze! Czy słyszycie ich krzyki?

— Boże! Biedni ludzie! — westchnęła Maria Stuart załamując ręce.

— Wydaje mi się, że dostrzegam na czele naszych pióropusz i szarfę naszego kuzyna de Condé. Czy to naprawdę on, kapitanie? — spytał król.

— Tak, Wasza Królewska Mość — rzekł Richelieu — był cały czas razem z nami, ze szpadą w ręce, obok diuka de Guise.

— Widzisz, panie kardynale, nie dał się prosić — zauważył król.

— Musiał tak uczynię. Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Karol de Lorraine. — Jego książęca mość ryzykowałby zbyt wiele, gdyby postąpił inaczej.

Maria, pociągana i odpychana zarazem przez straszne widowisko, obserwowała dom. Rzekła:

— Ależ płomienie są coraz większe! Dom zawali się na nieszczęśliwych!

— Już się wali — rzekł król.

— Wiwat! Wszystko skończone! — zawołał kardynał.

— Ach, chodźmy stąd, Sire, tak mi przykro! — rzekła Maria odciągając króla od okna.

— Tak, litość mnie bierze — odpowiedział król.

Odszedł od okna, a pozostał przy nim jedynie bardzo rozradowany kardynał. Ale po chwili się odwrócił, słysząc głos diuka de Guise.

Pokiereszowany wszedł spokojny i dumny razem z księciem de Condé, któremu było trudno zamaskować smutek i wstyd.

— Najjaśniejszy Panie, wszystko się skończyło — rzekł diuk de Guise do króla. — Buntownicy ponieśli karę za występek. Dziękuję Bogu, że uwolnił Waszą Królewską Mość od niebezpieczeństwa. Wedle tego, co widziałem, było ono większe, niż się spodziewano. Mieliśmy wśród nas zdrajców.

— Czyż to możliwej — zawołał kardynał.

— Tak — odpowiedział diuk de Guise — przy pierwszym szturmie kalwinistom pomagali zbrojni, przyprowadzeni przez La Motte'a, zaatakowali nas z flanki. Oni przez jakiś czas władali miastem.

— To przerażające! — rzekła Maria" tuląc się do króla.

— Byłoby jeszcze gorzej, Madame, gdyby rebeliantom pomogli, tak jak się tego spodziewali, Chaudieu ze swoim oddziałem, tak, Chaudieu, brat ministra, który miał przypuścić szturm do bramy BonsHommes.

— Czy szturm się nie udał? — spytał król.

— W ogóle się nie odbył, Najjaśniejszy Panie. Kapitan Chaudieu, dzięki Bogu, spóźnił się i przybył dopiero wtedy, gdy wszyscy jego przyjaciele byli już zgniecieni. Teraz niech atakuje do woli! Będzie miał z kim rozmawiać wewnątrz i na zewnątrz murów! Aby się zastanowił, kazałem powiesić dwudziestu, trzydziestu jego wspólników wysoko, na balkonach murów Amboise. Przypuszczam, że taki widok go ostrzeże.

— Wielce sprytnie pomyślane — pochwalił kardynał de Lorraine.

— Dziękuję ci, kuzynie — rzekł król do diuka de Guise. — Widzę, że opieka boska zaważyła w tej potyczce, on sam pozwolił, aby zamieszanie wśliznęło się w plany naszych wrogów. Przede wszystkim chodźmy zatem do kaplicy podziękować Bogu.

— A następnie wydać rozkaz ukarania winowajców, którzy jeszcze żyją — dodał kardynał. — Najjaśniejszy Panie, będziesz obecny na ich egzekucji wraz z królową i królową matką?

— Ale… czy to jest konieczne? — spytał idąc ku drzwiom król w rozterce.

— Najjaśniejszy Panie, to niezbędne — odpowiedział natarczywie kardynał idąc w ślad za nim. — Pełen chwały król Franciszek I i twój znakomity ojciec, Sire, nigdy nie uchylali się od uczestnictwa w paleniu heretyków. A król Hiszpanii…

— Inni królowie czynią, co się im podoba, a ja chcę postępować także wedle własnej woli — odpowiedział Franciszek ciągle idąc naprzód.

— Muszę uprzedzić Waszą Królewską Mość, że nuncjusz jego świątobliwości liczy absolutnie na twoją obecność przy pierwszym A k c i e W i a r y za twojego panowania — dodał bezlitosny kardynał. — Kiedy wszyscy będą obecni, nawet pan książę de Condé, za co ręczę, czy wypada, aby zabrakło Waszej Królewskiej Mości?

— Niestety! Mój Boże! Pomówimy o tym, jeszcze czas. Nie wszyscy winowajcy są skazani — rzekł król.

— Ależ tak, Wasza Królewska Mość, są! — oświadczył z przekonaniem Karol de Lorraine.

— Zgoda! Dopełnisz przeto owej konieczności, która mnie przeraża, w odpowiednim miejscu i czasie. Na razie chodźmy, panie kardynale, uklęknijmy przed ołtarzem i podziękujmy Bogu za to, że raczył odwrócić od nas wszelkie niebezpieczeństwa owej konspiracji.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł diuk de Guise — nie należy wyolbrzymiać spraw i nadawać im większego znaczenia, niż na to zasługują. Niech Wasza Królewska Mość raczy zatem nie nazywać owej ruchawki konspiracją, były to zwykłe zamieszki.

XLVI. AKT WIARY

Wśród papierów pana La Renaudie znaleziono protest wyrażony w następujących słowach: „Nie czynić zamachu na władzę króla ani na książąt krwi, ani zamachu stanu na Państwo". Mimo to jednak spiskowcy podjęli otwarty bunt, a teraz musieli się spodziewać losu zwyciężonych w wojnie domowej.

Pozostawało im mało nadziei na łaskę ze względu na sposób, w jaki byli traktowani, kiedy zachowywali się jeszcze jak spokojni poddani.

W samej rzeczy, kardynał de Lorraine prowadził sprawę sądową z całkiem eklezjastyczną pasją, choć nie całkiem chrześcijańską. Powierzył parlamentowi Paryża i kanclerzowi Olivier wszczęcie procesu przeciwko panom zamieszanym w ową gardłową sprawę. Toteż rzecz potoczyła się niesłychanie szybko. W błyskawicznym tempie odbywały się przesłuchania, a jeszcze szybciej ferowano wyroki.

Zaniedbano nawet zbędnych formalności dla pomniejszych sprawców rebelii. Ludzi bez znaczenia łamano kołem lub wieszano codziennie w Amboise, nie chcąc zanudzać parlamentu. Honory i koszta sądowe przyznawane jedynie ludziom o pewnym autorytecie i renomie.

Wreszcie dzięki pobożnej gorliwości Karola de Lorraine nawet dla nich wszystko się zakończyło w ciągu niecałych trzech tygodni.

Piętnasty kwietnia został ustalony na publiczną egzekucję w Amboise dwudziestu siedmiu baronów, jedenastu hrabiów i siedmiu markizów. Razem było pięćdziesięciu szlachty i dowódców protestantów.

Nie zaniedbano niczego, co miało nadać owej szczególnej ceremonii religijnej pełnię blasku i pożądanej pompy. Poczyniono ogromne przygotowania. Od Paryża po Nantes pobudzano ciekawość publiczną dostępnymi w owej epoce środkami przekazu, to znaczy, zapowiadano egzekucję z kazalnic przez plebanów i kaznodziejów.

Wyznaczonego dnia na placu zamkowym wzniesiono trzy szykowne trybuny, bowiem krwawe widowisko miało się odbyć przy zamku. Najbardziej zbytkowna trybuna środkowa była zarezerwowana dla królewskiej rodziny.

Wokoło placu wzniesiono amfiteatralnie stopnie z desek. Udekorowali je wierni z okolic, których zgromadzona po dobrej woli lub przemocą. Mieszczan i chłopów mających wstręt dla takiego spektaklu zmuszono groźbami lub przekupstwem, by udali się na miejsce egzekucji. Na jednych nałożono grzywny, innym zagrożono odebraniem stanowisk, mistrzostw i przywilejów. Wszystkie takie przyczyny, w połączeniu z ciekawością z jednej, a fanatyzmem z drugiej strony, sprowadziły do Amboise taką chmarę ludzi, że w przeddzień fatalnego dnia ponad dziesięć tysięcy osób musiało obozować w polu.

Dnia piętnastego kwietnia od wczesnego rana na dachach miasta pełno było pospólstwa, a okna wychodzące na plac wynajmowano po dziesięć talarów za jedno, olbrzymia to była kwota na owe czasy. Duży szafot okryty czarnym suknem wznosił się na środku wolnej przestrzeni. Ustawiono tam pniak zwany C h o u q u e t, na którym — każdy skazaniec miał złożyć głowę w pozycji na klęczkach. W pobliżu fotel obity czarnym suknem miał służyć pisarzowi sądowemu, którego funkcją było wyzwać po kolei szlachetnie urodzonych i — odczytywać im głośno sentencję wyroku.

Placu strzegła szkocka kompania i królewska żandarmeria.

Po solennej mszy, której wysłuchano w kaplicy świętego Florentyna, przyprowadzono skazanych na szafot. Wielu z nich już wcześniej doświadczyło tortur. Towarzyszyli im mnisi.

Usiłowali wymusić od nich wyrzeczenie się nowej wiary. Ani jeden hugenot wszakże nie zgodził się na apostazję w obliczu śmierci. Wszyscy odmawiali odpowiedzi na pytania mnichów, podejrzewali bowiem, że wśród nich są szpiedzy kardynała de Lorraine.

Tymczasem zapełniały się trybuny z wyjątkiem środkowej. Od króla i królowej wydarto wprost zgodę na asystowanie przy egzekucji. Wymogli dla siebie jedynie tyle, że pokażą się dopiero przy samym końcu, kiedy będą ponosić karę śmierci główni przywódcy. Nadszedł wreszcie czas, że musieli przyjść, domagał się tego kardynał. Biedne królewięta! Biedni koronowani niewolnicy! Im, podobnie jak i prostakom, zagrożono utratą pozycji i przywilejów. W południe rozpoczęła się egzekucja.

Kiedy pierwszy z protestantów wszedł po stopniach szafotu, jego towarzysze zaintonowali psalm przetłumaczony na francuski przez Klemensa Marota. Śpiewali go w celu przesłania ostatniej pociechy skazańcowi, jak również po to, żeby zaznaczyć wobec wrogów starość przekonań w obliczu śmierci.

Śpiewali więc u stóp szafotu:

Boże, bądźże nam łaskawy!
Daj zbawienie swoim wiernym.
Okaż się nam miłosiernym,
Ujrzym ciebie w blasku chwały?

Każdemu wersetowi towarzyszyła spadająca głowa. A każda głowa, która spadła, czyniła ubytek jednego głosu w chórze.

O godzinie pierwszej pozostało jedynie dwunastu rycerzy, głównych dowódców spisku.

Wtedy nastąpiła przerwa. Obaj kaci byli zmęczeni i właśnie przybył król. Franciszek II był już nie blady, a siny. Maria Stuart usiadła po jego prawej, a Katarzyna de Medici po lewej stronie.

Kardynał de Lorraine zajął miejsce obok królowej matki, a księcia de Condé umieszczono obok młodej królowej.

Kiedy książę pojawił się na estradzie, prawie tak blady jak młody król, ukłoniło mu się dwunastu skazanych. Oddał im z powagą ukłon i rzekł głośno:

— Zawsze oddaję pokłon wobec śmierci.

Króla powitano z mniejszym respektem niż księcia de Condé, można by rzec. Nie było żadnych oklasków. Zauważył to, zmarszczył brwi i rzekł:

— Ach, panie kardynale, mam do ciebie żal, że nas tutaj przyprowadziłeś.

Karol de Lorraine podniósł dłoń i dał znak, że należy złożyć hołd, wtedy kilka głosów rozproszonych w tłumie krzyknęło:

— Niech żyje król!

— Słyszysz, Najjaśniejszy Panie? — spytał kardynał.

— Tak, słyszę kilku niezręcznych, którzy tym bardziej pozwalają zauważyć milczenie ogółu.

Tymczasem zapełniła się reszta królewskiej trybuny. Weszli bracia króla, nuncjusz papieski, diuszesa de Guise. Potem nadszedł diuk de Nemours, bardzo rozstrojony, przygnębiony wyrzutami sumienia.

W końcu usiedli w głębi dwaj mężczyźni, których obecność może nie była tak dziwna w owym miejscu w danej chwili, jak asysta księcia de Condé. Tymi dwoma mężczyznami byli Ambroży Paré i Gabriel de Montgomery. Inny obowiązek przywiódł każdego z nich.

Ambrożego Paré wezwał przed paru dniami do Amboise diuk de Guise, który martwił się złym stanem zdrowia swego królewskiego siostrzeńca. Maria Stuart, nie mniej zaniepokojona od wuja, widziała przygnębienie Franciszka na samą myśl o wyrokach śmierci, poprosiła zatem

chirurga, żeby był w pobliżu w celu przyjścia królowi z pomocą w razie zasłabnięcia.

Gabriel natomiast chciał uczynić ostatnią próbę ocalenia przynajmniej jednego ze skazanych, tęgo, którego na końcu miał ugodzić topór. Wyrzucał sobie, że niechcący sam sprowadził swymi radami do smutnego końca młodego, walecznego Castelnau de Chalosses. Jak sobie przypominamy, diuk de Nemours zagwarantował mu wolność i życie własnym słowem honoru złożonym na piśmie. Dopiero wtedy Castelnau się poddał.

Skoro tylko przybył do Amboise, wtrącono go do więzienia, a dzisiaj ma być stracony przez ścięcie głowy ostatni, jako najbardziej winny ze wszystkich.

Trzeba oddać sprawiedliwość diukowi de Nemours. Kiedy się przekonał, że jego podpis szlachcica został w taki sposób zniesławiony, czuł jeno rozpacz i gniew. Od trzech tygodni chodził od kardynała de Lorraine do diuka de Guise, od Marii Stuart do króla, zabiegając, odwołując się, błagając o uwolnienie wierzyciela jego honoru. Niestety, jednak kanclerz Olivier, do którego go odesłano, oznajmił, jak podaje pan de Vieilleville w swoich pamiętnikach:

„Król w żadnej mierze nie musi dotrzymywać słowa zbuntowanemu poddanemu ani wypełniać żadnej uczynionej obietnicy".

To spowodowało wielką zgryzotę diuka de Nemours, który — jak naiwnie dodaje kronikarz — „dręczył się jedynie faktem, że podpisał. Bo gdyby szło o słowo, zawsze by mógł się go wyprzeć wobec każdego, kto by mu z tego czynił zarzut, wobec każdego bez wyjątku, oprócz królewskiej mości, tak był walecznym i szlachetnym księciem!"

Podobnie jak Gabriela, tak i diuka de Nemours przywiodła na widowisko egzekucji, okrutniejsze dla niego niż dla każdego innego, jedynie skryta nadzieja ocalenia Castelnau w ostatniej chwili.

Tymczasem u dołu trybuny diuk de Guise konno, ze swoimi kapitanami, dał znak wykonawcom wyroku. Po przerwie na nowo rozpoczęło się ścinanie głów i śpiewanie psalmów.

W ciągu niecałego kwadransa spadło osiem głów. Młoda królowa była bliska omdlenia.

Pod szafotem zostało tylko czterech skazańców.

Pisarz sądowy głośno zawołał:

— Albert Edmund Roger, hrabia de Mazeres, winien herezji, zbrodni obrazy majestatu i zbrojnej napaści na osobę króla.

— To fałsz! — krzyknął z szafotu hrabia de Mazeres.

Pokazał tłumowi pierś i poczerniałe ramiona zdruzgotane torturą i dodał:

— Oto w jaki stan mnie wprawiono w imieniu króla. Ręczę, że on o tym nie wiedział i dlatego krzyczę: Niech żyje król!

Spadła jego głowa. Trzej ostatni kalwiniści czekali na swą kolej u dołu przy szafocie. Powtórzyli pierwszy werset psalmu:

Boże, bądźże nam łaskawy!
Daj zbawienie swoim wiernym,
Okaż się nam miłosiernym,
Ujrzym ciebie w blasku chwały!

Pisarz czytał:

— Jan Ludwik Alberic, baron de Raunay, winien herezji, zbrodni obrazy majestatu i zbrojnej napaści na osobę króla.

— Ty i twój kardynał kłamiecie jak dwa chamy — rzekł Raunay. — Uzbroiliśmy się jedynie przeciwko niemu i jego bratu. Życzę im, żeby obaj zmarli tak samo spokojni i czyści jak ja.

Po tych słowach położył głowę na pieńku. Dwaj ostatni skazani śpiewali:

Wystawiłeś nas na próbę,
Boże nasz, idziemy w zgubę,
Jako srebro się próbuje,
W ogniu dusza się hartuje.

Pisarz od spraw karnych podjął następne krwawe wezwanie:

— Robert Jan René Briquemaut, hrabia de Villemongis, winien herezji, zbrodni obrazy majestatu i zbrojnego zamachu na osobę króla.

Villemongis umaczał ręce we krwi Raunay'a i podniósł je w górę:

— Ojcze, który jesteś w niebie! Oto krew twoich dzieci! Pomścisz nas!

Padł pod śmiertelnym ciosem. Castelnau pozostał sam i śpiewał:

Dopuściłeś, Boże Panie,
Byśmy wpadli w sidła wroga,
Wzięli nas już we władanie.
Niech się spełni wola sroga!

Diuk de Nemours w nadziei ocalenia Castelnau sypnął złotem. Pisarz i kaci mieli w tym interes, żeby go ocalić. Pierwszy kat rzekł, że jest wyczerpany. Miał go zastąpić drugi. Nastała z konieczności przerwa.

Gabriel niej skorzystał, aby zachęcić diuka do dalszych starań.

Jakub de Savoie nachylił się przeto ku diuszesie de Guise, z którą, jak powiadano, był w najlepszych stosunkach, i szepnął jej słówko do ucha. Diuszesa natomiast miała wielki wpływ na młodą królową.

Diuszesa wstała, jakby dłużej już nie mogła znieść widowiska, i rzekła dostatecznie głośno, żeby usłyszała ją Maria:

— Ach! To zbyt przykre dla niewiast! Patrzcie, królowa źle się czuje. Odejdźmy.

Ale kardynał utkwił w swej bratowej surowe spojrzenie i rzekł szorstko:

— Więcej mocy charakteru, Madame! Pomyśl, że jesteś z rodu Este i małżonką diuka de Guise.

— To właśnie najbardziej mnie martwi — odpowiedziała diuszesa. — Każda matka słusznie się tym smuci. Krew i nienawiść spadnie na nasze dzieci!

— Ależ trwożliwe są niewiasty! — szepnął kardynał, który sam był tchórzem.

Teraz odezwał się diuk de Nemours:

— Nie trzeba być niewiastą, żeby się wzruszyć tak żałobnym obrazem. Czyż sam nie jesteś przejęty, książę? — zwrócił się do księcia de Condé.

— Och! — wtrącił się kardynał. — Książę jest żołnierzem z bliska obeznanym ze śmiercią.

— Tak, podczas bitew, ale nie na szafocie! Trudno patrzeć na to z zimną krwią! — rzekł odważnie książę.

— Czyżby książę krwi miał aż tyle litości dla buntowników — rzekł kardynał.

— Lituję się nad walecznymi oficerami, którzy zawsze godnie służyli królowi i Francji — odpowiedział książę de Condé.

Cóż więcej mógł rzec i uczynić książę, sam podejrzany? Diuk de Nemours go zrozumiał i zwrócił się do królowej matki:

— Widzisz, Madame, pozostał już tylko jeden. — Nie wymienił nazwiska Castelnau. — Czy nie można by przynajmniej jego ocalić?

— Ja nie mam możności — odpowiedziała Katarzyna de Medici odwracając głowę.

Tymczasem nieszczęsny Castelnau wchodził po stopniach i śpiewał:

Boże, bądźże nam łaskawy!
Daj zbawienie swoim wiernym,
Okaż się nam miłosiernym,
Ujrzym ciebie w blasku chwały!

Tłum, głęboko poruszony, zapomniał o obawach, jakie w nim wzbudzali szpiedzy, „muszardzi" i krzyczał jednogłośnie:

— Łaski! Łaski!

Wtedy właśnie diuk de Nemours starał się rozczulić młodego diuka d'Orléans:

— Wasza Wysokość — mówił — czy zapomniałeś, że w tym samym mieście Amboise właśnie Castelnau uratował życie świętej pamięci diukowi d'Orléans, kiedy znalazł się w niebezpieczeństwie podczas zamieszek?

— Uczynię to, co zdecyduje moja matka — odpowiedział młody diuk.

— A gdybyś się zwrócił do króla? Jedno słówko z twojej strony… — błagał diuk de Nemours.

— Powtarzam ci, że słucham poleceń swojej matki — odpowiedział oschle królewicz.

— Ach, książę! — z wyrzutem rzekł diuk de Nemours i uczynił w stronę Gabriela gest zawodu i rozpaczy.

Pisarz czytał powoli:

— Michał Jan Ludwik baron Castelnau de Chalosses, któremu dowiedziono zbrodnię obrazy majestatu, herezji i zamachu na osobę króla.

— Oświadczam moim sędziom, że orzeczenie jest nieprawdziwe — rzekł Castelnau. — Nie jest zbrodnią obrazy majestatu sprzeciwianie się wedle możności tyranii braci de Guise. Jeśli tak się ma to rozumieć, trzeba było zacząć od ogłoszenia ich królami. Może dojdziecie do tego, ale to sprawa tych, którzy mnie przeżyją.

Zwrócił się do kata stanowczym głosem:

— Czyń swą powinność!

Jednak wykonawca wyroków zauważył jakieś poruszenie na trybunach. Udawał, że poprawia coś przy toporze, aby zyskać na czasie.

— Topór się stępił, panie baronie — rzekł cicho. — Jesteś godny zginąć od jednego uderzenia. Kto wie, czy moment zwłoki… Wydaje mi się, że dzieje się tam coś pomyślnego dla ciebie.

Cały tłum znowu zawołał:

— Łaski! Łaski!

Wtedy Gabriel stracił całe swoje opanowanie i ośmielił się krzyknąć głośno do Marii Stuart:

— Łaski! Łaski, Pani Królowo!

Maria odwróciła się, ujrzała jego zrozpaczony wzrok, pojęła krzyk pełen błagania i ugięła kolano przed królem:

— Sire! Chociaż tego jednego ułaskaw, błagam cię na kolanach!

— Sire! — zawołał także diuk de Nemours. — Czy nie dość już krwi popłynęło? Przecież wiesz, że wejrzenie króla przynosi łaskę!

Franciszek drżał całym ciałem. Owe słowa nim wstrząsnęły. Chwycił królową za rękę.

— Pamiętaj, Najjaśniejszy Panie — rzekł do niego surowo nuncjusz, by go przywołać do bezwzględności — pamiętaj, że jesteś królem wielce chrześcijańskim.

— Tak, pamiętam — stanowczym tonem rzekł Franciszek II. — Niech będzie udzielona łaska

baronowi de Castelnau.

Ale kardynał de Lorraine udając, że źle zrozumiał znaczenie pierwszego zdania wypowiedzianego przez króla, dał katowi rozkazujący znak.

W chwili kiedy Franciszek wymawiał słowa łaska, głowa Castelnau potoczyła się po deskach szafotu.

Następnego dnia książę de Condé wyjechał do Nawarry.

XLVII. INNA PRÓBKA POLITYKI

Od owej fatalnej egzekucji zdrowie Franciszka II, już przedtem nadwerężone, „zaczęło się pogarszać.

W siedem miesięcy później, to znaczy przy końcu listopada 1560 roku, dwór był w Orleanie, dokąd diuk de Guise zwołał Stany Generalne. Biedny siedemnastoletni król musiał położyć się do łóżka.

Obok łoża boleści modliła się, czuwała i płakała Maria Stuart. Rozdzierający dramat czekał na zakończenie: śmierć czy życie stanie się udziałem syna Henryka II.

Pytanie zadawane przez różne osoby zawisło między bladą niewiastą a ponurym mężczyzną. Oboje siedzieli obok siebie w nocy czwartego grudnia o kilka kroków od śpiącego chorego i Marii zalanej łzami u jego wezgłowia.

Mężczyzną był Karol de Lorraine, a niewiastą Katarzyna de Medici. Mściwa królowa matka, choć wcześniej udawała umierającą, powróciła do życia od czasu zamieszek w Amboise, od ośmiu miesięcy,

W dwóch słowach o tym, co uczyniła w swej najgłębszej zawziętości przeciw rodowi de Guise.

Potajemnie sprzymierzyła się z księciem de Condé i Antonim de Bourbon. Po cichu pojednała się ze starym konetablem de Montmorency. Jedynie nowa nienawiść kazała jej zapomnieć o starej nienawiści.

Jej nowi dziwni przyjaciele pod jej wpływem podżegali do buntów różne prowincje. Montbrun wywołał powstanie w Dauphine, bracia Mouvans w Prowansji, a Maligny uczynił zamach na Lyon.

Bracia de Guise także nie zasypiali. Zwołali w Orleanie Stany Generalne i zapewnili w nich sobie przewagę oddanych przedstawicieli. Następnie wezwali do Stanów Generalnych króla Nawarry i księcia de Condé, którym przysługiwało to prawo.

Katarzyna — de Medici słała do książąt wiadomość za wiadomością, zęby im odradzić oddanie się w ręce wrogów. Obowiązek jednak ich wzywał, a kardynał de Lorraine dał im słowo króla jako rękojmię bezpieczeństwa.

Przybyli zatem do Orleanu.

Tego samego dnia Antoni de Navarre został osadzony w domowym areszcie, gdzie go strzeżono, mając na oku z daleka. Księcia de Condé wtrącono do więzienia.

Następnie nadzwyczajna komisja wytoczyła proces księciu i skazała go na śmierć w Orleanie za namową braci de Guise. A przecież w Amboise diuk de Guise zagwarantował jego niewinność przysięgą na własną szpadę.

Brakowało zaledwie jednego czy dwóch podpisów. Wyrok wstrzymywał kanclerz L'Hôpital. Niewiele brakowało, by został wykonany. Dla jednych jak i drugich wszystko zależało od życia umierającego koronowanego młodzieniaszka.

Tak stały sprawy wieczorem czwartego grudnia dla stronnictwa braci de Guise, w którym diuk był ręką, a kardynał głową, i dla stronnictwa Burbonów, którego ukrytą sprężyną była Katarzyna de Medici.

Gdyby Franciszek II mógł jeszcze pożyć choć kilka dni, książę de Condé zostałby poddany egzekucji, król Nawarry zabity przy okazji jakiejś bijatyki, a Katarzyna odesłana do Florencji. Dzięki Stanom Generalnym bracia de Guise byli władcami, a w razie potrzeby mogli być królami.

Gdyby zaś stało się inaczej, gdyby młody król zmarł, zanim jego wujowie pozbędą się nieprzyjaciół, walka zaczęłaby się na nowo, a szansę byłyby dla nich raczej nierówne niż pomyślne.

Toteż Katarzyna de Medici i Karol de Lorraine czekali i czuwali z niepokojem owej chłodnej nocy czwartego grudnia w komnacie w Orleanie. Szło nie tyle o życie albo śmierć królewskiego syna i siostrzeńca, co o triumf lub klęskę ich sprawy.

Jedynie Maria Stuart czuwała nad ukochanym młodym małżonkiem nie myśląc o tym, co może stracić przez jego śmierć.

Nie należy sądzić, że ślepy antagonizm królowej matki i kardynała zdradzi się na zewnątrz jakimś uchybieniem manier lub w rozmowie. Wprost przeciwnie, nigdy jeszcze nie okazywali sobie większego zaufania i przywiązania jedno dla drugiego.

W obecnej chwili, korzystając ze snu Franciszka, rozmawiali po cichu jak najlepsi na świecie przyjaciele o swoich sprawach i wymieniali intymne myśli.

Zgodnie z dyplomacją italską, której próbki mieliśmy poprzednio, Katarzyna maskowała swoje tajne intrygi, a Karol de Lorraine stale Udawał, że nic nie zauważa.

Dzięki temu nie przestali prowadzić rozmów jako sojusznicy i przyjaciele. Byli jak dwaj gracze oszukujący każdy na swoją korzyść i otwarcie posługiwali się fałszywymi kostkami do gry.

— Tak, Madame — mówił kardynał — uparty kanclerz de L'Hôpital upiera się i odmawia podpisu pod wyrokiem śmierci na księcia. Wiele miałaś racji, Madame, sprzeciwiając się przed sześcioma miesiącami tak otwarcie, żeby zajął miejsce pana Olivier. Czemu wtedy, ciebie nie z r o z u m i a ł e m ?

— Jak to? Czy nie można stanowczo przełamać jego oporu? — spytała Katarzyna, która właśnie na kazała kanclerzowi opór.

— Używałem i próśb, i gróźb — odpowiedział Karol de Lorraine. — Jest niewzruszony.

— A gdyby teraz pan diuk spróbował?

— Nic nie potrafi ugiąć owego muła z Owernii — rzekł kardynał. — Brat mój oświadczył zresztą, że nie chce się mieszać w tę sprawę.

— Doprawdy to kłopotliwe — odpowiedziała uradowana Katarzyna de Medici.

— Jest jednak sposób, za pomocą którego obejdziemy się bez wszystkich kanclerzy na świecie — rzekł kardynał.

— Czy możliwe? W jaki sposób? — rzekła zaniepokojona królowa matka.

— Król podpisze wyrok.

— Król? — powtórzyła Katarzyna. — Czy tak można? Czy król ma prawo?

— Tak. Już postępowaliśmy w taki sposób, nawet w tej samej sprawę za radą najlepszych jurystów, kiedy obyto się bez sędziów, ze względu na odmowę księcia w udzieleniu odpowiedzi.

— Ale co powie kanclerz? — zawołała Katarzyna naprawdę już zaalarmowana.

— Będzie gderał jak zwykle — spokojnie odpowiedział kardynał. — Zagrozi, że zwróci pieczęcie…

— A jeśli rzeczywiście zwróci?

— Podwójna korzyść! Uwolnimy się od niewygodnego cenzora.

— Kiedy chcesz, żeby wyrok został podpisany? — spytała Katarzyna po przerwie.

— Dzisiejszej nocy, Madame. — A każesz go wykonać?

— Jutro.

Na to królowa matka zadrżała.

— Dzisiejszej nocy! Jutro! Nawet o tym nie myśl! Król jest za bardzo chory, zbyt słaby i nie jest zdolny pojąć, czego od niego żądacie. „

— Nie potrzebuje niczego pojmować, wystarczy, że podpisze — rzekł kardynał.

— Nie ma dość siły, żeby utrzymać pióro w ręce.

— Poprowadzi się jego rękę — odpowiedział kardynał zadowolony, że dostrzegł przerażenie w oczach swej drogiej nieprzyjaciółki.

— Słuchaj — rzekła z powagą Katarzyna — muszę cię ostrzec i udzielić rady. Koniec mego biednego syna jest bliższy, niż przypuszczasz. Czy wiesz, co mi rzekł nadworny lekarz Chapelain? Że zajdzie chyba cud, jeśli król dożyje jutrzejszego wieczora.

— Jeszcze jedna racja więcej, żebyśmy się śpieszyli — rzekł chłodno duchowny.

— Tak, ale jeśli Franciszek II jutro nie będzie żył, będzie królował Karol DC. Król Nawarry może być wtedy regentem. Wtedy każe ci zdać straszny rachunek ze śmierci swego brata! Czy nie ciebie będą sądzić, czy cię nie skażą?

— Ech! Madame, kto nic nie ryzykuje, nic nie ma! — zapalczywie, zawołał rozgniewany kardynał. — Zresztą kto zaręczy, że Antoni de Navarre zostanie mianowany regentem? Kto dowiedzie, że ów Chapelain nie myli się? Przecież król jeszcze żyje!

— Ciszej, ciszej, wuju! — rzekła wstając przerażona Maria. — Obudzisz króla! Widzisz, już go rozbudziłeś!

— Mario…. gdzie jesteś? — słabym głosem spytał Franciszek.

— Tutaj, całkiem blisko ciebie, mój słodki Sire — odpowiedziała Maria.

— Och! Jak ja cierpię! Głowę mam całą w ogniu! Ból w uchu jak śmiertelne pchnięcie sztyletem. Nawet we śnie czułem ból. To już, koniec ze mną, koniec!

— Nie mów tak! Nie mów tak! — powtarzała Maria powstrzymując łzy.

— Nic nie pamiętam. Czy otrzymałem ostatnie sakramenta? Chcę je mieć jak najwcześniej.

— Wypełniłeś wszystkie swoje obowiązki, nie dręcz się, miły Sire.

— Chcę widzieć się ze spowiednikiem, panem de Brichandeau.

— Za chwilę będzie przy tobie — odpowiedziała Maria.

— Czy ktokolwiek przynajmniej modli się za mnie? — spytał król.

— Nie ustaję w modłach od samego rana.

— Biedna, droga Mario! A Chapelain, gdzie on jest?

— Tam, w sąsiedniej komnacie, gotów na twoje zawołanie. Twoja matka i mój wuj kardynał także są tutaj, Sire. Czy chcesz ich widzieć z bliska? — Nie, nie, tylko ciebie, Mario — rzekł umierający. — Obróć się trochę w tę stronę… tak… żebym chociaż raz jeszcze na ciebie popatrzył.

— Odwagi! — rzekła Maria. — Bóg jest taki dobry! Modlę się do niego z całego serca.

— Bardzo cierpię — rzekł Franciszek. — Już nie widzę, słyszę z trudnością. Podaj mi rękę, Mario.

— Tutaj ją masz. Oprzyj się o mnie — rzekła Maria, wspierając bladą głowę małżonka na swym ramieniu.

— Moja dusza dla Boga, a moje serce dla ciebie, Mario. Na zawsze! Umierać mając siedemnaście lat!

— Nie, nie! Nie umrzesz! — rzekła Maria. — Co, uczyniliśmy Bogu, że nas tak karze?

— Nie płacz, Mario. Połączymy się w niebie. Z całego tego świata jedynie ciebie żałuję. Gdybym mógł cię zabrać ze sobą, byłbym najszczęśliwszy na świecie. Podróż do nieba jest jeszcze piękniejsza niż do Italii. Poza tym wydaje mi się, że Bèze mnie nie będziesz już miała radości. Oni cię zabiją biedna duszyczko! To mnie jeszcze więcej smuci niż umieranie.

Wyczerpany król opadł na poduszkę i trwał w posępnym milczeniu.

— Ależ nie umrzesz! Nie umrzesz, Sire! — rzekła Maria. — Słuchaj, mam wielkę nadzieję. Pozostaje nam szansa, której ufam.

— Co chcesz powiedzieć? — przerwała jej Katarzyna de Medici i podeszła bliżej zdziwiona.

— Tak, króla można jeszcze ocalić, będzie uratowany. Coś mi mówi w sercu, że ci wszyscy lekarze, którzy go otaczają i męczą, są ignorantami, są ślepi. Jest jednak sławny uczony, zręczny lekarz, który w Calais przywrócił do życia mojego wuja…

— Mistrz Ambroży Paré? — spytał kardynał.

— Tak, mistrz Ambroży Paré — powtórzyła Maria. — Powiadano, że ów człowiek nie powinien, że nie chciałby nawet mieć w swoich rękach życia króla, że to przeklęty heretyk i że nawet gdyby się zgodził przyjąć odpowiedzialność za taką kurację, nie można by mu jej powierzyć.

— To oczywiste — rzekła pogardliwie królowa matka.

— A jeśli ja mu go powierzę, ja? — rzekła Maria. — Czyż taki genialny człowiek może być zdrajcą? Kto jest wielki, jest dobry, Madame.

Mój brat nie czekał do dnia dzisiejszego, żeby pomyśleć o Ambrożym Paré. Już go zawiadomiono — rzekł kardynał.

— Kogo do niego posłano? Może obojętnych, a może wrogów Ja wysłałam do niego zaufanego przyjaciela i on przybędzie.

— Trzeba sporo czasu, żeby przybył z Paryża — zauważyła Katarzyna.

— Jest już w drodze, a może nawet przyjechał — odpowiedziała młoda królowa. — Przyjaciel, o którym mówię, obiecał go przyprowadzić jeszcze dzisiaj,

— Kim jest ów przyjaciel? — spytała królowa matka.

— Hrabia Gabriel de Montgomery, Madame.

Zanim Katarzyna zdążyła krzyknąć, Dayelle, pierwsza dama Marii Stuart weszła i rzekła do swej pani:

— Hrabia Gabriel de Montgomery jest tutaj, czeka na rozkazy, Madame.

— Och! Niech wejdzie! Niech wejdzie! — rzekła z ożywieniem Maria.

XLVIII. BŁYSK NADZIEI

— Chwileczkę! — rzekła sucho i chłodno Katarzyna de Medici. — Zaczekaj, Madame, przynajmniej aż ja wyjdę, zanim wejdzie ów człowiek. Jeśli ci się podoba powierzać życie syna temu, kto przeciął pasmo żywota jego ojcu, to ja nie życzę sobie znowu widzieć i słyszeć mordercy mego małżonka. Protestuję przeciw jego przebywaniu w tym miejscu i odchodzę.

W samej rzeczy, wyszła nie rzucając nawet w stronę umierającego syna pożegnalnego spojrzenia.

Czy dlatego, że znienawidzone nazwisko Gabriela de Montgomery przypominało jej pierwszą zniewagę, jaką musiała ścierpieć od króla? Możliwe. Ale bynajmniej nie obawiała się do tego stopnia, jak mówiła, widoku i głosu Gabriela. Gdy odeszła bowiem do swojego pomieszczenia w sąsiedztwie królewskiej komnaty, postarała się nie domknąć drzwi, a także nie zamknęła drzwi zewnętrznych, wychodzących na korytarz pusty o takiej nocnej porze. Przykładała na zmianę to oko, to ucho do dziurki od klucza, aby widzieć i słyszeć, co się dzieje po jej gwałtownym odejściu.

Gabriel wszedł wprowadzony przez Dayelle, przykląkł dla ucałowania ręki królowej i złożył głęboki ukłon kardynałowi.

— No i co? — spytała niecierpliwie Maria Stuart.

— Przekonałem mistrza Paré, Madame — odpowiedział Gabriel. — Jest tutaj.

— Och, dziękuję ci, dziękuję, wierny przyjacielu.

— Czy król czuje się gorzej, Madame? — spytał po cichu Gabriel przenosząc spojrzenie pełne niepokoju na łoże, gdzie spoczywał nieruchomo blady Franciszek II.

— Niestety! Wcale nie jest mu lepiej. Odczuwałam potrzebę widzieć się z tobą. Czy mistrz Ambroży czynił wielkie trudności przed przybyciem tutaj?

— Nie, Madame — odpowiedział Gabriel — proszono go już o to, ale w taki sposób, aby sprowokować odmowę. Chciano, żeby zaręczył z góry swoją głową i honorem, zanim ujrzy króla, że go ocali. Nie ukrywano przed nim, że jako protestant jest podejrzany o nastawanie na życie prześladowcy protestantów. Okazywano mu tyle obelżywej nieufności, stawiano mu tak trudne warunki, żeby doprowadzić go do odmowy z „czystego rozsądku. Z wielkim żalem tak uczynił, choć jeszcze inaczej stosowali represje ci, którzy po niego przysyłali.

— Czyż to możliwe, aby w taki sposób interpretowano mistrzowi Parć nasze intencje? — spytał żywo kardynał de Lorraine. — Przecież to mój brat i ja posyłaliśmy po niego kilkakrotnie. Powiadamiano nas o upartym odmawianiu i dziwnych wątpliwościach. A my przypuszczaliśmy, że ludzie przez nas wysłani są całkiem pewni.

— Czyż naprawdę byli tacy pewni, Wasza Eminencjo? — spytał Gabriel. — Mistrz Paré myśli inaczej teraz, kiedy mu przekazałem wasze prawdziwe uczucia dla niego i dobie słowa królowej. Jest przekonany, że bez waszej wiedzy usiłowano go odsunąć od łoza chorego króla w karygodnych celach.

— Teraz sprawa jest jasna — rzekł Karol de Lorraine. — Czuję w tym rękę królowej matki. W jej interesie leży, żeby jej syn nie został uratowany. Czyżby była zdolna zniszczyć w sobie wszelkie przywiązanie, na jakie liczyliśmy? To jeszcze jeden przyczynek do nominacji jej zausznika, pana L'Hôpital! Jak ona nami manewruje!

Tymczasem Maria Stuart pozostawiła kardynała jego rozważaniom nad tym, co się stało, i cała zatroskana obecną chwilą mówiła do Gabriela:

— Czy mistrz Paré w końcu przyjechał z tobą?

— Na pierwszą moją prośbę — odpowiedział młody hrabia.

— Jest tutaj?

— Czeka na twoje łaskawe zezwolenie, Madame, żeby tu wejść.

— Natychmiast! Niech przyjdzie natychmiast!

Gabriel de Montgomery wyszedł przez drzwi, którymi go wprowadzono, i powrócił razem z chirurgiem.

Katarzyna de Medici za swoimi drzwiami ciągle szpiegowała uważniej niż kiedykolwiek.

Maria Stuart pobiegła na spotkanie Ambrożego, ujęła go za rękę i zaprowadziła do łoża ukochanego chorego. Żeby nie dopuścić do formułek grzecznościowych, rzekła:

— Dzięki ci, że przybyłeś mistrzu — mówiła idąc — Liczyłam na twoją gorliwość i wiedzę. Chodź do łoża króla, do łoża króla!

Ambroży Paré usłuchał. Nie wymówił ani słowa i zaspokajając niecierpliwość królowej znalazł się u wezgłowia Franciszka II, który nie miał sił nic powiedzieć, wydał jedynie słaby, prawie nieuchwytny jęk.

Wielki chirurg stał i przez chwilę przypatrywał się małej, wychudzonej twarzyczce, skurczonej cierpieniem. Następnie pochylił się nad królem, który dla niego był tylko chorym człowiekiem. Dotykał i naciskał bolesne nabrzmienie za prawym uchem ręką tak lekką i miękką jak dłoń Marii.

Król wyczuwał instynktownie lekarza i pozwolił się badać nie otwierając nawet ciężkich oczu.

— Och, jak ja cierpię! Jak cierpię! — szeptał żałosnym głosem. — Czy nie możesz mi ulżyć?

Światło było zbyt daleko od łoża chorego. Lekarz dał znak Gabrielowi, żeby podszedł z pochodnią. Ale Maria chwyciła ją wcześniej od Gabriela i sama świeciła chirurgowi, który długo i z uwagą badał miejsce choroby.

Ciche i szczegółowe badanie trwało z dziesięć minut. Potem Ambroży wyprostował się, poważny i pochłonięty rozważaniem. Opuścił kotarę nad łóżkiem.

Maria Stuart, drżąca ze strachu, nie śmiała pytać z obawy, by nie mącić jego myśli. Wpatrywała się z niepokojem w jego twarz. Jaki wyda wyrok?

Znakomity lekarz ze smutkiem kiwał głową, a zrozpaczona królowa myślała, że to wyrok śmierci. Niebyła już dłużej zdolna opanowywać niepokoju. Zapytała:

— Czy nie ma żadnej szansy ocalenia?

— Jest tylko jedna — odpowiedział Ambroży Par.

— Ale jest jedna! — rzekła królowa.

— Tak, Madame, ale też nie daje pewności, niestety, jednak istnieje. Miałbym nadzieję, gdyby…

— Gdyby? — spytała Maria.

— Gdyby to nie był król, Madame.

— Traktuj go jak ostatniego z poddanych, ale go ocal.

— A jeśli mi się nie powiedzie? Jedynie Bóg jest tu panem. Czy nie oskarżą mnie, hugenota? To straszna, ciężka odpowiedzialność! Czy nie zaciąży na mojej ręce i nie wprawi jej w drżenie w chwili, kiedy będzie mi potrzeba spokoju i pewności siebie?

— Słuchaj — odpowiedziała Maria — jeśli przeżyje, będę cię błogosławiła przez całe życie. A gdy… umrze, będę cię broniła aż do swojej śmierci. Spróbuj! Spróbuj! Zaklinam cię, błagam. Jeśli mówisz, że to jedyna i ostatnia szansa, nie cofaj się, na Boga! Byłoby to zbrodnią.

— Masz słuszność, Madame, spróbuję… jeśli mi na to sama pozwolisz. Nie ukrywam, że sposób, do jakiego się ucieknę, jest ostateczny, nie stosowany dotąd i przynajmniej z pozoru gwałtowny i niebezpieczny.

— Naprawdę? — spytała drżąc Maria. — A czy nie ma innego?

— Nie ma. Jeszcze jest czas, żeby go zastosować. Za dwadzieścia cztery godziny, a może za dwanaście byłoby za późno. Ropień się utworzył w głowie króla. Jeśli się nie da ujścia jego zawartości na zewnątrz przez szybką operację, rozlanie się na mózg może spowodować śmierć.

— Czy chcesz. zatem operować króla natychmiast? — spytał kardynał. — Ja nie wezmę tego na siebie.

— Ach! Już z góry wątpisz! — rzekł Ambroży. — Nie, trzeba mi do tego pełnego światła. Przez resztę nocy będę o tym myślał, muszę wyćwiczyć rękę, uczynić jedno lub dwa doświadczenia… Ale jutro rano o dziewiątej godzinie mogę być tutaj. Bądź tu. Madame, i ty także, Wasza Eminencjo. Niech będzie także pan generalny namiestnik, niech będą obecni ci, których oddanie dla króla jest wypróbowane, ale nikogo więcej. Jak najmniej lekarzy. Wyjaśnię wtedy, co zamierzam uczynić. Jeśli wszyscy mnie do tego upoważnicie, z pomocą Bożą spróbuję tej ostatniej szansy, jaką Bóg nam pozostawia.

— A do jutra czy nie ma niebezpieczeństwa? — spytała królowa.

— Nie, Madame — odpowiedział mistrz Paré. — Najważniejsze jest, żeby król wypoczął i nabrał sił przed operacją, którą musi przejść.

— Do nieszkodliwego napoju, który tutaj widzę na stole, dodam dwie krople tego oto eliksiru. Król ma zażyć to natychmiast, Madame. Zobaczysz, że zapadnie w spokojny, głęboki sen. Czuwaj przy nim, czuwaj sama, jeśli to możliwe, żeby pod żadnym pretekstem nie zakłócono jego snu.

— Bądź o to spokojny, odpowiadam za to — rzekła Maria Stuart. — Nie opuszczę w nocy swego tu miejsca.

— To bardzo ważne — rzekł Ambroży Parć. — Teraz już nic więcej nie mogę uczynić. Proszę o pozwolenie odejścia, Madame, żebym zajmował się dalej sprawą króla i przygotował się do wielkiego zadania.

— Idź, mistrzu, idź! — rzekła Maria. — Z góry cię błogosławię i dziękuję. Do jutra.

— Do jutra! Miej nadzieję, Madame.

— Będę się modliła przez cały czas — dodała Maria.

— Tobie także dziękuję, panie hrabio — zwróciła się do Gabriela. — Należysz do tych, o których mówił mistrz Paré, że ich przywiązanie jest wypróbowane. Bądź zatem tutaj jutro, twoja obecność będzie służyła jako podpora twemu znakomitemu przyjacielowi.

— Przyjdę, Madame — rzekł Gabriel.

Pokłonił się królowej i kardynałowi. Odszedł wraz z chirurgiem.

— I ja także tam będę — rzekła Katarzyna de Medici za swoimi drzwiami, gdzie stała na czatach. — Tak, przyjdę, bo ów Paré jest zdolny ocalić króla, to zręczny człowiek! Sprowadzi przez to zgubę na swoje stronnictwo, na księcia i na mnie, jaki głuptak! Ale będę tam!

XLIX. SEN DOBRZE STRZEŻONY

Katarzyna de Medici trwała jeszcze jakiś czas na przeszpiegach, chociaż w królewskiej komnacie pozostali jedynie Maria i kardynał. Ale nie ujrzała i nie usłyszała nic więcej interesującego. Królowa podała napój uspokajający Franciszkowi. Wedle obietnicy Ambrożego Paré, król usnął spokojniej. Zapadło milczenie. Kardynał siedział i rozmyślał. Maria modliła się na klęczkach.

Królowa matka po cichu odeszła do swej komnaty, aby się namyślić.

Gdyby pozostała kilka minut dłużej, mogłaby uczestniczyć w sprawach godnych jej samej.

Maria Stuart podniosła się z klęczek i rzekła do kardynała:

— Nic cię nie zatrzymuje tutaj, żeby czuwać ze mną, wuju. Pozostanę tutaj aż do przebudzenia króla. Dayelle, lekarze i służba są obok, wystarczy ich obecność, gdyby trzeba było czegoś. Możesz pójść nieco odpocząć. Zawiadomią cię w razie konieczności.

— Nie — rzekł kardynał — diuk de Guise, którego ważne sprawy zatrzymują aż do późna, powiedział, że przyjdzie zasięgnąć wieści o zdrowiu króla, zanim uda się na spoczynek. Obiecałem mu, że znajdzie mnie tutaj. Czekaj, Madame, czy nie jego kroki słyszę?

— Tak, żeby tylko nie czynił hałasu! — rzekła Maria rzucając się naprzód, żeby przestrzec diuka.

Diuk de Guise wszedł blady i wzburzony. Złożył ukłon królowej, ale tak był przejęty, że nawet nie spytał o króla. Podszedł wprost do brata, odprowadził go do okna i rzekł cicho:

— Straszna nowina! Jak piorun z jasnego nieba!

— Co się dzieje? — spytał Karol de Lorraine.

— Konetabl de Montmorency opuścił Chantilly z oddziałem tysiąca pięciuset rycerzy — rzekł diuk de Guise. — Aby ukryć wyprawę ominął Paryż. Z Ecouen i Corbeil jechali do Pithiviers przez dolinę Essonę. Jutro będzie u bram Orleanu ze swoim wojskiem. Otrzymałem właśnie o tym wiadomość.

— W samej rzeczy, to straszne! — rzekł kardynał. — Stary kombinator chce ocalić głowę swego siostrzeńca. Mógłbym się założyć, że powiadomiła go królowa matka. Nie mamy sposobu na tę niewiastę!

— Nie jest to odpowiedni moment, żeby działać przeciw niej, musimy uczynić coś dla nas. Ale co? — spytał diuk de Guise.

— Jedź z naszymi na spotkanie konetabla — rzekł Karol de Lorraine.

— Czy zdołasz utrzymać Orlean, kiedy mnie tu nie będzie ani moich posiłków? — spytał diuk.

— Nie, to prawda, niestety. Mieszkańcy Orleanu są niedobrzy, sami hugenoci i Burbończycy w głębi duszy. Ale mamy za sobą przynajmniej Stany Generalne.

— A L'Hôpitala przeciwko sobie, pomyśl o tym, bracie. Sytuacja jest trudna! Jak się miewa król? — spytał wreszcie, bo groźba niebezpieczeństwa przypomniała mu o ostatnim środku ratunku.

— Z królem źle,— odpowiedział Karol de Lorraine — ale przybył do Orleanu na zaproszenie królowej Ambroży Paré, wyjaśnię ci później, on ma nadzieję ocalić króla jutro rano przez ryzykowną operację. Jest ona konieczna i może mieć dobre skutki. Bądź zatem tutaj o dziewiątej, bracie, aby poprzeć w razie potrzeby chirurga.

— Oczywiście, że będę, to nasza ostatnia nadzieja. Nasza władza skończy się natychmiast razem z Franciszkiem II. Jednak byłoby dobrze zastraszyć, a może zmusić do cofnięcia się

konetabla posyłając mu na powitanie głowę jego siostrzeńca de Condé?

— Tak, to miałoby swoją wymowę, takie też jest moje zdanie — rzekł kardynał po namyśle.

— Ale ów przeklęty L'Hôpital wstrzymuje się! — rzekł diuk.

— Tak, ale zamiast jego podpisu będziemy mieli na wyroku podpis króla — rzekł Karol de Lorraine. — Nic temu nie stoi na przeszkodzie, nieprawdaż, bracie? Ale egzekucja musi się odbyć jutro rano przed przybyciem konetabla i przed operacją Ambrożego Paré.

— To nie będzie całkiem legalne, ale możliwe — odpowiedział diuk de Guise.

— Więc pozostaw mnie to wszystko, bracie. Nie masz nic więcej do roboty dzisiejszej nocy, a potrzebujesz wypoczynku. Już bije druga na zegarze. Oszczędzaj siły na jutro. Odejdź i zostaw mnie tutaj. Ja także chcę spróbować ocalić nasz los.

— Co zamierzasz? Nie czyń niczego bez mojej rady, panie bracie!

— Bądź spokojny. Jeśli otrzymam to, czego chcę, przyjdę do ciebie przed świtaniem i obudzę, porozumiem się z tobą.

— Wobec tego odchodzę — rzekł diuk de Guise. — To prawda, że jestem wyczerpany. Bądź ostrożny!

Podszedł do Marii Stuart, żeby powiedzieć jej kilka pocieszających słów, i wyszedł czyniąc jak najmniej hałasu na jej prośbę.

Tymczasem kardynał usiadł przy stole i napisał kopię wyroku komisji według posiadanej, a nie odesłanej jeszcze kopii dokumentu. Potem wstał i podszedł do łóżka króla.

Ale Maria zatrzymała go gestem.

— Dokąd idziesz? — spytała po cichu, a jednak stanowczym i rozgniewanym tonem.

— Madame — rzekł kardynał — jest bardzo ważne, jest konieczne, żeby król podpisał ten papier…

— Jedno jest ważne i konieczne: żeby król spokojnie odpoczywał.

— Tylko jego podpis tutaj u dołu, Madame, i nie będę więcej przeszkadzał.

— Ale obudziłbyś go, a ja tego nie chcę. Zresztą obecnie nawet nie jest zdolny utrzymać pióra.

— Będę je trzymał — rzekł Karol de Lorraine.

— Mówię ci, że sobie tego nie życzę — odpowiedziała władczo Maria Stuart.

Kardynał przystanął, zdziwiony przeszkodą, której nie przewidywał. Potem rzekł ujmującym tonem:

— Posłuchaj mnie, Madame. Posłuchaj, droga siostrzenico. Powiem ci, o co chodzi. Pojmujesz dobrze, że uszanowałbym odpoczynek króla, gdybym nie był naglony poważną koniecznością. Chodzi o nasz los i twój, o nasze ocalenie, a także i twoje wchodzi tu w grę. Posłuchaj mnie. Ten dokument musi zostać podpisany przez króla, zanim wstanie dzień. Inaczej będziemy zgubieni! Całkiem zgubieni!

— To mnie nie obchodzi — spokojnie odpowiedziała Maria.

— Ależ tak! Nasza ruina będzie twoją klęską, jesteś dziecinna!

— To mnie nie obchodzi — powtórzyła królowa. — Czy ja się martwię teraz o zaspokojenie waszych ambicji? Moją ambicją jest ocalenie tego, kogo kocham, to znaczy ochrona jego życia w miarę moich możliwości, a więc jego cennego wypoczynku. Mistrz Paré kazał mi czuwać nad snem króla. Zabraniam ci ów sen zakłócić. Słuchaj dobrze, ty także! Zabraniam tego! Kiedy król umrze, niech umiera moja królewska władza, wszystko mi jedno! Ale dopóki mu pozostaje jeszcze iskierka życia, będę strzegła jego ostatniego tchnienia wbrew wszelkim wstrętnym wymaganiom waszych dworskich intryg. Przyczyniłam się, wuju, więcej, niż powinnam, do umocnienia w twoich rękach władzy, kiedy jeszcze Franciszek trzymał się na nogach i lepiej się czuł. Ale teraz odbieram ci ową władzę całkowicie, jeśli chodzi o poszanowanie dla ostatnich

spokojnych godzin, jakie mu Bóg przeznaczył jeszcze w tym życiu, Mistrz Paré rzekł wyraźnie, że król będzie potrzebował jutro tej odrobiny sił, jakie mu jeszcze pozostały. Nikt na świecie, pod żadnym pretekstem nie odbierze mu kawałeczka wzmacniającego snu…

— Nawet kiedy przyczyna jest taka poważna i pilna? — spytał kardynał.

— Pod żadnym pretekstem nikt nie obudzi króla — rzekła Maria.

— Ależ trzeba! — odpowiedział Karol de Lorraine. Sam siebie się wstydził, że tak długo dał się zatrzymywać przez opór dziecka, siostrzenicy. — Interesy Państwa nie zawsze się zgadzają z uczuciami, Madame. Podpis króla jest mi natychmiast niezbędny i będę go miał!

— Nie będziesz go miał, panie kardynale — odpowiedziała Maria. Królowa i minister patrzyli na siebie twarzą w twarz, oboje rozdygotani, oboje rozgniewani jedno na drugie.

— Przejdę tam — rzekł Karol de Lorraine stanowczo.

— Ośmielisz się| podnieść na mnie rękę?

— Siostrzenico!

— Nie jestem już siostrzenicą, ale twoją królową!

Rzekła to tak stanowczo, godnie i po królewsku, że kardynał cofnął się i zaniemówił.

— Tak, jestem twoją królową! Jeśli uczynisz jeden krok więcej, jeszcze jeden gest, to zanim dojdziesz do króla, ja pójdę do tych drzwi i wezwę straż. Chociaż jesteś moim wujem, ministrem, kardynałem, ja, królowa, rozkażę, żeby cię zaaresztowano jako zbrodniarza oskarżonego o obrazę majestatu.

— Taki skandal! — szepnął przerażony kardynał.

— Kto z nas go chciał, mój panie?

Z błyszczącymi oczyma, rozdętymi nozdrzami, falującą piersią, całą swą postawą młoda królowa świadczyła dobitnie, że wykona swą groźbę.

Była taka piękna, taka dumna, a zarazem wzruszająca, że duchowny o twardym sercu poczuł się pokonany i rozczulony.

— Dobrze, zaczekam, aż król się obudzi — rzekł kardynał głęboko wzdychając.

— Dziękuję — szepnęła Maria powracając do smutnego i łagodnego tonu, do jakiego wszyscy przywykli od czasu choroby króla.

— Ale przynajmniej, kiedy się obudzi…

— Jeśli będzie w stanie cię zrozumieć i zechce; nie będę się sprzeciwiała, wuju.

Kardynał musiał się zadowolić taką obietnicą. Z powrotem zasiadł przy stole, a Maria powróciła na klęcznik. On czekał, a ona miała nadzieję.

Długie godziny owej nocy mijały, a Franciszek się nie budził. Przyrzeczenie chirurga nie było daremne. Od wielu już nocy król nie odpoczywał tak dobrze w długim i spokojnym śnie.

Od czasu do czasu poruszał się, jęczał, wymawiał jakieś słowo, często imię Marii. Ale natychmiast znowu zapadał w sen. Kardynał, który wstawał w pośpiechu, musiał powracać zawiedziony na swoje miejsce.

Ściskał wtedy w ręce z niecierpliwością wyrok bezużyteczny, zgubny wyrok, który bez podpisu króla mógł się stać wyrokiem na niego samego. Widział, jak dopalają się i bledną pochodnie Zimny grudniowy świt bielił okna.

Wreszcie wybiła ósma, król poruszył się, otworzył oczy i zawołał:

— Mario! Czy jesteś tu, Mario?

— Przez cały czas — odpowiedziała Maria Stuart.

Karol de Lorraine rzucił się naprzód z wyrokiem w ręce. Jeszcze można było zdążyć! Szybko wznoszą szafot!

Jednak w tej samej chwili weszła Katarzyna de Medici przez drzwi wiodące z jej komnaty do sypialni króla.

— Za późno! — rzekł do siebie kardynał. — Ach, szczęście nas opuszcza! Jeśli Ambroży nie ocali króla, będziemy zgubieni!

L. KRÓLEWSKIE ŁOŻE ŚMIERCI

W nocy królowa matka nie traciła czasu. Przede wszystkim posłała do króla Nawarry kardynała de Tournon, swego zausznika, i wstrzymała umowę podpisaną z Burbonami. Następnie jeszcze przed świtem przyjęła kanclerza L'Hôpital, który ją powiadomił, że wkrótce przybędzie do Orleanu jej sojusznik konetabl. L'Hôpital na wieść o zamierzonej operacji obiecał przyjść o dziewiątej do wielkiej sali, przez którą się szło do komnaty króla. Miał przyprowadzić tylu stronników Katarzyny, ilu zdoła znaleźć. Wreszcie na godzinę wpół do dziewiątej królowa matka wezwała Chapelaina i kilku innych królewskich lekarzy, których przeciętność była naturalną nieprzyjaciółką zdolności Ambrożego Paré.

Po przedsięwzięciu takich środków ostrożności weszła pierwsza, jak już mówiliśmy, do komnaty króla, który dopiero co się obudził. Zbliżyła się na początku do łoża syna, przyglądała mu się przez kilka chwil ze spuszczoną głową jak bolejąca matka, złożyła pocałunek na zwisającej ręce, otarła łzę i usiadła tak, żeby mieć go stale na widoku.

Ona także, podobnie jak Maria Stuart, chciała czuwać na swój sposób nad korzystną dla siebie agonią.

Następnie wszedł diuk de Guise. Wymienił kilka słów z Marią i podszedł do brata.

— Nic nie uczyniłeś? — spytał.

— Niestety, nic nie mogłem zdziałać — odpowiedział kardynał.

— Powodzenie się od nas odwraca — rzekł diuk de Guise. — Dzisiaj rano jest cały tłum w antyszambrze Antoniego de Navarre.

— A czy masz wieści o konetablu de Montmorency?

— Żadnej. Na próżno dotąd czekałem. Nie jedzie prostą drogą. Może teraz już jest przy bramach miasta. Jeśli się nie powiedzie Ambrożemu Paré, żegnaj, nasza fortuno — rzekł z przejęciem diuk de Guise.

Weszli lekarze uprzedzeni przez Katarzynę de Medici. Królowa matka sama ich przywiodła do łoża króla, który na nowo odczuwał bóle i jęczał.

Lekarze po kolei zbadali pacjenta, następnie zgromadzili się w rogu na konsylium. Chapelain proponował kataplazm, żeby wydobyć na zewnątrz ropę. Ale dwaj inni wypowiedzieli się za zastrzykiem w ucho. Miała to być jakaś mieszanka z wodą.

Zastanawiali się nad owym środkiem, kiedy wszedł Ambroży Paré w towarzystwie Gabriela.

Po zbadaniu króla dołączył się do kolegów po fachu.

Ambroży Paré, chirurg diuka de Guise, miał już ustaloną renomę. Był autorytetem wiedzy, z którym należało się liczyć. Lekarze powiadomili go przeto, co uradzili.

— To środek niewystarczający, stwierdzam to — rzekł głośno Ambroise Paré. — Należy się śpieszyć. Mózg się napełni ropą wcześniej, niż myślałem.

— Spiesz się zatem, na Boga! — rzekła Maria Stuart, która to usłyszała.

Królowa matka i obaj bracia de Guise zbliżyli się do lekarzy i wmieszali się do rozmowy.

— Czy masz lepszy środek i szybciej działający niż nasz, mistrzu Paré? — spytał Chapelain.

— Tak — odpowiedział Parł.

— Jaki?

— Trzeba by trepanować króla. — odpowiedział chirurg.

— Trepanować króla! — wykrzyknęli trzej lekarze z przerażeniem.

— Na czyn, polega taka operacja? — spytał diuk de Guise.

— Jest jeszcze mało znana, Wasza Wysokość — rzekł chirurg. — Za pomocą instrumentu,

który wynalazłem i nazwałem go trepanem, należy naciąć wierzchołek głowy albo raczej w tym przypadku boczną część czaszki, trzeba odkryć mózg na szerokość monety.

— Boże miłosierny! — wykrzyknęła z oburzeniem Katarzyna de Medici. — Godzić żelazem w głowę króla! Ośmieliłbyś się?

— Tak, Madame — prosto odpowiedział Ambroży. — Ależ byłoby to morderstwo! — rzekła Katarzyna.

— Umiejętnie i ostrożnie uczynić otwór w głowie, czyż nie jest to samo, co czyni ślepy i gwałtowny miecz codziennie na polu bitwy? Przecież leczymy się z tylu ran!

— Czy odpowiadasz za życie króla? — spytał kardynał de Lorraine.

— Jedynie Bóg dzierży śmierć i życie w swoich dłoniach, wiesz o tym lepiej niż ja, panie kardynale. Mogę zapewnić, że to jedyna i ostatnia szansa na ocalenie króla. Tak, to jedyna szansa! Ale jednak ona istnieje!

— Powiadasz przecież, że twoja operacja może się udać, nieprawdaż, Ambroży? Czy już ja. praktykowałeś z powodzeniem? — spytał diuk de Guise.

— Tak, Wasza Wysokość — odpowiedział chirurg — Niedawno na panu de La Bretesche, przy ulicy de La Harpe, pod Czerwoną Różą. A jeśli mam mówić o rzeczach bliżej znanych Waszej Wysokości, uczyniłem zabieg trepanacji podczas oblężenia Calais na panu de Pienne, który został zraniony odłamkiem.

Możliwe, że nie bez intencji Ambroży Paré przywoływał w taki sposób wspomnienia z Calais. Osiągnął cel, diuk rzekł:

— W samej rzeczy, przypominam sobie. Już się nie waham. Ja… zgadzam się na operację.

— I ja także — oświadczyła Maria Stuart, którą oświecała miłość.

— Ale nie ja! — wykrzyknęła Katarzyna.

— Madame, skoro nam mówią, że to jedyna n a s z a szansa! — rzekła Maria.

— Kto to mówi? Mistrz Ambroży Paré, heretyk? Nie takie, jest zdanie lekarzy — rzekła królowa matka.

— Nie, Madame — rzekł Chapelain. — Koledzy i ja protestujemy przeciw środkowi, jaki zaleca mistrz Paré.

— A więc? Widzicie? — zawołała z triumfem Katarzyna.

Diuk de Guise tracił opanowanie. Podszedł do królowej „matki i poprowadził ją do framugi okna.

— Posłuchaj, Madame — rzekł po cichu przez zaciśnięte zęby — chcesz, żeby twój syn umarł, a żeby żył książę de Condé! Zjednoczyłaś się z Burbonami i z konetablem! Targ już ubity, zwłoki z góry podzielone! Wiem wszystko. Strzeż się! Wiem wszystko, powiadam ci! Ale Katarzyna nie należała do tych, których można zastraszyć. Diuk de Guise pomylił się. Zrozumiała, że konieczność domaga się od niej zuchwałości, bo jej wróg zrzucił z siebie maskę. Rzuciła mu piorunujące spojrzenie i wymykając się mu gwałtownym ruchem podbiegła do drzwi i sama otwarła oba ich skrzydła.

— Panie kanclerzu! — zawołała.

L'Hôpital, zgodnie z otrzymanymi rozkazami, przebywał w dużej sali i czekał. Zgromadził w niej wszystkich stronników królowej matki, jakich spotkał.

Na wezwanie Katarzyny zbliżył się śpiesznie, a grupy panów cisnęły się z ciekawością w stronę otwartych drzwi.

— Panie kanclerzu — mówiła Katarzyna bardzo głośno, żeby ją dobrze było słychać — chcą się dopuścić na królu ciężkiej, nie rokującej nadziei operacji. Mistrz Paré ma zamiar przebić mu głową żelaznym przyrządem. Ja jako matka protestuję wraz z trzema lekarzami tutaj obecnymi przeciw takiej, zbrodni… Panie kanclerzu, zarejestruj mój sprzeciw.

— Zamknijcie drzwi! — krzyknął diuk de Guise.

Mimo szemrania rycerzy zebranych w wielkiej sali, Gabriel uczynił to, czego żądał diuk.

Kanclerz pozostał w królewskiej sypialni.

— A teraz dowiedź się, panie kanclerzu, że operacja, o której mowa jest niezbędna. Królowa i ja, generalny namiestnik królestwa,, odpowiadamy jeśli nie za operację, to za chirurga.

— A ja w owym decydującym momencie przyjmuję na siebie całą odpowiedzialność, jaką na mnie chcecie nałożyć. Tak, chcę, żebyście mi odebrali życie, jeśli nie zdołam uratować króla Niestety, najwyższy już czas! Patrzcie na króla, patrzcie!

W samej rzeczy, Franciszek II, siny, nieruchomy z przygasłymi oczyma, zdawał się nic nie widzieć, nie słyszeć, jak nieżywy Nie odpowiadał już ani na pieszczoty, ani na słowa Marii.

— Spiesz się — rzekła do chirurga — Pospiesz się, w imię Boże Staraj się ocalić życie króla, a ja postaram się ochronić twoje.

— Nie mam prawa niczego zabraniać — rzekł niewzruszony kanclerz — ale moim obowiązkiem jest stwierdzić, że protestuje królowa matka.

— Panie de L'Hôpital, nie jesteś już kanclerzem — rzekł chłodno druk de Guise. — Dalej, Ambroży

— My odchodzimy — rzekł Chapelam w imieniu lekarzy

— Zgoda — odpowiedział Ambroży. — Wymagam wielkiego spokoju wokół siebie. Zostawcie mnie samego, jeśli tak chcecie, panowie. Sam jeden będę odpowiedzialny.

Od pewnego czasu Katarzyna de Medici nie mówiła ani słowa Odeszła w stronę okna i patrzyła na dziedziniec, skąd słychać było wielki rwetes

W decydujące] chwili nikt poza nią nie zwracał uwagi na gwar zewnątrz

Wszyscy, a nawet kanclerz, mieli utkwione oczy w Ambrożym Paré, który odzyskał zimną krew chirurga i przygotowywał narzędzia.

W chwili kiedy się pochylał nad Franciszkiem II, rozległa się wrzawa całkiem blisko, w sąsiednie sali Gorzki radosny zarazem uśmiech rozświetlił blade wargi Katarzyny Drzwi otwarły się z trzaskiem i pojawił się konetabl de Montmorency, uzbrojony jak na wojnę Stał groźny w progu

— Przybywam w samą porę! — zawołał.

— Co to ma znaczyć? — spytał diuk de Guise kładąc rękę na sztylecie u boku.

Zmuszony się rzeczy, powstrzymał się Ambroży Paré. Dwudziestu rycerzy weszło za konetablem i rozeszli się po komnacie Po obu bokach Montmorency'ego stali Antoni de Bourbon i książę de Condé Co więcej, królowa matka i L'Hôpital stanęli po obu stronach chirurga Nie potrzebowali stosować przemocy do opanowania królewskiej sypialni

— To ja teraz odejdę — rzekł zrozpaczony Ambroży Paré.

— Mistrzu Paré, ja, królowa, rozkazuję ci przeprowadzić operację — rzekła Maria Stuart.

— Ależ, Madame, rzekłem ci przecież, że potrzeba mi całkowitego spokoju. A widzisz, co się dzieje! — wskazał na konetabla i jego świtę.

— Panie Chapelain, zastosuj swój zastrzyk — rzekł do pierwszego lekarza.

— To sprawa jednej chwili — odpowiedział Chapelain. — Wszystko jest przygotowane.

W asyście dwóch swoich kolegów zastosował natychmiast infekcję w ucho króla.

Maria Stuart, obaj de Guise, Gabriel i Ambroży pozwolili im działać. Stali przygnębieni, jak skamieniali.

Konetabl głupio gadał sam:

— A to dopiero! Kiedy sobie pomyślę, że Bèze mnie chcieliście niby nic otworzyć głowę króla! Uderza się w podobny sposób królów Francji jedynie na polu bitwy, czy nie wiecie? Jedynie broń wroga może ich dotknąć, ale nigdy narzędzie chirurga!

Był zadowolony z wymuszonej ustępliwości mistrza Paré. Radując się przygnębieniem diuka de Guise, dodał:

— Najwyższy czas, żebym przybył, dzięki Bogu! Powiadają mi, że chcieliście, panowie, uciąć głowę memu dzielnemu, drogiemu siostrzeńcowi, księciu de Condé! Ale rozbudziliście starego lwa śpiącego w jaskini i oto on! Uwolniłem księcia, przemawiałem w Stanach, które ujarzmiacie. Jako konetabl zwolniłem posterunki rozstawione przy bramach Orleanu. Od kiedy jest zwyczaj w taki sposób przydzielać straże królowi, jakby nie był bezpieczny wśród swoich poddanych?

— O jakim królu mówisz? — spytał go Ambroży Paré. — Wkrótce nastanie król Karol IX, bo przecież widzicie, panowie — zwrócił się do lekarzy — pomimo waszego zastrzyku mózg jest zajęty, zaczyna się rozlew ropy,

Katarzyna de Medici poznała po zawiedzionej minie Ambrożego Paré, że nie ma już żadnej nadziei. Nie powstrzymała się od słów skierowanych do diuka de Guise:

— A zatem kończy się twoje panowanie!

W tej samej chwili Franciszek podniósł się gwałtownym ruchem szeroko otwarł przerażone oczy, poruszał wargami, jakby chciał wymówić pewne imię, a potem ciężko opadł na poduszkę.

Nie żył.

Ambroży Paré żałosnym gestem zawiadomił o tym obecnych.

— Madame, Madame, zabiłaś swoje dziecko! — krzyczała Maria Stuart do Katarzyny i przyskoczyła oszalała, przerażona do niej.

Królowa matka zmierzyła synową jadowitym, zimnym jak lód wzrokiem, z którego wyzierała ogromna skryta nienawiść, rodząca się w niej przez osiemnaście miesięcy.

— Ty, moja droga, nie masz już prawa tak mówić, czy rozumiesz? Nie jesteś już królową. Ach tak! Jesteś królową Szkocji. Jak najprędzej odeślemy cię, żebyś królowała wśród swoich mgieł.

Maria Stuart na skutek nieuniknionej reakcji po pierwszym wybuchu żalu, osłabiona padła szlochając na kolana przy łóżku, na którym spoczywał król.

— Pani de Fiesque, przyprowadź natychmiast diuka d'Orléans — rzekła ze spokojem Katarzyna.

Następnie zwróciła się do diuka de Guise i kardynała:

— Panowie, możliwe, że Stany Generalne należały do was przed kwadransem, ale teraz należą do nas, wiecie bardzo dobrze. Zostało ustalone między panem de Bourbon a mną, że będę regentką, a on będzie generalnym namiestnikiem królestwa. Ale ty, panie de Guise, na razie jeszcze jesteś wielkim marszałkiem, więc wypełnij swój obowiązek i ogłoś śmierć króla Franciszka II.

— Król nie żyje! — rzekł diuk de Guise głębokim, głuchym głosem.

Wielki marszałek powtórzył głośno na progu wielkiej sali zgodnie ze zwyczajowym ceremoniałem: Król umarł! Król umarł! Król umarł! Módlcie się o zbawienie jego duszy.

Po chwili pierwszy rycerz rzekł:

— Niech żyje król!

Pani de Fiesque przyprowadziła właśnie do królowej matki diuka d'Orléans. Matka wzięła go za rękę i wyszła z nim na próg wielkiej sali, żeby go pokazać dworzanom wołającym:

— Niech żyje nasz dobry król Karol IX!

— Nie dopisało nam szczęście! — ze smutkiem rzekł kardynał do brata. Obaj pozostali w tyle.

— Tak, nie dopisało nam, ale nie naszemu rodowi — odpowiedział ambitny diuk. — Teraz trzeba myśleć o utorowaniu drogi mojemu synowi.

— W jaki sposób naprawić stosunki z królową matką? — spytał zamyślony Karol de Lorraine.

— Poczekajmy, aż się pokłóci z Burbonami i hugenotami — rzekł diuk de Guise.

Wyszli z komnaty zamaskowanymi drzwiami, nie przestając rozmawiać.

— Niestety! Niestety! — szeptała Maria Stuart całując lodowatą rękę Franciszka II. — Tylko ja jedna płaczą nad tobą, mój biedny miły, którego tak kochałam!

— I ja, Madame — dodał podchodząc bliżej Gabriel de Montgomery. Trzymał się dotąd na uboczu z oczami pełnymi łez.

— Dziękuję — rzekła Maria, a w swoje spojrzenie włożyła całą duszę.

— Nie tylko będę go opłakiwał, uczynię coś więcej — rzekł półgłosem Gabriel śledząc wzrokiem pełnym gniewu konetabla de Montmorency, który puszył się obok Katarzyny de Medici. — Tak, może go pomszczę, podejmę na nowo nie dokończone dzieło zemsty osobistej. Skoro konetabl znowu jest wszechmocny, walka między nami jeszcze się nie skończyła.

Tak więc i Gabriel w obliczu śmierci królewskiej pielęgnował w duszy osobiste myśli.

Stanowczo słusznie się wyraził Regnier La Planche: „Źle być królem, kiedy się umiera".

Może ma nie mniej słuszności, kiedy dodaje:

„Podczas panowania Franciszka Drugiego Francja służyła za scenę, na której odegrano kilka przerażających tragedii. Potomni będą je podziwiali i potępiali zarazem, kiedy nadarzy się odpowiednia okazja".

LI. ŻEGNAJ, FRANCJO!

Dnia piętnastego sierpnia 1561 roku, w osiem miesięcy po śmierci Franciszka II, Maria Stuart miała wsiąść na statek w Calais, aby odpłynąć do Szkocji.

Można rzec, że wykłócała się o te osiem miesięcy, dzień po dniu, godzina po godzinie z Katarzyną de Medici i nawet z wujami. Im także było pilno, choć z innych względów niż Katarzynie, by Maria opuściła Francję. Była królowa nie mogła się zdecydować na odjazd z miłego kraju, gdzie była tak szczęśliwa i miłowana. Nawet bolesne wspomnienia o przedwczesnym wdowieństwie, wszystkie drogie miejsca wywierały na nią urok poetycki, spod którego nie umiała się wyzwolić.

Maria Stuart nie tylko odczuwała poezję, ale też ją wyrażała. Nie tylko jako niewiasta opłakiwała śmierć Franciszka II, ale i opiewała ją jak muza. Brantôme miał dla niej, żywy podziw. Przechował dla nas czułą elegię, jaką napisała na tę okoliczność. Można ją zaliczyć do najznakomitszych wierszy owej epoki:

W smutnym, tkliwym trenie
Tonem żałosnym wielce,
Opiewam ból i cierpienie,
Co szarpie moje serce.
Niepocieszona strata
Na młode me lata!

Kto zna los tak ciężki,
Tak srogie przeznaczenie?
Kto poniósł takie klaski?
Nic znaczy urodzenie!
Moje serce i oko
patrzą w grób głęboko.

W słodkiej życia wiośnie,
W kwiecie mej młodości
Nie zaznałam radośnie
Pełnej szczęśliwości.
W smutku się lubuję,
Tęsknię i ból czuję.

Co uciechą było,
Strapieniem się stało,
Co jasnością miłą,
Ciemne zło zabrało.
Nie miałam lepszego
Krom najmilejszego!

Czy w polu, czy w lesie,
W każdym miejscu ziemi,
Czy słońce świt niesie,

Czy zachód w czerwieni,
Tęsknota serce zżyma
Za tym, kogo nie ma.

Czasami po niebie
Błądzą moje oczy,
Widzę w chmurce ciebie,
Twój wzrok się ku mnie toczy.
Jak spojrzę w wodę u stóp,
Dostrzegam jeno grób.

Gdy się chronię w ciszę
I zasnąć próbuję,
Jego głos wciąż słyszę,
Dotyk jego czuję.
Zajęcia czy bale,
Jest przy mnie stale.

Kres kładę daleki,
Pieśni, wiecznie żywa!
Myśl niech przetrwa wieki:
Że miłość prawdziwa
Przez czas i rozstanie
Nie mniejsze ma trwanie.

Wzruszająca rytmiczna skarga powstała w Reims, dokąd Maria schroniła się na początku u wuja de Lorraine. Do końca wiosny pozostawała w Szampanii. Potem w Szkocji wybuchły zamieszki religijne, okazała się konieczna jej obecność we własnym królestwie. Z drugiej strony chmurną regentkę Katarzynę niepokoiła namiętna adoracja, jaką Karol IX, dziecko jeszcze, żywił do swej bratowej. Maria Stuart musiała zatem zdecydować się na wyjazd.

W lipcu przyjechała do Saint–Germain, żeby pożegnać się z dworem. Okazywane jej przywiązanie i podziw graniczący z uwielbieniem tym bardziej jeszcze powiększyły jej gorycz i żal, że musi rozstać się z Francją. Jej dożywocie wyznaczone w Turenii i Poitou opiewało na kwotę dwudziestu tysięcy liwrów. Zabierała także do Szkocji bogatą biżuterię. Taka zdobycz mogła skusić niejednego rozbójnika morskiego. Obawiano się także aktów przemocy względem niej ze strony Elżbiety Angielskiej, która w młodej królowej Szkocji widziała swą rywalką. Wielka liczba rycerzy ofiarowała jej przeto swoje usługi, żeby ją eskortować do szkockiego królestwa. Kiedy przybyła do Calais, otoczyli ją nie tylko wujowie, ale i najznakomitsi dworzanie rycerscy i wytworni, jak pan de Damville, pan de Brantôme i inni.

W porcie Maria zastała oczekujące na nią dwie galery, gotowe na pierwszy jej rozkaz. Ale pozostała jeszcze w Calais przez sześć dni, bowiem ci, którzy jej dotąd towarzyszyli, nie mieli ochoty z nią się rozstać.

Wreszcie piętnastego sierpnia, jak już rzekliśmy, wyznaczono termin odjazdu. Tego dnia nie było dobrej pogody, chmurno i smutno, ale bez wiatru i bez deszczu.

Na wybrzeżu, zanim weszła na pokład statku, Maria każdemu z towarzyszących podała rękę do pocałowania na ostateczne pożegnanie w podzięce za to, że ją odprowadzili aż do granic królestwa.

Zasmuceni, z wielkim szacunkiem uklękli przed nią i po kolei przykładali wargi do umiłowanej rączki.

Ostatnim był rycerz, który od Saint–Germain nie opuścił świty Marii, ale podczas całej drogi pozostawał w tyle, zakryty płaszczem i kapeluszem. Nie pokazywał się i z nikim nie rozmawiał. Ale kiedy podszedł, żeby przyklęknąć przed królową z kapeluszem w ręce, Maria poznała Gabriela de Montgomery.

— Jak to? To ty, hrabio? Jestem szczęśliwa, że cię jeszcze raz widzę, wierny przyjacielu, razem ze mną opłakiwałeś zmarłego króla. Skoro byłeś wśród rycerstwa, dlaczego mi się wcześniej nie pokazałeś?

— Odczuwałem potrzebę widzieć cię, a nie być widzianym — odpowiedział Gabriel. — W odosobnieniu lepiej odnajdywałem wspomnienia i głębiej przezywałem miły obowiązek, jaki miałem do wypełnienia względem ciebie, Madame.

— Jeszcze raz dziękuję za ten ostatni dowód przywiązania, panie hrabio. Chciałabym lepiej ci okazać wdzięczność, nie tylko słowami. Ale nic już nie jest w mojej mocy, chyba że chciałbyś mi towarzyszyć do mojej biednej Szkocji wraz z panami de Damville i de Brantôme…

— Byłoby to moim najgorętszym pragnieniem, Madame. Ale coś mnie jeszcze zatrzymuje we Francji. Osoba, która jest mi równie droga i świata, której nie widniałem od dwóch lat. Czeka na mnie w tej chwili.

— Czy chodzi o Dianą de Castro? — z ożywieniem spytała Maria.

— Tak, Madame. Miesiąc temu otrzymałem od niej wezwanie do Saint–Quentin na dzisiaj, piętnastego sierpnia. Przybędę dopiero jutro, ale wybaczy mi spóźnienie bez względu na to, po co mnie wzywa. Jestem tego pewny, kiedy się dowie, że nie chciałem cię opuścić, zanim nie rozstaniesz się z Francją.

— Droga Diana! — odpowiedziała zamyślona Maria.

— Tak, ona mnie lubiła, była dla mnie jak siostra? Czekaj, panie de Montgomery, przekaż jej jako pamiątkę ode mnie ten pierścionek i jedź jak najszybciej do niej. Może cię potrzebuje. Skoro wiem, że o nią chodzi, nie zatrzymuję cię więcej. Żegnaj. Żegnajcie, przyjaciele, żegnajcie wszyscy. Czekają na mnie. Niestety, trzeba odjechać.

Wyrwała się z kręgu żegnających, którzy chcieli ją jeszcze zatrzymać. Weszła na pokład statku i przeszła na galerę pana de Mevillon, a zadnią świta panów, którzy mieli jej towarzyszyć do samej Szkocji.

Szkocja nie zdoła pocieszyć Marii po Francji, a towarzyszący jej dworzanie nie pozwolili jej zapomnieć o tych, z którymi się rozstawała. Wydawało się nawet, że pozostających miłuje najsilniej. Stojąc na dziobie galery nie przestawała machać chusteczką, którą na przemian ocierała łzy. Żegnała krewnych i przyjaciół stojących na wybrzeżu.

Wreszcie wypłynęli na pełne morze. Mimo woli zwróciła uwagę na statek wracający do portu, z którego wyruszyła. Śledziła go wzrokiem zazdroszcząc mu miejsca przeznaczenia. Nagle statek przechylił się do przodu, jakby natrafił na jakieś podwodne przeszkody. Chwiejąc się od kilu do masztów, zaczął zagłębiać się w morze wśród krzyków załogi. Zniknął w odmętach morskich nader szybko, zanim z galery pana de Mevillon zdążono spuścić łódź ratowniczą. Przez chwilę widać było kilka czarnych punktów unoszących się na falach w miejscu, gdzie zatonął statek. Potem jeden po drugim pogrążyły się w głębi, zanim zdążono do nich dopłynąć, chociaż wiosłowano ze wszystkich sił. Szalupa powróciła nie ocaliwszy ani jednego rozbitka.

— O mój Boże! Chryste Panie! Jakaż to zła wróżba dla mojej podróży! — zawołała Maria.

Tymczasem powiał silniejszy, chłodny wiatr. Postawiono, żagle, dzięki czemu galernicy mogli odpocząć. Maria ujrzała, że z wielką szybkością oddalają się od lądu. Oparła się o burtę rufy z oczyma zwróconymi na port. Duże łzy przyćmiewały jej wzrok, nie przestawała powtarzać:

— Żegnaj, Francjo! Zegnaj, Francjo!

Pozostała tam przez prawie pięć godzin, to znaczy do momentu, gdy noc miała zapaść. Sama pewnie by nie pomyślała o odejściu, gdyby Brantôme nie przyszedł po nią z prośbą, że czekają z kolacją.

Wtedy płacz i szlochy wybuchły ze zdwojoną siłą.

— W tej oto chwili tracę cię całkowicie, ukochana Francjo, bowiem noc, zazdrosna o ostatnie minuty mego szczęścia, rozsnuwa swój czarny welon przed oczyma, żeby mnie pozbawić jedynego dobra. Żegnaj zatem, umiłowana Francjo, nigdy więcej już cię nie ujrzę! Następnie dała znak Brantôme'owi, że później zejdzie pod pokład. Wzięła kartkę papieru, wyjęła ołówek, usiadła na ławce przy świetle kończącego się dnia napisała owe słowa, tak dobrze znane:

Żegnaj, kraju mej miłości,
Francjo kochana,
Ziemio wybrana,
Tyś żywiła mnie w młodości!
Żegnaj, Francjo!
Żegnajcie dni wyśnione
Okręt rozdziela serca złączone.
Ledwie połowę uczuć zabiera,
Druga połowa miłości szczera
Tobie przypada, byś pamiętała,
Żeś przyjaźń moją stale miała.

Wreszcie Maria zeszła na dół i zbliżając się do współbiesiadników rzekła:

— Postąpiłam wręcz odwrotnie niż królowa Kartaginy. Dydana nie przestawała patrzeć na fale, kiedy Eneasz od niej odpłynął, a tymczasem ja nie mogłam oderwać oczu od ziemi.

Proszono, aby usiadła i zjadła „wieczerzę, ale Maria nic nie chciała przełknąć i odeszła do swojej kajuty. Przedtem poprosiła sternika, żeby ją obudził o świcie, jeśli będzie jeszcze widać ląd.

Przynajmniej pod tym względem los sprzyjał biednej Marii. Ustał wiatr i przez całą noc statek posuwał się jedynie o wiosłach. A kiedy nastał dzień, było jeszcze widać Francję.

Sternik wszedł przeto zgodnie z rozkazem do kajuty królowej. Zastał ją już obudzoną. Siedziała na koi i patrzyła przez otwarty luk na ukochane wybrzeże.

Jednak radość jej nie trwała długo. Wiatr się zerwał i wkrótce Francja zniknęła z oczu. Maria miała jeszcze jedną nadzieję, że spotkają na pełnym morzu angielską flotą i będą mogli zawrócić. Ale i ta ostatnia szansa jej umknęła jak wiele innych. Na morzu rozpostarła się tak gęsta mgła, że z jednego końca galery nie było widać drugiego. Było to rzadkie zjawisko w czasie pełnego lata. Żeglowano zatem zdając się na los szczęścia. Groziło niebezpieczeństwo, że zabłądzą, ale przynajmniej uniknęli niebezpieczeństwa o wiele groźniejszego — wroga.

W samej rzeczy, na trzeci dzień mgła się rozproszyła. Okazało się, że znajdują się wśród skał. Bez najmniejszej wątpliwości galera byłaby się rozbiła, gdyby się posunięto o dwie długości dalej. Sternik wszedł na bocianie gniazdo i rozpoznał brzegi Szkocji. Bardzo zręcznie wyprowadził statek spomiędzy skał podwodnych i przybił do brzegu w Leith niedaleko Edynburga.

Dowcipni towarzysze Marii orzekli, że wylądowano dzięki mgle w zamglonym kraju. Marii nikt tam nie oczekiwał, toteż aby dojechać do Edynburga, musiała się zadowolić mizernymi osłami z byle jaką uprzężą. Niektóre z nich były nawet nie osiodłane, a uzdy i wodze miały

sporządzone ze sznura. Maria nie mogła się powstrzymać od porównania owych nędznych kłapouchów ze wspaniałymi rumakami, harcującymi podczas polowań i turniejów. Uroniła jeszcze kilka łez żalu porównując opuszczony kraj z macierzystym, do którego wracała. Ale po chwili z czarującym wdziękiem starała się uśmiechnąć przez łzy i rzekła:

— Trzeba się uzbroić w cierpliwość, bo przecież raj zamieniłam na piekło.

Tak się odbył powrót Marii Stuart do Wielkiej Brytanii. Opowiedzieliśmy gdzie indziej pozostałą część życia i śmierć królowej.

O tym, jak bezbożna Anglia, ów kat niosący zgubę wszystkiemu, co we Francji było wspaniałe, zamordowała ją łaskawie, jak wcześniej już zgładziła natchnioną Joannę d'Arc, jak później miała zniszczyć genialnego Napoleona.

EPILOG

Gabriel przybył do Saint–Quentin dopiero następnego dnia, szesnastego sierpnia. Przy bramie czekał na niego Jan Peuquoy.

— Jesteś wreszcie, panie hrabio — rzekł zacny tkacz. — Byłem pewny, że przyjedziesz. Ale niestety za późno, za późno!

— Dlaczego za późno? — spytał przestraszony Gabriel.

— Tak, na nieszczęście. Czyż list pani Diany de Castro nie wzywał cię na wczoraj, na dzień piętnasty sierpnia?

— Oczywiście, ale bez nalegania na ową ścisłą datę, bez zawiadomienia, w jakiej sprawie żąda mojej obecności pani de Castro.

— Wczoraj, piętnastego sierpnia, pani de Castro, a raczej siostra Beata złożyła wieczyste śluby zakonne bez możności powrotu do świeckiego życia.

— Ach! — tyle tylko rzekł Gabriel blednąc.

— Gdybyś tu był, mógłbyś zapobiec może temu, co się stało.

— Nie — odpowiedział Gabriel z posępną twarzą — nie mógłbym, nie powinienem był i nawet nie chciałbym się sprzeciwiać jej zamiarowi. Widocznie Opatrzność zatrzymała mnie w Calais. Moje serce byłoby złamane niemożnością zapobieżenia takiej ofierze, a biedna, droga duszyczka ofiarowująca się Bogu mogłaby więcej cierpieć z powodu mojej obecności niż w osamotnieniu w owej uroczystej chwili.

— Ależ nie była sama! — rzekł Jan Peuquoy.

— Tak, wiem, ty byłeś, Janie, i Babetka, i rozmaici nieszczęśliwi, wdzięczni jej, różni przyjaciele…

— Byliśmy tylko my, panie hrabio. Ale siostra Beata miała przy sobie także matkę.

— Kogo? Panią de Poitiers?

— Tak, panie hrabio, pani de Poitiers we własnej osobie po otrzymaniu listu od córki przyjechała ze swego zacisza w Chaumont–sur–Loire i asystowała wczoraj przy ceremonii. Jeszcze teraz powinna przebywać razem z nową zakonnicą.

— Och! Dlaczego pani de Castro sprowadziła ową niewiastę?

— Ależ, Wasza Wysokość, rzekła do Babetki, że mimo wszystko owa niewiasta jest jej matką.

— Mniejsza o to. Zaczynam myśleć, że powinienem był przyjechać tutaj wczoraj. Jeśli pani de Poitiers tutaj przybyła, to na pewno nie po to, zęby świadczyć dobro, nie po to, żeby wypełnić obowiązek. Chodźmy do klasztoru benedyktynek, Janie. Czy pójdziesz ze mną? Spieszno mi teraz bardziej niż kiedykolwiek widzieć się z panią de Castro. Wydaje mi się, że mnie potrzebuje. Chodźmy szybko!

Bez żadnych trudności wprowadzono Gabriela de Montgomery do rozmównicy, bo oczekiwano jego przybycia już dzień wcześniej.

W parlatorium była Diana z matką:

Gabriel na jej widok po tak długiej rozłące, unoszony nieodpartym porywem, blady i smutny, padł na kolana przed kratą oddzielającą ich na zawsze, od siebie.

— Siostro, moja siostro! — nic więcej nie zdołał powiedzieć.

— Bracie mój! — ze słodyczą odrzekła siostra Beata.

Łza toczyła się wolno po jej policzku. Ale równocześnie uśmiechała się anielskim uśmiechem.

Gabriel odwrócił nieco głowę i spostrzegł drugą Dianę, panią de Poitiers. Śmiała się jak demon.

Gabriel popatrzył na nią z pogardliwą niedbałością i zwrócił swe spojrzenie i myśli do siostry Beaty.

— Siostro! — powtórzył z czułością i udręką w głosie. Wtedy wmieszała się chłodno Diana de Poitiers:

— Chyba jako siostrę w Chrystusie witasz taką nazwą byłą panią de Castro, która wczoraj jeszcze tak się zwała.

— Co chcesz przez to rzec, pani? Wielki Boże! Co chcesz rzec? Diana de Poitiers nie odpowiedziała mu bezpośrednio, ale zwróciła się do córki:

— Moje dziecko, teraz nadeszła chwila, żebym ci wyjawiła tajemnicę, o której wczoraj wspomniałam. Obowiązek mi wzbrania ukrywania jej dłużej.

— O co chodzi? — zawołał jak nieprzytomny Gabriel.

Pani de Poitiers ze spokojem mówiła:

— Moje dziecko, nie tylko po to, żeby cię pobłogosławić, opuściłam swoje odosobnienie, w którym żyję od około dwóch lat dzięki panu de Montgomery. Nie doszukuj się żadnej ironii w moich słowach, panie — zwróciła się sarkastycznym tonem widząc odruch Gabriela. — Wiem, że jesteś z tego rad, że mnie wyrwałeś przemocą z bezbożnego i przekupnego wielkiego świata. Teraz jestem szczęśliwa. Spłynęła na mnie łaska, miłość Boga wypełnia me serce. Aby ci za to podziękować, chcę ci zaoszczędzić grzechu, a może nawet występku.

— O co chodzi? — spytała z drżeniem siostra Beata.

Diana de Poitiers mówiła z piekielną zimną krwią:

— Moje dziecko, wyobrażam sobie, że wczoraj jednym słowem mogłam powstrzymać na twoich wargach przysięgę wiecznych ślubów. Ale czyż mi przystoi, mnie, biednej grzesznicy, tak szczęśliwej, że pozbyła się ziemskich więzów, czyż mi przystoi zabierać Bogu duszę, która mu się oddała, taką wolną i czystą? Nie, i dlatego milczałam.

— Nie ośmielam się zgadywać, nie śmiem! — szeptał Gabriel.

— Dzisiaj, moje dziecko, złamię milczenie, bo widzę ból i namiętność pana de Montgomery, jeszcze panujesz niepodzielnie w jego myślach. Otóż musi o tobie zapomnieć, tak należy. Gdyby jednak wciąż dawał się unosić iluzji, że jesteś jego siostrą, córką hrabiego de Montgomery, jego myśli bez wyrzutów sumienia wędrowałyby stale do ciebie. Byłby to występek! Nie chcę być wspólniczką takiej zbrodni, bo wczoraj się nawróciłam. Dowiedz się zatem, Diano, że nie jesteś siostrą pana hrabiego, jesteś prawowitą córką króla Henryka II, którego pan hrabia tak nieszczęśliwie ugodził podczas fatalnego turnieju.

— Co za okropność! — rzekła siostra Beata zakrywając twarz obiema rękami.

— Kłamiesz, pani — rzekł gwałtownie Gabriel. — Z całą pewnością kłamiesz! Jaki jest dowód, że nie kłamiesz?

— Oto on — odpowiedziała ze spokojem Diana de Poitiers, podając mu papier wyjęty zza gorsu.

Gabriel chwycił pismo drżącą ręką i chciwie czytał. Tymczasem Diana de Poitiers mówiła:

— To list twojego ojca, pisany na kilka dni przed jego uwięzieniem, jak sam widzisz; Żali się na moją powściągliwość, jak możesz przeczytać. Ale zrezygnowany zdaje się na konieczność czekania, aż będę mu poślubioną. Zakochany zachowa dla małżonka pełne czyste szczęście posiadania. Słowa tego listu nie są dwuznaczne, nieprawdaż? Widzisz zatem, panie de Montgomery, że nie było w tym nic zdrożnego, że myślałeś o siostrze Beacie. Nie łączą cię żadne więzy krwi z tą, która stała się oblubienicą Jezusa Chrystusa. Zaoszczędzam ci zatem myśli o bezbożności i sądzę, że takim sposobem skwitowałam się z tobą i że zapłaciłam ci za szczęście, jakiego zażywam przez ciebie w samotności. Jesteśmy kwita, panie hrabio. Nie mam ci rzec nic więcej.

W czasie gdy trwało jej szydercze przemówienie, Gabriel czytał ów pożegnalny, święty dla niego list. W samej rzeczy, nie pozostawiał on najmniejszej wątpliwości. Dla Gabriela był to jakby głos zza grobu świadczący o prawdzie.

Kiedy nieszczęsny młodzieniec podniósł błędny wzrok, ujrzał Dianę de Castro leżącą w omdleniu przy klęczniku. Instynktownie rzucił się ku niej. Ale żelazne sztaby zatrzymały go po drugiej stronie.

Odwrócił się i spojrzał na Dianę de Poitiers. Na jej wargach błąkał się uśmiech pełen zadowolenia.

Oszalały z bólu, uczynił dwa kroki ku niej z podniesioną ręką. Zatrzymał się jednak, przerażony sam sobą, bijąc się ręką po czole krzyknął jak oszalały:

— Żegnaj, Diano! Żegnaj!

Uciekł.

Gdyby pozostał chwilę dłużej, nie powstrzymałby się przed zgnieceniem Bèzecnej matki jak żmii!

Przed klasztorem czekał na niego mocno zaniepokojony Jan Peuquoy.

— Nie pytaj! O nic nie pytaj! — zawołał do niego Gabriel w uniesieniu.

A kiedy zacny Peuquoy patrzył na niego z żalem i zdziwieniem, rzekł już łagodniej:

— Wybacz mi. Jestem bliski szaleństwa. Widzisz, że nie mogę myśleć. Odjeżdżam, uciekam do Paryża, żeby nie myśleć. Jeśli chcesz, chodź ze mną aż do bramy miejskiej, przy której pozostawiłem konia. Ale na litość boską, nie mów o mnie, mów o sobie.

Zacny tkacz, w równej mierze, żeby usłuchać Gabriela, jak aby go nieco rozerwać, opowiadał. Mówił, że Babetka czuje się świetnie, że niedawno uczyniła go ojcem małego Peuquoy, który znakomicie się rozwija. Brat jego Piotr osiedlił się jako płatnerz w Saint–Quentin. A przez rajtara wracającego z Pikardii do własnego ogniska domowego otrzymał miesiąc temu wiadomości o Marcinie Guerre i jego zmienionej w łagodną Bertrandzie, dzięki czemu czuje się całkiem szczęśliwy.

Jednak Gabriel, zaślepiony bólem, nic prawie nie słyszał i nie pojmował z jego radosnego opowiadania.

Skoro doszedł razem z Janem do Bramy Paryskiej, uścisnął serdecznie dłoń mieszczanina.

— Żegnaj, przyjacielu — rzekł. — Dziękuję ci za życzliwość i serdeczne uczucia. Pozdrów ode mnie wszystkich, których kochasz. Jestem wielce rad, że czujesz się szczęśliwy. Tobie się powiodło, pomyśl czasem „o mnie, który bardzo cierpię.

Widział łzy lśniące w oczach Jana i nie Czekał na odpowiedź. Dosiadł wierzchowca” i galopem ruszył w drogę.

Gdy przybył do Paryża, jego zacna niania już nie żyła, jakby los, zabierając Alojzę, chciał go przytłoczyć — kilkoma żałobami naraz. Zmarła po krótkiej chorobie, a on już nie zdążył z nią się pożegnać.

Nazajutrz poszedł do admirała de Coligny i rzekł:

— Panie admirale, wiem, że prześladowania i wojny domowe wkrótce na nowo się rozpoczną, mimo tylu wysiłków, by im zapobiec. Oświadczam, że od dzisiaj mogę ofiarować na usługi reformy nie tylko moje myśli, ale i szpadę. Całym swoim życiem pragnę wam służyć, weź je i nie oszczędzaj. Zresztą w twoich szeregach będę mógł najlepiej bronić się przeciwko mym wrogom i dokończyć ukarania pozostałych.

Gabriel miał na myśli królową regentkę i konetabla.

Nie ma potrzeby mówić, z jakim entuzjazmem Coligny przyjął nieocenioną pomoc rycerza, który tylekroć dowiódł swej odwagi i tężyzny.

Od tej chwili dzieje hrabiego biegły równolegle z historią wojen religijnych, które

doprowadziły do rozlewu krwi za panowania Karola IX. Gabriel de Montgomery odegrał budzącą grozę rolę w owych wojnach. Przy każdym ważnym wydarzeniu wymawiano jego nazwisko, a wtedy bladła Katarzyna de Medici.

Kiedy po masakrze pod Vassy w 1562 roku Rouen i cała Normandia opowiedziały się otwarcie po stronie hugenotów, jako głównego sprawcę powstania w całej prowincji wymieniano hrabiego de Montgomery,

Hrabia de Montgomery tego samego roku brał udział w bitwie pod Dreux i tam dokonywał cudów waleczności. Powiadają; że on zranił wystrzałem z pistoletu konetabla, który sam dowodził katolikami. Montmorency byłby postradał życie, gdyby książę de Porcien nie ochronił konetabla biorąc go do niewoli.

Wiadomo też, w jaki sposób szlachetnego diuka de Guise zabił zdradziecko pod Orleanem fanatyk Poltrot po bitwie, w której. Pokiereszowany wydarł zwycięstwo z nieudolnych rąk konetabla.

Montmorency, pozbywszy się rywala, ale również pozbawiony swego sojusznika, miał jeszcze mniej szczęścia w bitwie pod Saint–Denis w 1567 roku niż pod Dreux. Szkot Robert Stuart wezwał go do poddania się. Konetabl w odpowiedzi uderzył go w twarz rękojeścią szpady. Wtedy ktoś strzałem z pistoletu trafił go w bok. Padł śmiertelnie zraniony. Poprzez krwawą mgłę w oczach rozpoznał twarz Gabriela. Następnego dnia konetabl wyzionął ducha.

Choć już nie miał bezpośrednich wrogów, hrabia de Montgomery nie zwolnił tempa walki. Wydawał się niezwyciężony i nie do pojmania.

Kiedy Katarzyna de Medici pytała, kto oddał Bearn pod panowanie królowej Nawarry i kazał uznać księcia de Bearn naczelnym wodzem hugenotów, odpowiedziano jej: Montgomery.

Kiedy następnego dnia po nocy świętego Bartłomieja (1572) królowa matka, nienasycona zemstą, pytała nie tyle, kto poległ, ale kto wymknął się śmierci, pierwszym nazwiskiem, jakie jej wymieniono, było: de Montgomery.

Gabriel zamknął się razem z Lanoue w twierdzy La Rochelle. Wytrzymała ona dziewięć wielkich szturmów i kosztowała królewską armię czterdzieści tysięcy ludzi. Przy kapitulacji obrońcy zachowali wolność, Montgomery wyszedł z niej zdrów i cały.

Wtedy przedostał się do Sancerre, obleganego przez zarządcę regionu Berry. Jak sobie przypominamy, dość dobrze się rozumiał na obronie fortyfikowanych placówek. Garstka obrońców bez żadnej broni poza okutymi żelazem laskami opierała się przez cztery miesiące korpusowi składającemu się z sześciu tysięcy żołnierzy. Kapitulując otrzymali tak samo jak i obrońcy La Rochelle gwarancję wolności sumienia i bezpieczeństwa osobistego.

Ze wzrastającą wściekłością Katarzyna de Medici widziała, jak jej się wymyka bezustannie dawny nieuchwytny wróg.

Montgomery porzucił Poitou, gdzie wrzała walka, i udał się do Normandii, która już się uspokoiła. Tam na nowo wzniecił powstanie.

Po odjeździe z Saint–Lô w ciągu trzech dni zdobył Carentan i pozbawił Valognes wszystkich zapasów amunicji. Cała szlachta normandzka stanęła pod jego chorągwią.

Wkrótce Katarzyna de Medici i król postawili na nogi trzy armie i ogłosili pospolite ruszenie w hrabstwach Mans i Perche. Wodzem królewskich wojsk został diuk de Matignon.

Tym razem Montgomery z nimi nie walczył. Wmieszany w szeregi kalwinistów, nastawał bezpośrednio, osobiście, na Karola IX. Hrabia, podobnie jak król, miał swoją armię. Obmyślił wspaniały plan, mający mu zapewnić głośne zwycięstwo.

Dopuścił, aby Matignon wraz ze wszystkimi siłami oblegał Saint–Lô, a sam potajemnie wymknął się z miasta i udał się do Domfront. Franciszek de Hallot miał mu tam sprowadzić całą kawalerię z Bretanii, Andegawenii i krainy Caux. Wraz z tymi złączonymi siłami miał spaść

niespodzianie na królewską armię stojącą pod Saint–Lô. Chciał wziąć ją w dwa ognie i wykończyć.

Jednak zdrada pokonała niezwyciężonego. Pewien chorąży powiadomił Matignona o tajemnym odjeździe hrabiego do Domfront, dokąd towarzyszyło mu zaledwie czterdziestu jeźdźców. Matignonowi mniej zależało na zdobyciu Saint–Lô, a więcej na pojmaniu hrabiego de — Montgomery. Przekazał prowadzenie oblężenia jednemu ze swych poruczników, a sam z dwoma pułkami, sześciuset końmi i potężną artylerią wyruszył do Domfront.

Każdy inny poddałby się bez próby bezużytecznego oporu, ale nie Gabriel de Montgomery. Z grupą czterdziestu żołnierzy chciał stawić czoła całej armii.

W książce historycznej De Thou można przeczytać opis owego niesłychanego oblężenia.

Domfront opierało się przez dwanaście dni. Hrabia de Montgomery w tym czasie uczynił siedem brawurowych wypadów. Wreszcie kiedy mury miasta, podziurawione i już chwiejące się, były zdane na łaskę i niełaskę wroga, Gabriel zszedł z nich, ale się obwarował i walczył w wieży w Belleme, noszącej nazwę Wilhelma. Pozostało z nim zaledwie trzydziestu wojów.

Matignon atakując dowodził baterią złożoną z pięciu dział ciężkiego kalibru, stu opancerzonych rycerzy, siedmiuset muszkieterów i stu pikinierów. Szturm trwał pięć godzin. Oddano sześćset strzałów armatnich w starą basztę.

Wieczorem Montgomery miał już tylko szesnastu rycerzy, ale jeszcze się trzymał. Spędził noc na łataniu wyrw w murach jak zwykły robotnik.

Z nadejściem dnia przypuszczono nowy atak. W nocy Matignon otrzymał nowe posiłki. Wokół baszty w Belleme i jej siedemnastu obrońców zgromadzono piętnaście tysięcy żołnierzy i osiemnaście armat. Obleganym nie brakło odwagi, ale zabrakło prochu.

Montgomery chciał przeszyć się szpadą, żeby nie wpaść w ręce wrogów. Matignon przysłał jednak parlamentariusza, który przysiągł w imieniu dowódcy, że zachowa życie i wolność, że będzie mógł swobodnie odjechać. Montgomery poddał się wierząc przysiędze. Powinien był przecież pamiętać, jak było z Castelnau.

Tego samego dnia odesłano go związanego do Paryża. Katarzyna de Medici trzymała go wreszcie! Wprawdzie przez zdradę, ale czy to ważne? Karol IX właśnie zmarł. Czekając na powrót z Polski Henryka III, była wszechpotężną królową regentką.

Montgomery, postawiony przed parlamentem dwudziestego szóstego czerwca 1574 roku, został skazany na śmierć.

Przez czternaście lat zwalczał małżonkę i synów Henryka II. Przez wyrafinowane okrucieństwo wobec hrabiego de Montgomery zastosowano wymyślne tortury. Dwudziestego siódmego czerwca zaniesiono go na szafot i ścięto głowę. Następnie ciało zostało poćwiartowane.

Katarzyna de Medici asystowała przy egzekucji.

Taki był koniec owego niezwykłego rycerza, jednej z najsilniejszych i najpiękniejszych dusz znanych w szesnastym wieku. Stale występował jedynie na drugim planie, ale zawsze był godny pierwszego miejsca. Przez jego śmierć spełniła się do końca przepowiednia Nostradamusa:

> Choć miłuje, na śmierć go wyprawi
> Dama króla.

Diana de Castro nie dożyła jego śmierci. Siostra Beata zmarła rok wcześniej jako ksieni benedyktynek w Saint–Quentin.